

**IAN KERSHAW**

**ROZDARTY  
KONTYNTENT**

**EUROPA 1950–2017**



HISTORIA  
**znak**

**IAN KERSHAW**

**ROZDARTY  
KONTYNENT**

**EUROPA 1950–2017**

Przekład  
**TOMASZ KRZYŻANOWSKI**

**Znak HORYZONT**  
Kraków 2020





# Przedmowa

---

**W**e wstępie do *Do piekła i z powrotem* napisałem, że była to najtrudniejsza książka, jakiej pisanie kiedykolwiek się podjąłem. Tak było do momentu zabrania się za tę książkę. Drugi tom historii Europy od 1914 roku do naszych czasów dostarczył jeszcze większych problemów zarówno w interpretacji, jak i opracowaniu. W wielkim stopniu jest tak, ponieważ historia Europy między rokiem 1950 a dniem dzisiejszym nie ma porównywalnych oczywistych kamieni milowych, jakimi dla poprzedniego okresu (lata 1914–1949) były obie wojny światowe. *Do piekła i z powrotem* podąża za wyraźnym scenariuszem dwukrotnego wchodzenia w wojnę i wychodzenia z niej. W podobnie linearny sposób nie da się opisać złożoności historii Europy od roku 1950 do dziś, gdzie mamy ciągłe zwroty akcji, wzloty i upadki, nietrwale zmiany, ogromne i wciąż przyspieszające tempo transformacji. Historia Europy po 1950 roku przypomina jazdę kolejką górską w wesołym miasteczku, pełną emocji i momentów trwogi. Niniejsza książka ma na celu pokazać, jak i dlaczego Europa przetoczyła się w ciągu tych dziesięcioleci z jednej epoki wielkiej niepewności w drugą.

Metafora rollercoastera nie jest idealna. Ten w końcu, mimo że co chwila podnosi poziom adrenaliny, biegnie po stałym obwodzie i zatrzymuje się w ustalonym miejscu. Być może też metafora nawiązująca do wesołego miasteczka wydaje się zbyt lekka i trywialna w odniesieniu do poważnej, trudnej i często tragicznej historii powojennej Europy. Ale obraz ten dobrze oddaje wyboistą drogę, zapierające dech w piersiach chwile i wrażenie, że kierują nami niekontrolowane

siły, dokładnie takie jak te, które kształtowały – choć w różny sposób – życie praktycznie wszystkich Europejczyków w ciągu tych dziesięcioleci.

Złożoność historii Europy w tej epoce stworzyła poważne problemy dla „architektury” książki. Największą trudność przedstawiał fakt podziału Europy przez ponad 40 lat przez żelazną kurtynę. Można powiedzieć, że poza *koncepcją* wspólnej tożsamości kulturowej (choć i ta była przecież naznaczona różnicami religijnymi, narodowymi, etnicznymi i klasowymi) Europa jako całość w tych dziesięcioleciach nie istniała. Jej obie połówki – Europa Zachodnia i Europa Wschodnia – były konstruktami czysto politycznymi. Wewnętrzny rozwój każdej z tych połówek był na tyle różny, że niemożliwe jest łączne ich omawianie aż do upadku komunizmu w latach 1989–1991. I choć i po tym okresie Europa Wschodnia i Zachodnia pozostały obszarami głęboko odmiennymi, to wpływ gwałtownie przyspieszającej globalizacji – będącej kluczowym wątkiem tego tomu – pozwala potraktować je razem, a nie z osobna.

Charakter tak szeroko zakrojonej pracy sprawił, że, podobnie jak w przypadku *Do piekła i z powrotem*, musiałem polegać w dużej mierze na cudzych badaniach i publikacjach – tym bardziej że sam nigdy wcześniej nie podejmowałem specjalistycznych badań na temat jakiegokolwiek aspektu tego okresu. Fakt, że znam ten okres z autopsji, bynajmniej nie wystarcza. Kiedy zaczynałem pisać tę książkę, ktoś zasugerował mi, że pisanie powinno pójść łatwo, ponieważ obejmowany okres zbiega się ze znaczną częścią mojego życia. Ale tak naprawdę osobiste wspomnienia, mimo że bywają pomocne, mogą też być zniekształcone lub niedokładne. W paru przypadkach pozwoliłem sobie dodać osobiste wspomnienia w przypisach, celowo oddzielając je od tekstu głównego. Moim zdaniem własnego postrzegania jakiegoś przeżytego wydarzenia i jego oceny historycznej nie powinno się mieszać. Pamięć ludzka jest ulotna i selektywna, a ocena znaczenia poważnych wydarzeń prawie zawsze wymaga nie tylko drobiazgowej wiedzy, ale i dystansu czasowego pozwalającego na jej strawienie.

Poleganie na pracy naukowej innych okazało się niezbędne. Wiele z takich prac to specjalistyczne monografie lub eseje publikowane w naukowych czasopismach.

W przedmowie *Do piekła i z powrotem* wymieniłem kilka znakomitych ogólnych opracowań historii Europy XX wieku, do których obecnie mogę dodać *Out of Ashes* Konrada Jarauscha. Najbardziej fascynującym ogólnym studium drugiej połowy XX wieku jest *Powojnie* Tony'ego Judta. Bezcenne dla mnie, zwłaszcza przy pracy nad dziejami Europy Środkowej, okazały się książki Timothy'ego Gartona Asha, wspaniale łączącego wysoki kunszt dziennikarski z warsztatem historyka. Ogromnie pomogły mi także książki niemieckich historyków – Heinricha Augusta Winklera, Andreasa Wirschinga, Hartmuta Kaelble'a, Andreasa Röddera i Philippa Thera. Te i inne prace, z których w największym stopniu korzystałem, wymieniłem w wybranej bibliografii, ale pamiętajmy, że to tylko wierzchołek wielkiej góry lodowej. Podobnie jak w poprzednim tomie, zgodnie z zasadami wydawniczymi serii Penguin History of Europe, nie podaję przypisów końcowych. Tak jak poprzednio zaznaczam gwiazdką w bibliografii te prace, z których czerpałem bezpośrednio cytaty.

Moje podejście do tematu jest zasadniczo zgodne z tym, które przyjąłem, pisząc *Do piekła i z powrotem*. Tu, jak i w tamtym tomie, starałem się oddać dramatyzm i chaotyczny przebieg opisywanych wydarzeń, przetykając narrację dzisiejszymi poglądami na zachodzące ówczesnie procesy. Książka ma porządek chronologiczny – poszczególne rozdziały obejmują stosunkowo krótkie okresy i dzielą się na podrozdziały tematyczne. Krótka przedmowa nakreśla założenia interpretacyjne. Pierwsze trzy rozdziały opisują pierwszą erę niepewności powojennej Europy – zaczynając od napięć charakterystycznych dla lat zimnej wojny, przez budowę dwóch przeciwstawnych sobie bloków po zachodniej i wschodniej stronie kontynentu, aż do stanu z połowy lat 60. Rozdziały 4 i 5 dotyczą zadziwiającego, trwającego przez kilka dziesięcioleci boomu gospodarczego i jego implikacji społecznych, a także rozłamu w świecie kultury, w którym pełna patosu zaduma nad dziedzictwem niedawnej przeszłości współistniała z krzykliwą, ekscytującą atmosferą nowych prądów. Rozdział 6 opisuje, jak pod koniec lat 60. mieszanka ta doprowadziła do wybuchu młodzieżowych protestów, które pociągnęły za sobą zmianę wartości społecznych

i kulturowych. Rozdział 7 skupia się na „dekadzie przełomu”, czyli fundamentalnych zmianach, jakie miały miejsce w latach 70. i na początku lat 80. Rozdział 8 zajmuje się demontażem systemu komunistycznego na wschodzie kontynentu w latach 80., ze szczególnym uwzględnieniem osobistego (nawet jeśli nieumyślnego) wkładu w ten proces Michaiła Gorbaczowa; końcową fazę tych przemian, tzw. aksamitną rewolucję w Europie Środkowej i Wschodniej w latach 1989–1991 omawia rozdział 9, akcentujący dla odmiany naciski płynące „z dołu”. Głównymi tematami rozdziału 10 są trudności i rozczarowania społeczeństw byłego bloku radzieckiego budujących pluralistyczne demokracje i kapitalistyczne gospodarki, a także dramatyczny rozpad Jugosławii i towarzyszące mu wojny etniczne. Rozdział 11 analizuje zmiany, do jakich doszło w Europie w następstwie ataków terrorystycznych z 2001 roku w Stanach Zjednoczonych i będących ich skutkiem wojen w Afganistanie i Iraku. I wreszcie w rozdziale 12 zająłem się serią kryzysów, które spadły na Europę, poczynając od 2008 roku i doprowadziły do ogólnego kryzysu na kontynencie. W posłowniu starałem się przejść od historii ku przyszłości, nakreślając krótkoterminowe perspektywy i długoterminowe problemy, jakie Europa napotka w nowej erze niepewności.

*Do piekła i z powrotem* kończyło się happy endem: kiedy Europa w latach 1945–1949 dźwigała się po podwójnej katastrofie wojen światowych, miała widoczne szanse na jaśniejszą przyszłość, nawet jeśli towarzyszyły im czarne chmury w postaci zagrożenia atomowego. W przypadku niniejszej książki finał jest bardziej ambiwalentny – w każdym razie w odniesieniu do perspektyw długoterminowych.

Wszystko może szybko ulec zmianie, w tym i historiografia. Eric Hobsbawm, pisząc na początku lat 90., kreślił ponure wizje kryzysów mogących dotknąć Europę, podkreślając w pesymistycznej konkluzji destrukcyjną moc kapitalizmu. Większość analityków była jednak o wiele bardziej optymistyczna w ocenie najbliższej przyszłości Europy. Szereg wybitnych dzieł omawiających te kwestie, a powstałych w okolicach przełomu tysiącleci, tchnęło wyraźnym optymizmem. Mark Mazower uważał, że „międzynarodowa perspektywa” jest „spokojniejsza niż



kiedykolwiek”. Richard Vinen mówił o „erze zdrowego pieniądza”. Harold James opisywał „niemal powszechny rozrost demokracji i kapitalizmu” (choć wspominał też o towarzyszących temu procesowi rozczarowaniach), a globalizację postrzegał niemal całkowicie pozytywnie jako „odrodzenie się światowego społeczeństwa, kultury i gospodarki”. Jednak rozwój wydarzeń w pierwszych kilkunastu latach XXI wieku każe ten optymizm powściągnąć.

Wydane w 2005 roku *Powojnie* Tony’ego Judta również tchnie optymizmem. „Nacjonalizm [w Europie] zasadniczo pojawiał się i znikał”, pisze autor, dodając w konkluzji, że „XXI wiek może jeszcze należeć do Europy”. Dziś, w obliczu chaosu, jaki panuje w Europie od 2008 roku, pojawienia się w wielu krajach partii nacjonalistycznych i ksenofobicznych, długoterminowych wyzwań stojących przed kontynentem oraz wydającego się nie mieć końca wzrostu globalnych wpływów Chin, założenia te wydają się znacznie odbiegać od prawdy.

Zmiany krótkoterminowe są oczywiście w dużej mierze nieprzewidywalne. Przyszłość Europy – wciąż jadącej kolejką górską w wesołym miasteczku – to wspina się, to znów ostro spada w dół. Obecnie (na jesieni 2017 roku) wróżby są lepsze od tych, które przeważały jeszcze kilka miesięcy temu, choć kryształowa kula pozostaje zamglona. Długoterminowe perspektywy są jednak tak dla Europy, jak i reszty świata, zniechęcające. Zmiany klimatyczne, demografia, podaż surowców energetycznych, masowa migracja, napięcia związane z wielokulturowością, automatyzacja produkcji, rosnące różnice w dochodach, bezpieczeństwo międzynarodowe i zagrożenie globalnym konfliktem – wszystko to są jak najbardziej realne wyzwania, przed jakimi staniemy w nadchodzących dziesięcioleciach. Trudno powiedzieć, jak dobrze Europa jest przygotowana, by poradzić sobie z tymi problemami. Zmaganie się z nimi i kształtowanie przyszłości kontynentu zależeć będzie może nie wyłącznie od samych Europejczyków, ale od nich przede wszystkim. Płynąc w konwoju po niebezpiecznych wodach, najlepiej trzymać się blisko siebie. Oznacza to budowanie i umacnianie tworzonych stopniowo od końca wojny poziomów jedności, współpracy i konsensusu, nawet

jeśli wydają się niedoskonałe. Dzięki dobrej nawigacji możemy wspólnie przepłynąć przez groźne cieśniny i dotrzeć do bezpieczniejszych brzegów.

Pisanie historii czasów mojego własnego życia było dla mnie ogromnym wyzwaniem. Ale zadanie to okazało się satysfakcjonujące. Nauczyłem się niepomnie więcej, niż wcześniej wiedziałem o wydarzeniach i zmianach, które ukształtowały moje życie. I dziś mam dużo lepsze niż dawniej rozumienie tego, jak mój własny kontynent przybierał obecny kształt. Już choćby przez to całe przedsięwzięcie było dla mnie warte zachodu. Co zaś się tyczy przyszłości... No cóż, prognoza historyka nie będzie tu lepsza od innych.

Ian Kershaw

Manchester, listopad 2017 r.

## WSTĘP

# Dwie ery niepewności w Europie

---

*Z historią jest tak, jak z naturą, jak z wszelką głębią, minioną, terażniejszą czy przyszłą; im głębiej i poważniej w nie wnikamy, tym trudniejsze się z nich wyłaniają problemy*

Johann Wolfgang von Goethe (*Refleksje i maksymy*)

**W** 1950 roku Europa dźwigała się z mrocznych lat najgorszej wojny w dziejach. Fizyczne rany były widoczne na całym kontynencie w postaci ruin zbombardowanych budynków. Blizny na psychice i moralności przetrwały znacznie dłużej niż odbudowa miast i miasteczek. Brutalność niedawnej przeszłości rzucała na Europę głęboki cień przez kolejne dziesięciolecia. Od zakończenia wojny w 1945 roku podejmowano ważne kroki na drodze ku kształtowaniu nowego oblicza Europy. Jednak najważniejsze dziedzictwo wojny w latach bezpośrednio po jej zakończeniu było dwojakie: Europa była teraz kontynentem przedzielonym w połowie żelazną kurtyną, a nowe czasy okazały się erą jądrową, zdominowaną przez dwa supermocarstwa będące w posiadaniu broni masowego rażenia.

Europa nie była już w stanie wojny. Ale wojna nuklearna, której perspektywa wydawała się wcale nieodległa, zagrażała samemu przetrwaniu Europy jako cywilizacji. Groźba takiej wojny, wisząca nad Europą niczym miecz Damoklesa, nie zależała wyłącznie od tego, co działo się na samym kontynencie. Europa była teraz w pełni narażona na globalną konfrontację supermocarstw. Wydarzenia, do

których doszło z dala od europejskich wybrzeży – wybuch wojny koreańskiej w 1950 roku i kryzys kubański z 1962 roku – wyznaczają początek i koniec najniebezpieczniejszej fazy zimnej wojny (choć drugi, krótszy okres wzmożonego zagrożenia wystąpił na początku lat 80.).

Dzieci urodzone na fali powojennego wyżu demograficznego stały się świadkami przemian, o których ich rodzicom się nie śniło. Tempo tych przemian – politycznych, gospodarczych, społecznych i kulturowych – przekraczało wszystko, co wcześniej było ludziom znane w czasach pokoju. Dzieci te rodziły się w latach wielkiej nędzy, w dużej mierze będącej bezpośrednią konsekwencją wojny. Mieszkania Europejczyków były często prowizoryczne – w sytuacji gdy na znacznej części kontynentu, zwłaszcza w Europie Środkowej i Wschodniej, dachu na głowę szukały miliony przesiedleńców i osób, których domy zostały zniszczone w bombardowaniach. Nawet domy, które przetrwały, były najczęściej w złym stanie, a warunki sanitarne, w których żyła duża część populacji, prymitywne. Występował powszechny niedobór żywności i odzieży. Jedynie bogate rodziny posiadały sprzęt domowy, pozwalający odetchnąć ciężko pracującym kobietom – mowa tu o pralce, telefonie, lodówce czy samochodzie. Jeszcze mniej osób stać było na telewizor.

Powojenne pokolenie wyżu demograficznego korzystało z owoców zdumiewającego postępu dokonującego się w medycynie. Otrzymało też niemożliwą do oszacowania pomoc od państwa opiekuńczego, którego ustanowienie i rozrost umożliwił wysoki poziom wzrostu gospodarczego. Standardy życia w krajach za żelazną kurtyną pozostawały daleko w tyle za warunkami w Europie Zachodniej, ale i tu mieszkańcom zapewniano przynajmniej opiekę medyczną i socjalną – wolny dostęp do nich był hasłem, którym lubili szermować komunistyczni przywódcy (choć jego realizacja w praktyce zwykle kulała). Był to pierwszy istotny przełom – zapewnienie bezpieczeństwa socjalnego na poziomie, którego wcześniej nie doświadczano w obu połówkach Europy. Pod pewnymi względami, przynajmniej na zachodzie kontynentu, długi powojenny boom gospodarczy, umożliwiony przezeń postęp społeczny, a także rozkwit

konsumpcjonizmu, zachęcający do patrzenia w przyszłość z optymizmem, pozwalały Europejczykom zapomnieć o stanie niepewności, w jakim znajdował się kontynent, potencjalnie zagrożony wojną jądrową.

Postęp materialny, jaki dokonał się od tamtych czasów, był zadziwiający. Obfitość żywności, dostępnej w przeciętnym dzisiejszym supermarkecie w jakimkolwiek europejskim kraju, wydawałaby się nieziszczalnym snem w 1950 roku czy zresztą kiedykolwiek wcześniej. Dla dzisiejszych rodzin życie w domu bez łazienki i z toaletą na podwórku (najczęściej zresztą współdzieloną z innymi rodzinami) wydawałoby się horrorem. Dobra, które do niedawna były luksusem dostępnym tylko nielicznym, stały się powszechne. Większość rodzin ma dziś samochód. Dwa samochody w jednym gospodarstwie domowym to też nic niezwykłego. Lodówka jest standardowym elementem wyposażenia domu. Podróże zagraniczne – w 1950 roku domena bogaczy – dziś są dostępne dla milionów ludzi. W prawie każdym domu stoi telewizor, a satelity umożliwiają oglądanie wiadomości czy imprez sportowych na żywo z drugiego końca globu. Telewizję można oglądać na telefonach komórkowych – coś, co do bardzo niedawna było po prostu niewyobrażalne. Kiedyś, kiedy będąc już za granicą, chcieliśmy zadzwonić do domu, wymagało to wyjścia do budki telefonicznej, jeśli nie wizyty na poczcie; dziś szybko i bez wysiłku załatwiamy podobną potrzebę z telefonu komórkowego – dzwoniąc, wysyłając SMS-a bądź korzystając z szeregu aplikacji, zapewniających nam stały dostęp do wiadomości czy pozwalających na rozmowę, a nawet oglądanie na ekranie znajomych i krewnych oddalonych od nas o tysiące mil. Coraz mniejsze i coraz łatwiejsze w obsłudze, powszechnie dostępne komputery przekształciły nasze życie w sposób niewyobrażalny nie tylko w 1950 roku, ale i całkiem niedawno.

Zmieniły się drastycznie nie tylko otaczające nas dobra materialne, ale także mentalność ludzi. Większość mieszkańców Europy w 1950 roku posiadała poglądy, które 70 lat później uznano by za aberrację. Wprawdzie jeszcze w grudniu 1948 roku (niewątpliwie pod wpływem straszliwych wydarzeń z lat drugiej wojny światowej) Organizacja Narodów Zjednoczonych przyjęła Powszechną Deklarację

Praw Człowieka, ale nie wszyscy rozumieli jeszcze, co dokument ten w praktyce oznacza. Poglądy rasistowskie i otwarta dyskryminacja były zjawiskiem powszechnym i mało kto się temu dziwił. W ówczesnej Europie żyło zresztą niewiele osób o skórze innej niż biała. W krajach europejskich nadal obowiązywała i była wykonywana kara śmierci za najcięższe zbrodnie. Homoseksualizm był przestępstwem, a aborcja nielegalna. Wielki wpływ na życie polityczno-społeczne posiadały kościoły chrześcijańskie, a udział wiernych w nabożeństwach był wciąż dość wysoki. Tymczasem w momencie, kiedy pierwsze powojenne dzieci zbliżyły się do wieku starczego, prawa człowieka są uznawane za oczywistość (choć nie zawsze w sposób doskonały przestrzegana), poglądy rasistowskie spotykają się ze społecznym napiętnowaniem (standardowo w Europie Zachodniej, nieco rzadziej na wschodzie i południu kontynentu), społeczeństwa wielokulturowe stały się normą, kara śmierci jest przeżytkiem, małżeństwa homoseksualne i legalna aborcja są powszechnie akceptowane, a rola kościołów chrześcijańskich znacznie się zmniejszyła (choć religijność jest niezwykle ważna dla mniejszości muzułmańskiej, co widać choćby po rozprzestrzenianiu się meczetów, których widok był w europejskich miastach w roku 1950 zupełnie nieznanym).

Opisywane tu przemiany to część procesu znanego jako „globalizacja”. Pojęcie to oznacza nie tylko integrację gospodarczą, będącą wynikiem swobodnego przepływu kapitału, technologii i informacji, ale też przeplatanie się społecznych i kulturowych modeli postępu i przenikanie tychże ponad granicami poprzez rozwijające się części świata. Globalizacji nie da się jednak opisać jako wyłącznie pozytywnego dążenia do zapewnienia mieszkańcom globu coraz dostateczniejszego życia. Jest oczywiste, że ma ona i swoje ciemne strony – powoduje na przykład ogromne szkody w środowisku naturalnym, poszerza przepaść między biednymi a bogatymi, prowadzi do nasilenia masowej migracji (w dużej mierze niekontrolowanej) i zwiększa poziom bezrobocia wskutek automatyzacji produkcji, możliwej dzięki zmianom technologicznym. Przemiany spowodowane globalizacją będą stanowiły nić łączącą kolejne rozdziały.

Globalizacja to jednak nie tylko historia sukcesu, ale i czynnik odpowiadający w dużej mierze za nową erę niepewności w Europie.

\*\*\*

Niniejsza książka opisuje ciągłe zwroty akcji oraz wzloty i upadki, które prowadziły Europę od jednej ery niepewności do drugiej – od groźby wojny nuklearnej do wielowarstwowego i wszechobecnego poczucia niepewności właściwego dla dzisiejszego dnia. Moim celem jest wyjaśnienie złożoności i wielopłaszczyznowości zmian, jakie zachodziły w Europie po 1950 roku. Drogę tę wyznaczały epokowe punkty zwrotne – lata 1973, 1989, 2001, 2008. Pełna jest ona sukcesów i udoskonaleń, ale także niepowodzeń, rozczarowań, a niejednokrotnie i rozwianych złudzeń.

Rolę zwornika w trwającej od siedmiu dziesięcioleci transformacji Europy odegrały Niemcy. Przemiana w kraju, który niewiele wcześniej robił wszystko, by kontynent ten zniszczyć, była wyjątkowo głęboka. Mimo że jako państwo Niemcy z końcem drugiej wojny światowej przestały na pewien czas istnieć, pozostały w centrum europejskich wydarzeń – okazały się kluczowe dla powojennego odrodzenia, kluczowe dla zimnej wojny i kluczowe dla jej zakończenia, kluczowe dla rozszerzenia integracji europejskiej, kluczowe dla stworzenia euro, kluczowe dla kryzysu strefy euro i kryzysu migracyjnego i wreszcie kluczowe dla wciąż nieporadnych prób zreformowania Unii Europejskiej po jej ostatnich poważnych problemach. Przez te lata Niemcy stały się istotnym filarem stabilnej liberalnej demokracji, największą gospodarką Europy, krajem, który po 40 latach podziału zdołał odbudować jedność narodową i przyjął na siebie, choć nie bez obaw, rolę europejskiego przywództwa. Niemiecka transformacja odegrała kluczową rolę w powojennej historii Europy – i nie da się powiedzieć, że rolę tę Niemcy odegrały bez żadnego sukcesu.

Nie ma prostego wyjaśnienia zjawiska burzliwej transformacji powojennej Europy. Dynamika polityczna, gospodarcza i kulturowa były w tym okresie na tyle ściśle ze sobą powiązane, że nie da się dziś wyraźnie wskazać konkretnych aktorów

zmian. W znacznym stopniu transformacja Europy odzwierciedla głębokie zmiany społeczne i gospodarcze, bynajmniej nieograniczające się do tego kontynentu, które zwykliśmy określać pojęciem „globalizacja”. Odbudowa Europy po drugiej wojnie światowej dokonywała się na fali bezprecedensowego, trwającego przez ponad dwie dekady wzrostu gospodarczego w skali globalnej. Załamanie tego wzrostu w latach 70. oznaczało decydujący zwrot w rozwoju, który ukształtował pozostałą część dwudziestego stulecia.

Zdumiewające ożywienie gospodarcze w Europie w pierwszych powojennych dziesięcioleciach było uwarunkowane przez coś, co nazwałem „matrycą odrodzenia”. Elementami tej matrycy są: koniec mocarstwowych ambicji Niemiec, przeorientowanie geopolityczne Europy Środkowej i Wschodniej, podporządkowanie interesów narodowych interesom dwóch supermocarstw, bezprecedensowy wzrost gospodarczy i wisząca nad kontynentem groźba użycia broni jądrowej. Około 1970 roku wszystkie te elementy znaczyły już znacznie mniej niż w pierwszych latach powojennych, a co najważniejsze, nastąpiło wyraźne spowolnienie wzrostu gospodarczego. Wieloletni boom się skończył. Powojenny porządek gospodarczy czekała fundamentalna przemiana. Zmiana paradygmatu oznaczała początek tego, co, jak to widać z dzisiejszej perspektywy, było narodzinami nowej matrycy, która swój ostateczny kształt miała przybrać stopniowo w trakcie dwóch dekad. To, co przekształciło się ostatecznie w „matrycę nowej niepewności”, obejmowało zliberalizowaną i zderegulowaną gospodarkę, rozpędzoną globalizację, gwałtowny rozwój technologii informacyjnych oraz, po 1990 roku, pojawienie się wielobiegunowego świata. Połączenie tych składników z czasem przekształciło Europę na wiele pozytywnych sposobów – ale także wywołało niepewność zupełnie innego rodzaju niż egzystencjalna niepewność spowodowana zagrożeniem nuklearnym w latach 50. i na początku lat 60.

Po upadku żelaznej kurtyny tempo globalizacji wyraźnie przyspieszyło, co w wielkiej mierze było wynikiem rewolucji informatycznej i szybkiego rozprzestrzeniania się Internetu, zwłaszcza po tym, jak w 1991 roku World Wide Web (wynaleziony w 1989 roku) został publicznie udostępniony. Jednak już



znacznie wcześniej dokonywała się istotna zmiana kulturowa, której główną osią były walka o prawa socjalne, nacisk na indywidualizm i kwestie tożsamości. Od połowy lat 60. systemy wartości i styl życia zmieniały się w sposób, który czynił z Europy region pod wieloma względami bardziej tolerancyjny, liberalny i kosmopolityczny. Wiele wartości i norm, które wcześniej uważano za pewne, odeszło do lamusa.

Dodać do tej ogólnej i bezosobowej dynamiki należy rolę jednostek i krótkoterminowych decyzji politycznych. Działań niewielkiej liczby osób na kluczowych stanowiskach – z których najbardziej znani to Michaił Gorbaczow i Helmut Kohl – nie da się sprowadzić jedynie do odzwierciedlania zachodzących zmian strukturalnych. W kluczowych momentach osoby te *osobiście* odegrały decydującą rolę w transformacji Europy.

W kolejnych rozdziałach przedstawimy bilans transformacji Europy na przestrzeni siedmiu dekad. Nie jest to bynajmniej historia znaczonej samymi sukcesami. Nie był to marsz wyłącznie po równej drodze. Miały miejsce bardzo pozytywne zmiany, ale zdarzały się też potknięcia.

A końca wybojów nie widać.

## ROZDZIAŁ 1

# Napięty podział

---

*...najprawdopodobniej oznaczać to będzie koniec wojen na wielką skalę osiągnięty kosztem przedłużającego się nieskończenie „pokoju, który nie jest pokojem”.*

George Orwell o bombie atomowej, 1945 r.

**D**o 1950 roku, w efekcie zakończenia drugiej wojny światowej, pojawiła się nowa Europa, podzielona – ideologicznie, politycznie i społeczno-gospodarczo – na dwie części. Był to początek całkowicie nowej ery w historii kontynentu, charakteryzującej się niespotykaną dotąd niepewnością. Była to epoka wewnętrznie ukształtowana przez podział, który wojna pozostawiła Europie jako nadrzędną wobec innych czynników spuściznę – oraz przez przerażającą groźbę nuklearnej zagłady.

Na ponad cztery dekady zimna wojna miała rozdzielić dwie połówki Europy. W dużej mierze odrębny ich rozwój miał jednak jedną wspólną cechę: prymat siły militarnej. Tę siłę militarną, będącą dominującą cechą powojennej Europy po obu stronach żelaznej kurtyny, kontrolowały obecnie dwa kraje: Stany Zjednoczone i Związek Radziecki. Oba lękały się o własne bezpieczeństwo. Oba były zdeterminowane, by zapobiec dominacji wroga w Europie. Nowością w tej napiętej relacji było to, że opierała się ona na broni o tak straszliwej sile rażenia, iż żadna ze stron nie odważyła się jej użyć. W ciągu zaledwie kilku lat stała się ona bronią całkowitej zagłady. W roku 1949 oba supermocarstwa – Stany Zjednoczone były

nim już wcześniej, Związek Radziecki dopiero się supermocarstwem stawał – posiadały bomby atomowe. Cztery lata później zarówno USA, jak i ZSRR miały już na wyposażeniu niezwykle potężne bomby wodorowe, a wkrótce ich nuklearne arsenały były zdolne do kilkukrotnego zniszczenia życia na naszej planecie.

W latach 1950–1962 zimna wojna była najintensywniejsza i najbardziej niebezpieczna. Przez większą część tego okresu Europa znajdowała się w centrum zimnej wojny – zresztą w epoce nuklearnej konfrontacja supermocarstw w jakimkolwiek punkcie globu miałyby jak najgorsze następstwa dla kontynentu europejskiego.

## **Gorąca zimna wojna**

Groźba wybuchu konfliktu Stanów Zjednoczonych ze Związkiem Radzieckim była w pierwszych latach powojennych niekiedy dość realna, niemniej udało się uniknąć katastrofy. Jednak z początkiem nowej dekady pojawił się groźny kryzys, mogący prowadzić do bardzo poważnych konsekwencji. Kryzys ten wybuchł w dalekiej Korei, ale było jak najbardziej oczywiste, że Europa nie zdoła pozostać poza globalnym konfliktem obu supermocarstw. I podobnie jak przed rokiem 1945 Stany Zjednoczone były niechętne angażowaniu się w sprawy europejskie i włączeniu się do obu wojen światowych, tak obecnie Europa Zachodnia stała się w zasadzie dodatkiem – nawet jeśli bardzo istotnym – do amerykańskiej ogólnej polityki zagranicznej. Tymczasem blok wschodni (poza Jugosławią, której udało się po wojnie zyskać niezależność od Moskwy) był nawet bardziej bezpośrednio zaangażowany we wspieranie ZSRR w światowej konfrontacji z USA.

Korea została zaanektowana przez Japończyków w 1910 roku i pozostała pod ich rządami do końca drugiej wojny światowej. Półwysep Koreański został następnie podzielony mniej więcej na pół linią demarkacyjną, przebiegającą wzdłuż 38. równoleżnika, w wyniku porozumienia między Amerykanami a Sowieciami dotyczącego tymczasowego podziału administracyjnego tego kraju. Jednak do 1948

roku nadzieje na zjednoczenie obu Korei były już nierealne: komunistyczna republika na północy stała się sowieckim satelitą, postrzeganym przez Moskwę jako część swojej strefy wpływów, na południu zaś powstała zdecydowanie antykomunistyczna republika, zdominowana przez interesy amerykańskie. Równowagą tą zachwiało zwycięstwo komunizmu w Chinach we wrześniu 1949 roku, po ponad dwóch dekadach zacieklej wojny domowej między komunistami a nacjonalistami Czang Kaj-szeka (która toczyła się równolegle z niezmiernie krwawą wojną przeciwko japońskim najeźdźcom w latach 1937–1945). W nowej sytuacji południe Półwyspu Koreańskiego stało się jedyną niekomunistyczną enklawą na rozległym obszarze komunistycznej dominacji. I kiedy 25 czerwca 1950 roku żołnierze północnokoreańscy przekroczyli linię demarkacyjną i zaatakowali południe podzielonego kraju, groźba wojny między oboma supermocarstwami niepomiaralnie wzrosła. Stany Zjednoczone, zaangażowane w powstrzymanie radzieckiej potęgi i przerażone perspektywą dalszej ekspansji komunizmu, tak w Azji Południowo-Wschodniej, jak i w Europie, nie mogły sobie pozwolić na utratę Korei Południowej i powstanie ewidentnego zagrożenia dla Japonii.

Amerykanie słusznie zakładali, że Korea Północna nie zaatakowałaby bez zgody Stalina. Radziecki dyktator kilka tygodni wcześniej dał rzeczywiście Koreańczykom z północy zielone światło do ataku, choć nie był chętny do wysyłania im z pomocą własnych wojsk, licząc na to, że w razie konieczności zrobią to Chiny. Przywództwo amerykańskie przyjęło pogląd, że komunistyczna ekspansja musi zostać powstrzymana, bo w przeciwnym razie może dojść do efektu domina. Jeśli upadek Korei nie zostanie powstrzymany, argumentował prezydent Harry Truman, Sowieci „połkną całą Azję kawałek po kawałku”. A jeśli „utracimy Azję, zawali się Bliski Wschód i [trudno przewidzieć] co stanie się z Europą”. Nie po raz ostatni w powojennej Europie przywołano pamięć nieudanej polityki appeasementu z lat 30., która nie zdołała powstrzymać Hitlera. Jeśli, argumentowano, komunistyczna ekspansja nie zostanie natychmiast zatrzymana, doprowadzi to do trzeciej wojny światowej.

Stany Zjednoczone pozyskały zgodę Organizacji Narodów Zjednoczonych (powstałej w październiku 1945 roku) na użycie siły w obronie zaatakowanego państwa członkowskiego. Był to pierwszy tego rodzaju przypadek i doszło do niego w wyniku radzieckiego błędu. Kiedy na konferencji jałtańskiej w lutym 1945 roku uzgadniano utworzenie Organizacji Narodów Zjednoczonych, zarówno Stalin, jak i przywódcy Stanów Zjednoczonych byli usatysfakcjonowani zapisem, że oba te państwa będą miały prawo weta przy każdym głosowaniu na forum planowanej Rady Bezpieczeństwa, której pozostałymi stałymi członkami zostały Wielka Brytania, Francja i Chiny. Wyobrażano sobie, że dzięki Radzie Bezpieczeństwa kontrolowanej przez wielkie mocarstwa Organizacja Narodów Zjednoczonych okaże się o wiele bardziej skuteczna niż dawna Liga Narodów. Jak błędne było to założenie, miało się okazać wielokrotnie podczas zimnej wojny, kiedy to użycie weta przez jedno lub drugie supermocarstwo niemal niezmiennie wywoływało impas w Radzie Bezpieczeństwa. Wyjątkiem był rok 1950, kiedy to ZSRR postanowił tymczasowo bojkotować posiedzenia Rady Bezpieczeństwa w proteście przeciwko odmowie przyznania miejsca w tym gronie komunistycznym Chinom – dzięki temu Stanom Zjednoczonym udało się uzyskać akceptację ONZ dla działań niezbędnych do odparcia inwazji na Koreę Południową i przywrócenia w tym kraju pokoju i bezpieczeństwa. Stalin szybko zdał sobie sprawę z popełnionego błędu, a Sowieci ponownie zajęli miejsce w Radzie Bezpieczeństwa. Było już jednak za późno, aby powstrzymać wysłanie sił Narodów Zjednoczonych, zdominowanych przez USA, dla wsparcia armii południowokoreańskiej. W momencie zakończenia wojny siły ONZ-owskie, do których włączono oddziały Koreańczyków z południa, liczyły prawie 933 000 żołnierzy. Przeważającą większość stanowili żołnierze południowokoreańscy (591 000) i Amerykanie (302 000). Własne oddziały bojowe wysłał szereg krajów europejskich – Wielka Brytania, a także znacznie mniejsze kontyngenty, Francja, Belgia, Grecja i Holandia; niewielką jednostkę wysłał też Luksemburg.

Amerykanie przejęli inicjatywę, wypędzając żołnierzy północnokoreańskich z południa, a następnie przekraczając linię demarkacyjną i kierując się na północ.

Obawiając się otwartych działań wojennych ze Stanami Zjednoczonymi, Stalin odrzucił prośby Korei Północnej o sowiecką interwencję. Jednak chiński przywódca Mao Zedong nie był przygotowany na to, by Korea znalazła się całkowicie pod kontrolą amerykańską, stając się potencjalnie w przyszłości przyczółkiem do ataku na same Chiny (pamiętajmy, że relacje Pekinu z Moskwą już wówczas nie były idealne). Jesienią 1950 roku Mao wysłał znaczne siły, liczące ostatecznie około 300 000 żołnierzy, i zmusił amerykańską 8. Armię do panicznego odwrotu. Było to pierwsze ostrzeżenie, że Zachód będzie musiał liczyć się z Chinami jako światową potęgą militarną. W ciągu dwóch miesięcy cała Korea Północna ponownie znalazła się pod kontrolą komunistów; padła też południowokoreańska stolica, Seul. Przerażony rozwojem sytuacji Waszyngton rozważał zrzućenie bomby atomowej.

Stany Zjednoczone nadal posiadały ogromną przewagę w liczbie bomb atomowych – według niektórych szacunków, nawet 74:1 – nad Związkiem Radzieckim. Ale co dokładnie miałyby być celem ataków? W wojnie toczonej w przeważającej części na terenie Korei nie było to oczywiste. Trzeba było poza tym uwzględnić perspektywę masowej, odwetowej eskalacji wojny, która dotąd była konfliktem regionalnym, a obecnie mogłaby objąć również sowiecką inwazję na Europę Zachodnią czy nawet zrzućenie bomb atomowych na europejskie miasta. Pod koniec 1950 roku perspektywa rozszerzenia konfliktu i wybuchu trzeciej wojny światowej była bardzo realna. Amerykańscy przywódcy wojskowi sporządzili listę celów, wybranych spośród rosyjskich i chińskich miast, i rozważali przedstawienie Chinom ultimatum, dotyczącego wycofania chińskich wojsk poza rzekę Yalu. W razie konieczności liczyli się z „szybkim użyciem bomby atomowej”.

Zwyciężył jednak rozsądek. A do wiosny 1951 roku Amerykanom udało się, kosztem znacznych strat, zatrzymać chińską ofensywę, przejąć inicjatywę i ostatecznie siły ONZ przegnały armię komunistyczną z południa. Przez kolejne dwa lata trwała straszliwa walka na wyczerpanie. Po zawieszeniu broni w lipcu 1953 roku wojna koreańska zakończyła się tak, jak się zaczęła – z każdą ze stron po

przeciwnej stronie linii demarkacyjnej, przebiegającej wzdłuż 38. równoleżnika. Trzyletnia wojna przyniosła prawie trzy miliony zabitych i rannych – w przeważającej większości byli to Koreańczycy z obu stron półwyspu. Straty amerykańskie sięgnęły prawie 170 000 żołnierzy, z tego ponad 50 000 zabitych, straty kontyngentów europejskich wyniosły zaś ponad 8000 ofiar (w większości Brytyjczyków).

Chociaż wojna w Korei toczyła się z dala od Europy, to miała dla niej poważne konsekwencje, wynikające z dramatycznego wzrostu amerykańskich wydatków na obronę. Pierwsza próbna eksplozja sowieckiej bomby atomowej w sierpniu 1949 roku, jeszcze przed wojną koreańską, na poligonie testowym pod Semipałatyńskiem w dzisiejszym Kazachstanie, uzmysłowiła Amerykanom potrzebę przyspieszenia rozwoju własnej technologii nuklearnej na tyle, by utrzymać przewagę nad Sowietami. Prezydent Truman zlecił nie tylko przyspieszoną produkcję bomb atomowych, ale także, 31 stycznia 1950 roku, podjęcie prac nad „superbombą”. Te rosnące wydatki wojskowe Waszyngtonu w momencie wybuchu wojny koreańskiej gwałtownie podskoczyły. W ciągu kolejnego roku budżet obronny zwiększył się ponad czterokrotnie. W 1952 roku pochłaniał niewiele mniej niż jedną piątą amerykańskiego produktu krajowego brutto, podczas gdy trzy lata wcześniej było to mniej niż jedna dwudziesta. 1 listopada tego roku Amerykanie przeprowadzili pierwszą próbę „superbomby” – bomby wodorowej, która „wymazała cały horyzont” i praktycznie zniosła z powierzchni Pacyfiku wyspę w atolu Eniwetok, gdzie miała miejsce eksplozja. Zaledwie dziewięć miesięcy później, 12 sierpnia 1953 roku, Sowieci przeprowadzili własną próbę bomby wodorowej na środkowoazjatyckiej pustyni. Winston Churchill trafnie nazwał później ten stan „nowym terrorem”, który przynosił „równość w zagładzie”.

Amerykanie poczuli się przy tym zobowiązani nie tylko do ponownego przemyślenia wydatków na obronność, ale także do rewizji sojuszy mających na celu powstrzymanie narastającej radzieckiej ekspansji na całym globie. Strategia ta dotyczyła oczywiście Europy. Amerykanie coraz częściej myśleli o pomocy dla

Europy w kategoriach wojskowych. W 1951 roku wygasł plan Marshalla, ustanowiony w 1947 roku w celu pobudzenia ożywienia gospodarczego w Europie poprzez dostarczenie około 13 miliardów dolarów w ciągu czterech lat. Jednak do końca tego samego 1951 roku amerykańska pomoc wojskowa dla Europy wyniosła prawie pięć miliardów dolarów. W roku 1952, gdy w wyniku wojny koreańskiej wzmożono gromadzenie broni, aż 80 procent amerykańskiej pomocy dla Europy Zachodniej było skierowane na cele wojskowe, a nie na odbudowę cywilną.

W kwietniu 1949 roku powołano Organizację Traktatu Północnoatlantyckiego (NATO). Pakt, który miał na celu obronę Europy Zachodniej, początkowo obejmował 12 krajów – Stany Zjednoczone, Kanadę, Wielką Brytanię, Francję, Włochy, Danię, Norwegię, Holandię, Belgię, Luksemburg, Portugalię i Islandię (w 1952 roku został rozszerzony o Grecję i Turcję). Ale od samego początku było jasne dla amerykańskich przywódców, że siły zbrojne NATO są niewystarczające. Waszyngton uważał, że kraje europejskie powinny wносить większy wkład w swoją własną obronność; Stany Zjednoczone, które zaczynały postrzegać siebie jako „światowego policjanta”, czuły, że nie mogą nadal w dalszym ciągu ponosić nieproporcjonalnie dużego ciężaru kosztów europejskich zbrojeń. I faktycznie, każdy z europejskich partnerów NATO odpowiednio zwiększył wydatki na obronę. Niemcy Zachodnie, w których obowiązywał zakaz produkcji broni, produkowały w coraz większej liczbie sprzęt, narzędzia i pojazdy wojskowe; kraj ten w znacznym stopniu skorzystał na rosnącym zapotrzebowaniu na stal, zwiększając jej produkcję w latach 1949–1953 o ponad 60 procent, co umożliwiło rozkwit „cudu gospodarczego”. A że zwiększone wydatki musiały zaowocować zwiększoną siłą militarną, to na spotkaniu NATO w Lizbonie w 1952 roku członkowie zdecydowali się sformować w ciągu dwóch kolejnych lat co najmniej 96 nowych dywizji.

Jednak niewygodnych kwestii nie dało się dłużej ignorować. Wzmocnienie NATO nie mogło się dokonać naprawdę bez ponownego uzbrojenia Niemiec Zachodnich. Minęło raptem kilka lat od czasu, kiedy potężny sojusz zdołał zniszczyć niemiecką potęgę militarną – jak się wydawało, raz na zawsze – stąd nic



dziwnego, że perspektywa odradzającej się niemieckiej armii nie zyskała sobie wielkiego poklasku u europejskich sąsiadów Niemiec (nie mówiąc już o Związku Radzieckim). Amerykanie podnieśli kwestię uzbrojenia Niemiec Zachodnich już w 1950 roku, niedługo po wybuchu wojny koreańskiej. Kontynuowali naciski w tym kierunku, aż ich zachodnioeuropejscy partnerzy z NATO musieli uznać logikę ich rozumowania. W końcu dlaczego Amerykanie mieliby pokrywać lwią część wydatków obronnych Europy, skoro sami Europejczycy byli gotowi robić w tej kwestii tak niewiele? Z europejskiego punktu widzenia zawsze istniał ponadto lęk, że Stany Zjednoczone mogą się wręcz wycofać z Europy, tak jak to miało miejsce po 1918 roku i jak początkowo planowano po zakończeniu drugiej wojny światowej. Istniała również potrzeba stworzenia ram pozwalających Niemcom Zachodnim utrzymać związek z zachodnim sojuszem, czemu Stalin próbował zapobiec, wysuwając w 1952 roku projekt – odrzucony z miejsca przez zachodnich przywódców – stworzenia rzekomo zjednoczonych, neutralnych Niemiec. Inicjatywę Stalina zinterpretowano na Zachodzie jako próbę wywarcia nacisku na Amerykanów, by ci opuścili Europę. Chodziło też wyraźnie o to, by zapobiec bliższemu włączeniu Republiki Federalnej do zachodniego sojuszu (co próbował osiągnąć zachodnioniemiecki rząd kanclerza Konrada Adenauera). Stąd pozostawał już tylko krok do podjęcia kwestii zachodnioniemieckich sił zbrojnych.

Już w 1950 roku z rozwiązaniem, które teoretycznie mogło uczynić z Niemiec Zachodnich potęgę militarną, a jednocześnie zanadto nie urazić państw europejskich, stanowczo przeciwnych takiemu krokowi, wystąpiła, o dziwo, Francja. Francuska propozycja wysunięta w październiku 1950 roku przez premiera René Plevena miała na celu uniknięcie wstąpienia Niemiec Zachodnich do NATO, na co nastawiali Amerykanie, i zarazem utworzenie europejskiej organizacji obronnej, która objęłaby (a zarazem kontrolowała) zaangażowanie Niemiec. Przewidywano powołanie europejskiej armii, która obejmowałaby także jednostki zachodnioniemieckie, pozostające pod dowództwem europejskim, a nie niemieckim (co de facto oznaczałoby nadzór francuski). Propozycja ta stała się

podstawą do zawarcia w maju 1952 roku traktatu ustanawiającego Europejską Wspólnotę Obronną (EWO).

Nazwa była jednak myląca. Planowana EWO nie objęła nawet wszystkich krajów Europy Zachodniej i od samego początku napotykała na fundamentalny problem, który miał wstrząsać wszystkimi krokami w kierunku integracji europejskiej podejmowanymi w następnych dziesięcioleciach: jak tworzyć ponadnarodowe organizacje, jednocześnie podtrzymując narodową suwerenność poszczególnych państw członkowskich? Plan Schumana z 1950 roku (nazwany tak od nazwiska francuskiego ministra spraw zagranicznych Roberta Schumana) stał się podstawą do ustanowienia w kolejnym roku Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali, która miała stać się zarodkiem wspólnego rynku, a następnie Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. Jej członkami były Francja, Niemcy Zachodnie, Włochy, Holandia, Belgia i Luksemburg. Wielka Brytania zdecydowała się pozostać na uboczu. EWO bazowała na podobnym modelu, z tym samym składem członków – Wielka Brytania, posiadająca obok Francji największą armię w Europie, choć powitała z radością stworzenie tej organizacji i obiecała z nią współpracować poprzez struktury NATO, sama do EWO nie weszła. Wielka Brytania nie była gotowa bez końca angażować swoich żołnierzy w obronę Europy czy uczestniczyć w projekcie, którego celem, według słów brytyjskiego ministra spraw zagranicznych Anthony’ego Edena z 1952 roku, było „utorowanie drogi do stworzenia federacji europejskiej”. Zmniejszenie suwerenności poszczególnych państw wchodzących w skład ponadnarodowego EWO było dla Londynu nie do przyjęcia. Skandynawscy członkowie NATO przyjęli podobne stanowisko. W związku z tym zasięg EWO ograniczono, jak zresztą początkowo planowano, do krajów, które zaczęły się zbliżać do siebie w zakresie polityki gospodarczej. Ale traktat musiał zostać jeszcze ratyfikowany. I tutaj doszło do fiaska w kraju, który wystąpił z tą ideą – Francji. Kwestia utraty części suwerenności narodowej okazała się nie do przyjęcia również dla Francuzów. Kiedy 30 sierpnia 1954 roku traktat dotyczący powołania EWO przedstawiono francuskiemu Zgromadzeniu

Narodowemu do ratyfikacji, został on zdecydowanie odrzucony. Tym samym EWO została pogrzebana.

Inaczej było jednak z kwestią ponownego uzbrojenia Niemiec. Adenauer głęboko żałował upadku EWO, którą uważał za ważny krok w kierunku integracji Europy Zachodniej. Początkowo sądził, że głosowanie we francuskim Zgromadzeniu Narodowym zniszczyło jego nadzieje na odzyskanie przez Niemcy suwerenności. W rzeczywistości jednak, wraz z niepowodzeniem EWO, otworzyła się perspektywa tego, czego Adenauer (a także Brytyjczycy i Amerykanie) chciał od zawsze: militaryzacji Niemiec Zachodnich jako pełnoprawnego członka NATO i uznania tego kraju za suwerenne państwo. Czas był po temu sprzyjający. W marcu 1953 roku zmarł Stalin. Wojna koreańska się skończyła. Niemcy Zachodnie były mocno zaangażowane w tworzenie sojuszu zachodnioeuropejskiego, a podnoszone tu i ówdzie koncepcje zachodnioniemieckiej neutralności i reunifikacji (w które zdawało się wierzyć przywództwo opozycyjnych socjaldemokratów, wspierane przez znaczną część niemieckiej opinii publicznej) nie miały szans na realizację. Na konferencjach w Londynie, a następnie w Paryżu, we wrześniu i październiku 1954 roku, członkowie NATO postanowili zakończyć okupację Niemiec (choć oddziały aliantów miały pozostać na niemieckiej ziemi na mocy umowy z Niemcami), zaakceptować Niemcy Zachodnie jako suwerenne państwo i włączyć Republikę Federalną do NATO. 5 maja 1955 roku Niemcy Zachodnie uzyskały suwerenność państwową. Cztery dni później formalnie wstąpiły do NATO. Republika Federalna otrzymała zezwolenie na powołanie armii (o stanie nieprzekraczającym pół miliona żołnierzy), lotnictwa i marynarki wojennej, choć nie zezwolono Niemcom na posiadanie broni jądrowej.

Z punktu widzenia Związku Radzieckiego wydarzenia na Zachodzie były głęboko niepokojące. Ameryka była jedynym krajem, który użył w warunkach wojny bomb atomowych. Jako pierwszy opracował bombę wodorową. W Korei interweniował militarnie. Miał przewagę w rozwijającym się wyścigu zbrojeń. I zdołał zbudować antyradziecki sojusz w Europie Zachodniej, obejmujący ponownie uzbrojone Niemcy Zachodnie. Związek Radziecki czynił wszystko, co

mógł, aby temu zapobiec. Zaniepokojona perspektywą przywrócenia „niemieckiego militarizmu” Moskwa w 1954 roku wyraziła nawet wobec mocarstw zachodnich – na próżno usiłując osłabić lub podzielić sojusz – swoją gotowość do wstąpienia do NATO; sugestię tę na Zachodzie szybko odrzucono.

Ponieważ radzieckie inicjatywy najwyraźniej nie padały na podatny grunt, a Moskwa postrzegała NATO jako agresywny sojusz skierowany przeciwko ZSRR i zdominowany przez amerykańskich przywódców opowiadających się za agresywną polityką wojskową, nie dziwi fakt, że wschodnia riposta na włączenie Niemiec Zachodnich do NATO była błyskawiczna: zaledwie 10 dni później, 14 maja 1955 roku, powołano Układ Warszawski. Wiązał on Polskę, Czechosłowację, Węgry, Rumunię, Bułgarię, Albanię i Niemiecką Republikę Demokratyczną (NRD) w sojusz wojskowy z ZSRR. W tym samym czasie Związek Radziecki podjął kroki w celu poprawy stosunków ze strategicznie ważnymi krajami europejskimi „zawieszonymi” między Wschodem a Zachodem, w tym zwłaszcza z Jugosławią i Austrią, aby upewnić się, że nie zostaną one włączone do sojuszu zachodniego. Rozbrat z Jugosławią, do którego doszło po poróżnieniu się Tity ze Stalinem w 1948 roku, zakończono, przynajmniej oficjalnie, podpisaną w Belgradzie 2 czerwca 1955 roku wspólną deklaracją o wzajemnym poszanowaniu niepodległości i integralności terytorialnej oraz zobowiązaniu się do nieingerowania w sprawy wewnętrzne. Już 15 maja, dzień po powołaniu Układu Warszawskiego, cztery wielkie mocarstwa – USA, ZSRR, Wielka Brytania i Francja – podpisały austriacki traktat państwowy (który wszedł w życie 27 lipca), kończący okupację Austrii i określający ją jako suwerenne państwo. Związek Radziecki zgodził się na ten krok, pod warunkiem że Austria zobowiąże się do nieudostępniania swego terytorium do zakładania jakichkolwiek baz wojskowych ani nie będzie przystępować do jakichkolwiek sojuszy. Neutralność Austrii została formalnie ogłoszona 26 października 1955 roku, dzień po tym, jak siły okupacyjne opuściły kraj. Miesiąc wcześniej ZSRR zamknął swą bazę marynarki wojennej w pobliżu Helsinek, co miało być sygnałem dla Finlandii, że Moskwa zgodzi się na jej pełną

niezależność, o ile kraj ten pozostanie neutralny i nie będzie próbował wstępować do NATO.

W wyniku powołania skierowanych przeciw sobie sojuszów wojskowych po obu stronach żelaznej kurtyny w Europie – jednemu i drugiemu przewodziło supermocarstwo dysponujące bronią o niewyobrażalnej sile niszczącej – na krótki moment udało się osiągnąć stan, w którym lód formujący się w czasie zimnej wojny zaczął, jeśli nie topnieć, to przynajmniej bardziej się nie zagęszczać. Zarówno radzieckie, jak i amerykańskie kierownictwo wydawały się gotowe na rozładowanie napięcia. 18 lipca 1955 roku szefowie rządów USA, ZSRR, Wielkiej Brytanii i Francji spotkali się w Genewie. Po raz pierwszy od 10 lat zebrali się razem – poprzedni raz miało to miejsce podczas konferencji w Poczdamie, bezpośrednio po zakończeniu drugiej wojny światowej w Europie. W czasie szczytu (bo tak zaczęto nazywać podobne spotkania) zajęto się całą gamą spraw, w tym zwłaszcza kwestiami wpływającymi na bezpieczeństwo. Wyglądało na to, że świat zyskał promyk nadziei na osiągnięcie czegoś w rodzaju podstawy pokojowej koegzystencji. Oto przywódcy supermocarstw byli w stanie usiąść razem i rozmawiać ze sobą. Przynajmniej tyle można było wynieść z konferencji. Jednak poza tym nic godnego uwagi się nie pojawiło. Prezydent Eisenhower zaproponował politykę „otwartego nieba”, zezwalającą Stanom Zjednoczonym i Związkowi Radzieckiemu na przeprowadzanie powietrznego zwiadu na terytorium drugiej strony. Sowieci, bojąc się, że Amerykanie uzyskają wgląd w ich instalacje nuklearne, a zarazem zorientują się, jak ograniczone były radzieckie możliwości przeprowadzania bombardowań dalekiego zasięgu, szybko odrzucili tę propozycję. (Dla USA miało to niewielkie znaczenie: wkrótce i tak mieli latać nowymi samolotami szpiegowskimi U-2 nad Związkiem Radzieckim – do momentu, aż jeden z nich został zestrzelony w maju 1960 roku, a pilot, Gary Powers, został pojmany, co wywołało międzynarodowy kryzys). „Duch Genewy” szybko wyparował i w ciągu roku powróciła zimna wojna. Brutalne zdławienie węgierskiego powstania przeciwko rządowi sowieckim w listopadzie 1956 roku, które zbiegło się w czasie z kulminacją kryzysu sueskiego (kiedy to radziecki

przywódca Nikita Chruszczow groził użyciem „broni raketowej” przeciwko Wielkiej Brytanii i Francji), doprowadziło do odnowienia napięcia w stosunkach międzynarodowych.

Do tego czasu nuklearny wyścig zbrojeń osiągnął naprawdę przytłaczające rozmiary – tyle że większość zwykłych ludzi po obu stronach żelaznej kurtyny nie była świadoma wielkości narastającego arsenału. Wielka Brytania zdecydowała już w 1947 roku, że musi zbudować własną bombę atomową (gwarantującą jej miejsce przy „najważniejszych stołach” międzynarodowej dyplomacji). Premier z Partii Pracy, Clement Attlee, zdecydowanie opowiadał się za takim krokiem już w sierpniu 1945 roku, zaraz po tym, jak Amerykanie zrzucili bomby atomowe na Hiroszimę i Nagasaki. Rok później minister spraw zagranicznych Ernest Bevin, dominująca postać w powojennym gabinecie laburzystowskim, przechylił szalę na korzyść brytyjskiej bomby (mimo że inni, w tym sam Attlee, wahali się z decyzją): „Musimy to mieć!” – stwierdził Bevin, dodając, że koszty nie grają tu roli. „Musimy zatknąć na jej szczycie Union Jacka”. Wielka Brytania stała się trzecim mocarstwem jądrowym w październiku 1952 roku, kiedy to przeprowadziła pierwszy test na wyspach Montebello u wybrzeży Australii Zachodniej. W ciągu dwóch kolejnych lat brytyjski rząd zdecydował się na produkcję bomby wodorowej i w 1957 roku do rosnącego arsenału termojądrowego dodano brytyjską bombę. Winston Churchill, następca Attlee na stanowisku premiera, stwierdził, że jest to „ceną, jaką płacimy za zasiadywanie w czołówce światowych liderów”. Francja, podobnie jak Wielka Brytania, uważała posiadanie własnej bomby atomowej (wówczas już wodorowej) za nieodzowny znak statusu wielkiego mocarstwa. Paryż dołączył do „klubu nuklearnego”, testując swoją pierwszą bombę atomową w lutym 1960 roku w pobliżu Reggane na algierskiej Saharze, a następnie produkując broń termojądrową w 1968 roku. Kroki te doprowadziły do niepokojącej proliferacji broni jądrowej, mimo że nadal ograniczała się ona do zwycięskich potęg z drugiej wojny światowej. Choć najważniejsza była tu rywalizacja między dwoma czołowymi supermocarstwami w poszukiwaniu broni o jak największej sile niszczenia.

W marcu 1954 roku na atolu Bikini na Wyspach Marshalla Amerykanie eksplodowali bombę wodorową 750 razy silniejszą od bomby atomowej, która zniszczyła Hiroszimę. Opad spowodowany eksplozją doprowadził do śmierci z powodu napromieniowania osób oddalonych w momencie wybuchu o ponad 130 kilometrów od epicentrum. Aby nie być gorszymi, Sowieci eksplodowali jeszcze większą bombę we wrześniu, niedaleko wioski Tockoje w obwodzie orenburskim na południowym Uralu, a w następnym roku opracowali swą pierwszą bombę wodorową przenoszoną drogą powietrzną, o mocy stukrotnie większej niż poprzednia. W tym czasie Stany Zjednoczone pracowały nad wyprodukowaniem niewielkiej „taktycznej” bomby jądrowej, którą dałoby się odpalić z działa. Od jesieni 1953 roku Amerykanie zaczęli budować w Europie całkiem spory arsenał taktycznej broni jądrowej. Oficerom szkoleniowym w Ameryce wkrótce zaczęto przedstawiać scenariusz wojny, w której głównym polem bitwy miała być Europa. Amerykański sekretarz stanu, John Foster Dulles (który był zdeklarowanym antykomunistą i forsował politykę, mającą nie tylko „powstrzymać” ekspansję radzieckiego komunizmu, ale i ją „zawrócić”), powiedział przywódcom NATO w następnym roku, że broń atomowa jest obecnie traktowana jako konwencjonalny element siły obronnej zachodniego sojuszu. Ograniczona wojna nuklearna, z Europą jako polem bitwy, wydawała się realną możliwością. Stany Zjednoczone rozważały szybki, nokautujący atak na Związek Radziecki. Na odprawie przedstawicieli amerykańskich sił zbrojnych w marcu 1954 roku generał Curtis LeMay, szef strategicznego dowództwa powietrznego (który kierował bombardowaniem japońskich miast pod koniec drugiej wojny światowej), przedstawił plany dotyczące ogromnego ataku z powietrza, w wyniku którego „praktycznie cała Rosja przeistoczy się po dwóch godzinach w stertę promieniujących zgliszczy”. LeMay był „mocno przekonany, że w ciągu 30 dni trzecia wojna światowa może zostać zakończona”.

Eskalacja siły nuklearnej zapierała dech w piersiach. W 1950 roku armia amerykańska posiadała 298 bomb atomowych, a w 1962 roku miała w swej dyspozycji nie mniej niż 27 100 głowic i ponad 2500 bombowców dalekiego

zasięgu zdolnych do ich przenoszenia. Sowieci mieli w tym czasie pewną liczbę bombowców dalekiego zasięgu, które mogłyby osiągnąć cele na ziemi amerykańskiej, ale pozostawali w tyle za Stanami Zjednoczonymi pod względem liczby i możliwości. Jednak w 1957 roku Związek Radziecki ponownie zaskoczył Zachód, i to dwukrotnie. W sierpniu wystrzelił międzykontynentalny pocisk balistyczny, pierwszy na świecie, a wczesnym rankiem 5 października (czasu moskiewskiego) wystrzelił, przy użyciu rakiety, pierwszego satelitę kosmicznego, którego nazwał Sputnik („towarzysz podróży”). I tak jak większość Europejczyków powitała ten fakt z radością, uznając go za niezwykle osiągnięcie i pierwszy krok w kierunku eksploracji kosmosu, tak amerykańscy naukowcy i politycy nie mieli najmniejszych złudzeń co do tego, co wraz ze Sputnikem nadchodziło: Związek Radziecki mógł wkrótce być w stanie przeprowadzić atak nuklearny z kosmosu na Stany Zjednoczone. Amerykański raport w tej sprawie wskazywał na zatrważającą niższość rodzimej technologii wobec sowieckiej i wzywał do rozbudowy na wielką skalę amerykańskich sił raketowych – co wymagało oczywiście znacznego zwiększenia środków finansowych. Do 1959 roku wydatki na cele wojskowe stanowiły połowę amerykańskiego budżetu federalnego. Rok wcześniej Amerykanom udało się umieścić własne satelity na orbicie z użyciem rakiet Explorer i Vanguard (choć te ostatnie początkowo zawodziły). W lipcu 1958 roku powołano Narodową Agencję Aeronautyki i Przestrzeni Kosmicznej (NASA), której celem miało być naukowe badanie kosmosu – z naciskiem na militarne znaczenie szybko rozwijającego się programu; część finansowania agencji pochodziła z Pentagonu (dowództwa wojskowego USA) i była skierowana na badania raketowe. I choć amerykańscy przywódcy polityczni i dowódcy wojskowi żyli w paranoidalnym przeświadczeniu o „przewadze raketowej” Związku Radzieckiego, to w momencie wyboru w listopadzie 1960 roku Johna F. Kennedy’ego na prezydenta Stanów Zjednoczonych Amerykanie posiadali 17 razy więcej bomb jądrowych niż Sowieci.

Zresztą to, które z obu supermocarstw posiadało większy arsenał nuklearny, nie miało już większego znaczenia. Na początku lat 60. nuklearny wyścig zbrojeń



przekroczył już dawno punkt, który określano niezwykle trafnym mianem wzajemnie gwarantowanego zniszczenia (*mutually assured destruction*, MAD). Międzykontynentalnym rakietom balistycznym dostarczenie niszczycielskiego ładunku do celu zabrałoby kilkanaście minut. Floty bombowców i okrętów podwodnych uzbrojonych w broń nuklearną czekały jedynie na rozkaz do ataku. Świat musiał żyć z perspektywą możliwej eskalacji kryzysu aż do momentu, w którym obie strony nacisną przyciski; innym całkiem możliwym scenariuszem była detonacja bomby jądrowej przez przypadek (do czego omal nie doszło w 1957 roku we wschodniej Anglii, kiedy to amerykański bombowiec rozbił się o magazyn, w którym przechowywano trzy bomby atomowe). Wizję niewyobrażalnego spustoszenia, jakie może przynieść wojna nuklearna, unaoczniała 30 października 1961 roku sowiecka detonacja największej i najpotężniejszej bomby czasów zimnej wojny, przeprowadzona na północ od koła podbiegunowego, nad archipelagiem Nowa Ziemia na Oceanie Arktycznym. Atomowy grzyb wystrzelił w stratosferę na wysokość 65 kilometrów. Błysk eksplozji można było obserwować z odległości niemal 1000 kilometrów. Niszczycielska moc pięćdziesięciomegatonowego potwora była 1400 razy większa niż połączona siła bomb atomowych zrzuconych na Hiroszimę i Nagasaki i znacznie większa niż wszystkie materiały wybuchowe użyte przez wszystkie kraje biorące udział w drugiej wojnie światowej razem wzięte.

Już wcześniej, przez trzy lata w centrum napięcia między supermocarstwami był ponownie Berlin. Do pierwszego kryzysu wokół tego miasta doszło już w 1948 roku, kiedy Stalin próbował siłą zmusić zachodnich aliantów do opuszczenia Berlina. Stolica Niemiec, choć formalnie pod okupacją czterech mocarstw, leżała na około 160 kilometrów w głębi strefy kontrolowanej przez Sowietów. Radziecki dyktator poddał się w końcu wiosną 1949 roku po tym, jak alianci zachodni zorganizowali „berliński most powietrzny” i przez prawie rok drogą powietrzną zaopatrywali blokowane przez Sowietów miasto. W 1958 roku następca Stalina, Chruszczow, uznał, że nadszedł czas, by po raz kolejny użyć Berlina do wywarcia presji na Zachód. Była to reakcja na plany Amerykanów, zachęcanych przez

zachodnioniemiecki rząd, zmierzające do rozmieszczenia broni jądrowej średniego zasięgu w Niemczech Zachodnich – co z kolei miało być odpowiedzią na wystrzeliwanie przez Sowietów satelitów kosmicznych i przechwalanie się Chruszczowa sowieckimi zdolnościami nuklearnymi.

Nikita Chruszczow był zwycięzcą w trwającej ponad dwa lata po śmierci Stalina (w 1953 roku) walce o władzę na Kremlu. Jako przewodniczący Rady Ministrów i pierwszy sekretarz partii komunistycznej – skutecznie łączący stanowisko szefa rządu i rządzącej partii – miał niemal nieograniczoną władzę w systemie sowieckim. Ten były protegowany Stalina (współodpowiedzialny za jego czystki), pochodzący z biednej, niewykształconej rodziny, był człowiekiem surowym, ale zarazem bystrym. Jego okresowa jowialność mogła szybko ustąpić miejsca napadom złości czy wręcz furii. W połowie lat 50. świat zachodni miał na krótko nadzieję, że pod jego kierownictwem w stosunkach Zachodu ze Związkiem Radzieckim dojdzie do spadku napięcia. Ale Chruszczow był osobą zmienną, mniej przewidywalną w sprawach zagranicznych niż Stalin. To zaś zwiększało niebezpieczeństwo, że konflikt supermocarstw może wymknąć się spod kontroli.

Status Berlina pozostawał cierniem w oku przywódców NRD, jak i ich patronów w Związku Radzieckim. Berlin Zachodni był małą zachodnią wyspą na kontrolowanym przez Sowietów oceanie. Ale członkowie zachodnich sił okupacyjnych mieli prawo do wchodzenia i wychodzenia z Berlina Wschodniego (tak samo jak sowieckie patrole wojskowe od czasu do czasu wciąż wkraczały do Berlina Zachodniego, ponieważ całe miasto teoretycznie pozostawało pod wspólną kontrolą czterech mocarstw). Mieszkańcy wschodniej części miasta mogli początkowo bez trudu przedostawać się do Berlina Zachodniego, który stanowił jakby przedsionek-wizytówkę zamożnego Zachodu. Nie przychodzili oni tylko na chwilę. Wielu z takich przybyszów pozostawało w Berlinie Zachodnim, a następnie znajdowało pracę, osiedlało się i cieszyło wyższymi standardami życia w Niemczech Zachodnich. Od 1953 do końca 1956 roku przez Berlin przedostało się na Zachód ponad 1,5 miliona mieszkańców NRD; w latach 1957–1958 doszło do tego kolejne pół miliona. Sytuacja taka nie była zgodna z planami

gospodarczymi czy politycznymi wschodnioniemieckiego kierownictwa i nie służyła umacnianiu wizerunku Niemiec Wschodnich jako bastionu opierającemu się agresywnym zachodnim kapitalistom. Do względów gospodarczych dołączyły ostatnie wydarzenia, jak remilitaryzacja Niemiec Zachodnich, przyjęcie tego kraju do NATO i rozlokowanie na jego terenie amerykańskiej broni jądrowej. Ponadto Berlin Zachodni był ośrodkiem zachodniego wywiadu i propagandy (na tę ostatnią coraz większa liczba berlińczyków ze wschodnich dzielnic była codziennie wystawiona za pośrednictwem telewizji transmitowanej z Berlina Zachodniego). Chruszczow uznał, że nadszedł czas, by zakwestionować status quo. A ponowne otwarcie pytania o status Berlina oznaczało ponowne otwarcie pytania o przyszłość Niemiec.

27 października 1958 roku Walter Ulbricht, przywódca Niemiec Wschodnich, ogłosił w buńczucznym przemówieniu, że „cały Berlin leży na terytorium Niemieckiej Republiki Demokratycznej” i wchodzi w zakres jej suwerenności. Stało to w całkowitej sprzeczności ze statusem Berlina jako miasta znajdującego się pod kontrolą czterech mocarstw okupacyjnych. Ulbricht najwyraźniej ustalił wcześniej tekst przemówienia z Chruszczowem, bo zaledwie dwa tygodnie później, 10 listopada, sowiecki przywódca oświadczył w Moskwie, że nadszedł czas na zakończenie okupacji Berlina. W ślad za tym 27 listopada przedstawił mocarstwom zachodnim – USA, Wielkiej Brytanii i Francji – ultimatum, domagając się od nich akceptacji dla przeprowadzenia w ciągu sześciu miesięcy demilitaryzacji Berlina Zachodniego, a tym samym dla zakończenia ich „reżimu okupacyjnego”; w przeciwnym wypadku Związek Radziecki i Niemiecka Republika Demokratyczna miały podjąć jednostronne działania dla osiągnięcia tego celu. Umowa o okupacji Berlina, zawarta z chwilą zakończenia wojny, stawałaby się w takich okolicznościach nieważna.

Oczywiście, zaakceptowanie ultimatum oznaczałoby poważne osłabienie mocarstw zachodnich, nie tylko w Berlinie. Potencjalnej konfrontacji udało się jednak uniknąć drogą półpojednawczych gestów (bez faktycznego rezygnowania z czegokolwiek) ze strony zachodnich mocarstw; prezydent Eisenhower zaprosił

zarazem Chruszczowa do odwiedzenia Stanów Zjednoczonych w 1959 roku. Termin ultimatum upłynął i nie doszło do żadnych incydentów. 15 września 1959 roku Chruszczow rozpoczął dwunastodniową wizytę w Ameryce, która, choć nie doprowadziła do przełomu, stanowiła okazję dla przywódców obu supermocarstw do spotkania się twarzą w twarz i przyniosła tymczasowe ocieplenie mroźnej dotąd atmosfery.

Kryzys chwilowo osłabł. Jednym z powodów, dla których Związek Radziecki był skłonny do zmniejszenia napięcia w Europie Środkowej, były pogarszające się stosunki Moskwy z Pekinem (na tle osobistych animozji Mao Zedonga i Chruszczowa, którego chiński przywódca nie darzył wielkim szacunkiem). Napięcie wokół Berlina musiało się jednak ponownie pojawić, ponieważ problem, który leżał u jego podłoża – przedostawanie się mieszkańców NRD do Berlina Zachodniego – nie zniknął. Ciągłe odpływanie ludności na zachód spowodowało, że reżim wschodnioniemiecki już w 1952 roku zamknął granicę na linii demarkacyjnej z Republiką Federalną. Ale granica w Berlinie nie była zamknięta i otwierała przed mieszkańcami Niemiec Wschodnich wrota na zachód.

Setki Niemców ze wschodu przekraczało granicę każdego dnia. W najwyższym punkcie napływu uchodźców aż 2305 osób przedostało się z dzielnic wschodnich do Berlina Zachodniego w jeden dzień, 6 kwietnia 1961 roku. Większość z wyjeżdżających była młoda. Wielu z nich było rolnikami, których do wyjazdu skłoniła kolektywizacja produkcji rolnej, wprowadzona w czerwcu 1958 roku. Ale wśród mas szukających sobie lepszego życia w Niemczech Zachodnich znajdowali się także wykwalifikowani robotnicy, nowo wykształceni studenci i młodzi profesjonaliści – wszyscy oni byli cennym zasobem dla wschodnioniemieckich władz. W 1960 roku ze wschodu wyjechało około 200 000 Niemców. W 1961 roku liczba ta miała jeszcze wzrosnąć. W kwietniu tego roku granicę przekroczyło 30 000 osób. Pomiędzy powstaniem NRD w październiku 1949 roku a sierpniem 1961 roku Niemcy Wschodnie opuściło nie mniej niż 2,7 miliona mieszkańców (15 procent populacji), co raczej nie wystawiało laurki władzom socjalistycznego niemieckiego państwa.

Kiedy Chruszczow i Kennedy spotkali się po raz pierwszy w Wiedniu w dniach 3–4 czerwca 1961 roku, kwestia Berlina leżała w centrum niełatwych spraw, które mieli omówić. Chruszczow odnosił się z lekceważeniem do nowego i niedoświadczonego amerykańskiego przywódcy. Kennedy był świeżo po fiasku „sprawy Zatoki Świń” z kwietnia tego roku – niefortunnej inwazji przygotowanej przez Centralną Agencję Wywiadowczą (CIA), mającej na celu obalenie kubańskiego komunistycznego rządu. Przejmując inicjatywę podczas spotkania, Chruszczow postawił nowe ultimatum. Jeśli zachodnie mocarstwa nie zgodzą się na przekształcenie Berlina w „wolne państwo” i nie zrzekną się prawa do dostępu doń, Sowieci prześlą prawa kontroli korytarza powietrznego między Berlinem Zachodnim a Republiką Federalną Niemiec władzom Niemieckiej Republiki Demokratycznej, co de facto zmusi zachodnie samoloty do lądowania na terytorium NRD. Kennedy, niezrażony tą groźbą, odpowiedział, że nie cofnie się przed działaniami wojennymi, jeśli Chruszczow będzie się upierał przy swoich żądaniach.

Kilka tygodni później doniesienia o tym, że NATO zgodziło się na podjęcie środków militarnych, by zapobiec blokowaniu dróg dostępu do Berlina Zachodniego, spowodowały, że Chruszczow zmienił swój pierwotny pogląd (wcześniej sądził, że Zachód nie zdecyduje się na wojnę). W tej sytuacji radziecki przywódca zgodził się na wniosek, który Ulbricht złożył już w marcu na spotkaniu przedstawicieli Układu Warszawskiego w Moskwie, aby zamknąć granicę między Berlinem Zachodnim a terytorium Niemieckiej Republiki Demokratycznej. (Plany budowy muru odgradzającego Berlin Zachodni i blokującego dostęp do i ze wschodu snuto w gruncie rzeczy od 1952 roku). 24 lipca 1961 roku Biuro Polityczne – czyli organ rządzący – Socjalistycznej Partii Jedności (SED, komunistyczna partia NRD) postanowiło podjąć odpowiednie przygotowania. Państwa Układu Warszawskiego poparły ten krok na początku sierpnia, a 12 sierpnia Ulbricht wydał rozkaz zamknięcia granicy o północy. Następnego dnia, 13 sierpnia, granica między Berlinem Wschodnim i Zachodnim została umocniona – najpierw szybko rozwieszonym drutem kolczastym, a wkrótce betonowym murem

o wysokości 3,5 metra i długości prawie 160 kilometrów, z licznymi wieżami strażniczymi, polami minowymi, psami policyjnymi i strażnikami, którym wydano rozkaz zastrzelenia każdego, kto przekroczył „pas śmierci” po którejkolwiek ze stron muru. Tak miało pozostać przez kolejnych 28 lat.

Zachód nie protestował w szczególnie dramatyczny sposób. Zachodnie mocarstwa były zainteresowane uspokojeniem kryzysu. Wielka Brytania, chwiejące się już mocno imperium kolonialne, pragnęła przede wszystkim obniżyć koszty okupacji Niemiec. Będący w podobnej sytuacji Francuzi byli jeszcze mniej skłonni „ginać za Berlin” (jak skomentował to ich minister obrony), zwłaszcza że absorbował ich poważny kryzys w ich kolonii – Algierii. A Amerykanie, będący dominującym mocarstwem na Zachodzie, nie byli zainteresowani angażowaniem się w działania wojenne o Berlin. Doszło więc do przewidywalnych protestów słownych, ale niczego więcej – może poza symbolicznym pokazem solidarności, którym stała się, kilka dni po zamknięciu granicy, wizyta amerykańskiego wiceprezydenta Lyndona B. Johnsona i byłego bohatera mostu powietrznego, generała Luciusa D. Clay’a, w Berlinie Zachodnim. Równie symboliczne znaczenie miało wysłanie do Berlina 1500 amerykańskich żołnierzy – zostali entuzjastycznie przyjęci przez berlińczyków, kiedy przemaszrowali głównym bulwarem Kurfürstendamm.

Już wcześniejsze sygnały z Waszyngtonu dawały do zrozumienia, że Stany Zjednoczone nie będą stawać na przeszkodzie wchłonięciu przez NRD Berlina Wschodniego, o ile nie będą temu towarzyszyć próby zmiany statusu Berlina Zachodniego. Pod koniec lipca prezydent Kennedy, zwracając się w telewizyjnym przemówieniu do obywateli amerykańskich w związku sytuacją w Berlinie, mówił o prawie zachodnich aliantów do obecności i wjazdu do tego miasta, prawie do samostanowienia mieszkańców Berlina Zachodniego, nie zająknął się natomiast ani słowem o Berlinie Wschodnim i jego mieszkańcach. Przyznał, że Sowieci mają prawo do ochrony swego bezpieczeństwa w Europie Środkowej i Wschodniej (choć ku wściekłości Chruszczowa stwierdził również, że będzie domagał się od Kongresu dodatkowych 3,25 miliarda dolarów na wydatki wojskowe, głównie na

siły konwencjonalne). Prezydent powiedział jednemu z najbliższych współpracowników, że jest w stanie nakłonić sojusz zachodnioeuropejski do działań w obronie Berlina Zachodniego, „ale nie mogę nic zrobić, by utrzymać otwarty status Berlina Wschodniego”. A 30 lipca przewodniczący komisji ds. polityki zagranicznej amerykańskiego senatu, William Fulbright, zdawał się niemal zapraszać władze NRD do zablokowania granicy, stwierdzając w wywiadzie telewizyjnym, że jego zdaniem mają do tego prawo. Chruszczow, który tak samo nie chciał wybuchu nowej wojny jak zachodnie mocarstwa, postanowił zakończyć kryzys, który wcześniej zainicjował.

Zamknięcie granicy 13 sierpnia 1961 roku zostało przeprowadzone w dobrze dobranym czasie. Był to niedzielny poranek i wstający z łóżek berlińczycy zobaczyli za oknami przecinające miasto ogrodzenie z drutu kolczastego, wznoszone w nocy przez wschodnioniemieckich robotników, których chroniła uzbrojona straż. Kennedy został o tym poinformowany późnym rankiem – w Berlinie było już późne popołudnie. Amerykański prezydent i jego czołowi doradcy zdecydowali, że choć zablokowanie miasta jest uczynkiem nikczemnym, to i tak jest to lepsze od wojny. „To niezbyt miłe rozwiązanie – stwierdził Kennedy – ale mur jest o wiele lepszy niż wojna”. Mówiąc prywatnie, sekretarz stanu USA, Dean Rusk, przyznał, że zamknięcie granicy „uczyniłoby sprawę Berlina łatwiejszą”.

Nikt nie oczekiwał, że pozostałe zachodnie mocarstwa przyjmą bardziej nieprzejednaną postawę. Brytyjski przedstawiciel w Berlinie, sir Christopher Steel, wyraził nawet swoje zdziwienie, że władze Niemiec Wschodnich zdecydowały się zamknąć granicę tak późno. Dowódca sił francuskich w tym mieście czekał na instrukcje z Paryża; nie spodziewano się ich prędko, bo większość pracowników ministerstwa spraw zagranicznych była na wakacjach. Charles de Gaulle, prezydent Francji, przebywał w swojej wiejskiej rezydencji w Colombey-les-Deux-Églises, a do Paryża wrócić miał dopiero 17 sierpnia. W Anglii, dzień przed zamknięciem granicy berlińskiej, świętowano, jak co roku, otwarcie sezonu strzelania do głuszców, czemu z lubością oddawała się brytyjska klasa wyższa; premier, Harold

Macmillan, nie widział powodu, by przerywać wypoczynek w majątku w hrabstwie Yorkshire swego bratanka, księcia Devonshire.

Dwa miesiące później, w październiku 1961 roku, doszło do pozornie błędnego incydentu, który wywołał niebezpieczną i niepotrzebną eskalację napięcia wokół Berlina. Amerykański dyplomata i jego żona odmówili pokazania paszportów wschodnioniemieckiej straży granicznej, która w odwecie odmówiła im wjazdu do Berlina Wschodniego, gdzie planowali pójść do teatru. Amerykanie zareagowali, wysyłając oddział żołnierzy, by eskortował dyplomatę do Berlina Wschodniego, a w ciągu następnych dni żołnierze w dżipach z karabinami w dłoniach towarzyszyli amerykańskim cywilom w podróżach do wschodniej części miasta – zachowanie to było typową pokazówką. Nieprzejednany generał Clay rozkazał ustawić 10 czołgów amerykańskich przed przejściem granicznym Checkpoint Charlie. Sowieci odpowiedzieli, rozstawiając własne czołgi, w tym 10 oddalonych o raptem 100 metrów od linii granicznej. Każda drobna prowokacja na tak krótkim dystansie mogła zachwiać pokojem na całym świecie. Ale nikt nie chciał katastrofy nuklearnej w wyniku tak trywialnej sprawy – „dziecinnego nonsensu”, jak nazwał ten incydent Harold Macmillan. Dla obu stron było oczywiste, że sytuację należy rozbroić. Jako pierwszy zareagował prezydent Kennedy, wysyłając do Chruszczowa (który również nie był zainteresowany dalszą eskalacją) zapewnienie, że Amerykanie wycofają się, jeśli Sowieci zrobią to samo. Po szesnastogodzinnej konfrontacji obie strony zaczęły powoli wycofywać swoje siły z granicy – kryzys został opanowany.

W tym momencie nie tylko Berlin, ale Niemcy i cała Europa przestały być epicentrum zimnej wojny. Jednak największą cenę za osiągnięcie tej stabilizacji przyszło płacić, przez prawie trzy dekady, narodom Europy Wschodniej, a zwłaszcza mieszkańcom Niemiec Wschodnich. Chociaż mur otoczył Berlin Zachodni, tak naprawdę to ludność Niemieckiej Republiki Demokratycznej została odizolowana – pozbawiona swobody podróżowania po Europie, często oddzielona od krewnych i przyjaciół, skazana na życie w systemie ograniczeń i nieustannej inwigilacji, bez szans na udział w szybkiej poprawie standardu życia rodaków na



zachodzie (której oznaki mieszkańcy NRD mogli jedynie oglądać w zachodniej telewizji).

Przepływ ludności na zachód ustał. Mieszkańcy NRD pragnący opuścić kraj musieli liczyć się z tym, że mogą zostać zabici przy próbie przekraczania granicy. Jedną z pierwszych ofiar był zastrzelony nieco ponad rok od wybudowania muru osiemnastoletni Peter Fechter – sprawa ta wywołała poważne protesty w Berlinie Zachodnim. 18 sierpnia 1962 roku Fechter próbował przebiec w pobliżu Checkpoint Charlie, ale trafił w niego grad kul, gdy próbował przedostać się przez ostatnie ogrodzenie z drutu kolczastego przed dotarciem do Berlina Zachodniego. Zachodnioniemiecka ekipa telewizyjna, która akurat kręciła film dokumentalny o murze, znajdowała się tuż obok i sfilmowała agonię chłopaka, który krzyczał z bólu, podczas gdy wschodnioniemieccy strażnicy graniczni pozostawali na swoich stanowiskach, nie reagując. Oficjalnie – choć inne szacunki są znacznie wyższe – liczba zabitych przy próbach przekroczenia muru w ciągu 28 lat jego istnienia wyniosła 139 osób (pierwsza ofiara zginęła w tydzień po wybudowaniu muru, ostatnia sześć miesięcy przed jego zburzeniem).

Śmierć tych osób to najwyższa cena, jaką ludzie zapłacili za wzniesienie tego muru. Politycznie natomiast mur miał efekt uspokajający. Ciągły kryzys w Berlinie, który mógł przekształcić się w katastrofę nuklearną, był nie do zniesienia dla żadnej ze stron. Nikt nie chciał wojny. Mur był zarazem jawnym oskarżeniem porządków panujących w socjalizmie w stylu sowieckim. Bez niego jednak demograficzny drenaż gospodarki NRD byłby dla tamtejszych władz nie do zniesienia, co podkopałoby system polityczny tego państwa. A bez Niemiec Wschodnich zagrożony byłby cały wschodni blok sowieckich państw satelickich. Radzieckie kierownictwo prawdopodobnie nie pozostałoby w takiej sytuacji bierne. Mur, twór cyniczny i nieludzki, przyniósł mimo wszystko pewien spokój nie tylko Niemcom, ale całej Europie Środkowej.

Wkrótce nadszedł jednak jeszcze jeden moment skrajnego napięcia – właściwie jedyny w trwającej ponad cztery dekady zimnej wojnie, kiedy świat faktycznie znalazł się na krawędzi wojny nuklearnej. Punkt zapalny był tym razem oddalony

od Europy o tysiące kilometrów – znajdował się na morzach otaczających Kubę. Tyle że gdyby wówczas doszło do nuklearnego holokaustu, Europa zostałaby błyskawicznie weń wchłonięta, co pokazuje, w jakim stopniu konflikt supermocarstw przybrał wymiar ogólnoświatowej konfrontacji.

Kryzys wybuchł, kiedy Chruszczow podjął w październiku 1962 roku decyzję o rozmieszczeniu na Kubie pocisków jądrowych bliskiego i średniego zasięgu. Amerykańskie przywództwo było przekonane w czasie kryzysu kubańskiego, że jest związany z kwestią Berlina i chodzi tak naprawdę o wywarcie presji na Amerykę, by ta ustąpiła w kwestii Berlina Zachodniego. Faktycznie Berlin mógł być pośrednim powodem niebezpiecznej inicjatywy Chruszczowa, który miał obsesję na punkcie sprawy niemieckiej i był świadom, że mur berliński oznaczał w gruncie rzeczy wizerunkową klęskę dla socjalistycznego Wschodu i upokorzenie w oczach świata dla marksizmu-leninizmu. Ale Chruszczow miał też inne motywy. Ten impulsywny kremlowski przywódca doskonale zdawał sobie sprawę, że Związek Radziecki pozostaje daleko w tyle za Stanami Zjednoczonymi w zakresie rakiet dalekiego zasięgu, a amerykańskie rakiety średniego zasięgu, rozlokowane w bazach w Wielkiej Brytanii, Włoszech i Turcji, miały moc rażenia celów w Związku Radzieckim. Chruszczow chciał zatem, aby Amerykanie na własnej skórze poczuli, jak to jest żyć w ciągłej obawie przed atakiem i stąd zdecydował się umieścić sowieckie rakiety blisko amerykańskich wybrzeży. Inną wyraźną potrzebą było podtrzymanie sowieckiego prestiżu na Kubie (gdzie spodziewano się w każdej chwili kolejnej amerykańskiej próby obalenia przywódcy komunistycznego Fidela Castro) i stymulowanie komunistycznych rewolucji w Ameryce Łacińskiej.

Kiedy zszokowana administracja Kennedy'ego odebrała 21 października wiadomość, że 42 pociski nuklearne średniego zasięgu są w drodze na Kubę, zagroziła przechwyceniem sowieckich okrętów i jednocześnie ogłosiła w amerykańskich siłach zbrojnych stan najwyższego alarmu jądrowego – świat stanął wówczas na krawędzi Armagedonu. Ryzykancki poker między Kennedym a Chruszczowem trwał tydzień. Po siedmiu dniach nieprawdopodobnego napięcia, 28 października Chruszczow kazał statkom przewożącym pociski zawrócić do

Związku Radzieckiego. Cały świat odetchnął z ulgą. Teoretycznie zwycięstwo odnieśli Amerykanie (nawet jeśli niektórzy gorliwcy w Pentagonie żalowali, że nie doszło do działań wojskowych). Ale Sowieci też coś ugrali. Kennedy zobowiązał się publicznie, że nie będzie podejmować dalszych prób inwazji na Kubę. Amerykański prezydent zgodził się także na usunięcie baz raketowych w Turcji – sprawę tę chwilowo utajniono, ponieważ formalnie bazy, które USA zamierzało likwidować, należały do NATO. Pociski usunięto z Turcji w następnym roku, bez żadnego nawiązania do kryzysu kubańskiego.

Nigdy wcześniej podczas zimnej wojny wojna nuklearna nie była tak blisko. I nikt wówczas nie mógł wiedzieć, że już nigdy tak blisko nie będzie. Obawa, że może być inaczej, skłoniła amerykańskich i sowieckich przywódców do zakończenia – lub przynajmniej ograniczenia – szaleńczego wyścigu zbrojeń. Instalacja w 1963 roku „gorącej linii” między Białym Domem a Kremlem była raczej oznaką woli rozładowania napięcia niż doprowadzania eskalacji do punktu krytycznego. A 5 sierpnia 1963 roku w Moskwie Stany Zjednoczone, Związek Radziecki i Wielka Brytania postanowiły podpisać ograniczony traktat o zakazie prób z bronią jądrową, dopuszczający jedynie testy podziemne (traktatu nie podpisała Francja). Był to skromny krok, ale w dobrym kierunku.

Nieco ponad rok później, w październiku 1964 roku, Chruszczow został odsunięty od władzy po „przewrocie pałacowym” na Kremlu. Jedną z przyczyn jego upadku były działania w trakcie kryzysu kubańskiego, które – jak uważano – zaszkodziły międzynarodowej pozycji Związku Radzieckiego. Podobnie postrzegano decyzję o budowie muru berlińskiego. Po odejściu Chruszczowa zimna wojna straciła w dużym stopniu swój dotychczas niekonsekwentny, chaotyczny i nieprzewidywalny charakter. Chruszczowa zastąpili dwaj nowi sowieccy przywódcy: Leonid Breżniew na stanowisku sekretarza generalnego partii komunistycznej i Aleksiej Kosygin jako premier. Zmiana władzy na Kremlu rozpoczęła nową fazę zimnej wojny. Napięcie miało się jeszcze utrzymywać, ale postawienie muru berlińskiego, rozładowanie kryzysu kubańskiego i upadek

Chruszczowa wyraźnie odebrały mu impet. Przez pewien czas w sprawach międzynarodowych Europa miała pozostać poza centrum uwagi.

## **Życie w cieniu bomby: strach czy fatalizm?**

„Wszyscy żyliśmy w stanie pewnej nerwowej hysterii”, wspominał prawie 50 lat później Eric Hobsbawm, jeden z najwybitniejszych historyków Europy, zastanawiając się nad „czarnym cieniem atomowego grzyba”. To była refleksja intelektualisty. Na ile jednak ta generalizacja odnosi się do milionów zwykłych Europejczyków? Czy większość ludzi doświadczała permanentnego strachu i żyła w stanie „nerwowej hysterii”? Nie łatwo jest odpowiedzieć na to pytanie.

Po pokoleniu zdominowanym przez wojnę, rozlew krwi, cierpienie i zniszczenie, większość ludzi w Europie, zarówno na wschodzie, jak i na zachodzie, najbardziej pragnęła pokoju i „normalności”. Choć w poprzednich dekadach trudno było mówić o „normalności”, chodziło przede wszystkim o powrót do życia, które kręciłoby się wokół rodziny i pracy, które można by spędzić w przyzwoitych warunkach materialnych i w którym byłoby się chronionym przed najgorszymi konsekwencjami nędzy i braku bezpieczeństwa. Gdy koszmary drugiej wojny światowej stopniowo odchodziły w przeszłość, a na gruzach zaczynały się rysować kontury nowej Europy, dla przeważającej większości ludzi liczyło się bezpieczeństwo, stabilizacja i pomyślność materialna. Zaczęli marzyć o lepszych czasach. Jednak perspektywa wojny nuklearnej pomiędzy nowymi mocarstwami, które teraz kontrolowały Europę i patrzyły na siebie spode łba przez żelazną kurtynę dzielącą kontynent, rzucała długi cień. Potencjał broni jądrowej, zdolnej spowodować całkowite zniszczenie sprawiał, że Europejczycy czuli się bezradni. Ludzie w całej Europie (i poza nią) musieli nauczyć się żyć z bombą. Strach i fatalizm istniały obok siebie. Istniał dobry powód zarówno do jednego, jak i do drugiego.

To, jak ludzie przystosowywali się do nowej rzeczywistości, czyli sytuacji, która zagrażała samemu ich istnieniu, różniło się oczywiście w zależności od uwarunkowań osobistych, wierzeń i przekonań, statusu społecznego, narodowości, geografii i dziesiątków innych czynników. Ich postawy kształtowały w dużym stopniu informacje, które otrzymywali od partii politycznych, ich przywódców, środków masowego przekazu, komentatorów i wpływowych postaci na różnych poziomach. Choć trudno tu pokusić się o generalizację, wydaje się, paradoksalnie, że gdy zimnowojenna konfrontacja znajdowała się na najbardziej niebezpiecznym etapie, czyli w latach 1950–1962, sprzeciw wobec broni jądrowej był stosunkowo niewielki.

W najgorętszym okresie zimnej wojny ruchy antynuklearne były w powijakach, niezdolne do zdobycia szerokiego poparcia społecznego. Rządom zachodnioeuropejskim udało się w większości zaszczepić u obywateli swoich krajów głęboko antysowieckie poglądy oraz ich odwrotność – wiarę w bezpieczeństwo zapewniane przez Stany Zjednoczone, powszechnie postrzegane jako zbawca Europy Zachodniej i gwarant jej przyszłej pomyślności. W innych rodzących się potęgach nuklearnych, Wielkiej Brytanii i Francji, także dominowała powszechna gotowość do akceptowania efektu odstraszenia, związanego z samodzielnym posiadaniem broni jądrowej. Stąd też z pewną uzasadnioną przesadą można powiedzieć, że w Europie Zachodniej strach przed bronią jądrową był w dużej mierze jednostronny. Sowiecki arsenał był źródłem strachu; natomiast ten należący do NATO, czyli w praktyce amerykański (oraz brytyjski i francuski), stanowił gwarancję bezpieczeństwa. Antyamerykanizm, który począwszy od końca lat 60. stał się pożywką dla masowych ruchów antynuklearnych, był w dużej mierze reakcją na wojnę wietnamską. W latach 50. odgrywał znacznie mniejszą rolę.

Pewien rodzaj reakcji Brytyjczyków na perspektywę wojny nuklearnej na początku lat 50. można poznać dzięki zapiskom Nelli Last, sześćdziesięciokilkuletniej mężatki z niższej klasy średniej, zwolenniczki Partii Konserwatywnej, która wiodła spokojne życie na przedmieściach Barrow-in-

Furness w północnej Anglii. W sylwestra 1950 roku czuła przygnębienie na myśl o tym, co może przynieść przyszłość. Przeczytała artykuł z amerykańskiego magazynu, podsuniętego jej przez znajomych, który głosił, że po roku 1951 wojna będzie nieunikniona i sugerował, że bomby atomowe to zabawka w porównaniu z bronią biologiczną, nad którą pracują Rosjanie. Lektura gazet i magazynów, radio i rozmowy z przyjaciółmi ukształtowały i utwierdziły jej poglądy na dalszy rozwój zimnej wojny. W maju, zaniepokojona zagrożeniem nuklearnym, słysząc o budowie „schronu przeciwoatomowego 70 stóp pod ziemią” w Sztokholmie, Nella bała się prawdopodobnego wybuchu nowej wojny i zastanawiała się, jak ludzie zdołają przetrwać w takich warunkach. Kiedy pod koniec czerwca wybuchła wojna koreańska, miała „złe przeczucie”, że te wydarzenia mogą „zniszczyć cywilizację, jaką znamy” i zastanawiała się, co też Rosja trzyma za żelazną kurtyną. Popierała działania Zachodu mające na celu „zahamowanie ekspansji komunistów”. Jeszcze w tym samym miesiącu wzięła udział w ćwiczeniach obrony cywilnej, na których uczono ją między innymi, jak zakładać maskę przeciwgazową. Z przygnębieniem wysłuchiwała, jak niszczące skutki dla Barrow miałyby wybuch bomby atomowej i najwyraźniej udzielił się jej pesymizm mężczyzny siedzącego obok, który zauważył: „Im szybciej to się skończy, tym lepiej”. „Zwykli ludzie niewiele mogą zrobić”, podsumowała Nella, „poza modlitwą”.

Pod koniec lipca dzieliła się przemyśleniami na temat prób z „tą przerażającą bombą H” i zastanawiała się, czy Ameryka zrzuci bombę atomową w Korei (dając tym samym Stalinowi pretekst do ogłoszenia, że to Zachód jest odpowiedzialny za „śmierć i okaleczenie”, dodawała). Jej zdaniem słaba Wielka Brytania nie mogła wpłynąć na taką decyzję. „A jeżeli taka straszna rzecz by się stała (pisała dalej), a Rosja je (bomby atomowe) ma, to może rozpętać się piekło. Straszliwa perspektywa”. Pani Last wciąż odczuwała „głęboki strach, że kolejna bomba atomowa zostanie zrzucona” i jej zdaniem prawdopodobieństwo, że tak się stanie, rosło, „bez możliwości obrony przed takim scenariuszem”. Pod koniec roku „czuła, że nigdy wcześniej w historii świata ludzie czy kraje nie stały w obliczu tak trudnej sytuacji”, biorąc pod uwagę, że „Stalin z pewnością ma głęboko utajnione plany

wchłonięcia Europy, a jeżeli Europy, to i całego świata”. Jej niepokój i obawa przed Związkiem Radzieckim nie znały granic. „Przy Stalinie – pisała – Hitler wydaje się harcerzykiem. To on jest Antychrystem, nie Hitler”.

Strach Nelli Last przed bombą atomową, tak często wyrażany w 1950 roku, wydaje się jednak przygasać od momentu, gdy minęła najostrzejsza faza wojny koreańskiej. Być może była bardziej politycznie wyrobiona niż wielu z jej rodaków, ale jej poglądy należy zapewne uznać za dość typowe dla pokolenia i klasy społecznej, z której się wywodziła, bo wybuch wojny koreańskiej rozniecił nowe obawy. Należy jednak wątpić, czy jej wyraźny strach był reprezentatywny dla poglądów szerokich rzesz społeczeństwa. Z pewnością na lewicy remilitaryzacja budziła duże emocje. W maju 1952 roku 57 parlamentarzystów z opozycyjnej Partii Pracy zbuntowało się przeciwko partyjnemu kierownictwu, potępiając brytyjski program remilitaryzacji. Na jesieni owego roku Wielka Brytania przeprowadziła swoją pierwszą próbę jądrową, w wyniku czego na lewym skrzydle laburzystów zaczęły narastać głosy zdecydowanie sprzeciwiające się posiadaniu przez Wielką Brytanię broni jądrowej. Do 1957 roku, kiedy Wielka Brytania zaczęła testować znacznie groźniejszą bombę wodorową, Partia Pracy zdawała się w tej sprawie być o krok od podziału. Na corocznej konferencji w 1957 złożono aż 127 wniosków opowiadających się za rozbrojeniem, a partyjna lewica pod wodzą radykalnego Aneurina Bevana ostro atakowała przywódcę partii, Hugh'a Gaitskella, który popierał posiadanie przez Wielką Brytanię samodzielnego arsenału nuklearnego. Kierownictwo laburzystów dostało jednak poparcie przeważającej większości członków partii i nadal zdecydowanie przeciwstawiało się jednostronnemu rozbrojeniu przez Wielką Brytanię.

Także niektórzy członkowie anglikańskiego kleru wyrażali swój głośny sprzeciw wobec brytyjskich ambicji nuklearnych. Kiedy jednak 51 duchownych podpisało petycję, w której wzywali Brytyjczyków do odrzucenia planu budowy bomby atomowej, przeszła ona właściwie niezauważona. Sprzeciw wobec brytyjskich zamierzeń, by stać się mocarstwem atomowym, ograniczał się do niewielkiej mniejszości. Jeden z laburzystowskich ministrów przyznał, że ten temat

nie interesował większości ludzi. Znaczenie miały dla nich kwestie społeczne i ekonomiczne. W sprawie bomby „kolektywnie wzruszali ramionami”.

Ludzie bez wątpienia czuli, że bomba może być czymś strasznym, ale koniec końców lepiej ją mieć, niż nie mieć, a poza tym zwykli obywatele niewiele mogli w tej sprawie zrobić. Jednak pod koniec lat 50. strach przed bombą i żądania, by Wielka Brytania pozbyła się swojego arsenału atomowego, zaczęły narastać. Poczucie niepokoju znajdowało bezpośrednie lub zawołowane odzwierciedlenie w licznych dziełach literackich i w filmie, choć najbardziej ponury obraz konsekwencji ataku nuklearnego na Wielką Brytanię, *War Game (Zabawa w wojnę)* z 1965 roku, został uznany przez BBC za zbyt przerażający dla masowej publiczności i powędrował na półkę.

Strach przed bronią nuklearną sprawił, że pod koniec lat 50. zaczęły się pojawiać pierwsze zorganizowane formy społecznego sprzeciwu. Kampanię na rzecz Rozbrojenia Nuklearnego (CND), założoną w lutym 1958 roku, popierało wielu prominentnych lewicowych intelektualistów i osób publicznych. Wśród nich znaleźli się Bertrand Russell, wybitny filozof i długoletni działacz antywojenny, oraz John Collins, znany duchowny Kościoła anglikańskiego, kanonik londyńskiej Katedry Świętego Pawła, zagorzały pacyfista. W inauguracyjnym spotkaniu, które odbyło się w kolejnym roku w Londynie pod hasłem jednostronnego rozbrojenia nuklearnego Wielkiej Brytanii, wzięło udział 5000 ludzi, głównie zwolenników Partii Pracy. Do 1959 roku organizacja miała ponad 270 oddziałów w całym kraju. Coraz bardziej imponująca siła – w 1962 roku liczbę członków szacowano na 150 000 – organizowała, począwszy od 1958 roku, marsze odbywające się w czasie Wielkanocy. Pierwszy prowadził z Londynu do oddalonego o około 80 kilometrów ośrodka badań nuklearnych w Aldermaston. Kolejne szły w odwrotnym kierunku. W marszach uczestniczyli przede wszystkim dobrze wykształceni przedstawiciele klasy średniej, w większości wyborcy laburzystów. Pochodzili ze wszystkich grup wiekowych. Dwie trzecie stanowili mężczyźni, prawie połowa określała się jako chrześcijanie, podobny odsetek stanowili zadeklarowani pacyfiści.



Niektórzy byli beznadziejnymi idealistami. Dora Russell (druga żona Bertranda), radykalna feministka i znana działaczka społeczna, na której rewolucja październikowa odcisnęła niezatarte piętno, serwowała protestującym herbatę ze swojego wysłużonego autobusu wyborczego. Marsz na Aldermaston z 1958 roku nasunął jej pomysł, by połączyć siły z kobietami z Europy Wschodniej i Związku Radzieckiego we wspólnej inicjatywie pokojowej. W Karawanie Kobiet dla Pokoju, którą zorganizowała w wieku 64 lat (w istocie składała się ona z jej starego autobusu i ciężarówki Forda), wzięło udział 19 kobiet. Ich krucjata polegała na niezwyklej podróży, która trwała 14 tygodni i wiodła przez większość krajów Europy Środkowej i Wschodniej, a skończyła się w Moskwie, gdzie uczestniczki spotkały się z Radzieckim Komitetem Obrońców Pokoju. Pod ścisłą kontrolą pozwolono im nawet odwiedzić kołchozy. Do Anglii wróciły pociągiem. W Londynie jednak mało kto był zainteresowany ich epicką opowieścią.

Strach przed natychmiastową wojną nuklearną nigdy nie był tak namacalny, jak podczas kryzysu kubańskiego w październiku 1962 roku\*. Przez prawie 20 lat stanowił kulminacyjny punkt protestów CND. Podpisany rok później traktat o zakazie prób z bronią jądrową sprawił, że poparcie dla tej organizacji spadło. CND zawsze było ruchem mniejszościowym – z pewnością znaczącym, ale nigdy niecieszącym się poparciem większości, nawet w Partii Pracy. Większość ludzi zdawała sobie sprawę z tego, że założenie, zgodnie z którym posiadanie bomby dałoby Wielkiej Brytanii jakąkolwiek autonomię wobec Stanów Zjednoczonych na wypadek wojny nuklearnej, jest błędne. Nerwowy czas kryzysu kubańskiego jasno pokazał, że gdyby doszło do wojny nuklearnej, Wielka Brytania najprawdopodobniej zostałaby zaatakowana, bez względu na to, czy dysponowałaby bombą, czy nie. Przeciwnicy brytyjskiego programu nuklearnego argumentowali zatem, że posiadanie bomby jest bezprzedmiotowe. Większość ludzi rozumowała jednak inaczej. Społeczeństwo w swej masie nie chciało rezygnować z brytyjskiej niezależności nuklearnej. Bomba była postrzegana jako gwarancja bezpieczeństwa, element odstraszący przed atakiem, który w powszechnym przekonaniu miał nadejść ze strony Związku Radzieckiego. Czy, o ile w ogóle,

można by jej użyć i czy decyzję taką można by podjąć niezależnie od Ameryki – tym mało kto zaprzętał sobie głowę. Przekonanie, że Wielka Brytania może polegać na swym zwycięskim sojuszniku z czasów wojny, Stanach Zjednoczonych, sprzyjało poczuciu zaufania, jeżeli nie wręcz rozleniwienia.

Nie oznacza to, że ideę posiadania przez Wielką Brytanię broni nuklearnej popierano z entuzjazmem. Ludzie łączyli raczej bierną akceptację tego, czego nie mogli zmienić, z ostrożnym optymizmem dotyczącym przyszłości. Z osób poproszonych w sondażu przeprowadzonym w 1959 roku, by spróbowali zabawić się we wróżkę i wyobrazić sobie, co może wydarzyć się do roku 1980, jedynie sześć procent uznało, że wojna atomowa jest prawdopodobna, a 41 procent sądziło, że Związek Radziecki i Zachód będą prawdopodobnie „pokojuowo współistnieć”. Pięć lat później, w kampanii przed wyborami parlamentarnymi w 1964 roku, zaledwie siedem procent wskazywało na obronność jako najważniejszą dla nich kwestię. Życie większości ludzi kształtowały codzienne kwestie bytowe, a nie obawy przed nuklearnym Armagedonem.

Wielka Brytania i Niemcy Zachodnie w latach 50. i wczesnych 60. znajdowały się pod wieloma względami na przeciwległych krańcach spektrum reakcji na zagrożenie, jakie niosła ze sobą zimna wojna. Wielka Brytania postrzegała samą siebie jako byt w dużej mierze odrębny od kontynentu europejskiego, zwycięzcę w drugiej wojnie światowej, wciąż wielkie mocarstwo posiadające światowe imperium i, od 1952 roku, własną broń jądrową. Niemcy Zachodnie dźwigały wszystkie, zarówno psychologiczne, jak i materialne skazy wynikające z całkowitej klęski w drugiej wojnie światowej. Ponadto podzielone i (do 1955 roku) wciąż okupowane i zdemilitaryzowane Niemcy Zachodnie znajdowały się na absolutnie pierwszej linii frontu zimnowojennej konfrontacji i stanowiły oczywiste pole bitwy, gdyby wrogość pomiędzy supermocarstwami przekroczyła masę krytyczną. Najprawdopodobniej padłyby również ofiarą nuklearnego zniszczenia, gdyby konfrontacja wymknęła się spod kontroli. Pojawiały się wprawdzie pewne podobieństwa w sposobie, w jaki ludzie w tych dwóch krajach odpowiadali na niebezpieczeństwo wojny nuklearnej, ale były również poważne różnice.

Zachodni Niemcy tak często znajdowali się w okresie powojennym w oku cyklonu, że stali się szczególnie wyczuleni na zagrożenie dla światowego pokoju, które mógł przynieść ten czy inny kryzys. W październiku 1956 roku, na przykład, podwójny kryzys związany z powstaniem ludowym na Węgrzech i niefortunną awanturą sueską z udziałem Wielkiej Brytanii i Francji, wywołał w Niemczech Zachodnich obawy przed wojną, które nie były mocno odczuwane w Wielkiej Brytanii. Brytyjczycy powszechnie współczuli Węgrom, mordowanym i represjonowanym przez Sowietów, ale generalnie nie towarzyszył temu niepokój, że powstanie może doprowadzić do wojny. Natomiast inwazja na Egipt przez siły anglo-francuskie i izraelskie, choć mocno podzieliła opinię publiczną, była w momencie jej przeprowadzania popierana przez większość społeczeństwa (choć gdy inwazja zakończyła się spektakularną klęską, wyglądało to już inaczej). W Niemczech Zachodnich, dla odmiany, w listopadzie 1956 roku ponad połowa populacji obawiała się kolejnej wojny. Niemal tak samo duży odsetek opinii publicznej uważał, że Sowieci zrealizowaliby swoją groźbę przeprowadzenia ataków raketowych na Wielką Brytanię i Francję, gdyby w Suezie nie doszło do zawieszenia broni. Większość zachodnich Niemców na początku lat 50. uznawała, że zachodnie demokracje i komunistyczny Wschód w dłuższej perspektywie nie będą w stanie pokojowo koegzystować. Niemal połowa ankietowanych w latach 1951–1963 obawiała się rychłego wybuchu kolejnej wojny i czuła, że musi się z nią liczyć. Jedna trzecia populacji sądziła zaś, że w przyszłej wojnie użyta zostanie broń atomowa.

Obawy te z pewnością podzielał pewien starszy obywatel Berlina Zachodniego – należący do niższej klasy średniej Franz Göll, który mieszkał samotnie, a swoje refleksje przelewał na karty intymnego dziennika. Göll w 1958 roku sądził, że „jesteśmy tak blisko trzeciej wojny światowej, że powinniśmy być gotowi na jej wybuch w ciągu godziny”. Był całkowicie przeciwny utrzymywaniu na niemieckiej ziemi arsenału nuklearnego, bo nie tylko czynił on z Niemiec cel ataku w każdej przyszłej wojnie, ale również ograniczał pole manewru jego kraju w potencjalnej konfrontacji supermocarstw. Nie uspokajało go wejście Niemiec

Zachodnich do NATO i obawiał się, że jakiś nieprzewidywalny incydent może wywołać reakcję nuklearną Amerykanów. Jego zdaniem im większe będą zapasy broni, tym większe zagrożenie, że w końcu „skuszą one ludzi z palcem na guziku”. Dochodził zatem do wniosku, że remilitaryzacja i broń jądrowa raczej zagrażają bezpieczeństwu Niemiec, niż je gwarantują.

Mimo tak widocznego niepokoju antynuklearne protesty w Niemczech Zachodnich nie cieszyły się w najniebezpieczniejszej fazie zimnej wojny zbyt dużym poparciem. Kiedy 18 zachodnioniemieckich fizyków atomowych o międzynarodowej renomie – w tym Carl Friedrich von Weizsäcker, Otto Hahn i Werner Heisenberg – podpisało w 1957 roku apel przeciwko używaniu taktycznej broni nuklearnej przez niedawno utworzoną armię federalną, czyli Bundeswehre (kwestię tę rozważał rząd federalny), ich manifest odbił się szerokim echem na całym świecie, natomiast w samych Niemczech Zachodnich wywołał umiarkowane zainteresowanie. Niemniej, za sprawą tego protestu i inspiracji brytyjskim CND, powołano na początku 1958 roku organizację, która miała koordynować zachodnioniemiecki sprzeciw wobec broni nuklearnej, przy wsparciu oddziałów Socjaldemokratycznej Partii Niemiec (SPD), a także znanych intelektualistów i licznych osób publicznych i części teologów protestanckich. Nazwała się „Walką z Atomową Śmiercią” (Kampf dem Atomtod). Wśród czołowych reprezentantów znaleźli się protestancki teolog, Martin Niemöller i katolicki intelektualista, Eugen Kogon (obaj przeszli przez hitlerowskie obozy koncentracyjne), jeden z najśłynniejszych zachodnioniemieckich pisarzy, Heinrich Böll, oraz Gustav Heinemann, znaczący głos w kościele protestanckim i wpływowy polityk (były minister CDU w pierwszym rządzie Adenauera, członek SPD, a w końcu prezydent Niemiec Zachodnich).

O ile Kościoły protestanckie, choć głęboko podzielone w tej sprawie, mocno angażowały się w debatę na temat broni nuklearnej, zachodnioniemiecki Kościół katolicki oficjalnie trzymał się z boku. Zajął stanowisko w 1950 roku, ustami arcybiskupa Kolonii, Josefa Fringsa, który powiedział, że moralnym obowiązkiem jest nosić broń przeciwko totalitaryzmowi. Akceptacja możliwości „wojny

sprawiedliwej”, nawet z użyciem broni nuklearnej, pozostała stanowiskiem Kościoła katolickiego – wywiedzionym z doświadczenia nazizmu, ale teraz przeniesionym na dostrzegalne zło sowieckiego komunizmu. Jedną ze skrajnych (jeśli nie wprost przerysowanych) opinii wygłosił w 1959 roku jezuicki teolog, Gustav Gundlach (skrytykowany za to przez innych katolickich pisarzy), że zniszczenie świata w wojnie nuklearnej byłoby lepszą opcją niż zło rządów totalitarnych.

„Walka z Atomową Śmiercią” starała się mobilizować opinię publiczną przeciw opcji, zgodnie z którą nowo powstała Bundeswehra dysponowałaby bronią nuklearną. Domagała się również usunięcia z terenu Niemiec Zachodnich sojuszniczych arsenałów atomowych. Idąc za przykładem Aldermaston, począwszy od 1960 roku zaczęto organizować antynuklearne marsze wielkanocne, po tym, jak prasa doniosła, że poprzedniej zimy niemieccy żołnierze testowali broń atomową. W kolejnych latach marsze zyskiwały na popularności. Do 1964 odbywały się już w prawie wszystkich dużych niemieckich miastach i miasteczkach; łącznie brało w nich udział około 100 000 obywateli. Wśród uczestników wyróżniali się intelektualiści, duchowni, pisarze i artyści, prawnicy i działacze związkowi, dużo było ludzi młodych. Jednak główne partie polityczne (chrześcijańscy demokraci, liberałowie i socjaldemokraci), a także większość prasy, wrogo odnosiły się wobec ruchu antynuklearnego.

Biorąc pod uwagę tak silnych oponentów w walce o opinię publiczną, nie powinno dziwić, że protestujący nie zdołali przekonać do siebie większości Niemców. Bliskość odczuwanego zagrożenia komunistycznego w oczywisty sposób utrudniała zdobycie poparcia dla propozycji rozbrojeniowych. Dodatkowo początek ruchu protestacyjnego zbiegł się w czasie z wybuchem rozpętanego przez Chruszczowa kryzysu berlińskiego. W przypadku większości ludzi obawy dotyczące eskalacji konfliktu nie przekładały się na sprzeciw wobec broni nuklearnej. To nie był odpowiedni czas, by podejmować ryzyko rozbrojenia. Nie pomógł też z pewnością fakt, że kierownictwo zachodniobrzeźnińskiego oddziału „Walki z Atomową Śmiercią” przejęli komuniści (mimo że oficjalna

Komunistyczna Partia Niemiec została w Niemczech Zachodnich zdelegalizowana w 1956 roku). Kampania „Walki z Atomową Śmiercią” odniosła bardzo umiarkowane sukcesy i trwała krótko. Musiały minąć ponad dwie dekady, zanim ruch antynuklearny w Niemczech Zachodnich ponownie urósł w siłę.

We Francji, drugim kraju Europy Zachodniej, który miał własną bombę atomową, ruch protestów antynuklearnych także zmagał się z nie lada trudnościami. W 1959 roku opinia publiczna we Francji była równo podzielona w kwestii budowy własnej bomby. Prasa konserwatywna była za, lewicowa przeciw. W kolejnych latach rosnący odsetek ankietowanych w sondażach opinii publicznej opowiadał się za wielostronnym rozbrojeniem nuklearnym. Jednak francuska bomba była postrzegana jako symbol prestiżu, znak, że Francja jest wielkim mocarstwem. Francuska bomba budziła sprzeciw wśród ważnych figur, ale ich głosy nie były popierane przez większość społeczeństwa, którą bardziej niepokoiła brudna wojna w Algierii niż perspektywa, że Francja stanie się mocarstwem nuklearnym. Setki pisarzy i osób publicznych (w tym Jean-Paul Sartre i Simone de Beauvoir), uczonych, naukowców i przywódców religijnych zaapelowało w 1959 roku do Charlesa de Gaulle’a, który rok wcześniej został prezydentem nowo utworzonej Piątej Republiki, o zaprzestanie testów nuklearnych. Jednak 13 lutego 1960 roku przeprowadzono pierwszą francuską próbę atomową i, jak pokazał sondaż opinii publicznej opublikowany miesiąc później, spotkał się on z powszechnym poparciem społecznym. Około 67 procent ankietowanych zgodziło się z poglądem, że posiadanie bomby atomowej daje Francji wyższą pozycję na arenie międzynarodowej. Jednak już w 1964, w rok po podpisaniu (na razie jeszcze ograniczonego) traktatu o zakazie prób z bronią jądrową (do którego Francja nie przystąpiła), więcej ludzi sprzeciwiało się posiadaniu przez Francję nuklearnych sił obronnych, niż je popierało. Ten podział odzwierciedlał ostry spór polityczny we Francji, dotyczący zarówno tej, jak i innych kwestii. W połowie lat 60. partie niegaullistowskie sprzeciwiały się posiadaniu przez Francję broni nuklearnej, podczas gdy konserwatyści byli za.

W większości państw Europy Zachodniej można było zaobserwować podobny schemat. Ruch antynuklearny zyskiwał poparcie, szczególnie wśród dobrze wykształconej klasy średniej i skrajnej lewicy, ale spotykał się z oporem politycznego establishmentu, wojska i większości prasy. Często, tak jak w Holandii, żadna z głównych partii nie popierała kampanii antynuklearnej. W tym przypadku holenderska Partia Pracy wspólnie z konserwatystami wspierała instalację natowskich pocisków nuklearnych. W krajach katolickich ruch antynuklearny musiał zmagać się ze sprzeciwem Kościoła. Tak było we Włoszech, gdzie Kościół katolicki wspierał pronuklearną politykę dominujących chadeków (choć to zaczęło się zmieniać po publikacji przez papieża Jana XXIII encykliki *Pacem in Terris* w 1963 roku, która w znacznym stopniu ukształtowała myślenie Kościoła katolickiego w sprawach wojny i pokoju).

Nigdzie antynuklearne kampanie nie zdołały zdobyć poparcia większości społeczeństwa. Sondaże opinii publicznej pokazywały powszechne i rosnące poparcie dla całkowitego rozbrojenia nuklearnego wszystkich krajów i jako krok w tę stronę akceptowano zakaz prób z bronią jądrową. Ale jednostronne rozbrojenie było czymś zupełnie innym.

Poza Wielką Brytanią i Niemcami Zachodnimi ruch antynuklearny cieszył się wyjątkowo wysokim poparciem w Grecji (co jest o tyle zaskakujące, że kraj ten nie ma silnych tradycji pacyfistycznych). Tu także jednak natrafił na ostry sprzeciw ze strony politycznego i wojskowego establishmentu. Po raz kolejny inspiracją okazały się marsze CND na Aldermaston. Strach wywołany kryzysem kubańskim sprawił, że liczba działaczy rosła, szczególnie wśród studentów. Wsparcia udzielali mu również komuniści, zdelegalizowani po wojnie domowej z końca lat 40. Konserwatywny rząd dopatrywał się w ruchu protestów antynuklearnych tendencji rewolucyjnych i odpowiedział brutalnymi represjami. Nie tylko zakazano w 1963 roku marszu (kopii Aldermaston) z Maratonu do Aten, ale aresztowano 2000 protestujących, a kilkuset innych pobito. Taktyka ta miała efekt wręcz odwrotny od zamierzonego. Poparcie zamiast spadać – rosło. A kiedy niezależny grecki deputowany, Grigoris Lambrakis, jedyny człowiek, który z racji posiadania

immunitetu parlamentarnego mógł w 1963 roku ukończyć zakazany marsz na Maraton, został później zamordowany przez prawicową bojówkę, w jego pogrzebie wzięło udział co najmniej pół miliona ludzi. W kolejnym roku wydano zgodę na marsz maratoński i w jego końcowej fazie brało udział około 250 000 ludzi. Jednak ruch antynuklearny pozostawał zdeorganizowany, uzależniony od wsparcia komunistów, a jego cele polityczne były niejasne, czym zraził do siebie wielu Greków. Nieustannie zwalczał go również polityczny establishment i armia. Pomimo imponującego poziomu mobilizacji na marsze maratońskie nie należy przeceniać wsparcia dla ruchu antynuklearnego w Grecji. Tak było we wszystkich krajach Europy Zachodniej. Ludzie byli podzieleni w sprawie przerażającej nowej broni, ale w większości woleli ją zatrzymać, jeżeli pozbycie się jej miałooby oznaczać poddanie się dominacji sowieckiego komunizmu.

Nawet w neutralnej Szwajcarii strach przed bombą nie przekładał się łatwo na poparcie dla antynuklearnych protestów. Na opinię publiczną duży wpływ miała prasa, która odzwierciedlała pronuklearne stanowisko politycznego establishmentu i wojska. Kiedy oddolny ruch na rzecz uniemożliwienia szwajcarskiej armii używania taktycznej broni nuklearnej wymusił referendum w tej sprawie, propozycję odrzuciło dwie trzecie wyborców. Jednak pomimo zwycięstwa w referendum rząd, nie chcąc wzniecać sprzeciwu i podziałów w kraju w tak kontrowersyjnej kwestii, nie podjął żadnych kroków, by uzbroić armię w broń nuklearną.

Jedynie w Danii i Norwegii ruch sprzeciwu wobec broni nuklearnej działał raczej zgodnie z polityką rządu niż w kontrze do niej. Demonstracje przeciw broni nuklearnej miały na celu powstrzymanie rządów przed jej nabyciem lub pozwoleniem na jej rozmieszczenie w tych krajach. Jednak duńscy aktywiści w dużej mierze wyważali otwarte drzwi, bo żadna z głównych partii politycznych nie opowiadała się za rozmieszczeniem broni jądrowej w Danii. Podobnie sytuacja wyglądała w Norwegii, gdzie parlament odrzucił propozycję stacjonowania wojsk nuklearnych. Ten ruch spotkał się z powszechnym uznaniem, ale norweska propaganda antynuklearna zyskała jedynie ograniczone poparcie z racji braku



oczywistych celów praktycznych. Ruch sprzeciwu wobec arsenału nuklearnego zanotował pewne sukcesy w Szwecji, co było konsekwencją eskalacji wyścigu zbrojeń pomiędzy supermocarstwami. Poparcie dla budowy szwedzkiej bomby spadło gwałtownie po debacie nuklearnej, która rozpoczęła się w 1957 roku. Początkowo pomysł popierało 40 procent populacji, ale dekadę później przeciw było już 69 procent. W połowie lat 60. szwedzki rząd zadeklarował, że ograniczy swoją politykę obronną do sił konwencjonalnych.

Każdy kraj w Europie Zachodniej, często początkowo inspirowany przez brytyjską CND, dopracował się własnego ruchu przeciw zbrojeniom nuklearnym. Czasami, tak jak w Wielkiej Brytanii, kładziono nacisk na jednostronne rozbrojenie, ale w większości przypadków celem było globalne zakończenie atomowego wyścigu zbrojeń i wprowadzenie natychmiastowego zakazu prób z bronią jądrową. Takie przekonania mieszały się z pacyfizmem, ale wykraczały daleko poza tę ideologię. Swój szczytowy moment osiągnęły w latach 1957–1963, by następnie przygasnąć, ponieważ napięcie międzynarodowe zelżało po podpisaniu w 1963 roku traktatu o zakazie prób z bronią jądrową. Powszechny wpływ CND pokazuje międzynarodowy charakter ruchów pokojowych. Dominowała jednak perspektywa narodowa. Podejście w dużej mierze zależało od tego, czy historia i tradycja kulturowa kraju miały charakter „mocarstwowy”, czy były oparte o zasadę neutralności i niezaangażowania. Podobnie rzecz się miała z wpływami Kościołów chrześcijańskich, skalą społecznego poparcia dla partii lewicy, poziomem wykształcenia i rolą masowych mediów w promowaniu lęku przed komunizmem i torpedowaniu protestów przez poparcie dla polityki partii rządzących.

O ile w omawianym okresie trudno jest ocenić poziom strachu, fatalizmu i sprzeciwu wobec broni nuklearnej w Europie Zachodniej, to absolutnie niemożliwe jest wyciągnięcie jakichkolwiek prawdopodobnych wniosków na temat opinii ludzi z Europy Wschodniej. Poglądy opozycyjne wobec radzieckiego podejścia do broni nuklearnej, zimnej wojny i Zachodu nie mogły być otwarcie wyrażane. Opinia publiczna była kształtowana przez kierownictwo Związku

Radzieckiego i jego satelitów i organizowana tak, by stworzyć wrażenie maksymalnego poparcia dla polityki reżimu. Głosów dysydentów nie wolno było nagłaśniać, a i tak były one nieliczne. Nieustanna, brutalna propaganda była wymierzona w zachodnich „imperialistów”, „podżegaczy wojennych” i „faszystów”, którzy zagrażali pokojowi, demokracji i socjalizmowi, kwitujących w Związku Radzieckim i innych krajach socjalistycznych. Za pomocą krzykliwych haseł potępiano Amerykanów, którzy „wymachiwali bombą atomową”, podczas gdy Związek Radziecki „stał czujnie na straży pokoju”.

Stanowisko bloku sowieckiego uległo usztywnieniu wraz z zaostrzeniem się zimnej wojny pod koniec lat 40. Do 1950 roku skryształizował się autoportret Związku Radzieckiego jako przywódcy szerokiego międzynarodowego ruchu zwykłych ludzi, pragnących pokoju i uwolnienia od tyranii broni nuklearnej, znajdującej się w rękach zachodnich imperialistów. W marcu owego roku w Sztokholmie spotkał się Kongres Obrońców Pokoju, międzynarodowa organizacja prosowieckich działaczy, celem opracowania programu. Efektem tych prac był apel sztokholmski, który domagał się „bezwarunkowego zakazu broni atomowej”. Uruchomiono następnie szeroko zakrojoną i drobiazgowo zorganizowaną kampanię; intensywnie mobilizowano społeczeństwo na wiecach i masówkach w fabrykach, zakładach i domach, by zbierać w całym bloku sowieckim i poza nim podpisy pod petycją popierającą apel.

Petycję podpisało, tak się przynajmniej twierdzi, ponad 500 milionów obywateli z 79 krajów, w tym 400 milionów z krajów komunistycznych. Resztę stanowili w większości sympatycy Sowietów z innych państw. Do końca 1950 roku petycja została podpisana przez ponad 115 milionów obywateli radzieckich, czyli mniej więcej całą dorosłą populację ZSRR. Na Węgrzech ogłoszono mało prawdopodobny wynik 7,5 miliona zebranych podpisów, podczas gdy cała populacja (w tym dzieci) liczyła 9,2 miliona. W Polsce podpisy złożyło 18 milionów ludzi. Te 190 000 osób, które się nie podpisały (niektórzy tłumaczyli się, że z powodu choroby lub niepełnosprawności), określano mianem „kułaków, spekulantów, reakcyjnych odłamów kleru i członków świadków Jehowy”. Tylko

Jugosławia, systematycznie atakowana przez Związek Radziecki od czasów schizmy w 1948 roku, wybrała inną ścieżkę. Jej własny ruch pokojowy atakował „sowiecki imperializm” jako zagrożenie dla światowego pokoju równie poważne, co agresja zachodnich mocarstw.

Mimo że najgorsze represje za nieprawomyślne poglądy skończyły się wraz ze śmiercią Stalina w 1953 roku, otwarty sprzeciw wobec polityki zbrojeń nuklearnych prowadzonej przez reżim wciąż był niemożliwy. Niektórzy wiodący naukowcy, ośmieleni kontaktami ze swoimi kolegami zaangażowanymi w antynuklearne protesty na Zachodzie, nieoficjalnie domagali się kontroli arsenałów nuklearnych i rozbrojenia. Jednak nawet na najwyższym szczeblu było to ryzykowne. Andriej Sacharow, fizyk jądrowy, odegrał ważną rolę przy budowie radzieckiej bomby wodorowej, ale w latach 70. był prześladowany za otwarcie głoszone poglądy w sprawie praw człowieka i tłumienia wolności w Związku Radzieckim. Kiedy podczas spotkania przywódców państwa i naukowców, które odbyło się w Moskwie w 1961 roku, sprzeciwił się planom wznowienia prób nuklearnych, Chruszczow potępił go przed całą Radą Najwyższą, wygłaszając półgodzinną tyradę.

Sprzeciw wyrażany na zamkniętych spotkaniach nie przedostał się oczywiście do wiadomości opinii publicznej. Sugestię, że oficjalne stanowisko reżimu nie w pełni pokrywało się z powszechnymi poglądami na broń nuklearną można odczytać z ciepłego przyjęcia przez setki obserwatorów w wielu miasteczkach i wsiach niezwyklej wyprawy, którą w 1961 roku podjęło 31 działaczy na rzecz pokoju. Przeszli z San Francisco do Moskwy i w ostatniej fazie ich liczącej 8000 kilometrów wędrówki pozwolono im podróżować po Związku Radzieckim. Jednak to, co ludzie prywatnie myśleli o eskalacji nuklearnego wyścigu zbrojeń i jak bardzo się bali, pozostaje w sferze domysłów.

Można z dużym prawdopodobieństwem założyć, że poglądy większości ludzi były lustrzanym odbiciem obaw Zachodu przed Związkiem Radzieckim. Budzące strach wypowiedzi na temat zachodnich „imperialistów”, podkreślanie nuklearnego zagrożenia, powodowanego przez Stany Zjednoczone i NATO (nie zawsze

nieuzasadnionego), oraz propaganda obrony cywilnej, która skupiała uwagę na niebezpieczeństwie ataku nuklearnego, zapewne przyczyniły się do pogłębienia niepokoju wśród zwykłych obywateli. Jednocześnie nie ma powodu, by wątpić, że większość ludzi mocno wierzyła w to, co się im mówiło o zimnej wojnie (z dokładnie przeciwnego punktu widzenia niż w Europie Zachodniej) i że byli przekonani, że sowiecka potęga stanowi najlepsze zabezpieczenie przed natowską agresją. W związku z tym ludzie w bloku sowieckim zapewne przychylnie przyjmowali pokazy radzieckiego sprzętu wojskowego i manifestacje nuklearnej sprawności (postrzegane na Zachodzie jako zagrożenie), uważając je za gwarancję wobec niebezpieczeństwa ze strony Zachodu, a w szczególności Stanów Zjednoczonych.

Wielki podział wzdłuż żelaznej kurtyny przeciął poglądy na zagrożenie nuklearne tak jak wszystko inne. Strach przed nuklearną zagładą był jednak powszechny po obu stronach kontynentu – stanowił stałą perspektywę w życiu ludzi, nawet jeżeli społeczeństwo (lub jego przedstawiciele) reagowało na nią w różny sposób. W pewnych momentach przesilenia, szczególnie podczas kryzysu kubańskiego w 1962 roku, niepokój narastał gwałtownie, choć zazwyczaj na krótko. Dowody, choć trudno je zebrać i zinterpretować, nie wspierają jednak raczej tezy Erica Hobsbawma (wspomnianej wcześniej), że ludzie żyli w stanie „pewnej nerwowej hysterii” na punkcie bomby.

Bez wątplenia istniało niemal powszechne poparcie dla ograniczenia wyścigu zbrojeń, a najlepiej całkowitego jego zakończenia. Większość ludzi opowiadała się również za nuklearnym rozbrojeniem wszystkich mocarstw – choć rozbrojenie jednostronne było czymś zupełnie innym. Ruch antynuklearny, zapoczątkowany w Wielkiej Brytanii, przybierał na sile, obejmując pod koniec lat 50. praktycznie wszystkie kraje Europy Zachodniej, jako że straszliwy potencjał niszczący bomby wodorowej stał się powszechnie znany, a Europa stanęła w obliczu niebezpiecznego kryzysu w sprawie Berlina. Nigdzie jednak nie zdołał zdobyć poparcia większości społeczeństwa. Antyradziecka propaganda i dostrzegalne zagrożenie ze strony ZSRR wystarczyły, by zagwarantować, że większość

populacji krajów Europy Zachodniej popierała zimnowojenne stanowisko swoich rządów. W bloku sowieckim kontrola opinii publicznej była jeszcze skuteczniejsza, jeżeli chodzi o tłumienie jakichkolwiek głosów kwestionujących politykę nuklearną, zapewniając jednocześnie niemal całkowite oficjalne poparcie dla pokoju, wspierane przez nieustannie narzucaną wizję niebezpiecznych, wojowniczych ambicji Stanów Zjednoczonych i NATO.

Także na wschodzie, na tyle, na ile można to stwierdzić, społeczeństwo idealnego rozwiązania upatrywało w światowym rozbrojeniu nuklearnym, a w każdym razie chciało ograniczenia arsenałów jądrowych. Zarówno we wschodniej, jak i zachodniej Europie różnie ukształtowane ruchy pokojowe cechowała spora dawka realizmu. Dla większości ludzi idealnym rozwiązaniem byłby świat całkowicie wolny od broni nuklearnej. Zdawano sobie jednak sprawę, że broń jądrowa, raz wynaleziona, nie da o sobie zapomnieć. Była częścią życia – przerażającą, jeżeli ktoś za dużo o niej myślał. Starano się więc unikać rozważań o perspektywie nuklearnego Armagedonu. Ludzie wyrzucali ją z głowy. Zajmowali się po prostu swoim życiem, zdając sobie sprawę z zagrożenia atomowym grzybem, ale nie pozwalając, by zdominowało ono ich bytowanie, nie mówiąc już o pogrążaniu się w histerii. Ludzie przyzwyczaili się do strachu. Strach przed nuklearnym konfliktem był raczej zjawiskiem podskórnym niż (za wyjątkiem pojedynczych epizodów) bezpośrednim zagrożeniem. To pozwalało ludziom żyć ze strachem. Przez to w większości fatalistycznie podchodzili do możliwości przetrwania w świecie, który mógł nadal istnieć bez wojny nuklearnej. Niektórzy – nie sposób obliczyć jak wielu – bez wątplenia cieszyli się nawet z obecności broni nuklearnej po obu stronach zimnowojennego podziału, widząc w niej najlepszy sposób na uniknięcie trzeciej wojny światowej. Szczególnie zaś w Europie Zachodniej ludzie mieli całkowicie inne rzeczy na głowie – przede wszystkim, jak najlepiej wykorzystać imponującą poprawę perspektyw gospodarczych, która przyniosła skokowe podniesienie poziomu życia.

---

\* To był jedyny moment w całym okresie zimnej wojny, kiedy odczułem ten strach na własnej skórze. Właśnie poszedłem na uniwersytet, ale na tyle niepokoiła mnie perspektywa, że Wielka Brytania padnie ofiarą ataku nuklearnego, że myślałem o powrocie do domu, by być z moją rodziną. W ciągu kilku dni niebezpieczeństwo minęło, a wraz z nim mój strach.

## ROZDZIAŁ 2

# Stawanie się Europy Zachodniej

---

*Zamiast jedności wielkich mocarstw – zarówno politycznej, jak i ekonomicznej – po wojnie nastąpił całkowity rozdzźwięk pomiędzy Związkiem Radzieckim a jego satelitami z jednej strony i resztą świata z drugiej. Istnieją, krótko mówiąc, dwa światy zamiast jednego.*

Charles E. Bohlen, dyplomata, sowietolog i doradca prezydenta Trumana, sierpień 1947

r.

**P**ocząwszy od lat 50., za sprawą międzynarodowej konfrontacji supermocarstw w Korei i straszliwej eskalacji nuklearnego wyścigu zbrojeń, polityczne arterie w Europie zostały zablokowane. Podział pomiędzy systemami politycznymi Europy Wschodniej i Zachodniej, narastający nieubłaganie od 1945 roku, osiągnął w końcu rozmiary nieprzekraczalnej przepaści.

Podróżnicy w czasach przednowoczesnych dostrzegali podział biegnący z północy na południe Europy, sytuując go zazwyczaj wzdłuż linii, za którą zaczynały się wpływy Kościoła prawosławnego. Na długo przed drugą wojną światową czytelna linia uskoku oddzielała zamożniejsze, bardziej uprzemysłowione regiony na północy i zachodzie Europy od znacznie biedniejszego, w przeważającej mierze rolniczego południa i wschodu. Jednak podział, który narodził się po 1945 roku, miał całkowicie inną naturę. Żelazna kurtyna, która opadła wkrótce po zakończeniu wojny, gwarantowała, że Wschód i Zachód były teraz podzielone

przez niemożliwe do pogodzenia systemy polityczne, napędzane przez wzajemnie wrogie sobie ideologie, co z kolei oznaczało, że gospodarki, społeczeństwa i mentalności obywateli rozwijały się według całkowicie odmiennych schematów.

Im dalej epoka ta odchodzi w przeszłość, tym bardziej ów podział wydaje się surrealistyczny. Pokoleniom znającym jedynie Europę po końcu zimnej wojny trudno jest „poczuć” (nawet jeżeli można to zrozumieć na poziomie abstrakcyjnym), co dla zachodnich Europejczyków oznaczało odcięcie od wielkich stolic w rodzaju Warszawy, Pragi czy Budapesztu albo dla obywateli Europy Środkowej i Wschodniej niemożność podróżowania do Paryża, Rzymu czy Londynu. Nie tylko mieliśmy dwie połowy Europy fizycznie oddzielone od siebie; przekroczenie żelaznej kurtyny w każdym kierunku niosło ze sobą doświadczenie całkowicie innego świata, poczucie alienacji wymieszane z lękiem i izolacją w onieśmielającym i obcym otoczeniu.

Zimna wojna wymusiła nową geografiię. Kraje neutralne, nawet jeżeli formalnie były „niezaangażowane” w żaden ze zdominowanych przez supermocarstwa bloków wojskowych (NATO i Układ Warszawski), w praktyce i tak nie mogły uniknąć przyporządkowania do „Zachodu” (tak jak Austria lub Finlandia) lub „bloku wschodniego (jak Jugosławia). Grecja i Turcja, pomimo swojego usytuowania geograficznego, były traktowane jako część „Zachodu”, podczas gdy ich bałkańscy sąsiedzi należeli do „Wschodu”. Hiszpania i Portugalia, choć tkwiły w dyktaturach, zostały inkorporowane do „Zachodu” z uwagi na swój zajadły antykomunizm i strategiczne znaczenie w roli mostu pomiędzy Atlantykiem a Morzem Śródziemnym.

Dwa bloki oddzielone żelazną kurtyną nie stanowiły pod żadnym względem monolitu. W ich ramach Europa, zarówno po wschodniej, jak i zachodniej stronie, pozostawała kontynentem państw narodowych. Państwo narodowe było powszechnie akceptowaną bazą organizacji politycznej i tożsamości. W tym sensie druga wojna światowa, mimo swoich bezprecedensowo niszczycielskich skutków, na początku nowej ery nie zmieniła niczego. Istniała jednak znacząca różnica. Większość państw narodowych na wschodzie Europy została na nowo stworzona



wraz z końcem pierwszej wojny światowej. Często spoglądały one na Zachód w poszukiwaniu politycznej inspiracji. Większość tamtejszych państw miało za sobą długą – czasami wyjątkowo długą – historię rozwoju. Narodowe tożsamości, historie, tradycje, kultury i przemiany polityczne, które ukształtowały kontynent państw narodowych, wniknęły weń zbyt głęboko, by można je było łatwo lub szybko rozpuścić w tyglu ponadnarodowych uzgodnień. Sowiecki komunizm okazał się niezdolny do postawienia do pionu Jugosławii, państwa narodowego, którego historia obejmowała dotąd nie więcej niż jedno pokolenie. Inne kraje w bloku wschodnim, w szczególności Polska i Węgry, także miały wkrótce pokazać, że są gotowe bronić swoich interesów narodowych i opierać się presji ze strony Moskwy – nawet jeśli musiały sobie zdać sprawę, że władza ostatecznie pochodzi z wieżyczek sowieckich czołgów. Ta militarna potęga gwarantowała, że wyzwania rzucone sowieckiej dominacji nie miały żadnych szans powodzenia. Po pozornym poluzowaniu w latach 1953–1956 ucisk, w którym Związek Radziecki trzymał Europę Wschodnią, znów bezlitośnie się zacieśnił i nie udało się z niego wyrwać przez następne trzy dekady.

Zróżnicowane charaktery państw narodowych w Europie Zachodniej, ich najnowsza historia i dominujące cechy kultury politycznej determinowały fakt, że były one znacznie mniej zuniformizowane w rozwoju politycznym, niż to miało miejsce po wschodniej stronie żelaznej kurtyny. Niemniej pewne wątki przekraczały narodowe granice. Zniknęły destabilizujące czynniki okresu międzywojnia. Faszyzm i narodowy socjalizm wyznawały jedynie szczątkowe, zdyskredytowane mniejszości. Wraz z początkiem zimnej wojny komunizm stracił na atrakcyjności jako rewolucyjna alternatywa dla liberalnej demokracji. Wierzyła w niego mniejszość – znacząca we Włoszech, Francji i Finlandii, ale w pozostałych krajach nieistotna.

Polityczne ograniczenia były mniej wyraźne niż w bloku sowieckim, ale istniały, głównie za sprawą zimnej wojny. Wpływy amerykańskie, kształtowane przede wszystkim przez potrzebę wzmocnienia Europy Zachodniej w roli solidnej zapory przed komunizmem, były kluczowym czynnikiem unifikującym. Więzy

międzynarodowe były kształtowane i wzmacniane przez zachodni sojusz obronny NATO – stanowiący w dużej mierze narzędzie amerykańskiej polityki zagranicznej w Europie. Bez względu na różnice w zachodnioeuropejskich systemach politycznych antykomunizm stał się jednoczącą siłą ideologiczną.

Poziom politycznej konwergencji wśród krajów Europy Zachodniej narzucały również wymogi szybko rozwijających się gospodarek rynkowych (patrz rozdział 4). Partykularne interesy poszczególnych państw narodowych stanowiły, w większym stopniu niż w Europie Wschodniej, główną barierę dla polityki ponadnarodowej, która mogłaby konkurować, nie mówiąc już nawet o zepchnięciu na dalszy plan, z kwestiami dotyczącymi narodowej suwerenności. Dwie wielkie potęgi przedwojenne, które wyszły zwycięsko z ostatniej wojny, czyli Wielka Brytania i Francja, były szczególnie wyczulone na takie dostrzegalne zagrożenia dla interesów narodowych. Niemniej także w Europie Zachodniej rządy poszczególnych państw były poddawane podobnej presji i miały wspólne cele polityczne. Niektóre zaczęły iść w kierunku bliższej integracji, początkowo w wymiarze ekonomicznym, która znalazła formalne odzwierciedlenie w powstaniu Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej (EWG), składającej się z Francji, Włoch, Niemiec Zachodnich i krajów Beneluksu, powołanej do życia traktatem rzymskim w 1957 roku.

Międzynarodowe i gospodarcze naciski przekształciły Europę Zachodnią w pierwszych powojennych dekadach, bez względu na narodowe różnice, w wyraźnie nakreśloną polityczną całość, dzielającą zasady liberalnej demokracji, opartą o coraz bardziej ze sobą powiązane gospodarki kapitalistyczne i z daleko bliższymi związkami ze Stanami Zjednoczonymi, niż to miało miejsce przed wojną. W tych latach na tym półkontynencie zaszła też inna, dość radykalna zmiana. Państwa narodowe przestały być (z wyjątkiem, choć krótkotrwałym, Portugalii) mocarstwami kolonialnymi. Wojna zepchnęła europejski imperializm do defensywy, ale trzymał się on krzepko. Niegdysiejsze wielkie potęgi, Wielka Brytania i Francja, nie miały zamiaru oddawać swoich ogromnych kolonialnych posiadłości. Jednak w dwie dekady po zakończeniu wojny nie pozostało z nich nic,

poza drobnymi resztkami. Tempo rozpadu imperiów oznaczało znaczący zwrot z daleko idącymi konsekwencjami, nie tylko dla nowo powstałych państw, ale również dla politycznej świadomości byłych mocarstw kolonialnych i dla ich międzynarodowego statusu. Oznaczało to również w dłuższej perspektywie, że Europa Zachodnia zajęła się głównie konsolidacją swojej własnej politycznej, ekonomicznej i kulturowej tożsamości. Wszelkie ekspansjonistyczne pomysły, czy to za morzami, czy w samej Europie, odeszły do przeszłości.

## **Demokracja skonsolidowana**

W latach 50. zachodnia połowa kontynentu europejskiego składała się z siedmiu monarchii konstytucyjnych (Wielka Brytania, Belgia, Holandia, Dania, Norwegia, Szwecja, Grecja) i wielkiego księstwa (Luksemburg), 10 republik (Austria, Finlandia, Francja, Irlandia, Włochy, Szwajcaria, Turcja, Niemcy Zachodnie, Portugalia i Hiszpania – z czego te dwie ostatnie były państwami autorytarnymi do połowy lat 70.). Dodatkowo istniało kilka niewielkich, niezależnych księstw, stanowiących pozostałość po czasach feudalnych: Andora, Liechtenstein i Monaco, starożytna republika San Marino (w której w latach 1945–1957 w rządzie uczestniczyli komuniści) i Watykan (którego niezależność gwarantowały traktaty laterańskie z 1929 roku). Malta uzyskała niepodległość od Wielkiej Brytanii dopiero w 1964 roku. Anomalią pozostaje Gibraltar, po dziś dzień stanowiący brytyjskie terytorium zamorskie.

Europa Zachodnia, nawet geograficznie będąca niczym więcej niż luźnym konglomeratem państw narodowych, przed zimną wojną nie istniała jako koncepcja polityczna. Tworzenie Europy Zachodniej było stopniowym i nieliniarnym procesem, ale zaczęło przybierać kształt od 1949 roku, kiedy wyłoniła się grupa liberalnych demokracji, oparta na rządach prawa i współpracy międzynarodowej, która była połączona przez wspólne interesy, szczególnie w dziedzinie obronności. Wykuwała się ona przede wszystkim poprzez zaangażowanie w stworzony pod

egidą USA antysowiecki sojusz, sformalizowany przez założenie NATO w kwietniu 1949 roku.

W tym samym roku 10 krajów (Belgia, Dania, Francja, Irlandia, Włochy, Luksemburg, Holandia, Norwegia, Szwecja i Wielka Brytania, wszystkie za wyjątkiem Szwecji i Irlandii będące państwami założycielskimi NATO) powołało do życia Radę Europy w celu promowania demokracji, praw człowieka i rządów prawa (w oparciu o Powszechną Deklarację Praw Człowieka, przyjętą przez ONZ w grudniu 1948). W ciągu nieco ponad roku dołączyły do niej Grecja, Turcja, Islandia i Niemcy Zachodnie. Do połowy lat 60. do Rady przystąpiły Austria (1956), Cypr (1961), Szwajcaria (1963) i Malta (1965). Pierwszym ważnym krokiem podjętym przez Radę Europy było ustanowienie w 1950 roku (ratyfikowanej w 1953 roku) Europejskiej Konwencji o ochronie praw człowieka i podstawowych wolności, która w tym samym roku powołała do życia Europejski Trybunał Praw Człowieka, dający jednostkom możliwość odwołania w razie domniemych naruszeń Konwencji przez państwa członkowskie. Konwencja starała się ustanowić bazę, która zapobiegałaby jakiegokolwiek powtórce z groteskowej napaści na człowieczeństwo, do której doszło w czasie drugiej wojny światowej, i oferowała inną koncepcję rozwoju społeczno-politycznego od tej realizowanej w zdominowanej przez Sowietów Europie Wschodniej.

Najważniejszym procesem lat 50. i pierwszej połowy lat 60. było utrwalenie, z bezpośrednią lub pośrednią pomocą wojskową Amerykanów oraz z ich wsparciem finansowym, liberalnej demokracji w większości krajów Europy Zachodniej. Bez tego fundamentu wolność, która wkrótce skorzystała z nadzwyczajnego i trwałego wzrostu gospodarczego z lat 50. i 60., nie mogłaby tak rozkwitnąć. Był to oczywisty przykład prymatu polityki.

Natomiast na południowych rubieżach Europy Zachodniej demokracja albo nie istniała, albo trudno się jej było zakorzenić. Jednak podstawowy priorytet obrony przed komunizmem zmuszał Amerykanów (i inne państwa zachodnie) do wspierania tych represyjnych reżimów albo krajów, w których demokracja sprowadzała się raczej do gołosłownych deklaracji niż do praktyki.

Słabość demokracji w południowej Europie miała głębokie korzenie. Turcja, Grecja, Portugalia i, w mniejszym stopniu, bardziej uprzemysłowiona Hiszpania, należały przed drugą wojną światową do najbiedniejszych krajów Europy. Bogactwo było skoncentrowane (i wojna nic tu nie zmieniła) w rękach wąskiej, potężnej elity, podczas gdy większość społeczeństwa wciąż była mocno uzależniona od produkcji rolnej i żyła w dotkliwej nędzy. Polityczny pluralizm wprawdzie istniał, ale miał on charakter klientelistyczny. Armia okazywała się często dominującym czynnikiem w systemach politycznych, kontestowanych przez bezwarunkowo wrogie części ideologicznie podzielonego społeczeństwa. Polityczna przemoc była na porządku dziennym. Autorytaryzm wszelkiej maści albo dominował, albo przynajmniej wyczuwało się go podskórnie. W Portugalii i Hiszpanii także Kościół katolicki odgrywał dużą rolę w popieraniu represyjnych, prawicowych autorytaryzmów. Grecja podczas wojny doświadczyła wielkich zniszczeń i cierpień ludności cywilnej pod okupacją niemiecką, po której natychmiast przyszła zgubna w skutkach i przerażająco brutalna wojna domowa z lat 1946–1949. Turcja, Portugalia i Hiszpania uniknęły zniszczeń dzięki swojej neutralności podczas drugiej wojny światowej. Wszystkie trzy kraje od dawna jednak rządzone były w sposób autorytarny – Turcja przez jednopartyjny reżim istniejący od 1925 roku, czyli od czasu ustanowienia państwa narodowego przez Mustafę Kemala Atatürka, Portugalia od czasu wojskowego zamachu stanu z 1926 roku, a Hiszpania od 1939 roku, gdy w wyniszczającej wojnie domowej zwyciężyli nacjonaści.

Atawistyczny pociąg generała Francisco Franco do dyktatorskich metod nie powstrzymał Stanów Zjednoczonych przed przyjęciem Hiszpanii pod antykomunistyczny parasol obronny dla Zachodu. Najdziksze przykłady zemsty Franco na swoich socjalistycznych i komunistycznych przeciwnikach z czasów wojny domowej rzeczywiście w połowie lat 40. należały już do przeszłości. Hiszpania pozostawała jednak straszliwie biedna. Gerald Brenan po powrocie do kraju, w którym mieszkał przed wojną domową w 1949 roku, wszędzie, gdzie tylko pojechał, zderzał się ze skrajną nędzą gnębiącą społeczeństwo. Uznał, że kraj jest

„skorumpowany i przegniły, a warunki tak złe, że wszyscy, z wyjątkiem może kilku spekulantów, chcą zmiany. Ale żadna rewolucja nie może mieć miejsca. Policja i armia czuwają nad tym i będą czuwać; to jedyne solidne i godne zaufania elementy w tym rozpadającym się kraju”. Pozory narodowej jedności zostały nałożone na wciąż głęboko podzielony kraj, w którym pokonana lewica, szczególnie w przemysłowych regionach Katalonii, Asturii i Kraju Basków, musiała zacisnąć zęby i ukorzyć się przed żądaniami reakcyjnej i represyjnej dyktatury, wspieranej przez wąską kastę rządzącą, elity gospodarcze, Kościół katolicki i rozdęty ponad miarę korpus oficerski. W innych krajach europejskich istniała na tyle silna lewicowa opozycja, by zablokować przystąpienie Hiszpanii do NATO. Jednak Stany Zjednoczone podpisały w 1953 roku umowę o umieszczeniu w Hiszpanii baz morskich i lotniczych, w zamian za co Hiszpania otrzymała amerykańską pomoc wojskową. Pod koniec lat 50. Hiszpania, wtedy już pełnoprawny członek Banku Światowego, MFW i porozumienia handlowego GATT, zaczęła liberalizować swoją gospodarkę i dostrzegać potencjał turystyki. Zaczęła kusić obywateli z północnej Europy, by część swojego coraz większego bogactwa zostawiali pod hiszpańskim słońcem.

Przez pewien czas coraz bardziej anachroniczny reżim był w stanie koegzystować, a nawet czerpać zyski z szybko modernizującej się gospodarki. Było to jednak życie na kredyt. Pod koniec lat 60., gdy tempo wzrostu gospodarczego szalało, tereny wiejskie, stanowiące tradycyjny bastion poparcia dla reżimu, zaczęły się wyludniać wraz z odpływem ludzi do miast i bardziej wydajnych sektorów gospodarki. A gdy robotnicy przemysłowi zdali sobie sprawę ze swojej rosnącej siły, nawet w warunkach represyjnego reżimu, ich bojowe nastawienie zaczęło rozpychać sztywne ramy autorytarnego państwa.

Portugalia, jeden z najbiedniejszych i najbardziej zacofanych krajów Europy Zachodniej, była od 1932 roku rządzona przez António de Oliveira Salazara, byłego profesora ekonomii na Uniwersytecie w Coimbrze. Ideologiczna podstawa reżimu Salazara opierała się głównie na wierze w naród portugalski, silnym antykomunizmie, gorliwym przywiązaniu do tradycyjnych katolickich wartości

i utrzymaniu zamorskich posiadłości (najstarszych ze wszystkich istniejących imperiów). To przywiązanie do rządzonego żelazną ręką imperium stanowiło przeszkodę dla amerykańskiej pomocy. Jednak zimnowojenna strategia przeważała nad obiekcjami. Portugalia była beneficjentem planu Marshalla i członkiem założycielem NATO w 1949 roku. Kluczem do przyjęcia Portugalii do NATO było strategiczne znaczenie Azorów dla Stanów Zjednoczonych w rozpalającej się zimnej wojnie. Na początku lat 60. znaczenie baz na Azorach przekładało się na to, że USA, choć co do zasady popierające ruchy antykolonialne w Afryce, były gotowe przymknąć oko na portugalskie represje wobec angolańskich rebeliantów.

Amerykańska deklaracja wojskowej i finansowej pomocy dla Grecji i Turcji, ogłoszona w 1947 roku przez prezydenta Harry'ego Trumana w ramach jego „doktryny”, która miała bronić „wolne narody” przed komunizmem, stanowiła silną zachętę dla tureckiej elity, by iść w stronę demokracji i liberalizacji gospodarki. Do 1950 roku Turcja przystąpiła do Organizacji Europejskiej Współpracy Gospodarczej, skorzystała z planu Marshalla i została członkiem Rady Europy. Turecki kontyngent należał do pierwszych, który dołączył do Sił Ekspedycyjnych ONZ w Korei 1950 roku, co utorowało krajowi drogę do członkostwa w NATO dwa lata później. Stało się to pretekstem do narodowego święta, bo członkostwo dawało gwarancję wojskowego wsparcia Zachodu na wypadek jakiegokolwiek sowieckiej agresji, a także stanowiło źródło amerykańskiej pomocy finansowej.

Pluralistyczny system polityczny wprowadzony w Turcji w 1946 roku miał charakter fasadowy. A ponieważ pod koniec lat 50. kraj zaczął się pogrążyć w coraz głębszym kryzysie gospodarczym, rząd stawał się coraz bardziej antyliberalny i represyjny, aż w końcu w 1961 roku został obalony w drodze wojskowego zamachu stanu. Choć wkrótce nastąpił powrót do pluralistycznej polityki, wpływy wojska wciąż czaiły się jako stałe zagrożenie, a dekadę później miał miejsce drugi zamach, o zdecydowanie bardziej prawicowym i antykomunistycznym charakterze. Pomimo swojej wątpliwej demokratycznej

legitymacji strategiczna pozycja Turcji zapewniała jej silne poparcie ze strony Amerykanów.

Podobnie jak Turcja, Grecja – głęboko spolaryzowana i pogrążona w ubóstwie – odgrywała zasadniczą rolę w zimnowojennej strategii obronnej NATO. Grecja była silnie uzależniona od rozległej pomocy Amerykanów, a CIA wspierała mocno antykomunistyczną armię i służby bezpieczeństwa. Na skomplikowaną politykę wewnętrzną kraju znaczący wpływ wywierały takie czynniki jak głęboki podział pomiędzy socjalistyczną lewicą (partia komunistyczna została w międzyczasie zdelegalizowana) a konserwatywną prawicą, historyczne zaszłości z Turcją (choć stosunki uległy niejkiej poprawie w latach 50.) oraz nieustające napięcie na będącym brytyjską kolonią Cyprze, gdzie większość populacji opowiadała się za unią z Grecją, podczas gdy turecka mniejszość chciała podziału wyspy. Gorliwy antykomunizm greckich przywódców politycznych pomógł zapewnić amerykańskie wsparcie dla systemu parlamentarnego, który był często mętny i skorumpowany, a w połowie lat 60. przerodził się w chaos, zakończony dopiero zamachem stanu w 1967 roku. Przeprowadzili go dowódcy wojskowi, obawiając się, że planowane na ten rok wybory przyniosą przewidywany zwrot w lewo i otworzą drogę wpływom komunistycznym.

Jednak poza społecznie i gospodarczo zacofanymi południowymi peryferiami Europy Zachodniej, liberalno-demokratyczna forma rządów zdołała się zakorzenić silniej niż kiedykolwiek wcześniej, pełniąc rolę akceptowanej ramy dla społeczeństwa. W nieunikniony sposób charakterystyka tej demokracji różniła się w zależności od kraju. Liczne demokracje, szczególnie na Wyspach Brytyjskich, we Francji, Skandynawii, w Holandii i Szwajcarii, mogły wzmocnić swoje istniejące od dawna korzenie, bez względu na dramatyczne zakłócenia, które miały miejsce w niektórych z nich podczas okupacji niemieckiej. Dla przyszłości Europy kluczowe było jednak to, że w latach 50. demokrację udało się skonsolidować w byłych państwach Osi – we Włoszech, w Austrii i, przede wszystkim, w Niemczech Zachodnich – bo to one wcześniej zniszczyły pokój w Europie.



To był wielki postęp, nie tylko w porównaniu z burzliwym okresem międzywojnia, ale także pierwszymi latami powojennymi, które w nieunikniony sposób stały się świadkiem potężnych politycznych wstrząsów. To, jak sprawdzi się przebudowa partii politycznych i przywrócenie politycznego pluralizmu, nie było w owym czasie pewne. Początkowo wydawało się, że to lewica może skorzystać na prestiżu, jaki zdobyła, uczestnicząc w wojennym ruchu oporu. Jednak partie konserwatywne w zasadzie odzyskały inicjatywę wraz z opadnięciem żelaznej kurtyny, i aż do połowy lat 60. konserwatyzm święcił triumfy w większości państw Europy Zachodniej.

Głównym wyjątkiem od tej generalnej reguły konserwatywnej dominacji była Skandynawia, w której jeszcze przed wojną wykształciła się osobna forma rozwoju społecznego i politycznego, a sama wojna spowodowała jedynie zakłócenie tego procesu, a nie jego załamanie. Kluczem okazała się gotowość, wynikająca z dostrzegania wspólnego interesu, do wypracowania podstaw współpracy zarówno pomiędzy światem pracy i kapitałem, jak i pomiędzy politycznymi reprezentantami partii robotniczych i agrarnych. Stosunkowo wysoki poziom konsensusu politycznego utrzymywał się w dekadach powojennych. Geograficzne oddalenie od reszty kontynentu europejskiego także prawdopodobnie odegrało swoją rolę w kulturowym utrwaleniu skandynawskiej wyjątkowości. Stosunkowo mała populacja (w roku 1950 całą Skandynawię zamieszkiwało nie więcej niż 20 milionów ludzi) i niewielka liczba dużych ośrodków miejskich i przemysłowych sprzyjały promowaniu społecznej spójności. Przede wszystkim jednak ten model działał. Choć wewnętrzny rozwój Szwecji, Norwegii i Danii różnił się, to kompromisy leżące u podstaw konsensualnej polityki pomogły przekształcić kraje skandynawskie ze stosunkowo biednej części Europy w jeden z najlepiej prosperujących regionów. Ważnym krokiem na tej drodze było powołanie w 1952 roku Rady Nordyckiej, zezwolenie obywatelom na podróżowanie bez paszportów i stworzenie ram dla wspólnego rynku pracy (Finlandia dołączyła do niego w 1955). Podobnie jak gdzie indziej, skandynawski dobrobyt był efektem nadzwyczajnego wzrostu gospodarczego w całej Europie w okresie powojennym.

Znakiem firmowym skandynawskiego rozwoju (w różnych narodowych odmianach) była jednak rozbudowana sieć świadczeń społecznych i transferów socjalnych, opłacana z wysokich podatków, realizowana przez stabilne rządy, zdominowane nie przez konserwatystów, co było normą w powojennej Europie, ale przez socjaldemokratów.

Finlandia była częściowym wyjątkiem, bo bliskość Związku Radzieckiego zmuszała ją do dokonywania ostrożnych wyborów. Współpracowała z innymi krajami skandynawskimi, ale jednocześnie zachowywała neutralność (podobnie jak Szwecja) i nie stała się częścią bloku zachodniego (Finlandia nie przystąpiła do NATO, a członkiem Rady Europy została dopiero w 1989 roku). W pierwszych powojennych dekadach była najbiedniejszą częścią Skandynawii, a jej elektorat dzielił się między cztery główne bloki (socjaldemokraci, partia chłopska, komuniści i konserwatywni liberałowie). Rządy były niestabilne (25 w latach 1945–1966), a komuniści, z blisko dwudziestoprocentowym poparciem, stanowili liczącą się siłę polityczną. Mocno kontrastowało to z sytuacją w Szwecji, gdzie komuniści z poparciem nieprzekraczającym pięć procent praktycznie się nie liczyli, a socjaldemokraci z 45 procentami pozostawali dominującą siłą polityczną przez cały okres powojenny. Sowiecka presja gwarantowała, że fińscy socjaldemokraci do połowy lat 60. odgrywali niewielką rolę w rządzie. Stopniowo, lecz nieubłagane Finlandia zaczęła jednak wchodzić w orbitę wpływów zachodnich. Jej system społeczny i ekonomiczny zaczął się upodabniać do panującego w innych krajach skandynawskich. Rozpoczęła się transformacja od biednego narodu rolniczego do zaawansowanego technologicznie państwa z wysokim standardem życia.

Na zachodnich rubieżach Europy Irlandia także odbiegała od typowego wzorca rozwoju politycznego. Klasa nie była, tak jak zazwyczaj, czynnikiem determinującym wybory polityczne. Szczególnie na południu polityka stanowiła odzwierciedlenie spuścizny wojny domowej z lat 1922–1923. Z ideologicznego punktu widzenia niewiele różniło Fianna Fáil, dominującą partię rządową, od głównego ugrupowania opozycyjnego, Fine Gael (która rządziła jedynie w krótkich

okresach, w koalicji z mniejszymi partiami). Kluczem do władzy politycznej był często lokalny system patronatu i powiązania rodzinne, a nie czytelna wizja polityczna. Istniała Partia Pracy, ale podobnie jak Sinn Féin – najbardziej bezkompromisowy głos w walce o zjednoczenie Irlandii – cieszyła się jedynie mniejszościowym poparciem. Najbardziej charakterystyczną cechą Republiki była polityczna i społeczna dominacja Kościoła katolickiego, akceptowana przez przytłaczającą większość obywateli (chodzących do kościoła tłumniej niż jakiegokolwiek inne społeczeństwo zachodnie). Odciskało to silne piętno na systemie opieki społecznej, edukacji i moralności publicznej w tym wciąż w większości rolniczym kraju. Nawet po połowie lat 50., kiedy zaczęto wdrażać nowe inicjatywy mające na celu ożywienie wzrostu gospodarczego, Irlandia pozostawała zaściankiem Europy.

Także w Irlandii Północnej podział był najważniejszym czynnikiem determinującym życie społeczne i polityczne. Sześć hrabstw Ulsteru zamieszkiwała populacja sztywno podzielona według reguł rodem niemal z apartheidu na protestancką większość, której lojalność wobec Korony Brytyjskiej oscylowała między zdecydowaniem a fanatyzmem, i katolicką mniejszość, dyskryminowaną w mieszkalnictwie, edukacji, na rynku pracy i w większości innych aspektów życia. Ci ostatni często spoglądali na Republikę Irlandii po drugiej stronie granicy w poszukiwaniu tożsamości i nadziei na lepsze życie. Ulsterska Partia Unionistyczna (UUP) była w wyborach nie do pokonania. Regularnie zgarniała dwie trzecie głosów, zapewniając w ten sposób dalszą dominację protestantów w prowincji – dominację, która zaczęła się kruszyć dopiero w połowie lat 60., w szybko zmieniających się i coraz bardziej burzliwych warunkach.

Jednak w większości krajów Europy Zachodniej konsolidacja demokracji przebiegała wzdłuż bardziej konwencjonalnych linii podziału na socjalizm i konserwatyzm, obecnych już w latach, które nastąpiły bezpośrednio po wojnie. Ponieważ partie komunistyczne utraciły inicjatywę pod koniec lat 40. z powodu wybuchu zimnej wojny, socjalizm reprezentowały w praktyce partie socjaldemokratyczne, zakorzenione głównie w przemysłowej klasie robotniczej

i wspierające pluralistyczną demokrację. Konserwatyzm występował najczęściej w postaci chrześcijańskiej demokracji, która przywiązywała dużą wagę do tradycyjnych wartości religijnych, choć jej konkretne formy różniły się od siebie. W Niemczech Zachodnich celowo wyszła ona poza wąskie ramy polityki wyznaniowej, która przyniosła tyle szkód w okresie międzywojnia. W Holandii z kolei kontynuacja przedwojennej polityki „filarów” kulturowych (katolików, protestantów i socjalistów) oznaczała, że chrześcijańska demokracja w formie Katolickiej Partii Ludowej nie wychodziła poza swoją bazę wyznaniową. We Włoszech chadecja wyglądała jeszcze inaczej. W kraju bez poważnych podziałów wyznaniowych penetrowała ona sieć organizacji katolickich i budowała trwałą bazę poparcia na prowincji i wśród miejskiej klasy średniej, w dużej mierze odwołując się do katolickich wartości społecznych i moralnych oraz demonstrując swój otwarty sprzeciw wobec komunizmu (a także uwolnienie od politycznego patronatu). W przeciwieństwie do niektórych swoich ideologicznych poprzedników chrześcijańska demokracja, bez względu na formę, była bezwzględnie przywiązana do zasad demokratycznych i gotowa przystosować się do zmian społecznych (i manipulować nimi), a nie opierać się im. Choć w kategoriach wyborczych istniała jedynie niewielka różnica w poparciu dla lewicy i prawicy, partie konserwatywne różnego typu raczej dominowały w okresie od roku 1950 do połowy lat 60., bazując na platformie, którą zbudowały w pierwszych latach powojennego odrodzenia.

Atrakcyjność konserwatyizmu zwiększała powszechna tęsknota za „normalnością”, za pokojem i spokojem, za stabilnymi warunkami, po gwałtownych wstrząsach, masowych wysiedleniach i wielkich cierpieniach, których ludzie zaznali w czasie wojny i bezpośrednio po niej. Stabilizacja była dla większości z nich celem nadrzędnym. Wraz z mroźnymi podmuchami zimnej wojny każdy kraj Europy Zachodniej dbał o wewnętrzną stabilizację. Rządy widziały w niej podstawowy cel i były gotowe wspierać reformy społeczne, w których dostrzegały warunek wstępny do jej utrzymania. Powstawał samonapędzający się mechanizm. Stabilizacja dawała ludziom poczucie

bezpieczeństwa, które zwiększało prawdopodobieństwo dalszej stabilizacji (i kolejnych sukcesów konserwatystów). Tam, gdzie systemy polityczne tworzone od nowa lub poddawano głębokiej rekonstrukcji po wojnie w następstwie niemieckiej okupacji i ostrych wewnętrznych podziałów, które po sobie pozostawiła, wymagało to pewnego poziomu zbiorowej amnezji – gotowości do powstrzymania się od grzebania w bolesnej przeszłości po to, by zapewnić stabilizację i dobrobyt tu i teraz.

Silna potrzeba „normalności” prawdopodobnie by nie wystarczyła, gdyby przez lata nie towarzyszył jej bezprecedensowy wzrost gospodarczy (szerzej o tym w rozdziale 4), który doprowadził do nieznanego wcześniej w dziejach wzrostu zamożności. Szybka, namacalna poprawa standardów życia większości ludzi sprzyjała chęci, by trzymać się tego, co zdawało się funkcjonować tak dobrze. Partie polityczne proponujące radykalne alternatywy czekało trudne zadanie. To zaczęło się zmieniać w połowie lat 60. za sprawą słabnącego szacunku dla władzy, szczególnie wśród młodego, urodzonego po wojnie pokolenia, i kurczących się wpływów Kościołów, które zdecydowanie popierały chrześcijańską demokrację.

Fundamentem sukcesu konserwatyizmu w konsolidacji liberalnej demokracji w Europie Zachodniej była zimna wojna. Na początku lat 50. znacząco przyczyniła się ona do stabilizacji polityki, bo poparcie dla komunizmu spadało mniej lub bardziej wszędzie. Świadomość okrucieństw stalinizmu w Europie Wschodniej i strach przed ekspansją komunizmu stanowiły łatwą pożywkę dla zachodniej propagandy antykomunistycznej, sponsorowanej w większości przez Stany Zjednoczone. Choć nie przybrały one nawet w połowie tak paranooidalnych form jak w USA (gdzie w latach 50. histeria na punkcie „czerwonych kryjących się pod łóżkiem”, której towarzyszyło polowanie na czarownice prowadzone przez senatora Joe McCarthy’ego w amerykańskim Senacie, osiągnęła szczytową fazę), gwałtowność antysowieckich nastrojów pomogła umocnić zachodnią liberalną demokrację. Wojna koreańska na początku lat 50. pogłębiła antykomunizm i jeszcze bardziej wzmocniła partie konserwatywne (różnego typu), które były jego głównym beneficjentem. Partie socjaldemokratyczne z bardziej umiarkowanego

skrzydła lewicy włączyły się w ten trend, jednoznacznie odrzucając sowiecki komunizm.

Ogólnoeuropejski zwrot ku konserwatyzmowi nie ominął Wielkiej Brytanii – konserwatyści rządili krajem od 1951 do 1964 roku. Niemniej pod wieloma względami była ona wyjątkiem na tle państw Europy Zachodniej. Wielka Brytania była jedyną europejską stroną wojującą, która uniknęła okupacji przez wroga. Wyszła z wojny zwycięska, choć wyczerpana i na granicy bankructwa, ale jej polityczne, ekonomiczne i społeczne instytucje funkcjonowały sprawnie. Wojna zaowocowała bezprecedensowym poziomem narodowej solidarności, czasowo zasypując głębokie podziały klasowe, a zwycięstwo nad nazizmem było źródłem narodowej dumy. Monarchia cieszyła się wielką popularnością. Brytyjską demokrację parlamentarną popierało prawie całe społeczeństwo. Większościowy system wyborczy, w przeciwieństwie do systemu proporcjonalnego, panującego w większości krajów Europy Zachodniej, mocno uderzał w małe partie i sprzyjał powstawaniu stabilnych rządów dysponujących znaczną większością.

Wyraźni zwycięzcy wyborczy pojawiali się mimo tego, że elektorat był niemal równo podzielony pomiędzy konserwatystów i laburzystów. W pięciu wyborach parlamentarnych, które odbyły się pomiędzy rokiem 1950 a 1964, wynik konserwatystów wahał się pomiędzy 43,4 a 49,7 procent głosów, laburzystów zaś pomiędzy 43,9 a 48,8 procent. Większość z pozostającej resztówki przypadła liberałom, potężnej niegdyś partii, która teraz mogła jednak liczyć na jedynie około dziewięć procent głosów (w 1951 spadli do zaledwie 2,6 procent). Partie ekstremistyczne były z punktu widzenia wyborczego nieistotne. Faszyci, którzy nawet w latach 30. nie zdobyli w brytyjskim parlamencie ani jednego mandatu, byli całkowicie zdyskredytowani i praktycznie nie istnieli. Partia komunistyczna była niemal całkowicie pozbawiona poparcia wyborczego; 100 kandydatów partii komunistycznej wystawionych w wyborach 1950 roku dostało średnio nie więcej niż dwa procent głosów. Wszystkie te czynniki gwarantowały wysoki poziom trwałej stabilizacji i politykę drobnych korekt, a nie wstrząsów sejsmicznych.

Dla wielu Brytyjczyków zwycięstwo konserwatystów w wyborach 1951 roku i powrót na urząd premiera bohatera wojennego, Winstona Churchilla, wówczas już prawie siedemdziesięciosiedmioletniego, było krzepiące. W istocie nie doszło do radykalnego zerwania z polityką poprzedniego, laburzystowskiego rządu. Konserwatyści, przywiązujący dużą wagę do społecznego pokoju, koncyliacyjnie podchodzili do potężnych związków zawodowych (wspieranych przez prawie 10 milionów członków). Nie próbowali cofnąć nacjonalizacji poszczególnych gałęzi przemysłu, przeprowadzonej przez laburzystowskich poprzedników, sprywatyzowali jedynie w 1953 roku produkcję stali, żelaza i przewozy drogowe. Państwo opiekuńcze zostało utrzymane. Wydatki na Narodową Służbę Zdrowia (NHS) wzrosły. Program budownictwa mieszkaniowego został rozszerzony. W 1954 roku dziennikarze ukuli nawet termin „butskellizm”, wskazujący na ciągłość polityki gospodarczej prowadzonej przez poprzedniego, laburzystowskiego kanclerza skarbu, Hugh’a Gaitskella i jego konserwatywnego następcę, R.A. Butlera („Raba”). Ciągłość charakteryzowała również politykę zagraniczną i obronną. Zwijanie imperium, rozpoczęte za laburzystów, było kontynuowane w miarę, jak w Afryce i Azji postępował ruch na rzecz stworzenia samorządnej, wolnej Wspólnoty Narodów. Nie zmieniło się zaangażowanie w wojnę koreańską, NATO, budowanie „niezależnego potencjału nuklearnego” czy relacje ze Stanami Zjednoczonymi. Konserwatyści przejęli również od laburzystów ostrożny stosunek do pierwszych, nieśmiałyłch kroków na rzecz integracji Europy kontynentalnej. Wielka Brytania wciąż postrzegała samą siebie jako wielką potęgę, odgrywającą ważną rolę na arenie międzynarodowej. Most przez Atlantyk był znacznie ważniejszy niż most przez kanał La Manche.

Konserwatywny rząd w Wielkiej Brytanii był w istocie, choć nie chciał tego przyznać, beneficjentem polityki zaciskania pasa, którą zmuszona była wdrożyć powojenna administracja laburzystowska. Na początku lat 50. sytuacja gospodarcza uległa znacznej poprawie. Warunki handlu układały się korzystnie dla Wielkiej Brytanii. Potrzeba było mniej eksportu, by zapłacić za import. W 1955 roku dochód narodowy był aż o 40 procent wyższy niż w 1950. Skończyło się wreszcie

racjonowanie żywności. Standardowa stawka podatku dochodowego została obniżona do 42,5 procent i pozostała na tym poziomie przez następne ćwierćwiecze. Przez resztę lat 50. kluczowy „wskaźnik dobrostanu” został utrzymany dzięki dynamicznie rozwijającej się gospodarce i rosnącej dostępności dóbr konsumpcyjnych. To dało podstawy do kolejnych zwycięstw wyborczych konserwatystów w latach 1955 i 1959. Premier Harold Macmillan trafnie uchwycił ten pozytywny nastrój społeczny na trzy miesiące przed wyborami w 1959 roku. Stwierdził, że poziom dobrobytu jest najwyższy w brytyjskiej historii. „Bądźmy szczerzy”, zadeklarował w przemówieniu wygłoszonym w lipcu 1959 roku, „większość naszych obywateli nigdy nie miała się lepiej”.

Jednak na początku lat 60. zaczęły narastać problemy gospodarcze, wprowadzono niepopularną kontrolę płac, a rząd pogrążył skandal związany z seksualnymi wyskokami ministra obrony, Johna Profumo. Wizerunek zmęczonego i podupadającego rządu pogłębiło jeszcze odrzucenie przez prezydenta de Gaulle’a w styczniu 1963 roku spóźnionego brytyjskiego wniosku o przyjęcie do EWG. W 1964 roku laburzyści pod wodzą Harolda Wilsona, lidera obdarzonego dobrym słuchem społecznym, który zdawał się prowadzić kraj ku przyszłości, a nie przeszłości, zdobyli minimalną większość. Trzydzieści lat rządów konserwatystów dobiegło końca. Wielka Brytania weszła w nową i, jak się okazało, znacznie mniej stabilną fazę.

Brytyjski konserwatyzm, ze swoimi głębokimi korzeniami, różnił się od jawnie religijnych ideałów, które stanowiły fundament partii konserwatywnych w większości państw kontynentu, z których co ważniejsze otwarcie przyznawały się do „chrześcijańskiej demokracji”. Sukces partii chadeckich był w istocie najważniejszym wydarzeniem w wewnętrznej polityce Europy Zachodniej w czasach bezpośrednio powojennych. Bardziej stabilne warunki w latach 50. zapewniły ramy dla konsolidacji tego pierwotnego sukcesu.

Choć schemat się różnił, w Belgii, Luksemburgu, Holandii, Szwajcarii i Austrii, partie chadeckie (w tonie, nie zawsze z nazwy) odgrywały znaczącą, często dominującą rolę w polityce w latach 50. i na początku 60., a ich znaczenie zaczęło



słabnąć dopiero od połowy lat 60. System rządów w Szwajcarii był dużo bardziej skomplikowany za sprawą silnej pozycji kantonów i częstego bezpośredniego udziału obywateli w polityce na drodze referendum (dzięki czemu niezbędne stały się partyjne kompromisy i współpraca, generalnie sprzyjające w praktyce ugrupowaniom konserwatywnym). Koalicje w każdym z tych państw były normą dzięki proporcjonalnym systemom wyborczym. Jeżeli chodzi o Holandię, gdzie tradycyjne „filary” katolickiej, socjaldemokratycznej i liberalno-konserwatywnej subkultury istniały obok siebie aż do ich erozji w połowie lat 60., istniała tam gotowość do współpracy z konkurencyjnymi partiami w celu zapewnienia stabilnych i efektywnych rządów.

Złożoność „sfilaryzowanych” subkultur w Belgii pogłębiał jeszcze językowy podział kraju na regiony flamandzko- i francuskojęzyczne. To utrudniało kompromis pomiędzy głównymi partiami, socjalistami i chrześcijańskimi socjalistami, i stało się zarzewiem długiego i zażartego konfliktu. Monarchia nie była, przynajmniej we wczesnych latach powojennych, elementem jednoczącym. Dwuznaczna postawa króla Leopolda III podczas wojny – oskarżano go o zbyt przyjazny stosunek do niemieckich okupantów, a nawet o zdradę – nastawiała przeciw niemu znaczny odsetek społeczeństwa. W 1951 roku, kiedy jego powrót z wygnania w Szwajcarii wywołał masowe strajki i protesty, a on uzyskał jedynie minimalną większość w referendum, abdykował na rzecz swojego syna, Baudouina. Tu także doszło do regionalnego podziału. Tylko 42 procent wyborców w Walonii, gdzie dominowali socjaliści, poparło monarchę, podczas gdy we Flandrii, bastionie chrześcijańskich socjalistów, poparcie to wyniosło 70 procent. Baudouin, który władał Belgią do swojej śmierci w 1993 roku, stał się symbolem jedności, którym nie mógł być jego ojciec. Jakimś cudem kraj uniknął rozpadu. Ostatecznie dwie połowy Belgii miały więcej do zyskania na pozostaniu razem niż na rozwodzie, szczególnie gdy zaczął rosnąć poziom zamożności. Jednak językowe antagonizmy miały nadal wpływać na politykę w kolejnych dekadach.

Skłonność do szukania kompromisu i współpracy była szczególnie ważna w Austrii, gdzie chciano się upewnić, że nie dojdzie do powtórki ze szkodliwych

podziałów, które utorowały drogę Hitlerowi. W latach 50. i na początku 60. poparcie wyborcze rozkładało się niemal po równo na chadecką Austriacką Partię Ludową (konserwatywną następczynię przedwojennej Chrześcijańskiej Partii Społecznej) i Partię Socjalistyczną. Znaczenie innych partii, w tym komunistów (którzy mieli śladowe poparcie), było marginalne. Partia nazistowska oczywiście przestała istnieć, choć wielu byłych nazistów zdołało ukryć swoją wątpliwą przeszłość za murem milczenia i amnestii, która objęła wszystkie oprócz najgorszych zbrodni epoki nazistowskiej. Nie bez znaczenia był tu fakt, że Austrii udało się przekonać opinię międzynarodową, iż była „pierwszą ofiarą Hitlera”, pomijając zarazem, jak ciepło przyjęto Anschluss w 1938 roku i jak później całkowicie podporządkowano się hitlerowskiemu reżimowi. Kluczowe dla austriackiej polityki powojennej było to, że udało się przezwyciężyć zajadłą wrogość z lat 30., która doprowadziła do krótkiej wojny domowej w 1934 roku i ustanowienia quasi-faszystowskiego, autorytarnego państwa (zlikwidowanego wraz z niemiecką inwazją w 1938 roku).

W latach 1947–1966 Austrią rządziła „wielka koalicja” dwóch głównych partii. W tym duopolu chadecka prawica i socjaldemokratyczna lewica dzieliły rządowe ministeria i stanowiska w administracji publicznej proporcjonalnie do poparcia w kraju (które było prawie równe). To w nieunikniony sposób musiało doprowadzić do powstania systemu klientelistycznego, w którym partyjna afiliacja stanowiła przepustkę do uzyskania statusu, awansu, mieszkania, pracy, koncesji handlowych i wielu innych korzyści. Ale to działało. Wzrost gospodarczy i zwiększający się dobrobyt przyniosły ze sobą gotowość do unikania sporów pracowniczych, które mogłyby rozkołysać łódź. A geograficzna bliskość Austrii do komunistycznego bloku wschodniego (i wspomnienia sowieckiej okupacji części kraju do 1955 roku), także żywo oddziaływała na umysły. Z zarzewia destabilizacji i niepokoju w Europie Środkowej w latach 30., Austria stała się filarem demokratycznej solidności.

Pod koniec lat 40. chrześcijańska demokracja wyrosła na największą polityczną siłę we włoskiej polityce i utrzymywała około czterdziestoprocentowe poparcie

przez całe lata 50. i we wczesnych latach 60. Połączone siły socjalistycznej i komunistycznej lewicy mogły zazwyczaj liczyć na około 35 procent, choć lepiej zorganizowani i społecznie bardziej radykalni komuniści okazali się zdolni do zwiększenia poparcia, szczególnie w północnym pasie przemysłowym, kosztem podzielonych socjalistów. Na początku lat 60. głównymi przeciwnikami chadecji byli komuniści, których popierała blisko jedna czwarta elektoratu i którzy kontrolowali bastiony poparcia w dużych miastach przemysłowych na północy. Reszta głosów trafiała do szeregu małych partii – liberałów, republikanów, monarchistów i neofaszystów. Polityczny rozdźwięk pomiędzy chadecją a partiami lewicowymi stanowił odzwierciedlenie głębokich podziałów społecznych i ideologicznych, które istniały w kraju. Efektem były osobne subkultury, w których polityczna afiliacja – członkostwo w partiach było tu największe spośród wszystkich krajów Europy Zachodniej – stanowiła konieczny paszport do uzyskania pracy i osobistego awansu.

Włoskie rządy przychodziły i odchodziły, a każdy z nich w okresie 1945–1970 utrzymywał się średnio krócej niż rok. A kiedy Alcide De Gasperi, wybijająca się postać formacyjnych lat chrześcijańskiej demokracji, został usunięty w 1953 roku – zmarł w następnym roku – jego następcą, Giuseppe Pella, był pierwszym z 12 premierów, którzy mieli kolejno sprawować ten urząd do końca lat 60. Sam De Gasperi kierował ośmioma gabinetami. Rząd Pelli przetrwał niespełna pięć miesięcy, a gabinet jego następcy, Amintore Fanfaniego, zaledwie 21 dni. Jednak pod płaszczykiem tych pozornych zmian utrzymywała się pewna ciągłość, zarówno w wymiarze personalnym, jak i politycznym. Ministrowie grali w gorące krzesła, podobnie jak to czynili przed pierwszą wojną światową. Fanfani był premierem łącznie pięć razy, Antonio Segni dwa, Giovanni Leone dwa. Chadecja zaś pozostawała filarem każdego gabinetu. W podzielonej na liczne frakcje partii ideologia schodziła na dalszy plan. Chodziło o to, by utrzymać władzę i, co ważniejsze, system klientelistyczny w jego często skorumpowanej formie, którą Włosi nazwali *sottogoverno* (dosłownie „pod-rząd”). Na zubożałym południu, *mezzogiorno*, sukces chadecji opierał się w dużej mierze na tym, że była w stanie

wpasować się w głęboko zakorzenioną tradycję klientelizmu poprzez rozdawnictwo państwowych dóbr. A na północy, gdzie znajdowały się niektóre spośród jej największych bastionów, chadecja mogła korzystać z rozległej sieci dużych katolickich stowarzyszeń w celu scementowania ich poparcia – i ważnego wsparcia Kościoła katolickiego.

Nieskuteczność serii słabych i efemerycznych koalicji centrowych w latach 50. doprowadziła w 1960 roku do krótkotrwałej próby włączenia do rządu neofaszystów. Wywołało to jednak masowe protesty, w których nie obyło się bez ofiar śmiertelnych. W konsekwencji chadecja dokonała wolty i zaczęła robić podchody pod antykomunistyczną centrolewicę. To ostatecznie doprowadziło do powstania w 1963 roku pod przewodnictwem Aldo Moro koalicji, która obejmowała nawet socjalistów, mimo że przy okazji doszło do podziału w Partii Socjalistycznej, bo znacząca frakcja z lewego skrzydła partii, w tym wielu związkowców, uznała współpracę z chadecją za perspektywę niedopuszczalną.

Trzy rządy Moro przetrwały pięć lat, ale większość obiecanych reform społecznych spełzła na niczym. Rozdęta służba cywilna, której liczebność podwoiła się między rokiem 1948 a 1969, pozostała niezreformowana i chronicznie niewydolna. Wymiar sprawiedliwości, sprawujący nadzór nad system prawnym, działającym niezmiernie powoli i opartym w nieproporcjonalny sposób na absolwentach wydziałów prawa z południa Włoch, tworzyła wysoce konserwatywna kasta z antylewicowym skrzywieniem, zainteresowana przede wszystkim obroną własnych karier i utrzymaniem niezależności od jakichkolwiek wpływów rządowych. Duże i nienarzekające na brak pieniędzy siły zbrojne miały niewiele do roboty, ale utrzymywały dwóch admirałów na każdy okręt i generała na każde 200 metrów granicy z Jugosławią. Panował społeczny i instytucjonalny zastój. Ale dla chadecji utrzymanie władzy było celem samym w sobie.

Przeszkody dla radykalnej zmiany we włoskiej polityce i społeczeństwie były poważne i liczne. Ale też i wysiłki podejmowane przez chrześcijańską demokrację, by taką zmianę wprowadzić, trzeba uznać w najlepszym wypadku za skromne. Jednocześnie chadecja okazywała się zdolna do blokowania reformistycznych sił

na lewicy. Włochy pozostawały krajem głęboko podzielonym, a chadecja przez długie lata swej dominacji starała się raczej tymi podziałami i problemami wewnętrznymi zarządzać, niż je przełamywać. Liderom chadecji to wystarczało. I choć znakiem firmowym włoskiej polityki była niestabilność rządów, to towarzyszyła mu stabilność samego systemu.

Kluczowym krajem dla stabilizacji i demokratyzacji zachodnioeuropejskiej polityki były bez wątpienia Niemcy Zachodnie (czyli Republika Federalna Niemiec i Berlin Zachodni – ten drugi, jako była stolica, wciąż znajdował się pod okupacją czterech mocarstw i formalnie nie był częścią RFN). W momencie ustanowienia w 1949 roku Republiki Federalnej stabilizacja bynajmniej nie była pewna. Nowe państwo było efektem porażki i podziału. Do 1952 roku, kiedy przyznano mu suwerenność w polityce zagranicznej, z technicznego punktu widzenia pozostawało krajem okupowanym, a jego pełną suwerenność uznano dopiero w 1955 roku. Nie miało sił zbrojnych. Nie miało okrzepłego systemu politycznego. Podziały ideologiczne sięgały głęboko. Niedawna nazistowska przeszłość spowodowała ogromne zniszczenia moralne, głęboką nieufność ze strony europejskich sąsiadów (podobnie jak ze strony Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego) oraz problem włączenia do nowej demokracji milionów uchodźców i wysiedlonych (których grupy nacisku były w stanie wywierać znaczący wpływ na rząd) oraz wielu obywateli, którzy w swoim czasie gorliwie wspierali dyktaturę Hitlera, w tym również ludzi bezpośrednio zamieszanych w zbrodnie przeciwko ludzkości.

Niemcy Zachodnie były ważne przede wszystkim dlatego, że ich granice nie zostały ustalone. A z początkiem lat 50. kwestia granic głęboko podzieliła niemiecką opinię publiczną, z której znaczna część – według stanowiska głównej partii opozycyjnej, socjaldemokratów – opowiadała się za szybkim zjednoczeniem i polityczną neutralnością, a nie nieokreślonym podziałem kraju i jego włączeniem w orbitę zimnowojennej polityki, jak to sobie wymyślono na Zachodzie.

W pierwszych wyborach federalnych w sierpniu 1949 roku mnogość partii, choć w większości występujących teraz pod nowymi nazwami, przypominała epokę weimarską. Unia Chrześcijańsko-Demokratyczna (CDU) Konrada

Adenauera z poparciem zaledwie 31 procent elektoratu tylko o włos wyprzedziła głównego rywala, Socjaldemokratyczną Partię Niemiec (SPD), która zgarnęła 29,2 procent. Adenauer, który w czasach Republiki Weimarskiej był burmistrzem Kolonii i skończył właśnie 73 lata, zdołał w drodze skomplikowanych i bezwzględnych targów politycznych sklecić koalicję, uzależnioną przede wszystkim od probiznesowej Partii Wolnych Demokratów (FDP), choć dokooptował do niej również mniejsze partie. Na stolicę Republiki Federalnej wybrano niewielkie miasto nad Renem, Bonn (sarkastycznie ochrzczone je „stołeczną wioską”), a nie wydający się oczywistym wyborem Frankfurt nad Menem. Dla Adenauera Bonn miało jedną niewątpliwą zaletę, było bardzo blisko jego domu w Nadrenii. Adenauer został wybrany kanclerzem federalnym większością jednego głosu (swojego własnego). A jednak w 1963 roku, kiedy ostatecznie zrezygnował ze stanowiska, większość zachodnich Niemców uważała go za większego męża stanu niż Bismarcka.

Czternaście lat Republiki Weimarskiej zakończyło się dojściem Hitlera do władzy. W ciągu 14 lat Republiki Bońskiej udało się skonsolidować liberalną demokrację. Dlaczego drugie podejście Niemców do demokracji powiodło się w 100 procentach, podczas gdy pierwsze zakończyło się tak katastrofalnie?

Pomogły zmiany konstytucyjne. Nie był to jednak główny powód. Twórcy Ustawy Zasadniczej byli z pewnością świadomi wad konstytucji weimarskiej i z powodzeniem udało im się je przewyciężyć. Prezydent republiki pełnił teraz funkcje głównie reprezentacyjne. Dużo trudniej było obalić istniejący rząd w drodze wotum nieufności. I, co być może najważniejsze, uniemożliwiono małym partiom odgrywanie nieproporcjonalnie dużej roli; tylko ugrupowania, które uzyskały ponad pięć procent głosów (początkowo na poziomie regionalnym, ale od 1953 także na federalnym), mogły mieć swoich reprezentantów w Bundestagu.

Kluczowe dla skutecznej konsolidacji demokracji w Niemczech Zachodnich okazały się dwa czynniki. Pierwszym był nadzwyczaj szybki i dynamiczny wzrost gospodarczy, „cud gospodarczy”, jak go ochrzczone, który pozwolił Niemcom poprawić swój standard życia ponad wszystko, co mogli sobie wyobrazić

w momencie zakładania Republiki Federalnej. To sprawiło, że zwykli obywatele stali się aktywnymi udziałowcami w nowym systemie politycznym. Pokazano im, że demokracja pracuje na poprawę ich materialnej kondycji – coś, co Republice Weimarskiej nigdy się nie udało.

Niemcy Zachodnie miały szczęście, podobnie jak wszystkie państwa Europy Zachodniej, mogąc skorzystać z globalnego boomu, który nastąpił po drugiej wojnie światowej. Istniało też jednak kilka wyjątkowych czynników sprzyjających wzrostowi. Niemcy skorzystali z napływu często dobrze wykształconych uchodźców; przybyło ich ponad 10 milionów. Mieli wysoką motywację, chcieli poprawić swój los i byli skłonni pracować za niskie stawki. Kraj bardzo ich potrzebował, bo potrzeby związane z odbudową były ogromne, co przełożyło się na szerokie możliwości zatrudnienia. Potężny potencjał niemieckiego przemysłu, choć poważnie naruszony, nie został całkowicie zniszczony przez wojnę, a nawet częściowo go zmodernizowano, dzięki czemu mógł szybko wrócić na dawne tory. Wojna koreańska przyniosła gospodarce nieoczekiwany bonus. Ponieważ produkcja uzbrojenia była zakazana, zachodniemiecki przemysł przerzucił się na dobra konsumpcyjne, na które znalazł chętny rynek za granicą, napędzając niezwykle boom eksportowy. Dodatkowo zaspokajał też szybko rosnący popyt wewnętrzny. Wzrost gospodarczy napędzała również potrzeba budowy nowych domów, niezbędnych, by poradzić sobie z dotkliwym głodem mieszkaniowym, spowodowanym przez wojnę i napływ uchodźców. W latach 50. zbudowano prawie pięć milionów domów, ożywiając przy okazji dziesiątki branż pobocznych, które obsługiwały budownictwo.

Odrodzenie światowego handlu, zliberalizowanego i uregulowanego zgodnie z porozumieniem z Bretton Woods w stanie New Hampshire z 1944 roku i Układu Ogólnego w Sprawie Taryf Celnych i Handlu (GATT), podpisanego trzy lata później, zapewniło międzynarodowe ramy, w których dynamiczna gospodarka Niemiec Zachodnich mogła rozkwitnąć. Uregulowanie kwestii zachodniemieckiego zadłużenia komercyjnego, uzgodnione w Londynie w 1953 roku, które miało prowadzić do spłaty przy niskim i całkowicie możliwym do

udźwignięcia oprocentowaniu zadłużenia w wysokości około 15 miliardów dolarów w ciągu ponad 30 lat, czyli do 1988 roku (dług został zaciągnięty przed wojną i w czasie wojny u zagranicznych wierzycieli, głównie firm amerykańskich), było kolejnym ważnym krokiem na drodze do odzyskania przez kraj wiarygodności kredytowej. W rzeczywistości dług, dzięki skali rozwoju gospodarczego, został w większości spłacony do końca lat 50. Kwestia odszkodowań dla ofiar nazizmu, z których przeważająca większość żyła w komunistycznych krajach Europy Wschodniej, została jednak odłożona do czasu zawarcia traktatu pokojowego. (Zawarto osobne porozumienie o wypłacie odszkodowań [*Wiedergutmachung*] na łączną kwotę 3,45 miliarda marek Żydom w Izraelu i innych krajach).

Drugim powodem, dla którego do połowy lat 60. demokracja mogła się trwale zakorzenić w Niemczech Zachodnich, była zimna wojna. Wojna koreańska, która na nowo rozbudziła obawy przed kolejnym konfliktem światowym, stanowiła dla wielu zachodnich Niemców, podobnie jak dla innych obywateli Europy Zachodniej, potwierdzenie bezpośredniego zagrożenia, jakie stanowił komunizm. A istnienie „drugich Niemiec” dostarczyło ideologicznego spoiwa. Nawet u przeciwników Adenauera i CDU występowanie tak blisko domu wyjątkowo mało atrakcyjnego dla większości z nich modelu oferowanego przez komunistyczne Niemcy Wschodnie – wizerunek ten nieustannie wzmacniały środki masowego przekazu – przyczyniało się do kształtowania postaw antykomunistycznych, wcześniej cierpliwie budowanych przez nazistów.

Zimna wojna pogłębiła ściśłą zależność od Stanów Zjednoczonych i wzmocniła determinację Adenauera, by szukać form integracji z innymi krajami europejskimi, w szczególności – odkładając na bok zadawnione urazy – z Francją. Dla Adenauera, nadreńczyka, był to ruch tyleż akceptowalny, co niezbędny. Zwrot ku Zachodowi był jednak wysoce kontrowersyjny, ponieważ pociągał za sobą bezpośrednie następstwa: akceptację faktu, że w dającej się przewidzieć przyszłości nie ma co oczekiwać zjednoczenia Niemiec Wschodnich i Zachodnich. To była gorzka pigułka do przełknięcia. Przywódca SPD, Kurt Schumacher (którego postawa wynikała z 10 lat spędzonych w hitlerowskim obozie koncentracyjnym),



nie chciał zrezygnować z priorytetu zjednoczenia, choć podzielał pogląd, że może się ono odbyć tylko pod warunkiem absolutnej gwarancji wolności. Dla Schumachera i mniej więcej jednej trzeciej społeczeństwa, która popierała jego partię, zjednoczone i neutralne Niemcy były znacznie bardziej atrakcyjną propozycją niż wiązanie Republiki Federalnej ze zdominowanym przez Amerykanów, kapitalistycznym (i zmilitaryzowanym) Zachodem.

10 marca 1952 roku, zaalarmowany perspektywą wciągnięcia Niemiec Zachodnich w zachodnie struktury wojskowe skierowane przeciwko Związkowi Radzieckiemu oraz tuż przed podpisaniem fundamentalnego traktatu pomiędzy mocarstwami zachodnimi a Republiką Federalną, którego celem było przywrócenie niemal pełnej suwerenności Niemcom Zachodnim (ostatecznie wszedł on w życie w 1955 roku), Stalin złożył ofertę zachodnim mocarstwom, w której proponował utworzenie zjednoczonych, neutralnych Niemiec. Przewidywał traktat pokojowy i „swobodną działalność demokratycznych partii i organizacji”. Amerykanie, po konsultacji z Brytyjczykami i Francuzami, dali chłodną, ale niecałkowicie odmowną odpowiedź. W drugiej „nocy”, datowanej na 9 kwietnia, Stalin zaproponował wolne wybory w zjednoczonych Niemczech, które miałyby „własne narodowe siły zbrojne” dla obrony kraju.

Adenauer natychmiast wyczuł zagrożenie dla swoich nadziei na integrację z Zachodem – która z jego punktu widzenia stanowiła absolutny priorytet – i, wsparty przez swój gabinet (nie bez początkowych oporów), natychmiast odrzucił tę inicjatywę. Jednak dla większości zachodnioniemieckiego społeczeństwa oferta Stalina była kusząca. Postawienie zachodniej integracji przed zjednoczeniem musiało w nieunikniony sposób budzić duże kontrowersje. Adenauer stąpał po kruchym lodzie. W swoim stanowisku był jednak nieprzejednany. Argumentował, że zjednoczenie może się dokonać tylko poprzez wzmocnienie Zachodu. Zachodnie mocarstwa przyjęły jego tok rozumowania i nie odpowiedziały na drugą „notę Stalina”. 26 maja „traktat niemiecki” pomiędzy Republiką Federalną a mocarstwami zachodnimi scementował ich relacje na dającą się przewidzieć przyszłość. „Nota Stalina” była już wówczas historią.

I wtedy, i później pytano, czy nie była to stracona szansa. Nie była. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można założyć, że ustanowienie i konsolidacja stabilnej liberalnej demokracji okazałyby się dużo trudniejsze, o ile w ogóle możliwe, gdyby przyjęto warunki zawarte w „nocie Stalina”. Nawet czyniąc dość wątpliwe założenie, że warunki oferty zostałyby uczciwie dotrzymane, ryzyko, że cały kraj mógłby zostać stopniowo wciągnięty w sowiecką strefę wpływów, nie było warte podjęcia. Niemcy Zachodnie pozostały więc całkowicie zaangażowane w integrację z Zachodem, a przede wszystkim w amerykańską tarczę obronną. To się opłaciło. Choć propozycja stworzenia Europejskiej Wspólnoty Obronnej została ostatecznie w 1954 roku storpedowana przez Francję, czyli kraj, który początkowo lansował ją najmocniej, to jej efektem było (jak napisałem w rozdziale 1), początkowo wysoce kontrowersyjne, powstanie zachodnioniemieckiej armii, Bundeswehry, integracja z NATO i realizacja celu Adenauera, którym była pełna suwerenność Republiki Federalnej.

Kwestia zjednoczenia, co nie powinno dziwić, budziła w społeczeństwie duże emocje. Nawet w połowie lat 60. dwie trzecie zachodnich Niemców pytanych w sondażach opinii publicznej nadal twierdziło, że zjednoczenie Niemiec jest dla nich najważniejszym celem politycznym. Większość z nich przyjmowała jednak do wiadomości, że przez wiele lat cel ten pozostanie nierealistyczny. Rząd Adenauera także stawiał sobie za ostateczny cel utrzymanie narodowej jedności i odmówił uznania Niemieckiej Republiki Demokratycznej za suwerenne państwo. W praktyce jednak zjednoczenie pozostawało martwą literą na długo, zanim podział Niemiec zaczął przybierać bardziej materialne formy wraz z początkiem budowy muru berlińskiego w sierpniu 1961 roku.

Do tego czasu Adenauer dwukrotnie, w 1953 i 1957 roku, odniósł przekonujące zwycięstwa wyborcze. Wąski margines z 1949 roku został zastąpiony przez wielki wzrost poparcia dla jego partii. W wyborach do Bundestagu w 1957 roku CDU i jej siostrzana bawarska CSU (Unia Chrześcijańsko-Społeczna) zdobyły absolutną większość (50,2 procent głosów). Był to jedyny przypadek w historii Republiki Federalnej, by jakaś partia odniosła

tak przytłaczające zwycięstwo. Hasło Adenauera „żadnych eksperymentów” doskonale trafiało w nastroje społeczne, odzwierciedlając zadowolenie z rosnącej zamożności, będącej efektem „cudu gospodarczego”. Nadzwyczajne tempo wzrostu pozwoliło kanclerzowi zaoferować ważne rozszerzenie świadczeń społecznych, które okazały się istotnym składnikiem jego triumfu: gwarancję indeksacji emerytur do kosztów życia. Zamożność miała się odtąd stać przywilejem także ludzi starszych.

W epoce rosnącej zamożności stare słownictwo, nawiązujące do walki klas, zaczęło trafiać w próżnię. Kierownictwo SPD wyciągnęło z tego wnioski i w 1959 roku, na konferencji partyjnej w Bad Godesberg na przedmieściach Bonn, porzuciło marksistowską retorykę – w praktyce już od dawna pustą – która w owym czasie w najlepszym przypadku przemawiała do mniejszości najwierniejszych wyborców w regionach przemysłowych. Chcąc oswoić klasę średnią i wejść do centrum sceny politycznej, SPD zarzuciło swoją wrogość wobec kapitalizmu i wyparło się dotychczasowego ostatecznego celu, jakim była państwowa własność środków produkcji. Partia już wcześniej porzuciła nacisk kładziony w polityce zagranicznej na kwestię zjednoczenia. W kolejnym roku, 1960, potwierdziła akceptację dla integracji z zachodem, remilitaryzacji (Zachodnich) Niemiec i członkostwa w NATO. Fundamentalne zmiany w programie SPD wskazywały, że Niemcy Zachodnie zmieniają się w nowoczesną demokrację, która, przy całej swojej specyfice wynikającej z historii i zimnowojennego podziału, ma partyjny system polityczny w najważniejszych elementach przypominający ten, który panował w innych krajach Europy. Polityka stała się odtąd domeną korekt, a nie prób wdrażania alternatywnego systemu.

Na początku lat 60. autorytet kanclerza, obecnie osiemdziesięcioletnia, zaczął słabnąć. W wyborach 1961 roku poparcie dla CDU/CSU po raz pierwszy nieznacznie spadło. W październiku kolejnego roku pozycją Adenauera mocno zachwiały skandal, związany ze zleconym przez rząd przeszukaniem redakcji tygodnika „Der Spiegel”, które jako żywo przypominało metody stosowane w czasach nazistowskich. Tygodnik opublikował artykuł, w którym atakował

ministra obrony, Franza Josefa Straussa, i pokazywał niewystarczający potencjał Niemiec Zachodnich w dziedzinie obrony konwencjonalnej. Adenauer zaczął być przez wielu obywateli, którzy wzięli udział w masowych protestach, postrzegany jako człowiek gotowy nagiąć prawo i wesprzeć arbitralne działania, budzące wątpliwości co do trwałości demokracji i obawy przed powrotem arbitralnej władzy państwowej. „Afera Spiegla” stanowiła początek końca ery Adenauera. Nawet w wieku 87 lat Adenauer nie chciał oddać władzy dobrowolnie. Pozostawał jednak w rządzie zbyt długo. Został faktycznie zmuszony do ustąpienia przez własną partię w październiku 1963 roku. To był początek bardziej niespokojnej epoki, zarówno w polityce, jak i w życiu społecznym. Era dominacji konserwatystów dobiegła końca.

Wielu zachodnich Niemców, w szczególności lewicowo-liberalnych intelektualistów, znajdowało sporo powodów do (niekiedy uzasadnionej) krytyki, ich zdaniem mdłej, zatechłej i prowincjonalnej, epoki Adenauera. Często lamentowali nad brakiem artystycznej kreatywności, innowacyjności i dynamizmu. Republika Weimarska dostarczała tego aż w nadmiarze. Jednak jej chroniczna niestabilność polityczna skończyła się Hitlerem. Republika Bońska była z pewnością jedynie jej bladym cieniem, jeżeli chodzi o ferment kulturalny. Stworzyła jednak trwałą stabilizację i dobrobyt.

Niektórzy luminarze uważali, że krytyka wśród intelektualistów idzie za daleko. Pisarz Johannes Gaitanides dostrzegął w 1959 roku „słabości, błędy i potknięcia Republiki Federalnej”, ale twierdził, że błędem byłoby dyskredytowanie jej znakomitych osiągnięć. „Jak wyglądałaby ta krytyka Republiki Federalnej”, pytał, „gdyby nie cud gospodarczy, pełne zatrudnienie, poprawa statusu społecznego robotników, integracja wypędzonych ze wschodu i uchodźców ze środkowych Niemiec [miał tu na myśli regiony, które stały się Niemiecką Republiką Demokratyczną], dalszy rozwój ubezpieczeń społecznych, skrócenie godzin pracy, wciągnięcie robotników do współdecydowania w przemyśle ciężkim i przyznanie odszkodowań ofiarom nazizmu?”. Nie cenił krytyki, która ignorowała takie osiągnięcia jak pojednanie z Francją (wcześniej

„odwiecznym wrogiem”), rosnącą integrację Niemiec Zachodnich z Europą, większą intelektualną i artystyczną wymianę z Zachodem oraz przełamanie barier pomiędzy katolikami i protestantami. Inny pisarz, Kasimir Edschmid, podnosił podobne argumenty w styczniu 1960 roku:

Gdybyś w 1948 roku powiedział jednemu z tych milionów biedaków, którzy dziś jeżdżą własnymi samochodami, że doczeka czasów, w których będzie postrzegany jako człowiek zamożny, dobrze ustawiony, wyjeżdżający na zagraniczne wakacje z twardą walutą – markami niemieckimi – w kieszeni, że będzie szanowaną osobą (niedługo po tym, jak zbierał na ulicy niedopałki papierosów po żołnierzach wojsk okupacyjnych), wytrzeszczyłby oczy i uznał cię za wariata.

Sukcesy Adenauera w kraju i za granicą, przede wszystkim zabezpieczenie stabilnej demokracji w Niemczech Zachodnich, były godne podziwu. Przyszło jednak zapłacić za nie wysoką cenę. Nie chodziło tylko o bolesny podział Niemiec (i utratę, z pozoru na zawsze, byłych prowincji wschodnich poza linią Odry i Nysy – Zachodnich i Wschodnich Prus, większości Śląska i Pomorza oraz części Brandenburgii). Zapłacono też cenę w wymiarze moralnym: była nią gotowość spuszczenia zasłony na przestępstwa z niedawnej hitlerowskiej przeszłości, a nawet akceptacja byłych aktywnych nazistów w rządzie federalnym. Aktywność polityczna tych, którzy wciąż mieli nadzieję na powrót do nacjonalistycznych, autorytarnych rządów, była ściśle ograniczona. Socjalistyczna Partia Rzeszy (*Sozialistische Reichspartei*), licząca około 40 000 członków, została zdelegalizowana w 1952 roku, ale większość efektów i tak ograniczonej denazyfikacji, przeprowadzonej przez aliantów, została cofnięta. W ramach amnestii z lat 1949–1954 wszyscy urzędnicy cywilni z wyjątkiem niewielkiej mniejszości, skazanej za najpoważniejsze zbrodnie popełnione w czasach hitlerowskich, zostali zrehabilitowani i przywrócono im emerytury. Sędziowie i prawnicy, w tym wielu z wątpliwą przeszłością, mogli dalej sprawować swoje funkcje. Jeden z najbliższych doradców Adenauera, Hans Globke, pracował za czasów Hitlera w ministerstwie spraw wewnętrznych Rzeszy i był głównym

autorem komentarza do rasistowskich ustaw norymberskich, wprowadzonych w 1935 roku. Inny był nazista, Theodor Oberländer, minister ds. osób wysiedlonych, uchodźców i ofiar wojny w rządzie Adenauera w latach 1953–1960, przed wojną zaangażowany był w planowanie rasowej przyszłości dla Europy Wschodniej pod rządami nazistów. Emerytury wypłacane wdowom wojennym objęły Linę Heydrich, której mąż, Reinhard, został w czerwcu 1942 roku zabity przez czeskich partyzantów przeszkolonych przez brytyjskie Dowództwo Operacji Specjalnych. Heydrich był szefem Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Ciągłość z nazistowską przeszłością widać było również w składzie osobowym ministerstwa spraw zagranicznych. Wielu byłych nazistów, w tym także ci winni ohydnych działań przed, a zwłaszcza w czasie wojny, zdołało po wojnie zrobić karierę i ostatecznie zmarli spokojnie w swoich łóżkach.

Z moralnego punktu widzenia rehabilitacja byłych nazistów – w tym nawet tych, którzy jako członkowie organów bezpieczeństwa byli zaangażowani w niektóre spośród najgorszych zbrodni przeciwko ludzkości w Europie Wschodniej – była haniebna. Czy była politycznie opłacalna lub nawet konieczna? Aliancka denazyfikacja była wysoce niepopularna. Ludzie nader chętnie zwalali winę za katastrofę, której sami czuli się ofiarami, na Hitlera i innych czołowych nazistów. Trudno się zatem dziwić, że według sondaży opinii publicznej niechętnie widzieli nazistowskich funkcjonariuszy na czołowych stanowiskach w Niemczech Zachodnich. Jednak nadmierne zagłębianie się w działania zwykłych ludzi w czasach dyktatury miało konsekwencje dla zbyt wielu Niemców, panowała więc powszechna wola, by odkreślić przeszłość grubą kreską i skoncentrować się na teraźniejszości i przyszłości. Dla przeważającej większości liczyło się skupienie na maksymalizacji korzyści płynących z „cudu gospodarczego”, bez zadrażniania sytuacji poprzez nadmierne zajmowanie się niedawną przeszłością. W związku z tym adenauerowskie amnestie i rehabilitacje były zgodne z nastawieniem zwykłych ludzi w czasach amnezji. Oczywiście budziły niekiedy duże kontrowersje, tak jak w przypadku Globkego. Jak jednak pokazywały wyniki wyborów, nie szkodziły popularności kanclerza. Reintegracja byłych nazistów

przyczyniła się zapewne także do neutralizacji sił antydemokratycznych. Bardziej zdecydowana denazyfikacja i ściganie hitlerowskich zbrodniarzy mogły natomiast przyczynić się do przypominania podziałów i krzywd z niedawnej przeszłości i może utrudnić szybką stabilizację funkcjonującej demokracji. Jeżeli cel uświęca środki, to można argumentować, że wysoka moralna cena za polityczną nagrodę w postaci skonsolidowania zachodnioniemieckiej demokracji była warta zapłacenia. Republika Federalna nosiła jednak skazę, która miała jej towarzyszyć przez kolejne dekady.

Zaskakiwać może fakt, że jedynym krajem Europy Zachodniej, w którym system rządów zawalił się w latach 50., była Francja. Pomimo gorzkiej spuścizny niemieckiej okupacji i wojennego reżimu Vichy trudno było to przewidywać w momencie powstania Czwartej Republiki w październiku 1946 roku. Jednak po 12 latach, w związku z permanentnym brakiem stabilności rządów i narastającym kryzysem państwa, Czwarta Republika upadła.

Jak można to wytłumaczyć, skoro równie niestabilne, jeżeli chodzi o trwałość rządów, Włochy zachowały chwiejną równowagę? Biorąc pod uwagę, że był to kraj pokonany, w którym w ostatniej fazie drugiej wojny światowej wybuchła wojna domowa, wydawało się nieprawdopodobne, że włoskie struktury polityczne okażą się trwalsze niż wyzwolonej Francji, zaliczonej do zwycięskich Zachodnich Aliantów. A jednak tak się stało.

Z pewnością jeden z głównych problemów stanowiła konstytucja Czwartej Republiki. Polityczną niestabilność gwarantowała łatwość, z jaką można było obalić rząd (choć dobrze funkcjonująca służba cywilna zapewniała wysoki poziom stabilizacji gospodarczej). Przewaga władzy ustawodawczej nad wykonawczą oznaczała z grubsza kontynuację słabej Trzeciej Republiki, zachęcając do walk frakcyjnych i braku dyscypliny partyjnej wśród członków Zgromadzenia Narodowego. Można wręcz powiedzieć, że w Czwartej Republice tendencje te jeszcze się pogłębiły. Léon Blum, który w 1936 roku był premierem rządu Frontu Ludowego, zauważył w 1949 roku, że Czwarta Republika była powtórką z Trzeciej, „jak gdyby francuska historia zachorowała na starcze dzieciństwo,

jąkając się, powtarzała stare myśli i odmawiała nauczenia się czegokolwiek nowego”. Jednak włoska konstytucja także sprzyjała głębokim podziałom frakcyjnym w parlamencie i podobnej gotowości do obalania rządów (przy stosunkowo stabilnym systemie funkcjonowania państwa). Główne powody, dla których losy włoskiego i francuskiego systemu politycznego potoczyły się odmiennie, nie miały charakteru przede wszystkim konstytucyjnego.

Pierwszy polegał na stosunkowej spójności – lub jej braku – konserwatywnej prawicy w obu krajach. We Francji podzielona prawica mogła tylko pomarzyć o dominacji konserwatystów, jaką zapewniła sobie chadecja we Włoszech. W wyborach 1951 roku najbliższy francuski odpowiednik chrześcijańskich demokratów, *Mouvement Républicain Populaire* (MRP, Ludowy Ruch Republikański), postrzegany jako reprezentant interesów katolików, był w stanie zdobyć zaledwie 13,4 procent głosów, czyli nieco mniej, niż uzyskały łącznie różne mniejsze partie konserwatywne i znacząco mniej niż jego główni konkurenci, gaulliści, którzy dostali 21,7 procent. Centrum i lewica były również podzielone między radykałów (partię drobnych przedsiębiorców i prowincji), którzy dostali 10 procent, oraz socjalistów z 15 procentami. Powiązani z Moskwą komuniści – pozostający poza wszelkimi sojuszami – zgarnęli 26 procent. (Podobnie jak we Włoszech siła komunizmu tuż po wojnie wynikała w dużej mierze z głębokości przedwojennych podziałów społecznych i ideologicznych, które zaostrzyły się jeszcze znacząco podczas walki o wyzwolenie w ostatnich latach wojny). Żadna z partii nie zdobyła nawet jednej piątej miejsc w Zgromadzeniu Narodowym, a wszystkie porozumienia koalicyjne były nietrwałe. Polityczny krajobraz był w związku z tym nieodwracalnie poszatkowany.

Bliski związek z rozdrobnieniem francuskiej prawicy miał drugi powód: wyjątkowość postaci Charlesa de Gaulle’a. Wojna sprawiła, że de Gaulle stał się narodowym bohaterem, symbolem francuskiego oporu wobec nazistów. Przekonała również samego de Gaulle’a, że jest niezbędny, by przywrócić Francji narodową wielkość. Stawiał się ponad parlamentarne spory i podchody, które napawały go odrazą, i prezentował się jako zbawca narodu w stanie oczekiwania. W 1946 roku



zrezygnował z kierowania Rządem Tymczasowym, rok później stworzył nowy ruch polityczny, *Rassemblement du Peuple Français* (Zgromadzenie Narodu Francuskiego), ale po kolejnych sześciu latach, gdy popularność tego ugrupowania spadła i poniosło ono druzgocącą porażkę wyborczą, porzucił je i w lipcu 1955 roku po raz kolejny wycofał się z polityki, rzekomo po to, by pisać wspomnienia. Od tego czasu z pogardliwym dystansem przyglądał się Czwartej Republice ze swego domu w Colombey-les-Deux-Églises, przekonany, że nadejdzie czas, gdy Francja znów będzie go potrzebować.

Kryzys, który rzeczywiście wyniósł de Gaulle'a z powrotem do władzy, był wyrazem najważniejszego ze wszystkich czynników, które podmywały Czwartą Republikę: kwestii kolonialnej, a konkretnie Algierii (do której niebawem wrócimy). Gdyby Włochy miały jakikolwiek zewnętrzny problem o podobnej wadze, ich system polityczny mógłby się z powodzeniem załamać pod jego ciężarem. We Francji kwestia algierska tkwiła niczym cień w polityce wewnętrznej. Jej narastające znaczenie wystarczyło, by podzielić kraj i ostatecznie pogrzebać Czwartą Republikę.

Taką Francją prawie nie dało się rządzić. Idealizm, który towarzyszył wyzwoleniu, wydawał się odległy o lata świetlne. Na stagnację ukuto nawet odpowiedni termin: immobilizm. Podobnie jak we Włoszech, rządy przychodziły i odchodziły – przed de Gaulle'em było ich w sumie 20 – ale bez jakiegokolwiek zauważalnego efektu. Stworzenie gabinetu zdolnego przetrwać choćby krótki czas było skomplikowanym procesem. Od czasu do czasu Francja, pozbawiona rządu, na całe tygodnie pogrążała się w stanie bliskim paraliżu. Na początku 1951 roku kraj, ogarnięty wielkimi strajkami na tle płacowym, nie miał rządu przez dziewięć dni. W lipcu i sierpniu pomiędzy upadkiem jednego gabinetu a powstaniem kolejnego minęły 32 dni. Wiosną 1953 roku Francja, jak to opisywała Janet Flanner, dobrze poinformowana Amerykanka, która od dawna mieszkała w Paryżu, przechodziła przez „rekordowo długi, pięcioletni kryzys polityczny”, pozbawiona rządu. Jesienią 1957 roku kraj znów przez ponad pięć tygodni nie miał rządu, podczas gdy trwała fala strajków pracowników sektora publicznego,

protestujących przeciwko temu, że ich płace nie nadążają za szybko rosnącymi cenami, mimo że gospodarka kwitła, a zamożniejsi obywatele podtrzymywali boom konsumpcyjny.

Najskuteczniejszy premier Czwartej Republiki, lewicujący członek partii radykałów, Pierre Mendès-France, dzięki zdecydowanym decyzjom i wielkim umiejętnościom taktycznym był w stanie przetrwać na fotelu premiera przez osiem miesięcy w latach 1954–1955, zanim jego prawicowi przeciwnicy zdołali go obalić. Wówczas Francja pogrążyła się już w kryzysie związanym z wojną domową w Algierii, który miał prześladować kraj także w kolejnych latach. Francuskie rządy nie miały jednak narzędzi, by sobie z nim poradzić. Wybory do Zgromadzenia Narodowego w styczniu 1956 roku wyłoniły kolejny sparaliżowany parlament. W dodatku nowa destruktywna siła na prawicy, poujadyści (twór powstały początkowo ze sprzeciwu wobec nakładania nowych podatków, założony przez Pierre'a Poujade'a, sklepikarza z południowej Francji, który szybko zyskał poparcie drobnych przedsiębiorców) – quasi-faszystowski ruch, który dostał 11,6 procent głosów i zdobył 51 miejsc w parlamencie – dołączyła do bloku nieprzejednanej opozycji obok swoich ideologicznych wrogów, czyli komunistów i gaullistów, umacniając parlamentarny pat i pogłębiając polityczny chaos.

W maju 1958 roku trwająca od czterech lat wojna domowa w Algierii przekształciła się w powstanie białych kolonistów pod wodzą generałów, którzy zagrozili otwartym buntem francuskiej armii, jeżeli generał de Gaulle nie wróci do władzy i nie stanie na czele nowego rządu narodowego. De Gaulle długo czekał na to wezwanie. I teraz nadeszło. W tym samym miesiącu triumfalnie wrócił do polityki. W sytuacji poważnego kryzysu „zbawca w poczekalni” zgodził się wypełnić to, co sam uważał za swoją świętą powinność. Do końca roku uzyskał szerokie społeczne poparcie dla nowej konstytucji i ustanowił Piątą Republikę z faktycznym systemem prezydenckim. Do prerogatyw prezydenta należały w szczególności polityka zagraniczna i obronna. Reformy konstytucyjne wprowadzone w 1962 roku dały de Gaulle'owi jeszcze szersze uprawnienia, rozciągnięte teraz na wiele obszarów w polityce wewnętrznej. Władza parlamentu

została z kolei znacznie ograniczona. Zgromadzenie Narodowe i tak zresztą było zdominowane przez gaullistów, wiernych zwolenników prezydenta, co gwarantowało mu całkowitą kontrolę przy coraz słabszej pozycji lewicy. Był to przykład odgórnie przeprowadzonej konserwatywnej rewolucji.

Pozostawał jednak wielki problem Algierii. Zaskakujące rozwiązanie, na które zdecydował się de Gaulle, należy do jego największych osiągnięć. Kwestia algierska, która zatruwała francuską politykę w latach 50., była jednak częścią szerszego problemu rozbiórki imperium – sprawa ta przysporzyła także różnorodnych kłopotów kilku innym krajom europejskim, w szczególności Wielkiej Brytanii.

## **Odwrót imperiów**

Druga wojna światowa oznaczała początek końca europejskiego imperializmu. Brutalne ambicje ekspansjonistyczne Niemiec w Europie Wschodniej zostały gigantycznym kosztem powstrzymane raz i na zawsze. Włochy zrzekły się formalnie swoich roszczeń kolonialnych w traktacie pokojowym zawartym z aliantami we wrześniu 1947 roku. Jednak pięć krajów Europy Zachodniej – Belgia, Francja, Wielka Brytania i Portugalia – w momencie wstrzymania działań wojennych wciąż posiadało ogromne terytoria zamorskie. I nie miały zamiaru się ich pozbywać. Jednak w ciągu 20 lat od końca wojny zniknęły one niemal całkowicie, jeżeli nie liczyć coraz bardziej anachronicznych kolonii portugalskich (które miały zostać zlikwidowane dopiero w połowie lat 70.) i skromnych pozostałości po potężnych niegdyś imperiach brytyjskim i francuskim.

Ruchom narodowo-wyzwoleńczym dynamiki dodawały idee powszechnych praw człowieka, zapisane w Karcie Narodów Zjednoczonych. Doktryna rasowej supremacji, ideologiczne uzasadnienie imperializmu, straciła swoją wszelką legitymizację. Pozycję mocarstw kolonialnych osłabiały dodatkowo coraz wyższe koszty utrzymywania imperium. Ponieważ kolonializm stał się zarówno kosztowny,

jak i ideologicznie nie do obrony w miarę postępu globalizacji, a siły antykolonialne wzmacniały się (wraz z kolejnymi sukcesami ruchów niepodległościowych), imperialne potęgi stopniowo ulegały presji z ich strony.

Pierwsze rozpadło się imperium holenderskie. Japoński podbój obnażył oczywistą słabość zachodnich potęg kolonialnych w Azji Wschodniej i wzmocnił ruchy narodowe, które wraz z końcem wojny podjęły zbrojną walkę o niepodległość w Holenderskich Indiach Wschodnich, które wkrótce miały stać się Indonezją. Narodowy ruch partyzancki prowadził antykolonialne powstanie przez cztery lata. Holandia próbowała odzyskać panowanie nad swoją kolonią – ważnym dostawcą kauczuku i innych surowców – ale jej siły były zbyt słabe, by powstrzymać powstańców przed ogłoszeniem niepodległości w 1949 roku, choć Holendrom udało się utrzymać dwie wschodnie prowincje, które nazywali Holenderską Nową Gwineą, do 1962.

Belgijskie Kongo nie było bezpośrednio zaangażowane w działania zbrojne podczas drugiej wojny światowej, co prawdopodobnie spowolniło marsz ku niepodległości w porównaniu z analogicznymi ruchami w Azji Wschodniej i Południowej oraz w Afryce Północnej. Belgom – którzy wcześniej traktowali swoje posiadłości z wyjątkową brutalnością i dopiero poniewczasie zaczęli stosować bardziej umiarkowaną, paternalistyczną politykę – coraz trudniej było utrzymać swoją kolonię, aż w końcu w 1959 roku wybuchł zbrojny konflikt. W tym czasie antykolonialna fala, wspierana przez ONZ, szybko przybierała na sile. Zdając sobie sprawę z własnej słabości i z daremności prób utrzymania porządku kolonialnego, Belgowie w ciągu roku przyznali Kongu niepodległość, ale pozostawili po sobie słabe państwo, rozdzielane wewnętrznymi podziałami, które wkrótce pogrążyło się w wojnie domowej.

Rozmiar i geograficzny zasięg imperium brytyjskiego oznaczały, że dekolonizacja musiała być tam bardziej skomplikowanym procesem niż w przypadku Holandii czy Belgii. Tak jak podczas budowania swojego imperium, tak i podczas jego rozmontowywania Brytyjczycy próbowali zazwyczaj dokooptować narodowych przywódców i lokalnych decydentów. Trudno tu mówić

o jednoznacznym sukcesie, ale taka polityka często pomagała w łagodnym procesie transformacji i uniknięciu kolonialnej wojny. Zdecydowanie jednak rosnące w siłę od połowy lat 50. ruchy niepodległościowe gwałtownie osłabiły apetyt na posiadanie imperium.

Pod pewnymi względami zaskakujące jest, jak stosunkowo bezboleśnie – oczywiście raczej dla Brytyjczyków niż dla tych, którzy walczyli o niepodległość i mieszkańców nowo powstałych państw – przebiegał proces zwijania tak gigantycznego zamorskiego imperium. Być może wynikało to po części z faktu, że obywatele brytyjscy nie mieli żadnej szczegółowej wiedzy o byłych koloniach, nie mówiąc już o osobistych czy bezpośrednich doświadczeniach. Choć wiele rodzin miało krewnych w białych dominiach Australii, Kanady, RPA i Nowej Zelandii, imperium w namacalnym sensie wpłynęło głównie na życie elit wyedukowanych w brytyjskich szkołach prywatnych, których absolwenci robili później kariery w kolonialnej służbie cywilnej, armii lub w bankowości i biznesie, obejmującym również handel z posiadłościami zamorskimi. Tak czy inaczej, w latach 60. związki dominiów z Wielką Brytanią były coraz luźniejsze, a społeczne poparcie dla imperium szybko słabło. Z pewnością pozostawała jakaś szczątkowa duma, kiedy ludzie wspominali szkolne mapy pokazujące, nad jak wielką częścią świata dominowała niegdyś Wielka Brytania, szczególnie wśród osób na tyle starych, by pamiętać imperium u szczytu swojej potęgi. Jednak dla wielu młodszych, może nawet dla większości tych, którzy dorastali po wojnie, imperium nie było niczym więcej jak historycznym reliktem, szeregiem odległych, egzotycznych miejsc o dziwnie brzmiących nazwach, znanych tylko z kolorowych znaczków w klaserze.

To, że rozwiązanie imperium spowodowało tak niewielką traumę w kraju, było również konsekwencją jego dalekiego od monolitu charakteru i stopniowego procesu zmian w kierunku wolnego stowarzyszenia państw, czyli „commonwealthu” (wspólnoty narodów). Termin „Brytyjska Wspólnota Narodów” pojawił się już w 1917 roku i stanowił mutację jeszcze wcześniejszego określenia „wspólnota narodów”, pochodzącego z lat 80. XIX wieku. Formalna równość dominiów została ustanowiona w 1931 roku. Uzyskanie przez Indie niepodległości

w 1947 roku doprowadziło do kolejnej zmiany w nazewnictwie. W 1949 roku słowo „brytyjska” zostało usunięte z nazwy tego, co teraz miało być „Wspólnotą Narodów”. W owym roku brytyjski monarcha został uznany głową Commonwealthu, którego członków uznawano za pozostających w wolnym stowarzyszeniu i do którego mogły należeć niepodległe państwa, w tym (tak jak w przypadku Indii) republiki. Choć nie wszystkie brytyjskie terytoria zamorskie zdecydowały się na członkostwo, to większość z tych, które uzyskały niepodległość, poszła tą drogą. To, że cały patchwork terytoriów utracił status zależności i przyjął stowarzyszenie z Wielką Brytanią poprzez Wspólnotą Narodów, oznaczało, że dla większości Brytyjczyków transformacja przebiegła stosunkowo bezboleśnie – w przeciwieństwie zwłaszcza do Francji zaakceptowano ją dosyć biernie i nie spowodowała ona większych zawirowań politycznych w kraju.

Dla brytyjskiego rządu likwidacja imperium oznaczała zazwyczaj ograniczanie strat. Taką politykę prowadzono już w 1947 roku, kiedy Wielka Brytania pogodziła się z nieuniknionym i przyznała niepodległość Indiom, Pakistanowi i Birmie (a w kolejnym roku Cejlonowi). Indie przestały być „perłą w koronie”, jak nazywał je przestarzały slogan. Brytyjski eksport do Indii już przed wojną szybko spadał wraz z rozwojem rodzimego przemysłu, szczególnie tekstylnego. Co więcej, Wielka Brytania, niegdyś ważny kredytodawca, wyszła z wojny z poważnymi długami wobec Indii. Finansowo wyczerpana i niezdolna do pokrywania kosztów brytyjskiego władztwa, szczególnie w obliczu masowych niepokojów i rosnącej wrogości pomiędzy Hindusami i muzułmanami, metropolia przychyliła się do żądań niepodległości, które podnoszono głośno już przed wojną i podczas jej trwania. Próby przekazania zjednoczonego i spokojnego kraju okazały się skazane na porażkę. Niekontrolowane walki religijne i towarzyszące im potworne zbrodnie skłoniły Wielką Brytanię do ogłoszenia na początku 1947 roku, że do następnego lata wycofają się bez względu na konsekwencje. Przemocy nie udało się powstrzymać, podjęto więc decyzję o podziale wschodnioazjatyckiego subkontynentu i stworzeniu niezależnego Pakistanu, zamieszkałego niemal

w całości przez muzułmanów. Indie i Pakistan stały się niepodległymi państwami 15 sierpnia 1947 roku (wschodni Pakistan stał się oddzielnym państwem, Bangladeszem, w marcu 1971 roku).

Wielka Brytania zostawiła Indie w stanie potwornego chaosu. Wycofała się bynajmniej nie „z honorem i godnością”, lecz, jak pisał historyk Piers Brendon, „Brytyjczycy wychodzili wśród krzyku mordowanych, ciągnąc za sobą odór śmierci”. Przemoc religijna, ogromna już przed wycofaniem się Brytyjczyków, później jeszcze przybrała na sile. Objęła większość kraju, ale szczególnie dotkliwa była w gęsto zaludnionych prowincjach – Bengalu na wschodzie i Pendżabie na północy. Muzułmanie, Hindusi i pendżabscy sikhowie żyli obok siebie od pokoleń, ale teraz odkryli, że nowe granice mają przebiegać przez środek ich prowincji. Strach i przemoc napędzwały się wzajemnie, podczas gdy ludzie uciekali lub byli wypędzani do nowych krajów. Szacuje się, że te masakry kosztowały życie około miliona ludzi, a blisko 13 milionów uchodźców przekroczyło nowe granice w ramach prowadzonych na ogromną skalę „czystek religijnych”, szukając bezpiecznego schronienia. Zgwałcono dziesiątki tysięcy kobiet. Podpalano wsie. Stosunki pomiędzy Indiami a Pakistanem miały pozostać napięte przez dziesięciolecia. Jednak tragedia Hindusów i Pakistańczyków i utrata tego, co przez dwa stulecia uważano za fundament zamorskiego władztwa Wielkiej Brytanii, nie wywołały wielkiego poruszenia wśród brytyjskiej opinii publicznej, udręczonej powojenną biedą i zajętej głównie własną niedolą i problemami.

Ograniczanie strat i wycofywanie się w obliczu niekontrolowanej przemocy znaczyły również brytyjską rezygnację z zaangażowania na terytorium mandatowym Palestyny w 1947 roku. „Mandaty” ustanowione przez Ligę Narodów wraz z końcem pierwszej wojny światowej i upadkiem imperium otomańskiego formalnie oznaczały prowadzenie spraw przez mocarstwa kolonialne w trakcie procesu transformacji, prowadzącego do samostanowienia. Wielka Brytania otrzymała mandaty w Palestynie, Transjordanii (później Jordanii) i Iraku, Francja zaś w Syrii i Libanie. W deklaracji Balfoura z 1917 roku Wielka Brytania poparła sprawę syjonistyczną, czyli stworzenie „narodowego domu dla Żydów”

w Palestynie. Głównym motywem stojącym za deklaracją nie był jednak humanitaryzm, lecz chęć zjednania sobie Żydów amerykańskich dla idei wsparcia przez Stany Zjednoczone aliantów w wojnie i przekonanie Żydów rosyjskich, by nie popierali pomysłu separatystycznego pokoju z Niemcami. Ten z jednej strony naiwny, a z drugiej cyniczny ruch przygotował grunt pod pole minowe, które do dziś nie zostało rozbrojone.

Deklaracja nie odnosiła się konkretnie do państwa żydowskiego, a Arthur Balfour, ówczesny brytyjski minister spraw zagranicznych, podkreślał, że prawa nieżydowskich społeczności w Palestynie nie powinny doznać uszczerbku. Było to jednak myślenie życzeniowe. Arabską wrogość podsyciała szybko rosnąca liczba żydowskich osadników, którzy napływali wraz z nasilaniem się prześladowań Żydów w Europie w latach 30. Brytyjscy władcy brutalnie tłumili arabskie protesty, które w latach 1936–1939 przybrały rozmiar otwartej rewolty. Ale ich propozycje, najpierw podziału, a później jednolitego państwa z ograniczoną imigracją żydowską, nie satysfakcjonowały ani Arabów, ani Żydów. Kiedy Brytyjczycy nawet po drugiej wojnie światowej obstawali przy niskich kwotach imigracyjnych – podczas gdy Amerykanie, wspierani przez opinię międzynarodową naciskali na to, by duża liczba ocalonych z Holokaustu mogła znaleźć bezpieczne schronienie w Palestynie – musieli się zmierzyć z falą syjonistycznych ataków terrorystycznych. Wiedzieli jednak, że stoją przed dylematem: przyjęcie amerykańskiego żądania zwiększenia żydowskiej imigracji niemal na pewno spowodowałoby nową arabską rewoltę. Co więcej, koszty utrzymania mandatu w Palestynie – 40 milionów funtów rocznie na utrzymanie tam stutysięcznego garnizonu – były zdecydowanie za wysokie dla zbiedniałej po wojnie Wielkiej Brytanii. „Nadszedł niemal czas”, radził w 1947 roku laburzystowskiemu rządowi kanclerz skarbu, Hugh Dalton, „kiedy musimy całkowicie wycofać nasze oddziały z Palestyny”.

Nie widząc wyjścia z impasu i przy rosnącej niechęci do brytyjskiego mandatu, rząd w Londynie w 1947 roku dał za wygraną i pozostawił znalezienie rozwiązania ONZ. Gdy jednak organizacja uzgodniła podział Palestyny na państwo żydowskie



i arabskie, Brytyjczycy odmówili wdrożenia tego planu ze względu na gwałtowny sprzeciw strony arabskiej i poinformowali, że zakończą swój mandat z dniem 14 maja 1948 roku. W tym momencie żydowscy przywódcy na czele z Dawidem Ben Gurionem ogłosili powstanie państwa Izrael. Zostało ono natychmiast uznane przez wiele krajów, w tym Stany Zjednoczone i Związek Radziecki. Cierpienia europejskich Żydów podczas ludobójstwa zorganizowanego przez hitlerowskie Niemcy stanowiły w oczach świata pilny moralny imperatyw do stworzenia żydowskiej ojczyzny w Izraelu. Jednak państwa arabskie stanowczo odrzuciły to, co ich zdaniem było jawną aneksją Palestyny. Grunt pod pierwszą wojnę pomiędzy Izraelem a jego arabskimi sąsiadami, wojnę z lat 1948–1949, został przygotowany.

Podziały wśród arabskich armii pozwoliły Izraelowi do czasu zawarcia rozejmu podpisanego w lutym 1949 roku zwiększyć swój stan posiadania poza linię podziału proponowaną pierwotnie przez ONZ. Izrael zbrojnie umocnił swoje istnienie. Wywołał jednak głęboką, niezaspokojoną nienawiść wśród swoich sąsiadów, a także wśród 750 000 Palestyńczyków, którzy stali się uchodźcami w Jordanii (dawnej Transjordanii), Syrii, Libanie i Strefie Gazy. Rozejm z 1949 roku nie rozwiązywał niczego. W istocie gwarantował, że działania wojenne zostaną prędzej czy później wznowione. Późniejsze konsekwencje problemu palestyńskiego dla Wielkiej Brytanii i całej Europy (a także dla większości świata) miały być głębokie. Wówczas jednak w niegdysiejszym kolonialnym imperium zapanowała ulga, że udało się mu wyplątać z tak skomplikowanej sytuacji. Brytyjczycy, zajęci swoimi sprawami, byli zadowoleni, że pozbyli się problemu Bliskiego Wschodu, którego w większości ani nie rozumieli, ani którym nie byli zainteresowani.

Wycofanie się Brytyjczyków z Indii i Palestyny nie sygnalizowało rychłego końca ich zamorskiej obecności gdzie indziej. Brytyjskie siły powstrzymały – przynajmniej chwilowo – ruch narodowy na Malajach, regionie bogatym w cenne zasoby kauczuku, wprowadzając tam w czerwcu 1948 roku stan wyjątkowy i rzucając wojsko przeciwko komunistycznym powstańcom. W latach 1952–1956 brutalnie, kosztem tysięcy ofiar, stłumili krwawe powstanie Mau-Mau, ruchu

antykolonialnego, który nie cofał się przed popełnianiem straszliwych zbrodni. Mury kolonializmu wydawały się trzymać mocno, jednak do czasu. Co ciekawe, wydarzenia, które doprowadziły do ostatecznego zakończenia brytyjskiej epoki kolonialnej, miały miejsce w kraju już niepodległym, formalnie nigdy niebędącym częścią imperium: w Egipcie.

W lipcu 1952 roku grupa egipskich oficerów obaliła króla Faruka – rozrywkowego monarchę, który rozrzutny styl życia łączył z całkowitą nieumiejętnością rządzenia. Jeden z oficerów, pułkownik Gamal Abdel Naser, szybko wyrósł na najważniejszą postać w nowo proklamowanej republice. W ciągu dwóch lat został prezydentem i poza granicami Egiptu zaczęto go traktować jako lidera arabskiego ruchu antykolonialnego. Jego antyzachodnie stanowisko i przyjazne sygnały wysyłane w kierunku bloku sowieckiego (który dostarczał mu broń w sytuacji, gdy USA nałożyły na niego embargo), budziły rosnącą wrogość w Stanach Zjednoczonych, a także w Wielkiej Brytanii i Francji. Naser był postrzegany jako poważne niebezpieczeństwo dla wpływów Zachodu w tak niestabilnym regionie i zagrożenie dla bogatych złóż ropy, niezbędnych zachodnim gospodarkom. Brytyjski premier, Anthony Eden, który w kwietniu 1955 roku zastąpił starego i zniedołężniałego Winstona Churchilla, w latach 30. z bliska przyglądał się klęsce prób ugłaskania agresji Hitlera i Mussoliniego. To fatalnie wpłynęło na jego ocenę Nasera. Przedstawiał go, nieco historycznie, jako dyktatora, który tym razem musi zostać powstrzymany. Francuski premier z ramienia socjalistów, Guy Mollet, który bał się wpływu lansowanej przez Nasera panarabskiej ideologii na muzułmańskich mieszkańców francuskich posiadłości w Afryce Północnej, zgadzał się z tym w pełni. Mówił, że zamiary Nasera przypominają mu cele Hitlera wyłożone w *Mein Kampf*. Francuzi, jak donosiła Janet Flanner, zjednoczeni przez „kompleks Monachium” uważali Nasera za „arabskiego Hitlera” i byli gotowi „zaryzykować małą wojnę”, by zapobiec wielkiemu konfliktowi, wznieconemu przez „panarabizm”.

Zgodnie z porozumieniem z 1936 roku brytyjscy żołnierze mogli stacjonować w Egipcie, by chronić strefę Kanału Sueskiego, kluczowy szlak dostaw taniej ropy.

Jednak w 1954 roku Brytyjczycy zgodzili się ewakuować swoje siły, postrzegane przez Egipcjan jako kolonialni okupanci, i w czerwcu brytyjscy żołnierze opuścili strefę kanału. 19 lipca Amerykanie, coraz bardziej wściekli na Nasera za próby skłócenia ich z Sowietami i wykorzystania tego na swoją korzyść, zamrozili fundusze, które miały posłużyć do sfinansowania Tamy Asuańskiej na Nilu, wielkiego projektu budowlanego, ważnego zarówno jako symbol narodowego prestiżu, jak i z punktu widzenia zaopatrzenia Egiptu w wodę. W kolejnym tygodniu Naser znacjonalizował Kanał Sueski.

Kiedy dyplomatyczne wysiłki, by skłonić Nasera do zmiany zdania zawiodły, Wielka Brytania i Francja zdecydowały się wnieść sprawę na forum ONZ. Tam, co nie było zaskoczeniem, radzieckie weto przekreśliło wszelkie szanse na znalezienie rozwiązania. Tymczasem za kulisami brytyjscy i francuscy przywódcy przygotowywali się do zignorowania ONZ i planowali rozwiązanie militarne. Co zadziwiające, sądzili, że mogą działać, nie informując nawet amerykańskiego rządu, co im chodzi po głowie – był to ostatni pokaz pychy kolonialnych potęg w polityce zagranicznej. Uknuło ściśle tajny spisek z udziałem Izraela. Jego żołnierze mieli opanować półwysep Synaj. Następnie Wielka Brytania i Francja, po zażądaniu wycofania się obu stron, z pełną świadomością, że propozycja ta zostanie odrzucona, miały przeprowadzić ataki z morza i z powietrza, „przywrócić porządek” i w ten sposób odzyskać kontrolę nad Kanałem Sueskim.

Izraelska inwazja ruszyła 29 października 1956 roku. Dwa dni później Naser zamknął Kanał Sueski dla żeglugi; miał zostać otwarty dopiero w kolejnym roku. 5 listopada brytyjscy i francuscy żołnierze rozpoczęli desant w Egipcie. Ich początkowe sukcesy – szacowano później, że odzyskanie kontroli nad Kanałem zajęłoby im jeden czy dwa dni – zostały jednak szybko powstrzymane przez intensywną presję międzynarodową. Sowietci zagrozili atakami rakietowymi na najeźdźców, co groziło przekształceniem konfliktu w wojnę atomową. Bez względu na to, czy groźba ta była realna, czy nie, skłoniła Stany Zjednoczone do szybkiego zakończenia kryzysu. Amerykańscy przywódcy byli wściekli, że trzymano ich w niewiedzy na temat spisku, a ich groźba, że osłabią funta, jeżeli nie dojdzie do

zawieszenia broni, okazała się decydująca. Gdy ich rezerwy walutowe – znacząco nadszarpnięte już w pierwszych dwóch dniach konfliktu – stopniały do niebezpiecznego poziomu – Brytyjczycy pogodzili się z nieuniknionym i uzgodnili zawieszenie broni, nie konsultując tego nawet z Francuzami. Do Egiptu wysłano siły pokojowe ONZ. Angielscy i francuscy żołnierze wycofali się zgodnie z planem 22 grudnia. Klęska dyplomatyczna była całkowita.

Lewica w Wielkiej Brytanii była wściekła na ten powrót do awanturniczej, kolonialnej dyplomacji kanonierek. Prawica była bardziej zbulwersowana rażącą niekompetencją rządu przy fiasku sueskim. Eden zrezygnował ze stanowiska premiera, oficjalnie z powodów zdrowotnych. Przez lata czekał w przedpokojach, uważany za oczywistego następcę kurczowo trzymającego się władzy Churchilla. Był doświadczonym i powszechnie szanowanym ministrem spraw zagranicznych, zarówno przed wojną, jak i po niej. Tym bardziej ironiczne wydaje się, że mógł popełnić tak poważny i brzemienny w skutkach błąd w obszarze polityki zagranicznej. W polityce wewnętrznej Suez nie poczynił za to konserwatywnemu rządowi, który tak fatalnie poprowadził całą operację, większych szkód. Następcą Edena, Harold Macmillan, triumfalnie wygrał wybory w 1959 roku, podczas gdy laburzyści, którzy tak gwałtownie atakowali rząd w sprawie Suez, nie potrafili wygrzebać się z dołka. Jeżeli chodziło o to, co liczyło się najbardziej w życiu zwykłych ludzi, Suez nie znajdował się na poczesnym miejscu. Stał się jednak punktem zwrotnym w powojennej historii Wielkiej Brytanii, trwałym ciosem w narodową pewność siebie i wiarę w pozycję kraju, który jeszcze nie tak dawno należał do „Wielkiej Trójki”.

Stosunki ze Stanami Zjednoczonymi zostały szybko naprawione. Wielokrotnie powtarzano okrzykniętą tezę o „specjalnych relacjach”, a na początku lat 60. firmowali je przywódcy całkowicie od siebie odmienni – Macmillan, uosobienie arystokratycznego konserwatyzmu w Wielkiej Brytanii i John F. Kennedy, twarz młodego, dynamicznego przywództwa Ameryki. Te „specjalne relacje” były jednak w poważny sposób zachwiane. Po Suezie stało się bardziej oczywiste niż

kiedykolwiek wcześniej, że Wielka Brytania nie może zrobić poważnego ruchu w sprawach międzynarodowych bez wsparcia „Wuja Sama”.

Brytyjski rząd zdał sobie sprawę, że gra się skończyła. Wielka Brytania nie mogła sobie pozwolić na utrzymywanie obecności militarnej w tak wielu częściach globu. Musiała zaakceptować, że kolonializm należy do przeszłości i że najważniejszym wyzwaniem na przyszłość jest ułożenie sobie przyjaznych stosunków z nowymi niepodległymi państwami, które pojawią się wraz z końcem epoki imperialistycznej. Kiedy tylko dokonano tej fundamentalnej zmiany w ocenie sytuacji, koniec imperium nadszedł szybko – i to przy zaskakująco słabym sprzeciwie w samej Wielkiej Brytanii. Ogłoszenie niepodległości Sudanu nastąpiło w styczniu 1956 roku, jeszcze przed Suezem. Ghana (dawniej Złote Wybrzeże) uzyskała niezależność w marcu 1957 roku. Malaje, najcenniejsza kolonia z ekonomicznego punktu widzenia, w lipcu tego samego roku. Na Cyprze niepodległość (jednak przy zachowaniu brytyjskich baz wojskowych) ogłoszono w sierpniu 1960 roku, choć w tym przypadku dopiero po brutalnym i pozornie tylko rozwiązany wewnętrznym konflikcie pomiędzy greckimi i tureckimi Cypryjczykami. Pomiędzy rokiem 1960 a 1966 dziewiętnaście kolejnych byłych kolonii (Nigeria, Sierra Leone, Tanganika, Zanzibar, Uganda, Kenia, Niasa, Północna Rodezja, Betszua, Basuto, Samoa Zachodnie, Jamajka, Barbados, Trynidad i Tobago, Malta, Singapur, Gambia, Malediwy i Gujana Brytyjska) uzyskało niepodległość.

Harold Macmillan uchwycił ten nastrój, a także stwierdził rzecz oczywistą, kiedy w przemówieniu wygłoszonym w Cape Town w 1960 roku mówił o „wietrze zmian” wiejącym przez afrykański kontynent. Główny opór pochodził nie z samej Wielkiej Brytanii, ale ze strony białych osadników ze Związku Południowej Afryki i sąsiadującej z nim Południowej Rodezji. Afryka Południowa, odmawiając porzucenia swojego rasistowskiego systemu apartheidu, opuściła Wspólnotę Narodów w 1961 roku. Rząd Rodezji ogłosił niepodległość w listopadzie 1965 roku wbrew stanowisku brytyjskiemu, chcąc utrzymać dominację białej mniejszości mimo potępienia ze strony reszty Wspólnoty Narodów. To zepchnęło

Rodezję w otchłań brutalnej, piętnastoletniej wojny domowej, która jednak zaledwie odwlekła nieuniknione. Rodezja ostatecznie uzyskała niepodległość w kwietniu 1980 roku, jako nowe państwo pod nazwą Zimbabwe.

W tym czasie imperium brytyjskie – z wyłączeniem kilku mało ważnych pozostałości – od dawna było już historią. Za kulminację uroczystości pogrzebowych można uznać decyzję rządu z 1968 roku o wycofaniu brytyjskich sił z baz „na wschód od Suez”. Wielka Brytania nie mogła sobie dłużej pozwolić na kosztowne i niepotrzebne zaangażowanie w skali globalnej. Już na początku lat 60. handel z państwami Wspólnoty Narodów kurczył się szybko. Dominia coraz częściej wybierały własną drogę, poluzowując bliskie niegdyś związki ze Zjednoczonym Królestwem. Wielu liderów politycznych i biznesowych w coraz większym stopniu zdawało sobie sprawę, że Wielka Brytania musi przeorientować swoje interesy i upatrywać szans na przyszły rozwój nie w dawnych kolonialnych posiadłościach, a bardziej w europejskich sąsiadach, których gospodarki kwitły. Wielka Brytania znalazła się na drodze od globalnego imperium do zwykłego europejskiego mocarstwa. W 1962 roku były amerykański sekretarz stanu, Dean Acheson, zauważył, że „Wielka Brytania utraciła swoje imperium i nie odnalazła jeszcze dla siebie nowej roli”. Kilkadziesiąt lat później uwaga ta wciąż pozostaje w mocy.

Suez miał daleko mniejsze znaczenie dla Francji niż dla Wielkiej Brytanii. Gorzkiej politycznej debaty i refleksji na temat globalnej roli, która pochłonęła brytyjską klasę polityczną, zabrakło nad Sekwaną. Kampania w Egipcie cieszyła się powszechnym poparciem, a winą za jej niepowodzenie obarczano przede wszystkim nie rząd francuski, lecz Stany Zjednoczone i ONZ, które, jak twierdzono, powstrzymały atak, gdy zwycięstwo było w zasięgu ręki. Guy Mollet, w przeciwieństwie do Edena, nie musiał się kłopotać głośnymi żądaniem dymisji i uzyskał zdecydowane wotum zaufania we francuskim parlamencie. Nie Suez, lecz Indochiny, a przede wszystkim Algieria, symbolizowały francuski odwrót od imperium. O ile jednak Brytyjczycy zaskakująco łatwo dostosowali się do potrzeby

rezygnacji z imperialnych ambicji, zwijanie francuskiego imperium okazało się doświadczeniem traumatycznym.

Francuskie imperium kolonialne – ustępujące wielkością tylko brytyjskiemu – zostało wystawione na wielką próbę za sprawą wojny. Po katastrofalnej porażce Francji w 1940 roku większość kolonii opowiedziała się początkowo po stronie rządu Vichy, ale w połowie wojny, często po ostrych konfliktach, przeszło na stronę Wolnych Francuzów Charlesa de Gaulle'a. Jednocześnie militarne upokorzenie Francji wzmocniło antykolonialne nastroje w jej bliskowschodnich i afrykańskich posiadłościach. Terytoria mandatowe w Libanie i Syrii wyszły z wojny jako niepodległe państwa. Ruchy antykolonialne rosły w siłę, szczególnie w Afryce Północnej, gdzie zbrojne powstanie w Algierii stłumiono siłą w 1945 roku. We francuskich posiadłościach w Afryce Równikowej i Zachodniej panował na razie spokój. Jednak rewolta przeciwko francuskiemu panowaniu na geograficznie odizolowanej kolonii Madagaskar w 1947 roku została ostatecznie stłumiona z ogromnym okrucieństwem. Według niektórych szacunków zabito aż 100 000 Malgaszów, zanim w kolejnym roku udało się złamać rebelię. Niepewna władza kolonialna Francuzów została przywrócona i trwała do czasu uzyskania przez Madagaskar niepodległości w czerwcu 1960 roku.

Rząd Tymczasowy we Francji dokonał po wyzwoleniu kilku nieznaczących ustępstw na rzecz swoich kolonii afrykańskich w sferze praw politycznych i obywatelskich, przyznając w ograniczonym stopniu prawa do głosowania i reprezentacji we francuskim parlamencie. Nowa konstytucja z 1946 roku wybrała nazwę „Unia Francuska” zamiast „imperium”, by osłabić poczucie podległości terytoriów zamorskich. Najgorsze przykłady kolonialnych nadużyć zostały w dużym stopniu ograniczone. Na zewnątrz jednak francuskie imperium kolonialne nadal trzymało się mocno. I żadna z drugorzędnych zmian nie zmieniła w większym stopniu opinii w samej Francji. Francuzi generalnie je aprobowali, ale mało kto rozważał przyznanie niepodległości zamorskim posiadłościom. Liberałowie z pewnością popierali reformę kolonialną, a lewicowa opozycja

reformę samego kolonializmu, jednak dla większości Francuzów imperium pozostawało sprawą narodowego prestiżu.

Ambicje te miały zostać poddane brutalnemu sprawdzianowi w Indochinach. Władze Vichy rządziły Indochinami (na które składały się obecny Wietnam, Tajlandia i Laos), faktycznie jako japońskie marionetki, niemal do ostatnich dni wojny. W marcu 1945 roku, obawiając się przejścia na stronę de Gaulle'a, Japończycy zdecydowali się na bezpośrednie rządy, wykorzystując ruchy narodowo-wyzwoleńcze jako broń wymierzoną w imperialistyczne potęgę. Problem, z którym przyszło zmierzyć się Francji, wynikał z tego, że po wojnie próbowała ona przywrócić swoją kolonialną dominację. Największe trudności pojawiły się w Wietnamie, gdzie cesarz Bao Dai abdykował, a lider komunistów, Ho Chi Minh, którego antykolonializm wykuwał się podczas lat spędzonych w Paryżu bezpośrednio po pierwszej wojnie światowej, ogłosił republikę w kilka dni po kapitulacji Japończyków w sierpniu 1945 roku. (Co ciekawe, Ho mógł scementować swoją władzę w dużej mierze dzięki amerykańskim dostawom broni i szkoleniom jego partyzantów do walki przeciwko Japonii, które w ostatnich miesiącach wojny zapewniało OSS, czyli Biuro Służb Strategicznych). Francuzi, wspierani przez opinię publiczną w kraju, nie przyjęli do wiadomości końca swoich rządów i wysłali 30 000 żołnierzy, by ci odparli zdeterminowaną armię chłopską Ho, Viet Minh. Zainstalowali również marionetkowy rząd na południu kraju (zwanym wówczas Kochinchina). Upór Francuzów doprowadził do eskalacji długiej i brutalnej, ale niemożliwej do wygrania wojny przeciwko partyzantce Viet Minh.

Do walki rzucano coraz liczniejsze siły ekspedycyjne. Do 1952 roku liczba żołnierzy sięgnęła 560 000 tysięcy, choć tylko 70 000 z nich było francuskimi ochotnikami, podczas gdy resztę ściągnięto z kolonii, w większości z samego Wietnamu. W owym czasie wojna indochińska stała się dla Francji nieznośnie kosztowna, pochłaniając do 40 procent całego budżetu obronnego. Można ją było dalej prowadzić tylko dzięki znaczącej i wciąż zwiększanej pomocy finansowej Stanów Zjednoczonych, które po triumfie Mao w Chinach w 1949 roku i wybuchu



wojny koreańskiej mocno niepokoiły się „efektem domina” i rozprzestrzenianiem się komunizmu w Azji Południowo-Wschodniej.

Wojna w Wietnamie była już w tym czasie we Francji bardzo niepopularna. Straty rosły. Liczba zabitych we francuskich siłach kolonialnych sięgnęła ostatecznie 92 000. O ile jeszcze w 1947 roku 52 procent pytanym w sondażu opinii publicznej opowiadało się za wojną w celu utrzymania Indochin jako kolonii, to w lutym 1954 roku odsetek ten spadł do zaledwie siedmiu procent. A było to jeszcze przed największą katastrofą we francuskiej historii kolonialnej: porażką poniesioną z rąk Viet Minhu 7 maja 1954 roku po ośmiodniowym oblężeniu sił francuskich w Dien Bien Phu w północnozachodnim Wietnamie. Francuzi stracili podczas oblężenia 1500 ludzi, a dalszych 10 000 dostało się do niewoli. Dien Bien Phu stało się symbolem narodowego upokorzenia.

Po tym Francuzi mieli dość. Rząd, co zrozumiałe, upadł. Przejmując urząd nowy premier, Pierre Mendès-France, zapowiedział, że zrezygnuje, jeżeli nie uda mu się uzyskać porozumienia pokojowego z Wietnamem w ciągu miesiąca. Co godne uwagi, udało mu się osiągnąć ten cel. Zawieszenie broni podpisano w Genewie 21 lipca 1954 roku i przyjęto je przygniatającą większością głosów w Zgromadzeniu Narodowym, które zgotowało premierowi „ogromną owację”. Mendès-France został „praktycznie bohaterem narodowym” w oczach francuskiej opinii publicznej, zmęczonej kosztownym i rujnującym konfliktem w odległym zakątku świata, znanym bezpośrednio tylko garstce francuskich obywateli. Był to sygnał do rozpoczęcia szybkiego procesu wychodzenia Francuzów z Indochin. Nie było woli, by przedłużać obecność francuskich żołnierzy w regionie. Do 1956 roku już ich tam nie było. Francuski rząd z ochotą podrzucił Amerykanom zatruty kielich i pozwolił im przejąć odpowiedzialność za wietnamskie bagno.

Zgodnie z wynegocjowanym w Genewie porozumieniem, które miało mieć charakter tymczasowy, Wietnam został podzielony wzdłuż 17. równoleżnika; wybory prowadzące do zjednoczenia kraju miały się odbyć dwa lata później. Nigdy do nich nie doszło. Dopilnowała tego amerykańska opozycja wobec porozumienia, które uważano za drogę do ostatecznego zwycięstwa Ho Chi Minha. USA

przekazały Francuzom dziesięciokrotnie większą pomoc, niż Sowietci i Chińczycy okazali Ho. Waszyngton uważał jednak, że tak wielkie pieniądze okażą się zmarnowane, jeżeli komunizm ostatecznie zatriumfuje w Wietnamie. Amerykanie dalej wspierali więc skorumpowany marionetkowy rząd na południu, który podobnie jak oni sami miał niewielki interes w przeprowadzeniu wyborów – z niemal pewnym wynikiem w postaci zwycięstwa Ho Chi Minha i przekształcenia całego Wietnamu w państwo komunistyczne. Francuska nieustępliwość szybko zniknęła, kiedy Francuzi zrozumieli, że bronią przegranej sprawy, ale zastąpiła ją amerykańska krótkowzroczność, przez którą Amerykanie nie zdołali rozpoznać przegranej sprawy, stykając się z nią. Oznaczało to, że najgorsze cierpienia dla narodu wietnamskiego miały dopiero nadejść. Tragedia miała się jeszcze pogłębić i trwać przez kolejne 20 lat.

Wraz z końcem jednej wojny kolonialnej dla Francuzów zaczęła się kolejna. I o ile Indochiny były daleko, o tyle nowa wojna, która wybuchła w 1954 roku w Algierii, toczyła się blisko domu. A w zasadzie nawet w domu, bo Algieria (skolonizowana w 1830 roku) była od 1848 roku administracyjną częścią Francji i, w przeciwieństwie do innych części francuskiego imperium, przyciągnęła setki tysięcy europejskich osadników (nie tylko Francuzów), nazywanych *colons* lub *pied-noirs* (prawdopodobnie ze względu na czarne buty, które nosili pierwsi osadnicy). Poziom politycznej i ekonomicznej dyskryminacji, jaką osadnicy stosowali wobec muzułmańskiej większości, doprowadził do protestów przeciwko władzy kolonialnej już w latach 30. i stłumienia raczkującego ruchu narodowego. Żądania reform pojawiły się ponownie podczas wojny. Ograniczone francuskie ustępstwa uznano za niewystarczające, co doprowadziło pod koniec wojny do wybuchu gwałtownych protestów, bezlitośnie stłumionych przez wojsko i policję, które zabiły kilka tysięcy muzułmanów. W rezultacie Francuzi powołali Zgromadzenie Algierskie, ale przyznali muzułmańskiej większości tylko ograniczone uprawnienia.

Napięcie buzowało tuż pod powierzchnią. Wybuch w pewnym momencie był nieunikniony. Doszło do niego 1 listopada 1954 roku, kiedy Front de Libération

Nationale (FLN, Front Wyzwolenia Narodowego) zaatakował kilka budynków władz kolonialnych, rozpoczynając ośmioletnią wojnę o niepodległe państwo algierskie, oparte na zasadach islamu. Mendès-France, niesiony falą popularności po zakończeniu wojny w Indochinach, nie był w tym przypadku gotowy na żadne ustępstwa. Z miejsca odrzucił wszelkie pomysły, że Algieria, departament Francji, może się odłączyć. Było to popularne stanowisko.

Mendès-France poczynił jednak w 1954 roku pewne kroki, które w 1956 roku doprowadziły do ogłoszenia niepodległości przez Tunezję i Maroko. Ruchy niepodległościowe w tych krajach także doświadczyły kolonialnej przemocy i prowadziły walki wyzwolenicze, nierzadko krwawe i obfitujące w zbrodnie, ale rząd francuski, także pod presją międzynarodową, podjął ostatecznie sensowne kroki, by nie pogarszać sytuacji. Jednak Tunezja i Maroko były traktowane jako kolonie; Algieria była postrzegana jako integralna część Francji, administrowana przez ministerstwo spraw wewnętrznych, a nie Urząd Kolonialny. W oczach Francuzów (choć nie Algierczyków) pogłębiający się konflikt w Algierii nie był wojną kolonialną, lecz *domową*. To była fundamentalna różnica, która zdeterminowała francuską nieustępliwość w sprawie Algierii i przyniosła długie lata nędzy i nieszczęść jej mieszkańcom.

Narastająca przemoc z obu stron napędzała się wzajemnie. Punkt krytyczny osiągnęła w sierpniu 1955 roku, gdy ponad 100 osadników zostało zabitych w ramach zaplanowanej wcześniej akcji FLN. Spowodowało to brutalny odwet, w którym zginęło ponad 1000 muzułmanów (a według niektórych szacunków dużo więcej). Ataki terrorystyczne i lokalne zbrodnie wywoływały jeszcze brutalniejszy odwet władz, co było gotową receptą na dalszą katastrofę. Premier Guy Mollet na krótko próbował złagodzić linię polityczną w 1956 roku, ale w obliczu nieprzejednanej opozycji ze strony *colons* szybko wrócił do prób zdławienia powstania. Liczbę żołnierzy podwojono. Tortury wobec ludzi podejrzewanych o związki z FLN były na porządku dziennym. Zaangażowano ogromną siłę militarną. FLN odpowiadało jednak kolejnymi atakami terrorystycznymi. Opinia publiczna miała dość brutalnej wojny, a znani lewicowi intelektualiści

(w szczególności Pierre Vidal-Naquet i Jean-Paul Sartre) organizowali głośne protesty przeciwko bestialstwu francuskiej armii w Algierii.

Francuska opinia publiczna z jednej strony desperacko chciała, by wojna się skończyła, ale z drugiej nie była gotowa, by zaakceptować niepodległość Algierii. Dodatkowo takiemu rozwiązaniu mocno i brutalnie sprzeciwiali się osadnicy. Na początku 1958 roku dojrzał kryzys, który dotyczył nie tylko rządu, ale i państwa jako takiego. Wybuchł on w momencie, gdy 14 maja 1958 stanowisko premiera objął Pierre Pflimlin. Nowy szef rządu skłaniał się ku negocjacjom z FNL. Dla *pieds-noirs* pachniało to zdradą ze strony Paryża. Przejęli siedzibę rządu w Algierze i wybrali generała Jacquesa Massu, odpowiedzialnego za przeprowadzenie rok wcześniej brutalnej kampanii antyterrorystycznej na przywódcę rewolty wymierzonej we francuski rząd. Było jasne, że armia popiera to posunięcie. Wszystko to zmierzało do wezwania de Gaulle'a, by ponownie objął władzę. Nowy premier, Pflimlin, został zmuszony do ustąpienia z końcem miesiąca. Był to wstęp do opisanego wcześniej powstania Piątej Republiki.

*Colons* sądzili, że de Gaulle jest ich człowiekiem. Oczekiwali, że jego autorytet pozwoli zakończyć wojnę algierską po ich myśli. Wkrótce mieli się jednak gorzko rozczarować i wściec, bo de Gaulle szybko zdał sobie sprawę, z jak beznadziejnym problemem ma do czynienia, i zaczął sugerować, że jest otwarty na negocjacje. Prezydent zaczął więc balansować na cienkiej linii pomiędzy ekstremistami z FNL, nieprzejednanymi w swoich żądaniach niepodległości, a *pieds-noirs*, gotowymi stawić zbrojny opór tym żądaniom. Rozczarowani generałowie pod wodzą dawnego zausznika de Gaulle'a, generała Raoula Salana, stworzyli Organisation de l'Armée Secrète (OAS). Nie ograniczyli się tylko do jednego ataku na rząd. Przeprowadzili serię zamachów bombowych we Francji i próbowali zabić de Gaulle'a. Łącznie OAS zabiło blisko 2700 osób, prawie wyłącznie algierskich muzułmanów.

Brutalna wojna algierska ciągnęła się jeszcze w latach 1960 i 1961. Jednak de Gaulle dopiął swego. Był w wystarczającym stopniu realistą, by zdawać sobie sprawę, że ceną za pokój musi być niepodległość Algierii i stopniowo pogodził się

z tym rozwiązaniem. Wykorzystał swoją mocną pozycję i autorytet, by przekonać 90 procent francuskiego elektoratu do podpisanego 18 marca 1962 roku zawieszenia broni, które doprowadziło do ogłoszenia przez Algierię niepodległości 5 lipca. Większość rozgoryczonych *pieds-noirs*, w sumie ponad 800 000 ludzi, zdała sobie sprawę, że w Algierii nie ma dla nich przyszłości i przeprowadziło się do południowej Francji, podobnie jak społeczność algierskich Żydów. Ci Algierczycy, nazywani harkis, którzy w różnych formach pracowali dla kolonialnego reżimu, często jako niscy rangą urzędnicy, policjanci lub żołnierze, pod koniec wojny doświadczyli straszliwych represji ze strony FNL. Mniejszość z nich zdołała uciec, głównie do południowej Francji, gdzie byli okropnie traktowani przez francuskie władze, podlegali społecznej dyskryminacji, odrzucani lub pogardzani przez większość społeczeństwa. Łączna liczba ofiar brutalnego ośmioletniego konfliktu jest wciąż przedmiotem gorących sporów, ale przyjmuje się, że było ich nie mniej niż 170 000. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa – znacznie więcej. Przeważająca większość ofiar to algierscy muzułmanie. Żaden Francuz nie stanął za morderstwo przez francuskim sądem. Francuska „misja cywilizacyjna” – jej ideologiczne usprawiedliwienie dla władania innymi narodami – skończyła się barbarzyństwem.

Co ciekawe, w kulminacyjnym punkcie brudnej wojny w Algierii de Gaulle likwidował francuski kolonializm niemal we wszystkich innych częściach Afryki. W konstytucji Piątej Republiki z 1958 roku określenie „Unia Francuska” zastąpiono „Wspólnotą Francuską”, nadając terytoriom zamorskim rozległe uprawnienia, choć bez przyznawania im pełnej niepodległości. Początkowo jedynie Gwinea Francuska odmówiła przystąpienia do Wspólnoty. Dała jednak przykład, za którym szybko poszły inne były kolonie. Wiatr antykolonializmu wiał pod koniec lat 50. mocno, a Algierię trudno było uznać za dobrą reklamę francuskich rządów. De Gaulle dał terytoriom zamorskim prawo wyboru, z którego te skorzystały. Pomiędzy rokiem 1958 a 1960 aż 15 byłych francuskich kolonii (Madagaskar, Sudan Francuski, Senegal, Czad, Kongo Środkowe, Gabon, Mauretania, Ubangi-Szari, Kamerun, Togo, Mali, Dahomej, Niger, Górna Wolta i Wybrzeże Kości

Słoniowej) poszło w ślady Gwinei i ogłosiły niepodległość. Do 1961 roku Wspólnota Francuska niemal przestała istnieć. Uderza kontrast pomiędzy szybkim zwinięciem imperium i pogodzeniem się z niepowstrzymanym dążeniem do niepodległości w innych krajach a mozolnym dochodzeniem do tego samego wniosku w Algierii, dopiero po krwawej i długiej wojnie. Różnica polegała na wyjątkowym statusie Algierii. Trzeba było dalekowzroczości i realizmu de Gaulle'a, by zakończyć w dużej mierze nominalny związek Francji z krajem, który mimo oficjalnych zaprzeczeń był w istocie kolonią, opierającą się na dyskryminacji dziesięciu milionów rdzennych mieszkańców przez milion osadników.

W połowie lat 60. z potężnych niegdyś imperiów francuskiego i brytyjskiego pozostały zaledwie szczątki. Epoka imperializmu dobiegła końca.

\*\*\*

Państwowy pogrzeb sir Winstona Churchilla – ostatniego z „Wielkiej Trójki” wojennych przywódców – odbył się 30 stycznia 1965 roku. Symbolizował odejście pokolenia łączącego w sobie przywiązanie do państwa narodowego, imperialistycznej dominacji i europejskiego „koncertu mocarstw”. Wśród przedstawicieli 112 państw biorących udział w pełnym pompy i ceremoniału pogrzebie Churchilla znaleźli się prezydent Francji, Charles de Gaulle i były prezydent Stanów Zjednoczonych, generał Dwight D. Eisenhower, którzy wspólnie z Churchillem walczyli przeciwko hitlerowskiemu Niemcom. Europa w żaden sposób nie przypominała już wtedy kontynentu, który powstawał z wojny zakończonej 20 lat wcześniej.

Przede wszystkim Europa rozpadła się na dwie, niemożliwe do połączenia połówki. Podział, który nieubłaganie nabierał kształtu już w pierwszych latach powojennych, osiągnął punkt, w którym poza dyplomatycznymi formalnościami nie było właściwie kontaktu pomiędzy wschodnią i zachodnią częścią kontynentu. Zarówno blok wschodni, jak i zachodni uległ konsolidacji. Europa Zachodnia, która w 1945 roku nie istniała nawet jako pojęcie, była obecnie zdefiniowaną

wspólnotą. Dla powstania Europy Zachodniej kluczowe były dwa procesy opisane powyżej.

Najważniejsza była konsolidacja pluralistycznej, liberalnej demokracji. Różniła się ona w formach w zależności od kraju, ale wszędzie była budowana na zasadach rządów prawa, praw człowieka i osobistych wolności. Opierała się również na zrestrukturyzowanej gospodarce kapitalistycznej, która zapewniała podstawę do wzrostu gospodarczego, dobrobytu i systemu opiekuńczego, gwarantującego podstawowe bezpieczeństwo socjalne wszystkim obywatelom. Zimna wojna zapewniła ideologiczny bodziec dla stabilizacji zachodnioeuropejskich demokracji. Obecność Amerykanów gwarantowała bezpieczeństwo jej rozwoju. Oczywiście we wszelkich swoich przejawach była daleka od doskonałości. Jeżeli jednak porówna się ją z permanentną destabilizacją, podziałami politycznymi i społeczną nędzą międzywojnia, to postęp w umacnianiu demokracji, niezbędny warunek wszelkiego dalszego rozwoju, był zaskakujący.

Drugim wielkim przełomem był koniec imperiów. Przekształcił on Europę Zachodnią w zbiór państw narodowych o de facto podobnym statusie. W szczególności Wielkiej Brytanii i Francji, wciąż rozpamiętującym niegdysiejszą chwałę, nie przyszło łatwo przyjęcie do wiadomości faktu, że nie są już wielkimi mocarstwami. Pozostały najbardziej zmilitaryzowanymi państwami Europy Zachodniej, miały broń atomową i dysponowały stałymi miejscami w Radzie Bezpieczeństwa ONZ. W rzeczywistości jednak były po prostu europejskimi potęgami. Imperialne marzenia w coraz większym stopniu sprowadzały się do odchodzącej i często zafałszowanej nostalgii, podtrzymywanej przez stale kurczącą się mniejszość.

Trzeci element pozostaje wciąż niezbadany. Ekonomicznie, a w swojej początkowej fazie również politycznie, Europa Zachodnia zmierzała w kierunku trudnym, o ile wręcz niemożliwym do wyobrażenia w latach wczesnopowojennych. Zaczęła tworzyć instytucje, które współistniały z kompetencjami państw narodowych, ale pod pewnymi względami również je przekraczały. Okazało się to być długim, burzliwym i wciąż niezakończonym procesem, któremu towarzyszyły

wewnętrzne napięcia i konflikty, ale jednocześnie udało się wypracować poziom współpracy i integracji nie do pomyślenia przed drugą wojną światową. Oznaczało to wielki postęp w stawianiu fundamentów pod trwały pokój.

Europa Wschodnia znajdowała się całkowicie poza tym procesem fundamentalnej transformacji. Tam, oczywiście, również zachodziły zmiany, ale dużo mniej daleko idące. Pole manewru dla krajów wschodnioeuropejskich było ściśle ograniczone. Jej granice narzucała sowiecka dominacja.



## ROZDZIAŁ 3

# Moskiewska śruba

---

*Zapytaliśmy marszałka Koniewa, dowódcę wojsk Układu Warszawskiego: „Ile by to potrwało, gdybyśmy polecili Wam przywrócić porządek na Węgrzech i zdławić siły kontrrewolucji?”. Po chwili zastanowienia odpowiedział: „Nie więcej niż trzy dni”. „Zatem proszę się przygotować. Damy znać, kiedy zaczynać”. A więc decyzja zapadła.*

*Pamiętniki Nikity Chruszczowa, 1971 r.*

**W** czasie kiedy Europa Zachodnia kształtowała się jako podmiot polityczny pod egidą Stanów Zjednoczonych, Związek Radziecki zacieśniał kontrolę sprawowaną nad grupą państw „w swojej strefie wpływów”, po drugiej stronie żelaznej kurtyny. Niegdyś niepodległe państwa bałtyckie – Litwa, Łotwa i Estonia – od 1940 roku wchodziły w skład ZSRR. Poza tym pod egidą Moskwy znalazły się Albania, Bułgaria, Czechosłowacja, Niemiecka Republika Demokratyczna, Polska, Rumunia i Węgry. Z kolei Jugosławia nadal podążała odrębną ścieżką, wytyczoną przez marszałka Titę po zerwaniu z Moskwą w 1948 roku.

Zasadniczą cezurę w Europie Wschodniej – będącą podobnie jak „Europa Zachodnia” pojęciem raczej politycznym niż geograficznym – wyznaczyła śmierć Stalina w marcu 1953 roku. Odejście wielkiego tyrana umożliwiło nastanie okresu potocznie zwanego „odwilżą”, co jest metaforą zaczerpniętą z tytułu wydanej w 1954 roku powieści Ilji Erenburga. „Odwilż” wskazywała na destalinizację –

wyraźne odejście od systemu obowiązującego za panowania Stalina. Ale metafora ma swoje ograniczenia. System stalinowski nie był „zamrożony”, co zdaje się sugerować pojęcie „odwilż”, ale ulegał wieloetapowym przekształceniom. Niektóre zmiany w okresie „odwilży” wynikały z nagromadzonych pod koniec życia Stalina napięć lub były wpisane we wcześniejsze pomysły. U Erenburga „odwilż” to coś niestałego, niestabilnego, brak pewności, co przyniesie pogoda. Odwilż niekoniecznie oznacza wiosnę, mogą przyjść kolejne mrozy i znów skuć ziemię lodem. Jednak w dosłownym znaczeniu „odwilż” wiąże się ostatecznie z całkowitą zmianą pogody. Dawny lód i śnieg zmieniają się w bezkształtne błoto, a potem w wodę, która w końcu odpływa. Natomiast zmiany, które zaszły za Nikity Chruszczowa, chociaż realne i znaczące, mieściły się w ramach sowieckiego systemu i nie rozwodniły go do nowej postaci, nie mówiąc już o całkowitym zmyciu z powierzchni ziemi. Wręcz przeciwnie, po odsunięciu Chruszczowa od władzy w październiku 1964 roku system wzmocnił się i ustabilizował pod rządami jego następcy Leonida Breżniewa, trwając (choć w zastoju) w praktycznie tej samej co do formy i treści postaci aż do przemian lat 1985–1990. Odwilż jest wreszcie zjawiskiem naturalnym, następującym bez udziału człowieka. Natomiast o zmianach w postalinowskim Związku Radzieckim trudno powiedzieć, by dokonywały się w sposób „naturalny”.

Może więc trafniejszą metaforą niż „odwilż” jest „zacisk” albo „imadło”. Śrubę w imadle można luzować lub dokręcać, natomiast przedmiot w nim umieszczony pozostaje niezmienny. To, co nastąpiło w Związku Radzieckim za Chruszczowa, było poluzowaniem śruby, niezwykle mocno dokręconej przez Stalina. Ale istota systemu pozostała zasadniczo nienaruszona. Poza tym była znaczna różnica między systemem stalinowskim w samym ZSRR a systemami w poszczególnych państwach Europy Wschodniej.

W Związku Radzieckim, olbrzymim kraju bez alternatywnych form czy tradycji politycznego zorganizowania, gdzie od rewolucji 1917 roku, czyli od ponad 30 lat, twardą ręką rządzą komuniści, możliwości zmiany ustrojowej były praktycznie żadne. Natomiast w większości krajów Europy Wschodniej, pozostających pod

kuratelą Moskwy dopiero od zwycięstwa Armii Czerwonej, czyli od lat 1944–1945, ustrój stalinowski był czymś obcym i niedawno narzuconym. Tutaj istniał realny potencjał zasadniczej zmiany, której przeciwdziałał zacisk sowieckiej śruby. Każde z państw w „radzieckiej sferze wpływów” doświadczyło przed wojną pluralizmu politycznego, nawet jeśli demokracja miała tam często charakter fasadowy. W niektórych krajach, zwłaszcza w Niemczech Wschodnich i Czechosłowacji, tradycja demokratyczna, choć uśpiona, istniała nadal. W sposób oczywisty, w każdym z krajów satelickich przetrwało poczucie tożsamości autonomicznego państwa narodowego. Widać to było szczególnie wyraźnie w Polsce i na Węgrzech.

Nie dziw zatem, że początkowe poluzowanie śruby po śmierci Stalina doprowadziło w niektórych wschodnioeuropejskich krajach satelickich Moskwy do wybuchów niezadowolenia, które mogły obalić, a nie tylko poprawić ustrój komunistyczny w tych krajach. Nie była też zaskoczeniem reakcja Związku Radzieckiego – nerwowa i bezwzględna, kończąca się użyciem siły i ponownym przykręceniem śruby.

## **Odkręcanie śruby: Związek Radziecki**

Dla większości obywateli ZSRR ostatnie lata Stalina to czas nieszczęśliwy. Chwała zwycięstwa Armii Czerwonej nad nazizmem rozbrzmiewała w całym kraju, ale ludzki koszt tego sukcesu był niewyobrażalny – 25 milionów zabitych obywateli radzieckich. Bez względu na propagandowe upiększenia, tych, którzy przeżyli, przepęniała patriotyczna duma, mająca swoje źródło w przykładach niezwyklej odwagi i hartu ducha, które Związek Radziecki wykazał, dążąc do całkowitego zwycięstwa nad okrutnym najeźdźcą. Ale dumą patriotyczną nie można się najeść ani nie zapewnia ona godziwych warunków mieszkaniowych. Nie zapewnia też ochrony prawnej przed zagrożeniami ze strony wszechobecnego państwa policyjnego.

Skala zniszczeń wojennych w zachodniej części ZSRR była wręcz niepojęta. Opustoszały całe regiony. Wskutek zaciekłych walk lub celowej dewastacji przez wycofujące się oddziały Wehrmachtu zniszczonych zostało 1710 miast i co najmniej 70 000 wiosek. Dach nad głową straciło 25 milionów osób. Produkcja zboża spadła o dwie trzecie, a produkcja przemysłowa na potrzeby ludności o ponad jedną trzecią. Odbudowa z takich zniszczeń stanowiła naprawdę niezwykle wyczyn.

Odbudowa rzeczywiście robiła wrażenie. Towarzyszyły jej jednak bezwzględność i okrucieństwo, stanowiące nieodłączny element gospodarki sprzed i podczas wojny. Wśród zwykłych obywateli, podobnie jak w Europie Zachodniej, było sporo idealizmu i gotowości do ciężkiej pracy i wyrzeczeń, które miały wspomóc odbudowę i poprawić warunki życia. Ale postawione im wymagania były tak wysokie, że można było je spełnić jedynie pod przymusem. Nadal więc obowiązywały ograniczenia z czasów wojny i drakońskie kary za spóźnienie do pracy czy cokolwiek, co uznano za wykroczenie. Gospodarka nakazowa zachowała cały swój arsenał środków przymusu. Siłę roboczą mobilizowano tam, gdzie państwo uznało za stosowne. W kategoriach czysto ekonomicznych wyniki były raz lepsze, raz gorsze, natomiast koszt w ludziach był ogromny i potęgował cierpienia, których w trakcie wojny doznała praktycznie każda radziecka rodzina.

W 1950 roku produkcja żelaza, stali, węgla, ropy naftowej, energii elektrycznej i cementu była już wyższa niż przed wojną, produkowano też trzy razy więcej traktorów niż 10 lat wcześniej (nawet jeśli do radzieckich statystyk produkcyjnych należy podchodzić z rezerwą, nie mówiąc o starej jak świat i stosowanej przez dyrekcje taktyce zaniżania planów produkcyjnych, by potem można było się pochwalić ich przekroczeniem). Ale płace realne dopiero w 1952 roku osiągnęły poziom z roku 1928. Produkcja przedmiotów powszechnego użytku oraz budownictwo mieszkaniowe nie nadążały za sukcesami przemysłu ciężkiego. Poziom życia był przerażająco niski, a mieszkania, przeważnie komunalne i przepełnione, obskurne. Duża część ludności nadal żyła w ogromnej biedzie. W produkcji utrzymano priorytet dla przemysłu (w znacznej mierze

zbrojeniowego), gdzie w latach 1945–1950 nastąpił osiemdziesięcioprocentowy wzrost produkcji. W roku 1952 zadekretowano w budżecie czterdziestopięcioprocentowy wzrost produkcji na potrzeby sił zbrojnych w stosunku do roku 1950. Podobnie jak w latach 30. ciężar rozwoju przemysłu ponosiła przede wszystkim ludność wiejska. Produkcja rolna była w pierwszej połowie lat 50. niższa niż przed wojną, a wydajność z hektara niższa nawet niż przed pierwszą wojną światową. W 1946 roku notowano przypadki kanibalizmu na Ukrainie, na której znów, jak w latach 1932–1933, panował straszny głód, i to pomimo jej urodzajnych ziem. Częściowo zawiniła przyroda, bo susza spustoszyła zbiory, ale jeszcze więcej szkody wyrządziło państwo, odbierając chłopom zapasy żywności i skazując ich w ten sposób na głód.

Niepokoje czy przejawy niezadowolenia tłumiono przy pomocy masowych represji, ponownie zaostrzonych w powojennych latach. System łagrów rozrastał się w miarę napływu setek tysięcy nowych więźniów w czasie, gdy niewolnicza praca była potrzebna do odbudowy zdewastowanego kraju lub podtrzymania zbrojeń (już wkrótce mających objąć produkcję broni atomowej). Liczba więźniów, która spadła w latach wojny, znów podskoczyła do pięciu milionów. Nieproporcjonalnie duża ich część pochodziła z zachodnich granic Związku Radzieckiego, czyli z dawnych państw bałtyckich. Lojalność ich mieszkańców traktowano z dużą dozą podejrzliwości. Ponad milion żołnierzy Armii Czerwonej, wziętych do niewoli przez Wehrmacht, po latach spędzonych w nieludzkich warunkach na terenie Niemiec wróciło do ojczyzny tylko po to, by dowiedzieć się, że są zdrajcami i znów wylądować w łagrze.

Przywrócone zostały, nieco złagodzone w czasie wojny, ścisła kontrola partii i ograniczenia swobody wypowiedzi. W sztuce dławiono wszystko, co było niezgodne z wytycznymi Andrieja Żdanowa, z ramienia partii komunistycznej zarządzającego kulturą. Podobnym ograniczeniom podlegała też nauka. Najmniejsza oznaka odstępstwa skutkowałą skrajnym niezadowoleniem reżimu, jeśli nie gorzej. Michaiła Zoszczenkę, autora satyrycznego opowiadania o małpce, która uciekła z zoo, przez jeden dzień obserwowawała życie w ZSRR, po czym

wybrała powrót do klatki, spotkały oskarżenia o „zgniły nihilizm ideologiczny”, mający na celu podważenie zaufanie obywateli do państwa.

Wszechobecny system represji, jaki panował w ostatnich latach życia Stalina, wymagał olbrzymiego aparatu ludzi gotowych je stosować. Stalin dopilnował, by partii, wojsku i policji bezpieczeństwa zapewnić władzę i przywileje. Chociaż większa część społeczeństwa musiała się zadowolić absolutnym minimum, członkowie rządzącej elity nadal mieli swoje dacje, wczasy na Krymie, specjalne sklepy, dobrą opiekę medyczną i lepsze możliwości kształcenia dzieci. Taki system politycznego przekupstwa w pewnym sensie przenikał do niższego szczebla funkcjonariuszy i urzędników w służbie partii lub państwa, wojskowych i agentów bezpieki. System kija i marchewki – obawa przed karą za cokolwiek, co zostanie uznane za błąd lub niedociągnięcie oraz korzyści materialne, awans, prestiż i władza nad innymi – działały nie tylko na górze, ale motywowały miliony służalców i „małych Stalinów”, dzięki którym system funkcjonował na dole.

Znakomicie opanowana przez Stalina i stosowana wobec jego akolitów metoda „dziel i rządź” działała aż do jego śmierci, utrzymując ich we wzajemnej nieufności i rywalizacji o względy dyktatora. W tym systemie nikt nie czuł się bezpiecznie, natomiast członkowie elity władzy, najbardziej narażeni na kaprysy Stalina, byli świadomi faktu, że to właśnie ich stanowiska są najbardziej niepewne. Wypowiedziane nie w porę słowo albo działanie podjęte w dobrej wierze, które jednak wywołało niezadowolenie dyktatora, mogły mieć nieobliczalne skutki. Prawdą jest, że nie doszło do powtórki wielkich czystek z lat 30., ale czystki na mniejszą skalę miały miejsce w Leningradzie w 1949 roku i w części Gruzji w 1951 roku. Decyzję Stalina o zwołaniu po trzynastoletniej przerwie XIX zjazdu partii w październiku 1952 roku wielu z jego podwładnych przyjęło jako zapowiedź kolejnej czystki na szczytach partii. Chruszczow uważał, że do kolejnej masowej czystki nie doszło tylko dlatego, że Stalin umarł.

Rzeczywiście, paranoja dyktatora była w zenicie. „Nie ufam nikomu, nawet sobie” to – jak twierdzi Chruszczow – zdanie wypowiedziane przez Stalina w 1951 roku. Rok później Stalin miał wobec Wiaczesława Mołotowa i Anastasa

Mikojana – dwóch najbardziej zasłużonych i lojalnych przybocznych – absurdałne podejrzenia, że są agentami obcych mocarstw. Następnie w styczniu 1953 roku aresztowano grupę kremlowskich lekarzy o żydowsko brzmiących nazwiskach, którzy jakoby planowali zgładzenie radzieckich przywódców. Otoczenie Stalina zdawało sobie sprawę z jego wrodzonego antysemityzmu. A chociaż oficjalnie antysemityzm potępiano, uprzedzenia wobec Żydów były w społeczeństwie radzieckim bardzo częste. Pomiędzy 1948 a 1953 rokiem dziesiątki tysięcy Żydów dotknęły zwolnienia z pracy i inne formy dyskryminacji. Gdyby Stalin nadał żył, „spisek lekarzy”, który spowodował liczne aresztowania wśród Żydów, stanowiłby poważne zagrożenie dla radzieckich Żydów. Do czystki jednak nie doszło i zaraz po śmierci Stalina lekarzy zwolniono i przyznano, że spisek został sfabrykowany.

1 marca 1953 roku Stalin, który od pewnego czasu nie domagał (choć utrzymywano to w ścisłej tajemnicy), doznał udaru i przewrócił się. Nikt nie posłał po pomoc lekarską, która pewnie niewiele by pomogła. Wydawało się, że najbardziej na tym, by Stalin nie wrócił do zdrowia, zależało Ławrientijowi Berii – szefowi bezpieczeństwa. Strach przed dyktatorem, nawet powalonym i umierającym, połączony z wzajemną nieufnością i ambicjami politycznymi spowodował, że jego najbliżsi współpracownicy (Gieorgij Malenkow, Nikita Chruszczow, Nikołaj Bułganin oraz Beria, a także zmarginalizowani już Mołotow i Mikojan) byli jak sparaliżowani i nie zrobili nic. Przez cztery dni Stalin walczył ze śmiercią, aż wreszcie zmarł 5 marca, torując swym akolitom drogę do walki o polityczną schedę.

Wydawało się, że w nieuchronnej walce o władzę, która natychmiast się rozpoczęła, zwycięzcą będzie Malenkow. Już wcześniej wykorzystał piastowane wysokie stanowiska, a zwłaszcza fakt kierowania sekretariatem partii, do zbudowania swej pozycji pierwszego między równymi w wewnętrznym kręgu władzy – a w efekcie naturalnego następcy Stalina. Jego głównym sojusznikiem – choć był to wyłącznie sojusz taktyczny – był Beria. Gdy tylko Stalin umarł, Malenkow na wniosek Berii został przez wewnętrzny krąg mianowany zarówno Prezesem Rady Ministrów, jak i sekretarzem Komitetu Centralnego Partii.

Wówczas Malenkow zaproponował Berię jako swojego pierwszego zastępcę. Beria uzyskał też jeszcze większy wpływ na aparat bezpieczeństwa. Pozostali członkowie kierownictwa musieli początkowo zaakceptować ten układ. Ale podejrzliwość pozostała. Jednym z niebezpieczeństw było skupienie tak partyjnej, jak i państwowej władzy w rękach Malenkowa. Zostało ono szybko zażegnane, bo już 14 marca Malenkow musiał ustąpić ze stanowiska sekretarza Komitetu Centralnego (faktycznego szefa partii). To uutorowało drogę do najważniejszego stanowiska w ZSRR idącemu w górę Chruszczowowi.

Jednak większe od Malenkowa zagrożenie stanowił zdaniem członków wewnętrznego kręgu Beria i jego słabo skrywane ambicje. Wszyscy oni bali się Berii i mieli ku temu powody. Kierował olbrzymim aparatem bezpieczeństwa i inwigilacji, którego wielokrotnie w bezwzględny sposób używał do pozbywania się każdego, kogo w oparciu o dowolnie sfabrykowane zarzuty można było przedstawić jako wroga wewnętrznego. Niemniej jednak szef bezpieki sam narobił sobie potężnych wrogów, między innymi w wojsku – takich jak bohater wojenny marszałek Żukow. Kiedy więc spadły nań ciosy, Beria został sam.

Chruszczow nie tracił czasu i szybko udało mu się przekonać czołowe postacie w Prezydium partii (które w 1952 roku zastąpiło Biuro Polityczne) do poparcia spisku mającego na celu obalenie Berii. 26 czerwca 1953 roku, zaledwie trzy miesiące po śmierci Stalina, niczego niepodjrzewający Beria w trakcie posiedzenia Prezydium został potępiony przez dawnych towarzyszy i aresztowany przez Żukowa w asyście kilku generałów. Przez krótki czas przebywał w wojskowym areszcie, po czym w grudniu został skazany w tajnym procesie i natychmiast rozstrzelany. Szefa bezpieki sądzono pod absurdalnym zarzutem szpiegostwa na rzecz Wielkiej Brytanii – zgubiły go jego własne metody. W marcu 1954 roku jego policyjne imperium podzielono na dwie instytucje, z których jedna zajmowała się pospolitą przestępczością, a druga sprawami bezpieczeństwa państwa.

W ciągu kolejnych miesięcy Chruszczow wykorzystał stanowisko pierwszego sekretarza partii do wzmocnienia swojej pozycji. Powołał wielu nowych ludzi na



stanowiska szczebla okręgowego i rejonowego, tworząc sobie w ten sposób bazę poparcia ze strony tych, którzy mieli mu coś do zawdzięczenia. Jego śmiałą politykę zagospodarowywania pod uprawę „dziewiczych terenów” w Kazachstanie i na Syberii odtrąbiono jako wielki sukces (choć w rzeczywistości w niewielkim stopniu przyczyniła się do dobrodziejstwa, jakim były obfite plony w latach 1954 i 1955). Gwiazda Malenkowa gasła, zwłaszcza po powołaniu przez Chruszczowa komisji do zbadania zbrodni lat 30. i 40., co obejmowało też rolę Malenkowa w leningradzkiej czystce lat 1948–1949. W lutym 1955 roku Malenkow utracił fotel przewodniczącego Rady Ministrów, czyli premiera, a jego następca Bułganin był, jak się wkrótce okazało, słabszym elementem rządzącego Związkiem Radzieckim duetu.

Przełomowy moment poluzowania stalinowskiej śruby nastąpił 25 lutego 1956 roku podczas XX Zjazdu Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Dwa tygodnie wcześniej Chruszczow zasugerował, że należy poświęcić przemówienie „kultowi jednostki i jego następstwom”. Arcystalinowiec Mołotow był temu przeciwny, podobnie jak stara stalinowska gwardia – Łazar Kaganowicz i Klimient Woroszyłow. Ale Chruszczow dopiął swego. Wszyscy członkowie Prezydium, którzy go popierali, podobnie jak sam Chruszczow, mieli swój udział w straszliwych prześladowaniach za Stalina. Byli świadomi, że działająca już komisja ujawni przynajmniej część prawdy. Przewidując niewygodne pytania, jakie mogły paść ze strony osób zwalnianych po latach z więzień i łagrów, mieli swój interes w tym, by całą winę zwalić na dyktatora. Poparli więc to ryzykowne przedsięwzięcie.

Czterogodzinne przemówienie Chruszczowa wygłoszone na zamkniętym posiedzeniu Zjazdu było jak dynamit. Jego zasadniczym celem było oddzielenie dziedzictwa leninizmu od stalinowskich nadużyć władzy. Lenin został wywindowany na piedestał, by przepaść między nim a jego następcą tym bardziej rzucała się w oczy. Na początku wystąpienia Chruszczow przytoczył ostrzeżenie Lenina z 1922 roku, że Stalin nie potrafi właściwie korzystać z władzy, jaką daje stanowisko sekretarza generalnego partii. To stanowiło część bardziej ogólnej

próby wykazania, że Stalin odszedł od leninowskich norm i „pogwałcił leninowską zasadę kolegialnego kierownictwa w partii” po to, by przejąć absolutną władzę, stworzyć kult jednostki i rządu terroru. Zaciekły atak Chruszczowa na zbrodnie Stalina, poczynając od lat 30. (przy jednoczesnym spuszczeniu zasłony na wszystko, co działo się wcześniej), obarczał Stalina wyłączną i całkowitą odpowiedzialnością – bo jego usłudźni poplecznicy i szefowie bezpieczeństwa (Nikołaj Jeżow i Beria) działali na jego wyraźne rozkazy – za stosowany terror i masowe egzekucje lojalnych członków partii jako „wrogów ludu” na podstawie całkowicie fałszywych zarzutów. Jak oświadczył Chruszczow, „wszystko to zależało od samowoli jednego człowieka”.

W efekcie winą nie można obciążyć podległych mu przywódców partyjnych, którzy, jak dodał Chruszczow (w nawiązaniu do czystki w Leningradzie), nie znając „okoliczności sprawy, nie mogli się do niej wtrącać”. Ale Stalin nie tylko zniszczył kadry partyjne terrorem czystek. Władza skupiona w jego ręku zagroziła samemu istnieniu kraju. Jak stwierdził Chruszczow, Stalin ponosił osobistą odpowiedzialność za katastrofalne błędy popełnione w 1941 roku, kiedy to zignorował ostrzeżenia o nadchodzącej inwazji niemieckiej. Chruszczow rozprawiał się dalej z reputacją Stalina aż po wypaczenia z ostatnich lat jego życia, włącznie z rzekomym „spiskiem lekarzy”. Reasumując swą przydługą przemowę, potępił kult jednostki jako „obcy duchowi marksizmu-leninizmu”, wezwał towarzyszy do przywrócenia „leninowskich zasad radzieckiego demokratyzmu socjalistycznego” i „zwalczania samowoli osób nadużywających władzy”.

Zdemaskowanie Stalina miało zatem służyć podkreśleniu zarówno czystości ideologicznej, jak i zasad organizacyjnych systemu sowieckiego takiego, jaki zbudował Lenin. Innymi słowy, tyran odszedł i jego zbrodnie oddzielone zostały grubą linią. Ale ustrój, teraz wzmocniony, miał przetrwać. Gdy Chruszczow skończył, „na sali zapanowała głęboka cisza” – jak powiedział jeden z delegatów. „Czy to z powodu zaskoczenia, czy też niepewności i lęku”, ludzie wychodzili z pospuszczanymi głowami, nie chcąc popatrzeć sobie nawzajem w oczy.

Tekst przemówienia, szybko przemycony na Zachód i opublikowany, wywołał sensację. W Polsce i na Węgrzech rewelacje w nim zawarte przyczyniły się w znacznym stopniu do wzrostu niezadowolenia społecznego, które jesienią przerodziło się w otwarte wystąpienia przeciw sowieckiemu panowaniu. W samym Związku Radzieckim w prasie opublikowano jedynie jego krótkie streszczenie. Niemniej sam Komitet Centralny, być może na polecenie Chruszczowa, dopilnował, by wkrótce także w ZSRR tekst przemówienia został wydrukowany, rozpowszechniony i odczytany członkom partii.

Zaledwie trzy lata wcześniej śmierć Stalina wywołała u obywateli ZSRR przypływ graniczącego z histerią żalu. Jak wspomina pewna kobieta, „wszyscy tonęli we łzach. Nie wiedzieliśmy, co dalej będzie. Nie znaliśmy niczego innego”. Nie da się ocenić, do jakiego stopnia był to smutek autentyczny. Rozsądek nakazywał powstrzymanie się od osobistych reakcji takich jak słowa mieszkanki Kazachstanu, która po prostu powiedziała: „Umarł Stalin. I bardzo dobrze!”. Jednak utrwalony przez tyle lat kult wielkiego wodza nie mógł przejść bez śladu. Miliony ludzi niemalże wielbiło Stalina. A teraz oczekiwano od nich, że się całkowicie wyprą swego niedawnego idola. Nie dziw więc, że wielu było zaszokowanych, gdy poznali treść przemówienia; pojawiło się także duże zamieszanie.

Reagowano różnie. W całym kraju niszczone, usuwane lub oszpecano portrety i popiersia Stalina. Żądano usunięcia jego zwłok z zaszczytnego miejsca u boku zabalsamowanego ciała Lenina w kremłowskim mauzoleum (choć wykonano to dopiero w roku 1961). Wiele osób jednak nigdy nie darowało Chruszczowowi rzucenia ich idola z piedestału. Stawali w obronie Stalina, nie dopuszczali do usunięcia jego portretów i chwalili go za czystki, których ofiarami padali ich prześladowcy. Nigdzie nie stawano w obronie kultu Stalina z większym zapalem niż w jego rodzinnej Gruzji, gdzie trzecia rocznica jego śmierci przeszła pod znakiem trwających cztery dni protestów przeciwko atakowi Chruszczowa na byłego dyktatora. W jego rodzinnym Gori 5 marca zebrało się 50 000 ludzi, pragnących uczcić jego pamięć. W Tbilisi 7 marca zgromadził się z kolei

sześćdziesiątych tysięcy tłum, by złożyć kwiaty u stóp jego pomnika. W następnych dniach setki innych rekwirowało samochody, by obwozić po mieście portrety „Wielkiego Stalina”, wznosząc przy tym hasła „Precz z Chruszczowem!” i „Niech żyje Stalin!”. Do stłumienia niepokojów przysłano wojsko, a efektem zajęć było 20 zabitych, 60 rannych i wielu aresztowanych.

W całym Związku Radzieckim słychać było więcej otwartej krytyki, niż ktokolwiek byłby skłonny zaryzykować jeszcze niedawno. Ludzie, w tym ci powracający z łagrów, nabrali śmiałości, by zabrać głos. Członkowie partii podawali w wątpliwość sugestię, że członkowie Prezydium nie wiedzieli, co robił Stalin. Pytali, dlaczego dopiero teraz mówi się o zbrodniach Stalina. „A gdzie był wtedy sam Chruszczow?” – spytał jeden z wielbicieli Stalina, emerytowany pułkownik Armii Czerwonej. „Dlaczego wtedy milczał, a dopiero teraz, gdy Stalin nie żyje, obrzuca go tym całym błotem?” Inni pytali, dlaczego Chruszczow nie wspominał o wielu ofiarach spoza partii i czy nie należy szukać winy w samym systemie. Tak wnikliwa krytyka należała jednak do rzadkości. Krytycy zazwyczaj atakowali odstępstwa od leninowskich zasad, a nie sam ustrój. Czterdzieści lat po rewolucji było rzeczą praktycznie niemożliwą, by brano pod uwagę inny system niż ten, który pomimo swych wad zapewnił zwycięstwo w wojnie. Nadal też większość ludzi była na tyle ostrożna, by nie wygłaszać swego zdania zbyt głośno. A jednak Komitet Centralny był na tyle zaniepokojony, że w czerwcu 1956 roku rozesłał okólnik nawołujący do podjęcia zdecydowanych kroków w celu ograniczenia krytyki.

Przypominało to próbę ponownego zamknięcia puszkę Pandory. Przemówienie Chruszczowa rozbudziło entuzjazm i oczekiwanie reform zwłaszcza wśród studentów i innych grup młodzieży. Na uczelniach i w ośrodkach akademickich w kilku regionach Związku Radzieckiego dało się w latach 1956–1957 zaobserwować wzrost nastrojów opozycyjnych. Kolportowano tysiące antysowieckich ulotek. Niektóre z nich, wrzucane do skrzynek pocztowych w robotniczych dzielnicach Moskwy, nawoływały do reform „w duchu XX Zjazdu”, do tworzenia autentycznych „rad robotniczych”, strajków w fabrykach

i postawienia przed sądem osób zamieszanych w stalinowskie zbrodnie. Wysyłanie anonimowych listów o treści antyradzieckiej, posiadanie wywrotowej literatury i przede wszystkim wygłaszanie uwag krytycznych wobec reżimu to najczęstsze formy politycznego sprzeciwu, wymienione w raporcie sądowym, obejmującym prawie 2000 wyroków sądowych, wydanych za działalność antyradziecką w 1957 roku. Dwutygodniowy Światowy Festiwal Młodzi, który odbył się w lipcu 1957 roku w Moskwie, na krótko otworzył bramy Związku Radzieckiego, umożliwiając przyjazd ponad 30 000 osób ze 130 krajów, i spowodował większą gotowość młodych obywateli ZSRR do kwestionowania panującego w nim ustroju – choć z pewnością w celu jego naprawy, a nie wprowadzenia zachodniej demokracji.

Ukazanie w pełnym świetle zbrodni i ogromu niesprawiedliwości epoki Stalina, co zrobił Chruszczow w swym przemówieniu, miało kolejną niepokojącą konsekwencję, związaną z powrotem (po kolejnych dekretach i amnestiach z lat 1953–1958) czterech milionów więźniów z kolonii karnych i łagrów. Niewielu z nich doznało ciepłego przyjęcia. Większość spotkała się z wykluczeniem i podejrzliwością. Ludziom trudno było uwierzyć, że ich aresztowanie było bezpodstawne. Byli więc postrzegani jako zagrożenie dla społeczeństwa i źródło wzrastającej przestępczości. Ci, których nie dotknęły bezpośrednio masowe aresztowania za Stalina, zachowywali wobec ofiar obojętność i nie byli skłonni do okazywania im większego zainteresowania. Z kolei ofiary były gotowe zmierzyć się ze swoją traumą, mówiąc o swoich przejściach. Córka kobiety, która w 1956 roku powróciła ze zsyłki do Leningradu, wspomina, że po przemówieniu Chruszczowa jej matka po raz pierwszy zaczęła opowiadać o swoich przeżyciach. „I im dłużej rozmawiałyśmy, tym bardziej zmieniały się nasze poglądy; ogarniał nas sceptycyzm”. Ale dla ofiar i ich rodzin ta nowa wolność była ściśle ograniczona. Obawiali się, że represje mogą wrócić równie szybko, jak zostały wstrzymane. Większość ludzi zachowywała ostrożność – i słusznie, ponieważ widać było, że reżim jest gotów tolerować krytykę stalinowskiego kultu jednostki, ale nie samego ustroju radzieckiego.

Nie należy też przeceniać skali fermentu w radzieckim społeczeństwie. Dotyczył on mniejszości. Ale wystarczyło to, by stara gwardia przywódców sowieckich czuła niepokój i tym mocniej krytykowała Chruszczowa. Irytował ich styl jego przywództwa – apodyktyczny i impulsywny, choć przywykli do czegoś znacznie gorszego za Stalina. Ich niechęć wzbudził też otwarty atak Chruszczowa na przywódcę, któremu służyli i którego często nadal czcili, choćby jako wielkiego radzieckiego bohatera wojennego. I wreszcie uważali, że poddając pod osąd społeczny przeszłość, której część sami stanowili, Chruszczow popełnił poważny błąd. Nie podobało im się też odejście od prowadzonej przez Stalina polityki zagranicznej – ponowne nawiązanie stosunków z renegatem Titą i deklarowana gotowość do „pokojowego współistnienia” z Zachodem. Strajki w Polsce i powstanie na Węgrzech jesienią 1956 roku, zagrażające podkopaniem podstaw sowieckiego panowania, były dla nich poważnym sygnałem, że Chruszczow trwoni dorobek Stalina.

Starzy wyjadacze: Mołotow, Malenkow i Kaganowicz, wierni zwolennicy Stalina, próbowali obalić Chruszczowa, proponując na posiedzeniu Prezydium w dniu 18 czerwca 1957 roku zlikwidowanie stanowiska pierwszego sekretarza KPZR, czyli fundamentu jego władzy. Chruszczowowi udało się jednak odwołać od decyzji Komitetu Centralnego i oddać swój los w ręce jego członków. Większość z nich stanowili jego nominaci, zawdzięczający mu awans i stanowiska w terenie. Zwołani w trybie pilnym na nadzwyczajne posiedzenie w dniu 21 czerwca poparli Chruszczowa. Spiskowcy zostali pokonani i usunięci z Prezydium. Ale przynajmniej nie wróciły praktyki z czasów Stalina. Skompromitowanym przywódcom nie wytoczono pokazowego procesu zakończonego egzekucją. Zamiast tego zostali rozesłani w odległe zakątki ZSRR, gdzie nie mogli już zaszkodzić. Mołotow został ambasadorem w Mongolii, Malenkow dyrektorem elektrowni w Kazachstanie, a Kaganowicz dyrektorem cementowni w Swierdłowsku za Uralem. Bułganin też był zamieszany w spisek i został zwolniony z funkcji Prezesa Rady Ministrów. Stanowisko to objął w 1958 roku sam Chruszczow, podobnie jak Stalin w 1941 roku łącząc je z funkcją pierwszego

sekretarza KPZR. Eksperyment z kolegialnym przywództwem dobiegł końca. Od tego momentu przez jakieś sześć lat kierujący zarówno partią, jak i państwem Chruszczow był niekwestionowanym przywódcą Związku Radzieckiego.

Bilans jego urzędowania jest niejednoznaczny. W czasie gdy był przywódcą ZSRR, dochód narodowy brutto wzrósł o 58 procent, produkcja przemysłowa o 84 procent, a produkcja dóbr powszechnego użytku o 60 procent. Pomimo utrzymywanego priorytetu dóbr inwestycyjnych, przemysłu ciężkiego i zbrojeniowego (w tym produkcji broni atomowej), poziom życia większości obywateli radzieckich poprawił się dzięki utrzymaniu wysokiego wskaźnika wzrostu gospodarczego (choć nadal niskiego w porównaniu z Europą Zachodnią). Oznaką poprawy był pięćdziesięciopięcioprocentowy wzrost spożycia mięsa oraz rosnąca liczba osób (choć nadal był to niewielki odsetek radzieckiego społeczeństwa) mogących sobie pozwolić na zakup lodówki, telewizora i pralki. Próbowano uporać się z najgorszymi przypadkami biedy na wsiach. W skolektywizowanym rolnictwie zaczęto płacić więcej za dostarczane produkty; zezwolono też na większe dochody z działek przyzagrodowych. Wzrosły nakłady na rolnictwo. Zniesiono obowiązujące za Stalina drakońskie kary za naruszenie dyscypliny pracy. Poszerzono zakres świadczeń socjalnych. Ogromny program budownictwa mieszkaniowego w jakimś stopniu naprawił problem niedoboru porządných mieszkań. W dużych miastach wyrastały bloki mieszkalne. Koszty ogrzewania były minimalne, szkolnictwo i opieka zdrowotna bezpłatne. Zdecydowane kroki w celu poprawy szkolnictwa zaowocowały trzykrotnie większą liczbą studentów. A reformy prawa usunęły najgorsze przejawy wcześniejszej dowolności w jego stosowaniu, choć prawo nadal podlegało imperatywom polityki. To na pewno zmiany na lepsze. Ale Chruszczow raczej nie zdobył uznania u radzieckich obywateli. Stopa życiowa nadal była niska. Choć w mniejszym niż przedtem stopniu, system pozostał autorytarny i autokratyczny.

Chruszczow popełnił też ogromne błędy. Najbardziej brzemiennie w skutki okazały się te związane z jego dążeniem do poprawy wydajności w rolnictwie. Jego szeroko rozpropagowana polityka „dziewiczych terenów” początkowo odnosiła

sukcesy. Setki tysięcy młodych obywateli ZSRR, zmobilizowanych przez partyjną młodzieżówkę, Komsomoł, wyjeżdżało do Kazachstanu lub na Syberię, by pomóc przy żniwach. Tysiące traktorów orało olbrzymie połacie leżącej odłogiem ziemi i w 1956 roku zbiory były tam trzykrotnie wyższe niż w 1953 roku. Ale ceną za maksymalizowanie produkcji była erozja gleby i wyjałowienie milionów hektarów ziemi. Do tego okropne warunki życia na wsi nakłoniły wielu wcześniejszych idealistów do powrotu do domu. Pomimo całego propagandowego jazgotu kampania „terenów dziewiczych” okazała się porażką, a produkcja rolna spadła w okresie między 1958 a 1963 rokiem.

Kolejny, równie kosztowny błąd, Chruszczow popełnił w 1959 roku po powrocie z podróży do Stanów Zjednoczonych, gdzie zapalał entuzjazmem do obsiewania łąk kukurydzą, nawet w warunkach kompletnie nieodpowiednich do jej uprawiania. Eksperyment, przeprowadzony wbrew radom czołowych ekspertów od rolnictwa, zakończył się całkowitą porażką, podobnie jak towarzyszące mu próby prześcignięcia USA w produkcji nabiału. Do 1962 roku trzeba było podnieść ceny żywności (co doprowadziło do wybuchu niezadowolenia w niektórych miastach), kolejki po chleb pojawiły się nawet na Ukrainie, od dawna uważanej za spichlerz ZSRR, w największych miastach takich jak Moskwa czy Leningrad kwitł czarny rynek i trzeba było sięgnąć po rezerwy walutowe, by sprowadzić zboże z zagranicy. Podwyżki cen, braki żywności i inne trudności gospodarcze lat 1961–1962 znacznie pogorszyły nastroje społeczne. W niektórych miastach doszło do zakłócenia porządku. W Nowoczerkasku (położonym w pobliżu Rostowa na terenach południowej Rosji) do stłumienia zamieszek, wywołanych w początkach czerwca 1962 roku podwyżką cen i obcięciem płac, wezwano wojsko, które przeciw nieuzbrojonym robotnikom użyło broni maszynowej. W konsekwencji zginęło 26 osób, a 87 zostało rannych.

Nic więc dziwnego, że przeciwnicy Chruszczowa w samej partii znów podnieśli głowy. Błędy w planowaniu, ogromne trudności gospodarcze i przejawy niezadowolenia społecznego stały w jaskrawej sprzeczności z bezgranicznym optymizmem i obietnicami bez pokrycia, które Chruszczow sformułował przed



niespełna rokiem w referacie programowym własnego autorstwa podczas XXII zjazdu KPZR, 18 października 1961 roku. Chruszczow wygłosił wtedy dwa przemówienia zawrotnej, nawet jak na zwyczaje sowieckie, długości (łącznie 10 godzin). Powiedział zgromadzonym pięciu tysiącom delegatów, że najpóźniej za 10 lat „zaspokojone będą potrzeby materialne” wszystkich obywateli, rozwiązany zostanie problem mieszkaniowy, że towary konsumpcyjne będą łatwo dostępne, co zapewni każdemu „wysokiej jakości wyżywienie”. Fakt, że ten obraz całkowicie rozmija się z rzeczywistością, stał się rażąco widoczny niespełna rok później, co osłabiło zarówno władzę Chruszczowa, jak i jego popularność.

Kontrapunktem dla triumfalizmu cechującego Zjazd było ostateczne rozliczenie kultu Stalina. Przemówienie Chruszczowa sprzed pięciu lat było adresowane do ograniczonego kręgu członków partii i chociaż szybko przedostało się do wiadomości publicznej, ani w owym czasie, ani później dyktator nie został oficjalnie i publicznie potępiony. Tym razem jednak skończył się okres ochronny, tak dla byłego dyktatora, jak i jego dawnych popleczników: Mołotowa, Malenkowa i Kaganowicza, którzy byli przywódcami „antypartyjnego” spisku przeciw Chruszczowowi z 1957 roku. Oficjalny organ partii „Prawda” opisał ich jako „degeneratów, nawykłych do życia w szlamie i brudzie”. Pod koniec zjazdu starsza kobieta, która wstąpiła do partii bolszewickiej w 1902 roku, weszła na mównicę i opowiedziała, że w nocy śnił jej się Lenin, który powiedział: „Nie chcę leżeć koło Stalina, który tyle nieszczęść sprowadził na naszą partię”. Skutkiem jej wystąpienia była jednomyślnie podjęta uchwała, w myśl której uznano „dalsze przetrzymywanie sarkofagu z trumną J.W. Stalina w mauzoleum za rzecz niewłaściwą”. Tego samego wieczoru zwłoki Stalina usunięto i złożono w dole na tyłach Kremla, a następnie zalano cementem z wywrotek i przykryto granitową płytą. Wyglądało to tak, jakby radzieccy bossowie chcieli się ponad wszelką wątpliwość upewnić, że pozbyli się potwora raz na zawsze.

Chruszczow rozprawił się z kultem Stalina, ale nie udało mu się go zastąpić choć na jotę podobnym poparciem dla własnych rządów. Jego pozycja słabła w miarę ujawniania się fiaska jego polityki i niezadowolenia społecznego. Sytuację

pogorszył kolejny nieurodzaj w 1963 roku. Polityka rolna Chruszczowa to kosztowne błędy. Zainicjowana przezeń reorganizacja aparatu partyjno-państwowego nie przyniosła znaczącej poprawy. Obawiano się, że destalinizacja poszła za daleko. Ograniczenie wydatków wojskowych i kadry oficerskiej nie spotkały się z aprobatą dowództwa radzieckiej armii. Uważano też, że wizerunkowi ZSRR zaszkodziły wyczyny Chruszczowa na scenie międzynarodowej – walenie butem w stół w siedzibie ONZ w 1960 roku podczas przemówienia, które mu było nie w smak, czy niewłaściwa polityka wobec kryzysu kubańskiego z 1962 roku. Chruszczowowi udało się zrazić do siebie znaczącą część głównych filarów władzy: partii, wojska, ministerstw zajmujących się gospodarką i bezpieczeństwem.

W październiku 1964 roku spędzającego urlop nad Morzem Czarnym Chruszczowa wezwano na posiedzenie Prezydium partii, rzekomo w sprawach rolnictwa. Do ostatniej chwili Chruszczow nie zdawał sobie sprawy z faktu, że posiedzenie zwołano po to, by go usunąć ze stanowiska. Jego następcą był już wyznaczony i gotów do przejęcia władzy. Uzgodniono bowiem wcześniej, że następnym pierwszym sekretarzem KPZR zostanie Leonid Breżniew, niegdyś protegowany Chruszczowa. Miał on najpierw poprowadzić spotkanie kończące karierę Chruszczowa. Podczas zebrania ostro zaatakowano nieudolność Chruszczowa jako przywódcy, zarzucając mu próbę zbudowania swojego kultu jednostki, bezsensowną dezorganizację administracji i kompromitujący sposób prowadzenia spraw zagranicznych. (Artykuł redakcyjny w partyjnym organie „Prawda” niedługo potem poddał surowej krytyce „idiotyczne intrygi, niewydarzone wnioski i oderwane od rzeczywistości pospieszne decyzje i działania, przechwałki i skłonność do rządzenia za pomocą odgórnych decyzji”). Baza poparcia, która uratowała Chruszczowa w 1957 roku, w międzyczasie zniknęła. Nikt nie zabrał głosu w jego obronie. Chruszczow pokornie pogodził się z losem. „Cóż mogę rzec? Mam to, na co zasłużyłem” – powiedział towarzyszom. Ale nie było odwetu w stalinowskim stylu. Chruszczow ustąpił, oficjalnie z powodu złego stanu zdrowia, odchodząc na wygodną emeryturę, którą spędził

w zapomnieniu. Jego nazwiska praktycznie nie słyszało się aż do jego śmierci we wrześniu 1971 roku.

Wraz z ustąpieniem Chruszczowa dyktaturę dynamiczną w Związku Radzieckim zastąpiła dyktatura bezbarwna – teraz z kolegialnym przywództwem. Już w październiku 1964 roku została podjęta decyzja wykluczająca pełnienie przez tę samą osobę funkcji szefa partii i szefa rządu. Breżniew nie próbował zresztą dzierżyć wszystkich cugli w swym ręku. I tak Aleksiej Kosygin, postać jeszcze mniej dynamiczna od Breżniewa – o ile to możliwe – został szefem Rady Ministrów (premierem), a Nikołaja Podgornego, który pod względem bezbarwności mógł konkurować z obydwojema, powołano na stanowisko przewodniczącego Prezydium Rady Najwyższej (głowy państwa). W tym kolegialnym przywództwie stopniowe przekształcenie się pozycji Breżniewa od pierwszego między równymi do zdecydowanej supremacji zajęło ponad 10 lat.

Po kilku dekadach autokratycznych rządów Stalina, a potem wstrząsach za Chruszczowa, z Breżniewem przyszła stabilizacja. Jego nijaka osobowość stanowiła zdecydowany kontrast wobec nadpobudliwości Chruszczowa. To było jak antidotum na cokolwiek, co mogłoby choć przypominać „charyzmatyczne” przywództwo. Ustrój ustabilizował się jako konserwatywny, represyjny autorytaryzm. Czas wielkich (ale ryzykownych) eksperymentów się skończył. Nowy przywódca partii znów był „sekretarzem generalnym”, który to tytuł obowiązywał od czasów Stalina do jego zmiany przez Chruszczowa na „pierwszego sekretarza”. Biuro Polityczne (przemianowane w 1952 roku na „Prezydium”) także powróciło do dawnej nazwy. W partii zniknęło poczucie zagrożenia. Nowa stabilizacja opierała się na armii aparatczyków, którzy w zasadzie mogli cieszyć się swą władzą i korzystać z korupcji tak długo, jak przestrzegali linii partii. Urzędnicy nie musieli się już obawiać utraty stanowiska lub nawet życia. Złagodzone nieco drakońską dyscyplinę pracy. Poprawiło się nieco zaopatrzenie w towary konsumpcyjne, choć nadal występowały braki nawet podstawowych towarów. Ludzie przyzwyczaili się do kolejek po artykuły

spożywcze. Ale znów zatrasnęło się z lekka uchylone przez Chruszczowa okienko z widokiem na zmiany.

Nowy reżim pod kolegialnym przywództwem nie próbował powtórki z terroru lat minionych. Dał jednak wyraźnie do zrozumienia, że ustrój komunistyczny, bez względu na zmiany na szczytach władzy, jest co do zasad niezmienny i niepodlegający dyskusji. Nadal funkcjonował aparat bezpieczeństwa państwa, teraz pod nazwą KGB (Komitet gosudarstwiennoj biezopasnosti), który był kluczowym narzędziem władzy systemu. Intelktualistów, którym wydało się, że w systemie jest miejsce na coś w rodzaju „lojalnej opozycji” występującej przeciw nadużyciom, lecz niedążącej do obalenia zreformowanego komunizmu, szybko wyprowadzono z błędu. O ile za Chruszczowa uczyniono kilka niepewnych kroków w kierunku większej swobody i obiektywizmu w pisaniu o historii, teraz nastąpił całkowity odwrót od tej tendencji. Aleksandr Sołżenicyn zyskał międzynarodowe uznanie po opublikowaniu w listopadzie 1962 roku, za osobistym przyzwoleniem Chruszczowa, książki *Jeden dzień Iwana Denisowicza*, która była sensacją, gdyż ujawniała okropieństwa łagrów. Ale już trzy lata później nie pozwolono mu wydać powieści *Krąg pierwszy* oraz *Oddział chorych na raka*, opisujących życie pod rządami Stalina. (Później pozbawiono go obywatelstwa radzieckiego i wydalono z ZSRR). Fizykowi Andriejowi Sacharowowi nie pozwolono na publiczne wyrażenie jakiegokolwiek krytyki, odebrano przysługujące mu przywileje, a w końcu przymusowo go przesiedlono. Satyryków Andrieja Siniawskiego i Julija Daniela zesłano do łagru za szerzenie „antyradzieckiej propagandy”. W ciągu paru lat liczba więźniów politycznych oraz tych, którzy na próżno walczyli o wolność religijną wzrosła do około 10 000. Inwigilacja, oparta na olbrzymiej siatce donosicieli, była wszechobecna.

Nie można mówić o powrocie do czasów Stalina. Nie było już bezprawnych zatrzymań, aresztowań czy egzekucji. Kto siedział cicho, mógł się czuć w miarę bezpiecznie. Ale otwarta krytyka lub polityczne odstępstwo wiązały się z represjami – nieodłączną częścią systemu. Śrubę można było, jak za Chruszczowa, poluzować, ale nie można było całkowicie jej wykręcić.

## Jugosłowiańska „herezja”

Jeden kraj komunistyczny wyróżniał się na tle państw Europy Wschodniej, należących do bloku sowieckiego. Po wzajemnych urazach i rozłamie między Titą a Stalinem w 1948 roku, Jugosławia kroczyła odrębną drogą niż kraje satelickie Moskwy, w których z obawy przed rozprzestrzenieniem się (jak je nazywano) „wypaczenia titoistowskiego” dochodziło do aresztowań, pokazowych procesów i surowych kar stosowanych wobec każdego – zazwyczaj politycznego przeciwnika – oskarżonego o sprzyjanie temu odstępstwu. Stalin początkowo robił wszystko, co mógł, by pozbyć się Tity. Nieustającym i pełnym jadu atakom radzieckiej propagandy towarzyszyły próby zgładzenia niewygodnego oponenta. Tito jednak nie należał do ludzi, których łatwo zastraszyć. Po śmierci Stalina w jego biurku znaleziono notkę następującej treści: „Jak nie przestaniesz nasyłać zabójców, ja wyślę jednego do Moskwy, a drugiego już nie będę musiał”. Chruszczow próbował poprawić trochę stosunki z Titą w 1955 roku, ale musiał już wówczas zaakceptować fakt, że Jugosławia nadal będzie czarną owcą w komunistycznym stadzie i nie da się jej zmusić do uległości wobec Związku Radzieckiego.

Dla Stalina największą zbrodnią Tity było to, że nie chciał uznać jego zwierzchnictwa. Z ideologicznego punktu widzenia, jego „herezja” polegała na tym, że realizował formę socjalizmu diametralnie odmienną od nadrzędnych zasad władzy radzieckiej. W jugosłowiańskim komunizmie władza była zdecentralizowana, a nie sprawowana przez mocno zbiurokratyzowaną partię-państwo. Produkcją przemysłową sterowano za pośrednictwem ponad 6000 „samozarządzających” i pochodzących z wyboru rad robotniczych, a nie drakońskich rządów kierownictwa, narzucającego dyktat centralnego planowania. Poza tym w okresie zimnej wojny Jugosławia prowadziła politykę „niezaangażowania”, czyli w praktyce neutralności, unikając formalnych zobowiązań wobec któregośkolwiek z supermocarstw i nie poddając się nakazom radzieckiej polityki zagranicznej.

W tej zdemokratyzowanej (choć w sposób ograniczony) formie jugosłowiańskiego komunizmu, budowanego bardziej oddolnie niż odgórnie, w naturalny sposób pojawiały się pytania o rolę partii. Teoria w systemie sowieckim była jasna: partia stanowi awangardę „dyktatury proletariatu” i jako taka kieruje państwem i sprawuje nad nim kontrolę. W Jugosławii nie było to tak wyraźne. Jednak Tito zdecydowanie przeciwstawiał się tym, którzy chcieli rozwozić rolę partii aż do niemal całkowitej marginalizacji. Jak wskazał w 1954 roku, organizacje partyjne nie będą się mieszały do bieżącego zarządzania fabrykami przez rady robotnicze. „Muszą jednak”, twierdził Tito, „wiedzieć, jaka ogólna polityka jest realizowana w przedsiębiorstwie” oraz „nadawać ton działaniom rad robotniczych”. Niezbyt czytelna linia demarkacyjna nie była w stanie ukryć faktu, że ostatecznie rządzi partia.

Ten system działał. W latach 1953–1960 produkcja przemysłowa rosła o 13 procent rocznie, skutkując blisko sześcioprocentowym wzrostem dochodu i, po kilku pierwszych latach, większymi niż w krajach bloku radzieckiego wydatkami na konsumpcję. Do tego imponującego wzrostu gospodarczego, możliwego w znacznej mierze dzięki inwestycjom finansowanym za pośrednictwem państwowego systemu bankowego, dokładała się pomoc z zagranicy – 553,8 milionów dolarów w latach 1950–1953; szczególnie Stany Zjednoczone postrzegały Jugosławię jako klin, który można wbić w system komunistyczny. Wraz z rozwojem masowej turystyki zagranicznej w Europie w latach 60. państwowa kiesa Jugosławii pęczniała jeszcze bardziej, a dalsza liberalizacja systemu spowodowała, że dla Zachodu była to najatrakcyjniejsza wersja komunizmu. Niemniej już w początkach lat 60. nastąpiło spowolnienie wzrostu gospodarczego, a w połowie dekady zaczął się wzrost bezrobocia, inflacji i deficytu handlowego, co było zwiastunem poważnych problemów lat 70.

Poparcie społeczne dla komunizmu w Jugosławii było prawdopodobnie większe niż w którymkolwiek z państw satelickich Moskwy. Oprócz wyższego poziomu zaangażowania, wynikającego z nieco bardziej demokratycznego systemu, były jeszcze dwa czynniki wpływające na względny sukces

jugosłowiańskiego komunizmu. Pierwszym, zwłaszcza we wczesnych latach, był integrujący wpływ zagrożenia ze strony Stalina. Zagrożenie inwazją sprzyjało jedności, czego efektem była „negatywna integracja” różnych narodów Jugosławii. Integrację pozytywną zapewniało swoiste poczucie tożsamości, zbudowane wokół samego Josipa Broza Tity. W ramach kultu Tity, przywódca przedstawiany był jako uosobienie nowej, socjalistycznej Jugosławii i wcielenie bohaterstwa partyzantki, która ten kraj stworzyła. Poparcie społeczne dla Tity i jego prestiż oznaczały, że stoi ponad jakimikolwiek walkami frakcyjnymi w partii. Także to, że miał ojca Chorwata i matkę Słowenkę pomogło mu wykroczyć poza zatruwające wcześniej kraj podziały etniczne. Liberalizm w obsadzie stanowisk, przyznawaniu awansów, przywilejów, korzyści materialnych i owoców korupcji zapewniały lojalność działaczy partyjnych i bezpieczeństwa. Przede wszystkim jednak Tito pilnował, by zawsze mieć poparcie wojska – dzięki odpowiednim nakładom finansowym, dobrym płacom, możliwościom awansu i zapewnionym przez państwo mieszkaniom. Szczęściem dla komunizmu w Jugosławii było to, że stojący na czele partii, państwa i sił zbrojnych Tito żył długo – umarł dopiero w 1980 roku. Jego cechy osobiste, talent polityczny i charyzma były niezbędnymi składowymi powodzenia i stabilności systemu. Bez niego podziały, które rozsadziły kraj niedługo po jego śmierci, mogłyby się ujawnić dużo wcześniej.

Chociaż w porównaniu z blokiem radzieckim panowanie Tity mogło się wydać atrakcyjne, miało ono też swoje ciemne strony. Komunistów lojalnych wobec Moskwy spotkały po 1948 roku dotkliwe prześladowania – około 16 000 zostało internowanych w bardzo ciężkich obozach reedukacyjnych. Trzy tysiące z nich zmarło – w wielu przypadkach na skutek tortur. Wprawdzie czystki partyjne nigdy nie osiągnęły skali porównywalnej z czystkami stalinowskimi, ale oponenti byli usuwani z partii i skazywani na długoletnie więzienie, czego sztandarowym przykładem był główny krytyk Tity, Milovan Đilas. Podobny los mógł spotkać intelektualistów i każdego, kto w swej krytyce ustroju posunął się za daleko. I podobnie jak w całym bloku radzieckim, gdy kolektywizacja rolnictwa – nieodłącznie związana z dążeniem do uprzemysłowienia – napotkała gwałtowny

sprzeciw ze strony chłopów, wywołując w 1950 roku regionalny bunt (w którym uczestniczyli dawni partyzanci i członkowie partii), władza użyła siły. Setki chłopów aresztowano, a przywódców skazano na śmierć. Reżim jednak wyciągnął wnioski i w 1953 roku zaprzestano kolektywizacji. Ziemię przejętą przez nieproduktywne spółdzielnie zwrócono chłopom.

Narodowe korzenie i większa elastyczność komunizmu w rządzonej przez Titę Jugosławii pozwoliły na znacznie skuteczniejsze niż w państwach satelickich Moskwy dokonywanie korekt i umożliwiły dalszą liberalizację w gospodarce i kulturze w latach 60. W kinach pokazywano niektóre zachodnie filmy, w tym hollywoodzkie produkcje (których sprowadzenie dofinansowywały Stany Zjednoczone). Młodzież mogła słuchać Beatlesów, Rolling Stonesów i Jimiego Hendriksa. Jeśli chodzi o tworzenie przestrzeni osobistej wolności, Jugosławia poszła dalej niż którykolwiek inny kraj Europy Wschodniej. Ale w oczywistych granicach. Nie było miejsca na kwestionowanie czy nawet zasadniczą krytykę, w mowie czy w piśmie, panującego systemu. Koniec końców, podobnie jak system sowiecki, opierał się on na przymusie – otwartym lub domniemanym.

## **Dokręcanie śruby – państwa bloku wschodniego**

Kraje bloku wschodniego były ze sobą ściślej związane niż liberalne demokracje Europy Zachodniej. Nie tworzyły jednak monolitu. Pod powłoką jednolitej ideologii marksistowsko-leninowskiej narodowa tradycja i kultura nadal wpływały na ich zróżnicowany rozwój. Sposób, w jaki przystosowywały się do zwierzchnictwa ZSRR, zależał też od okoliczności ustanowienia i konsolidacji ustroju komunistycznego. Różna zatem była ich reakcja na zmianę klimatu po śmierci Stalina.



W państwach bałkańskich – Rumunii, Bułgarii i Albanii – śruba praktycznie nie została poluzowana. Także w Czechosłowacji pozostała mocno dokręcona. Natomiast zupełnie inaczej wyglądało to w 1953 roku w NRD, a potem w Polsce i, przede wszystkim, na Węgrzech w 1956 roku. Skala masowych protestów w tych krajach była dla radzieckich przywódców wstrząsem, na który zareagowali siłowo, by nie dopuścić do zagrożenia dla ich władzy. Jakie były przyczyny tych różnic w obrębie bloku radzieckiego?

Zasadnicze znaczenie miało to, czy komunistyczni przywódcy w danym kraju mieli całkowitą kontrolę nad aparatem władzy i mogli prowadzić swą politykę bez sprzeciwu wewnątrz kraju lub „korekt” z Moskwy. Sama sprawowana przez komunistycznych przywódców władza zależała od poparcia aparatu bezpieczeństwa, którego lojalność kupowano, rozdając w ramach systemu przywileje materialne. Ogromna skala represji stanowiła natomiast czynnik odstrasżający od działalności opozycyjnej. Mniejsza skala represji albo też przekonanie, że możliwa jest zmiana na szczytach władzy lub zmiana polityki istotnie zwiększały prawdopodobieństwo poważnych przejawów politycznej kontestacji. Takie prawdopodobieństwo było większe tam, gdzie istniała mocno zakorzeniona infrastruktura społeczna i polityczna (jak np. związki zawodowe), tworząca potencjał zorganizowanych form oporu nawet w warunkach represyjnego reżimu. Tam, gdzie poczucie tożsamości narodowej było szczególnie silne (i mogło uruchomić odwieczną niechęć do Rosji, sztucznie tylko skrywaną pod ideologicznym hasłem „braterstwa” ze Związkiem Radzieckim), na przykład w Polsce i na Węgrzech, opozycja mogła się rozrastać i zyskać szerokie poparcie. Potencjał organizacyjny był niższy w mniej rozwiniętych gospodarczo krajach bałkańskich, gdzie tradycyjna infrastruktura społeczno-polityczna opierała się głównie na ludności wiejskiej, a w mniejszym stopniu na stosunkowo nielicznej klasie robotniczej.

## **Stare porządki**

Jednym z najbardziej fanatycznych i bezwzględnych przywódców komunistycznych był rumuński dyktator Gheorghe Gheorghiu-Dej. Przechytrzył swoich konkurentów – Lucreția Pătrășcanu, Vasilego Luca i Anę Pauker – i w momencie śmierci Stalina jako premier i przywódca partii sprawował już pełną władzę. Nadzorował olbrzymi i niezwykle brutalny aparat bezpieczeństwa, który prowadził system obozów przypominający sowiecki Gułag z najgorszych, stalinowskich czasów. Uwięziono dziesiątki tysięcy Rumunów ze wszystkich warstw społecznych w okresie kolektywizacji (rozpoczętej w latach 1949–1950), zwłaszcza spośród chłopów; wielu poddano torturom. Kolejne dziesiątki tysięcy zaprzęgnięto do niewolniczej pracy przy ogromnej inwestycji – budowie kanału Dunaj–Morze Czarne. Praca ta była nie tylko nieludzka, ale i bezsensowna; na skutek ograniczenia radzieckiej pomocy gospodarczej zaprzestano robót w 1953 roku, zostawiając kanał niedokończony. Wznowiono je dopiero 20 lat później.

Niezagrożony w swej władzy i rządzący potężnym państwem policyjnym Gheorghiu-Dej mógł sobie pozwolić na ignorowanie reformatorskich poczynań Chruszczowa w ZSRR. Ukłonem w stronę kolegialnego przywództwa była jego rezygnacja z funkcji szefa partii w 1954 roku. Stanowisko to objął ponownie rok później, wyznaczając na premiera swego poplecznika Chivu Stoicę. Znalazł też kozły ofiarne do rozliczenia wcześniejszych niepowodzeń w osobach dawnych konkurentów: Pătrășcanu, Luci i Pauker, których oskarżył o stalinizm, co było klasyczną ilustracją przysłowia „przyganiał kocioł garnkowi”. Podstawą potęgi Gheorghiu-Deja była kontrola nad partią i bezpieczeństwem. Przejawy niezadowolenia w kraju miały ograniczony zasięg. Chłopski ruch oporu, powstały w drugiej połowie lat 40. na bazie protestów przeciw kolektywizacji, pomimo bezlitosnych represji tlił się nadal, ale sporadyczne działania partyzanckie na górzystych i leśnych obszarach nie były w stanie zagrozić reżimowi. A kiedy jesienią 1956 roku na uczelniach wybuchły protesty studentów, dla których inspirację stanowiły wydarzenia w Polsce i na Węgrzech, zostały one brutalnie zdławione przez tajną policję – cieszącą się złą sławą Securitate, jedną z największych i najbardziej brutalnych instytucji aparatu przemocy w Europie Wschodniej. Zdecydowane

poparcie przez Gheorghiu-Deja radzieckiej pacyfikacji październikowego powstania na Węgrzech wzmocniło jego pozycję negocjacyjną względem Chruszczowa. Ograniczono ciężary ponoszone przez Rumunię na rzecz ZSRR, a pozycja Gheorghiu-Deja pozostała nienaruszona. Stalinowska śruba nie tylko nie została w Rumunii poluzowana, ale wręcz dokręcona.

W końcówce lat 50. w Rumunii nie tylko nadal panował niezreformowany reżim stalinowski, ale w pewnym sensie rozwijała się forma narodowego komunizmu, stojącego w sprzeczności z wymaganym przez radziecką gospodarkę „socjalistycznym podziałem pracy” w krajach bloku. W szczególności priorytet gospodarczy rumuńskich przywódców – industrializacja kraju – był niezgodny z oczekiwaniami Moskwy, realizowanymi w ramach RWPG (organizacji powstałej w 1949 roku w celu koordynacji polityki gospodarczej państw bloku). Rumunia miała pozostać krajem rolniczym, dostawcą produktów rolnych i surowców. Stawką była tu jednak szerzej pojęta kwestia mieszania się ZSRR w wewnętrzne sprawy innych krajów. Przywódcy rumuńscy stąpali po niepewnym gruncie, choć na ich korzyść działał fakt, że Związek Radziecki chciał uniknąć konfrontacji podobnej do tej, do której doszło na Węgrzech. Dążenie do pewnej niezależności Rumunii od ZSRR w ramach bloku dopiero nabierało tempa, gdy w 1965 roku Gheorghiu-Dej zmarł, a na jego miejsce przyszedł równie brutalny następca – Nicolae Ceaușescu.

Stalinowska śruba była także mocno dokręcona w Bułgarii. W odróżnieniu od Rumunii, w której wprowadzenie rządów komunistycznych jedynie tuszowało od dawna zakorzenione nastroje antyrosyjskie (i w której wciąż rozpamiętywano aneksję Besarabii i północnej Bukowiny przez ZSRR w 1941 roku), w Bułgarii nastroje były tradycyjnie prorosyjskie i pansłowiańskie, po wojnie zaś stała się ona najbardziej wiernopoddańczym krajem w całym bloku wschodnim. Bułgarski przywódca Wyłko Czerwenkow był kolejnym klonem Stalina i już w 1950 roku pełnił funkcję zarówno premiera, jak i sekretarza generalnego partii. W odróżnieniu jednak od Gheorghiu-Deja w Rumunii, jego pozycja po śmierci Stalina znacznie osłabła. Wcześniej jednak poprzez przymusową kolektywizację, skutkiem której

gwałtownie spadła wydajność, zdążył zniszczyć podstawy bułgarskiego rolnictwa opartego na gospodarstwach chłopskich. Czerwenkow wypełniał płynące z Moskwy po śmierci Stalina dyrektywy, zmniejszając nieco ucisk, poprawiając warunki mieszkaniowe i zwiększając produkcję artykułów powszechnego użytku, niemniej Bułgaria pozostała krajem biednym i zacofanym, o niskiej stopie życiowej, w znacznym stopniu zależnym gospodarczo od Związku Radzieckiego.

Czerwenkow zastosował się też do radzieckich zaleceń w kwestii niełączenia stanowisk partyjnych z państwowymi i w 1954 roku ustąpił ze stanowiska szefa partii. Jego miejsce zajął Todor Żiwkow, urodzony w roku 1911 w rodzinie chłopskiej, który pnąc się w górę po szczeblach kariery partyjnej, był teraz najmłodszym przywódcą komunistycznym w Europie. Dwa lata później, w następstwie potępienia przez Chruszczowa kultu jednostki, Czerwenkow musiał również ustąpić ze stanowiska premiera. Niemniej jednak, podobnie jak w Rumunii, nie opublikowano w Bułgarii szkodliwego przemówienia Chruszczowa. Był krótki okres większej tolerancji w dziedzinie twórczości literackiej, po czym śruba wróciła na swoje miejsce. Nieposłusznych dziennikarzy wyrzucono z pracy i zaostrzono politykę wydawniczą. Stłumienie przez ZSRR powstania na Węgrzech przyjęto z zadowoleniem jako okazję do ponownego wzmocnienia władzy państwa. Stalinizm, który nigdy nie odszedł do przeszłości, znów przybrał na sile.

Walki frakcyjne na szczytach partii trwały kilka lat, doprowadzając w 1961 roku do usunięcia Czerwenkowa z Biura Politycznego, co nastąpiło po drugim ataku Chruszczowa na stalinizm podczas odbytego w owym roku Zjazdu KPZR. Przywództwo Żiwkowa w Bułgarii nie podlegało już wówczas dyskusji – był zarówno premierem, jak i sekretarzem partii, a kluczowe stanowiska partyjne zajmowali jego zwolennicy. Kraj, gospodarczo uzależniony od Związku Radzieckiego, pozostał jego służalczym, stalinowskim satelitą – praktycznie jeszcze jedną republiką radziecką. Jak powiedział Żiwkow po wizycie Chruszczowa w 1962 roku, bułgarski zegar chodził według czasu moskiewskiego.

Najbiedniejszym, a jednocześnie najmniejszym krajem bloku wschodniego była Albania. Przez większość okresu międzywojennego była rządzoną po dyktatorsku monarchią, po czym podczas wojny została najpierw zajęta przez Włochy, a następnie przez Niemcy. W odróżnieniu od Rumunii i Bułgarii osadzenie tam reżimu komunistycznego było dziełem jugosłowiańskiej partyzantki, a nie Armii Czerwonej. Ale gdy w 1948 roku Tito zerwał ze Stalinem, albańskie władze komunistyczne, wrogo nastawione do jugosłowiańskiego wyzysku gospodarczego, nagle zadeklarowały lojalność względem ZSRR, otrzymując w zamian pomoc gospodarczą. Enver Hodża, stojący na czele państwa i partii od 1946 roku, był gorącym wielbicielem Stalina. Zdławił wszelką wewnętrzną opozycję w toku bezwzględnych czystek i przy poparciu ścisłego, nepotycznego kręgu osób uzyskał nad krajem absolutną kontrolę, którą sprawował aż do śmierci w 1985 roku.

Im większe wydawały się zagrożenia – rzeczywiste lub domniemane – ze strony Jugosławii, tym bardziej Hodża mógł odgrywać rolę narodowego przywódcy, stającego w obronie kraju, którym rządził żelazną rózgą. Jego reżim cechowały drakońskie represje, obejmujące między innymi egzekucje prawdziwych lub fikcyjnych przeciwników. W ramach czystki, jaka nastąpiła po zerwaniu z Jugosławią, wyrzucono z partii jedną czwartą jej członków. Kolektywizacji rolnictwa rozpoczętej w połowie lat 50., równie niepopularnej wśród chłopów, jak w innych krajach, towarzyszyły dalsze brutalne represje. System stalinowski trwał w pełni. Po śmierci otoczonego wciąż Stalina zaczęły jednak narastać trudności w relacjach ze Związkiem Radzieckim. Hodży nie podobały się reformy okresu postalinowskiego i był zbulwersowany, gdy Chruszczow potępił Stalina w 1956 roku. W pełni popierał stłumienie powstania na Węgrzech, którego korzeni upatrywał w rewizjonizmie Tity. Niepokoiło go natomiast ocieplenie stosunków między Chruszczowem a jego arcywrogiem Titą, podobnie jak radzieckie naciski, by Albania pełniła w przyszłości rolę dostawcy produktów rolnych, niezgodną z jej programem industrializacji.

Wszystko to spowodowało, że Hodża znów zmienił sojusznika. Po chińskim zerwaniu z ZSRR w latach 1960–1961 postanowił poprzeć rządzone przez Mao

Zedonga Chiny, które oferowały pomoc gospodarczą w miejsce nieotrzymywanej już pomocy z Moskwy, i których model przywództwa łatwiej było pogodzić z panującym u niego kultem jednostki. Albania w coraz większym stopniu podążała własną drogą, pozostając w izolacji od reszty Europy, tak Wschodniej, jak i Zachodniej, i popadając w coraz większy zastój gospodarczy, zapewniający Albańczykom jedynie marny poziom życia. To jednak w niczym nie zagrażało ugruntowanej pozycji Hodży jako przywódcy, której służyły dalsze represje i kontrola nad wszystkimi narzędziami władzy. W odróżnieniu od pozostałych krajów komunistycznych Europy Wschodniej Albania pozostała zdecydowanie stalinowska. Śruba nigdy nie została tutaj poluzowana.

Wydawać by się mogło, że Czechosłowacja miała więcej wspólnego z takimi krajami jak Niemcy Wschodnie, Polska i Węgry, w których poważne niepokoje społeczne rzuciły wyzwanie sowieckiemu panowaniu, niż ze statycznymi reżimami w krajach bałkańskich. Tradycja niepodległościowa była tu głęboko zakorzeniona, zwłaszcza na ziemiach czeskich. Ugruntowana była też demokratyczna kultura politycznego pluralizmu, dopóki nie zniszczył jej Hitler. Zmodernizowana, oparta na przemyśle gospodarka, choć słabiej rozwinięta na Słowacji, wytworzyła silną klasę robotniczą oraz infrastrukturę społeczną niepodobną do klientelizmu w przeważnie rolniczych państwach bałkańskich. Inteligencja była liczna, podobnie jak młodzież studiująca. Dlaczego więc Czechosłowacja nie przysporzyła ZSRR większych problemów w kolejnych latach po śmierci Stalina?

Radziecki atak na zbuntowanych Węgrów w 1956 roku podziałał w Czechosłowacji zdecydowanie odstrasżająco, podobnie jak w innych krajach. Ale dlaczego wcześniej ZSRR nie napotkał większych problemów ze strony Czechów i Słowaków? Otóż napotkał: w maju 1953 roku Czechosłowację załapała fala strajków, wywołana przez zapowiedzianą na następny miesiąc dewaluację (nazywaną powszechnie „wielkim szwindlem”) oraz gwałtowny wzrost cen i spadek stopy życiowej. Strajkujący z zakładów Škody w Pilźnie zajęli nawet ratusz, z którego okien wyrzucili popiersia Lenina, Stalina i Klementa Gottwalda (czeskiego przywódcy komunistycznego, który zmarł w kilka dni po śmierci

Stalina). Zajścia zostały jednak brutalnie stłumione przez policję i nie doprowadziły do bezpośredniego zagrożenia dla reżimu, jakie niebawem miało miejsce w NRD.

Sama skala represji w znacznym stopniu wyjaśnia, dlaczego niepokoje w Czechosłowacji zostały stosunkowo łatwo opanowane. Ale nie wyjaśnia wszystkiego. Osobnym wątkiem jest poziom akceptacji komunizmu w Czechosłowacji. W odróżnieniu od niektórych innych części bloku radzieckiego w Czechosłowacji komunizm nie był obcą, narzuconą z zewnątrz ideologią. Miał szeroką bazę społecznego poparcia. Partia komunistyczna już w 1925 roku zdobyła w wyborach więcej mandatów niż jakiegokolwiek inne ugrupowanie. Poparcie dla niej jeszcze bardziej wzrosło w następstwie drugiej wojny światowej i w wolnych wyborach w 1946 roku zdobyła już prawie dwie piąte głosów. Kroki podjęte bezpośrednio po przewrocie z 1948 roku, takie jak nacjonalizacja wielkich przedsiębiorstw i parcelacja dużych majątków, cieszyły się znacznym poparciem. Dla wielu partia była drogą do awansu społecznego. Potrafiła też manipulować opinią publiczną. Udało jej się nie tylko wyeliminować politycznych konkurentów, ale także poszerzyć zakres sprawowanej władzy i oddziaływania, choćby poprzez przejęcie organizacji młodzieżowych i sportowych, monopol w dziedzinie propagandy i kontrolę nad środkami przekazu. Nawet wówczas jednak w tle pojawiały się represje – nieodłączny element wystroju podczas infiltracji społeczeństwa przez komunistów.

Te pięć lat pod rządami komunistów upłynęło pod znakiem brutalnych represji, w miarę jak przywódcy z absolutną bezwzględnością eliminowali prawdziwych lub domniemych przeciwników i umacniali swą władzę, która po śmierci Gottwalda gładko przeszła w ręce jego następcy na stanowisku pierwszego sekretarza partii, Antonína Novotnego. Pokazowe procesy dawnych przeciwników politycznych, którym stawiano sfabrykowane zarzuty zdrady i antypaństwowej działalności, zaczęły się już w 1949 roku i nieuchronnie kończyły się wyrokami śmierci lub długoletniego więzienia. U podłoża tych czystek leżały podejrzenia Stalina o kontakty czeskich i słowackich przywódców z wywiadem obcych państw, ich

kontakty z wyklętą Jugosławią Tity i wreszcie jego graniczący z paranoją antysemityzm.

Ich punktem kulminacyjnym było aresztowanie, pokazowy proces, wymuszone przyznanie się do winy (przypominające stalinowskie czystki z lat 30.) i egzekucja w 1952 roku jako zdrajców i „wrogów ludu” byłego sekretarza generalnego Czechosłowackiej Partii Komunistycznej, Rudolfa Slánskiego, wraz z 11 innymi przywódcami komunistycznymi. Fakt, że określano ich jako „osoby pochodzenia żydowskiego” nie wróżył nic dobrego. Czystkom w Czechosłowacji towarzyszył gwałtowny nawrót antysemityzmu, któremu sprzyjały rasistowskie wyzwiska pod adresem przywódców partyjnych. Tak później wspominała to Heda Margolius-Kovály – Żydówka, była więźniarka Auschwitz, której mąż też był Żydem: „Kiedy zaczęły się aresztowania, panowało przekonanie, że oskarżeni mają coś na sumieniu”. Ale to było przed aresztowaniem jej męża Rudolfa, jego procesem i egzekucją w związku z rzekomym spiskiem Slánskiego.

Te procesy pokazowe były tylko wierzchołkiem góry lodowej prześladowań w Czechosłowacji. Tysiące osób padło ofiarą donosów i w najlepszym razie trafiło do więzienia za rzekome wykroczenia przeciwko państwu. Podobnie jednak jak w innych krajach Europy Wschodniej, stracenie złowrogiego Berii w 1953 roku odebrano jako sygnał, że w Związku Radzieckim idzie nowe. Czechosłowacja też musiała się dostosować do nowego klimatu. W okresie od śmierci Stalina do ataku Chruszczowa na jego pamięć w lutym 1956 roku uwolniono w Czechosłowacji wielu więźniów, choć zwalnianych czekało, podobnie jak w Związku Radzieckim i innych krajach bloku, niepewne lub wręcz wrogie przyjęcie. Nastąpiło pewne złagodzenie cenzury, pozwalające na niezbyt głośną krytykę niektórych aspektów władzy radzieckiej. Ustąpiła też sprzyjająca czystkom, a podsycana przez wcześniejszy antagonizm radziecko-jugosłowiański atmosfera. Ale represje odniosły skutek. I nie można powiedzieć, by nie miały społecznego poparcia. A przywódcy partyjni, czując to poparcie dla czystek, dali przyzwolenie na minimalne tylko zmiany.



W 1955 roku, dwa lata po śmierci Stalina, odsłonięto w Pradze jego gigantyczny pomnik, na którym stoi w otoczeniu chłopów, robotników i przedstawicieli inteligencji. Usytuowany wysoko nad Wełtawą pomnik mający 12 metrów szerokości, 22 metry długości i 12 metrów wysokości widać było w całym mieście. Zwyczajni mieszkańcy po cichu mówili, że wygląda jak kolejka po deficytowe mięso. Niemniej był to wyraźny symbol ciągłości, który pojawił się dokładnie w chwili, gdy zaczęto kwestionować dziedzictwo Stalina.

Potępienie Stalina przez Chruszczowa w 1956 roku postawiło czeskich przywódców w trudnej sytuacji. W końcu przeprowadzali czystki i procesy pokazowe pod dyktando Moskwy. Nowotný i jego współpracownicy musieli zatem wyrażać poparcie dla nowej linii Chruszczowa, jednocześnie blokując zasadnicze reformy. Na niższych szczeblach hierarchii partyjnej pojawiała się nieśmiała krytyka okresu stalinowskiego. Bardziej zdecydowane żądania reform zgłaszali studenci w Pradze i Bratysławie, a potem na innych uczelniach w kraju. Pojawiło się też żądanie dochodzenia w sprawie procesu Slánskiego i pozostałych, a także ukarania winnych „niezgodnych z prawem metod stosowanych w śledztwie”.

Protesty studenckie osiągnęły apogeum w maju 1956 roku, potem utrzymywały się jakiś czas, ale nie doszło do ich eskalacji, gdyż wydarzenia w Polsce i na Węgrzech zdecydowanie odstraszyły od antyreżimowych działań. Protesty w świecie kultury spotkały się z zaciekłymi atakami; nawet inteligentkie środowiska opiniotwórcze popierały ograniczenia krytyki. Żadna liberalizacja nie nastąpiła, a partia nadal rządziła silną ręką, uchwalając w 1956 roku nowy plan pięcioletni, którego zasadniczymi elementami były niezmiennie wzrost produkcji w przemyśle ciężkim i kolektywizacja rolnictwa.

Przywódcy partyjni zwarli szeregi. Jesienna zmiana klimatu politycznego ułatwiła im zablokowanie potencjalnie niebezpiecznego raportu na temat czystek i przywrócenie pełnej kontroli. Wraz ze śmiercią w listopadzie 1957 roku Antonína Zápotockiego (odpowiedzialnego za wydanie Slánskiego na łaskę i niełaskę bezpieki), Novotný umocnił swą władzę, obejmując urząd prezydenta republiki (głowy państwa). Wcześniej zajmował już stanowisko pierwszego sekretarza partii.

W nowej konstytucji z 1960 roku ograniczono autonomię Słowacji i zawarto zapis o „bratniej współpracy” z ZSRR pod przewodnictwem partii. W ten oto sposób zagrożenia dla władzy partii, które ujawniły się w 1953, a potem w 1956 roku, odeszły do przeszłości. Terror represji rodem z początku lat 50. nie był już potrzebny, natomiast pozostała atmosfera strachu. Dla większości obywateli perspektywa istotnej zmiany pozostawała czymś odległym. Większość Czechów i Słowaków przystosowała się – często bez entuzjazmu, czasem z niechęcią. Ale to wystarczało do politycznej stabilizacji. Reżim trzymał się mocno.

## **Stare porządki w niebezpieczeństwie**

Niemiecką Republikę Demokratyczną (NRD lub, jak ją zwano na Zachodzie, Niemcy Wschodnie) z czasem zaczęto uważać za najważniejszego sojusznika Moskwy. Ale w 1953 roku stała się ona pierwszym krajem po wschodniej stronie żelaznej kurtyny, w którym ZSRR musiał użyć wojska do stłumienia powstania. Dlaczego z całego bloku wschodniego to właśnie tu w 1953 roku niepokoje przybrały tak gwałtowny obrót? Dlaczego z kolei trzy lata później w NRD panował taki spokój, kiedy najpierw w Polsce, a potem na Węgrzech doszło do buntu przeciw sowieckiemu panowaniu? I jak w NRD doszło do tak radykalnej zmiany – od punktu zapalnego do najbardziej niezawodnego stronnika Moskwy w całym bloku wschodnim?

Piętą achillesową NRD w początkach lat 50. było to, że był to jedyny kraj satelicki Moskwy, który powstał jako zupełnie nowe państwo w wyniku okupacji wojskowej i podziału byłego państwa narodowego. Od wrogiego mu politycznie ustroju i szybko rozwijającej się gospodarki Niemiec Zachodnich oddzielała je wąska granica. A granica ta nie była szczelna. Nawet po 1952 roku, kiedy uszczelniono ją na całej długości, pozostała w niej istotna luka, wynikająca ze specjalnego statusu Berlina, pozostającego pod kontrolą czterech mocarstw. Tam nadal było możliwe, choć nie bez trudności, przedostanie się na Zachód, do innego (dla wielu atrakcyjniejszego) stylu życia. Samo to stawiało kierownictwo NRD

w trudnej sytuacji, a exodus był nie do powstrzymania – objął w ciągu 1952 i w początkach 1953 roku ponad 360 000 osób. Exodus ten wynikał z niskiego poziomu życia, będącego skutkiem gospodarki zorientowanej – zgodnie ze stalinowskimi wytycznymi – na przemysł ciężki kosztem produkcji na potrzeby konsumentów.

Reżim wschodnioniemiecki musiał się zmierzyć z jeszcze jednym problemem. Moskwa postrzegała Niemcy Wschodnie jako coś, co można poświęcić dla osiągnięcia ważniejszego celu, jakim były zjednoczone, ale neutralne i zdemilitaryzowane Niemcy. Ten cel w początku lat 50. nie był jeszcze zarzucony. Stalin próbował w 1952 roku skusić Zachód do przyjęcia takiego rozwiązania, ale spotkał się ze zdecydowaną odmową. Pomysł odżył jednak po jego śmierci. Gdyby został zrealizowany, runęłyby fundamenty władzy enerdowskiego kierownictwa. Ale kiedy po śmierci Stalina przywódcy radzieccy, a właściwie krótkotrwałe kolegialne kierownictwo w osobach Malenkowa, Mołotowa i Berii, pozytywnie zareagowało na zgłoszoną przez Churchilla propozycję zwołania konferencji czterech mocarstw w sprawie traktatu pokojowego z Niemcami, przewidującego wolne wybory i neutralność zjednoczonego kraju, we wschodnioniemieckim kierownictwie doszło do rozłamu. Główna frakcja pod wodzą zatwardziałego stalinowca Waltera Ulbrichta, sekretarza generalnego Socjalistycznej Partii Jedności (SED, powstałej w 1946 roku z połączenia partii komunistycznej i socjaldemokratycznej, ale pod całkowitą kontrolą komunistów), była pomysłowi zdecydowanie przeciwna. Inna frakcja w enerdowskim kierownictwie, której przewodzili Rudolf Herrnstadt (wydawca organu prasowego SED, „Neues Deutschland”) oraz Wilhelm Zaisser (minister bezpieczeństwa państwowego) opowiadała się za reformami, których celem byłaby poprawa stopy życiowej mieszkańców (i zmniejszenie uzależnienia od modelu sowieckiego). Początkowo wydawało się, że mają poparcie w Moskwie. Radzieccy przywódcy rozważali możliwość odsunięcia Ulbrichta. Tak więc jego przywództwo znalazło się na grząskim gruncie.

Frakcyjne spory i podziały, w jakimś stopniu odzwierciedlające niepewność, jaka zapanowała w Moskwie zaraz po śmierci Stalina, były widoczne nawet w będącej pod kontrolą prasie NRD i odegrały istotną rolę we wzmożeniu napięcia, które doprowadziło do powstania w czerwcu 1953 roku. Biuro Polityczne, ulegając naciskom, by postępować według „nowego kursu” obowiązującego w Związku Radzieckim (po tym, jak Ulbrichta i innych czołowych przywódców wezwano do Moskwy i powiedziano im wyraźnie, co mają robić), uzgodniło 9 czerwca wprowadzenie ograniczonych reform gospodarczych w celu podniesienia stopy życiowej obywateli. Decyzja ta, podana do wiadomości dwa dni później, była źródłem niesamowitych pogłosek na temat powodów zmiany. Niektórzy spekulowali, że w partii nastąpił pucz przeciwko kierownictwu, że Ulbrichta zastrzelono lub aresztowano, że SED lada chwila się rozpadnie i że nastąpi otwarcie granic. Nagły odwrót od poprzedniej polityki (wielce niepokojący dla tych działaczy partyjnych, którzy lojalnie opowiadali się za podjęciem niepopularnych kroków) wiązał się z ryzykowną koniecznością przyznania się do błędu. Co więcej, podczas gdy chłopci, urzędnicy i samozatrudnieni wciąż mieli nieco skorzystać, poziom życia zatrudnionych w przemyśle robotników – trzonu ideologii marksistowsko-leninowskiej – miał się obniżyć. Już 28 maja władze ustaliły podniesienie poziomu produkcji („norm pracy”) o 10 procent, uznając ten krok za niezbędny dla rozwiązania poważnych problemów gospodarczych kraju. Dla robotników oznaczało to cięższą pracę za tę samą płacę – de facto obniżkę pensji. Co ciekawe, komunikat z 9 czerwca w ogóle nie wspominał o zwiększonych normach pracy.

Podziały w kierownictwie wkrótce się ujawniły. 14 czerwca artykuł w „Neues Deutschland” otwarcie skrytykował podniesienie norm pracy, a dwa dni później dokładnie przeciwne stanowisko zaprezentował organ związków zawodowych „Tribüne”, opowiadając się za ich podniesieniem. Dla kierownictwa było czymś niesłychanym, by zasadnicze różnice zdań w jego łonie ujawniać publicznie. To tylko ukazywało słabość i zamieszanie. W jakiś czas później przyznano, że to na skutek artykułu w „Tribüne” przejawy niezadowolenia przerodziły się w otwarty

protest, wyrażony najpierw przez robotników budowlanych w Berlinie Wschodnim.

Podczas spontanicznych zebrań robotnicy żądali odwołania podwyższonych norm. Protesty nasilały się i 16 czerwca przed „Domem Ministerstw” – głównym budynkiem rządowym – zebrał się dziesięcioletni, gniewny tłum. Kierownictwo znów wysyłało sprzeczne sygnały, najpierw twierdząc, że nowe normy zostaną odwołane, a następnie, że będą jedynie ponownie rozważone. Tłum się radykalizował. Pojawiały się głosy, by rząd podał się do dymisji. Demonstracje odzwierciedlały narastające od kilku dni napięcie, któremu towarzyszyły spekulacje co do kierownictwa i oczekiwania, że nastąpią jakieś zmiany. Były to spontaniczne wybuchy niezadowolenia – bez planu, gotowego przywództwa czy organizacji. Ale gdy jeden z robotników porwał megafon i zapowiedział na następny dzień strajk generalny, odzew był powszechny i natychmiastowy. 17 czerwca strajk rozlał się na 373 miejscowości w kraju i przystąpiło do niego pół miliona robotników ze 186 fabryk. Fala protestów nie ograniczała się już do strajków. Dołączyły inne sektory społeczeństwa – w ciągu kolejnych pięciu dni było to ponad milion osób w ponad 700 miejscach. Zaatakowano około 250 siedzib partyjnych i innych budynków publicznych, uwolniono około 1400 więźniów politycznych (choć większość z nich wkrótce została ponownie aresztowana). Protest przeciwko normom pracy przerodził się w masową rewoltę przeciw reżimowi.

Przywódcy SED byli w szoku. Protesty przybrały niespodziewane rozmiary. Obawiano się, że milicja może sympatyzować ze strajkującymi robotnikami. Radziecki dowódca wojskowy w Berlinie w dniu 16 czerwca odrzucił prośbę o pomoc. Nazajutrz jednak, widząc, że protesty wymykają się spod kontroli i powątpiewając, czy enerdowska milicja przywróci porządek, sowieckie władze zmieniły zdanie. W południe padły strzały ostrzegawcze. O 12.30 na ulicach Berlina Wschodniego dało się słyszeć dudnienie radzieckich czołgów. Wkrótce potem radzieckie władze okupacyjne wprowadziły w mieście stan wyjątkowy, który następnie rozszerzyły na znaczną część NRD i który utrzymano do 11 lipca.

Początkowo radzieckie czołgi posuwały się powoli, by samym swym widokiem przestraszyć i uspokoić demonstrantów. Załogi czołgów machały nawet do tłumu, który z kolei unikał prowokacji, kierując swój gniew przeciw niemieckim władzom. Ale taki impas nie mógł trwać wiecznie. W końcu padły strzały. Demonstranci rozpiechli się w popłochu. Część z tych, którzy pozostali, obrzuciła czołgi kamieniami, wykrzykując wyzwiska pod adresem sowieckich okupantów.

Do wieczora 17 czerwca radziecki pokaz siły spełnił swoje zadanie. W kilku wschodniemieckich miastach poza Berlinem – zwłaszcza w Lipsku, w Halle, w Magdeburgu i w Bitterfeld – doszło do gwałtownych starć demonstrantów z milicją i radzieckim wojskiem. Ale wkrótce protestujący uznali, że nie da się pokonać sowieckiej maszyny wojennej. Świadek wydarzeń w Magdeburgu, który wówczas chodził do szkoły, wspomina, że gdy pierwsze sowieckie czołgi otworzyły ogień do demonstrantów, „stało się jasne dla wszystkich, że powiew wolności był krótkotrwały”. Choć oznaki utrzymujących się niepokojów trwały jeszcze kilka tygodni, rewolta dobiegła końca.

Nie do końca wiadomo, jakie były oczekiwania tej niejednorodnej grupy protestujących, poza zaspokojeniem ich doraźnych żądań gospodarczych. Błędem byłoby sądzić, że większość opowiadała się za zachodnią liberalną demokracją kapitalistyczną albo że chodziło im o jakiś inny, konkretny ustrój polityczny. Wielu wierzyło w socjalizm. Mieli po prostu nadzieję, przed i – choć to brzmi utopijnie – także po, że możliwa jest lepsza droga do prawdziwie socjalistycznego społeczeństwa. Ale ich żądania, w tym okrzyki: „Precz z SED!”, „Rząd do dymisji!”, „Wolne wybory!”, „Zjednoczenie!”, „Wycofać wojska okupacyjne z Niemiec!” w radykalny sposób podważały samo istnienie NRD. Bez możliwości zajęcia wyraźnej postawy opozycyjnej, nie mówiąc już o programie politycznym, protest musiał pozostać nieokreślony – był bardziej żywiołowym wybuchem gniewu i głębokiego niezadowolenia niż zaplanowanym i wyraźnie sformułowanym żądaniem zasadniczej zmiany systemu. Rewolta jednak wstrząsnęła podstawami władzy sprawowanej przez SED.

W starciach zginęło kilkudziesięciu demonstrantów – według szacunkowych danych od 60 do 80 – oraz 10–15 funkcjonariuszy partii i służb bezpieczeństwa. Odwet władz był bezlitosny. Do końca czerwca aresztowano i skazano na długoletnie więzienie 6000 uczestników zająć, a w późniejszym okresie dalsze 7000. Kilkunastu uznanych za prowodyrów stracono bez żadnego postępowania sądowego. Członków partii, uznanych za winnych podburzania nastrojów, natychmiast wydalono. W kolejnych miesiącach dziesiątki tysięcy funkcjonariuszy i szeregowych członków partii uznano za „prowokatorów” i usunięto ze stanowisk. Aby zapewnić, że reżim nigdy więcej nie utraci kontroli, poważnie wzmocniono też milicję i państwową służbę bezpieczeństwa (Stasi), którą wspomagała misterna siatka donosicieli, zbudowana w celu szpiegowania zwykłych obywateli.

Towarzyszący demonstrantom nastrój euforii z powodu wyzwania rzuconego reżimowi trwał tylko parę godzin. Za to na długo pozostały w pamięci sowieckie czołgi na ulicach NRD, strzelające do demonstrantów, i brutalność, z jaką rewoltę stłumiono. Owocem buntu były rozlew krwi i prześladowania. Nadzieje żywione przez niektórych na interwencję mocarstw zachodnich były złudne. (Władze NRD wystąpiły z absurdalnym zarzutem, że rewolta była dziełem „amerykańskich i zachodnioniemieckich sabotażystów i faszystów”. Tymczasem tak naprawdę obawa przed wywołaniem międzynarodowego pożaru powodowała, że Zachód nie chciał, by padł nań choć cień podejrzenia o interwencję). Główny wniosek, wyciągnięty przez współczesnych był oczywisty: protest przeciwko przytłaczającej sile militarnej nie ma sensu, a władzy SED nie da się obalić, dopóki stoi za nią Związek Radziecki. Nikt nie był gotów do powtórki nieudanego eksperymentu z 1953 roku. To wystarczyło, by podczas wybuchu, do jakiego doszło w 1956 roku w Polsce i na Węgrzech, w Niemczech Wschodnich panował spokój.

Represje nie były jedyną reakcją na rewoltę. Towarzyszyły im też pewne ustępstwa. W ciągu kilku dni Komitet Centralny SED podjął decyzję o odwołaniu niepopularnych norm, które były bezpośrednią przyczyną niepokojów. W ślad za tym poszła skromna, jednak odczuwalna poprawa poziomu życia. Dokonano korekty zawartych w planie pięcioletnim (obowiązującym w latach 1951–1955)

celów produkcyjnych, by móc obniżyć nakłady na przemysł ciężki i zwiększyć nieco wydatki na artykuły powszechnego użytku. Z kolei celem przeprowadzonej szerokiej reformy systemu szkolnictwa, obejmującej poziomy od podstawowego do wyższego, było zwiększenie szans dzieci pochodzących z rodzin robotniczych na awans społeczny. Nowe pokolenie, od kołyski wychowywane w duchu propagowanych przez reżim wartości i poddane nieustannej propagandzie antyzachodniej, stopniowo budowało bardziej trwałe niż w 1953 roku fundamenty przyszłego poparcia politycznego.

Większość ludzi dostosowała się do wymogów reżimu. Ale przystosowanie to jeszcze nie zgoda. System nie zachęcał, lecz zmuszał do przestrzegania jego reguł. Ludzie czuli ogromną niechęć do systemowych ograniczeń, przymusowej jednolitości, niższego niż w Niemczech Zachodnich poziomu życia, obecności bezpieczeństwa i wszechobecnej groźby denuncjacji. Szpiegowanie, donoszenie i denuncjacja były normą społeczną i podstawą utrzymywania społeczeństwa pod kontrolą reżimu. Tych, którzy nie chcieli się podporządkować, spotykały w najlepszym razie trudności – związane z pracą, mieszkaniem czy kształceniem dzieci – co odbijało się na poziomie życia ich samych i ich rodzin. Czasem sięgano też po poważniejsze środki odstraszenia. Na tę mniejszość, która otwarcie wyrażała swe niezadowolenie, zawsze był pod ręką kij. Elementarny brak wolności wykraczającej poza granice ustalone przez system oznaczał, że wszystko sprowadzało się do mechanizmów kontroli i represji. I tego nie można było zmienić bez zmiany samego systemu.

Paradoksalnie, czerwcową rewoltą z 1953 roku uratowała Waltera Ulbrichta. W okresie poprzedzającym masowe protesty jego przywództwo wisiało na włosku. Aresztowanie Berii wkrótce po berlińskiej rewolcie było sygnałem, że kości w Moskwie zostały rzucone przeciw tym, którzy opowiadali się za zmianą kursu w NRD. Moskwa musiała wesprzeć reżim w NRD, co znacznie wzmocniło pozycję Ulbrichta, gdyż wewnętrzne czystki usunęły jego przeciwników, a SED zacieśniła sprawowaną nad rządem kontrolę. Usunięcie Ulbrichta byłoby oznaką słabości i zaproszeniem do zgłaszania kolejnych żądań. Radzieckie kierownictwo miało



dość własnych kłopotów, by pozbywać się w Berlinie lojalnego twardogłowego. Niepewna sytuacja w bloku wschodnim wskutek potępienia Stalina przez Chruszczowa w 1956 roku, w szczególności jesienne powstanie na Węgrzech, znów uratowały Ulbrichta. Okazało się ponownie, do czego mogłoby doprowadzić poluzowanie śruby. Jeszcze raz zatem udało się Ulbrichtowi uciszyć krytyków i umocnić swą władzę.

Ulbrichtowi pomogło także to, że wraz z remilitaryzacją Niemiec Zachodnich i uzyskaniem przez nie suwerenności narodowej Moskwa zarzuciła dążenia do utworzenia zjednoczonych i neutralnych Niemiec, co było równoznaczne z akceptacją trwałości NRD. Jedną z oznak tej zmiany była rezygnacja Związku Radzieckiego z dalszych reparacji wojennych od NRD, które były ogromnym ciężarem dla wschodnioniemieckiej gospodarki. Kolejną był udzielony przez ZSRR kredyt oraz ograniczenie udziału w kosztach stacjonowania radzieckich wojsk w NRD. Na forum międzynarodowym doszło też do ściślejszego powiązania NRD ze Związkiem Radzieckim. Jak pokazały wydarzenia czerwca 1953 roku, los państwa zależał całkowicie od sowieckiego wsparcia. W maju 1955 roku NRD zostało członkiem nowo utworzonego Układu Warszawskiego i na dziesięciolecie pozostało najbardziej oddanym i lojalnym pomocnikiem ZSRR w sprawach zagranicznych.

Rozpoczęta w sierpniu 1961 roku budowa muru berlińskiego była punktem kulminacyjnym zmiany radzieckiego podejścia do NRD oraz zmian wewnątrz kraju, które nastąpiły po wstrząsie powstania z 1953 roku. Dla Związku Radzieckiego i dla reżimu enerdowskiego oznaczała ona stabilizację. Dla mieszkańców Niemiec Wschodnich była to konieczność pogodzenia się z czymś, na co nie mieli wpływu.

Po dramatycznych wydarzeniach w NRD Związek Radziecki nie musiał się mierzyć z większymi wstrząsami w podległych mu krajach Europy Wschodniej aż do następstw sensacyjnego przemówienia Chruszczowa w lutym 1956 roku. W międzyczasie w obozie wschodnim niepokoje pojawiały się tylko wtedy, gdy przywódcy komunistyczni w różny sposób próbowali się przystosować do nowego

kursu w Związku Radzieckim. Chruszczow natomiast, gdy już umocnił się w roli przywódcy, próbował silniej zjednoczyć kraje bloku wschodniego. Ważnym krokiem było tu powołanie w maju 1955 roku Układu Warszawskiego – reakcja na remilitaryzację Niemiec Zachodnich – oraz poprawa stosunków z Titą w roku 1956, która doprowadziła do przywrócenia stosunków pomiędzy partiami komunistycznymi ZSRR i Jugosławii. To jednak nastąpiło w okresie, w którym po przemówieniu Chruszczowa Związek Radziecki stanął wobec bezprecedensowego wyzwania, rzuconego jego władzy nad Europą Wschodnią; usunęło ono w cień rewoltę w NRD z lata 1953 roku.

Problemy, które pojawiły się w Polsce i na Węgrzech, były odrębne, ale – przynajmniej w oczach Moskwy – powiązane ze sobą. Niepokoje, jakie ogarnęły Polskę, przerodziły się w znacznie większe zagrożenie ze strony przybierającego na sile powstania na Węgrzech. Obydwa kraje różniły się znacznie od siebie, ale w niepokoje społeczne zawierały pewne wspólne wątki. W obu krajach sprzeciw wobec rządów partii zagroził urzędującym władzom, co stwarzało rozczarowanym możliwość domagania się zmian – tak jak to miało wcześniej miejsce w NRD. W obu krajach pod komunistyczną narzutą żywe były tradycyjne nastroje antyrosyjskie (i antyradzieckie) wraz z silnym poczuciem tożsamości narodowej. W obydwu inteligencja i liczni studenci wyższych uczelni dusili się z powodu ograniczeń swobody wypowiedzi. I w obu krajach priorytet dla nakładów na przemysł ciężki i dobra inwestycyjne kosztem towarów powszechnego użytku był powodem rosnącego niezadowolenia, szczególnie wśród robotników. Wreszcie w obu krajach świadomość postalinowskiej odwilży w ZSRR, zwłaszcza po przemówieniu Chruszczowa w lutym 1956 roku, wzmagala reformatorskie dążenia.

Polska tak naprawdę została oddana we władzę komunistów w wyniku triumfalnego zwycięstwa Armii Czerwonej nad Hitlerem w latach 1944–1945. W ciągu następnej dekady kraj został poddany dogłębnej stalinizacji, której wytworem był ogromny, biurokratyczny aparat władzy i potężny aparat bezpieczeństwa. W 1954 roku blisko jedna trzecia dorosłych mieszkańców figurowała w kartotece „elementów przestępczych i podejrzanych” Ministerstwa

Bezpieczeństwa Publicznego – w znacznej mierze opartej na informacjach liczącej 85 000 osób rzeszy donosicieli, ulokowanych na wszystkich poziomach społeczeństwa. Słynna polska pisarka Maria Dąbrowska ubolewała w swych *Dziennikach* nad „wielkim kielichem goryczy” i „zmarnowanej szansie socjalizmu” w jej ojczyźnie.

Sam Stalin kiedyś zauważył, że „Polsce komunizm pasuje jak krowie siodło”. Pozostając pod rządami stalinowskiej marionetki, prezydenta i I sekretarza partii Bolesława Bieruta oraz wicepremiera i ministra obrony Konstantego Rokossowskiego (mającego zapewnić sowiecką kontrolę), Polacy nie bardzo chcieli tańczyć tak, jak im Moskwa zagra. Niechęć ta stała się jeszcze wyraźniejsza po śmierci Stalina. Podjęto więc próbę dostosowania się do nowych czasów. Na rozkaz partii zwolniono tempo kolektywizacji rolnictwa. Zelżała cenzura. A pod koniec 1954 roku dawnego przywódcę komunistycznego i głównego rywala Bieruta, Władysława Gomułkę, zwolniono z wieloletniego aresztu domowego, w którym przebywał za głoszenie tezy o bardziej niezależnej, polskiej drodze do komunizmu. W 1955 roku odbył się w Warszawie Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów, który przyciągnął 30 000 młodych ludzi ze 114 krajów i dał Polakom rzut oka na bardziej otwarty, mniej skoszarowany świat zewnętrzny. Po śmierci Bieruta – który zmarł nagle w Moskwie po wysłuchaniu przemówienia Chruszczowa, jak się wydaje wskutek zawału lub wylewu, wywołanego prawdopodobnie szokiem, jakim było potępienie Stalina – jego następca Edward Ochab kontynuował ograniczoną destalinizację, ogłaszając w kwietniu amnestię dla około 9000 więźniów politycznych. W tym samym miesiącu wspomniał o „możliwej demokratyzacji naszego życia polityczno-gospodarczego”, ale podał zbyt mało konkretów, by zaspokoić rozbudzone nadzieje.

Reformy i demokracja nie były jednak bardzo widoczne, kiedy w czerwcu skargi robotników z Poznania, rozsierdzonych żądaniem dwudziestopięcioprocentowego wzrostu wydajności bez współmiernego wzrostu płac (pobrzmiwające echo z NRD sprzed trzech lat), trafiły w próżnię. To wywołało pod koniec miesiąca strajk dziesiątek tysięcy robotników w Poznaniu

oraz okolicy, a początkowe żądania o charakterze ekonomicznym, podobnie jak w Niemczech Wschodnich, szybko przerodziły się w polityczne. W miejsce hasła „chleba i wolności” szybko pojawiło się: „Ruscy do domu!”. Robotnicy uwolnili więźniów miejscowego aresztu, rozbroili strażników, po czym zaatakowali budynki partii i milicji. W obawie, by zamieszki nie objęły innych miast, władze wprowadziły do Poznania 400 czołgów i 10 000 żołnierzy. Wojsko otworzyło ogień do strajkujących, w wyniku czego zginęły 73 osoby, a setki zostało rannych. Stłumienie buntu trwało dwa dni, ale niezadowolenia społecznego nie dało się wymazać. Winę przypisywano głównie ministrowi obrony Rokossowskiemu (Polakowi z pochodzenia, ale obywatelowi ZSRR) i wielu innym obywatelom sowieckim w dowództwie armii, którzy wydali rozkazy strzelania do strajkujących robotników. Efektem była zwiększona presja na pozbycie się sowieckich wpływów w wojsku (a konkretnie odwołanie Rokossowskiego). Domagano się demokratyzacji rządów komunistycznych w Polsce (w tym samorządu robotniczego, odnowy Sejmu i rad narodowych) i powrotu Gomułki, postrzeganego jako symbol niezbędnych reform.

Takim działaniom sprzeciwiała się frakcja konserwatywna w wojsku i bezpiece, której zależało na tym, by nie osłabiać więzów ze Związkiem Radzieckim i która zachęcała Moskwę do utrzymania twardego stanowiska. Radzieckie obawy, że Gomułka pokieruje Polską bardziej niezależnie, wzmocnione jego żądaniem odwołania Rokossowskiego, spowodowały przyjazd do Warszawy 19 października 1956 roku radzieckiej delegacji wagi ciężkiej, na czele z samym Chruszczowem i dowódcami wojskowymi. Nastąpiły obrady, którym przewodniczyli Chruszczow i Gomułka. Strona radziecka naciskała na zacieśnienie więzów łączących oba kraje. Gomułka powtórzył żądanie odwołania Rokossowskiego i 50 sowieckich „doradców” wojskowych z polskiej armii. W trakcie negocjacji Gomułkę poinformowano, że na Warszawę jadą sowieckie czołgi i jednostki wojskowe. Polskim oddziałom wydano rozkaz zajęcia pozycji obronnych wokół miasta. Wydawało się, że nadchodzi konflikt zbrojny między Polską a Związkiem Radzieckim. Chruszczow zmiękł pierwszy, ulegając żądaniu Gomułki, by

wstrzymać ruch wojsk – bezpośrednie zagrożenie minęło. 21 października Gomułkę ponownie powołano na stanowisko pierwszego sekretarza Partii. Niemniej po powrocie do Moskwy Chruszczow miał rzucić złowróżbną uwagę, że „jest tylko jedno wyjście – trzeba skończyć z tym, co dzieje się w Polsce”.

Po paru dniach zrezygnował jednak z bezpośredniej interwencji wojskowej, twierdząc, że łatwo byłoby konflikt zbrojny uzasadnić, „ale bardzo trudno byłoby potem znaleźć sposób na jego zakończenie”. Radzieccy przywódcy uważali, że interwencja spotkałaby się z silnym zbrojnym oporem ze strony Polski, która zmobilizowałaby do obrony robotnicze milicje. W Związku Radzieckim panowało przekonanie, że „należy powstrzymać się od interwencji zbrojnej” i „na razie wykazać cierpliwość”. W zamian Chruszczow dążył do rozwiązania politycznego, niezbyt chętnie godząc się na wycofanie Rokossowskiego, który 29 października został ostatecznie usunięty ze stanowiska ministra obrony. Kolejnym sygnałem, że Moskwa dąży do uspokojenia sytuacji w Polsce, było uwolnienie w dniu 28 października kardynała Stefana Wyszyńskiego, głowy Kościoła katolickiego w Polsce, z trwającego od 1953 roku internowania.

Od totalnej konfrontacji odwiodło też pewnie Chruszczowa ogromne poparcie dla Gomułki ze strony społeczeństwa, wyrażone podczas wieców – w kilku wielkich miastach uczestniczyło w nich po 100 000 osób, a w Warszawie – pół miliona. Ze swej strony Gomułka zapewnił Chruszczowa, że Polska pozostanie lojalnym członkiem Układu Warszawskiego i publicznie potępił tych, którzy wyrażali wobec tego sprzeciw. Wezwał obywateli do zaprzestania demonstracji i powrotu do pracy. Tym, co niewątpliwie absorbowało Sowieców najbardziej i skłaniało Chruszczowa, by szukać kompromisu, a nie interweniować zbrojnie, była pogarszająca się sytuacja na Węgrzech, gdzie 26 października 1956 roku kryzys doszedł do punktu wrzenia – dużo bardziej niebezpiecznego niż w Polsce. By go zażegnać, Związek Radziecki potrzebował spokoju w Polsce, a nawet poparcia polskiego kierownictwa.

Napięta sytuacja w Polsce odegrała drugoplanową rolę w wydarzeniach, które wkrótce przerodziły się w prawdziwą rewolucję. Węgry od dawna były

niedopasowanym elementem bloku radzieckiego. Kontrolę nad krajem sprawowano, stosując dotkliwe represje, które nie były jednak w stanie ukryć rozczarowania rządami stalinowców. Mátyás Rákosi, który okres wojny spędził w Moskwie, powrócił po wojnie, by stalinowskimi metodami przypieczętować swą władzę i dominację Węgierskiej Partii Komunistycznej, co nastąpiło w wyniku wyeliminowania po długotrwałej i zacieklej walce znacznie bardziej popularnej Niezależnej Partii Drobnych Rolników. Zwycięstwo to dało mu całkowitą kontrolę nad sytuacją. Rákosi następnie wykazał się w 1949 roku jako węgierski „mały Stalin”, gdy w lizusowski sposób poparł linię Moskwy, zgadzając się na pokazowy proces i stracenie Lászla Rajka, byłego ministra spraw wewnętrznych (za popieranie „odchylenia titoistowskiego” i rzekome związki z zachodnimi służbami wywiadowczymi). Jednak po wprowadzeniu „nowego kursu” w Związku Radzieckim po śmierci Stalina dni Rákosiego były policzone.

W obliczu kryzysu gospodarczego, oporu chłopów wobec kolektywizacji, strajków robotniczych spowodowanych spadającymi zarobkami i przepełnionych więzień, Rákosiego wraz z innymi przywódcami partyjnymi wezwano w czerwcu 1953 roku do Moskwy i w niebudzący wątpliwości sposób kazano im posprzątać w kraju. Przywódcy radzieccy powiedzieli Rákosiemu, że jego „arogancki i apodyktyczny styl” doprowadził do „wypaczeń i zbrodni”, przywodząc Węgry „na skraj przepaści”. Pomimo takich oskarżeń pozostawiono go na stanowisku przywódcy partii, choć kazano mu ustąpić z funkcji szefa rządu na rzecz cieszącego się społecznym poparciem Imrego Nagya, nadziei rozczarowanych komunistów, którego w 1949 roku usunięto z Biura Politycznego za sprzeciw wobec tempa kolektywizacji.

W ten sposób nastąpił istotny podział wśród komunistycznych przywódców. Odegrał on znaczną rolę w postępującej destabilizacji kraju, gdyż pokazał, że Moskwa nie ufa Rákosiemu i że możliwa jest inna, bardziej atrakcyjna forma przywództwa. Nagy nie tracił czasu i głosił konieczność zmian w gospodarce w celu poprawy zaopatrzenia w artykuły powszechnego użytku. Poszedł nawet dalej, proponując ożywienie komunizmu poprzez demokratyzację u podstaw.

Przewidywał masową bazę poparcia ujętą we front ludowy – Patriotyczną Partię Ludową – godzący sentymenty narodowe z demokratycznym socjalizmem. Partia Komunistyczna w koncepcji Nagya nadal odgrywałaby przywódczą rolę, ale nie rządziłaby w sposób odgórny. Dla Rákosiego i innych partyjnych twardogłowych brzmiało to jak bluźnierstwo. Wymierzone w Nagya machinacje Rákosiego odniosły skutek w początkach 1955 roku. Nagy został potępiony za „odchylenie” ideologiczne i usunięty z Biura Politycznego, a pod koniec roku także z partii.

Sytuacja na Węgrzech była więc wybuchowa, jeszcze zanim atmosferę podgrzało wystąpienie Chruszczowa w lutym 1956 roku. Intelktualiści i studenci, zainspirowani ukazaną przez Nagya perspektywą bardziej demokratycznej drogi do komunizmu i mający dość represji i cenzury, zaangażowali się w gorące dyskusje o przyszłości kraju. Robotnicy, rozsierdzeni sposobem, w jaki ich traktowano w rzekomym „państwie robotniczym”, czuli się wyzyskiwani przez „rząd krwio pijców”. Grupki robotników spotykały się nawet z młodymi intelektualistami i włączały się do dyskusji, w których uczestniczyło coraz więcej ludzi. Wiele z tych debat organizował Klub Petőfiiego (nazwany tak na cześć bojownika o niepodległość Węgier z roku 1848). To właśnie Klub Petőfiiego, na którego wieczorny wiec w Budapeszcie w czerwcu 1956 roku przybyło 6000 ludzi, wysunął postulat usunięcia Rákosiego i powrotu do władzy Nagya. Moskwa zareagowała. Rákosi ustąpił w lipcu, oficjalnie z powodu złego stanu zdrowia. Jego miejsce zajął jednak nie Nagy, ale feralny Ernő Gerő, postać z tej samej co Rákosi ideologicznej gliny.

Na efekty nie trzeba było długo czekać. „Węgierska jesień” zaczęła się 6 października 1956 roku, kiedy to przeciwko reżimowi wystąpiło dziesiątki tysięcy demonstrantów, zebranych (za niechętnie wyrażoną zgodą Gerő) na uroczystym pogrzebie ekshumowanego i zrehabilitowanego Lászla Rajka – byłego szefa bezpieczeństwa, a teraz dość osobliwego symbolu tak pożądanej liberalizacji. Już 23 października, pod wpływem wydarzeń w Polsce, podczas organizowanych przez studentów demonstracji zgłaszano radykalne postulaty. Żądano powrotu Nagya (którego 10 dni wcześniej ponownie przyjęto do partii) na stanowisko premiera,

wycofania wojsk radzieckich, ukarania winnych terroru i represji oraz wolnych wyborów w celu zlikwidowania monopolu władzy komunistycznej. W jednym z budapesztańskich parków obalono ogromny pomnik Stalina, który następnie ciężarówka wlokła przez ulice miasta. Do pomnika dołączony był transparent wysyłający Sowietów do domu i zawierający napis: „Zabierzcie mnie koniecznie ze sobą”. Do wybuchu doprowadziły siły bezpieczeństwa, otwierając owego wieczoru ogień do nieuzbrojonych demonstrantów. Reakcją samego Gerő było wystąpienie radiowe, w którym potępił nacjonalizm i szowinizm demonstrantów, podlegających przez wrogą propagandę. Rząd był wówczas na granicy paniki.

Już kilka godzin wcześniej Gerő zwrócił się do ambasady radzieckiej o pilną pomoc wojskową, ale radzieccy oficjele w Budapeszcie nie chcieli podjąć takiej decyzji bez zgody z Moskwy. Radzieckie Prezydium partii wyraziło zgodę tego samego dnia wieczorem. Już następnego dnia wielotysięczne siły radzieckie pojawiły się w Budapeszcie. Do godzin popołudniowych liczba ofiar wśród demonstrantów wyniosła 25 zabitych i ponad 200 rannych.

Demonstracja siły z użyciem wojska nie uspokoiła jednak sytuacji. Ogłoszono stan wyjątkowy. Demonstranci atakowali siedziby partii, niszczyli radzieckie symbole, a Budapeszt sparaliżowały masowe strajki. Nadjeżdżające czołgi, z trudem przedzierające się przez wzniesione na ulicach Budapesztu barykady, stanowiły łatwy cel dla koktajli Mołotowa, ręcznych granatów, a nawet dwóch działek przeciwpancernych, wytoczonych z wojskowych magazynów. Nagy (który poparł wezwanie Sowietów na pomoc, a 24 października powrócił na stanowisko premiera) obiecał amnestię dla buntowników, którzy złożą broń, ale było to jak rzucanie grochem o ścianę. Sytuacji nie uspokoiła też zmiana na stanowisku szefa partii – miejsce Gerő zajął János Kádár, sam prześladowany za czasów Rákosiego. Starcia trwały nadal w dniu 25 października; demonstranci padali od strzałów funkcjonariuszy partii i milicji, z kolei agenci tej ostatniej ginęli z rąk demonstrantów. W mniejszych miejscowościach, bez żadnej centralnej organizacji, władzę przejmowały rady robotnicze i komitety rewolucyjne. Wyglądało na to, że partia stała się zbędna.



Względny spokój zapanował dopiero 28 października, gdy Nagy (który poprzedniego dnia powołał rząd reformatorów) zapowiedział spełnienie głównych żądań, jak to określił, „ogólnonarodowego ruchu na rzecz demokracji”. Mówił też o wycofaniu wojsk radzieckich, rozwiązaniu policji politycznej, powszechnej amnestii i reformie rolnictwa. Następnego dnia, 29 października, radzieckie wojsko rzeczywiście zaczęło się wycofywać z Budapesztu. Wydawało się, że rewolucja zwyciężyła.

Zdezorientowane i zaniepokojone stanowiskiem Nagya kierownictwo radzieckie w Moskwie 30 października podjęło mimo wszystko decyzję o wycofaniu wojsk z Budapesztu i niepodejmowaniu szeroko zakrojonej interwencji wojskowej. Jednak raporty specjalnych wysłanników do Budapesztu – Michaiła Susłowa i Anastasa Mikojana – były coraz bardziej niepokojące. Opisywali oni kolejne przypadki przemocy wobec funkcjonariuszy partyjnych i obawiali się, że wojsko węgierskie stanie po stronie powstańców. Ich zdaniem, sytuacja była nie do rozwiązania za pomocą środków politycznych w sposób zgodny z interesami Związku Radzieckiego. „Nie da się opanować tej zarazy metodami pokojowymi”, dowodzili. Powagę sytuacji potwierdzały deklaracje węgierskich przywódców z 30 października o „neutralności Węgier” i wyrażona tego samego dnia wobec Mikojana i Susłowa aprobatą Nagya dla wycofania wszystkich wojsk radzieckich i wystąpieniu Węgier z Układu Warszawskiego. W nocy Chruszczow zastanawiał się, czy decyzja przeciwko ponownej zbrojnej interwencji była właściwa. Za interwencją, poza pogarszaniem się sytuacji w Budapeszcie, przemawiała obawa, że jakakolwiek oznaka słabości ze strony ZSRR zostanie wykorzystana przez imperialistyczne mocarstwa zachodnie (które 29 października, podczas kryzysu sueskiego, zaatakowały Egipt – bliskowschodniego sojusznika Moskwy). Jeszcze poważniejszym argumentem była obawa, że słabość okazana przez ZSRR będzie zachętą do rozszerzenia się niepokojów, o których już donoszono z sąsiadujących z Węgrami Rumunii i Czechosłowacji, na inne części Europy Wschodniej. Radzieccy przywódcy doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że ryzyko „epidemii” jest poważne. I to

stało się czynnikiem decydującym. Radzieckie kierownictwo pod wodzą Chruszczowa anulowało więc poprzednią decyzję i w dniu 31 października jednogłośnie zadecydowało o szeroko zakrojonej interwencji zbrojnej na Węgrzech, by „dać odpór kontrrewolucji”.

Tego samego dnia kolejne jednostki wojsk radzieckich wkroczyły na Węgry. W dniu 1 listopada Nagy proklamował neutralność Węgier i ogłosił wystąpienie kraju z Układu Warszawskiego. Wieczorem radziecki samolot wojskowy zabrał Kádára do Moskwy. Do Budapesztu Kádár powrócił kilka dni później, już jako szef nowego Tymczasowego Rewolucyjnego Rządu Robotniczo-Chłopskiego, powołanego przez Sowietów do zdławienia „faszystowskiej reakcji” i obrony socjalizmu. 4 listopada Nagy schronił się w ambasadzie Jugosławii. Chruszczow tymczasem, razem z Malenkowem i Mołotowem, intensywnie zabiegał o poparcie interwencji przez inne kraje komunistyczne, włącznie z Chinami i Jugosławią. Czas działania wybrano właściwie. Było jasne, że pogrążone w kryzysie wielkie mocarstwa zachodnie, chociaż sympatyzowały z węgierskimi powstańcami, nie zaryzykują mogącej skończyć się wojną światową interwencji w radzieckiej strefie wpływów. Z radzieckiego punktu widzenia Suez był jednak tylko korzystnym elementem odwracającym uwagę i nie miał zasadniczego wpływu na decyzję o siłowym stłumieniu węgierskiego powstania. Stanowił natomiast zachętę do zdecydowanych działań w czasie, gdy mocarstwa zachodnie, jak to ujął Chruszczow „miały dość swoich kłopotów w Egipcie”.

Epilog nastąpił szybko. Wojska radzieckie rozpoczęły szturm na Budapeszt wczesnym rankiem 4 listopada 1956 roku. Tym razem były lepiej przygotowane do interwencji niż w październiku. Francuski dziennikarz w stolicy zanotował: „Na ulicach roi się od sowieckich czołgów i innego uzbrojenia. Na skrzyżowaniach rozstawiono strażę. Strzały padają ze wszystkich stron”. Wojska węgierskie nie uczestniczyły w walkach – zostały otoczone w koszarach i rozbrojone przez wojska radzieckie. Przez trzy dni w Budapeszcie i innych miastach trwały zacięte walki, jednak do 8 listopada sytuacja została opanowana. W ciągu tych trzech dni liczba ofiar (zabitych i rannych) wyniosła około 22 000 Węgrów i prawie 2300 żołnierzy

radzieckich, co obrazuje skalę rewolty. Zaraz potem nastąpiły represje. Aresztowano ponad 100 000 osób, 35 000 postawiono przed sądem za „udział w kontrrewolucji”, niemal 26 000 otrzymało wyroki więzienia. Wykonano 600 wyroków śmierci. Szacuje się, że 200 000 Węgrów udało się na trwałą emigrację. Samego Nagya wywabiono z ambasady jugosłowiańskiej fałszywymi gwarancjami bezpieczeństwa, po czym został aresztowany przez sowiecką bezpiekę, wywieziony do Rumunii, a następnie postawiony przed sądem i w czerwcu 1958 roku powieszony.

ZSRR poniósł oczywiście koszty dyplomatyczne tej interwencji. Przynajmniej na jakiś czas spadł prestiż ZSRR wśród krajów niezaangażowanych. Spadły też klapki z oczu wielu zachodnioeuropejskich komunistów, którzy wcześniej patrzyli na Związek Radziecki jak na gwiazdę przewodnią, a teraz masowo opuszczali szeregi partii komunistycznych. Ale to nie miało dla przywódców radzieckich większego znaczenia, gdy w grę wchodziło niedopuszczenie do rozpadu komunistycznego bloku wschodniego. Jego spójność została zachowana, nawet jeśli tylko dzięki sile militarnej. To było najważniejsze. Zduszenie węgierskiego powstania było cezurą, ukazującą potencjalnym dysydemom bezowocność jakichkolwiek prób obalenia władzy radzieckiej. Wszelkie takie działania zostałyby bezlitośnie stłumione.

W Moskwie zdawano sobie sprawę z faktu, że politykę, która przez wiele lat powstrzymywała wzrost stopy życiowej w krajach bloku, trzeba zmienić, by uniknąć nawrotu kłopotów. Wyrównano więc przynajmniej częściowo rażącą różnicę między wydatkami inwestycyjnymi i konsumpcyjnymi. W kolejnych latach w krajach bloku nastąpiła niewielka poprawa poziomu życia. Jednak oba kraje, które znalazły się w oku cyklonu roku 1956 – Polska i Węgry – poszły odmiennymi drogami.

Władysław Gomułka mocno rozczarował tych, którym po „polskim październiku” marzył się bardziej liberalny socjalizm. Początkowe sygnały napawały optymizmem. Okoliczności towarzyszące zawartemu z Chruszczowem kompromisowi dawały pewne pole manewru, które Gomułka ostrożnie

wykorzystywał. Jego rządy były mniej sztywne i represyjne niż rządy poprzedników i z początku cieszyły się znacznie większą popularnością. Ograniczono liczebność i zakres działania aparatu bezpieczeństwa, choć w żadnym razie nie stracił on całkowicie znaczenia. Wśród inteligencji i studentów panował pewien duch wolności. Wstrzymano kolektywizację rolnictwa i pozwolono chłopom do pewnego stopnia działać na własny rachunek. Także poza rolnictwem tolerowano ograniczoną prywatną przedsiębiorczość. Nastąpił wzrost płac i ogólnego poziomu życia. Polskie władze wykazały też dość rozsądku, by złagodzić swój stosunek do Kościoła katolickiego.

Gomułka wszakże nie był demokratą. Zależało mu na utrwaleniu swej władzy jako pierwszego sekretarza partii. Obawiał się też zagrożeń, jakie niesie swoboda wypowiedzi. Z kolei konieczność utrzymywania dobrych stosunków z Moskwą oznaczała, że liberalizacja musi mieć nieprzekraczalne granice. Swoboda wypowiedzi w sztuce i literaturze została znów przykrócona w 1957 roku. Wkrótce potem wróciła oficjalna krytyka Kościoła, co jednak nie osłabiło jego pozycji u większości społeczeństwa ani procesu stawania się przezeń pewnego rodzaju opozycyjną subkulturą. A już we wczesnych latach 60., kiedy to nie udało się osiągnąć samowystarczalności w rolnictwie, a poziom życia był nadal niski, podczas gdy wysocy funkcjonariusze partyjni w sposób widoczny opływali w dostatki, rozczarowanie Gomułką i jego reżimem narastało. Nie było powrotu do czasów stalinowskich z pierwszej powojennej dekady i pewne korekty systemu miały charakter trwały, ale funkcjonowanie reżimu nadal opierało się na przymusie. Doświadczał tego każdy, kto przekroczył wąskie ramy dozwolonej krytyki. Na przykład 34 literatów, którzy podpisali list z apelem o większą liberalizację polityki kulturalnej i złagodzenie cenzury, otrzymało zakaz publikowania i wyjazdów zagranicznych. I jak zawsze, lojalność zastępów funkcjonariuszy milicji, bezpieki czy wojska zapewniano przy pomocy różnego rodzaju zachęt. Systemowa śruba była mocno dokręcona. Większość ludzi podporządkowywała się temu i próbowała się dostosować. Tak jak w innych krajach polegało to na tolerowaniu tego, czego nie można było zmienić.

Zasięg rewolucji na Węgrzech, a następnie brutalność represji, połączona ze zdecydowanym dążeniem Moskwy do utrzymania ścisłej kontroli, nie dawały początkowo marionetkowemu rządowi Kádára zbyt dużych szans na przeprowadzenie istotnych zmian. Konieczność poprawy warunków życia zaczęła jednak w końcu działać na jego korzyść. Decentralizacja zarządzania, tak w przemyśle, jak i w rolnictwie, zaowocowała wzrostem produkcji. Do wzrostu gospodarczego przyczynił się też eksport boksytów i uranu. System okrzepł. Poprawiły się warunki życia, co rozładowało niezadowolenie społeczne, które przed kilku laty omalże nie doprowadziło do upadku władzy komunistycznej. We wczesnych latach 60. Kádár mógł sobie już pozwolić na ograniczoną liberalizację. Zwolniono więźniów politycznych i ogłoszono szeroko zakrojoną amnestię. Złagodzone ograniczenia swobody wypowiedzi i działalności kulturalnej, można już było słuchać zachodnich stacji radiowych, intelektualiści mogli utrzymywać ograniczone kontakty z Zachodem, ukrócono też ostentacyjne działania represyjne milicji. W „komunizmie gulaszowym”, który to termin odzwierciedla większą niż w innych krajach bloku uwagę przywiązywaną do artykułów powszechnego użytku, możliwe były nawet pewne elementy gospodarki rynkowej (choć wkrótce problemy gospodarcze zaczęły narastać). Ale kontrolowany przez partię aparat bezpieczeństwa istniał nadal. Stuprocentowy wzrost wskaźnika samobójstw od roku 1955 do 1970 może sugerować, że zadowolenie z sytuacji na Węgrzech pod rządami Jánosa Kádára nie było jednak powszechne. Niemniej w oczach Zachodu Węgry zmierzały do tego, by ukazywać jak najmniej odpychające oblicze bloku radzieckiego.

\*\*\*

Tak więc Polska i Węgry poszły w odwrotnych kierunkach. W pierwszym przypadku poluzowana śruba była stopniowo dokręcana, podczas gdy w drugim jej początkowy mocny zacisk był później nieco rozluźniany. Lecz ani w pierwszym, ani w drugim nie można jej było całkiem odkręcić. Wspólną cechą obu krajów, jak i całego bloku było to, że – parafrazując Fryderyka Engelsa sprzed kilkadziesiątu

lat – „w ostatniej instancji” o wszystkim i tak decydowała siła Związku Radzieckiego. Prawdą jest, że nie było powrotu do pełnego stalinizmu, który był normą przed 1953 rokiem, niemniej pewne cechy neostalinowskie przetrwały w każdym z krajów.

Komunizm w Europie Wschodniej utracił w istocie wcześniejszy rewolucyjny *raison d'être*. Wbrew cynicznej propagandzie o budowie społeczeństwa zdecydowanie lepszego niż to, które stworzył imperialistyczny, zachodnioeuropejski kapitalizm, Związek Radziecki i jego kraje satelickie stały się po prostu konserwatywnymi państwami autorytarnymi, pozbawionymi rewolucyjnej dynamiki czy utopijnych dążeń, których celem było jedynie utrzymanie panującego systemu. Nie licząc aparatczyków czerpiących korzyści z systemu oraz grupki jego entuzjastów i prawdziwych wyznawców, większość zwykłych ludzi wróciła do normalnego życia, z obojętnością lub rezygnacją przyjmując warunki polityczne, których zmiana wydawała się niemożliwa. Gdyby dać im możliwość wyboru, większość z pewnością opowiedziałaby się za czymś innym niż oparty na sile Związku Radzieckiego „realny socjalizm”. Ale takiego wyboru nie mieli. Ostrza systemu komunistycznego w poszczególnych krajach obozu ulegały z czasem stępieniu, dokonywano też pewnych korekt zgodnych z oczekiwaniami społeczeństwa. Zasadnicza zmiana systemu nie wchodziła jednak w grę.

Jeszcze raz na wielką skalę zakwestionowano sowiecką dominację w 1968 roku w Czechosłowacji. Można jednak stwierdzić, że po roku 1956 panowanie Sowietów w Europie Wschodniej pozostało w zasadzie nienaruszone przez ponad 30 lat.

## ROZDZIAŁ 4

# Dobre czasy

---

*Nie czekaj przez lata, by uznać, że żyłeś w wyjątkowej epoce – w epoce  
BOOMU.*

Magazyn „Queen”, 15 września 1959 r.

*Zgromadzenie narodów europejskich wymaga, by usunięta została odwieczna  
wrogość Francji i Niemiec: podjęte działanie musi w pierwszym rządzie  
dotyczyć Francji i Niemiec.*

Deklaracja Schumana, 9 maja 1950 r.

**N**owa epoka w Europie Zachodniej upływała pod znakiem dobrobytu. Było to możliwe dzięki bezprecedensowemu tempu wzrostu gospodarczego, który utrzymywał się aż do wstrząsu, jakim był kryzys naftowy z 1973 roku. Pokolenie urodzone pod koniec wojny lub w ramach powojennego „baby boomu” mogło mówić o prawdziwym szczęściu. Choć początkowo wzrastało w latach powojennego zaciskania pasa, wśród fizycznych i psychologicznych ran wywołanych przez drugą wojnę światową, nie doświadczyło ani nędzy wielkiego kryzysu, ani koszmarów samej wojny. A jego przedstawiciele cieszyli się następnie w bezwojennej Europie warunkami materialnymi, których ich rodzice i dziadkowie nie byli sobie nawet w stanie wyobrazić: poduszką bezpieczeństwa oferowaną przez państwo opiekuńcze; poprawą warunków mieszkaniowych; stabilną pracą w ramach pełnego zatrudnienia; zwiększoną dostępnością do edukacji; wreszcie, stopniowo, pieniędzmi, które można było wydać nie tylko na podstawowe

potrzeby, ale również na luksusy, oraz coraz większymi możliwościami podróżowania za granicę. Mogli patrzeć w przyszłość z optymizmem. Przyszło im żyć w dobrych czasach.

Dla zachodnich Niemców były to niewyobrażalne wręcz lata „cudu gospodarczego”. Ten cud nie ograniczał się jednak do jednego kraju. Włosi także postrzegali swoje powojenne odrodzenie gospodarcze w kategoriach cudu. Francuzi okres pomiędzy rokiem 1946 a 1975 określają mianem „30 lat chwały” (*Les Trente Glorieuses*), nawet jeżeli w dziedzinach innych niż gospodarcza niektórym z tych lat daleko było do wspaniałości. Brytyjczykom ich premier, Harold Macmillan, mówił, że „nigdy jeszcze nie mieli się tak dobrze” i wspominał o „zamożnym społeczeństwie”, choć przy całym postępie owa „zamożność” ledwie obejmowała warunki bytowe większości brytyjskiego społeczeństwa. W porównaniu z tym, co miało nadejść, poprawa warunków materialnych była, oczywiście, wciąż skromna. Jednak w porównaniu z przeszłością, ogromna. Ze zrozumiałych względów lata 1950–1973 zostały określone mianem „złotego wieku”.

W południowej części Europy sytuacja przedstawiała się inaczej. Ściśle regulowane, praktycznie zamknięte gospodarki zarządzane przez autorytarne reżimy w Hiszpanii i Portugalii – polityczną spuściznę lat minionych – uniemożliwiały tym krajom pełne skorzystanie z materialnego postępu, który stał się udziałem północno-zachodniej Europy. Znacząca poprawa standardów życia, które i tak pozostawały znacznie poniżej północnoeuropejskiej średniej, nastąpiła w Hiszpanii i Portugalii dopiero w latach 60., gdy oba kraje poniewczasie zaczęły liberalizować swoje gospodarki, a Hiszpania zaczęła zarabiać na międzynarodowej turystyce (liczba turystów odwiedzających Hiszpanię wzrosła pomiędzy rokiem 1959 a 1973 ośmiokrotnie, a wydawane przez nich kwoty dwudziestokrotnie). Powoli podnosząca się ze zniszczeń wojny domowej Grecja, w której podobnie jak w Hiszpanii i Portugalii prawie połowa mieszkańców wciąż pracowała na roli, także pozostawała w tyle, choć wysoki i trwały wzrost gospodarczy przyniósł do 1973 roku pewną modernizację i umiarkowaną poprawę standardów życia. Turcja,



desperacko próbująca nadrobić swoje gospodarcze zapóźnienie i mocno uzależniona od zagranicznych inwestycji i amerykańskich kredytów, zaprzepaszczała swoją szansę na rozwój przez kiepskie planowanie i szybko rosnący poziom zadłużenia.

Ideologiczne założenia Związku Radzieckiego i jego satelitów w Europie Środkowej i Wschodniej poważnie utrudniały rozwój, który przyniósł dobrobyt i przyczynił się do powstania społeczeństwa konsumpcyjnego w zachodniej części kontynentu. Komunistyczna ekonomia, prymat centralnego planowania i ścisła kontrola państwa sprawiały, że gospodarka w nieproporcjonalny sposób ciążyła w kierunku projektów infrastrukturalnych i wydatków wojskowych. W konsekwencji obywatele Europy Wschodniej i ZSRR byli pozbawieni wielu szybkich udoskonaleń w codziennym życiu, które stały się udziałem społeczeństw Europy Zachodniej.

Niemniej nawet tutaj – przy pełnej świadomości, że pozbawienie osobistych wolności przez represyjny reżim nie ma ceny – warunki życia, choć daleko odbiegające od zachodnich, były dużo lepsze niż przed wojną, nie mówiąc już o koszmarze i zniszczeniach związanych z samą wojną. O ile nie można mówić tu o „złotym wieku”, którego doświadczyła Europa Zachodnia, to ekonomiści czują się uprawnieni, by określić te lata w Europie Wschodniej mianem wieku „srebrnego”. Standard życia podniósł się, nawet jeżeli w porównaniu z Europą Zachodnią była to jedynie umiarkowana poprawa: różnice majątkowe pomiędzy bogatymi a biednymi zostały w dużej mierze ograniczone; państwo opiekuńcze (inne niż na Zachodzie) przyniosło poziom bezpieczeństwa nieznanego większości społeczeństwa przed wojną; mieszkania stały się łatwiej dostępne (nawet jeżeli ich jakość była marna, a adresu nie można sobie było wybrać); panowało pełne zatrudnienie (z niewielkim lub żadnym wyborem, jeżeli chodzi o miejsce i rodzaj pracy); pojawiły się też możliwości edukacyjne (mocno ograniczone co do treści i podlegające ideologicznej i politycznej kontroli). Większość ludzi na Zachodzie nie miała czego zazdrościć, jeżeli chodzi o styl życia kształtowany niemal w całości przez wymogi gospodarki nakazowej. Młodsze pokolenia w Europie

Wschodniej także tolerowały ją tylko dlatego, że nie miały wyboru, często z coraz większym rozczarowaniem. Jednak wielu przedstawicieli starszego pokolenia uznawało, że przy wszystkich oczywistych niedociągnięciach i ogromnych ograniczeniach życie w systemie komunistycznym w czysto materialnym sensie oznaczało znaczącą poprawę w porównaniu z tym, co znali wcześniej.

Patrząc raczej przez pryzmat tego, co było wcześniej, niż tego, co miało nadejść później, dla większości populacji Europy były to rzeczywiście bezprecedensowo „dobre czasy”. Za wszelkimi ogromnymi zmianami w życiu materialnym, które nabrały tempa w latach 50. i 60., stało zawrotne tempo wzrostu gospodarczego, w zrozumiwały sposób postrzegane przez wielu, którzy wcześniej doświadczyli jedynie nędzy i niedostatku, jako „cud”.

## **„Cud gospodarczy”**

Oszałamiający sukces ekonomiczny Europy Zachodniej nie był w żadnym stopniu zasługą geniuszu politycznych przywódców w dziedzinie zarządzania gospodarką. Polityka gospodarcza różniła się w zależności od kraju. Dynamiczny rozwój powojennych gospodarek miał w istocie charakter globalny. Wszystkie części świata (w tym także blok sowiecki) skorzystały z tego trendu, choć niektóre bardziej niż inne. Japonia rozwijała się o wiele szybciej niż Europa. Stany Zjednoczone i Kanada także doświadczyły dużego wzrostu, choć nieco mniejszego niż Europa. Zawrotny rozwój Starego Kontynentu pozwolił mu do pewnego stopnia odzyskać część wpływów utraconych na rzecz Ameryki w poprzednich, katastrofalnych dekadach. Udział Europy w światowym handlu rósł. Do 1963 roku na Francję, Niemcy Zachodnie, Włochy i Wielką Brytanię przypadało prawie dwie piąte globalnego eksportu towarów przetworzonych, podczas gdy na USA – niespełna jedna piąta. Europa i reszta uprzemysłowionego Zachodu korzystały również z faktu, że spadały ceny importu żywności i surowców z krajów

rozwijających się, podczas gdy ceny eksportowanych przez nich towarów przetworzonych rosły.

Nadzwyczajny wzrost gospodarczy wziął się z wyjątkowych okoliczności, które zdarzyły się po wielkiej wojnie i uruchomiły koło zamachowe sprzyjające dobrobytowi i postępowi społecznemu. Po części wzrost ten był efektem naturalnego odbicia gospodarczego, które musiało nastąpić po dwóch wojnach światowych i wielkim kryzysie. Nie było to jednak „normalne” ożywienie, związane z klasycznym cyklem koniunkturalnym. Pomagają to wytłumaczyć liczne czynniki: uwolnienie zawieszonoego popytu, wielkie zasoby taniej siły roboczej i, wreszcie, ogromny postęp technologiczny dokonany podczas wojny, który teraz mógł być wykorzystany dla potrzeb cywilnych. Wszystko to przygotowało grunt pod dynamiczny wzrost. Dodatkowym bodźcem stała się konieczność odbudowy zrujnowanych miast i wsi. A tam, gdzie miał miejsce wysoki poziom inwestycji w technologię i siłę roboczą w najważniejszych sektorach gospodarki, jak na przykład w Niemczech Zachodnich, wkrótce pojawiał się wysoki wzrost gospodarczy. Tam, gdzie inwestycje w produkcję szwankowały, jak w Wielkiej Brytanii, tempo wzrostu utrzymywało się na uparcie niskim poziomie. Inwestycje, początkowo pochodzące w większości ze środków publicznych i przeznaczone na duże projekty infrastrukturalne, napędzały wzrost, który poprawiał nastroje, co przyczyniało się do dalszej ekspansji i uruchamiało spiralę rozwojową. Ważną rolę odgrywało tu państwo, szczególnie na wczesnym etapie odrodzenia gospodarczego, gdy wnioski z wielkiego kryzysu i rozkwit keynesowskiej teorii ekonomicznej zaowocowały znaczącym wzrostem dynamiki gospodarczej. Podsumowując, prywatny i publiczny sektor gospodarki raczej ze sobą współpracowały, niż konkurowały.

Jednym z głównych czynników przyczyniających się do trwałego wzrostu była ogromna ekspansja handlu międzynarodowego. Mierzony według wartości światowy eksport podwoił się pomiędzy rokiem 1953 a 1963, a potem wzrósł ponad trzykrotnie w kolejnej dekadzie. Szczególnie szybki wzrost zanotowano w segmencie towarów przetworzonych. Wzrost w Europie Zachodniej został we

wczesnej fazie mocno zdynamizowany za sprawą liberalizacji handlu, której towarzyszyło przyjęcie planu Marshalla i odrodzenie rynków międzynarodowych. Kiedy kontrola cen i inne restrykcje handlowe pierwszych lat powojennych zostały zniesione, a kursy walut się ustabilizowały, umożliwiając funkcjonowanie gospodarki rynkowej (choć bez najgorszych skutków wolnego rynku, ograniczanych przez państwowe planowanie i interwencjonizm), kraje Europy Zachodniej rozpoczęły ekspansję na rynki zagraniczne. Przodowały w tym Niemcy Zachodnie, których handel zagraniczny rósł w latach 1948–1962 w zawrotnym tempie: średnio 16 procent rocznie. Dodatkowo w coraz większym stopniu w latach 50., a szczególnie od momentu powołania na mocy traktatów rzymskich z 1957 roku Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, kraje kontynentalnej Europy Zachodniej eksportowały do siebie nawzajem, powodując, że handel wewnątrz europejski wzrósł w latach 50. ponad dwukrotnie.

Wysokie tempo wzrostu utrzymywało się, jedynie z krótkimi i niewielkimi przerwami, aż do końca lat 60., kiedy to zaczęło wyhamowywać wraz ze zmianą warunków ekonomicznych, jeszcze przed nagłym i gwałtownym wzrostem cen ropy, wymuszonym na Zachodzie przez arabskich producentów po wojnie arabsko-izraelskiej z 1973 roku. Było to zjawisko nie tylko niezwykle, ale i unikalne w skali historycznej. W rozwoju kapitalizmu była to epoka zupełnie wyjątkowa. Pęd do maksymalizacji zysków nie odbywał się w krajach Europy Zachodniej kosztem państwa opiekuńczego (choć korzystały one z niskich cen surowców w świecie rozwijającym się). Trwale wysokie tempo wzrostu pozwalało na znaczące zwiększanie zysków (umożliwiając dalsze inwestycje), a płace i pensje mogły rosnąć w ujęciu realnym, przynosząc poprawę poziomu życia. Jednocześnie rządy mogły korzystać z pełnego zatrudnienia, które towarzyszyło tak wysokiemu tempu wzrostu, i pobierać dodatkowe wpływy podatkowe, z których finansowano programy społeczne. Wzrost był powszechny i pojawiał się w różnych rodzajach struktur politycznych i ekonomicznych. Gospodarki Europy Zachodniej rozwijały się w tym okresie w średnim tempie 4,7 procent rocznie, dwa razy szybciej niż wynosiło średnie tempo wzrostu od roku 1820 (2,2 procent). Europa Południowa

(Grecja, Hiszpania, Portugalia i Turcja) rozwijały się jeszcze szybciej (średnio w tempie 6,3 procent rocznie), ale startowały z niższego poziomu. Centralnie sterowane gospodarki Europy Wschodniej i Związku Radzieckiego notowały średnie tempo wzrostu produktu krajowego brutto na głowę mieszkańca tylko nieznacznie ustępujące kapitalistycznej Europie Zachodniej – i de facto większą poprawę w porównaniu ze skromniejszym historycznym tempem wzrostu – choć i tu punkt startu był niższy, otwierając pole dla zjawiska, które ekonomiści nazywają „nadrabianiem dystansu”.

Wzrost oczywiście nie rozkładał się równo. W Europie Zachodniej najwyższy (średnio na poziomie pięciu procent rocznie) był w Niemczech Zachodnich – których „cud gospodarczy” był kluczowy dla odrodzenia wykraczającego daleko poza ich granice – a także w sąsiedniej Austrii i Włoszech (szczególnie na północy). Najniższy, bo wynoszący zaledwie 2,5 procent rocznie, był w Wielkiej Brytanii. Wzrost w Irlandii był tylko nieznacznie wyższy. Mimo że Irlandia rozwijała się w tempie trzykrotnie szybszym, niż wynosiła długoterminowa średnia, pozostawała ona zacofaną gospodarką. W Europie Południowej Turcja ustępowała Grecji i Półwypowi Iberyjskiemu, a spośród gospodarek wschodnioeuropejskich najlepiej radziły sobie Bułgaria, Rumunia i Jugosławia (choć również startując z niskiego poziomu).

Jak już wspomniałem, wzrost w bloku sowieckim koncentrował się w przemyśle ciężkim, w którym gwałtowny skok produkcji nie przekładał się na znaczącą poprawę standardów życia, co było charakterystyczne dla wzrostu na Zachodzie. W dużej mierze odcięte od rozkwitającego handlu międzynarodowego kraje za żelazną kurtyną nie doświadczyły boomu konsumpcyjnego. Pomimo to warunki życia dla przeważającej większości populacji zaczęły się powoli poprawiać, począwszy od połowy lat 50. W Związku Radzieckim budowa nowych mieszkań prawie potroiła się od roku 1953 do 1960, ponieważ próbowano przewyciężyć chroniczny deficyt powierzchni mieszkalnej i poważne przeludnienie, szczególnie w miastach. W krajach satelickich Europy Wschodniej

sytuacja była nieco lepsza, choć wszędzie w bloku sowieckim warunki mieszkaniowe znacznie odbiegały od standardów zachodnioeuropejskich.

Wszędzie wzrost był bardziej dynamiczny w przemyśle wytwórczym niż w rolnictwie. Jednak wraz z utrzymującą się koniunkturą to ostatnie także się zmieniało. Wydajność w rolnictwie była początkowo generalnie znacznie niższa niż w przemyśle. Jednak wielki odpływ siły roboczej z rolnictwa, który w latach 50. i 60. miał miejsce na całym kontynencie w związku z wyższymi zarobkami w przemyśle, wymusił mechanizację, bardziej intensywne metody upraw oraz innowacje powodujące gwałtowny wzrost wydajności zbiorów. Przy mniejszym areale ziemi uprawnej i mniejszej liczbie ludzi pracujących w rolnictwie Europa była w stanie produkować więcej żywności.

Było to konieczne, bo trzeba było wykarmić rosnącą populację, coraz bardziej skoncentrowaną w większych i mniejszych miastach. Przedwojenne chorobliwe obawy o spadek populacji wydawały się niczym więcej jak złym snem, bo Europa doświadczała powojennego „baby boomu” – kolejnego aspektu „nadrabiania”, czyli reakcji na spadek odsetka urodzeń w czasie wojny i kryzysu gospodarczego. We Francji, w której kurczenie się populacji wydawało się nieodwracalne, w dekadach powojennych nastąpił skok o prawie 30 procent. Duży wzrost miał również miejsce w innych krajach europejskich, tak na wschodzie, jak i na zachodzie. Wyjątkami były biedniejsze kraje takie jak Grecja, Portugalia i Irlandia, które traciły obywateli, bo robotnicy, szczególnie z terenów wiejskich, poszukiwali zatrudnienia i wyższych płac w kwitującym przemyśle w innych krajach. Odsetek urodzin w zamożniejszej zachodniej połowce kontynentu rósł od połowy lat 50., odwracając przedwojenny spadek, choć zjawisko to nie dotyczyło dużej części biedniejszej Europy Południowej i Wschodniej. Odsetek śmiertelności niemowląt spadł znacząco praktycznie we wszystkich krajach, zarówno w Europie Wschodniej, jak i Zachodniej.

Odpływ ludności ze wsi, powszechny już przed wojną, jeszcze przyspieszył. W przededniu wojny ponad jedna trzecia populacji w Europie Zachodniej wciąż pracowała w rolnictwie i związanych z nim zawodach, a w Europie Wschodniej

i Południowej często znacznie więcej niż połowa. W owym czasie jedynie w Wielkiej Brytanii i Belgii odsetek populacji pracujący w rolnictwie był śladowy. Zmieniło się to radykalnie w latach 50. i 60. We Włoszech, dla przykładu, w latach 1950–1973 nastąpił spadek zatrudnienia w rolnictwie z 41 do 17,4 procent, we Francji z 33 do 12,2 procent. Podobny, jeżeli nie bardziej spektakularny spadek miał miejsce na całym kontynencie. Wraz z wyludnianiem się prowincji postępowała urbanizacja. Miasta rozrastały się niemal wszędzie, ale w szczególności w stosunkowo zacofanych wcześniej i peryferyjnych regionach Europy. Populacja Belgradu, na przykład, wzrosła w pierwszych powojennych dekadach ponad czterokrotnie, a Kijowa i Sztambułu – trzykrotnie. Podwoiła się liczba mieszkańców Sofii, Bukaresztu i Warszawy. Populacja Leningradu wzrosła w tym okresie z 2,9 do 4,3 miliona mieszkańców, a Moskwy z 5,3 do 7,6 miliona. W całej Europie w 1970 roku 58 procent populacji mieszkało w miastach liczących powyżej 750 000 mieszkańców, wobec 45 procent w 1950 roku. Największy wzrost procentowy nastąpił w tym okresie w Europie Południowej i Wschodniej.

Regiony uprzemysłowione jak magnes przyciągały siłę roboczą z obszarów wiejskich, ale w porównaniu do czasów przedwojennych doszło również do znacznego wzrostu migracji pracowników ponad granicami. W latach bezpośrednio powojennych imigracja ta miała przede wszystkim charakter polityczny. Wojna zostawiła po sobie blisko 40 milionów uchodźców i doprowadziła do gigantycznych czystek etnicznych w Europie Wschodniej. Niemcy, którzy stali się głównymi ofiarami wysiedleń z Polski, Czechosłowacji, Rumunii i innych krajów, milionami kierowali się na zachód. Szacuje się, że pomiędzy 1945 a 1950 rokiem wydalono 12,3 miliona Niemców, co stanowiło prawie jedną piątą populacji Niemiec Zachodnich. Później najważniejszą przyczyną imigracji stało się poszukiwanie pracy i związanych z nią korzyści materialnych w kwitnących gospodarkach.

Do czasu gdy w 1961 roku budowa muru berlińskiego zamknęła ostatnią drogę ucieczki przez żelazną kurtynę, Niemcy Zachodnie mogły korzystać z wielkiego exodusu siły roboczej ze swojego wschodniego sąsiada, który to drenaż miał

jednocześnie oplakane skutki dla wschodnioniemieckiej gospodarki. Od 1961 roku potrzebne stały się inne źródła siły roboczej. W szczytowym okresie boomu, na początku lat 60., do Niemiec Zachodnich przybywało ponad 300 000 imigrantów rocznie; podobna liczba trafiała do Francji. Największą liczbę imigrantów szukających pracy i lepszych warunków życia wysyłały w świat Włochy, Hiszpania, Portugalia, Grecja i Irlandia, choć Turcja, Jugosławia i Afryka Północna, ze szczególnym uwzględnieniem Algierii i Maroka, także wkrótce stały się poważnymi źródłami taniej siły roboczej. W 1973 roku w Europie Zachodniej zatrudnionych było około 7,5 miliona imigrantów, z czego 2,5 miliona w Niemczech Zachodnich i 2,3 miliona we Francji. Niewielu mogło liczyć po przyjeździe na ciepłe przyjęcie. Wielu, jeżeli nie większość, czekała jakaś forma ubóstwa i dyskryminacji. „Pracownicy gościnni”, jak nazywano ich w Niemczech Zachodnich, mieli być zaledwie czasowymi rezydentami i nie przyznawano im praw obywatelskich. Starszym Niemcom, takim jak zachodniobrzeński emeryt z niższej klasy średniej, Franz Göll, Turcy i Jugosłowianie, „którzy często przyjmowali gorzej płatne prace, których nie chcieli już brać Niemcy”, przypominali „zagranicznych robotników”, których podczas wojny traktowali z niejaką wrogością. Sami „pracownicy gościnni” początkowo wyobrażali sobie, że ostatecznie wrócą do swoich krajów i wysyłali znaczny odsetek swoich zarobków do domu, by wesprzeć rodziny, od których zostali oddzieleni przez wyjazd do pracy za granicą. Pośrednio w ten sposób zapewniali tak potrzebne dewizy biedniejszym krajom, które porzucili.

Wielka Brytania przyjęła inne rozwiązanie, pozyskując tanią, niewykwalifikowaną siłę roboczą z dawnych kolonii zrzeszonych we Wspólnocie Narodów. W przeciwieństwie do „pracowników gościnnych” w Niemczech Zachodnich, którzy mieli ostatecznie opuścić kraj, obywatele Wspólnoty Narodów mieli prawo do stałego pobytu i otwarte drzwi do brytyjskiego obywatelstwa – czynnik ten sprawił, że imigracja powoli stawała się ważną kwestią polityczną. Liczba imigrantów była jednak na początku lat 50. niewielka. Pomiedzy rokiem 1948 a 1953 przybyło ich zaledwie 28 000, z czego połowa z Indii Zachodnich.



W latach 50. imigracyjny rekord został pobity w 1956 roku, gdy przyjechało 46 850 osób. W owym czasie więcej ludzi opuszczało Wielką Brytanię głównie po to, by osiedlić się w byłych białych dominiach, czyli Australii, Nowej Zelandii i Kanadzie. Na początku lat 50. ponad 50 000 Brytyjczyków rocznie wyjeżdżało do Australii; w 1965 roku takich osób było aż 80 000. W 1959 roku łączna liczba imigrantów wyniosła 21 600 (z czego około 16 000 z Karaibów i nieco ponad 3000 z subkontynentu indyjskiego – liczba ta wzrosła znacząco dopiero w latach 60.). Łączna imigracja zwiększyła się następnie gwałtownie do 136 400 osób w 1961 roku. Średnio w latach 60. do Wielkiej Brytanii z krajów Nowej Wspólnoty Narodów przybywało rocznie około 75 000 imigrantów – znacznie mniej niż, na przykład, do Francji i Niemiec Zachodnich.

Imigranci, zachęceni do przyjazdu do Wielkiej Brytanii, by obsługiwać potrzeby rosnącej gospodarki, stanowili jedynie niewielkie procent całej populacji. Osób urodzonych za granicą było w Zjednoczonym Królestwie w 1961 roku łącznie około 2,5 miliona. We Francji, Belgii i Szwajcarii odsetek ten był znacznie wyższy. Większość pochodziła z Europy, a nie z terytoriów zamorskich, choć liczba Algierczyków mieszkających we Francji prawie podwoiła się w latach 1952–1975 i sięgnęła około 700 000. W 1962 roku brytyjski rząd, zmuszony do działania, gdy na przestrzeni poprzednich 18 miesięcy na Wyspy przybyło około 230 000 imigrantów z byłych brytyjskich kolonii, zdecydował się na mocy ustawy o imigrantach z krajów Wspólnoty Narodów (Commonwealth Immigration Act) ograniczyć liczbę osób, którym przyznawano prawo osiedlenia się na terenie Wielkiej Brytanii. W kolejnych latach restrykcje te jeszcze zaostrzono.

Wzrost poziomu imigracji zderzył się z głęboko zakorzenionymi uprzedzeniami rasowymi. Rosnąca niechęć wobec imigrantów z Commonwealthu, najbardziej dojmująca w uprzemysłowionych regionach północno-zachodniej Anglii, regionie Midlands oraz w Londynie wraz z przyległościami, była w przeważającym stopniu kierowana wobec niebiałych imigrantów, czyli stanowiła przejaw rasizmu. W sierpniu 1958 roku doszło do poważnych zamieszek rasowych w Nottingham i londyńskiej dzielnicy Notting Hill, gdzie setki białych wyrostków przez kilka

nocy, od 29 sierpnia do 5 września 1958 roku, atakowały domy imigrantów z Karaibów. W sześć lat później Smethwick, stanowiące część konurbacji Birmingham w Midlands, okryło się niesławą podczas wyborów parlamentarnych w 1964 roku za sprawą haniebną kampanii rasistowskiej, prowadzonej przez kandydata konserwatystów, Petera Griffithsa. Mandat w tym okręgu dzierżyli laburzyści, ale tamtejsza biała klasa robotnicza cierpiała z powodu zamykania fabryk i niedoboru mieszkań, a sikhijska mniejszość spotykała się z aktami brutalnego rasizmu, przy pomocy których skrajnie prawicowe ugrupowania były w stanie wykorzystać ekonomiczny i społeczny resentyment. Griffiths zdobył mandat dla konserwatystów, ale później, wedle słów laburzystowskiego premiera, Harolda Wilsona, był w parlamencie traktowany jak „trędowaty”. Laburzyści odzyskali ten mandat w wyborach 1966 roku. W międzyczasie jednak lokalna rada miasta prowadziła politykę mieszkaniową opartą na jawnej dyskryminacji rasowej.

Kwestia rasowa po raz kolejny stała się punktem zapalnym w 1968 roku za sprawą Enocha Powella, wówczas ministra obrony w opozycyjnym gabinecie cieni. Ten konserwatysta o zaskakująco dogmatycznych poglądach był niegdyś błyskotliwym wykładowcą filologii klasycznej; który w 1934 roku, w wyjątkowo młodym wieku 22 lat, dostał etat w Trinity College w Cambridge. Z drugiej strony jednak był anachronicznym angielskim nacjonalistą i imperialistą, z opinią politycznego awanturnika. Do kwestii imigracji odnosił się w sposób wysoce emocjonalny i prowokacyjny. Jego wystąpienie, wygłoszone 20 kwietnia 1968 roku na spotkaniu Towarzystwa Konserwatywnego, było wymierzone w przyjętą w owym roku przez rząd laburzystowski ustawę o stosunkach rasowych, której celem był zakaz dyskryminacji w mieszkalnictwie. Znany z retorycznych ozdobników Powell przedstawił wizję gwałtownego konfliktu rasowego w nadchodzących latach. Nawiązywał do „szeroko uśmiechniętych czarnuszków”, a wieszcząc przyszłość Anglii, odwoływał się – jako były filolog klasyczny – do słów Wergiliusza o Tybrze „pieniącym się od krwi”. Szybko został usunięty ze swojego stanowiska w konserwatywnym gabinecie cieni i politycznie już nigdy nie zdołał odbudować swojej kariery. Jednak sondaż opinii publicznej,

przeprowadzony wkrótce potem, pokazywał, że trzy czwarte Brytyjczyków zgadza się z Powellem. Londyńscy dokerzy demonstrowali przed parlamentem, domagając się jego przywrócenia do gabinetu cieni. Oficjalnie potępiane uprzedzenia rasowe oczywiście nie ustały, ale jeżeli chodzi o otwarte ich wyrażanie, to stały się domeną skrajnych rasistów i ruchów neofaszystowskich – złowrogich, ale nieposiadających poważniejszego wsparcia i spotykających się ze zdecydowanym sprzeciwem zarówno ze strony organizacji antyfaszystowskich, jak i głównych polityków ze wszystkich partii. Wywołany przez Powella nastrój ekscytacji szybko przycichł, między innymi za sprawą spadku imigracji – który dokonywał się już wtedy, gdy wieszczył „rzeki krwi” – z krajów Nowej Wspólnoty Narodów, która była następstwem ustawodawstwa regulującego kwestie rasowe, przyjętego przez rząd laburzystów.

Wówczas już Wielka Brytania, która weszła w lata 50. jako wiodąca gospodarka Europy (mimo powojennego zaciskania pasa i krajowego zadłużenia), powoli, lecz nieubłaganie zapracowywała sobie na trudną do pozazdroszczenia reputację, która ostatecznie przyłgnęła do niej w latach 70., czyli „chorego człowieka Europy”, a to z racji kiepskich wyników gospodarczych. Brytyjski poziom wzrostu w latach powojennych wyglądał mizernie na tle międzynarodowym – choć i tak był dwukrotnie wyższy niż tempo rozwoju kraju w szczytowym momencie jego przemysłowej dominacji w XIX wieku. Słabość Wielkiej Brytanii stawała się coraz bardziej oczywista wraz z szybkim rozwojem potencjału gospodarczego sześciu państw (Francji, Niemiec Zachodnich, Włoch, Belgii, Holandii i Luksemburga), które w 1957 roku stworzyły Europejską Wspólnotę Gospodarczą (EWG).

Paradoksalnie, stosunkowo niskie tempo brytyjskiego wzrostu było po części konsekwencją wojennego triumfu tego kraju. Szczególnie wysokie tempo rozwoju, co zapewne nie powinno dziwić, było domeną krajów, które wyszły z wojny najbardziej zniszczone – Niemiec, Austrii, Włoch, a poza Europą Japonii. To tam w konsekwencji istniała największa presja na potężne zmiany infrastrukturalne. Natomiast w porównaniu z większością kontynentalnej Europy wojna

spowodowała w Wielkiej Brytanii dużo mniejsze zniszczenia materialne, a jej struktury ekonomiczne i polityczne utrzymały się w znacznej mierze bez zmian. Dodatkowo Wielka Brytania wyszła z wojny (choć nie na długo), posiadając kolonialne imperium, nazywane od 1931 roku Wspólnotą Narodów. Nie tylko utrzymała resztki swojego statusu imperialnego (choć w rzeczywistości mocno uszczuplonego) i wciąż wydawała stosunkowo dużo na armię, ale jej elity gospodarcze nadal były przekonane o swoim ponadprzeciętnym statusie. Jednak kraj nie tylko miał ogromne zadłużenie (które zostało całkowicie spłacone dopiero kilkadziesiąt lat później). Zwycięstwo w wojnie sprawiło, że utrzymały się przestarzałe metody produkcji, zachowawczy sposób zarządzania, niechętny wszelkim ryzykownym innowacjom, a także wielość związków zawodowych; okazały się one kolejnymi hamulcami dla podniesienia wydajności gospodarczej. I wreszcie, Wielka Brytania inwestowała mniej niż jej najważniejsi konkurenci. A brytyjskie relacje gospodarcze, z ich tradycyjnie autorytarnym sposobem zarządzania i mocną pozycją związków zawodowych, nie sprzyjały innowacyjnym metodom produkcji, niezbędnym na coraz bardziej konkurencyjnych rynkach. Efektem był systematyczny spadek brytyjskiego eksportu. Kontrast pomiędzy upadkiem Wielkiej Brytanii a rozwojem Niemiec Zachodnich – które przegrały wojnę, ale wygrały powojenne odrodzenie gospodarcze – był porażający.

W Niemczech Zachodnich paradygmatowi „cudu gospodarczego”, wysiłkowi na rzecz odbudowy kraju, towarzyszyła próba uniknięcia konfliktu pomiędzy pracodawcami a pracownikami. Nazizm, wojna i wielki powojenny napływ taniej siły roboczej złamały nie tylko strukturę, ale i mentalność przedwojennej walki klas. Niemiecki Front Pracy zastąpił w Trzeciej Rzeszy brutalnie zniszczone niezależne związki zawodowe jednym wielkim nazistowskim konglomeratem. Siłą wprowadzono pseudosolidarność w miejscu pracy, osładzając gorzką pigułkę przymusu poprawą warunków urlopowych i podniesieniem statusu robotnika we „wspólnocie ludowej”. Zniszczenie i dwunastoletnia nieobecność prawdziwego ruchu związkowego stworzyły, choć ogromnym kosztem ludzkim i politycznym, podstawę do nowego startu w stosunkach gospodarczych po wojnie. Pilna potrzeba

podniesienia kraju z ruin sprzyjała większej jedności w miejscu pracy, niż kiedykolwiek udało się to osiągnąć nazistowskiej propagandzie. A sama siła robocza zmieniła się dramatycznie w wyniku wojennych strat i potężnego napływu uchodźców i wypędzonych. Narodziła się klasa pracowników bardziej elastycznych, indywidualistycznych, zadowolonych w większości ze wzrostu płac, lepszych standardów życia i stabilnego zatrudnienia w stale rozwijającej się gospodarce. Związki zawodowe zostały odbudowane według bardziej racjonalnych założeń, podczas gdy w Wielkiej Brytanii wciąż dominowały setki niezreformowanych central branżowych. Rady pracownicze, za przykładem Republiki Weimarskiej, dały robotnikom wpływ na relacje gospodarcze, a od 1951 roku prawo nakazywało zarządom dużych firm, by umożliwiały one przedstawicielom pracowników współpodejmowanie (*Mitbestimmung*) decyzji menadżerskich. Ekonomiści oceniają, że lepsze relacje gospodarcze i inwestowanie w szkolenie zawodowe celem zapewnienia wykwalifikowanej siły roboczej przyczyniły się w znaczący sposób do pogłębienia różnicy w wynikach gospodarczych pomiędzy Niemcami Zachodnimi a Wielką Brytanią.

Relatywny upadek Wielkiej Brytanii był również konsekwencją politycznych wyborów, kształtowanych w dużej mierze przez imperialistyczną tradycję kraju, jego niegdysiejszą gospodarczą supremację i skłonność do nawiązywania stosunków raczej transatlantyckich i w ramach Wspólnoty Narodów niż z partnerami na kontynencie. Kiedy zaczęto podejmować pierwsze kroki na rzecz współpracy gospodarczej, bo zrujnowana Europa szukała sposobów na podniesienie się z wojennych zniszczeń, Wielka Brytania patrzyła na to z życzliwą powściągliwością. Pomimo powojennego zaciskania pasa analizy ekonomiczne, abstrahując od politycznych priorytetów, sugerowały brytyjskim decydom, by trzymali się na dystans. Dla przykładu w pierwszych latach powojennych na Wyspach produkowano dużo więcej stali i węgla niż w jakimkolwiek innym kraju europejskim. Sensowne wydawało się raczej oddzielenie niż zaangażowanie w proces współpracy europejskiej.

Brytyjskie przywiązanie do Wspólnoty Narodów – na którą w 1956 roku przypadało trzy czwarte krajowego eksportu – spowodowało odwrócenie się od kontynentalnej Europy przy jednoczesnym związaniu się z kurczącymi się rynkami. W połowie lat 60. już tylko jedna czwarta całego handlu Zjednoczonego Królestwa przypadała na Wspólnotę Narodów, bo różni jej członkowie nawiązywali bliższe relacje z innymi krajami Europy, Japonią i Stanami Zjednoczonymi. Wielka Brytania nie była jednak w stanie w pełni skorzystać z rozwoju handlu wewnątrz europejskiego. Wolno liberalizowała swój handel zagraniczny, a jej gospodarka stawała się coraz mniej konkurencyjna. Kiedy w końcu politycy w Londynie zdali sobie sprawę z wad obranej drogi i zdecydowali, że jednak chcą przystąpić do EWG, okazało się, że pociąg już odjechał.

Nieprzerwanie rozwijająca się dotąd gospodarka zaczęła wykazywać pierwsze oznaki zadyszki w połowie lat 60. Schemat nie był jednolity, ale poszczególne gospodarki narodowe radziły sobie różnie. Włochy, dla przykładu, nie odczuły gospodarczej stagnacji. Boom eksportowy i rozkwit turystyki sprawiały, że włoski „cud gospodarczy” trwał. Sygnały trudności były jednak widoczne w wielu krajach Europy Zachodniej. Niedobór siły roboczej, inflacja płac i rosnące ceny zaczęły rzucać swój cień. W latach 50. płace rosły gwałtownie i szybciej niż ceny, w dużej mierze za sprawą wzrostu wydajności pracy. Jednak na początku lat 60. ceny, które w poprzedniej dekadzie były stosunkowo stabilne i rosły umiarkowanie, skoczyły w Europie Zachodniej średnio o około 20 procent.

Popyt na pracę w gospodarkach z pełnym zatrudnieniem był wysoki. Związki zawodowe, w których liczba członków biła rekordy w powojennych dekadach, mogły prężyć muskuły. Coraz częstsze stawały się protesty pracownicze. Dania, Szwecja, Belgia, Francja i – w największym stopniu – Wielka Brytania – zaczęły mieć problemy z pracowniczą bojowością. Pogorszenie stosunków na rynku pracy często towarzyszyło podejmowanym przez rządy próbom ograniczenia presji inflacyjnej w przegrzanych gospodarkach lub następowało bezpośrednio po nich. Niemcy Zachodnie, motor europejskiego odrodzenia gospodarczego, odczuły wyhamowanie tempa wzrostu po 1962 roku, ale obawiając się inflacji, przykręciły

kurek z kredytami i zaostrzyły warunki na rynku pracy. Środki te przyczyniły się do gwałtownej, choć krótkotrwałej recesji w latach 1966–1967. Wśród krajów europejskich, które wprowadziły rozwiązania mające zdusić inflację i nie dopuścić do przegrzania gospodarki, znalazły się również Szwajcaria, Szwecja i Dania. Francja sięgnęła po restrykcyjne środki w 1964 roku, co doprowadziło do krótkotrwałej recesji przed powrotem ekspansji w latach 1965–1966.

W całej Europie Zachodniej spowolnienie gospodarcze w połowie lat 60. było raczej krótkim interludium niż fundamentalnym zejściem ze ścieżki wzrostu, która trwała od 1948 roku. Było to jednak zapowiedzią trudniejszych czasów z końca lat 60., zanim jeszcze wybuch kryzysu naftowego w 1973 roku przyniósł gwałtowny koniec długiemu, powojennemu boomowi.

„Cud gospodarczy” przyniósł niezliczone korzyści społeczeństwu Europy Zachodniej, poprawił też sytuację w południowych i wschodnich regionach kontynentu. Sondaże pokazywały, że ludzie byli ogólnie bardziej zadowoleni, szczęśliwsi i bardziej optymistycznie nastawieni na początku lat 70. niż w latach 50. Wysoki poziom wzrostu gospodarczego miał jednak jedną trwałą wadę, z której wówczas niewielu zdawało sobie sprawę. Odbywał się kosztem środowiska naturalnego. Ponościło ono nieodwracalne straty, tak jak działo się to zresztą już od początku rewolucji przemysłowej, za sprawą pędu do podnoszenia wydajności, a w szczególności ogromnego rozwoju produkcji. W tamtym momencie tylko niewielka mniejszość przywiązywała wagę do długofalowych szkód wywoływanych w ten sposób. „Złoty wiek”, choć przyniósł wielką poprawę standardów życia Europejczyków, był odpowiedzialny za poważne pogorszenie się stanu środowiska naturalnego. Szybki wzrost wykorzystania pestycydów w celu zwiększenia intensywności upraw znacznie podniósł wydajność rolnictwa, ale wyrządził środowisku szkody, które dopiero z wolna zaczęły być powszechnie dostrzegane. Wielki wzrost zużycia energii, począwszy od lat 50., odzwierciedlał rosnący dobrobyt, przejawiający się w posiadaniu samochodów i większych możliwościach podróżowania. Prowadził jednak do rekordowej emisji szkodliwego dwutlenku węgla (w Niemczech, dla przykładu, podwoiła się ona pomiędzy rokiem

1948 a 1957) w skali, której szkodliwe konsekwencje miały stać się widoczne dopiero w kolejnych pokoleniach. Dopiero począwszy od lat 70., ochrona środowiska stała się znaczącym tematem politycznym – a nawet wtedy trudno było nim zainteresować większość społeczeństwa.

## **Państwo opiekuńcze**

Częścią samonapędzającego się mechanizmu wzrostu gospodarczego był rosnący strumień dochodów, który pozwolił rządowi wydawać znacznie większe sumy na zabezpieczenia socjalne. Wraz z powrotem do pełnego zatrudnienia i radykalnym zwiększeniem wydatków konsumpcyjnych przychody podatkowe rosły w bezprecedensowym tempie. Budżety państw Europy Zachodniej były w latach 70. do 20 razy wyższe niż w 1950 roku. W konsekwencji rządy mogły wydawać znacznie więcej na programy socjalne niż kiedykolwiek wcześniej. Zabezpieczenia społeczne i pełne zatrudnienie były podstawowymi potrzebami nowego społeczeństwa – oczywistą lekcją płynącą z wielkiego kryzysu, którą dobrze odrobiły wszystkie powojenne rządy. W dekadach powojennych wszystkie partie polityczne zgadzały się, że trzeba rozszerzyć zakres zabezpieczeń socjalnych. Nadzwyczajny wzrost gospodarczy pozwolił na realizację obu celów – na wschodzie pod rządami komunistów, którzy siłą stworzyli społeczeństwa równiejsze niż kiedykolwiek wcześniej, nawet jeżeli za wysoką polityczną cenę, oraz znacznie rozszerzyli państwowe transfery socjalne, a w Europie Zachodniej w warunkach liberalnego kapitalizmu, który również ograniczył społeczne nierówności (choć na mniejszą skalę niż na wschodzie) i połączył siły rynkowe z różnymi formami państwa opiekuńczego.

Przedwojenny rozwój polityki społecznej był dalece niekompletny. Największy postęp, jeżeli chodzi o systemy ubezpieczeń społecznych, dokonał się w Skandynawii, Niemczech i Wielkiej Brytanii, ale i tak był on ograniczony. W większości krajów europejskich społeczeństwo w przeważającej części miało



minimalne ubezpieczenia (lub nie miało żadnych) od wypadków w pracy, bezrobocia oraz choroby, i niewielką lub żadną gwarancję emerytury. Następnie wojna znacząco zwiększyła konieczność zapewnienia przez państwo pomocy wdowom, sierotom, uchodźcom, a początkowo również dużej liczbie bezrobotnych. Istniała więc ogólna potrzeba stworzenia znacznie bardziej całościowego systemu zabezpieczeń społecznych, połączona z powszechnym przekonaniem, że niezbędne jest radykalne podniesienie poziomu bezpieczeństwa socjalnego i stworzenie lepszego i sprawiedliwszego społeczeństwa. Nie kierowano się przy tym wyłącznie altruizmem. Powszechnie zdawano sobie sprawę, że zapewnienie bezpieczeństwa socjalnego jest kluczowe dla zapewnienia nowoczesnej gospodarce wydajnej siły roboczej.

Plan Beveridge'a, który stał u podstaw dogłębnej reformy systemu zabezpieczeń społecznych, wprowadzonej przez rząd laburzystów, był powszechnie podziwiany poza granicami Wielkiej Brytanii. Szwecja także przyciągała uwagę opinii międzynarodowej dzięki skutecznemu rozszerzeniu narodowego systemu zabezpieczeń społecznych, opracowanego w latach 30. i opartego na zasadach równości. W 1946 roku kraj ten wprowadził państwową emeryturę w tej samej kwocie dla wszystkich, rok później zasiłek na dziecko, a w 1950 roku zaczął wprowadzać jednolity system szkolnictwa powszechnego. W kolejnych latach niemal wszystkie państwa zachodnioeuropejskie wprowadziły narodowe systemy, które różniły się od siebie w szczegółach, ale zapewniały szerokie ramy bezpieczeństwa społecznego swoim obywatelom, gwarantując minimalny materialny dobrostan wszystkim bez wyjątku. Do 1960 roku większość krajów wydawała od 10 do 20 procent produktu krajowego brutto na cele społeczne; tylko autorytarne Portugalia i Hiszpania przeznaczały na nie niespełna pięć procent.

Najprościej rzecz ujmując, ludzie, którzy płacili składki od swoich zarobków, albo przekazując je bezpośrednio do administrowanych przez państwo funduszy ubezpieczeniowych, albo poprzez ogólny system podatkowy, otrzymywali stosowne świadczenia zgodne z poniesionym wkładem. W ramach takich systemów byli prawnie chronieni przed najgorszymi skutkami bezrobocia,

inwalidztwa spowodowanego przez wypadki w pracy lub nędzy wynikającej ze starości. Z kolei opieka nad dziećmi wspomagana była za pomocą zasiłków rodzinnych. W 1970 roku przeważająca większość obywateli w Europie Zachodniej była objęta ubezpieczeniem zdrowotnym i systemem emerytalnym. Zasada, zgodnie z którą starsi, dzieci, chorzy i niepełnosprawni będą chronieni przez system zabezpieczeń społecznych, finansowany ze składek populacji pracującej, była kluczowa nie tylko dla ochrony najsłabszych, ale również dla utworzenia ram dla społeczeństwa, w którym silni pomagają słabym. Postęp w porównaniu z dekadą poprzedzającą wojnę był gigantyczny. Belgia w 1957 roku wydawała na bezpieczeństwo socjalne 12 razy więcej w przeliczeniu na głowę mieszkańca niż w 1930 roku, Włochy 11 razy więcej, Francja osiem, a Holandia pięć. Nawet te kraje, które już w latach 30. przeznaczały stosunkowo dużo na cele społeczne, teraz wydawały znacznie więcej – Szwecja sześć razy więcej, Szwajcaria cztery, Niemcy 2,5, Wielka Brytania – proporcjonalnie najhojniejszy płatnik w 1930 – o jedną trzecią więcej. Państwo opiekuńcze stało się wszędzie głównym – i wciąż rosnącym – elementem składowym wydatków budżetowych. Tak długo jak utrzymywał się wzrost gospodarczy i dochody podatkowe były trwałe, a oczekiwania dotyczące bezpieczeństwa socjalnego pozostawały stosunkowo skromne, państwo dobrobytu mogło kwitnąć jako szczytowe osiągnięcie powojennego społeczeństwa Europy Zachodniej.

W Europie za żelazną kurtyną system bezpieczeństwa socjalnego, który przed wojną przypominał ten zachodnioeuropejski, choć był od niego mniej rozwinięty, był teraz kształtowany przez ideologię komunistyczną, choć w praktyce nigdy go do końca nie zunifikowano. Państwo całkowicie kontrolowało opiekę socjalną. Nie było miejsca na prywatne systemy ubezpieczeniowe czy instytucje charytatywne, tak jak w Europie Zachodniej. Kryterium decydującym były gwarancje dla pracującej części społeczeństwa. Aksjomatem państwa opiekuńczego w wydaniu komunistycznym było pełne zatrudnienie. Nie było ubezpieczeń od bezrobocia, bo bezrobocie oficjalnie nie istniało. To sprawiało, że osoby traktowane jako nieproduktywne – emeryci, niepełnosprawni, gospodynie domowe – cieszyli się

niższym poziomem wsparcia niż ci, którzy pracowali. W gorszej sytuacji znajdowali się również wszyscy ci, którzy nie byli zatrudniani przez państwowe firmy. Zasada równości była zaś w praktyce osłabiana przez wyższe świadczenia, wypłacane rosnącej armii biurokratów i skorumpowanej elicie politycznej. Ale nawet wówczas, w porównaniu z wielkimi nierównościami i straszliwą nędzą, które panowały w Europie Wschodniej przed wojną, systemowi komunistycznemu epoki powojennej, mimo twardej państwowej kontroli i ograniczeń wolności osobistych, udało się poprawić stan bezpieczeństwa socjalnego przeważającej większości społeczeństwa.

## **Spółeczeństwo konsumpcyjne**

Koniunktura wytworzona przez „mieszana gospodarkę” – zrestrukturyzowany kapitalizm, w którym wolnorynkową konkurencję temperował rządowy interwencjonizm (zachodni Niemcy nazwali to „społeczną gospodarką rynkową”) – otworzyła drogę do głębokich zmian społecznych. Wyjątkowy wzrost gospodarczy stępił ostrza konfliktów klasowych, które prześladowały Europę przed wojną. Widmo masowego bezrobocia – plaga czasów wielkiego kryzysu – wydawało się bezpowrotnie należeć do przeszłości. Pełne zatrudnienie miało trwać w nieskończoność. Związki zawodowe przekształciły się z quasi-rewolucyjnych sił walki klas w dokooptowany element triady: rząd, kapitał, praca, której przedstawiciele w coraz większym stopniu zdominowali państwowe planowanie gospodarcze. Płace, zarówno nominalne, jak i realne – to jest przy uwzględnieniu względnej siły nabywczej – rosły. Zachodnioniemieccy pracownicy, korzystając z „cudu gospodarczego” w swoim kraju, odnotowali na przestrzeni lat 50. i 60. czterokrotny wzrost dochodów realnych. Był to przypadek ekstremalny, ale większość ludzi w całej Europie Zachodniej miała się zdecydowanie lepiej.

W większości krajów progresywny system podatkowy doprowadził do umiarkowanej redystrybucji dochodów. Udział dochodów 10 procent

najbogatszych obywateli został nieznacznie ograniczony (najbardziej wyraźnie w krajach skandynawskich, Finlandii i Wielkiej Brytanii), a grupy najgorzej uposażonej marginalnie wzrósł – choć oczywiście ogromne dysproporcje, zarówno w poziomie dochodów, jak i posiadanym majątku, utrzymały się. Jeżeli chodzi o dystrybucję bogactwa, to nierówności były jeszcze bardziej widoczne. W latach 50. najbogatszy jeden procent Brytyjczyków wciąż posiadał 45 procent majątku narodowego, w Szwecji zaś wskaźnik ten wynosił 33 procent, choć trend – tak długo, jak udawało się utrzymywać wysoki wzrost gospodarczy, a rządy prowadziły umiarkowaną redystrybucyjną politykę – był spadkowy, do 31 procent w Wielkiej Brytanii i 24 procent w Szwecji w latach 60. Dla innych krajów porównania statystyczne są niemożliwe, ale trudno się tu spodziewać większych różnic. W latach 60. jeden procent najbogatszych Szwajcarów posiadał 43 procent majątku narodowego. Na początku owej dekady w Niemczech Zachodnich 35 procent majątku znajdowało się w rękach 1,7 procent populacji. W Europie Wschodniej tak rażące dysproporcje w poziomie dochodów i majątku zostały skutecznie rozwiązane przez drakońskie wywłaszczenia, nawet jeżeli nowa polityczna elita była w stanie zakumulować znaczny majątek i przywileje, które przeczyły podstawowym zasadom komunizmu.

Ponieważ dobrobyt (choć z pewnością nie w tym samym stopniu dla wszystkich) obejmował coraz szersze kręgi społeczne, gospodarstwa domowe mogły wydawać mniejszą część swoich dochodów na najbardziej niezbędne potrzeby. Ludzie odkrywali, że zostają im dodatkowe pieniądze i, przynajmniej w Europie Zachodniej, mogą za nie kupić towary z szybko rosnącej oferty dóbr. Rodziło się nowoczesne społeczeństwo konsumpcyjne.

Europa – tak na zachodzie, jak i na wschodzie – była w 1950 roku biednym kontynentem. Mieszkania miały w większości niski standard, często nie było w nich ciepłej wody, łazienki czy znajdującej się wewnątrz toalety; rodziny mogły sobie pozwolić na niewiele luksusów; żywność była wciąż powszechnie racjonowana; większość mężczyzn nadal wykonywała ciężką pracę fizyczną. (Stosunkowo niewiele kobiet miało płatne zatrudnienie, choć wzorzec ten nie był

jednolity; przemysł włókienniczy, na przykład, choć w fazie schyłkowej, wciąż zatrudniał dużą liczbę kobiet). Boom konsumpcyjny, który stopniowo nabierał przyspieszenia, oddzielił Europę Zachodnią od wschodnich części kontynentu. Tam umiarkowanemu wzrostowi standardów życia towarzyszyły narzucane przez ideologiczne priorytety ograniczenia w dostępności różnorodnych artykułów domowych, których obecność miała się wkrótce stać na Zachodzie oczywista. Ujednolicone produkty, często kiepskiej jakości, były dostępne w niskich cenach. Jednak konsumpcyjny boom, którego Europa Zachodnia zaczynała doświadczać, był z ideologicznych przyczyn niemożliwy w zamkniętych gospodarkach Wschodu.

W Europie Zachodniej konsumeryzm sprawił, że ludzie mieszkający w różnych krajach zbliżyli się do siebie, jeżeli chodzi o styl życia, gusty i sposób spędzania wolnego czasu. Ułatwiła to rosnąca uniformizacja dóbr. Konsumeryzm sprzyjał masowej produkcji i standaryzacji towarów, która ograniczała koszty i cenę końcową dla nabywcy. Mniejszym producentom coraz trudniej było konkurować z wielkimi koncernami. Regionalne gusta i specyfiki coraz bardziej się zamazywały. Supermarkety, nowe zjawisko, którego dominacja zaczęła się dopiero w latach 70., mogły kupować masowo (i dzięki temu wymuszać niższe ceny od dostawców) i oferowały szeroką gamę produktów, wypierając małe sklepy. Jednocześnie produkcja żywności rosła tak szybko, że w ciągu kilku lat nadwyżki zaczęły się akumulować. Wydatki gospodarstw domowych nie były już zdominowane przez najpotrzebniejsze produkty. Coraz mniej trzeba było wydawać na jedzenie (choć odsetek ten wciąż był znacznie wyższy w Europie Wschodniej niż na Zachodzie). Problem niedożywienia odszedł do przeszłości. Coraz częściej zastępowała go nowa forma złej diety: nadmiar cukru i tłuszczów. Nową gałęzią gospodarki stała się reklama, dobrze przygotowana do wykorzystywania rynku dla szerokiej gamy produktów konsumenckich. Sukces Coca-Coli w całej Europie Zachodniej to tylko jeden z przykładów wpływu nowych technik marketingowych. Firmy tytoniowe wykorzystywały wszechobecne reklamy międzynarodowe do

promowania swoich produktów, z których poważnej szkodliwości dla zdrowia dopiero zaczęto zdawać sobie sprawę.

Wraz z dobrą koniunkturą przyszły lepsze i tańsze warunki mieszkaniowe, wspierane państwowymi dotacjami. W latach 50. liczba wybudowanych domów podwoiła się. Jakość była pierwotnie niska. Biorąc pod uwagę desperacki głód mieszkaniowy w pierwszych latach powojennych, liczyła się przede wszystkim ilość. Nowe miejsca zamieszkania (domy i mieszkania) były stawiane w tempie blisko pół miliona rocznie w Niemczech Zachodnich, 400 000 rocznie we Włoszech i we Francji, i niemal na tym samym poziomie w Wielkiej Brytanii. Praktycznie wszystkie budynki w północno-zachodniej Europie były teraz wyposażone w elektryczność i bieżącą wodę. Jednocześnie jednak jeszcze w latach 60. tylko połowa gospodarstw domowych w Portugalii, Grecji i krajach bałkańskich miała dostęp do elektryczności. Państwa zazwyczaj wydawały na budownictwo 6–7 procent produktu narodowego brutto. Warunki bytowe poprawiały się – mieszkania były bardziej przestronne, mniej zatłoczone, wygodniejsze, coraz częściej miały łazienkę i toaletę w środku, a nie na podwórzu. Co znaczyło to dla osobistej godności, obrazowo opisał w 1969 roku pewien włoski chłop, który mieszkał na południe od Rzymu. Posiadanie toalety w domu i brak konieczności chodzenia za potrzebą na dwór, powiedział, sprawiło, że „czuje się jak człowiek, jak inni ludzie, a nie jak zwierzę, tak jak dotychczas”.

Na początku lat 60. z wielkich miast zniknęły slumsy. Urbaniści dostrzegli nowe możliwości przeprojektowania miast i miasteczek, z których wiele zostało poważnie zniszczonych podczas wojny, by dostosować je do rosnącej siły roboczej i szybko nasilającego się ruchu drogowego. Rozrastały się przedmieścia, budowano nowe trasy przelotowe, czasami miasta tworzone od zera. Niektórzy planiści byli wręcz opętani chęcią zerwania ze starym i modernizowania tak szybko, jak to możliwe. Efektem były często tandetne architektoniczne projekty mieszkaniowe, które w niektórych miastach szybko degenerowały się w nowe slumsy i padały ofiarą wandalizmu. Priorytety przemysłowe owocowały urbanistycznymi koszmarami nie tylko w Europie Wschodniej (gdzie w latach 50. powstało 40

nowych miast, budowanych wedle zasad socrealizmu, w tym Nowa Huta i Eisenhüttenstadt w Niemieckiej Republice Demokratycznej). Na szczęście ocalało nietknięte przez wojnę historyczne centrum Pragi, a całkowicie zniszczone starówki Warszawy i Gdańska zostały z pietyzmem odbudowane.

Schematy zatrudnienia zaczęły się zmieniać. Ogólnie rzecz ujmując, godziny pracy zostały skrócone (zostawiając więcej czasu na odpoczynek); liczba pracujących w rolnictwie gwałtownie spadła, podobnie jak, choć w nieco mniejszym tempie, liczba ciężko pracujących pracowników przemysłowych. Szybko natomiast rozwijał się „trzeci sektor”, czyli usługi. Do 1960 roku na rynek pracy weszło też dużo więcej kobiet. W 1970 blisko jedną trzecią pracowników w Europie Zachodniej stanowiły kobiety; najlepszy wynik osiągnęła Dania, gdzie odsetek ten wynosił blisko dwie piąte. Jednak około jedna trzecia zatrudnionych kobiet wykonywała prace tylko w niepełnym wymiarze. Jedynie kraje skandynawskie i Finlandia zbliżyły się w latach 60. do poziomu zatrudnienia kobiet w krajach komunistycznych Europy Wschodniej, szczególnie w Polsce i Niemieckiej Republice Demokratycznej. Z kolei w bloku wschodnim praca na niepełny etat niemal nie istniała, zarówno dla kobiet, jak i dla mężczyzn.

W 1950 roku niewielu ludzi miało samochody, turystyka była wciąż przywilejem bogatych, a elementy wyposażenia domu, które późniejsze pokolenia uznawały za oczywiste – telefony, pralki, lodówki, telewizory – należały do rzadkości. W latach 50. rozprzestrzenianie się dobrobytu zaczęło sprawiać, że dobra te znalazły się w zasięgu zwykłych rodzin i, za sprawą trwałego wzrostu gospodarczego i szybkiego rozwoju technologicznego – na przykład w dziedzinie elektroniki – ich dostępność rosła w kolejnej dekadzie. Pod koniec lat 50. dzieci powojennego „baby boomu”, które prawie wcale lub w ogóle nie doświadczyły wcześniejszych, dotkliwych niedoborów, zaczęły wchodzić w wiek nastoletni. Większość z nich szybko zaczęła pracować i formułować własne wymagania konsumenckie, przyczyniając się do szybkiego rozwoju, dla przykładu, przemysłu odzieżowego i płytowego. Jednocześnie nawet najmniej zamożne grupy społeczne – imigranci ekonomiczni, którzy przyjeżdżali do szybko rozwijających

się miast, oraz imigranci z dawnych kolonii zamorskich lub „pracownicy gościnni” – zarabiali dość, by przyczynić się do (i skorzystać z) rozwoju boomu konsumenckiego.

Wydatki na sprzęt gospodarstwa domowego rosły szybciej niż jakikolwiek inny segment budżetu domowego. Lodówka i pralka stawały się coraz częstszym elementem w gospodarstwach domowych klasy średniej, a w ciągu dwóch dekad, gdy ich ceny spadły, stały się dostępne również dla rodzin robotniczych. Na początku lat 70. większość gospodarstw domowych miała lodówkę i po raz pierwszy mogła kupować więcej jedzenia do przechowywania i późniejszego wykorzystania. Dwie trzecie rodzin miało już wówczas pralkę, co uwalniało przede wszystkim kobiety od znaczącego elementu domowej harówki. Ważnym symbolem statusu w latach 50. było posiadanie telewizora. Liderem w tej branży była Wielka Brytania, ale kiedy w 1946 roku uruchomiano tam telewizję w okresie powojennym, miała ona tylko 1760 abonentów. W połowie lat 60. w Wielkiej Brytanii było już 13 milionów odbiorników telewizyjnych, w Niemczech Zachodnich prawie 10 milionów, pięć milionów we Francji i we Włoszech i około dwa miliony w Holandii i Szwecji. Pod koniec dekady prawie każde gospodarstwo domowe w Europie Zachodniej miało telewizor. Z punktu widzenia rodzinnej rozrywki telewizja zastąpiła radio. Jednak wynalezienie małego odbiornika tranzystorowego i jego tania, masowa produkcja w latach 60. oznaczały, że posiadanie radia stało się dostępne niemal dla wszystkich, a dla większości nastolatków stało się medium podstawowego wyboru. Słuchanie radia zmieniło się z rodzinnej w indywidualną formę rozrywki.

Symbolem nowej epoki bardziej niż cokolwiek innego było posiadanie samochodu. Z luksusu dostępnego tylko nielicznym, samochód stał się produktem masowym, na który mogły sobie pozwolić nawet rodziny o stosunkowo skromnych dochodach. W 1950 roku Wielka Brytania miała proporcjonalnie najwięcej samochodów osobowych (42 na każdy 1000 mieszkańców) ze wszystkich krajów europejskich. Na dole tabeli zachodnioeuropejskiej znajdowała się w tym czasie Hiszpania (trzy samochody na 1000 mieszkańców), pozostająca na poziomie



zbliżonym do Polski i Węgier. W 1970 roku Wielka Brytania została prześcignięta, jeżeli chodzi o posiadanie samochodów mierzone w ten sposób, przez Francję, Belgię, Niemcy Zachodnie, Szwecję i Danię, niedaleko w tyle pozostawały zaś Włochy, Holandia i Norwegia. Wśród krajów Europy Zachodniej wciąż najgorzej prezentowała się Hiszpania, niewiele wyprzedzając Polskę i Czechosłowację.

Rozwój przemysłu samochodowego po 1950 roku był oszałamiający. Hitler w latach 30. obiecywał Niemcom „samochód dla ludu” (*Volkswagen*). Ale dopiero w latach 50. ten volkswagen mógł się stać symbolem niemieckiego „cudu gospodarczego”. Ostatecznie to za czasów skutecznie funkcjonującej demokracji, a nie niebezpiecznej dyktatury, samochód stał się dostępny dla większości społeczeństwa. W latach 60. Niemcy Zachodnie były największym producentem samochodów w Europie, wytwarzając blisko trzy miliony aut osobowych rocznie i eksportując około milion z nich. Jednocześnie udział Volkswagena w rynku kurczył się za sprawą konkurencji, szczególnie ze strony Fiata i Renault, bo włoski i francuski przemysł samochodowy także rozkwitały, próbując zaspokoić rosnący szybko popyt. Podczas gdy jeszcze pod koniec lat 50. dla chłopów ze środkowych Włoch głównym środkiem transportu pozostawały osły, dekadę później wielu z nich jeździło już własnymi fiatami. Z najważniejszych państw uprzemysłowionych tylko Wielka Brytania zdołała, za sprawą braku innowacji i inwestycji i nie bez udziału opornych związków zawodowych, doprowadzić swój niegdyś kwitnący przemysł motoryzacyjny do niemal całkowitego upadku. Tylko niezwykle innowacyjny w swoich pierwszych latach mini, a w luksusowym segmencie rynku rolls-royce, bentley, jaguar i aston martin zdołały umknąć temu ogólnemu trendowi spadkowemu. Brytyjskie samochody zapracowały sobie bowiem na kiepską reputację z powodu zawodności i braku stylu. Do 1965 roku liczba posiadaczy samochodów gwałtownie wzrosła – we Francji było ich prawie 10 milionów (wobec 1,5 miliona w 1948 roku), dziewięć milionów w Niemczech Zachodnich (wobec 0,2 miliona w 1948 roku), dziewięć milionów w Wielkiej Brytanii (wobec dwóch milionów w 1948 roku) i 5,4 miliona we Włoszech (wobec 0,2 miliona w 1948 roku).

Znaczący wzrost liczby posiadaczy samochodów przyczynił się do ogromnego rozwoju turystyki. Dostępne stały się również loty czarterowe i wakacje pakietowe, po raz pierwszy otwierając możliwość turystyki zagranicznej za stosunkowo umiarkowaną cenę dla rynku masowego. Przed wojną turystyka zagraniczna była przywilejem bogatych. Teraz stała się dostępna dla wszystkich. Do połowy lat 50. europejskie granice przekroczyło 30 milionów turystów. Dekadę później liczba ta wzrosła trzykrotnie. Korki na głównych trasach turystycznych każdego lata, tłumy na dworcach i lotniskach od tego czasu aż po dziś dzień na dobre wpisały się w europejski kalendarz. Turystyka zaczęła ratować zacofaną gospodarkę Hiszpanii, która wciąż nie mogła wygrzebać się z kryzysu po latach dyktatury generała Franco. Do końca lat 60. Hiszpanię odwiedziło 17 milionów zagranicznych turystów, zasilając państwową kasę jakże potrzebną sumą 1,5 miliarda dolarów (około 40 procent całości jej dochodów zagranicznych). Największym magnesem turystycznym w Europie były Włochy z 27 milionami odwiedzających; plasowały się one przed Francją z 12 milionami, i Szwajcarią, Niemcami i Austrią z około siedmioma milionami gości. Oczywiście nie wszyscy jeździli za granicę. Kwitła również turystyka krajowa. Pojawiła się w pełni ukształtowana branża turystyczna, z hotelami, polami namiotowymi, producentami kamperów i tysiącami innych firm, które zarabiała, działając w regionach nadmorskich.

Stosunkowo niewielu turystów jeździło do Europy Wschodniej, która także pod tym względem była odcięta od napływu zachodnich środków. Zachodnich turystów zaczęło przyciągać dalmatyńskie wybrzeże Jugosławii, stopniowo zaczęli oni również docierać na Węgry i do Czechosłowacji. W większości jednak blok sowiecki musiał polegać na własnych turystach, którzy mieli do wydania relatywnie mało w porównaniu ze swoimi zachodnimi odpowiednikami, a dodatkowo mieli ograniczoną swobodę poruszania się.

Wraz z rozwojem turystyki, czy też szerzej, konsumpcjonizmu, zaczęły się zacierać różnice pomiędzy krajami Europy Zachodniej. Podróże pozwalały ludziom – w tym wielu przedstawicielom młodszych generacji – poznawać inne kultury, obyczaje, potrawy i style życia. Zawiązywano partnerstwa pomiędzy

„miastami siostrzanymi” w różnych krajach, co owocowało organizowaniem corocznych wzajemnych wizyt. Często dochodziło do wymiany uczniów lub studentów. Więcej ludzi uczyło się języków obcych. Niektórzy utrzymywali korespondencyjne przyjaźnie w innych krajach. Łatwość, z jaką młodzi ludzie mogli podróżować za granicę, ułatwiała przełamywanie barier, które pokoleniu ich rodziców wydawały się nieprzekraczalne. Młodzi Europejczycy, bez względu na kraj pochodzenia, często mieli podobne upodobania w dziedzinie muzyki, mody czy sposobów spędzania wolnego czasu. Europejskie granice znaczyły coraz mniej. Coraz mniej było też niewiedzy, tego niezbędnego warunku dla uprzedzeń. Wszystko to stanowiło część daleko idącej transformacji norm kulturowych, która rozpoczęła się powoli w latach 50., ale prawdziwego tempa nabrała w kolejnej, bardzo żywiołowej dekadzie.

## **Kroki w kierunku integracji**

Imponująca odbudowa Europy Zachodniej z wojennych zgliszczy w tak krótkim czasie i przejście od zaciskania pasa do dobrobytu „złotego wieku” przyniosły pierwsze, ostrożne kroki zmierzające do integracji. Każdy krok w długiej, krętej i niekończącej się podróży ku europejskiej unii okazywał się wyzwaniem. Trzeba było omijać wyboje, przeskakiwać przeszkody, wytyczać objazdy. Przed wszystkim jednak od samego początku wszelkie podejmowane kroki, wpięrow drobne, niosły ze sobą oczywistą trudność, jak pogodzić ponadnarodową organizację, niezbędną dla choćby ograniczonej współpracy gospodarczej, z niechęcią państw narodowych do wyzbywania się swojej suwerenności.

Integracja Europy Zachodniej była od samego początku projektem w równej mierze politycznym, co ekonomicznym. Potrzeba przewyciężenia zgubnego gospodarczego protekcjonizmu narodowego z okresu międzywojnia i ekstremalnego nacjonalizmu, który doprowadził do katastrofy drugiej wojny światowej, była wyczuwana przez wszystkie strony. To ogólne przekonanie można

było przekuć w pierwsze praktyczne, choć dość skromne kroki w kierunku integracji, dzięki trzem czynnikom: obawom strategicznym, interesom narodowym i dalekowzrocznemu idealizmowi.

Nawet w najmroczniejszych dniach wojny niewielka grupa idealistów, z których niektórzy brali udział w ruchu oporu, rozważała pewne formy zjednoczenia Europy i po wojnie tego typu pomysły natychmiast trafiły na podatny grunt. Do grupy tej należał Winston Churchill, który w słynnym przemówieniu wygłoszonym w Zurychu w 1946 roku opowiedział się za jednością rozbitego kontynentu, mówiąc o przyszłych „Stanach Zjednoczonych Europy” (choć bez udziału Wielkiej Brytanii). W maju 1948 roku w Hadze 750 delegatów z 16 państw europejskich (którym towarzyszyli obserwatorzy ze Stanów Zjednoczonych i Kanady) wzięło udział w Kongresie Europy, na którym głoszone idee współpracy europejskiej. Niektórzy delegaci wzywali nawet do politycznej, gospodarczej i monetarnej unii, choć bez widocznych rezultatów.

Kilka znaczących ruchów w kierunku europejskiej współpracy politycznej i ekonomicznej miało miejsce pod koniec lat 40., choć bez wielkiego postępu w kwestii integracji, na której zależało idealistom. Podstawę ku temu dał początek zimnej wojny. O ile pierwotnym impulsem była potrzeba ochrony przed wszelką możliwością odrodzenia się zagrożenia ze strony Niemiec, to szybko przeobraził się on w mechanizm obrony przeciwko nowej groźbie, której zaczęto upatrywać w Związku Radzieckim. Wciąż wymierzony w Niemcy traktat brukselski z 1948 roku przewidywał współpracę wojskową Wielkiej Brytanii, Francji i krajów Beneluksu, choć znalazły się w nim także punkty dotyczące współpracy ekonomicznej, społecznej i kulturalnej. W 1949 roku Stalin był już postrzegany jako oczywiste zagrożenie, a rozszerzenie zachodnioeuropejskich umów obronnych na Stany Zjednoczone zaowocowało powstaniem NATO.

W dziedzinie ekonomii potrzeba rozdzielenia pomocy, napływającej dzięki planowi Marshalla w ramach Programu Odbudowy Europy z 1947 roku, doprowadziła w roku kolejnym do utworzenia przez 16 państw europejskich i zachodnie strefy okupacyjne Niemiec Organizacji Europejskiej Współpracy

Gospodarczej (OEWG), która pomogła wypromować ideę współzależności systemów gospodarczych. (W 1961 roku przekształciła się ona w Organizację Współpracy Gospodarczej i Rozwoju, obejmującą obecnie również liczne państwa spoza Europy). W 1949 roku powstanie Rady Europy stworzyło kolejne ramy dla współpracy na kilku polach, z których najważniejsze były kwestie prawne. To z nich w roku 1950 narodziła się kluczowa Europejska konwencja o ochronie praw człowieka i podstawowych wolności. Przynajmniej w Radzie Europy poczuciu  *europejskich*, a nie tylko narodowych wartości nadano instytucjonalną formę. Do integracji było jednak jeszcze daleko. Żadne z tych wydarzeń, bez względu na to, jak by nie były pożądane, nie wykraczało poza różne poziomy współpracy. Żadne nie przekraczało, poprzez stworzenie ciał ponadnarodowych, prerogatyw państw narodowych. W istocie na każdym kroku podkreślano suwerenność państw narodowych. Stany Zjednoczone mocno wspierały ideę zintegrowanej, zjednoczonej Europy, widząc w niej bufor przeciwko sowieckiemu komunizmowi, i postrzegały plan Marshalla jako znaczący krok w tym kierunku. Jednak niewzruszona odmowa Wielkiej Brytanii, by mieć cokolwiek wspólnego z integracją europejskich gospodarek, nie mówiąc już o oddaniu choćby części suwerenności politycznej czy prawnej, okazała się nieusuwalną przeszkodą na drodze do tego celu.

Gdy zimna wojna uległa zaostrzeniu w latach 1947–1949, i to Związek Radziecki, a nie rewanżystowskie Niemcy, okazał się zagrożeniem dla europejskiego pokoju, amerykańskie priorytety strategiczne wymusiły na Francji zmianę jej polityki zagranicznej. Ożywiona gospodarka Niemiec Zachodnich stała się kluczowa dla odbudowy Europy, a szybkie kroki podejmowane w latach 1948–1949 w celu utworzenia Niemieckiej Republiki Federalnej pokazywały, jak ważna jest rola nowego państwa dla bezpieczeństwa Europy Zachodniej, dla której miało być ono buforem przeciwko ZSRR. By uzyskać poparcie dla utworzenia nowych Niemiec Zachodnich od wciąż nieufnych Francuzów, którzy ze zrozumiałych względów bardziej niż ktokolwiek inny niepokoił się o bezpieczeństwo swojego

kraju, kontrola nad produkcją węgla i stali w Zagłębiu Ruhry została w 1949 roku przekazana Międzynarodowemu Zarządowi Zagłębia Ruhry.

W radzie tej zasiadali przedstawiciele Francji, krajów Beneluksu, Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych i Niemiec Zachodnich (choć ci ostatni mogli głosować tylko za zgodą aliantów). Zachodnim Niemcom, co oczywiste, bardzo doskwierała aliancka kontrola nad ich produkcją przemysłową. W czasie gdy wojna koreańska mocno zwiększyła popyt na stal, Międzynarodowy Zarząd nie działał dobrze i w maju 1952 roku został rozwiązany. Zastąpiła go nowa organizacja, Europejska Wspólnota Węgla i Stali, która wykorzystywała kwestię kontroli produkcji tych surowców do stworzenia załączka szerszej integracji europejskiej. Korzenie wspólnoty sięgają dwóch lat wcześniej, czyli wystąpienia francuskiego ministra spraw zagranicznych, Roberta Schumana, ogłoszonego 9 maja 1950 roku. W jego propozycji pragmatyczny interes narodowy i strategiczne priorytety – rozwój francuskiego przemysłu stalowego i zwiększenie jego konkurencyjności w Europie Zachodniej – mieszały się z wizjonerskim idealizmem. Był to milowy krok na burzliwej drodze ku europejskiej integracji.

Schuman zaproponował nowy, ambitny, ponadnarodowy plan, który miał „stać się pierwszą konkretną podstawą Federacji Europejskiej, niezbędnej do zachowania pokoju”. Schuman twierdził, że „zgromadzenie narodów europejskich” – czyli ostateczny cel – będzie mogło powstać jedynie wtedy, gdy na początku wyeliminuje się odwieczną wrogość Francji i Niemiec. Wspólną produkcję węgla i stali uważał za dobry początek. Jednak techniczne kwestie z tym związane były jedynie częścią znacznie szerszej wizji. Nie zamykał innym krajom możliwości dołączenia do wspólnego rynku, który mógłby się rozszerzyć na inne obszary produkcji i promować europejską prosperitę i pokojową koegzystencję.

Idee prezentowane przez Schumana zrodziły się przede wszystkim w głowie jego rodaka, Jeana Monneta, szefa Francuskiej Komisji Planowania, byłego bankiera i biznesmena, z którego usług korzystał zarówno rząd Chin (w latach 30.), jak i administracja amerykańska (podczas wojny) i który później odegrał jedną z głównych ról we wczesnej fazie powojennej odbudowy Francji. Monnet zapewnił

większość idealistycznej podbudowy dla tego, co później nazwano „planem Schumana”. Monnet był długoletnim, zdeklarowanym federalistą. Przewidywał demokratyczną, ponadnarodową federację, która przybierałaby kształt stopniowo, przyrostowo i w dłuższym okresie poprzez proces nieustannych reform. Już w październiku 1943 roku w Algierze, jako członek Francuskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, kierowanego przez Charlesa de Gaulle’a (którego autokratyczne tendencje niepokoiły Monneta) i będącego faktycznym francuskim rządem na wygnaniu, Monnet deklarował, że przyszły rozwój społeczny i pomyślność Europy będą wymagały kontynentu zjednoczonego przez wolny handel. W 1944 roku mówił o konieczności odbudowy powojennej Europy poprzez „prawdziwe poddanie suwerenności jakiemuś rodzajowi centralnej unii” oraz europejski rynek bez barier celnych w celu zapobieżenia wszelkiemu odrodzeniu nacjonalizmu. Miał nadzieję, że temu procesowi będą przewodzić Wielka Brytania i Francja, choć zdecydowanie wątpił, czy Brytyjczycy będą skłonni w nim uczestniczyć. Cztery lata później, pisząc do Schumana podczas wizyty w Waszyngtonie, Monnet wyrażał „głęboko zakorzenione przekonanie”, na temat tego, co jest potrzebne, by scementować europejskie stosunki ze Stanami Zjednoczonymi i przeciwdziałać niebezpieczeństwu grożącemu Zachodowi: „Wysiłki krajów Europy Zachodniej muszą stać się wysiłkiem prawdziwie europejskim. I tylko *Federacja Zachodnia* jest w stanie to osiągnąć”. Monnet nie uważał jednak wcale, że dzielona suwerenność miałaby zachwiać pozycją Francji. Wręcz przeciwnie: Monnet widział w integracji europejskiej narzędzie do przywrócenia politycznej i ekonomicznej dominacji Francji w kontynentalnej Europie. Po wojnie stawiał interesy Francji na pierwszym miejscu, proponując, by jego kraj przejął kluczowe niemieckie złoża węgla w Zagłębiu Saary i jeszcze ważniejsze z punktu widzenia węgla i stali Zagłębie Ruhry. Miałyby to znacząco wzmocnić francuską gospodarkę, trwale osłabiając przy tym Niemcy.

Za niekwestionowanym idealizmem stały zatem pragmatyczne interesy narodowe. Kluczową determinantą – która okazała się trwałą podstawą Wspólnoty Europejskiej (a później Unii Europejskiej) – były stosunki pomiędzy Francją

i Niemcami. Francuskim priorytetem było zintegrowanie Niemiec Zachodnich w europejskiej strukturze pod francuską kontrolą, zanim zdołałyby one odzyskać jakiegokolwiek poważne znaczenie, a jednocześnie wzmocnienie francuskiej kontroli nad produkcją i dystrybucją najważniejszych zasobów przemysłowych, czyli węgla i stali z Ruhry (uwolnionej przy okazji spod brytyjskiej kontroli). Niemcy Zachodnie, główny partner, także miały jawny interes narodowy w integracji. Kanclerz Konrad Adenauer chciał związać Republikę Federalną ekonomicznie, politycznie i strategicznie z Zachodem, zarówno w roli bufora przed sowieckim komunizmem, jak i jako platformę do uzyskania pełnej terytorialnej suwerenności tak szybko, jak to będzie możliwe. Dla Niemiec Zachodnich była to szansa na zniesienie alianckiej kontroli nad produkcją węgla i stali w Zagłębiu Ruhry, zapobieżenie wszelkim dalszym zamiarom rozmontowania infrastruktury przemysłowej, ustanowienie stosunków Niemiec z innymi państwami na równych prawach i ostatecznie przywrócenie ważnego okręgu Saary (który od 1947 roku był „protektoratem” pod francuską okupacją) w granice Niemiec (co ostatecznie dokonało się po plebiscycie w 1955 roku). Krajów Beneluksu (Belgii, Holandii i Luksemburga), które faktycznie zniosły cła i ustaliły wspólne taryfy zewnętrzne już w 1948 roku, nie trzeba było przekonywać do narodowych korzyści płynących z rozszerzenia rynków i liberalizacji handlu, które były bezpośrednią konsekwencją propozycji Schumanna. Alcide De Gasperi, premier Włoch i kolejny europejski idealista, dostrzegł szansę na przełamanie wieloletniej gospodarczej słabości i zacofania swojego kraju (szczególnie na południu zwanym Mezzogiorno). Włochy były najbiedniejszym z sześciu państw tworzących nową organizację, ale De Gasperi przewidywał korzyści, które mogło przynieść zerwanie z tradycyjnym protekcjonizmem pomimo silnej opozycji ze strony krajowych producentów stali. Miał rację. Do 1961 roku włoski „cud gospodarczy” zmienił kraj z ekonomicznego zaścianka w jedno z najbardziej uprzemysłowionych państw Europy.

Wprowadzenie w życie planu Schumana napotkało wewnętrzny sprzeciw. Najmocniejszy był on w Niemczech Zachodnich, gdzie socjaldemokraci uznali integrację ich kraju z Europą Zachodnią za przeszkodę dla upragnionego



zjednoczenia, i we Francji, gdzie protestowali gaulliści (ze względu na to, że plan ograniczał narodową suwerenność) i komuniści (którzy mówili o „kapitalistycznym klubie”). Mimo to Europejska Wspólnota Węgla i Stali, ograniczona do sześciu państw, została powołana do życia traktatem podpisanym 18 kwietnia 1951 roku, który wszedł w życie 23 lipca 1952 roku. Podporządkowywał on ważne branże węgla i stali Francji, Niemiec Zachodnich, Włoch, Holandii, Belgii i Luksemburga jednej „Wysokiej Władzy”. Dla Jeana Monneta był to „pierwszy wyraz rodzącej się Europy”. Wielka Brytania, wciąż przekonana o swojej dominacji w dziedzinie produkcji stali i węgla, nie chciała poddawać się jakiegokolwiek ponadnarodowej władzy, więc odrzuciła zaproszenie.

Wysoka Władza, składająca się z dziewięciu przedstawicieli ze wszystkich państw członkowskich, była organem decyzyjnym. Miała wprowadzać program zmierzający do zniesienia ceł i ustanowienia wspólnego rynku (początkowo na węgiel i stal, choć później miał on zostać rozszerzony na inne sfery). Jej uprawnienia były zabezpieczone przez „Specjalną Radę Ministrów”, powołaną z rządów narodowych, by zagwarantować uwzględnianie interesów narodowych. Powołano również Trybunał Sprawiedliwości, który miał rozstrzygać wszelkie spory wynikające z działań Wysokiej Władzy. Wysoką Władzę celowo jednak pomyślano jako instytucję odgórną. Nie towarzyszyło jej ciało ustawodawcze ani parlament z prawdziwego zdarzenia. Zgromadzenie, którego delegaci byli powoływani z parlamentów narodowych, miało uprawnienia jedynie nadzorcze, a nie legislacyjne. W praktyce Zgromadzenie nie próbowało wcale ograniczać Wysokiej Władzy i popierało jej działania zmierzające do ponadnarodowego kierowania gospodarką. Postęp w tej kwestii nie był szybki, wstrzymywał go bowiem narodowy protekcjonizm stosowany przez Belgów, Włochów, o Francuzach nie wspominając. Jednak stopniowo bariery handlowe zaczęły być eliminowane. W kwestii szerszej politycznej integracji, przewidzianej przez Schumana, osiągnięto za to niewiele poza rosnącą świadomością, że zarządzanie coraz bardziej powiązanych ze sobą gospodarkami koniecznie wymaga instytucji i praw, mających pośrednie, jeżeli nie bezpośrednie, konsekwencje polityczne.

W połowie lat 50. następował już pewien realny, nawet jeżeli powolny, postęp w dziedzinie integracji gospodarczej. Politycznie jednak europejski projekt nakreślony przez Monneta i Schumana stanął w miejscu. Wynikało to głównie z porażki Europejskiej Wspólnoty Obronnej, projektu, który Francuzi (mając nadzieję na powstrzymanie ponownego uzbrojenia Niemiec) zaproponowali w 1952 roku, tylko po to, by samemu odrzucić go w 1954. Integracja europejskiej obronności wiązała się z koniecznością prowadzenia wspólnej polityki zagranicznej. Niezdolność do stworzenia europejskiej armii, wspierającej ją polityki zagranicznej oraz rozwiązań instytucjonalnych, które musiałyby się w nieunikniony sposób pojawić później, sprawiły, że projekt, któremu nadano już nawet nazwę – Europejska Wspólnota Polityczna – umarł, zanim zdążył się na dobre narodzić. Niefortunna Europejska Wspólnota Obronna była przykładem próby biegu przed opanowaniem chodzenia. Wymagano po prostu zbyt wiele od państw narodowych o silnych tradycjach militarnych, takich jak Francja (oraz Wielka Brytania, co do której początkowo także miano nadzieję, że przystąpi do projektu), licząc, że tak szybko oddadzą jeden z podstawowych atrybutów swojej suwerenności na rzecz nieznaną i niesprawdzonej ponadnarodowej instytucji. Nie ma co ukrywać, że był to potężny cios dla tych, którzy liczyli na nieskrępowany postęp integracji europejskiej.

Europejska Wspólnota Węgla i Stali istniała formalnie aż do 2002 roku, czyli do chwili wygaśnięcia traktatu paryskiego, który powoływał ją do życia. To była powolna śmierć, zauważona przez niewielu. W rzeczywistości organizacja ta straciła swoją dynamikę po upadku Europejskiej Wspólnoty Obronnej. Dowodem na jej coraz mniejsze znaczenie był fakt, że jej główny twórca, Jean Monnet, nie zdecydował się ubiegać o reelekcję na stanowisko szefa Wysokiej Władzy. Europa Zachodnia wydawała się cofać na drodze ku integracji, zamiast kroczyć do przodu. Remilitaryzacja Niemiec Zachodnich, awantura sueska, w której Wielka Brytania i Francja zachowały się jak dawne mocarstwa imperialistyczne, wydawały się głównymi przeszkodami dla znalezienia jakiegokolwiek wspólnego celu dla państw europejskich. Co ciekawe jednak, Suez, oczywista dominacja dwóch

zimnowojennych potęg, a także rosnący w siłę ruch antykolonialny w Afryce i Azji były tak czytelnymi sygnałami spadającego statusu międzynarodowego europejskich państw narodowych, że jedyny obszar, w którym mogły one wyraźnie skorzystać na bliższej integracji zamiast kroczenia osobnymi, narodowymi ścieżkami – gospodarka – zyskał nową dynamikę. Po kryzysie sueskim, podczas którego angielsko-francuska inwazja załamała się, gdy tylko Amerykanie zagrozili Wielkiej Brytanii poważnymi reperkusjami finansowymi, premier Francji, Guy Mollet, otworzył się na argument Adenauera, że jedyną przeciwwagę dla amerykańskiej dominacji można znaleźć w europejskiej jedności. Mollet i Adenauer pokonali następnie opór we własnych rządach i osiągnęli porozumienie w sprawie swobodnego przepływu dóbr pomiędzy rynkiem niemieckim i francuskim. Był to sworzeń szerszego porozumienia, które zaczęło przybierać kształt przy okazji budowania wspólnego rynku przez sześć krajów „małej Europy”, tworzących Europejską Wspólnotę Węgla i Stali.

Mimo politycznych problemów, z którymi zmagala się Europa Zachodnia na początku lat 50., gospodarka poszczególnych krajów kwitła. Sukces Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali w dziedzinie gospodarczej, nawet jeżeli ograniczony, i nieporęczne ramy wcześniejszej Organizacji Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej wskazywały drogę ku nowym inicjatywom, w szczególności jeżeli chodzi o tworzenie wspólnego rynku dla europejskiego handlu. Monnet, choć nie kierował już Wysoką Władzą, odegrał znaczącą rolę w promowaniu tej idei. Jednak kluczową osobą w przeprowadzeniu tego procesu okazał się były socjalistyczny premier Belgii i przewodniczący Zgromadzenia Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali, Paul-Henri Spaak.

Wielka Brytania nie chciała mieć nic wspólnego z propozycją wspólnego rynku. Z kolei kraje skandynawskie na własną rękę zacieśniły współpracę, tworząc w 1952 roku Radę Nordycką. Początkowo więc kroki zmierzające do bliższej europejskiej integracji były ograniczone do sześciu pierwotnych członków Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali. Ich ministrowie spraw zagranicznych spotkali się w 1955 roku w Mesynie, by promować „nowy impuls w kierunku

budowania Europy”. Jeżeli chodzi o konkrety, to zaproponowano utworzenie unii celnej prowadzącej do powstania wspólnego rynku oraz zintegrowaną politykę w dziedzinie energii atomowej. Po Mesynie postęp nastąpił zaskakująco szybko, aż w końcu w marcu 1957 roku w Rzymie premierzy sześciu państw podpisali dwa traktaty, tworząc Europejską Wspólnotę Gospodarczą (EWG) i Europejską Wspólnotę Energii Atomowej (Euratom). Trzy lata wcześniej, po nieudanej próbie stworzenia Europejskiej Wspólnoty Obronnej, integracja europejska wydawała się brnąć w ślepią uliczkę. W 1957 roku szła już pełną parą. Jak sugerowała nazwa instytucji, priorytetem była integracja gospodarcza. Miał to być jednak tylko początek, nie koniec. Długoterminowy cel został zawarty w samych traktatach rzymskich: było nim „stworzenie podstaw dla coraz ściślejszego związku pomiędzy narodami Europy”.

Krótko- i średnioterminowe cele traktatów, które weszły w życie 1 stycznia 1958 roku, były wystarczająco ambitne. Chodziło o skonsolidowanie i promowanie rosnących standardów życia poprzez wzrost gospodarczy. Zamierzano wprowadzić swobodny przepływ pracy i kapitału, skończyć z restrykcjami handlowymi, koordynować politykę społeczną oraz powołać Europejski Bank Inwestycyjny. Celem było stworzenie wspólnego rynku, wolnego od wewnętrznych ceł. Cła zewnętrzne, choć ograniczone, zostały utrzymane. Zapewniono również ochronę rolnictwu, które borykało się ze specyficznymi problemami. Ustalenia instytucjonalne stanowiły modyfikację rozwiązań z Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali. Władzą wykonawczą była dziewięcioosobowa Komisja. Jej uprawnienia były jednak ograniczone przez Radę, wyłanianą z rządów narodowych, oraz Zgromadzenie – wciąż niebędące pełnoprawnym parlamentem – które mogło przedstawiać rekomendacje, lecz nie prowadziło procesu legislacyjnego. Powołano Trybunał Sprawiedliwości do rozstrzygania sporów pomiędzy państwami członkowskimi. Oddzielną Komisję i Radę powołano dla Euratomu (do ich połączenia z odpowiednikami z EWG doszło ostatecznie w 1965 roku). Instytucje obsługiwał korpus urzędników cywilnych, który w 1962 roku liczył około 3000 osób (i stale rósł).

Do 1960 roku EWG, która liczyła 165 milionów mieszkańców, dokonała imponującego postępu. Znacznie zwiększyła swój udział w światowym handlu, a łączna produkcja przemysłowa zwiększyła się w poprzedniej dekadzie o 70 procent. Postęp Euratomu był mniej imponujący. Od samego początku instytucja ta napotkała oczywiste trudności, które pogłębiły się jeszcze wraz z dojściem do władzy de Gaulle'a w 1958 roku – Francja była bowiem zdeterminowana, by utrzymać prymat narodowego interesu bezpieczeństwa w tak wrażliwej sferze i nie miała zamiaru stać z założonymi rękami, podczas gdy Niemcy Zachodnie będą zdobywać potencjał atomowy.

Sukces EWG już w pierwszych latach istnienia zmusił państwa narodowe, które do niego nie należały, do stworzenia własnej organizacji. Europejskie Stowarzyszenie Wolnego Handlu (EFTA) powołane do życia 20 listopada 1959 roku, a uruchomione 3 maja 1960 roku, łączyło ze sobą „zewnętrzną siódemkę” – Wielką Brytanię, Danię, Norwegię, Austrię, Portugalię, Szwecję i Szwajcarię (Finlandia dołączyła później) – w drugi co do potencjału obszar ekonomiczny w Europie. Jednak w porównaniu z EWG był to twór znacznie luźniejszy, organizacja (jak sama nazwa wskazuje) czysto handlowa, do której przynależność nie wymagała rezygnacji z jakichkolwiek aspektów suwerenności, a jej ostatecznym celem nie była polityczna integracja. Od samego początku była również osłabiana przez pogarszające się wyniki gospodarcze swojego największego członka – Wielkiej Brytanii.

Wielka Brytania nie tylko straciła już w owym czasie pozycję gospodarczego lidera, którą cieszyła się krótko w pierwszych latach po wojnie, ale dawała się prześcignąć szybko rozwijającym się gospodarkom kontynentalnym. Jej pozycja handlowa słabła, jej związki ze Wspólnotą Narodów ulegały rozluźnieniu, a „specjalne stosunki” ze Stanami Zjednoczonymi miały w dużej mierze charakter jednostronny. W tej sytuacji nie dziwi, że w 1961 roku Wielka Brytania zrewidowała swoje stanowisko i zdecydowała się ubiegać o członkostwo w EWG. Wśród dotychczasowych członków budziło to dwie główne obawy. Pierwszą był problem z umowami handlowymi, które Londyn zawarł z członkami Wspólnoty

Narodów, a których nie dało się pogodzić z członkostwem. Do tego dochodziła obawa, że Brytyjczycy skupiają się niemal wyłącznie na wolnym handlu, co mogło osłabić, a nawet wręcz zniweczyć długoterminowe cele polityczne EWG. Brytyjski wniosek rzeczywiście był obarczony załącznikami – chodziło o zabezpieczenia dla brytyjskiego rolnictwa i związków ze Wspólnotą Narodów oraz porozumienie z innymi krajami EFTA, które chciały wstąpić do EWG. To były poważne przeszkody. Brytyjski wniosek rozbił się ostatecznie o ścianę francuskiego sprzeciwu. W 1963 roku spotkał się z głośnym „non” prezydenta Francji, Charlesa de Gaulle’a, który powtórzył swoje weto wobec wejścia Brytyjczyków w 1967 roku, gdy Londyn zaaplikował po raz drugi.

Podstawowym celem de Gaulle’a było uniknięcie scenariusza, w którym Wielka Brytania pozbawi Francję dominacji w EWG oraz zniszczy francusko-niemiecki fundament Wspólnoty. Nieufnie traktował również bliskie relacje Londynu ze Stanami Zjednoczonymi, które jego zdaniem były głównym zagrożeniem dla francuskiego przywództwa w Europie i wielkomocarstwowego prestiżu Francji. Abstrahując jednak od jego negatywnego stanowiska wobec brytyjskiego członkostwa, de Gaulle miał w najlepszym przypadku ambiwalentny stosunek do Europy, a lata jego prezydentury były trudne dla sprawy integracji europejskiej. De Gaulle, tradycyjny francuski nacjonalista, którego poglądy oparte były na potrzebie przywrócenia Francji dawnej chwały i podtrzymania jej wielkomocarstwowych pretensji, wymierzonych szczególnie wyraźnie w dominację USA, był gotów z pragmatycznych powodów zaakceptować korzyści, które ograniczone formy europejskiej integracji przynosiły jego krajowi. Chciał jednak nie ponadnarodowej potęgi, ale „Europy ojczyzn”. W jego wersji europejskiej unii Francja dominowała, podczas gdy Niemcy pozostawały chętnym, lecz zdyscyplinowanym partnerem, a wpływy amerykańskie i brytyjskie były trzymane pod kontrolą. Niezmiennie sprzeciwiał się wszelkim próbom ingerencji we francuską suwerenność narodową, zamiarom wzmocnienia Komisji EWG i stale przedkładał interesy Francji dalece ponad dobro Wspólnoty.

Wynikające z tego napięcia przekształciły się w otwarty konflikt w 1965 roku. Poszło o uprawnienia Komisji, a okazją stała się skomplikowana kwestia rolnictwa. Po żmudnych negocjacjach uzgodniono w 1962 roku powstanie wspólnej polityki rolnej (WPR) ze wspólnym rynkiem dla produkcji rolnej po stałych cenach oraz dotacjami dla farmerów. Kwestia finansowania WPR została jednak sprzężona z propozycją rozszerzenia uprawnień Komisji, która chciała przejąć kontrolę nad przychodami z ceł zewnętrznych, oraz połączona z sugestiami, że Parlament Europejski powinien dostać uprawnienia ustawodawcze. Oznaczałoby to rozszerzenie ponadnarodowej władzy EWG. Kiedy to stało się warunkiem porozumienia rolnego de Gaulle – choć WPR przyniosłaby rozliczne korzyści francuskim rolnikom – postawił własne warunki: dopóki Francja nie otrzyma rozwiązania, które uzna za satysfakcjonujące oraz prawa weta wobec wzmocnienia ponadnarodowych uprawnień EWG, Paryż będzie bojkotował europejskie instytucje.

Francja robiła to przez siedem miesięcy z rządu po tym, jak de Gaulle wycofał francuskich przedstawicieli z negocjacji w Komisji. W efekcie doszło do tak zwanego „kryzysu pustego krzesła”, który rozwiązano w końcu za sprawą niełatwego „kompromisu luksemburskiego” z 1966 roku. Zakładał on prawo weta w kwestiach „bardzo ważnych interesów” (których jednak nie zdefiniowano), głosowanie kwalifikowaną większością głosów w sprawach rolnictwa i osłabienie pozycji Komisji, której prerogatywy w niektórych sferach stały się przedmiotem akceptacji Rady (reprezentującej państwa członkowskie). Podstawowy problem polegający na konieczności pogodzenia interesów narodowych z funkcjonowaniem ponadnarodowych instytucji nie tylko nie został rozwiązany, ale jeszcze się pogłębił. Dopóki de Gaulle pozostawał u władzy we Francji, szanse na zmianę tego stanu rzeczy były nikłe.

W tym czasie „projekt europejski” mógł się już jednak pochwalić pewnymi sukcesami. Z instytucjonalnego i administracyjnego punktu widzenia doszło do pewnego uproszczenia struktur, kiedy w 1965 roku uzgodniono połączenie EWG, Euratomu i Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali. Dokonywano też postępów

gospodarczych, choć czasami wyglądały one chwiejnie, szczególnie w sferze liberalizacji handlu. Ostatnie cła wewnętrzne zlikwidowano w 1968 roku i wprowadzono ujednoliconą taryfę zewnętrzną. Liberalizacja handlu, w połączeniu z większymi inwestycjami i transferem technologii, wzrostem konkurencji i ekonomiką skali, zwiększyły europejskie tempo wzrostu o około jeden procent. Po stronie „winien” pozostawały problemy ze wspólną polityką rolną oraz rozważania z 1969 roku na temat wprowadzenia unii monetarnej, które okazały się jałowe ze względu na dysparytet pomiędzy walutami narodowymi (ze szczególnym uwzględnieniem francuskiego franka i niemieckiej marki). Politycznie jednak unia wydawała się równie odległym celem co zawsze. Integracja na wszystkich frontach postępowała od 1950 roku w rytmie europejskiego fokstrota: dwa kroki w przód, jeden w bok i jeden do tyłu. W istocie od samego początku ruchy w kierunku integracji były w przeważającej mierze napędzane motywami *narodowymi* – początkowo chęcią zagwarantowania dominacji Francji, potem jako platforma do odtworzenia niemieckiego państwa narodowego. Dążenie do coraz ściślejszej unii w praktyce wzmocniało system europejskich państw narodowych.

Twardy rdzeń sześciu członków założycieli EWG nie zmienił się aż do 1973 roku. Zanim do tego doszło, Grecji (w 1962 roku) i Turcji (w 1964 roku) przyznano status państw stowarzyszonych; Grecja została zawieszona w kwietniu 1967 roku, kiedy pucz wojskowy gwałtownie (choć tylko tymczasowo) obalił demokrację w tym kraju. Malta (w 1971 roku) i Cypr (w 1973 roku) także dostały status członków stowarzyszonych, a preferencyjne warunki importu szeregu dóbr przemysłowych przyznano pewnej liczbie państw rozwijających się w Afryce. Jednak podwójne weto de Gaulle’a w sprawie brytyjskiego członkostwa oznaczało, że EWG pozostawało „klubem” sześciu członków założycieli z 1957 roku. Oprócz Francji pozostałych pięć państw było znacznie przychylniej nastawionych do brytyjskiego członkostwa. Kiedy de Gaulle opuścił urząd w kwietniu 1969 roku i kiedy w czerwcu 1970 wyraźnie proeuropejski konserwatysta, Edward Heath, został po nieoczekiwanym zwycięstwie wyborczym premierem Wielkiej Brytanii,



perspektywy rozszerzenia Wspólnoty Europejskiej (jak nazywano ją od 1967 roku) o Zjednoczone Królestwo znacznie się poprawiły.

Nowy prezydent Francji, Georges Pompidou, był bardziej otwarty na brytyjskie członkostwo we Wspólnocie Europejskiej niż jego nieprzejednany poprzednik. Po części wynikało to z faktu, że widział on potrzebę stworzenia przeciwwagi dla pozycji Niemiec Zachodnich, z których kwitnąca gospodarka i silna waluta uczyniły niekwestionowanego lidera ekonomicznego Europy, stawiając pod znakiem zapytania dominację Francji, uznawaną początkowo przez Francuzów za oczywistą. Co więcej, socjaldemokratyczny kanclerz Republiki Federalnej (od października 1969 roku), Willy Brandt, zaczął kształtować nowe relacje z Europą Wschodnią w ramach swojej *Ostpolitik*, z nieznanymi jeszcze konsekwencjami dla Wspólnoty Europejskiej i dla Francji. Z punktu widzenia Brytyjczyków był to najwyższy czas, by dołączyć do wspólnoty. Heath, stosunkowo zdystansowany wobec Ameryki, był Europejczykiem z przekonania. Głęboko poruszyły go zniszczenia, których był świadkiem, służąc w brytyjskiej armii po lądowaniu w Normandii. Europejska jedność była dla niego, podobnie jak dla innych idealistów z jego pokolenia, jedyną drogą do zapewnienia trwałego pokoju. A z punktu widzenia interesów narodowych dołączenie do Wspólnoty Europejskiej wydawało się atrakcyjną opcją. Ponieważ handel ze Wspólnotą Narodów kurczył się gwałtownie, członkostwo we Wspólnocie Europejskiej mogło zaoferować brytyjskiej gospodarce – znajdującej się w kiepskim stanie z powodu wysokiej inflacji i ciągłych strajków – możliwość skorzystania ze znacznie bardziej efektywnego wspólnego rynku, który rozwinął się w Europie Zachodniej. Po spotkaniu, które odbyło się w Paryżu w maju 1971 roku pomiędzy Pompidou a Heathem, szczegółowe negocjacje w Brukseli otworzyły Wielkiej Brytanii drogę do członkostwa we Wspólnocie Europejskiej od 1 stycznia 1973 roku. W tym samym czasie dołączyły Irlandia i Dania. Wniosek Norwegii wywołał za to głębokie podziały w tym kraju. Referendum z 1971 roku, w którym 53 procent głosujących opowiedziało się przeciwko członkostwu, położyło kres norweskim oczekiwaniom na dołączenie do wspólnoty.

Rozszerzenie Wspólnoty Gospodarczej do dziewięciu krajów przyniosło nową i, jak się okazało, trwałą trudność: brytyjski izolacjonizm. Heath należał do niewielkiej mniejszości europejskich idealistów w Wielkiej Brytanii. W jego własnej partii (i poza nią) było wielu ludzi, szczególnie ze starszego pokolenia, którzy nie mogli się pogodzić z końcem imperium i faktem, że status Wielkiej Brytanii został w efekcie ograniczony do średniej wielkości mocarstwa europejskiego. Większość brytyjskiego społeczeństwa zachowywała w najlepszym razie obojętność wobec Wspólnoty Europejskiej, a lewica atakowała organizację, którą postrzegała jako „klub bogatych”. Ci, którzy byli za, robili to niemal wyłącznie z powodu zapowiadanych korzyści gospodarczych. „Europa” była pozycją w budżecie. Co znaczące, Wspólnota Europejska była w kolejnych latach sprowadzana do „wspólnego rynku”. Czy Wielka Brytania lepiej wyjdzie na tym, że wstąpi do EWG, czy powinna pozostać na zewnątrz? Dla większości ludzi było to jedyne pytanie.

Nie postrzegali Wielkiej Brytanii jako części Europy. I rzeczywiście pod pewnymi ważnymi względami jej rozwój historyczny był odmienny od Europy kontynentalnej. Wielowiekowa tradycja parlamentarnej suwerenności w tym kraju, jego tradycje, starożytne instytucje i system prawny nie były zakłócanie inwazjami i okupacjami. Jego współczesna historia opierała się raczej na zamorskim imperium niż na związkach z Europą (mimo że dwa razy w nieodległych czasach był zmuszony do udziału w europejskich wojnach). Jego dwunastkowy system pieniężny i system miar (zmieniony ku żalowi wielu na dziesiętny w 1971 roku, by ułatwić europejski handel) codziennie przypominały ludziom, że nie są jak inne kraje kontynentalnej Europy. To poczucie odrębności wzmacniało jeszcze położenie geograficzne Wielkiej Brytanii – wyspy na krańcu kontynentu, która w równym stopniu spoglądała za Atlantyk, co na drugą stronę kanału La Manche. Wszystko to składało się od wielu wieków na suwerenne i zazdrośnie strzeżone uprawnienia Wielkiej Brytanii jako państwa narodowego, którego całkowita niezależność nie zniosłaby ingerencji z żadnej strony. Politycy – konserwatyści i laburzyści – oraz większość zwykłych obywateli potrzebowali zatem dużej dozy

perswazji, by pokonać swoją zaściankowość i poprzec, a nie tylko niechętnie zaakceptować, członkostwo we Wspólnocie Europejskiej. Ta zaściankowość skutkowałą głęboko zakorzenionymi uprzedzeniami. Francja, położona zaledwie nieco ponad 20 mil od południowego wybrzeża Anglii, była postrzegana jako „zagranica”. Australia odległa o 19 000 kilometrów już nie.

Wraz z upływem czasu to nastawienie oczywiście się zmieniało, szczególnie w młodszym pokoleniu. Nie sposób jednak nie przyznać, że Wielka Brytania przystąpiła do Wspólnoty Europejskiej zbyt późno, w czasie, gdy ta ewoluowała już w naturalny sposób, by zaspokoić potrzeby swoich pierwotnych członków. Szczególnie w Wielkiej Brytanii oburzenie musiała obudzić wspólna polityka rolna, bo tamtejsi konsumenci musieli teraz płacić więcej za jedzenie, by dotować niekonkurencyjnych kontynentalnych – w szczególności francuskich – rolników. To, że i tak już wydajni brytyjscy farmerzy także powinni na tym znacząco zyskać, nie było pocieszeniem dla brytyjskich konsumentów, i tak już mocno dotkniętych przez wysoką inflację. „Wspólny Rynek” zaczął się więc w Wielkiej Brytanii źle kojarzyć. Jednak minusy braku przynależności podkreślał biznes i rząd. Argumenty wydawały się przekonywające, bez względu na wszystkie obawy. Gdy w 1975 roku doszło do referendum, dwie trzecie głosujących opowiedziało się za pozostaniem Wielkiej Brytanii we Wspólnocie Europejskiej. Wielu głosowało za Europą, ponieważ zakładali, że oznacza to przynależność do szerszej strefy wolnego handlu, a zatem przyniesie korzyści gospodarcze, ignorując przy tym (świadomie lub nie) podstawowy polityczny cel, czyli „coraz ściślejszy związek”, zapisany w traktatach rzymskich z 1957 roku. Niemniej był to imponujący wynik, który pokazywał, że większość Brytyjczyków zdaje sobie sprawę, że przyszłość ich kraju będzie najlepiej zabezpieczona poprzez bliższe związki z europejskimi sąsiadami. Poczucie, że Wielka Brytania jest częścią Europy zakorzeniało się, szczególnie wśród lepiej wykształconych i zamożniejszych warstw społeczeństwa. Głęboka niechęć wobec wszystkiego, co płynęło lub było związane z „Brukselą” (siedzibą Komisji Wspólnoty Europejskiej) nie zniknęła jednak i miała nadal komplikować

i osłabiać wysiłki na rzecz przekształcenia integracji gospodarczej w ściślejszą unię polityczną.

W 1973 roku Wspólnota Europejska miała jednak znacznie ważniejsze sprawy na głowie niż martwienie się przyszłymi potencjalnymi problemami z uwzględnieniem partykularystycznych interesów brytyjskich. Problemy amerykańskiej gospodarki, szczególnie rosnący deficyt płatniczy, wpływały na stabilność monetarną Europy. Wielka Brytania zdewałowała swoją walutę w 1967 roku, a Francja w 1969, podczas gdy nadzwyczajna siła marki niemieckiej odzwierciedlała oczywistą ekonomiczną nierównowagę pomiędzy krajami europejskimi, która coraz bardziej utrudniała utrzymanie sztywnych kursów walutowych. W 1971 roku system z Bretton Woods, regulujący wymianę walut po sztywnym kursie, który narodził się z międzynarodowego porozumienia zawartego w 1944 roku, został zastąpiony bardziej elastycznym systemem kursów płynnych. W praktyce jeszcze bardziej wzmacniał on finansową dominację Niemiec Zachodnich wśród krajów Wspólnoty Europejskiej.

\*\*\*

Prawdziwy cios dla gospodarek Europy Zachodniej przyniósł jednak kryzys naftowy w roku 1973. Nastąpił on po czwartej i największej wojnie izraelsko-arabskiej – po tych, które miały miejsce w latach 1948, 1956 (kryzys sueski) i wojnie sześciodniowej z 1967 roku, która przyniosła Izraelowi duże zdobycze terytorialne. Kraje arabskie, co nie dziwi, odmówiły oczywiście uznania stanu rzeczy, który wytworzył się po wyprzedzającym uderzeniu Izraela w czerwcu 1967 roku. Arabowie utracili wtedy na rzecz Izraela znaczne tereny, w tym Wzgórza Golan i półwysep Synaj; cała Jerozolima znalazła się we władaniu państwa żydowskiego, a jego terytorium powiększyło się ponad trzykrotnie. Państwa arabskie po cichu przygotowywały zemstę. 6 października 1973 roku, w żydowskie święto Jom Kipur, (Dzień Pojednania), Egipt i Syria przeprowadziły zmasowany i początkowo bardzo skuteczny atak na Izrael. Ten przeprowadził jednak zdecydowaną kontrofensywę i odzyskał inicjatywę, zanim interwencja

supermocarstw (oraz potężne zwiększenie amerykańskiej pomocy w celu odbudowy mocno zniszczonej gospodarki Izraela) doprowadziły pod koniec miesiąca do kruchego rozejmu.

Kraje arabskie skorzystały więc z ropy jako nowej i potężnej broni, której gotowe były użyć przeciwko Zachodowi. W 1945 roku na Bliski Wschód przypadało zaledwie siedem procent światowej produkcji ropy. W 1973 było to już prawie dwie piąte. W środku wojny arabscy ministrowie ds. ropy, współpracujący w ramach kartelu OPEC (Organizacja Krajów Eksportujących Ropę Naftową), uzgodnili podwyżkę cen ropy dla zachodnich koncernów naftowych o 70 procent, obniżenie produkcji o 25 procent i nałożenie embargo na Stany Zjednoczone i innych popleczników Izraela. Oznaczało to nową odsłonę międzynarodowego konfliktu i stworzyło wielkie problemy dla zachodnich gospodarek, które mocno uzależniły się od konsumpcji ropy. Reżimy naftowe, które Zachód zarówno promował, jak i z których jednocześnie mocno korzystał, pokazały, że są zdolne i gotowe bronić swoich interesów, i to z dramatycznymi skutkami. Czterokrotny wzrost ceny ropy miał niszczący wpływ na niemal każdą ekonomiczną kalkulację i założenie. Świat był na granicy paniki, co jeszcze raz pokazało ograniczone postępy integracji, bo poszczególne kraje Wspólnoty Europejskiej (a także spoza niej) szukały rozwiązań na własną rękę.

Kryzys naftowy przyniósł głęboką recesję gospodarczą, pierwszą poważną od drugiej wojny światowej. W szerszym sensie dla Europy rozpoczęła się nowa epoka. Lata powojennego boomu dobiegły końca. Dobre czasy się skończyły.

## ROZDZIAŁ 5

# Kultura po katastrofie

---

*Nie jestem już pewny niczego.*

Jean-Paul Sartre, 1951 r.

*A-wop-bop-a-loo-bop-a-wop-bam-boom!*

„Tutti Frutti”, Little Richard, 1955 r.

**K**ultura oferuje okno, przez które można wejrzeć w duszę społeczeństwa. To okno z wieloma szybami, a każda szyba jest pomalowana na inny kolor. Niektóre szyby są matowe – tak matowe, że nic przez nie nie widać. Przekaz kulturalny w każdym wolnym społeczeństwie jest tak zróżnicowany, że zwięzłe podsumowanie jest niemal niemożliwe, a szukanie wspólnych, czytelnych linii interpretacyjnych niezwykle trudne. Jednak na wiele różnych sposobów kultura rzuca światło na charakter Europy w dekadach wczesnopowojennych. A pomimo żelaznej kurtyny i różnorodności rozwoju kulturalnego w Europie Wschodniej i Zachodniej – głównie w wyniku różnego poziomu politycznej kontroli – oraz pomimo niekwestionowanych partykularyzmów kulturowych, wspólna kultura była pod wieloma względami głównym elementem definiującym kontynent europejski.

W „dobrych czasach” prawie nieprzerwanego wzrostu gospodarczego i rosnącego dobrobytu w latach 1950–1973, kultura europejska patrzyła głównie w przyszłość. Było to nie tylko odzwierciedleniem bezprecedensowego tempa rozwoju gospodarczego; pozostawało w zgodzie z pierwszymi politycznymi

krokami w kierunku przezwyciężenia głębokich blizn nacjonalistycznej przeszłości. Panował powszechny optymizm, przekonanie, że rodzaj ludzki może osiągnąć praktycznie wszystko, co zechce. Towarzyszyła temu niemal religijna wiara w możliwości nauki. Pierwsze loty kosmiczne wykonywane przez Sowieców i Amerykanów zdawały się potwierdzać to przekonanie, podobnie jak postępy w nauce, szczególnie w medycynie, które niosły ze sobą wspaniałą obietnicę świetlanej przyszłości. Kult młodości i pokoleniowa rewolta, która w pełni ujawniła się pod koniec lat 60., w największym stopniu uosabiały samoświadome zerwanie z przeszłością. Muzyka pop była wszechobecna. W całej Europie Zachodniej, a nawet za żelazną kurtyną, idole w rodzaju Elvisa Presleya w połowie lat 50. i Beatlesów oraz Rolling Stonesów prawie dekadę później reprezentowali nową erę, przyszłość, która należała do młodych. Kultura popularna, koncentrująca się na teraźniejszości, i życie w bezpiecznym przekonaniu, że nadchodzący świat może być tylko lepszy, sprzyjały transformacji wartości społecznych, które zaczęły się zmieniać w tempie prawdopodobnie niewidzianym dotąd w historii.

Ale choć Europa z optymizmem patrzyła w przyszłość, to nie mogła zapomnieć o przeszłości. Optymizm naukowców był jedną stroną medalu. Drugą było dojmujące – i zrozumiałe – poczucie pesymizmu, występujące wśród intelektualistów we wczesnych latach powojennych. George Orwell tłumaczył to w sposób przygnębiający: „Od 1930 roku świat bynajmniej nie daje powodów do optymizmu. Wokół nie widać nic poza gąszczem kłamstw, okrucieństwem, nienawiścią i ignorancją”. Ta głęboka desperacja, która, nie licząc Orwella, była dużo bardziej charakterystyczna dla intelektualistów kontynentalnych niż brytyjskich, stopniowo ustępowała wraz z postępującym odrodzeniem gospodarczym. Zastępowały ją nowe rodzaje krytyki społecznej, skupionej głównie nie na przygnębiającej przeszłości, lecz na obecnej płytkości materialistycznego społeczeństwa konsumpcyjnego. Jednak koszmar, przez który przeszła Europa, powracał nieustannie na różne sposoby. Był to nieunikniony element ekspresji kulturalnej. „Pisanie poezji po Auschwitz jest barbarzyństwem”, zauważył w 1949 roku niemiecki filozof, Theodor Adorno (który spędził epokę hitlerowską na

wygnaniu, głównie w USA). Nie należy brać tego dosłownie. Kłam temu stwierdzeniu zadał między innymi wstrząsający wiersz Paula Celana, „Die Todesfuge” („Fuga śmierci”). Autor był rumuńskim Żydem. Jego rodzice nie przeżyli deportacji, a on sam prawie do końca wojny przebywał w obozie pracy. Utwór stał się powszechnie znany po publikacji w Niemczech w 1952 roku; autor drobiazgowo opisywał koszmar śmierci w obozie koncentracyjnym. Celan uosabiał istotę refleksji Adorno, określając swój wiersz mianem „epitafium i grobu”. Po deportacji i śmierci rodziców nigdy w pełni nie doszedł do siebie. Zmagał się z nawrotami depresji, a wiele lat później, w kwietniu 1970 roku, jego ciało znaleziono w Sekwanie pod Paryżem. Adorno uchwycił problem, z jakim zmagali się każdy intelektualista lub artysta, próbujący w latach powojennych uchwycić sens niedawnego osunięcia się Europy w otchłań barbarzyństwa.

Dla większości ludzi perspektywa była jednak inna. Ci, którzy urodzili się w czasie wojny lub tuż po niej i dorastali wśród powojennej nędzy, pragnęli przyjemności i doświadczeń, które oferował im nowy wspaniały świat. Wielu, prawdopodobnie większość z tych, którzy przeżyli i walczyli w dwóch wojnach światowych, w tym miliony tych, którzy mieli za sobą ciężkie przejścia, nie chciało rozgrzebywać straszliwej przeszłości. Oni także chcieli cieszyć się świetlaną przeszłością, a nie być zmuszanymi do analizowania przeszłych nieszczęść. W istocie zainteresowanie dwoma wojnami światowymi i Holokaustem było w latach 50. i 60. mniejsze niż w ostatnich 25 latach XX wieku. Cienia niedawnej przeszłości nie dało się jednak w powojennych dekadach łatwo rozproszyć. W kulturze, prądach intelektualnych i pamięci zbiorowej niedawna przeszłość była cały czas obecna; nie dało się jej wymazać.

## **Cień przeszłości**

Wpływ drugiej wojny światowej był mniej widoczny w sztuce niż w filozofii czy historii, ale i tam był obecny. Oczywistym przykładem jest tu powojenny stosunek



do muzyki Richarda Wagnera. Ideologiczny antysemityzm samego Wagnera, bliskie relacje Hitlera z rodziną kompozytora, wyłączenie Bayreuth (gdzie odbywały się coroczne festiwale wagnerowskie) jako nazistowskiej świątyni kultury, stanowiły poważne przeszkody dla recepcji prac Wagnera w świecie, który był świadkiem Holokaustu. Wagner, jak żaden inny kompozytor, budził sprzeczne uczucia. Przeciwno wielbicielom jego oper, którzy widzieli w nich bezprecedensowe dzieło geniusza, stawali ci, którzy w Wagnerze i jego muzyce dostrzegali kulturowy fundament niemieckiego nacjonalizmu, antysemityzmu, a ostatecznie nazizmu, wojny i ludobójstwa. Po pięciu latach, podczas których teatr wagnerowski w Bayreuth, Festspielhaus, był wykorzystywany do wystawiania oper i koncertów innych kompozytorów, Festiwal w Bayreuth został przywrócony w 1951 roku i szybko rozkwitł pod dyktando wnuków kompozytora, najpierw Wielanda, a potem Wolfganga. Nowa wizja artystyczna Wielanda oznaczała zdecydowane zerwanie z przedwojennymi więziami z nazizmem. Jednak nawet pomimo tego piętna silnych związków pomiędzy Wagnerem a nazizmem nigdy nie udało się do końca zmazać.

Kompozycje Dmitrija Szostakowicza również jasno ilustrują, jak w muzyce klasycznej przeszłość może zostać jawnie połączona z bieżącą polityką. Jego epicka VII Symfonia – „Leningradzka” – została po raz pierwszy wystawiona właśnie w tym głodującym mieście podczas straszliwego niemieckiego oblężenia, które trwało od 1941 do 1943 roku. W Związku Radzieckim utwór miał kultowy status, jako symbol upamiętniający bezgraniczne cierpienia ludności. Reprezentował ponadto nadzieję, którą ludzie radzieccy zyskali dzięki zwycięstwu nad faszyzmem w „wielkiej wojnie ojczyźnianej”. Jednak eksperymentalne formy muzyki Szostakowicza były ostro krytykowane przez sowiecki reżim, zarówno przed wojną, jak i po niej. Kompozytora przed stalinowskimi czystkami z końca lat 30. uratowała prawdopodobnie jego sława. Nadal narażał się na niełaskę reżimu. Nawet za czasów chruszczowskiej „odwilży kulturalnej” Szostakowicz stąpał po cienkiej linii. W VIII Kwartecie smyczkowym, dedykowanym „pamięci ofiar faszyzmu i wojny” i skomponowanym w 1960 roku dla upamiętnienia

zbombardowania Drezna w 1945 roku, pojawiały się tematy z jego wcześniejszych kompozycji, potępianych za „burżuazyjny formalizm”. XIII Symfonia (z 1962 roku) zaś, „Babi Jar”, oparta na wierszu Jewgienija Jewtuszenki, upamiętniającym masakrę 33 771 Żydów – dokładną liczbę znamy z zapisków hitlerowskich morderców – w okolicach Kijowa w 1941 roku, wzbudziła kontrowersje z powodu wyróżnienia egzekucji Żydów i zawołowanej krytyki antysemityzmu obecnego w Związku Radzieckim.

Dla odmiany w zachodnioeuropejskiej muzyce klasycznej niewiele było refleksji nad wojenną katastrofą. Przeszłość miała tam inne znaczenie. Ludzie chcieli wrócić do normalności po katastrofie, a nie ją rozpamiętywać. Popularność „Requiem wojennego” Benjamina Brittena z 1962 roku, wystawionego po raz pierwszy przy okazji konsekracji nowej katedry w Coventry – stara, średniowieczna, została zniszczona podczas niemieckiego bombardowania Coventry w 1940 roku – była wyjątkiem. Publiczność niezbyt ciepło przyjmowała też awangardową muzykę klasyczną – taką jak eksperymentalne dzieła Oliviera Messiaena, Pierre’a Bouleza czy Karlheinz Stockhausena. Ludzie chcieli głównie tradycji, nie nowoczesności. Ogólnie rzecz biorąc, publiczność tłoczyła się, by jeszcze raz posłuchać klasycznego repertuaru z XVIII i XIX wieku – Bacha, Mozarta, Beethovena, Brahmsa albo oper Donizettiego, Verdiego i Pucciniego czy nawet Wagnera (mimo piętna związków z nazizmem). Z radością powitali powrót wielkich dyrygentów takich jak Arturo Toscanini, Otto Klemperer, Bruno Walter, Karl Böhm i Tullio Serafin i cieszyli się z pojawienia nowych gwiazd w rodzaju Herberta von Karajana i Georga Soltiego. Ekscytowali się występami operowych gwiazd takich jak Maria Callas, Joan Sutherland, Jussi Björling, Tito Gobbi i Giuseppe Di Stefano – znakomitych śpiewaków, którzy jednak wykonywali ulubiony repertuar z minionej epoki. W połowie lat 60. nawet błyskotliwy amerykański kompozytor i dyrygent, Leonard Bernstein, uznawał, że muzyka klasyczna straciła swoją innowacyjną siłę. „Muzyka pop”, mówił, „wydaje się być jedynym obszarem, w którym można znaleźć nieposkromioną witalność, radość tworzenia, powiew świeżego powietrza”.

W innych formach sztuki także widoczne było napięcie pomiędzy przeszłością i przyszłością, pomiędzy tym, co tradycyjne – albo przynajmniej znane – a nowoczesną awangardą, która próbowała zerwać ze wcześniejszymi formami wyrazu. Gdy Europa rozpadała się w pył, główny innowacyjny impet w malarstwie przeniósł się do Nowego Jorku. Wpływ amerykański – uosabiany przez prace Jacksona Pollocka – był istotny dla zwrotu w kierunku radykalnych form abstrakcyjnego ekspresjonizmu. Spotkał się on z cieplejszym przyjęciem w Wielkiej Brytanii niż w Europie kontynentalnej. Wpływ ten był widoczny nawet w upowszechnieniu się oszałamiającej różnorodności sztuki abstrakcyjnej, która zaczęła dominować w powojennej Europie. Nowe, eksperymentalne formy sztuki, powstałe pod koniec lat 50., często stawiały sobie za cel szokowanie tradycyjnych gustów. Takie formy wykorzystywał na przykład paryski nurt nowego realizmu (*Nouveau réalisme*), którego członkowie tworzyli obrazy miejskiej nędzy i produktów konsumpcyjnych, podobne do rozwijającego się równolegle w Ameryce ruchu pop-art, łączonego najczęściej z Andym Warholem.

Innowacje te miały swoje źródła w przedwojennych ruchach artystycznych. Co więcej, Pablo Picasso, Henri Matisse, Marc Chagall i inni luminarze epoki przedwojennej byli wciąż aktywni i przyciągali na swoje wystawy znacznie więcej gości niż radykalni młodzi artyści. Jak zawsze artystyczni innowatorzy widzieli w sobie rewolucjonistów występujących przeciwko tradycyjnym formom wyrazu – które teraz obejmowały również w dużej mierze to, co uważano za rewolucyjne przed wojną. Jednak najbardziej radykalne formy sztuki abstrakcyjnej z trudem trafiały do szerszej publiczności, która wolała oglądać prace starych mistrzów. Wojna oznaczała więc artystyczny zwrot, ale daleko mu było do całkowitego zerwania z przeszłością.

W architekturze cień przeszłości był aż nadto widoczny w postaci ruin i zniszczeń we wspaniałych europejskich miastach i miasteczkach. Wojna stanowiła w tym przypadku oczywistą cezurę. Odbudowa była pilną koniecznością. Jednak biorąc pod uwagę opłakany stan gospodarki, musiała być również tania. Najbardziej charakterystycznym stylem, wykorzystywanym zwłaszcza przy

budowie domów i centrów handlowych, budynków rządowych i nowych kampusów uniwersyteckich, był brutalizm, którego nazwa pochodziła od francuskiego określenia na surowy beton (*béton brut*), czyli jego podstawowy budulec. Czerpał z racjonalizmu i funkcjonalizmu lat 30., ale doprowadził wcześniejsze style do nowego ekstremum. Uważano go za „postępowy” i wiązano z nazwiskami kilku znanych architektów, w tym wielkiego szwajcarskiego projektanta i urbanisty, Le Corbusiera. Trend miał charakter międzynarodowy i szybko rozprzestrzenił się na całym świecie. Jego wpływ na Europę Zachodnią był różny. Włoska architektura publiczna miała się lepiej niż gdziekolwiek indziej. Podejmowano odważne próby architektoniczne, takie jak niezwykle, wspornikowe projekty Luigi Morettiego, które były wyjątkowe we wczesnych latach powojennych.

Brutalizm słabo przyjął się we Włoszech. Gdzie indziej także zdarzały się poważne wyjątki. Jednym z nich była jawnie modernistyczna kaplica pielgrzymia Notre Dame du Haut w Ronchamp we wschodniej Francji, zbudowana na zamówienie Kościoła katolickiego w latach 1953–1955, obdarzona przez Nikolausa Pevsnera mianem „pomnika nowego irracjonalizmu”. Kolejnym była późna praca Miesa van der Rohe, Neue Nationalgalerie w Berlinie Zachodnim, ukończona w 1968 roku. Budynek maksymalizował estetyczny efekt szkła i stali przy tworzeniu światła i przestrzeni. W Wielkiej Brytanii z kolei brutalizm stał się powszechny. Był wizualnie surowy i złowrogi – fasady z gołego betonu, szkło i stal całkowicie pozbawione wszelkich ornamentów. Jego styl emanował atmosferą powojennego ubóstwa (choć stosowano go również wtedy, gdy finansowanie nie było już takim problemem). Uosabiał nowoczesne, solidne, kolektywne i niepozwalające sobie na zbytki społeczeństwo. Miał swoich zwolenników, szczególnie w późniejszych latach – zwykle wśród tych, którzy nie musieli mieszkać ani pracować w „brutalistycznych” budynkach. Dla wielu jednak konstrukcje te stanowiły od początku estetyczny skandal. A dla kolejnych pokoleń beton, odpadający od ważnych budynków w centrach ich miast, był raczej symbolem brzydactwa niż atrakcją.

Także na wschód od żelaznej kurtyny pewien rodzaj brutalizmu (choć bez tej nazwy) był mile widziany jako przejaw antyburżuazyjnej, „socjalistycznej” architektury, w której planiści koncentrowali się na budowie tanich i prostych mieszkań dla klasy pracującej. Szare, masowo produkowane tanim kosztem, czysto funkcjonalne domy, które miały zaspokoić drastyczny głód mieszkaniowy, stanowiły jedną stronę socjalistycznej architektury. Drugą był „realizm socjalistyczny” monumentalnych, reprezentacyjnych budynków, które miały symbolizować wielkość robotniczego państwa – takich jak warszawski Pałac Kultury i Nauki (ukończony w 1955 roku i ochrzczony przez mieszkańców „snem szalonego cukiernika”, by przytoczyć tylko jedno z łagodniejszych określeń) czy Stalinallee (później Karl-Marx-Allee) w Berlinie Wschodnim, imponujący bulwar długości dwóch kilometrów i szerokości prawie 90 metrów.

W teatrze wojna stanowiła raczej przerwę niż przełom. W powojennym odrodzeniu teatru od przeszłości nie dało się uciec. Antyfaszyzm i zjadliwa krytyka społeczeństwa burżuazyjnego były motywami przewodnimi twórczości wielkiego marksistowskiego dramaturga, Bertolda Brechta, który wrócił z wygnania do Berlina Wschodniego (gdzie mieszkał aż do śmierci w sierpniu 1956 roku), skuszony ofertą stworzenia własnego zespołu teatralnego – Berlin Ensemble. Brecht zyskał sławę na długo przed wojną jako jedna z najjaśniejszych gwiazd na firmamencie weimarskiego Berlina, zanim nie zniszczyli go naziści. Większość z jego najważniejszych prac powstała w epoce weimarskiej, kiedy pisarz rozwijał swoją teorię „teatru epickiego”. Brecht nie wymyślił ani nazwy, ani samej koncepcji, ale w „teatrze epickim” dążył do samoświadomego zerwania z przeszłością. W nowej koncepcji Brecht odrzucał „teatr iluzji”, który stymulował identyfikację publiczności z postaciami i tworzył iluzoryczne poczucie obcowania z rzeczywistością. Zamiast tego starał się narzucić racjonalną refleksję poprzez odłączenie, czy też „alienację” widowni od akcji dziejącej się na scenie.

Po wojnie Brecht był bardziej aktywny jako dyrektor teatru niż pisarz. Jego sztuki cieszyły się jednak ogromną popularnością w Niemczech Zachodnich – w latach 60. pod względem liczby wystawień ustępował tylko Szekspirowi,

a wyprzedzał Schillera – i był dobrze znany w całej Europie, zarówno w jej wschodniej, jak i zachodniej części (a poza nią w szczególności w USA). W Niemczech Wschodnich był hołubiony jako pisarz o międzynarodowej sławie, który na swoją ojczyznę wybrał Niemiecką Republikę Demokratyczną. Jednak cenny obywatel sprawiał problemy. Wschodnioniemieccy przywódcy nie chcieli mu dawać zbytnej swobody, świadomi jego ograniczonego entuzjazmu dla realiów komunistycznego społeczeństwa – mimo że publicznie (choć w niejednoznaczny sposób) poparł stłumienie powstania w 1953 roku, a w kolejnym roku przyjął Stalinską Nagrodę Pokoju (środkami z niej, w wysokości prawie 300 000 franków, zdeponował na utrzymanym wciąż koncju w szwajcarskim banku).

Najbardziej odkrywczym nurtem w zachodnim teatrze w latach 50. i 60. był „teatr absurdu”, utożsamiany z nazwiskami Irlandczyka, Samuela Becketta i Rumuna, Eugène’a Ionesco. Obaj żyli i tworzyli w Paryżu. Podstawowa filozofia ich dzieł zakładała, że życie nie ma ani sensu, ani celu; jest absurdem. Dialogi w takich sztukach Becketta, jak *Czekając na Godota* (1953) i *Końcówka* (1957) składają się z pozornie bezsensownych rozmów, prowadzonych przez postacie parodiujące ludzką egzystencję w sytuacjach jawnie odartych z wszelkiego działania. Trudno się dziwić, że teatr absurdu spotykał się z dużą wrogością. Sztuki te były jednak szeroko wystawiane i chwalone, a także, co nieuniknione, choć paradoksalne, wzbudzały dyskusje na temat tego, jakie treści niesie ze sobą bezsens. Teatr absurdu wywodził swój artystyczny rodowód z dadaizmu i surrealizmu, które narodziły się po pierwszej wojnie światowej. Wiele z tego było teatralną odpowiedzią na zastane już wydarzenia w dziedzinie sztuk wizualnych. Myślenie stojące za teatrem absurdu miało jednak również związek z niedawną przeszłością.

Stanowisko takie było bliskie wielkiemu francuskiemu pisarzowi, Albertowi Camus, posągowej postaci powojennej literatury, który w 1957 roku dostał Literacką Nagrodę Nobla. Podczas niemieckiej okupacji Camus pisywał artykuły wstępne do podziemnego pisma ruchu oporu „Combat” i pozostał mu wierny aż do zamknięcia tytułu w 1948 roku. Po wojnie opublikował niektóre ze swoich

najważniejszych powieści – *Dżumę* w 1947 roku i *Upadek* w 1956 roku – z zawołanymi odwołaniami do nazizmu i Holokaustu. Poprzez pisarstwo Camusa teatr absurdu nawiązywał łączność z bezpośrednią, straszliwą przeszłością. *Dżuma* (w której mieszkańcy Oranu we francuskiej Algierii reagują na wybuch epidemii już to z fatalizmem, już to próbując oportunistycznie wykorzystać sytuację, ale także próbując podjąć aktywną walkę) jest zazwyczaj interpretowana jako alegoria francuskiego doświadczenia pod nazistowską okupacją. Bezwzględny wpływ zarazy i losowość śmierci podkreśla absurdalność życia. Ale Camus, który nie chciał być nazywany „egzystencjalistą”, opiera się przekonaniu o bezsensie istnienia, kiedy ustami swoich najbardziej pozytywnych bohaterów głosi potrzebę nie prostego zaakceptowania nadciągających z zewnątrz cierpienia i śmierci, ale walki z nimi – i to nie samotnie, ale w solidarności z innymi obywatelami w imię dobra wspólnoty.

Literatura, bardziej niż malarstwo czy teatr, odzwierciedlała potrzebę poszukiwania sensu w katastrofalnych wydarzeniach niedawnej przeszłości. Zapewne nie powinno dziwić, że potrzeba ta była szczególnie silna w Niemczech Zachodnich (W Niemieckiej Republice Demokratycznej oficjalna propaganda sprowadziła literaturę do roli narzędzia w krzewieniu wszechobecnej doktryny antyfaszyzmu). W czasach, kiedy zwykli Niemcy próbowali wyprzeć bolesne wspomnienia, wpływowi pisarze podejmowali zmagania z nimi. Jednym z pierwszych był Wolfgang Koeppen. Jego powieść *Tauben im Gras* (1951), napisana w stylu „strumienia świadomości”, opisywała jeden dzień w mieście, w którym niepokój związany z konfliktem Wschód–Zachód miesza się z nadziejami na przyszłość i próbami znalezienia sensu wśród ruin. Ciągłość z nazistowską przeszłością nie jest skrywana, ale istnieje równolegle do ścieżek prowadzących do bardziej otwartego, pluralistycznego społeczeństwa. Natomiast dzięki swojej powieści *Śmierć w Rzymie* (1954), Koeppen, który za czasów Trzeciej Rzeszy zanadto się nie wychylał, stał się jednym z pierwszych autorów, którzy zadawali pytania o niemiecką winę związaną z Holokaustem.

Kilku młodszych zachodnioniemieckich pisarzy szybko wyrobiło sobie nazwiska, zmagając się bezpośrednio lub za pomocą aluzji z niedawną niemiecką przeszłością. Był to element niezbędnego kulturowego i estetycznego zerwania z tym, co było w warunkach młodej i nieopierzonej demokracji. W ich pracach, tak jak i w pracach innych, nowy początek i niedawna przeszłość były ze sobą nierozzerwalnie splecione. Alfred Andersch, pisarz urodzony w 1914 roku, który służył w Wermachcie, w swojej najbardziej znanej książce, *Sansibar oder der letzte Grund* (1957), poruszał takie tematy jak komunistyczny ruch oporu, dezercja z armii, prześladowanie Żydów i „sztuka zdegenerowana” (jak naziści nazywali awangardowe formy artystyczne). Sugerował jednocześnie konieczność spełniania dwuznacznego obowiązku moralnego – z jednej strony pomoc w ucieczce prześladowanym, ale z drugiej dobrowolny powrót do Niemiec, kraju prześladowców. Heinrich Böll, o trzy lata młodszy od Anderscha, postrzegał swoje wojenne doświadczenia przez pryzmat gorliwej wiary katolickiej. W grudniu 1940 roku pisał, że w Europie musi zagościć „nowy duch” i że „z pewnością naszym zadaniem jest «propagowanie chrześcijaństwa»”. Zdecydowanie sprzeciwiał się jednak nazistowskiemu bestialstwu i militarystyce. W książce *Bilard o wpół do dziewiątej* (1959) uczciwie rozliczył się z nazistowskimi prześladowaniami i ich niszczycielskimi konsekwencjami, a we wcześniejszej powieści *I nie poskarżył się ani słowem* (1953) krytycznie i pesymistycznie odniósł się do nowo powstającego społeczeństwa, kształtowanego jedynie przez bodźce ekonomiczne. Znakomicie przyjęta za granicą (choć mocno krytykowana w konserwatywnych kręgach zachodnioniemieckich) książka *Zwierzenia kłowna* (1963) rozwijała te wątki, koncentrując się na powojennej moralności adenauerowskich Niemiec, spuściznie nazistowskiej przeszłości, hipokryzji konserwatywnych wartości, a w szczególności – antyliberalnej roli Kościoła katolickiego.

Poza granicami Niemiec Zachodnich najbardziej znanym powojennym autorem – szczególnie po tym, jak jego powieść *Blaszany bębenek* (1959) została w 1979 roku zekranizowana, przynosząc mu międzynarodową sławę – był Günter Grass. Oryginalność jego powieści, pierwszej w karierze, leżała w podwójnej



perspektywie. Hitlerowski Gdańsk (w którym Grass spędził swoje dzieciństwo) został przedstawiony oczami zarówno przenikliwego trzylatka, Oskara Matzeratha, jak i trzydziestoletniego Oskara, przebywającego w szpitalu psychiatrycznym. Oskar, dziecko, które zatrzymało się w rozwoju, otrzymując jednocześnie zdolność jasnowidzenia, wykorzystuje swój cenny prezent, blaszany bębenek, do ingerencji w świat dorosłych, tak jak wtedy, gdy dołącza się do nazistowskiej procesji, a ta w końcu zaczyna maszerować do rytmu wybijanych przez niego dźwięków. Za pomocą tej złożonej konstrukcji Grass pokazuje, jak jego rodzinne miasto osuwa się w przepaść barbarzyństwa i zniszczenia. Metoda podwójnej perspektywy pozwala spojrzeć naiwnymi oczami dziecka na świat, którego groźną złożoność będzie w stanie odkryć w pełni dopiero jako dorosły. Blaszany bębenek to sposób na przyciągnięcie uwagi do tych, którzy obserwują, są niechętni wobec masowych demonstracji i dogmatycznej ideologii, a jednocześnie nie angażują się w nic, co można by określić jako polityczną opozycję. Książka wzbudziła duże kontrowersje w społeczeństwie, które było w swojej przeważającej większości wysoce konserwatywne i religijne. Z kolei dla młodego pokolenia symbolizowała krytyczne podejście do niedawnej przeszłości, które pozwalało jednocześnie kwestionować teraźniejszość.

Przez swoje długie życie – zmarł w kwietniu 2015 roku – i świetną karierę literacką Grass w swoich dziełach i zaangażowaniu politycznym (zawsze wspierał socjaldemokratów) reprezentował niemieckie próby rozliczenia z przeszłością. To, jak skomplikowane były te relacje, szczególnie dla tych, którzy żyli w czasach nazistowskich, zostało jasno pokazane w autobiografii Grassa, wydanej dopiero w 2006 roku. Ujawnił w niej, że w 1944 roku, mając 16 lat, wstąpił na ochotnika do Waffen-SS i przez sześć miesięcy służył tam jako czołgista.

Niemcy Zachodnie były wyjątkowe, jeżeli chodzi o skalę i głębię literackich rozliczeń. Pod tym względem nikt nie mógł się z nimi równać. Niemniej także i we Włoszech powstały znaczące dzieła, dotyczące faszystowskiej spuścizny i wojny. Przejmująca powieść *Chrystus zatrzymał się w Eboli* (1945), Carlo Leviego – później zekranizowana – to wspomnienia politycznego wygnańca z czasów

dyktatury Mussoliniego, który ląduje w odległym, zacofanym, malarycznym i „zapomnianym przez Boga” regionie na południu Włoch. Curzio Malaparte, który miał w swoim życiu epizod faszystowski, a później był prześladowany za krytykę reżimu Mussoliniego, wykorzystał literaturę do opisanie swoich doświadczeń w roli korespondenta wojennego na froncie wschodnim na łamach książki *Kaputt* (1944), a w *Skórze* (1949) skoncentrował się na fizycznym i moralnym upadku Neapolu po inwazji aliantów w 1943 roku. Niektóre wiersze Salvatore Quasimodo (nagrodzone literackim Noblem w 1959 roku) także dotyczyły nieprawości ery faszystowskiej i cierpień spowodowanych wojną. Elio Vittorini, komunistyczny intelektualista, który swego czasu popierał w pewnym stopniu Mussoliniego, podkreślał znaczenie oporu w swojej powieści *Ludzie czy nie?* (1945). Giorgio Bassani w swoim *Ogrodzie rodziny Finzi-Continich* (1962, później z sukcesem zekranizowany) pisał o doświadczeniach żydowskiej społeczności w Ferrarze, poddanej dyskryminacji i prześladowaniom w okresie faszyzmu. Jednak po wojnie większość Włochów nie chciała rozpamiętywać faszystowskiej przeszłości. Primo Levi miał problemy ze znalezieniem wydawcy do książki, która później przyniosła mu sławę – *Czy to jest człowiek* – o swoich doświadczeniach z Auschwitz. Kiedy mu się to w końcu udało w 1947 roku, książkę wydrukowano w niewielkim nakładzie zaledwie 2000 egzemplarzy, a i tak nie udało się sprzedać całości. Musiała minąć ponad dekada, by książką zainteresował się duży włoski wydawca, Einaudi i, w dużej mierze dzięki angielskiemu przekładowi, stała się ona jedną z klasycznych pozycji memuarystyki Holokaustu.

Poczucie beznadziei czy fatalistycznego nihilizmu, widoczne w literaturze kontynentalnej Europy, było niemal całkowicie nieobecne w Wielkiej Brytanii. Wojna została przecież wygrana, mimo że kraj znalazł się na skraju ubóstwa. Poczuciu moralnego zwycięstwa nad złem nazizmu i oczekiwaniu, że wojenne poświęcenia doprowadzą do powstania lepszego społeczeństwa, towarzyszyła głęboka zaściankowość w życiu kulturalnym, politycznym i gospodarczym. Druga wojna światowa nie zaowocowała prawie żadną poezją, która głębią dorównywałaby dziełom powstałym po pierwszej wojnie, z wyjątkiem może

wierszy Keitha Douglasa, a w szczególności *Vergissmeinnicht*. Brakowało również introspekcji. Nieliczne abstrakcyjne rozważania filozoficzne odnosiły się do upadku cywilizacji. Ludzie, w tym intelektualiści, chcieli patrzeć w przód, a nie wracać do czasów wojennych. Niemal jedynym dziełem literackim, które koncentrowało się otwarcie na doświadczeniu wojennym, była słodko-gorzka trylogia *Sword of Honour* Evelyną Waugha, opublikowana w latach 1952–1961. To pełen pesymistycznej ironii obraz upadku tradycyjnych wartości instytucjonalnych i społecznych w świecie przeciętniactwa i pustki. Wojna dla Waugha była tryumfem niesławy, zdradą idealizmu. Wojna jako atak na wartości humanistyczne nie mieściła się w jego perspektywie.

Jeżeli chodzi o międzynarodowy odbiór swojego politycznego i społecznego pisarstwa w okresie bezpośrednio powojennym, to najważniejszym brytyjskim pisarzem był George Orwell – brytyjski głos w obronie etycznego socjalizmu. Orwell ostro krytykował wartości i wady konserwatywnego brytyjskiego establishmentu. Zachował jednak gorący angielski patriotyzm, zakorzeniony w wieloletniej tradycji równości, sprawiedliwości i wolności. Na doświadczenie wojenne patrzył przez pryzmat możliwości przeprowadzenia szerokich i radykalnych zmian społecznych. Ostatecznie jednak, to czego były świadkiem w niedalekiej przeszłości, napawało go głębokim pesymizmem w odniesieniu do przyszłości. Faszyzm został pokonany. Co jednak miało go zastąpić? Orwell całkowicie odrzucał wizje podsuwane przez komunistyczną utopię. Jego doświadczenia z hiszpańskiej wojny domowej otworzyły mu oczy na wrodzoną opresyjność i bezwzględność sowieckiego komunizmu. Dystopijne powieści, które przyniosły mu sławę, satyryczny *Folwark zwierzęcy* (1945), a szczególnie *Rok 1984* (tytuł powstał po prostu z przestawienia daty ukończenia, 1948, książka zaś wyszła rok później), opisywały przyszłe totalitarne społeczeństwo, w którym jednostka jest całkowicie podporządkowana politycznej i społecznej dominacji wszechmocnych i wszechwiedzących władców. Slogan „Wielki Brat cię obserwuje”, pokazujący całkowitą władzę najwyższego przywódcy, wszedł do języka potocznego. Był to świat, w którym sam język zmieniał nieprawdę

w prawdę, w którym to, co negatywne, stawało się pozytywne, w którym zniewolenie przekształcało się w to, co pozwalało się uznawać za wolność. Totalitaryzm stał się ideologicznym teorematem w zachodniej analizie zimnej wojny. W literaturze został doskonale opisany błyskotliwym piórem Orwella.

Na kontynencie podzielonym między rywalizujące ze sobą systemy polityczne i ideologie wysiłki literackie i intelektualne w nieunikniony sposób często padały ofiarą dogmatów zimnej wojny. Sowietci nie szczędzili pieniędzy i energii na wspieranie wysiłków mających podgrzewać antyamerykańskie nastroje wśród intelektualistów (i nie tylko) w Europie Zachodniej. Biorąc pod uwagę poziom antyamerykanizmu powszechny wśród niektórych odłamów lewicy, szczególnie we Francji, próby te często kończyły się niejakim powodzeniem.

Stany Zjednoczone odpowiedziały własnymi inicjatywami propagandowymi. W kategoriach wpływu intelektualnego najważniejszą był Kongres Wolności Kultury, założony w czerwcu 1950 roku, który szybko zaczął propagować antykomunistyczne poglądy w całej Europie Zachodniej. Kongres, potajemnie finansowany przez CIA, był popierany przez licznych antykomunistycznych intelektualistów. Znaleźli się wśród nich filozofowie Bertrand Russell, Benedetto Croce, Karl Jaspers i A. J. Ayer, Arthur Koestler (któremu sławę przyniosła błyskotliwa antyradziecka powieść *Ciemność w południe*, wydana w 1940 roku), wybitny francuski pisarz polityczny Raymond Aron i oksfordzki historyk, Hugh Trevor-Roper. Koestler, dawny komunista, pałający teraz neofickim ogniem, był najważniejszym mówcą konferencji założycielskiej w Berlinie. Premiera nie poszła jednak całkowicie płynnie. Trevor-Ropera i Ayera, którzy podczas wojny pracowali dla brytyjskiego wywiadu, zraził ostry ton i obsesyjny antykomunizm Koestlera. Niemniej początkowe brytyjskie obawy co do Kongresu szybko ustąpiły i na kulturalnym froncie zimnej wojny stał się on ideologicznym punktem odniesienia dla intelektualistów (i nie tylko), poza mniejszością wciąż zakochaną w Związku Radzieckim.

Dla niektórych czołowych intelektualistów, podobnie jak przed drugą wojną światową, marksizm stanowił jedyną pewną drogą do lepszego społeczeństwa – i to

pomimo rewelacji Chruszczowa na temat zbrodni stalinizmu, ujawnionych w lutym 1956 roku, oraz stłumienia powstania węgierskiego pod koniec tego roku. Ponieważ blask weimarskiego Berlina był już odległym wspomnieniem, a kulturowe bogactwo Europy Środkowej zostało zniszczone przez Holokaust, rozproszone przez emigrację lub stłumione przez sowiecką dominację, Paryż umocnił swoją dominację w europejskim życiu intelektualnym i kulturalnym. Nie jest przypadkiem, że w powojennej atmosferze egzystencjalistyczna filozofia Jeana-Paula Sartre'a – obszernie wyłożona w jego najpoważniejszej pracy z okresu wojennego, *Byt i nicość* (1943) oraz krótko w traktacie napisanym po wojnie, *Egzystencjalizm jest humanizmem* (1946), padała na podatny grunt.

Sartre, który już przed wojną znajdował się pod wpływem myślenia – choć nie politycznych afiliacji – niemieckiego egzystencjalisty (i wielbiciela Hitlera), Martina Heideggera, argumentował, że jedyną cechą wyróżniającą rodzaj ludzki jest „świadomość nicości swojego bytu”. Egzystencja była absurdem pozbawionym znaczenia. Tylko jednostka mogła nadać znaczenie swojemu życiu. Wybór był kluczowym, możliwym do zrealizowania elementem tej filozofii. Pozorną dojmującą beznadzieję można było zwalczyć wolnością i wyborem, za pomocą których jednostka tworzyła swoje własne wartości. Wojna pod pewnymi względami zmieniła jednak egzystencjalistyczne myślenie Sartre'a. To, co zaczęło się jako indywidualistyczna (i niepolityczna) filozofia, zostało przekształcone w czynną siłę, w której indywidualna wolność oznaczała obowiązek pracy na rzecz wolności wszystkich. Wynikało z tego ni mniej, ni więcej, tylko dążenie do radykalnej przemiany społeczeństwa. Myślenie Sartre'a zbliżyło go wówczas do marksizmu, politycznej filozofii społecznej transformacji i walki z burżuazyjnym społeczeństwem. Mocno poparł Francuską Partię Komunistyczną (choć nigdy się do niej nie zapisał) i Związek Radziecki. Usprawiedliwiał komunistyczną przemoc polityczną jako środek prowadzący do ostatecznego celu, czyli obalenia burżuazyjnego społeczeństwa na drodze rewolucji, co miało być ostateczną gwarancją wolności (choć atakował łamanie przez Sowietów praw człowieka i stłumienie powstania węgierskiego w 1956 roku).

Sartre zdawał sobie sprawę ze sprzeczności we własnym myśleniu. Głoszenie absurdalności i „nicości” egzystencji, a jednocześnie wzywanie do walki o nowe i lepsze społeczeństwo (czy coś takiego jako społeczeństwo w ogóle istnieje?), mające zostać stworzone (i narzucone?) przez masową partię kierowaną przez polityczną filozofię, która utrzymywała, że opiera się na rozumie i niezmiennych prawach historii, było oczywistą sprzecznością. A jednak Sartre, zdaniem wielu, trafnie uchwycił powojenny nastrój oscylujący pomiędzy rozpaczą i optymizmem co do natury i losu rodzaju ludzkiego. Pod koniec lat 50. egzystencjalizm zaczął tracić swój urok. Ale Sartre, publiczny francuski intelektualista *par excellence*, nadal magnetyzował, szczególnie młodych, i wpływał na ich antyestablishmentowe i rewolucyjne poglądy. Podczas jego pogrzebu w kwietniu 1980 roku na ulicach Paryża żegnało go dziesiątki tysięcy ludzi.

We wczesnych latach powojennych, i to nie tylko we Francji, marksizm łączył triumf w walce z faszyzmem z nadzieją na przyszłość. Dla wyznawców był systemem wiary równie wszechogarniającym, co katolicyzm trydencki dla swoich wiernych. Jednak gotowość do pomijania lub tłumaczenia zbrodni stalinizmu i opresyjnego charakteru sowieckiej władzy zostały wystawione na ciężką próbę przez inwazję na Węgry. Wielu czołowych marksistowskich intelektualistów opuściło w rezultacie partię komunistyczną. A gdy marksizm zaczął w latach 60. ponownie wywierać intelektualny wpływ i ekscytować studentów na uniwersytetach, Związek Radziecki nie był już dla nich głównym wzorem (patrz rozdział 6).

Za żelazną kurtyną antyfaszyzm był ideologicznym klejem, spajającym przeszłość z przyszłością. Faszyzm, który dla obywateli Europy Środkowej i Wschodniej był tożsamy z nazizmem, stanowiącym dla nich źródło długich i nieopisanych cierpień, został pokonany przez sowiecką potęgę militarną w „wielkiej wojnie ojczyźnianej”. Zwycięstwu towarzyszyło niezłomne przekonanie, że siła stojąca za nazistowskim pragnieniem brutalnych podbojów musiała zostać zgnieciona, jeżeli powstać miało socjalistyczne społeczeństwo. To przekonanie opierało się z kolei na definicji faszyzmu, stworzonej w 1933 roku

i dopracowanej dwa lata później przez Gieorgija Dymitrowa (przed wojną szefa Kominternu, a po jej zakończeniu premiera Bułgarii od grudnia 1946 roku do śmierci w lipcu 1949 roku), zgodnie z którą faszyzm był „jawną terrorystyczną dyktaturą (...) najbardziej imperialistycznych elementów kapitału finansowego”. Konsekwencje były oczywiste: walka z hitlerowskim barbarzyństwem została wygrana; ale to, co stworzyło faszyzm, pozostało immanentną częścią imperialistycznego kapitalizmu na Zachodzie. Wizja przyszłości – komunistyczna utopia – może zmienić się w rzeczywistość jedynie za sprawą dalszej walki przeciwko zachodniemu kapitalizmowi. Przeszłość i przyszłość zostały w ten sposób związane tą wizją.

Niektórzy wybitni niemieccy pisarze, zmuszeni do emigracji w czasach Trzeciej Rzeszy, postanowili wrócić nie do kapitalistycznych Niemiec Zachodnich, ale do Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Wśród nich znalazł się wspomniany już Bertold Brecht i jego żona, Helene Weigel. Dzieła Brechta, w tym *Strach i nędza Trzeciej Rzeszy* (1938) i kąśliwa satyra na marsz Hitlera do władzy, *Kariera Arturo Ui* (1941), błyskotliwie podsumowywały antyfaszystowskie i emancypacyjne idee marksizmu, popularyzując je na Zachodzie, a jednocześnie pomagając legitymizować alternatywę, jaką stanowiło państwo komunistyczne w Niemczech Wschodnich. Innym pisarzem, który wybrał życie w, jak to ujął, „lepszych Niemczech”, był Stefan Heym, który wcześniej służył w amerykańskiej armii i podczas wojny pisał o ruchu oporu i prześladowaniach. Był kolejnym wielkim sukcesem propagandowym z początków enerdowskiego reżimu, choć stopniowo tracił złudzenia, widząc ścisłą kontrolę i represyjny charakter nowego państwa. Jeszcze większą zdobyczą dla wczesnego NRD był powrót z wygnania Anny Seghers, zdeklarowanej komunistki, której powieść obozowa, *Siódmy krzyż*, napisana w 1939, została zekranizowana w 1944 roku w Hollywood i przyniosła jej międzynarodową sławę.

Bez względu na swój początkowy entuzjazm niewielu intelektualistów wartych zapamiętania mogło na dłużej tolerować przykucie do ideologii, która w politycznej praktyce owocowała tylko cenzurą, restrykcjami i płytkim

konformizmem. W Związku Radzieckim krótka powieść *Odwilż* Ilji Erenburga (której jeden z bohaterów to typ „małego Stalina”) wydawała się w momencie publikacji w 1954 roku zapowiedzią powiewu intelektualnej wolności. Jednak zerwanie z „zamrożoną” przeszłością stalinizmu i dławiącymi ograniczeniami, narzuconymi przez powojennego nadzorcę kultury z nadania Stalina, Andrieja Żdanowa, nie mogło posunąć się za daleko. Epicka powieść Wasilija Grossmana *Życie i los* (1960), kronika życia sowieckiej rodziny podczas drugiej wojny światowej, będąca jednocześnie ostrą krytyką stalinizmu, została skonfiskowana przez KGB w 1961 roku. Grossman nie dożył publikacji swojej książki na Zachodzie, gdzie okazała się wielkim sukcesem. Zmarł na raka żołądka trzy lata później. „Areszt” (jak ujmował to sam Grossman) jego książki był sygnałem, że swoboda literackiej wypowiedzi w Związku Radzieckim pozostała ograniczona. Centralny wątek antyfaszyzmu nadal zakreślał ramy wszelkiego myślenia o przeszłości i przyszłości.

Jednak poza Związkiem Radzieckim intelektualny nonkonformizm zaczął w latach 50. śmieiej pokazywać swoją twarz. Polski pisarz, Adam Ważyk, niegdysiejszy piewca Stalina, opisał swoje rozczarowanie stalinowską Polską w opublikowanym w 1955 roku *Poemacie dla dorosłych*, zjadliwej krytyce i lamencie nad Polską, która zniknęła. Dwa lata później wystąpił z partii komunistycznej. Jan Kott, polski pisarz i krytyk teatralny, który w 1951 roku pod niebiosa wychwalał Stalina i opowiadał się za podporządkowaniem teatru partyjnej ideologii, także zmienił zdanie w połowie lat 50., a w 1957 dołączył do Ważyka i rzucił partyjną legitymację. Powszechnie dominował jednak konformizm i bez względu na to, jak ostra była krytyka panujących warunków, większość intelektualistów nie odrzucała ideologii marksistowskiej. Wypaczenia marksizmu, a nie sam marksizm, twierdzono, były przyczyną zniekształceń i opresji.

## **(Nad)używana przeszłość**



Kulturalna zimna wojna, bardziej niż jakakolwiek inna, rozgrywała się na polu historycznego mitu, pamięci i interpretacji. W tym obszarze cień przeszłości był najbardziej widoczny. Jedynie w części stanowił starcie pomiędzy adwersarzami z dwóch stron żelaznej kurtyny. W szerszym kontekście odzwierciedlał przeciwstawne stanowiska w obrębie samej Europy Zachodniej – wyrażające narodowe doświadczenia i mitologię czasów wojny.

Definicja faszyzmu Dymitrowa oznaczała, że wschodnioeuropejskie rozumienie niedawnej przeszłości pozostawało stosunkowo mało elastyczne i monolityczne. Oferowało niezmienną i prostą interpretację katastrofalnych wydarzeń niedawnej historii – która zmieniła się diametralnie wraz z triumfem sowieckiego komunizmu – a także czytelny przekaz polityczny. Faszyzm służył kapitalistycznym interesom; jego przywódcy byli narzędziami w rękach wielkiego biznesu. A ponieważ kapitalizm wciąż kwitł na Zachodzie, polityczny przekaz – sposób, w jaki przeszłość służyła terażniejszości i przyszłości – był łatwy do odczytania. Przeszłość była ostrzeżeniem. Stanowiła wskazówkę dla przyszłej walki.

Przekaz ozdobiony był wizją heroicznego komunistycznego oporu przeciwko nazistowskiej władzy, przy praktycznym wykluczeniu wszelkich innych form sprzeciwu. Oczywiście wspaniałe dokonania Armii Czerwonej i narodu sowieckiego w odparciu, a potem zniszczeniu faszystowskich najeźdźców, były stale obecne we wszystkich dziełach historycznych, przy jednoczesnym pomijaniu wysiłku wojennego zachodnich aliantów. Niewygodne fakty, takie jak pakt Hitler–Stalin z 1939 roku i późniejsze zajęcie państw bałtyckich i wschodniej Polski, były po prostu ignorowane albo w najlepszym przypadku tłumaczone strategiczną koniecznością, spowodowaną błędną polityką ugłaskiwania Hitlera przez mocarstwa zachodnie. Wreszcie rasizm – a w szczególności antysemityzm – nie był postrzegany za ideologiczne jądro nazistowskiego kredo, co odkryły dopiero późniejsze pokolenia, ale za nieuniknioną konsekwencję pazernego kapitalistycznego imperializmu. Oczywiście Żydzi byli bezlitośnie prześladowani, ale to samo dotyczyło niezliczonych rzesz innych, głównie Słowian, cierpiących

pod hitlerowskim jarzmem. Takich zafałszowań było wiele (konsekwentnie demaskowały je później badania historyczne). Jednak ta interpretacja, wkomponowana w ideologię, która nie pozostawiała alternatyw, i wspierana przez monopolistyczną partię i potęgę państwa, była w Europie Wschodniej niepodważalna. Prezentowano ją w niezliczonej liczbie książek historycznych. W swojej najbardziej bezkompromisowej wersji pokazywano ją jednak w celu „oświecenia” opinii publicznej w Muzeum Historii Niemieckiej (*Museum für Deutsche Geschichte*), założonym w Berlinie Wschodnim w 1952 roku.

Europa Zachodnia także jednak miała swoje mity dotyczące niedawnej przeszłości. Jej zafałszowania były bardziej zniuansowane i zróżnicowane niż wersja sowiecka, niemniej istniały. Francja, dla przykładu, wykorzystwała wojenny ruch oporu jako fundament powojennej legitymizacji politycznej. Heroizm i męczeństwo podziemia były podkreślane na każdym kroku, jego ograniczona skuteczność, wewnętrzne podziały i ideologiczne konflikty bagatelizowano. Ruch oporu przedstawiano jako reprezentację narodowej tożsamości, a Vichy jako zdradę wszystkiego, co było prawdziwie francuskie. Samego de Gaulle’a traktowano jako uosobienie ducha oporu. Ta wersja została dodatkowo upiększona poprzez publikację w latach 50. wojennych wspomnień generała – był to ważny wkład zarówno w kult ruchu oporu, jak i zwłaszcza w jego własny wizerunek jako zbawcy Francji. Jeszcze w 1970 roku był on postrzegany we Francji w większym stopniu jako symbol walki kontynuowanej po klęsce w 1940 roku i wyzwolenia cztery lata później niż jako założyciel Piątej Republiki.

Dla odmiany zasłonę milczenia spuszczone na skalę kolaboracji z reżimami faszystowskimi. Trzeba było dwóch dekad, by we Francji uczciwie rozliczono się z „syndromem Vichy”. Prawdziwym początkiem tego procesu okazał się film Marcela Ophülsa *Smutek i litość* z 1969 roku. Ten długi, dwuczęściowy dokument, koncentrujący się głównie na miasteczku Clermont-Ferrand w środkowej Francji, po raz pierwszy pokazał codzienną kolaborację z niemieckim okupantem. Sprawa była tak drażliwa, że w tym roku, ostatnim roku prezydentury de Gaulle’a, państwowa telewizja nie mogła go pokazywać – „embargo” zdjęto dopiero w 1981

roku. Film i tak jednak stał się sensacją we Francji. I to nie francuski, lecz amerykański historyk, Robert Paxton, który dopiero w 1972 roku w książce *Francja Vichy: Stara gwardia i nowy ład. 1940–1944*, jako pierwszy opisał własne inicjatywy reżimu Vichy w kwestii deportacji Żydów do obozów śmierci.

We Włoszech antyfaszizm był jednym z fundamentów powojennego państwa włoskiego i jego republikańskiej konstytucji. Stworzył więź, przekraczającą głębokie w innych wymiarach podziały polityczne. Odwaga ruchu oporu wobec faszystowskiego terroru w ostatnich dwóch latach wojny, kiedy niemieccy okupanci przywrócili Mussoliniego do władzy w północnych Włoszech, była fundamentem podejmowanych bezpośrednio po wojnie prób ukształtowania narodowej tożsamości nowej republiki włoskiej. Ruch oporu, twierdził popularny historyk, Roberto Battaglia, w swojej wydanej w 1953 roku książce *Storia della resistenza italiana*, reprezentował „prawdziwy lud” Italii, serce narodu, a w „narodowym powstaniu” w 1945 „odzyskał on honor Włoch, tak nikiemnie splugawiony przez faszystów”.

Kluczowa rola odegrana przez komunistów w ruchu oporu była natomiast pomniejszana, ponieważ głównym fundamentem ideologicznym nowych Włoch był antykomunizm. Po rozpoczęciu zimnej wojny Włochy dostały pomoc w ramach planu Marshalla, weszły do NATO i na szeroką skalę korzystały z funduszy amerykańskich. W państwie kontrolowanym w dużej mierze przez chadeków (przy wsparciu i znaczących wpływach Kościoła katolickiego) dzielący społeczeństwo antykomunizm zastąpił w roli dominującej ideologii jednoczący je antyfaszizm. Faszystowska przeszłość została w dużej mierze wymazana. Państwowa telewizja, która zaczęła nadawać w 1954 roku, niemal nie dotykała tematów związanych z historią najnowszą.

Prace historyków dotyczące faszyzmu, o ile w ogóle docierały do szerszej publiczności, koncentrowały się w dużej mierze na przyczynach przejścia przez nich władzy, represyjnym charakterze systemu i przygotowaniach do wojny. Historia włoskiego społeczeństwa pod rządami faszystów i skala poparcia dla reżimu Mussoliniego pozostawały tematami nietkniętymi. Tak było aż do połowy

lat 70., kiedy w trzecim tomie swojej fundamentalnej, czterotomowej biografii Mussoliniego (opublikowanej w latach 1965–1996), zatytułowanym *Gli anni del consenso*, Renzo De Felice postawił tezę, że większość Włochów popierała cele i politykę reżimu faszystowskiego. To stworzyło, nie bez wielkich kontrowersji, dyskusję na temat poparcia dla faszyzmu we Włoszech. Bez względu na wartość używanych argumentów złamała ona popularny mit o narodowej tożsamości, budowany wokół antyfaszyzmu.

W Niemczech Zachodnich, podobnie jak we Włoszech, historia ruchu oporu pomagała legitymizować nową demokrację. Podczas gdy w Niemieckiej Republice Demokratycznej opór przeciwko reżimowi Hitlera przypisywano niemal w całości komunistom, w Republice Federalnej obowiązywał obraz niemal całkowicie odwrotny – podkreślano patriotyzm konserwatywnego oporu, w szczególności armii, podczas gdy rolę komunistów umniejszano. Poczesne miejsce w tym panteonie przyznawano „ludziom 20 lipca 1944 roku” – głównie oficerom, kierowanym przez pułkownika Clausa Schenka Grafa von Stauffenberga – którzy zawiązali spisek mający na celu zabicie Hitlera i którzy zapłacili zań straszliwą cenę, choć niemal odnieśli sukces. Kierowani indywidualnym sumieniem, etyczną uczciwością i moralnym obowiązkiem obalenia tyranii, zaryzykowali życie, by zniszczyć przestępczy reżim i przywrócić w Niemczech porządek prawny, wolność i demokrację. Sprzeciw wobec nazizmu stanowił, według tej wizji, dowód na istnienie „innych Niemiec”, „prawdziwych” Niemiec sprzed czasów, gdy represyjny reżim Hitlera wepchnął kraj w czeluść totalitarnego zniewolenia. Nazizm, według tej narracji, był tylko złym przerywnikiem w pozytywnym rozwoju historii Niemiec.

Niektóre publikacje pozostawały poza konserwatywnym, intelektualnym mainstreamem. Jednak mało kto poza specjalistami czytał analizę strukturalnej słabości demokracji weimarskiej pióra Karla Dietricha Brachera, a i historycy nie traktowali go poważnie, uważając go przede wszystkim za politologa. Wybitne, pionierskie prace badawcze zostały podjęte w Instytucie Historii Najnowszej (*Institut für Zeitgeschichte*), założonym specjalnie w tym celu, który zabrał się do

roboty zaskakująco szybko, bo już w 1952 roku, czyli zaledwie siedem lat po samobójczej śmierci Hitlera w berlińskim bunkrze. Znow jednak, mało z tego trafiało do publicznej świadomości czy nawet do programów uniwersyteckich (w których najnowszej przeszłości prawie nie uwzględniano). Co więcej, nawet tutaj podkreślanie ciągłości z przednazistowską przeszłością natrafiało na opór. Kurt Sontheimer, który pracował w Instytucie pod koniec lat 50., ujawnił cały wachlarz antydemokratycznych poglądów w Republice Weimarskiej, wykraczających daleko poza nazistów i obejmujących również mentalność konserwatywną. Instytut, niezadowolony z jego ustaleń, odmówił publikacji jego książki w ramach własnej serii monografii. Wydano ją osobno później, w bardziej sprzyjających okolicznościach, i stała się ona lekturą obowiązkową.

Konserwatywna dominacja w zachodnioniemieckiej historiografii oznaczała nie tylko ciągłość personalną i intelektualną, która przetrwała Trzecią Rzeszę, ale również pasowała do atmosfery epoki Adenauera. Mało kto miał ochotę zgłębiać przeszłość, odgrzebywać niewygodne wspomnienia, nagłaśniać tematy, o których najlepiej byłoby zapomnieć. Nazistowska przeszłość była po prostu zbyt świeża, rany wciąż niezasklepione, cierpienia z ostatniej fazy wojny – które pozwoliły Niemcom uwierzyć, że to *oni* byli głównymi ofiarami przestępczego reżimu – zbyt dojmujące, współudział i kolaboracja z partią i państwem zbyt powszechna, by opinia publiczna miała ochotę na cokolwiek innego poza udziałem w konspiracji milczenia, mającej na celu wymazanie przeszłości.

Tam, gdzie nie panowało bezpośrednie milczenie, zastępowało je pośrednie albo nawet bezpośrednie usprawiedliwianie. Naród niemiecki został uwiedziony przez propagandę i doprowadzony do ruiny przez Hitlera i bandę nazistowskich gangsterów; większość społeczeństwa sprzeciwiała się reżimowi, ale była bezsilna w konfrontacji z totalitarnym państwem policyjnym; wojny chcieli tylko nazistowscy przywódcy; niemiecka armia walczyła honorowo i do końca spełniała swój patriotyczny obowiązek (pogląd ten zdecydowanie zrewidowano dopiero kilkadziesiąt lat później); barbarzyńskie działania w Europie Wschodniej były dziełem kryminalistów z SS; zwykli Niemcy nie byli zaangażowani i nie wiedzieli

nic o eksterminacji Żydów. Holokaust (jak zaczął być nazywany) był niemal całkowicie wyłączony z debaty publicznej i stanowił niewielką część badań historycznych. Dopiero w latach 80. zaczął zajmować centralną rolę zarówno w powszechnej, jak i akademickiej interpretacji epoki. O ile w Niemieckiej Republice Demokratycznej ludobójstwo Żydów było po prostu podciągnięte pod szersze eksterminacyjne barbarzyństwo faszystowskiego imperializmu, w Niemczech Zachodnich – o ile w ogóle o tym dyskutowano – przypisywano je wyłącznie złu uosobianemu przez Hitlera i kierownictwo SS. Psychologowie Alexander i Margarete Mitscherlich podsumowali później tę zbiorową reakcję w swojej książce *Die Unfähigkeit zu trauern*. Książka, opublikowana po raz pierwszy w 1967 roku, zwiastowała nową epokę w analizie nazistowskiej przeszłości i z miejsca stała się bestsellerem.

Choć większość zachodnich Niemców chciała cieszyć się owocami „cudu gospodarczego”, a nie grzebać w przeszłości, nie mogli jej całkowicie zamknąć w szafie. W 1961 roku ukazała się mało spektakularna na pierwszy rzut oka książka, kilkusetstronicowa analiza niemieckiej korespondencji dyplomatycznej sprzed *pierwszej* wojny światowej autorstwa Fritza Fischera, *Griff nach der Weltmacht*. Wywołała ona niezwykle gorący spór. Fischer stawiał na głowie ogólnie przyjętą interpretację historyczną. Do tego czasu pozostawał mało znany poza kręgami naukowymi. Był konserwatystą, przez jakiś czas należał nawet do partii nazistowskiej. Jednak jego książka wstrząsnęła konserwatywnym establishmentem. Na podstawie przeprowadzonych analiz przekonań, planów i działań niemieckich elit w przededniu pierwszej wojny światowej autor doszedł do wniosku, że ich celem był wyłącznie podbój i wyniesienie Niemiec do rangi światowego mocarstwa. Innymi słowy, Fischer starał się wykazać, że Hitler był produktem ciągłości niemieckiej historii, sięgającej XIX wieku. Jego badania zaowocowały interpretacją, która dla wielu Niemców była trudna do przyjęcia. O ile byli już skłonni przyznać, że ich kraj jest odpowiedzialny za drugą wojnę światową, to teraz mówiono im, że był także odpowiedzialny za *pierwszą* – teza, którą sprzymierzeni wysunęli już w Wersalu, a której Niemcy aż do teraz

gwałtownie zaprzeczali. Niemcy, w świetle prac Fischera, już na długo przed rokiem 1914 kroczyli „specjalną ścieżką” (*Sonderweg*) wśród narodów europejskich. Ta ścieżka doprowadziła ich do Hitlera, wojny, ludobójstwa i narodowej katastrofy.

Była to interpretacja, która gdy już ucichły bezpośrednie kontrowersje, na dziesięciolecia zaciążyła na poglądach Niemców na ich własną przeszłość. Pod pewnymi względami zainaugurowała ona proces, który począwszy od lat 60., doprowadził do jeszcze większej gotowości, by odkrywać najmroczniejsze zakątki niemieckiej przeszłości. Niechęć starszego pokolenia do rozliczenia się z przeszłością stała się pożywką dla poczucia alienacji i odrzucenia, wyrażanego w protestach studenckich 1968 roku. Musiała jednak minąć dekada od tych niepokojów, zanim podjęto poważne studia nad setkami codziennych form współudziału znacznej części społeczeństwa w rządach nazistów. Jeszcze więcej czasu musiało upłynąć, zanim sam Holokaust stał się centralnym punktem odniesienia dla ponownej oceny niemieckiej przeszłości. Mimo to na początku lat 60. Niemcy nie mogli już całkowicie zamykać oczu na próbę wymordowania europejskich Żydów. Schwytanie w Argentynie w maju 1960 roku przez izraelskich agentów Adolfa Eichmanna, głównego organizatora tego, co naziści nazwali „ostatecznym rozwiązaniem kwestii żydowskiej”, jego proces w Jerozolimie w kolejnym roku, a następnie śmierć przez powieszenie w czerwcu 1962 roku, a później przeprowadzony w latach 1963–1965 we Frankfurcie nad Menem proces załogi z Auschwitz, największej nazistowskiej fabryki śmierci, przykuł na jakiś czas uwagę opinii publicznej do ludobójstwa, które okazało się nieodłącznym elementem niemieckiej wojny. „Śmierć to pan z Niemiec”, pisał Paul Celan. Coraz trudniej było wyrzucić tę myśl ze zbiorowej świadomości.

Miejsce, które najnowsza przeszłość zajmowała w brytyjskiej świadomości zbiorowej, było inne niż w jakimkolwiek innym kraju Europy kontynentalnej. Wielka Brytania nie została podbita, nie była okupowana i wyszła z wojny jako zwycięzca. Jej niedawna historia sprzyjała tworzeniu narodowego autoportretu zbudowanego na wojennym heroizmie. To sprzyjało poczuciu – już wcześniej

czytaniu z tradycji historycznych i instytucji – że Wielka Brytania jest zarówno wyjątkowa, jak i odrębna od Europy kontynentalnej. Historia, pamięć i mit zostały wprzęgnięte do służby, której celem było przedstawienie szczytnego epizodu „naszej wyspiarskiej historii”, historii heroizmu i triumfu, historii dobra pokonującego zło. Wielka Brytania już wcześniej musiała walczyć, i zwyciężyła, w jednej wojnie światowej przeciwko Niemcom. Wbrew swojej woli została zmuszona, by zrobić to ponownie. Zwycięstwo nad nazistowskim złem, osiągnięte dzięki walce „ramię w ramię” z zachodnim sojusznikiem, Stanami Zjednoczonymi, jeszcze bardziej upiększało wizję „specjalnych stosunków” z transatlantyckimi kuzynami. I na odwrót, większość ludzi wykazywała niewielkie zainteresowanie tym, co dzieje się po drugiej stronie kanału La Manche. Wyświechtane powiedzonko „mgła nad kanałem, kontynent odcięty od Anglii”, powtarzane jako żart; zawierał w sobie jednak ziarno prawdy, nawet jeżeli stanowił autoparodię brytyjskiego izolacjonizmu.

Wielka Brytania w epoce powojennej była wychowywana w wersji wojny związanej ze swoim największym bohaterem, Winstonem Churchillem. Sześciotomowa historia konfliktu pióra Churchilla, *Druga wojna światowa* opublikowana w latach 1948–1953, wyznaczyła linię interpretacji. Polityka appeasementu zaprowadziła kraj na skraj katastrofy. W 1940 roku, w „godzinie próby”, Wielka Brytania stanęła samotnie do walki z nazistowską tyranią. Niemiecka inwazja została odparta dzięki odwadze młodych pilotów, którzy, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, wygrali latem 1940 roku bitwę o Anglię. Naród brytyjski był wtedy noc w noc bombardowany w swoich domach podczas niemieckiego „blitzu”. Po najczarniejszej nocy powoli nastawał brzask. Poprzez wielkie zwycięstwa w wojnie pustynnej, wygranie, ogromnym kosztem, bitwy o Atlantyk i dzięki odwadze załóg bombowców, które podjęły rękawicę rzuconą im przez niemieckich pilotów i nocami bombardowały instalacje wroga, losy wojny powoli zaczęły się odwracać. D-Day 6 czerwca 1944 roku był kulminacją odwagi i tryumfu, momentem, w którym przy udziale naszych wiernych amerykańskich



sojuszników zwycięstwo zostało przypieczętowane, a droga do ostatecznego pokonania nazizmu otwarta.

Ten heroiczny przekaz był wzmacniany i osadzany w zbiorowej świadomości przez niezliczoną liczbę opowieści o „brawurze” brytyjskich żołnierzy, zarówno w beletrystyce i wspomnieniach wojennych, jak i w popularnych filmach, takich jak *The Cruel Sea* (*Okrutne morze*, 1953), *The Dambusters* (*Nocny nalot*, 1955) i *Sink the Bismarck* (*Zatopić pancernik Bismarck*, 1960). Komiksy indoktrynowały rzesze młodych ludzi, pokazując im brytyjski heroizm i niemieckich „drani”.

Jednak aż do lat 60. historia drugiej wojny światowej nie budziła większego zainteresowania. Program nauczania historii w szkołach i na uniwersytetach wciąż zazwyczaj kończył się na roku 1914. Niewiele uwagi poświęcano też „historii zagranicznej” (jak nazywano ją w Oksfordzie). Poza kilkoma znaczącymi wyjątkami – wśród nich warte wzmianki są szczególnie *Last Days of Hitler* (*Ostatnie dni Hitlera*) Hugh’a Trevor-Ropera z 1947 roku i *Hitler: A Study in Tyranny* (*Hitler: Studium Tyranii*) Alana Bullocka z 1952 roku – powstało niewiele poważnych prac dotyczących ery nazistowskiej. Zaczęło się to zmieniać dopiero na początku lat 60. Nawet wówczas antyniemieckie stereotypy były podtrzymywane w kontrowersyjnej książce najpopularniejszego brytyjskiego historyka, A. J. P. Taylora, *The Origins of the Second World War*. Książka Taylora, najeżona charakterystycznymi dla niego ostrymi, epigramatycznymi zdaniami i kategorycznymi sądami, była świadomie rewizjonistyczna. Autor bliski był obwiniania za wojnę nie nazistowskich agresorów, lecz brytyjskich kapitulantów. Książka ukazała się w 1961 roku, tym samym co spektakularna rewizja interpretacji niemieckich celów podczas pierwszej wojny światowej pióra Fritza Fischera. Taylor wykorzystał ustalenia Fischera dla podparcia swojej własnej antyniemieckiej interpretacji – już w 1944 roku opublikował krótką, mocno antyniemiecką pracę *The Course of German History* (*Kurs historii Niemiec*), w której pisał, że „dla stosunków międzynarodowych w Hitlerze nie było niczego złego poza tym, że był Niemcem”. (Urodzony w Austrii Hitler dostał niemieckie obywatelstwo dopiero w 1932 roku).

Dlatego też przeszłość nadal rzucała głęboki cień na kontynent europejski, choć na bardzo różne sposoby. Począwszy od lat 60., za sprawą niemal powszechnej ekspansji wyższej edukacji, tempa nabrały badania nad ideologicznymi i politycznymi ruchami, które popchnęły Europę ku katastrofalnej wojnie i ludobójstwu. Mimo to uderzające jest, że dopiero w latach 80., gdy dystans czasowy był już wystarczająco duży, druga wojna światowa i Holokaust stały się centralnymi punktami europejskiej świadomości zbiorowej.

## **Zerwanie z przeszłością**

Przeszłość, świadomie lub nie, kształtowała powojenną teraźniejszość. Jednak pomiędzy rokiem 1955 a 1965 w kulturze popularnej zaszły zmiany, które doprowadziły do radykalnego zerwania z przeszłością. Po upływie tej dekady miało się wręcz wrażenie, że dokonała się rewolucja.

Większość ludzi nie zajmowała się przeszłością. Chcieli cieszyć się lepszymi czasami. Przedstawiciele młodszego pokolenia, szczególnie ci urodzeni pod koniec wojny lub tuż po niej, żyli teraźniejszością i patrzyli w przyszłość. „Chwytaj dzień” było ich niepisanym hasłem. W latach 60. – choć proces ten zaczął się już w poprzedniej dekadzie – odcisnęli swoje niezatarte piętno na transformacji kultury masowej. Pokolenie, a także klasa społeczna, stała się bardziej istotnym wyróżnikiem niż prawdopodobnie kiedykolwiek wcześniej. Stopniowo, lecz nieubłagane zmiany te wpływały na wartości społeczne i styl życia. Również stopniowo zawężała się przepaść pomiędzy kulturą „wysoką” a „popularną”. Rzecz nie w tym, że nastolatki stali się fanami opery, a emeryci zaczęli wielbić hard rocka, ale szanse na to, że te gusta zaczną się zazębiać, były większe niż na początku wieku. Rodzice z klasy średniej, zarażeni gustami swojego potomstwa (lub chcący uniknąć wykluczenia z nich), mogli słuchać popu tak samo jak muzyki klasycznej, a profesorowie uniwersytetu chodzić na mecze piłkarskie – rozrywkę zarezerwowaną wcześniej dla wielkoprzemysłowej klasy robotniczej. Oczywiście

nie należy wyolbrzymiać skali lub tempa tych zmian. Podobnie nie była ona jednolita na całym kontynencie. Można powiedzieć bez nadmiernej przesady, że mur berliński był czytelną ilustracją kontrastu pomiędzy technicolorowym Zachodem a szarym Wschodem, gdzie państwo w każdym kraju za żelazną kurtyną próbowało, nie bez sukcesów, ograniczyć dostęp do „dekadenckiej” kultury zachodniej. Z kolei w Europie Zachodniej transformacja kulturowa była najwolniejsza tam, gdzie wpływy Kościoła katolickiego były najsilniejsze. Jednak gdy proces zmian się rozpoczął, rozwijał się nieubłaganie i rozprzestrzeniał, niemal przez osmozę, przez pozostałą część wieku i później. Kluczowy dla tego procesu był jednak początek, który przypada na dekadę pomiędzy połową lat 50. a połową 60.

Uniwersalnym językiem młodych jest muzyka – a dokładniej muzyka popularna. I tu nie ma wielkiej trudności ze zlokalizowaniem sejsmicznego oderwania się od przeszłości. W 1954 roku brytyjską listę przebojów otwierała ballada „My Son, My Son”, Very Lynn, piosenkarki którą w czasie wojny nazywano „ukochaną armii”. Rok później pierwsze miejsce zajmował już „Rock Around the Clock” zespołu Bill Haley and the Comets. Zwiastował on nadejście rock and rolla – nowego, sensacyjnego stylu muzyki, który przybył przez Atlantyk ze Stanów Zjednoczonych i z miejsca podbił serca nastolatków. Natychmiast sale taneczne, zarezerwowane dotąd dla statecznego quickstepa i fokstrota, zostały oddane we władanie frenetycznego jive’a. Kiedy w 1956 roku do kin wszedł film z udziałem Haleya, reakcja przeszła najśmielsze oczekiwania. Fani krzyczeli na seansach i tańczyli w przejściach między siedzeniami. Banalna historyjka o menadźerze zespołu tanecznego, który osiąga sukces, dostrzegając potencjał tkwiący w rock’n’rollu, trafnie uchwyciła ducha młodzieżowej rebelii. Zainspirowani nią nastolatki wszczynali burdy, w miastach i miasteczkach całej Europy Zachodniej dochodziło do aktów wandalizmu. Film został zakazany w Wielkiej Brytanii przez 80 rad miejskich. Haley wkrótce zszedł ze sceny. Jego Komety przemknęły przez niebo i zniknęły. Ale wtedy pojawił się Elvis Presley.

Począwszy od połowy lat 50., Elvis miał wśród młodszego pokolenia Amerykanów status niemalże boski, ale coraz popularniejszy stawał się również w Europie (między innymi za sprawą obecności amerykańskich żołnierzy w Europie i programów muzycznych wojskowej stacji American Forces Network, AFN). Seria ogromnych przebojów płytowych - w tym „Heartbreak Hotel”, „Hound Dog”, „Blue Suede Shoes”, „Jailhouse Rock” i „One Night” – uczyniły zeń pierwszą megagwiazdę rock’n’rolla. Przystojny, z zaczesanymi do tyłu włosami, zmysłową ekspresją i sugestywnym ruchem bioder, stał się symbolem seksu dla milionów nastolatków – i zagrożeniem dla moralności w oczach wielu z ich rodziców. Wielu starszych Europejczyków widziało w tym zjawisku dalsze niebezpieczeństwo upadku prawdziwej kultury, ale nastolatki oddawali cześć w tej świątyni, nie tylko Elvisowi, ale także innym ważnym twórcom rock’n’rolla – w tym tak ważnym postaciom jak Jerry Lee Lewis, Little Richard, Chuck Berry, Eddie Cochran i Buddy Holly – którzy cieszyli się ogromną popularnością tak w Europie, jak i w USA. Wpływ rock and rolla na młodsze pokolenie był gigantyczny. Dla Charlesa White’a, który otrzymał zamkniętą, by nie rzec dogmatyczną edukację w katolickiej szkole przyklasztornej w zachodniej Irlandii, „usłyszenie «Long Tall Sally» Little Richarda” – wydanej w 1956 roku – „było jak wyjście z Bastylii po 40 latach. WOLNOSC, WOLNOSC, WOLNOSC!”. Dla White’a i wielu innych rock and roll był po prostu kulturalną rewolucją.

W 1962 roku centrum tej muzycznej rewolty kulturalnej przeniosło się do Anglii. Ich pierwszy sukces płytowy, „Love Me Do” zwiastował nadejście The Beatles – czterech młodych, obciętych pod garnek chłopców z Liverpoolu (Johna Lennona, Paula McCartney’a, George’a Harrisona i Ringo Starra), którzy już następnej wiosny stali się fenomenem. „Beatlemania” ogarnęła Wielką Brytanię. W 1964 roku entuzjastyczne tłumy towarzyszyły im podczas amerykańskiego tournée. Ich muzyka rozwijała się od wczesnego, prostego rocka po bardziej zaawansowane kompozycje, szczyt kreatywności osiągając prawdopodobnie w swojej fazie „psychedelicznej” wraz z albumem *Sgt. Pepper’s Lonely Hearts Club Band*, wydanym w maju 1967 roku. Ich własne eksperymenty z narkotykami

współgrały z coraz częstszym używaniem rekreacyjnych narkotyków przez młodych ludzi. W tym samym roku ich piosenka „All You Need is Love” została nadana poprzez satelitę do globalnej publiczności telewizyjnej, ocenianej na 350–400 milionów ludzi i stała się nieformalnym hymnem ruchu pokojowego „dzieci kwiatów” i międzynarodowych protestów przeciwko wojnie w Wietnamie. Beatlesi stali się symbolem odrzucenia tradycyjnych wartości i antyestablishmentowego protestu wśród młodych ludzi.

Inne brytyjskie zespoły poszły szlakiem przetartym przez Beatlesów, odbierając Amerykanom ich wcześniejszą dominację w dziedzinie muzyki popularnej. Wśród nich były takie grupy jak The Animals, The Kinks i The Dave Clark Five, ale najważniejszą (i najtrwalszą) byli The Rolling Stones, którzy w połowie lat 60. popularnością tylko nieznacznie ustępowali Beatlesom. Ich starannie pielęgnowany wizerunek „złych chłopców”, prosty styl będący mieszaniną rocka i bluesa, wygląd – długie włosy i zwykłe ubrania (w przeciwieństwie do początkowo grzecznych mundurków, noszonych wówczas przez Beatlesów i większość innych zespołów) – nadawały im antyautorytarne sznytu, który dobrze wpisywał się w kulturę młodzieżową lat 60.

Kultura ta miała charakter międzynarodowy, rozciągała się od Ameryki po Europę, wkraczała nawet – mimo oporu władz – za żelazną kurtynę. Młodzi ludzie zaczęli wyglądać podobnie. Nosili takie same ubrania. Podczas rockowego szaleństwa lat 50. młodzi brytyjscy buntownicy – wzorujący się czasami na Marlonie Brando (liderze gangu motocyklowego w nakręconym w 1953 roku filmie *The Wild One – Dziki*), lub Jamesie Deanie, młodym amerykańskim aktorze, który zyskał kultowy status wśród nastolatków jako gwiazda filmu *Rebel Without a Cause (Buntownik bez powodu)* z 1955 roku, a który zginął w tym samym roku w wypadku samochodowym, mając jedynie 24 lata – nosili skórzane marynarki i spodnie rurki, by wyróżniać się z tłumu. Różne warianty tej mody pojawiały się w Niemczech Zachodnich, Francji i w innych krajach. „Teddy Boys”, „Halbstarken” czy „blousons noir” chcieli wyglądać inaczej niż reszta społeczeństwa. Byli jednak zbuntowaną (i czasami gwałtowną) mniejszością. Na

początku lat 60. styl młodych ludzi był wciąż przeważnie konserwatywny, przypominający ten, któremu hołdowali ich rodzice. Jednak pod koniec dekady wyglądali już zupełnie inaczej niż starsze pokolenie. Często mieli długie włosy. Ubierali się zwyczajnie. Dzięki sprytnemu marketingowi dzinsy, początkowo amerykańska odzież robocza, stały się uniformem młodych i w przeciwieństwie do tego, co działo się wcześniej, zaczęły być noszone również przez co poniektórych rodziców, którzy pragnęli nadążyć za modą. „Hippisowski” wygląd, który narodził się w Ameryce, ale szybko przyjął się również w Europie, świadczył o przynależności do „kontrkultury”, z którą często wiązały się narkotyki i wyzwolenie seksualne.

Nie wszyscy młodzi ludzie chcieli być brani za „hippisów”. Branża modowa wzięła na celownik młodych (zarówno mężczyzn, jak i kobiety), którzy na ubrania mogli wydać więcej, niż kiedykolwiek mieli ich rodzice, reklamując atrakcyjne i wyróżniające się kroje. „Młodzi” stali się wielkim biznesem. Carnaby Street szybko stało się symbolem „swingującej Brytanii”, z mnóstwem butików oferujących najnowszy „towar” dla obydwu płci. Brytyjska projektantka Mary Quant została uznana przez znających się przecież na rzeczy Włochów za „będącą najbardziej na czasie projektantką na świecie (...). Wymyśliła spódniczkę mini”. Jean Shrimpton i wyglądająca jak porzucone dziecko Lesley Hornby, znana lepiej jako Twiggy (nazwana przez jeden z włoskich magazynów „lalką z piegami”), zostały supermodelkami narzucającymi trendy w międzynarodowej modzie kobiecej. Jedną z modowych ciekawostek był zanik męskich kapeluszy, które większość dorosłej męskiej populacji nosiła jeszcze długo po wojnie. Być może fakt, że w latach 50. młodzi mężczyźni zaczęli większą uwagę poświęcać wystudiowanym fryzynom, zaczesanym do tyłu i wypomadowanym w stylu Elvisa Presleya, jest częściową odpowiedzią na tę niewielką modową tajemnicę.

Największy pojedynczy wpływ na przemianę kultury popularnej w latach 60. miała bez wątpienia telewizja. W ogromny sposób oddziaływała na młodych ludzi – pierwsze pokolenie telewizyjne. Obejmował on jednak wszystkie warstwy społeczeństwa we wszystkich krajach. Telewizja właściwie narodziła się w latach

20., ale jej triumfalny marsz do całkowitej supremacji w roli medium kultury popularnej rozpoczął się w Europie trzy dekady później. Wielka Brytania była w awangardzie tych zmian. Pierwszym impulsem do zakupu telewizora były przygotowania do koronacji królowej Elżbiety II, która odbyła się 2 czerwca 1953 roku w katedrze westminsterskiej. Miliony rodzin gromadziły się wokół nowego i ekscytującego elementu ich umeblowania – dużej wypolerowanej szafki z niewielkim ekranem – by obejrzeć ziarnistą, czarno-białą relację z wielkich wydarzeń w Londynie\*.

Koronacja była pierwszym wielkim wydarzeniem transmitowanym przez telewizję, nie tylko w Wielkiej Brytanii, ale również w całej Europie i poza jej granicami. Uczestniczyło w niej 16 europejskich stacji. Nawet w republikańskiej Francji koronację oglądało podobno milion ludzi. Jednak telewizja w Europie była wciąż w powijakach. W 1953 roku holenderska telewizja nadawała trzy godziny programu tygodniowo dla zaledwie 10 000 odbiorców. O ile w 1955 roku dwie trzecie amerykańskich gospodarstw domowych posiadało telewizory, to we Włoszech abonentów było niespełna 100 000. Ekspansja była jednak szybka. W 1963 roku w Wielkiej Brytanii było 12,5 miliona odbiorników, w Niemczech osiem milionów, we Francji trzy miliony, a we Włoszech około miliona (choć w 1960 roku jedynie jeden procent Hiszpanów posiadał telewizory, a w Grecji program zaczęto nadawać dopiero w 1969 roku). Rozprzestrzeniania się telewizji nie dało się jednak powstrzymać, nawet w rygorystycznie kontrolowanych państwach komunistycznych. Dla przykładu, w 1964 roku różnica pomiędzy odsetkiem gospodarstw domowych posiadających telewizory w Niemczech Wschodnich i Zachodnich była naprawdę niewielka: 42 do 50 procent. W 1970 roku Szwecja miała największą liczbę odbiorników telewizyjnych w porównaniu do liczby ludności (312 odbiorników na każdy 1000 mieszkańców) ze wszystkich krajów w Europie, ale Węgry (171 odbiorników) niewiele ustępowały Irlandii, Włochom i Austrii.

20 lipca 1969 roku lądowanie statku kosmicznego Apollo 11 na Księżycu i pierwsze kroki człowieka na jego powierzchni, postawione przez Neila

Armstronga i Buzza Aldrina, były oglądane na całym świecie, bo te nadzwyczajne obrazy były transmitowane przez satelitę do największej jak dotąd publiczności telewizyjnej – szacuje się, że na całym świecie przed telewizorami zasiadło 530 milionów widzów. Transmisje sportowe zaczynały być wówczas integralną częścią kultury popularnej. Poprzez łącza satelitarne Igrzyska Olimpijskie można było teraz oglądać na całym świecie. W Europie, gdzie najpopularniejszym sportem była piłka nożna, Puchar Europy, ustanowiony w 1955 roku, Mistrzostwa Europy i Mistrzostwa Świata przyciągały przed telewizory coraz liczniejszą publiczność, a ponieważ podróże lotnicze stawały się tańsze i łatwiejsze, fani zaczęli jeździć do innych krajów, co pomagało osłabić – a czasami utrwalić – narodowe stereotypy.

W przeciwieństwie do komercyjnej telewizji w Ameryce w początkowych latach istnienia normą byli nadawcy państwowi, finansowani z abonamentu (czasami wspieranym reklamami). Dla przykładu Włochy, Francja i Niemcy Zachodnie miały takie systemy do końca lat 50. Brytyjska BBC była w całości finansowana z abonamentu. Wszędzie telewizja (podobnie jak radio) była traktowana jak usługa publiczna. Telewizja komercyjna, w całości utrzymująca się z reklam, narodziła się w Wielkiej Brytanii w 1955 roku, kiedy ITV (Independent Television) złamała państwowy monopol. Do lat 80. nie stanowiła ona jednak w Europie kontynentalnej żadnego poważnego zagrożenia dla sektora państwowego. Po wschodniej stronie żelaznej kurtyny telewizja była oczywiście poddana ścisłej kontroli państwa, którego władze przejęły od Kościołów rolę strażników publicznej moralności, próbując jednocześnie blokować wszelkie zachodnie wpływy. Także państwowe telewizje na Zachodzie próbowały znaleźć równowagę pomiędzy rozrywką a dokumentem i innymi programami „edukacyjnymi”. Widownia, początkowo dysponująca tylko jednym kanałem, a do lat 80. nie więcej niż kilkoma, miała niewielki wybór. Od początku było jednak jasne, że widzowie chcą przede wszystkim oglądać programy rozrywkowe.

Telewizja do tego czasu zastąpiła radio w roli dominującej rozrywki rodzinnej. Miliony ludzi chciały nade wszystko śledzić komedie, filmy przygodowe i romanse, teleturnieje i transmisje sportowe. Oglądanie telewizji miało wpływ na



życie rodzinne i sposób spędzania wolnego czasu. Rodziny często zbierały się wieczorami przy telewizorze. Pewne programy były priorytetem, nie można było ich przegapić. Dostosowywano do nich godziny posiłków. Wyjścia do kina, kawiarni, pubu czy restauracji albo po prostu odwiedziny u przyjaciół czy krewnych trzeba było wpasować w program telewizyjny. Wypoczynek, bardziej nawet niż w epoce radia, ograniczył się do domu. Telewizja stała się nowym bogiem.

Wraz z ekspansją telewizji rzadsze stały się wypadki do kina. Frekwencja zaczęła spadać już pod koniec lat 50. W połowie lat 70. we Francji, Włoszech i Holandii była trzykrotnie niższa niż w 1955. Podobnie głęboki spadek zanotowano w Norwegii, a najbardziej drastyczny, do niewiele ponad jednej dwunastej poziomu z 1955 roku, w Wielkiej Brytanii. Pomiędzy rokiem 1957 a 1963 zamknięto jedną trzecią brytyjskich kin. Wiele z nich przerobiono na kręgielnie, salony bingo, inne pozostawiono jako podupadłe, niegdysiejsze teatry marzeń. Po wschodniej stronie żelaznej kurtyny schemat był nieco inny, a na pewno nie tak jednolity – w Polsce liczba widzów spadła o połowę, natomiast w Związku Radzieckim wzrosła nieznacznie, a w Bułgarii wręcz zdecydowanie. Najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem takiego stanu rzeczy była stosunkowo mała dostępność telewizji. Jeszcze w 1960 roku w całym ZSRR było zaledwie 4,8 miliona odbiorników telewizyjnych. Kino (obok czytania i picia) było wciąż jedną z nielicznych dostępnych odskoczni od monotonii codziennego życia.

Biorąc pod uwagę niedostatek kapitału, amerykańska dominacja w kinie europejskim we wczesnych latach powojennych była nieunikniona. Nawet na początku lat 60. importowane z Ameryki filmy stanowiły większość repertuaru europejskich kin, choć Francja i Włochy pozostawały stosunkowo odporne na ten powszechny trend. Zwłaszcza Francuzi preferowali własne produkcje, a udział francuskiego kina w rynku zaczął rosnąć – wzmacniany międzynarodowymi sukcesami takimi jak *I Bóg stworzył kobietę* Rogera Vadima, który w 1956 roku rozpoczął karierę nowej bogini seksu, Brigitte Bardot. Niemcy Zachodnie, co nie dziwi, biorąc pod uwagę obecność na ich terenie wojsk amerykańskich, były

bardziej otwarte na import ze Stanów Zjednoczonych. Niektóre z najpopularniejszych filmów lat 50., takie jak *Wilcza paczka* (1956) o gangu nastolatków czy *Sissi* (1955), z Romy Schneider w roli głównej, opowiadający tragiczne losy żony cesarza Habsburgów, Franciszka Józefa, były jednak produkcjami niemieckimi.

Wielka Brytania, z racji wspólnoty językowej z Ameryką, zawsze była szczególnie podatna na dominację Hollywoodu, ale we wczesnych latach powojennych brytyjska produkcja filmowa nadal kwitła. Wybitnym filmem owego czasu był *The Third Man* (*Trzeci człowiek*) Carola Reeda z 1949 roku, z niesamowicie sugestywnymi obrazami rozdartego przez wojnę Wiednia i pamiętną rolą amerykańskiego gwiazdora Orsona Wellesa jako Harry'ego Lime'a, antybohatera znajdującego się w centrum nielegalnego handlu penicyliną. Wielka Brytania była wyjątkowa, jeżeli chodzi o zamięrowanie do filmów wojennych (a także wojennych powieści, wojennych wspomnień i wojennych komiksów). Glorifikowanie heroicznej przeszłości miało zamaskować poczucie narodowego upadku. W latach 1945–1960 wyprodukowano ponad 100 filmów wojennych. Około 8,5 miliona ludzi obejrzało *Nocny nalot*, który wszedł na ekrany w 1955 roku, a ponad 12 milionów później o dwa lata *Most na rzece Kwai* (opisujący japońskie okrucieństwo wobec brytyjskich jeńców wojennych). Żaden inny kraj europejski nie mógł glorifikować wojny w filmie. O ile dzieła wojenne w ogóle powstawały w Europie kontynentalnej, to koncentrowały się na wątkach oporu i cierpień niewinnych ofiar. Jednak w krajach ze skomplikowaną, niejednoznaczną historią wojenną, takie filmy nie mogły liczyć na większą popularność. Ludzie chcieli uciec od wojny, a nie pamiętać o jej koszmarach.

Tuż po wojnie włoskie kino było całkowicie zdominowane przez produkcje amerykańskie. W 1957 roku 5 na 10 najpopularniejszych filmów we Włoszech wciąż pochodziło zza oceanu. Jednak pod koniec lat 60. sytuacja się zmieniła. W pierwszej dziesiątce znalazły się tylko trzy produkcje amerykańskie – dwa westerny i jedna komedia Disneya, choć gustami widzów zawładnęły w większości spaghetti westerny i komedie. Nie był to bynajmniej ruch w jedną stronę. Gina

Lollobrigida i Sophia Loren, podobnie jak francuski symbol seksu, Brigitte Bardot, stały się sławne w całej Europie i po drugiej stronie Atlantyku. Z kolei kilku włoskich reżyserów robiło filmy o wysokiej jakości artystycznej, bardzo popularne zarówno we Włoszech, jak i za granicą. Na szczególne wyróżnienie wśród nich zasługiwało *Słodkie życie* Federico Felliniego z 1960 roku. Film opisywał „dobre życie”, w rzeczywistości puste, pozbawione sensu i odrażające. Był krytyką współczesnej moralności i potężnej, dekadentckiej włoskiej klasy wyższej. O sukcesie *Słodkiego życia* zadecydowała w dużej mierze główna rola szwedzkiej gwiazdy, Anity Ekberg; kilka odważnych scen zostało wyciętych przez włoską telewizję, wciąż znajdującą się pod silnym wpływem moralności Kościoła katolickiego. Kontrowersje wokół filmu tylko przysłużyły się jego popularności we Włoszech, a jeszcze bardziej za granicą. Jego wielki sukces międzynarodowy sprawił, że postfaszystowski Rzym stał się modną atrakcją turystyczną. A nazwisko jednego z bohaterów, Paparazzo, stało się międzynarodowym określeniem na nachalnego, wścibskiego fotoreportera.

Obsypywane nagrodami filmy Michelangelo Antonioniego *Przygoda* (1960), *Noc* (1961) i *Zaćmienie* (1962), które analizowały problem emocjonalnej niepewności we współczesnym społeczeństwie, przyniosły mu międzynarodową sławę. Z kolei anglojęzyczny film *Powiększenie*, (1966), będący zapisem dnia z życia modnego fotografa w „swingującym Londynie”, okazał się sukcesem zarówno kasowym, jak i artystycznym, między innymi z powodu pokazanych w nim, jak na owe czasy, odważnych scen seksu. Wśród innych włoskich reżyserów, którzy zdobyli sobie międzynarodową renomę, wymienić należy Luchino Viscontiego. Jego *Zmierzch bogów* (1969) opisujący stosunki rodziny przemysłowców z reżimem Hitlera, przyniósł mu międzynarodową sławę. Z kolei Franco Zeffirelli zyskał sobie popularność dzięki ekranizacjom sztuk szekspirowskich, *Poskromienia złośnicy* (1967) z Richardem Burtonem i Elizabeth Taylor w rolach głównych oraz *Romeo i Julii* (1968).

Włoski przemysł filmowy był jednak pod pewnymi względami wyjątkowy. Włochy miały najwięcej kin w Europie, a telewizja rozwinęła się z opóźnieniem.

W połowie lat 60. Włosi wciąż więcej wydawali na kino niż na teatry czy wydarzenia sportowe. Nawet intelektualne, awangardowe filmy mogły tam liczyć na dużą publiczność. W większości pozostałych krajów Europy było inaczej. Od czasu do czasu jednak artystyczny film, taki na przykład jak *Siódma pieczęć* (1956) szwedzkiego reżysera, Ingmara Bergmana, w którym rycerz wracający z krucjaty gra w szachy na śmierć i życie z przeciwnikiem odzianym w ponury strój kosiarza, przełamywał te bariery i stawał się sukcesem zarówno artystycznym, jak i kasowym.

Gdy powojenne ożywienie nabrało rozpędu, a dobrobyt zaczął rosnać, film, teatr i literatura w całej Europie Zachodniej coraz częściej zajmowały się krytyką społeczną. W oczach wielu artystów dostatek i stabilizacja stały się synonimami materializmu, hipokryzji i zaskorupiałych wartości konserwatywnych. Częstymi obiektami krytyki były tradycyjny styl życia i wartości społeczeństwa klasy średniej, klasowe nierówności i brak szans. Społeczny krytycyzm patrzył w przeszłość, by się przeciw niej zbuntować. Jak to często bywało już wcześniej, Wielka Brytania i Niemcy w zupełnie odmienny sposób zareagowały na społeczną i kulturową zmianę.

„Nowa Fala” w brytyjskiej literaturze, teatrze i filmie pod koniec lat 50. skoncentrowała się na nędzy, agresji, resentymencie i życiu seksualnym angielskiej wielkoprzemysłowej klasy robotniczej. *Miłość i gniew* (1956) Johna Osborne’a, wielki hit na londyńskich scenach, następnie w telewizji, a trzy lata później także w kinach, dał praktycznie początek temu gatunkowi, zwanemu ruchem „młodych gniewnych” (choć nikt nie był pewny, przeciwko czemu jest skierowany ten gniew, nie mówiąc już o tym, w jaki sposób „gniewni” chcieli uczynić świat lepszym). „Dramat zlewu kuchennego”, jak go wkrótce ochrzczono, zaowocował szybkim sukcesem powieści i dramatów, które dotarły do masowej publiczności, gdy na ich podstawie nakręcono bardzo popularne filmy – nie bez znaczenia były tu dość wulgarnie i odważne jak na owe czasy sceny seksu. Serca publiczności podbiły między innymi *Pokój na poddaszu* (1959), *Z soboty na niedzielę* (1960), *Smak miodu* (1961), *Rodzaj miłości* (1962) i *Billy kłamca* (1963). Przekazywały one

tęsknotę za utraconym „prawdziwym” życiem angielskiej klasy robotniczej z północy kraju. Taka też była główna idea książki *Spojrzenie na kulturę robotniczą w Anglii*, (1957), Richarda Hoggarta, która jak na dzieło akademickie przyciągnęła zaskakująco wielu czytelników. Hoggart krytykował hedonizm i kult młodości w społeczeństwie, w którym „wolność oznacza swobodę publikowania wszystkiego, co może zwiększyć nakłady”. Twierdził, że „zmierzamy w kierunku wytworzenia kultury masowej”, która, ze swoim współczesnym konsumeryzmem, komercjalizacją i pogonią za sensacją, była jego zdaniem „mniej zdrowa od często prymitywnej kultury, którą wypiera”. Równała się ona w jego opinii zniszczeniu „miejskiej kultury «ludowej»”.

W latach 60. satyra w teatrze, prasie i telewizji coraz częściej przybierała formę parodii wymierzonej w polityczny establishment i głęboko zakorzeniony system klasowy. Satyra polityczna nie była oczywiście niczym nowym w dziennikarstwie czy produkcjach teatralnych. Teraz jednak publiczność większa niż kiedykolwiek mogła wysłuchiwać często wyjątkowo kąśliwych dowcipów wymierzonych w szanowane postaci i instytucje, na przykład w powszechnie oglądanym programie *That Was the Week That Was*, wyświetlanym w latach 1963–1964. Popyt na szacunek wyraźnie spadał.

W Niemczech Zachodnich twórczość kulturalna wciąż była często związana ze świadomością nazistowskiej przeszłości. Sztuka Rolfa Hochhutha *Namiestnik* (1963) wywołała mnóstwo kontrowersji z powodu ataków na milczenie papieża Piusa XII w czasie Holokaustu. Krytyka wyrażana w literaturze była zazwyczaj bardziej subtelna. Hans Magnus Enzensberger, dla przykładu, krytykował niemiecką mentalność lat 60., nawiązując do niedawnej przeszłości w swoim poemacie opublikowanym w 1964 roku, zatytułowanym *Middle-Class Blues*, czyli „blues klasy średniej” (celowo wybierając formę, która przywołuje raczej amerykańską niż niemiecką tradycję muzyczną): „Nie możemy narzekać/Nie jesteśmy bez pracy/Nie chodzimy głodni/Jemy”. Potem następuje zawołane nawiązanie do przeszłości: „Trawa rośnie/Produkt społeczny/(...) Jemy przeszłość”.

„Niekontrolowana przeszłość” – katastrofa zbudowana na współudziale tak wielu obywateli, która została w dużej mierze wyparta ze świadomości i zastąpiona materialistycznymi wartościami zamożnego społeczeństwa konsumpcyjnego – zaowocowała wyjątkowym poziomem kulturowej dezorientacji, a jednocześnie frenetycznymi eksperymentami z „nową” awangardą we wszystkich formach artystycznych. Poczucie wyalienowania zachodnioniemieckich intelektualistów ze społeczeństwa, które uważali za płytkie i zadowolone z siebie, a jednocześnie próbujące wymazać przeszłość, było bardziej dotkliwe niż gdziekolwiek indziej w Europie. „Nowe kino” Alexandra Kluge czy Edgara Reitza (a później Wima Wendersa) rozwijało się równoległe z francuską „Nową Falą” (*la Nouvelle Vague*), której reprezentantami byli między innymi François Truffaut i Jean-Luc Godard. Artyści ci całkowicie odwrócili się od tradycyjnych form narracyjnych i stworzyli coś, co bardziej przypominało refleksyjne eseje w formie filmu. W celowo prowokacyjnym, eksperymentalnym teatrze i malarstwie dotychczasowe wartości kulturowe, polityczne i społeczne zostały zakwestionowane.

Łatwo byłoby jednak przecenić znaczenie kulturowej awangardy. Międzynarodowe wpływy w kulturze popularnej, od „Coca-kolonizacji” (jak nazywano wszechogarniający wpływ amerykańskich produktów komercyjnych) do muzyki Beatlesów i innych ważnych zespołów, były niemal na pewno ważniejsze dla cichej transformacji wartości społecznych. Niemniej awangarda kulturalna miała nieproporcjonalny wpływ na lepiej wykształconą część młodszej generacji. Rozprzestrzeniło się pojęcie „kultury alternatywnej” – kultury bardziej demokratycznej, bardziej wspólnotowej, mniej podległej tradycyjnym formom, bardziej, w sposób samoświadomy, rewolucyjnej.

## **Zerwanie z wartościami przeszłości**

Kultura w swoich różnorodnych formach sztuki, literatury i innych sposobach twórczej ekspresji, odzwierciedla, kwestionuje i kształtuje wartości i mentalność

społeczeństwa. W latach 60. te wartości i mentalność, szczególnie wśród młodszej generacji, znajdowały się na wczesnym etapie trwałej i intensywnej transformacji. Rola najważniejszych punktów odniesienia, kształtujących zachowania i nastawienia społeczne – zwłaszcza armii, miejsca pracy, edukacji, religii i rodziny – zmieniała się, a często wręcz znikła.

W latach 60. europejskie społeczeństwa były już w dużej mierze zdemilitaryzowane. Armia przestała być najważniejszą instytucją w społeczeństwie. Wartości militarystyczne przestały dominować. Państwo mniej wydawało na zbrojenia, a więcej na opiekę społeczną. Szkoły i Kościoły chrześcijańskie miały mniejszą niż kiedyś możliwość indoktrynowania młodzieży w duchu militarystycznym i nacjonalistycznym. Przekonanie wpajane młodym ludziom do końca drugiej wojny światowej, że ich świętym obowiązkiem jest walka i śmierć za ojczyznę, zdecydowanie osłabło. To prawda, że większość młodych ludzi wciąż musiała odbywać obowiązkową służbę wojskową, trwającą około dwóch lat. Rzadko jednak robili to z entuzjazmem, częściej raczej opornie. Służba wojskowa była żywą pozostałością po czasach, w których armie z powszechnego poboru były niezbędne do toczenia wielkich wojen. W epoce broni nuklearnej w coraz większym stopniu stawały się one anachronizmem – choć większości krajów zajęło dużo czasu przyjęcie tego do wiadomości. Duże armie złożone z niechętnych wojsku poborowych okazywały się również w dużej mierze nieprzydatne w coraz bardziej niepopularnych wojnach przeciwko ruchom wyzwoleniczym w (już niedługo byłych) koloniach. Większość rządów, zdając sobie sprawę ze społecznego sprzeciwu wobec poboru, zaczęła pod koniec lat 60. oferować alternatywę w postaci służby zastępczej, którą można było odbyć, na przykład, w szkołach lub szpitalach. Bez względu na to, czy wybierali taką alternatywę, czy decydowali się na dwa lata bezcelowego wojskowego drylu i musztry większość młodych ludzi zmuszona do „spełnienia obowiązku wobec ojczyzny” nie mogła się doczekać powrotu do cywila. To cywilny świat, a nie armia, kształtował teraz ich system wartości.

Świat pracy także zmieniał się gwałtownie. W epoce praktycznie pełnego zatrudnienia związki zawodowe miały silną pozycję przetargową w negocjacjach dotyczących poprawy warunków dla swoich coraz liczniejszych członków. Taśmy montażowe w dużych fabrykach były wciąż powszechne w latach 50. i 60., ale zaczęły ustępować bardziej elastycznej organizacji zadań, przez co praca stawała się mniej monotonna, mniej odczłowieczona, a jednocześnie zwiększała się jej wydajność poprzez lepsze wykorzystanie inicjatywy pracowników. Nawet linia demarkacyjna pomiędzy pracownikami a menadżerami nie była już tak wyraźna, jak kiedyś. Szwedzkie fabryki samochodowe znalazły się w awangardzie eksperymentów, które miały zredukować ten podział i uczynić produkcję bardziej wspólnotowym przedsięwzięciem. Do końca lat 60. te zmiany nie zaszły zbyt daleko. Ale również w miejscu pracy stara żelazna dyscyplina klasycznej produkcji kapitalistycznej słabła.

Podziały klasowe stały się generalnie mniej sztywne. Pod koniec lat 60. jedna trzecia zachodniemieckiej klasy średniej miała robotnicze korzenie. Kolejna jedna piąta była spauperyzowaną wyższą klasą średnią. Solidarność klasy robotniczej słabła, bo zapuszczone slumsy w centrach miast wyburzano, co rozbijało istniejące od dziesięcioleci wspólnoty sąsiedzkie. Mniej sprzyjające spójności społecznej czynszówki czy domy komunalne budowano na nowych obszarach, czasami na przedmieściach mocno oddalonych od miejsca pracy. „Na tych nowych, wielkich, czystych klatkach schodowych nie było przyjaznych uczuć (...). Te piękne, lśniące nowe drzwi były zawsze zamknięte”, wspominała pewna Angielka (niewątpliwie idealizując dawne czasy, w których warunki, w jakich żyła większość klasy robotniczej, były po prostu straszne, podczas gdy nowe domy, które je zastąpiły, były znacznie czystsze i zdrowsze). Lepiej opłacani wykwalifikowani robotnicy, którzy wcześniej łatwo ulegali politycznemu radykalizmowi, znaleźli się, zdaniem niemieckiego socjologa, Ralfa Dahrendorfa, na drodze do „burżuazyjnienia” i wykorzystywali swoją siłę nabywczą do „indywidualnych poszukiwań szczęścia”. Ten trend zmierzający ku „wyrównanemu społeczeństwu klasy średniej” można łatwo przecenić. Z pewnością był on



silniejszy w zamożnych Niemczech Zachodnich (gdzie zresztą termin ten ukuto) niż w większości pozostałych krajów Europy i w ogóle nie stosował się do obszaru za żelazną kurtyną. Wskazywał jednak na zjawisko szersze. Ponieważ „sektor usług” przyciągał ludzi, którzy wcześniej zajmowali się pracą w przemyśle, do zadań administracyjnych i urzędniczych, różnica w mentalności pomiędzy górnymi warstwami klasy robotniczej a białymi kołnierzykami z niższej klasy średniej zawężała się.

Ponieważ tydzień pracy został skrócony, więcej czasu pozostało na wypoczynek. Sposób spędzania wolnego czasu stał się głównym przedmiotem zainteresowania. Ponad dwie trzecie pytanym w zachodnioniemieckim sondażu przeprowadzonym w 1973 roku uznawało wypoczynek i rodzinę za kwestie ważniejsze niż praca. Więcej ludzi niż kiedykolwiek wcześniej mogło się cieszyć wakacjami – teraz często również za granicą. Także w domu wzrosła liczba opcji spędzania czasu poza pracą, z rodziną, w ogrodzie (bo więcej ludzi miało przydomowe ogródki lub działki) lub na setki innych sposobów, pozwalających oderwać się od codziennej zawodowej rutyny. Wiele sposobów spędzania wolnego czasu miało indywidualny, a nie zbiorowy charakter – był to element szerszego trendu, który wciąż znajdował się na wstępnym etapie, ale miał się pogłębić w kolejnych dekadach. Jak już jednak zauważyliśmy, ważne sfery popularnej rozrywki – muzyka, film i telewizja – oferowały formy wypoczynku, które przekraczały narodowe podziały, jednoczyły duże grupy młodych i kształtowały wspólne zainteresowania i mentalność ponad europejskimi granicami, wkraczając nawet do krajów za żelazną kurtyną.

Po wojnie szkolnictwo średnie rozwijało się szybko w większości krajów europejskich, oferując możliwości rozwoju, które wcześniej były zastrzeżone dla elity społecznej. Średnio w 1970 roku w Europie Zachodniej do szkoły uczęszczało 2,5 razy więcej uczniów w wieku między 10 a 19 lat niż w roku 1950. Narodowe (a czasami i regionalne) różnice pozostały, ale panowało generalne przekonanie o potrzebie przygotowania większego odsetka populacji do sprostanania bardziej złożonym wymagom zatrudnienia lub kontynuowania edukacji na poziomie

wyższym. W Europie Wschodniej powojenna edukacja różniła się radykalnie zarówno w porównaniu do tej sprzed wojny, jak i od modelu przyjętego w Europie Zachodniej. Szkoły prywatne i religijne zostały zakazane, większą uwagę przywiązywano do języka rosyjskiego, literatury i historii; nacisk kładziono także na przedmioty ścisłe. Na to wszystko nakładała się nauka historii ruchu robotniczego i marksistowsko-leninowska interpretacja rozwoju społecznego i politycznego.

Możliwości kształcenia uniwersyteckiego także zaczęły się poszerzać w latach 60. Powstawały nowe uniwersytety i politechniki. Podczas gdy w roku 1950 jedynie od trzech do pięciu procent populacji w wieku między 20 a 24 lata uczęszczało na uniwersytet, w 1970 roku odsetek ten wahał się między 12 a 18 procent, a w Szwecji i w Holandii przekraczał 20 procent. Podobny trend panował za żelazną kurtyną, choć na nieco niższym poziomie, wahającym się od ośmiu procent w Albanii do 14 w NRD. Najwyższy odsetek studentów – 16 procent – miała Jugosławia. Wyższa edukacja wciąż była przede wszystkim domeną mężczyzn – bardziej na zachodzie niż na wschodzie Europy. W 1965 roku jedynie jedną czwartą absolwentów University of Manchester stanowiły kobiety (a ich obecność na kierunkach ścisłych i medycynie była zupełnie marginalna). Jednak dzięki edukacji uniwersyteckiej więcej młodych ludzi niż kiedykolwiek wcześniej mogło zetknąć się z nowymi lub innymi sposobami myślenia. Najlepiej wykształcone warstwy społeczne mogły w rezultacie rzucić wyzwanie dotychczasowym konwencjom społecznym i decyzjom politycznym dokładnie w czasie, kiedy stały się one bardziej płynne i otwarte na krytykę niż kiedykolwiek wcześniej od czasów drugiej wojny światowej.

Kultura europejska była w przeważającej mierze produktem prawie dwóch tysiącleci edukacji chrześcijańskiej, a od XVIII wieku wartości Oświecenia. Jednakże rozprzestrzenianie się wiedzy naukowej i medycznej, wraz z większym optymizmem dotyczącym możliwości znalezienia racjonalnych odpowiedzi na problemy społeczne, podkopywały wiarę w to, co nadprzyrodzone. Co więcej, wpływy Kościoła były tradycyjnie silniejsze w ściślej związanych ze sobą

wspólnotach na prowincji niż w rozległych zespołach miejskich i wśród wielkoprzemysłowej klasy robotniczej. Stały odpływ ludzi z prowincji do bardziej amorficznego społeczeństwa miejskiego spowodował dalsze osłabienie bezpośrednich wpływów społecznych Kościołów. W miastach istniała również wciąż rosnąca oferta atrakcji odciągających ludzi od religii. Nawet podczas najbardziej uroczystych dni w chrześcijańskim kalendarzu, w Wielkanoc, młodzi ludzie często woleli odwiedzić wesołe miasteczko, kino albo imprezy sportowe, niż pójść do kościoła. Spadek religijności był efektem, a nie przyczyną szerszych zmian społecznych, które dotyczyły Kościoła, tak jak wszystkie inne instytucje. Oznaczało to jednak osłabienie wpływów nie tylko nauczania religijnego, ale również wartości moralnych, będących tradycyjną domeną Kościołów.

W państwach komunistycznych za żelazną kurtyną gwałtowny spadek oficjalnie okazywanej religijności miał w dużej mierze podłoże polityczne. Pokazywanie, że jest się praktykującym chrześcijaninem (albo żydem lub muzułmaninem), mogło oznaczać poważne kłopoty. Same Kościoły cierpiały polityczne represje. Liczba popów w Związku Radzieckim spadła prawie o połowę w ciągu sześciu lat, pomiędzy rokiem 1959 a 1965. Duża liczba kościołów, meczetów i synagog została zamknięta, a wszelkie instytucje religijne były uważnie monitorowane przez władze państwowe. Prywatne przekonania utrzymywały się pod powierzchnią, choć nie sposób ustalić, jaki odsetek ludzi zachował wiarę religijną. W Europie Środkowej i Wschodniej trend był generalnie podobny, choć niejednorodny. Albania była krajem najbardziej wrogim religii. Pytani, jaka jest różnica pomiędzy głównymi religiami w ich kraju, Albańczycy odpowiadali: „Chrześcijanie nie chodzą do kościoła w niedzielę, żydzi nie chodzą do synagogi w sobotę, a muzułmanie do meczetu w piątek”. Na drugim końcu spektrum znalazła się Polska. Kościół katolicki coraz bardziej stawał się integralną częścią polskiej tożsamości narodowej, stanowiąc alternatywę dla oficjalnej ideologii państwowej. W rezultacie religijność i ludowa obrzędowość wcale nie słabły, lecz rosły. W latach 60. w niedzielnych mszach uczestniczyło 70 procent ludzi. W latach 80. odsetek ten, szczególnie w parafiach robotniczych, wzrósł do

imponującego poziomu 90–95 procent. Dla władz komunistycznych taki wynik oznaczał bez wątpienia katastrofę.

W Europie Zachodniej długoterminowy spadek religijności – bardziej widoczny w różnych odmianach protestantyzmu niż w Kościele katolickim – został tymczasowo powstrzymany w traumatycznych latach wojennych i bezpośrednio po nich. Jednak w latach 60. związki z Kościołami poluzowały się wyraźnie i trend ten utrzymywał się i przyspieszał przez resztę wieku i później.

Oslabienie norm religijnych najszybciej postępowało w północno-zachodniej części Europy, gdzie modernizacja ekonomiczna była najbardziej zaawansowana, populacja relatywnie dobrze wykształcona, liberalne systemy polityczne najbardziej rozwinięte, a normy kulturowe stały się przedmiotem największych zmian. Spadek był wolniejszy na katolickim południu kontynentu, gdzie religia zachowała większy wpływ na społeczeństwo niż w północnych, w przeważającej mierze protestanckich regionach Europy. Wyjątek w północno-zachodniej Europie stanowiła Irlandia, kraj gospodarczo stosunkowo zacofany, gdzie „specjalna pozycja” Kościoła katolickiego była zapisana w konstytucji z 1937 roku, a katolicyzm był wbudowany w tożsamość narodową. Jeszcze pod koniec lat 60. ponad 90 procent populacji wciąż regularnie chodziło na msze. Mało kto w Europie mógł konkurować z takim wynikiem. Jednak nawet w zamożniejszych i nowocześniejszych regionach, takich jak Bawaria, przywiązanie do Kościoła pozostawało stosunkowo silne. A miliony, które wciąż pielgrzymowały do katolickich sanktuariów, takich jak francuskie Lourdes, portugalska Fatima, irlandzkie Knock czy polska Częstochowa (gdzie znajduje się obraz Czarnej Madonny, symbol narodu), świadczył o nieustającej witalności wiary katolickiej.

Generalnie w całej Europie więcej katolików niż protestantów wciąż regularnie uczestniczyło w nabożeństwach, choć ich liczba spadała. Sondaże pokazywały, że większość ludzi nadal deklaruje wiarę w Boga, podobnie jak nominalną przynależność do religii. Urzędnicy kościelni nadal byli przywoływani przy okazji chrztów, ślubów i pogrzebów. Wiele wskazuje jednak na to, że coraz mniej ludzi kontynuowało te tradycje i że wiara religijna znajdowała się w odwrocie. Sondaże

pokazały, na przykład, że liczba Europejczyków, którzy wierzyli w życie pozagrobowe, spadała. Kościoły – w szczególności Kościół katolicki – nadal odgrywały ważną rolę w pilnowaniu publicznej moralności. Nie było to jednak łatwe.

Kościoły próbowały się zaadaptować do szybkich zmian społecznych. Ekumenizm – otwarcie na inne wyznania w drodze ku chrześcijańskiej jedności – zaczął robić postępy. Spotkanie, które odbyło się w 1960 roku pomiędzy arcybiskupem Canterbury, przełożonym Kościoła anglikańskiego, a papieżem, było pierwszym od czasów znacznie poprzedzających reformację. Znakiem nowych czasów było też wyświęcenie pierwszych kobiet pasterek w kościołach luterańskich w Danii (już w 1948 roku), później w Szwecji (1960) i Norwegii (1961). Niektórzy protestanccy teologowie próbowali definiować wiarę na nowe sposoby. Paul Tillich argumentował, że wiara nie stoi w opozycji do rozumu, lecz przekracza go. Anglikański biskup Woolwich, John Robinson, odrzucał pojęcie obiektywnego Boga, znajdującego się poza ludzką wyobraźnią. Skomplikowane piśmiennictwo tych teologów było ważne dla wywołania debaty wewnątrz Kościoła protestanckiego. Jednak niewielu zwykłych wiernych interesowało się zagadnieniami teologii ontologicznej, nie przyciągała ich idea Boga, którego istnienie było czysto subiektywne. Tych natomiast, którzy już odchodzili od Kościoła, raczej nie dało się zawrócić na tej drodze za pomocą wzniosłych debat teologicznych.

Także Kościół katolicki znajdował się u progu epokowej zmiany. Wybór w 1958 roku papieża Jana XXIII zainaugurował zdecydowany rozbrat z wyniosłą papieską monarchią jego poprzednika, Piusa XII, i rozpoczął zapewne najbardziej reformatorski pontyfikat czasów współczesnych. Jego najważniejszą decyzją – na którą krzywym okiem patrzyła ultrakonserwatywna kuria rzymska (papieski aparat rządowy), było zwołanie soboru powszechnego, pierwszego od 1870 roku i dopiero drugiego od XVI wieku. Papież zareagował w ten sposób na silne przekonanie wśród nowego pokolenia biskupów, a niżej wśród szeregowych księży i laikatu, że Kościół potrzebuje reform i modernizacji, by zapobiec poważnej erozji swojego

autorytetu wśród wiernych. Już pod koniec lat 50. zachodnioniemieccy biskupi dobrze zdawali sobie sprawę z „masowego zaniedbywania niedzielnej mszy” jako „problemu duszpasterskiego” i „poważnych obaw” wielu księży dotyczących spadku liczby praktykujących katolików. Debata nad reformą duszpasterską i oddolna reforma były najbardziej zaawansowane we Francji, skąd rozszerzyły się na Holandię, Belgię, Niemcy Zachodnie i Włochy. Niewielkie postępy zanotowano natomiast w Irlandii, Wielkiej Brytanii, i na Półwyspie Iberyjskim, gdzie wysoce konserwatywny Kościół był najbardziej niechętny zmianom.

Sobór watykański II (jak go zazwyczaj nazywano) podniósł „kolegialną” władzę biskupów obok papieża (biskupa Rzymu), choć wszelkie uszczuplenie papieskiego prymatu zostało ograniczone przez potwierdzenie dogmatu o papieskiej nieomyślności. Sobór zrobił wiele, by otworzyć Kościół na ekumenizm, opowiadając się za pojednaniem z innymi wyznaniem. Przepraszono Żydów za cierpienia, których doznali z rąk chrześcijan (obraźliwe dla Żydów oskarżenie o zabicie Chrystusa zostało usunięte z nabożeństwa wielkopiątkowego). Wezwano do dialogu z Żydami i potępiono antysemityzm. W 1965 roku trwająca od setek lat schizma z Kościołem prawosławnym została zakończona. Dla zwykłych wiernych katolickich najbardziej wyraźnym – a dla tradycjonalistów najbardziej kontrowersyjnym – symbolem posoborowych zmian było zastąpienie łaciny, języka Kościoła zachodnioeuropejskiego od czasów starożytnych, językiem narodowym podczas odprawiania mszy. Miało to przybliżyć Kościół do ludzi.

Zmiany były poważne i trwałe. Ożywiły debatę wewnątrz Kościoła, zarówno wśród laikatu, jak i kleru, wywołując entuzjazm wiernych co do nowych form udziału w pracy duszpasterskiej i poszerzenia horyzontów w kierunku większej świadomości społecznej nędzy poza Europą, szczególnie w Ameryce Łacińskiej. Jednak historyk Diarmaid MacCulloch słusznie opisał wyniki soboru jako jedynie „połowiczną rewolucję”. Puszka Pandory została otwarta, ale biskupi szybko próbowali ponownie zamknąć wieko. Próby powiązania Kościoła z politycznym radykalizmem i powstała w Ameryce Łacińskiej „teologia wyzwolenia” były blokowane. Udział laikatu był mile widziany, tak długo, jak kler sprawował nad

nim ścisłą kontrolę. „Kolegialna” władza biskupów okazała się jedynie erystycznym zabiegiem, biorąc pod uwagę potwierdzenie prymatu papieża. Szwajcarskiemu teologowi, Hansowi Küngowi (który uczestniczył w soborze jako doradca), ostatecznie zakazano wykładania teologii katolickiej. Kościołowi nie spodobało się, że ten profesor z zachodnioniemieckiej Tybingi oficjalnie odrzucił dogmat o nieomyślności papieża.

Reformy, których źródłem był sobór watykański II, w szczególnie spektakularny sposób nie zdołały się dostosować do współczesnych zmian społecznych w sferze seksualności. Wielu uczestników soboru miało nadzieję, że dojdzie przynajmniej do pewnego poluzowania zakazu zawierania małżeństw przez kapłanów. Celibat został jednak potwierdzony przez papieża Pawła VI, bardziej konserwatywnego następcę Jana XXIII. Ten ostatni umarł w 1963 roku, na długo zanim zwołany przez niego sobór ukończył swoje prace. Niemal na pewno wpłynęło to na spadek powołań i wzrost liczby tych, którzy opuszczali stan kapłański, by założyć rodziny. Znacznie szerszym problemem było utrzymanie zakazu antykoncepcji, ogłoszonego przez Pawła VI w encyklice *Humanae Vitae* (*O życiu ludzkim*) w 1968 roku. Doprowadziła ona nie tylko do gorących protestów tak wśród duchowieństwa katolickiego, jak i wśród laikatu; papieski zakaz był w praktyce powszechnie ignorowany. Abstrahując od uszczerbku, jaki wyrządziło to autorytetowi papieża, pokazywało również ograniczenia soboru watykańskiego II w kwestii możliwości przeprowadzenia takich zmian w katolicyzmie, które powstrzymałyby postęp sekularyzacji i upadek katolickiej religijności. Wraz z zakazem kontroli urodzeń papieżstwo wchodziło w jawny konflikt ze zmianami w seksualności i rodzinie, których Kościół nie był w stanie powstrzymać.

Nastawienie wobec małżeństwa, rozwodu, konkubinatu i dzieci pozamałżeńskich uległo zmianie. Powojenny „baby boom” się skończył. Młodzi ludzie nie postępowali już zgodnie ze wskazówkami Kościołów i nie postrzegali reprodukcji jako najważniejszego celu małżeństwa. Pobierali się też później, niż to było przyjęte tuż po wojnie. Większe możliwości zatrudnienia zachęcały ludzi, by

dostosowywać prokreację do własnego życia, pragnień i warunków materialnych, a nie odwrotnie. Więcej kobiet szukało teraz płatnego zatrudnienia i chciało sprawować kontrolę nad swoim życiem. Coraz częściej kontestowały tradycyjny pogląd, że ich zadaniem jest rodzenie dzieci i prowadzenie domu rodzinnego. W Europie Zachodniej największy postęp osiągnęły w Skandynawii, najmniejszy zaś w krajach katolickich, gdzie nauczanie społeczne bezpośrednio podkreślało domowe obowiązki żony i matki. Irlandia zapisała nawet w swojej konstytucji, by „matki nie były zmuszone ekonomiczną potrzebą do podejmowania pracy, zaniebując swoje obowiązki domowe”. Tendencja do późniejszego zawierania małżeństw i posiadania mniejszej liczby dzieci rozwijała się również w Europie Wschodniej, choć po części z innych powodów. Systemy wsparcia dla matek, umożliwiające im zatrudnienie w pełnym wymiarze godzin, były znacznie bardziej rozwinięte niż na Zachodzie. Jednak ubóstwo i długi czas oczekiwania na odpowiednie mieszkanie narzucały osobne ograniczenia, jeżeli chodzi o wczesne zawieranie małżeństw i posiadanie dzieci.

Przede wszystkim jednak lepsze metody antykoncepcji i zmiana prawa aborcyjnego oznaczały, że kobiety w większym stopniu niż kiedykolwiek wcześniej mogły decydować, czy i kiedy chcą mieć dzieci, czy to małżeńskie, czy pozamałżeńskie. Wynaleziona w 1960 roku w Stanach Zjednoczonych pigułka antykoncepcyjna – wkrótce nazwana po prostu „pigułką” – w fundamentalny sposób odmieniła życie kobiet, które po raz pierwszy w historii mogły niezawodnie kontrolować swoją płodność. Pigułka zmieniła zachowania seksualne. Otworzyła drogę do seksualnej wolności, którą począwszy od lat 60. mogli się cieszyć zarówno mężczyźni, jak i kobiety.

Wyzwolenie seksualne zapoczątkowało erozję instytucji małżeństwa, który to proces przyspieszył jeszcze w ostatnich dekadach stulecia. Odsetek rozwodów zaczął wyraźnie wzrastać, choć z pewnością nie tak szybko, jak pod koniec wieku. Już w 1970 roku ponad jedna czwarta małżeństw w Szwecji i Danii kończyła się rozwodem. W tym samym czasie prawie jedna trzecia szwedzkich i duńskich par w wieku dwudziestu kilku lat decydowała się żyć razem bez zawierania



małżeństwa, a prawie jedna piąta dzieci w Szwecji rodziła się ze związków pozamałżeńskich. W innych krajach Europy Zachodniej odsetek ten był znacznie niższy, ale trend zmierzał w tym samym kierunku także w Europie Wschodniej, choć kraje katolickie pozostawały w tyle. Dla przykładu rozwody we Włoszech były nielegalne do grudnia 1970 roku, w Portugalii do 1975 roku, w postfrankistowskiej Hiszpanii aż do 1982 roku, w Irlandii do 1997 roku, a na Malcie można się było legalnie rozwieść dopiero w XXI wieku, począwszy od 2011 roku.

U podstaw tych trendów leżała rewolucja seksualna, która zakwestionowała praktycznie wszystkie tradycyjne przekonania dotyczące seksu, a w drugiej połowie lat 60. stała się centralnym punktem młodzieżowej kontrkultury. Ruch Wyzwolenia Kobiet – którego jedną z wczesnych działaczek była Simone de Beauvoir, partnerka Jeana-Paula Sartre'a i autorka kluczowej dla ideologii ruchu książki *Le deuxième sexe (Druga płeć, 1949)* – odegrał znaczącą rolę w promowaniu niezależności seksualnej kobiet. Rosnąca akceptacja – przynajmniej w teorii – dla równouprawnienia kobiet, główne i trwałe osiągnięcie ruchu feministycznego, urosło do rangi jednej z najważniejszych zmian społecznych w kolejnych dekadach i było w dużej mierze możliwe dzięki wynalezieniu pigułki. Jej dostępność pozwalała zarówno mężczyznom, jak i kobietom cieszyć się seksem bez ryzyka zajścia w ciążę. „Wolna miłość” – swoboda seksualna pozwalająca na posiadanie wielu partnerów – przekroczyła Atlantyk wraz z kulturą hipisowską, która narodziła się w San Francisco. Także homoseksualizm, w latach 50. wciąż kojarzący się z pokątnym i przestępczym półświatkiem, wkroczył na ścieżkę prowadzącą ku szerszej społecznej akceptacji – choć była ona długa i wyboista, bo pozostałości po głęboko zakorzenionych uprzedzeniach ustępowały bardzo powoli.

Szybko rozwijające się mass media przyczyniły się w dużej mierze do wzrostu społecznej akceptacji dla nowego nastawienia wobec seksu. Książki i filmy szybko zaczęły kwestionować i przełamywać tradycyjne tabu. Wydanie w 1960 roku nieocenzurowanej wersji książki D. H. Lawrence'a *Lady Chatterley's Lover (Kochanek Lady Chatterley)*, która zawierała szczegółowe opisy seksu, ujęte

w proste, plebejskie słowa, skończyło się procesem przed londyńskim sądem na mocy ustawy o przeciwdziałaniu obscenicznym publikacjom. Kiedy reprezentant oskarżenia, Mervyn Griffith-Jones, filar establishmentowej cnoty, zapytał przysięgłych, czy chcieliby, by ta książka „była czytana przez ich żony lub ich służących”, wydawał się głosem z minionej epoki. Powołani na świadków eksperci literaccy zgodnie bronili książki. Jak zawsze ekscentryczny i kontrowersyjny biskup Woolwich, John Robinson, zasugerował, że stosunek seksualny z tak drastycznymi szczegółami opisany przez Lawrence’a był „aktem komunii świętej”. Wydawca, Penguin Books, został ostatecznie oczyszczony ze wszystkich zarzutów. Skandal towarzyszący książce, co zrozumiałe, przyczynił się do jej oszałamiającego sukcesu komercyjnego. Przypadek brytyjski był jednym z pierwszych przykładów na to, że rygorystyczna wcześniej cenzura ekspresji seksualnej jest niemożliwa do utrzymania, kiedy wartości społeczne zmieniają się tak szybko. W literaturze, filmie, gazetach i magazynach – telewizja w swoim wczesnym okresie była wciąż ostoją publicznej moralności – było oczywiste, że seks to świetny interes.

Rządy zmuszone były dostosować się do zmieniającego się klimatu. Szwecja i Dania ponownie znalazły się w awangardzie, jeżeli chodzi o dostępność środków antykoncepcyjnych. W Wielkiej Brytanii pigułka od 1961 roku była dostępna na receptę bez ograniczeń dla par małżeńskich, a od 1968 roku dla wszystkich kobiet, bez względu na ich stan cywilny. Pod presją feministek Francja w 1965 roku zniosła zakaz kontroli urodzeń. Kraje katolickie, zgodnie z oficjalnym stanowiskiem Kościoła, opierały się liberalizacji w sferze środków antykoncepcyjnych. We Włoszech ograniczenia w tej kwestii zniesiono w 1970 roku, a w Irlandii dekadę później. W Związku Radzieckim i krajach satelickich aborcja stała się legalna od lat 50., natomiast w Europie Zachodniej – obwarowana zazwyczaj ścisłymi warunkami – na przełomie lat 60. i 70. i później. Choć legalizację poprzedzała zazwyczaj zażarta debata i gorący sprzeciw ze strony Kościoła katolickiego, także kraje katolickie stopniowo legalizowały aborcję, choć

niektóre, na przykład Malta, przeciwstawiały się temu trendowi i utrzymywały zakaz usuwania ciąży jeszcze w kolejnym stuleciu.

Zmiana nastawienia społecznego znajdowała również odzwierciedlenie w legislacji dotyczącej praktyk homoseksualnych. Stanowisko rządów europejskich w kwestii homoseksualizmu różniło się na przestrzeni wieków. Oficjalne zakazy istniały w większości państw komunistycznych (choć nie we wszystkich). Większość demokracji zachodnich penalizowała homoseksualizm. We Francji był jednak legalny od czasów rewolucji (choć rząd Vichy zakazał go, idąc za przykładem innych państw faszystowskich), a w Szwecji, Danii i Islandii (ale już nie w Finlandii i Norwegii) był legalny od dwóch lub trzech dekad. Jednak począwszy od końca lat 60., w odpowiedzi na rosnący sprzeciw wobec panującego prawa, rządy w całej Europie zaczęły liberalizować ustawodawstwo w kwestii homoseksualizmu. Ruch na rzecz praw homoseksualistów, który narodził się w Stanach Zjednoczonych, jeszcze bardziej wzmógł tę presję. Stopniowo, choć proces ten trwał jeszcze w latach 90., penalizacja stosunków homoseksualnych między świadomymi osobami dorosłymi zakończyła się, zarówno na Zachodzie, jak i w postsowieckiej Europie Wschodniej. Niemniej dyskryminacja osób homoseksualnych utrzymywała się, szczególnie w Rosji.

\*\*\*

Wartości społeczne zmieniły się w Europie od czasów wojny diametralnie. Społeczeństwo w Europie Zachodniej było pod koniec lat 60. ogólnie znacznie bardziej liberalne i tolerancyjne niż w roku 1950. Oczywiście, istniały też tendencje odwrotne. Upředzenia rasowe wciąż się utrzymywały, nawet jeżeli lekko skrywane. Powszechny był seksizm. Kobiety często musiały znosić niechciane zaloty ze strony mężczyzn, którzy wykorzystywali swoją uprzywilejowaną pozycję w wielu sferach życia. Feminizm toczył trudną walkę, próbując zmienić męskie upředzenia wobec kobiet i utrwalone praktyki dyskryminacyjne w edukacji i na rynku pracy.

Dla niektórych przedstawicieli młodego pokolenia liberalizacja przebiegała jednak zbyt wolno i nie była wystarczająco radykalna. Chcieli szybszych i dogłębnějších zmian. Pod koniec lat 60. rzucili wyzwanie społecznemu i politycznemu porządkowi, zarówno po wschodniej, jak i zachodniej stronie żelaznej kurtyny.

---

\* Nasza rodzina była pod tym względem dość nietypowa, ponieważ kupiła telewizor nie na koronację, ale by obejrzeć finał Pucharu Anglii, który odbył się na Wembley miesiąc wcześniej, 2 maja 1953 roku. Po pasjonującym meczu Blackpool pokonało Bolton Wanderers 4:3, a najsłynniejszy angielski piłkarz owych czasów, Stanley Matthews, mógł wreszcie wznieść puchar w wieku 38 lat. Większość ludzi z ulicy tłoczyła się w niewielkim salonie naszego szeregowca w Oldham, by zobaczyć ten mecz.

## ROZDZIAŁ 6

# Wyzwania

---

*Zabrania się zabraniać. Wolność zaczyna się od jednego zakazu: by nie niszczyć wolności innych.*

Graffiti w Paryżu, maj 1968 r.

*Nie bądź obojętny wobec dnia, w którym płonące ciało darowało światło przyszłości!*

Napis na pomniku Wacława w Pradze, styczeń 1969 r., po samospaleniu Jana Palacha w proteście przeciwko sowieckiej okupacji Czechosłowacji.

W drugiej połowie lat 60. Europa, zarówno na zachodzie, jak i na wschodzie, weszła w okres politycznych turbulencji, największych od czasów, które nastąpiły bezpośrednio po zakończeniu drugiej wojny światowej. Obie strony żelaznej kurtyny, każda na swój sposób, stanęły wobec wyzwań rzuconych dotychczasowym systemom rządów. W Europie Zachodniej do głowy przychodzą nam przede wszystkim studenckie protesty z 1968 roku. Na wschodzie „Praska Wiosna”, która w tym samym roku wywołała szok w całym bloku sowieckim. Na początku lat 70. protesty te ponownie przygasły, ale ich spuścizna okazała się wieloaspektowa i trwała.

Turbulencje, choć jak się okazało chwilowe, stanowiły odzwierciedlenie głębokich zmian społecznych i kulturowych, najlepiej widocznych w pokoleniu powojennego „baby boomu”, które wówczas wchodziło w dorosłość lub niedawno ją osiągnęło. Wartości i sposoby zachowania starszego pokolenia, nawykłego do

dyscypliny wyniesionej z czasów wojennych, uległy w połowie lat 60. fundamentalnej przemianie. Autorytet, posłuszeństwo, obowiązek – to były dla młodych wartości przynależące do przeszłości. Indywidualizm młodych był szczególnie widoczny w ich wyglądzie, zachowaniu, stylu życia, a oni sami przejawiali mniejszą gotowość do akceptowania statecznego konformizmu i szacunku dla władzy, który cechował ich rodziców. A nawet w pewnych okolicznościach byli gotowi do buntu.

## **Protest i przemoc**

### **Rewolta pokoleniowa**

W 1960 roku amerykański socjolog, Daniel Bell, ogłosił „koniec ideologii na Zachodzie”. Dowodził on, że wielkie ideologie, w szczególności marksizm, które powstały w XIX wieku i zdominowały pierwszą połowę wieku XX, skończyły się i nie odegrają już większej roli w rodzącym się społeczeństwie technokratycznym. W latach 50. doszło do „wyczerpania”, jak to ujmował, politycznych idei i przerostu fundamentalistycznych ideologii. Nawet biorąc pod uwagę historycznie niecodzienny poziom politycznego konsensusu w krajach europejskich, była to ocena bardzo amerykańska. A w ciągu połowy dekady okazała się całkowicie chybiona.

W połowie lat 60. wcześniej stosunkowo spokojna rodzima scena polityczna ustąpiła miejsca epoce bardziej burzliwej, w której centralną rolę odgrywało ideologiczne starcie pomiędzy marksizmem i kapitalizmem. Nie był to konflikt wynikający wyłącznie, czy nawet głównie, z istnienia całkowicie przeciwnych systemów społecznych i politycznych po obu stronach żelaznej kurtyny. W większości był to w istocie ideologiczny konflikt toczący się *wewnątrz* społeczeństwa zachodniego, pomiędzy zachodnimi formami marksizmu a kapitalistyczną liberalną demokracją. Znalazł on artykulację w politycznych

protestach odzwierciedlających coraz bardziej dojmujące poczucie alienacji w młodszym pokoleniu. Zjawisko to stawało się coraz bardziej powszechne, począwszy od połowy lat 60. Dla wielu uczestników był to otwarty bunt pokoleniowy. „Byliśmy nowym pokoleniem, które sięgało po władzę” – tak z perspektywy czasu jeden z dawnych aktywistów opisywał tę podniecającą atmosferę (i związane z nią złudzenia). Niektórzy znajdowali inspirację w demonstracjach i protestach, które miały znaczący wpływ na amerykański ruch praw obywatelskich z lat 60. Tak w Europie, jak i w Stanach Zjednoczonych poetyckie teksty amerykańskiego piosenkarza, Boba Dylana, w szczególności „Blowin’ in the Wind”, „The Times They Are a-Changin’” i „Masters of War”, stały się pokoleniowymi hymnami protestu. Przede wszystkim jednak coraz bardziej oczywisty koszmar wojny wietnamskiej – pierwszej, którą można było obserwować na ekranach telewizorów – dawał motyw przekraczający narodowe granice i wiążący gwałtowne ataki na nieokiełznany materializm, imperializm, kolonializm, amerykańską potęgę i zachodni kapitalizm z idealistycznymi marzeniami o przebudowie społeczeństwa według bezklasowych, neomarksistowskich wzorów. Protesty znajdowały również wyraz w nowych aktach politycznej przemocy, stanowiących ekstremalny przejaw alienacji i wymierzonych w niesprecyzowany sposób w to, co uważano za polityczny establishment.

Protesty eksplodowały w sposób spektakularny w 1968 roku, ale niepokój buzował przez kilka lat, zanim osiągnął punkt wrzenia. „1968” jest symbolem zjawiska, które nie ogranicza się tylko do tego roku oraz oznacza odrzucenie i obalenie podstawowych wartości owych czasów. Studenci dysponujący przewagą edukacyjną, coraz częściej z międzynarodowymi kontaktami, mający okazję przekuć przyświecające im idee w formy kolektywnego działania, stanęli na czele pokoleniowej rewolty. To, co opisuje się jako ruch „globalnego protestu”, znalazło swój wyraz w Stanach Zjednoczonych, Japonii i różnych krajach Europy Zachodniej (nawet w autorytarnym reżimie Franco w Hiszpanii) i miało swój rezonans – choć w innych formach niż na Zachodzie – w niektórych państwach

bloku wschodniego, szczególnie w Polsce i w Czechosłowacji. W Europie Zachodniej ruch protestu przybrał najbardziej gwałtowne i dramatyczne formy we Włoszech, Niemczech Zachodnich i Francji. W każdym przypadku miały one swoje cechy charakterystyczne, choć nie brakowało i wspólnych wątków.

Na swoim najbardziej podstawowym poziomie protest był wynikiem niezadowolenia studentów z warunków panujących na uniwersytetach. Szybki wzrost liczby studentów w latach 60. prowadził do znacznego przepełnienia auli wykładowych i sal seminaryjnych. Brakowało wykładowców akademickich. Profesorowie byli odległymi, zdystansowanymi i autorytarnymi postaciami. Nie bez powodu we Włoszech nazywano ich *baroni*. W tym kraju w latach 60. liczba studentów prawie się podwoiła, sięgając pół miliona. W 1968 roku na Uniwersytecie Rzymskim, przeznaczonym dla 5000 studentów, uczyło się ich 50 000. Wielu studentów opuszczało uniwersytet bez dyplomu. Nawet ci, którzy kończyli studia, mieli często problemy ze znalezieniem pracy. Był to tylko ekstremalny przykład zjawiska, które w krajach Europy Zachodniej było wówczas powszechne. W Niemczech Zachodnich było prawie cztery razy tyle studentów co w roku 1950 – choć za tym tempem ekspansji nie nadążała liczba wykładowców i infrastruktura akademicka. W oczach wielu studentów administracja uniwersytetów była reakcyjna i restrykcyjna. Bezдушne betonowe dżungle nowych kampusów uniwersyteckich pogłębiały anomię. Społeczne niezadowolenie przybrało charakter endemiczny. Dla niektórych przerodziło się w całkowite odrzucenie istniejącego społeczeństwa. „Nie chcemy znaleźć miejsca w tym społeczeństwie”, komentował jeden z włoskich studentów w 1968 roku. „Chcemy stworzyć społeczeństwo, w którym warto będzie znaleźć miejsce”.

Choć każdy protest odzwierciedlał warunki panujące w danym kraju, rosnąca swoboda komunikacji i podróżowania ułatwiła łatwe rozprzestrzenienie się frustracji ponad granicami. Gniew i resentyment przepelniały studenckie ciało. Beczka prochu czekała tylko na podpalenie przez gorącogłowych przywódców studenckich, takich jak Daniel Cohn-Bendit („Czerwony Danny”) we Francji czy Rudi Dutschke w Niemczech Zachodnich. Sprawnie potrafili oni przekuć konkretne



studenckie żale w wyzwanie rzucone wszelkim formom władzy „burżuazyjnego państwa”. Niedawna przeszłość, w sposób najbardziej oczywisty we Włoszech i Niemczech Zachodnich, dawała gotową podstawę do przywoływania ciągłości pomiędzy byłymi reżimami faszystowskimi a obecnym społeczeństwem kapitalistycznym. Często cytowano powiedzenie Maxa Horkheimera, że każdy, kto nie chce mówić o kapitalizmie, powinien milczeć o faszyzmie.

Antyfaszyzm był centralnym elementem atmosfery protestów w Niemczech Zachodnich, istotnym także we Włoszech. Skanalizowanie protestu w masowym ruchu faszystowskim, tak jak to miało miejsce w latach 30., było zatem całkowicie wykluczone. Faszyzm był pojęciem wyklętym. Rebelia otwarcie nadchodziła z lewicy. Intelktualną inspirację zapewniał marksizm. „Nowa Lewica”, jak sami siebie nazywali jej adeptci, rzadko jednak spoglądała na Moskwę i model sowiecki – jego wizerunek doznał bezpowrotnego uszczerbku po brutalnym stłumieniu powstania węgierskiego pod koniec 1956 roku. Jej zwolennicy zamiast tego znaleźli sobie bohaterów, raczej mało pasujących do młodych obywateli uprzemysłowionej Europy Zachodniej, w osobach przywódców chłopskich rewolucji i partyzanckich zmagani, które toczyły się na Dalekim Wschodzie i w Ameryce Łacińskiej. Z podziwem patrzyli na Mao Zedonga (nieświadomi albo gotowi nie zauważyć jego odpowiedzialności za ogromne zbrodnie przeciwko ludzkości), północnowietnamskiego przywódcę Ho Chi Minha, szefa kubańskiego rządu, Fidela Castro (twarz walki z amerykańskim imperializmem), a w szczególności na romantyczną figurę Che Guevary, kubańskiego rewolucjonisty, który został zastrzelony przez boliwijskich żołnierzy w październiku 1967 roku.

Analizowali wczesne pisma Marksa i podziwiali tych, którzy jak Róża Luksemburg, a w szczególności Lew Trocki, zostali wykluczeni z kanonu leninowskiej ortodoksji lub ekskomunikowani, wykluczeni z wiary. Szczególnie szanowane były prace Antonio Gramsciego, marksistowskiego teoretyka faszyzmu, który zmarł w jednym z więzień Mussoliniego. Inspirowały ich kontakty z intelektualnymi guru marksizmu zarówno w Europie, jak i poza nią. Do grona

tego można zaliczyć francuskich filozofów; Jeana-Paula Sartre'a, Louisa Althussera (coraz dziwniejszą i mentalnie zaburzoną postać, przeciwnika prób łączenia marksizmu z humanizmem) oraz Michela Foucaulta, który w swoich pracach kładł nacisk na represyjną władzę i kontrolującą dyscyplinę społecznych instytucji i agend. Do najbardziej wpływowych postaci wśród studenckich radykałów należał Herbert Marcuse, urodzony w Niemczech amerykański krytyk „późnego kapitalizmu”, który uważał współczesne społeczeństwo za odczłowieczające i opowiadał się za rewolucją oraz całkowitym odrzuceniem fałszywych bożków zachodniej kultury konsumpcyjnej. Marksistowskie idee w różnym wydaniu posłużyły do ożywienia wizji pokoleniowej rebelii stosunkowo dobrze wykształconej i głośnej grupy społecznej, napędzanej pragnieniem stworzenia lepszego świata i sprawiedliwszego, bardziej egalitarnego społeczeństwa. W oczach jej członków rewolucja polityczna nie wystarczała. Cały system przekonań i struktury społeczne, które go wspierały, musiały zostać zniszczone, a społeczeństwo stworzone na nowo.

Kwestią, która najbardziej pochłaniała młodych ludzi – i nie tylko ich – z wielu krajów, była pogłębiająca się wojna w Wietnamie. Prowadziła ona do politycznej i ideologicznej polaryzacji, rozpaliała emocje i nastawiała wielu młodych ludzi przeciwko krajowi, który od drugiej wojny światowej był zazwyczaj przedstawiany jako modelowy przykład demokratycznych wartości, wolności i dobrobytu: Stanom Zjednoczonym.

Amerykanie byli coraz bardziej wciągani w pogłębiający się i trudny do rozwiązania konflikt w Indochinach (obejmujących Wietnam, Laos i Kambodżę), od kiedy Francuzi zaczęli się stamtąd wycofywać w latach 1954–1955. Ich celem było powstrzymanie ekspansji komunizmu na tych obszarach. By tego dokonać, Waszyngton musiał oprzeć się na skorumpowanym, marionetkowym rządzie w Sajgonie, stolicy Wietnamu Południowego. Na początku lat 60. Stany Zjednoczone zaczęły wysyłać do Wietnamu coraz więcej broni, nie zbliżając się przy tym ani na krok do pokonania walczących o niepodległość północnowietnamskich sił Ho Chi Minha, które prowadziły coraz intensywniejsze

działania partyzanckie na południu. Gdy perspektywa porażki stawała się coraz wyraźniejsza, prezydent Lyndon B. Johnson, następca Johna F. Kennedy'ego (zamordowanego w listopadzie 1963 roku), podjął w 1965 roku brzemienną w skutkach decyzję o wysłaniu amerykańskich sił lądowych do Wietnamu.

Do końca tego roku w Wietnamie znalazło się 184 000 amerykańskich żołnierzy; w ciągu dwóch lat ich liczba wzrosła do 485 000. Protesty przeciwko amerykańskiemu zaangażowaniu w Wietnamie zaczęły się na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkley już w 1964 roku, a w kolejnych latach szybko rozszerzały się za sprawą organizacji Students for a Democratic Society, inspirowanej ideami Nowej Lewicy. W kwietniu 1967 roku w Nowym Jorku 200 000 ludzi protestowało przeciwko wojnie. W kolejnych miesiącach doszło do eskalacji działań wojennych, a ich potworność symbolizowało coraz częstsze używanie przez siły amerykańskie straszliwych bomb napalmowych. Opinia publiczna w USA zwróciła się przeciwko wojnie, bo młodzi Amerykanie coraz liczniej byli powoływani, by służyć (i ginąć) w konflikcie, który wydawał się – i był – nie do wygrania. Wielu poborowych pochodziło z biednych białych lub czarnych rodzin. Bogatszym lub lepiej ustosunkowanym rodzinom często udawało się w jakiś sposób wykręcić swoich synów od wojska. Protesty stawały się coraz większe i intensywniejsze. Ich przekaz przekroczył Atlantyk. Duże demonstracje przeciwko amerykańskiemu zaangażowaniu w Wietnamie szybko zaczęły odbywać się w Niemczech Zachodnich, Francji, Włoszech i innych krajach zachodnioeuropejskich.

Bez narastających protestów przeciwko wojnie wietnamskiej studenckie niepokoje związane z warunkami panującymi na uniwersytetach, jakkolwiek nie byłyby słuszne, prawdopodobnie nie wyszłyby poza kwestie socjalne. Wietnam przekształcił to niezadowolenie w znacznie szerszą manifestację politycznego i społecznego sprzeciwu, który łączył się niekiedy z brutalnymi starciami z policją. Przekształcił niezadowolonych studentów – przynajmniej niektórych z nich – w przyszłych rewolucjonistów.

W tej roli byli jednak zaledwie dyletantami – niczym więcej. Tylko na krótko i tylko we Francji w maju 1968 roku, kiedy około 10 milionów robotników zaangażowało się w strajki i okupacje fabryk w proteście przeciwko gaullistowskiemu państwu, dotychczasowy porządek wydawał się poważnie zagrożony. Kiedy spontaniczna fala strajków we Francji opadła, a gorąca atmosfera się uspokoiła, studenckie protesty także straciły na intensywności. Stopniowo wygasły, a pewne usprawnienia w uniwersyteckiej administracji wydawały się ich jedynym namacalnym efektem. Jednak wielu uczestników przyplływ adrenaliny i ekscytacja związana z działaniem porwały za sobą, zostawiając niezatarte wspomnienia.

„Pokolenie ‘68” uważało się za coś specjalnego. Jednak większość społeczeństwa albo nie zgadzała się z ruchem protestu, albo była wobec niego obojętna. Przeważająca większość młodych ludzi w krajach europejskich nie była studentami. Wielu z nich już musiało zarabiać i wykonywać ciężkie i kiepsko płatne prace fizyczne. Traktowali studentów jako uprzywilejowaną elitę – co nie było dalekie od prawdy. Także studenci w większości zainteresowani byli przede wszystkim tym, co dotyczyło ich bezpośrednio. Wielu sprzeciwiało się szerszym celom lewicowych aktywistów. Organizacja konserwatywnych studentów w Niemczech Zachodnich, Chrześcijańsko-Demokratyczna Liga Studentów, dla przykładu, była tylko nieco mniej liczna niż jej lewicowy odpowiednik, Socjalistyczny Związek Studentów Niemieckich (SDS). W sondażu przeprowadzonym w 1967 roku większość zachodnioniemieckich studentów opowiedziała się za ustawami o stanie wyjątkowym (które ograniczałyby osobiste wolności w przypadku ogłoszenia stanu wyjątkowego), które rząd chciał wprowadzić, a którym lewicowi działacze studenccy tak gwałtownie się przeciwstawiali. Poglądy studentów na zdominowaną przez konserwatystów koalicję rządową były podzielone niemal równo po połowie między krytyków i zwolenników. Tak czy inaczej mniejszości, która hołdowała utopijnym ideałom rewolucji mającej całkowicie zniszczyć kapitalizm, brakowało potencjału, by rzucić wyzwanie dobrze funkcjonującym i stabilnym systemom demokratycznym

lub by zmobilizować szerokie rzesze społeczne, które posmakowały już lat pełnego zatrudnienia i bezprecedensowego dobrobytu – i stały w ostrej opozycji do marksizmu.

## **Eksplzja protestu**

Studenckie protesty rozlały się po całych Włoszech w 1967 roku w formie fali demonstracji i strajków na uniwersytetach. Narastające niezadowolenie związane z warunkami panującymi na uczelniach zyskało dodatkowy bodziec, kiedy w kwietniu 1966 roku w Rzymie student architektury, Paulo Rossi, został zabity podczas starcia z neofaszystami; ogłoszono go „nową ofiarą faszyzmu”. Duży sprzeciw budziły również rządowe plany reformy wyższej edukacji (później zarzucone), które były krytykowane przez studentów jako próba podporządkowania nauki wymogom kapitalistycznej gospodarki. Na początku 1968 roku rewolucyjne nastroje jeszcze się pogłębiły. Pod koniec lutego policja eksmitowała studentów, którzy okupowali budynki Uniwersytetu Rzymskiego. Kiedy studenci próbowali odbić jeden z nich 1 marca, wybuchły starcia z policją – nazwane potem „bitwą o Valle Giulia”. Uzbrojona w pałki policja zaatakowała tłum około 1500 studentów. Ci odpowiedzieli, podpalając samochody. W zamieszkach rannych zostało 46 policjantów i setki studentów. Do tego czasu ruch studencki miał raczej pokojowy charakter. Teraz walkom z policją niezmiennie zaczęła towarzyszyć przemoc. Stopniowo jednak, wraz z uwzględnieniem części studenckich postulatów, zarzuceniem niepopularnej reformy szkolnictwa i spadkiem społecznego poparcia dla studentów, intensywność konfliktu nierozzerwalnie związanego z warunkami panującymi na uniwersytetach zaczęła słabnąć.

Po „Valle Giulia” ruch studencki zmienił swój charakter. Spontaniczne protesty ustąpiły zorganizowanej rewolucyjnej agitacji. Radykalna mniejszość studentów, którzy należeli do różnorodnych grup rewolucyjnych, chciała wyciągnąć wnioski z szybkiego rozejścia się interesów robotników i studentów we Francji, i postawiła na mobilizację niezadowolenia włoskiej klasy robotników wielkoprzemysłowych.

Wielu z nich przybyło z zacofanego południa, tworząc podproletariat. Byli źle opłacani, często pracowali na akord przy taśmach produkcyjnych, wystawieni na bezduszne warunki pracy i autorytarne zarządzanie, nieprzyzwyczajeni do dyscypliny związków zawodowych i partii politycznych. Eloquentni, radykalni studenci, którzy zaczęli przychodzić do fabryk, żeby zachęcać robotników do protestów, odkrywali, że ich słowa często padają na podatny grunt.

W okresie od końca 1968 roku do jesieni 1969 roku w blisko 3800 w większości „dzikich” strajków wzięło udział około 7,5 miliona robotników. To skłoniło związki zawodowe do działania i pod koniec tego, co ochrzczono mianem „gorącej jesieni”, w grudniu 1969 roku, udało im się wynegocjować znaczącą poprawę warunków pracy i duże podwyżki – średnio dwa razy wyższe od tych, które w kolejnych latach ustalono w innych uprzemysłowionych krajach Europy Zachodniej, choć nie towarzyszył im podobny poziom wzrostu wydajności. Związki zawodowe wyszły z tego sporu wyraźnie wzmocnione i były w stanie wykorzystać swe wpływy na poziomie krajowym do poprawy warunków włoskiej klasy pracującej. Walka o prawa robotników stała się częścią włoskiego życia politycznego. Włochy były strajkową stolicą Europy. W 1972 roku w sporach pracowniczych wzięło udział 4,5 miliona robotników; w 1973 ponad sześć milionów. Ale związki chciały konkretnych korzyści materialnych, a nie utopijnych idei politycznych. Nadzieje studenckich radykałów na uzyskanie dynamiki rewolucyjnej spełzły na niczym. Jednocześnie rząd, choć jego skład często się zmieniał, wprowadził w latach 1969–1971 kilka reform politycznych i społecznych – podniósł poziom emerytur, rozszerzył do pewnego stopnia budownictwo socjalne, zalegalizował rozwody i wprowadził samorząd terytorialny – które były w najlepszym razie częściowymi rozwiązaniami, ale zapobiegły przekształceniu się społecznych niepokojów w ruch rewolucyjny.

Kiedy wszelkie prawdziwe oczekiwania rewolucyjne się rozwiały, protesty przybrały brutalną formę. Radykalni bojówkarze – tak z prawa, jak i z lewa – zaczęli sięgać po przemoc w najostrzejszej formie, przy której wcześniejsze konflikty pomiędzy policją a studentami wydawały się zabawą. Próbowali

zniszczyć włoski system polityczny i ekonomiczny. Celem, przynajmniej neofaszystowskiej prawicy, było stworzenie permanentnego poczucia zagrożenia, które wywołałoby tęsknotę za autorytarnym reżimem zdolnym siłą przywrócić porządek – przy okazji niszcząc konstytucję. Ktoś ochrzcił to „strategią napięcia” (*strategia della tensione*). Nie wiadomo, kto wymyślił tę nazwę, ale się przyjęła.

W kwietniu 1969 roku kilkadziesiąt osób zostało rannych w wyniku wybuchu dwóch bomb w Mediolanie. Bomby podłożone w sierpniu w pociągach zraniły kolejnych 12 osób. W grudniu, w najbardziej krwawym zamachu, cztery bomby (dwie umieszczono w bankach, jedną na Piazza Fontana) zabiły 16 osób, a 87 zostało rannych. W centrum Mediolanu zebrali się 300 000 ludzi, by oddać hołd ofiarom. Pokazało to, że większość Włochów z odrazą odnosiła się do aktów przemocy. Jako winnych szybko wskazano anarchistów i wielu z nich aresztowano w związku z zamachami. Jeden z nich, Giuseppe Pinelli – później oczyszczony ze wszystkich zarzutów – w tajemniczych okolicznościach wypadł z czwartego piętra siedziby policji w Mediolanie. Przyczyny jego śmierci nigdy nie zostały do końca wyjaśnione. Dowody, które pojawiły się później, z dużą dozą prawdopodobieństwa wskazywały, że winni zamachów są nie anarchiści, ale grupa neofaszystów, która w dodatku miała powiązania z pułkownikiem włoskich służb specjalnych. Śledztwo ciągnęło się przez lata, bo spowalniali je zarówno politycy, jak i sędziowie. Sprawa została ostatecznie umorzona. Ataki terrorystyczne skrajnie prawicowych grup – łącznie było ich około 6000, w wyniku czego zginęło 186 osób, a 572 zostały ranne – trwały przez całe lata 70. i na początku 80. Najbardziej krwawy z nich miał miejsce na dworcu kolejowym w Bolonii w sierpniu 1980 roku, kiedy to w wyniku wybuchu bomby zginęło 85 osób, a ponad 200 zostało rannych.

Terroryzm szybko objawił się także po lewej stronie. Setki rewolucyjnych organizacji, które wyłoniły się z ruchu protestu końca lat 60., traciły dynamikę, a ich nadzieje na zniszczenie kapitalistycznego państwa zawiodły. Zdając sobie z tego sprawę, powołano Czerwone Brygady (*Brigate Rosse*) – niewielką, ale śmiertelnie groźną organizację, która zastąpiła agitację walką zbrojną, wzorując się

na południowoamerykańskich partyzantkach miejskich. Czerwone Brygady zostały założone w 1970 roku przez byłych działaczy studenckich, Renato Curcio i Margheritę Cagol wraz z Alberto Franceschinim. Wszyscy pochodzili z rodzin o zdeklarowanych antyfaszystowskich i komunistycznych poglądach. Dołączył do nich Mario Maretti, wywodzący się z prawicowej rodziny z klasy średniej, który nie brał udziału w studenckich protestach 1968 roku. Brygady zaczęły wkrótce podkładać bomby, dokonywać zabójstw i porwań. Szacuje się, że do końca 1974 roku 336 ataków – choć tylko z dwoma ofiarami śmiertelnymi – można przypisać lewicowym organizacjom terrorystycznym. Najgorsze miało jednak dopiero nadejść. W kampanii, która naznaczyła lata 70., najbardziej niesławnym atakiem dokonanym przez Czerwone Brygady było porwanie, a w 54 dni później zamordowanie byłego chadeckiego premiera Aldo Moro wiosną 1978 roku. To zmobilizowało rząd do bardziej zdecydowanych działań. Ostrzejsze ustawodawstwo antyterrorystyczne i utworzenie specjalnego oddziału policji doprowadziły do aresztowania większości terrorystów do roku 1980. Czerwone Brygady istniały nadal w latach 80., ale organizacja ta, społecznie izolowana, znalazła się w ewidentnej fazie schyłkowej, licząc nie więcej niż kilkunastu aktywnych członków.

Protesty studenckie w Niemczech Zachodnich nie wzniciły, w przeciwieństwie do Włoch i Francji, żadnych szerszych niepokojów ani nie zyskały poparcia ze strony robotników wielkoprzemysłowych. Nie miały one, w żadnym realnym sensie, podłoża klasowego, natomiast bardziej niż gdziekolwiek indziej wyróżniał je wątek ideologiczny, związany w dużej mierze z garbem nazistowskiej przeszłości. „Całe to pokolenie było oczywiście zaniepokojone i wściekłe z powodu tego, co popierali ich rodzice”, wspominała jedna z działaczek. To, że rząd Konrada Adenauera faktycznie oddzielił epokę nazistowską grubą kreską i że wiele osób mocno zaangażowanych w zbrodnie hitlerowskiego reżimu świetnie prosperowało w powojennej liberalnej demokracji Niemiec Zachodnich, sprzyjało pogładowi, jakkolwiek nie byłby on mylny, że ten system polityczny i kapitalistyczna gospodarka, na której się wspierał, były w rzeczywistości



kontynuacją faszyzmu w nowym przebraniu. Istnienie wielkich firm przemysłowych i banków, które były filarami nazistowskiego reżimu i, choć odtworzone na nowo po wojnie, w czasach hitlerowskich korzystały z bezwzględnej eksploatacji i pracy niewolniczej, uważano za uzasadnienie tej interpretacji. Wyraźnie autorytarne tendencje widoczne w adenauerowskiej „demokracji kanclerskiej”, próby ograniczenia wolności prasy w „aferze Spiegla” z 1961 roku oraz planowane ustawodawstwo stanu wyjątkowego w upiorny sposób przypominały wstęp do nazistowskiej dyktatury z początku lat 30.; wszystko to w oczach Nowej Lewicy wskazywało na zachowanie ciągłości z faszyzmem.

Procesy Eichmanna i załogi z Auschwitz pokazały bezmiar okrucieństwa nazistów. U jednego z działaczy studenckich, który zaangażował się w protesty, wzbudziły one nie tylko poczucie przerażenia i wstydu, ale spowodowały również „utrąę dziecięcego, podstawowego zaufania do społeczeństwa, z którego się wywodziliśmy i w którym wzrastaliśmy”. Jednak skupienie na samym Holokauście – termin ten nie był jeszcze w powszechnym użyciu – oraz centralnej roli rasistowskiego antysemityzmu w nazistowskiej ideologii pojawiło się dopiero w kolejnym pokoleniu. Na razie narodowy socjalizm był rozumiany przez studenckich radykałów i innych wyznawców tego, co przyjęło się określać mianem „Nowej Lewicy”, jako najbardziej ekstremalny przejaw kapitalizmu. („Narodowy socjalizm” był w istocie określeniem systematycznie potępianym przez Nową Lewicę, ponieważ termin „socjalizm” był postrzegany w kategoriach wyłącznie pozytywnych i nie można go było łączyć ze złem Trzeciej Rzeszy. Nazizm niezmiennie nazywano „hitlerowskim faszyzmem” albo po prostu „faszyzmem”, by wskazać, że był on jedynie radykalnym niemieckim przejawem międzynarodowego zjawiska, nieodłącznie związanego z kapitalizmem).

Ciągłość z nazistowską przeszłością wydawała się zyskiwać dodatkowe potwierdzenie, kiedy to były nazista, Kurt Georg Kiesinger, który zapisał się do partii już w 1933 roku, a w czasie wojny pracował w goebbelsowskim ministerstwie propagandy, został w 1966 roku kanclerzem. Kiesinger kierował „wielką koalicją”, zrzeszającą chadeków, liberałów i socjaldemokratów (tworząc

faktycznie rząd narodowy). Był to efekt zaostrzenia sytuacji politycznej, które nastąpiło po epoce Adenauera. Objął urząd kanclerski w niepokojącym dla Niemiec czasie, kiedy niewielka recesja i drobny wzrost bezrobocia wywołały przesadne obawy. Ten niepokój i niezadowolenie doprowadziły do wzrostu poparcia dla neonazistowskiej Narododemokratycznej Partii Niemiec (Nationaldemokratische Partei Deutschlands, NPD). Poparcie wyborcze dla niej ograniczało się do niewielkiego odsetka społeczeństwa. Mimo to NPD dostała prawie osiem procent głosów w wyborach regionalnych w Hesji w listopadzie 1966 roku, a kwietniu 1968 roku osiągnęła swój najlepszy rezultat, czyli prawie 10 procent, w Badenii-Wirtembergii. Łącznie w latach 1966–1968 jej reprezentanci zdobyli miejsca w siedmiu regionalnych parlamentach. Stanowiło to dalszą pożywkę dla panującego na lewicy przekonania, że Niemcy mogą powrócić do swojej mrocznej przeszłości.

W oczach Nowej Lewicy nie było możliwości, by w parlamencie powstała znacząca opozycja przeciwko rządowi, składającemu się z wszystkich najważniejszych partii. W istocie nie widzieli oni znaczącej różnicy pomiędzy ugrupowaniami, które tak chętnie wchodziły między sobą w koalicje. To doprowadziło do powołania tak zwanej Opozycji Pozaparlamentarnej (Ausserparlamentarische Opposition, APO), kierowanej przez SDS (wykluczony z SPD w 1960 roku). APO pozyskała wielu zwolenników dzięki deklarowanym przez rząd zamiarom ogłoszenia wysoce kontrowersyjnych ustaw, które rozszerzały uprawnienia wykonawcze państwa i ograniczały prawa obywatelskie w stanie wyższej konieczności, a dla których to rozwiązań można było teraz znaleźć w parlamencie wymaganą większość dwóch trzecich. Ponadto bliskie relacje Republiki Federalnej ze Stanami Zjednoczonymi – uwikłanymi w straszliwą wojnę w Wietnamie, a dla Nowej Lewicy będącymi uosobieniem kapitalistycznego imperializmu, pod egidą którego Niemcy pozostawały pierwszym kandydatem do nuklearnej zagłady w razie konfliktu supermocarstw – służyły za paliwo dla studenckich protestów.

Punktem zapalnym okazała się wizyta szacha Iranu, Rezy Pahlawiego w Berlinie Zachodnim, która odbyła się 2 czerwca 1967 roku. Od czasu zamachu stanu, który CIA przeprowadziło w 1953 roku, by zabezpieczyć amerykańskie interesy naftowe w regionie, szach stał na czele brutalnego i represyjnego reżimu. Przez cały dzień jego wizyty odbywały się demonstracje, a napięcie narastało na długo, zanim szach przybył wieczorem do gmachu opery zachodniobermberskiej, by zobaczyć „Czarodziejski flet” Mozarta. Przywitał go grad obelg, a jego otoczenie musiało chronić go przed kanonadą pomidorów, rzucanych przez około 1000 demonstrantów, zmobilizowanych przez SDS. Zachodnioniemiecka policja, zachęcona przez swoich zwierzchników do zaprezentowania twardej linii wobec demonstrantów, biła protestujących bez litości. Wtedy, gdy tłum próbował się rozproszyć, padł strzał i student Benno Ohnesorg, obserwator, a nie radykalny agitator, padł martwy. Protestujący mieli teraz swojego męczennika, zabitego przez policyjną kulę.

Dopiero po latach wyszło na jaw, że policjant, który oddał strzał, Karl-Heinz Kurras, był informatorem wschodnioniemieckiej policji politycznej, Stasi. Nigdy na światło dzienne nie wyszły żadne dowody, że Niemcy Wschodnie nakazały Kurrasowi zabić demonstranta, zapewne po to, by zdestabilizować zachodniego sąsiada (choć przez lata większość dokumentów zniknęła lub została zniszczona). Motyw oddania strzału pozostaje tajemnicą. Oddał go jednak nie protofaszystowski policjant, jak zakładali protestujący studenci, ale zdeklarowany zwolennik wschodnioniemieckiego reżimu.

SDS miał w najlepszym przypadku około 2500 członków. Jednak w pogrzebie Ohnesorga wzięło udział około 7000 studentów i ich nauczycieli. Protest przybrał teraz formę ataku na wszelkie formy władzy w państwie, które postrzegano jako quasi-faszystowskie. Głównym celem studenckich ataków stała się zachodniobermberska siedziba koncernu prasowego Axel Springer, wydawcy między innymi popularnego dziennika „Bild-Zeitung”, który przedstawiał demonstrantów jako lewicowych szturmowców, celowo przywołując skojarzenia z prącami do władzy nazistami. SDS, którego głównym rzecznikiem był charyzmatyczny student

socjologii, Rudi Dutschke, żądała wywłaszczenia koncernu Springera i wzywała do „akcji bezpośredniej” w walce przeciwko „terrorowi” i autorytaryzmowi w Berlinie Zachodnim. Jednak prasa springerowska nie była osamotniona w potępianiu marksistowskiej lewicy i narastającej radykalizacji ruchu studenckiego, który niewątpliwie nie tolerował jakichkolwiek krytycznych czy odmiennych opinii. Nie kto inny jak wybitny filozof i socjolog, Jürgen Habermas, który pod wieloma względami sympatyzował ze studentami, opisał rosnącą nietolerancję ich ruchu jako „lewicowy faszyzm”.

W kolejnych miesiącach Dutschke stał się rodzajem medialnej gwiazdy w Niemczech Zachodnich. Rzadko zdarzały się chwile, gdy znajdował się poza centrum uwagi, ciągle podkreślając na masowych wiecach potrzebę „woli rewolucyjnej”. Jednak 11 kwietnia 1968 roku został postrzelony w głowę i poważnie ranny w ataku przeprowadzonym przez neonazistę. Cudem uszedł z życiem, ale jego kariera studenckiego przywódcy i agitatora była skończona. Atak wywołał dalszy wzrost fali przemocy, a szczególnie częstym celem ataków stała się zachodnioberińska siedziba Springera, ponieważ sądzono, że to jego prasa wywołała atak na Dutschkego. Pod wpływem idei Marcusego pytanie o stosowanie przemocy dla osiągnięcia celów rewolucyjnych znalazło się w centrum debaty. Na kilka dni przed zamachem na Dutschkego celowo podłożono ogień pod dwa domy towarowe we Frankfurcie nad Menem, będącym sercem zachodnioniemieckiego biznesu, by zaprotestować przeciwko „terrorowi konsumpcjonizmu”. Wśród podpalaczy znaleźli się Andreas Baader i Gudrun Ensslin, później wiodące postacie Frakcji Czerwonej Armii (Rote Armee Fraktion), organizacji, która specjalizowała się w dokonywaniu aktów przemocy w ramach tak zwanej „miejskiej partyzantki”.

W tej gorącej atmosferze zachodnioniemiecki rząd federalny, teraz pewny niezbędnej większości, której mu wcześniej brakowało, przygotował grunt pod przegłosowanie wysoce kontrowersyjnych ustaw wyjątkowych. Dziesiątki tysięcy ludzi – których nie można było zakwalifikować wyłącznie jako tradycyjnych zwolenników SDS – w połowie maja wzięły udział w marszu na stolicę rządu, Bonn. Jednak w przeciwieństwie do sytuacji we Francji związki zawodowe

demonstracyjnie zdystansowały się od studenckich protestów i przeprowadziły własny marsz w Dortmundzie. Bezskutecznie. 30 maja ponad trzy czwarte członków Parlamentu Federalnego poparło legislację, która, na wypadek ogłoszenia stanu wyjątkowego, ograniczała tajemnicę korespondencji i rozmów telefonicznych.

Prze głosowanie ustaw nadzwyczajnych okazało się punktem zwrotnym. Ci, którzy znajdowali się na obrzeżach ruchu studenckiego, stracili zainteresowanie pozaparlamentarną opozycją, która w najważniejszej sprawie okazała się nieskuteczna. Dalsze wysiłki rdzenia ruchu w kierunku, uznawanej powoli przez wielu za bezcelową, misji przeprowadzenia ostatecznej rewolucji dla realizacji niejasnych, utopijnych celów, coraz częściej padały na jałowy grunt. Dalsze przypadki gwałtownych ataków na policję wzbudzały jedynie niechęć potencjalnych zwolenników. A ponieważ socjaldemokraci, którzy w niepopularnej wielkiej koalicji zaczęli dystansować się od konserwatywnych partnerów z chadecji, zaczęli zyskiwać poparcie wśród studentów i młodych naukowców, radykalny SDS zaczął je tracić, dzielić się na różne frakcje, by ostatecznie w marcu 1970 roku ogłosić samorozwiązanie.

W owym czasie, po wyborach parlamentarnych we wrześniu 1969 roku, umiarkowana lewica pod wodzą czarującego Willy'ego Brandta (który został nowym kanclerzem) po raz pierwszy od 1928 roku była w stanie sformować rząd – tym razem jedynie z pomocą liberalnej Wolnej Partii Demokratycznej. Wskazówką, że burzliwa końcówka lat 60. odcisnęła swoje piętno na konserwatywnej klasie średniej Niemiec Zachodnich, była gotowość koalicji rządowej Brandta do ugięcia się pod presją chrześcijańskich demokratów i przyjęcie w 1972 roku *Radikalenerlass* (*Dekretu o ekstremistach*). Za jego sprawą lojalność wobec konstytucji stawała się warunkiem wstępnym objęcia państwowej posady. Była to szeroka kategoria, która obejmowała zarówno kolejarzy i listonoszy, jak i urzędników państwowych i nauczycieli. W praktyce na tej podstawie odrzucono nie więcej niż dwa procent potencjalnych pracowników. Był to jednak złowieszczy sygnał, że państwo nie ufa swoim obywatelom. Rząd federalny wycofał się z tej

ustawy w 1976 roku (choć niektóre, ale nie wszystkie landy uchyliły ją jeszcze później). Wówczas wielkie dni ruchu studenckiego w Niemczech Zachodnich należały już dawno do przeszłości.

Jednak podobnie jak we Włoszech, niewielka mniejszość fundamentalistów, którzy wyszli z zawirowań roku 1968 nie odgrywając żadnej znaczącej roli w zachodnioniemieckich protestach studenckich, weszła na ścieżkę brutalnej przemocy i jawnego terroryzmu. Ludzie nazywający się Frakcją Czerwonej Armii, lepiej znani jako „grupa Baader-Meinhof” (nazwana tak od swoich najbardziej znanych członków, Andreasa Baadera i Ulrike Meinhof, którzy, podobnie jak inni prominentni działacze, pochodzili z solidnych, mieszczańskich rodzin), uważali się za część ruchu „partyzantki miejskiej” i nawiązali kontakty z innymi formacjami rewolucyjnymi w Europie Zachodniej i poza nią, w tym z organizacjami antysyjonistycznymi na Bliskim Wschodzie. Począwszy od 1970 roku bojowcy angażowali się w to, co nazywali „walką antyimperialistyczną” przeciw państwu zachodnioniemieckiemu, które popierało amerykańską wojnę w Wietnamie. W kolejnych latach przeprowadzili liczne napady i zamachy bombowe, których ostatecznym celem było obalenie państwa, ich zdaniem mającego charakter opresyjny, kapitalistyczny i faszystowski.

Do pojedynczych, ale poważnych aktów przemocy dochodziło nawet po aresztowaniu i uwięzieniu Baadera, Meinhof i kilku innych przywódców Frakcji Czerwonej Armii w 1972 roku. Kulminacja nadeszła podczas „niemieckiej jesieni” w 1977 roku. 13 października samolot Lufthansy został porwany przez Ludowy Front Wyzwolenia Palestyny i poleciał do stolicy Somalii, Mogadyszu. Porywacze domagali się zwolnienia uwięzionych liderów Frakcji Czerwonej Armii. Sześćdziesięciu ośmiu zakładników zostało jednak uwolnionych w wyniku szturm niemieckiej jednostki antyterrorystycznej. W samej Republice Federalnej porwanie, a ostatecznie morderstwo czołowego przemysłowca (i byłego esesmana), Hannsa-Martina Schleyera, w tym samym miesiącu poprzedziły zabójstwa innych prominentnych ofiar, do których doszło wcześniej w tym roku. Przywódców grupy Baader-Meinhof spotkał gwałtowny koniec. Ulrike Meinhof powiesiła się w celi

w więzieniu Stammheim w Stuttgarcie w maju 1976 roku. Z kolei w nocy 18 października 1977 roku, kiedy gruchnęła wieść o uwolnieniu zakładników w Mogadiszu, Andreasa Baadera znaleziono zastrzelonego, a Gudrun Ensslin powieszoną w ich celach. Jan-Carl Raspe (inny prominentny członek grupy) zmarł następnego dnia od ran postrzałowych, a czwarta członkini grupy, Irmgard Möller, otrzymała kilka poważnych pchnięć nożem, ale przeżyła. Według oficjalnych raportów – choć wielu wątpiło w ich rzetelność – było to zbiorowe samobójstwo.

Podobnie jak we Włoszech, terrorystyczna przemoc szerzona przez zbrojne grupki w latach 70. miała w najlepszym przypadku pośredni związek ze studenckim ruchem protestacyjnym. Mimo to pojawiła się jako najbardziej ekstremalny przejaw głębokiego poczucia alienacji, odczuwanego przez szerokie rzesze młodych ludzi w Europie w stosunku do wartości społecznych, kultury materialistycznej i zbrojnej potęgi zachodniego świata. Według ówczesnych sondaży opinii publicznej około jedna czwarta Niemców Zachodnich poniżej czterdziestego roku życia sympatyzowała z grupą Baader-Meinhof. Większość młodych, podobnie jak innych członków społeczeństwa, odpychała jednak bezsensowna przemoc, niezdolna do zmiany zachodnioniemieckiego państwa i gwarantująca w gruncie rzeczy jedynie konsolidację poparcia dla środków przywracających porządek. Większość starszych Niemców podzielała prawdopodobnie poglądy Franza Gölla, wówczas emeryta (urodzonego w 1899 roku), który wcześniej był zatrudniony na kilku niższych stanowiskach urzędniczych. Göll doceniał wolność osobistą, dopóki nie naruszała ona społecznego i politycznego porządku lub mu nie zagrażała. Opowiadał się za ostrym traktowaniem terrorystów z Frakcji Czerwonej Armii. „To tak jakby wirus zainfekował ich mózgi, blokując normalne myślenie”, pisał w swoim dzienniku. Pisarz Heinrich Böll z wybaczną przesadą twierdził, że kampania Frakcji Czerwonej Armii była „wojną sześciu [ludzi] przeciwko 60 milionom”.

Co ciekawe, wydarzenia 1968 roku we Francji, które bardziej niż gdziekolwiek indziej wyniosły studencką rewoltę tego roku do niemal legendarnego statusu w pamięci zbiorowej, nie pozostawiły po sobie terrorystycznej spuścizny,

porównywalnej do tej z Włoch czy Niemiec Zachodnich. Ani też „Vichy” nie odegrało roli takiej, jaka przypadła spuściźnie faszyzmu we Włoszech, nie wspominając już o nazizmie w Niemczech Zachodnich, choć pamięć o kolaboracji rządów tego państwa z nazistami pozostawała w tle. Wrogość wobec pokolenia rodziców, które poddało się albo nawet sympatyzowało z reżimem Vichy była częścią intelektualnego fermentu, który pobudzał młodsze pokolenie we Francji. Przeplatał się on z wciąż żywym kultem ruchu oporu, podziwem dla tych, którzy aktywnie angażowali się w walkę o pokonanie faszyzmu. Bardziej bezpośredni punkt odniesienia stanowiła niedawna wojna w Algierii. Jak tłumaczył później jeden z działaczy studenckich: „Nasi rodzice nie powstali od razu przeciwko faszyzmowi (...). Widzieliśmy faszyzm rodzący się w Algierii (...). Walczyliśmy z nim od razu, a ci, którzy nas szkolili, pochodzili z pokolenia ruchu oporu”. Kolejnym składnikiem był głęboki sprzeciw wobec autorytarnej, w powszechnym odczuciu, prezydentury Charlesa de Gaulle’a. W 1968 atmosfera zrobiła się zapalna. W maju tamtego roku protesty studenckie, nawet jeśli tylko przez bardzo krótki czas, były bliżej podważenia władzy państwa niż gdziekolwiek indziej.

„Wydarzenia majowe” we Francji stanowiły kulminację niepokojów, które narastały przez lata. Wybuch protestów został spowodowany arbitralną reakcją władz uniwersyteckich na sprzeciw studentów wobec warunków panujących na niedawno powstałej placówce uniwersyteckiej (dla wydziałów artystycznych i nauk społecznych) w podparyskim Nanterre. Był to brzydki kampus bez niemal żadnej infrastruktury socjalnej, położony na północny zachód od stolicy Francji. Budynki przypominające fabryki, zatłoczone sale wykładowe i paternalistyczne formy władzy, oderwane od zmieniającego się nastawienia młodego pokolenia, przyczyniły się do potencjalnej radykalizacji szybko rosnącej populacji studentów – niemal czterokrotnie powiększonej w ciągu trzech lat – w kampusie Nanterre. Wśród studenckich postulatów reform było zniesienie segregacji płciowej w akademikach. Groźba relegowania ze studiów głównego rzeczownika tych postulatów, Daniela Cohn-Bendita, studenta socjologii o niemiecko-żydowskich korzeniach, na którego duży wpływ wywierała rosnąca fala protestów studenckich



w Niemczech Zachodnich, doprowadziła do strajków studenckich i wycofania groźby relegacji. Problemy w Nanterre jednak trwały, co w marcu 1968 roku doprowadziło do okupacji przez studentów budynków administracyjnych i, ostatecznie, czasowego zamknięcia kampusu na początku maja. W owym czasie rolę centrum wydarzeń przejmował już Paryż.

Bardzo możliwe, że niepokoje ograniczyłyby się do Nanterre, gdyby nie fakt, że przesłuchania dyscyplinarne w sprawie ośmiu studentów, oskarżonych o znieważenie profesorów z Nanterre, odbywały się na Sorbonie. Kiedy centrum problemów przeniosło się do Paryża, wybuchły gwałtowne starcia pomiędzy studentami a policją, co wieczorem 3 maja zaowocowało tymczasowym zamknięciem Sorbony, co zdarzyło się pierwszy raz w jej długiej historii, i aresztowaniem prawie 600 studentów. W następnym tygodniu, w nocy z 10 na 11 maja, studenci wzniesli barykady w Dzielnicy Łacińskiej Paryża. Hans Koning, amerykański pisarz holenderskiego pochodzenia, który był świadkiem tych wydarzeń, opisywał „dzikie podniecenie w powietrzu”, atmosferę euforii, a nie strachu. „Niesamowite było patrzeć na studentów, idących bez strachu na policję uzbrojoną w gaz łzawiący, granaty hukowe, pałki, pistolety, hełmy z przyłbicami, tarcze, granatniki i słynne usztywniane peleryny (...). Walka była tak nierówna, a policja tak brutalna, że trzeba było być wielkim zwolennikiem Prawa i Porządku, by czuć sympatię dla władz (...). Kiedy nastał świt, ostatnie barykady wpadły w ręce policji, a pozostali młodzi mężczyźni, a także trochę młodych kobiet, zostali zaciągnięci, nierzadko pod ciosami pałek, do policyjnych furgonetek”. Inny naoczny świadek opisywał młodą dziewczynę „biegnącą po ulicy, praktycznie nago”, pochwyconą przez policję, a potem pobitą, tak jak inni ranni studenci”. Sympatia opinii publicznej była po stronie studentów. Sympatia robotników, szczególnie tych młodszych, szybko przełożyła się na bezpośrednie działania. Niczym nie usprawiedliwiony atak na protestujących był dla związków zawodowych sygnałem do proklamowania na 13 maja dwudziestoczworgodzinnego solidarnościowego strajku generalnego. Niepokoje we

Francji przekształciły się w ten sposób w jednej chwili w coś znacznie poważniejszego niż studencka rewolta.

Starcia z władzą pokazały rosnący gniew, frustrację i żal, które dojrzewały przez lata i nie wszystkie można było ograniczyć do studentów lub kwestii reformy uniwersyteckiej. Te zaburzenia gładko przerodziły się w falę protestów, które ogarnęły całą Francję i objęły miliony robotników, domagających się prawa decydowania o sobie.

Niepokoje ekonomiczne narastały od 1967 roku, bo gospodarka chwilowo zwolniła, a bezrobocie wzrosło. Jednak robotnicy w 1968 roku nie wykonywali żadnych kroków w stronę zorganizowanej rewolucji. Ich działania miały w sobie spontaniczność, która odróżniała się od bardziej tradycyjnych sporów pracowniczych i pod pewnymi względami przypominała podniosłą atmosferę 1936 roku, kiedy to doszło do utworzenia rządu Frontu Ludowego. Ostateczny cel protestujących, o ile taki istniał, był niejasny. A interesy studentów i robotników wielkoprzemysłowych były w naturalny sposób rozbieżne. Tym, co czasowo ich połączyło, było odrzucenie tradycyjnej władzy – pracodawców i menadżerów, którzy raczej dyktowali, niż konsultowali, administratorów uniwersyteckich, którzy chcieli pokazać studentom, gdzie ich miejsce, i profesorów, którzy nie chcieli oddać władzy, którą sprawowali w uświęconych salach uniwersyteckich. Przywódcy Francuskiej Partii Komunistycznej wciąż blisko związani z Moskwą i zdeterminowani, by utrzymać kontrolę nad ruchem związkowym, gardzili potencjalnymi rewolucjonistami – zbieraniną trockistów, maoistów i anarchistów, którym brakowało spójnej strategii, by rzucić wyzwanie, nie mówiąc już o obaleniu władzy państwowej.

A jednak na krótki czas gaullistowska Piąta Republika zatrzęsła się w posadach. Fala demonstracji, zamieszek, strajków i okupacji miejsc pracy przez moment zagroziła stabilizacji francuskiego państwa. Zagrożony wydawał się porządek polityczny. Sam de Gaulle okazywał władcą powściągliwość wobec tych wydarzeń niemal do końca miesiąca. Najwyraźniej nieporuszony, wyjechał nawet 14 maja z czterodniową wizytą państwową do Rumunii. Telewizja pokazywała, jak

ogłada występy zespołów ludowych, podczas gdy Francja znajdowała się na krawędzi chaosu. Był jednak na tyle wytrącony z równowagi, by 29 maja na kilka godzin zniknąć – nie informując o swoich ruchach nawet premiera – po drugiej stronie niemieckiej granicy. Pojechał tam, by upewnić się, że ma poparcie swoich sił zbrojnych. W Baden-Baden umocnił się w swojej determinacji dzięki deklaracji lojalności, którą otrzymał od generała Jacquesa Massu, dowódcy sił francuskich w Niemczech Zachodnich. Pokrzepiony na duchu prezydent następnego dnia wygłosił przez radio prowokacyjne przemówienie do narodu. Ogłosił nowe wybory, zagroził odwołaniem się do środków nadzwyczajnych, jeżeli porządek nie zostanie szybko przywrócony i ostrzegł, że Francji grozi dyktatura. Wkrótce potem zorganizowana demonstracja pół miliona zwolenników de Gaulle'a przemaszerowała przez centrum Paryża, a on sam w wystąpieniu telewizyjnym ostrzegał przed zagrożeniem komunistycznym.

Te działania osiągnęły cel – przynajmniej w perspektywie krótkoterminowej. Przyptyw się cofnął. Dzięki znaczącym podwyżkom płac i innym ustępstwom, zaoferowanym przez premiera Georges Pompidou, większość robotników wróciła do pracy (choć duże strajki wybuchły ponownie w kolejnym miesiącu, a przez ostatnie dwa tygodnie czerwca służba publiczna była niemal sparaliżowana). Policja wyrzuciła studentów z okupowanych budynków uniwersyteckich. Przeprowadzona w trybie pilnym reforma uniwersytecka, zakładająca szerszy udział w zarządzaniu wydziałami, złagodziła presję w najbardziej palącej sprawie, stanowiącej fundament protestu. Niepokoje przygasły. Gorąca atmosfera rebelii wyparowała. Stopniowo przywracano porządek. Gwałtowny protest, który trwał przez większość maja, skończył się. Przeprowadzone miesiąc później wybory okazały się ogromnym wotum zaufania dla de Gaulle'a.

Prezydent Francji odniósł jednak pyrrusowe zwycięstwo. De Gaulle zaproponował regionalizację kraju jako krok w kierunku decentralizacji państwa. Ruch ten jednak odbił mu się czkawką. Wielu ludzi zinterpretowało go jako próbę wzmocnienia pozycji prezydenta kosztem parlamentu. Kiedy 27 kwietnia 1969 roku przeprowadzono referendum w tej sprawie, propozycja została odrzucona. De

Gaule natychmiast zrezygnował ze stanowiska. Mimo to chaos, który niektórzy przewidywali w przypadku jego porażki, nie nastąpił. Czas generała jako „zbawcy” Francji dobiegł końca. Był twarzą przeszłości, nie przyszłości.

Nigdzie indziej w Europie Zachodniej „1968” nie przyniósł takich zawirowań jak we Włoszech, Niemczech Zachodnich i Francji, choć pokoleniowa i kulturowa rewolta, która legła u ich podstaw, znalazła swój wyraz także i gdzie indziej. Już w połowie lat 60. „kultura alternatywna” – silnie antyautorytarna, egalitarna, sprzeciwiająca się istniejącym standardom społecznej moralności – była mocno zakorzeniona wśród młodszego pokolenia mieszkańców Amsterdamu. Odrzucała jednak przemoc i była liberalna w tonie. Koncentrowała się również na promowaniu praktycznych ulepszeń – na przykład darmowych miejskich rowerów, przeznaczonych do użytku publicznego, mających zwalczyć korki w Amsterdamie, czy zajmowania pustostanów w celu rozwiązania problemu bezdomności – a nie na dogmatycznym dążeniu do utopijnych zmian politycznych. Wojna wietnamska nie odegrała wielkiej roli w mobilizacji holenderskich studentów. Podobnie 1968 rok nie okazał się w tym kraju rokiem specjalnie pamiętnym. Niemniej presja na poprawę warunków na uniwersytetach – której najbardziej bezpośrednim przejawem była okupacja budynków Uniwersytetu Amsterdamskiego w 1969 roku – przyniosła zapewne bardziej konkretne efekty niż we Francji, Niemczech Zachodnich czy Włoszech, gdzie zawirowania były znacznie większe. Rząd szybko odpowiedział na te naciski i w 1970 roku przyjęto ustawę demokratyzującą holenderskie uniwersytety i kładącą kres archaicznej hierarchii, która na nich wcześniej dominowała.

Także Wielką Brytanię w dużej mierze ominęła ogromna fala niepokoju na uniwersytetach, która stanowiła podstawę kierowanych przez studentów protestów z 1968 roku. Choć podobnie jak w innych krajach, także w Wielkiej Brytanii liczba studentów w latach 60. szybko rosła, to wciąż była relatywnie niewielka i znacznie ściślej regulowana niż w Europie kontynentalnej poprzez restrykcyjny system przyjęć. Stosunek liczby studentów do kadry naukowej utrzymywał się na niezwykle niskim poziomie. Studenci Oxfordu i Cambridge wciąż mogli korzystać

z dobrodziejstw indywidualnej opieki naukowej tutorów w college'ach, w których wykształcenie zdobywali najczęściej absolwenci elitarnych brytyjskich szkół prywatnych. Także gdzie indziej jednak seminaria i wykłady były niewielkie, a kontakt między studentami a ich nauczycielami bliski i częsty. Niewiele było zatem obiektywnych powodów do niezadowolenia, tak powszechnego na kontynencie. Siedzące protesty, okupacje budynków uniwersyteckich i różnego rodzaju demonstracje miały miejsce na niektórych uniwersytetach (szczególnie w London School of Economics i, co zapewne dziwniejsze, w nowo utworzonym University of Essex), ale w większości przypadków było one jedynie bladym odbiciem tego, co działo się po drugiej stronie kanału. Młodzi wykładowcy często sympatyzowali z postulatami studentów, obejmującymi demokratyzację sposobu zarządzania wydziałami i osłabienie władzy profesorów; w tych kwestiach akcje protestacyjne osiągnęły pewne sukcesy. Generalnie jednak skala zawirowań na uniwersytetach była niewielka, a energia protestów szybko się wyczerpywała.

Protesty były głośniejsze i bardziej znaczące na arenie politycznej. Od 1965 roku na uczelniach całej Wielkiej Brytanii protestowano przeciwko wojnie w Wietnamie. London School of Economics – zdecydowanie lewicowa i znana na arenie międzynarodowej ze studiów nad ekonomią polityczną, historią i socjologią – stała się magnesem dla szerokiej studenckiej opozycji wobec wojny wietnamskiej i forum wyrażania poparcia dla ruchów wyzwolenicznych w tak zwanym „trzecim świecie”.

Sprzeciw wobec wojny wietnamskiej wykraczał jednak daleko poza środowisko akademickie. Łączył studentów, przywódców religijnych, organizacje związkowe i – w większości lewicowych – działaczy politycznych. Od 1966 roku Kampania Solidarności z Wietnamem, organizacja o wyraźnie trockistowskim odchyleniu, prowadziła kampanię na rzecz zwycięstwa Wietnamu Północnego. W 1968 roku w Londynie miały miejsce wielkie marsze protestacyjne. W marcu dziesiątki tysięcy ludzi wzięły udział w demonstracji w centrum Londynu, która odbywała się pokojowo, dopóki w pewnym momencie kilkuset demonstrantów nie oderwało się od głównego marszu i nie ruszyło na Grosvenor Square, gdzie mieści się ambasada

amerykańska. Tam czekał już na nich kordon policji, częściowo na koniach. „To był jeden z najbardziej ekscytujących momentów w moim życiu”, wspominał felietonista „The Times” David Aaronovitch, wówczas trzynastoletni chłopiec. „Jednak gdy znaleźliśmy się na placu, euforię zastąpił strach”. W efekcie starć setki policjantów i demonstrantów zostało rannych; podobnych zamieszek ulice Londynu nie widziały od dziesięcioleci. „Rozchodzący się demonstranci mówili tylko o brutalności policji. Ludzie byli bici po głowach pałkami, tratowani przez konie i regularnie kopani podkutymi policyjnymi butami. Ale następnego dnia we wszystkich gazetach ukazało się zdjęcie zgiętego w pół policjanta z wykrzywioną twarzą, którego kopie demonstrant obuty w modne trzewiki”. Podczas późniejszych demonstracji, w tym tej z października 1968 roku, której liczebność szacowano na ćwierć miliona ludzi, udało się uniknąć tak poważnych starć. Protesty przeciwko wojnie trwały. Rok 1968 okazał się jednak punktem kulminacyjnym. Skala przemocy pozostała zaś bardzo niska, jeżeli porówna się Wielką Brytanię z Włochami, Zachodnimi Niemcami czy Francją.

## **Trwałe dziedzictwo 1968**

Co ostatecznie oznaczał „1968” dla Europy Zachodniej? Ruch protestu był tak zróżnicowany, że niełatwo jest wyciągnąć konkretne wnioski na temat jego wpływu.

Z pewnością osiągnięto pewien postęp w kwestii struktur zarządzania na uniwersytetach, co przyniosło odrobinę demokratyzacji. Władza profesorska została do pewnego stopnia ograniczona – co ciekawe, zapewne w większym stopniu w Wielkiej Brytanii, gdzie protesty studenckie były umiarkowane, niż w większości krajów Europy kontynentalnej. Poprawiły się warunki do studiowania, ponieważ podjęto kroki zmierzające do rozładowania zatłoczonych sal wykładowych i bibliotek. Studenci zaczęli być traktowani jak dorośli, także w sferze ich życia seksualnego na kampusach – kwestia ta w końcu była jednym z punktów zapalnych we Francji. Uniwersytety, w ramach szerszej zmiany

społecznej, w ramach której na przełomie lat 60. i 70. wiek pełnoletności w wielu krajach europejskich obniżono z 21 do 18 lat, zrezygnowały z roli stróżów moralności studentów.

Jednak dramatyzm, ekscytacja i pamięć o 1968 nie ograniczały się głównie do umiarkowanych zmian w ramach samych uniwersytetów. Zmienić świat – albo przynajmniej własne społeczeństwa – to była ambicja, która napędzała tysiące uczestników protestów. Mówiono o pracowniczej własności środków produkcji, demokracji w fabrykach, pracy, która przynosiłaby zadowolenie, a nie alienację, nauce, która służyłaby spełnieniu, a nie zaspokojeniu potrzeb kapitalistycznej gospodarki, a przede wszystkim o pokoju, a nie przemocy.

Osiągnięcia, jeżeli chodzi o te szczytne cele, były mizerne. Protestujący wszędzie musieli zdać sobie sprawę, że nie docenili odporności istniejących systemów państwowych. Wielu współczesnych sądziło, że pokolenie '68 składało się z marzycieli, naiwnych romantyków, których utopijne nadzieje były zaledwie iluzjami skazanymi na niepowodzenie. Takie poglądy były zrozumiałe i nie całkiem pozbawione sensu. Były również brutalne. Spuścizna 1968 roku była bardziej pośrednia niż bezpośrednia. Ale realna.

Wielka fala sprzeciwu wobec wojny w Wietnamie w Europie była ważnym międzynarodowym przedłużeniem bardziej znaczącego ruchu protestu w Stanach Zjednoczonych, który przyczynił się do rosnącej gotowości amerykańskiej administracji, by poszukać drogi wyjścia z tej niepopularnej i niemożliwej do wygrania wojny. W bardziej namacalnym sensie w samej Europie niepokoje gospodarcze, które wyniknęły ze studenckich protestów we Włoszech i Francji (choć już nie w Niemczech Zachodnich), zaowocowały znaczącą poprawą płac i warunków pracy klasy robotniczej. W konsekwencji umocniła się pozycja związków zawodowych. Mówienie o budowaniu „nowego społeczeństwa” było na wyrost. Jednak rządy, bez względu na swoje barwy ideologiczne i z różnym powodzeniem, próbowały złagodzić ekonomiczną konfrontację poprzez kooperacyjne formy negocjacji z udziałem zarządów i związków zawodowych. Próbowały również, często znów z ograniczonym powodzeniem, łączyć

ekonomiczną modernizację i postęp technologiczny z reformami społecznymi – takimi jak poprawa systemu emerytalnego czy polityki mieszkaniowej – które podnosiłyby jakość życia większości obywateli.

Data „1968” natychmiast zyskała kultowy status wśród tych, którzy uczestniczyli w demonstracjach i strajkach. Stała się symbolem całej epoki zmian wartości kulturowych, a nie tylko wydarzeń pojedynczego roku. Choć zawirowania samego 1968 roku szybko ustały, ich spuścizna nie ma zdecydowanej daty końcowej. Antyautorytarne, egalitarne i wolnościowe nastawienie pokolenia ‘68 miało trwały wpływ. Stało się podstawą częściowej demokratyzacji, której niektóre (choć nie wszystkie) organizacje doświadczyły w kolejnych latach. Ruchy protestu uchwyciły i uwydatniły pokoleniowe i emancypacyjne impulsy, które pochodziły sprzed 1968 roku i trwały długo po tym, jak dramat przygasł. Były ważne dla działań zmierzających ku mniej autorytarnej edukacji. Otwierały również nowe możliwości dla walki o równouprawnienie płci. Kobiety wciąż doświadczały powszechnej dyskryminacji w edukacji, w miejscu pracy i w większości sfer wymiany społecznej. Ruch feministyczny był wówczas w powijakach, a wyzwolenie kobiet odgrywało jedynie pomocniczą rolę w protestach 1968. Niemniej presja na równe prawa dla kobiet i mniejszości etnicznych – czerpiąca z ruchu praw obywatelskich w Stanach Zjednoczonych – oraz wolność seksualną (w tym prawo kobiet do aborcji) i prawa gejów, nawet jeżeli prawa te przynosiły owoce stopniowo (i częściowo), wiele zawdzięcza impulsowi nadanemu przez „1968”.

Ruch pokojowy – slogan amerykańskich hippisów „make love not war” przekroczył Atlantyk – w atmosferze po 1968 roku zyskał nową siłę i przyczynił się do wznowienia antynuklearnych protestów w latach 80. Dziedzictwo 1968 pomogło również ukształtować „Ruch Zielonych”, który pod koniec XX wieku zaczął coraz głośniej artykułować argumenty w obronie środowiska naturalnego. Niektórzy przedstawiciele pokolenia ‘68 stali się nawet prominentnymi działaczami Zielonych. Joschka Fischer, dawny studencki bojownik i orędownik komunistycznej rewolucji, który wdawał się w walki z zachodnioniemiecką policją,



został deputowanym do parlamentu federalnego z ramienia Partii Zielonych, a skończył ni mniej, ni więcej, tylko na stanowisku ministra spraw zagranicznych. Daniel Cohn-Bendit – „Czerwony Danny” – został później eurodeputowanym i przywódcą francuskich Zielonych.

Pokolenie '68 zachowało żywe – i często podkoloryzowane – wspomnienia pięknych dni, kiedy jego przedstawiciele myśleli, że obalają stary porządek. Wiele lat później wciąż wierzyli, że brali udział w heroicznej walce. Niemniej wielu zostało zwykłymi, „modelowymi” obywatelami. Niektórzy – jak Joschka Fischer czy Lionel Jospin, trockista w latach 60., który trzy dekady później został premierem Francji – nawet członkami „establishmentu”. Jednak młodzi buntownicy i niespełnieni rewolucjoniści z 1968 roku zabrali swoje wartości w dorosłe życie, naznaczone często prozaicznymi działaniami. Ich nastawienie, które ukształtowało w owym roku rewoltę młodych, miało trwały, niezatarty efekt. Niektórzy, to prawda, świadomie wyrzucili ze swojego życia politykę i odcięli się od radykalnej przeszłości. Rozczarowanie ruchem rewolucyjnym, który nie przyniósł rewolucji, nie było niczym rzadkim. Inni próbowali jednak kontynuować „walkę” w ten lub inny sposób, wkładając swój reformistyczny zapał w wykonywane profesje – czasami jako dziennikarze, prawnicy, działacze praw człowieka i pracownicy socjalni. Ci, którzy zostali nauczycielami na różnych poziomach edukacji, często wszczepiali wartości przyjęte w 1968 roku młodszemu pokoleniom. To były te „mnożniki”, które gwarantowały, że nowe wartości nie umarły wraz z samym ruchem protestu.

## **Inny '68**

Spektakularne wyzwanie rzucone istniejącemu porządkowi – bardziej dramatyczne i o większym bezpośrednim znaczeniu niż wydarzenia w Rzymie, Berlinie Zachodnim, Paryżu czy innych miastach – groziło tymczasem osłabieniem sowieckiej dominacji w Europie Środkowej. Jednak „Praska Wiosna” – „1968”

w Czechosłowacji – miała bardzo mało wspólnego z falą studenckich protestów, które odbywały się w tym roku w Europie Zachodniej. Jej przyczyny, charakter i konsekwencje były zupełnie inne.

Echa tego, co działo się na Zachodzie, docierały jednak za żelazną kurtynę. Protesty studenckie wybuchały z różną intensywnością w wielu krajach. W bloku wschodnim protestowanie wymagało znacznej odwagi. Szanse na sukces były zerowe, a protestujący musieli się liczyć ze srogim odwetem ze strony państwa. Poza Czechosłowacją, w której panujące warunki należy uznać za niecodzienne, spotykali się również z wysokim poziomem społecznej izolacji; ich pokaz politycznego nonkonformizmu spotykał się ze sprzeciwem, a w najlepszym przypadku z obojętnością większości społeczeństwa – co nie powinno dziwić, ludzie nie chcieli ryzykować gniewu reżimu, od którego zależeli w kwestii państwowego zatrudnienia, perspektyw edukacyjnych, mieszkania i innych codziennych spraw. Motywy protestów także znacząco różniły się od tych na Zachodzie. Jeden z polskich działaczy zwięźle scharakteryzował później najważniejszą różnicę: „Dla nas marzeniem była parlamentarna demokracja, natomiast dla nich ona była więzieniem”. Jeden z czeskich przywódców studenckich w 1968 roku zauważył później: „My chcieliśmy po prostu wolności (...) oni walczyli o inny rodzaj społeczeństwa (...). Mawiałem: «Błagam, wasza nędza – spójrzcie, jak ona wygląda w porównaniu z naszą nędzą»”. Pomimo jego osobistego magnetyzmu, wizyty Rudiego Dutschkego u działaczy w Berlinie Wschodnim i w Pradze nie doprowadziły do porozumienia umysłów. „Dutschke był kochany, ale problem z nim polegał na tym, że wygadywał lewackie nonsensy, typowe dla jego pokolenia”, napisał później jeden z enerdowskich dysydentów, aresztowany w 1968 roku za protesty przeciwko sowieckiej inwazji na Czechosłowację w sierpniu tego roku. Pewien czeski działacz napotkał na podobne problemy: „Rudi Dutschke (osobiście go lubiłem) nie zrobił specjalnej kariery ze swoją wizją wolnego, nierestrykcyjnego komunistycznego społeczeństwa, kiedy odwiedził Pragę tej wiosny (1968). Argumenty francuskich studentów i ich wymachiwanie czerwonymi flagami nie przemawiało do naszych studentów”.

Pod koniec lat 60. działacze jeździli do Europy Wschodniej zaskakująco często, a częściowa liberalizacja systemu komunistycznego w Czechosłowacji, na Węgrzech i w Jugosławii umożliwiła pewien ruch także w przeciwnym kierunku. W 1968 i na początku 1969 roku prawie 700 000 obywateli, w tym wielu studentów, pojechało z Czechosłowacji na Zachód. Węgierska polityka „okien na Zachód”, prowadzona od połowy lat 60., dawała dostęp do zachodniej muzyki popularnej i filmów – o ile tylko były one krytyczne wobec kapitalizmu. Niemiecka Republika Demokratyczna była znacznie bardziej restrykcyjna. Po wybudowaniu muru berlińskiego reżim początkowo eksperymentował z polityką względnej tolerancji, ale w 1965 roku uznał, że był to błąd i od tego czasu zdecydowanie tępił wszelkie zachodnie wpływy kulturalne. Choć wschodni Niemcy nie mogli podróżować na Zachód, większość z nich była w stanie odbierać zachodnie stacje telewizyjne i radiowe, a wielu młodych ludzi – 200 000 w samym tylko 1968 roku – wyjeżdżało do Pragi, gdzie bardziej liberalny klimat dawał szansę posłuchania zachodniej muzyki pop czy obejrzenia zachodnich filmów. Stasi donosiła w marcu 1968 roku, że niektórzy młodzi ludzie w Niemczech Wschodnich regularnie otrzymywali zachodnie ubrania, płyty i publikacje „dostarczane przez kontakty w Berlinie Zachodnim”, a następnie rozprawdzali je wśród znajomych.

Część tej inwigilowanej grupy została później w tym roku aresztowana za protesty w sprawie sowieckiej inwazji na Czechosłowację. To raczej, a nie żadne poważne echo „wydarzeń majowych” we Francji czy zawirowań, które wstrząsnęły zachodnioniemieckimi i włoskimi uniwersytetami, wywołało spontaniczny wybuch protestów w NRD. Potajemnie krążyły ulotki, a mury pokrywały się napisami popierającymi „wolność dla Czechosłowacji”, atakującymi Związek Radziecki i krytykującymi enerdowskie kierownictwo. Jednak w porównaniu z niektórymi innymi państwami bloku wschodniego takie protesty w NRD występowały na niewielką skalę. Większość protestujących była młoda, ale wydaje się, że w ruch zaangażowało się stosunkowo niewielu studentów. Łącznie za poparcie dla Czechosłowacji władze ukarały 1189 obywateli Niemiec Wschodnich, z czego trzy czwarte nie przekroczyło 30. roku życia. Przeważającą większość stanowili młodzi

robotnicy; zaledwie 8,5 procent stanowili studenci lub uczniowie. Wcześniej w tym samym roku studenckie protesty w Berlinie Zachodnim nie wywołały żadnego odzewu po drugiej stronie muru. Państwowa kontrola była zbyt ścisła, represje zbyt poważne. Dodatkowo jednak większość wschodnioniemieckich studentów i intelektualistów, albo z powodów oportunistycznych – mając na widoku swoją karierę – albo z racji rzeczywistego zaangażowania, była zbyt związana z reżimem, by otwarcie zaangażować się w sprzeciw. I w przeciwieństwie do znacznie poważniejszych problemów, z którymi reżim miał do czynienia w 1953 roku, tym razem nie było sygnałów, że pojedyncze i rozproszone protesty mogą przerodzić się w zorganizowaną opozycję. Co jednak najważniejsze, nie doszło do rozłamu w kierownictwie partii. Były tylko represje.

W Polsce sprawa przedstawiała się inaczej. Polscy studenci i intelektualiści rozumieli klimat protestów w Europie Zachodniej i rosnące żądania w Czechosłowacji, dotyczące liberalizacji systemu, dzięki czemu wzrosły ich nadzieje na poszerzenie granic swobody wypowiedzi. Postulaty takie już wcześniej wyrażali czołowi pisarze. Te nadzieje zostały bezwzględnie rozwiane, kiedy w marcu 1968 roku radziecki ambasador wymógł zamknięcie warszawskiego teatru, który wystawiał *Dziady* Adama Mickiewicza, wieszczka narodowego, który w tej sztuce krytykował XIX-wieczną Rosję. To niezręczne posunięcie wywołało gniewne protesty, które osiągnęły swój punkt kulminacyjny 9 marca 1968 roku, kiedy to 20 000 studentów przemaszerowało przez Warszawę wykrzykując „Precz z cenzurą” i „Niech żyje Czechosłowacja”, co spotkało się z brutalnymi represjami milicji. Niezrażeni tym studenci demonstrowali dwa dni później przed siedzibą partii. Milicja odpowiedziała armatkami wodnymi i gazem łzawiącym, co doprowadziło do kilkugodzinnej ulicznej bitwy. Protest rozszerzył się na inne polskie uniwersytety. W Krakowie robotnicy zademonstrowali swoje poparcie dla studentów, zanim nie zostali rozproszeni przez milicję z psami. Co jednak najważniejsze, studentom nie udało się uzyskać powszechnego poparcia robotników, a opinia publiczna, karmiona komunikatami reżimowej prasy, pozostała wroga. Resztę zrobiły represje. Niektóre wydziały Uniwersytetu

Warszawskiego zostały zamknięte przez milicję; zawieszono wiele zajęć; studenci stanowili jedną czwartą z 2700 aresztowanych (a ich wykładowcy dalsze 10 procent). Setki studentów powołano do wojska. Prominentną postacią wśród naukowców, których pozbawiono stanowiska, był wyróżniający się już wtedy (później znany na całym świecie) filozof i krytyczny analityk sowieckiej ortodoksji komunistycznej, Leszek Kołakowski.

Na początku kwietnia niepokoje wygasły. Jednym z ich ubocznych skutków było uruchomienie przez reżim retoryki antysyjonistycznej – twierdzono, że to „syjoniści” wywołali protesty wśród politycznie naiwnych studentów. W efekcie pod presją antysyjonistycznej kampanii zmuszono do emigracji około 13 000 Żydów (w tym setki intelektualistów) – większość z tych, którzy wciąż zamieszkiwali powojenną Polskę. Reżimowi w stłumieniu poważnych polskich wystąpień w 1968 roku pomogły wydarzenia w sąsiedniej Czechosłowacji. Zgniecenie Praskiej Wiosny przez zbrojną sowiecką interwencję zajmowało umysły w Polsce. Władysław Gomułka był w stanie – przynajmniej na chwilę – utrzymać władzę. Ale polskie problemy nie zniknęły.

Demonstracje w Czechosłowacji miały miejsce już jesienią 1967 roku. Wywołały je kiepskie warunki bytowe w praskich akademikach. Zostały wówczas brutalnie stłumione przez milicję. Później jednak protesty te włączyły się w szerszą falę niezadowolenia społeczeństwa, które domagało się liberalizacji i demokratyzacji systemu. Pokoleniowa rewolta, która odegrała tak ważną rolę w Europie Zachodniej, w Czechosłowacji była dużo mniej istotna. Protesty zyskały tu poparcie całego spektrum społecznego i demograficznego, przede wszystkim w związku z powszechnym niezadowoleniem z panujących warunków ekonomicznych. Raport partii komunistycznej z kwietnia 1968 roku był jednym wielkim aktem oskarżenia wobec własnych marnych osiągnięć. Potępiał „katastrofalny stan budownictwa”, stagnację poziomu życia, kulejący transport i kiepską jakość dóbr i usług. Gospodarka planowa zawodziła fatalnie nawet przy dostarczaniu najpotrzebniejszych towarów – i to w jednej z najbardziej uprzemysłowionych gospodarek w bloku wschodnim.

Co jednak najważniejsze, presja na radykalne reformy wpływała nie z zewnątrz, a z wewnątrz rządzącej partii komunistycznej, a w istocie niemal z jej centrum decyzyjnego. Dla Aleksandra Dubczeka, który stał się twarzą chęci zmian, reforma była koniecznością. Nie tylko i nawet nie głównie (przynajmniej początkowo) z idealistycznego przekonania; w coraz większym stopniu dostrzegał on, że reformy są jedynym sposobem na zagwarantowanie, że partia utrzyma władzę. Zachodni buntownicy (a przynajmniej ich najbardziej radykalna część) chcieli obalić kapitalistyczne społeczeństwo i zastąpić je jakąś formą utopijnego komunizmu. Ich wschodnioeuropejscy odpowiednicy, którzy żyli w warunkach „realnego socjalizmu” (jak zazwyczaj określano tę formę komunizmu), nie chcieli go niczym zastępować, lecz reformować. Niewielu opowiadało się za zachodnim kapitalizmem; ich celem była demokratyzacja i liberalizacja komunizmu. Praska Wiosna raz na zawsze położyła kres tym złudzeniom. Ostateczna lekcja z niej płynąca była taka, że liberalne wolności i demokracja są niekompatybilne z istnieniem komunistycznego państwa. Kiedy zagroziły władzy rządzącej partii komunistycznej, a w konsekwencji jedności bloku sowieckiego, próby ich rozszerzenia miały zostać zgniecione siłą.

Praska Wiosna miała swoje korzenie pięć lat wcześniej, w 1963 roku, kiedy to Słowacja, systematycznie marginalizowana po wprowadzeniu centralistycznych zmian w konstytucji w 1960 roku, zaczęła się domagać większej autonomii. Słowacka Partia Komunistyczna była w praktyce podporządkowana swojej czeskiej odpowiedniczce, kontrolowanej przez starego stalinistę, Antonina Novotnego, pierwszego sekretarza, a od 1957 roku prezydenta kraju. Po podjęciu przez Nikitę Chruszczowa destalinizacji w Związku Radzieckim, Novotný poczuł się zmuszony do podjęcia podobnych kroków w Czechosłowacji. Symbolami zmian było usunięcie (a następnie skremowanie) zabalsamowanych zwłok poprzedniego przywódcy, Klementa Gottwalda, oraz zniszczenie gigantycznego pomnika Stalina, górującego nad Pragą. Na początku 1963 roku Novotný poczuł się również zobligowany do powołania komisji do zbadania pokazowych procesów Rudolfa Slánskiego i innych, które miały miejsce w latach 50. Raport komisji rehabilitował

skazanych i uwalniał ich od zarzutu zdrady, ale nie przywracał pełnego członkostwa w partii słowackim ofiarom czystek, które potępiono jako „burżuazyjnych nacjonalistów”. Ustalenia komisji stanowiły jednak bezpośrednie zagrożenie dla Novotnego. Aleksander Dubczek, członek komisji, wiedział, że sam Novotný popierał w istocie pokazowe procesy.

Jako pierwszy sekretarz Słowackiej Partii Komunistycznej od maja 1963 roku, Dubczek – szkolony w Moskwie, oddany działacz od 14 lat – początkowo prawdopodobnie chciał wykorzystać tę wiedzę, by wprowadzić większą wolność słowa i ograniczyć cenzurę prasową na Słowacji. Wykorzystał zmiany, by skanalizować słowackie żale wobec Pragi i domagać się nowych ustępstw, w tym całkowitej rehabilitacji słowackich ofiar czystek. Poluzowanie kontroli na Słowacji nie umknęło uwagi czeskich pisarzy i dziennikarzy i Novotný, i tak znajdujący się pod presją z powodu pogarszającej się sytuacji gospodarczej, niechętnie zgodził się na poszerzenie obszaru wolności ekspresji kulturalnej także w Czechach. Dubczek nadal artykułował słowackie pretensje i z powodów taktycznych akceptował nawet sentymenty narodowe, które leżały u podstaw niezadowolenia. Utrzymywał presję na Novotnym, podnosząc potrzebę przeprowadzenia reform w całej Czechosłowacji, a nie tylko na Słowacji. Kolejną implikacją było to, że to on, Dubczek, miał być człowiekiem, który pokieruje zmianami. W 1967 roku podział w ścisłym kierownictwie partii na reformatorów i tych, którzy sprzeciwiali się zmianom, stał się niemożliwy do zasypania. W takim momencie, w październiku 1967 roku, doszło do studenckich demonstracji w Pradze, spowodowanych złymi warunkami w akademikach.

Krytyka użycia siły przez milicję wobec studentów była wśród członków partii powszechna, co jeszcze bardziej osłabiło Novotnego i starą reakcyjną gwardię, uzasadniając tym samym potrzebę zmiany na szczycie, która przyniosłaby ze sobą dalsze reformy. Frakcyjny podział w kierownictwie partii wykrystalizował się w narastającej walce o władzę pomiędzy Dubczkiem a Novotnym. Kiedy sowiecki przywódca, Leonid Breżniew, wycofał swoje poparcie, los Novotnego został przypieczętowany. W styczniu 1968 roku Dubczek zastąpił go na stanowisku

pierwszego sekretarza partii. Dwa miesiące później Novotný zrezygnował z funkcji prezydenta i został zastąpiony nominatem Dubczeka, Ludvíkiem Svobodą, popularnym w społeczeństwie bohaterem wojennym, który w latach 50. sam padł ofiarą czystek. Praska Wiosna rozkwitła już wtedy w pełni. Cenzura prawie nie istniała, a w prasie pojawiały się liczne ataki na czołowych działaczy partyjnych – ku rosnącej konsternacji przywódców komunistycznych w Moskwie i w państwach satelickich.

„Program działania”, którego celem był „socjalizm z ludzką twarzą”, został przyjęty przez Prezydium partii 5 kwietnia 1968 roku. Zawierał on ostre potępienie błędów popełnionych za rządów Novotnego. Ogłoszono, że od teraz partia komunistyczna będzie gwarantem „praw, wolności i interesów” i będzie gotowa zmieniać dyrektywy i rezolucje, by wyjść naprzeciw żądaniom społecznym. W oczywisty sposób taki poziom demokratyzacji był niekompatybilny z ortodoksyjnym komunistycznym przekonaniem o „dyktaturze proletariatu”. Wraz z powołaniem nowego rządu następnego dnia, na czele z Oldřichem Černíkiem, Dubczek i zgromadzeni wokół niego reformatorzy zajęli wszystkie najważniejsze stanowiska w partii i w państwie.

Atmosfera była upojna. „Nagle przecież okazało się, że można swobodnie oddychać, ludzie mogli się dowolnie stowarzyszać, zniknął strach”, wspominał dramaturg Václav Havel, który dwie dekady później miał zostać prezydentem Czechosłowacji. Podczas pochodu pierwszomajowego na placu Wacława na mównicę, na której stał Dubczek i wyraźnie szczęśliwy pozdrawiał swoich zwolenników, sypały się kwiaty. „To wiosna naszej nowej egzystencji”, pisał następnego dnia partyjny dziennik, „Rudé právo”.

Jednak Dubczek – człowiek chwiejny i mało decyzyjny, w dodatku niepewny realnego stopnia poparcia społecznego dla socjalizmu – nie był w stanie dłużej kontrolować dążenia do radykalnych reform, które sam uwolnił. Został porwany przez falę zmian, która z partii rozlała się na większość społeczeństwa. Osobista popularność niosła ze sobą dylemat. Musiał podtrzymywać dynamikę reform, a jednocześnie nie dopuścić do tego, by wydawały się one zagrażać interesom



Związku Radzieckiego i jego bliskim sojusznikom. Osłabienie władzy komunistycznej w jednym kraju mogło łatwo wywołać efekt domina.

Obawa, że tak może się stać, sprowadziła na czeskich reformatorów poważne niebezpieczeństwo. Przywódcy Związku Radzieckiego, Niemieckiej Republiki Demokratycznej, Bułgarii, Węgier i Polski – członków Układu Warszawskiego – z coraz większym niepokojem spoglądali na rozwój wydarzeń w Czechosłowacji. W połowie lipca opublikowali jawne ostrzeżenie dla Pragi, w którym wzywali ją do zakończenia, jak to określono „kontrrewolucji” przeciw systemowi socjalistycznemu, zagrażającej „wspólnocie socjalistycznej”. Na początku sierpnia żądania Breżniewa, by przywrócić cenzurę, zdymisjonować niektórych czołowych reformatorów i zaprowadzić ogólny porządek w czechosłowackiej partii przyniosły wykonywane bez większego przekonania ruchy, zmierzające do przywrócenia „centralizmu demokratycznego”. Jednak to, że Dubczek zwrócił się o poparcie do Jugosławii i Rumunii, dwóch krajów komunistycznych, których względna niezależność oznaczała niełatwe relacje z Moskwą, nie uspokoiło nastrojów w krajach Układu Warszawskiego. 17 sierpnia radzieckie politbiuro podjęło radykalny krok: zdecydowało o interwencji militarnej w wewnętrzne sprawy innego socjalistycznego państwa w imię „międzynarodowej solidarności proletariackiej”. W nocy z 21 na 22 sierpnia 1968 roku pół miliona żołnierzy Układu Warszawskiego z pięciu krajów, wspieranych przez 7500 sowieckich czołgów i 1000 samolotów, rozpoczęło inwazję na Czechosłowację.

Na rozkaz czeskiego rządu zrezygnowano ze zbrojnego oporu. Jednak telewizja i radio – do czasu wyłączenia nadajników – barwnie raportowały sprzeciw wobec najeźdźców i masowe poparcie dla Dubczeka, które ujawniło się w postaci wielkich tłumów zbierających się w Pradze i Bratysławie w proteście przeciwko inwazji. Dubczek, Černík i czterech innych partyjnych przywódców zostało aresztowanych i przewiezionych do Moskwy (gdzie Dubczek przeszedł ponoć załamanie nerwowe). Wraz z prezydentem Svobodą i kilkoma innymi prominentnymi postaciami w partii, którzy dołączyli do nich w Moskwie, zostali poddani intensywnej presji, by potępilli program liberalizacji. 26 sierpnia ustąpili i podpisali

porozumienie przyjmujące sowieckie ultimatum, cofające reformy Praskiej Wiosny w zamian za wycofanie sił okupacyjnych (z których niemal wszystkie opuściły kraj do końca października). „Braterskie stosunki” zostały przywrócone – pod przymusem. Porozumienie zostało oparte o nowe, złowrogie założenie, nazwane później „doktryną Breżniewa”. Mówiła ona o „wspólnym międzynarodowym zobowiązaniu” do obrony krajów socjalistycznych przed „siłami kontrrewolucyjnymi”. Od teraz państwa Układu Warszawskiego miały jawny obowiązek interweniować, jeśli uznały, że któryś z członków wyłamał się z szyku.

Proces „normalizacji” zajął kilka miesięcy. Była to jednak ulica jednokierunkowa. Czechosłowacka delegacja na „negocjacje” w Moskwie wróciła do Pragi w nocy z 26 na 27 sierpnia. Publiczną konsternację wywołaną tym, co powszechnie uznawano za kapitulację w Moskwie, starał się uspokoić w radiowym wystąpieniu łkający Dubczek – podobnie jak inni reformatorzy Praskiej Wiosny, wciąż cieszący się ogromną popularnością – wzywając do realistycznej akceptacji nieuniknionych „tymczasowych, wyjątkowych kroków”. Presja „normalizacyjna” rosła jednak w sposób nieubłagany. Przywódcy Praskiej Wiosny byli stopniowo usuwani z zajmowanych stanowisk. Proces ten został dodatkowo przyspieszony z powodu wciąż pojawiających się oznak społecznego niezadowolenia. Kiedy praski student, Jan Palach, podpalił się w proteście przeciwko odwróceniu liberalizacji, na jego pogrzeb zorganizowany przez kolegów 25 stycznia 1969 roku przyszło około 100 000 ludzi, a dalszych 200 000 obserwowało przejście konduktu. Wielkie antysowieckie demonstracje wybuchły też po zwycięstwie czechosłowackiej drużyny hokejowej nad ZSRR w rozgrywanych w marcu mistrzostwach świata. Te zawirowania szybko skłoniły Sowietów do usunięcia z urzędu Dubczeka (zastąpionego na stanowisku pierwszego sekretarza Czeskiej Partii Komunistycznej przez innego, bardziej uległego Słowaka, Gustáva Husáka). W 1970 roku został wyrzucony z partii i skazany na zapomnienie jako pośledni urzędnik resortu leśnictwa na Słowacji. Stopniowo wymieniano innych działaczy kojarzonych z Praską Wiosną. Pomiędzy wrześniem 1969 roku a czerwcem 1970 roku przeprowadzono w partii trzy dogłębne czystki. Wyrzucono wtedy tysiące

działaczy związkowych, nauczycieli, naukowców, dziennikarzy i innych, pracujących w mass mediach i sferze kultury.

W efekcie tego procesu Czechosłowacja została „znormalizowana”. „Rosjanie ostatecznie osiągnęli to, co nazywają normalizacją: paskudne i brutalne państwo policyjne”, pisał gorzko rozczarowany czeski chirurg, dr Paul Zalud podczas oficjalnej wizyty w Niemczech Zachodnich w 1969 roku do angielskiego komunisty, Lesliego Parkera. Porządek został przywrócony. Osiągnięcia Praskiej Wiosny cofnięte. Powróciła cenzura, ograniczenia w swobodzie podróżowania i wszechwładza partii komunistycznej. Społeczeństwo popadło w marazm. Polityczny nonkonformizm był w odwrocie. Niewielka liczba pisarzy i innych intelektualistów nadal w różny sposób okazywała swój sprzeciw. Jednak bezpośrednio po Praskiej Wiosnie tacy „dysydenci” (jak zaczęto ich nazywać) mogli co najwyżej nieco irytować reżim.

W oczach Zachodu zgniecenie Praskiej Wiosny oznaczało kolejny potężny cios, po Węgrzech w 1956 roku, w prestiż Związku Radzieckiego i „socjalistyczny” system rządów, który po raz kolejny aż nadto wyraźnie udowodnił, że może zostać utrzymany wyłącznie za pomocą siły. Dla wielu zwolenników komunizmu w Europie Zachodniej Związek Radziecki utracił wraz z interwencją w Czechosłowacji wszelki moralny autorytet. Nie miało to większego znaczenia dla sowieckiego kierownictwa. Była to niewielka cena za utrzymanie spójności sojuszu krajów socjalistycznych. Sowiecka władza zwyciężyła.

## **Ruchome piaski w Europie Wschodniej**

Wraz z wyeliminowaniem zagrożenia płynącego z tendencji liberalizacyjnych w Czechosłowacji fundamentalna przebudowa struktur władzy w systemach politycznych państw Układu Warszawskiego została wykluczona. Dla społeczeństw tych krajów oznaczało to popadnięcie w marazm i konformizm, uległość wobec

politycznej ortodoksji i ograniczone „niszowe” sfery życia prywatnego, znajdujące się poza zasięgiem czujnego oka państwa policyjnego i armii jego konfidentów.

Nie oznacza to jednak, że w państwach komunistycznych panował całkowity bezruch. Nigdzie powrót do najbardziej opresyjnego stalinizmu nie okazał się możliwy. W ramach bloku sowieckiego nadal istniały poważne różnice. Presja na wolnościowe zmiany była zasadniczo wyższa w tych krajach, w których obecne były zachodnie wpływy kulturowe, znacząca warstwa inteligencji i uprzemysłowiona gospodarka ze zorganizowaną klasą robotniczą (nawet przy braku wolnych związków zawodowych). Stłumienie Praskiej Wiosny stanowiło czytelny sygnał, że wszelka liberalizacja musi być ściśle reglamentowana. Dopóki jednak nie było zagrożenia dla integralności bloku sowieckiego (jak to miało miejsce w Czechosłowacji), Kreml był gotów przyznać pewien margines swobody. Ewidentne problemy gospodarki nakazowej w kilku krajach bloku wschodniego, w niektórych przypadkach wymagające znaczących sowieckich subsydiów, oznaczały, że Moskwa była otwarta na próby modernizacji produkcji w ramach systemu. Szczególnie w bardziej uprzemysłowionych gospodarkach stalinowski system nakazowy – który oczywiście pierwotnie wprowadzono w rolniczym w przeważającej mierze Związku Radzieckim – był szczególnie źle przygotowany do zaspokajania podstawowych potrzeb konsumenckich, nie mówiąc już o konkurowaniu z szybko rozwijającym się gospodarczo kapitalistycznym Zachodem. Trzeba więc było osiągnąć jakąś formę niełatwej równowagi – na różne sposoby i z różnymi skutkami – pomiędzy systemem politycznym, poddanym kontroli monopartii, a innowacjami i konkurencją, niezbędnymi do wyzwolenia zasobów ekonomicznych, społecznych i intelektualnych.

W samym Związku Radzieckim wysoki wzrost gospodarczy z końca lat 60. oznaczał, że nie było nawrotu robotniczych protestów i powszechnego niezadowolenia, charakterystycznych dla ostatnich lat władzy Chruszczowa. Reżim przykręcił śrubę, a po Praskiej Wiośnie ideologiczna ortodoksja jeszcze urosła w siłę. Kiedy niewielka grupka zaprotestowała na placu Czerwonym po inwazji na Czechosłowację, jej członkowie zostali szybko aresztowani, a następnie skazani na

trzy lata kolonii karnej. Ruch dysydencki trwał i nadal kłał na Zachodzie imię Związku Radzieckiego. Na odległość nie mógł jednak zaszkodzić kontroli, którą reżim sprawował nad swoimi obywatelami.

Bułgaria była najbliższym sojusznikiem Związku Radzieckiego ze wszystkich jego satelitów, a w każdym razie ściśle uzależnienie ekonomiczne sprawiało, że jakiegokolwiek odstępstwo od linii Moskwy było wysoce nieprawdopodobne. Represyjny charakter państwa policyjnego, wciąż w przeważającej mierze wiejska populacja i nieliczna inteligencja – wszystko to działało przeciw presji liberalizacyjnej, która ujawniła się w Czechosłowacji. Wiele mówiono o reformie gospodarczej, ale niewiele z tego wcielono w życie. Pod koniec lat 60. doszło nawet do pewnego nawrotu neostalinowskiej ortodoksji i odejścia od ograniczonych reform gospodarczych i kulturalnej odwilży, które miały miejsce na początku dekady.

Węgry poszły w przeciwnym kierunku. „Gulaszowy komunizm” Jánoša Kádára pozwolił w ograniczonym stopniu działać siłom rynkowym, dzięki czemu społeczeństwo mogło cieszyć się najwyższym poziomem życia w bloku sowieckim. „Nowy Mechanizm Ekonomiczny” wprowadzony 1 stycznia 1968 roku był prawdziwą innowacją ekonomiczną wśród sowieckich satelitów. Centralne planowanie państwa zostało de facto ograniczone do długoterminowych projektów inwestycyjnych, polityki fiskalnej i regulacji cen podstawowych produktów. Poza tym firmy mogły przynosić zyski i działać na zasadach komercyjnych. Wzrosła wymiana handlowa z Zachodem, stymulowano produkcję rolną, a niedobór podstawowych towarów, endemiczna przypadłość w innych krajach bloku sowieckiego, zniknął. Kádár okazał się również na tyle oświecony – albo przynajmniej na tyle skłonny do wyciągania lekcji z 1956 roku – że pozwolił na pewną swobodę wypowiedzi, a nawet otwartość na zachodnią muzykę pop, nie poluzowując jednak cugli w takim stopniu, który mógłby wywołać napięcia z Moskwą. W konsekwencji Węgry, które w 1956 roku były najbardziej zbuntowane, zmieniły się w najbardziej zadowolonego wśród sowieckich satelitów z marginalnym ruchem dysydenckim.

Polska z kolei, pod przywództwem Władysława Gomułki, stała się klasycznym przykładem systemu, który od wspierania reform w 1956 roku przeszedł do sztywnej ortodoksji, tracąc przy okazji większość poparcia społecznego. Reżim Gomułki ściśle kontrolował ruch dysydencki, brutalnie stłumił studenckie protesty i gorliwie poparł inwazję na Czechosłowację. Sytuacja gospodarcza pogarszała się jednak gwałtownie. Arogancką odpowiedzią władz było ogłoszenie tuż przed Bożym Narodzeniem, z dniem 13 grudnia 1970 roku, natychmiastowych podwyżek cen żywności, które wahały się od 12 do 30 procent. To przekształciło buzujące już wcześniej niezadowolenie w falę gwałtownych protestów. Wielkie demonstracje zaczęły się w bałtyckich stocznich Gdańska, Szczecina i Gdyni, ale szybko rozszerzyły się na Warszawę i inne miasta i trwały cały następny tydzień. Kiedy pracownicy zmierzający do stoczni gdyńskiej zostali zaatakowani przez uzbrojone oddziały milicji, rozpętało się piekło. Robotnicy pomaszerowali pod siedzibę partii. Rabowano sklepy. W Słupsku, leżącym niedaleko wybrzeża Bałtyku, spalono siedzibę szkoły milicyjnej. Milicjanci byli fizycznie atakowani przez tłum, kilku zginęło. Doszło do poważnych starć z milicją, a kilku demonstrantów zmiażdżyły czołgi. Łącznie śmierć poniosło 45 osób, prawie 1200 zostało rannych, a 300 aresztowanych. Kiedy milicja otworzyła ogień do strajkujących robotników w Gdańsku, Gomułka posunął się za daleko. Został zmuszony do ustąpienia w tydzień po wybuchu niepokojów.

Jego następcą, Edward Gierk, były górnik z dobrym wyczuciem robotniczych potrzeb, natychmiast ogłosił podwyżki płac i poprawę warunków pracy. Później, ponieważ strajki wciąż trwały, dzięki pożyczce od Związku Radzieckiego zamroził ceny na wcześniejszym poziomie na 12 miesięcy. Odwiedził stocznie, rozmawiając z robotnikami otwarcie i szczerze, przyznając, że partia popełniła błędy. Zniósł obowiązkowe dostawy dla państwa, znienawidzone przez rolników, i podniósł ceny skupu. Pracownicy spoza sektora państwowego zostali objęci darmową opieką medyczną. Cenzura i ograniczenia dotyczące podróży zagranicznych zostały poluzowane. Morale wzrosły. Pierwszy okres władzy Gierka przeszedł do historii jako „belle époque” komunizmu w Polsce. Zarobki w 1971 roku wzrosły o 11

procent. W ramach wielkiego programu budownictwa mieszkaniowego oddano do użytku milion mieszkań – za mało, ale i tak oznaczało to znaczną poprawę w porównaniu z czasami Gomułki. Praktycznie każdy odczuł poprawę poziomu życia, bo modernizacja ekonomiczna była skierowana, w przeciwieństwie do wcześniejszych lat, na zaspokojenie potrzeb konsumpcyjnych. Problemy ekonomiczne jednak nie zniknęły. By nadać gospodarce niezbędny impuls rozwojowy i spłacić kredyt od Związku Radzieckiego, Gierek pożyczył od Zachodu około sześciu miliardów dolarów. To pozwoliło odsunąć w czasie bieżące problemy, jednak nie na długo. Kryzys naftowy mocno uderzył w Polskę po 1973 roku, a by poradzić sobie z jego skutkami, potrzebna była dalsza pomoc radziecka. Pod koniec lat 70. poważne problemy znów zaczęły narastać.

Niemiecka Republika Demokratyczna była specjalnym przypadkiem wśród krajów bloku sowieckiego. Mur berliński, przekonanie NRD, że jest ideologicznym oknem wystawowym „realnego socjalizmu” w konkurencji ze swoim kapitalistycznym sąsiadem, a także szczególnie podkreślany antyfaszyzm stanowiły o specyfice wschodnioniemieckiego społeczeństwa. Budowa muru w 1961 roku dodała reżimowi sił i wzmocniła jego władzę. Wraz z nasileniem walki ideologicznej z „wrogiem wewnętrznym” przyszła fala aresztowań. Strach, represje i presja, by się nie wyróżniać, stały się nieodłączną częścią życia w NRD. Jego przywódcy zdawali sobie jednak sprawę, że system nie może funkcjonować w oparciu o same tylko represje – szczególnie jeżeli miał osiągnąć postawiony przed nim cel, czyli przegonienie pod względem gospodarczym Niemiec Zachodnich do 1980 roku.

Nowy System Ekonomiczny, wprowadzony w 1963 roku, był próbą powstrzymania pogarszającego się stanu gospodarki, który doprowadził do niedoborów i sygnałów niezadowolenia przypominających te sprzed dekady. Równolegle do pewnej decentralizacji zarządzania i zachęt do zwiększania produkcji – choć wciąż w ramach odgórnie narzucanego planu gospodarczego – szły zwiększone wysiłki propagandowe, mające na celu zmobilizowanie aktywnego poparcia społecznego. Położono nacisk na technologię, wiedzę i racjonalną

organizację, czemu służyć miała lepsza edukacja społeczeństwa. W 1951 roku zaledwie 16 procent uczniów spędzało w szkole więcej niż osiem lat; w 1970 odsetek ten wzrósł do nie mniej niż 85 procent. Ułatwiono dostęp do wyższej edukacji, powstało kilka nowych uniwersytetów i politechnik. W latach 1964–1965 wydajność wzrosła o siedem procent, a dochód narodowy o pięć procent. Standard życia zaczął się znacząco poprawiać – choć nie tak szybko, jak oczekiwano, i znacznie wolniej niż w Niemczech Zachodnich. Jednak telewizory, pralki i lodówki przestały być przywilejem jedynie drobnej mniejszości społeczeństwa. Oznakom poprawy towarzyszyła pewna liberalizacja w dziedzinie kultury. Zniknęły pomniki Stalina; amnestia objęła 16 000 więźniów politycznych.

Partyjni przywódcy nie byli jednak zadowoleni z oddania części kontroli nad gospodarką, i tak hamowanej przez niezliczone ograniczenia i niezdolnej do przewyciężenia wrodzonego braku konkurencyjności. A kiedy chruszczowowski zapął reformatorski ustąpił breżniewowskiemu dążeniu do stabilizacji, trend ku umiarkowanej liberalizacji także wygasł. W grudniu 1965 roku zaostrzono kontrolę nad kulturą; w tym samym miesiącu poddano rewizji Nowy System Ekonomiczny. Znowu położono nacisk na centralne planowanie, a na rozwój elektroniki, branży chemicznej i inżynierskiej przeznaczono nieproporcjonalnie duże środki. Ponieważ coraz większe nakłady szły również na wojsko i służbę bezpieczeństwa (Stasi), branże konsumenckie ponownie znalazły się na bocznym torze.

Praska Wiosna stanowiła dla enerdownskiego kierownictwa potwierdzenie, że słusznie zrobili, tłumiąc liberalne tendencje w kulturze, które mogły jedynie doprowadzić do politycznej destabilizacji. Permanentnych problemów gospodarki zarządzanej przez jedną partię, sprawującą całkowitą kontrolę nad państwem, nie dało się jednak ukryć. Niedobory i zatory w dostawach podstawowych towarów, nie mówiąc już o dobrach konsumpcyjnych, które w Niemczech Zachodnich były czymś oczywistym i które co noc można było oglądać w telewizji, po raz kolejny stały się przyczyną niepokojów. Partyjnym bossom coraz bardziej nie podobało się przywództwo Waltera Ulbrichta i ignorowanie pilnie potrzebnych produktów konsumenckich na rzecz projektów technologicznych, które miały przynieść owoce



dopiero w odległej przyszłości. Dodatkowo nadzieje Ulbrichta na bliższą współpracę gospodarczą z Niemcami Zachodnimi pozostawały w całkowitej sprzeczności z życzeniami Moskwy. Osobista arogancja Ulbrichta dokonała reszty. Pod koniec 1970 roku większość partyjnego kierownictwa zagłosowała za zmianą kursu gospodarczego. Wkrótce później poprosili Breżniewa o wymianę Ulbrichta na stanowisko przywódcy. Breżniew uległ i 3 maja 1971 roku Ulbricht zrezygnował. Jego następcą, Erich Honecker, był długoletnim funkcjonariuszem partyjnym o nienaganej karcie antyfaszystowskiej, na którą składało się zaangażowanie w komunistyczny ruch oporu i 10 lat spędzonych w nazistowskim więzieniu. Teraz nadzorował restrukturyzację gospodarki, kładąc większy nacisk na produkcję konsumpcyjną. Nigdy jednak nie uwolnił się od absolutnej zależności od Moskwy.

W krajach bałkańskich komunizm rozwijał się na inną modłę. Albania po konflikcie chińsko-sowieckim połączyła swój los z Chinami, na własne życzenie kontynuując marsz w kierunku politycznej izolacji i gospodarczej nędzy – najgorszej w całej Europie Wschodniej. Pozbawiając się sowieckiej pomocy, nie była w stanie zrównoważyć utraconych korzyści porozumieniami handlowymi z Chinami. Jej własna wersja „rewolucji kulturalnej”, której Chiny doświadczały w połowie lat 60., przyniosła ataki na intelektualistów, nauczycieli i przekonania religijne. Rozbrat ze Związkiem Radzieckim dopełnił się, kiedy Albania opuściła Układ Warszawski po inwazji na Czechosłowację – choć w rzeczywistości od dawna była już członkiem jedynie nominalnym. Albania oderwała się od Moskwy, ale była zbyt daleko od Pekinu, by nawiązać z nim bliskie relacje. Jej ustrój stał się osobliwą skamieliną, a ona sama na własne życzenie utknęła w ślepych zaułku.

Rumunia, członek Układu Warszawskiego, także w coraz większym stopniu szła własną drogą, choć uważała, by w relacjach z Moskwą nie przekroczyć punktu krytycznego. Krajowi pośrednio przysłużył się wybór przez Albanie Chin kosztem Związku Radzieckiego. Kreml zdawał sobie sprawę, że nie może jeszcze bardziej osłabić swoich wpływów na Bałkanach, dodając Rumunię do listy strat po utracie Albanii i biorąc pod uwagę niezależność Jugosławii. Rumunii pozwolono więc na

częściową suwerenność. Nicolae Ceaușescu, który w 1965 roku zastąpił brutalnego stalinistę, Gheorghe'a Gheorgiu-Deja na stanowisku szefa partii komunistycznej (a w 1974 roku został również prezydentem Rumunii), zyskał uznanie na Zachodzie, sprzeciwiając się inwazji na Czechosłowację i budując pewną formę rumuńskiego „narodowego komunizmu” – czyli odmiany nacjonalizmu w komunistycznych ramach – dzięki której nie tańczył wyłącznie tak, jak zagrała mu Moskwa. Był w stanie wykorzystać pogłębiający się rozdźwięk pomiędzy Chinami a Związkiem Radzieckim, by nawiązać, wbrew sowieckiej linii, stosunki dyplomatyczne z Niemcami Zachodnimi i Izraelem. Dopieszczał rumuńską dumę narodową, a wzrost gospodarczy, zapewniający niezbędne dostawy żywności i innych podstawowych towarów, podtrzymywał jego początkową popularność. Na wczesnym etapie jego rządów doszło też do pewnego poluzowania w kulturze, dzięki czemu możliwy był ograniczony dostęp do zachodnich mediów (choć to zmieniło się po jego wizytach w Chinach, Korei Północnej, Mongolii i Wietnamie Północnym w 1971 roku – po powrocie zaczął wdrażać własną formę rewolucji kulturalnej, ograniczając obszar wolności słowa). Rumunia dalej jednak odchodziła od sowieckiej ortodoksji.

Jugosłowiańska wersja komunizmu, oparta u podstaw na decentralizacji i profesjonalnym zarządzaniu u podstaw, wydawała się dla wielu zachodnich admiratorów atrakcyjną alternatywą dla otępiającego systemu sowieckiego. Społeczeństwo korzystało z bliższych związków z Zachodem bardziej niż jakikolwiek inny kraj w Europie Wschodniej. Wybrzeże dalmatyńskie wylansowano w latach 60. na atrakcję turystyczną, dzięki czemu do państwowej kasy wpływały miliony dolarów – twarda waluta, dzięki której można było sfinansować niezbędny import i zapewnić stosunkowo wysoki standard życia. Jednocześnie pół miliona Jugosłowian znalazło zatrudnienie jako „pracownicy gościnni” w Niemczech Zachodnich, zasilając gospodarkę pieniędzmi przesyłanymi rodzinom w kraju. Częste kontakty z Zachodem otworzyły Jugosławię na jego wpływy kulturalne. Jugosławia była najbardziej liberalnym spośród krajów komunistycznych Europy Wschodniej. Jednak pod koniec lat 60.

błędy ekonomiczne państwa były coraz bardziej widoczne. Wydajność rosła dużo wolniej niż średni dochód, przyspieszała inflacja, poważnym problemem zaczynało być zadłużenie kraju, narastały nierówności, szybko rosło bezrobocie. Takie było tło powstania tendencji odśrodkowych w państwie jugosłowiańskim.

Chorwacja była najzamożniejszą częścią Jugosławii. Chorwaci byli jednak niezadowoleni, że większość zysków z zagranicznej turystyki jest dystrybuowana wśród mniej rozwiniętych regionów kraju. Chorwacka agitacja za większą autonomią, która przybierała na sile, dała początek odrodzeniu nacjonalizmu. Wczesnym jego wyrazem było żądanie, poparte w 1967 roku przez 130 intelektualistów, by to chorwacki (a nie narzucony ich zdaniem odgórnie serbochorwacki) był językiem używanym w szkołach. Serbowie z kolei uważali, że Chorwacja w nieproporcjonalny sposób korzysta na ekonomicznej koniunkturze, a w oczach wpływowych frakcji liberalizacja – najbardziej zaawansowana w Chorwacji i Słowenii – posunęła się za daleko. Dla studentów była jednak niewystarczająca. Na początku czerwca 1968 roku, za sprawą wydarzeń we Francji, w Belgradzie miała miejsce pierwsza masowa demonstracja od czasów wojny. Studenci protestowali przeciwko zatłoczonym uniwersytetom, przywilejom partyjnej oligarchii, rosnącemu konsumpcjonizmowi i warunkom ekonomicznym, zmuszającym wielu z nich do opuszczenia kraju w poszukiwaniu pracy. Marszałek Tito, obawiając się rozszerzenia protestów, obiecał spełnić żądania studentów. Lęk przed możliwą sowiecką interwencją po inwazji na Czechosłowację – która wywołała gwałtowny protest jugosłowiańskiego rządu – działał na korzyść władz i niepokoje ustały. Wybuchły ponownie w 1971 roku, tym razem w Zagrzebiu – i wówczas stanowiły większe zagrożenie dla integralności jugosłowiańskiego państwa.

To, co nazwano później „zagrzebską wiosną”, wyrosło z narastających żądań nacjonalistycznych w sprawie większej autonomii dla Chorwacji. Tamtejsi partyjni bossowie, ludzie mediów i studenci opowiadali się za niepodległością. Uważali, że tożsamość narodowa jest zagrożona – rozwadniana przez znaczący odpływ Chorwatów, którzy wyjechali do pracy za granicę, przy jednoczesnym napływie

Serbów i innych narodowości. Liderka chorwackiej partii, Savka Dabčević-Kučar, wyraziła w 1970 roku obawę, „że Chorwacja staje się domem bardziej dla Serbów i innych narodowości niż dla samych Chorwatów”. Franjo Tuđman – późniejszy prezydent niepodległej Chorwacji – twierdził, że „istnienie narodu chorwackiego” jest zagrożone przez asymilację. Panowało powszechne przekonanie, że Chorwaci są niedoreprezentowani w aparacie urzędniczym, policji i korpusie oficerskim, a także że Chorwacja jest wysysana ekonomicznie przez inne regiony Jugosławii i zaczyna wpadać w niemal kolonialną zależność od Serbii.

W lipcu 1971 Tito, sam Chorwat, wezwał chorwackich przywódców do Belgradu i zgromił ich za to, że pozwalają na odrodzenie się nacjonalizmu. W zawołany sposób ostrzegł, że niebezpieczeństwo wewnętrznych niepokojów mogłoby sprowokować Sowieców do interwencji. Narodowe sentymenty jednak nie wygasły i znalazły wyraz w studenckiej okupacji budynków uniwersyteckich w Zagrzebiu w listopadzie i w wezwaniach do strajku generalnego. Tysiące ludzi przeszło w wielkiej demonstracji zorganizowanej pod hasłem: „Niech żyje niepodległe państwo chorwackie”. Tym razem Tito zareagował, dokonując czystki w kierownictwie partyjnym, zarówno w Zagrzebiu, jak i w Belgradzie. Z partii wyrzucono setki ludzi, a prawie 200 osób aresztowano. Każdy, kto był podejrzany o tendencje nacjonalistyczne, padał również ofiarą represji w Słowenii, Macedonii, Czarnogórze oraz Bośni i Hercegowinie. Czystki rozszerzyły się i na tych, którzy opowiadali się za większą liberalizacją, a nowa ustawa przyjęta w 1972 roku narzuciła większe ograniczenia dla wolności prasy.

Represje pomogły uspokoić sytuację. Tito zdawał sobie jednak sprawę, że one same nie wystarczą. Nowa konstytucja z 1974 roku starała się uwzględnić żądania reformatorów poprzez powołanie lepiej zrównoważonej konfederacji, decentralizację władzy i przyznanie większego stopnia względnej niezależności poszczególnym republikom. W praktyce jednak nowa konstytucja raczej promowała, niż osłabiała tendencje nacjonalistyczne i separatystyczne, wzmacniając podziały etniczne. Ogromny autorytet Tity – bohatera wojennego, zbawcy narodu, a później symbolu jedności – był najważniejszym pojedynczym

elementem spajającym coraz bardziej rozklekotane fundamenty jugosłowiańskiego państwa. Tito miał jednak w 1972 roku 80 lat. Jaka miała być przyszłość Jugosławii po jego śmierci?

## **Dalszy marsz socjaldemokracji w Europie Zachodniej**

Na początku lat 70. w Europie, tak wschodniej, jak i zachodniej, problemy poprzednich kilku lat należały najczęściej do przeszłości. W bloku sowieckim doszło do ponownej „normalizacji” po burzliwych wydarzeniach Praskiej Wiosny. Ruch dysydencki istniał, ale można go było łatwo izolować. „Realny socjalizm” w krajach komunistycznych wydawał się mieć wszelkie dane, by trwać w nieskończoność. W Europie Zachodniej, poza południowym pasem (patrz rozdział 7), gdzie demokracja istniała tylko z nadania wojska (Turcja) albo nie istniała wcale (Grecja po 1967, Portugalia i Hiszpania), systemy rządzenia pozostawały generalnie sprawne i odporne. Prawdą jest jednak, że polityka stała się bardziej nieprzewidywalna. Polityczna przemoc stała się bardziej powszechna niż w jakimkolwiek innym momencie od czasu drugiej wojny światowej. Nie tylko Czerwone Brygady we Włoszech czy grupa Baader-Meinhof w Niemczech Zachodnich, ale także nacjoniści w Irlandii Północnej i separatyści w Kraju Basków traktowali terror jako niezbędny element swoich kampanii. Nigdzie nie doszło jednak do sytuacji skrajnej, nie mówiąc już o rewolucyjnej. Podstawowy konsensus, który rozwinął się w latach powojennych, zgodnie z którym centralną rolą państwa było zapewnienie dobrobytu społeczeństwu i zagwarantowanie stałego wzrostu standardów życia, wciąż pozostawał w mocy.

W istocie socjaldemokraci, najbardziej zagorzali zwolennicy „wielkiego państwa”, w którym wysokie wydatki rządowe (i poziom opodatkowania) są odpowiedzialne za bezpieczeństwo socjalne i poprawę warunków życia

biedniejszych warstw społeczeństwa, ogólnie zwiększali swoje wpływy w latach 60. i na początku 70. Czasami dokonywali tego równoległe do innych partii lewicowych i zazwyczaj odbywało się to kosztem partii konserwatywnych i powiązanych z Kościołem.

W Wielkiej Brytanii Partia Pracy (stanowiąca brytyjski wariant socjaldemokracji) wygrała z niewielką przewagą wybory w 1964 roku, a laburzystowski rząd pod wodzą Harolda Wilsona znacznie zwiększył swój stan posiadania dwa lata później. Pogłębiające się problemy gospodarcze i spory pracownicze przygotowały jednak grunt pod zaskakujące zwycięstwo konserwatystów pod wodzą Edwarda Heatha w wyborach powszechnych w 1970 roku i stanowiły zapowiedź kolejnych, jeszcze większych kłopotów (patrz rozdział 7).

Konserwatyzm, jak już wspomnieliśmy, tracił popularność w Niemczech Zachodnich z powodu rosnących oczekiwań reform od czasu końca długiej epoki Adenauera w 1963 roku. Chrześcijańscy demokraci po wyborach powszechnych w 1969 roku po raz pierwszy od czasu utworzenia Republiki Federalnej znaleźli się poza rządem. Władzy pozbawiła ich nowa koalicja zdominowana przez socjaldemokratów pod wodzą Willy'ego Brandta, jednej z wybitnych postaci epoki powojennej. Brandt, polityk o wielkim osobistym uroku, miał wzorcowy socjaldemokratyczny życiorys. Urodził się jako nieślubne dziecko pod nazwiskiem Herbert Frahm, na początku epoki nazistowskiej uciekł do Skandynawii, gdzie zaangażował się (zmieniając przy okazji nazwisko) w robotniczy ruch oporu przeciwko reżimowi Hitlera. Zmiana rządu, którym poprzednio kierował były nazista, Kurt Georg Kiesinger, wydawała się więc symbolizować początek nowej ery. Nadchodząc po studenckich demonstracjach i politycznych zawirowaniach 1968 roku, koalicja Brandta była jak powiew świeżego powietrza w zatechłym pokoju. Atmosfera się zmieniła. Pojawiły się nowe oczekiwania i nadzieje, przede wszystkim wśród młodych.

Sąsiednia Austria także przesunęła się w końcu lat 60. w kierunku reformistycznej socjaldemokracji. Choć kiedy w wyniku wyborów w 1966 roku po

raz pierwszy w powojennej historii kraju konserwatywna Austriacka Partia Ludowa zdobyła absolutną większość, niewiele na to wskazywało. Do zwycięstwa konserwatystów przyczyniły się częściowo rozłamy w partii socjalistycznej i obawy, że może się ona przygotowywać do współpracy z niewielką partią komunistyczną. Jednak kiedy przywództwo socjalistów objął w 1967 roku charyzmatyczny Bruno Kreisky, który przedstawił szeroko zakrojony program reform społecznych i gospodarczych, partia socjalistyczna zaczęła się umacniać. W wyniku wyborów w 1970 roku została największym ugrupowaniem w parlamencie, co pozwoliło Kreisky'emu utworzyć rząd mniejszościowy. Po kolejnych wyborach, które odbyły się w następnym roku, partia Kreisky'ego zdobyła absolutną większość, co pozwoliło jej sformować stabilny socjaldemokratyczny rząd, który na kolejną dekadę zdominował austriacką scenę polityczną.

W Holandii główna zmiana w latach 60. polegała na stopniowym zanikaniu „filaryzacji” (pionowych, głównie wyznaniowych subkultur i ich politycznych reprezentacji), która tradycyjnie kształtowała holenderską formę liberalnej demokracji. W wyniku rosnącej sekularyzacji poparcie dla Katolickiej Partii Ludowej skurczyło się, a obietnice reform społecznych pozwoliły umocnić się Partii Pracy. Z wyborów w 1972 roku wyszła jako największe ugrupowanie, a w kolejnym roku jej lider, Joop den Uyl, został premierem i stanął na czele rządu koalicyjnego. Belgijska socjaldemokracja stała przed większymi problemami z powodu pogłębiających się podziałów językowych i kulturowych pomiędzy Flamandami a Walonami, które prowadziły do odpowiadających im rozłamów w głównych partiach. Wśród dziwacznej konstelacji setek partii, które tworzyły belgijskie rządy, socjaliści i konserwatywna Chrześcijańska Partia Ludowa, byli oczywiście najwięksi, ale każdą z nich popierała tylko nieco ponad jedna czwarta wyborców. Jednak powszechny antykonserwatywny kierunek polityczny był obecny także tu, co objawiło się w powstaniu po 1968 roku „zielonych” partii ekologicznych.

Socjaldemokracja była podstawą politycznej stabilności i reform społecznych w Skandynawii od drugiej wojny światowej. W Szwecji, Danii i Norwegii nadal cieszyła się poparciem około 40 procent wyborców, choć długa dominacja norweskiej Partii Pracy ucierpiała w latach 60., ale nie z prawa, lecz w wyniku rosnącej popularności Socjalistycznej Partii Ludowej na lewicy. Fińską politykę jak zawsze komplikowała potrzeba utrzymania poprawnych stosunków sąsiedzkich ze Związkiem Radzieckim. Rządy niezmiennie składały się z wielopartyjnych koalicji. Socjaldemokraci (z nieco ponad jedną czwartą głosów) stworzyli największą partię, ale niewiele ustępowała im bardziej radykalna lewica, Demokratyczny Związek Ludu Fińskiego (zdominowany przez fińskich komunistów). Łącznie te dwa ugrupowania gromadziły ponad 40 procent głosów, ale stłumienie Praskiej Wiosny w sierpniu 1968 roku zaszkodziło Związkowi Demokratycznemu. Podzielił się on na tych, którzy nadal popierali Związek Radziecki, i tych, którzy potępiłi jego działania i zwrócili się w stronę form komunistycznego myślenia i organizacji zdających się lepiej pasować do Europy Zachodniej. Nurt ten, który zyskał poparcie szczególnie we Włoszech, Francji i Hiszpanii, zaczęto nazywać „eurokomunizmem”.

Nawet tam, gdzie konserwatyzm nadal dominował w rządzie, tak jak to miało miejsce we Włoszech i we Francji, musiał brać pod uwagę żądania lewicy – nawet jeżeli często bardziej na poziomie retoryki niż praktycznych działań.

W grzęzawisku włoskiej polityki istniała znacząca przepaść pomiędzy daleko idącymi reformami, które były zapowiadane, a tymi, które rzeczywiście wdrażano. Niektóre zmiany w prawie pracy z końca lat 60., ulepszenie systemu opieki zdrowotnej czy rozszerzenie świadczeń emerytalnych, były krokami w kierunku bardziej kompletnego państwa opiekuńczego. Wiele projektów nigdy jednak nie zostało wyjętych z szuflad. Dla wielu ludzi lewicy, dla neomarksistowskich intelektualistów i dla szybko rosnącej liczby studentów to, co osiągnięto, było dalece niewystarczające.

W 1963 roku socjaliści zostali dokooptowani do rządu Aldo Moro w ramach „otwarcia na lewicę” – ale pierwsze skrzypce grała zawsze największa partia, czyli



chrześcijańscy demokraci, mimo że w tamtym roku wyborczym poparcie dla nich po raz pierwszy spadło poniżej 40 procent. Partia socjalistyczna podzieliła się w związku z wejściem do konserwatywnego rządu, by następnie znowu się zjednoczyć w 1966. Jednak prawdziwymi beneficjentami „otwarcia na lewicę” byli komuniści, którzy zajęli krytyczne stanowisko wobec Moskwy – szczególnie po Czechosłowacji – i, skorzystawszy na wykluczeniu z rządu, przekształcili się z partii rewolucyjnej w reformistyczną. Po spadku na początku lat 60. liczebność partii komunistycznej i poparcie dla niej zaczęło znacząco rosnać. Odsetek uzyskanych w wyborach głosów wzrósł z 25 procent w 1963 (wobec tylko 14 procent dla partii socjalistycznej) do 34,4 procent w 1976. Komuniści uplasowali się wówczas niedaleko za chadekami i z łatwością wyprzedzili socjalistów w roli głównej partii opozycyjnej.

We Francji odejście z polityki bohatera narodowego, Charlesa de Gaulle’a w 1969 roku – zmarł rok później – nie spowodowało ani chaosu, ani próżni, ale kontynuację dominacji konserwatystów pod wodzą jego następcy, Georges’a Pompidou. Gaullizm bez de Gaulle’a nie przyniósł sejsmicznych zmian. Jednak Pompidou, który w wyborach prezydenckich 1969 roku odniósł miażdżące zwycięstwo, był, przynajmniej na początku swojej krótkiej kadencji – zmarł przedwcześnie w kwietniu 1974 roku – bardziej proreformatorsko nastawiony, niż tego oczekiwała większość ludzi. Wydarzenia maja 1968 roku były szokiem dla Francji, a szczególnie dla francuskiego konserwatyizmu. Kiedy niepokoje wygasły, zostało po nich wezwanie do zmian społecznych. Żądania większych praw dla kobiet – politycznych, ale również do decydowania o własnym ciele – były jednym z trwałych efektów. Obietnice „nowego społeczeństwa” jednak szybko okazały się w większości puste. Konserwatywna opozycja była zbyt silna. Modernizacja za czasów Pompidou była w większości ukierunkowana na rozwój przemysłowy i technologiczny – i była również uzależniona od wysokiego tempa wzrostu gospodarczego, które miało się wkrótce skończyć.

Tymczasem francuska lewica zmieniała swój charakter. Po 1968 roku powstały liczne marksistowskie grupy rozłamowe – głównie trockistowskie i maoistowskie.

Ich agitacja i presja na zmiany nie słabła. Pozostawali jednak poza głównym nurtem, nawet na lewicy. Partia Komunistyczna, którą od czasów wojny popierała około jedna czwarta elektoratu i która była blisko powiązana z Moskwą – poniosła, jak się okazało, niepowetowane straty w wyniku sowieckiej inwazji na Czechosłowację w sierpniu 1968 roku. Akceptując, że nie jest w stanie zdobyć władzy w pojedynkę, poprzez rewolucję, partia nabrała bardziej reformistycznego charakteru, stawiając sobie za cel długoterminową transformację społeczeństwa. Musiało to wywołać rozczarowanie wśród jej zwolenników. Jednak zwrot komunistów w kierunku reformizmu odpowiadał potrzebom Partii Socjalistycznej, która lizała rany po miażdżącej klęsce w wyborach prezydenckich 1969 roku (kiedy to jej kandydat, Gaston Defferre, dostał zaledwie pięć procent głosów). Pod wodzą nowego lidera, François Mitterranda, partia postawiła na reformatorską modernizację, przedstawiając program, w którym zawarto hasła decentralizacji, a projektowi nacjonalizacji i państwowemu planowaniu nadano bardziej demokratyczny charakter. W 1972 roku partie socjalistyczna i komunistyczna przedstawiły „wspólny program dla rządu”, reklamowany jako reformistyczna droga do głębokich zmian w społeczeństwie. Jednak wiatr wiał głównie w żagle socjalistów Mitterranda, którzy zaczęli wypychać partię komunistyczną z roli głównego ugrupowania na lewicy.

Pluralistyczne systemy polityczne Europy Zachodniej wszędzie musiały dostosować się do reformatorskiej presji z przełomu lat 60. i 70. Oczywiście nie adaptowały się do niej w sposób jednolity, bo polityka w poszczególnych krajach wciąż była zdominowana przez rodzimą agendę. Jednak nawet biorąc pod uwagę tę ewidentną różnorodność, w większości państw Europy Zachodniej można wskazać podobne wątki. Trudno tu mówić o niezakłóconej harmonii, ale mimo to w Europie Zachodniej panował wysoki poziom stabilizacji i niemal wszędzie spodziewano się dalszego wzrostu dobrobytu.

\*\*\*

Pojawiły się nawet promyczki nadziei na arenie międzynarodowej. W 1970 roku Willy Brandt, wywołując daleko idące konsekwencje, pchnął swój kraj w nowym kierunku i zrewidował politykę wobec Europy Wschodniej. Do tego czasu Niemcy Zachodnie odmawiały uznania Niemieckiej Republiki Demokratycznej i wysuwały roszczenia, w przypadku zjednoczenia kraju, do granic Rzeszy Niemieckiej z 1937 roku (które obejmowały ziemie za linią Odry i Nysy, od 1945 roku należące do Polski, a nawet zachodni kraniec Związku Radzieckiego). Śmiała inicjatywa Brandta przyniosła mu pokojową Nagrodę Nobla w 1971 roku. Jego „polityka wschodnia” (*Ostpolitik*), termin, którego sam Brandt nie lubił, początkowo głęboko dzieliła społeczeństwo. Popierała ją lewica, a zdecydowanie sprzeciwiali się jej konserwatyści i przedstawiciele osób wysiedlonych z Europy Wschodniej po zakończeniu wojny. Brandt chciał przede wszystkim zastąpić alienację współpracą w stosunkach z Niemiecką Republiką Demokratyczną. Mocno wierzył, że *Ostpolitik* może odnieść sukces tylko wtedy, jeżeli Niemcy Zachodnie pozostaną mocno zakorzenione w NATO i w pełni zintegrowane z Europą Zachodnią. Jak ujmował to sam Brandt: „Nasza polityka wschodnia musi zacząć się na Zachodzie”. Pojawiały się obawy, tak w kraju, jak i zagranicą, że *Ostpolitik* doprowadzi do niebezpiecznych ustępstw na rzecz bloku sowieckiego i ostatecznie doprowadzi do zerwania przez Republikę Federalną cum łączących ją z Zachodem. Okazała się jednak coraz popularniejszym politycznym przełomem.

Dzięki nowej *Ostpolitik* w ciągu kolejnych trzech lat udało się nawiązać formalne stosunki z Niemiecką Republiką Demokratyczną, znormalizować te z Czechosłowacją i uznać w traktacie warszawskim z 1970 roku istnienie polskiej granicy zachodniej wzdłuż granicy Odry i Nysy, akceptując fakt, że nie może ona być zmieniona siłą, co w praktyce oznaczało pogodzenie się przez Niemcy z trwałą utratą swoich dawnych prowincji wschodnich. (Ostatecznie bezwarunkowe uznanie polsko-niemieckiej granicy na Odrze i Nysie nastąpiło dopiero przy okazji procesu zjednoczenia Niemiec w 1990 roku). Ta doniosła zmiana znalazła swoje symboliczne odzwierciedlenie w grudniu 1970 roku, kiedy to podczas wizyty w Warszawie Brandt spontanicznie uklęknął przed pomnikiem bohaterów getta,

upamiętniającym powstanie z kwietnia i maja 1943 roku. Wyraził tym samym osobiście ekspiację za wymordowanie Żydów.

Dokonana przez Brandta zmiana kierunku zachodnioniemieckiej polityki zagranicznej wpisała się w obiecującą na pierwszy rzut oka zmianę w relacjach między supermocarstwami. W maju 1972 roku, po rozmowach, które trwały przez trzy lata, Richard Nixon, prezydent Stanów Zjednoczonych, i Leonid Breżniew, sekretarz generalny Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, podpisali porozumienie rozbrojeniowe SALT I (układ o ograniczeniu zbrojeń strategicznych), którego celem było podniesienie wzajemnego bezpieczeństwa poprzez ograniczenie systemów rakiet antybalistycznych. W kolejnym roku podpisano porozumienie w sprawie zapobiegania wojnie nuklearnej, którego ambitnym celem było całkowite usunięcie „niebezpieczeństwa wojny nuklearnej i użycia broni jądrowej”. Decyzje te były na rękę obu stronom – Związek Radziecki bał się zbliżenia USA i komunistycznych Chin (scementowanego wizytą Nixona w Pekinie w lutym 1972 roku), a USA chciały naprawić dyplomatyczne szkody wywołane wojną w Wietnamie. To, co zaczęto ogólnie nazywać „polityką odprężenia” (*détente*) osłabiało napięcia pomiędzy supermocarstwami i niosło jakże oczekiwaną nadzieję na trwałą poprawę stosunków pomiędzy największymi mocarstwami nuklearnymi. Wydawało się, że Europa – i w ogóle cały świat – może zacząć oddychać nieco swobodniej. Było to jednak przed początkiem ekonomicznych i politycznych reperkusji kryzysu naftowego z 1973 roku.

## ROZDZIAŁ 7

# Zwrot

---

*Demokracje uprzemysłowione są zdeterminowane, by przewyciężyć wysokie bezrobocie, ciągłą inflację i poważne problemy energetyczne.*

Deklaracja G-7 w sprawie współpracy gospodarczej, listopad 1975 r.

*Kryzys? Jaki kryzys?*

Nagłówek w gazecie „The Sun” z błędnym cytatem z brytyjskiego premiera, Jamesa Callaghana, 11 stycznia 1979 r.

**K**ryzys naftowy z 1973 roku był punktem zwrotnym w powojennej historii Europy. Zapoczątkował serię zmian, które odcisnęły głębokie piętno na strukturach politycznych, ekonomicznych i społecznych. Do połowy lat 80. zmiany te – które skumulowały się w zmianę paradygmatu po boomie pierwszych dekad powojennych – przekształciły kontynent. Już w latach poprzedzających kryzys naftowy pojawiły się czytelne sygnały, że długotrwały boom dobiega końca. Nadchodziły zmiany, ale kryzys naftowy znacznie je przyspieszył. Bezpośrednią konsekwencją redukcji dostaw narzuconej przez arabskich producentów ropy był wzrost ceny za baryłkę z 2,70 dolara do 9,76 dolara w ciągu roku. Do 1980, po drugim kryzysie naftowym w 1979 roku, cena poszybowała do prawie 50 dolarów. Ropa w 1950 roku zaspokajała 8,5 procent zachodnioeuropejskiego zapotrzebowania na energię. Dwadzieścia lat później odsetek ten wzrósł do 60 procent. Dla krajów tak mocno uzależnionych od ropy skala kryzysu była oczywista.

Kryzys oznaczał koniec optymizmu, który charakteryzował poprzednie dwie dekady. Wcześniejszy korzystny wpływ stabilnego wzrostu został zastąpiony przez negatywny prymat ekonomii. Założenie, że poziom życia będzie nadal rósł, które towarzyszyło epoce „cudu gospodarczego”, zostało nagle zakwestionowane. Wysoka stopa inflacji zaczęła się w niebezpieczny sposób łączyć ze wzrostem bezrobocia – było to zjawisko, o którym w dekadach powojennych sądzono, że zostało pokonane raz na zawsze. Wynikiem była największa ekonomiczna niepewność, jakiej większość ludzi doświadczyła od końca wojny. Nie trzeba było dużo czasu, by zaczęto wątpić, czy można utrzymać dotychczasowy poziom wydatków na państwo opiekuńcze, czyli fundament poczucia bezpieczeństwa, na którym Europa oparła swoją odbudowę po drugiej wojnie światowej. Model ekonomiczny wykorzystujący teorię Johna Maynarda Keynesa, który zdominował ekonomię polityczną w Europie Zachodniej od czasów wojny, został w sposób fundamentalny zakwestionowany i coraz częściej był odrzucany. Zmieniający się klimat gospodarczy zwiększył chwiejność sceny politycznej, a jednocześnie zaostrzające się konflikty w Irlandii Północnej, Hiszpanii, Niemczech Zachodnich i Włoszech przyniosły przerażające akty terroru. Jak systemy polityczne zarówno we wschodniej, jak i zachodniej części Europy odpowiedziały i przystosowały się do tak drastycznie zmieniających się okoliczności? Jak udało im się przetrwać, mimo że upadły pod ciężarem kryzysu gospodarczego w latach 30.?

Nie wszystko w latach po kryzysie naftowym napawało przygnębieniem i pesymizmem. Sam kryzys obnażył potrzebę strukturalnych zmian w gospodarce i odwrótu od starszych, i tak już podupadających, gałęzi przemysłu. Niebezpiecznie wysoka inflacja została ostatecznie (choć kosztem wielkich wyrzeczeń) stłumiona. A indywidualny wybór stylu życia i konsumpcjonizm na dobre weszły do spectrum życia społecznego. Dyktatury zniknęły z zachodniej połowy kontynentu. W ciągu kilku miesięcy autorytarne reżimy w Portugalii, Grecji, a później Hiszpanii padły jeden po drugim – pokojowo, bez zewnętrznej interwencji militarnej. Nowym i niepokojącym zjawiskiem było natomiast znaczne pogorszenie stosunków międzynarodowych, które wcześniej wydawały się wchodzić na pozytywną

trajektorię. Polityka odprężenia z pierwszej połowy lat 70., która zmierzała do ograniczenia arsenałów nuklearnych i międzynarodowego poszanowania praw człowieka, nie przetrwała dekady. W 1980 roku Europa wchodziła w okres nazywany często „drugą zimną wojną” – nową i niebezpieczną fazę konfrontacji supermocarstw.

## **Gospodarki w kłopotcie**

To, jak gwałtowną cezurę stanowił kryzys naftowy z 1973 roku, jasno pokazuje tempo wzrostu gospodarczego w Europie. Pomiędzy rokiem 1950 a 1973 średnie roczne tempo wzrostu wynosiło 4,7 procent zarówno w Europie Zachodniej, jak i Wschodniej i aż 6,3 procent w słabiej rozwiniętych gospodarkach Europy Południowej, która dopiero zaczęła nadrabiać dystans. W dwudziestolecie, które nastąpiło po kryzysie naftowym, tempo wzrostu spadło o ponad połowę, do 3,1 procent w Europie Południowej, 2,2 procent w Europie Zachodniej, a w Europie Wschodniej wynik był wręcz negatywny i wyniósł minus 0,4 procent. W Europie Zachodniej najwyższe tempo wzrostu notowały Norwegia, Irlandia (inna zacofana gospodarka, która nadrabiała dystans), Włochy, Austria i Niemcy Zachodnie, a Holandia, Wielka Brytania, Szwecja i Szwajcaria najniższe. Za żelazną kurtyną kryzys w najmniejszym stopniu dotknął Węgry (gdzie wzrost produktu krajowego brutto na głowę mieszkańca przysłał narastające problemy z uzależnieniem finansowym od Zachodu), w największym zaś Rumunię. Z krajów na południu kontynentu wzrost w Turcji (na poziomie 2,6 procent) był wyższy niż gdziekolwiek indziej, choć startował z niskiego poziomu. Bez względu na lokalne odmiany generalny wzorzec we wszystkich regionach był czytelny.

Dynamika, która przez dwie dekady napędzała koniunkturę, zniknęła. Do 1971 roku gospodarki świata zachodniego opierały się na sztywnym kursie wymiany wobec dolara – który z kolei był powiązany z ceną złota (w oparciu o określoną stałą wartość, niezmienną od 1934 roku). System ten uzgodniono na konferencji

w Bretton Woods w lipcu 1944 roku. Jego złożoność sprawiła, że w pełni wdrożono go w życie dopiero od grudnia 1958 roku. Już po dekadzie uwidoczniły się problemy. Porozumienie z Bretton Woods było w praktyce umową pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Wielką Brytanią. Odzwierciedlało powojenną dominację dolara w roli międzynarodowej waluty rezerwowej, w której zastąpił on dzierżącego wcześniej prymat funta. Od tego czasu zachodnie gospodarki stały się zarówno bardziej ze sobą powiązane, jak i zróżnicowane, jeżeli chodzi o potencjał. Coraz trudniej było pogodzić fluktuacje gospodarcze ze sztywnymi kursami walutowymi. Spekulacje walutowe – i finansowa niepewność przez nie powodowana – były nieuniknione. Rosnące napięcia związane z utrzymaniem sztywnych kursów wymiany wywołały pierwsze przymiarki do unii walutowej w Europie, zawarte w raporcie Wernera z 1970 roku, nazwanym tak od nazwiska przewodniczącego komitetu, który go stworzył, premiera Luksemburga, Pierre’a Wernera. (W istocie pierwsze podchody Francji do Niemiec Zachodnich na temat unii walutowej miały miejsce już w 1964 roku – chodziło o wzmocnienie międzynarodowej pozycji Francji i jednocześnie osłabienie zależności Niemiec od USA. Sugestia ta została grzecznie zignorowana przez Bonn). To była idea, której czas jeszcze nie nadszedł. Propozycje te przepadły w monetarnej zawierusze, która miała wkrótce nadejść.

Dalszej dominacji potężnego niegdyś dolara nie można już było dłużej uważać za pewnik. Gospodarka Stanów Zjednoczonych – rdzeń całego systemu z Bretton Woods – sama miała problemy. Pod koniec lat 60. USA miały rosnący deficyt płatniczy i rozdęty deficyt handlowy – efekt rosnącego importu z Europy i Japonii, wzrostu wydatków socjalnych za prezydentury Johnsona, a także coraz większych nakładów na wojsko w związku z eskalacją wojny w Wietnamie. Inflacja okazała się trudna do opanowania. Ponieważ amerykański bilans płatniczy nadal się pogarszał, a zarówno bezrobocie, jak i inflacja rosły, stało się oczywiste, że dolar jest przeszacowany. Nieuniknioną konsekwencją były spekulacje przeciw dolarowi na rzecz marki niemieckiej i japońskiego jena. W maju 1971 roku rząd Niemiec Zachodnich – a w ślad za nim Austrii, Belgii, Holandii i Szwajcarii – zdecydował,



że nie będzie dłużej utrzymywać istniejącego parytetu wobec dolara. To spowodowało gwałtowny wzrost wartości marki i ucieczkę od dolara. System z Bretton Woods był zbudowany wokół sztywnej ceny złota w wysokości 35 dolarów za uncję. Słabość dolara sprzyjała spekulacjom, że cena złota wzrośnie. Tak też się stało. Pod koniec lat 60. kruszec sprzedawano dwukrotnie drożej, niż wynosiła oficjalna cena. Bretton Woods było dłużej nie do utrzymania. 15 sierpnia 1971 roku prezydent Nixon nieoczekiwanie ogłosił dramatyczny zwrot w amerykańskiej polityce; wśród licznych rozwiązań antyinflacyjnych zawiesił wymienialność dolara na złoto.

Po tej decyzji system Bretton Woods – podstawa powojennej gospodarki – przestał istnieć. Przyszłością były płynne kursy walutowe. Wprowadziły one jednak kolejne elementy niepewności do międzynarodowej gospodarki. Nowym problemem było to, jak nimi zarządzać – szybko pojawiły się trudności. Nie opracowano jednolitego wzorca. Wszystkie propozycje rozbijały się o kwestię, z którą musiały zmierzyć się gospodarki na różnym stadium rozwoju, w tym kluczowa gospodarka USA: jak walczyć z niepokojącym wzrostem inflacji, nie sięgając po klasyczne rozwiązania deflacyjne o takim natężeniu, że podmyłyby wzrost, znacznie zwiększyły bezrobocie (ze wszystkimi towarzyszącymi temu konsekwencjami społecznymi i politycznymi) i być może wepchnęłyby świat w nową wielką recesję.

Tymczasem, od grudnia 1971 roku najbardziej uprzemysłowione gospodarki europejskie zabrały się za budowę wąskiego korytarza, w obrębie którego ich waluty mogły się poruszać względem dolara, oderwanego teraz od złota. „Wąż”, jak zaczęto nazywać ten system, szybko okazał się klapą. Biorąc pod uwagę różne poziomy rozwoju europejskich gospodarek i różne lokalne strategie walki z inflacją i kontrolowania wydatków rządowych, taki efekt był zresztą łatwy do przewidzenia od początku. Kraje dbały przede wszystkim o własne interesy i walczyły z wewnętrznymi problemami za pomocą narodowych strategii. Wielka Brytania, Irlandia i Dania opuściły „węża” w 1972 roku (choć Dania szybko do niego wróciła), to samo zrobiły Włochy w 1973 i Francja w 1974 roku. „Wąż” stał się

w praktyce małym klubem północno-zachodnich gospodarek europejskich, zdominowanym przez niemiecką markę. Tylko Niemcy Zachodnie i kraje Beneluksu utrzymały kurs. W wyniku wspólnej inicjatywy rządów Niemiec i Francji niesatysfakcjonujący „wąż” walutowy został w 1979 roku przekształcony w Europejski System Monetarny. Marka niemiecka w sposób jeszcze bardziej jawny stała się hakiem, na której wisały pozostałe europejskie waluty.

Problemy z „wężem” sprzyjały przyjmowaniu bardziej swobodnych kursów walutowych. Jednocześnie zachęcały, by przyjrzeć się bliżej rozważanej już w 1970 roku idei europejskiej unii monetarnej. Na razie była to jedynie mrzonka. Dominacja ekonomiczna Niemiec Zachodnich (i pokaźna nadwyżka) oznaczała, że znacznie przewyższała ona słabsze gospodarki, przez co koordynacja zróżnicowanych walut była niezwykle trudna. Płynne kursy walutowe zamiast sztywnych coraz bardziej odpowiadały większości krajów, ponieważ dzięki temu mogły one dokonywać wewnętrznych korekt bez sięgania po politycznie szkodliwą dewaluację.

Zawierowania walutowe odzwierciedlały w istocie głębszy zastój w zachodnich gospodarkach, do którego doszło, zanim jeszcze skutki kryzysu naftowego stały się odczuwalne. Produkcja przemysłowa wzrosła w latach 1972–1973 o około 10 procent, ale wytworzyło to efekt nadwyżki zdolności produkcyjnych w przemyśle, i to w czasie, w którym popyt na importowane towary podstawowe przybierał na sile. Gospodarki były przegrzane. Ekspansja monetarna, tani kredyt i przyrost krajowych środków pieniężnych w wyniku osłabienia dolara doprowadziły do gwałtownego skoku cen. Na rok przed kryzysem naftowym ceny surowców już szybowały – wzrost o 63 procent w ciągu jednego roku – podczas gdy rentowność w przemyśle najbogatszych krajów spadła, powodując oczywiste obciążenia w produkcji masowej. Podobnie jeszcze przed kryzysem naftowym inflacja osiągnęła niepokojący poziom siedmiu procent w Niemczech Zachodnich, czyli kraju, który z powodu wspomnienia hiperinflacji z 1923 roku miał największą paranoję na tym punkcie.

Keynesowskie podejście do wspierania wzrostu poprzez stymulowanie popytu było praktycznie podstawą całego powojennego myślenia o gospodarce. Okazało się sprawdzoną drogą wyjścia z gospodarczych problemów, stagnacji i masowego bezrobocia. Ale to remedium nie pasowało do warunków z początku lat 70. Dwie dekady wysokiego wzrostu zaowocowały pełnym zatrudnieniem. Problemem teraz był wzrost inflacji. Pompowanie pieniędzy w gospodarkę gwarantowało jedynie zwiększenie presji inflacyjnej. Stymulowanie popytu powodowało domaganie się wyższych płac. Bez zwiększonej wydajności podsycalo to jedynie inflację. Duży (i wciąż rosnący) odsetek pracowników, szczególnie w sektorze publicznym, należał do związków zawodowych – w 1970 około dwóch trzecich w Szwecji, połowa w Wielkiej Brytanii, jedna trzecia w Niemczech Zachodnich (choć tylko nieco ponad jedna piąta we Francji). Związki mogły wykorzystywać niemal pełne zatrudnienie i niedobory pracowników, by negocjować niekiedy spektakularne podwyżki – 19 procent we włoskim przemyśle w 1969 roku – bez towarzyszącego im wzrostu wydajności. Rządowi coraz trudniej było radzić sobie z poziomem wydatków publicznych, szczególnie na cele socjalne. Na początku lat 70. stanowiły one od 40 do 50 procent wydatków państw zachodnich, a od końca wojny wzrosły w Europie Zachodniej średnio czterokrotnie, szczególnie szybko zwiększając się we Włoszech i Francji. W takich warunkach teoria keynesowska nie oferowała dobrego rozwiązania.

W już pogarszających się warunkach ekonomicznych szok dla zachodniej gospodarki spowodowany kryzysem naftowym z 1973 roku był potężny. Kraje reagowały głównie zgodnie ze swoimi interesami narodowymi. Francja próbowała na własną rękę dogadać się z Irakiem, a Wielka Brytania z Iranem i Kuwejtem. Ani Wielkiej Brytanii, ani Francji embargo specjalnie nie dotknęło, w przeciwieństwie do Holandii, która odczuła je najboleśniej. W istocie embargo na Europę (choć nie na USA) zostało zniesione w listopadzie 1973 roku, po tym, jak Wspólnota Europejska wystosowała oświadczenie, zinterpretowane jako stosunkowo przychylne stanowisku arabskiemu w konflikcie bliskowschodnim. Problemy z koordynowaniem polityki w świetle różnych narodowych interesów jednak

pozostały. Kiedy w listopadzie 1974 roku Stany Zjednoczone i 15 innych krajów powołały Międzynarodową Agencję Energetyczną (IEA), uważaną między innymi za forum dla opracowywania awaryjnych planów dzielenia zasobów w przypadku nowego kryzysu paliwowego, Francja nie chciała mieć z tym nic wspólnego. Paryż uznał, że udział w tym projekcie może zaszkodzić jego relacjom z OPEC, a Wielka Brytania i Norwegia, które odkryły własne podmorskie złoża ropy, zastrzegły sobie prawo podejmowania niezależnych działań.

Dotkliwe konsekwencje kryzysu naftowego były również odczuwalne w Europie Wschodniej i przyniosły długotrwałe, wyniszczające skutki. Związek Radziecki, sam będący dużym producentem ropy, stał się de facto beneficjentem globalnego wzrostu cen surowca i znacznie zwiększył swoje przychody z eksportu poza Europę Wschodnią, do rozwiniętych gospodarek rynkowych. Rosnące wydobycie ze złóż na zachodniej Syberii opłacało import z Zachodu. Nieoczekiwana bonanza przesłoniła na jakiś czas fundamentalną słabość sowieckiej gospodarki. Pozostałe gospodarki socjalistyczne zza żelaznej kurtyny, poza Rumunią, nie miały własnych złóż ropy i znalazły się w dużo mniej korzystnym położeniu. (Własne zasoby Rumunii uchroniły ją przed skutkami kryzysu z 1973 roku, ale były niewystarczające, by pokryć trzykrotny wzrost popytu na ropę w latach 70. Nawet tutaj jednak surowiec trzeba było importować, co znacznie zwiększyło zagraniczne zadłużenie Rumunii do końca dekady). Związek Radziecki podniósł ceny (choć poniżej globalnych cen rynkowych) dla członków własnego bloku ekonomicznego (RWPG) i żądał płatności w twardej walucie albo za pomocą dostaw przetworzonych dóbr przemysłowych. Dostawy ze Związku Radzieckiego były z pewnością kluczowe dla krajów satelickich. Bez nich ich problemy polityczne mogły być trudne do opanowania. Jedną z najważniejszych konsekwencji kryzysu naftowego było jednak to, że kraje socjalistyczne były zmuszone zaciągać coraz to nowe pożyczki na kapitalistycznym Zachodzie. Ich zadłużenie państwowe wobec krajów zachodnich zaczęło w alarmującym tempie przekształcać się w spiralę, z której nie było ucieczki. Węgierski dług w dolarach wzrósł w latach 70. i 80. osiemnastokrotnie, Polski dwudziestokrotnie, Niemieckiej

Republiki Demokratycznej ponad czterdziestokrotnie. Pod koniec lat 70. wzrost w regionie dramatycznie wyhamował lub przerodził się w recesję.

Jugosławia, pozostająca poza blokiem sowieckim, doświadczała podobnych problemów. Zadłużenie państwa w latach 1973–1981 wzrosło z 4,6 do 21 miliardów dolarów. Początkowo, przynajmniej z punktu widzenia zwykłych obywateli, nie było wyraźnych sygnałów, że nadciągają problemy. Gospodarka dalej rosła. Państwo nadal na potęgę budowało nowe hotele, obiekty sportowe i drogi. Standard życia był utrzymywany. Podobnie jednak jak w innych krajach socjalistycznych, niezbędna transformacja gospodarcza i podniesienie konkurencyjności były niemożliwe w ramach systemu. Słabnący wzrost, coraz większe zadłużenie, bezrobocie i inflacja – wszystkie te zjawiska przybierały na sile. Do 1984 roku standard życia spadł o 30 procent. Pogłębiały się nierówności pomiędzy poszczególnymi republikami – dla przykładu pod koniec lat 70. Słowenia była dziewięć razy bogatsza niż Kosowo – co zwiększało ryzyko konfliktu etnicznego. W tej sytuacji zapewne nie powinno być niespodzianką, że wkrótce po śmierci Tity w maju 1980 roku w Kosowie wybuchły zamieszki etniczne pomiędzy Albańczykami a Serbami – stanowiące zapowiedź czegoś dużo gorszego, co dopiero miało nadejść.

W Europie Zachodniej nie było ucieczki przed bezpośrednimi konsekwencjami kryzysu naftowego. Rządy podjęły nadzwyczajne działania, by poradzić sobie z niedoborem ropy, często przywracając racjonowanie paliwa i oleju opałowego, ograniczając korzystanie z samochodów poza koniecznymi przypadkami (szczególnie w niedzielę) i wprowadzając limity prędkości, by zmniejszyć zużycie. (Ludzie zaczęli kupować mniejsze, bardziej paliwooszczędne samochody, by wydawać mniej na benzynę). Rząd brytyjski nakłaniał swoich obywateli, by ogrzewali tylko jeden pokój w domu, nawet podczas miesięcy zimowych. Holendrom groziło więzienie za przekroczenie limitu zużycia energii elektrycznej. Kiedy embargo zniesiono, panika szybko ustąpiła.

Jednak czterokrotny wzrost cen ropy był dużo bardziej bolesny. W połowie 1974 roku doprowadził do poważnej recesji, zmniejszenia produkcji przemysłowej

i spadku produktu narodowego brutto. Problemy z bilansem płatniczym znacznie pogłębił dramatyczny wzrost cen importowanej ropy. W 1974 roku ceny towarów w całej Europie wzrosły o ponad 13 procent, napędzając i tak już rosnącą inflację. W porównaniu z latami 1950–1973 ceny konsumpcyjne były w dekadzie 1973–1983 średnio ponad dwukrotnie wyższe, a w krajach śródziemnomorskich czterokrotnie. Jak zawsze inflacja najbardziej uderzyła w ludzi o stałych dochodach. Wzrost cen był niezmiennie przerzucany na konsumentów, co w nieunikniony sposób skutkowało żądaniami płacowymi, by sprostać wyższym kosztom życia i dalej nakręcało inflację tam, gdzie były one spełniane – jak to się zazwyczaj działo, biorąc pod uwagę siłę związków zawodowych. Rosnące koszty zatrudnienia prowadziły jednak do zwolnień. Ponad siedem milionów ludzi w Europie Zachodniej znalazło się wkrótce bez pracy. Bezrobocie, które w latach 1950–1973 wahało się średnio w przedziale 2–4 procent, w kolejnej dekadzie podskoczyło do 12 procent. Najmocniej odczuły to stare, pracochłonne branże – górnictwo, hutnictwo, przemysł stoczniowy i tekstylny – w których doszło do wielkiego spadku produkcji (pogłębionego przez rosnącą konkurencję ze strony szybko rozwijającego się przemysłu japońskiego) i znaczącego wzrostu bezrobocia.

Rosnące jednocześnie bezrobocie i inflacja były fenomenem, który wprowadził w konfuzję wyznawców tradycyjnej myśli ekonomicznej. Początkowe próby, by walczyć ze spowolnieniem gospodarczym metodami reflacyjnymi, czyli przez zwiększanie popytu, tylko pogorszyły sytuację. „Stagflacja”, jak ją zaczęto nazywać, różniła się w zależności od siły ekonomicznej i struktur gospodarczych danego kraju. Najbardziej dynamiczna gospodarka Niemiec Zachodnich stosunkowo dobrze poradziła sobie z problemami. Inflację w latach 1973–1981 udało się utrzymać poniżej pięciu procent, a bezrobocie poniżej trzech procent. Zakłócenia w gospodarce, wciąż notującej wzrost na poziomie około dwóch procent, były stosunkowo niewielkie. W krajach najbardziej dotkniętych kryzysem, Wielkiej Brytanii i Włoszech, sytuacja była dużo poważniejsza. Włoska gospodarka wciąż rozwijała się w solidnym tempie, ale inflacja wynosiła 17,6

procent. Wielka Brytania miała w latach 1973–1981 najniższe tempo wzrostu, nie przekraczające 0,5 procent, a średnia inflacja oscylowała wokół 15 procent.

Na początku lat 70. Wielka Brytania, niegdyś przemysłowa potęga świata, była w opłakanym stanie. Długie lata niewystarczających inwestycji, archaiczna struktura związków zawodowych i polityczne błędy w planowaniu gospodarczym, popełniane przez kolejne rządy, znacząco osłabiły Wielką Brytanię zarówno ekonomicznie, jak i politycznie. Próba zreformowania związków zawodowych przez laburzystowski rząd zakończyła się całkowitą klęską. Konserwatyści, którzy doszli do władzy w 1970 roku pod wodzą Edwarda Heatha, radzili sobie jeszcze gorzej, zarówno jeżeli chodzi o zarządzanie gospodarką, jak i rozwiązywanie sporów pracowniczych. Ceny i płace nieustannie szły w górę, napędzając jedynie inflację. W 1972 roku ceny wzrosły o siedem procent, ale zarobki w przemyśle o 16. Kapitulując przed strajkiem górników w owym roku, pierwszym ogólnokrajowym strajkiem w tej branży od 1926 roku, rząd przyznał podwyżki ponad dwukrotnie przewyższające stopę inflacji. Jednocześnie wprowadzono politykę stymulowania wzrostu poprzez obniżenie podatków. Choć tempo wzrostu gwałtownie (i na krótko) przyspieszyło, boom podsycił jedynie inflację, którą później rząd na próżno starał się kontrolować, wprowadzając limity podwyżek płac. A wszystko to działo się jeszcze przed szokiem naftowym.

Narastający kryzys w stosunkach pracowniczych osiągnął apogeum w 1974 roku, kiedy gospodarka wciąż zmagająca się ze skutkami szalejących cen energii. Wtedy to Narodowy Związek Górniczy (National Union of Mineworkers) – najpotężniejszy związek zawodowy w kraju – zażądał dużej podwyżki, znacznie wykraczającej poza politykę ograniczeń płacowych, wprowadzoną niedawno przez konserwatywny rząd. Doprowadziło to do stanu wyjątkowego, racjonowania elektryczności i wprowadzenia trzydniowego tygodnia pracy w przemyśle. Ludzie w panice wykupywali towary ze sklepów. Jedna z londyńskich fabryk produkowała milion świeczek dziennie, ponieważ ludzie bali się przerw w dostawach prądu. Co ciekawe, produkcja przemysłowa prawie nie spadła – co pokazywało, jak niska była wydajność podczas normalnego, pięciodniowego tygodnia pracy. Ostatecznie

doszło do próby sił pomiędzy rządem a związkami podczas wyborów w lutym 1974 roku. Edward Heath zarządził je, zadając pytanie: „Kto rządzi Wielką Brytanią?”. Elektorat udzielił swojej odpowiedzi: na pewno nie rząd.

Nowy gabinet laburzystów pod wodzą Harolda Wilsona od razu zgodził się na postulaty górników. Jak można było oczekiwać, wywołało to eksplozję żądań płacowych. Pensje w 1975 roku wzrosły o 24 procent. Inflacja w tym czasie sięgnęła jednak 27 procent, a bezrobocie przekroczyło milion (poziom dwa razy wyższy niż w jakimkolwiek roku na przestrzeni dwóch dekad). Wydatki rządowe wymknęły się spod kontroli, bo nakłady publiczne sięgnęły 46 procent produktu krajowego brutto. Deficyt w bilansie płatniczym wzrósł od początku kryzysu naftowego ponad trzykrotnie i utrzymywał się na rekordowo wysokim poziomie. Bank Anglii podniósł stopy procentowe, ale nie zapobiegło to spekulacjom przeciw funtowi. W 1976 roku upokorzony rząd brytyjski musiał udać się po prośbie do Międzynarodowego Funduszu Walutowego po pożyczkę w wysokości 3,9 miliarda dolarów, najwyższą w historii Funduszu. Nieuniknione cięcia wydatków, przeprowadzane teraz przez laburzystowskiego kanclerza skarbu, Denisa Healeya, które najmocniej dotknęły budownictwo i edukację, doprowadziły do niewielkiej redukcji deficytu i spowolnienia inflacji, ale jednocześnie zmniejszyły wpływy podatkowe państwa. Jednak utrzymanie płac na poziomie pięciu procent, znacznie poniżej kosztów utrzymania, oznaczało obniżenie standardów życia, na które związki zawodowe, szczególnie silne w sektorze publicznym, nie były przygotowane. Liczba dni pracy utraconych w wyniku strajków wzrosła w 1979 roku do alarmującego, najwyższego w powojennej historii poziomu. Podczas niesławnej „zimy niezadowolenia” na przełomie 1978 i 1979 roku zdarzało się, że ciała leżały niepogrzebane, ponieważ strajkowali grabarze. Śmieci walały się po ulicach, ponieważ strajkowali śmieciarze. Dzieci nie były wpuszczane do szkół, ponieważ strajkowali woźni. Chorych nie przyjmowano do szpitali, ponieważ strajkował personel pomocniczy.

Takie było tło spektakularnego zwycięstwa Partii Konserwatywnej, teraz pod wodzą Margaret Thatcher, w wyborach powszechnych, które odbyły się 3 maja



1979 roku. Zaczynał się zwrot w kierunku neoliberalizmu, sygnalizujący radykalnie inne podejście do problemów, które prześladowały brytyjskie rządy w latach 70.

Wielka Brytania miała przynajmniej ropę z Morza Północnego, która zaczęła płynąć w 1975, a której wydobycie w 1980 roku przekroczyło produkcję Iranu czy Kuwejtu. Włochy nie miały ropy, ale surowiec ten zaspokajał 75 procent potrzeb energetycznych kraju. Podobnie jak Wielka Brytania, Włochy miały tradycję konfrontacyjnego rozstrzygnięcia sporów pracowniczych, w przeciwieństwie do bardziej korporacyjnych systemów obowiązujących w Skandynawii, Niemczech Zachodnich, Austrii, Szwajcarii, Holandii i Belgii. Konflikty pracownicze były zjawiskiem endemicznym. Z kolei problemy gospodarcze z początku lat 70. dały podstawę do wzrostu politycznej przemocy, do której uciekały się w trakcie swoich kampanii Czerwone Brygady i inne zbrojne bojówki (patrz rozdział 6). Przy nieustająco wysokiej inflacji i szybko pogłębiającym się deficycie w bilansie płatniczym Włochy były zmuszone zaciągnąć duże pożyczki od Niemiec Zachodnich i Międzynarodowego Funduszu Walutowego, a w konsekwencji wprowadzić ostre rozwiązania deflacyjne i ograniczenia w podaży pieniądza. Będąca ich rezultatem recesja przyniosła stagnację w produkcji, wzrost bezrobocia i zwiększenie wydatków publicznych do 55 procent produktu krajowego brutto w 1982 roku – był to najwyższy odsetek ze wszystkich dużych krajów zachodnioeuropejskich. Jedynie pokaźna włoska „szara strefa” zapobiegła poważniejszemu tąpnięciu gospodarki. Szacuje się, że od czterech do siedmiu milionów Włochów zarabiała „nieoficjalnie”, co w 1979 roku przekładało się na do 20 procent gospodarki.

Wielka Brytania i Włochy były pod koniec lat 70. pogrążone w kryzysie. Generalnie jednak po jego najgorszej fazie nastąpiło powolne i kruche ożywienie. Napędzały je silne gospodarki europejskie Niemiec Zachodnich i Szwajcarii, a poza Europą – Japonii. Pomogły również „petrodolary”, które napływały z zasobnych w ropę krajów Bliskiego Wschodu do gospodarek zachodnich, często w postaci zamówień na infrastrukturę kapitałową lub broń.

Krucze ożywienie z końca lat 70. jeszcze nie zdążyło się na dobre zacząć, a już przerwał je drugi kryzys naftowy w 1979 roku. Nastąpił on w wyniku rewolucji, która wybuchła w Iranie w styczniu owego roku. Po miesiącach masowych zamieszek, których nie udało się stłumić nawet mimo brutalności tajnej policji, szach Iranu został obalony. Był jedynie amerykańską marionetką, wyniesioną do władzy w 1953 roku dzięki skutecznym machinacjom CIA i brytyjskiego MI6, które obaliły demokratycznie wybrany rząd. Reżim był znienawidzony przez większość społeczeństwa. 1 lutego z wygnania we Francji wrócił duchowy przywódca szyickiej opozycji, ajatollah Chomeini, witany przez rozentuzjasmowany tłum. Natychmiast proklamował powstanie republiki islamskiej. Był to początek nowego i długotrwałego politycznego zamieszania o skali nie tylko regionalnej, ale i światowej.

Konsekwencją zamieszek był gwałtowny spadek produkcji irańskiej ropy. Choć wydobyć zwiększyła Arabia Saudyjska, wspomnienie poprzedniego kryzysu wystarczyło, by wywołać nową panikę. Sytuacji nie poprawił bynajmniej fakt, że Iran i Irak, dwaj wielcy producenci ropy, rozpoczęli w 1980 roku wojnę, która z wielką intensywnością toczyła się przez osiem lat, powodując znaczny spadek wydobycia. Cena ropy wzrosła trzykrotnie między rokiem 1979 a 1981 i była teraz dziesięciokrotnie wyższa niż w 1973 roku. Po raz kolejny wybuchł globalny kryzys, który najciężej dotknął biedne kraje w świecie rozwijającym się. Europa Zachodnia była w lepszej sytuacji, bo znaczące ilości ropy zaczęły płynąć z Morza Północnego, a rozwój energetyki jądrowej nabrał tempa. Europejskie gospodarki były jednak słabsze niż na początku kryzysu z 1973 roku. Recesja po drugim kryzysie naftowym była w związku z tym pod pewnymi względami bardziej dotkliwa. Morale już było podkopane, a zaniepokojenie już narosło. Rządy okazały się wcześniej niezdolne do rozwiązania problemu „stagflacji”. Nowa filozofia ekonomiczna, odrzucająca imperatywy keynesowskie, dominujące od końca drugiej wojny światowej, wydawała się jedynym sposobem na wydobycie się z marazmu.

Pracą teoretyczną, którą szybko zaczęła zjednywać sobie nowych zwolenników, szczególnie w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, była książka *Capitalism and Freedom* (*Kapitalizm i wolność*), opublikowana w 1962 roku przez znanego ekonomistę, Milтона Friedmana, wiodącą postać chicagowskiej szkoły ekonomicznej. Stanowiła ona całkowite odrzucenie keynesizmu. Państwowa interwencja w gospodarkę w celu ożywienia popytu była w tym myśleniu wykluczona, podobnie jak państwowa regulacja rynków poprzez politykę fiskalną. Zamiast tego Friedman proponował gospodarkę samoregulującą się za pomocą sił wolnego rynku. Argumentował, że podaż pieniądza determinuje poziom cen. Jeżeli zostanie ona utrzymana w bliskiej zależności z produktem narodowym brutto, inflacja przestanie być problemem. Istotnie, w owym czasie podaż pieniądza znacznie przekraczała produkcję. Ograniczenie tej podaży było zatem niezbędnym remedium dla odzyskania kontroli nad inflacją, nawet kosztem wyższego bezrobocia. Ta monetarystyczna filozofia była rdzeniem tego, co później powszechnie zaczęto nazywać „neoliberalizmem” (choć termin „monetarizm” lepiej pasował do tej teorii i preferowali go sami jej zwolennicy).

„Neoliberalizm” miał długą intelektualną tradycję. Do jego wczesnych zwolenników należeli austriaccy ekonomiści, Ludwig von Mises i Friedrich Hayek. Szczególnie znaczący był wpływ Hayeka, który urodził się w Austrii w 1899 roku, ale w 1938 wyemigrował do Anglii i ostatecznie przyjął brytyjskie obywatelstwo. Poniewczasie zyskał status guru, w dużej mierze za sprawą opublikowanej w 1944 roku książki *The Road to Serfdom* (*Droga do zniewolenia*). Łączył w niej socjalizm (który postrzegał jako nierozłączny z przymusową interwencją, zmierzającą do zapewnienia równości) i planowanie państwowe ze zniewoleniem. Tylko konkurencyjność wolnego rynku, wyzwolonego spod państwowej kontroli – argumentował Hayek – jest kompatybilna z demokratyczną wolnością. Hayek pisał barwnym językiem, zrozumiałym nie tylko dla ekonomistów. Zmienił teorię ekonomiczną w całościową ideologię społeczną i polityczną. Stanowiła ona fundamentalne wyzwanie dla założeń, na których zasadał się powojenny konsensus w sprawie państwa opiekuńczego, zakładający wysoki poziom

fiskalizmu i scentralizowaną kontrolę rządową nad gospodarką, opartą na częściowo znacjonalizowanym przemyśle i dużym sektorze publicznym.

W rzeczywistości rządy nadal stosowały mieszanę keynesizmu z monetaryzmem. Jednak moment, w którym monetaryzm miał zostać uznany za nową ortodoksję w dwóch krajach, Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych, był bliski. W styczniu 1980 roku urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych objął Ronald Reagan. Jego polityka gospodarcza – szybko ochrzczone mianem „reaganomiki” – zawierała liczne elementy monetaryzmu (choć neoliberalny dogmat był ignorowany, gdy przychodziło do astronomicznego wzrostu wydatków na zbrojenia i potrojenia zadłużenia narodowego).

Wśród wiodących gospodarek zachodnioeuropejskich tylko Wielka Brytania szybko i gorliwie nawróciła się na neoliberalizm. W latach 70. praktycznie wszystkie kraje były stopniowo zmuszone do wprowadzenia rozwiązań deflacyjnych w celu stabilizacji swoich gospodarek. Strach przed galopującą inflacją stał się dominującym wątkiem w polityce. O ile jednak deflacja była strategią, to neoliberalizm ideologią. Deflacja nie była w istocie celem neoliberalizmu – choć zazwyczaj stanowiła część arsenału rzuconego do walki z nadmiernymi wydatkami państwa i zadłużeniem. Neoliberalizm starał się raczej osiągnąć długoterminowy wzrost poprzez niskie podatki, deregulację, prywatyzację przemysłu i usług publicznych oraz redukcję sektora publicznego. Ogólnym celem było zastąpienie państwa przez rynek w roli głównej i dominującej siły w gospodarce.

Dotkliwość brytyjskich problemów gospodarczych na początku lat 70., pogarszające się relacje pracownicze, które wpędziły rząd w otwarty konflikt z dużymi i potężnymi związkami zawodowymi, kulturowe afiliacje Wielkiej Brytanii z zasadami amerykańskiej gospodarki i socjalizmem i, wreszcie, osobista rola Margaret Thatcher w przeforsowaniu nowej agendy ekonomicznej wbrew ogromnej opozycji stanowiły o brytyjskiej wyjątkowości w procesie przyjmowania monetarystycznych ram neoliberalizmu. Stany Zjednoczone i Wielka Brytania znalazły się w awangardzie „neoliberalnego zwrotu” – który

znalazł bardzo szeroki odzew i wpłynął w znaczący sposób na życie milionów zwykłych ludzi. Neoliberalizm spotkał się z oporem w pozostałych krajach Europy Zachodniej, gdzie w dużo większym stopniu próbowano zachować konsensualny model ekonomiczny i polityczny, który przyniósł tak sową dywidendę powojenną. Starano się tam również chronić ważne gałęzie przemysłu przed najbardziej szkodliwymi efektami szybkiej i dotkliwej restrukturyzacji. Jednak począwszy od lat 80. prywatyzacja, deregulacja, redukcja sektora publicznego i próby (nie zawsze udane) ograniczenia związków zawodowych i praw pracowniczych stały się częścią agendy większości rządów.

## **Polityka recesyjna**

Drastyczne zmiany warunków gospodarczych, wywołane dwiema głębokimi recesjami, które nastąpiły po dwóch kryzysach naftowych z lat 1973 i 1979, w nieunikniony sposób wpłynęły na systemy polityczne krajów po obu stronach żelaznej kurtyny. Istniała jednak fundamentalna różnica w ich zdolnościach przystosowawczych. W zachodnioeuropejskim zarządzaniu gospodarką do połowy lat 80. nastąpił odwrót od keynesizmu na rzecz neoliberalizmu. Miało to bolesne konsekwencje. Życie wielu ludzi legło w gruzach albo zmieniło się drastycznie, bo niedochodowe gałęzie przemysłu były zamykane. Dziesiątki tysięcy ludzi straciło pracę. Potencjał konfliktu znacznie się powiększył. Jednak systemy demokratyczno-liberalne, nawet jeżeli postawione pod większą presją, były sobie w stanie z tym poradzić.

Kraje bloku socjalistycznego Europy Wschodniej miały poważniejsze problemy. Ich państwowym gospodarkom – niewydolnym, niekonkurencyjnym, technologicznie przestarzałym, zbyt zależnym od przemysłu ciężkiego – brakowało elastyczności. Nie mogły się radykalnie zmienić bez zmiany systemów politycznych, które je kontrolowały, i nieugiętej ideologii, która te systemy determinowała. Nie miały niemal żadnego pola manewru bez podważania samej

podstawy marksistowsko-leninowskiej polityki. Państwa komunistyczne przetrwały turbulencje lat 70. z niemałymi problemami. Na początku kolejnej dekady nie było poczucia, że będzie ona ostatnia w historii tych państw. Wyszły one jednak z kryzysowych lat 70. poważnie osłabione. A ich słabość była piętą achillesową samego Związku Radzieckiego. Gdyby jedno państwo w ramach bloku runęło, niebezpieczeństwo efektu domina było realne. Jako najsłabsze ogniwo łańcucha często wskazywano Polskę. I rzeczywiście, w Polsce zaistniało największe zagrożenie dla stabilności całego bloku sowieckiego.

Zadłużenie Polski wobec krajów zachodnich było w 1975 roku osiem razy większe niż pięć lat wcześniej. Ceny żywności utrzymywano na niskim poziomie jedynie dzięki potężnym subsydiom państwowym – i to w kraju, w którym prawie jedna trzecia ludności wciąż pracowała w rolnictwie. Podjęta przez rząd w 1976 roku próba opanowania narastającego zadłużenia poprzez znaczne podwyżki żywności – 50 procent na masło, ponad 60 na mięso, 100 procent na cukier – doprowadziła do strajków, w których wzięły udział dziesiątki tysięcy robotników, i ostatecznie do wycofania się z podwyżek. Nastąpiły brutalne represje wobec protestujących. Te jednak spowodowały uformowanie się protestacyjnej grupy niepokornych intelektualistów, na czele z Jackiem Kuroniem, który wraz z Antonim Macierewiczem założył Komitet Obrony Robotników. Celem KOR było zapewnienie pomocy prawnej aresztowanym i nagłaśnianie przebiegu ich procesów.

Także Kościół katolicki, który wezwał do zwolnienia aresztowanych robotników, stawał się coraz istotniejszym głosem narodowej opozycji wobec reżimu. Jego pozycja znacznie wzrosła w październiku 1978 roku, po wyborze arcybiskupa Krakowa, kardynała Karola Wojtyły, na papieża; przybrał on imię Jana Pawła II. Polski przywódca, Edward Gierek, natychmiast dostrzegł zagrożenie dla reżimu. Miał rację. Jedna trzecia Polaków – około 12 milionów ludzi – witała papieża podczas jego emocjonalnej pielgrzymki do ojczyzny w czerwcu 1979 roku. Gierek uznał, że nie może zapobiec tej wizycie, choć namawiał go do tego Kreml. Rozradowane tłumy były wyraźnym sygnałem, że ideologiczny wpływ komunizmu

na Polaków był już znikomy. Kazimierz Brandys, znany polski pisarz i niegdysiejszy członek partii komunistycznej, który później rozstał się z reżimem, był świadkiem euforii podczas przybycia papieża do Warszawy. „Myślę, że wszyscy w owych chwilach”, napisał potem w pamiętniku, „musieli widzieć w Janie Pawle II uosobienie duchowe historii narodu”. Wizyta papieża w Polsce miała się okazać katalizatorem wydarzeń, które w kolejnych miesiącach wstrząsnęły reżimem.

W następnym roku kryzys gospodarczy w Polsce jeszcze się pogłębił. Niemal wszystkie zyski z eksportu szły teraz po prostu na obsługę cały czas rosnącego zadłużenia. Odpowiedzią rządu były kartki, przerwy w dostawach prądu i, po raz kolejny, podwyżki cen żywności. I znów polska klasa robotnicza odpowiedziała oburzeniem, tym razem organizując masowe strajki w całym kraju. W sierpniu 1980 roku komitet strajkowy w gdańskiej stoczni, kierowany przez Lecha Wałęsę, trzydziestosiedmioletniego elektryka, zażądał wolnych związków zawodowych, prawa do strajku i wolności prasy. Domagał się również reprezentacji „autentycznych” interesów klasy robotniczej przez niezależne związki zawodowe – co stanowiło bezpośrednie podważenie założenia, że to partia komunistyczna jest wyłącznym przedstawicielem klasy robotniczej. Ponieważ strajk się rozszerzał, rząd poczuł się zmuszony do negocjacji – i 31 sierpnia przystał na praktycznie wszystkie żądania robotników. 17 września powołano Niezależny Samorządny Związek Zawodowy z Wałęsą jako przewodniczącym. Nazwano go „Solidarność”, którą to nazwę strajkujący robotnicy przyjęli w poprzednim miesiącu. W ciągu paru miesięcy „Solidarność” miała już 9,5 miliona członków. Oficjalne komunistyczne związki straciły w tym czasie 8,6 miliona. „Solidarność” chciała reform w ramach istniejącego systemu, a nie obalania go. Mimowolnie jednak postawiła na porządku dziennym kwestię wolności zrzeszania się – coś zasadniczo niekompatybilnego z systemem komunistycznego państwa.

Zaniepokojeni, że to dopiero początek, niektórzy komunistyczni przywódcy – szczególnie Erich Honecker, lider Niemieckiej Republiki Demokratycznej – wzywali Związek Radziecki do interwencji. Leonid Breżniew się wahał. Nowy szef

partii w Polsce, Stanisław Kania (Gierek zrezygnował na początku września, rzekomo z przyczyn zdrowotnych) ostrzegł go, że inwazja na wzór tej w Czechosłowacji przed 12 laty może spowodować narodowe powstanie. Polskiemu kierownictwu doradzono, by samo uporządkowało swoje sprawy. Sygnał, że zamierza to zrobić, pojawił się w lutym 1981 roku, kiedy minister obrony, generał Wojciech Jaruzelski, postać o nieco złowieszczym wyglądzie z racji charakterystycznych ciemnych okularów, został mianowany premierem. Kiedy latem wybuchły kolejne masowe protesty, spowodowane brakami w zaopatrzeniu, kartkami i pustymi sklepami, Jaruzelski znalazł się pod wielką presją Moskwy, by działać. Presja ta nasiliła się jeszcze we wrześniu, kiedy „Solidarność” wystosowała apel do robotników innych krajów socjalistycznych o tworzenie własnych wolnych związków zawodowych. W końcu, po okresie wahania, Jaruzelski 13 grudnia 1981 roku ogłosił stan wojenny. „Solidarność” została zdelegalizowana, około 10 000 jej członków aresztowano (Wałęsa spędził w odosobnieniu rok, choć w uprzywilejowanych warunkach), cofnięto przyznane wcześniej wolności, a początkowe spontaniczne protesty stłumiono drakońskimi metodami. Zachód – na czele ze Stanami Zjednoczonymi – zareagował sankcjami gospodarczymi, choć z ulgą przyjęto fakt, że Związek Radziecki nie zainterweniował zbrojnie. Stan wojenny został ostatecznie zniesiony – co zaowocowało też zniesieniem zachodnich sankcji – 21 lipca 1983 roku (od grudnia 1982 roku pozostawał zawieszony), po drugiej wizycie papieża Jana Pawła II w Polsce, która ponownie wywołała entuzjastyczne reakcje milionów Polaków. Nie wszystkie restrykcje zostały uchylone. „Solidarność” nadal była zakazana, ale, częściowo dzięki potajemnej pomocy CIA, przetrwała w podziemiu jako potencjalnie wciąż duży ruch dysydencki. Jej moment miał jeszcze nadejść.

Nigdzie indziej w bloku wschodnim nie doszło do takich wydarzeń jak w Polsce. Sztucznie podtrzymywano pozory stabilizacji. Dla świata zewnętrznego stary porządek wydawał się stabilny jak zawsze i mieć wszelkie dane, by trwać w nieskończoność. Odwaga znanych dysydentów budziła wielki podziw na Zachodzie. Dotyczyło to między innymi pisarza, Aleksandra Sołżenicyna



(pozbawionego radzieckiego obywatelstwa i wydalonego do Niemiec Zachodnich w 1974 roku), fizyka nuklearnego, laureata Nagrody Nobla i działacza praw człowieka, Andrieja Sacharowa (zesłanego w 1980 roku do miasta Gorki w Związku Radzieckim), piosenkarza Wolfa Biermanna (pozbawionego wschodnioniemieckiego obywatelstwa i wydalonego z NRD w 1976 roku, podczas trasy koncertowej w Niemczech Zachodnich) oraz dramaturga Václava Havla, pisarza Milana Kundery (pozbawionego czeskiego obywatelstwa w 1979 roku) i 243 sygnatariuszy Karty 77, intelektualnego ruchu protestu. Sposób traktowania ich przez represyjne komunistyczne reżimy był głośno i systematycznie potępiany. Nic jednak nie sugerowało, że ich sprzeciw był dla tych reżimów bardziej uciążliwy niż ukąszenie komara. Narastające zakulisowo problemy ekonomiczne były znacznie poważniejszym wyzwaniem. Ich skalę trudno było jednak uchwycić z zewnątrz. Wrażenie solidnego monolitu, wspieranego przez potęgę Armii Czerwonej, niemal uniemożliwiało większości zachodnich obserwatorów dostrzeżenie rosnących problemów z utrzymaniem systemu władzy w bloku wschodnim. Poprzez racjonalne używanie kija i marchewki reżimy te wydawały się zdolne do utrzymania władzy. Współcześni sądzili, że zagrożenie dla systemu zostało opanowane, nawet w Polsce.

Fundamentalne zmiany mogły się zacząć wyłącznie od samej góry – od kierownictwa Związku Radzieckiego. Pod koniec lat 70. taka perspektywa wydawała się wysoce nieprawdopodobna. Sowiecka gospodarka, ze swą skostniałą strukturą, niezdolnością do reform i odnowy, trzeszczała w szwach i zdaniem niektórych obserwatorów groził jej przewlekły kryzys. Nie widać było jednak oczywistego zagrożenia dla istnienia sowieckiego systemu rządów. Czy nie mógł on trwać w nieskończoność? I skąd miały nadejść zmiany?

W Europie Zachodniej panowała generalna zasada, że im silniejsza była gospodarka przed kryzysem i wyższy poziom politycznego konsensusu, tym lepiej rządy radziły sobie z trudnościami. I odwrotnie, przed władzami trudniejsze zadanie stawało tam, gdzie kryzys uderzał w bardziej obciążone gospodarki i mniej konsensualny model polityczny. Początkowe próby użycia narzędzi keynesowskich

do rozruszania gospodarki stopniowo ustępowały miejsca rozwiązaniom oszczędnościowym i deflacyjnym, stosowanym także przez rządy socjaldemokratyczne. Rosła akceptacja, nawet wśród zwolenników partii lewicowych, dla potrzeby obrania nowego kursu ekonomicznego. I co najważniejsze, demokracja udowodniła swoją odporność podczas najgorszego kryzysu od zakończenia drugiej wojny światowej. Nigdzie nie była zagrożona w tak katastrofalny sposób jak podczas wielkiego kryzysu z lat 30.

Miało to coś wspólnego ze współpracą międzynarodową, której tak boleśnie zabrakło podczas wielkiego kryzysu, kiedy to kraje pozostały ze swoimi własnymi narzędziami, a ekonomiczny nacjonalizm stał się elementem spirali agresji, która ostatecznie doprowadziła do wojny. Dla odmiany w latach 70. podejmowano próby współpracy i skoordynowanej odpowiedzi na kryzys. Rada Europejska organizowała, począwszy od 1975 roku, spotkania szefów rządów państw członkowskich Wspólnoty Europejskiej. W tym samym roku ze wspólnej inicjatywy Francji i Niemiec Zachodnich doszło do spotkania szefów państw i rządów sześciu najbardziej uprzemysłowionych krajów Zachodu (Niemiec Zachodnich, Francji, Wielkiej Brytanii, Włoch, USA i Japonii) w Château de Rambouillet w północnej Francji. Tak powstała grupa G6 – która w 1976 roku po dodaniu Kanady stała się G7 – powołana, by szukać wspólnych dróg wiodących do gospodarczego odrodzenia i monetarnej stabilności. Szczyty stały się od tego momentu normalnym elementem międzynarodowego zarządzania gospodarką. Wreszcie, choć były niepopularne z powodu narzucanych trudnych warunków, to znaczące pożyczki z Międzynarodowego Funduszu Walutowego – instytucji, która oczywiście nie istniała w czasach wielkiego kryzysu – uratowały przed końcem lat 70. kulejące gospodarki Włoch, Wielkiej Brytanii i Portugalii.

Współpraca międzynarodowa odegrała swoją rolę w utrzymaniu stabilizacji. Jednak nawet mimo to poszczególne kraje musiały przede wszystkim dostosować się do kryzysowych warunków w oparciu o swój narodowy potencjał i tradycje. Partie socjaldemokratyczne zazwyczaj miały problemy z utrzymaniem poparcia. Ich ideologiczne założenia – przywiązanie do państwa opiekuńczego, państwowe

regulacje w gospodarce, wiara w redystrybucyjną skuteczność podatków przy zaprowadzaniu równości – były teraz powszechnie kwestionowane. Nawet w Skandynawii, gdzie dominowali przez tak długi czas, socjaldemokraci znaleźli się pod presją w latach po kryzysie naftowym. W Szwecji w 1976 roku socjaldemokraci znaleźli się w opozycji po raz pierwszy od 40 lat, a rząd stworzyła centroprawicowa koalicja. Norweska Partia Pracy, tworząc po 1973 roku rząd mniejszościowy, była uzależniona od poparcia lewicowej Partii Socjalistycznej. Socjaldemokraci mieli również problemy w Danii (gdzie w 1984 roku konserwatyści osiągnęli swój najlepszy wynik w historii) i w Finlandii, gdzie z kolei pojawiły się nowe partie protestu, utrudniając tworzenie stabilnych koalicji.

Trend w Europie Zachodniej sprzyjał w większości konserwatywnej prawicy. Trwało rozbijanie „filaryzacji”, która do lat 60. była cechą charakterystyczną dla Holandii i Belgii. W efekcie powstało wiele nowych partii politycznych, ale w latach 80. doprowadziło to do powstawania centroprawicowych koalicji, które chciały sobie radzić z problemami gospodarczymi z pomocą różnych wariantów polityki deflacyjnej. W Austrii dobiegły końca trzynastoletnie rządy Bruno Kreisky’ego, kiedy w wyborach parlamentarnych w 1983 roku Partia Socjalistyczna utraciła absolutną większość. Ugrupowanie osłabiły skandale korupcyjne, mimo że gospodarka była stabilna. Pozostało jednak u władzy, tworząc rząd mniejszościowy z poparciem wciąż niewielkiej Partii Wolności (*Freiheitliche Partei Österreichs*, FPÖ), która wkrótce miała się gwałtownie przesunąć na skrajnie prawicowe pozycje politycznego spektrum. Głównym wygranym wyborów 1983 roku była jednak konserwatywna Austriacka Partia Ludowa. W Szwajcarii przez kryzysowe lata 70. rządy powstawały dzięki koalicji czterech głównych partii (socjaldemokratów, wolnych demokratów, chadeków i Szwajcarskiej Partii Ludowej). Zwrot na prawo był tu mniej widoczny niż gdzie indziej dzięki stabilnej sytuacji finansowej Szwajcarii, choć w wyborach federalnych 1983 roku socjaldemokratom po raz pierwszy od 1925 roku nie udało się obronić pozycji największej partii. Ponieważ społeczna baza poparcia dla

politycznej lewicy (i związków zawodowych) słabła, w siłę rośli liberałowie i konserwatywna centroprawica, umacniał się też wpływ czynników rynkowych.

Najostrzejszy zwrot na prawo miał miejsce w Wielkiej Brytanii. Bez specyficznego doświadczenia tamtejszego kryzysu jest mało prawdopodobne, by Margaret Thatcher, która w lutym 1975 roku zastąpiła Edwarda Heatha na czele Partii Konserwatywnej, została premierem. Jak ujął to jeden z jej biografów, Hugo Young: „Miała szczęście, że została wyniesiona na stanowisko szefowej partii w momencie, w którym ugrupowanie to było gotowe do powrotu do fundamentalistycznego konserwatyizmu, z którym było jej najbardziej po drodze. Partia chciała czegoś, w co mogłaby uwierzyć, a ona jako jedyna była w stanie jej to dać”. Pierwsza brytyjska kobieta premier (choć z pewnością nie feministka) odcisnęła swój osobisty ślad na rządzie bardziej niż jakikolwiek inny premier w okresie powojennym. Thatcher w dużej mierze pomogły słabość i podziały w łonie Partii Pracy, która w listopadzie 1980 roku skręciła mocno w lewo pod rządami nowego lidera, Michaela Foota, powszechnie postrzeganego jako beznadziejnie nieskuteczny. W 1981 roku grupa działaczy, którzy uważali, że partia jest zagrożona zwrotem w stronę marksistowskiej ortodoksji, potencjalnie atrakcyjnej jedynie dla mniejszości społeczeństwa, odłączyła się, by stworzyć Partię Socjaldemokratyczną (SDP). W obliczu beznadziejnie podzielonej opozycji rząd Thatcher miał niecodziennie szerokie pole do zradyzowania swojej polityki gospodarczej.

Thatcher miała uderzająco proste poglądy, które trafiały do jednych, a odrzucały drugich. Była w równej mierze uwielbiana, co znienawidzona. Z odrazą patrzyła na libertarianizm „trzeciorzędnej dekady lat 60.” i chciała powrotu do szlachetnych „wartości wiktoriańskich”. Jej poglądy na gospodarkę przywodziły raczej na myśl XIX-wieczny liberalizm niż „jednonarodowy” konserwatyizm, wyznawany przez powojennych przywódców torysów. Wolny handel i regulacyjne siły rynku, a nie interwencja rządu i kontrola, były jej sposobem na narodowy dobrobyt i potęgę. Rządy miały żyć na miarę posiadanych środków, tak jak gospodyni domowa musi zarządzać domowym budżetem.

Państwo opiekuńcze, w opinii Thatcher, osłabiało samodzielność i inicjatywę jednostki. Nie ma czegoś takiego jak „społeczeństwo”, zapewniała, a jedynie jednostki i rodziny. Była archetypicznym przykładem polityka zaangażowanego ideowo, niezwykle trudnego do pokonania w debacie, w dużej mierze zamkniętego na idee, których instynktownie nie polubiła od początku, natomiast bardzo otwartego na te pomysły, które intuicyjnie uznawała za swoje.

Pierwsze lata thatcheryzmu trudno uznać za powalający sukces gospodarczy. Inflacja spadła, podobnie jak deficyt, ale bezrobocie w 1983 roku przekroczyło trzy miliony, a najwięcej miejsc pracy ubywało w przemyśle wytwórczym. To, co kiedyś wyróżniało brytyjską gospodarke i jej siłę roboczą, w większości zniknęło. Wydatki publiczne w istocie wzrosły. Podobnie jak podatki, na których obniżkę mieli nadzieję konserwatyści. Wprowadzone oszczędności doprowadziły w 1981 roku do poważnych zamieszek w 12 z największych brytyjskich miast. Thatcher stanowczo odmawiała zmiany kursu. „The Guardian” prognozował, że nadszedł czas, by napisać „nekrolog thatcheryzmu”.

Z pomocą pani premier przyszła dokonana w kwietniu 1982 roku argentyńska inwazja na sporne wyspy Falklandy, położone daleko na południowym Atlantyku (Argentyna od dawna rościła sobie do nich pretensje, choć większość mieszkańców przyznawała się do Wielkiej Brytanii). Inwazja była ciosem w narodową dumę Brytyjczyków. Thatcher przemawiała w imieniu większości kraju, nie godząc się na tę jawną agresję. Do połowy czerwca 1982 roku, w ostatniej odsłonie kolonialnych ekspedycji, która zaskoczyła większość Europy, siły brytyjskie odzyskały Falklandy. Dla Thatcher był to dowód, że Wielka Brytania nie jest już narodem upadłym. Ona sama dzięki przywództwu sprawowanemu podczas wojny zyskała nową pewność siebie. Polityczne wskaźniki poparcia jej i jej rządu poszybowały w górę. Jednocześnie skończyła się recesja, wzrost przyspieszył, a inflacja spadła, choć bezrobocie uparcie utrzymywało się na wysokim poziomie. Kraj najgorsze wydawał się mieć za sobą. Wybory parlamentarne z czerwca 1983 roku przyniosły konserwatystom znaczącą większość, podczas gdy laburzyści odnotowali najgorszy

wynik od 1931 roku, otrzymując jedynie 28 procent głosów. Thatcheryzm triumfował – i nie zamierzał się zatrzymywać.

Pani premier uważała, że kluczem do przywrócenia brytyjskiej wielkości jest złamanie potęgi związków zawodowych. Przygotowywała się do rozprawy z najpotężniejszym z nich, Narodowym Związkiem Górników. I znów w dużej mierze pomógł jej brak talentów przywódczych u jej oponentów. Pod przewodnictwem radykalnych marksistów, Arthura Scargilla i Micka McGaheya, związek górników rwał się do konfrontacji z rządem. W kwietniu 1984 roku Scargill wezwał górników do strajku przeciwko zamykaniu kolejnych kopalń w i tak już podupadającej branży. Odmówił jednak przeprowadzenia referendum w sprawie akcji strajkowej. Związek podzielił się, bo górnicy w niektórych częściach kraju opowiedzieli się za kontynuowaniem pracy. Drugim taktycznym błędem była próba wywołania strajku węglowego w miesiącach letnich, na dodatek po tym, jak rząd zdołał zgromadzić duże zapasy węgla.

Strajk okazał się niezwykle przykrą konfrontacją. Skala przemocy pomiędzy strajkującymi górnkami a policją osiągnęła poziom niewidziany w Wielkiej Brytanii w XX wieku. W Orgreave, koksowni w południowym Yorkshire, 18 czerwca 1984 roku doszło do regularnej bitwy z policją, podczas której konni policjanci szarżowali na tysiące górników. Później przyznano zresztą, że zastosowane środki były niewspółmierne do okoliczności. Wiadomości telewizyjne pokazały tego dnia, jak funkcjonariusze policji biją górników pałkami, choć żaden z policjantów nie został pociągnięty do odpowiedzialności za nadużywanie przemocy. Dziesiątki górników aresztowano za udział w zamieszkach, ale zarzuty zostały później oddalone, ponieważ policji nie udało się zgromadzić wystarczających dowodów. Strajk zaczął wygasać na początku 1985 roku i zakończył się w marcu, bo górnicy, których rodziny ucierpiały przez miesiące bez regularnych wypłat, zostali zmuszeni do powrotu do pracy. Łącznie aresztowano ponad 11 000 osób. Strajk storpedował ożywienie gospodarcze, ale z punktu widzenia rządu była to cena warta zapłacenia. Narodowy Związek Górników stracił połowę członków. Potęga związków została złamana. Zaczął się upadek górnictwa.

W 1980 roku w Wielkiej Brytanii pracowało 237 000 górników. Dekadę później już tylko 49 000.

Po wojnie falklandzkiej strajk górników był drugim kamieniem milowym epoki thatcheryzmu. Nie było miejsca na kompromisy. Thatcher spolaryzowała społeczeństwo jak żaden inny powojenny premier. Odzwierciedlała i artykułowała głębokie podziały społeczne w Wielkiej Brytanii, zakorzenione w tradycji konfliktu klasowego. Oddała głos frustracjom klasy średniej i jej oburzeniu na powszechnie odczuwany upadek państwa. Wzbudziła jednak równocześnie nadzwyczajne poczucie alienacji i nienawiści u większości wielkoprzemysłowej klasy robotniczej, która postrzegała się jako ofiara klasowej polityki konserwatystów. Twierdzą jej zwolenników było relatywnie zamożne południe Anglii. Uprzemysłowione regiony północy, Szkocja i Walia, były w dużej mierze terytoriami wroga. Nigdy nie zbliżyła się do zdobycia choćby połowy głosów w wyborach. Większość ludzi zniechęcały również jej XIX-wieczne wartości. Stwierdzenie, że bieda jest wynikiem braku wysiłku, oburzało przeważającą większość – nawet więcej ludzi w latach 80. niż w poprzedniej dekadzie.

To, czego nikt, przyjaciel ani wróg, jej nie odmawiał, to że była politykiem obdarzonym osobistą odwagą i godną podziwu determinacją. Jedno i drugie zaprezentowała z całą mocą 12 października 1984 roku, kiedy bomba podłożona przez IRA eksplodowała w Grand Hotelu w Brighton, gdzie ministrowie zatrzymali się podczas konferencji Partii Konserwatywnej. O włos uniknęła śmierci, podobnie jak członkowie rządu. Pięciu jej kolegów zginęło, a inni zostali okaleczeni do końca życia. Pomimo to Thatcher uznała, że konferencja powinna odbyć się normalnie.

Terrorystyczna kampania IRA była najbardziej brutalnym przejawem skomplikowanego problemu Irlandii Północnej, który sprowadzał się do odpowiedzi na pytanie, czy, jak chciała tego protestancka większość, powinna ona pozostać częścią Zjednoczonego Królestwa, czy, jak twierdzili pozostający w mniejszości katolicy o republikańsko-nacjonalistycznym nastawieniu, powinna wejść w skład zjednoczonej Irlandii. „Problemy”, jak zaczęto je nazywać, pojawiły

się pod koniec lat 60., a w kolejnej dekadzie przерodziły się w brutalny ideologiczny bój, przeplatany straszliwymi aktami terroru, popełnianymi przez paramilitarne bojówki z obu stron. Do czasu zamachu w Brighton zarówno konserwatyści, jak i laburzyści próbowali na próżno rozwiązać (albo chociaż ograniczyć) ten problem. Nie udało się to również rządowi Thatcher.

Do połowy lat 80., dużym kosztem dla tkanki społecznej i przy pogłębiających się nierównościach, inflacja została zduszona, a związki zawodowe osłabione. Tym, co zostało po thatcherowskiej neoliberalnej agendzie, była kruczata, by zmniejszyć wydatki państwa, sprywatyzować znacjonalizowane gałęzie przemysłu oraz ograniczyć nakłady na politykę społeczną. Duża większość parlamentarna dała Thatcher możliwość realizacji podstawowego celu jej strategii: przywrócenia równowagi brytyjskiej gospodarce oraz odzyskania przez kraj narodowego prestiżu.

Poza Wielką Brytanią polityczne konsekwencje kryzysu gospodarczego najpoważniejsze były we Włoszech. Kraj zmagał się jednocześnie z dramatycznym pogorszeniem sytuacji ekonomicznej, chroniczną niestabilnością rządu, niesłabnącym konfliktem pracowniczym, powszechnym rozczarowaniem i niepokojącymi aktami terrorystycznej przemocy ze strony ruchów rewolucyjnych (szczególnie Czerwonych Brygad). Obawy przed powrotem do faszystowskiej prawicy popchnęły przywódcę Włoskiej Partii Komunistycznej, Enrico Berlinguera, do podjęcia próby wypracowania „historycznego kompromisu” pomiędzy komunistami, socjalistami a chadekami. Wyobrażał on sobie, że taki antyfaszystowski wielki sojusz przełamie endemiczne problemy i zapewni krajowi nowy start. Powodzenie takiego przedsięwzięcia zależało jednak częściowo od tego, czy sami komuniści potrafią dostosować się do nowych czasów. Berlinguer konsekwentnie poluzowywał związki swojej partii z Moskwą na rzecz nowego (choć nieco niejasnego) „eurokomunizmu”, który odrzucał zarówno model sowiecki, jak i socjaldemokratyczną akceptację systemu kapitalistycznego. W praktyce jednak eurokomunizm uznawał taktyczną konieczność współpracy w ramach systemu kapitalistycznego w celu stworzenia demokratycznej drogi do



socjalistycznego społeczeństwa. Była to kusząca oferta, szczególnie dla niektórych mieszkańców miast na północy kraju.

Komuniści po dużym sukcesie wyborczym w 1976 roku zdawali się być na dobrej drodze, by zostać największą partią we Włoszech. A ponieważ nie było perspektyw na utworzenie rządu centroprawicowego, chadecy byli zmuszeni do otwarcia się na partie lewicowe. Sam Berlinguer odrzucił pomysły utworzenia lewicowej koalicji z mniejszą Partią Socjalistyczną, bo mogłoby to przechylić wahadło na stronę skrajnej prawicy, czego za wszelką cenę chciał uniknąć. Nie chciał również wywołać wrogości Stanów Zjednoczonych, które były zaniepokojone postępami komunizmu we Włoszech. Wolał zatem wejść w nieformalny sojusz polityczny z chadecami. Przetrwał on, mimo wewnętrznych tarć, do momentu zamordowania w maju 1978 roku przez Czerwone Brygady byłego przywódcy chadeków i premiera, Aldo Moro (który popierał ten alians).

Pod rządami tego sojuszu gospodarka zaczęła wykazywać oznaki sygnalizujące, że najgorsze minęło (po części dzięki usprawnieniu współpracy pomiędzy pracodawcami a związkami). Poprawiono funkcjonowanie państwa opiekuńczego, a w 1978 roku stworzono podstawy pod narodową służbę zdrowia (zastępując nią wcześniejszy, rozdrobniony i nieskoordynowany system świadczeń), choć w praktyce wcale nie działała ona sprawnie. I wreszcie, zalegalizowano aborcję, co było niemałym osiągnięciem, biorąc pod uwagę sprzeciw Kościoła katolickiego.

Współpraca z chrześcijańską demokracją nie przyniosła jednak Partii Komunistycznej wiele dobrego. Kiedy w wyborach 1979 roku po raz pierwszy od drugiej wojny światowej utraciła ona dużą część głosów, komuniści wrócili do opozycji. Chadecy oparli w tej sytuacji koalicję na małej, lewicującej Partii Republikańskiej i socjalistach, których lider, Bettino Craxi, został ostatecznie premierem w sierpniu 1983 roku. Niestabilność rządów pozostała znakiem firmowym włoskiej polityki. Jednak dzięki silnej osobowości i taktycznemu sprytowi Craxi zdołał utrzymać swój rząd przez cztery lata – dłużej niż większość jego poprzedników.

W połowie lat 80. we Włoszech trwał już „drugi cud gospodarczy”. Jeszcze na początku dekady taki scenariusz wydawał się bardzo mało prawdopodobny, bo inflacja wciąż wynosiła 21 procent, a wzrost gospodarczy był minimalny. Jednak głębokie odrodzenie gospodarcze w Stanach Zjednoczonych, spadek cen ropy, zmierzch terroryzmu i sprawne rządy Craxiego zainauguowały imponujący zwrot. Nie bez znaczenia był również wzrost poczucia bezpieczeństwa w kręgach biznesowych, spowodowany tym, że w 1980 roku potężny związek metalowców został zmuszony przez swoich pracodawców z Fiata do zakończenia wielkiego strajku i porzucenia agresywnej taktyki. Wzrost gospodarczy powrócił. Straty w przemyśle zamieniły się w zyski, bo eksport korzystał z rozszerzającego się międzynarodowego boomu, a popyt wewnętrzny był napędzany oszczędnościami, które ludzie poczynili w ciężkich czasach, pracując w szarej strefie. Tak jak w innych krajach, wprowadzano rozwiązania neoliberalne. Rozpoczęła się prywatyzacja niedochodowych gałęzi przemysłu. Restrukturyzacja ograniczyła koszty pracy poprzez masowe zwolnienia, a klimat biznesowej przedsiębiorczości zastąpił wcześniejsze kolektywistyczne wartości. Narodowy dług Włoch pozostał jednak na niezdrowo wysokim poziomie, a północne Włochy w nieproporcjonalny sposób korzystały z rosnącej gospodarki, pozostawiając południe, jak zawsze, daleko w tyle.

Rządy dwóch pozostałych największych państw uprzemysłowionych Europy Zachodniej, Niemiec Zachodnich i Francji, przeszły przez ekonomiczne burze z mniejszą traumą niż Wielka Brytania czy Włochy. Wraz z gwałtownym wzrostem cen energii stanęły wobec podobnych problemów gospodarczych. Poradziły sobie jednak z nimi lepiej. Skorzystały z silnych gospodarek, które pomogły złagodzić najgorsze skutki szoku naftowego. Ich rządy były również bardzo kompetentne w sprawach gospodarczych. Helmut Schmidt zastąpił Willy’ego Brandta na stanowisku kanclerza Niemiec Zachodnich 16 maja 1974, po tym, jak okazało się, że jeden z najbliższych współpracowników Brandta, Günter Guillaume, pracował dla wschodnioniemieckiego wywiadu. Zaledwie trzy dni później Valéry Giscard d’Estaing, lider centroprawicowych Niezależnych Republikańców, o włos pokonał

Françoisa Mitterranda we francuskich wyborach prezydenckich. Obaj panowie mieli solidne doświadczenie i wiedzę w sprawach gospodarczych, Schmidt jako minister finansów u Brandta w latach 1972–1974, a Giscard w tej samej roli u de Gaulle'a w latach 1962–1965. Schmidt – przystojny, zrelaksowany, odpalający papierosa od papierosa z pewnością siebie graniczącą z arogancją – rozsiewał wokół siebie atmosferę chłodnego profesjonalizmu. Giscard – o arystokratycznych manierach, telegeniczny, uosobienie nowoczesnego technokraty, całkowicie panującego nad powierzonymi mu zadaniami – wydawał się twarzą przyszłości po długich paternalistycznych rządach Charlesa de Gaulle'a i jego następcy, Georges'a Pompidou.

W latach 1976–1979 zachodniemiecka gospodarka nadal rosła w imponującym tempie – średnio prawie cztery procent rocznie. Problemy strukturalne, wiele z nich wspólnych dla całej Europy, stawały się jednak coraz bardziej oczywiste. Stare branże, takie jak górnictwo czy hutnictwo, zatrudniające rzesze pracowników, przestawały być konkurencyjne na rynkach światowych. Zamykanie kopalń i hut pociągało za sobą zwolnienia na wielką skalę. W regionach przemysłowych wybuchały protesty i strajki, ale tradycja korporacyjnego modelu relacji pracowniczych, wola związków zawodowych, by konstruktywnie współpracować z rządem, a także szczodre odprawy wypłacane przez państwo, by ograniczyć społeczne konsekwencje w najciężej dotkniętych regionach, pozwoliły uniknąć wyniszczających konfliktów, które stały się udziałem Wielkiej Brytanii i Włoch.

Branże zorientowane na eksport ucierpiały z powodu siły niemieckiej marki. Sposobem na przystosowanie się był odwrót od masowej produkcji na rzecz wyspecjalizowanej. Jednak nowoczesne technologie potrzebowały wiedzy fachowej, opartej na umiejętnościach i wyszkoleniu, w związku z czym pozycja pracowników niewykwalifikowanych na rynku pracy pogorszyła się nieproporcjonalnie. Trend na rynku pracy, który podobnie jak w całej Europie Zachodniej sprzyjał białym kołnierzykom zatrudnionym w sektorze usług, nie mógł zrównoważyć skali strat w przemyśle lub wchłonąć większości pracowników

niewykwalifikowanych, którzy utracili dotychczasowe zatrudnienie. Także nowsze, szybko rozwijające się gałęzie gospodarki, takie jak technologie informacyjne, nie potrzebowały rozbudowanej siły roboczej. Nieuniknioną konsekwencją był wzrost bezrobocia – niepokojący szczególnie dla starszych Niemców, którzy wciąż mieli w pamięci żywe wspomnienia z lat 30. Jeszcze bardziej Niemcy bali się inflacji, dlatego też trzykrotny jej wzrost do ponad sześciu procent rocznie w połowie lat 70., nawet jeżeli niski w porównaniu do krajów sąsiednich, powodował ich niepokój. W Niemczech Zachodnich, tak jak i w innych krajach, nie było zgody co do tego, jak radzić sobie ze stagflacją. Nawet jednak, jeżeli żaden nowy model ekonomiczny nie wyszedł na prowadzenie, to było jasne, że stare keynesowskie rozwiązania są przestarzałe.

Drugi szok naftowy z 1979 roku był dla zachodnioniemieckiej gospodarki bardziej bolesny niż pierwszy z 1973. Wzrost gospodarczy spadł do zaledwie 1,9 procent w 1980 roku, minus 0,2 procent w 1981 i minus 1,1 procent w 1982 roku. Bezrobocie sięgnęło najwyższego poziomu po wojnie – dwa miliony w 1983 roku (prawie jedna dziesiąta siły roboczej). Inflacja wyniosła w 1981 roku 6,1 procent i uparcie utrzymywała się na wysokim poziomie. Płace tych, którzy wciąż mieli pracę, spadły w ujęciu realnym. Przy rosnących wydatkach państwa – będących po części konsekwencją kosztów wysokiego bezrobocia – i spadku wpływów podatkowych, rosło zadłużenie państwa; w 1982 roku było ono ponad czterokrotnie wyższe niż w 1970. Helmut Schmidt znalazł się w owym czasie pod presją lewego skrzydła swojej partii. Ostre spowolnienie gospodarcze i wzrost bezrobocia były tylko częściowo za to odpowiedzialne. Jeszcze ważniejszymi powodami stały się narastające obawy przed energetyką atomową, którą intensywnie rozbudowywano w latach 70., by uniezależnić się od ropy, do tego głośne protesty przeciwko niszczeniu środowiska przez industrializację, a przede wszystkim rosnący strach przed wojną nuklearną, która znów stała się bardziej prawdopodobna, ponieważ wzrost napięcia pomiędzy supermocarstwami wieszczył koniec epoki odprężenia i początek „drugiej zimnej wojny”.

W tym klimacie coraz donośniej brzmiały głosy koalicyjnych partnerów SPD z Partii Wolnych Demokratów (FDP), domagające się zmiany kierunku w polityce gospodarczej – i zmiany rządu. Przemawiały one w imieniu wielu liderów gospodarczych. Przełomowym momentem dla koalicji było opublikowanie przez Partię Wolnych Demokratów (FDP) analizy, w której proponowano de facto zwrot w kierunku neoliberalizmu. Propozycje obejmowały obniżenie zasiłków dla bezrobotnych i emerytur, redukcję podatków, większą deregulację, zwiększenie inwestycji i oparcie się raczej na siłach rynkowych, a nie na interwencji państwa. Oznaczało to wejście na kurs kolizyjny ze związkowym skrzydłem SPD, które nadal było przywiązane do idei interwencjonizmu i ręcznego sterowania gospodarką przez rząd. Żywot koalicji ewidentnie dobiegał końca. Przywódcy FDP zaaranżowali zmianę partnerów koalicyjnych. 1 października 1982 roku przeprowadzono zmianę, w wyniku której na stanowisku kanclerza federalnego Schmidta zastąpił Helmut Kohl, od dekady przewodzący chadekom. FDP, mimo niewielkiego poparcia społecznego, jak zawsze spadła na cztery łapy i pozostała w rządzie.

Niemcy Zachodnie – i Europa – miały szczęście, że trafił im się Helmut Schmidt, „kanclerz na czas kryzysu” (jak nazwał go historyk, Heinrich August Winkler w jednym z wielu pochwalnych wspomnień po śmierci polityka w listopadzie 2015 roku), i wylądował na kierowniczym stanowisku w bardzo trudnych latach 70. Chłodny i pragmatyczny Schmidt był przeciwieństwem swojego poprzednika na stanowisku kanclerza, charyzmatycznego wizjonera, Willy’ego Brandta. Jednak w radzeniu sobie z konsekwencjami zarówno szoków naftowych, jak i rosnącego napięcia międzynarodowego z końca lat 70., wiedza i chłodny osąd Schmidta okazały się bezcenne – i to nie tylko dla jego własnego kraju.

System polityczny pomimo ekonomicznych turbulencji lat 70. pozostawał w istocie niezwykle stabilny. Obie główne partie, SPD i Unia Chrześcijańska CDU/CSU (składająca się z bliźniaczych ugrupowań, Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej i jej mniejszej bawarskiej odnogi, Unii Chrześcijańsko-

Społecznej) odnotowały w latach 70. wzrost liczby członków. Jednak już w roku 1980 rozczarowani wyborcy Unii, którzy uznali prawicowego kandydata na kanclerza, Franza Josefa Straussa – bardzo popularnego w bawarskim bastionie katolicyzmu, ale już zdecydowanie mniej w innych rejonach kraju – za mało atrakcyjny wybór, przeszli do Wolnych Demokratów. To oni okazali się głównymi beneficjentami wyborów z tamtego roku, w których poparcie dla nich wzrosło do 10,6 procent z 7,9 procent w 1976. Przegrany okazała się Unia, dla której poparcie spadło do 44,5 procent, podczas gdy SPD osiągnęło stabilny wynik na poziomie 42,9 procent. Po porażce Straussa bardziej umiarkowany Helmut Kohl został niekwestionowanym liderem opozycji. Wyniki przygotowały grunt pod objęcie przez niego władzy dwa lata później.

Rząd Helmuta Kohla szedł kursem obranym przez większość rządów zachodnioeuropejskich po drugim kryzysie naftowym. Starał się ograniczać wydatki budżetowe (a w szczególności hamować wzrost wydatków socjalnych) przy jednoczesnym zwiększaniu konkurencyjności gospodarki poprzez deregulację, uelastycznienie rynku pracy, ulgi podatkowe i prywatyzację. Choć w naturalny sposób oburzało to lewicę i wywoływało protesty polityczne, rząd chcąc uniknąć gwałtownej zmiany kursu, starał się wystrzegać kroków radykalnych. Nie próbowano cofnąć czasu, jeżeli chodzi o zdobycze socjalne z epoki Brandta i Schmidta, ani ograniczać praw związków zawodowych. Państwowe subsydia dla starych i podupadających branż (w szczególności górnictwa i hutnictwa) w istocie wzrosły, mimo że rząd deklarował zamiar stopniowego ich wygaszania. Miało to na celu złagodzenie napięć społecznych w tradycyjnych regionach wielkoprzemysłowych, takich jak Zagłębia Ruhry i Saary. Z pewnością była to bardziej kontynuacja późnej fazy rządów Schmidta niż radykalny przełom. Niemcy Zachodnie uniknęły zaostrzonego konfliktu społecznego, który thatcherowski rząd wywołał w Wielkiej Brytanii. A sytuacja gospodarcza zaczęła się poprawiać – w dużej mierze za sprawą koniunktury światowej, napędzanej spadkiem cen ropy i gwałtownym przyspieszeniem gospodarki amerykańskiej.

Połączenie silnych obaw o stan środowiska ze strachem przed konfliktem nuklearnym – które powodowały większe protesty niż gdziekolwiek indziej w Europie – doprowadziło na początku lat 80. do powstania w Niemczech Zachodnich pierwszego nowego ruchu politycznego na szeroką skalę od końca wojny: utworzenia Partii Zielonych. Już w wyborach powszechnych w 1983 roku Zieloni zaznaczyli swoją obecność, zdobywając 5,6 procent głosów i 28 miejsc w parlamencie federalnym (Bundestagu). W walce o polityczną władzę brały odtąd udział cztery, a nie jak wcześniej trzy partie. Co ważniejsze jednak, zachodniemiecka demokracja, co do której wielu ludzi obawiało się, że jest krucha, przeszła przez pierwszy poważny kryzys gospodarczy – podczas którego wzrosło zarówno bezrobocie, jak i inflacja – zupełnie bez szwanku. Był to ogromny sukces okresu powojennego.

Analogiczny sukces w powojennej Francji, czyli „30 lat chwały”, wydawał się dobiegać końca w wyniku pierwszego kryzysu naftowego. Długie lata trwałego boomu zaczęto traktować jako coś normalnego i oczywistego. Po 1974 roku schemat znany skądinąd pojawił się również we Francji. Inflacja wzrosła do ponad 15 procent, bezrobocie podwoiło się i dotknęło miliona ludzi, a wzrost spadł do minus 0,3 procent. Prezydent Giscard d'Estaing połączył reformy społeczne (na przykład liberalizację prawa aborcyjnego i rozwodowego) z dokonaniem w 1976 roku zwrotem w kierunku zaciskania pasa. Zastąpił swojego głównego rywala i coraz bardziej niezadowolonego premiera, przywódcę gaullistów Jacquesa Chiraca (wybranego rok później na mera Paryża), Raymondem Barre'em, bardzo doświadczonym ekonomistą, choć raczej technokratą niż sprawnym politykiem. Zadaniem Barre'a było zbilansowanie budżetu i zmodernizowanie gospodarki. Działał na rzecz stabilizacji franka, ograniczenia wydatków rządowych, zmniejszenia kosztów pracy i podwyższenia podatków.

Zaciskanie pasa w oczywisty sposób rozwścieczyło socjalistyczną i komunistyczną lewicę, która wciąż nie mogła się zjednoczyć wokół „wspólnego programu” z 1972 roku. Giscard musiał się jednak również liczyć z opozycją z prawej strony w postaci nowych gaullistów Chiraca, który w 1976 roku utworzył

Zgromadzenie na rzecz Republiki (*Rassemblement pour la République*, RPR). Sprzeciwiało się ono z pozycji konserwatywnych społecznym reformom Giscarda. O podziale gaullistów zdecydowały jednak w większym stopniu osobista rywalizacja i polityczna zapiekłość niż podziały ideologiczne. W efekcie Giscard utworzył centroprawicową Unię na rzecz Demokracji Francuskiej (*Union pour la Démocratie Française*, UDF). Razem gaulliści i UDF wygrali wybory parlamentarne w 1978 roku z zaskakująco dużą przewagą. Pomogły im w znacznym stopniu nowe podziały na lewicy. Wybory samorządowe wskazywały na jej zwycięstwo, bo skutki oszczędnościowych reform Barre'a zaczynały być odczuwalne. Jednak komuniści Georges Marchaisa przenieśli się na bardziej radykalne pozycje marksistowskie, obawiając się, że społeczną popularność odbierze im Partia Socjalistyczna Mitterranda, która skłaniała się bardziej ku reformizmowi niż całkowitemu odrzuceniu kapitalistycznej gospodarki rynkowej. W 1978 roku socjaliści nie tylko dostali nieco więcej głosów (23 procent) niż komuniści (20 procent), ale to im sprzyjała koniunktura, a Francuska Partia Komunistyczna coraz bardziej pogrążała się w zajadłych walkach frakcyjnych.

Reformy Barre'a przyniosły pewien efekt stabilizujący dla gospodarki. Wyborczy sukces skłonił jednak Giscarda i Barre'a do pójścia jeszcze dalej w kierunku gospodarczego liberalizmu. Postawiono na konkurencję, deregulację cen i wolny rynek, nie podejmowano jednak kroków w kierunku prywatyzacji najważniejszych gałęzi przemysłu. Tradycyjna we Francji państwowa kontrola nad gospodarką została utrzymana. Potężne państwowe subsydia nadal odgrywały kluczową rolę w przemyśle lotniczym, telekomunikacji, na kolei, w branży motoryzacyjnej i przy budowie elektrowni jądrowych. Podobnie jak w innych państwach Europy Zachodniej, francuski przemysł stalowy nie był w stanie dotrzymać kroku konkurencji z Azji i niektórych krajów Europy Wschodniej, gdzie koszty produkcji były znacznie niższe. Państwo przejęło część długów hut i finansowało programy przekwalifikowujące, ale zamykanie niedochodowych hut i wzrost bezrobocia i tak wywołały falę gorących protestów w podupadających regionach na północy i w Lotaryngii.



Biznes odzyskał rentowność dzięki obniżeniu podatku od osób prawnych i niższym płacom. Barre przecenił jednak tempo i skalę ożywienia, a mocny frank stanowił przeszkodę dla eksportu. Drugi kryzys naftowy całkowicie wywrócił program deflacyjny. Inflacja ponownie wzrosła, do 14 procent, podobnie jak bezrobocie, które w 1980 roku sięgnęło 1,5 miliona ludzi i dalej rosło. Powszechne było współczucie dla mieszkańców najbardziej dotkniętych przez kryzys regionów przemysłowych. Barre był bardziej niepopularny niż kiedykolwiek wcześniej. Socjaliści i komuniści, przy wszystkich dzielących ich różnicach, rośli w siłę dzięki obietnicom tworzenia miejsc pracy i interwencji państwa. Sposobem na ożywienie gospodarcze wydawało się więcej, a nie mniej socjalizmu.

Takie obietnice narodowego odrodzenia po latach coraz bardziej niepopularnej i rozdrobnionej koalicji rządowej przyniosły Françoisowi Mitterrandowi na przełomie kwietnia i maja 1981 roku zwycięstwo w wyborach prezydenckich, w których dostał 51 procent głosów. Po 23 latach nieustannej władzy rządu gaullistów we Francji dobiegły końca. Lewica wpadła w euforię, która wzmogła się jeszcze, gdy miesiąc po triumfie Mitterranda socjaliści zdobyli większość w Zgromadzeniu Narodowym. Nowy rząd podjął natychmiastowe kroki, by odwrócić politykę deflacyjną. Keynesizm wrócił do łask. Podniesiono płace, emerytury i zasiłki na dzieci. Obniżono wiek emerytalny. Skrócono tydzień pracy. Zapewniono również finansowanie budowy nowych domów i stworzono 150 000 miejsc pracy. Wprowadzono program, który miał sprzyjać zatrudnianiu młodych. Podniesiono podatki dla najbogatszych. Planowano rozległą nacjonalizację. Dewaluacja franka sprzyjała branżom eksportowym.

Polityka ta poniosła całkowitą klęskę. Wzrost był niższy, niż zakładano. Bilans płatniczy pogorszył się z powodu wzrostu importu. Inflacja pozostała na wysokim poziomie (w przeciwieństwie do sąsiednich Niemiec Zachodnich, gdzie wzrost cen wyhamował). Bezrobocie nadal rosło. Mitterrand w ciągu niespełna dwóch lat został zmuszony do całkowitej zmiany obiecywanej przez siebie polityki gospodarczej. Już w czerwcu 1982 roku zamrożono ceny i płace. W marcu kolejnego roku frank został zdewaluowany trzeci raz w ciągu 18 miesięcy.

Obniżono wydatki publiczne – szczególnie na zabezpieczenia socjalne – a następnie podniesiono podatki dla większości społeczeństwa, ale obniżono dla biznesu i zaczęto robić pierwsze przymiarki do prywatyzacji narodowych branż gospodarki. Rezultaty tego zwrotu o 180 stopni były umiarkowane. W ciągu dwóch lat inflacja spadła, poprawił się też bilans płatniczy. Z drugiej strony bezrobocie utrzymywało się na poziomie ponad 10 procent ludności w wieku produkcyjnym, a wzrost w 1985 roku wyniósł jedynie 1,9 procent. Kiedy gaulliści wrócili do władzy w marcu 1986 roku, odkryli, że socjaliści przygotowali im grunt pod dalsze wprowadzanie neoliberalizmu.

Nieustannie powtarzaną w całej Europie Zachodniej mantrą thatcheryzmu było, że jeżeli chodzi o gospodarkę, to „nie ma alternatywy”. Czy była to prawda? Deflacja była bolesnym, lecz niezbędnym remedium wszędzie, biorąc pod uwagę podwójną recesję po dwóch kryzysach naftowych. Zwrot w kierunku jakiejś formy neoliberalnej ekonomii był w połowie lat 80. powszechny, bez względu na barwę ideologiczną rządu. Eksperyment Mitterranda we Francji był najdobitniejszym przykładem, że stare keynesowskie recepty już nie działają w obliczu globalnego spowolnienia gospodarczego, które przyniosło stagflację. Jego gwałtowna wolta pokazała całemu pokoleniu polityków, że warunki międzynarodowe poważnie ograniczyły opcje ekonomiczne rządów narodowych. Jednak Niemcy Zachodnie, Francja, a nawet bardziej niestabilne Włochy pokazały, że nawet przy deflacyjnej ekonomice i polityce recesyjnej istniały alternatywy dla motywowanego ideologicznie i konfliktogennego ekstremalnego neoliberalizmu, przyjętego tylko przez rząd Thatcher.

## **Demokracja triumfuje**

Podczas gdy Europa Zachodnia z trudem przystosowywała się do skutków kryzysu naftowego, dobre wieści nadchodziły z południa. W latach 1974–1975 autorytarne

reżimy Grecji, Portugalii i Hiszpanii upadły w odstępie kilku miesięcy. Czy był to po prostu zbieg okoliczności, czy też głębsze przyczyny wymusiły transformację?

Przed drugą wojną światową pluralistyczna demokracja parlamentarna była, oprócz niewielkiej grupy państw północno-zachodniej Europy, kontestowanym systemem rządów, odrzucanym zarówno przez potężne elity (szczególnie wojskowe), jak i szerokie masy społeczne. Na początku lat 80. była ciepło przyjmowana już w całej Europie Zachodniej – z częściowym wyjątkiem Turcji, najbardziej peryferyjnego kraju bloku zachodniego, w którym główną siłą polityczną pozostawało wojsko. Była to znacząca i trwała transformacja, triumf demokracji.

Zmiany polityczne z początku lat 60. w Grecji, podobnie jak w większości pozostałych krajów Europy Zachodniej, oznaczały przesunięcie na lewo. Konserwatywna prawica wspierana przez wojsko, która rządziła Grecją od końca wojny domowej z lat 1946–1949 w ramach systemu, który był jedynie fasadową demokracją, stawała się coraz bardziej niepopularna i została obalona w wyborach 1963 roku. Jednak wojskowi uważali liberalne reformy zaproponowane przez nowy rząd za konia trojańskiego komunizmu. Kiedy król Konstantyn II zmusił rząd do ustąpienia w 1965 roku, spowodowało to kryzys konstytucyjny i masowe zamieszki. Uprzedzając nowe wybory, zaplanowane na maj 1967 roku, prawicowi oficerowie pod wodzą pułkownika George'a Papadopoulosa, obawiając się, że lewicowy rząd ustanowi cywilną kontrolę nad armią, przeprowadzi czystki w dowództwie, ograniczy wydatki na wojsko i zakończy obecność Amerykanów w Grecji, przeprowadzili 21 kwietnia wojskowy zamach stanu.

Król nieporadnie próbował odzyskać kontrolę nad krajem, przeprowadzając źle przygotowany i wykonany kontratak. W rezultacie musiał uciekać na wygnanie, co okazało się ostatecznym końcem greckiej monarchii. „Rządy pułkowników”, jak je zaczęto nazywać, uległy szybkiej konsolidacji. Ustanowiono „Radę Rewolucyjną”, juntę składającą się z 12 pułkowników. Papadopoulos był jednak od początku postacią dominującą, łącząc ostatecznie stanowisko premiera i szefa najważniejszych resortów – szczególnie spraw zagranicznych i obrony – z regencją

ustanowioną po ucieczce króla. Partie polityczne rozwiązano, aresztowano tysiące zwolenników lewicy (z których wielu było torturowanych w więzieniu), zawieszono prawa obywatelskie i wprowadzono rygorystyczną cenzurę mediów. Wielu opozycjonistów udało się na emigrację. Reżim blisko współpracował z liderami biznesu, wspierał rolnictwo i turystykę, a także rozpoczął kilka dużych projektów budowlanych. Wzrost gospodarczy był początkowo dynamiczny, ale na początku lat 70. zaczął słabnąć. Grecki wizerunek za granicą ucierpiał, ponieważ nasilała się krytyka reżimu z powodu łamania praw człowieka. Junta trzymała się jednak dzięki poparciu Stanów Zjednoczonych, które były bardziej zainteresowane jej zapiekłym antykomunizmem niż barbarzyńskim traktowaniem praw człowieka. Także demokracje zachodnioeuropejskie nie stworzyły jednolitego frontu wobec reżimu. Holandia i kraje skandynawskie okazywały mu jawną wrogość, podczas gdy Wielka Brytania i Niemcy Zachodnie wprawdzie krytykowały brutalne praktyki, ale z powodów taktycznych popierały kraj postrzegany jako kluczowy dla interesów NATO.

Dla reżimu pułkowników bardziej niebezpieczna była opozycja wewnętrzna, której mimo represji nie udało się uciszyć. Ewidentnym problemem stała się próba zainstalowania neofaszystowskiego reżimu w zachodnioeuropejskiej sieci krajów wyznających zasady liberalnej demokracji i prawa człowieka. Kiedy Papadopoulos starał się ocieplić swój wizerunek poprzez wprowadzenie pewnych drobnych zmian liberalizacyjnych (w tym częściowe zniesienie cenzury i wypuszczenie części więźniów politycznych), osiągnął jedynie tyle, że wzmocnił opozycję, zrażając jednocześnie do siebie frakcję twardogłowych w łonie reżimu. W połowie listopada 1967 roku do stłumienia wielkiej demonstracji studenckiej przeciwko pułkownikom, która odbyła się na Politechnice Ateńskiej, wysłano armię. Padło wielu zabitych i rannych. Jednak niepokoje skłoniły brygadiera Dimitriosa Joanidisa, szefa złowrogiej Żandarmerii Wojskowej, do obalenia Papadopoulosa kilka dni później i przywrócenia spokoju za pomocą wprowadzenia stanu wojennego.

Rządy Joanidisa okazały się tylko krótkim przerywnikiem. Jego własny upadek zaczął się, kiedy reżim wsparł spartaczoną próbę obalenia cypryjskiego prezydenta, arcybiskupa Makariosa, podjętą przez tamtejszą gwardię narodową z zamiarem przyłączenia Cypru do Grecji – co od dawna było pragnieniem greckiej prawicy. Makarios zdołał uciec i ostatecznie przedostał się do Wielkiej Brytanii. Jednak nieudany zamach skłonił Turcję w lipcu 1974 roku do przeprowadzenia inwazji i okupacji północnego Cypru, zmuszając około 200 000 cypryjskich Greków do ucieczki na południe. Grecka junta próbowała zorganizować zbrojny odwet, ale na próżno, ponieważ straciła poparcie armii. Reżim pułkowników stracił swój najważniejszy atut.

Wojsko, które obaliło demokrację w Grecji w 1967 roku, teraz podjęło kroki, by ją przywrócić. Jedna z frakcji oficerskich wycofała poparcie dla Joanidisa. Były konserwatywny premier, Konstantinos Karamanlis, został wezwany z wygnania w Paryżu i szybko zaczął przywracać cywilne, demokratyczne rządy. Jego koalicyjny gabinet przywrócił konstytucję z 1952 roku i uwolnił więźniów politycznych. Wybory z listopada 1974 roku, pierwsze od 10 lat, dały Nowej Demokracji, konserwatywnej partii kierowanej przez Karamanlisa, absolutną większość. Jedno rozwiązanie wprowadzone przez reżim pułkowników przeżyło jego upadek. W 1973 roku junta zniosła monarchię. W referendum przeprowadzonym w grudniu w 1974 roku odrzucono pomysł jej przywrócenia. Grecja była teraz republiką z nową konstytucją (wprowadzoną w 1975 roku) i demokratycznym systemem rządów. By potwierdzić zerwanie z przeszłością, przywódcy junty zostali później osądzeni i skazani na długie wyroki więzienia.

Grecja pozostawała jednak straszliwie biedna, jej gospodarka w większości nieefektywna, a jej klientelistyczny system przeżarty korupcją. Pomimo tych ewidentnych słabości zachodnioeuropejscy przywódcy demokratyczni chcieli za wszelką cenę zapobiec ewentualnemu powrotowi autorytaryzmu. Szybko przyjęli Grecję z powrotem do Rady Europy, którą kraj ten opuścił podczas rządów pułkowników. Zanim wojskowi objęli władzę, Grecja miała status państwa stowarzyszonego z Europejską Wspólnotą Gospodarczą – zawieszony za czasów

junty – i obiecano jej znaczącą pomoc finansową na modernizację gospodarki. Po powrocie do władzy Karamanlis wznowił starania o członkostwo Grecji. Uważał je za warunek konieczny do osiągnięcia dobrobytu, który z kolei miał pomóc w skonsolidowaniu demokracji. Przywódcy Wspólnoty Europejskiej przyjęli ten argument. Negocjacje akcesyjne rozpoczęły się już w 1976 roku. Po pięciu latach, 1 stycznia 1981 roku, wcześniej niż pierwotnie zakładano, Grecja została dziesiątym członkiem. Była jednak znacznie słabsza niż pozostała dziewiątka. O jej przyjęciu zdecydowały czynniki polityczne, a nie ekonomiczne.

Osobliwością, która okazała się trwałą i nierozwiązywalną spuścizną rządów pułkowników, był podział Cypru. Sytuacja szybko stała się patowa. Grecja wycofała się z NATO (by ostatecznie powrócić w 1980 roku) w proteście przeciwko brakowi potępienia tureckiej inwazji. Turcja odrzuciła żądania ONZ, by wycofać swoich żołnierzy. Makarios wrócił jako prezydent greckiej części wyspy, choć oczywiście Turcy go nie uznali. Mniejsza, turecka część wyspy, była dla odmiany uznawana wyłącznie przez Turcję. „Zielona linia” przebiegająca przez środek wyspy została obsadzona siłami pokojowymi ONZ. Podział Cypru miał się utrzymać przez resztę dwudziestego stulecia i później.

Na Półwyspie Iberyjskim długoletnie dyktatury w Portugalii (od 1926 roku) i w Hiszpanii (od 1939 roku) wciąż pozostawały na wpół oddzielone od reszty Europy Zachodniej. Ich władcy byli jednak starzy i schorowani. System polityczny Portugalii trwał w niemal niezmienionym kształcie pod rządami najdłuższej rządzącego premiera, António de Oliveira Salazara. Jej gospodarka także była przestarzała. Jako członek EFTA od 1968 roku, Portugalia zaczęła w umiarkowany sposób korzystać z poprawy relacji handlowych, ale gospodarczo wciąż była zacofana. Turystyka, w przeciwieństwie do Hiszpanii, cały czas nie stanowiła znaczącej gałęzi gospodarki. Tysiące Portugalczyków musiało co roku opuszczać kraj w poszukiwaniu pracy za granicą (następnie wysyłali do domu pieniądze, które wspierały rodzimą gospodarkę). Jednak wielkim hamulcem dla gospodarki było imperium kolonialne – coraz kosztowniejszy anachronizm, który pochłaniał prawie połowę wydatków rządowych, przeznaczanych na wojsko, i wymagał

niepopularnego poboru do armii młodych Portugalczyków, potrzebnych do tłumienia partyzantki, organizowanej przez ruchy antykolonialne w Angoli, Mozambiku i Gwinei Bissau. Rósł sprzeciw wobec wojen kolonialnych. Wyrażała go nawet część Kościoła katolickiego, tradycyjnie wiernego sojusznika autorytaryzmu, który jednak po soborze watykańskim II (1962–1965) zaczął prezentować bardziej liberalne stanowisko.

Kiedy Salazar, który rządził od 1932 roku, doznał rozległego udaru w 1968 roku i dwa lata później zmarł, oznaczało to początek końca. Trzeszczący w szwach system trwał, dokonując jedynie symbolicznej liberalizacji, pod rządami jego następcy, Marcello Caetano, ale była to już jedynie gra na czas. Krótki boom konsumpcyjny, sfinansowany w dużej mierze z zagranicznych pożyczek, szybko się skończył. Niepokoje gospodarcze były powszechne, nie tylko wśród kiepsko opłacanych pracowników. Inflacja po kryzysie naftowym podskoczyła w 1974 roku do aż 30 procent. Najniebezpieczniejsze dla reżimu okazało się jednak rozczarowanie młodych oficerów, którzy byli wściekli nie tylko z powodu niskich poborów, ale również dlatego, że musieli walczyć w beznadziejnych i niebezpiecznych wojnach kolonialnych, broniąc ewidentnie przegranej sprawy. Wojsko powołało reżim do życia w 1926 roku i długo stanowiło jego najważniejsze oparcie. Kiedy część korpusu oficerskiego zbuntowała się przeciwko niemu i w nocy z 24 na 25 kwietnia 1974 roku przeprowadziła pucz, jego los był przesądzony.

Nie było jasne, co stanie się po udanym zamachu stanu. Triumf demokracji wcale nie był oczywisty. Początkowo władzę przejęła rada wojskowa, Junta Ocalenia Narodowego, pod wodzą lidera puczystów, generała António Spínoli – byłego zastępcy szefa sztabu generalnego. Nie była jednak w stanie zapewnić stabilizacji. Spínola został ostatecznie obalony i uciekł do Hiszpanii. Nastroje rewolucyjne szerzyły się zarówno wśród wojska, jak i cywili. Zapanowała ogromna euforia, którą nazwano później „rewolucją goździków” (od kwiatów wtykanych w mundury i lufy karabinów przez demonstrantów). „Czerwone goździki zdobią koszule i kieliszki”, notowała brytyjska polityczka, Judith Hart, podczas wizyty

w Portugalii latem 1975 roku. „Plakaty głoszące powrót wolności i demokracji i władzę ludu są wszędzie”. Zawirowania trwały przez dwa lata. Powstało i upadło sześć rządów tymczasowych; podjęto dwie próby przewrotów, jedną z prawa, drugą z lewa. W kraju panował chaos. Strajki, okupacje fabryk, przejmowanie ziemi i ucieczka kapitału były przejawem dramatycznych podziałów politycznych i ideologicznych. Najsilniejszą siłą polityczną wydawali się komuniści. Jednak wybory do Zgromadzenia Ustawodawczego z kwietnia 1975 roku pokazały, że poparcie społeczne dla komunistów było w istocie nikłe. Najwięcej głosów, 38 procent, dostała Partia Socjalistyczna pod wodzą Mário Soaresa. Liberałowie dostali nieco ponad 26 procent. Komuniści musieli się zadowolić wynikiem 12,5 procent.

Gdy ich nadzieje na władze rozwiały się, lewicowi radykałowie w wojsku, podzieleni na liczne frakcje, podjęli w listopadzie 1975 roku kolejną próbę przewrotu. Okazała się ona ich łabędzim śpiewem. Powstanie zostało stłumione przez wierne państwu siły pod wodzą generała Ramalho Eanesa. Szybko przeprowadzono reformę armii, i władza wojska została ograniczona. Radykalna lewica straciła w nim wpływy. Komuniści zostali tymczasem zepchnięci na polityczny margines. Nowa konstytucja z kwietnia 1976 roku tworzyła ramy dla cywilnego rządu, a po wyborach, które odbyły się jeszcze w tym samym miesiącu (z których ponownie zwycięsko wyszła Partia Socjalistyczna), na rozchwianej wcześniej scenie politycznej doszło do uspokojenia. Generał Eanes, popularny po stłumieniu próby puczu w listopadzie poprzedniego roku, został wybrany prezydentem z poparciem wszystkich partii poza komunistami, którzy odtąd zostali odsunięci od władzy. Eanes stał się potrzebnym symbolem narodowej jedności. Soares, wspierany finansowo przez zachodniemieckich socjaldemokratów, był kluczowym graczem politycznym we wczesnym etapie transformacji Portugalii do demokracji parlamentarnej. Kraj wciąż jednak czekała wyboista droga.

Portugalskie imperium kolonialne rozpadło się w rok po „rewolucji goździków”. Odeszło ostatnie wielkie europejskie mocarstwo kolonialne, a wraz z nim ostatecznie skończyła się epoka kolonialnego imperializmu. Był to jednak



krwawy koniec. Portugalczycy zostawili swoje dawne posiadłości w opłakanym stanie. Nie było płynnego procesu dekolonizacji. Timor Wschodni został przejęty przez Indonezję. Angola pogrążyła się w wojnie domowej, podobnie jak wkrótce potem Mozambik. Siły rewolucyjne zamieniły Gwineę Bissau w państwo jednopartyjne, które wzięło krwawy odwet na dawnych zwolennikach kolonialnego reżimu. Z całej Afryki uciekały setki tysięcy portugalskich osadników, którzy zostawiali za sobą wszystko, co mieli i wracali do kraju, dodatkowo obciążając kulejącą portugalską gospodarkę.

Wprowadzona już reforma rolna zaczęła odwracać proces wywłaszczania, który miał miejsce po rewolucji, i przyniosła koniec nieefektywnemu rolnictwu kolektywnemu. Jednak w latach 1977–1978, z powodu niesłabnących niepokojów, wysokiego bezrobocia i potężnego zadłużenia państwa, z dochodem na głowę mieszkańca ledwo przekraczającym połowę średniej w krajach Wspólnoty Europejskiej, Portugalia była zmuszona zwrócić się o pomoc finansową do Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Otrzymała ją, jednak pod pewnymi warunkami. Wprowadzono oszczędności, które stopniowo ograniczyły wysokie zadłużenie państwa poprzez redukcję wydatków i bardziej zbilansowane budżety, ale kosztem utrzymania wysokiego bezrobocia i jeszcze większego zacofania ekonomicznego kraju. Sytuacja polityczna nadal była niestabilna; w ciągu siedmiu lat pomiędzy rokiem 1976 a 1983 Portugalia miała dziewięć rządów. Soares został obalony w 1978 roku. Uprawnienia wykonawcze prezydenta Eanesa, wybranego na urząd, ale wciąż pełniącego funkcję głównodowodzącego armią, do ingerowania w politykę krajową (z których często korzystał) zostały ograniczone dopiero przez zmiany w konstytucji w 1982 roku. Prawdziwie cywilna prezydentura z ograniczonymi uprawnieniami nastąpiła dopiero wraz z nieznacznym zwycięstwem Mário Soaresa w bezpośrednich wyborach dwuetapowych z lat 1985–1986. Dopiero od tego momentu demokratyczny system w Portugalii można było traktować jako solidnie ugruntowany.

Sam Soares rozpoczął w 1977 roku starania o przyjęcie Portugalii do Wspólnoty Europejskiej, które rok później przerodziły się w formalne negocjacje.

Problemy gospodarcze kraju oznaczały, że kwestii tej nie da się rozstrzygnąć z dnia na dzień, a skomplikowane negocjacje ciągnęły się aż do 1984 roku. W 1986 roku krok ten został ostatecznie podjęty: Portugalia z peryferii stała się członkiem Wspólnoty Europejskiej. Była już w tym czasie stabilną zachodnioeuropejską demokracją, a długie lata dyktatury pozostawały jedynie wspomnieniem.

Postępy „rewolucji goździków” były uważnie śledzone po drugiej stronie granicy przez najbliższego sąsiada Portugalii, u którego długie rządy generała Franco dobiegały końca. Zawirowania w Portugalii, a szczególnie postępy komunistycznej lewicy, budziły niepokój u potencjalnych reformatorów.

Pilnie potrzebne reformy, które zaczęto wprowadzać w 1959 roku, otworzyły zacofaną hiszpańską gospodarkę na rynki międzynarodowe, przynosząc w latach 60. wzrost przekraczający siedem procent rocznie. Rolnicza Hiszpania, fundament reżimu, zaczęła się wyludniać, bo ludzie odpływali do miast lub szybko rozwijających się kurortów turystycznych. Wraz ze wzrostem przyszły żądania wyższych płac i lepszych warunków pracy w rozwijających się gałęziach przemysłu. Niepokoje wśród robotników, szczególnie w uprzemysłowionych regionach Katalonii i Kraju Basków, narastały. Związki zawodowe były wciąż zakazane, a strajki nielegalne, ale robotnicy i tak tworzyli ciała zbiorowe, które organizowały protesty, strajki i demonstracje. A ich liczba rosła. W 1970 roku odbyło się 1595 strajków, w 1974 – 2290, a w 1975 – 3156 (co w owym roku zaowocowało utratą 14,5 miliona roboczogodzin). W Kraju Basków niepokoje przerodziły się w separatystyczną politykę, która w 1968 roku zaowocowała powstaniem zbrojnego ruchu narodowego ETA (*Euskadi Ta Askatasuna*, Baskonia i Wolność), który rozpoczął długą i zaciekłą kampanię terrorystyczną przeciwko reżimowi i jego następcom.

Ponieważ frankistowski reżim ewidentnie stanął w obliczu rosnących i niemożliwych do pokonania wyzwań, jego niemal jedyną odpowiedzią była naga przemoc. Jeszcze w 1974 roku około 6000 Hiszpanów oczekiwało w więzieniu na procesy pod zarzutami politycznymi. Tortury w więzieniach były na porządku dziennym. Więźniów pozbawiano pomocy prawnej. W ramach militarnej reakcji

przywrócono również wykonywanie kary śmierci. W latach 1963–1974 w Hiszpanii nie wykonano żadnej egzekucji, bo kraj próbował pokazać światu swoją najlepszą twarz. Jednak zaledwie na miesiąc przed śmiercią Franco w listopadzie 1975 roku wykonano ich pięć.

Tymczasem plaże Costa Brava, gwarantujące słońce, i tanie pakiety wakacyjne już od lat 60. zaczęły co roku przyciągać miliony turystów. Wystawiało to Hiszpanów na działanie zagranicznych wpływów kulturowych, które w nieunikniony sposób zderzały się z tradycyjnymi wartościami katolickiej Hiszpanii. Wartości te i tak zresztą uległy osłabieniu po soborze watykańskim II. W istocie nawet Kościół katolicki, od czasów wojny domowej ideologiczny fundament frankizmu, zaczął się od niego odwracać. W 1970 roku znacznie więcej księży sympatyzowało z socjalizmem niż z falangistowską ideologią państwową. Hierarchia kościelna broniła praw człowieka i opowiadała się za polityczną neutralnością.

Szczególnie dla młodych ludzi moralny rygorizm reżimu był trudny do zniesienia. Nieznaczne poluzowanie cenzury w 1966 roku nie okazało się wystarczające. W 1968 roku niewielka grupa młodych, dobrze wykształconych ludzi odważnie pokazała, że ma dość autorytarnej władzy. Studenci demonstranci z Madrytu i innych hiszpańskich ośrodków uniwersyteckich, inspirowani wydarzeniami w innych krajach Europy Zachodniej i powodowani silnym sprzeciwem wobec wojny wietnamskiej i obecności amerykańskich baz w Hiszpanii, a także wrogością wobec dyktatury opierającej się na politycznych represjach, musieli zmierzyć się z gniewem reżimu Franco. Niektórzy za swoją postawę zapłacili długoletnim więzieniem. Przepaść pomiędzy represyjnym państwem a żądaniami społeczeństwa, które domagało się liberalizacji i demokratyzacji, była nie do zasypania.

Niektórzy przedstawiciele aparatu państwowego zdawali sobie jednak sprawę, że liberalizacja jest konieczna i że otworzy ona drzwi do bliższej współpracy z Europejską Wspólnotą Gospodarczą, co z kolei zwiększy szanse na wzbogacenie się i modernizację zacofanej Hiszpanii. Nieugięta dyktatura Franco, której

funkcjonowanie opierało się na wojsku, służbach specjalnych i oligarchach w biurokracji i biznesie, stała na drodze wszelkim takim ruchom. Reżim stał jednak wobec oczywistego pytania o to, kto zastąpi Franco. W grudniu 1968 roku jego bliskie otoczenie uznało, że śmierć dyktatora zbliża się nieuchronnie, kiedy przerwał on posiedzenie gabinetu, by udać się do toalety – coś, czego nigdy wcześniej nie robił podczas ciągnących się w nieskończoność narad, ku udęce ministrów obdarzonych mniej żelaznym pęcherzem. „To był triumf materii nad duchem”, żartował później jeden z nich. Franco miał przed sobą jeszcze siedem lat, ale jego długie życie – w grudniu 1972 roku obchodził, będąc w kiepskiej kondycji, osiemdziesiąte urodziny – w oczywisty sposób dobiegało końca.

Dyktator rozwiązał problem sukcesji w 1969 roku, wracając do porzuconej idei monarchii i mianując księcia Juana Carlosa swoim spadkobiercą. W ten sposób zachował władzę, jednocześnie przygotowując następcę do przejęcia autorytarnego reżimu. Etap pośredni został starannie zaplanowany poprzez mianowanie w czerwcu 1973 roku na stanowisko premiera admirała Luisa Carrero Blanco, jednego z najstarszych i najwierniejszych zauszników Franco, który skupił w swoich rękach wiele narzędzi władzy. Wyobrażano sobie, że Carrero Blanco zapewni ciągłość autorytarnego reżimu.

Takie plany dosłownie uleciały z dymem, kiedy 20 grudnia 1973 roku Carrero Blanco zginął w zamachu bombowym przeprowadzonym przez ETA. Nawet jednak gdyby żył i zastąpił Franco na stanowisku głowy państwa, jest wątpliwe, czy trzeszczący w szwach reżim przetrwałby o wiele dłużej. Zarówno Franco, jak i ustrój, który stworzył, weszli w fazę przedśmiertnych drgawek. Przewidywalny powrót do represji po zabójstwie Carrero Blanco, tylko pogłębił rosnącą izolację Hiszpanii w roli państwa pariasa. Pogorszyła się również sytuacja gospodarcza, bo ceny wzrosły w wyniku kryzysu naftowego. Wydawało się, że tylko śmierć Franco blokuje drogę do nieuniknionej zmiany.

Sekretarz stanu Richarda Nixona, Henry Kissinger, skomentował podczas swojej wizyty w Madrycie w 1970 roku, że Hiszpania „czeka, aż pewne życie dobiegnie kresu, by móc wrócić do europejskiej historii”. Pięć lat później to

czekanie dobiegło końca. Stan zdrowia Franco pogorszył się mocno w 1975 roku i 20 listopada ostatni przedwojenny dyktator Europy zmarł, będąc już wtedy fizycznym wrakiem. Jediną głową państwa obecną na pogrzebie był chilijski dyktator, generał Augusto Pinochet (którego represyjny reżim po obaleniu demokratycznie wybranego chilijskiego prezydenta, Salvadora Allende, w 1973 roku spotkał się z aprobatą Franco). Zagraniczni dygnitarze demonstracyjnie powrócili jednak cztery dni później na koronację króla Juana Carlosa. Pinocheta tym razem nie zaproszono.

Koronacja króla symbolizowała początek nowej ery. Nikt jednak nie wiedział, jak ona będzie wyglądać. Czy król będzie przewodził jakiejś formie kontynuacji autorytaryzmu? Czy skończy się to kolejną rzezią? A może nastąpią ruchy w kierunku wprowadzenia demokracji? I wreszcie: jak armia, filar reżimu, podejrzliwa wobec króla, zareaguje na śmierć dyktatora? Koniec frankizmu budził powszechną radość, której towarzyszyły jednak obawy o przyszłość. Nie była ona pewna w kraju, który został rozdarty na pół tak niedawno i wciąż musiał żyć z konsekwencjami tego rozdarcia. Najważniejsze, choć wcale nie łatwe do przewidzenia, okazało się to, że król, nawet jeśli początkowo ostrożnie, to jednak położył swój monarszy autorytet po stronie sił dążących do demokratyzacji. Nie był intuicyjnym demokratą, wyczuwał jednak, skąd wieje wiatr. Wielkie demonstracje i masowe strajki, które miały miejsce bezpośrednio po śmierci Franco, przekonały go, że to jedyna droga naprzód. Podobnie jak w Portugalii, mimo formalnego zakazu zaczęły się kształtować partie, frakcje i ruchy społeczne. Decydująca zmiana nadeszła jednak ze struktur starego reżimu. W rezultacie frankistowskie państwo zaczęło stopniowo rozmontowywać własne struktury władzy.

Poza poparciem dla sił demokratycznych ważnym krokiem podjętym przez króla było zastąpienie w styczniu 1976 roku na stanowisku premiera twardogłowego i niepopularnego Ariasa Navarro przez Adolfo Suáreza. Nie była to nagła zmiana na zwolennika demokracji, ale okazała się wyborem kluczowym. Suárez, falangista, który sprawował liczne funkcje w rządzie Franco, był wcześniej

postrzegany jako reakcjonista. Jego kontakty z reformistycznymi grupami wśród frankistów przekonały go jednak, że przyszłość Hiszpanii leży w demokracji i że społeczna legitymizacja monarchii oraz osobiste zaangażowanie Juana Carlosa stanowią najpewniejszą drogę do osiągnięcia tego celu. Rewolucyjne zerwanie z reżimem groziło wybuchem nowej wojny domowej. Transformację trzeba było wynegocjować z lewicą.

Liczyło się przede wszystkim tempo, tak by frankistowski establishment nie zdążył zareagować. Suárez zaproponował referendum w sprawie reform politycznych i wyborów w czerwcu 1977 roku. Umiejętnie podszedł socjalistów – którzy sami doszli do wniosku, że konstytucyjny rząd, a nie gwałtowna rewolucja, jest najlepszym sposobem na usunięcie pozostałości po reżimie – a jednocześnie wykorzystał poparcie króla do udobruchania dowództwa armii, zneutralizowania umiarkowanych na prawicy i odizolowania nieprzejednanych frankistów. Co niezwykle, poprzez finansowe zachęty i obietnice przyszłych korzyści, Suárez przekonał deputowanych Ruchu Narodowego, jedynej partii w Kortezach (hiszpańskim parlamencie), by zagłosowali za reformami, które przedstawił jako jedyny sposób, by zapobiec poważnemu konfliktowi. W jednym z tych rzadkich przypadków, w których karpie głosują za przyspieszeniem Bożego Narodzenia, członkowie Kortezów przegłosowali własne zniknięcie ze sceny politycznej.

W referendum, które odbyło się 15 grudnia 1976 roku, wyborcy przygniatającą większością 94 procent poparli zmiany. 15 czerwca 1977 roku, po raz pierwszy od 40 lat, w Hiszpanii odbyły się wolne wybory. W międzyczasie zalegalizowano stare partie lewicy, w tym komunistów – co przysporzyło Suárezowi wrogów wśród frankistowskich twardogłowych. Stworzona przez premiera Unia Centrum Demokratycznego (Unión de Centro Democrático) – koalicja centrystów i umiarkowanej prawicy, którą połączyło wiele zakulisowych interesów – wygrała wybory z wynikiem 34 procent, ale socjaliści dostali 29 procent. Głosowanie ogólnie dało silne przyzwolenie dla konstytucyjnej demokracji parlamentarnej. Partie radykalne, zarówno z lewa, jak i z prawa, wypadły słabo. Komuniści z zaledwie dziewięcioma procentami dostali znacznie mniej głosów niż

oczekiwano, a różne frakcje neofaszystowskiej, radykalnej prawicy niespełna dwa procent. Nieco ponad rok później, 31 października 1978 roku, parlament przyjął nową, demokratyczną konstytucję, która została następnie ratyfikowana w referendum ludowym przeprowadzonym 6 grudnia.

Przed Suárezem wkrótce jednak zaczęły piętrzyć się problemy. W 1977 roku musiał zmagać się z rozpędzoną inflacją, rosnącym bezrobociem i zdecydowanymi żądaniami autonomii w Katalonii i Kraju Basków (powtarzаныmi, choć mniej stanowczo, w innych regionach). Ograniczona dewolucja uprawnień w żaden sposób nie zaspokajała tych żądań. Szczególnie Baskowie naciskali na uniezależnienie się od Madrytu. Akty terroru dokonywane przez ETA trwały przez lata, powodując strach i odrazę w hiszpańskim społeczeństwie.

Popularność Suáreza spadała i pod rosnącą presją podał się on do dymisji 25 stycznia 1981 roku. Miesiąc później młoda hiszpańska demokracja musiała odeprzeć ostatnią próbę jej obalenia przez twardogłowych frankistów. 23 lutego podpułkownik Antonio Tejero z Gwardii Cywilnej i około 200 jego ludzi wdarło się do Korteżów i grożąc bronią, wzięło deputowanych za zakładników. Próba puczu załamała się, kiedy król Juan Carlos w telewizyjnym wystąpieniu do narodu zadeklarował poparcie dla konstytucji i nakazał żołnierzom powrót do koszar. Trzy dni po upadku puczu – Tejero został później skazany na 15 lat w więzieniu wojskowym za swój udział w tej porażce – trzy miliony ludzi demonstrowały w hiszpańskich miastach swoje poparcie dla demokracji, z czego w samym tylko Madrycie pół miliona. Demokracja była bezpieczna.

Po wyborach z 1982 roku Partia Socjalistyczna, która zarzuciła swój wcześniejszy marksistowski program, powróciła do władzy po raz pierwszy od 1936 roku. Miała ją utrzymać przez następne 14 lat. Nowy socjalistyczny premier, Felipe Gonzáles, przeforsował program reform wewnętrznych struktur służby cywilnej i wojska. Wykorzystał również swoją osobistą popularność i większość parlamentarną do wdrożenia programu oszczędności, używając narzędzi monetarnych i fiskalnych do zduszenia inflacji i ograniczenia wysokiego deficytu w wydatkach rządowych. Wzrost płac nie mógł przekraczać poziomu inflacji.

Promowano większą elastyczność na rynku pracy. Obniżono wydatki socjalne. Zainicjowano pewne ruchy w kierunku prywatyzacji państwowych gałęzi gospodarki, choć nie było całościowej polityki prywatyzacyjnej i sektor publiczny pozostał znaczący (posiadał jednak wiele firm, którymi prywatny biznes nie był zainteresowany). W ten sposób elementy neoliberalizmu zostały włączone do programu socjalistycznego rządu, co stanowiło kolejny przykład trendu ekonomicznego obecnego w całej Europie Zachodniej.

Rząd zmienił sceptyczne wcześniej stanowisko Partii Socjalistycznej w sprawie członkostwa w NATO (do którego Hiszpania weszła w maju 1982 roku), choć należała ona również na ograniczenie liczby amerykańskich baz w Hiszpanii, którą to politykę poparła większość społeczeństwa w referendum przeprowadzonym w marcu 1986 roku. Niedługo wcześniej, 1 stycznia, Hiszpania wraz z Portugalią została przyjęta do Wspólnoty Europejskiej, kończąc proces, który rozpoczął się w 1977 roku. W ten sposób Hiszpania ostatecznie wróciła na karty europejskiej historii.

Powstanie nowych demokracji w Grecji, Portugalii i Hiszpanii było ostatnim akcentem powojennego triumfu demokratycznych, pluralistycznych systemów rządów w całej Europie Zachodniej. Były oczywiście znaczące różnice pomiędzy tymi trzema dyktaturami a sposobem, w jaki upadły. Istniały też bez wątpienia elementy wspólne. Grecka dyktatura pułkowników była tylko krótkim przerywnikiem (choć jej ofiarom z pewnością wydawała się trwać w nieskończoność) w pluralistycznych rządach greckiej demokracji, jakkolwiek niedoskonała by ona nie była. Jej upadek został wywołany przez czynniki zewnętrzne w postaci tureckiej inwazji na Cypr. Dla odmiany autorytarne systemy w Portugalii i Hiszpanii były budowane przez dziesięciolecia i zapuściły znacznie głębsze korzenie niż grecka dyktatura. Losy obu systemów były blisko związane z osobowościami i ideologiami ich długoletnich władców, Salazara w Portugalii i Franco w Hiszpanii. W tej sytuacji nie dziwi fakt, że fizyczne zniedołężnienie, a później śmierć tych dyktatorów pociągnęły ze sobą dezintegrację reżimów. Problemy Portugalii były poza tym jako jedyne blisko związane z walkami



wyzwolenческими w imperium kolonialnym. Jego upadek doprowadził do bardziej przewlekłych turbulencji niż w dwóch pozostałych krajach. A z trzech wymienionych reżimów tylko Hiszpania przywróciła monarchię, która, w sposób cokolwiek nieoczekiwany, stała się ważnym czynnikiem stabilizującym w procesie konsolidowania demokracji.

Jednak poza czynnikami przypadkowymi i wynikającymi z okoliczności zaistniały głębsze powody upadku tych trzech różnych dyktatur. Jednym z najważniejszych było fundamentalne rozmiękanie się autorytarnych reżimów z coraz bardziej międzynarodową, wolnościowo nastawioną i silnie antimilitarystyczną kulturą, która rozwijała się szybko od połowy lat 60., szczególnie wśród młodszego pokolenia. Protesty młodych były istotnym elementem kształtowania się opozycji przeciwko autorytaryzmowi we wszystkich tych trzech krajach. Represyjne próby podtrzymania narodowych wartości kulturowych, które zdawały się być przypisane do mało atrakcyjnej twarzy czasów minionych, nie mogły powstrzymać wyzwolenczej fali, która z nadzwyczajną prędkością przekraczała narodowe granice wbrew wysiłkom rządzących.

Także gospodarki nie mogły być dłużej rządzone jak zamknięte systemy, w oparciu o idee narodowej autarkii. Grecja, Portugalia i Hiszpania nie mogły uciekać przed kaprysmi globalnego kapitalizmu, podobnie jak demokracje zachodnie, ale ich gospodarki były gorzej przygotowane do radzenia sobie z kryzysem naftowym. Kraje te przechodziły w istocie głęboką transformację społeczną i gospodarczą. Wszystkie zostały częściowo przekształcone przez industrializację, która nabierała tempa przez około dwie dekady poprzedzające upadek dyktatur – w Hiszpanii dochodziła do tego jeszcze masowa turystyka. W znacznym stopniu ograniczyło to liczebność populacji wiejskiej i posłużyło do osłabienia tradycyjnych struktur rodziny i Kościoła. Prowincja była wcześniej głównym zapleczem politycznym autorytaryzmu. Zmiany modernizacyjne w gospodarce w znacznym stopniu osłabiły to poparcie, wzmacniając jednocześnie wielkoprzemysłową klasę robotniczą, z jej zakorzenieniem w ideologii socjalizmu i komunizmu, wciąż zdolnej do mobilizacji mas mimo długich lat represji.

I wreszcie, zgromadzone we Wspólnocie Europejskiej demokracje zachodnioeuropejskie oferowały czytelną i skuteczną alternatywę dla zacofanych dyktatur – opartą o międzynarodową współpracę i liberalną demokrację. Przyniosła ona innym krajom Europy dobrobyt, o którym Grecy, Portugalczycy i Hiszpanie mogli tylko marzyć, dopóki ich autorytarne reżimy utrzymywały się przy władzy. Niemal pierwszą rzeczą, którą przywódcy sił demokratycznych zrobili po obaleniu autorytaryzmu, było zwrócenie się do Wspólnoty Europejskiej z wnioskiem o przystąpienie do niej. Grecja zrobiła to w 1981 roku, Portugalia i Hiszpania pięć lat później. Tak jak przewidziały to nowe rządy, był to bilet do niewyobrażalnego wcześniej dobrobytu i liberalizacji.

Kulturowa i gospodarcza transformacja oznaczała, że dyktatura, uzależniona mocno od poparcia wojska, stała się przestarzałą i dysfunkcyjną, a także rażąco nieludzką formą rządów. Ponieważ w większości krajów Europy Zachodniej doszło do konsolidacji stabilnych form demokracji, a perspektywa wojny konwencjonalnej w regionie niemal całkowicie zniknęła, w społeczeństwach zaczęły dominować wartości cywilne, a nie militarystyczne. Wojsko, pomiędzy dwiema światowymi wojnami tak zgubna w większości przypadków siła w polityce, niezmiennie wspierająca autorytaryzm, obecnie nie odgrywało już centralnej roli w polityce wewnętrznej. Tylko w Grecji i na Półwyspie Iberyjskim (oprócz Turcji na peryferiach Europy) armia wciąż pozostawała dominującą siłą polityczną. Jej władza była jednak teraz głównie ukierunkowana na represje wewnętrzne, mające na celu wspieranie autorytarnych reżimów. Hiszpańska armia nie odgrywała żadnej roli poza krajem, portugalska uczestniczyła jedynie, na dodatek coraz bardziej niechętnie, w okrutnych wojnach kolonialnych, w Grecji zaś okazała się niezdolna, by zapobiec tureckiej okupacji północnego Cypru. W każdym z tych przypadków wojsko straciło większość prestiżu, którym się niegdyś cieszyło. Z uzasadnionych względów było postrzegane przez większość społeczeństwa jako represyjna, reakcyjna siła, która stoi na drodze do wolności i postępu. Ludzie tymczasem w większości zdali sobie sprawę, że najlepszą gwarancją osiągnięcia tych celów jest pluralistyczna demokracja parlamentarna. Epoka państwa jednopartyjnego,

które miało być jedyną gwarancją narodowej obrony przed zagrożeniami ze strony wrogów wewnętrznych i zewnętrznych, nie miała racji bytu w pokojowej, zamożnej i liberalnej Europie Zachodniej.

W żadnym z tych trzech przypadków dyktatura, przy wszystkich swoich niedomaganiach, nie tapnęła czy nie zniknęła samoistnie. Nie została też zniesiona przez problemy ekonomiczne, jakkolwiek poważne by nie były. Autorytarną władzę wspierały potężne siły. Ich dominacja mogła zostać przełamana dopiero wtedy, kiedy społeczna i kulturowa presja nałożyła się na ewidentną słabość reżimu i znalazła w szeregach rządzących stronników, gotowych wesprzeć reformę, zmianę i postęp ku demokracji. Właśnie taka konstelacja pojawiła się w Grecji, Portugalii i Hiszpanii w połowie lat 70. Dramatyczne przekształcenia trwale zmieniły perspektywy ludzi w tych krajach, gdy powróciły na łono europejskiej rodziny. W ciągu zaledwie kilku lat demokracja we wszystkich tych trzech krajach została skonsolidowana i zyskała poparcie przeważającej większości społeczeństwa.

## **Zimna wojna powraca**

O ile Europa, na wschodzie i na zachodzie, pogrążyła się w latach 70. w kryzysie, to paradoksalnie na scenie międzynarodowej sytuacja znacząco się poprawiła. Ponieważ Stany Zjednoczone zakopały się w kosztownej wojnie w Wietnamie – miała się ona zakończyć wycofaniem amerykańskich żołnierzy i wkroczeniem armii północnowietnamskiej do Sajgonu w kwietniu 1975 roku – a Związek Radziecki chciał uniknąć zbliżenia pomiędzy Ameryką a Chinami, powstała szansa na ograniczenie międzynarodowego napięcia poprzez wyhamowanie niebezpiecznej eskalacji nuklearnego wyścigu zbrojeń. Początkiem były amerykańsko-sowieckie porozumienia z lat 1972–1973. Kolejnym krokiem była próba zbudowania trwalszej bazy dla stosunków międzynarodowych na Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (KBWE), która odbyła się

w Helsinkach w lipcu i sierpniu 1975 roku. Reprezentowanych było 35 państw, w tym supermocarstwa, Kanada i wszystkie kraje europejskie poza Albanią (która odmówiła udziału). Konferencję zainicjował Związek Radziecki, mając nadzieję na uzyskanie ratyfikacji powojennych ustaleń terytorialnych w Europie Wschodniej. Akt Końcowy KBWE (porozumienia helsińskie) z 1975 roku nie spełnił całkowicie tych nadziei, jako że akceptował nienaruszalność granic i zakazywał aneksji terytoriów zgodnie z prawem międzynarodowym. Pozwalał jednak na pokojową zmianę granic, co powszechnie postrzegano jako dyplomatyczne zwycięstwo Związku Radzieckiego.

Tym, co stało się dla Związku Radzieckiego golem samobójczym, było jednak zobowiązanie, zapisane w porozumieniu, do szanowania „praw człowieka i fundamentalnych wolności”. Sowieccy przywódcy traktowali to zobowiązanie cynicznie. W granicach Związku Radzieckiego mogli swobodnie decydować, co spełnia tę definicję. „Jesteśmy panami we własnym domu”, przypominał swoim kolegom Andriej Gromyko, radziecki minister spraw zagranicznych. Było to niedocenienie utraty prawa do moralnych pretensji na arenie międzynarodowej w sytuacji, gdy Związek Radziecki i jego satelici nadal zamykali tysiące dysydentów, składając jednocześnie gołosłowne deklaracje w sprawie praw człowieka. Niemniej sowiecka siła polityczna i wojskowa mogła znieść moralne potępienie. A obniżenie poziomu międzynarodowego napięcia, do czego przyczyniły się porozumienia helsińskie, raczej wzmocniło, niż osłabiło jego siłę.

Odprężenie było jednak jedynie częściowe. W istocie stanowiło ono listek figowy dla wojskowych obu supermocarstw, za którym mogli kontynuować swoje programy zbrojeń nuklearnych, próbując zdobyć przewagę. Prezydent Jimmy Carter podczas kampanii wyborczej w 1976 roku rzeczywiście zapowiedział ograniczenie arsenału nuklearnego. Jednak nacisk, jaki kładł na prawa człowieka – goszcząc między innymi sowieckich dysydentów w Białym Domu – sprawił, że Breżniew nie spieszył się z planowanym rozwinięciem oryginalnego porozumienia SALT I z 1972 roku o ograniczeniu arsenałów nuklearnych. Ostatecznie SALT II, którego celem było zredukowanie i ograniczenie arsenałów nuklearnych, został

z wielką pompą podpisany przez Cartera i Breżniewa w Wiedniu w czerwcu 1979 roku. Carter ogłosił to „historycznym wkładem w światowy pokój”. Od początku jednak układ był martwy. Amerykański Kongres był niezadowolony z niektórych postanowień traktatu. Później zaś sowiecka inwazja na Afganistan z grudnia 1979 roku zniszczyła wszelkie nadzieje na ratyfikację. „Tak umiera SALT II”, zauważył Carter na wieść o inwazji. Do końca roku po odprężeniu nie było śladu.

W 1977 roku ZSRR zaczął rozmieszczać nowe pociski nuklearne średniego zasięgu SS-20 w Niemczech Wschodnich i na własnym terytorium. Z zasięgiem 5000 kilometrów nie podpadały one pod kryteria wymienione w układzie SALT. Stanowiły jednak oczywiste i bezpośrednie zagrożenie dla Europy Zachodniej. Zachodniemiecki kanclerz, Helmut Schmidt, zareagował ostro. Prezydent Carter (którego Schmidt traktował z ledwie skrywaną pogardą) początkowo sprzeciwiał się takiemu ruchowi, ale ostatecznie uległ niemieckiej presji. W styczniu 1979 roku zachodni liderzy zgodzili się na propozycję Schmidta, by odpowiedzieć na zagrożenie, rozmieszczając amerykańskie pociski średniego zasięgu w Europie Zachodniej, głównie w Niemczech Zachodnich. W grudniu NATO przyjęło „strategię dwutorową”: by rozmieścić, głównie w Niemczech Zachodnich i Wielkiej Brytanii, setki pocisków manewrujących i pocisków Pershing II (zdolnych dolecieć do Moskwy w ciągu 10 minut), a jednocześnie kontynuować rozmowy ze Związkiem Radzieckim w sprawie kontroli zbrojeń nuklearnych.

Na horyzoncie pojawiało się już w tym czasie coraz więcej czarnych chmur. Islamska rewolucja szybko zatriumfowała w Iranie po obaleniu szacha i powrocie ajatollaha Chomeiniego w 1979 roku. Jej konsekwencje miały być odczuwane w Europie i poza nią przez resztę stulecia i później.

Tak samo było w przypadku Afganistanu, do którego dotarły fale irańskiej rewolucji. Lider afgańskich komunistów, Mohammed Taraki, przejął władzę w Kabulu w kwietniu 1978 roku i zainstalował tam komunistyczny rząd. We wrześniu 1979 roku został zamordowany przez swojego rywala, Hafizullaha Amina. Jednak poparcie dla komunistycznego reżimu było płytkie: ograniczało się z grubsza do niewielkiego kręgu ludzi wykształconych w społeczeństwie

składającym się w większości z analfabetów. Amin szybko tracił kontrolę nad krajem. Wydarzenia w Iranie wzmocniły afgański sprzeciw wobec planowanych reform – które obejmowały między innymi świecką edukację i prawa kobiet. W zacofanych terenach wiejskich, rządzonych przez klany i niedostępnych dla sił modernizacyjnych, przywódcy religijni podburzali do oporu przeciw „niewiernym”. W warunkach bliskich wojnie domowej i biorąc pod uwagę fakt, że pomogli ustanowić komunistyczny reżim, przywódcy Związku Radzieckiego rozważali interwencję w celu przywrócenia porządku. Uważano, że taka decyzja jest konieczna, by chronić południowe granice ZSRR i przeciwdziałać wszelkiej możliwej wewnętrznej destabilizacji spowodowanej wpływami islamskimi na własną dużą populację muzułmańską w republikach środkowoazjatyckich.

W grudniu 1979 roku podjęto zgubną w skutkach decyzję o wysłaniu żołnierzy. Sowieccy przywódcy sądzili, że interwencja potrwa około miesiąca. Gdyby uważniej poznali historię, wiedzieliby, jak łatwo najeźdźcy niezmiennie wpadali w pułapkę w nieprzyjaznych terenach Afganistanu i jak od wieków ponosili tam porażki. Według późniejszych wspomnień Zbigniewa Brzezińskiego, wówczas zaliczanego do „jastrzębi” doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego prezydenta Jimmy’ego Cartera, CIA potajemnie podburzała opozycję od lipca 1979 roku, mając nadzieję na wciągnięcie Sowietów w ich własny „Wietnam”. Tak właśnie się stało. Sowietci przez dziewięć kolejnych lat coraz głębiej grzęźli w kosztownej – zarówno, jeżeli chodzi o ludzi, jak i o zaangażowane środki – wojnie, coraz bardziej niepopularnej w kraju i niemożliwej do wygrania. Jednocześnie zasiane zostały ziarna późniejszych okropności, bo sowiecka okupacja przyciągała dżihadystów z Algierii i Pakistanu, którzy walczyli ramię w ramię z Afgańczykami. Mudżahedini byli finansowani głównie przez Arabię Saudyjską i wspierani ekonomicznie i militarnie przez CIA.

Stany Zjednoczone odpowiedziały powrotem do zimnowojennej retoryki. Prezydent Carter z dużą przesadą nazwał Afganistan największym zagrożeniem dla pokoju od czasów drugiej wojny światowej. Nałożono częściowe embargo na eksport do ZSRR, obejmujące między innymi zaawansowane technologie. Traktat

SALT II nie został ratyfikowany. Ameryka zbojkotowała też Igrzyska Olimpijskie w Moskwie w 1980 roku, co było krokiem w dużej mierze bezcelowym. Ucierpieli jedynie sportowcy, którzy trenowali przez lata, by następnie nie móc wziąć udziału w imprezie, która dla wielu z nich mogła być ukoronowaniem kariery. Większość krajów zachodnioeuropejskich zignorowała bojkot. Także embargo nie okazało się oczywistym sukcesem. Francja i Niemcy Zachodnie nie nałożyły własnych sankcji, a wręcz skorzystały z luki handlowej, pozostawionej przez Amerykanów. Jedno było jednak jasne: z polityki odprężenia nie pozostało nic. Rozpoczęła się „druga zimna wojna”.

W ciągu kolejnych pięciu lat relacje pomiędzy supermocarstwami uległy dalszemu pogorszeniu. Ton nadawał nowy amerykański prezydent, Ronald Reagan, były aktor filmów klasy B, którego swojskie maniery w połączeniu z przywiązaniem do konserwatywnych zasad okazały się przepisem na zwycięstwo w wyborach 1980 roku. Prezydenturę Cartera powszechnie uznawano już wówczas za porażkę. Reagana gorliwie wspierała jego najwierniejsza sojuszniczka, Margaret Thatcher. Demonstrowanie amerykańskiej siły poprzez gotowość do konfrontacji ze Związkiem Radzieckim było częścią polityki przywracania prestiżu po klęsce wietnamskiej. W 1983 Reagan określił ZSRR mianem „imperium zła”. W tym samym roku przyspieszył nuklearny wyścig zbrojeń. W listopadzie w Europie Zachodniej rozmieszczono pierwsze rakiety Pershing. Sowieci odpowiedzieli zerwaniem rozmów w sprawie pocisków dalekiego zasięgu. Rozmowy w sprawie układu o redukcji broni strategicznych (*Strategic Arms Reduction Treaty*) – w skrócie START – zostały wstrzymane, zanim jeszcze na dobre się zaczęły. Wcześniej w tym samym roku Reagan ogłosił nowy program nuklearny, Inicjatywę Obrony Strategicznej (*Strategic Defence Initiative*, w skrócie SDI), ochrzczonej mianem „gwiazdnych wojen”, ponieważ obejmowała ona całościowy system obrony raketowej zlokalizowany w kosmosie. Groziło to przechyleniem nuklearnej równowagi zdecydowanie na korzyść Ameryki. Sowieci nie mieli środków, by na to odpowiedzieć. Gdy jednak próbowali zagwarantować, że rozmowy w sprawie ograniczenia zbrojeń nuklearnych obejmą również i tę kwestię, Amerykanie

odmówili. Doktryna „wzajemnie gwarantowanego zniszczenia” (MAD) pozostawała w mocy. Jak na ironię, wydawała się jakąś gwarancją bezpieczeństwa.

Zwykli ludzie widzieli to inaczej. Strach powrócił. Nowa zimna wojna znów przypominała o groźbie nuklearnej zagłady. Obawy nie były tak wyraźne jak podczas kryzysu kubańskiego z października 1962 roku, niemniej realne i dotkliwe. Ruchy pokojowe, szczególnie w Wielkiej Brytanii i Niemczech Zachodnich, stały się nawet silniejsze niż w latach 50. W Wielkiej Brytanii Kampania na rzecz Rozbrojenia Nuklearnego (CND), która w 1979 roku miała zaledwie 5000 członków, w 1985 liczyła ich dwudziestokrotnie więcej. Kobiety zorganizowały przed amerykańską bazą w Greenham Common „obóz pokoju”, który stał się brytyjskim i międzynarodowym symbolem nowego ruchu protestu przeciwko stacjonowaniu pocisków manewrujących i typu Pershing, a także przeciwko narastającej groźbie wojny nuklearnej w Europie. Epicentrum protestów stały się Niemcy Zachodnie, w których rozlokowano większość rakiet. Dwa i pół miliona ludzi podpisało sporządzoną w listopadzie 1980 roku petycję, tak zwany „apel z Krefeld”, w którym domagano się całkowitego rozbrojenia nuklearnego w Europie. W październiku 1983 roku blisko 1,3 miliona ludzi wzięło udział w demonstracjach, które odbyły się w niemieckich miastach przeciwko stacjonowaniu pocisków. Program był jednak kontynuowany z poparciem rządów Helmuta Kohla w Niemczech Zachodnich i Margaret Thatcher w Wielkiej Brytanii.

Eskalacja nuklearnego wyścigu zbrojeń odbywała się niewyobrażalnym kosztem finansowym. Stany Zjednoczone, mimo wzrostu zadłużenia do kosmicznych rozmiarów, mogły sobie na to pozwolić. Dla Związku Radzieckiego był to ciężar dużo trudniejszy do udźwignięcia. Szacuje się, że z sowieckiego produktu krajowego brutto, sześciokrotnie mniejszego od amerykańskiego, około 15–17 procent wydawano na zbrojenia, czyli około trzy razy więcej niż w USA. Takiego poziomu wydatków na zbrojenia nie dawało się utrzymywać w nieskończoność. Związek Radziecki nie znalazł się na granicy implozji. Mógł kuśtykać jeszcze przez lata, mimo niedomagającej gospodarki, geriatrycznego kierownictwa i poważnych problemów w krajach satelickich. Pilnie potrzebował



jednak reformy wewnętrznej i restrukturyzacji. Potrzebował też wizjonerskiego przywództwa, które mogłoby tę reformę przeprowadzić. Niełatwo było jednak dostrzec, skąd miałyby ono nadejść.

Związek Radziecki miał w ciągu trzech lat poważnie zniedołężniałych przywódców. Leonid Breżniew przez lata funkcjonował na diecie złożonej z tabletek nasennych (od których był uzależniony), alkoholu i papierosów. Po kilku udarach niemal się nie ruszał i miał poważne problemy z mówieniem. Po jego śmierci w listopadzie 1982 roku szefem partii został były szef KGB, Jurij Andropow, który wprowadził pewne potrzebne zmiany, ale był zbyt dużym tradycjonalistą, by dawać nadzieję na fundamentalną reformę. Ponadto, z powodu poważnej choroby nerek, brakowało mu niezbędnej energii. Przetrwał zaledwie nieco ponad rok i zmarł w lutym 1984 roku. Na stanowisku sekretarza generalnego zastąpił go człowiek jeszcze starszy, mniej kompetentny i słabowity, cierpiący w dodatku na rozedmę płuc. Konstantin Czernienko był w oczywisty sposób kandydatem przejściowym, pozbawionym wpływów i wspieranym w roli szefa partii przez innych członków gerontokracji, którzy chcieli zachować swoje stanowiska i uniknąć planowanych śledztw w sprawie korupcji. Zmarł 10 marca 1985 roku. W wierchuszce partii panowała generalna zgoda, że tak potrzebna wewnętrzna odnowa i wzmocnienie Związku Radzieckiego na zewnątrz będzie zależało od tego, czy znajdzie się lider stosunkowo młody, energiczny, zaradny i dynamiczny.

Ktoś taki już czekał na swoją szansę. Michaił Gorbaczow, wybrany jednogłośnie przez Politbiuro na następnego sekretarza generalnego partii komunistycznej, miał zaledwie 54 lata i był nieledwie młodzieniaszkiem w porównaniu do poprzednich trzech liderów. Był protegowanym Andropowa i faktycznie rządził państwem, kiedy formalnym przywódcą był Czernienko. Gorbaczow był o krok od wyjścia z kuluarów na główną scenę, nie tylko w Związku Radzieckim, ale i w polityce światowej.

## ROZDZIAŁ 8

# Wschodni wiatr zmian

---

*Wiemy, że nasza droga jest trudna. Wybór został jednak dokonany i kroczymy drogą pierestrojki.*

Michaił Gorbaczow w wystąpieniu noworocznym do narodu, 1989 r.

*Mamy teraz doktrynę Franka Sinatry. Ma on piosenkę „I Did It My Way”.  
Każdy kraj musi zdecydować, jaką drogę obrać.*

Giennadij Gierasimow, rzecznik radzieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych,  
październik 1989 r.

**N**iemal nikt, czy to w Europie Wschodniej, czy Zachodniej, nie przewidywał tego, co miało nadejść. Radykalne zmiany w pozornie skostniałym bloku sowieckim wydawały się nie do pomyślenia. To, że mogłyby one nadejść z samego Związku Radzieckiego, było niewyobrażalne. Także Michaił Gorbaczow, kiedy 11 marca 1985 roku zostawał szefem Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, nie miał pojęcia, że w ciągu sześciu lat podjęte przez niego działania całkowicie zmienią historię świata. Chciał zreformować Związek Radziecki; ostatecznie go zniszczył. Oczywiście, nie było to wyłącznie jego dzieło. Jednak bez niego to by się nie wydarzyło. Pomiedzy jego dojściem do władzy w 1985 roku a wiosną 1989 roku silny wiatr zmian ze wschodu pod rządami Gorbaczowa przeszedł stopniowo w huragan, aż stał się zdolny do zniszczenia wszystkiego na swojej drodze i wyrwania z korzeniami starego porządku w Europie Wschodniej.

# Pierestrojka

Słowo to, nieprzetłumaczone, obiegło świat. Oznaczało „przebudowę” i weszło do obiegu wraz z przemówieniem Gorbaczowa wygłoszonym w Leningradzie w maju 1985 roku, kiedy to nowy sekretarz generalny partii komunistycznej ogłosił: „Oczywiście, wszyscy musimy przejść przebudowę (...). Wszyscy muszą przyjąć nowe podejście i zrozumieć, że nie ma dla nas innej drogi”. Co miała dokładnie znaczyć „przebudowa”, jak jej znaczenie i konsekwencje miały się zmieniać wraz z upływem czasu oraz z jakim sprzeciwem się spotka, nie było absolutnie jasne. Dla Gorbaczowa i tych w partii, którzy entuzjastycznie go poparli, oznaczała ona odnowę i ożywienie, które uważali za niezbędne do przywrócenia ideałów rewolucji 1917 roku.

Gorbaczow był człowiekiem z wewnątrz. Doszedł do władzy w ramach struktur reżimu. Nie wyobrażano sobie, że reformy, które będzie się starał wdrożyć, uszkodzą ten reżim – jego struktury władzy w ramach Związku Radzieckiego lub jego dominację w Europie Wschodniej. Sam Gorbaczow, zatwardziały komunistą, nie miał takiego zamiaru. Choć kraj zmagał się z narastającymi problemami w gospodarce i w relacjach z narodowościami nierosyjskimi, ZSRR w momencie przejmowania władzy przez Gorbaczowa był państwem stabilnym. Miał niski poziom zadłużenia zagranicznego, nie trapiły go żadne poważne niepokoje wewnętrzne i mógł liczyć na lojalność sił zbrojnych i służb bezpieczeństwa. Nie groziła mu polityczna destabilizacja, ani ze strony tych – stanowiących niewielką mniejszość – którzy chcieli wprowadzić niezbędne reformy, ani ultrakonserwatystów dominujących w politbiurze, którzy chcieli ich powstrzymać. Związek Radziecki mógł się chwiać, był skostniały, ale z pewnością nie musiał się obawiać natychmiastowego upadku w dającej się przewidzieć przyszłości, gdyby nie dezintegrująca dynamika pierestrojki.

Urodzony w marcu 1931 roku w chłopskiej rodzinie w Stawropolu na północnym Kaukazie, w regionie mocno zróżnicowanym etnicznie, ale zamieszkałym głównie przez Rosjan, Michaił Gorbaczow doświadczył nędzy

i prześladowań członków rodziny w czasach stalinizmu, jeszcze zanim rozpoczął szybką karierę partyjną, która w 1980 roku zaprowadziła go do Politbiura. Jego talenty organizacyjne, dynamizm i decyzyjność przyniosły mu uznanie. Uważano go za wschodzący talent. Zyskał na znaczeniu podczas krótkiego przewodnictwa Andropowa, który zdawał sobie sprawę z konieczności reform (w ograniczonym zakresie) i starał się promować kilku młodych aparatczyków. Uważał Gorbaczowa za swojego najważniejszego protegowanego i powierzył mu rozległą władzę nad dużą częścią gospodarki, w szczególności rolnictwem. Gorbaczow czasami przewodniczył posiedzeniom Politbiura, kiedy niedomagający Andropow był nieobecny (choć zadanie to zazwyczaj spadało na Konstantina Czernienkę). Śmierć Andropowa i konserwatywny wybór i tak już chorego Czernienki na jego następcę w lutym 1984 roku okazały się jedynie krótkim przerywnikiem.

Choroba Czernienki oznaczała, że Gorbaczow przez większość czasu kierował Politbiurem i Sekretariatem partii. Był teraz numerem dwa w kierownictwie Związku Radzieckiego. Kiedy Czernienko zmarł wieczorem 10 marca 1985 roku, Gorbaczow jeszcze tej samej nocy zwołał spotkanie Politbiura, które de facto zdecydowało, że zostanie on następnego dnia jednogłośnie wybrany na stanowisko sekretarza generalnego. Wybrano go nie z powodu radykalnych zapędów reformatorskich. Samemu Gorbaczowowi brakowało precyzyjnego planu. Czuł po prostu, że zmiana jest konieczna. Jego konserwatywni w większości koledzy z Politbiura z pewnością nie byli zainteresowani daleko idącymi reformami, mogącymi zagrozić systemowi gwarantującemu im nagrody i przywileje. Nie wszyscy z nich z pewnością pałali miłością do Gorbaczowa. Nie pojawił się jednak żaden alternatywny kandydat. Po śmierci trzech zniedołężniałych przywódców w krótkim czasie panowało przekonanie, że potrzebny jest ktoś młodszy i bardziej dynamiczny. A energia i zapał Gorbaczowa robiły wrażenie.

Nawet w takiej sytuacji na pierwszy rzut oka nie jest jasne, jak Gorbaczow mógł wprowadzać coraz bardziej radykalne zmiany, kiedy był jedynym reformatorem w Politbiurze, całkowicie otoczonym przez konserwatystów. Jednym z powodów było to, że Gorbaczow był niezwykle energiczny i przekonujący.

W przeciwieństwie do swoich poprzedników nie polegał na autorytecie swojego urzędu, ale na sile argumentów. Spotkania Politbiura były dłuższe niż w przeszłości. Toczyła się intensywna debata. Czasami Gorbaczow korygował swoje początkowe stanowisko. Jednak za pomocą ważkich argumentów i silnej osobowości potrafił też zdobyć aprobatę dla swoich pomysłów. Poza tym, szczególnie na początku, chciał utrzymać poparcie konserwatystów w Politbiurze dla podejmowanych przez siebie kroków.

W dużej mierze pomógł mu fakt, że konserwatyści nie mieli czytelnej strategii alternatywnej, którą mogliby zaproponować w miejsce reform. Gorbaczow nie miał problemu z naświetleniem kiepskiego stanu gospodarki, której sytuacja pogorszyła się pod koniec lat 70. i na początku 80. Wzrost gospodarczy spadał. Budżet wykazywał wielki deficyt. Pojawiały się niedobory, kwitł czarny rynek, wydajność była niska, za to łapówkarstwo i korupcja wszechobecne. Poziom życia należał do najniższych nawet wśród państw socjalistycznych. Wydatki na zbrojenia były, jak zwykle, utrzymywane, ale kosztem poziomu życia. Gorbaczow z własnego doświadczenia znał problemy rolnictwa i był w pełni świadomy niedociągnięć w produkcji przemysłowej oraz dotkliwego braku inwestycji, a także zdawał sobie sprawę z rosnącego obciążenia zadłużeniem zagranicznym. Konserwatyści mogli nie chcieć zmian. Nie potrafili jednak znaleźć sposobu na wyrwanie się z ekonomicznej pętli, po prostu pozostawiając sprawy tak jak dotychczas. Gorbaczow miał więc jedną przewagę, forsując zmiany: nie było oczywistej alternatywy. Konserwatyści od samego początku znaleźli się w defensywie.

Z grubsza tak samo przedstawiała się sytuacja w polityce zagranicznej. Gorbaczow mógł wskazać na rosnącą przepaść technologiczną między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim. Stała się ona jeszcze bardziej oczywista, gdy Związek Radziecki musiał stawić czoła ogłoszonej przez prezydenta Reagana w 1983 roku Inicjatywie Obrony Strategicznej (potocznie określanej jako „gwiazdne wojny”). Odpowiedź Sowietów była taka jak zwykle: zwiększenie wydatków na zbrojenia. Także Gorbaczow początkowo sądził, że jego kraj musi znacząco zwiększyć nakłady na obronność, co pozwoli dogonić USA

i przewyciężyć braki, szczególnie w technologiach informatycznych. Szybko jednak pojął, że możliwe jest inne podejście do problemu, opierające się na wypracowaniu fundamentalnej zmiany w stosunkach międzynarodowych ze Stanami Zjednoczonymi. Założył szeroko zakrojone rozbrojenie nuklearne. To miało przekonać Amerykanów, że ich kosztowna Inicjatywa Obrony Strategicznej jest całkowicie zbędna. Stojąc w obliczu oczywistego problemu polegającego na tym, że znaczące zwiększenie budżetu na obronność w sytuacji, gdy gospodarka cywilna i tak była mocno obciążona, ograniczyłoby możliwość podniesienia poziomu życia sowieckich obywateli, Gorbaczow był w stanie przekonać Politbiuro do wypróbowania alternatywnego podejścia. Konserwatyści nie mieli niczego, co mogliby przeciwstawić jego argumentom poza utrzymaniem dotychczasowej polityki – sprawdzonej już z marnym skutkiem – która mogłaby tylko pogorszyć sprawę. Co więcej, obawiali się tego, na co zaledwie kilka lat temu zwracał uwagę Andropow, jeszcze jako szef KGB: całkowitą nieprzewidywalność Reagana. Niepokoili się, że planuje on niespodziewany atak na Związek Radziecki. W 1983 roku byli bliscy paniki, kiedy radziecki wywiad błędnie wziął wojskowe ćwiczenia NATO za sygnał zbliżającego się ataku nuklearnego – sprawę wówczas wyciszono, ale był to najbardziej niebezpieczny punkt zapalny od czasu kryzysu kubańskiego w 1962 roku. Wreszcie zdali sobie sprawę, że rozmieszczenie rakiet SS-20 w Europie Wschodniej było błędem, który – poza ogromnymi kosztami – spowodował jedynie Zachód do kroków odwetowych w postaci rozmieszczenia lepszych od SS-20 pocisków Pershing II, przed którymi Związek Radziecki nie miał skutecznej obrony. Konserwatywny establishment wojskowy był więc otwarty na zmiany. I znów, słabość konserwatystów okazała się siłą Gorbaczowa.

Abstrahując od własnej sztuki przekonywania i słabości konserwatystów, Gorbaczow był w stanie realizować swoje reformatorskie plany, wzmacniając własną pozycję w Politbiurze i innych kluczowych organach partii. Choć zawsze musiał sobie radzić z niepopierającą jego reformatorskiego zapału większością w Politbiurze, szybko przeprowadził zmiany personalne, które zapewniły mu potrzebne wsparcie, szczególnie w polityce zagranicznej. Wypromował, kosztem

pozostałych konserwatystów, kilku byłych protegowanych Andropowa. Dotyczyło to między innymi tych, którzy zakulisowymi intrygami doprowadzili do jego bezproblemowego wyboru na stanowisko sekretarza generalnego: Nikołaj Ryżkow stał się odpowiedzialny za gospodarkę, został również prezesem Rady Ministrów; Jegor Ligaczow, który za Andropowa odpowiadał za partyjny Departament Organizacyjny, awansował na członka Politbiura, a w Sekretariacie powierzono mu sprawy ideologiczne. W Sekretariacie znalazł się również ważny sojusznik i zwolennik radykalnych reform, Aleksander Jakowlew. Eduard Szewardnadze, szef partii w Gruzji, który gorąco popierał pogląd Gorbaczowa, że zmiana jest konieczna, został mianowany ministrem spraw zagranicznych, podczas gdy zatwardziały konserwatysta, Andriej Gromyko, został usunięty poprzez nominalny awans na stanowisko przewodniczącego Prezydium Rady Najwyższej, czyli szefa państwa. Ryżkow i Ligaczow – a także Borys Jelcyn, szef partii ze Swierdłowska (przemianowanego później na starą, carską nazwę Jekaterynburg), który został mianowany szefem Sekretariatu w Moskwie – dołączyli później do grona tych, którzy zdystansowali się od Gorbaczowa i stali się jego krytykami. Jednak na wczesnym etapie reform byli ważnymi sojusznikami przeciw tradycjonalistom, którym nie spieszyło się do żadnych zmian. Także na niższych poziomach Gorbaczow promował aparatczyków sympatyzujących z reformami. Pod powierzchnią sklerotycznego breżniewowskiego reżimu nowa fala dobrze wykształconych menadżerów ekonomicznych i ekspertów technologicznych już wcześniej doszła do wniosku, że zmiana jest konieczna. Oni i aparatczycy średniego szczebla musieli postępować ostrożnie. Wielu z nich było jednak otwartych na reformatorskie idee i kiedy dostali sygnał z góry, byli gotowi je poprzeć. Do połowy 1986 roku dwie trzecie partyjnych sekretarzy na prowincji stanowili nowi nominaci.

I wreszcie, Gorbaczow mógł kroczyć swoją reformatorską ścieżką w coraz bardziej radykalnym kierunku, ponieważ wraz z umacnianiem swojej pozycji jego własne poglądy na reformy uległy fundamentalnej zmianie. Zaczynał jako komunista; skończył jako socjaldemokrata na zachodnią modłę. Stopniowo

dochodził do wniosku, że reforma nie wystarczy. W 1988 roku dotarł do punktu, w którym zdał sobie sprawę, że system sowiecki musi przejść gruntowny przegląd, a następnie całkowitą transformację. W procesie osobistej przemiany pociągnął za sobą sowieckie kierownictwo – niektórzy szli chętniej niż inni, niektórzy daremnie próbowali wcisnąć hamulec, co przypominało próby zatrzymania rozpędzonej ciężarówki. Gdy reformy nabierały tempa, przeciwnikom Gorbaczowa coraz trudniej było je zatrzymać, nie mówiąc już o ich odwróceniu. Było zdecydowanie za późno, by sięgnąć do stalinowskich metod wszechobecnego terroru. Drastyczne represje byłyby znacznie trudniejsze do wprowadzenia niż w latach 30. Sowieckie społeczeństwo zmieniło się od tamtych czasów. Ludzie w większości popierali reformy Gorbaczowa. W latach 1985–1990 sekretarz generalny cieszył się ogromną osobistą popularnością. Także wśród inteligencji Gorbaczow znajdował licznych zwolenników dla swoich radykalnych propozycji (choć lokalni funkcjonariusze partii często próbowali je sabotować).

Nie dało się również wrócić do dawnej pełnowymiarowej gospodarki nakazowej. Poważnych problemów ekonomicznych Związku Radzieckiego nie dało się rozwiązać z takim podejściem. A w peryferyjnych, nierosyjskich republikach radzieckich narastała presja, by raczej poluzować cugle, niż je ściągać. Reformy nabrały własnej dynamiki. Jeden z konserwatystów, Witalij Worotnikow, który później żałował, że dał się porwać sile argumentów Gorbaczowa, narzekał, że „pociąg pseudodemokracji nabrał takiego pędu, że zatrzymanie go przekraczało nasze siły”. Miał rację: tak długo jak Gorbaczow był sowieckim przywódcą, presji na zmiany nie dało się powstrzymać. Pociągnęła ona ze sobą samego Gorbaczowa. Stojąc wobec dylematu, czy powstrzymać, czy zradyzalizować reformy, jego odpowiedź była przewidywalna i konsekwentna. „Jestem skazany, by iść do przodu i tylko do przodu”, mówił podobno. „Jeżeli się cofnę, będę zgubiony i sprawa również będzie zgubiona!”. Jednak radykalna zmiana, ten „marsz do przodu”, w nieubłagany sposób prowadził w jednym kierunku: kruszenia, a ostatecznie całkowitego podkopania struktur władzy w państwie sowieckim.



Bez względu na to, jak poważne były problemy Związku Radzieckiego, kiedy Gorbaczow zostawał przywódcą partii, mógł on jeszcze trwać przez kolejne lata. Tak wtedy, jak i później niektórzy twierdzili, że Związek Radziecki mógł pójść drogą przyjętą w 1979 roku przez Chiny pod wodzą Deng Xiaopinga, czyli połączyć reformę gospodarczą z kontynuacją silnej, autorytarnej kontroli politycznej. Argumentowali, że strategia podjęcia najpierw reform gospodarczych, a dopiero później transformacji politycznej, mogłaby przedłużyć istnienie Związku Radzieckiego w nieskończoność. Gorbaczow się z tym nie zgadzał. Oceniał takie poglądy jako naiwne. Uważał, że reforma gospodarcza w Związku Radzieckim bez towarzyszącej jej znaczącej zmiany politycznej byłaby skazana na porażkę. (Deng z kolei uważał Gorbaczowa za „idiotę”). Tak czy inaczej, problemy strukturalne pozwoliły Gorbaczowowi stworzyć coś, co okazało się niepowstrzymanym pędem ku radykalnym zmianom. Jednak bez osobistego udziału Gorbaczowa, jego nienasyconego i wciąż rosnącego apetytu na reformowanie skostniałych struktur władzy w Związku Radzieckim, ten pęd mógłby w ogóle się nie pojawić. Tę niekłamaną wolę zmian, która przyczyniła się do transformacji Związku Radzieckiego, jego państw satelickich, a ostatecznie całej Europy, przyjęło się nazywać „czynnikiem Gorbaczowa”.

Choć Gorbaczow na stanowisku sekretarza generalnego początkowo zdawał się skupiać na reformie gospodarczej, przez wiele miesięcy za tą retoryką szło niewiele konkretów. Jego punkt wyjścia – czyli przede wszystkim ugłaskanie niemal w całości konserwatywnego Politbiura – był w istocie próbą poprawy tego, co zastał w ramach strategicznych ram nakreślonych jeszcze przez Breżniewa. W swoim pierwszym przemówieniu po wyborze na stanowisko sekretarza generalnego powiedział, że jego celem jest „przyspieszenie społecznego i ekonomicznego rozwoju kraju i poprawa wszystkich aspektów życia naszego społeczeństwa”. Była to wyjątkowo mętna deklaracja intencji. Gorbaczow, choć przekonany o pilnej potrzebie reform, nie miał w głowie jasnego planu. Był w stanie przekonać nawet konserwatystów, że zarządzanie gospodarką musi zostać zdecentralizowane. Jednak konkretne kroki prowadzące do tego celu,

wprowadzenie zmian, przekształcenie deklaracji intencji w rzeczywistość, to już była zupełnie inna sprawa. Poruszał się po politycznym polu minowym. Przy całej swej woli zmian nie mógł ich przeprowadzić z dnia na dzień. Potrzebne były miesiące gorących perswazji, zastąpienie twardogłowych przez ludzi bardziej otwartych i zdecydowane ruchy na rzecz zbudowania klimatu dla zmiany, zanim proces reform mógł ruszyć z miejsca i nabrać tempa. Jednocześnie sam Gorbaczow cały czas uczył się i zmieniał. Stopniowo utwierdzał się w przekonaniu, że radykalna reforma jest możliwa. Został również porwany przez strumień zmian, który sam zapoczątkował.

Wkrótce zdał sobie sprawę, że reformę gospodarczą na dużą skalę da się przeprowadzić tylko wtedy, jeśli zmiana polityczna będzie ją poprzedzać, a nie następować po niej. Dlatego też szybko zaczął forsować reformę *polityczną*. A ona, choć początkowo była jedynie platformą do późniejszej zmiany ekonomicznej i społecznej, stopniowo stawała się celem samym w sobie. „W ogniu politycznych batalii straciliśmy z oczu gospodarkę”, przyznawał później Gorbaczow.

Wizyty w różnych regionach Związku Radzieckiego latem 1985 roku utwierdziły Gorbaczowa w miażdżącej ocenie stanu gospodarki. Jednak to, co go naprawdę zszokowało i przekonało, że nawet ograniczone reformy i administracyjne korekty będą dalece niewystarczające, by wybudzić kraj z marazmu, była straszliwa katastrofa nuklearna w Czarnobylu na Ukrainie, około 100 kilometrów na północ od Kijowa, do której doszło 26 kwietnia 1986 roku. Przegrzanie reaktora elektrowni atomowej doprowadziło do katastrofalnej eksplozji. Opad radioaktywny, znacznie gorszy niż w Hiroszynie i Nagasaki po rzuceniu bomb atomowych na te japońskie miasta w sierpniu 1945 roku, został przeniesiony przez mocne wiatry na znaczne obszary Europy Wschodniej, Środkowej i Północnej. Narażenie milionów ludzi na skutki napromieniowanie spowodowało, że katastrofa stała się sprawą nie sowiecką, lecz międzynarodową. Odcisnęła też mocne piętno na ruchach antynuklearnych i ekologicznych w Europie Zachodniej.

Dla Ukraińców w regionie epicentrum eksplozji była to niewyobrażalna klęska. Jednak ani skala, ani natura katastrofy nie zostały natychmiast rozpoznane, ponieważ władze początkowo nie informowały lokalnej społeczności, co się tak naprawdę stało. Naoczna relacja ciężarnej żony strażaka, który zginął w walce z pożarem, ukazuje chaotyczne sceny rodem z horroru:

Były wysokie płomienie. Mnóstwo sadzy, potworny gorąc (...). Zwalczyli ogień, ale on wypełził znowu, piął się w górę (...). Nie mieli kombinezonów ochronnych, zostali w samych koszulach. Nikt ich nie ostrzegł. Zostali wezwani do zwykłego pożaru (...). Błagał mnie: „Uciekaj! Ratuj dziecko!” (...). Wszędzie byli żołnierze (...). Nikt nie mówił nic o promieniowaniu. Tylko żołnierze mieli maski (...). W radiu ogłosili: „Miasto zostanie ewakuowane na trzy do pięciu dni. Weźcie ciepłe rzeczy i dresy. Będziecie mieszkać w lesie, w namiotach (...)”.

Zginęło przynajmniej 20 osób. Liczbę tych, którzy zmarli później w wyniku eksplozji, szacuje się na dziesiątki tysięcy. Problemy zdrowotne, wynikające z narażenia na wysoki poziom skażenia radioaktywnego, były odczuwalne przez wiele lat. Atmosfera została skażona, ziemia zanieczyszczona. Okolica nie nadawała się do życia. Przymusowo przesiedlono około 135 000 obywateli.

Dla Gorbaczowa katastrofa obnażyła nie tylko zacofanie technologiczne, ale również „bankructwo starego systemu”. Wspominał później, że „Czarnobyl rzucił światło na wiele schorzeń naszego systemu jako takiego”. Były wśród nich niekompetencja, próby ukrywania ważnych informacji, przemilczanie złych wiadomości, nieodpowiedzialność, lekkomyślność, powszechne pijaństwo i brak decyzyjności. Był to kolejny „przekonujący argument na rzecz radykalnych reform (...). Musieliśmy dalej realizować pierestrojkę”.

Drugie rosyjskie słowo, które wkrótce potem weszło do międzynarodowego słownika to „głasnost” – „jawność” lub „otwartość”. Była ona kluczowym elementem pragnienia Gorbaczowa, by wywołać debatę na temat przeprowadzanych przez niego zmian, w ten sposób zwiększając ich popularność i powodując, by stały się nieodwracalne. Nie chodziło o to, by wprowadzić

nieograniczoną wolność wypowiedzi lub swobodny dostęp do informacji, nie mówiąc już o liberalnej demokracji na zachodnią modłę. Niemniej jak na warunki sowieckie było to posunięcie nadzwyczajne, a jego konsekwencje nieobliczalne. Znakiem, że Gorbaczow wycofuje się z polityki represji wobec nonkonformistycznych opinii, było uwolnienie z wygnania w mieście Gorki najśłynniejszego sowieckiego dysydenta, fizyka atomowego, Andrieja Sacharowa, w grudniu 1986 roku.

W kolejnym roku pomysły Gorbaczowa na restrukturyzację ewoluowały jeszcze bardziej. Projekt ustawy o przedsiębiorstwie państwowym, który przedstawił w czerwcu 1987 roku, zakładał ustanowienie pochodzących z wyboru osób zarządzających w fabrykach, pewien poziom decentralizacji produkcji i – na wzór Nowej Polityki Ekonomicznej Lenina z lat 20. – istnienie małych przedsiębiorstw prywatnych w usługach i przemyśle. W ciągu dwóch lat początkowo niewielki sektor prywatny znacznie się rozrósł, choć jego rozmiar pozostał niewielki. Natomiast w sektorze państwowym, wciąż znacznie większym, możliwe stało się zwalnianie pracowników i zamykanie deficytowych zakładów. Odchodzenie od kontrolowanej przez państwo gospodarki nakazowej stało się jeszcze wyraźniejsze, gdy wprowadzono zasadę, że ziemia, a nawet państwowe fabryki mogą być prywatnie dzierżawione na okres do 50 lat. Jednocześnie Gorbaczow w listopadzie 1987 roku zażądał wprowadzenia rządów prawa i nowej kultury politycznej, które miały stać się fundamentami sowieckiego społeczeństwa. Równie zaskakujący i stanowiący kompletne zerwanie z leninowską ideologią klasową był jego postulat, by politykę zagraniczną oprzeć na „wspólnych ludzkich wartościach”, dzielonych z innymi krajami.

W sferze stosunków międzynarodowych Gorbaczowowi udało się przekonać swoich kolegów z Politbiura, że zakończenie nuklearnego wyścigu zbrojeń leży w bezpośrednim interesie Związku Radzieckiego. Nie tracił więc czasu i spotkał się z prezydentem Reaganem, szukając możliwości zawarcia porozumienia. Już na rok przed objęciem władzy Gorbaczow zrobił pozytywne wrażenie na największej sojuszniczce Reagana, Margaret Thatcher, podczas „ofensywy wdzięku”

w Wielkiej Brytanii. Choć dobrze zdawał sobie sprawę, że jest ona nieprzejednaną antykomunistką, uznał, że stanowi „najkrótszą drogę, by wysłać wiadomość do Waszyngtonu”. Kiedy 16 grudnia 1984 roku wraz z żoną Raisą jedli lunch w wiejskiej rezydencji brytyjskich premierów w Chequers, Gorbaczow przełamał lody, zapewniając Thatcher, że „nie ma instrukcji z Politbiura, by przekonać Panią do wstąpienia do partii komunistycznej”. Thatcher ten żart wyraźnie rozluźnił i później, według słów jednego ze swoich doradców, miała powiedzieć: „Podoba mi się ten Gorbaczow. Można robić z nim interesy”.

Także Gorbaczow i Reagan nawiązali dobre osobiste stosunki, kiedy spotkali się w Genewie w listopadzie 1985 roku. Na drugim szczycie w stolicy Islandii, Reykjaviku, który odbył się w dniach 11–12 października 1986 roku, Gorbaczow całkowicie zaskoczył Reagana, proponując pięćdziesięcioprocentową redukcję strategicznych arsenałów nuklearnych po obu stronach. Kiedy Amerykanie się wahali, zasugerował całkowitą rezygnację z pocisków średniego zasięgu w Europie. Propozycja upadła, kiedy Reagan odmówił rozszerzenia tych ograniczeń na próby przeprowadzane na potrzeby Inicjatywy Obrony Strategicznej. Trzeci szczyt, który odbył się w dniach 7–10 grudnia 1987 roku w Waszyngtonie, zakończył się większym sukcesem. Gorbaczow i Reagan podpisali tym razem układ o całkowitej likwidacji pocisków raketowych pośredniego zasięgu, zobowiązujący Związek Radziecki i Stany Zjednoczone do zniszczenia wszystkich pocisków lądowych o zasięgu między 500 a 5500 kilometrów. Gorbaczow i Reagan spotkali się ponownie między 29 maja a 3 czerwca 1988 roku, tym razem w Moskwie, gdzie rozmawiali o prawach człowieka i wycofaniu wojsk radzieckich z Afganistanu, które ogłoszono w kwietniu – Gorbaczow zakończył w ten sposób katastrofalny epizod „sowieckiego Wietnamu”. Co jednak być może najważniejsze, spotkanie odzwierciedlało zmianę klimatu – znaczącą poprawę relacji pomiędzy supermocarstwami, możliwą w dużej mierze dzięki osobistej sympatii pomiędzy Gorbaczowem a Reaganem oraz wysuwany przez sekretarza generalnego śmiały inicjatywom, zmierzającym do zmniejszenia prawdopodobieństwa konfliktu nuklearnego.

Występując 7 grudnia 1988 roku przed Zgromadzeniem Ogólnym ONZ w Nowym Jorku, Gorbaczow ogłosił, że jednostronnie redukuje sowieckie siły zbrojne o pół miliona ludzi, a do 1991 roku wycofa sześć dywizji pancernych z Niemieckiej Republiki Demokratycznej, Czechosłowacji i Węgier. Nawiązał do „wspólnego celu” ludzkości, którym powinien być światowy pokój. O walce klas nie wspomniał. Odwrócił się od założeń marksizmu-leninizmu. W krótkim czasie przeszedł długą drogę.

Problemy w Związku Radzieckim jednak tymczasem narastały w niepokojący sposób. Głasnost skłoniła ludzi do głośnego wylewania swoich żalów, między innymi na temat obecnej wśród lokalnych urzędników korupcji, potępianej otwarcie w trakcie rządowej kampanii. W republikach nierosyjskich skargi te łatwo zyskiwały wymiar etniczny, objawiając się niechęcią do rosyjskich funkcjonariuszy, traktowanych jako element napływowy, faworyzowany kosztem miejscowych. Do niepokojów etnicznych doszło w Kazachstanie i Azerbejdżanie, ale bardziej złowrogie sygnały narastającej fali narodowościowej dochodziły z republik bałtyckich, Litwy, Łotwy i Estonii, które domagały się autonomii od Moskwy. Gorbaczow otworzył puszkę Pandory, której wieka nie dało się na powrót zamknąć.

Pod koniec 1988 roku stało się również jasne, że gospodarka się wali. Reformy Gorbaczowa tylko pogorszyły sytuację, nie polepszyły. Wszystkie wskaźniki pokazywały, że wyniki gospodarcze pogarszają się szybko. Deficyt finansowy Związku Radzieckiego rósł w alarmującym tempie. Sprzedaż wódki była ważnym źródłem przychodów podatkowych, które łątały trzeszczący w szwach budżet. Zyski z eksportu – szczególnie ropy i gazu – spadały. Dla tak wielkiego kraju – bogatego w zasoby naturalne – znaczące było, że duża część twardej waluty pozyskiwanej z eksportu wydawana była na import żywności. Racjonowanie podstawowych produktów żywnościowych – w tym mięsa i cukru – było pod koniec 1988 roku powszechne. Szpitale informowały o braku leków. W ciągu roku wiele dóbr codziennego użytku – mleko, herbata, kawa, mydło, mięso – zniknęło ze sklepów. Co zrozumiałe, gniew niezliczonych zwykłych obywateli był namacalny.

W kilku rejonach kraju wybuchły strajki. I właśnie w tej sytuacji pogłębiającego się kryzysu gospodarczego i narastającego społecznego niezadowolenia miały się odbyć wybory.

Wybory w marcu 1989 roku – pierwsze wolne wybory w historii Związku Radzieckiego – do Zjazdu Deputowanych Ludowych (nowego ciała składającego się z 2250 członków, które zastąpiło Radę Najwyższą w roli najważniejszego organu ustawodawczego w kraju) przyniosły sensacyjne wyniki. Nie były to wybory wielopartyjne, tak jak w zachodnich demokracjach. Kandydaci musieli być członkami partii komunistycznej. Nowość polegała jednak na tym, że o jedno miejsce mógł ubiegać się więcej niż jeden kandydat. Na tym polegał kompromis – pewna wolność wyboru w ramach kontynuacji państwa jednopartyjnego – konieczny, by ugłaskać konserwatystów. Mimo wszelkich niedoskonałości był to ważny krok w stronę demokracji. Sensacja polegała na tym, że około 20 procent kandydatów popieranych przez partię zostało odrzuconych przez wyborców. W każdym z wielkich miast Związku Radzieckiego – Moskwie, Leningradzie, Kijowie – kandydat popierany przez partię został pokonany. W Moskwie Borys Jelcyn (który zrezygnował z członkostwa w Politbiurze w 1987 roku) wbrew oporowi całego aparatu partyjnego dostał prawie 90 procent głosów.

Była to największa porażka wyborcza komunistów od 1918 roku. Otworzyła ona drogę do dalszych politycznych turbulencji. W samym Zjeździe około 300 reformatorów – wśród których prym wiódł Jelcyn – domagało się dalszej demokratyzacji i bardziej radykalnych zmian. Jednocześnie republiki bałtyckie coraz bardziej zdecydowanie domagały się autonomii od Moskwy, a niepodległościowe protesty doprowadziły do rozlewu krwi w Gruzji. Bunt i konflikty międzyetniczne owocowały coraz liczniejszymi aktami przemocy na Kaukazie i odzwierciedlały osłabienie więzi z nierosyjskimi republikami. A wszystko to przy trwałym i narastającym kryzysie gospodarczym. Gorbaczow pozostawał popularny, co miało się nie zmienić do lata 1990 roku. Jednak jego popularność i władza osiągnęły punkt szczytowy. Od tego momentu miały tylko słabnąć.

Sam Gorbaczow nie mógł się już jednak cofnąć. To, co zaczęło się jako ewolucyjna reforma, stawało się zmianą rewolucyjną. Implozja wpłynęła przy tym nie tylko na Związek Radziecki. W nieunikniony sposób miała ona również doniosłe konsekwencje dla państw satelickich, składających się dotąd na sowieckie imperium w Europie Wschodniej.

## **Pęd ku zmianom**

Jak znaczący był „czynnik Gorbaczowa” w upadku bloku sowieckiego? Pytanie to należy rozpatrywać w świetle poważnej strukturalnej słabości, która nękała państwa socjalistyczne. Po raz kolejny porusza ono główny problem interpretacji: jak ważna jest rola jednostki w kształtowaniu wielkiej historycznej zmiany? I do jakiego stopnia rola ta jest warunkowana przez czynniki strukturalne?

Problemy strukturalne każdego z sowieckich satelitów pogłębiły się w wyniku kryzysów naftowych z lat 70. (patrz rozdział 7). Różnica w tempie wzrostu pomiędzy blokiem sowieckim a gospodarkami zachodnimi rosła, a nie malała. Zadłużenie państw Europy Wschodniej w połowie lat 80. osiągnęło alarmujący poziom. Duży odsetek zysków w twardej walucie był przeznaczanych na obsługę zadłużenia w zachodnich bankach, więc wyrwanie się z tego błędnego koła stało się niemal niemożliwe. Doradcy Gorbaczowa mówili mu, że Europa Wschodnia stała się dla Związku Radzieckiego ekonomicznym ciężarem, a nie strategiczną koniecznością.

Rumunia pokazała, że spłata państwowego zadłużenia nie jest całkowicie niemożliwa, trudno ją było jednak prezentować jako wzór do naśladowania. Międzynarodowy Fundusz Walutowy w 1982 roku narzucił Rumunii twarde warunki w zamian za rozłożenie na korzystniejsze raty jej ogromnego (i wciąż rosnącego) zadłużenia. W odpowiedzi Nicolae Ceaușescu przyjął radykalną strategię: spłacić całe zadłużenie, i to w bardzo krótkim czasie. Dług został de facto zwrócony do 1989 roku. Było to jednak możliwe tylko poprzez narzucenie



drakońskich ograniczeń w wydatkach konsumpcyjnych. Cięcia, obejmujące między innymi „program racjonalnego żywienia”, który miał ograniczyć przyjmowanie kalorii o 15 procent, skazały obywateli na życie w skrajnej nędzy. Drastycznie ograniczony został import, prowadząc do chronicznych niedoborów podstawowych produktów żywnościowych. Zużycie elektryczności spadło w 1985 roku do zaledwie 20 procent poziomu z 1979 roku, a zużycie gazu w Bukareszcie zimą 1987 roku zostało ograniczone do dwóch godzin dziennie.

Kiedy Rumuni głodowali i zamarzali, Ceaușescu wraz z żoną Eleną pławił się w bezwstydnym luksusie, przywodzącym na myśl ostatnie dni Nerona. Krzewił też kult jednostki, którego poziom serwilizmu i absurdalności był rzadki nawet jak na standardy autorytarnych reżimów. Oznaki megalomanii były ewidentne. Rozdęte, prestiżowe projekty pochłaniały ogromne sumy pieniędzy. Około 40 000 mieszkańców zostało wysiedlonych ze swoich domów, by zrobić miejsce na „Dom Republiki” w Bukareszcie, stylistycznie nawiązujący do najgorszych ekscesów stalinowskiej architektury. W 1988 roku Ceaușescu ogłosił program zakładający zniszczenie 8000 wiosek po to, by zbudować „kompleksy agroprzemysłowe”. Chłopi, którzy nie zniszczyli swoich domów, nie mieli prawa do odszkodowania. Mniejszość węgierska miała być „romanizowana”. Najbardziej cierpiały kobiety, bo antykoncepcja i aborcja były zakazane, a wiek małżeński obniżono do 15 lat. Dziesiątki tysięcy dzieci zostało odebranych biednym rodzinom i trafiło do sierocińców.

Reżim Ceaușescu był prawdziwie potworny. Jednak niewiarygodna skala kumoterstwa i korupcji rządzącej elity oraz brutalne represje Securitate – budzącej grozę tajnej policji (której liczebność szacowano na 24 000 funkcjonariuszy) wspieranej przez ogromną sieć nadzoru, liczącą być może nawet setki tysięcy informatorów – robiły wiele, by przekonać obywateli, że bez względu na niewielkie poparcie, jakim w rzeczywistości cieszył się reżim, możliwa jest tylko milcząca opozycja. Nawet ci Rumuni, którzy prywatnie zajmowali stanowisko krytyczne, raczej nie wyobrażali sobie, że można zejść z drogi wytyczonej przez Ceaușescu. Jednak Rumunia, bez względu na specyficzny charakter swojej

odmiany komunizmu, nie mogła uciec przed klimatem zmian, który zaczął oddziaływać na całą strefę komunistyczną.

Despotyczna tyrania w Rumunii wyraźnie odstawała od reszty bloku socjalistycznego. Pozostawała wprawdzie częścią Układu Warszawskiego, ale Ceaușescu od czasu inwazji na Czechosłowację w sierpniu 1968 roku coraz częściej szedł własną drogą. To, że dystansował się od Związku Radzieckiego, rozwijając wersję rumuńskiego narodowego komunizmu, a w konsekwencji wbijając klin pomiędzy kraje Układu Warszawskiego, zachęcało kraje zachodnie do dopieszczania odrażającego dyktatora. W 1978 roku Ceaușescu został nawet zaproszony do złożenia oficjalnej wizyty w Wielkiej Brytanii i zjadł kolację z królową Elżbietą II. Choć Ceaușescu czynił umizgi do Gorbaczowa, bo Rumunia potrzebowała sowieckiej pomocy gospodarczej, porozumienie intelektualne było niemożliwe. Ich spotkanie w maju 1987 roku wywołało szereg krytycznych uwag ze strony sowieckiego przywódcy. Rumuńska i radziecka ścieżka rozchodziły się coraz bardziej. Jednak im czytelniej Gorbaczow przedstawiał swoje radykalne podejście do zmian w ramach krajów Układu Warszawskiego, tym bardziej zagrożona była absolutystyczna władza Ceaușescu w Rumunii.

Pozostałe kraje Układu Warszawskiego były mocno podzielone, jeżeli chodzi o stosunek do reform Gorbaczowa. Reżimy w Bułgarii (tradycyjnie bezwzględnie lojalnej wobec Moskwy), Niemieckiej Republice Demokratycznej i Czechosłowacji patrzyły na zmiany zachodzące w Związku Radzieckim z niechęcią, lękiem i obawami. Opór przed nowym klimatem wprowadzanym przez Gorbaczowa równał się obronie struktur władzy w ich własnych krajach, na których opierały się ich rządy.

Wciąż utrzymujący się u władzy Todor Żiwkow, przywódca Bułgarskiej Partii Komunistycznej i głowa państwa od marca 1954 roku, nie mógł przychylnie patrzeć na reformy Gorbaczowa w Związku Radzieckim. Jego podjęta w 1982 roku próba ożywienia kulejącej gospodarki, szczególnie poprzez poprawę zaopatrzenia w dobra konsumpcyjne, spełzła na niczym. Problemy gospodarcze kraju pogłębiły się, kiedy Związek Radziecki w obliczu spadku przychodów z eksportu ropy

ograniczył dostawy tego surowca do Bułgarii (i innych wschodnioeuropejskich satelitów). Gorbaczow zanotował później, że bułgarska gospodarka była utrzymywana przy życiu przez „sztuczne oddychanie”, zapewniane przez zagraniczny kapitał. Żiwkow starał się odwrócić uwagę od pęczniejącego zadłużenia zagranicznego i gospodarki znajdującej się „na granicy zawału”, nasilając prześladowania tureckiej mniejszości – około jednej dziesiątej populacji. Wraz z postępami „restrukturyzacji” w Związku Radzieckim relacje z Moskwą stawały się coraz bardziej napięte. Żiwkow oficjalnie poparł reformy, nieśmiało wprowadzając w latach 1986–1988 „bułgarską pierestrojkę”. W 1987 roku został nawet – przynajmniej nominalnie – upomniany przez Gorbaczowa za obranie kursu, który mógł docelowo zagrozić komunistycznemu monopolowi władzy w Bułgarii i otaczanie się prozachodnimi doradcami. Stanowisko Żiwkowa pełne było jednak hipokryzji. Nie miał zamiaru osłabiać, nie mówiąc już o oddawaniu, swojej władzy. W 1987 roku Politbiuro Bułgarskiej Partii Komunistycznej otwarcie odrzuciło pierestrojkę jako nieodpowiednią dla bułgarskich realiów.

Podobnie myślał Erich Honecker, który rządził Niemiecką Republiką Demokratyczną od 1971 roku. Dzięki pożyczkom z Niemiec Zachodnich oraz opłatom pobieranym za korzystanie z trasy tranzytowej do Berlina Zachodniego i przekraczanie muru z zachodu na wschód NRD było w stanie utrzymać stosunkowo wysoki jak na standardy bloku wschodniego poziom życia, nawet jeżeli znacznie odbiegający od zachodnioeuropejskiego. Nawet tu jednak, pod warstwą oficjalnego optymizmu, gospodarka słabła, a dług państwa szybko rósł. Opozycja polityczna była bardziej rozpowszechniona niż jeszcze kilka lat wcześniej. Znalazła swoją niszę, mimo ograniczeń w debacie publicznej i stałego zagrożenia prześladowaniami ze strony represyjnych sił państwa, w ruchu pokojowym, który, podobnie jak w Niemczech Zachodnich, rozwinął się dzięki rozmieszczeniu głowic jądrowych na niemieckiej ziemi podczas eskalacji „drugiej zimnej wojny”. W 1986 roku było w NRD około 200 grup pokojowych. Ważną rolę w artykułowaniu sprzeciwu wobec kwestii nuklearnej odgrywał kler protestancki, który uświadamiał również młodych ludzi w sprawach niszczenia

środowiska. Żaden z tych ruchów nie stanowił fundamentalnego zagrożenia dla reżimu, który jak zawsze gotów był użyć siły, by stłumić publiczne przejawy niezadowolenia. Honecker nie widział potrzeby zmiany kursu. Co oczywiste, nie powitał z zadowoleniem nowych porządków, które nastąpiły za Gorbaczowa w Związku Radzieckim. Reformę, początkowo błędnie wziętą za jedynie kosmetyczną, uznawano za całkowicie niepotrzebną w NRD. W styczniu 1987 roku Honecker jasno dał do zrozumienia, że droga pierestrojki nie pasuje do Niemiec Wschodnich. „Jeżeli mój sąsiad decyduje się zmienić tapetę, to nie znaczy, że ja muszę zrobić to samo” – takie było stanowisko NRD, wyrażone przez głównego ideologa reżimu, Kurta Hagera.

W Czechosłowacji, znacznie bardziej niż w przypadku NRD czy Bułgarii (nie wspominając o Rumunii), przyście Gorbaczowa ponownie otworzyło przepaść pomiędzy reżimem a licznymi grupami społecznymi (przede wszystkim intelektualistami) – podział ten po stłumieniu Praskiej Wiosny w sierpniu 1968 roku nigdy nie został zasypany, nawet jeżeli na pierwszy rzut oka nie był widoczny. Od tego czasu, by użyć trafnej metafory Timothy’ego Gartona Asha, Czechosłowacja była jak „jezioro trwale skute grubą warstwą lodu”. Pod lodową powłoką trwał ruch. Większość ludzi przez długi czas dawała się przekupić względnym dostatkiem towarów w sklepach. Jednak w połowie lat 80. wzrost gospodarczy wyhamował, a zadłużenie kraju wzrosło. Prognozy gospodarcze stanowiły depresyjną lekturę. Polityczna stabilizacja była utrzymywana za pomocą rytualnego konformizmu, przyjmowanego przez wiele osób, oraz bezlitosnych represji i inwigilacji wymierzonych w dysydencką mniejszość. Prześladowania nie zdołały jednak całkowicie uciszyć dysydentów. Sygnatariusze Karty 77 uważali za swój cel nie aktywną opozycję, ale utrzymanie głosu niezgody poprzez odmowę siedzenia cicho. W połowie lat 80. liczba sygnatariuszy Karty 77 wzrosła z pierwotnych 240 do 1200. Setki nielegalnych publikacji docierały do coraz szerszego, choć wciąż niewielkiego, grona czytelników w kraju i za granicą.

Zwolennicy Karty 77 i wielu innych obywateli Czechosłowacji widziało w Gorbaczowie powiew świeżego powietrza i ciepło powitało pierwsze sygnały

zmian w Związku Radzieckim. Sowiecki przywódca został entuzjastycznie przywitany przez tłum około 50 000 ludzi podczas wizyty w Pradze w kwietniu 1987 roku. Dla Gustáva Husáka, czeskiego przywódcy od czasów stłumienia Praskiej Wiosny, i reszty czeskiego kierownictwa, był to głęboko niepokojący sygnał – kolejne przypomnienie 1968 roku. Chłodno poparli program reform Gorbaczowa, choć sekretarz generalny nie miał złudzeń, że są niezmienni w swoim sprzeciwie wobec wszelkich zmian, które mogłyby podważyć ich władzę. Wszelkie nadzieje, że rezygnacja Husáka ze stanowiska lidera partii w grudniu 1987 roku – pozostał głową państwa – otworzą drzwi do znaczących zmian, zostały szybko rozwiane. Jego następcą został inny twardogłowy – Miloš Jakeš.

Stanowisko Bułgarii, NRD i Czechosłowacji wobec reform Gorbaczowa pozostawało w ostrym kontraście do sytuacji w Polsce i na Węgrzech. Oba kraje już w latach 50. pokazały, że są najmniej pokornymi z satelitów. Brutalna sowiecka interwencja na Węgrzech w listopadzie 1956 roku i groźba podobnego scenariusza w Polsce zmusiła wówczas te kraje do powrotu do szeregu. Oba jednak próbowały balansować pomiędzy pełnym podporządkowaniem się Moskwie a ograniczoną realizacją własnego modelu rządów komunistycznych. Szczególnie Węgry odeszły częściowo od ścisłych ograniczeń gospodarki nakazowej ze swoim wariantem „gulaszowego komunizmu”; rosnące niepokoje w Polsce pod koniec lat 70. zaowocowały narodzinami niezależnego związku zawodowego „Solidarność” i oznakami liberalizacji, zanim nadzieje te zostały zdławione przez wprowadzenie stanu wojennego w grudniu 1981 roku.

Zarówno w Polsce, jak i na Węgrzech pod oficjalną powierzchnią narzucanego przez system konformizmu rodziły się formy „społeczeństwa obywatelskiego”, a dyskurs intelektualny kwitł. Niezależne stowarzyszenia, grupy dyskusyjne i publikacje zyskiwały coraz większy zasięg w obu krajach. W latach 80. na Węgrzech tysiące z nich wyrastało jak grzyby po deszczu. To samo, być może nawet na jeszcze większą skalę, działo się w Polsce. Tutaj rosnąca w siłę demokratyczna opozycja nie ograniczała się tylko do kręgów intelektualnych, które stanowiły jej fundament na Węgrzech. Poparcie robotników dla „Solidarności”

zostało przytłumione w stanie wojennym, wprowadzonym w grudniu 1981 roku; ale bynajmniej nie zniszczone. Opozycja (częściowo finansowana przez CIA) poprzez strajki, demonstracje, niezależny ruch wydawniczy i inne formy cywilnego nieposłuszeństwa trwała pomimo tysięcy aresztowań. Instytucją, która reprezentowała ideologiczną opozycję wobec państwa, stał się Kościół katolicki, zapewniający potężną alternatywę dla reżimu dzięki swojej społecznej legitymizacji i lojalności.

Odważni intelektualiści w Polsce nie poddawali się represjom, dając świadectwo, że „partia sama pozbawiła się mandatu do rządzenia i nic nie można na to poradzić”. W 1982 roku z obozu internowania pisarz i dysydent Adam Michnik cytował poetę Czesława Miłosza (który zerwał z komunistycznym reżimem trzy dekady wcześniej i wybrał wygnanie na Zachodzie), że „lawina bieg od tego zmienia, po jakich toczy się kamieniach”. Michnik dodawał: „I chcesz być tym kamieniem, który odwróci bieg wydarzeń”.

W obu krajach pojawienie się Gorbaczowa na scenie dało legitymację reformatorom, jednocześnie znacząco osłabiając i tak już chwiejące się kierownictwo reżimu. Trajektoria zmian w tych dwóch krajach różniła się od siebie. Na Węgrzech impuls reformatorski szedł głównie z góry, z samej partii komunistycznej; w Polsce przywódcy reżimu działali w obliczu oddolnej presji, masowego ruchu domagającego się reform, wyrażanego przez „Solidarność”. W obu krajach siły reformatorskie przybrały kształt w odpowiedzi na rosnące problemy strukturalne. Jednak nowy wiatr wiejący w Moskwie był odpowiedzialny za przekształcenie tendencji reformatorskich w narastającą i ostatecznie niemożliwą do powstrzymania presję na zmianę reżimu.

Na Węgrzech długoletnia formuła bezwarunkowej lojalności wobec Moskwy i Układu Warszawskiego w zamian za tolerancję wobec poluzowywania w kraju ograniczeń ekonomicznych i ideologicznych stała się zarówno niepotrzebna, jak i niepraktyczna wraz z objęciem przez Gorbaczowa władzy w Związku Radzieckim. Ponieważ problemy gospodarcze Węgier pogłębiały się, począwszy od połowy lat 80., a dług narodowy w 1987 roku osiągnął poziom najwyższy

w bloku sowieckim, popularność rządu topniała. Inspirowani tym, co działo się w Moskwie, reformatorzy w partii dostrzegli swoją szansę na przeprowadzenie zmian bardziej radykalnych, niż wcześniej było to możliwe. János Kádár, wciąż lider partii w trzy dekady po przejęciu władzy w wyniku stłumienia powstania w 1956 roku, przez lata ostrożnie prowadził Węgry po ścieżce wewnętrznych zmian. Jednak w zmieniającym się klimacie obawiał się zagrożeń związanych z reformatorskim zapałem Gorbaczowa. Jego szwankujące zdrowie posłużyło za wygodny pretekst, by usprawiedliwić wymuszoną rezygnację ze stanowiska sekretarza generalnego partii w maju 1988 roku, kiedy to został „awansowany” przez mniej obawiających się zmian towarzyszy na nowo stworzone – i czysto reprezentacyjne – stanowisko przewodniczącego partii. Jego następcą na stanowisku szefa partii, już wcześniej (od czerwca 1987 roku) zajmujący także stanowisko premiera, Károly Grósz, pragmatyczny konserwatysta, który opowiadał się za liberalnymi reformami ekonomicznymi, ale również utrzymaniem przez komunistów monopolu na władzę, nie przetrwał długo. W listopadzie 1988 roku został usunięty ze stanowiska szefa rządu i zastąpił go Miklós Németh, którego reformatorski gabinet ogłosił potrzebę wprowadzenia systemu wielopartyjnego.

Już kilka miesięcy wcześniej grupy opozycyjne otwarcie domagały się politycznego pluralizmu i wolności prasy. Pomiędzy wrześniem 1987 roku a marcem 1988 roku utworzyli kilka organizacji – Węgierskie Forum Demokratyczne, „Sieć wolnych inicjatyw” i Fidesz (Związek Młodych Demokratów). Choć każda z nich inaczej rozkładała akcenty, wszystkie odrzucały komunistyczne państwo jednopartyjne na rzecz pluralistycznej polityki, prorynkowej gospodarki i realizacji jawnie narodowych interesów. Tempo zmian przyspieszyło. W listopadzie z „Sieci wolnych inicjatyw” wyrósł Związek Wolnych Demokratów, który zarejestrowano jako partię polityczną. Wskrzyszono zapomniane wcześniej ugrupowania przedwojenne – Partię Drobnych Posiadaczy (w listopadzie 1988 roku) i Partię Socjaldemokratyczną (w styczniu 1989 roku). W grudniu 1988 roku powołano niezależny związek zawodowy (choć nie cieszył się on znacznym poparciem robotników). W marcu 1989 roku założono

Chrześcijańsko-Demokratyczną Partię Ludową. Wówczas rządzący komuniści zaakceptowali już – co stanowiło ważny ruch symboliczny – że powstanie 1956 roku stanowiło prawdziwą walkę o niepodległość, było „powszechnym powstaniem przeciwko oligarchicznym rządóm, które poniżyły naród”. Ważny krok, legitymizujący to, co już wtedy trwało, podjęto kilka tygodni wcześniej, w styczniu 1989 roku, kiedy to parlament zadekretował, że Węgry staną się państwem wielopartyjnym, a partia komunistyczna formalnie zaakceptowała koniec swojego jedynowładztwa. Rewolucja na Węgrzech była daleka od zakończenia, ale od początku 1989 roku nie dało się jej już powstrzymać.

W Polsce szybko pogarszająca się sytuacja gospodarcza – próba pójścia w ślady Węgier i wprowadzenia ograniczonej gospodarki rynkowej nie powiodła się, długi wobec Zachodu nadal rosły, inflacja pozostawała wysoka, a standardy życia spadały od początku lat 80. – skłoniły w połowie dekady reżim generała Jaruzelskiego do prób szukania jakiejś formy porozumienia z „Solidarnością”. Gotowość do kompromisu została dodatkowo wzmocniona przez znaczący punkt zapalny: porwanie i zamordowanie w październiku 1984 roku przez funkcjonariuszy tajnej policji trzydziestosiedmioletniego Jerzego Popiełuszki, katolickiego księdza, który publicznie wspierał związkową opozycję i wyjątkowo doskwierał reżimowi. Fala oburzenia, która ogarnęła kraj po zabójstwie, wzmocniła opozycję i zaniepokoiła reżim. Szacuje się, że w pogrzebie Popiełuszki, który odbył się 3 listopada, wzięło udział ćwierć miliona Polaków, z liderem „Solidarności”, Lechem Wałęsą, na czele. Nadszedł etap posępnego, sztucznego spokoju. Atmosfera pozostawała jednak napięta. Macki państwowej policji były równie rozgałęzione, co w szczytowym momencie epoki stalinizmu. Reżim zdawał sobie jednak sprawę, że musi pójść na pewne ustępstwa uwzględniające nastroje społeczne. Po częściowej amnestii w listopadzie 1985 roku dla członków „Solidarności” w lipcu 1986 nastąpiła całkowita amnestia dla więźniów politycznych aresztowanych od 1981 roku (sam stan wojenny został formalnie zniesiony w lipcu 1983 roku). Wśród zwolnionych był głośny działacz



„Solidarności” i znany w świecie intelektualista, Adam Michnik. Sytuacja polityczna została jednak tylko czasowo i częściowo ustabilizowana.

Warunki życia pogarszały się nadal. Na początku 1986 roku rząd był zmuszony podnieść liczbę godzin pracy w tygodniu i ceny żywności. Sygnały docierające do reżimu wskazywały, że zaufanie do rządu spadło do poziomu najniższego od lat 50. Państwowe kierownictwo grało na czas. Miało nadzieję, że uda się zachować komunistyczną władzę poprzez wprowadzenie radykalnych reform ekonomicznych, otwierających gospodarkę na prywatną przedsiębiorczość bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Referendum przeprowadzone pod koniec listopada 1987 roku przyniosło jednak niewystarczające poparcie dla reform, a ukazało jedynie głębokie niezadowolenie z wprowadzonych wcześniej podwyżek cen. Rząd w szybkim tempie tracił kontrolę nad wydarzeniami.

Wiosną i latem 1988 roku niepokoje te przerodziły się w kolejną falę strajków, w Stoczni Gdańskiej imienia Lenina i w kopalniach. To z kolei skłoniło rząd do zapoczątkowania w sierpniu rozmów z, jak to określano, „konstruktywną opozycją”. Zwolennicy „Solidarności” sami byli podzieleni; niektóre skrzydła ruchu opowiadały się za podjęciem rozmów z władzami, inne zajmowały bardziej radykalne stanowisko. Wewnętrzne podziały osłabiały w tym momencie „Solidarność” – co pokazał ograniczony udział w letnich strajkach – i skłaniały ją do kompromisu z rządem. Ze swojej strony rząd musiał przełknąć bolesną porażkę wizerunkową, kiedy zaprosił Lecha Wałęsę jako „osobę prywatną” do telewizyjnej debaty z liderem oficjalnych związków zawodowych, Alfredem Miodowiczem – debaty, którą Wałęsa bezapelacyjnie wygrał. Po tej medialnej klęsce rząd ponownie był gotowy do rozpoczęcia rozmów z liderem „Solidarności”.

18 grudnia 1988 roku Wałęsa utworzył Komitet Obywatelski „Solidarność”, który miał koordynować naciski wywierane na rząd w kwestii demokratyzacji. W styczniu 1989 roku, świadom, że stabilizacja kraju wymaga nowej podstawy porozumienia z „Solidarnością” (do czego przychylił się Gorbaczow), Jaruzelski – grożąc własną rezygnacją – uzyskał akceptację dla relegalizacji związku. To otworzyło drogę do formalnych negocjacji Okrągłego Stołu, które rozpoczęły się

w lutym. Jeszcze na tym etapie minister spraw wewnętrznych, Czesław Kiszczak, mówił Polakom w telewizji, że systemem rządów pozostanie socjalizm. W odpowiedzi Wałęsa deklarował, że „czas monopolu politycznego czy społecznego dobiega końca”. Kiedy rozmowy Okrągłego Stołu zakończyły się w kwietniu, uzgodniono kompromis, na mocy którego w zaplanowanych na czerwiec wyborach 35 procent miejsc w Sejmie miało pochodzić z wolnych wyborów. Całkowicie wolne wybory miały się odbyć do nowo stworzonej i mniej ważnej wyższej izby, Senatu. Przywrócono funkcję prezydenta jako głowy państwa – zakładano, że stanowisko to przypadnie Jaruzelskiemu (dotąd przewodniczącemu Rady Państwa). Mimo to rząd czuł się usatysfakcjonowany porozumieniem, ponieważ sądził, że zagwarantuje ono kontynuację komunistycznych rządów. Okazało się to kolejną błędną kalkulacją. Wiosną 1989 roku próby powstrzymania rosnącej presji na demokratyczne zmiany przypominały próbę powstrzymania rwącej fali.

Generał Jaruzelski był zdecydowanym zwolennikiem reform Gorbaczowa. Radziecki przywódca przyznawał, że polskie próby reform gospodarczych, nawet w warunkach stanu wojennego po 1981 roku, znacznie wyprzedzały to, co działo się w Związku Radzieckim. Podobnie jak Gorbaczow, Jaruzelski uważał reformę za konieczną, ale tylko taką, która odbędzie się w *ramach* istniejącego systemu i będzie zmierzała do zachowania władzy komunistycznej, a nie jej zniszczenia. Podobnie jak Gorbaczow, nie przewidział nieubłaganej korozji systemu, która objawiła się w wyniku śmielszych reform. Jednak w przeciwieństwie do Gorbaczowa, którego cele ewoluowały wraz z radykalizacją reform, Jaruzelski niechętnie akceptował zmiany polityczne, które były wymuszane na nim i na reżimie.

W każdym kraju bloku sowieckiego strukturalny kryzys był namacalny w momencie dojścia Gorbaczowa do władzy w marcu 1985 roku. U jego korzeni tkwiła niezdolność systemu do pokonania pogłębiających się problemów gospodarczych, co z czasem przekształciło się w kryzys legitymizacji władzy w poszczególnych państwach satelickich. Reagowały one na problemy w różny

sposób. Większość (jak Bułgaria) wprowadzała tak mało zmian, jak to tylko możliwe, inne (szczególnie Polska i Węgry) wykazywały wolę reform przy jednoczesnej próbie zachowania istoty władzy komunistycznej. Tymczasem wewnętrzna presja na zmiany narastała wyraźnie, tak na Węgrzech, jak i (szczególnie) w Polsce, w kręgach intelektualnych (a w Polsce także w stłumionym ruchu „Solidarności”), otwierając drogę radykalnym żądaniom większej politycznej i ekonomicznej liberalizacji, która zagrażała komunistycznemu monopolowi władzy.

Łatwo jest antydatować, w świetle późniejszych wydarzeń, nieuchronność upadku państw komunistycznych. Jednak pomimo poważnych problemów wewnętrznych, w marcu 1985 roku, kiedy Gorbaczow obejmował władzę w Moskwie, blok sowiecki wydawał się daleki od klęski. Wcześniej sowieccy przywódcy mogliby zareagować bardzo różnie na problemy w krajach satelickich. W końcu w Niemczech Wschodnich w 1953 roku, na Węgrzech w 1956 roku i w Czechosłowacji w 1968 roku odpowiedzią była żelazna pięść. Moskwa alergicznie reagowała na zagrożenie w dowolnej części imperium, które mogło potencjalnie podkopać cały fundament systemu. „Doktryna Breżniewa”, sformułowana bezpośrednio po stłumieniu Praskiej Wiosny, choć nigdy nie została oficjalnie ogłoszona, definiowała ideologiczne podstawy do interwencji. „Państwo socjalistyczne jest częścią systemu innych państw stanowiących wspólną socjalistyczną”, głosiła „i nie może odcinać się od zbiorowych interesów wspólnoty”. Innymi słowy, wspólne socjalistyczne interesy usprawiedliwiały militarną interwencję w celu stłumienia wszystkiego, co mogłoby jej zagrozić.

Przywódcy sowieckich satelitów byli na początku lat 80. aż nadto świadomi zawałowanej groźby interwencji wojskowej. Nie mogli być pewni, że sowieckie kierownictwo porzuciło taką strategię. Niektórzy w istocie pocieszali się taką możliwością. Generał Jaruzelski później usprawiedliwiał wprowadzenie stanu wojennego w grudniu 1981 właśnie tym, że w ten sposób zapobiegł takiej ewentualności (choć protokoły z posiedzeń sowieckiego Politbiura wskazują, że Jurij Andropow, wówczas szef KGB, nie brał pod uwagę takiego rozwiązania,

nawet gdyby „Solidarność” miała przejąć władzę w Polsce, i przekonał Breżniewa, by nie interweniować). Absolutnie kluczowe było w związku z tym odwołanie przez Gorbaczowa doktryny Breżniewa.

Kiedy sekretarz generalny poinformował podczas pierwszego krótkiego spotkania z przywódcami krajów Układu Warszawskiego, które odbyło się na Kremlu przy okazji pogrzebu Konstantina Czernienki w marcu 1985 roku, że przyszłe relacje będą szanować suwerenność i niezależność każdego z krajów, ich sceptycyzm wobec tej deklaracji był zrozumiały. Strach przed interwencją słabł powoli. Gorbaczow powtórzył swój przekaz miesiąc później w Polsce, podczas spotkania przywódców krajów Układu Warszawskiego. Jego prywatna wypowiedź: „Nikogo nie będziemy zmuszać. Niech każdy kraj decyduje, co powinien zrobić”, stała się powszechnie znana. Dla postronnych obserwatorów nic jednak nie zapowiadało tego, co miało nadejść. Rytuály odprawiane podczas wizyty Gorbaczowa nie różniły się od tych z poprzednich dekad. W listopadzie 1986 roku w Moskwie Gorbaczow bardziej formalnie oświadczył wschodnioeuropejskim przywódcom, że doktryna Breżniewa jest przestarzała. W kwietniu 1987 roku w Pradze zadeklarował akceptację Związku Radzieckiego dla prawa każdego państwa socjalistycznego do określania swojej przyszłości przez pryzmat narodowych interesów. W kolejnym roku Gorbaczow znów jasno oświadczył, że państwa bloku sowieckiego mają „prawo wyboru”. Rzecznik sowieckiego ministerstwa spraw zagranicznych, Giennadij Gierasimow, później dowcipnie zauważył, że „doktryna Breżniewa” została zastąpiona „doktryną Sinatry”, pozwalającą wschodnim Europejczykom iść własną drogą.

W przyszłości nie miało więc już być możliwości odwołania w Europie Wschodniej do sowieckiej potęgi militarnej. Przywódcy państw satelickich musieli przyjąć do wiadomości, że jeżeli nie zaspokoją żądań swoich społeczeństw, to nie będą mogli liczyć na pomoc ze strony Związku Radzieckiego. Oczywiście nie spieszyli się z przekazaniem tej informacji swoim obywatelom, bo ich władza opierała się w dużej mierze na przekonaniu, że sowiecka interwencja jest wciąż możliwa. Zresztą sam Gorbaczow nie odwołał publicznie doktryny Breżniewa,

kiedy zwrócił się o to do niego jeden z polskich intelektualistów na spotkaniu w Warszawie w czerwcu 1988 roku. Wiedza ta stopniowo docierała do zwykłych ludzi. Kiedy jednak tak się stało w 1989 roku, dni komunistycznej władzy były policzone.

Całkowicie nowe podejście Gorbaczowa do relacji pomiędzy Związkiem Radzieckim a jego satelitami w Europie Wschodniej, niezakładające już całkowitego priorytetu dla utrzymania danego państwa za wszelką cenę, było decydujące dla pokojowej ewolucji w kierunku niepodległości i wprowadzenia pluralistycznej demokracji. Nikt w marcu 1985 roku, kiedy Gorbaczow został wybrany na sekretarza generalnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, nawet eksperci, posiadający dużo większą od przeciętnej wiedzę o kryzysie strukturalnym, przez który przechodziły państwa Europy Wschodniej, nie wyobrażał sobie, że system może upaść w ciągu pięciu lat. W ponad 1,5 roku po wyborze Gorbaczowa, w październiku 1986 roku, jeden z czołowych ekspertów ds. Europy Środkowej, Timothy Garton Ash, cytując Václava Havla, który w dłuższej perspektywie marzył o „ideale demokratycznej Europy jako przyjaznej wspólnoty wolnych i niepodległych państw”, komentował: „Trudno się z tym nie zgodzić; jeszcze trudniej wyobrazić sobie realizację tego ideału”. Jeszcze w styczniu 1989 roku Garton Ash bardzo poważnie wątpił, czy podział Europy uda się przewyciężyć. Jednak w tym momencie polityczny – a nie tylko, jak dotąd, ekonomiczny – kryzys całego bloku wschodniego zaczął wymykać się spod kontroli w coraz szybszym tempie.

Skalę osobistego wkładu Gorbaczowa w radykalne zmiany nie tylko w Związku Radzieckim, ale w całej Europie Wschodniej, trudno przecenić. Jest klasycznym przykładem powiedzenia Karola Marksa, że ludzie rzeczywiście tworzą historię, ale „nie w wybranych przez siebie okolicznościach, lecz w takich, w jakich się bezpośrednio znaleźli” (i, można by dodać, z konsekwencjami, których nie są w stanie przewidzieć). Oczywiście, Gorbaczow był w stanie działać tak, jak działał, z powodu powagi problemów strukturalnych w Europie Wschodniej. I rzecz jasna, tak jak w Związku Radzieckim, w każdym innym kraju – nawet jeżeli

w niektórych bardziej niż w innych – byli reformatorzy gotowi poprzeć jego program i naciskać na bardziej radykalne zmiany. Jednak bez wyjątkowej gotowości Gorbaczowa do przeprowadzania zmian bez względu na przeszkody, historia potoczyłaby się inaczej. Jak bardzo inaczej, nie sposób powiedzieć. Prawdopodobnie na jakimś etapie system by się załamał. Mogłoby to jednak zająć lata, o ile w ogóle, i wydarzyłoby się w innych okolicznościach. To, że upadek nadszedł tak szybko, tak zdecydowanie i odbył się z tak małym udziałem przemocy i rozlewu krwi, jest w dużej mierze osobistą zasługą Gorbaczowa.

## **Zwykły bieg rzeczy: zachodnioeuropejskie troski**

Niewielu ludzi w Europie Zachodniej zdawało sobie w pełni sprawę z doniosłych zmian, które wstrząsały fundamentami wschodniej części kontynentu. Bliskie zainteresowanie wewnętrznymi sprawami krajów za żelazną kurtyną nie wykraczało poza wąski krąg intelektualistów. Nazwisko „Gorbaczow” stało się jednak wkrótce znane każdemu na Zachodzie, kto choć w najmniejszym stopniu interesował się sprawami świata. Sowiecki przywódca szybko stał się bardziej popularny w Europie Zachodniej niż we własnym kraju. To, że jego zmiany zwiastowały większą wolność dla obywateli Europy Wschodniej i Związku Radzieckiego, stanowiło ważny element jego popularności. Gorbaczow był popularny jednak przede wszystkim dlatego, że obiecywał zakończenie zimnej wojny – usunięcie groźby nuklearnej zagłady, która od czterech dekad wisiała niczym miecz Damoklesa nad całym światem.

Spotkania Gorbaczowa z zachodnimi liderami – zarówno przywódcami europejskimi, jak i Ronaldem Reaganem – w pierwszych latach jego władzy przygotowały grunt pod jego rosnącą popularność. Jego dobre stosunki z Margaret Thatcher, mimo dzielących ich różnic ideologicznych, rozwijały się równie dobrze,

jak podczas ich pierwszego spotkania. Początkowy sceptycyzm zachodnich przywódców co do szczerości intencji nowego władcy Kremla stopniowo ustępował. Dzięki poważnemu potraktowaniu ich obaw i sile osobowości Gorbaczow był w stanie przekonać europejskich liderów, że poważnie myśli o rozbrojeniu nuklearnym i próbie przekształcenia swoich deklaracji o Europie jako „wspólnym domu” wschodu i zachodu w rzeczywistość. Pierwsze spotkania z prezydentem Mitterrandem i Thatcher nie przebiegły całkiem gładko. Jednak po wyartykułowaniu poważnych różnic, stworzono bazę dla wzajemnego szacunku i zrozumienia, co było nowością w stosunkach Wschód–Zachód podczas zimnej wojny.

Gorbaczow kontynuował budowanie zaufania poprzez rozmowy o zawilościach rozbrojenia z czołowymi postaciami z krajów NATO – Danii, Holandii, Norwegii, Islandii i Włoch, a także Wielkiej Brytanii – po porażce szczytu w Reykjaviku w październiku 1986 roku. Jego pierwsze spotkanie z kanclerzem Niemiec Zachodnich, Helmutem Kohlem, które odbyło się w październiku 1988 roku w Moskwie, także przebiegło w bardzo pozytywnej atmosferze. Kohl zrobił na Gorbaczowie wrażenie swoją szczerą chęcią współpracy na rzecz ogólnoeuropejskiego pokoju. Podpisano porozumienia o współpracy gospodarczej, naukowej, kulturalnej i ekologicznej. Dobre osobiste relacje pomiędzy dwoma liderami odegrały kluczową rolę w tworzeniu platformy dla konstruktywnych relacji długoterminowych.

W epoce telewizyjnej spotkania pomiędzy ważnymi politykami docierały do szerokiego audytorium. Gorbaczow wkrótce po dojściu do władzy wziął udział w transmitowanym na żywo przez francuską telewizję wywiadzie z grupą zachodnich dziennikarzy, w którym nie unikano trudnych pytań. Był to pierwszy raz, kiedy sowiecki przywódca zaangażował się w ten sposób w publiczny dialog. Za pośrednictwem wiadomości telewizyjnych jego twarz wkrótce stała się znana milionom zachodnich Europejczyków. Ludziom podobała się jego otwarta osobowość, stanowiąca całkowity kontrast z ponurymi wizerunkami poprzednich

sowieckich przywódców. Także nacisk, który kładł na pokój, rozbrojenie atomowe i jedność Europy, wywołał pozytywny odzew społeczny.

Wiwatujące tłumy powitały go, gdy wraz z żoną Raisą przybył do Londynu w kwietniu 1989 roku. Przyjęcie było nawet jeszcze bardziej entuzjastyczne, kiedy w czerwcu owego roku Gorbaczow odwiedził Bonn. Zachodni Niemcy znajdowali się na pierwszej linii frontu potencjalnej wojny jądrowej, nic więc dziwnego, że szczególnie trafiały do nich rozbrojeniowe inicjatywy Gorbaczowa. „Nigdy nie zapomnę naszego spotkania z obywatelami Bonn na placu Ratuszowym”, pisał później. „Byliśmy dosłownie przytłoczeni przejawami dobrej woli i przyjaźni, wiwatujące tłumy wyrażały swoje poparcie i solidarność”.

Dotarcie do tego punktu wymagało czasu. Przy wszystkich pozytywnych tonach ich spotkań i stopniowym budowaniu wzajemnego zaufania na drodze do harmonijnych stosunków istniały poważne przeszkody, przede wszystkim w centralnej kwestii rozbrojenia nuklearnego. Trzy główne mocarstwa zachodnioeuropejskie, pozostające w centrum nuklearnej debaty – Wielka Brytania, Francja i Niemcy, z których pierwsze dwa same były mocarstwami atomowymi, a trzecie znajdowało się na pierwszej linii wszelkiej potencjalnej konfrontacji nuklearnej w Europie – w reakcji na inicjatywy Gorbaczowa włączyły bezpośrednio do gry swoje interesy narodowe. Zarówno Thatcher, jak i Mitterrandowi nie podobał się reaganowski program „gwiazdnych wojen”, co wynikało ze sceptycyzmu co do jego długoterminowej skuteczności, obaw, że podważy on całą doktrynę nuklearnego odstraszenia, oraz ponieważ wynikające z tego rozbrojenie nuklearne bezpośrednio wpłynęłoby na ich własny międzynarodowy status członków bardzo elitarnego „klubu nuklearnego”.

Rozmowy supermocarstw na szczycie w Reykjavíku w październiku 1986 roku na temat usunięcia wszystkich rakiet nuklearnych średniego zasięgu z europejskiej ziemi bynajmniej nie poszły po myśli Thatcher. Otwartość prezydenta Reagana na ideę rozbrojenia nuklearnego, wyrażona w następnym miesiącu w Waszyngtonie, zaniepokoiła Thatcher, która obawiała się, że wzmocni to lobby opowiadające się za jednostronnym rozbrojeniem w Wielkiej Brytanii. „Nie możemy dopuścić do



sytuacji, w której ludziom mówi się, że broń nuklearna jest czymś paskudnym, niemoralnym i że wkrótce może się ona stać niepotrzebna dzięki rozwojowi systemów obronnych” – argumentowała. Ważne było utrzymanie społecznego poparcia w Europie dla rozmieszczenia pocisków manewrujących i typu Pershing, a także modernizacja brytyjskiego arsenału nuklearnego. Amerykanie, twierdziła, powinni ostrzec Moskwę, że jeżeli Związek Radziecki nie zredukuje arsenału nuklearnego, to program „gwiazdnych wojen” będzie kontynuowany. Chciała gwarancji, że strategia odstraszenia NATO pozostanie niezmienną.

Stanowisko Mitterranda nie różniło się specjalnie od stanowiska Thatcher. Entuzjazm Kohla dla „gwiazdnych wojen” także był ograniczony, choć z innych powodów. Nie był przekonany, że ten system zadziała. Wątpił też, by był on wykonalny z technologicznego i finansowego punktu widzenia. Przede wszystkim jednak obawiał się, że nuklearna tarcza zostanie rozstawiona tak, by chronić Stany Zjednoczone, co sprawi, że Europa będzie jeszcze bardziej narażona na atak. Te obawy nie zostały w pełni rozwiane nawet przez realny postęp, jakiego Gorbaczow i Reagan dokonali ostatecznie w sprawie kontroli zbrojeń, ponieważ porozumienie w sprawie rakiet średniego zasięgu, jakie podpisali w grudniu 1987 roku w Waszyngtonie, stanowiło znaczący przełom, ale nie obejmowało taktycznych pocisków nuklearnych o zasięgu poniżej 500 kilometrów – czyli właśnie takiej broni, która, jak się obawiano, mogła zostać użyta przez supermocarstwa do konfrontacji na niemieckiej ziemi.

Jednocześnie Kohl zaczął wierzyć w szczerą intencję Gorbaczowa w kwestii zakończenia nuklearnego wyścigu zbrojeń. Nie zawsze tak było. Rząd w Bonn sceptycznie podchodził do prawdziwych celów nowego władcy Kremla. W wywiadzie z października 1986 roku Kohl nawet obraźliwie (i absurdalnie) porównał maestrię Gorbaczowa w grze z mediami do nazistowskiego ministra propagandy, Josepha Goebbelsa. Sowiecka prasa oczywiście zareagowała z furją. Także na Zachodzie, gdzie rozmowy rozbrojeniowe były na wczesnym i delikatnym etapie, niezręczność Kohla została źle przyjęta. Rozdmuchiwanie tego *faux pas* nie było jednak w interesie ani Bonn, ani Moskwy. Kohl przeprosił

Gorbaczowa, zwalając winę na prasę. Pod wpływem swojego doświadczonego i sprawnego dyplomatycznie ministra spraw zagranicznych, Hansa-Dietricha Genschera, który szybko zdał sobie sprawę, że aktywne popieranie inicjatyw Gorbaczowa jest w bezpośrednim interesie Niemiec Zachodnich, Kohl zaczął się przekonywać do nowych możliwości bliskiej współpracy. Jego decyzja z października 1987 roku o usunięciu pocisków Pershing z niemieckiej ziemi sygnalizowała, że Niemcy są gotowe tak szybko, jak to możliwe, przystosować się do nowego klimatu.

Nadzieje na trwałą poprawę w relacjach pomiędzy Zachodem a Związkiem Radzieckim wzrosły już wówczas znacząco. Jednak żaden z zachodnioeuropejskich przywódców nawet wtedy nie mógł przewidzieć tempa rozwoju wydarzeń w kolejnym roku albo uwierzyć, że do końca 1989 roku mur berliński – symbol zimnej wojny – upadnie. Kiedy prezydent Reagan, stojąc 12 czerwca 1987 roku przed Bramą Brandenburską w Berlinie Zachodnim, żądał: „Panie Gorbaczow, zburz pan ten mur!”, towarzyszyły mu oklaski, ale samo roszczenie wydawało się jedynie retorycznym chwytem. Wydawało się, że mur będzie istniał niemal w nieskończoność; w istocie według niektórych pozostawał on pożądanym źródłem stabilizacji, na stałe zawieszając „kwestię niemiecką”. Miesiąc później, podczas spotkania z przekonywującym zachodnioniemieckim prezydentem, Richardem von Weizsäckerem, który ostrożnie podniósł kwestię zjednoczenia Niemiec, Gorbaczow zauważył, że to „historia zdecyduje, co stanie się w ciągu 100 lat”.

Poza obiecującymi perspektywami w stosunkach międzynarodowych ludzie w krajach Europy Zachodniej zajmowali się głównie własnymi sprawami, jakże odległymi od dramatycznych zmian, które miały miejsce po wschodniej stronie żelaznej kurtyny. Europa wciąż była kontynentem podzielonym na dwie różne połowy.

Społeczna, ekonomiczna i kulturowa transformacja, która rozpoczęła się w Europie Zachodniej w latach 70., nabrała tempa w kolejnej dekadzie. Terminem, który wydawał się oddawać ducha epoki, był „postmodernizm”. Nikt nie potrafił precyzyjnie zdefiniować, co on właściwie znaczy. Ogólnie przyjmowano, że

dotyczy przejścia od społeczeństwa zdominowanego przez przemysł do skomputeryzowanego świata, kształtowanego przez technologie informatyczne, i od „wysokiej”, zwesternizowanej kultury do globalnej kultury masowej. Oznaczał również rozbieżność, dysonans, wielość interpretacji, brak roszczeń do posiadania decydującego głosu, kulturowej wyższości czy przewagi. Być może sama niejasność tej koncepcji decydowała o jej atrakcyjności. Od filozofii po sztuki wizualne, przez krytykę literacką do historiozofii, wyrażała wszechogarniające poczucie sceptycyzmu, relatywizmu, niepewności i rozdrobnienia. Definicje postępu, racjonalności, prawdy, jakiegokolwiek zrozumiałego sposobu wyjaśnienia, skąd przybywa społeczeństwo i dokąd zmierza, zniknęły pod lupą postmodernistycznej krytyki. Odrzucenie jakiejkolwiek „obiektywnej rzeczywistości” sprzyjało rozszczepieniu kulturowych interpretacji na milion indywidualistycznych, subiektywnych podejść lub „dyskursów”, z których żaden nie mógł sobie rościć pretensji do wyższości nad pozostałymi. Choć kulturowa jedność zawsze była ułudą, skala, w jakiej postmodernizm spenetrował myślenie intelektualne w latach 80. i później, odzwierciedlała w zawoalowany sposób postępujący rozkład tego, co wspólne, i dominację tego, co indywidualne w społeczeństwie.

Upadek wiary w społeczeństwo rozumiane jako wspólny obiekt troski i odpowiedzialności pogłębiało coraz większe skupianie się na indywidualnych wyborach i indywidualistycznym stylu życia. Dużą rolę w tym trendzie odegrały agencje reklamowe i rozległy wybór dóbr konsumpcyjnych, prezentowany co wieczór większości społeczeństwa dzięki ekspansji telewizji komercyjnej. Mimo kryzysów lat 70. wydatki konsumenckie nie uległy poważnym zaburzeniom. A gdy gospodarka wyszła z wcześniejszych zawirowań, konsumpcjonizm zaczął bić kolejne rekordy. Zaimportowane ze Stanów Zjednoczonych centra handlowe zaczęły wyrastać w centrach miast lub, w formie gigantycznych świątyń konsumpcji, na ich przedmieściach. Pod jednym dachem ludzie mogli kupować do woli, skorzystać z darmowego parkingu, odpocząć w jednej z licznych kawiarni, obejrzeć to, co kupili i ponownie rzucić się w wir zakupów. Upowszechnienie kart

kredytowych zachęcało ludzi do kupowania teraz, a płacenia później. „Zakupy” nie polegały już na zaspokajaniu podstawowych potrzeb. Stały się przyjemnością samą w sobie – ekscytującym polowaniem na najnowsze okazje lub fasony. Niektóre modne ubrania nosiły logo projektanta – co było błyskotliwym sposobem na uczynienie z osoby, która je nosi darmowego słupa reklamowego. Wybór ubrań stał się sam w sobie jednym z najistotniejszych wyróżników nowego indywidualizmu – sposobem na zademonstrowanie wszystkim indywidualnego gustu i pokazanie, że dana osoba nadąża za modą.

Rekreacja także stała się bardziej zindywidualizowana. Komputery osobiste – kolejny ważny wynalazek, który przybył zza Atlantyku – wkroczyły do europejskiego społeczeństwa. Ich możliwości były wciąż ograniczone, ale rosły w błyskawicznym tempie. W latach 80. rozwój mikrochipów (wynalazku z lat 50.) stał się prawdziwym krokiem milowym, umożliwiając umieszczanie coraz większych zasobów pamięci na niewielkich elektronicznych układach scalonych. Pod koniec dekady pojedynczy mikrochip mógł przyjąć ponad milion wzajemnie połączonych tranzystorów, pozwalając na rozległą rozbudowę pamięci i stosowanie technologii komputerowej do coraz większej liczby codziennych zadań. Rządy zdały sobie sprawę, że umiejętności komputerowe będą w przyszłości kluczowe, i zaczęły wprowadzać informatykę do szkół. Jednak młodzi ludzie pokochali komputery przede wszystkim ze względu na gry elektroniczne, w które teraz mogli grać w swoich pokojach, zestrzeliwując tak wielu „najeźdźców z kosmosu”, ilu się da, co stawało się niekiedy obsesyjną i niekończącą się samotną rozrywką. Amerykańska firma Atari, japońskie przedsiębiorstwo Nintendo i założone w Wielkiej Brytanii Binatone były w latach 80. liderami boomu na gry elektroniczne.

Muzyka popularna (wedle swojej najszerszej definicji) także uległa fragmentaryzacji. Gigantyczny i wciąż rozszerzający się potencjał popu sprzyjał promocji różnych nowinek. Subkultury takie jak punk rock, heavy metal czy hip-hop, przybyłe ze Stanów Zjednoczonych w latach 70., zaowocowały licznymi odmianami, które w kolejnej dekadzie zyskały sobie wiernych fanów. Inne

podgatunki, takie jak new wave, synthpop czy dance rock, także nie bez sukcesu walczyły o popularność wśród młodych ludzi. Miliony wyznawców na całym świecie zdobyły sobie takie brytyjskie grupy jak Duran Duran, Spandau Ballet czy Culture Club (której wokalista, Boy George, zrobił potem wielką karierę solową). To samo dotyczyło poszczególnych artystów, takich jak wybitnie utalentowany i pomysłowy David Bowie czy leciwy już, ale wciąż pełen energii zachodnioniemiecki zespół Kraftwerk. Rewolucja komputerowa wniosła swój znaczący wkład w eksperymenty muzyczne i masowy sukces tych i innych artystów, którzy skorzystali z szybkiego rozwoju syntezatorów elektronicznych. Kanał muzyczny poświęcony muzyce popularnej, MTV (amerykańska stacja dostępna w szybko rozprzestrzeniających się sieciach kablowych i satelitarnych) oraz nowy potencjał oferowany przez nagrania wideo oznaczał, że ci i niezliczona liczba innych muzyków byli w stanie dotrzeć do ogromnej publiczności, niemal wyłącznie złożonej z młodych ludzi. Jednak słuchanie muzyki – poza koncertami na żywo – stawało się coraz bardziej osobistym doświadczeniem. Walkman, japoński wynalazek z końca lat 70., stał się obowiązkowym elementem wyposażenia nastolatków w kolejnej dekadzie. Niewielki stereofoniczny kasetowiec pozwalał ludziom zabierać muzykę ze sobą gdziekolwiek się wybierali, słuchać taśm przez słuchawki, odcinać się od zewnętrznego świata, kiedy siedzieli zatopieni w swojej muzyce w autobusach, metrze, samochodach czy we własnych pokojach w domu.

Młodsze pokolenie znalazło się w awangardzie liberalizacji wartości społecznych, jak działo się już zresztą od lat 60. Wartości feministyczne były dużo powszechniej popierane przez obie płcie, choć równe prawa dla kobiet pozostawały odległym celem, nie tylko w miejscu pracy. Wolność seksualna stała się dużo powszechniej akceptowana społecznie niż jeszcze kilka lat wcześniej. W latach 80. odkryto jednak straszliwy, nieoczekiwany aspekt większej wolności seksualnej. Nowa, mordercza choroba, zdiagnozowana w Stanach Zjednoczonych w 1981 roku, przenosiła się, jak ustalono, drogą płciową. Na zespół nabytego niedoboru odporności, czyli AIDS, jak zaczęto go szybko nazywać, nie było lekarstwa (choć

z czasem medycyna nauczyła się spowalniać postęp choroby, która, zgodnie z nazwą, agresywnie atakowała i w końcu niszczyła system immunologiczny człowieka). Choć AIDS można się było zarazić zarówno przez kontakty hetero-, jak i homoseksualne, a także przez z pozoru niewinną transfuzję krwi w szpitalach, w latach 80. chorobę mocno kojarzono z homoseksualizmem, co doprowadziło do wzrostu dyskryminacji i nietolerancji wobec gejów, na których spadła ona niczym grom z jasnego nieba. W połowie lat 90. informowano, że w szczytowym momencie na AIDS w Europie umierało prawie 20 000 ludzi rocznie. W niektórych innych regionach świata, szczególnie w Afryce, sytuacja wyglądała dużo gorzej. Szacuje się, że od lat 80. wirus HIV, który nieleczone prowadzi do AIDS, kosztował życie około 35 milionów ludzi.

Upadek państwowego przemysłu i pęd ku prywatyzacji, który przyspieszył mocno w latach 80., pod pewnymi względami wpisywał w się w trend odchodzenia od kolektywnych wartości. Prywatyzacja, incydentalna w latach 60. i 70., teraz stała się rutyną. Do końca lat 90. kraje Europy Zachodniej zarobiły na niej – przynajmniej krótkoterminowo – około 150 miliardów dolarów.

Wielka Brytania, kraj europejski najbliższy amerykańskiemu ideałom zderegulowanego kapitalizmu, z takim zapałem realizowanych przez Ronalda Reagana, przecierała szlaki. W istocie Margaret Thatcher była w tej kwestii nawet bardziej zdeterminowana niż amerykański prezydent, a prywatyzacja stała się centralnym elementem jej planu ograniczenia wielkości państwa. Do 1986 roku brytyjski sektor finansowy został w większości zderegulowany. To wzmocniło prymat londyńskiego City w brytyjskiej gospodarce, uzależniając Wielką Brytanię bardziej niż jakikolwiek inny kraj w Europie od sektora usług, szczególnie finansowych. Drugą stroną medalu było szybkie kurczenie się brytyjskiej bazy wytwórczej.

Laburzyści oczywiście mocno sprzeciwiali się prywatyzacji. Jednak Partia Pracy poniosła dotkliwie porażki wyborcze w 1983 i 1987 roku, a związki zawodowe słabły i traciły członków. Poza zagorzałymi zwolennikami laburzystów prywatyzacja była w istocie popularna, nawet wśród wielu członków klasy

robotniczej. Miliony ludzi, w tym tysiące pracowników znacjonalizowanych firm, stawało się w związku z wyprzedają państwowych aktywów akcjonariuszami sprywatyzowanych firm. Oczywiście w nieunikniony sposób większość akcji trafiała w końcu do wielkich inwestorów, z których wielu nie było Brytyjczykami, i to oni faktycznie kontrolowali te firmy. Tradycyjnie nastawieni, arystokratyczni konserwatyści czasami narzekali na ten trend, który tak podobał się szczególnie młodym, ambitnym przedstawicielom klasy średniej, „yuppies”, jak ich pogardliwie ochrzciła lewica. Były premier, leciwy już wówczas Harold Macmillan, wygłosił słynną krytykę swojej następczyni, pani Thatcher, zarzucając jej, że wyprzedaje „rodowe srebra”. Bezskutecznie. Do 1992 roku dwie trzecie państwowych niegdyś gałęzi brytyjskiej gospodarki, w tym niektóre spośród najbardziej kluczowych, takich jak gaz i telekomunikacja, znalazły się w rękach prywatnych.

Równoległe do prywatyzacji postępowała deindustrializacja. Był to paneuropejski trend, zapoczątkowany w latach 70. Jednak najdalej i najszybciej postępował w Wielkiej Brytanii. Niemcy Zachodnie w latach 70. zrobiły wiele, by złagodzić cios dla społeczności związanych z podupadającymi branżami górniczą i hutniczą, a także by chronić nowsze gałęzie przemysłu, utrzymać duży sektor wytwórczy oraz zachować wykwalifikowaną siłę roboczą. Z kolei Wielka Brytania w kolejnej dekadzie w zapierającym dech w piersiach tempie zamknęła większość ze swojej starej bazy wytwórczej. Węgiel, stal i stocznie miały się wkrótce stać jedynie wspomnieniem brytyjskiej przeszłości przemysłowej. Niewiele zrobiono, by ograniczyć społeczne szkody, które powstały, gdy dziesiątki tysięcy pracowników straciło swoje główne źródło utrzymania. Nie było żadnego alternatywnego zatrudnienia, które mogłoby łatwo lub w wystarczający sposób wyrównać efekt zamknięcia fabryki, dającej niegdyś pracę całej społeczności. W miastach pozbawionych ekonomicznej racji bytu, z osłabionymi instytucjami lokalnymi i społeczną spójnością, szerzyła się demoralizacja. Całe połacie kraju – stare centra przemysłowe w południowej Walii, szkockiej Clyde Valley i w północnej Anglii – znalazły się na marginesie (i pozostały tam na nieokreśloną

przyszłość) za sprawą rządowej polityki, którą ich mieszkańcy uważali za sprzyjającą jedynie interesom biznesu i banków, przede wszystkim londyńskiego City.

Przy całej powszechnej niechęci wobec thatcheryzmu w brytyjskich regionach przemysłowych wielu członków klasy robotniczej było gotowych skorzystać z polityki redystrybucji państwowej własności na rzecz jednostek. Około 1,7 miliona lokatorów domów komunalnych, zbudowanych przez dekady przez państwo dla mniej zamożnych, przyjęło ofertę rządu wykupu nieruchomości, w których mieszkali, po mocno zaniżonych cenach. Miała to być droga do „demokracji właścicieli”. Sprzedaż przyniosła budżetowi państwa 24 miliardy funtów, dzięki czemu można było obniżyć podatki. Były to jednak jednorazowe zyski. Państwo, gdy raz sprzedało domy komunalne, traciło nad nimi kontrolę. A gdyby nie miało zamiaru uzupełnić podaży domów komunalnych – przy czym było oczywiste, że rząd Thatcher nie jest tym zainteresowany – długoterminową konsekwencją musiał być głód mieszkaniowy i transfer zysków z najmu do kieszeni prywatnych właścicieli.

Metoda przeprowadzenia deindustrializacji i prywatyzacji w Wielkiej Brytanii była ekstremalna. Prawo pracy powodowało, że pracownicy na kontynencie byli często lepiej chronieni niż w Wielkiej Brytanii, a zmiany w stosunkach pracowniczych trudniejsze do przeprowadzenia. Modernizacja przemysłu i inwestycje w szkolenia, a także nakłady kapitałowe na ten cel, były tam znacznie większe, szczególnie w Niemczech Zachodnich i Francji. Wiara w rolę państwa i jego wsparcie dla usług publicznych również były silniejsze niż w Wielkiej Brytanii. Opór przeciwko prywatyzacji był zatem znaczący w przypadkach, gdy w powszechnym odczuciu najważniejsze usługi publiczne były zagrożone. A jednak siły ekonomiczne, które popchnęły rząd brytyjski do chwycenia prywatyzacyjnego byka za rogi obiema rękami, dotknęły w różnym stopniu wszystkie kraje. We Francji, gdzie socjalistyczny prezydent Mitterrand musiał od 1986 roku „koabitować” z konserwatywnym Zgromadzeniem Narodowym (i gaullistowskim premierem, Jacques’em Chirakiem), prywatyzacja banków



i poszczególnych gałęzi przemysłu, podobnie jak w Wielkiej Brytanii, dała zwykłym obywatelom możliwość stania się akcjonariuszami. Fakt, że popyt na akcje przewyższył podaż, świadczył o popularności takiego ruchu. Także Niemcy Zachodnie przeszły w połowie lat 80. proces deregulacji usług finansowych, energetyki, telewizji komercyjnej i stacji radiowych. Do końca dekady sprywatyzowano także komercyjne usługi pocztowe. Wśród największych gospodarek europejskich Włochy były krajem, w którym prywatyzacja w latach 80. osiągnęła tylko częściowe postępy. Niektóre duże firmy, takie jak Alfa Romeo i państwowe banki, na przykład komercyjny Mediobanca, rzeczywiście przeszły z sektora publicznego do prywatnego. Jednak gros przemysłu ciężkiego, większość dużych banków, towarzystw ubezpieczeniowych, stacji radiowych i telewizyjnych pozostało (przed drugą falą prywatyzacji w latach 90.) w sektorze publicznym. Jednak włoska gospodarka, która wcześniej kwitła, teraz z powodu braku innowacyjności, a także niewydajnej i rozdętej ponad miarę siły roboczej, stawała się coraz mniej konkurencyjna.

Ponieważ liczba zatrudnionych w przemyśle spadła – średnio w krajach uprzemysłowionych w latach 1979–1994 pracę straciła w tym sektorze jedna piąta zatrudnionych – zmienił się charakter klasy robotniczej, a wraz z nią natura polityki klasowej. Stare, monolityczne gałęzie przemysłu odeszły lub przemijały. Mocne tożsamości klasowe, którą te branże wytwarzały, wymierały. Coraz więcej młodych ludzi z robotniczymi korzeniami miało teraz indywidualne interesy i cele, niedostępne wcześniejszym pokoleniom. Mieli niewielkie lub żadne doświadczenie wspólnego interesu, biorącego się z wykonywania tego samego rodzaju pracy, podobnej mentalności, podobnego stylu życia. Dorastali w warunkach prywatyzacji, nie mieli oczekiwań (albo zamiaru), że pójdą w ślady ojców czy dziadów i będą pracować w kopalniach lub hutach. Wyjeżdżali z podupadających społeczności do zamożniejszych rejonów (a czasami za granicę), często by znaleźć zatrudnienie w sektorze usług albo skorzystać z szybko poszerzających się możliwości studiowania na uniwersytetach, co przenosiło ich w górę na drabinie społecznej.

Zmieniająca się struktura zatrudnienia i stopniowe zmiany w kulturze społecznej dawały kobietom pewne nowe perspektywy. Wartości feministyczne były znacznie szerzej uznawane przez obydwie płcie, szczególnie w młodszym pokoleniu, co jeszcze dekadę wcześniej wcale nie było oczywiste. Równe prawa dla kobiet pozostawały odległym celem w miejscu pracy oraz przy możliwościach zatrudnienia, awansu czy podwyżki, ale mimo to kobiety korzystały z szybko zmieniających się warunków. Tysiące z nich, nieprzywiązane dłużej do domu lub pracy w pobliskim biurze lub miasteczku, mogły się przenieść do szybko rozrastających się miast i znaleźć zatrudnienie w administracji, hotelach, służbie zdrowia czy marketingu. Na stale powiększającą się mniejszość z wyższym wykształceniem czekały posady na wyższych stanowiskach. Kobiety z dziećmi wchodziły na rynek pracy znacznie częściej, niż to miało miejsce w nieodległej przeszłości. Podczas gdy odsetek zatrudnionych mężczyzn spadał, odsetek kobiet rósł, choć w większości była to praca w niepełnym wymiarze godzin. Walka kobiet o równość trwała. Jednak zmiany w życiu i możliwościach kobiet, podobnie jak mężczyzn, ciążyły w kierunku samorealizacji, indywidualizmu i oddalały je od starego, bardziej wspólnotowego stylu życia, tożsamości i zainteresowań.

W wyniku tego procesu kościec europejskich partii lewicowych został osłabiony. Socjalistyczne tradycje zamierały. A wśród młodych ludzi, nawet tych o poglądach lewicowych, niewielki entuzjazm budziło wyższe opodatkowanie, które było fundamentem socjaldemokratycznego państwa opiekuńczego. Niższe podatki, które pozwalały większą część pensji i płac przeznaczać na wydatki konsumpcyjne, wydawały się atrakcyjniejszą alternatywą niż wyższe daniny, z których można było opłacić usługi publiczne. Partie socjaldemokratyczne nie były jednak w stanie przedstawić atrakcyjnej czy ekonomicznie wiarygodnej alternatywy dla powszechnie przyjmowanego modelu racjonalizacji, wzmocnionej konkurencji na globalizującym się rynku i prywatyzacji. W oczach wielu – często tych, którzy padali ofiarą globalizacji i deindustrializacji – przestawały się one znacząco różnić od konserwatystów czy chadeków.

Upadek partii klasowych był wciąż jedynie częściowy i ograniczony. W niektórych krajach wręcz trudno go było zauważyć. To był jednak dopiero początek. Za to trend w kierunku ruchów podkreślających narodową lub regionalną tożsamość, choć wciąż bez większego znaczenia politycznego, był z pewnością zauważalny w niektórych regionach Europy. Partie nacjonalistyczne zaczęły zyskiwać poparcie w Szkocji, Katalonii i Flandrii. W każdym przypadku rosnący dobrobyt gospodarczy – w Szkocji związany głównie z wciąż zwiększaniem wydobywaniem ropy z dna Morza Północnego – wzmacniał przekonanie ludzi, że są poszkodowani w wyniku polityki prowadzonej przez ich rządy centralne, czy to w Londynie, czy w Madrycie lub Brukseli. W Austrii rozczarowanie duopolem partii konserwatystów i socjaldemokratów, które rządziły krajem od końca wojny, spowodowało trzykrotny wzrost poparcia (do prawie 17 procent w wyborach 1990 roku) dla prawicowego, nacjonalistycznego programu Austriackiej Partii Wolności (FPÖ), kierowanej przez ekstrawaganckiego lidera, Jörga Haidera, którego populizm mieszał się z pozytywnymi opiniami na temat Trzeciej Rzeszy. We Francji Front Narodowy zyskiwał poparcie rozczarowanej, konserwatywnej klasy średniej, ale także coraz śmieiej penetrował elektorat robotniczy, w latach 80. regularnie zyskując w wyborach około 10 procent głosów. Lider partii, populistą i rasistą Jean-Marie Le Pen (weteran wojny algierskiej), dostał aż 14,4 procent głosów w wyborach prezydenckich 1988 roku, wygranych przez Mitterranda i socjalistów.

Rosnąca świadomość szkód ekologicznych wyrządzanych przez przemysł i nowoczesny popyt konsumencki przyczynił się do powstania kolejnego nowego elementu w zmieniającej się konstelacji politycznej. Na całym świecie zaczęto się niepokoić o wpływ globalizującej się gospodarki na środowisko. Międzynarodowa organizacja Greenpeace, założona w Kanadzie w 1971 roku, zwracała uwagę świata na niszczenie środowiska, czasami poprzez spektakularne akcje, takie jak zablokowanie żeglugi na Renie na trzy dni w 1980 roku. Świadomość, że środowisku wyrządzono wielkie, być może nienaprawialne szkody, zaczęła głębiej przenikać do ludzkich umysłów. Znaczenie tego, co się działo, było

niezaprzeczalne. Różne raporty pokazywały niszczenie powłoki ozonowej (filtrującej promieniowanie ultrafioletowe ze słońca) przez dwutlenek węgla, produkowany na przykład przez lodówki, lakiery do włosów czy inne domowe aerozole; zatrucie łowisk ryb poprzez wylanie do nich chemikaliów przemysłowych; kwaśne deszcze, będące skutkiem emisji chemikaliów, które niszczyły rośliny i zatruciły źródła wody; niebezpieczeństwa związane z zawartością ołowiu w benzynie; wycinanie amazońskich lasów tropikalnych na drewno, które wędrowało potem do krajów uprzemysłowionych; oraz ogromne szkody dla fauny, spowodowane przez duże wycieki z tankowców, które osiadły na mieliźnie (takich jak na przykład Exxon Valdez na Alasce w marcu 1989 roku, z którego wyciekło 10 milionów ton ropy, zabijając ogromną liczbę ptaków). Zachodnie rządy nie mogły ignorować tych ostrzeżeń w nieskończoność. Ochrona środowiska stała się kwestią polityczną.

Partie Zielonych, odzwierciedlające rosnący niepokój o stan środowiska naturalnego, zaczęły się rozprzestrzeniać. W połowie lat 80. istniały już w większości krajów zachodnioeuropejskich. Poza Niemcami Zachodnimi (gdzie Zieloni stworzyli partię polityczną w 1980 roku i zdobyli wystarczającą liczbę głosów, by wejść do parlamentu federalnego trzy lata później) nie wkroczyli jeszcze do politycznego mainstreamu. Mimo to robili postępy. W 1984 roku pierwsi Zieloni zostali wybrani do Parlamentu Europejskiego. Szok wywołany katastrofą w Czarnobylu w kwietniu 1986 roku nadał polityce ekologicznej, szczególnie w północno-zachodniej Europie, silny impuls. Szwedzcy Zieloni, założeni w 1981 roku, byli w 1988 roku pierwszą nową partią od 70 lat, która weszła do tamtejszego parlamentu. W Finlandii Zieloni, założeni w 1987 roku, zdobyli 10 miejsc w parlamencie cztery lata później. W innych krajach ruchy ekologiczne pozostawały na peryferiach parlamentarnej polityki, ale stopniowo zdobywały wpływ na tradycyjne partie, zmuszając je do większego zainteresowania kwestiami ekologicznymi.

Rosnącej świadomości ekologicznej towarzyszyło w latach 80. większe uwrażliwienie na sprawy rasizmu. Partie neofaszystowskie i rasistowskie budziły

odrazę większości społeczeństwa. Tolerancja rasowa zaczęła być powszechnie uznawana za najbardziej oczywistą cechę cywilizowanego społeczeństwa. Analogicznie, nienawiść rasowa była postrzegana jako absolutne zaprzeczenie wszelkich standardów ludzkości. Rasizm oczywiście nie zniknął. Jednak politycznie, kulturowo i społecznie stał się tabu, a jego otwarte wyrażanie zostało stłumione i uznane za nieakceptowalne. Ponieważ imigracja do większości krajów Europy Zachodniej rosła, społeczeństwa musiały próbować – z większym lub mniejszym powodzeniem – dostosować się do wyzwań wielokulturowości. Wrażliwość na kwestie rasowe była jednak warunkowana nie tylko bieżącymi wydarzeniami.

Duchy przeszłości powróciły, by straszyć teraźniejszość. Do końca lat 70. straszliwe wydarzenia drugiej wojny światowej, które znalazły swoją kulminację w Holokauście – termin ten dopiero zaczynał być używany do określenia prowadzonej przez Niemców planowej eksterminacji europejskich Żydów – były słabo obecne w ogólnej świadomości społecznej. Historycy, oczywiście, pisali o tym, ale ich naukowe analizy nie przebijały się do szerszego kręgu odbiorców. To miało się zmienić – choć nie przede wszystkim za sprawą prac historyków. Holokaust miał się stać kamieniem probierczym świadomości historycznej w Europie Zachodniej.

Zmiana wynikała częściowo ze świadomych prób, podejmowanych przez społeczność żydowską w Stanach Zjednoczonych, by budować poczucie tożsamości wokół Holokaustu. Nie była to jedynie kwestia zachowania pamięci historycznej, jakkolwiek była ona istotna. Uważano, że „kapitał moralny”, może zjednoczyć „pamięć zbiorową” i pomóc we wspieraniu polityki korzystnej dla Izraela. Przejawem zmiany klimatu było założenie w 1977 roku Centrum Szymona Wiesenthala w Los Angeles, nazwanego imieniem słynnego łowcy nazistów (który sam był ocalonym z Holokaustu). Jeszcze ważniejsza była podjęta dwa lata później decyzja o zbudowaniu w centrum Waszyngtonu Narodowego Muzeum Pamięci Holokaustu. Pomniki i dni pamięci o Zagładzie zaczęły się mnożyć. W amerykańskich szkołach i na uniwersytetach zaczęło się też upowszechniać

nauczanie o Holokauście. W 1978 roku wielkim przełomem w powszechnej świadomości amerykańskich obywateli okazało się wyemitowanie w porze najwyższej oglądalności czteroodcinkowego serialu zatytułowanego po prostu *Holocaust*, który obejrzało prawie 100 milionów Amerykanów. Fabuła opisuje życie fikcyjnej żydowskiej rodziny, która doświadczyła całego koszmaru Holokaustu, oraz esesmana, który wyrósł na jedną z czołowych postaci koordynujących wdrażanie programu eksterminacji. Program wpływał na wyobraźnię bardziej, niż mogła to uczynić specjalistyczna literatura. Organizacje żydowskie do maksimum wykorzystały sukces serialu, by propagować świadomość Holokaustu zarówno wśród żydowskich, jak i nieżydowskich społeczności.

Rok później w Niemczech Zachodnich emisja serialu okazała się wstrząsem. *Holocaust* obejrzało blisko 20 milionów ludzi (około połowa zachodnioniemieckich telewidzów), którzy byli porażeni spersonalizowanym i skrajnie emocjonalnym opisem prześladowań i eksterminacji. Ludzie solidaryzowali się z ofiarami i wreszcie, jak nigdy wcześniej, zaczęli zdawać sobie sprawę z ogromu zbrodni. „Naród jest w szoku” – brzmiał werdykt jednego z naukowców, który napisał analizę wpływu filmu. „*Holocaust* wstrząsnął posthitlerowskimi Niemcami w sposób, w jaki niemieccy intelektualiści nie byli w stanie” – komentował popularny tygodnik „Der Spiegel”. Ponad trzy dekady po końcu wojny amerykański film, krytykowany przez niektórych za sprowadzenie zagłady Żydów do poziomu „opery mydlanej”, uwolnił poczucie narodowej winy. W następnym roku parlament federalny (Bundestag) zniósł przedawnienie dla zbrodni wojennych, pozwalając na dalsze prawne ściganie sprawców Holokaustu. Powszechnie uważa się, że film odegrał ważną rolę w podjęciu tej decyzji.

Począwszy od tego momentu, zachodnioniemieckie piśmiennictwo historyczne, a także świadomość społeczna zaczęły się koncentrować na Holokauście jak nigdy dotąd\*. W 1985 roku czterdziesta rocznica zakończenia drugiej wojny światowej (nagłośniona przez mass media znacznie bardziej niż którakolwiek poprzednia) utrzymała Holokaust i inne niemieckie zbrodnie wojenne w centrum publicznego zainteresowania. Wizyta prezydenta Reagana na zaproszenie

zachodnioniemieckiego kanclerza Helmuta Kohla na cmentarzu wojennym w Bitburgu w maju 1985 roku, w ramach obchodów rocznicy zakończenia wojny, przyniosła skutek odwrotny od zamierzonego, kiedy okazało się, że na cmentarzu leżą esesmani. Kohl starał się wówczas połączyć niemiecką odpowiedzialność za Holocaust z próbą – postrzeganą jako ważny krok do zachowania dobrych relacji pomiędzy Republiką Federalną a jej najważniejszym sojusznikiem, USA – pokazania pozytywnej transformacji, którą przeszedł jego kraj od końca wojny i potwierdzenia, że zerwał on kajdany przeszłości.

Odegrało to swoją rolę w zażartej dyspucie o Holokauście, w której wzięli udział praktycznie wszyscy wiodący zachodnioniemieccy historycy, a która w 1986 roku tygodniami zajmowała strony najważniejszych gazet w kraju. Istotą sporu było pytanie, jak nazistowska przeszłość – a przede wszystkim odpowiedzialność za Holocaust – wpływa na teraźniejszość i przyszłość zachodnioniemieckiej świadomości. Czy wina za nazistowskie zbrodnie powinna ustąpić miejsca bardziej pozytywnemu poczuciu historycznej tożsamości, jak gorąco argumentował Michael Stürmer, znany historyk i autor przemówień Helmuta Kohla? Czy też Auschwitz było kluczowe dla niemieckiej tożsamości, jak dowodził słynny filozof społeczny, Jürgen Habermas? A może Holocaust nie był w gruncie rzeczy gorszy od zbrodni stalinizmu? Takie kwestie – a przede wszystkim pytanie o wyjątkowość Holocaustu – zajmowały zachodnioniemieckich intelektualistów w 1986 roku. Większość opinii publicznej naturalnie nie bardzo interesowała się sporem historyków. Wielu ludzi uważało, że nadszedł czas, by uwolnić się od obsesji nazistowskiej przeszłości i bicia się w piersi za winy, z którymi nie mieli nic wspólnego. Mimo to echo, jakim odbił się spór, pokazało, że Holocaust stał się punktem odniesienia dla zachodnioniemieckiej świadomości.

Poza Niemcami Zachodnimi kumulacja różnych zdarzeń poruszyła publiczną wyobraźnię w całej Europie Zachodniej i poza nią oraz pociągnęła za sobą wzrost międzynarodowego zainteresowania Holokaustem. *Shoah* Claude'a Lanzmanna, który wszedł do kin w 1985 roku, bolesny dokument oparty na zeznaniach naocznych świadków, plastycznie pokazywał koszmar obozów zagłady. Proces

Klausa Barbiego, byłego szefa gestapo w Lyonie (wydanego Francji w 1983 roku przez Boliwię, gdzie się ukrywał), ujawnił jego rolę w torturowaniu bohatera ruchu oporu, Jeana Moulina, oraz deportacji ponad 200 Żydów i zwrócił uwagę francuskiej opinii publicznej na Holokaust. Z kolei „afery Waldheima” z 1986 roku, w której prezydent Austrii i były sekretarz generalny ONZ, Kurt Waldheim, został zmuszony do przyznania się, że ukrywał prawdę o swojej wojennej służbie w Jugosławii i Grecji, gdzie jego oddział popełnił straszliwe zbrodnie, pokazała międzynarodowej opinii publicznej, że Austria nie kwapi się, by wziąć na siebie część winy za udział w nazistowskiej katastrofie. W ten lub inny sposób Holokaust niemal stale przykuwał uwagę mass mediów i, w efekcie, znacznej części populacji. Druga wojna światowa zaczęła być postrzegana w innym świetle, a coraz większy nacisk kładziono na politykę rasistowską, nazistowskie barbarzyństwo na froncie wschodnim, a przede wszystkim ludobójstwo Żydów.

Bez względu na zmiany w krajobrazie społecznym i kulturowym ekonomicznie i politycznie Europa Zachodnia pozostawała pod koniec lat 80. stabilna. Gospodarcze zawirowania z poprzedniej dekady zostały przezwyciężone. Politycznie dominowała kontynuacja. Rząd Helmuta Kohla został ponownie wybrany w Niemczech Zachodnich w 1986, Margaret Thatcher w Wielkiej Brytanii w roku następnym, a François Mitterrand – którego polityka gospodarcza odeszła daleko od pierwotnego socjalistycznego programu – wygrał drugą kadencję na stanowisku prezydenta Francji w 1988 roku. Po wyborach w 1987 roku we Włoszech chadecy wrócili do władzy, zastępując socjalistyczny rząd Bettino Craxiego, natomiast komuniści zanotowali odpływ głosów. Końcówka lat 80. także we Włoszech była czasem optymizmu, choć za kulisami nasilały się niepokojące zjawiska korupcji i narastającego zadłużenia.

Także Wspólnota Europejska z nowym optymizmem patrzyła w przyszłość. Po latach stagnacji, „eurosklerozy”, jak ją nazwano, Jednolity Akt Europejski (JAE) z 1986 roku – pierwsza poważna poprawka do traktatów rzymskich z 1957 roku – tchnął we Wspólnotę nowe życie. Jego celem było stworzenie do 1992 roku wspólnego rynku, pozwalającego na nieskrępowany przepływ dóbr, usług, kapitału



i ludzi w obrębie granic Wspólnoty Europejskiej, bez żadnych narodowych barier czy utrudnień. Główną siłą napędzającą te innowacje był dynamiczny, nowo mianowany przewodniczący Komisji Europejskiej, Jacques Delors. Chciał on jednak wykorzystać Akt jako krok w kierunku unii *politycznej*. Latem 1988 roku Delors powiedział w Parlamencie Europejskim, że chce zobaczyć „zaczątki rządu europejskiego” w ciągu 10 lat. To postawiło go na kursie kolizyjnym z Thatcher i większością brytyjskiego społeczeństwa. W rzeczywistości Thatcher odegrała niepoślednią rolę w formowaniu wspólnego rynku. Postrzegała ona jednak Unię Europejską, podobnie jak większość brytyjskiej klasy politycznej, a w ślad za nią także i tamtejszego społeczeństwa, jedynie jako podmiot gospodarczy, strefę wolnego handlu. W przeciwieństwie do Delorsa całkowicie wykluczała stworzenie europejskiej unii politycznej. „Nie po to z powodzeniem ograniczaliśmy zakres państwa w Wielkiej Brytanii, by teraz miał się on zwiększyć na poziomie europejskim, z europejskim superpaństwem realizującym nową dominację Brukseli” – grzmiała brytyjska premier w przemówieniu wygłoszonym w Brugii 20 września. To wystąpienie wyznaczało początek trwałego „eurosceptycyzmu” – sprzeciwu wobec brytyjskiego członkostwa we Wspólnocie Europejskiej – w Wielkiej Brytanii. Liderem ruchu była sama Thatcher (choć w Brugii jasno oświadczyła, że „przyszłość Wielkiej Brytanii leży w Europie, w roli członka Wspólnoty”). W 1990 roku kwestia europejska podzieliła jej partię i rząd. Znacząco przyczyniła się też do rezygnacji Thatcher z funkcji premiera 22 listopada 1990 roku. Temat ten miał pozostać jęczącą się raną w sercu brytyjskiej polityki. Poza tym jednak starcie Delorsa z Thatcher odzwierciedlało fundamentalny spór w Unii Europejskiej, obecny od samego początku dyskusji o przyszłości jedności europejskiej, prowadzonych przez Jeana Moneta w 1950 roku: napięcie pomiędzy ponadnarodowymi celami a narodową suwerennością. Była to kwestia, która miała dalej nękać europejską politykę.

\*\*\*

W momencie upadku Thatcher Europa była już przekształcona. W latach 80. Europa Zachodnia i Wschodnia nadal poruszały się po różnych trajektoriach. W 1989 roku zmieniło się to radykalnie. Począwszy od wiosny tego roku, Europa Zachodnia zaczęła patrzeć z nowym zainteresowaniem, ekscytacją i zaskoczeniem na to, co działo się po wschodniej stronie żelaznej kurtyny. Wiatr zmian Gorbaczowa przybrał teraz siłę huraganu i wyrwał z korzeniami strukturę komunistycznej władzy, które trwały niezmiennie przez ponad 40 lat.

---

\* W 1979 roku byłem obecny na dużej konferencji niemieckich i brytyjskich historyków dotyczącej państwa nazistowskiego. Znaczące, że żadna prelekcja nie była poświęcona Holokaustowi. Zaledwie kilka lat później byłoby to nie do pomyślenia. Pierwsza zachodnioniemiecka konferencja poświęcona wyłącznie temu tematowi odbyła się dopiero w 1984 roku, prawie cztery dekady po zakończeniu wojny.

## ROZDZIAŁ 9

# Siła ludu

---

*Nikt jeszcze nie widział społeczeństwa ze znacjonalizowaną własnością, gospodarką planową i demokratyczną i pluralistyczną strukturą polityczną.*

Adam Michnik, *Letters from Prison and Other Essays*, 1985 r.

**W** 1991 roku zimna wojna się skończyła, a żelazna kurtyna należała do przeszłości. „Koniec epoki” to wytarty slogan. Tu jednak ten termin pasuje jak ulał. To, co wydarzyło się pomiędzy rokiem 1989 a 1991, było ni mniej, ni więcej, tylko europejską rewolucją – i, co niezwykle, w przeciwieństwie do poprzednich rewolucji odbyła się ona (w większości) bez rozlewu krwi. Jak to było możliwe?

Bez Michaiła Gorbaczowa być może by nie było. Z perspektywy czasu można dostrzec strukturalne przyczyny stojące za upadkiem Związku Radzieckiego i jego satelitów w Europie Wschodniej. Jednak nie ma powodu zakładać, że bez Gorbaczowa upadek odbyłby się wtedy, kiedy się odbył, przybrał taki obrót, jaki obrał i miał takie konsekwencje, jakie miał. Jego rola była nie do przecenienia.

Pomimo to jeszcze jedna siła była konieczna, by wywołać rewolucję w Europie Wschodniej: siła ludu. Ośmieleni tym, co widzieli w Związku Radzieckim, ludzie w Europie Wschodniej zbuntowali się przeciwko komunistycznym władcom, którzy niewolili ich przez ponad 40 lat. Preludium miało miejsce w Polsce w 1980 roku, kiedy społeczny sprzeciw wobec komunistycznej władzy doprowadził do powstania ruchu „Solidarności” i wstrząsnął fundamentami istniejącego reżimu.

W kolejnym roku doszło jednak do kontrataku sił rządzących w Polsce. „Solidarność” została zdelegalizowana, opozycja stłumiona, presja na zmiany zablokowana. Kiedy nowy wiatr powiał w Związku Radzieckim pod koniec lat 80., „Solidarność” została ożywiona. Ani w Polsce, ani nigdzie indziej nikt nie oczekiwał, że koniec komunistycznej władzy nastąpi szybko. Jednak pod koniec 1989 roku lawina zmian zmiotła istniejące reżimy. W każdym z krajów ludzie upomnieli się o swoją wolność i wywalczyli ją. Odgórna rewolucja, zainicjowana przez Gorbaczowa, przekształciła się w rewolucję oddolną, kiedy ludzie zdali sobie sprawę, że ich władcy stoją na grząskim gruncie. W jednym kraju po drugim odbierali im władzę. W końcu zmiana, która rozpoczęła się w Związku Radzieckim, wróciła doń ze zdwojoną siłą. To, co wydawało się niewzruszone przez 70 lat, zostało zniszczone w ciągu dwóch.

## **Satelity wypadają z orbity**

Polska, tak jak w 1980 roku, przecierała szlaki. Wybory, które odbyły się 4 czerwca 1989 roku, przyniosły miażdżące zwycięstwo „Solidarności”, która zdążyła się już przekształcić ze związku zawodowego – który był w istocie znacznie słabszy niż w 1980 – w de facto partię polityczną. Umiarkowana frekwencja, zaledwie 62 procent, odzwierciedlała zapewne wysoki poziom nieufności do wyborów, o których wielu sądziło, że nic nie zmienią. Wynik nie mógł być jednak bardziej oczywisty. W pierwszej turze „Solidarność” zdobyła 92 na 100 miejsc w Senacie i 160 na 161 miejsc dostępnych dla niezależnych kandydatów w Sejmie. Euforia mieszała się ze strachem. Po południu w dniu wyborów telewizja pokazała zdjęcia czołgów na placu Niebiańskiego Spokoju w Pekinie, gdzie setki studentów domagających się demokracji zostało zmasakrowanych przez wojska rządowe. Jak polski rząd zareaguje na zwycięstwo opozycji w wyborach? Reżim zaakceptował werdykt społeczeństwa. Czterdzieści lat komunistycznej dominacji dobiegło kresu – prawie, lecz nie do końca.

Rząd wciąż znajdował się w rękach komunistów, a generał Jaruzelski został zgodnie z planem wybrany na nowo utworzone stanowisko prezydenta. Druga tura wyborów, która odbyła się 18 czerwca, potwierdziła jednak pogrom komunistycznego establishmentu. Około 65 procent głosów przypadło „Solidarności”, choć frekwencja, zaledwie 25 procent, była żałośnie niska. Jaruzelski zaproponował „Solidarności” udział w wielkiej koalicji, ale oferta została odrzucona. 7 sierpnia lider opozycji, Lech Wałęsa, zaproponował rząd pod wodzą „Solidarności”, wspierany przez mniejsze partie, które dotąd były zaledwie marionetkami komunistów (którzy teraz byli partią mniejszościową w Sejmie), 24 sierpnia Polska miała nowego premiera – czołowego działacza „Solidarności” i wieloletniego dysydenta, Tadeusza Mazowieckiego – desygnowanego przez komunistycznego prezydenta Jaruzelskiego i popartego przez prawie wszystkich komunistycznych posłów w Sejmie. W kolejnych miesiącach fundamenty komunistycznego państwa były systematycznie rozmontowywane. Polska stała się republiką bez przymiotnika „ludowa”; policja i armia zostały odpolitycznione; z konstytucji usunięto zapis o kierowniczej roli partii, a sama partia uległa samorozwiązaniu (odrodziła się w styczniu 1990 roku jako Socjaldemokracja RP). Jednak wraz z końcem komunistycznego wroga skończyła się również jedność wśród opozycji.

W 1990 roku narastała presja na Jaruzelskiego, by ustąpił ze stanowiska prezydenta. Kiedy jednak to uczynił, przywódcy „Solidarności” zaprzeczyli nazwie swojego ruchu. Niedawno ponownie wybrany na przewodniczącego ruchu Lech Wałęsa zgłosił własną kandydaturę, rzucając bezpośrednie wyzwanie Mazowieckiemu, wcześniej jednemu ze swoich najbliższych doradców. Władczy i niecierpliwy, ale z niewątpliwym wyczuciem społecznym, które pozwoliło mu stać się głosem coraz liczniejszej rzeszy niezadowolonych, Wałęsa czuł się marginalizowany przez intelektualistów takich jak Mazowiecki i Adam Michnik. Wybory w listopadzie (z drugą turą w grudniu) przyniosły klęskę intelektualistom, a przytłaczające zwycięstwo elektrykowi i byłemu przywódcy związkowemu, który został zaprzysiężony 22 grudnia 1990 roku. Wówczas „Solidarność” była już

podzielona i traciła poparcie na rzecz nowych partii, które pojawiły się wraz z nastaniem demokracji. Polska szybko przekształcała się w normalne pluralistyczne społeczeństwo. Niezwykła transformacja polityczna dokonywała się demokratycznie i bez rozlewu krwi.

Z ekonomicznego punktu widzenia początek eksperymentu z pluralistyczną demokracją był mniej udany. Państwowej gospodarce, która z początkiem 1990 roku gwałtownie otworzyła się na siły rynkowe, zaaplikowano „terapię szokową”, nazwaną od nazwiska nowego ministra finansów, Leszka Balcerowicza, „planem Balcerowicza”. Bezpośrednią konsekwencją dogłębnej deregulacji i dewaluacji waluty była szalejąca inflacja. Eksport wzrósł, choć w innych krajach Europy Wschodniej marniał. Jednak w momencie wyboru Wałęsy na prezydenta stopa inflacji sięgała 250 procent, sklepowe półki świeciły pustkami, produkcja drastycznie spadła, a bezrobocie mocno wzrosło. Średni dochód realny spadł o jedną trzecią. Umorzenie większości zadłużenia wobec innych krajów i obarczona restrykcyjnymi warunkami pomoc Międzynarodowego Funduszu Walutowego stopniowo formowały podstawy ożywienia gospodarczego w kolejnych latach. Wówczas prywatyzacja w Polsce była już poważnie zaawansowana. Zarówno w zakresie ekonomii, jak i polityki, Polska szybko uczyła się, co to znaczy być „zachodnim” krajem.

16 czerwca 1989 roku, w niespełna dwa tygodnie po wyborach w Polsce, które zapoczątkowały koniec komunizmu w tym kraju, przyszedł czas na Węgry. Ogromny tłum prawie 200 000 ludzi zebrał się na placu Bohaterów w Budapeszcie na transmitowanej przez telewizję ceremonii powtórnego pochówku bohatera powstania z 1956 roku, Imre Nagya – powieszono go przez komunistów po groteskowym procesie pokazowym. Jeszcze rok wcześniej policja brutalnie rozgoniła demonstrację, która zebrała się, by upamiętnić rocznicę egzekucji Nagya. Teraz, rok później, plac Bohaterów nie był już udekorowany plakatem z sierpem i młotem, lecz narodową flagą. Ostatnim mówcą, który oddał hołd pamięci Nagya, był Viktor Orbán z Młodych Demokratów. Dostał ogromne brawa, kiedy zadeklarował: „Jeśli zaufamy naszym duszom i sile, możemy położyć kres

dyktaturze komunistycznej”. Wydarzenia, które do tego doprowadziły, zaczęły następować szybko jedno po drugim. I, podobnie jak w Polsce, przebiegały pokojowo.

János Kádár, który był odpowiedzialny za egzekucję Nagya, nie dożył upadku państwa, któremu przewodził tak długo. Zmarł na raka 6 lipca 1989 roku. Miesiąc wcześniej partia komunistyczna zgodziła się na rozmowy okrągłego stołu z ugrupowaniami opozycyjnymi, które powstały w marcu. Lato upłynęło jednak w większości pod znakiem sporów w łonie opozycji, podczas gdy komuniści – sami podzieleni – nadal sprawowali rządy. Mimo zawilej sytuacji trajektoria była jednak jasna. Wolne wybory parlamentarne zostały uzgodnione 18 września, choć inne aspekty demokratycznej transformacji, szczególnie pytanie, czy wybory parlamentarne powinny poprzedzać wybory prezydenckie, wciąż były przedmiotem dyskusji ugrupowań opozycyjnych. Na początku kolejnego miesiąca komuniści rozwiązali swoją partię i zmienili jej nazwę z Węgierskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej na po prostu Węgierską Partię Socjalistyczną. 23 października, w rocznicę rewolucji 1956 roku, w obecności nieprzebranych tłumów zebranych przed budynkiem parlamentu w Budapeszcie, proklamowano nową Republikę Węgierską, podobnie jak w Polsce już bez przymiotnika „ludowa”. Długo odkładane wybory parlamentarne – oznaczające powrót do pluralistycznej polityki – odbyły się ostatecznie w marcu i kwietniu 1990 roku i wyłoniły kruchą koalicję składającą się głównie z liberalnych i centroprawicowych partii konserwatywnych.

Lato tego roku upłynęło pod znakiem inercji, choć w międzyczasie sytuacja gospodarcza mocno się pogorszyła. Choć węgierska gospodarka była od wielu lat bardziej otwarta na ograniczone formy prywatnej przedsiębiorczości niż jakiegokolwiek inne państwo bloku sowieckiego, a ostatnio jeszcze bardziej poszła w tym kierunku, pełna konfrontacja z kaprysmi rynku ukazała Węgrom brutalne realia zachodniego kapitalizmu. Jednak potężne zadłużenie wobec Zachodu i inflacja, która w każdej chwili mogła wymknąć się spod kontroli, oznaczały, że podobnie jak w Polsce, nie było innej alternatywy niż szukanie pomocy na

Zachodzie, bez względu na to, jak trudna miałyby się okazać transformacja. Pomoc finansowa MFW pomogła Węgrom przetrwać ten trudny czas – choć dopiero po wprowadzeniu w lipcu 1990 roku nowych środków oszczędnościowych. Jesienią tego roku rząd wdrożył też szeroko zakrojony program prywatyzacji. Podobnie jak w innych krajach byłego bloku sowieckiego, dominowały idee neoliberalne, importowane w większości ze Stanów Zjednoczonych. Sondaże opinii publicznej pokazywały już wówczas, że świeżo wybrany demokratyczny rząd cieszył się mniejszym zaufaniem niż poprzednia administracja komunistyczna. Jednocześnie sowieckie wojska, niegdyś w liczbie 100 000 stacjonujące na Węgrzech, były wycofywane, a ostatni żołnierze opuścili kraj w marcu 1991 roku. Był to najbardziej widoczny znak, że Węgry de facto wyszły z Układu Warszawskiego i zwróciły się ku Zachodowi. Decydujący moment miał jednak miejsce wcześniej, bo wiosną 1989 roku.

W sierpniu owego roku Węgry zgodziły się, w zamian za poważną pomoc finansową od Niemiec Zachodnich, otworzyć swoją granicę z Austrią dla wschodnich Niemców. Tym jednym posunięciem nie tylko zlekceważyły zobowiązanie do zawracania każdego, kto chciałby opuścić bratni kraj socjalistyczny, do państwa pochodzenia; przede wszystkim stworzyły lukę w żelaznej kurtynie. Kiedy w nocy z 10 na 11 września otwarto granice, tysiące obywateli Niemiec Wschodnich zagłosowało nogami, przekraczając granicę węgiersko-austriacką. Początkowo trafili do obozów przejściowych, a stamtąd do Republiki Federalnej Niemiec. Do końca października wyjechało 50 000 ludzi.

Uciekinierów przyjmowały również ambasady Republiki Federalnej w Budapeszcie, Pradze i Warszawie. 30 września 1989 roku zachodnioniemiecki minister spraw zagranicznych, Hans-Dietrich Genscher, ogłosił w telewizji, że udało mu się wynegocjować z Moskwą i Berlinem Wschodnim przetransferowanie 60 000 obywateli NRD do Republiki Federalnej. Tysiące ludzi na peronach, a kolejne miliony w telewizji oglądały entuzjastyczne powitanie zaplombowanych pociągów, które przewoziły uciekinierów na Zachód.



Nawet doświadczeni obserwatorzy Niemieckiej Republiki Demokratycznej nie przewidzieli tak szybkiej lub radykalnej zmiany. Sami liderzy NRD z pewnością nie byli na nią przygotowani. Wschodnioniemiecki przywódca, Erich Honecker, jeszcze niedawno twierdził, że może sobie wyobrazić, że mur berliński będzie stał jeszcze przez 100 lat. W istocie sprzeciw wobec reżimu nasilał się przez całe lato; w dużej mierze był artykułowany przez pastorów protestanckich. Jednak intelektualiści, w przeciwieństwie do swoich węgierskich i polskich kolegów, siedzieli w większości w kieszeni reżimu. Polityczny nonkonformizm nie stanowił dlań do tego momentu większego zagrożenia. Natomiast partyjni przywódcy, ze swojej strony, nie wykazywali żadnej woli, by pójść na ustępstwa. Lokalne wybory w maju 1989 roku zostały ostentacyjnie sfałszowane. Partyjni twardogłowi poparli masakrę chińskich studentów na placu Niebiańskiego Spokoju; usprawiedliwiali ją, twierdząc, że był to smutny, lecz konieczny krok, by obronić socjalizm. A Stasi – budząca przerażenie tajna policja – wciąż trzymała społeczeństwo w żelaznym uścisku.

Pozornie reżim epatował pewnością siebie. Przygotowania do obchodów czterdziestej rocznicy powstania NRD, która przypadała 7 października, szły pełną parą. Kiedy Gorbaczow przyjechał na obchody rocznicy do Berlina Wschodniego, został entuzjastycznie powitany przez wiwatujące tłumy. Wschodnioniemieccy przywódcy, przede wszystkim absolutnie nieprzejednany Erich Honecker, nie mogli nie dostrzegać, jaka przepaść dzieli ich od Gorbaczowa. Słowa, których Gorbaczow użył w prywatnej rozmowie z kierownictwem NRD, szybko stały się powszechnie znane: „Życie brutalnie karze tych, którzy nie nadążają za polityką”.

Demonstracje przeciwko reżimowi, inspirowane w każdy poniedziałek wieczornymi modlitwami o pokój w kościele św. Mikołaja w Lipsku, przybierały na sile – na początku września wzięło w nich udział kilka tysięcy osób, około 20 000 miesiąc później, a w poniedziałek 9 października być może nawet 70 000. Dwa dni później, podczas obchodów czterdziestolecia, policja postąpiła ze swoją zwykłą brutalnością wobec demonstrantów. Pojawiły się obawy – pamięć o placu Niebiańskiego Spokoju była wciąż świeża – że siły bezpieczeństwa użyją broni

przeciwko poniedziałkowym demonstrantom w Lipsku. Krążyły plotki, że reżim jest gotowy zdusić protest siłą. Spodziewano się konfrontacji. Kurt Masur, międzynarodowej sławy dyrygent lipskiej orkiestry Gewandhaus, znalazł się – wraz z trzema lokalnymi funkcjonariuszami partii – w gronie tych, którzy zaapelowali o uniknięcie przemocy. Nie wiadomo było, czy apel ten przyniesie skutek. Honecker 8 października poinstruował Stasi, że trzeba zapobiec wszelkim niepokojom. Brzmiało to złowrogo. Wtedy zainterweniowała Moskwa: w Lipsku nie może dojść do rozlewu krwi. Przekaz dotarł do partii i policji w mieście. Mimo to demonstranci nie mogli być pewni swojej nietykalności. Musieli się liczyć z tym, że policja może użyć przeciwko nim ostrej amunicji. Udział w marszu tego wieczora wymagał odwagi, ale ostatecznie demonstranci przeszli nie niepokojeni. To był decydujący moment. Ludzie zdali sobie sprawę, że policja nie będzie już dłużej interweniować, że można bezpiecznie demonstrować. 4 listopada około pół miliona obywateli wzięło udział w ogromnej i relacjonowanej na żywo w telewizji demonstracji na Alexanderplatz w centrum Berlina Wschodniego. Domagali się wolnych wyborów, swobody wypowiedzi, dymisji rządu, legalizacji ugrupowań opozycyjnych i końca kierowniczej roli partii komunistycznej w kraju. „My jesteśmy narodem”, skandowali.

Rewolta mas była bliska punktu szczytowego. 3 października władze NRD, zaniepokojone kłopotliwymi obrazkami wschodnich Niemców uciekających na Zachód, zakazały podróży do Czechosłowacji bez wizy. Droga na Węgry została w ten sposób zamknięta. Ponieważ jednak protesty przeciwko reżimowi przybierały na sile, niemożliwe stało się utrzymanie tego wysoce niepopularnego rozwiązania, które de facto otaczało murem całe społeczeństwo. 1 listopada zakaz został zniesiony. Pomiędzy 3 a 5 listopada ponad 10 000 obywateli przekroczyło czeską granicę w drodze do Niemiec Zachodnich. Przy tym faktycznym zezwoleniu na wyjazd na Zachód jedynie za okazaniem paszportu mur berliński stał się w rzeczywistości bezprzedmiotowy. Wciąż jednak opuszczenie NRD wymagało dopełnienia uciążliwych formalności w celu wytłumaczenia powodów podróży. Tak czy inaczej, mur wciąż stał – choć nie miało to już potrwać długo.

Ograniczenia swobody podróżowania były głównym powodem do narzekania. Do 9 listopada reżim przygotował dekret na stałe pozwalający podróżować wszelkimi drogami do Republiki Federalnej i Berlina Zachodniego bez żadnych formalności. Miał on zostać ogłoszony następnego dnia. Nowo mianowany rzecznik partii, Günter Schabowski, najwyraźniej nie zgłębił jego treści; dekret podsunęto mu tuż przed konferencją prasową, która miała się odbyć wieczorem 9 listopada. Kiedy dziennikarze zapytali go, kiedy dekret wchodzi w życie, odpowiedział bez wahania: „Teraz, natychmiast”. Dopytywany dodał, że dotyczy to również Berlina. W tym momencie tysiące obywateli NRD, którzy z rosnącym zdumieniem oglądali telewizję, wskoczyło do swoich trabantów, ład i wartburgów i po prostu pojechało pod mur. Wieczorem pod wszystkimi berlińskimi przejściami granicznymi kłębiły się już tłumy chcące się dostać do Berlina Zachodniego. Straż graniczna, której obecność przez dziesięciolecia budziła grozę, nie była poinformowana o zmianie. Najpierw starała się powstrzymać ludzi, a później próbowała wstawiać do paszportów stemple, które wskazywałyby, że ich posiadacze opuszczają NRD bez zamiaru powrotu. Całkowicie przytłoczeni przez tłum strażnicy szybko jednak zrezygnowali, nie wiedząc, jak powinni postąpić. W przekrzywionych czapkach, czasami ze śladami szminek na policzkach, po prostu przepuszczali tłumy. „W końcu wolność”, krzyczeli niektórzy.

Zachodni berlińczycy także ruszyli w podniosłych nastrojach pod swoją stronę muru. Wkrótce śpiewali, tańczyli, ściskali obcych, obsypując swoich rozentuzjasmowanych, ale wciąż oszołomionych rodaków ze wschodu kwiatami, czekoladkami i bananami (które, tak jak wszystkie świeże owoce, nie były łatwo dostępne w NRD). Następnego dnia straż graniczna otoczyła mur. Funkcjonariusze szybko zostali jednak zastąpieni przez tysiące młodych ludzi, którzy wdrapywali się na szczyt tego, co przez prawie 30 lat było symbolem podziału i opresji\*. Odłupywano kawałki muru – zabierano je na pamiątkę, ale przy okazji niszczone również znienawidzony symbol tyranii. Następane dni stały się dla Berlina Zachodniego jednym wielkim świętem. Tłumy berlińczyków ze wschodu i z zachodu krążyły wokół centrum miasta. Regionalny dyrektor Coca-Coli został

wkrótce potem nagrodzony za swoją pomysłowość awansem, bo kazał rozdawać nowo przybyłym wschodnim Niemcom puszki coli, zapewniając w ten sposób gigantyczną darmową reklamę telewizyjną swojemu produktowi. Metro było w owym czasie tak zatłoczone, że pociągi przejeżdżały przez przystanki, nie zatrzymując się. Banki wyjątkowo otwarto w sobotę, by wypłacać „powitalne pieniądze” w kwocie 100 marek niemieckich. Wschodni Niemcy nie mieli problemu z ich wydaniem. Długo marzyli o zachodnich towarach, więc można ich było często zobaczyć, jak niosą świeżo zakupione magnetofony, a także kiście bananów i torby pomarańczy.

Wtedy już wschodnioniemiecki reżim w oczywisty sposób chylił się ku upadkowi. Chaotyczny sposób, w jaki dokonano się otwarcie muru, pokazał, że rząd nie sprawuje już nad niczym kontroli. Bez opcji sowieckiego wsparcia dla utrzymania władzy za pomocą użycia wojska przeciw obywatelom reżim był faktycznie bezsilny. A gdyby zdecydował się użyć siły, straciłby wszelkie szanse na pomoc finansową z Niemiec Zachodnich, bez której gospodarce trudno byłoby przetrwać. W związku z tym polityczna dezintegracja była nieuchronna. Honecker już 18 października został usunięty ze wszystkich funkcji partyjnych i państwowych – oficjalnie z powodów zdrowotnych. Jednak jego następcą, Egon Krenz, ponuro wyglądający arcyaparaczyk, był bliskim zausznikiem obalonego przywódcy i pochodził spod tej samej sztancy; jak Honecker, był obrońcą masakry na placu Niebiańskiego Spokoju. Jego próby pozowania na reformatora nowego typu były od początku skazane na niepowodzenie. Do początku listopada większość pozostałych przywódców NRD, w tym Erich Mielke, szef Stasi, odeszła. (Wkrótce potem nastąpiło rozwiązanie samej Stasi). 2 grudnia z konstytucji został usunięty kluczowy artykuł głoszący, że NRD jest państwem socjalistycznym, kierowanym przez komunistyczną Socjalistyczną Partię Jedności Niemiec. Krenz i reszta Politbiura oraz Komitetu Centralnego partii zrezygnowali dwa dni później. 6 grudnia Krenz przestał być również głową państwa. Siła ludu sprawiła już wówczas, że NRD wstąpiła na ścieżkę – choć przez kilka kolejnych miesięcy miała być ona kręta – prowadzącą do tego, by stać się w pełni pluralistyczną demokracją.

Pokojowa ludowa rewolucja – dzięki odwadze obywateli, ale w niemałej mierze również za sprawą zewnętrznego wsparcia Gorbaczowa – zatriumfowała.

Ugrupowania opozycyjne – Nowe Forum, „Demokratyczne Przebudzenie”, „Demokracja Teraz” i wiele innych (łącznie było ich od 320 do 325, choć większość z nich nie liczyła więcej niż 20 członków) – które powstały latem i jesienią 1989 roku, przewodziły rewolucji. Wszystkie pragnęły demokracji i za punkt startu uznawały wolne wybory. Poza tym ich liderzy, wśród których było wielu intelektualistów lub idealistów, których zasady zakorzenione były w wierze protestanckiej, często różnili się, jeżeli chodzi o precyzyjne cele – o ile takie mieli. Nic dziwnego, że panowała wielka niepewność. Chcieli pozbyć się opresyjnego komunistycznego państwa, którego ucisku wszyscy doświadczyli. W masach ich zwolenników buzował gniew na korupcję przywódców, którzy oficjalnie propagowali socjalistyczną równość, ale pławili się w luksusach i przywilejach, stanowiących wielkie nadużycie władzy i kpinę z poświęceń, których wymagali od tych, którzy im ufali. „Realny socjalizm” okazał się kłamstwem. Wśród protestujących wciąż jednak było wielu ideowych komunistów, w tym byłych członków partii. Żaden z czołowych zwolenników zmian nie upatrywał modelu w zachodnim kapitalizmie. Żaden też nie chciał zjednoczenia z kapitalistycznymi Niemcami Zachodnimi.

Poglądy te podzielała większość wschodnich Niemców. Według sondaży opinii wkrótce po upadku muru 86 procent społeczeństwa opowiadało się za „drogą w kierunku lepszego, zreformowanego socjalizmu”. Pokładali iluzoryczne, jak się wkrótce okazało, nadzieje w „trzeciej drodze” – czymś w rodzaju „socjalizmu z ludzką twarzą”, zgniecionej przez sowieckie czołgi w Pradze w 1968 roku. Szybko jednak odkryli, że ich nadzieje ustępują pod naciskiem szybko rosnących żądań zwykłych ludzi, którzy zaczęli chcieć tego, czego początkowo nie szukali: zjednoczenia z Zachodnimi Niemcami i zaspokojenia potrzeb konsumpcyjnych, których mogli jedynie posmakować podczas krótkich pobytów w Berlinie Zachodnim. Podczas gdy jesienią krzyczano „to my jesteśmy ludem”, do końca roku hasło zmieniło się na „jesteśmy jednym ludem”. Jeszcze bardziej uderzający

był nowy slogan, „Zjednoczona Niemiecka Ojczyzna”. Sondaże pokazywały, że prawie 80 procent wschodnioniemieckiego społeczeństwa chciało zjednoczenia. Zaczęła narastać społeczna presja, która, dopełniona dyplomatycznymi inicjatywami politycznych przywódców, w ciągu kilku miesięcy zaowocowała zjednoczeniem Niemiec.

Likwidacja muru berlińskiego była symbolicznym momentem, który pokazał światu, że blok sowiecki jest skończony. Upadały kolejne kostki domina. Koniec pozostałych reżimów komunistycznych w Czechosłowacji, Bułgarii i Rumunii nadszedł szybko – choć w każdym z tych przypadków, w przeciwieństwie do Polski i Węgier, ci, którzy sprawowali władzę, nie byli gotowi, by się nią podzielić.

Intelektualiści w Czechosłowacji z Václavem Havlem na czele, wspierani przez licznych studentów, od miesięcy coraz głośniej wyrażali swój sprzeciw wobec reżimu. Około 10 000 ludzi demonstrowało 28 października 1989 roku, w rocznicę założenia Czechosłowacji w 1918 roku. Petycja sporządzona przez Havla (wypuszczonego z więzienia w maju) i jego współpracowników, zatytułowana „Kilka zdań”, w której domagano się wprowadzenia demokratycznych praw, do listopada została podpisana przez około 37 000 ludzi. Presja na zmiany narastała szybko. Dramatyczne wydarzenia w ambasadzie zachodnioniemieckiej w Pradze pokazywały, że jest ona możliwa – i że już trwa. Upadek muru był tego najbardziej spektakularnym przejawem. Reżim w Czechosłowacji nie był jednak gotowy na kapitulację. Specjalne oddziały policji uzbrojone w pałki brutalnie rozpędziły studencką demonstrację 17 listopada. Nie odstraszyło to demonstrantów; wręcz przeciwnie, brutalność policji przyciągnęła ich jeszcze więcej. W ciągu kilka dni liczba protestujących, którzy domagali się końca komunistycznej dyktatury, wzrosła do 200 000. 24 listopada na placu Waclawa zebrało się 750 000 ludzi. Połowa pracowników w kraju poparła ogłoszony później dwudniowy strajk generalny. Ugrupowania opozycyjne zorganizowały się tymczasem 19 listopada w Forum Obywatelskie pod przewodnictwem Havla, by domagać się demokratycznych zmian. Dyskusje w jego siedzibie, w praskim teatrze Laterna Magica, były często mętne, rozwlekłe i chaotyczne. Jednak jednocześnie

pobudzające rosnącą falę ludowego sprzeciwu i napędzane przez nią, Forum Obywatelskie zorganizowało „aksamitną rewolucję”, która zmiotła chwiejne resztki komunistycznej władzy.

Przed końcem listopada całe partyjne kierownictwo zrezygnowało, a przewodnia rola partii została usunięta z konstytucji. Rząd próbował, przy pomocy poważnych przetasowań dokonanych 3 grudnia, utrzymać władzę w rękach komunistów. Było już na to za późno. W obliczu groźby strajku generalnego nowy gabinet, którego większość członków pochodziła z Forum Obywatelskiego, został zaprzysiężony 10 grudnia. Wielki wygrany z 1968 roku i uosobienie starego reżimu, prezydent Gustáv Husák, w końcu uznał swoją porażkę i zrezygnował. 29 grudnia 1989, tuż przed końcem tak obfitującego w wydarzenia roku, Václav Havel złożył przysięgę jako nowa głowa państwa. W głęboko symbolicznym ruchu bohater 1968 roku, Aleksander Dubczek, został dzień wcześniej mianowany na, w dużej mierze honorowe stanowisko, przewodniczącego Zgromadzenia Federalnego. Sowieckie wojska zaczęły wycofywać się z Czechosłowacji pod koniec lutego 1990 roku. Wybory w czerwcu 1990 roku (i reelekcja Havla na prezydenta miesiąc wcześniej) potwierdziły skuteczne przejście Czechosłowacji do liberalnej demokracji.

Podstawy „społeczeństwa obywatelskiego”, które w szczelinach komunistycznej władzy rozwijało własne formy pluralistycznego myślenia o polityce i debatę w opozycji do partyjnego monopolu władzy, niemal nie istniały w Bułgarii. Przełom przyszedł więc nie z dołu, ale z góry, poprzez zamach stanu w partyjnym kierownictwie. Społeczna presja na demokrację nastąpiła po zmianach na szczycie, zamiast je poprzedzać. Spóźniona inicjatywa Todora Żiwkowa, który w listopadzie 1989 roku próbował stawić czoła kryzysowi w partyjnym kierownictwie, starając się wdrażyć reformy, spełzła na niczym. Najdłużej panujący w Europie Wschodniej partyjny przywódca, który doszedł do władzy zaledwie rok po śmierci Stalina, został obalony przez wewnątrzpartyjne siły i zmuszony do rezygnacji ze wszystkich stanowisk partyjnych i państwowych 10 listopada 1989 roku. Człowiek, który metaforycznie dzierżył nóż, i jednocześnie następca

Żiwkowa na stanowisku szefa partii, Petyr Mladenow, sam jednak był przedstawicielem starej gwardii, od 1971 roku pełnił funkcję ministra spraw zagranicznych, i, jak się później okazało, jeszcze w grudniu 1989 roku rozważał wysłanie czołgów przeciw demonstrantom. Został usunięty ze stanowiska głowy państwa w lipcu 1990 roku.

Zanim jednak do tego doszło, Mladenow (podobnie jak początkowo Gorbaczow w Związku Radzieckim) wprowadził pierwsze poważne reformy. Były to długo odwlekane kroki zmierzające do (jak miał nadzieję) utrzymania, a nie złamania komunistycznej władzy. Pod koniec grudnia 1989 roku był gotowy do rozpoczęcia negocjacji dotyczących programu reform z ugrupowaniami opozycyjnymi, z których kilka na początku tego miesiąca powołało Związek Sił Demokratycznych. Transformacja państwa miała miejsce w 1990 roku. Była znacznie mniej radykalna, za to bardziej mozolna i fragmentaryczna niż w innych krajach byłego bloku wschodniego. Niemniej, tak jak gdzie indziej, była niepowstrzymana. Partia i państwo zostały formalnie rozdzielone w styczniu. W marcu zalegalizowano strajki. Partia komunistyczna w kwietniu zmieniła nazwę na Bułgarską Partię Socjalistyczną. W czerwcu przeprowadzono wybory, w których jednak największy odsetek głosów zdobyli komuniści (47,2 procent). Słaba koalicja rządowa, podzielona w poglądach na to, jak radzić sobie z narastającymi problemami gospodarczymi i powszechnym chaosem, chwiała się przez całą drugą połowę 1990 roku. Światło w tunelu pojawiło się dopiero, kiedy bezpartyjny prawnik, Dymityr Popow, zgodził się 7 grudnia 1990 roku stworzyć rząd tymczasowy. Powstał on na bazie porozumienia gwarantującego pokojową transformację do społeczeństwa demokratycznego, podpisanego przez trzy największe partie. Odbudowa pogruchotanej gospodarki – wspierana tak jak wszędzie indziej przez MFW i Bank Światowy i oparta na reformach rynkowych i prywatyzacji – dopiero teraz mogła się zacząć na dobre, choć proces naprawy długo nie przynosił efektów.

W pięciu z sześciu krajów bloku sowieckiego rewolucja 1989 roku przebiegła zaskakująco pokojowo. Reżimy wprowadziły najpierw albo używały przemocy, albo



przynajmniej to rozważały, ale odstraszała je świadomość, że nie mogą liczyć na wsparcie Związku Radzieckiego. „Czynnik Gorbaczowa” był tu decydujący. Przywódcy reżimów próbowali później ugłaskać społeczeństwo spóźnionymi i cząstkowymi próbami reform, których rzeczywistym celem było utrzymanie władzy. Jednak społeczna opozycja, zdając sobie sprawę, że bez sowieckiego wsparcia przywódcy ich krajów są nadzy niczym cesarz z bajki, coraz bardziej stanowczo wyrażała swoje żądania demokratycznych zmian. Potęga ludu wzrosła niepomiaralnie jesienią 1989 roku. Przywódcy komunistycznych reżimów byli zdyskredytowani, wystawieni na osąd publiczny i coraz bardziej bezradni.

O ile jednak pokojowa rewolucja była normalnym schematem, w jednym kraju upadek reżimu zakończył się krwawo. Było do przewidzenia, że jeżeli gdzieś balon ma pęknąć z głośnym hukem, to będzie to Rumunia. Potworność tyranii Nicolae Ceaușescu wykluczała negocjacje, kompromis, stopniowe reformy i pokojową transformację, które miały miejsce gdzie indziej. Opozycja, pobudzona przez klimat zmian wprowadzony przez Gorbaczowa, z pewnością pulsowała pod powierzchnią. Jednak w obliczu wciąż bezwzględnych represji i brutalności reżimu aż do późnej jesieni 1989 roku nie miała większego wpływu na bieg wydarzeń. Ośmieliły ją rewolucyjne zmiany w sąsiednich Węgrzech, choć reżim odpowiedział postawieniem latem 1989 płotu z drutu kolczastego, by zapobiec exodusowi przez węgierską granicę – od 1987 roku uciekło tamtędy 20 000 ludzi.

Przez wiele tygodni wydawało się, że reżim przetrwa burzę, która przetaczała się przez resztę Europy Środkowej. Potop zaczął jednak ogarniać Rumunię 12 grudnia 1989 roku. Tego dnia tajna policja, owiana złą sławą Securitate, próbowała deportować księdza László Tőkésa – który od tygodni stanowił cierń w oku reżimu – przez węgierską granicę z miasta Timișoara w zachodniej Rumunii, ale jej akcja została zablokowana przez setki protestujących. W kolejnych dniach doszło do dramatycznej eskalacji konfliktu. Reżim odpowiedział w najlepiej sobie znany sposób – sięgając po brutalną przemoc. 17 grudnia armia zaczęła strzelać do tłumu, zabijając kilku demonstrantów. Jednak pomimo represji protest nabrał niemożliwej do powstrzymania dynamiki. Kiedy Ceaușescu przedwcześnie wrócił z wizyty

w Iranie i około południa 21 grudnia wystąpił na wiecu w centrum Bukaresztu, trzeba było przerwać transmisję telewizyjną. Zamiast zwyczajowego gorącego aplauzu i zorganizowanej klaki stało się niewyobrażalne. „Przywódca” został wybuczany i wygwizdany. Tego wieczora armia, milicja i Securitate użyły przeciwko tłumowi pałek, armatek wodnych i ostrej amunicji, ale nie zdołały stłumić tego, co przekształciło się do tego momentu w otwartą rewolucję.

Ceaușescu został ponownie zmuszony do ucieczki przed wrogim tłumem, do którego rano 22 grudnia próbował przemawiać z balkonu siedziby partii. Obawiając się, że tłum jest o krok od szturmowania budynku, on sam i jego żona Elena zostali ewakuowani helikopterem z dachu. Ich nadzieje na bezpieczną ucieczkę okazały się jednak krótkotrwałe. Jeszcze tego samego wieczora zostali aresztowani w nieodległej Târgoviște w południowej Rumunii przez oddziały armii, lojalne teraz wobec rozkazów Frontu Ocalenia Narodowego, który przejął władzę w Bukareszcie. W Boże Narodzenie Ceaușescu i jego żona zostali bezceremonialnie skazani na śmierć przez pospiesznie zwołany sąd wojskowy, wyprowadzeni z budynku i rozstrzelani przez pluton egzekucyjny. Dopiero kiedy informacja o śmierci byłego dyktatora została upubliczniona, walki, które trwały od pięciu dni i kosztowały życie ponad 1000 ludzi, przygasły. Ogólnie szacuje się, że podczas rumuńskiej rewolucji zginęło około 10 000 ludzi.

W Rumunii nie doszło do szybkiego przejścia do demokracji. Kraj z niewielką inteligencją i klasą średnią – w dużej mierze przekupioną przez reżim – oraz bezwzględnie represyjnym państwem policyjnym nie był w stanie wytworzyć żadnych podstaw „społeczeństwa obywatelskiego”, nawet w utajnionej formie, przed upadkiem dyktatury. W przeciwieństwie do Polski czy Czechosłowacji nie było ludzi przygotowanych do rządzenia. Ci, którzy teraz dzierżyli władzę w rumuńskim rządzie tymczasowym, sami byli w większości członkami dawnej partii rządzącej. W grudniu wykorzystali okazję, jaką dawał chaos, i przejęli cugle, pospiesznie porzucone przez uciekającego dyktatora.

Na ich czele, mianowany tymczasową głową państwa, stanął Ion Iliescu, który wcześniej był prominentnym członkiem reżimu Ceaușescu. Poczyniono pewne

koncesje na rzecz pluralizmu, większość z nich miała jednak charakter fasadowy. Powstało mnóstwo nowych partii, a niektóre stare zostały wskrzeszone. Jak jednak pokazały wybory z maja 1990 roku, nowo-stara gwardia skupiona we Froncie Ocalenia Narodowego trzymała wszystkie narzędzia władzy. Securitate infiltrowała wszystkie znaczące kanały kontroli społecznej. Opozycja spotykała się z brutalną przemocą tłumu – pod nieobecność policji – celowo wzniecanej przez rząd wobec tych, których uważano za dysydentów, przeciwników, „zbożników” i cudzoziemców. Dopiero w 1990 roku, bardzo powoli, ogromne turbulencje w Rumunii, napędzane przez fatalną sytuację gospodarczą, zaczęły słabnąć. Do końca tego roku Rumunia miała powszechnie akceptowaną demokratyczną konstytucję. Upaństwowiona gospodarka zaczynała się już wówczas otwierać na prywatyzację. Jednak przejście do funkcjonującego, pluralistycznego systemu politycznego i gospodarki kapitalistycznej okazało się w Rumunii procesem długim i mozolnym.

## **Nieoczekiwanie szybka droga do zjednoczenia Niemiec**

W Polsce, na Węgrzech, w Czechosłowacji, Bułgarii i Rumunii przejście do demokracji było przede wszystkim – abstrahując oczywiście od trudnego do zignorowania faktu poluzowania więzi ze Związkiem Radzieckim – kwestią zaspokojenia potrzeb obywateli tych krajów. Droga do tego celu była kręta i nierzadko ciernista. Miała jednak miejsce w ramach ustalonych granic państwowych. We wszystkich krajach poza Czechosłowacją granice te pozostały niezmienione. A nawet tam, w wyniku „aksamitnego rozvodu” w 1993 roku, kiedy Czechosłowacja rozpadła się na dwa państwa, Czechy i Słowację, granice zewnętrzne pozostały takie same jak w dawniej zjednoczonym kraju. Także tu transformacja od komunizmu do liberalnej demokracji, jakkolwiek nie byłaby dramatyczna, nie wymagała interwencji międzynarodowych mocarstw, które

musiałyby zaakceptować i potwierdzić poważne zmiany w europejskim układzie geopolitycznym. Nie nastąpiło odrodzenie terytorialnych roszczeń i konfliktów – dla przykładu pomiędzy Niemcami a Polakami lub Węgrami a Rumunami – na wzór tych, które okazały się tak toksyczne w międzywojniu. Już samo to pokazywało, jak bardzo środkowoeuropejskie granice zostały utrwalone po 1945 roku.

Przypadek Niemieckiej Republiki Demokratycznej był inny. Jako jedno z dwóch państw niemieckich zawdzięczała ona samo swoje istnienie fundamentalnej alternatywie, którą oferowała większemu i zamożniejszemu kapitalistycznemu sąsiadowi. I co jeszcze ważniejsze: powstanie dwóch państw niemieckich było bezpośrednim wynikiem warunków narzuconych przez zwycięskich aliantów pod koniec drugiej wojny światowej. Wszelkie zmiany w statusie NRD musiały mieć zatem poważne międzynarodowe konsekwencje.

Po upadku muru nadążenie za tempem zmian, które zachodziły w NRD, a przede wszystkim w Berlinie, było prawie niemożliwe. Miasto formalnie pozostawało podzielone i kontrolowane przez wojennych aliantów. W praktyce jednak codziennie zachodziły w nim zmiany, które de facto kończyły podział miasta. Restrykcyjna kontrola graniczna została szybko zniesiona (choć oficjalnie obowiązywała do 1 lipca 1990 roku). To, co zostało z muru, zaczęło szybko znikać. Kolejny symboliczny moment miał miejsce 22 grudnia 1989 roku, kiedy wielki, rozentuzjasmowany tłum oklaskiwał Helmuta Kohla, który przemawiał z okazji ponownego otwarcia Bramy Brandenburskiej. Po raz pierwszy od ponad ćwierćwiecza można było przejść pod tym symbolem Berlina, który dotąd – stojąc w pasie granicznym, nieco tylko na wschód od muru – uosabiał podział miasta. Tej nocy tłumy przeszły przez Bramę w ulewnym deszczu i dalej, w szampańskich nastrojach, kroczyły pięknym bulwarem Unter den Linden do centrum Berlina Wschodniego. Na kapitalistycznym Zachodzie dziesiątki ulicznych sprzedawców szybko wystawiło swoje stoiska i korzystało z tego, że tłumy ludzi chciały wydać swoje pieniądze. Jednak w Berlinie Wschodnim, na Unter den Linden brakowało otwartych kramów, kawiarni czy pubów. Świątowanie pierwszego spaceru pod

Bramą Brandenburską z konieczności odbyło się więc w raczej trzeźwym nastroju. Przejście z Kurfürstendamm, głównej ulicy handlowej w Berlinie Zachodnim, do Unter den Linden na wschodzie wciąż było podróżą między dwoma różnymi systemami ekonomicznymi. Także i to jednak miało się szybko zmienić.

Ekonomiczna nierównowaga pomiędzy dwoma częściami tego, co niegdyś było jednym państwem, okazała się czynnikiem decydującym. Było tak już przed zbudowaniem muru, kiedy to odpływu siły roboczej do bogatych Niemiec Zachodnich nie dało się powstrzymać inaczej, niż tylko odcinając od nich obywateli Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Materialny urok Zachodu znalazł się na 40 lat poza zasięgiem, choć coraz częściej można go było zobaczyć, bo zachodnioniemieckie programy telewizyjne, reklamujące atrakcje zachodniego konsumeryzmu, stały się dostępne dla większości wschodnioniemieckiego społeczeństwa. Upadek muru oznaczał, że obywatele NRD mogli, przynajmniej teoretycznie, zacząć korzystać ze znacznie większego dobrobytu Niemiec Zachodnich. A wzbierający chór wschodnioniemieckich demonstrantów, skandujących „Niemcy, zjednoczona ojczyzna”, wskazywał, że większość z nich nie postrzega Niemiec Zachodnich jako zagranicy; że czują łączność z obywatelami większej, zachodniej części tego, co we wciąż żywej pamięci (przynajmniej starszych obywateli) było kiedyś jednym krajem. Wśród zachodnich Niemców poczucie to było nawet silniejsze. Według sondaży przeprowadzanych pod koniec listopada 1989 roku 60 procent wschodnich Niemców i aż 70 procent zachodnich opowiadało się za zjednoczeniem.

Niemcy Wschodnie pozostawały jednak biedne jak na zachodnie standardy. Ich waluta, marka wschodnioniemiecka, była na Zachodzie warta niewiele lub nic. „Powitalne” 100 marek zachodnioniemieckich szybko się skończyło. Tak długo, jak wartość wschodnioniemieckiej waluty pozostawała niezmienna, niemożliwa była poprawa standardów życia populacji albo odbudowanie strukturalnych fundamentów zbutwiałej gospodarki. Wszelka zmiana zależała jednak od relacji pomiędzy Republiką Federalną a Niemiecką Republiką Demokratyczną. Odbudowę gospodarczą musiały poprzedzić zmiany polityczne. Niezbędne były przełomowe

decyzje, a to oznaczało zaangażowanie dawnych wojennych aliantów. Stanowisko powojennych supermocarstw, Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego (w szczególności tego ostatniego), było kluczowym elementem tego niezwykle skomplikowanego równania.

Decydującą rolę odegrali jednak sami Niemcy. Najważniejsze inicjatywy wyszły z Niemiec Zachodnich – szczególnie od kanclerza Helmuta Kohla, polityka wciąż wówczas niedocenianego, który mimo to odegrał ważną osobistą rolę w transformacji swojego kraju, a także całej Europy. Ani Kohl, ani nikt inny nie przewidywał szybkiej unifikacji, nawet jeśli po upadku muru konieczne stało się wypracowanie nowej podstawy dla relacji pomiędzy dwoma niemieckimi państwami. Kiedy zaś perspektywa zjednoczenia już się pojawiła, nikt nie przypuszczał, że dojdzie do niego tak szybko. To, co nastąpiło później, było całkowicie nieoczekiwane i zaskoczyło Kohla. Ale on, szybciej niż inni, dostrzegł i wykorzystał nadarzającą się szansę. Pchała go fala wydarzeń, ale potrafił się na niej utrzymać, zmienić jej bieg – czasem wbrew wielu ważkim radom – i skanalizować go w jednym kierunku.

Rząd wschodnioniemiecki początkowo nawet nie chciał myśleć o zjednoczeniu. Nowo mianowany premier, Hans Modrow, umiarkowany reformator, który wcześniej był szefem partii w Dreźnie, zdecydowanie odrzucił perspektywę zjednoczenia, określając ją 17 listopada 1989 roku mianem „nierealistycznej i niebezpiecznej spekulacji”. Opowiadał się za tym, co nazywał „kontraktową wspólnotą” pomiędzy dwoma państwami niemieckimi. Bez względu na to, co ten termin oznaczał, nie utrzymał się długo. Do 28 listopada został zastąpiony określeniem „federacja”, którego Helmut Kohl użył podczas przemówienia w Bundestagu, kreśląc „dziesięciopunktowy plan” mający doprowadzić do zjednoczenia Niemiec. Nawet członkom swojego rządu nie ujawnił, co ma zamiar powiedzieć. Wskazywał na obszary bliskiej współpracy, uzależniając ją jednak od demokratyzacji NRD. Podkreślał, że wszelka fundamentalna zmiana w stosunkach pomiędzy dwoma krajami musi wpasować się w „przyszłą architekturę Europy jako całości”. Zakończył stwierdzeniem, że politycznym celem rządu federalnego

pozostaje „reunifikacja” – powrót Niemiec do jednego państwa. Było to jednak jedynie powtórzenie zachodnioniemieckich aspiracji od czasu podziału Niemiec. Jeszcze na początku grudnia Kohl sugerował, że nawet „federacja”, o której mówił w „10 punktach”, będzie wymagała lat, by dojrzeć. Na przestrzeni grudnia stawało się jednak coraz bardziej oczywiste, że społeczna presja zarówno w Niemczech Zachodnich, jak i Wschodnich sprzyja gwałtownemu przyspieszeniu procesu zjednoczenia. Kohl był chętny, by nim pokierować, a inni europejscy przywódcy, nawet gdyby chcieli, niewiele mogli zrobić, by go powstrzymać.

„Tak kocham Niemcy, że cieszę się, że istnieją aż dwa razy” – stare powiedzenie przypisywane francuskiemu pisarzowi, Françoisowi Mauriacowi – musiało w tych dniach przebiegać przez głowę niejednemu politykowi. W każdym razie perspektywa zjednoczenia początkowo powodowała dużą konsternację wśród zachodnioeuropejskich przywódców, a także, co nie dziwi, w Moskwie. Tylko prezydent George H.W. Bush, który zastąpił Reagana w 1989 roku, od początku pozytywnie wypowiadał się o perspektywie zjednoczenia Niemiec, pod warunkiem że te nowe zjednoczone Niemcy pozostaną w strukturach NATO. Jednak właśnie taka perspektywa zaalarmowała Moskwę i skłoniła ją początkowo do zdecydowanego odrzucenia wszelkiej myśli o zjednoczeniu.

Spotkanie na szczycie Busha i Gorbaczowa odbyło się na wzburzonym morzu, na pokładzie radzieckiego okrętu zacumowanego u wybrzeży Malty w dniach 2–3 grudnia 1989 roku. Zaowocowało bardzo pozytywnym przekazem o budowie dobrych stosunków i współpracy pomiędzy supermocarstwami. Spotkanie było doniosłym symbolem końca zimnej wojny. Na konferencji prasowej żaden z przywódców nie powiedział jednak, że spodziewa się szybkiego podjęcia kroków w kierunku zjednoczenia Niemiec. „Wszelkie sztuczne przyspieszanie” procesu zjednoczenia, oświadczył Gorbaczow, utrudniałoby zmiany w Europie Wschodniej (pośrednio nawiązał w ten sposób do wciąż drażliwej kwestii – szczególnie w oczach osób wysiedlonych z dawnych wschodnich prowincji Niemiec, wchodzących w skład Polski – czy granica na Odrze i Nysie, odgórnie ustanowiona przez Sowieców w 1945 roku, powinna pozostać wschodnią granicą Niemiec).

Bush ze swojej strony, mimo że prywatnie akceptował zjednoczenie Niemiec, przypomniał, że „koncepcja trwałych granic” wciąż obowiązuje. Komentarz ten można było różnie interpretować, ale sugerował utrzymanie terytorialnego status quo, być może – tak by wynikało – także wewnątrz Niemiec.

W kolejnych dniach Mitterrand oraz premierzy Włoch i Wielkiej Brytanii, Giulio Andreotti i Margaret Thatcher, nadal wyrażali swój sprzeciw wobec zjednoczenia Niemiec – Thatcher ostrzej niż ktokolwiek inny – podobnie jak premier Holandii Ruud Lubbers. Na spotkaniu z Thatcher na początku września 1989 roku Mitterrand argumentował, że po zjednoczeniu tylko Unia Europejska ze wspólną walutą mogłaby powściągnąć potęgę powiększonych, ludniejszych Niemiec, które stałyby się znacznie większe niż jakikolwiek inny kraj Europy Zachodniej. Thatcher odpowiedziała, że byłoby czymś „nieznośnym” mieć jednocześnie zjednoczone Niemcy i wspólną walutę. Dla niej, podobnie jak dla niektórych innych brytyjskich polityków z jej pokolenia, druga wojna światowa była walką o zniszczenie niemieckiej potęgi. Zjednoczenie groziło jej odrodzeniem. Inni europejscy przywódcy byli bardziej otwarci na perspektywę zjednoczenia, pod warunkiem jednak, że istniejące granice (poza wewnętrzną granicą Niemiec) i ustalenia w kwestiach bezpieczeństwa zostaną zagwarantowane. Przy spełnieniu takiego warunku wstępnego uznawali, że trudno będzie się opierać narodowej jedności, jeżeli w nieprzymuszony sposób opowiedzą się za nią społeczeństwa z obu części podzielonego kraju.

Przełom nastąpił, bo w pewnym sensie musiał, dzięki porozumieniu pomiędzy dwoma krajami, które od początku nadawały ton integracji europejskiej: Francją i Niemcami Zachodnimi. Kiedy Mitterrand i Kohl spotkali się w dniach 8–9 grudnia 1989 na konferencji przywódców Wspólnoty Europejskiej w Strasburgu, porozumienie wydawało się mało prawdopodobne. Mitterrand, podobnie jak inni europejscy przywódcy, był zaskoczony stanowczą i dokonaną przez Kohla bez konsultacji prezentacją dziesięciopunktowego planu nieco ponad tydzień wcześniej. Zjednoczenie było drażliwym tematem, a niepokój wśród europejskich przywódców aż nadto wyraźny. Kohl zrobił wiele, by rozproszyć te obawy,



potwierdzając, że zjednoczenie Niemiec będzie sprzężone z dalszymi ruchami na rzecz integracji europejskiej. Kanclerz na konferencji szefów rządów ogłosił swą gotowość do podjęcia praktycznych kroków przed końcem 1990 roku, by spełnić życzenia prezydenta Mitterranda dotyczące europejskiej unii walutowej i gospodarczej. W kwietniu 1990 roku Mitterrand i Kohl osiągnęli nawet porozumienie w sprawie ambitnego planu przekształcenia Wspólnoty Europejskiej z dniem 1 stycznia 1993 roku w europejską unię z podmiotowością polityczną (choć był to projekt znacznie mniej ambitny niż pełna unia polityczna, o której myślał Kohl).

Mitterrand chciał przede wszystkim związać Niemcy ze zintegrowaną Europą Zachodnią. Kohl, wierny uczeń Adenauera, widział oczywiste korzyści dla Niemiec w dalszym zacieśnianiu związków z Zachodem, zarówno po to, by rozwiać międzynarodowe obawy, jak i po to, by stawić czoła wszelkim tłącym się w Niemczech nacjonalistycznym tendencjom rewizjonistycznym. By to osiągnąć, zgodnie zresztą z planem stworzenia wspólnej europejskiej waluty, był nawet gotów poświęcić markę niemiecką, symbol powojennego dobrobytu Niemiec Zachodnich i ich statusu ekonomicznego.

Wydarzenia na Wschodzie i na Zachodzie przekonały Kohla, Modrowa i przywódców wszystkich najważniejszych mocarstw, że zjednoczenie może być bliskim celem, a nie odległym marzeniem. Znakiem oddolnej presji było gorące przyjęcie, z którym spotkał się Kohl ze strony wielkiego tłumu, zebranego w centrum Drezna 19 grudnia 1990 roku. Ludzie przyszli wysłuchać jego i Modrowa. Ale to nie mgławicowa idea „kontraktowej wspólnoty” rozpałała tłum, a perspektywa zjednoczenia, „Niemiec, zjednoczonej ojczyzny”, które to hasło ludzie wykrzykiwali wśród morza zachodnioniemieckich flag. Kohl w odpowiedzi zadeklarował, że jego celem jest „jeżeli historyczna godzina na to pozwoli, zjednoczenie naszego narodu”. Kanclerz opuszczał Drezno przekonany, że ta „historyczna godzina” jest już bliska.

Oznaki nieuchronnego upadku Niemieckiej Republiki Demokratycznej były już wówczas oczywiste. W pierwszych dniach grudnia zapis o kierowniczej roli

wschodnioniemieckiej partii komunistycznej został usunięty z konstytucji, Erich Honecker i inni prominenci reżimu zostali wyrzuceni z partii (oraz oskarżeni o korupcję i nadużycia władzy), Politbiuro podało się zbiorowo do dymisji, a satelickie, choć formalnie niezależne ugrupowania, połączyły się z zachodnimi liberałami i chadekami. Nowo utworzona wschodnioniemiecka partia socjaldemokratyczna weszła w podobny alians ze swoją zachodnioniemiecką siostrą. Wybory do nowo ukonstytuowanego, pluralistycznego parlamentu były przewidziane na maj 1991 roku, ale ostatecznie, pod presją wydarzeń, przeniesiono je na marzec. Jednocześnie trwał exodus ze znajdującego się w stanie agonalnym państwa. Pomiędzy upadkiem muru a końcem 1989 roku prawie 120 000 wschodnich Niemców wyjechało na zachód.

Pod koniec stycznia 1990 roku Gorbaczow, po spotkaniu w Moskwie z Modrowem, zmienił zdanie w sprawie zjednoczenia Niemiec. To był decydujący moment. Prezydent Bush był bowiem „za” właściwie od początku. Gorbaczow musiał się jednak liczyć z inną wrażliwością w swoim kraju, który tak ciężko i tak niedawno został doświadczony przez zjednoczone Niemcy. Taki kraj musiałby w nieunikniony sposób po raz kolejny zwracać się nie tylko w stronę Europy Zachodniej, ale i na Wschód. Dla sowieckiego przywódcy poparcie idei zjednoczenia Niemiec było więc aktem politycznej odwagi. Pomimo to Gorbaczow od tego momentu przyznawał Niemcom, ze wschodu i zachodu, prawo do życia w jednym państwie. Zmienił zdanie za sprawą raportu Modrowa na temat sytuacji w Niemczech Wschodnich. Przeważająca większość społeczeństwa po prostu nie popierała już dłużej idei dwóch państw niemieckich – powiedział Gorbaczowowi wschodnioniemiecki przywódca. Presja na rzecz zjednoczenia była tak silna, że zachowanie Niemieckiej Republiki Demokratycznej stawało się niemożliwe. „Jeżeli nie przejmujemy inicjatywy teraz”, wspominał Gorbaczow słowa Modrowa, „proces wymknie się spod kontroli i nie będziemy w stanie wpłynąć na rozwój wypadków w żaden sposób”. Gorbaczow przyznał mu rację. On i jego najbliżsi doradcy zdążyli już dojść do tych samych wniosków: „Zjednoczenie Niemiec należy traktować jako nieuniknione”.

Realistyczna obecnie perspektywa szybkiego zjednoczenia ponownie kazała zadać oczywiste pytanie, czy nowo zjednoczone Niemcy powinny należeć do NATO. Związek Radziecki wcześniej całkowicie odrzucał taki pomysł. Takie było stanowisko Gorbaczowa w lutym 1990 roku. Okoliczności zmieniały się jednak szybko. Była to najważniejsza kwestia; zdominowała dyplomatyczne negocjacje w tym miesiącu. Jako podstawę do negocjacji uzgodniono formułę 2+4, czyli dwa państwa niemieckie i cztery byłe mocarstwa okupacyjne. Wielka Brytania i Francja były raczej biernymi obserwatorami rozmów, podobnie jak Niemcy Wschodnie. Głównymi graczami byli Republika Federalna, Stany Zjednoczone i Związek Radziecki. Najważniejsze role odegrali Kohl i Gorbaczow, z ważnym, choć mniej eksponowanym udziałem Busha.

Wschodni Niemcy chcieli wojskowej neutralności dla obu części przyszłej federacji niemieckiej. W oczach byłych zachodnich mocarstw okupacyjnych nie było takiej opcji. Początkowo istniała wśród nich generalna zgoda na wysuniętą pierwotnie przez niemieckiego ministra spraw zagranicznych Hansa Dietricha Genschera, sugestię, że NATO powinno utrzymać, tak jak dotychczas, bazy w Republice Federalnej, ale nie rozszerzać ich na terytorium byłej Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Według wspomnień Gorbaczowa takie właśnie stanowisko przedstawił kategorycznie amerykański sekretarz stanu, James Baker, który odwiedził Moskwę 9 lutego. Gorbaczow wciąż nie był gotowy na przyjęcie nawet takiej propozycji. Jednak pod koniec lutego Amerykanie zmienili ton (choć niemal na pewno taki był ich cel od samego początku) i teraz twierdzili – w porozumieniu z kanclerzem Kohlem – że NATO powinno być docelowo rozszerzone na terytorium byłego NRD, jeżeli bezpieczeństwo Niemiec jako całości miało być objęte gwarancjami. Prawdą jest, że nie było wcześniejszej formalnej obietnicy, że NATO nie będzie rozszerzane, ale zmiana w jawny sposób zaprzeczała wcześniejszemu porozumieniu wszystkich stron. Wywołało to później wiele złych emocji w Rosji (a do pewnego stopnia także w Europie Zachodniej) – poczucie, że Zachód nie działał w dobrej wierze i że nie dotrzymał umowy.

W każdym razie okazało się, że Gorbaczow, który wciąż nie spodziewał się szybkiego upadku Układu Warszawskiego, został całkowicie wymanewrowany. W maju 1990 roku przyznał pod amerykańską presją, że Niemcy sami powinni zdecydować, do jakiego sojuszu chcą przystąpić. To był ruch, którego Związek Radziecki przed Gorbaczowem nigdy by nie wziął pod uwagę, nie mówiąc już o jego zaakceptowaniu. Fakt, że Gorbaczow to zrobił, był świadectwem nie tylko jego wyjątkowego wkładu w proces niemieckiej i europejskiej transformacji, ale również szybkiego słabnięcia Związku Radzieckiego. Sowiecka gospodarka pilnie potrzebowała zachodniej pomocy finansowej. Niemcy były gotowe zaoferować wymagane kredyty w zamian za radziecką współpracę przy zjednoczeniu.

To, że zjednoczone Niemcy będą miały prawo należeć do NATO, zostało potwierdzone i stało się oficjalną linią sowieckiej polityki podczas wizyty Kohla w Moskwie w lipcu 1990 roku. W zamian za to Związek Radziecki otrzymał gwarancje, że Niemcy na zawsze zrzekną się posiadania broni nuklearnej, chemicznej i bakteriologicznej i nie będą trzymały pod bronią więcej niż 370 000 ludzi. Istniała również „drobna” kwestia pokrycia kosztów wycofania radzieckich żołnierzy z terytorium NRD i ich relokacji do Związku Radzieckiego. Ten kosztowny rachunek, opiewający na 12 miliardów marek i dalsze trzy miliardy w formie kredytów, Kohl ostatecznie zgodził się zapłacić po telefonicznych targach z Gorbaczowem we wrześniu 1990 roku. Dla Kohla było to porozumienie, o którym jeszcze kilka miesięcy wcześniej nie mógł nawet marzyć. Dla Gorbaczowa oznaczało układ, który cementował długoterminowe dobre relacje pomiędzy Związkiem Radzieckim a Niemcami, które uważał za kluczowe dla przyszłości Europy. Dla jego wrogów w kraju – których liczba szybko rosła – była to niewybaczalna zdrada interesów Związku Radzieckiego.

Inną drażliwą kwestią, która ciążyła nad negocjacjami 2+4, była granica Niemiec Wschodnich. Republika Federalna nigdy formalnie nie porzuciła pragnienia – bez względu na to, jak nierealistyczne się stało – by ostatecznie wrócić do granic z 1937 roku (które obejmowały zachodnie rejony powojennej Polski). Przedstawiciele rdzennej populacji niemieckiej, która została zmuszona do ucieczki

albo wysiedlona z tych prowincji tuż przed zakończeniem i po zakończeniu wojny, stworzyli wpływowe lobby, głównie w ramach partii chadeckich, którego nie można było ignorować. Nie było zaś międzynarodowego traktatu, tak jak to miało miejsce w 1919 roku, który formalnie kończyłby wojnę i potwierdzał polską granicę zachodnią. Jeszcze w lipcu 1989 roku zachodnioniemiecki minister finansów, Theo Waigel, powiedział na wielkim wiecu wysiedlonych ze Śląska, że utracone wschodnie prowincje za linią Odry i Nisy są wciąż częścią „kwestii niemieckiej”. Odzwierciedlało to pogląd niewielkiej mniejszości. Na tym etapie 90 procent zachodnich Niemców akceptowało tę linię jako stałą granicę. By jednak ugłaskać lobby wysiedlonych, sam Kohl do wiosny 1990 roku wypowiadał się wymijająco na ten temat. Ostatecznie, z inicjatywy Genschera, sprawa została rozwiązana na początku marca, kiedy Bundestag uroczyście zrzekł się wszelkich roszczeń do dawnych prowincji wschodnich i potwierdził granicę Niemiec Wschodnich na linii Odry i Nisy. Miała ona zostać ratyfikowana później (ostatecznie stało się to w październiku 1991 roku) w traktacie pomiędzy Polską a rządem reprezentującym całe Niemcy.

Zjednoczenie wydawało się już wówczas coraz bliższe i bardziej prawdopodobne. Jeszcze nie tak dawno postrzegano je w perspektywie w najlepszym razie średnioterminowej, ale ramy czasowe skurczyły się wyraźnie pod presją wydarzeń. Siła Niemiec Zachodnich i słabość Wschodnich były teraz tak ewidentne, że ostateczny wynik nie mógł dłużej budzić wątpliwości. Republika Federalna generowała ogromną siłę przyciągania. Przybrała ona jawnie ekonomiczną formę. W połowie 1990 roku jasno dano do zrozumienia, że Republika Federalna nie będzie dłużej wspierać finansowo NRD. Bez tej pomocy wschodnioniemiecka gospodarka, już i tak chyląca się ku upadkowi, była skazana na zagładę. W tym samym mniej więcej czasie Kohl przekonał swój rząd do poparcia unii walutowej z NRD. Innymi słowy, pomimo ewidentnie wielkiej nierównowagi w potencjałach gospodarczych obydwu państw, marka zachodnioniemiecka miała się stać walutą dla obu.

Unia walutowa na tych warunkach niosła ze sobą ewidentne ryzyko i poważne zagrożenia ekonomiczne. Niemcy Zachodnie skazały się na dokładanie w nieskończoność niemożliwych do oszacowania, ale niewątpliwie gigantycznych kwot do faktycznie upadłej gospodarki wschodnioniemieckiej. Patrząc z przeciwnej perspektywy, unia miała drastyczne skutki ekonomiczne i społeczne. Wielu wschodnich Niemców straciło pracę, gdy zamykano całkowicie nieefektywne państwowe przedsiębiorstwa. (Produkcja przemysłowa w okresie pomiędzy sierpniem 1989 a sierpniem 1990 spadła o niewyobrażalne 51 procent). Za szczodrym kursem wymiany marki wschodnio- do zachodnioniemieckiej według przelicznika 1:1 opowiadali się przede wszystkim socjaldemokraci i związki zawodowe. Eksperti, czyli przedstawiciele Bundesbanku i minister finansów w rządzie Kohla, Theo Waigel, twierdzili, że kurs 2:1 jest konieczny, by wschodnioniemiecka gospodarka mogła zachować jakąkolwiek konkurencyjność, a zachodnioniemieckie finanse nie zostały przesadnie obciążone. Kohl początkowo się z tym zgodził. Wygrała jednak polityka. Mając w perspektywie jesienne wybory i widząc, że jego popularność w Republice Federalnej spada, natomiast na wschodzie sięga zenitu, kanclerz ugiął się pod presją i przystał na kurs 1:1. Politycznie była to pokusa nie do odparcia.

Niemcy Zachodnie pracowały wówczas pełną parą. 8 marca rząd zdecydował się nie wygaszać Ustawy Zasadniczej (konstytucji federalnej z 1949 roku) przed stworzeniem całkowicie nowej konstytucji dla zjednoczonych Niemiec. Artykuł 146 Ustawy Zasadniczej przewidywał zresztą taką ewentualność. Zamiast tego postanowiono, że Niemiecka Republika Demokratyczna zostanie bezpośrednio inkorporowana do Republiki Federalnej jako pięć nowych landów (tak jak Saara w 1956 roku) zgodnie z artykułem 23 Ustawy Zasadniczej. Była to bez wątpienia najprostsza i najszybsza droga. Oznaczała jednak raczej przejęcie niż fuzję. I rzeczywiście, kiedy opadł kurz po zjednoczeniu, dało się słyszeć narzekania, że była Niemiecka Republika Demokratyczna jest traktowana w dużej mierze jak kolonia Niemiec Zachodnich. Jakkolwiek nieusprawiedliwione, takie przekonanie było w jakimś sensie zrozumiałe. Stało się jeszcze wyraźniejsze wraz z masowymi

zwolnieniami nauczycieli, badaczy naukowych, wykładowców uniwersyteckich i innych przedstawicieli klasy średniej, o których sądzono, że mieli związki ze Stasi lub w jakiś inny sposób byli blisko zaangażowani we wschodnioniemiecki reżim; lub gdy sprowadzano zachodnich Niemców, by kierowali restrukturyzacją polityki i odbudową gospodarki. Wielu wschodnich Niemców zaczęło się czuć we własnym kraju jak obywatele drugiej kategorii.

Wschodnioniemieckie wybory do Izby Ludowej (enerdowskiego parlamentu) z 18 marca 1990 roku – przyspieszone w porównaniu z pierwotną datą wyznaczoną na 6 maja – dały jednak ludowe imprimatur zachodnioniemieckim pomysłom i szybkiej drodze do zjednoczenia zgodnie z artykułem 23. Wschodni Niemcy zagłosowali za likwidacją własnego państwa. Decydującym czynnikiem okazała się atrakcyjność zachodniej marki. Zachodnioniemieccy przywódcy polityczni – Helmut Kohl, Willy Brandt i Hans-Dietrich Genscher – odgrywali główne role w kampanii wyborczej. Szczególnie Brandt cieszył się ogromną osobistą popularnością, ale wynik wyborów okazał się triumfem Kohla, a w gruncie rzeczy – triumfem marki. Konserwatywny „Sojusz dla Niemiec” (czyli wschodnioniemiecka odmiana chadecji), który obiecywał wprowadzenie marki i szybkie zjednoczenie, wygrał, zgarniając 48 procent głosów (przy frekwencji 93,4 procent). Socjaldemokraci zostali daleko w tyle z wynikiem 21,9 procent. Partia Demokratycznego Socjalizmu (PDS), spadkobierczyni Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec (wschodnioniemieckich komunistów), musiała zadowolić się trzecim miejscem z 16,4 procent głosów – choć w Berlinie Wschodnim, starym bastionie komunistów, osiągnęli imponujący wynik 30,2 procent.

Przy takich wynikach wszelkie istniejące jeszcze nadzieje na „trzecią drogę” do lepszego socjalizmu, żywione przez wielu intelektualistów, którzy przewodzili ludowemu zrywowi przeciwko enerdowskiemu państwu poprzedniej jesieni, zostały zabite i pogrzebane. Odważni ludzie, którzy jesienią 1989 roku kierowali różnorakimi ruchami protestu, teraz czuli się ignorowani przez stabilne partie i organizacje, reprezentujące zachodnioniemiecką, kapitalistyczną liberalną demokrację. „Socjalizm nie zapewnił tego, co obiecywał”, brzmiał lapidarny

werdykt jednego z robotników, bez wątpienia wyrażający głos wielu tych, którzy bez sentymentu spoglądali w przeszłość, na reżim, który przez 40 lat zdradzał ich nadzieje. On i miliony innych uznali, że przyszłość nie powinna być wyznaczana przez upadły system marksistowsko-leninowskiego socjalizmu, w którym żyli w Niemczech Wschodnich. Magnesem były zamożne Niemcy Zachodnie ze swoimi liberalnymi wolnościami, ale przede wszystkim ze sprawną gospodarką.

Od marcowych wyborów w Niemczech Wschodnich droga do zjednoczenia była krótka i prosta. Najważniejszym krokiem było ustanowienie unii walutowej – czyli wprowadzenie marki zachodnioniemieckiej jako jedyne legalnego środka płatniczego w obu częściach Niemiec – od 1 lipca 1990 roku. Uzgodniony kurs wymiany 1:1 (co ciekawe, taki był stary, obowiązkowy i oficjalny kurs na berlińskich przejściach granicznych) był niezwykle szczodry, bo prawdziwy był znacznie wyższy – prawdopodobnie przynajmniej 8:1 (tyle przynajmniej wcześniej płacono na czarnym rynku). Dotyczył zatrudnionych, emerytów lub ludzi posiadających oszczędności (do 4000 marek lub 6000 dla osób powyżej 60. roku życia). Większe oszczędności i zadłużenie przedsiębiorstw zostało przewalutowane w stosunku 2:1. W perspektywie krótkoterminowej, ci, którzy mieli oszczędności, mogli zacząć podróżować za granicę lub kupować towary, które wcześniej były dla nich niedostępne. W krótkim czasie zewnętrzne oznaki zachodniego stylu życia stały się nowym, ale coraz częstszym obrazem we wschodnich regionach Niemiec. Jednak dla wielu wygodne, choć skromne życie, gwarantowane przez system komunistyczny, skończyło się niemal z dnia na dzień pomimo potężnych subsydiów z Zachodu.

Zatrudnienie, dla przykładu, było w czasach komunizmu gwarantowane, nawet jeśli bywało bezproduktywne. Teraz pracownicy i ich rodziny byli wystawieni na kaprysy rynku. W ciągu roku trzy miliony wschodnich Niemców straciły pracę. Tamtejsza gospodarka była niemal w całości niekonkurencyjna. Według szacunków z maja 1990 roku (które później i tak okazały się zbyt optymistyczne) tylko około jednej trzeciej przemysłu mogło się utrzymać bez subsydiów. W kolejnych czterech latach sprywatyzowano w Niemczech Wschodnich tysiące państwowych niegdyś



firm. Najpierw przetransferowano je do agencji utworzonej do przeprowadzenia prywatyzacji, Treuhandu, („funduszu powierniczego”), który przejął ponad 13 000 firm, zatrudniających cztery miliony ludzi. Większość byłych państwowych firm stała się spółkami zależnymi zachodnioniemieckich koncernów. Jednak w obecnej kondycji wiele z nich przedstawiało znikomą wartość, więc cena sprzedaży była odpowiednio niska. Przywracanie firmom rentowności było powolnym procesem. Treuhand skończył ze stratą przekraczającą 250 miliardów marek. Prywatne inwestycje, niemal w całości pochodzące z Niemiec Zachodnich, napływały powoli. I były dalece niewystarczające. Państwo zachodnioniemieckie musiało ponieść większość finansowych kosztów zjednoczenia. Potrzebny był gigantyczny program inwestycyjny. Infrastruktura – w tym drogi, koleje, mosty i rozpadająca się sieć telefoniczna – potrzebowała pilnej modernizacji. Dodatkowo pojawiły się ogromne koszty społeczne, obejmujące zasiłki dla bezrobotnych i świadczenia socjalne. Według niektórych szacunków rząd zachodnioniemiecki wydał na Niemcy Wschodnie w ciągu trzech pierwszych lat po zjednoczeniu 350 miliardów marek (prawie 120 miliardów funtów przy ówczesnym kursie). To oczywiście oznaczało znaczący wzrost długu państwowego w Republice Federalnej i wyższe koszty pożyczkowe – nie tylko dla Niemiec.

Podobnie jak w Polsce, transformacja w Niemczech Wschodnich okazała się gwałtownym szokiem ekonomicznym. Musiało tak być z racji warunków unii walutowej i skali oraz tempa prywatyzacji. Gospodarka byłych Niemiec Wschodnich została po zjednoczeniu poddana najszybszej i najbardziej radykalnej liberalizacji ze wszystkich krajów dawnego bloku radzieckiego. Wschodni Niemcy mogli jednak, w przeciwieństwie do obywateli innych byłych państw komunistycznych, liczyć na wielkie subsydia ze strony znacznie bogatszego sąsiada. Rzeczywiście, od 1991 roku „subwencja solidarnościowa”, która miała pomóc częściowo sfinansować transformację w Niemczech Wschodnich, była odciągana z zachodnioniemieckich pensji. (Pokrywała ona również zachodnioniemiecki wkład w koszty pierwszej wojny w Zatoce i okazała się tak użytecznym dodatkowym źródłem dochodów dla rządu federalnego – łącznie

przynosiła około 15 miliardów euro rocznie – że utrzymano ją na stałe, ku rosnącej irytacji większości społeczeństwa).

O tym, że zjednoczenie jest operacją niezwykle skomplikowaną z ekonomicznego i społecznego punktu widzenia, wiedzano, zanim jeszcze się ona zaczęła. Wraz z upływem czasu okazało się, że problemy psychologiczne związane z dostosowaniem są być może jeszcze trudniejsze do pokonania. Nie było już jednak odwrotu, nie było także woli, by to zrobić, ani w Niemczech, ani na arenie międzynarodowej – mimo obaw Londynu i Paryża. Do końca września przezwyciężono ostatnie problemy polityczne. Traktat pomiędzy dwoma państwami niemieckimi, rozwiązujący prawne i administracyjne technikalie związane ze zjednoczeniem, został podpisany 31 sierpnia 1990 roku, ratyfikowany przez Izbę Ludową Niemieckiej Republiki Demokratycznej i Parlament Federalny 20 września i wszedł w życie 29 września. 24 września Niemiecka Republika Demokratyczna, w porozumieniu ze Związkiem Radzieckim, opuściła Układ Warszawski. Tydzień później cztery mocarstwa okupacyjne zrzekły się swoich starych praw i obowiązków (choć ratyfikacja tego porozumienia, które chyba najbardziej ze wszystkich powojennych traktatów można uznać za traktat kończący, nawet jeśli z czterdziestoletnim opóźnieniem, drugą wojnę światową, odbyła się stopniowo w kolejnych miesiącach). Z wybiciem północy 3 października 1990 roku, w atmosferze wielkiej ulicznej zabawy w Berlinie, prezydent federalny, Richard von Weizsäcker, ogłosił zjednoczenie Niemiec i wolę kraju, by pracować dla globalnego pokoju w zjednoczonej Europie. Dla Helmuta Kohla, „kanclerza zjednoczenia”, był to nadzwyczajny triumf.

Był to bez wątpienia moment o historycznym znaczeniu, nie tylko dla Niemiec, ale i dla całej Europy oraz, poprzez swoje konsekwencje, także dla stosunków międzynarodowych jako takich. Oznaczał symboliczny koniec epoki, w której narodowe państwo niemieckie najpierw spowodowało niewyobrażalne cierpienia i zniszczenie Europy, a potem, podzielone przez 40 lat, przynajmniej w swojej zachodniej części w dużej mierze przyczyniło się do budowy fundamentów nowej Europy, opartej na pokoju, dostatku i stabilności. Nie wiadomo było, co miała

przynieść przyszłość. Na razie jednak w Niemczech panowała powszechna radość – nawet jeżeli nie wszyscy ich sąsiedzi ją podzielali.

## **Długie konanie Związku Radzieckiego**

Podczas gdy w byłych państwach satelickich w Europie Środkowej i na Bałkanach rozgrywał się dramat, Związek Radziecki zapadał się w sobie. Proces, który rozpoczął się w istocie w 1985 roku, kiedy Michaił Gorbaczow zaczął wdrażać swój program reform strukturalnych – chcąc utrzymać partię komunistyczną przy władzy, a nie ją złamać – przybierał na sile niczym oceaniczny sztorm. Począwszy od wiosny 1989 roku, przez kolejne dwa lata i później sztorm szalał, osiągając w końcu, wiosną 1991 roku, siłę huraganu, który ostatecznie zmiotł Związek Radziecki z powierzchni ziemi.

W tym okresie gwiazdorski status Gorbaczowa na arenie międzynarodowej coraz mocniej kontrastował z jego słabnącą pozycją w Związku Radzieckim. Do lata 1991 roku był wciąż bezdyskusyjnie najważniejszą figurą w sowieckiej polityce. Coraz częściej jednak musiał się zmagać z potężną falą zmian, którą sam wywołał. Nie kontrolował już przebiegu wydarzeń. Stał się ich zakładnikiem. W samym Związku Radzieckim, podobnie jak w byłych państwach satelickich, potęga ludu była coraz silniej odczuwalna, przede wszystkim poprzez poważne niepokoje i coraz dobitniej formułowane żądania niepodległości w republikach nierosyjskich, szczególnie wśród Bałtów i na Kaukazie. Ale także w samej Rosji, począwszy od 1990 roku, bezdyskusyjna niegdyś popularność Gorbaczowa zaczęła się chwiać. Coraz częściej był postrzegany jako przyczyna wszystkich plag dręczących potężny niegdyś Związek Radziecki – utraty dawnych państw satelickich, pogorszenia się standardów życia w kraju, separatystycznych żądań odległych republik i widocznego gołym okiem upadku prestiżu państwa, które jeszcze niedawno było supermocarstwem. Politycznie był atakowany zarówno przez twardogłowych reakcjonistów, którzy widzieli w nim zdrajcę

odpowiedzialnego za zniszczenie wszystkiego, co było wielkie w Związku Radzieckim, jak i przez radykalnych reformatorów, którzy chcieli iść dalej i szybciej niż sam Gorbaczow.

Wśród tych ostatnich prominentną postacią był człowiek, który wyrósł na jego najbardziej niebezpiecznego oponenta i ostatecznie zajął jego miejsce: impulsywny, apodyktyczny, krzykliwy, nieprzewidywalny, ale niezwykle skuteczny polityczny gracz, Borys Jelcyn. W latach 80. Jelcyn był pierwszym sekretarzem moskiewskiej organizacji partyjnej, ale sfrustrowany powolnym tempem reform zrezygnował w 1987 roku – co było bezprecedensowym krokiem – z członkostwa w Politbiurze, mocno krytykował Gorbaczowa i kilka tygodni później został wyrzucony ze stanowiska szefa partii w Moskwie. Nigdy nie wybaczył Gorbaczowowi tej degradacji. Jego wybór jako niepartyjnego (ale obdarzonego ogromnym społecznym poparciem) delegata na Zjazd Deputowanych Ludowych Związku Radzieckiego w marcu 1989 roku dał mu nową platformę, z której przypuszczał bezpośrednie ataki na Gorbaczowa. Alkoholizm Jelcyna dawał kontrolowanej przez władzę prasie możliwości oczerniania go, ale te ataki w żaden sposób nie szkodziły jego popularności. Dla Rosjan to on, a nie Gorbaczow, zdawał się oferować nadzieję na przyszłość. A dla zwykłych ludzi w coraz większym stopniu oznaczało to szansę na poprawę swoich warunków bytowych poprzez dostęp do dóbr i towarów, które ludzie z Zachodu uważali za oczywiste. Sygnałem tego, co miało nadejść, było otwarcie pierwszej restauracji McDonald's w Moskwie 31 stycznia 1990 roku. Tysiące moskwian stało w kilometrowej kolejce, by wydać swoje zarobione w pocie czoła ruble na pierwszego w życiu BigMaca. Tymczasem przedstawiciele narodowości innych niż rosyjska swoją przyszłość upatrywali w niezależności od Moskwy. Coraz częściej zwracali się w stronę ruchów nacjonalistycznych, które opowiadały się za całkowitą autonomią w stosunku do zdominowanego przez Rosjan Związku Radzieckiego.

Siły odśrodkowe groziły teraz rozsądzeniem ściśle scentralizowanego systemu państwowego. Peryferia zaczęły zagrażać centrum. System był podmywany od zewnątrz. Kłopoty zaczęły się w kwietniu 1989 roku, kiedy milicja i wojsko

zaatakowały około 100 000 zwolenników niepodległości w stolicy Gruzji Tbilisi, w wyniku czego zginęło 19 cywilów. Żołnierzy wysłano do Estonii, na Łotwę i do Uzbekistanu, by zapobiec podobnym demonstracjom. Zwykłą przemocą nie dało się już jednak dłużej tłumić żądań większej autonomii.

Szybko narastające antysowieckie nastroje były szczególnie odczuwalne w republikach bałtyckich. Starzy mieszkańcy wciąż mogli pamiętać czasy niepodległości, zanim Estonia, Łotwa i Litwa zostały zaanektowane przez Związek Radziecki w 1940 roku. Sprzeciw budził napływ etnicznych Rosjan. A dostęp do skandynawskiej telewizji dawał ludziom namiastkę zachodniego dobrobytu, którego nie doświadczyli. W wyborach, które odbyły się w republikach bałtyckich w marcu 1989 roku, kandydaci opowiadający się za niepodległością dostali duże poparcie, a teraz zasiadali na Zjeździe Deputowanych Ludowych. 11 marca Litwa posunęła się do ogłoszenia niepodległości. Przywrócono starą narodową flagę, a sowiecki sierp i młot zniknęły z dnia na dzień. Moskwa uznała litewską deklarację za nieważną. Dwa tygodnie później sowieckie czołgi otoczyły litewski parlament w Wilnie, ale po tej zastraszającej demonstracji siły wycofały się po kilku godzinach, nie otwierając ognia. Nie miało być powtórki z węgierskiego roku 1956. Litwa została jednak objęta blokadą ekonomiczną i na jakiś czas odcięto ją od dostaw ropy. I nie była to ostatnia próba podjęta przez sowiecki rząd, by zapobiec secesji Litwy.

Także w innych regionach Związek Radziecki miał coraz więcej problemów. Od 1920 roku był zdominowaną przez Rosję federacją formalnie autonomicznych republik, zbudowanych wokół etnicznej większości w danym regionie. Obecnie napięcia etniczne były dobrym wskaźnikiem, że struktura tej federacji się kruszy. W czerwcu poważne niepokoje etniczne wybuchły w Uzbekistanie, gdzie bandy młodzieży uzbeckiej atakowały mniejszość Turków meschetyńskich. Według oficjalnych danych zginęło 95 osób, setki odniosły rany, zniszczono wiele budynków, a tysiące zostały zmuszone do ucieczki z Uzbekistanu. Latem doszło do kolejnych aktów przemocy w republikach środkowoazjatyckich i demonstracji niepodległościowych w Gruzji. Osłabienie sowieckiej władzy pokazały również

wielkie strajki ekonomiczne, wywołane w lipcu przez górników z zachodniej Syberii i Ukrainy (szacuje się, że wzięło w nich udział 300 000 ludzi). W ich wyniku Rada Najwyższa przyznała w październiku prawo do strajku – co było odrzuceniem zasady, że tylko partia komunistyczna i oficjalne związki zawodowe mogą reprezentować interesy robotników. W sierpniu niezwykle ludzki łańcuch stworzony przez milion osób połączył Estonię, Łotwę i Litwę w proteście przeciwko hitlerowsko-sowieckiemu paktowi z 1939 roku, który poprzedził ich rok później aneksję przez Związek Radziecki. We wrześniu 1989 roku oznaki dezintegracji przybliżyły się do serca Związku Radzieckiego, kiedy to ruch domagający się autonomii Ukrainy, Ludowy Ruch Ukrainy na rzecz Przebudowy odbył swój kongres założycielski w Kijowie.

Obecność armii sowieckiej nie mogła powstrzymać dalszych napięć i aktów przemocy na Kaukazie i w Azji Środkowej w 1990 roku. W styczniu 1990 roku w stolicy Azerbejdżanu, Baku, doszło do poważnych starć etnicznych pomiędzy Azerami a Ormianami, w których zginęło około 50 osób. Przedmiotem sporu był region Górskiego Karabachu. Kiedy radzieccy żołnierze zostali wysłani, żeby stłumić zamieszki, spotkali się z zażartym oporem działaczy azerbejdżańskiego Frontu Ludowego. Zanim przywrócono porządek, zginęło około 130 cywilów, a kilkuset zostało rannych.

Także w republikach bałtyckich nie słabła dynamika niepodległościowa, a niechęć wobec rosyjskiej mniejszości była coraz bardziej wyraźna. W maju 1990 roku zdominowane przez nacjonalistów parlamenty w Estonii i na Łotwie poszły za przykładem Litwy sprzed roku i ogłosiły niepodległość. Latem ruchy niepodległościowe uaktywniły się w wielu regionach Związku Radzieckiego. Nawet najważniejsze, Ukraina i Rosja, ogłosiły suwerenność, choć na razie nie widziały w tym sprzeczności z dalszym członkostwem w Związku Radzieckim. Nie było jednak wątpliwości, że Związek Radziecki, nawet jeżeli wciąż istnieje, to jest podłączony do respiratora.

Walka o niepodległość w republikach bałtyckich stanowiła szczególnie dotkliwy problem. Związek Radziecki nie był jednak jeszcze gotowy, by przyznać

się do porażki. Radzieckie oddziały, stacjonujące w Wilnie i Rydze, stolicach odpowiednio Litwy i Łotwy, próbowały w styczniu 1991 roku obalić demokratyczne rządy i stłumić ruchy niepodległościowe. Jednak sowiecki pokaz siły spotkał się z zaciętym oporem społecznym w obu krajach. Doszło do rozlewu krwi. Czternastu cywilów na Litwie i czterech na Łotwie zginęło, a setki zostało rannych w zamieszkach. Użycie siły wywołało duże protesty także w Moskwie. Jelcyn publicznie poparł dążenie do autonomii. Przemoc nie mogła powstrzymać tego, co stało się nieuchronne. Ponad 90 procent Litwinów opowiedziało się za niepodległością w referendum, które odbyło się na początku lutego. W podobnych plebiscytach na Łotwie i w Estonii, które przeprowadzono na początku marca, trzy czwarte głosujących poparło niepodległość. Być może w innych czasach Sowietów siłą zgnetliby nawet tak oczywisty wyraz społecznych dążeń. Jednak w 1991 roku Związek Radziecki nie był już dłużej gotowy, by sprzeciwić się woli prawie całego społeczeństwa i próbować zatrzymać przy sobie kraje bałtyckie po prostu siłą.

Erozja systemu przeniosła się tymczasem do centrum sowieckiej polityki. Kiedy państwo, rządzone przez monopolistyczną partię, utraciło swoją siłę, poszczególne frakcje zaczęły zaciekle walczyć o swoją pozycję. Przepaść pomiędzy reformatorami a reakcjonistami była głębsza niż kiedykolwiek wcześniej. Gorbaczow był zdecydowanie zbyt mało radykalny dla tych, którzy chcieli szybciej i gruntowniej rozmontowywać Związek Radziecki. Reformatorzy nie potrafili określić wspólnych celów; te, które przed sobą stawiali i tak pozostawały niedookreślone. Niektórzy chcieli wprowadzenia rynkowego kapitalizmu. Nacjonaliści domagali się większej władzy i niezależności dla republik. Sam Jelcyn siedział okrakiem pomiędzy tymi dwoma grupami, ale na razie nie ujawniał w pełni swoich poglądów. Z drugiej strony konserwatywni przeciwnicy nienawidzili Gorbaczowa coraz bardziej i katastrofalnej trajektorii szkodliwych zmian, na którą (ich zdaniem) wprowadził on Związek Radziecki, ale nie mieli dość siły, by go obalić. Tak czy inaczej, musiał postępować bardzo ostrożnie. Zachował taktyczny spryt, ale nie był w stanie zadowolić żadnej frakcji

swoich zadeklarowanych krytyków. Jego pragnienie zachowania integralności Związku Radzieckiego przy jednoczesnej akceptacji, a nawet poparciu dla politycznych i ekonomicznych zmian, które w praktyce podkopywały fundamenty systemu, stanowiło podstawową słabość. Czy naprawdę dalej chciał reformować komunizm – co było jego początkowym celem? Czy też chciał socjaldemokracji na modłę zachodnią i kapitalistycznej gospodarki? Bez wątplenia na tym etapie skłaniał się już ku tej drugiej opcji. Jednak abstrahując od tego, co z przyczyn taktycznych mówił publicznie, jego prywatne stanowisko nie było jasne. Pozostał w partii komunistycznej, wciąż jako jej sekretarz generalny, nawet kiedy reformatorzy wzywali go do wystąpienia z niej, a polityczne wybory, których dokonywał, miały charakter jawnie socjaldemokratyczny. Wciąż nie zmierzył się ze sprzecznościami, jakie niosły ze sobą próby przeprowadzenia fundamentalnych reform w ramach politycznych ograniczeń systemu sowieckiego. Jego pozycja była coraz bardziej zagrożona, i to z obu stron.

Wiosną 1990 roku był wciąż na tyle potężny, by odeprzeć każdy atak od wewnątrz. Mógł liczyć na poparcie dużej grupy reformatorów w Radzie Najwyższej i Zjeździe Deputowanych Ludowych. W kwietniu 1990 roku Zjazd ratyfikował radykalną zmianę w konstytucji, którą Gorbaczow umiejętnie przeprowadził w lutym przez Radę Najwyższą, a która znosiła polityczny monopol partii komunistycznej i wprowadzała politykę wielopartyjną. Pozornie jego pozycja uległa nawet wzmocnieniu, bo w połowie marca został wybrany na nowo utworzone stanowisko prezydenta Związku Radzieckiego. Jako przewodniczący Rady Najwyższej był już de facto głową państwa, ale nowe stanowisko rozszerzało jego uprawnienia wykonawcze, bo Zjazd zdecydował o pozbawieniu Politbiura jego uprawnień. W rzeczywistości jednak pozycja Gorbaczowa zaczęła wyraźnie słabnąć, szczególnie od kiedy Borys Jelcyn został w marcu 1990 roku wybrany przewodniczącym Rady Najwyższej Rosji – szefem największej i najważniejszej republiki radzieckiej, obejmującej trzy czwarte całego terytorium kraju. Jelcyn wyraźnie przedkładał przy tym interesy Rosji nad interesy Związku Radzieckiego. Drastyczna redukcja rosyjskiego wkładu podatkowego do sowieckiego budżetu



znacząco osłabiła pozycję Gorbaczowa. Jelcyn zjednał sobie przychylność rosyjskich nacjonalistów, a także ekonomicznych elit, skuszonych neoliberalnym myśleniem o wolnym rynku (i nadziejami na szeroko zakrojoną amerykańską pomoc). Rosyjscy nacjonaści postrzegali inne republiki (z wyjątkiem Białorusi i Ukrainy) jako peryferyjne, niesłowiańskie twory, których niepodległość tylko odciąży i wzmocni Rosję. Gdy popularność Gorbaczowa spadała na łeb na szyję z powodu fatalnej sytuacji gospodarczej, za którą był osobiście odpowiedzialny, gwiazda Jelcyna jako rosyjskiego bohatera ludowego świeciła coraz jaśniej.

Kolejne miesiące przyniosły dezintegrację Związku Radzieckiego, odbywającą się w warunkach całkowitego upadku gospodarczego. Nawet w porównaniu z rokiem 1990 – który już był fatalny – produkcja w 1991 roku spadła drastycznie, a deficyt budżetowy rósł równie alarmująco. Brakowało dóbr konsumpcyjnych i paliwa. Ceny żywności wzrosły dwukrotnie. W tej sytuacji nie dziwi, że poparcie społeczne dla coraz bardziej bezradnego Gorbaczowa, którego plan gospodarczy okazał się fatalną pomyłką, słabło coraz bardziej. Według sondażu opinii publicznej przeprowadzonego jesienią 1990 roku znacznie ponad połowa sowieckich obywateli uznawała, że ich życie zmieniło się na gorsze za Gorbaczowa; tylko osiem procent było przeciwnego zdania.

Tymczasem zajadli konserwatywni wrogowie Gorbaczowa zjednoczyli swoją energię w grupie „Sojuz”, założonej w październiku 1990 roku. Najbardziej widocznym zagrożeniem dla Gorbaczowa pozostawał jednak Jelcyn, który latem tego roku opuścił partię komunistyczną, a w czerwcu roku następnego wygrał wybory na prezydenta Rosji. O ile Gorbaczow coraz bardziej wyglądał na człowieka przegranego, zarządzającego rozpadającym się Związkiem Radzieckim, to Jelcyn budował sobie niepodważalną pozycję w Rosji. W marcu 1991 roku, nie zważając na obecność licznych funkcjonariuszy służb bezpieczeństwa, ćwierć miliona obywateli Moskwy demonstrowało swoje poparcie dla Jelcyna. Ponieważ fundamenty potężnego niegdyś gmachu chwiały się w posadach, podobała im się retoryka promieniująca wiarą w przyszłość Rosji i wizja siły, którą przekazywał.

Jelcyn wciąż nie był wystarczająco mocny, żeby rzucić wyzwanie Gorbaczowowi. Wiosną 1991 roku mimo dzielących ich różnic zawarł z nim wręcz taktyczny sojusz przy pracach nad nowym traktatem związkowym. Pozornie zwiększał on uprawnienia republik sowieckich, tworząc Związek Suwerennych Republik Radzieckich (później: Związek Suwerennych Państw), w którym w ramach prerogatyw centrum pozostawała głównie polityka gospodarcza i sprawy wojskowe. W rzeczywistości Jelcyn był zainteresowany tylko wzmocnieniem siły samej Rosji, a wraz z nią umocnieniem własnej pozycji.

Tymczasem konserwatywni wrogowie Gorbaczowa podnosili głowy. 23 lipca 1991 roku 12 prominentnych sowieckich polityków – głównie funkcjonariusze partii, nawet jeżeli nie najwyżsi rangą, lider „Sojuszu”, a także dwóch generałów armii – podpisało „Słowo do narodu”, opublikowane w prasie. W liście tym z pasją gromili „wielkie, bezprecedensowe nieszczęście”, które spadło na „Ojczyznę, nasz kraj, wielkie państwo powierzone nam przez historię, przez naturę i przez naszych wspaniałych przodków”, które jest „psute, rozbijane i spychane w ciemność i nicość”. Inni przeciwnicy Gorbaczowa niemal na pewno wiedzieli o treści listu i stali za wyrażanymi w nim nastrojami, nawet jeżeli pozostawali w cieniu. Amerykanie ostrzegli w czerwcu Gorbaczowa, że zawiązano przeciwko niemu spisek. Słyszał to on już jednak wcześniej od czołowych reformatorów w kraju. Beztrosko zlekceważył niebezpieczeństwo, czasowo pozostawił uprawnienia do rządzenia Jelcynowi w Moskwie i na początku sierpnia wyjechał na jakże mu potrzebne wakacje na Krymie.

Spiskowcy przeprowadzili swój zamach 18 sierpnia. Na swojej letniej daczce Gorbaczow odkrył, że połączenia telefoniczne zostały odcięte. Trzech konspiratorów pojawiło się, by mu poradzić, żeby przekazał czasowo władzę wiceprezydentowi, Giennadijowi Janajewowi. Gorbaczow natychmiast odmówił. Z kolei w Moskwie przywódcy puczu – generał pułkownik Władimir Kriuczukow (szef KGB, sowieckiej tajnej policji), Boris Pugo (minister spraw wewnętrznych), Walentin Pawłow (premier), marszałek Dmitrij Jazow (minister obrony) i wiceprezydent Janajew – utworzyli Państwowy Komitet Stanu Wyjątkowego,

mający kierować krajem po tym, gdy – jak planowano – 19 sierpnia zostanie ogłoszony stan wyjątkowy.

Zamach przeprowadzono jednak wyjątkowo nieudolnie. Nie udało się nawet zablokować sieci telefonicznej, zatrzymać emisji telewizji satelitarnej czy aresztować Jelcyna i innych osób lojalnych wobec Gorbaczowa. Kolejnym błędem było postawienie na czele operacji wojskowych w Moskwie Pawła Graczowa, dowódcę sowieckich wojsk powietrzno-desantowych, który wcale nie okazał się zwolennikiem puczu. Z milczącym poparciem Graczowa Jelcyn był w stanie rano 19 sierpnia zwołać wiec poparcia. Wymagało to odwagi i zdecydowania. W najbardziej pamiętnym momencie dramatu, który szybko obiegł telewizje całego świata, wspiął się na czołg przed siedzibą rosyjskiej Rady Najwyższej (znanej jako Biały Dom), by potępić pucz. Następne 1,5 dnia było napięte. Państwowy Komitet nie ustępował i polecił czołgom ruszyć na Biały Dom. Po raz kolejny jednak potęga ludu odegrała istotną rolę. Tłumy obywateli, wśród nich wielu młodych moskwian, przeciwstawiły się temu pokazowi siły w antypuczystowskich demonstracjach, które 20 sierpnia osiągnęły apogeum. Trzech protestujących zginęło. Wieczorem tego samego dnia przewrót zaczął się jednak sypać. Spiskowcy byli podzieleni co do kierunku dalszych działań, a dowódcy wojskowi odmawiali wykonywania ich rozkazów. Wczesnym popołudniem 21 sierpnia pucz się skończył. Spiskowcy zostali aresztowani. Dwóch z nich popełniło samobójstwo. Następnego ranka Gorbaczow wrócił z Krymu. Przez cały czas trwania przewrotu pozostawał nieugięty. Zamach w oczywisty sposób osłabił jednak jego pozycję. Kolejne dni jasno pokazały, jak szybko wyczerpuje się jego władza. Bohaterem tych dni był Borys Jelcyn.

Koniec Związku Radzieckiego zbliżał się wielkimi krokami. Wszelkie snute przez Gorbaczowa plany odnowy poprzez nowy traktat upadły. 23 sierpnia 1991 roku Jelcyn zawiesił Komunistyczną Partię Związku Radzieckiego na terenie Rosji (a później, 6 listopada, zdelegalizował ją całkowicie). Ogłosił też powstanie nowego rządu, ze sobą jako premierem, który miał wdrażać program głębokich reform ekonomicznych, oparty na zasadach liberalnej gospodarki rynkowej.

Pozostałe tymczasem republiki także poszły swoją drogą. Niemal wszystkie z nich sprzeciwiły się puczowi. Kiedy upadł, wykorzystają ewidentną słabość podupadającego Związku Radzieckiego, by na rodzimym podwórku realizować program niepodległościowy. Temu korowodowi przewodziły państwa bałtyckie. Jelcyn uznał ich niepodległość w imieniu Rosji 24 sierpnia. Podczas kolejnych trzech dni Ukraina, Białoruś, Mołdawia, Azerbejdżan, Uzbekistan i Kirgistan także ogłosiły niezależność od Związku Radzieckiego. Kilka innych republik poszło w ich ślady we wrześniu. Na tym etapie Związek Radziecki składał się już tylko z Rosji i Kazachstanu. Ostateczny gwóźdź do trumny został wbity, kiedy 1 grudnia 90 procent Ukraińców poparło w referendum deklarację niepodległości. Tydzień później, 8 grudnia, Rosja, Ukraina i Białoruś uzgodniły rozwiązanie Związku Radzieckiego i utworzenie Wspólnoty Niepodległych Państw, luźnego tworów, w którym jakiegokolwiek pozory jedności zostały ograniczone do kwestii ekonomicznych i militarnych. Osiem kolejnych republik dołączyło do nich 21 grudnia. Trzy państwa bałtyckie i Gruzja, która podobnie jak Litwa ogłosiła niepodległość już w marcu 1990 roku, odrzuciły zaproszenie do członkostwa i postanowiły pójść własną drogą.

Gorbaczow już 24 sierpnia zrezygnował z funkcji sekretarza generalnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, stanowiska, które od czasów Stalina było w Związku Radzieckim kluczem do władzy. Przez jakiś czas pozostawał jeszcze prezydentem, choć była to już teraz głównie funkcja tytułarna, opisująca urząd pozbawiony realnej władzy czy znaczenia. W telewizyjnym wystąpieniu 25 grudnia Gorbaczow ogłosił, że ustępuje także z tego stanowiska. Owego wieczoru przekazał formalnie wszystkie swoje uprawnienia Jelcynowi, prezydentowi Rosji, który wprowadził się na Kreml wcześniej rano dwa dni później i uczcił to z najbliższymi współpracownikami butelką whisky.

W swoim ostatnim wystąpieniu telewizyjnym do narodu Gorbaczow bronił swoich dokonań. Ogłosił, że jego reformy były historycznie konieczne i uzasadnione. Twierdził, że pomogły rozmontować totalitaryzm, który wpędził kraj w nędzę, i przyniosły demokratyczny przełom oraz liberalne wolności. Poprzez

zakończenie zimnej wojny wyeliminowana została groźba kolejnego globalnego konfliktu zbrojnego. Taki komunikat miał większe szanse, by zostać pozytywnie przyjętym na Zachodzie niż wśród obywateli konającego Związku Radzieckiego. Wśród tych drugich Gorbaczow budził skrajnie różne opinie. Utorował drogę do ich nowo uzyskanej niepodległości, do demokratycznego pluralizmu i wolności niemożliwych do wyobrażenia, dopóki partia komunistyczna dzierżyła monopolistyczną władzę. Jednak wielu swoim krytykom, jakkolwiek godne pochwały nie były zasady i aspiracje demokratyczne, Gorbaczow kojarzył się przede wszystkim z obniżeniem standardów życia. A zimną wojnę wprawdzie zakończył, ale zrobił to, kapitulując przed Zachodem i redukując niegdysiejsze supermocarstwo do upokarzającej roli petenta. „Mieliśmy imperium, kiedy wprowadzał się na Kreml”, wspominał gorzko lata później pewien moskiewski taksówkarz. „Kiedy odchodził po sześciu latach, wszystko to się skończyło. Sprzedał nas Zachodowi. Po prostu się ugiął”. Sam Gorbaczow wciąż czuł ogromny żal po rozpadzie Związku Radzieckiego. „Żałuję, że wielki kraj, z ogromnymi możliwościami i zasobami, zniknął”, powiedział w wywiadzie długo po tych wydarzeniach. „Moim zamiarem zawsze było zreformować go, nigdy zniszczyć”.

31 grudnia 1991 roku, 69 lat po jego założeniu i 74 lata po rewolucji październikowej, która doprowadziła do jego stworzenia, Związek Radziecki został rozwiązany. Nie było fanfar. Nie było dramatycznego zakończenia. Związek Radziecki po prostu zgasł. Mimo to była to historyczna data – koniec pewnej epoki, moment upadku prawdopodobnie najbardziej niezwykłego politycznego eksperymentu czasów współczesnych. Związek Radziecki był kluczowym elementem epoki katastrofalnego konfliktu, który znalazł kumulację w straszliwej jatce drugiej wojny światowej. Od kiedy wyszedł zwycięsko, choć ogromnym kosztem ludzkim i materialnym, z tytanicznego starcia z hitlerowskimi Niemcami, osiągnął dominację nad wschodnią połową Europy, przekształcił się w supermocarstwo i zostawił niezatarte piętno na kształcie spraw nie tylko europejskich, ale i globalnych. Gmach, zbudowany na drodze brutalnej przemocy

przez Lenina i jego wyznawców podczas rewolucji rosyjskiej 1917 roku i późniejszego koszmaru wojny domowej w Rosji, obiecywał nadejście utopii opartej na równości i sprawiedliwości.

Okazało się jednak, że konstrukcja ta może funkcjonować jedynie – już wtedy niewyobrażalnym ludzkim kosztem – w ramach ogromnego, słabo rozwiniętego kraju, który, wykorzystując przymus i represje na niewyobrażalnym poziomie, został przeobrażony w potężną siłę, zdolną przetrwać cztery straszliwe lata wojny z nazistowskimi Niemcami, a następnie przekształcić się w supermocarstwo posiadające wielki arsenał nuklearny. Modelu tego nie udało się przenieść na inne regiony Europy, które miały zupełnie inne struktury społeczne, ekonomiczne, polityczne i kulturowe. Nigdzie, ani w samym Związku Radzieckim, ani w żadnym z powojennych państw satelickich w Europie Środkowej i Wschodniej, większość ludzi nie wybrała komunizmu w wolnych wyborach. Choć sowiecką władzę wspierało wielu prawdziwych, idealistycznie nastawionych wyznawców (choć z czasem ich liczba malała) i znacznie więcej oportunistycznych towarzyszy podróży, okazała się ona zdolna do podtrzymywania w coraz bardziej oczywisty sposób pustych obietnic jedynie poprzez kleszcze przymusu i tłumionej wolności. Gorbaczow poluzował je do punktu, w którym obywatele Związku Radzieckiego mogli się go pozbyć całkowicie. A gdy kleszczy zabrakło, nie pozostało już nic.

## **Nowa epoka**

Niektórzy przedstawiciele lewicy opłakiwali koniec Związku Radzieckiego. Żałowali upadku tego, co w pewnym momencie wydawało się optymistyczną twarzą przyszłości, alternatywą dla wyniszczających nierówności kapitalizmu. Poczucie straty nie ograniczało się do byłych aparatczyków i beneficjentów systemu ani też tych, którzy lamentowali nad utratą imperialnego statusu. Wielki historyk, Eric Hobsbawm, od najmłodszych lat przekonany marksista, nie był bynajmniej jedynym lewicowym intelektualistą, który trafnie rozpoznawał

fundamentalne wady systemu sowieckiego, przyznawał, że nie chciałby w nim żyć, ale i tak opłakiwał jego upadek. Hobsbawm podziwiał Gorbaczowa (choć żałował, że nie pojawił się jakiś „mniej ambitny, ale bardziej realistyczny reformator”), ale z pesymizmem patrzył na postsowiecką przyszłość. Kiedy Związek Radziecki upadł, napisał, że „przegranymi w perspektywie krótko- i średnioterminowej będą nie tylko obywatele byłego ZSRR, ale i biedni tego świata”.

Żałoba na Zachodzie ograniczyła się jednak do wciąż kurczącej się – nawet wśród zachodnich komunistów – mniejszości tych, którzy do końca wierzyli w wyższość systemu sowieckiego. Liberałowie i socjaldemokraci nie ronili łez, a konserwatywna prawica w Europie Zachodniej, a w jeszcze większym stopniu w Stanach Zjednoczonych, gratulowała sobie zwycięstwa w zimnej wojnie. Oklaskiwali twardą linię prezydenta Reagana (wspieranego przez swoją brytyjską akolitkę, „Żelazną Damę” Margaret Thatcher) wobec komunizmu i fetowali to, co uznawali za potwierdzenie słuszności programu „gwiazdnych wojen” i wysokiego poziomu nakładów na zbrojenia, które pokazały ekonomiczną wyższość Zachodu i słabość Związku Radzieckiego. Nie ukrywali poczucia triumfu z powodu tego, co przedstawiali jako zwycięstwo liberalnego kapitalizmu nad państwowym socjalizmem i wolności nad poddaństwem.

Większość ludzi powstrzymywała się jednak przed otwartym triumfalizmem. Bardziej widoczna była ulga – ulga, że zimna wojna wreszcie się skończyła i że w konsekwencji zniknęło niebezpieczeństwo konfliktu nuklearnego. Mieszało się to z satysfakcją, że upadł system budowany na opresji i zniewoleniu, oraz poczuciem, że zachodnie wartości zatriumfowały. W Europie Środkowej i Wschodniej ta ulga, choć wyrażała podobne nastroje, przybierała inny ton. Ludzie czuli tam przede wszystkim radość, że długie lata podporządkowania ciężkiej ręce komunistycznej władzy, wspieranej przez interesy Związku Radzieckiego, dobiegły wreszcie końca. Mogli wreszcie zacząć odzyskiwać swoje narodowe tożsamości. Mogli też mieć nadzieję, że za jakiś czas zaczną korzystać z dobrodziejstw zachodnioeuropejskiej koniunktury.

Radość nie trwała jednak długo. Byli radzieccy satelici już wcześniej byli narażeni na problemy związane z dostosowaniem się do nowego wspaniałego świata, do którego wkraczali. Wybuch euforii został szybko utemperowany przez nowe trudności. Natomiast dla ludzi w Europie Zachodniej upadek Związku Radzieckiego był zbyt rozciągnięty w czasie, a jego ostateczny koniec zbyt pozbawiony dramatyzmu, by śmierć starego ideologicznego wroga wywołała jakikolwiek wybuch radości. Uwagę przykuwały już inne kwestie, między innymi wojna w Zatoce w latach 1990–1991, wywołana inwazją Iraku na sąsiedni Kuwejt. Na Zachodzie prawdziwy moment euforii związanej z upadkiem komunizmu nastąpił wcześniej, w listopadzie 1989 roku, kiedy upadł mur berliński. Była to symboliczna chwila, w której sowieckie kleszcze, zaciśnięte wokół Europy Wschodniej, zostały złamane. To, co nastąpiło później, wydawało się jedynie długim epilogiem.

Pomimo to panowało powszechne przekonanie, że śmierć Związku Radzieckiego stanowi historyczną cezurę, ważny punkt zwrotny w historii. Pisząc w „The Guardian” 27 grudnia 1991 roku, Martin Woollacott oddawał powszechne nastroje: „XX wiek skończył się o godzinie 19.00 czasu moskiewskiego, 25 grudnia 1991 roku” – kiedy Gorbaczow ogłosił swoją rezygnację ze stanowiska przywódcy Związku Radzieckiego. „To jakby sprawy naszego stulecia zostały załatwione przed upływem przyznanego na nie czasu. Dwa gigantyczne konflikty, które go charakteryzowały, czyli pomiędzy kapitalizmem a komunizmem i pomiędzy starymi imperiami a nowymi potęgami – walki, które przeplatały się przez dekady – zakończyły się. «Bolszewizm», jak tego domagał się w 1918 roku Winston Churchill, ostatecznie «popęłił samobójstwo»”.

Trzy lata później, w słynnym *Wiek skrajności* Eric Hobsbawm także przedstawiał upadek Związku Radzieckiego jako koniec „krótkiego dwudziestego stulecia”, epoki, która dobiegła kresu i była definiowana przez starcie pomiędzy kapitalizmem a komunizmem. Z perspektywy konserwatywnej amerykański politolog, Francis Fukuyama, poszedł nawet jeszcze dalej, twierdząc, że oznacza on „koniec historii”. W swojej opublikowanej w 1992 roku książce *Koniec historii*



*i ostatni człowiek* rozwijał on powszechnie czytany i kontrowersyjny esej, który opublikował trzy lata wcześniej, kiedy w Europie Wschodniej zachodziły dogłębne zmiany. Fukuyama nie czynił w oczywisty sposób absurdalnego założenia, jak naiwnie zarzucali mu to niektórzy krytycy, że nie będzie już więcej żadnych wydarzeń, że historia w tym sensie się skończyła. Argumentował raczej w kategoriach filozoficznych, opierając się częściowo na ideach zarysowanych przez słynnego XIX-wiecznego filozofa niemieckiego, Georga Wilhelma Friedricha Hegla, który widział w zwycięstwie niesionych przez rewolucję francuską zasad wolności i równości finalne stadium historii. Fukuyama argumentował, że wraz z triumfem liberalnej demokracji nad swoim jedynym poważnym konkurentem, komunizmem, rozwój ideologiczny osiągnął szczyt swojej ewolucji i że w związku z tym „Historia” (pisana przez duże „H”) dobiegła końca. Po upadku komunizmu, pisał Fukuyama, liberalna demokracja pozostaje „jedynym spójnym wewnątrznie celem, który łączy różne regiony i kultury na kuli ziemskiej”. Jako „doktryna wolności osobistej i władzy ludu” liberalna demokracja pozostała „jedyną ideologią o potencjalnej uniwersalnej ważności”. W wielkiej debacie, która wybuchła później, ta zdecydowana teza ze zrozumiałych względów wywołała ostrą krytykę. Nie tylko uważano ją za błędną. Powszechnie postrzegano ją również jako przejaw triumfalizmu amerykańskiego neokonserwatyzmu.

Dalszy przebieg światowej historii rzeczywiście w niewielkim stopniu wsparł argumentację Fukuyamy. Kulturowe i polityczne odrzucenie zasad liberalnej demokracji w wielu częściach świata postawiło pod znakiem zapytania teleologiczne założenie o „końcu Historii”. Chiński model ekonomicznego liberalizmu i politycznego autorytaryzmu, który zaowocował nadzwyczajnym wzrostem w Chinach, stanowił poważne wyzwanie dla tych (nie tylko na Zachodzie), którzy przez długi czas zakładali, że gospodarka rynkowa musi w nieunikniony sposób prowadzić do liberalnej demokracji. Przyszłość jest tak samo nieprzewidywalna jak wtedy, gdy Hegel po raz pierwszy uznał, że „Historia” się skończyła. Zawirowania w Europie w latach 1989–1991, których kulminacją był upadek Związku Radzieckiego i alternatywy dla kapitalistycznej liberalnej

demokracji, którą tenże reprezentował przez prawie trzy czwarte wieku, nie wypełniały, nawet w filozoficznym ujęciu Fukuyamy, kryterium „końca historii”. Było to tym niemniej polityczne trzęsienie ziemi, z sejsmicznymi konsekwencjami dla całego świata, a w szczególności dla Europy. Po 1991 roku Europa była zupełnie nowym miejscem.

Nowa Europa nie była już przecięta na pół przez żelazną kurtynę. Jednak koniec kilkudziesięcioletniego podziału kontynentu nie oznaczał, że zjednoczenie stało się bliższe. Europa była teraz podzielona na cztery łatwe do wyróżnienia grupy. Fundamentalny podział ideologiczny rzeczywiście przestał istnieć, ale różnice pomiędzy tymi grupami trudno było uznać za nieistotne.

Na pierwszą grupę składały się kraje Wspólnoty Niepodległych Państw – Rosja, Ukraina, Białoruś i osiem innych byłych republik radzieckich – utworzone w ostatnich dniach agonii Związku Radzieckiego. Kraje te nie miały tradycji pluralistycznej demokracji i autonomii prawnej ani instytucji (w tym Kościołów, związków zawodowych i niezależnej prasy), które w pozostałej części Europy stopniowo tworzyły obszar wolności obywatelskiej wyjętej spod kontroli państwa. W chaosie, który wystąpił po upadku reżimu, dominującego w tej części Europy przez prawie 70 lat, nie zaskakiwało, że te były republiki radzieckie, wybierając prezydentów, zwracały się ku mocnym postaciom takim jak Jelcyń w Rosji, Leonid Krawczuk na Ukrainie lub Aleksander Łukaszenka, dyktatorski prezydent Białorusi poczynając od 1994 roku, z pozoru po to, by przywrócili porządek. Historia, a także geografia, oddzieliła tę część Europy od reszty kontynentu. Później także podążyła ona osobną drogą.

Po drugiej stronie spektrum znajdowały się kraje Europy Zachodniej. Dla nich upadek Związku Radzieckiego, który nastąpił po zjednoczeniu Niemiec, oznaczał nagłe otwarcie potencjału dla zjednoczenia Europy, wykraczającego poza tradycyjne granice Europy Zachodniej i istniejące ograniczenia Wspólnoty Europejskiej. Trzeba było ponownie przemyśleć kwestię integracji europejskiej. Było to konieczne nie tylko po to, by zagwarantować, że Niemcy będą nierozzerwalnie związane z Zachodem, ale także, by wziąć pod uwagę aspiracje

krajów wyzwolonych spod sowieckiej kontroli (choć w żadnym momencie nikt poważnie nie brał pod uwagę, że integracja mogłaby rozszerzyć się na Rosję i inne części byłego Związku Radzieckiego). Jak nowe, lecz biedne demokracje Europy Środkowej i Wschodniej mogły zostać inkorporowane do projektu integracji europejskiej? I jakie były geopolityczne implikacje nowej Europy? Jak daleko w głąb Europy Wschodniej, dla przykładu, powinien sięgnąć zachodni sojusz obronny, NATO? A może NATO było teraz wręcz zbędne, skoro nie istniały już żelazna kurtyna i Układ Warszawski (rozwiązany w 1991 roku)?

Trzecią, luźną grupę, stanowiły kraje, które wcześniej Zachód wrzucał do jednego worka z napisem „Europa Wschodnia”, choć wcale nie stanowiły jednolitego bloku. Niektóre z nich – szczególnie Polska, Czechosłowacja i Węgry – mogły sięgnąć do przedkomunistycznej przeszłości, z którego czerpały głębokie poczucie narodowej tożsamości i pewne, choć burzliwe, doświadczenia pluralistycznej demokracji. Dodatkowo, nawet w czasach komunistycznych udawało im się tworzyć lub chronić ważne elementy kultury, która istniała poza kontrolą państwa. Co więcej, Czechosłowacja i Węgry, a w mniejszym stopniu także Polska, nigdy nie postrzegały się jako część „Europy Wschodniej”. Zawsze uważały się za rdzeń Europy Środkowej, geograficznie niedookreślonego bytu, który jednak posiadał silne więzi kulturowe z Austrią i Niemcami – więzi, które prowadziły raczej na Zachód niż w kierunku Moskwy. Teraz dostrzegły one możliwość odbudowania swoich narodowych i kulturowych tożsamości i demokratycznych tradycji. Niebagatelne znaczenie miało też silne przyciąganie ze strony zachodnioeuropejskiego dobrobytu. Ekonomicznie i kulturowo kraje Europy Środkowej starały się dołączyć do Europy, od której zostały odcięte na tak długo.

Kraje bałtyckie – Estonia, Łotwa i Litwa – choć geograficznie stanowiące część Europy Wschodniej – także dzieliły z państwami Europy Środkowej wieloletnią tradycję narodowej niezależności, nawet jeżeli ich kruche, międzywojenne demokracje były tylko krótkim epizodem. Zachowały gorzką pamięć o sowieckiej aneksji w 1940 roku, zażarcie walczyły o przywrócenie niepodległości w ostatnich dniach Związku Radzieckiego, a teraz spoglądały na Zachód – na NATO

i Wspólnotę Europejską – z nadzieją na ochronę przed wszelkimi przejawami rosyjskiego rewizjonizmu oraz na dobrobyt, który uważały za naturalny element zachodnich demokracji. Rosjanie oczywiście nieufnie patrzyli na wszelkie pomysły rozszerzenia NATO.

Z kolei w południowo-wschodniej Europie postradziecki świat stworzył jeszcze jedną konstelację. Upadłe rządy komunistyczne w Bułgarii i Rumunii zastąpiły w najlepszym wypadku fasadowe demokracje. Korupcja była zbyt powszechna, nędza zbyt głęboka, a pośrednich struktur społeczeństwa obywatelskiego zbyt mało, by mogło dojść do płynnego przejścia do sprawnie funkcjonującej liberalnej demokracji. Kiedy po ogromnych wstrząsach kurz zaczął opadać, władza w większości wciąż pozostawała w rękach tych, którzy wcześniej stanowili część starych reżimów. Także i te kraje łakomym wzrokiem spoglądały na zamożność Wspólnoty Europejskiej. Dołączenie do niej było jednak w najlepszym przypadku odległym celem. W jeszcze większym stopniu odnosiło się to do Albanii, w której komunistyczny reżim trzymał się aż do marca 1992 roku. W końcu upadł, ale w tym najbiedniejszym ze wszystkich byłych państw komunistycznych w Europie korupcja, przestępczość i spuścizna dekad autorytarnych rządów przesądziły o tym, że przejście do systemu, który choćby z grubsza przypominałby demokrację i dawał nadzieję na integrację ze Wspólnotą Europejską, było długotrwałym procesem.

Jugosławia nigdy nie należała do bloku sowieckiego. Napięcia, które nasilały się tam od czasu śmierci Tity w maju 1980 roku w atmosferze poważnych i narastających problemów gospodarczych, zaostrzyły rodzący się konflikt etniczny. Gdy w 1989 roku Jugosławia zaczęła się rozpadać, przyniósł on straszliwe konsekwencje.

Trzeba dodać, że koniec Związku Radzieckiego i zimnej wojny zmienił i przekształcił nie tylko Europę. Zmienił również globalną politykę. Michaił Gorbaczow przyczynił się do tego, że w ostatnich latach istnienia Związek Radziecki współpracował ze Stanami Zjednoczonymi, by rozwiązać liczne długotrwałe i zażarte konflikty na kontynencie afrykańskim – w Etiopii,

Mozambiku, Angoli i Namibii. Pomógł również przekonać Afrykański Kongres Narodowy w Republice Południowej Afryki, by otworzył się na porozumienie z rządzącym reżimem apartheidu, z którym walczył tak długo. Ostatni przywódca rasistowskiego RPA, prezydent F. W. de Klerk, także zgłosił gotowość do negocjowania z Kongresem, kiedy został on pozbawiony sowieckiego wsparcia i w konsekwencji zniknęło zagrożenie komunistyczną rewolucją w południowej Afryce. 11 lutego 1990 roku, kiedy po 27 latach przetrzymywania wypuszczono z więzienia Nelsona Mandelę, podziwianego na całym świecie jako twarz opozycji przeciwko rasistowskiemu reżimowi apartheidu w RPA, stał się symbolicznym momentem narodzin nowej nadziei na przyszłość. Jednak wraz z upadkiem Związku Radzieckiego liczne kraje afrykańskie – a w Ameryce Łacińskiej Kuba – utraciły protektora (jaki by on nie był) i źródło finansowego wsparcia. Droga, która się przed nimi otwierała, nie prowadziła do szybkiego pomnażania majątku, lecz jeszcze bardziej wystawiała je na pazerne żądania dynamicznie rozwijającej się globalnej gospodarki.

Co więcej, upadek jednego z dwóch supermocarstw powojennego świata otworzył perspektywę (która na pewien czas stała się rzeczywistością) globalnej amerykańskiej dominacji i istnienia unipolarnej potęgi w sprawach międzynarodowych. Po pewnym czasie Chiny, a także odradzająca się Rosja zaczęły tę dominację kwestionować. Na razie jednak amerykańscy neokonserwatyści mogli rozkoszować się perspektywą hegemonii; Stany Zjednoczone wygrały zimną wojnę, a przyszłość w ramach pax americana rysowała się w jasnych kolorach. Pierwsze lata nowej, postsowieckiej epoki szybko miały wystawić tę propozycję na próbę, także w samej Europie. Na Stary Kontynent miała bowiem powrócić wojna.

---

\* Byli wśród nich moi dwaj (nastoletni wówczas) synowie, David i Stephen, którzy mieszkali ze mną podczas mojego pobytu w Berlinie Zachodnim w latach 1989–1990. Ja całkowicie przegapiłem historyczne wydarzenia poprzedniego wieczoru. Pewien amerykański student zadzwonił do mnie,

pytając, czy nie spotkałbym się z nim, żeby przedyskutować tezy jego doktoratu. Wieczór 9 listopada spędziłem więc w zachodniobерlińskim pubie, nieświadomy tego, co dzieje się 1,5 kilometra dalej. Kiedy wróciłem do naszego mieszkania, Stephen powiedział mi, że mur upadł – mama, powiedział, dzwoniła z Anglii i widziała wszystko w programie BBC Nine O’Clock News. Rano 10 listopada zadzwonił do mnie mój zachodnioniemiecki przyjaciel, by zapytać, czy nie przeszedłbym się z nim do Berlina Wschodniego, by zobaczyć, co się tam dzieje. Poszliśmy, przechodząc przez rygorystyczną kontrolę graniczną przy Friedrichstrasse, gdzie posterunek funkcjonował jak zwykle, tylko po to, by stwierdzić, że niewiele się tam dzieje. Postanowiliśmy więc wrócić do Berlina Zachodniego. Kiedy wysiadłem z kolejki podmiejskiej S-Bahn na Dworcu Zoo w Berlinie Zachodnim, podbiegł do mnie jakiś mężczyzna i zamknął w niedźwiedzim uścisku. „Herzlich willkommen im Westen”, powitał mnie podekscytowany. „Wo kommen Sie denn her?”. (Serdecznie witamy na Zachodzie. Skąd jesteś?). Kiedy odpowiedziałem, że z Manchesteru w Anglii, odskoczył ode mnie, jak bym był zadżumiony i pobiegł witać kolejnych przyjeżdżających.

## ROZDZIAŁ 10

# Nowe początki

---

*Nie sądzę, by Europa do końca zdawała sobie sprawę z potencjału przemocy w Jugosławii, a może się ona zacząć w każdej chwili.*

Srđa Popović, jugosłowiański prawnik, obrońca praw człowieka, czerwiec 1991 r.

*Spytałem polskiego historyka, Jerzego Jedlickiego, kiedy wcześniej w historii Polska miała tak korzystną sytuację. Nie namyślając się długo, odpowiedział: „Prawdopodobnie w drugiej połowie XVI wieku”.*

Timothy Garton Ash, listopad 1995 r.

**K**ońcówce zimnej wojny towarzyszyły wielkie oczekiwania. To był dla Europy czas nowych początków. W najbardziej oczywisty sposób odnosiło się to do byłych krajów komunistycznych, w których zaczęły się kształtować liberalne systemy gospodarcze i rządy demokratyczne. Jednak także Europa Zachodnia przechodziła ważne zmiany wraz z powstaniem Unii Europejskiej i krokami w kierunku stworzenia wspólnej waluty. Nadzieje na trwały pokój zostały w międzyczasie wzmocnione przez rozwiązanie struktur wojskowych Układu Warszawskiego w marcu 1991 roku. A ponieważ polityczni przywódcy powzięli zamiar umacniania integracji europejskiej, perspektywa zaistnienia Europy zjednoczonej wspólnym interesem w utrzymaniu pokoju, ufundowanym na demokratycznych rządach i gwarantowanym powszechnym dostatkiem, wydawała się możliwa do zrealizowania. Wśród narodów Europy Środkowej i Wschodniej

pojawiły się także wielkie nadzieje, że po upadku komunizmu szybko zaczną doświadczać dobrobytu powszechnego już w zachodniej części kontynentu.

Czas transformacji w pierwszej połowie lat 90. okazał się jednak trudniejszy, niż ktokolwiek w momencie początkowej euforii mógł przewidzieć. Dopiero w połowie dekady obraz zaczął wyglądać nieco bardziej optymistycznie. Nawet jednak na początku lat 90., gdy ludzie mieli odwagę marzyć, że lepszy świat jest na wyciągnięcie ręki, wielki cień po raz kolejny zaległ nad kontynentem. Na samym początku dekady wojna powróciła do Europy.

## Wojny etniczne

Wojna w Jugosławii – czy też raczej seria wojen – która trwała od 1991 do 1995 roku, była ogromnym wstrząsem dla Europy. Straszliwy termin „czystki etniczne” wszedł do użycia, by opisać charakter wojny. Przymusowe wysiedlenia i masowe zabijanie ludzi, które miały uczynić rozpadającą się Jugosławię bardziej jednolitą etnicznie, wywołały w Europie dreszcz przerażenia. Unia Europejska załamywała ręce, ale jej próby rozwiązania tej skomplikowanej kwestii w żaden sposób nie powstrzymały potwornego konfliktu. ONZ wysłał siły pokojowe, które nie zdołały zaprowadzić pokoju. Ostatecznie Europa po raz kolejny okazała się niezdolna do zakończenia wojny na europejskiej ziemi i ustanowienia trwałego powojennego porządku bez wsparcia Amerykanów.

Wojna etniczna w Jugosławii nie była, jak bezmyślnie zakładało wielu obserwatorów na Zachodzie, zwykłym powrotem do bałkańskiej tradycji – współczesną wersją trwających od stuleci konfliktów. Miała jednak ważne tło historyczne, nawet jeżeli dość niedawne. Było ono związane z kanalizowaniem w etnicznym nacjonalizmie rozczarowania coraz bardziej widocznymi niedostatkami komunizmu w Jugosławii w latach 80. Podczas swoich długich rządów Tito (który zmarł w maju 1980 roku) bezlitośnie tłumił wszystkie etniczne żale, rządził Jugosławią żelazną ręką i dzięki osobistemu autorytetowi był w stanie



utrzymać kruchą równowagę interesów w tym złożonym państwie. Żale i głębokie animozje sięgające drugiej wojny światowej buzowały jednak pod powierzchnią i objawiły się z całą mocą, kiedy komunizm nie zdołał rozwiązać rosnących, wszechobejmujących problemów ekonomicznych i społecznych. Etniczny tygiel w Jugosławii miał przynieść krajowi tragedię.

Powojenne komunistyczne państwo składało się z sześciu republik – Bośni i Hercegowiny, Chorwacji, Czarnogóry, Macedonii, Serbii i Słowenii – których populacje znacznie się od siebie różniły. Serbowie (prawie osiem milionów) znacznie przewyższali liczebnie Chorwatów (drugą pod względem wielkości grupę etniczną, liczącą niespełna pięć milionów ludzi). Po drugiej stronie skali znajdowała się Czarnogóra z zaledwie około 600 000 mieszkańców. Rozmieszczenie populacji w większości nie odpowiadało granicom republik składowych, tworząc etniczną mieszaninę różnych tradycji kulturowych, języków i religii. Położona na północnym zachodzie Słowenia była prawie całkowicie monoetniczna, ale w innych częściach federalnego państwa Serbowie, Chorwaci, muzułmanie i inne grupy etniczne nie byli rozdzieleni przez jasno zarysowane granice. Wielu Chorwatów mieszkało w Serbii. W Chorwacji istniały serbskie enklawy, a zarówno Serbowie, jak i Chorwaci mieszkali w Bośni i Hercegowinie, żyjąc drzwimi w drzwi z dwoma milionami muzułmanów. Taka, zazwyczaj pokojowa, koegzystencja trwała od setek lat. Na ten etniczny patchwork składali się ponadto Czarnogórcy, Macedończycy, Albańczycy i inne mniejszości. Brutalnie narzucona przez Titę równowaga gwarantowała, że każda z republik korzystała (nawet jeżeli nie w równym stopniu) w dekadach powojennych z szybko rozwijającej się gospodarki, co osłabiło podskórne napięcia etniczne.

Począwszy jednak od ekonomicznego spowolnienia z lat 70., rosnące niezadowolenie zaczęło być wyrażane w kategoriach różnic kulturowych i narodowej tożsamości. Kwestie te zyskiwały coraz bardziej na znaczeniu, kiedy przepaść pomiędzy zamożniejszymi a biedniejszymi republikami pogłębiła się. W połowie dekady Jugosławię ogarnął już głęboki kryzys gospodarczy, w czasie którego utrzymywało się wielkie i niespłacalne zadłużenie zagraniczne, poziom

życia spadał, szalała inflacja, a bezrobocie osiągnęło ogromne rozmiary. Z perspektywy etnicznej doszło do podwójnego zniekształcenia problemu: biedniejsze republiki były postrzegane przez bogatsze jako pasożyty, a bogatsze przez biedniejsze jako beneficjenci systemu federalnego, który został stworzony, by służyć ich interesom.

Słowenia już na początku lat 80. była najbardziej zachodnią, kulturowo tolerancyjną i ekonomicznie rozwiniętą z republik. W 1989 roku pozostawała najlepiej prosperującą częścią podupadającej gospodarczo Jugosławii; za nią, w pewnym oddaleniu, plasowała się Chorwacja. Na przeciwległym biegunie znalazły się Bośnia i Hercegowina i – zdecydowanie najbiedniejsze – Kosowo. Rosnące nierówności społeczne i ekonomiczne sprzyjały niezadowoleniu, które z kolei przekładało się na etniczne uprzedzenia i animozje. Słoweńcy i Chorwaci buntowali się, że kosztem ich względnej zamożności wspiera się mniej wydajne części kraju. Serbowie z zazdrością patrzyli na wyższe standardy życia Chorwatów i Słoweńców. Kosowianie zwracali się w stronę Serbów, by ci bronili ich przed dyskryminacją ze strony Albańczyków. Mieszkający za granicą nacjonałiści, którzy wyjechali za pracą lub zostali zmuszeni do emigracji, pomagali promować etniczne resentymenty w kraju.

Zdając sobie w pełni sprawę z plag, które spadły na blok sowiecki, także Jugosłowianie chcieli zmian. Polityczny kryzys narastał, a system komunistyczny, niezdolny do zaoferowania jakiegokolwiek remedium na problemy kraju, tracił legitymizację. W 1986 roku aż 88 procent Słoweńców i 70 procent Chorwatów deklarowało, że nie chcą wstępować do partii komunistycznej. Nawet w Serbii, republice dominującej w strukturze federalnej, odsetek ten wynosił aż 40 procent. Słabnięciu ideologii komunistycznej towarzyszyło odrodzenie religijne – czynnik, który wzmocnił istniejące podziały, bo prawosławni Serbowie, katolicy Chorwaci i bośniaccy muzułmanie zaczęli traktować religię jako oznakę tożsamości etnicznej.

Etniczny nacjonalizm szybko zastępował dotychczasową oficjalną ideologię. Według sondażu z 1985 roku większość młodych dorosłych (choć ich odsetek był mniejszy wśród Chorwatów i Słoweńców) wciąż przedkładała tożsamość

jugosłowiańską nad etniczną. Inne badania wskazywały jednak na pogarszanie się relacji etnicznych. Podobnie jak niektóre elementy kultury popularnej. Fani futbolu zamieniali mecze w symboliczne pokazy agresywnej etnicznej rywalizacji – powiewając transparentami, promującymi ich etniczną tożsamość, i śpiewając pieśni z czasów drugiej wojny światowej. Serbowie odwoływali się do nacjonalistycznych czetników, a Chorwaci przypominali faszystowskie pozdrowienie ustaszy, winnych podczas wojny niewyobrażalnych zbrodni. Piłkarski chuliganizm – zjawisko występujące w latach 80. w wielu krajach europejskich (szczególnie w Wielkiej Brytanii) przybrało w Jugosławii wymiar jednoznacznie etniczny. Kiedy w 1990 roku Dinamo Zagrzeb grało z Crveną Zvezdą Belgrad, 1500 Chorwatów i Serbów stoczyło zażartą bitwę. Przywódcą ultrasów Crveneje był Arkan, jak nazywano brutalnego kryminalistę, Željko Ražnatovicia. Wkrótce miał on stanąć na czele najbardziej osławionej serbskiej bojówki paramilitarnej.

Historię zaczęto reinterpretować zgodnie z powstającymi podziałami etnicznymi. Począwszy od połowy lat 80., bardziej liberalny klimat pozwalał na publiczne dyskusje w książkach, literaturze, filmie i mass mediach o tematach, które dotąd stanowiły tabu. Druga wojna światowa stała się tematem debaty wykraczającej poza tradycyjne wychwalanie jugosłowiańskiej armii partyzanckiej. Nawet sam Tito stał się przedmiotem krytyki. Choć wcześniej traktowano go jak nietykalnego bohatera narodowego, teraz był coraz częściej przedstawiany jako dekadentcki autokrata, którego osobiste zamięrowanie do luksusu stało w ostrej sprzeczności z publicznie deklarowanymi socjalistycznymi pryncypiami. Jego rola w czasie wojny także została zrewidowana, bo czetnicy, długo potępiani przez oficjalną propagandę jako monarchiści i reakcyoniści (jeżeli nie wprost faszyci) zaczęli być rehabilitowani przez Serbów. Już samo to wystarczyło, by umniejszyć rolę odegraną przez komunistycznych partyzantów Tity. Od początku lat 90. zaczęto zmieniać nazwy ulic i placów noszących imię Tity. Jego mauzoleum zostało zamknięte.

Kluczowym wątkiem w procesie używania i nadużywania historii do promowania agresywnego i nietolerancyjnego poczucia etnicznej tożsamości stały się straszliwe zbrodnie, popełniane podczas drugiej wojny światowej przez faszystowską milicję ustaszy z Niepodległego Państwa Chorwackiego. Ustasze zabili, często w bestialski sposób, setki tysięcy (głównie) Serbów, Żydów i Romów. Liczba zabitych była jednak zawzięcie kwestionowana zarówno przez Serbów (którzy znacznie ją zawyżali), jak i Chorwatów (którzy z kolei ją zaniżali). Franjo Tuđman, który wkrótce miał zostać prezydentem Chorwacji, znalazł się wśród tych, którzy mocno bagatelizowali skalę zbrodni ustaszy (obwiniał też w groteskowy wręcz sposób Żydów o prześladowanie Serbów, twierdząc przy okazji, że liczba ofiar Holokaustu jest mocno zawyżana). Chorwaci przypominali o cierpieniach, których doznali z rąk serbskich partyzantów pod koniec wojny, kiedy Chorwacja skapitulowała. Z drugiej strony zbiorowa serbska pamięć o zbrodniach ustaszy wzmacniała szybko rozprzestrzeniający się pogląd, że tylko państwo serbskie zabezpieczy ludzi przed groźbą jakiegokolwiek powtórki.

Żadna obdarzona stosownym autorytetem postać, zdolna do przekroczenia podskórnych i narastających podziałów etnicznych, nie pojawiła się, by zająć miejsce Tity, bohatera wojennego i symbolu narodowej jedności. Niewydolna konstytucja z 1974 roku, która poprzez decentralizację próbowała zapewnić etniczną równowagę przy rządzeniu Jugosławią, jedynie pogłębiła nasilające się tendencje odśrodkowe i problemy polityczne kraju. Władza instytucjonalna w ostatnich latach słabnącego Tity spoczywała w rękach ósmioosobowego prezydium (składającego się z przedstawicieli sześciu republik i dwóch serbskich prowincji, Wojwodiny i Kosowa). Jeden z członków, wymieniany rotacyjnie co roku, sprawował funkcję głowy państwa i głównodowodzącego armią. Jugosłavia miała parlament federalny, sześć parlamentów republikańskich, dwa dla serbskich prowincji i 10 partii komunistycznych (w tym jedną dla całej Jugosławii i jedną dla armii). Nic więc dziwnego, że w tym skomplikowanym systemie równowagi regionalne partie i rządy zyskiwały na znaczeniu kosztem podmiotów federalnych.

Ważnymi wyjątkami były armia i policja polityczna, które pozostawały pod kontrolą federalną.

Wciąż jednak nic nie zapowiadało nadchodzącej eksplozji. Działo się to jeszcze zanim Slobodan Milošević, sprawny polityczny taktik, który pnąc się po szczeblach kariery, został w końcu przywódcą Serbskiej Partii Komunistycznej, zdał sobie sprawę, że to wykorzystanie etnicznego nacjonalizmu, a nie promowanie komunizmu, jest najlepszym sposobem na powiększenie osobistej władzy i dominacji Serbii.

Milošević podpalił lont pod beczką z prochem i zaostrzył konflikt etniczny, kiedy 24 kwietnia 1987 roku wygłosił w Kosowie prowokacyjne przemówienie. Kosowo zajmuje specjalne miejsce w serbskiej mitologii. Uważane jest za kolebkę serbskiej państwowości. To tutaj w 1389 roku serbska arystokracja, rozgromiona w bitwie z Turkami, heroicznie wybrała śmierć, a nie kapitulację. Pod koniec XX wieku Serbowie tworzyli w Kosowie pełną urazów mniejszość. Uważali, że na własnej ziemi są dotkliwie prześladowani przez albańską większość (85 procent populacji). Milošević przyjechał do Kosowa jako wysoki rangą funkcjonariusz komunistyczny. Wrócił jako uznany nacjonalista. Odpowiadając na skargi gniewnego tłumu Serbów, którzy twierdzili, że napadła na nich kosowska policja, składająca się z Albańczyków, powiedział im w telewizyjnym wystąpieniu: „To jest wasza ziemia” i „Niech nikt nie odważy się was bić!”. Jeszcze tej samej nocy wybuchły antyalbańskie zamieszki. Milošević podlał benzyną płomień serbskiego nacjonalizmu, i to nie tylko w Kosowie. Dało mu to również platformę do skutecznego marszu po serbską prezydenturę. Był to początek długiej agonii Jugosławii.

W ciągu trzech lat od nienawistnego przemówienia Miloševicia sytuacja stale się pogarszała. Gospodarka podupadała, a państwu federalnemu coraz trudniej było utrzymać kontrolę nad częściami składowymi. Podobnie jak w całej Europie Środkowej i Wschodniej, także w Jugosławii rosła presja na demokratyzację i zwiększanie autonomii. W 1990 roku w kraju skończyły się rządy komunistów. W pierwszych od ponad 40 lat pluralistycznych wyborach, które odbyły się w tym

roku, partie nacjonalistyczne wygrały wszędzie poza Serbią i Czarnogórą (która była w gruncie rzeczy marionetką w rękach Serbii). A nawet tam partie komunistyczne stały się de facto wehikułami serbskiego nacjonalizmu. Federacyjna Jugosławia walczyła o przetrwanie.

Franjo Tudjman, który w 1989 roku założył nacjonalistyczną Chorwacką Wspólnotę Demokratyczną i został prezydentem Chorwacji w wyborach, które odbyły się w kolejnym roku, odwoływał się do haseł jedności etnicznych Chorwatów, zarówno w granicach republiki, jak i poza nimi. Złowieszczą brzmiały jego słowa o Bośni jako o „narodowym państwie narodu chorwackiego”, w którym muzułmanów uznawano za ledwie zislamizowanych Chorwatów. Jego partia opowiadała się za oparciem Chorwacji na linii Driny, granicznej rzeki pomiędzy Bośnią i Serbią. Jako prezydent coraz bardziej stanowczo domagał się niepodległości Chorwacji (choć początkowo gośłownie deklarował poparcie dla luźnej formy jugosłowiańskiej federacji). Narodowe odrodzenie Chorwatów szybko zaczęło niepokoić serbską mniejszość w drugiej co do wielkości republice Jugosławii. Flagi z czerwono-białą szachownicą, które z dnia na dzień zaczęły zwisać z wielu budynków, przypominały im wojenne państwo chorwackie, rządzone przez straszliwych ustaszów. Język chorwacki stał się jedynym dozwolonym językiem urzędowym. Zaczęto stosować wyłącznie chorwacki alfabet łaciński, usuwając z dokumentów serbską cyrylicę. (W Belgradzie następował proces odwrotny. Powszechna stała się cyrylica, rugowano natomiast alfabet łaciński). Krucha równowaga etniczna w administracji państwowej została zakłócona, bo Serbowie byli wyrzucani i zastępowani Chorwatami. Najgorsze było jednak to, że Serbowie byli usuwani także z policji, co w nieunikniony sposób budziło widmo powrotu faszystowskich ustaszów.

Obawy serbskiej mniejszości w Chorwacji stały się zapalnikiem dla długiej, czteroletniej wojny w Jugosławii. Można ją podzielić na kilka faz, z racji swojej złożoności trudnych do zrozumienia dla zewnętrznych obserwatorów. Pierwsza, trwająca w latach 1991–1992, rozpoczęła się po tym, jak Słowenii w wyniku dziesięciodniowej „udawanej wojny” pozwolono się odłączyć od Jugosławii.

Chorwaci zostali z wielką brutalnością przepędzeni z tych rejonów swojego kraju, które były zamieszkane głównie przez Serbów. Druga faza była pierwszą częścią najważniejszego okresu wojny: trójstronnym, morderczym konfliktem pomiędzy Serbami, Chorwatami a muzułmanami w Bośni, który trwał w latach 1992–1995. Serbowie i Chorwaci wypowiedzieli wojnę muzułmanom – głównym ofiarom okrutnych czystek etnicznych. Serbowie w tamtym momencie zachowywali się najgorzej i zyskiwali najwięcej. W trzeciej fazie – drugiej części wojny w Bośni – Chorwaci zdołali jednak zbudować armię, zawarli taktyczny sojusz z muzułmanami i odwrócili sytuację. Teraz to Serbowie byli wypędzani z terenów, które wcześniej okupowali. W tej ostatniej fazie to właśnie oni stali się największymi przegranymi, padając ofiarą brutalności Chorwatów i bośniackich muzułmanów.

Obawy Serbów były od początku szczególnie wyraźne w Krajinie (to starożytne słowo oznacza pas przygraniczny; ciągnie się on wzdłuż zachodniej i północnej granicy Bośni i Hercegowiny), gdzie stanowili oni 12 procent populacji. Milošević rozbudził w nich nadzieje na ochronę w ramach Wielkiej Serbii i sprowokował agresję wobec chorwackich sąsiadów. Poważne problemy nabrzmiewały już w 1990 roku. Kiedy Chorwacja 25 czerwca 1991 roku – tego samego dnia co Słowenia – ogłosiła niepodległość, zaczęło się robić gorąco. Milošević, na tym etapie kluczowy gracz, uważał secesję Słowenii (która nastąpiła po krótkim konflikcie zbrojnym z niewielką liczbą ofiar) za niewielką stratę dla swoich ambicji stworzenia Wielkiej Serbii. Chciał złowić większą rybę. Jego uwaga skupiła się teraz na kwestii Serbów, którzy mieszkali na terytorium Chorwacji.

Milošević już w marcu 1991 roku przyznał, że „Jugosławia jest skończona”. Nie było jasne, co miałyby ją zastąpić. Kiedy jednak jeszcze w tym samym miesiącu spotkał się na tajnych rozmowach z Tudjmanem, byli zgodni, że zarówno Chorwacja, jak i Serbia skorzystałyby z podziału Bośni i Hercegowiny. Oba państwa dążyły do ekspansji. Zanim jednak można się było skupić na Bośni, ambicje Tudjmana, by stworzyć etnicznie homogeniczną Chorwację, i plany Miloševića odnośnie do Wielkiej Serbii musiały się zetrzeć w sprawie znaczącej serbskiej mniejszości mieszkającej na terytorium Chorwacji.

Brytyjski dziennikarz Misha Glenny był zszokowany poziomem wzajemnej nienawiści pomiędzy Chorwatami a Serbami, z którą się spotkał, podróżując po Krajinie jeszcze przed ogłoszeniem przez Chorwację niepodległości. „Chorwaci i Serbowie w nieskończoność kłócili się ze mną”, wspominał, „próbując mi wytłumaczyć, dlaczego odpowiednio Serbowie i Chorwaci są urodzonymi potworami. Powoływali się przy tym na historię, religię, edukację i biologię”. Instynktowna nienawiść uderzyła go jako nowy produkt ogromnego wzrostu nacjonalizmu w dogasającym jugosłowiańskim państwie komunistycznym – którego płomienie celowo podsycali państwowe media w Belgradzie i Zagrzebiu. Młodzi ludzie z mieszanych etnicznie terenów i terytoriów przygranicznych, przesiąknięci kultem macho, byli wciągani do jednostek paramilitarnych, gdzie przesiąkali klimatem umiejętnie rozjątrzonej etnicznej nienawiści i gloryfikacji przemocy. Stare lęki i odziedziczone wspomnienia były teraz osadzone w rozpalonej niedawno nienawiści – Chorwaci bali się powrotu czetników z drugiej wojny światowej, Serbowie odrodzenia ustaszy. Rozkręcająca się spirala przemocy wciągała w swój krąg także nastawioną wcześniej pokojowo większość społeczeństwa.

Kiedy w maju 1991 roku Serbowie zabili i okaleczyli ciała kilku chorwackich policjantów w wiosce w pobliżu Vukovaru w północno-wschodniej Jugosławii, doszło do eksplozji przemocy w całej Krajinie. Dopuszczały się jej głównie serbskie bojówki paramilitarne, wspierane przez oddziały federalnej (a w praktyce głównie serbskiej) armii jugosłowiańskiej pod dowództwem tyleż zdolnego, co całkowicie pozbawionego skrupułów pułkownika (a wkrótce generała) Ratko Mladicia. Pomiędzy sierpniem a grudniem 1991 roku około 80 000 Chorwatów zostało wysiedlonych i zmuszonych do ucieczki z terenów zamieszkałych głównie przez Serbów – w następnych miesiącach liczba ta miała znacznie wzrosnąć. Wraz z narastaniem konfliktu zaczęto atakować także cele poza Krajiną. Przepiękny dalmacki kurort Dubrownik, odwiedzany dawniej przez niezliczone rzesze turystów, został zbombardowany, był oblegany i uległ poważnym zniszczeniom – i to bez żadnego uzasadnienia militarnego. Ucierpiał również adriatycki port



w Splicie. Wszystko to działo się na oczach dziennikarzy i przed kamerami telewizyjnymi. Najgorsze sceny rozgrywały się w pięknym naddunajskim mieście Vukovar, w którym tysiące cywilów zostało na trzy miesiące zamkniętych w oblężeniu i poddanych bombardowaniom. Świat z przerażeniem patrzył na setki zabitych i tysiące rannych. Oblężenie zakończyło się upadkiem miasta, które 20 listopada 1991 roku zajęli Serbowie.

Ta faza wojny zakończyła się w styczniu 1992 roku (po negocjacjach prowadzonych przez specjalnego wysłannika ONZ, byłego amerykańskiego sekretarza stanu, Cyrusa Vance'a). Uzgodniono zawieszenie broni, które miało być nadzorowane przez siły pokojowe ONZ w sile około 12 000 żołnierzy. Nie zrobiono jednak nic, by wypędzeni Chorwaci mogli bezpiecznie wrócić do wydzielonych „stref chronionych” ani by powstrzymać wycofującą się w kolejnych miesiącach armię jugosłowiańską przed pozostawieniem większości swojego uzbrojenia serbskiej milicji i siłom bezpieczeństwa. Około jedna trzecia Chorwacji dostała się już wówczas w ręce zbuntowanych Serbów.

Nadzieje, choćby i nieśmiałe, na całościowe polityczne rozwiązanie politycznych kłopotów Jugosławii, opierały się na wysiłkach Lorda Carringtona, byłego brytyjskiego ministra spraw zagranicznych, a następnie sekretarza generalnego NATO. Storpedowały je Niemcy, które ulegając silnym antyserbskim nastrojom w kraju, wywarły dużą presję na inne państwa Wspólnoty Europejskiej, by uznały niepodległość Chorwacji. Bezpośrednie konsekwencje dotknęły Bośnię i Hercegowinę.

Ta centralnie położona republika Jugosławii – zamieszkała w 44 procentach przez muzułmanów, 33 procentach przez Serbów i 17 przez Chorwatów – stanęła teraz przed wyborem nie do pozazdroszczenia: ogłosić niepodległość czy pozostać w Jugosławii zdominowanej przez Serbów? Bośniackim Serbom przewodził Radovan Karadžić, były psychiatra skazany w połowie lat 80. za oszustwo i defraudację, który dzięki rozwianej grzywie włosów wkrótce stał się rozpoznawany przez widzów na całym świecie. Karadžić odmówił choćby rozważenia bośniackiej niepodległości, która stała w całkowitej sprzeczności

z planem zjednoczenia wszystkich Serbów w ramach Wielkiej Serbii. Dla Karadžicia i jego zwolenników bośniacka deklaracja niepodległości oznaczała wojnę. Tymczasem 3 marca 1992 roku, po referendum przeprowadzonym w dniach 29 lutego i 1 marca, w którym prawie dwie trzecie wyborców poparło niepodległość, bośniacki prezydent, muzułmański prawnik i intelektualista, Alija Izetbegović, który w latach 80. spędził pięć lat w więzieniu za działalność antykomunistyczną, ogłosił taką właśnie deklarację.

7 kwietnia, w dzień po tym jak Wspólnota Europejska uznała państwowość Bośni i Hercegowiny, bośniaccy Serbowie ogłosili własne niepodległe państwo, które wkrótce zaczęli nazywać Republiką Serbską (Republika Srpska). Już w poprzednich tygodniach muzułmańscy cywile byli bezwzględnie atakowani i mordowani w północno-wschodniej Bośni przez serbskie oddziały paramilitarne. Pod koniec kwietnia Sarajewo, starożytna i piękna stolica Bośni i Hercegowiny, która przez stulecia była domem etnicznie i religijnie zróżnicowanej społeczności, zostało zamknięte w oblężeniu przez tysiące żołnierzy z jugosłowiańskiej armii (w większości Serbów), a także milicje i oddziały paramilitarne bośniackich Serbów. Zapiski z pamiętnika dwunastoletniej dziewczynki Zlaty Filipović dają namiastkę codziennego strachu, w jakim przyszło żyć obywatelom Sarajewa podczas oblężenia: „Niebezpiecznie jest chodzić po mieście. Szczególnie niebezpiecznie jest przechodzić przez most, ponieważ strzelają do ciebie snajperzy. Trzeba biec. Za każdym razem jak [moja matka] wychodzi, tata i ja idziemy do okna i patrzymy, jak biegnie (...). Biegniesz, biegniesz i biegniesz, a końca mostu nie widać”. Oblężenie trwało przez prawie cztery lata i kosztowało życie prawie 14 000 ludzi. Tysiące z nich (w tym 1500 dzieci) stanowili cywile. Dalsze 56 000 ludzi (prawie 15 000 dzieci) zostało rannych.

Etniczna nienawiść nie pochłonęła wszystkich. Dwójka dwudziestopięcioletnich kochanków, zastrzelonych przy próbie ucieczki z Sarajewa w maju 1993 roku, była parą od czasów szkolnych; on był Serbem, ona muzułmanką. Należeli jednak do kurczącej się mniejszości. Straszliwa spirala zbrodni w nakręcającej się wojnie etnicznej pochłonęła cały region. Milošević

i Tudjman przyglądali się jej (odpowiednio) z Belgradu i Zagrzebia. Jak przyznali podczas tajnych rozmów w 1991 roku, mogli na tym sporo zyskać. Wojna była dla nich racjonalnym biznesem.

Każda ze stron dopuszczała się potwornych czynów. Najgorszy los spotkał jednak muzułmanów. Morderstwa, gwałty, pobicia, rabunki i niszczenie mienia (domów, sklepów, meczetów i innych budynków wspólnotowych) były elementem systemowego terroru, który skutecznie wygnał muzułmańską społeczność z ich domów i „etnicznie oczyścił” całe połacie kraju. Przerażone muzułmańskie kobiety i dzieci pakowano do pociągów odchodzących z Banja Luki w północnej Bośni i wywożono niczym deportowanych do Auschwitz Żydów pół wieku wcześniej. Mężczyzn aresztowano i wsadzano do współczesnych obozów koncentracyjnych, przywodzących na myśl koszmary drugiej wojny światowej. Kolumny uchodźców całymi dniami wędrowały po drogach i przez góry, by uciec przed koszmarem, ale po drodze doświadczały okrutnej przemocy – znęcania się, zastraszania, rabunków, nierzadko morderstw. Szacuje się, że zgwałcono przynajmniej 20 000 kobiet.

Kiedy wojna w Bośni skończyła się w 1995 roku, liczba zabitych według najbardziej wiarygodnych źródeł przekroczyła 100 000. Ponad 60 procent z nich stanowili bośniaccy muzułmanie, wśród których było także najwięcej ofiar cywilnych. Ich los przyczynił się do dalszej radykalizacji świata islamskiego. Serbowie stanowili 25 procent zabitych, a Chorwaci 8,3 procent. Około 2,2 miliona ludzi zostało zmuszonych do opuszczenia swoich domów. Żaden konflikt od czasów drugiej wojny światowej nie pociągnął za sobą tyle ofiar śmiertelnych i tylu wypędzeń.

Najgorsza zbrodnia przyszła najpóźniej. Do 1993 roku miasteczko Srebrenica we wschodniej Bośni stało się muzułmańską enklawą na kontrolowanym przez Serbów terytorium – straszliwie zatłoczoną przez uchodźców, uciekających z sąsiednich wiosek przed etnicznymi czystkami. W kwietniu tego roku miasto zostało objęte ochroną ONZ jako „strefa bezpieczeństwa”. Serbowie byli jednak zdeterminowani, by ją przejąć. Wprowadzona przez nich blokada dostaw żywności, a nawet leków, sprawiła, że warunki pogarszały się w alarmującym tempie. Do

obrony „strefy bezpieczeństwa” w ramach oenzetowskich sił ochronnych pozostało niespełna 400 holenderskich żołnierzy, gdy czterokrotnie liczniejsze oddziały serbskie pod dowództwem generała Mladicia rozpoczęły ofensywę na miasto 6 lipca 1995 roku. W ciągu pięciu dni Srebrenica znalazła się w rękach serbskich. Od 12 lipca Serbowie zaczęli oddzielać mężczyzn i chłopców od kobiet (które siłą przetransportowano na terytorium bośniackie). Około 8000 z nich wyprowadzono do lasu i systematycznie zmasakrowano. Był to najbardziej okrutny epizod tej ponurej wojny, plama na honorze europejskiej cywilizacji. Europa, a wraz z nią cały świat, stała się świadkiem koszmaru, o którym sądzono, że nigdy więcej się nie powtórzy. W końcu Zachód został zmuszony, by podjąć konkretne działania, zmierzające do zakończenia konfliktu.

Już wcześniej podejmowano takie próby, z których najbardziej obiecująca (tak się przynajmniej wtedy wydawało) była ta kierowana przez Cyrusa Vance’a i byłego brytyjskiego ministra spraw zagranicznych Davida Owena. Jednak propozycje podziału terytorialnego niezmiennie spotykały się ze sprzeciwem jednej z wojujących stron. W 1995 roku wojna zaczęła być dla Serbii kontrproduktywna. Kraj boleśnie dotknęły oenzetowskie sankcje i międzynarodowa izolacja, a dodatkowo Stany Zjednoczone groziły (wbrew oporowi Europy), że dozbiorą Bośniaków (których cierpienia zjednały im międzynarodową sympatię). Ponadto w marcu 1994 roku bośniaccy muzułmanie i Chorwaci przestali walczyć przeciwko sobie, co oznaczało, że Serbowie pozostali sami i bez przyjaciół. Milošević uznał wtedy, że czas zadowolić się tym, co już ma – kosztem Serbów żyjących poza Serbią, właśnie tych, których obiecał chronić poprzez włączenie ich do Wielkiej Serbii. Dla Miloševicia nieprzejednani bośniaccy Serbowie stali się po prostu obciążeniem.

Dwa kluczowe manewry, do których doszło w 1995 roku, były ze sobą powiązane: z jednej strony, pod presją Amerykanów zakończyła się chorwacka ofensywa przeciwko muzułmanom w Bośni, a z drugiej, same Stany Zjednoczone z nową determinacją zaczęły szukać terytorialnego rozwiązania wojny w Bośni, którego nie zdołali osiągnąć Europejczycy (i ONZ). Straszliwy rozlew krwi

i ogromne zniszczenia dokonały się na oczach Europejczyków. W Srebrenicy holenderscy żołnierze z oenzetowskiego kontyngentu patrzyli bezradnie, jak muzułmańscy mężczyźni są prowadzeni na egzekucję. Timothy Garton Ash, odwiedzając Bośnię w 1995 roku, nie zostawiał suchej nitki na „zewnątrznej polityce tworu zwanego Europą, która jeszcze cztery lata temu wyglądała tak optymistycznie i obiecująco”. Bombastyczne stwierdzenie Jacquesa Poosa, luksemburskiego ministra spraw zagranicznych z 1991 roku, że „godzina Europy wybiła”, w cztery krwawe lata później wyglądało jak kiepski żart.

Amerykanie nadali poszukiwaniom pokojowego rozwiązania nową dynamikę. Współpracę wojskową pomiędzy Zagrzebiem a Waszyngtonem zaoferowano Tudjmanowi jako wabik, by zaprzestał wrogich działań przeciwko bośniackim muzułmanom, a terytorium kraju poszerzał kosztem Serbów. Marchewce towarzyszył kij w postaci groźby, że jeżeli Chorwacja się nie podporządkuje, to znajdzie się w międzynarodowej izolacji, nałożone zostaną na nią sankcje, a jej przywódcy będą prawdopodobnie ścigani za zbrodnie wojenne. Zdając sobie sprawę, co będzie dla niego bardziej korzystne, Tudjman był gotowy na kompromis. Późną wiosną i latem 1995 roku Chorwaci, którzy zdążyli zbudować siły zbrojne, odwrócili się od Serbów w Krajinie, przeprowadzając własne czystki etniczne na zamieszkiwanych przez nich terenach. Serbski bunt przeciwko chorwackiej władzy zaczął się w 1990 roku w zamieszkałym przez Serbów mieście Knin, położonym około 60 kilometrów w głąb dalmatyńskiego wybrzeża. W 1995 roku to „etnicznie oczyszczone” miasto było już chorwackie. Liczące niegdyś 37 000 serbskich mieszkańców miasteczko zostało zredukowane do roli wydmuszki z populacją nieprzekraczającą 2000 ludzi.

Równowaga sił została kompletnie odwrócona. Tudjman, przegrany w 1991 roku, okazał się zwycięzcą. Milošević, tryumfujący w pierwszej fazie wojny, znalazł się teraz w defensywie. A bez wsparcia Miloševicia, który odciął dostawy broni ze swojej armii, bośniaccy Serbowie stanęli w obliczu perspektywy utraty wszystkich swoich zdobyczy. Szanse na zakończenie konfliktu były większe niż kiedykolwiek wcześniej od momentu jego wybuchu. Wciąż jednak trzeba było

przejsć pewną drogę, by wojujące strony mogły osiągnąć trwałe porozumienie – wymagające niechętnych ustępstw ze wszystkich stron.

Ciernistą drogę do wszelkiego potencjalnego porozumienia torował twardy, pragmatyczny amerykański negocjator, Richard Holbrooke, były amerykański asystent sekretarza stanu z rozległym doświadczeniem dyplomatycznym. Pod koniec września 1995 roku wymusił na Tudjmanie i, z większymi oporami, na Izetbegoviciu, akceptację głównych punktów porozumienia, na mocy którego Bośnia i Hercegowina pozostałaby niepodległym państwem, ale jako federacja z bośniackimi Serbami, którzy kontrolowaliby prawie połowę terytorium kraju (niemal całą Republikę Serbską). Chorwatom miała przypaść jedna piąta. Taka była istota układu uzgodnionego ostatecznie na konferencji w Dayton w stanie Ohio, która odbyła się w listopadzie 1995 roku (formalnie porozumienie podpisano w Paryżu 14 grudnia). Porozumienie miało być wdrażane pod osłoną sił NATO w liczbie 60 000 żołnierzy. Był to niełatwy, kruchy kompromis, daleki – co przyznawały wszystkie strony – od doskonałości. Jednak to pragmatyczne rozwiązanie pomimo niesłabnących napięć okazało się zaskakująco trwałe.

Kwestia Kosowa, która w pewnym sensie wywołała cały konflikt, pozostała nierozwiązana. Typowa dla tego rejonu przemoc etniczna nie słabła. W większości odpowiedzialna za nią była Armia Wyzwolenia Kosowa. Ta partyzancka organizacja Albańczyków, która postanowiła zbrojnie walczyć o niepodległość Kosowa, miała w swoich szeregach wielu zatwardziałych kryminalistów, ale większość członków zradykalizowała się z powodu prześladowań doznanych z rąk serbskiej policji. Lekcja, którą Kosowianie wynieśli z porozumienia z Dayton, była taka, że przemoc popłaca. Zachód ugiął się przez realiami zbrojnej siły w Bośni, ale najwyraźniej zapomniał o żądaniach autonomii wysuwanych przez albańskie w przeważającej większości Kosowo. Odpowiedzią Miloševicia na przemoc było uruchomienie serbskiej akcji czystek etnicznych, wymierzonych w albańskie wioski. Szacuje się, że w kolejnych dwóch latach zginęło około 10 000 Albańczyków, a ponad pół miliona uciekło do sąsiednich krajów. Kiedy w 1998 roku uruchomiono brutalne serbskie represje przeciwko zwolennikom partyzantki,

doprowadziły one do wybuchu zbrojnego powstania Kosowian, wspomaganych bronią szabrowaną z arsenałów położonych w samej Albanii. Dla Zachodu decydującym momentem była publikacja zdjęć ciał 45 Albańczyków, ofiar akcji policji serbskiej z 15 stycznia 1999 roku, przeprowadzonej w wiosce na południe od stolicy kraju, Prištiny. Przywodziły one na myśl wspomnienie Srebrenicy i budziły obawy, że szykuje się nowa Bośnia, wzmagając determinację, by tym razem działać, zanim będzie za późno.

Wojna w Bośni przekonała Zachód do przyjęcia doktryny tak zwanego liberalnego (lub humanitarnego) interwencjonizmu – opartej na przekonaniu, że zachodnie demokracje muszą przeciwdziałać bezprawiu, by chronić prawa tych, którzy są prześladowani przez reżimy. Obejmująca USA, Rosję, Wielką Brytanię, Francję i Niemcy Grupa Kontaktowa (jak sama się nazwała), która wcześniej bezowocnie szukała porozumienia w Bośni, spotkała się ponownie 6 lutego w Rambouillet pod Paryżem, ale pomimo groźby działań zbrojnych Milošević odrzucił jej plan pokojowy, ponieważ zakładał on stacjonowanie żołnierzy NATO na terytorium Serbii. W dzień po ostatecznym załamaniu się rozmów, do którego doszło 19 marca, jugosłowiańska armia – Jugosławia była na tym etapie zredukowana do Serbii i całkowicie od niej zależnej Czarnogóry – rozpoczęła brutalną ofensywę w północno-zachodnim Kosowie. Milošević wciąż odmawiał negocjacji. 24 marca rozpoczęły się zmasowane naloty NATO, pod wodzą Stanów Zjednoczonych, na Jugosławię. Ponad 1000 samolotów dokonało poważnych zniszczeń w infrastrukturze kraju, zburzyło wiele budynków w stołecznym Belgradzie i zabiło setki cywilów. Naloty były przeprowadzane bez żadnego mandatu Rady Bezpieczeństwa ONZ – Rosjanie i Chińczycy sugerowali, że skorzystają z prawa weta – co stawiało pod znakiem zapytania ich legalność. Wielu ludzi na Zachodzie było zbulwersowanych. Ci, którzy popierali nową zachodnią doktrynę humanitarnego interwencjonizmu, twierdzili jednak, że w tak nadzwyczajnej sytuacji, kiedy deptane są prawa człowieka, a interesy polityczne z pewnością zaowocują wetem w Radzie Bezpieczeństwa, zwyciężyć musi wyższa moralność. Przywoływano lekcje z przeszłości – nie tylko tej najnowszej

w Jugosławii. Niemcy porównywali barbarzyństwo w Kosowie do zbrodni Hitlera. Brytyjczycy mówili o niebezpieczeństwie stosowania polityki appeasementu wobec dyktatorów.

W odpowiedzi na naloty serbskie siły w Kosowie zintensyfikowały swoją ofensywę. Do tego czasu z kraju uciekło już około 750 000 Kosowian. Kierowali się głównie do Albanii i Macedonii. Trzeba było 11 tygodni, zanim Milošević ostatecznie się wycofał. Nastąpiło to 9 czerwca 1999 roku. Naloty wstrzymano następnego dnia. Kosowo stało się protektoratem ONZ w ramach Jugosławii, a jego bezpieczeństwo miały gwarantować siły pokojowe NATO. Ostateczny status Kosowa nie został określony. Serbowie mieli jednak dość swojego niedawnego bohatera, Slobodana Miloševicia. W wyniku masowych protestów społecznych, które wybuchły po (kwestionowanych) wyborach prezydenckich, Milošević ugiął się pod presją i 7 października 2000 roku został zastąpiony na stanowisku prezydenta Serbii przez prawnika, Vojislava Koštunicę, przywódcę Serbskiej Partii Demokratycznej. Rok później Milošević został przekazany Międzynarodowemu Trybunałowi Karnemu dla byłej Jugosławii, utworzonemu w 1993 roku w holenderskiej Hadze w celu ścigania poważnych przestępstw popełnionych w czasie wojen jugosłowiańskich.

Kosowo chwiało się w posadach. Wewnętrzna przemoc bynajmniej nie ustała, tyle że teraz jej ofiarą padała głównie serbska mniejszość. W 2008 roku, przy sprzeciwie Serbii i bez poparcia ONZ, parlament jednostronnie ogłosił niepodległość, która wkrótce została uznana przez społeczność międzynarodową. Dwa lata wcześniej Czarnogóra zakończyła unię z Serbią i ogłosiła pełną niepodległość. Wraz z tą deklaracją państwo jugosłowiańskie, które powstało na gruzach pierwszej wojny światowej, przetrwało drugą, a potem skutecznie przeciwstawiło się Stalinowi, przestało istnieć – padając ofiarą wewnętrznych animozji.

Na osąd prawny trzeba było jeszcze poczekać. Slobodan Milošević był jedną ze 161 osób postawionych przed Międzynarodowym Trybunałem w Hadze. Większość skazano na długie wyroki więzienia. Milošević zmarł w czasie trwania



procesu, w 2006 roku. Radovan Karadžić (oskarżony z opóźnieniem, po latach ukrywania się) został ostatecznie w marcu 2016 roku skazany na 40 lat więzienia. Ratko Mladić również unikał sprawiedliwości przez wiele lat. Ostatecznie w listopadzie 2017 roku został skazany na dożywocie za ludobójstwo, zbrodnie wojenne i zbrodnie przeciwko ludzkości. Zainteresowanie świata osłabło na długo przed wydaniem wyroków. Dla trzech milionów tych, których życie zostało zrujnowane, i setek tysięcy tych, których bliscy zostali zabici lub okaleczeni podczas czterech lat krwawej wojny, wyrok sądu, choć bez wątplenia pozytywnie przyjęty przez wielu, był słabą rekompensatą za męczarnie i cierpienia.

Upadek Jugosławii pokazał, że nawet w nowej Europie siła zbrojna wciąż może mieć sobie za nic rządy prawa. Przemoc się opłaciła. Siła karabinu ponownie okazała się decydująca. Bośnia i Chorwacja zostały etnicznie oczyszczone. Nowe państwa narodowe, powstałe na gruzach federalnej Jugosławii, odzwierciedlały schemat typowy dla XX-wiecznej Europy: ich granice były w dużym stopniu oparte na etnicznej homogeniczności. Większość Europejczyków, mając powyżej uszu oglądania w codziennych wiadomościach horrorów, do których dochodziło w rozpadającej się Jugosławii, zamknęła oczy na to, co działo się w innej części ich kontynentu. Jugosławia przypominała jednak, że przeszłość wciąż rzuca długi cień na Europę. Oczekiwanie, że po upadku komunizmu na Starym Kontynencie zapanuje jedność i pokój, okazało się jedynie iluzją.

## **Chybione nadzieje**

Jugosłowiańska katastrofa była złowrogim nawrotem do etnicznych i terytorialnych konfliktów, które niegdyś dotykały większość Europy Środkowej i Wschodniej. Fakt, że reszta Europy nie zdołała jej zapobiec, był bardzo przygnębiający. Niemniej tragedia ta nie powinna przesłonić faktu, że pomimo początkowego rozczarowania, a niekiedy nawet utraty złudzeń, państwa byłego bloku sowieckiego nie wróciły do wcześniejszych form autorytarnego nacjonalizmu. Siła przyciągania

Unii Europejskiej, wyznającej zasady demokracji i rządów prawa, była najsilniejszą przeciwwagą dla takich tendencji.

Euforia odczuwana przez większość populacji Europy Środkowej i Wschodniej była w 1990 roku tak wielka, że w pierwszych latach trudnego przejścia do całkowicie nowego systemu ekonomicznego i politycznego nieuchronnie musiało nadejść rozczarowanie. Ogromne zakłócenia w życiu ludzi były nie do uniknięcia podczas podwójnej transformacji od państwa komunistycznego i kontrolowanej przez nie gospodarki do demokratycznych struktur politycznych i gospodarki liberalnej. W początkowych latach poziom życia często spadał, choć w drugiej połowie lat 90. zaczął się on poprawiać dzięki wzrostowi gospodarczemu.

Ścieżka przyjęta (w różnych wariantach) w procesie fundamentalnej restrukturyzacji ekonomicznej opierała się na teoriach neoliberalnych, które niemal całkowicie zastąpiły keynesizm w roli ortodoksji. Program zwany „konsensusem waszyngtońskim”, pierwotnie opracowany w 1989 roku dla krajów Ameryki Łacińskiej, powszechnie uznawano za jedyny sposób realizacji ogromnego zadania, jakim była transformacja konających państwowych gospodarek krajów Europy Środkowej i Wschodniej. Absolutny autorytet przyznawano w jego ramach szybkiej liberalizacji gospodarki poprzez deregulację, prywatyzację i otwarcie się na działanie rynku. Wymagało to zniesienia państwowej kontroli i własności oraz wprowadzenia konkurencji rynkowej tak szybko, jak to tylko możliwe. By osiągnąć słoneczne wyżyny dobrobytu, którymi cieszą się na Zachodzie, ludzie z byłych krajów komunistycznych musieli przejść przez dolinę łez. Zakładano jednak, że warto tę podróż odbyć, by znaleźć się po drugiej stronie.

Podjęcie neoliberalne zostało entuzjastycznie przyjęte przez przywódców Europy Środkowej i Wschodniej. Uważali je oni za najlepszą metodę powiązania swoich krajów z bardziej gospodarczo rozwiniętą Europą Zachodnią w najkrótszym możliwym czasie. Myślano, że kopiowanie Zachodu jest kluczem do „powrotu do Europy”. Polski minister finansów, Leszek Balcerowicz, i jego czeski odpowiednik, Václav Klaus (późniejszy premier), byli najbardziej zagorzałymi w Europie zwolennikami tak zwanej „terapii szokowej”, który to termin łączono

z harvardzkim ekonomistą, Jeffreyem Sachsem. Jednak w tej czy innej formie neoliberalizm zdominował strategię przechodzenia od gospodarki socjalistycznej do kapitalistycznej tak szybko i gruntownie, jak to możliwe.

Nowe ustawy deregulowały gospodarkę, a ograniczenia związane z socjalistycznym planowaniem usuwano. Ceny rynkowe zastąpiły ceny kontrolowane. Waluty stały się wymienne. Zliberalizowano handel zagraniczny poprzez redukcję lub zniesienie ceł, co miało pozwolić na swobodny przepływ dóbr i kapitału. Szybko tworzone banki czy giełdy i wprowadzano cały wachlarz praw finansowych. Prywatyzacja przedsiębiorstw państwowych nabierała tempa. Najpierw więcej sukcesów odnoszono w przypadku małych i średnich przedsiębiorstw niż gigantów, którymi zagraniczny kapitał nie był początkowo zainteresowany.

Międzynarodowy Fundusz Waluty wspomógł transformację, do 1997 roku przeznaczając na ten cel łącznie 27 miliardów dolarów, ale były to pożyczki, a nie granty. Polska miała szczególne szczęście, bo jej długi zostały faktycznie umorzone w 1993 roku – w nagrodę za bycie „modelowym pacjentem terapii szokowej”, a także w uznaniu dla jej rozmiaru i strategicznego znaczenia. Pomoc nadeszła również z Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej (przemianowanej wkrótce na Unię Europejską). Początkowo trafiła ona do Polski i na Węgry, ale wkrótce popłynęła szerszym strumieniem. W ujęciu względnym kwoty te były jednak znacznie niższe niż przy planie Marshalla z 1947 roku, który odegrał tak dużą rolę w powojennej odbudowie Europy Zachodniej i był obwarowany mniej restrykcyjnymi warunkami.

Miliony obywateli krajów byłego bloku sowieckiego dotkliwie odczuło skutki zmian ekonomicznych w pierwszych latach tak szybkiej i drakońskiej transformacji. Dawna Niemiecka Republika Demokratyczna była wyjątkiem, bo mogła skorzystać z miliardów marek hojnie wypłacanych z zachodnioniemieckiego budżetu. Niemniej także i tutaj poziom życia początkowo spadł, bo bezrobocie gwałtownie wzrosło, a produkcja przemysłowa spadła do nieco ponad jednej czwartej poziomu z 1988 roku. Wschodni Niemcy mogli jednak przynajmniej

głosować nogami i robili to, migrując na potęgę do zamożniejszych Niemiec Zachodnich, gdzie mogli znaleźć pracę, nie opuszczając własnego kraju. Około 600 000 (prawie cztery procent populacji) wyjechało w latach 1989–1990; liczba ta spadła później o połowę, by ponownie wzrosnąć pod koniec lat 90. Nigdzie indziej ludzie nie mieli takiej opcji, a spadek poziomu życia był zwykle jeszcze dotkliwszy. Podczas gdy w Europie Zachodniej dochody rosły, w Europie Środkowej i Wschodniej spadły o 20 do 30 procent. W tej sytuacji trudno się dziwić, że jedynie niewielka mniejszość obywateli Bułgarii, Czech, Słowacji, Węgier, Polski i Rumunii uważała (według sondaży opinii z lat 1993–1994), że powodzi im się lepiej niż przed upadkiem komunizmu.

Produkt krajowy brutto w pierwszych latach transformacji spadł we wszystkich krajach postkomunistycznych. W latach 1990–1991 produkcja przemysłowa w Polsce spadła o prawie jedną trzecią, a produkt narodowy brutto prawie o jedną piątą. W 1992 roku 13,5 procent populacji w wieku produkcyjnym – 2,3 miliona ludzi – nie miało pracy. W słynnej stoczni gdańskiej, kolebce „Solidarności”, liczba pracowników spadła w połowie lat 90. z 17 000 do 3000, a straty finansowe stały się niemożliwe do utrzymania. Sytuacja wyglądała podobnie w prawie wszystkich krajach Europy Środkowej i Wschodniej. W porównaniu z rokiem 1989 produkcja przemysłowa Albanii w 1993 roku spadła o zatrważające 77 procent. W Rumunii w samym tylko roku 1992 produkcja przemysłowa spadła o 22 procent. W Czechosłowacji i na Węgrzech spadek pomiędzy rokiem 1989 a 1993 wyniósł ponad jedną trzecią. Podobnie sytuacja wyglądała w krajach bałtyckich – Estonii, Łotwie i Litwie. W każdym z tych krajów szalało bezrobocie, a siłę nabywczą zjadała niebotyczna inflacja. Mocno ucierpiały również tereny wiejskie. W niektórych krajach produkcja rolna skurczyła się o połowę w porównaniu z poziomem sprzed upadku komunizmu. Następował odpływ ludności, bo pracy w rolnictwie było coraz mniej (choć zatrudnienie w tym sektorze wciąż było znacznie większe niż w Europie Zachodniej, szczególnie w krajach bałtyckich, Polsce i – przede wszystkim – na Bałkanach). Prywatyzacja byłych gospodarstw państwowych była powolna i wieloetapowa, bo opóźniały ją spory własnościowe

i brak kapitału. Powstałe w ten sposób głównie niewielkie gospodarstwa były słabo zmechanizowane i niedochodowe.

Jednak w połowie lat 90., a w Polsce już w 1992 roku, najgorsze minęło. Wzrost, wynoszący średnio cztery procent (znacznie szybszy niż w Europie Zachodniej, choć startujący z dużo niższego poziomu), zaczął przyspieszać w całym regionie. Stopa bezrobocia zaczęła spadać, podobnie jak inflacja (choć nie we wciąż pogrążonych w głębokim kryzysie gospodarkach Bułgarii i Rumunii). Na przełomie wieków, korzystając z globalnego wzrostu, Europa Środkowa i Wschodnia, liczona jako całość, niemal w całości odrobiła straty poniesione po 1989 roku – i składała się teraz z całkowicie zrestrukturyzowanych gospodarek. Choć cena tych ruchów była początkowo wysoka, a poziom osiągniętego sukcesu różny, kraje byłego bloku wschodniego podjęły zdecydowane kroki, by skończyć z państwowymi monopolami, zwiększyć własność prywatną i zbudować funkcjonujące, liberalne gospodarki rynkowe. Pod koniec dekady ich perspektywy wyglądały już znacznie lepiej.

Czy bolesne konsekwencje gwałtownego przejścia od socjalizmu do kapitalizmu były konieczne? W tej kwestii opinie wybitnych autorytetów ekonomicznych różniły się i różnią do dzisiaj. Adwokaci „terapii szokowej” pozostają przekonani, że to gorzkie lekarstwo było najlepszą i najszybszą drogą do ekonomicznego zdrowia. Krytycy twierdzą, że leczenie nie musiało być tak nieprzyjemne; podobne, jeżeli nie lepsze efekty można było osiągnąć poprzez bardziej stopniową aklimatyzację do wymogów ekonomicznej zmiany. Wolniejsza transformacja – argumentują – która zostawiłaby więcej miejsca na modyfikację sił rynkowych poprzez (zmodernizowany) sektor państwowy, zaowocowałaby wzrostem bez narażania krajów na tak drastyczny pierwotny spadek (i towarzyszące mu napięcia społeczne).

Węgry, gdzie kroki zmierzające do stopniowej liberalizacji gospodarki podjęto na długo przed upadkiem komunizmu, są zazwyczaj przedstawiane jako przykład bardziej wyważonego podejścia. Jednak w 1995 roku Węgry, nie mogąc sobie poradzić z wysokim poziomem zadłużenia zagranicznego, ugięły się pod presją

Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Banku Światowego i wdrożyły drastyczny program oszczędnościowy. W rezultacie gospodarka tąpnęła i prawie jedna trzecia populacji znalazła się poniżej granicy ubóstwa. Wzrost bezrobocia, konsekwencje prywatyzacji i ograniczenie państwa opiekuńczego spowodowały znaczne rozczarowanie. Co więcej, Polska – symbol sukcesu „terapii szokowej” – w gruncie rzeczy szybko złagodziła najgorsze efekty wybranej przez siebie strategii. Podjęto kroki zmierzające do spowolnienia tempa reform, szczególnie w kwestii prywatyzacji. Dodatkowo, jak już wspomniano, Polsce jako jedynemu krajowi umorzono długi. Czechy, inny przykład realizacji „terapii szokowej”, wciąż mocno dotowały duże przedsiębiorstwa państwowe, a i tak nie uniknęły kryzysu finansowego w połowie lat 90. (Dwie połowy dawnej federalnej Czechosłowacji, nie mogąc uzgodnić wspólnego politycznego kierunku, zdecydowały się w 1993 roku na łagodny rozwód, tworząc osobne państwa: Czechy i Słowację). Debata interpretacyjna wciąż pozostaje nierozwiązana. Niezależnie jednak od często zawitych sporów wśród ekonomistów, rzeczywistość była taka, że każda droga od socjalizmu do kapitalizmu była najeżona cierniami. Nie było łatwego szlaku przez te zarośla.

Najlepiej poradziły sobie te kraje, które miały dobre warunki wstępne do przeprowadzenia tej bolesnej transformacji. W ramach byłego bloku sowieckiego (abstrahując od nietypowego przypadku Niemieckiej Republiki Demokratycznej) Polska, Czechy i Węgry miały najsilniejsze zaplecze przemysłowe, szybko rozwijający się sektor komercyjny, stosunkowo dobrą infrastrukturę transportową, rodzącą się kulturę obywatelską i przyciągały zachodnie inwestycje. Słowenia, z pewnością najbardziej rozwinięta republika jugosłowiańska, podpadała pod ten sam schemat. Pod wieloma względami dotyczyło to również republik bałtyckich. Z drugiej strony Rumunia, Bułgaria i Albania pozostawały daleko w tyle pod każdym względem, a większość Jugosławii pogrążyła się w wojnie.

Bez względu na to, czy silna dawka neoliberalizmu była właściwym lekarstwem, wraz z nadejściem nowego millennium postępował proces konwergencji z gospodarkami zachodnimi. Także społeczeństwa, tak długo

przedzielone żelazną kurtyną i zmuszone poruszać się po różnych trajektoriach, zaczęły się do siebie zbliżać. Łatwość komunikowania się i podróżowania, telewizja, kultura popularna i sport odegrały swoją rolę w jednoczeniu tego, co jeszcze niedawno było podzielone. Duże miasta, korzystając z coraz większej swobody podróżowania i łatwości komunikacji, korzystały na tym najbardziej. Praga i Warszawa przeżywały rozkwit. Istniała jednak przepaść pomiędzy wypolerowanymi stolicami a prowincjonalnymi miasteczkami i obszarami wiejskimi, z których ludzie (szczególnie młodzi) uciekali do rozwijających się konurbacji. W tyle pozostawały również regiony wyjałowione przez deindustrializację. Ale nawet tutaj, kiedy tylko najgorsze skutki drastycznej ekonomicznej przemiany zostały przewyciężone, członkostwo w Unii Europejskiej dawało nadzieję na lepszą przyszłość.

Ta droga nie była otwarta dla europejskich państw spadkobierców Związku Radzieckiego – samej Rosji, Ukrainy, Białorusi i Mołdawii. Dla tych krajów nie było i nie mogło być nadziei na zwrot ku Zachodowi. To była nowa linia podziału w Europie Wschodniej. Warunki potrzebne do udanej, choć żmudnej transformacji, które generalnie istniały w Europie Środkowej, w strefie ekonomicznej zdominowanej przez Rosję nie były spełnione. Podstawy dla uregulowania przez państwo skomercjalizowanej gospodarki właściwie nie istniały. Zagraniczny kapitał nie był zainteresowany inwestycjami. Infrastruktura była marna. Nie było też tradycji rządów prawa, pluralistycznej demokracji i kultury obywatelskiej niezależnej od państwa. W efekcie w Rosji narodził się kapitalizm łupieżczy. Endemiczna korupcja na gigantyczną skalę umożliwiła przetransferowanie wielu państwowych zasobów, w tym ogromnych zysków z ropy i gazu, w ręce bezwzględnych oligarchów, którzy znaczną część swoich wielkich majątków zainwestowali na Zachodzie, ostentacyjnie obnosząc się ze swoim niewyobrażalnym bogactwem i kupując luksusowe jachty na Morzu Śródziemnym lub pałacowe rezydencje w Londynie i innych zachodnioeuropejskich miastach. Tymczasem produkcja przemysłowa w Rosji spadała na łeb na szyję, państwowy dług rósł, a pod koniec lat 90. Federacja Rosyjska stanęła na granicy całkowitego

gospodarczego upadku. Duża część społeczeństwa żyła w fatalnych warunkach bytowych. Większość ludzi uważała, że lepiej żyło im się w czasach komunizmu, i opłakiwała decyzję o rozwiązaniu Związku Radzieckiego.

Ukraina, posiadająca jedne z najżyźniejszych ziem w Europie Wschodniej, przeszła w latach 90. długi kryzys gospodarczy, doświadczając szalejącej inflacji i głębokiej recesji. Rodzima produkcja brutto spadła o ponad połowę w porównaniu z okresem przed upadkiem komunizmu. Setki tysięcy Ukraińców były zmuszone szukać pracy za granicą, by wspomóc skromnymi sumami rodziny pozostające w kraju. We Lwowie, dla przykładu, w latach 90. populacja skurczyła się o prawie jedną piątą, bo ludzie wyjeżdżali szukać pracy gdzie indziej. Skala nędzy w zacofanych obszarach wiejskich była porażająca, a średni dochód znacznie niższy niż, na przykład, w Turcji.

Białoruś i Mołdawia, które, podobnie jak Ukraina, były wysoce uzależnione od Rosji, także przeszły w latach 90. głęboki ekonomiczny kryzys. W odpowiedzi po 1994 roku na Białorusi przywrócono kontrolę cen i kursów walutowych oraz ograniczono własność prywatną, co jednak nie powstrzymało ekonomicznego upadku. Z kolei dokonany w 1992 roku w Mołdawii gwałtowny zwrot od gospodarki planowej do liberalnej, z infrastrukturą całkowicie nieprzygotowaną na tak drastyczną zmianę, zaowocował wysoką inflacją i bezrobociem. Wielu ludzi popadło w nędzę, a kraj pozostał jednym z najbiedniejszych w Europie. Obu tym krajom, a także Ukrainie i samej Rosji, dojście do siebie po ekonomicznym szoku, który towarzyszył upadkowi komunizmu, zajęło dekadę. Wysokie tempo wzrostu (z niskiego pułapu startowego) pojawiło się wraz z rozpoczęciem nowego millennium, ale korupcja była głęboko zakorzeniona, nędza (w porównaniu z Europą Środkową i Zachodnią) powszechna, a ekonomiczna niestabilność stanowiła integralny element systemu.

Polityka w Rosji i innych państwach powstałych po upadku Związku Radzieckiego była burzliwa i tylko pozornie demokratyczna. Występowała w nich tendencja do przekazywania rozległych uprawnień wykonawczych prezydentowi. Normą było odrodzenie albo kontynuacja autorytaryzmu, inkorporującego znaczące



elementy sowieckiego dziedzictwa, nawet jeżeli występował on w nowych szatach. Dominującą postacią na Ukrainie okazał się Leonid Kuczma, którego władzę cechowała korupcja i bliskie związki z potężnymi oligarchami, nierzadko powiązanymi ze światem przestępczym. Na Białorusi Aleksander Łukaszenka, prezydent od 1994 roku, gwałtownie ograniczył uprawnienia parlamentu i zaczął rządzić autorytarnymi metodami. W samej Rosji autokratyczne tendencje impulsywnego Jelcyna, któremu z pewnością nie pomagał niepohamowany pociąg do alkoholu, były jawną prowokacją dla jego licznych wrogów w parlamencie i poza nim. Próba obalenia go w 1993 roku, po tym, jak przekroczył swoje konstytucyjne uprawnienia, skończyła się jednak fiaskiem i rozlewem krwi w centrum Moskwy.

W konsekwencji Jelcyn podjął kroki zmierzające do wzmocnienia swojej władzy wykonawczej poprzez nową konstytucję, popartą przez elektorat w referendum i wyborach parlamentarnych, choć niska frekwencja i mocne podejrzenia o manipulacje ujawniały słabą legitymizację jego władzy. Popularność Jelcyna ucierpiała w kolejnych latach z powodu wszechobecnej i skandalicznej korupcji – sięgającej także jego rodziny – a także wciąż fatalnego stanu finansów i gospodarki kraju. Tempo zmian z 1992 roku, zmierzających do liberalizacji gospodarki i deregulacji cen, zaowocowało rozbuchaną inflacją, która pożarła oszczędności milionów obywateli. Natomiast rozpoczęta w tym samym roku prywatyzacja polegała po prostu na przekazaniu wielkich państwowych aktywów za ułamek ich wartości w ręce małej grupy bajecznie bogatych oligarchów, szefów wielkich nowo utworzonych prywatnych koncernów. Gangi przestępcze uciekały się do wymuszeń, szantażu, a nawet morderstw, by wziąć udział w procesie prywatyzacji i konsolidacji gigantycznego bogactwa. Rosja na przestrzeni zaledwie kilku lat stała się społeczeństwem skryminalizowanym.

Podejmowane przez Jelcyna próby wprowadzenia liberalnych reform były, co nie powinno dziwić, powszechnie potępiane, i to nie tylko dlatego, że okazały się oczywistą porażką, ale również jako skandaliczne niszczenie narodowej gospodarki. Pod koniec lat 90. rozpoczęło się nieśmiałe ożywienie gospodarcze.

Warunki życia większości Rosjan wciąż były jednak nędzne, a powszechna korupcja i jawne nadużywanie władzy aż nadto widoczne. W tej sytuacji trudno się dziwić, że wielu rozpamiętywało niegdysiejszą chwałę kraju. To, co uważano za prozachodnie tendencje Jelcyna, budziło pragnienie przywrócenia „prawdziwych” rosyjskich wartości.

Kiedy Jelcyn 31 grudnia 1999 roku nieoczekiwanie ogłosił swoją rezygnację, zastąpił go Władimir Putin, który rozpoczynał karierę w sowieckiej policji politycznej KGB, a od sierpnia pełnił funkcję premiera. Jelcyn, coraz bardziej podupadający na zdrowiu, wskazał Putina na swojego preferowanego następcę, będąc pewnym jego lojalności. Nie miał wątpliwości, że on i jego rodzina uzyskają gwarancje bezpieczeństwa przed wszelkimi zarzutami o korupcję (tak się w istocie stało za sprawą pierwszego dekretu prezydenckiego Putina, wydanego w dniu jego inauguracji). Niepozabawione podstaw plotki, że sukcesja Putina została starannie zaplanowana, nigdy do końca nie ucichły. Według tych zarzutów seria zamachów bombowych w Moskwie we wrześniu 1999 roku, w których zginęło lub zostało rannych setki ludzi, a za które obwiniono czeczeńskich terrorystów, była w rzeczywistości robotą rosyjskiej tajnej policji FSB (następczyni KGB). Domniemanym celem było uzyskanie poparcia dla odwetowej wojny w Czeczenii, przeprowadzonej pod wodzą Putina, co zwiększyłoby popularność nowego prezydenta. Tak się rzeczywiście stało. Bez względu na to, czy w tej spiskowej teorii tkwi ziarno prawdy, faktem jest, że Rosja była gotowa, by nowy „silny człowiek” – bez oczywistych wad Jelcyna – przejął stery.

Bez względu na różnice w narodowej kulturze i tradycji politycznej w Europie Środkowej i Wschodniej poza byłymi republikami sowieckimi w procesie przechodzenia do liberalnej demokracji można było dostrzec pewne ogólne tendencje. Pomimo ogromnych trudności z dostosowaniem się, nie było powrotu do rządów jednopartyjnych. Pluralistyczne formy polityki zakorzeniły się w latach 90. wszędzie. Ludzie niezwykle polubili wolność – wypowiedzi, podróżowania, życia bez strachu przed aresztowaniem, praktykowania religii – której nie mieli w czasach komunizmu. Koniec wężącego społeczeństwa informatorów

(działających zazwyczaj dla osiągnięcia materialnych korzyści lub uniknięcia nieprzyjemności), śledzących i często donoszących na współobywateli – był to stały element we wszystkich państwach komunistycznych, ale jego klasycznym przykładem była mroczna wszechobecność Stasi w Niemieckiej Republice Demokratycznej z jej potężną grupą 170 000 „nieoficjalnych współpracowników” – został powszechnie powitany z radością. Demokratyczne rządy, zarówno w teorii, jak i (często burzliwej) praktyce zostały zaakceptowane.

Według sondaży opinii przeprowadzonych w ośmiu krajach Europy Środkowej i Wschodniej w latach 1993–1994 większość obywateli opowiedziała się za zasadą, zgodnie z którą wiele partii konkuruje ze sobą o sprawowanie rządów. Najniższe wyniki, pomiędzy 40 a 49 procent, zanotowano na Ukrainie, w Rosji i – co zaskakujące – w Polsce. W środku stawki, z wynikiem w przedziale 51–57 procent, znalazły się Estonia, Węgry, Bułgaria i Litwa. Co niezwykle, choć biorąc pod uwagę jej wyjątkowe paskudne doświadczenie z komunizmem, nie do końca zaskakujące, najwyższe poparcie dla ustroju demokratycznego zanotowano w Rumunii, z wynikiem 81 procent, znacznie przewyższającym normę. Zasadzie tej sprzeciwiała się około jedna piąta ankietowanych – zapewne byli to głównie zdeklarowani komuniści. W kwestii demokratycznej praktyki (choć co miałyby to oznaczać, pozostało niezdefiniowane) była to już jednak inna historia. Najwyższy odsetek ankietowanych z pozytywnym nastawieniem po raz kolejny, o dziwo, odnotowano w Rumunii, gdzie wyniósł on 30 procent. (Mogło mieć to związek z pierwszymi krokami podjętymi przez postkomunistyczny rząd Iliescu, by wyeliminować najbardziej represyjne elementy reżimu Ceaușescu). W pozostałych siedmiu ankietowanych krajach odsetek ten wahał się od 29 procent w Estonii do zaledwie 12 procent na Ukrainie. Choć poziom niezadowolenia z praktyki funkcjonowania demokracji był wyższy niż w krajach Europy Zachodniej, tam także z górami jedna trzecia obywateli miała do tego zagadnienia negatywny stosunek. Partie polityczne były powszechnie postrzegane jako co najwyżej zło konieczne.

Rozczarowanie praktyką demokracji w Europie Środkowej i Wschodniej było zrozumiałe. Korupcja w systemie komunistycznym stanowiła zjawisko powszechne. Wczesne lata demokracji nie przyniosły w tym względzie żadnej poprawy. Żaden kraj nie był na to zjawisko odporny. Jednak w niektórych krajach rządy prawa – podstawa prawdziwej demokracji – niemal nie istniały. Rumunia, Bułgaria i Albania przodowały w kwestii rozbuchanej korupcji i klientelizmu, niewiele ustępując pod tym względem Rosji i Ukrainie, szczególnie jeżeli chodzi o proces prywatyzacji. Problem korupcji był poważny także na Słowacji. Nawet w bardziej rozwiniętych gospodarczo Czechach powszechna korupcja w procesie prywatyzacji przyczyniła się do upadku rządu w 1997 roku.

Ambiwalencja w stosunku do nowo narodzonej demokracji wynikała również z personalnej ciągłości z dawnymi reżimami. Tych, którzy nienawidzili komunizmu (i często cierpieli z jego powodu), często drażnił widok byłych funkcjonariuszy reżimu, którzy byli w stanie powrócić na scenę polityczną w zmienionych, demokratycznych barwach.

We wczesnej fazie transformacji działania byłych działaczy komunistycznych, w szczególności funkcjonariuszy tajnej policji, podlegały systematycznej ocenie jedynie w Niemczech. Jednak Niemcy Wschodnie były teraz częścią dobrze funkcjonującej liberalnej demokracji. Szybkie rozmontowanie instytucjonalnych ram dawnego reżimu i przejęcie większości akt tajnej policji, które ujawniały skalę działania „państwa Stasi”, umożliwiały taką dogłębną ocenę. W innych krajach obraz był dużo bardziej skomplikowany. Śledztwa na Węgrzech i w Czechosłowacji ograniczały się w dużej mierze do odpowiedzialności za sowieckie inwazje w 1956 i 1968 roku, a w Polsce do wprowadzenia stanu wojennego w roku 1981. Ponadto tylko w Czechosłowacji, gdzie wspomnienia 1968 roku i jego następstw były wciąż żywe, przeprowadzono w 1991 roku lustrację – „oczyszczanie” – by wykluczyć wszystkich byłych funkcjonariuszy komunistycznych z pełnienia wysokich funkcji publicznych. Sześć lat później, w 1997 roku, własną ustawę lustracyjną wprowadziła Polska.

Polityczne rozczarowanie i trudności gospodarcze sprawiły, że ludzie gotowi byli znowu zaufać byłym komunistycznym politykom, którzy często kontynuowali karierę polityczną, zazwyczaj w szeregach partii postkomunistycznych. Jako członkowie nowych partii socjaldemokratycznych, działających w warunkach demokratycznego pluralizmu, w 1993 roku powrócili do władzy w Polsce, na Węgrzech, na Litwie i w Bułgarii. Adam Michnik nazwał ten proces w Polsce „aksamitną restauracją”. Na rumuńskiej scenie politycznej w latach 90. dominującą postacią był Ion Iliescu, wcześniej prominentny działacz komunistyczny (choć dystansujący się od najgorszych gwałtów reżimu Ceaușescu). Wielu innych byłych komunistów znalazło schronienie w kierowanej przez niego Partii Socjaldemokratycznej, a także w Socjalistycznej Partii Pracy. W Polsce wielki solidarnościowy bohater walki z komunizmem Lech Wałęsa (teraz raczej autokrata z ciągłymi nacjonalistycznymi) niespodziewanie – przynajmniej w oczach zagranicznych obserwatorów – przegrał wybory prezydenckie w 1995 roku z byłym komunistycznym ministrem, Aleksandrem Kwaśniewskim.

Choć pluralistyczny system rządów był generalnie stabilny, to same rządy już nie. Spadek poziomu życia w całej Europie Środkowej i Wschodniej doprowadził do znacznego rozchwiania. Napięcia społeczne narastały, bo miliony ludzi nie miały pracy, a wysoka inflacja i dewaluacja pieniądza pożarły oszczędności. Każdy rząd, który próbował sprostać ogromnym problemom ekonomicznym i społecznym, narażał się na gniew wyborców. Przyjrząwszy się bliżej pluralistycznym wyborom, wielu obywateli uznało, że uczestnictwo w nich nie ma sensu. Była to w dużej mierze spuścizna po czasach komunistycznych, kiedy wybory były farsą, mającą zapewniać legitymizację jednopartyjnej dyktaturze. Zjawisko to odzwierciedlało jednak także rozczarowanie rzeczywistością, która zastąpiła komunizm. W konsekwencji frekwencja w wyborach spadała i często była bardzo niska. Rządy, odpowiedzialne za niepopularne rozwiązania polityczne lub niezdolne do zmiany kursu i zapewnienia odczuwalnej poprawy, zazwyczaj padały ofiarą gniewu elektoratu i przegrywały kolejne wybory. Szefowie rządów rzadko

długo pozostawali na swoim stanowisku. Średnia długość sprawowania urzędu przez premiera w byłym bloku komunistycznym nie przekraczała 2,5 roku.

Czołowi politycy często sięgali po nacjonalistyczną i antycudzoziemską retorykę, by ratować swoją słabnącą popularność. W sytuacji powszechnego niezadowolenia społecznego łatwo było znaleźć kozły ofiarne wśród cudzoziemców i mniejszości etnicznych. Premier Słowacji, Vladimír Mečiar, kierujący skorumpowanym, na wpół autorytarnym reżimem, który ściśle kontrolował media i zastraszał politycznych oponentów, w drodze ku autonomii pielęgnował separatystyczne poczucie słowackiej tożsamości narodowej i kulturowej. Podgrzewanie antywęgierskich nastrojów – mniejszość węgierska stanowiła nieco ponad jedną dziesiątą ludności kraju – stanowiło wygodny oręż w jego politycznym arsenale. Na samych Węgrzech w latach 90. także doszło do wzrostu nastrojów nacjonalistycznych i wrogich wobec mniejszości. Kozłami ofiarnymi stali się Romowie i Sinti, a dyskryminacja Węgrów na Słowacji i w Rumunii stanowiła pożywkę dla nacjonalizmu. Fidesz, który zaczynał jako ruch liberalny, pod wodzą swojego energicznego przywódcy, Viktora Orbána, przekształcił się w partię narodowo-konserwatywną, uderzającą w coraz bardziej autorytarne tony. W Bułgarii przedmiotem nagonki stały się mniejszości turecka i romska. Na Łotwie i w Estonii prawnej dyskryminacji podlegała znacząca mniejszość rosyjska – w mniejszym stopniu dotyczyło to Litwy, gdzie Rosjanie stanowili tylko niewielki odsetek populacji.

Bez względu na ich zróżnicowanie i poważne braki nowe demokracje w Europie Środkowej, w przeciwieństwie do swoich kruchych międzywojennych poprzedniczek, które prawie wszystkie ustąpiły miejsca autorytaryzmowi, pod koniec lat 90. były już mocno okrzeple. Pomógł w tym znaczący wzrost gospodarczy, który nastąpił po początkowych latach katastrofalnego spadku. Innym niebagatelnym czynnikiem, który zachęcał do kontynuowania marszu w kierunku stabilnej demokracji i ekonomicznego dobrobytu, była perspektywa członkostwa w Unii Europejskiej. Pomimo rozczarowania pierwszymi latami demokracji dawała ona nadzieję na przyszłość. Pod koniec dekady dla Europy Środkowej i państw

bałtyckich zaczęła ona przybierać realne kształty. Bałkany natomiast wciąż były beznadziejnie biedne. Holenderski pisarz, Geert Mak, który odwiedził Bukareszt w 1999 roku, opisywał tysiące bezdomnych dzieci (i niezliczone sfory zdziczałych psów) włóczące się po ulicach. Ekonomiczne zacofanie, wysoki poziom korupcji, niewystarczający fundament rządów prawa i ograniczony postęp w kierunku skonsolidowanej demokracji oznaczał, że Rumunię i Bułgarię czekał długi okres oczekiwania, zanim mogły zacząć myśleć o wejściu do Unii Europejskiej.

W 1991 roku w węgierskim mieście Wyszehrad Węgry, Czechosłowacja i Polska podpisały porozumienie mające promować wzajemną współpracę i europejskie aspiracje tych krajów. Wraz z powstaniem Czech i Słowacji dwa lata później z pierwotnej trójki zrobiła się czwórka. Do 1996 roku wszystkie te kraje złożyły wnioski o przystąpienie do Unii Europejskiej. Atrakcyjność takiej perspektywy i presja na spełnienie kryteriów akcesyjnych zachęcały do pogłębiania demokracji i wzmocnienia rządów prawa. Perspektywa „powrotu do Europy” była, dla przykładu, ważną przesłanką słowackich wyborców i tamtejszych elit, by zdecydować się w 1998 roku na odrzucenie fasadowej demokracji Mečiar, zerwanie z najgorszymi przejawami jego rządów, powściągnięcie rozpanoszonego kumoterstwa i wprowadzenie znaczących reform prawnych, politycznych i ekonomicznych.

Na przełomie millenniów obywatele krajów Europy Środkowej i Wschodniej mieli za sobą burzliwą dekadę. Marzenia o rychłej poprawie jakości życia w oparciu o lepszy, zachodni model liberalnej demokracji szybko okazały się mrzonką. Stopniowo zastępowały je jednak nowe nadzieje – na przyszłe korzyści, które już niedługo mogło przynieść członkostwo w zamożnej Unii Europejskiej.

## **Nadzieje na jedność**

Gdy Jugosławia pogrążała się w morzu krwi i ruin, a brutalna kapitalistyczna transformacja przewracała do góry nogami życie obywateli Europy Środkowej

i Wschodniej, przywódcy państw zachodnioeuropejskich, wciąż w świetnych nastrojach po upadku komunizmu, zebrali się w grudniu 1991 roku w holenderskim mieście Maastricht, by zaplanować dalsze kroki w kierunku „jeszcze ściślejszej unii”. Postępy we wprowadzaniu wspólnego rynku (który miał ruszyć 1 stycznia 1993) zdawały się sprzyjać forsowaniu procesu integracji. Według sondaży opinii publicznej, przeprowadzonych w 1991 roku, coraz więcej Europejczyków przychylnym okiem patrzyło na Wspólnotę Europejską i popierało wysiłki zmierzające do zjednoczenia Europy Zachodniej.

Rozmowy bynajmniej nie były proste. Jednak 7 lutego 1992 roku 12 przywódców Wspólnoty Europejskiej podpisało przełomowy traktat z Maastricht, który miał wejść w życie w listopadzie kolejnego roku. To była ta łatwiejsza część. Dążenie do jedności miało się okazać najeżone problemami. Przez pozostałą część dekady i później wiele rzeczywiście udało się osiągnąć. Stworzenie tego, co odtąd miało się nazywać „Unią Europejską”, było wydarzeniem wielkiej wagi. Nadzieje na przewycięzenie głęboko zakorzenionych narodowych partykularyzmów i stworzenie prawdziwej politycznej unii, opartej na przywiązaniu do tożsamości europejskiej, okazały się jednak niemożliwe do zrealizowania.

Ambicje uczestników konferencji w Maastricht nie sięgały stworzenia politycznej unii w Europie. W najlepszym przypadku pozostawała ona odległą i mglistą wizją. Helmut Kohl od kilku lat należał do największych zwolenników unii politycznej, podobnie jak jego minister spraw zagranicznych, Hans-Dietrich Genscher. Dla nich unia polityczna była ostatecznym celem. Co miała ona jednak oznaczać, pozostawało pytaniem otwartym. Na dodatek nawet w Niemczech pojawiały się silne głosy – szczególnie prezesa Bundesbanku, Hansa Tietmeyera – że unia walutowa powinna nastąpić po unii politycznej, a nie ją poprzedzać.

Koncepcja politycznej unii nie została ani wtedy, ani później jasno zdefiniowana. Była to raczej retoryczna konstrukcja, sugerowany kierunek podróży, który w zarysach był możliwy do zaakceptowania dla większości (choć nie wszystkich) członków Wspólnoty Europejskiej, przynajmniej dopóki nie próbowano przekuć go w rzeczywistość. W praktyce unia polityczna mogłaby



wyglądać jak Niemcy w skali europejskiej – federalne „stany zjednoczone Europy” – z częścią uprawnień pozostawionych państwom narodowym, podczas gdy najważniejsze kompetencje przekazano by centralnemu rządowi europejskiemu. Dzięki podstawie, utworzonej ze wspólnych wartości, większość suwerenności państw narodowych – w tym kwestie ekonomiczne, społeczne i sprawy bezpieczeństwa – zostałyby przeniesiona na poziom europejski i oparta o parlament, który gwarantowałby reprezentację pełnego demokratycznego spektrum. Jednak federalne Niemcy, jeżeli rzeczywiście miał to być sugerowany model, tworzyły części składowe połączone tą samą historią, tradycją i kulturą. Najsilniejsze ze spajających je więzi miały charakter narodowy. Tak samo było w przypadku Stanów Zjednoczonych, innego czasami przywoływanego modelu. Wykucie politycznej unii z różnych doświadczeń historycznych, kultur i języków licznych narodów europejskich było całkowicie inną sprawą. Niewielu, o ile w ogóle ktokolwiek, było gotowych na oddanie znacznego zakresu suwerenności, co było niezbędne, by stworzyć prawdziwą unię polityczną i zastąpić nią znacznie luźniejszą konfederację państw narodowych. Sama perspektywa, że Niemcy, po 1990 roku zdecydowanie najludniejsze i najsilniejsze gospodarczo państwo, miałyby zdominować ewentualną przyszłą unię polityczną, raczej nie zachęcała do realizacji tego celu. I choć Niemcy należeli do największych entuzjastów idei europejskiej, to nawet oni, z czego Kohl dobrze zdawał sobie sprawę, nie byłiby chętni do scedowania znacznej części swojej suwerenności na rzecz europejskiego rządu z siedzibą w Brukseli.

Bez względu na to, jak szlachetna była to wizja, stanowiąca w dużej mierze reakcję na mroczną przeszłość Niemiec i odzwierciedlająca silne osobiste zaangażowanie Kohla w przegnanie nacjonalistycznych demonów, które sprowadziły kraj w przepaść, nigdy nie miała ona najmniejszych szans, by stać się rzeczywistością. Sam Kohl szybko przyznał, że szansa (jeżeli w ogóle jakaś była) przepadła. Jego determinacja, by realizować ideę europejskiej unii politycznej, była częścią ceny za zjednoczenie; chodziło o gotowość związania nowych Niemiec, tak jak starych Niemiec Zachodnich, w nierozzerwalny sposób z liberalnymi

wartościami i demokratycznymi strukturami Zachodu. Żaden inny kraj Europy Zachodniej, nie mówiąc już o Francji, głównym partnerze Niemiec w budowaniu Wspólnoty Europejskiej, czy Wielkiej Brytanii, wciąż bardziej wyczulonej na wszelkie próby odebrania jej narodowej suwerenności, nie miał podobnych doświadczeń ani nie chciał rozważać politycznej unii zarysowanej przez Kohla. Dla François Mitterranda unia polityczna absolutnie nie była priorytetem. Po wprowadzeniu wspólnego rynku francuski prezydent za najbardziej skuteczne narzędzie podtrzymania dynamiki integracji europejskiej uznawał unię ekonomiczną i monetarną. Nie chciał natomiast zbyt szybko zmierzać drogą prowadzącą do unii politycznej, przewidując wielkie trudności w przekonaniu do tego kierunku Brytyjczyków. Bał się również, że stanie się zakładnikiem rodzimych nacjonalistów w kraju. W wyniku targów Kohla z Mitterrandem, kiedy zjednoczenie Niemiec (przy wszystkich obawach, jakie wiązały się z tą perspektywą dla Francuzów) zostało przesądzone, europejska unia polityczna zniknęła z radarów. Zastąpiła ją unia walutowa – idea z długą prehistorią, datującą się od czasów planu zaproponowanego przez luksemburskiego premiera, Pierre'a Wenera w 1970 roku – która wydawała się łatwiej osiągalnym celem (i wizją) związania razem Europy, a zdaniem Francuzów, także dobrym sposobem na powstrzymanie wszelkich przyszlých ambicji mocarstwowych Niemiec.

Taki właśnie kompromis uzgodniono na konferencji w Maastricht. Miała zostać wprowadzona wspólna waluta, na razie pozbawiona jeszcze nazwy (datę wyznaczono później na 1 stycznia 1999 roku). Znaczna część strategii dotyczącej nowej waluty odzwierciedlała myślenie Niemców. Tamtejszy minister finansów, Theo Waigel, zauważał z satysfakcją w grudniu 1991 roku, że traktat o unii ekonomicznej i monetarnej „nosi niemieckie znamię. Nasza polityka stabilizacji stała się motywem przewodnim przyszłego europejskiego porządku monetarnego”. Europejski Bank Centralny – ostatecznie powołany do życia w czerwcu 1998 roku – miał nadzorować politykę monetarną i pilnować stabilizacji cen. Kraje przygotowujące się do przyjęcia wspólnej waluty musiały spełnić „kryteria konwergencji” i wejść do mechanizmu kursów walutowych (ERM), by powiązać

ze sobą waluty narodowe i utrzymać je na stałym poziomie. Zadłużenie rządu nie mogło przekroczyć 60 procent, a roczny deficyt trzech procent produktu krajowego brutto. Ustanowiono wymogi dotyczące niskiego poziomu inflacji i niskich stóp procentowych.

Unia walutowa bez unii politycznej była ryzykownym krokiem, którego nikt nigdy wcześniej nie podejmował. Stany Zjednoczone nie mogły tu służyć za przykład, bo były w istocie narodowym państwem federacyjnym z rządem centralnym. Nie mając historycznych wzorców, Europa musiała od zera budować rozwiązania instytucjonalne i ramy polityczne dla planowanej przez siebie wspólnej waluty. Przywódcy polityczni zdawali sobie sprawę, że sukces nie jest przesądzony. Sam Helmut Kohl, przemawiając w Bundestagu zaledwie miesiąc przed spotkaniem europejskich przywódców w Maastricht, jednoznacznie wskazywał potencjalne zagrożenia. „Idea utrzymania w dłuższej perspektywie unii gospodarczej i walutowej bez unii politycznej jest błędem”, zadeklarował. Parł jednak do przodu mimo własnych złych przeczuć i ostrzeżeń licznych niemieckich ekspertów od gospodarki.

Oprócz kluczowego porozumienia w sprawie unii walutowej Maastricht przyniosło postęp w zacieśnianiu integracji europejskiej w innych ważnych obszarach. Utworzono nowy podmiot prawny, „Unię Europejską”, włączając do niego Europejską Wspólnotę Gospodarczą, Europejską Agencję Atomistyki i Europejską Wspólnotę Węgla i Stali, oraz znacząco poszerzono międzyrządową współpracę w obszarach polityki zagranicznej, bezpieczeństwa oraz sądownictwa – choć współpraca w tych sferach w żaden sposób nie przypominała funkcjonowania rządu centralnego. Traktat z Maastricht wprowadził również status obywatelstwa Unii Europejskiej oprócz obywatelstwa państw członkowskich.

Maastricht było ważnym krokiem w kierunku europejskiej integracji. Podziały były jednak oczywiste już w momencie, gdy europejscy przywódcy rozważali dalsze działania. Wielka Brytania, choć była zdecydowanym orędownikiem wspólnego rynku i rozszerzenia Unii Europejskiej, jak zawsze pozostawała liderem „niesfornej brygady” w kwestiach bliższej integracji europejskiej. Wynegocjowała

wyłączenie, czyli tzw. opcję „opt-out” z proponowanej unii walutowej. Uzyskała też kolejną opcję opt-out w odniesieniu do „rozdziału społecznego” traktatu, który miał na celu poprawę warunków życia i pracy poprzez szeroki wachlarz polityk społecznych. Kolejnym krajem mocno sceptycznym wobec postanowień z Maastricht była Dania. Odrzucenie traktatu z Maastricht przez duńskich wyborców w referendum, które odbyło się 2 czerwca 1992 roku, było potężnym wstrząsem dla europejskiego establishmentu. W takiej sytuacji traktat nie mógł wejść w życie. Trzeba było uczynić znaczące wyjątki (w polityce obronnej, bezpieczeństwa, pewnych aspektach spraw wewnętrznych, a przede wszystkim w kwestii wspólnej waluty), by Duńczycy byli gotowi przyjąć traktat w drugim referendum, które odbyło się w maju 1993 roku.

Wcześniej Francja, od samego początku tak kluczowy gracz w „projekcie europejskim”, we wrześniu 1992 roku poparła ratyfikację traktatu w referendum jedynie marginalną większością głosów. W Wielkiej Brytanii referendum nie było, ale konserwatywni „buntownicy z Maastricht” połączyli w maju 1992 roku siły z laburzystowskimi przeciwnikami w celu wyłączenia „rozdziału socjalnego”, więc konserwatywny rząd musiał się mocno nagimnastykować, zanim traktat z Maastricht ostatecznie uzyskał aprobatę parlamentu. Nawet w Niemczech, kraju najbardziej europejskim, duży sprzeciw budziło zastąpienie ukochanej niemieckiej marki, symbolu powojennej koniunktury, nową europejską walutą. Na temat tego, czy postanowienia traktatu z Maastricht nie łamią demokratycznych praw, zawartych w Ustawie zasadniczej (albo konstytucji) z 1949 roku, musiał się również wypowiedzieć Federalny Trybunał Konstytucyjny. Na pozytywną decyzję trzeba było czekać do października 1993 roku.

Specyficzne kultury narodowe i historie sprawiły, że Wielka Brytania, Francja i Dania były szczególnie niechętne dalszemu ograniczaniu ich suwerenności. Inne państwa członkowskie nie miały jednak takich oporów. Niemcy, Włochy i kraje Beneluksu od dawna akceptowały fakt, że oddanie do wspólnej puli pewnych elementów suwerenności jest kluczowe dla zachowania pokoju, dostatku i stabilizacji w Europie. Hiszpania, Portugalia i Grecja postrzegały członkostwo we

Wspólnocie Europejskiej nie tylko jako drogę do dobrobytu, ale również za blokadę dla jakiegokolwiek nawrotu dyktatury. Akceptowały one ograniczenie suwerenności jako niezbędny i pozytywny krok na drodze do realizacji tych celów. Irlandii członkostwo we Wspólnocie Europejskiej już zdążyło przynieść znaczące korzyści gospodarcze, zmniejszenie uzależnienia od gospodarki brytyjskiej i mniej nacjonalistyczną perspektywę dla nierozwiązanej i bolesnej kwestii relacji z Irlandią Północną. W większości państw członkowskich Wspólnoty Europejskiej Maastricht było więc logiczną i pożądaną kontynuacją wcześniejszych wydarzeń zmierzających do bliższej integracji (choć złożona i abstrakcyjna natura traktatu oznaczała, że społeczne poparcie dla niego było ograniczone).

Po tak trudnych narodzinach traktat z Maastricht ostatecznie wszedł w życie 1 listopada 1993 roku. Późniejszych poprawek, rewizji i rozszerzeń dokonywano w traktatach Amsterdamskim (październik 1997 roku) i Nicejskim (luty 2001 roku), ale to Maastricht było punktem zwrotnym. Przekształciło ono twór czysto ekonomiczny, jakim była Wspólnota Europejska, w Unię Europejską, coś rzeczywiście bardzo odległego od federalnych „stanów zjednoczonych Europy”, ale bez wątpienia konstrukt o politycznym wymiarze i ambicjach. Jak pokazały trudne losy Maastricht w Danii, Wielkiej Brytanii i Francji, ambicje te budziły duży sprzeciw w tych krajach. Miał się on zaostrzyć w następnym tysiącleciu, kiedy akceptacji zaczynały wymagać kolejne zaproponowane zmiany konstytucyjne.

Jednak pod koniec lat 90. początkowe turbulencje towarzyszące ratyfikacji traktatu z Maastricht ustąpiły. Począwszy od połowy dekady, wzrost gospodarczy przyczyniał się do budowania poczucia materialnego dobrostanu i postępu w większości krajów Europy Zachodniej. Przekonanie obywateli krajów kontynentalnej Europy Zachodniej, że Unia Europejska przynosi namacalne korzyści, zostało wzmocnione przez wprowadzenie w 1995 roku w życie osiągniętego wstępnie dekadę wcześniej w luksemburskim Schengen porozumienia, które pozwalało podróżować ludziom przez większość Europy bez kontroli granicznych. Z państw członkowskich tylko Wielka Brytania i Irlandia pozostały poza strefą Schengen.

Jednocześnie osłabło negatywne nastawienie wobec zbliżającego się wprowadzenia euro (jak w 1995 roku postanowiono nazwać wspólną walutę). Kiedy ostatecznie 1 stycznia 1999 roku z powodzeniem zadebiutowało, początkowo tylko jako waluta rozrachunkowa – banknoty i monety miały wejść do obiegu dopiero począwszy od 2002 roku – unia walutowa składała się z 11 państw (Belgii, Holandii, Luksemburga, Francji, Włoch, Niemiec, Irlandii, Hiszpanii, Portugalii, Austrii i Finlandii). Niemniej wpływowe głosy przepowiadały czekające w przyszłości problemy. „Euro nadchodzi zbyt szybko”, ostrzegała deklaracja podpisana w 1998 roku przez 155 ekonomistów. Obawy o utrzymanie wspólnej waluty dla krajów znajdujących się na tak różnych etapach rozwoju bez unii politycznej i fiskalnej miały racjonalne podstawy. Premiera odbyła się w dobrej atmosferze. Pogoda wciąż sprzyjała. Jak jednak euro miało przetrwać poważny kryzys? To pozostawało otwartym pytaniem. W końcu od samego początku wspólna waluta była projektem przede wszystkim politycznym. Liczyło się przede wszystkim dalsze paliwo dla europejskiej integracji.

To rodziło na początku lat 90. oczywiste pytanie: co zrobić z rozszerzeniem Unii Europejskiej? Integracja krajów, które jeszcze bardzo niedawno należały do bloku sowieckiego oraz miały zupełnie inną strukturę gospodarczą i przechodziły ogromne trudności na drodze do kapitalizmu i liberalnej demokracji, była wielkim wyzwaniem.

Cała kwestia rozszerzenia Unii Europejskiej wcale nie była prosta. Niektórzy argumentowali, że najpierw powinno dojść do pogłębienia istniejących struktur, a dopiero potem do ich rozszerzenia. Szczególnie Francja pod rządami prezydenta Mitterranda chciała zacieśnienia więzów łączących Europę Zachodnią, a państwom Europy Środkowej i Wschodniej wolała zaoferować raczej rodzaj konfederacji niż pełne członkostwo. Niemałą rolę w rozumowaniu Mitterranda odgrywała obawa, że rozszerzenie Unii Europejskiej na Europę Wschodnią ostatecznie wzmocni pozycję Niemiec. Ważkie kontrargumenty, wysuwane między innymi przez Niemcy, Wielką Brytanię i Danię, przyznawały priorytet rozszerzeniu nad pogłębianiem. W końcu ponownie przeważały czynniki polityczne. Złowroga historia Europy Środkowej

i Wschodniej po podpisaniu traktatu wersalskiego w 1919 roku niosła ze sobą oczywistą lekcję. Należało za wszelką cenę uniknąć powtórki z katastrofalnego osunięcia się tych państw w otchłań autorytaryzmu i faszyzmu. Swoją rolę przy podejmowaniu rozstrzygających decyzji odegrała również geopolityka. Europa Środkowa i Wschodnia była wciśnięta pomiędzy zachodnioeuropejską i rosyjską strefę wpływów, więc kwestia przyszłego bezpieczeństwa tych krajów miała fundamentalne znaczenie. Przykład pogrążającej się w wojnie Jugosławii, znajdującej się w podobnej sytuacji, działał na wyobraźnię.

W czerwcu 1993 roku w Kopenhadze podjęto w związku z tym decyzję o otwarciu drzwi dla nowych państw członkowskich z Europy Środkowej i Wschodniej, pod warunkiem że spełnią one rygorystyczne kryteria dotyczące demokracji, rządów prawa, przestrzegania praw człowieka i ochrony mniejszości, a także dobrze funkcjonującej gospodarki wolnorynkowej. W 1994 roku Węgry stanęły na czele długiej, jak się okazało, kolejki krajów ubiegających się o przyjęcie do Unii Europejskiej. Jeszcze przed uzgodnieniami z Kopenhagi trwały rozmowy akcesyjne z Finlandią, Szwecją, Norwegią i Austrią. Kraje te nie miały problemów z wypełnieniem kryteriów i wszystkie z wyjątkiem Norwegii, gdzie większość (tak jak w 1972 roku) zagłosowała w referendum w 1994 przeciwko akcesji, zostały członkami Unii Europejskiej z dniem 1 stycznia 1995 roku. Oczywista ekonomiczna i polityczna przepaść, dzieląca kraje Europy Środkowej i Wschodniej od państw członkowskich Unii Europejskiej, oznaczała jednak, że musiały one poczekać znacznie dłużej.

Powody rozszerzenia Unii Europejskiej były przekonywające, a perspektywy przystąpienia pomogły zarówno ustabilizować, jak i zdemokratyzować kraje Europy Środkowej i Wschodniej. Nie można było jednak łatwo i bezproblemowo zintegrować ponad 70 milionów ludzi z krajów o znacznie mniej rozwiniętych gospodarkach i kulturach politycznych niż w Europie Zachodniej. W przyszłości trzeba będzie za to zapłacić cenę w postaci bardziej niewydolnej, mniej spójnej i mniej ekonomicznie zrównoważonej Unii Europejskiej.

# Europa Zachodnia traci ducha

Choć według sondaży opinii publicznej większość zachodnich Europejczyków była pozytywnie nastawiona do Unii Europejskiej, Europa w latach 90. rzadko zaprzętała głowy większości obywateli. Zazwyczaj mieli inne obawy, dotyczące bliższych im kwestii. Niemniej niektóre problemy, z którymi przyszło im się mierzyć, miały europejski, a nie tylko narodowy wymiar. Wynikały one po części z recesji w Europie (nakładającej się w czasie na recesję amerykańską z lat 1990–1991), która przypadła na początek dekady. Brzemienne w skutki okazały się również koszty zjednoczenia Niemiec. Bez względu na to, czy ktoś lokował się na umiarkowanej lewicy, jak francuski prezydent François Mitterrand, czy na konserwatywnej prawicy, jak kanclerz Niemiec, Helmut Kohl, lub następcza Thatcher, brytyjski premier John Major, sprawy, którym musieli stawić czoła, były podobne. Wśród nich znajdowały się pytania – żadne z nich nie było nowe, ale żadne z nich nie zostało też rozwiązane – o konkurencyjność narodowych gospodarek, coraz większe żądania dotyczące wydatków socjalnych i kontroli inflacji, a także o poziom bezrobocia i zadłużenie państwa. Zmaganie się z tymi kwestiami w zmieniających się po końcu zimnej wojny warunkach zazwyczaj nie przysparzało politycznej popularności, co często prowadziło do zmiany rządów, które wciąż jednak musiały radzić sobie z tymi samymi problemami. Oczywiście każdy europejski kraj miał swoją specyfikę, ale poczucie dyskomfortu wykraczało daleko poza granice narodowe.

W Niemczech najważniejszą rolę odgrywał ciężar zjednoczenia. W 1990 roku Helmut Kohl pochopnie rozbudził nadzieje na „kwitnące krajobrazy” w Niemczech Wschodnich w ciągu trzech lub czterech lat. Nie tylko kanclerz poważnie się przeliczył, jeżeli chodzi o skalę potrzeb przy wymianie przestarzałej infrastruktury i całkowitej przebudowie gospodarki\*. Zamiast szybkiego marszu ku obiecanemu dobrobytowi całe Niemcy w 1992 roku popadły w ekonomiczną stagnację, która miała trwać przez większą część dekady – choć wschodni Niemcy zapłacili zdecydowanie wyższą cenę. W 1993 roku, gdy gospodarka pogrążona była



w recesji, produkt krajowy brutto spadł o dwa procent, czyli najbardziej w całej historii Republiki Federalnej. W 1995 roku zadłużenie państwa niemieckiego było dwukrotnie wyższe niż w 1989 roku (po części jednak w wyniku rządowych inwestycji w infrastrukturę).

Niepokojącym efektem ubocznym kryzysu gospodarczego i zapowiedzią tego, co miało stać się narastającym trendem w większości krajów Europy, była wrogość wobec „azylantów”. Ponad trzy czwarte z nich wybierało Niemcy, licząc na łagodność tamtejszego prawa azylowego – stanowiącego ze swojej strony reakcję na bestialstwo epoki nazistowskiej. W 1992 roku, naznaczonym wojną w Jugosławii, liczba azylantów sięgnęła 438 000 (choć niespełna pięć procent z nich zakwalifikowano jako uciekających przed prześladowaniami politycznymi). Kilka napawających trwogą przypadków neonazistowskich ataków na imigrantów, do których doszło w większości, choć nie tylko, we wschodnich landach Niemiec, zszokowało Niemców i zagranicznych obserwatorów.

Mimo gospodarczej zadyszki Helmut Kohl został ponownie wybrany na kanclerza w październiku 1994 roku. W roku wyborczym pomogło mu wprowadzenie powszechnego systemu ubezpieczeń zdrowotnych, a także podziały w łonie socjaldemokratycznej opozycji. Częściowo działała też jeszcze sława „kanclerza zjednoczenia”. Sytuacja gospodarcza Niemiec nie poprawiła się jednak w kolejnych latach. Bezrobocie w 1996 roku przekroczyło cztery miliony – w innej epoce ta właśnie liczba wstrząsnęła podstawami niemieckiej demokracji – a gospodarka, obciążona wysokimi kosztami pracy i świadczeń społecznych, miała problemy z utrzymaniem konkurencyjności. Kohl, niegdyś nadzieja na przyszłość, był zakrzykiwany na wiecach wyborczych we Niemczech Wschodnich przez rozczarowanych wyborców. Rząd zdawał się tracić parę. Wielu ludzi czuło po prostu, jak to się czasami zdarza w demokracjach, kiedy dany rząd długo sprawuje władzę, że „nadszedł czas na zmiany”. Wybory z 1998 roku były niemal w całości zdominowane przez politykę wewnętrzną – przede wszystkim wysokie bezrobocie. Integracja europejska, która osiem lat wcześniej stanowiła centralny punkt wizji Kohla, była niemal nieobecna. Kiedy policzono głosy, Kohl musiał zrezygnować ze

stanowiska po 16 latach sprawowania urzędu kanclerza. Pokonał go socjaldemokrata, Gerhard Schröder.

Problemy gospodarcze Niemiec w latach 90. miały konsekwencje dla innych krajów Europy Zachodniej. W 1993 roku we Francji bezrobocie przekroczyło 10 procent i było najwyższe w historii. Bez pracy pozostawały trzy miliony ludzi. Jednocześnie rosące koszty socjalne – duży odsetek wydatków państwa – wciąż windowały i tak już niepokojąco wysoki deficyt budżetowy. Próby ograniczenia wydatków państwa i prywatyzacji części gospodarki nie spotykały się, rzecz jasna, z entuzjazmem obywateli. Rządy, które wprowadzały niepopularne rozwiązania, zazwyczaj przegrywały wybory. Francja nie była tu wyjątkiem. Partia Socjalistyczna, filar rządu, poniosła w wyborach parlamentarnych w marcu 1993 roku druzgocącą porażkę. Wygrała koalicja partii konserwatywnych pod wodzą Jacques'a Chiraca. Dwa lata później, kiedy końca dobiegła druga kadencja rządów socjalistycznego prezydenta Mitterranda – chorego na raka, a ponadto niemogącego, zgodnie z konstytucją, startować po raz trzeci – na fotelu głowy państwa zastąpił go Chirac, który pokonał socjalistycznego kandydata, Lionela Jospina. Dwa wątki francuskiej polityki były typowe dla całej Europy: oskarżenia o malwersacje finansowe (które doprowadziły do samobójstwa byłego premiera, Pierre'a Bérégovoya) i znaczący wzrost niechęci do imigrantów (co znajdowało odzwierciedlenie we wpływach Frontu Narodowego, którego przywódca, Jean-Marie Le Pen, dostał 15 procent głosów w wyborach prezydenckich w 1995 roku).

Imigracja nie była jeszcze istotną kwestią we Włoszech. Korupcja natomiast z pewnością tak. Włochy, czwarta co do wielkości gospodarka w Europie (po Niemczech, Francji i Wielkiej Brytanii) już na początku lat 90. zmagająca się z poważnymi problemami gospodarczymi. Niektóre były pośrednią konsekwencją zjednoczenia Niemiec. Kiedy niemiecki bank federalny, Bundesbank, gwałtownie podniósł stopy procentowe w 1992 roku, odbiło się to na słabszych gospodarkach z wyższą stopą inflacji. Skutek był taki, że we wrześniu Włochy zostały zmuszone do opuszczenia mechanizmu kursowego, który dopuszczał tylko ograniczone wahania (i w efekcie podążał za marką niemiecką, wobec której lir szybko stracił

24 procent wartości). Fundamentalnym problemem Włoch był poziom zadłużenia – wynosił on 120 procent produktu krajowego brutto, a więc dwa razy więcej, niż dopuszczały kryteria z Maastricht. Prawie 40 procent przychodów podatkowych szło po prostu na spłatę odsetek od zadłużenia. Wyższe podatki, cięcia w wydatkach publicznych i prywatyzacja nie były remedium, które mogło przysporzyć popularności rządowi kierowanemu przez lidera chadecji, Giulio Andreottiego.

W 1992 roku tradycyjna polityka znalazła się jednak w cieniu gigantycznego skandalu korupcyjnego, nazwanego „Tangentopoli” (co można luźno przetłumaczyć jako „Łapówkogród”), który został ujawniony tuż przed wyborami parlamentarnymi. Zamieszani weń byli politycy ze wszystkich głównych partii (a także niektóre spośród największych włoskich firm). Korupcją przeżarty był cały system polityczny. W wyborach parlamentarnych, które odbyły się dwa lata później, wszystkie główne partie utraciły część poparcia. Jednak konsekwencje ujawnienia ogromnej sieci powiązań korupcyjnych i przestępczych polityków i urzędników państwowych wykraczały daleko poza wyborcze straty.

Tysiąc polityków i prawie 1500 urzędników służby cywilnej i biznesmenów zostało oskarżonych o przyjmowanie łapówek. Niektórych, w tym Andreottiego, mocno podejrzewano o współpracę z mafią. Były socjalistyczny premier, Bettino Craxi, został później skazany zaocznie – w 1994 roku uciekł do Tunezji, by uniknąć kary – na 28 lat więzienia. Sam Andreotti, po dekadzie procesów (w tym o współudział w morderstwie popełnionym przez mafię) został wreszcie skazany w 2002 roku na 24 lata więzienia, ale w sądzie apelacyjnym oczyszczono go ze wszystkich zarzutów. Włoska opinia publiczna miała dość. Skandal zmiotł polityczny establishment, który decydował o losach kraju od drugiej wojny światowej. Chadecja, przez prawie pół wieku dominująca siła we włoskiej polityce, została rozwiązana w marcu, partia liberalna w lutym, a socjaliści w listopadzie 1994 roku. Partie socjaldemokratyczna i republikańska całkowicie straciły na znaczeniu. Partia komunistyczna została rozwiązana już w 1991 roku i podzieliła się na dwa ugrupowania, z których żadne nie cieszyło się większą popularnością.

Polityka partyjna startowała niemal od zera. Epoka starych bloków partyjnych lewicy i prawicy, które dominowały w czasach zimnej wojny, dobiegła końca. Włochy były pierwszym krajem Europy Zachodniej, który zwrócił się ku nowej, „populistycznej” polityce.

Efekt nie był bynajmniej krzepiący. W powstałą próżnię wkroczył ekstrawagancki magnat medialny, Silvio Berlusconi, swego czasu blisko powiązany z Craxim. Krążyły plotki, że wchodzi do polityki, by uzyskać immunitet przed aresztowaniem za domniemaną korupcję. Partia, którą w listopadzie 1993 roku stworzył od zera, Forza Italia, wspierana przez jego imperium medialne i opierająca się w dużej mierze na charyzmie przywódcy, obiecywała Włochom nowy początek („nowy włoski cud”, jak ujmował to sam lider partii). Ton był populistyczny i antyestablishmentowy. Berlusconi przedstawiał się jako „człowiek z zewnątrz”, niesplamiony powiązaniem ze starą, partyjną polityką. Miał wykorzystać swój talent, który przyniósł mu taki sukces w biznesie, do ożywienia Włoch. Forza Italia, która została stworzona jak przedsięwzięcie biznesowe, chciała realizować neoliberalną politykę gospodarczą. Berlusconi był również przekonany, że jego urok pozwoli mu sięgnąć do głębokiego rezerwuaru prawicowych, antykomunistycznych wyborców, którzy zostali bez politycznej ojczyzny. Czy nie było to jednak po prostu przelewanie starego wina do nowych butelek?

Polityczna prawica zaczęła się dzielić jeszcze przed wybuchem afery Tangentopoli. Upadek komunizmu pozbawił chadecję ideologicznego spoiwa, a przy tym pojawiły się nowe formy tożsamości politycznej. Na północy Włoch Lega Nord (Liga Północna), kierowana przez Umberto Bossiego, domagała się regionalnej autonomii i skończenia z dotowaniem biedniejszego południa. W Mezzogiorno Alleanza Nazionale (Sojusz Narodowy) pod wodzą Gianfranco Finiego zmieszał ze sobą elementy neofaszystowskie z pozostałościami po ideologii chadeckiej, tworząc prawicowy, konserwatywny ruch, wciąż czerpiący tlen ze sprzeciwu wobec wszelkich przejawów socjalizmu. Berlusconi, Bossi i Fini połączyli siły i w wyborach, które odbyły się w marcu 1994 roku, dostali prawie 43 procent głosów, znacznie wyprzedzając lewicowy blok „postępowców”, utworzony

z dwóch sukceserek partii komunistycznej, którego wynik wyniósł 34 procent. Ich chwiejna koalicja rozpadła się jednak dziewięć miesięcy później, zmuszając Berlusconiego do dymisji. Nie był to jednak wcale koniec jego politycznej kariery – kierował włoskim rządem jeszcze dwukrotnie. Nie był to także koniec chronicznej niestabilności włoskich rządów, które od 1948 roku przeciętnie nie trwały dłużej niż rok. A mimo nowych szat i licznych, często zdumiewających wariacji, podział na lewicę i prawicę oraz północ i południe nadal nadawał ton włoskiej polityce.

W Wielkiej Brytanii następca Thatcher na stanowisku premiera, John Major, wbrew większości przewidywań wygrał na początku kwietnia 1992 roku wybory parlamentarne – było to czwarte zwycięstwo konserwatystów z rządu – choć jego przewaga nad opozycją znacznie się zmniejszyła. Przyszło mu jednak kierować słabym i podzielonym rządem, rozdartym przede wszystkim przez „Europę” (jak w skrócie nazywano burzliwe relacje Wielkiej Brytanii z Unią Europejską). Jego gabinet nigdy nie podniósł się po upokorzeniu, jakim było sromotne wycofanie się Wielkiej Brytanii z europejskiego mechanizmu kursów walutowych 16 września 1992 roku, czyli – jak ją szybko ochrzczono – w „czarną środę”. Wcześniej rząd drastycznie podniósł stopy procentowe i wydał ponad trzy miliardy funtów, na próżno próbując ratować funta. Od tego momentu, w sytuacji panującej recesji, Major był słabym premierem, dręczonym przez eurosceptyczne skrzydło swojej partii, parodiowanym w mediach i osłabianym przez skandale finansowe (choć drobne jak na włoskie standardy), w które uwikłani byli prominentni konserwatyści. Jego pozycja jako szefa rządu była już nie do uratowania.

W połowie lat 90. brytyjska gospodarka zaczęła się szybko odradzać, ale niewiele to już pomogło Majorowi. Tony Blair, wybrany na lidera laburzystów w maju 1994 roku, stanowił skrajne przeciwieństwo bezbarwnego premiera. Elokwentny, zawsze uśmiechnięty i charyzmatyczny, zdawał się uosabiać wszystko to, co wkrótce ochrzczono mianem „cool Britannia”. Dawał nadzieję na nową, dynamiczną Wielką Brytanię – patrzącą w przyszłość, proeuropejską, nowoczesną, postępową, tolerancyjną, otwartą. Forsował wizję „trzeciej drogi”, która

przekraczałyby tradycyjne klasowe bariery i podziały społeczne. Jego partia, przechrzczona teraz na „New Labour”, odrzucała postulat nacjonalizacji gospodarki, wpisany do jej statutu od 1918 roku, i chciała zaufać siłom rynkowym, temperowanym jednak przez zasady sprawiedliwości społecznej. W wyborach parlamentarnych, które odbyły się 1 maja 1997 roku, konserwatyści zostali zmiążdżeni. Blair – wówczas czterdziestotrzyletni, najmłodszy premier od czasów Williama Pitta Młodszeo, który objął urząd w 1783 roku – poprowadził laburzystów do największego zwycięstwa w historii, osiągając przewagę 179 miejsc w parlamencie. Po 18 latach rządów konserwatystów wyglądało to na nowy start, „narodowe odrodzenie”, jak ujął to znany dziennikarz polityczny, Andrew Rawnsley.

Blair inspirował się amerykańskim prezydentem, Billem Clintonem, który w 1993 roku zastąpił George’a H. W. Busha. Z kolei Blair proponował model, który niektórzy europejscy przywódcy uznali za warty naśladowania. Wydawało się, że bliżej niesprecyzowana „trzecia droga” jest wdrażana we Francji pod rządami socjalisty Lionela Jospina, który został mianowany premierem w 1997 roku. Jospin łączył klasyczne rozwiązania socjalistyczne, takie jak poprawa bezpieczeństwa socjalnego, opieka zdrowotna, większa pomoc finansowa dla najbiedniejszych członków społeczeństwa, większa reprezentacja kobiet w polityce i trzydziestopięciogodzinny tydzień pracy, z obniżką podatków i prywatyzacją państwowych koncernów, czyli polityką kojarzoną raczej z neoliberalizmem. Niemcy także miały wkrótce wybrać wariant „trzeciej drogi”. Gerhard Schröder, telegeniczny i tryskający energią socjaldemokrata, który w niemieckich wyborach w 1998 roku pokonał Helmuta Kohla, kończąc trwający od 1982 roku okres konserwatywnych rządów, był jednym z największych admiratorów Blaira w Europie kontynentalnej. Schröder, podobnie jak Blair, proponował nowoczesny wizerunek socjaldemokratycznych rządów. W połowie lat 90. konserwatyzm, nawet jeżeli nie wszędzie, wydawał się w odwrocie.

Socjaldemokracja w swojej nowej, współczesnej odsłonie – łączącej postęp społeczny z korzyściami, jakie przynosiła zglobalizowana gospodarka rynkowa

i zintegrowana Unia Europejska – wydawała się wielu Europejczykom nadzieją na lepszą przyszłość. Jednak w ciągu zaledwie kilku lat, mimo niewątpliwych osiągnięć, doprowadziła do powszechnego rozczarowania. W noc wyborczego triumfu w 1997 roku Blair w euforycznym nastroju zapowiadał, że „nadchodzi nowy świt”. Zamiast nowego świtu okazał się być to jednak początek długiego zachodu słońca nad europejską socjaldemokracją.

Stare pewniki, zarówno po stronie konserwatywnej prawicy, jak i socjaldemokratycznej lewicy, wykruszały się jeden po drugim. Niewygodnym elementem bardziej sfragmentaryzowanej polityki, w której coraz częściej dochodziły do głosu partie nacjonalistyczne, ekologiczne i regionalne, było rosnące upolitycznienie kwestii imigracji. Pod koniec lat 90. Front Narodowy Jeana-Marie Le Pena cieszył się poparciem prawie pięciu milionów Francuzów (ponad 15 procent elektoratu) wobec 2,7 miliona w 1986 roku. Dansk Folkeparti stała się trzecią co do wielkości partią w duńskim parlamencie, popieraną przez 12 procent społeczeństwa. Szwajcarska Partia Ludowa pod wodzą przemysłowca, Christopha Blochera, zwiększyła swój stan posiadania o 12,6 procent – to rekord w historii szwajcarskich wyborów – i w wyborach federalnych w 1999 roku dostała 22,6 procent głosów, stając się największą partią w kraju. Austriacka Partia Wolności, kierowana przez Jörga Haidera, który łączył zamiłowanie do szybkich samochodów z uwagami sugerującymi pronazistowskie sympatie, urosła z niespełna 10 procent głosów w 1986 roku do aż 27 procent w roku 1999. Wspólnym mianownikiem sukcesu wszystkich tych ugrupowań, które miały swoje odpowiedniki także w innych krajach europejskich, był zdecydowany sprzeciw przeciwko imigracji. Ponieważ partie głównego nurtu, podobnie jak Unia Europejska, popierały imigrację, antyimigracyjny i nacjonalistyczny protest można było również przedstawiać jako politykę antyestablishmentową i eurofobiczną. Znaczący element protestu, wykraczający poza żelazny elektorat partii antyimigracyjnych, sprawiał, że poziom poparcia dla nich był płynny. Niemniej poza tym, że wpłynęły one na programy mainstreamowych partii lewicy i prawicy, w kolejnych latach zapewniały one kwestii imigracji coraz ważniejsze miejsce w politycznej agendzie.

Lata 90. były burzliwą dekadą w Europie Zachodniej. Większość obietnic nowej, świetlanej przyszłości okazała się iluzoryczna. W połowie dekady u większości społeczeństwa dominowało namacalne poczucie rozczarowania i niezadowolenia. Kroki w kierunku integracji europejskiej, choć same w sobie stanowiące znaczące osiągnięcie, dla większości ludzi pozostawały oderwane od ich codziennego życia. Druga połowa dekady, dzięki powrotowi wzrostu gospodarczego, wyglądała już znacznie lepiej. Pod jej koniec, gdy, co zaskakujące, ton narzucała „cool Britannia”, Europa – zarówno po wschodniej, jak i po zachodniej stronie – zdawała się stać u progu nowej, ekscytującej epoki. Podczas noworocznych uroczystości w 2000 roku, gdy Europejczycy wraz z miliardami ludzi na całym świecie witali początek nowego millennium, Tony Blair uchwycił nastrój chwili, życząc wszystkim, by „zaufanie i optymizm” można było zabutelkować i zachować na zawsze.

\*\*\*

We wrześniu 1990 roku, wciąż na fali euforii po zakończeniu zimnej wojny, prezydent George H. W. Bush ogłosił początek „nowego porządku światowego”, który będzie „erą wolną od groźby terroru, nacechowaną silniejszym dążeniem do sprawiedliwości i większym bezpieczeństwem w poszukiwaniu pokoju”. Miała być to „era, w której narody świata (...) potrafią prosperować i żyć w harmonii”. To były piękne słowa, ale sama wizja nader szybko okazała się iluzją.

Pewne wydarzenia niewątpliwie napawały optymizmem. Szybkie i zdecydowane zwycięstwo nad siłami irackimi, które najechały Kuwejt na początku 1991 roku, odniesione przez wielką, kierowaną przez Amerykanów, międzynarodową koalicję działającą w ramach mandatu ONZ, zdawało się kłaść koniec zagrożeniu, jakie dla Bliskiego Wschodu stanowił iracki przywódca, Saddam Husajn. Podpisane w styczniu 1993 roku porozumienie pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Rosją o rozmontowaniu dwóch trzecich głowic jądrowych w ramach drugiego traktatu o redukcji zbrojeń strategicznych (START II) jeszcze bardziej ograniczało groźbę nuklearnej pożogi. Mogło się również wydawać, że po



długich latach ząartego konfliktu arabsko-izraelskiego pojawiły się realne perspektywy na jego rozwiązanie, bo wzajemne relacje poprawiły się nieco dzięki temu, co eufemistycznie nazywano procesem pokojowym z Oslo (choć powtarzające się akty przemocy nie wróżyły niczego dobrego). Natomiast pod egidą ONZ rosła – choć bardziej na papierze niż w rzeczywistości – świadomość pilnej konieczności ograniczenia emisji gazów cieplarnianych, które przyczyniały się do globalnego ocieplenia i zniszczeń ekologicznych zagrażających przyszłości całego globu.

Jednak na tle tych pozytywów debetowa strona salda wyglądała przygnębiająco. Pomimo świętoszkowatych wypowiedzi światowych przywódców o wykorzenianiu światowej nędzy i wzmacnianiu uniwersalnych praw człowieka postęp był niewielki – by nie powiedzieć: żaden. I tak już dotkliwa nędza w Afryce Subsaharyjskiej pogłębiała się, zamiast maleć. Wśród państw upadłych, zrujnowanych przez głód i wojnę domową, znalazła się między innymi Somalia, która stoczyła się niemal do poziomu anarchii. W wielu częściach świata kulturowe i religijne różnice, a także twarde interesy gospodarcze blokowały wszelki realny postęp w kwestii praw człowieka. A co najgorsze, w czasie, gdy świadomość Holokaustu w krajach europejskich była większa niż kiedykolwiek wcześniej, w Rwandzie doszło do kolejnego ludobójstwa, które w ciągu zaledwie trzech miesięcy pochłonęło ponad milion istnień ludzkich. Bezradna „wspólnota międzynarodowa”, niezdolna zrobić nic, by zapobiec masakrze, jeszcze raz pokazała, że jest niczym więcej niż pustym frazesem.

Europejczycy codziennie w wieczornych wiadomościach mogli oglądać koszmarne wydarzenia z odległych zakątków świata. Byli przerażeni tym, co widzieli. Do organizacji charytatywnych, takich jak UNICEF, Czerwony Krzyż, Oxfam czy Lekarze bez Granic, szerokim strumieniem płynęły hojne datki. Jednak obok ogólnego poczucia bezradności istniało też przekonanie – przynajmniej tam, gdzie ludzie nie zubożyli jeszcze całkowicie przez nieustanne przypominanie im o straszliwych cierpieniach – że do tych okropności dochodzi gdzieś daleko i mają one niewielkie bezpośrednie znaczenie dla ich życia. Ulga, że Europa

przewyciężyła swoją tragiczną przeszłość i jest teraz odległa od takich dramatów – dyskretnie zapominano przy tym o Jugosławii – była uczuciem częstym, nawet jeżeli zazwyczaj głośno nieartykułowanym.

To poczucie błogiego samozadowolenia miało zostać wkrótce brutalnie przerwane. Świadomość, że Europa jest integralną częścią coraz bardziej powiązanego ze sobą świata, że nie może hermetycznie odgrodzić się od terroru, który jest na porządku dziennym w bardziej niespokojnych częściach globu, i że ten terror często ma związek z jej własną imperialistyczną przeszłością, nadeszła bezlitośnie w jednym momencie. Nie stało się to za sprawą wydarzenia, które miało miejsce w Europie, lecz 4800 kilometrów dalej, w Nowym Jorku – i spadło dosłownie jak grom z jasnego nieba. Wczesnym popołudniem (czasu europejskiego) 11 września 2001 roku – datę tę wkrótce zaczęto powszechnie określać po prostu jako „11 września” („9/11”) – dokonano starannie zaplanowanego i zsynchronizowanego, spektakularnego aktu terroru. Dwa porwane samoloty w odstępie kilku minut uderzyły w wieże nowojorskiego World Trade Center. Trzeci porwany samolot został skierowany na Pentagon (siedzibę amerykańskiego Departamentu Obrony), a czwarty, zmierzający w kierunku Waszyngtonu, rozbił się na polu w Pensylwanii, bo bohaterscy pasażerowie podjęli walkę z porywaczami. Widok walących się w gruzy bliźniaczych wież wbił się w pamięć milionów ludzi, którzy na żywo w telewizji oglądali niewyobrażalny horror, rozgrywający się na ich oczach. Życie straciło około 3000 ludzi – w tym pasażerowie samolotów. Wiele ofiar zginęło, skacząc z płonących wieżowców. Dwa razy tyle osób zostało rannych. Z telefonów komórkowych wysyłano niezwykle wzruszające ostatnie wiadomości do najbliższych. Sprawcy, jak wkrótce ustalono, byli członkami islamistycznej organizacji terrorystycznej, Al-Kaidy. Część tropów prowadziła do Europy. Mózg całej operacji, Osama bin Laden, był jednym z 15 zaangażowanych w nią terrorystów, którzy pochodzili z Arabii Saudyjskiej, najważniejszego sojusznika Ameryki i wielu krajów europejskich w rejonie Zatoki Perskiej. Co więcej, spisek został zawiązany na niemieckiej ziemi, w Hamburgu, gdzie do komórki Al-Kaidy należało aż pięciu spośród terrorystów,

w tym pilot pierwszego samolotu, który uderzył w World Trade Center, Mohamed Atta, z pochodzenia Egipcjanin.

Morderczy cios wymierzony w Nowy Jork – pierwsza zagraniczna agresja na amerykańskiej ziemi od czasów Pearl Harbor w grudniu 1941 roku – był nie tylko ogromnym szokiem i tragedią. Oznaczał także frontalny atak na „zachodnie” wartości, dokładnie tak jak to sobie zaplanowali sprawcy. Europejscy przywódcy natychmiast zadeklarowali swoją solidarność ze Stanami Zjednoczonymi w obronie tych wartości. W ciągu kilku dni prezydent George W. Bush ogłosił „wojnę z terrorem” – nazywając ją nawet, nieświadomy negatywnego wydźwięku tego słowa na Bliskim Wschodzie, „krucjatą” – która nie miała się ograniczyć do Al-Kaidy. To miała być obrona zachodniej cywilizacji przed islamistyczną ideologią, która stawiała sobie za cel jej zniszczenie. Tony Blair szybko poszedł dalej niż którykolwiek inny z zachodnich przywódców, oferując USA bezwarunkową brytyjską pomoc.

Data 11 września 2001 roku – bardziej niż kalendarzowy 1 stycznia 2000 roku – stanowiła prawdziwy początek nowego wieku. Wcześniej świat zachodni miał jedynie mgliste pojęcie o narastającym problemie islamskiego fundamentalizmu. W kolejnych latach Wielka Brytania i inne kraje europejskie były już wplątane w rozszerzający się konflikt z tą potężniejącą siłą. Europejscy żołnierze toczyli niemożliwe do wygrania wojny w krajach muzułmańskich. Islamski terror wkrótce zaczął szerzyć strach w europejskich miastach, wpływać na wielokulturowe relacje i stawiać przed liberalną demokracją nowe dylematy, dotyczące łączenia wolności i bezpieczeństwa. Europa w mniejszym stopniu niż kiedykolwiek wcześniej mogła się odciąć od problemów zewnętrznego świata.

---

\* Pamiętam, że byłem naprawdę zaskoczony, kiedy na pewnym spotkaniu, w którym uczestniczyłem w Berlinie Zachodnim w maju 1990 roku, czołowi bankierzy i biznesmeni wyrażali przekonanie, że problemy gospodarcze Niemiec Wschodnich zostaną przewyżczone w ciągu pięciu lat.

## Groźny szeroki świat

---

*Państwa takie jak te i ich terrorystyczni sojusznicy tworzą oś zła, zbrojąc się,  
by zagrozić światowemu pokojowi.*

Prezydent George W. Bush, orędzie o stanie państwa z 2002 r., w odniesieniu do Korei  
Północnej, Iranu i Iraku.

Oczywiście Europa podlegała globalnym wpływom od wieków. Już w średniowieczu handlowano z Dalekim Wschodem. Po podboju Ameryk w XVI wieku przez Atlantyk przewożono złoto i inne surowce. Kiedy imperium ottomańskie opanowało Bałkany i południową część Węgier, turecka inwazja, postrzegana jako zagrożenie dla chrześcijańskiej Europy, została odparta najpierw na Malcie w 1565 roku, a ostatecznie dopiero pod Wiedniem w 1683. W XVII wieku Holendrzy zakładali faktorie handlowe na terenach, które później miały stać się Indonezją. W następnym wieku Kompania Wschodnioindyjska rozpoczęła brytyjską kolonizację Indii. W XVIII wieku toczono wojny na Karaibach. Wiek później europejski imperializm rozszerzył się na Afrykę, Azję i inne rejony świata. W połowie XIX wieku rozpoczęło się to, co często określa się mianem „pierwszej globalizacji”: telegraf i telefon, statki parowe i kolej umożliwiły ogromną ekspansję handlu na całym świecie. Potem nastąpił okres najbardziej brutalny – dwie wojny światowe przedzielone globalną recesją gospodarczą w pierwszej połowie XX wieku. Długie powojenne odrodzenie po 1945 roku doprowadziło do otwarcia Europy, najpierw Zachodniej, a ostatecznie

także Środkowej i Wschodniej, na interesy amerykańskiej polityki zagranicznej, a później na dominujące wpływy gospodarcze i kulturowe płynące z drugiej strony Atlantyku.

Pomimo tego było coś nowego – i dało się to wyraźnie odczuć – w otwarciu Europy na globalne wpływy w pierwszych latach XXI wieku. Możliwe, że więcej zwykłych ludzi w Europie uświadamiało sobie wdzieranie się reszty świata w ich życie w większym stopniu niż kiedykolwiek wcześniej w czasach pokoju. Nade wszystko, upowszechnienie internetu w latach 90. sprawiło, że świat zaczął wydawać się mniejszy. Nowe millennium w bardzo wyraźny sposób zaakcentowało europejskie otwarcie na świat. Jedną różnicą była jednak szczególnie warta podkreślenia. W poprzednich stuleciach, szczególnie w epoce imperializmu, Europa eksportowała przemoc na inne kontynenty. W pierwszej dekadzie nowego tysiąclecia Europa pierwszy raz odczuła, że ta przemoc może do niej wrócić.

Atak na nowojorski World Trade Center, do którego doszło 11 września 2001 roku, był nie tylko wstrząsającą premierą islamskiego terroryzmu w Stanach Zjednoczonych, ale stanowił również ważną cezurę dla Europy. Jego wpływ na Stary Kontynent w kolejnych latach okazał się głęboki. To z kolei miało poważne konsekwencje dla nastawienia wobec imigracji i wielokulturowości – próby integrowania przedstawicieli innych kultur, którzy wyemigrowali do Europy – które stały się pilnymi kwestiami politycznymi i społecznymi. Potencjał dla niebezpiecznego kulturowego zderzenia wartości Zachodu i islamu, które w latach 90. przepowiadał amerykański politolog Samuel Huntington, wydawał się rosnąć w oczach.

Druga nowa – albo przynajmniej poważnie zmieniona – forma otwarcia była pochodną globalizacji gospodarki i jej wszechogarniającego wpływu na codzienne życie. Choć „druga globalizacja” polegała częściowo na intensyfikacji już zachodzących trendów, była ona czymś więcej niż tylko kontynuacją wcześniejszych zdarzeń. Ilościowe zwiększanie skali i głębi wpływu rewolucji komunikacyjnej, będącej pochodną błyskawicznego rozprzestrzeniania się technologii komputerowej i zmasowanej ekspansji zderegulowanego sektora

finansowego, musiało spowodować w końcu skok o charakterze jakościowym. Globalne połączenia stały się nie tylko łatwiejsze, ale prawie natychmiastowe. Nie tylko biznes się przekształcał. Europa, tak jak i reszta świata, stała się elementem systemu naczyń połączonych i była zależna od innych aktorów jak nigdy dotąd. Internet, telefony komórkowe i poczta elektroniczna przeniknęły do praktycznie wszystkich aspektów życia społecznego. To, co było nie do pomyślenia pół wieku wcześniej, teraz stało się rzeczywistością.

## **„Wojna z terroryzmem”**

20 września 2001 roku, nieco ponad tydzień po ataku na Nowy Jork, prezydent George W. Bush ogłosił „wojnę z terroryzmem”, która skończy się dopiero wtedy, kiedy „każda organizacja terrorystyczna o globalnym zasięgu” zostanie pokonana. Stany Zjednoczone nieraz wypowiadały wojnę innym państwom. To, co w takich przypadkach wojna oznaczała, było zazwyczaj jasne. Natomiast wojnie przeciwko abstrakcyjnemu bytowi brakowało czytelnej definicji. Jednak retoryczna wartość „wojny z terroryzmem” była niekwestionowana. Oddawała nastrój Ameryki i większości zachodniego świata bezpośrednio po zbrodni. W tym nastroju najważniejsza była żądza zemsty.

Atak na Amerykę został zaplanowany w Afganistanie, rozczłonkowanym kraju pełnym przemocy i bezprawia, rujnowanym przez wojnę domową od czasu zakończenia sowieckiej okupacji w 1989 roku. W poprzedniej dekadzie Amerykanie zapewniali lokalnym watażkom i plemiennym przywódcom w Afganistanie, mudżahedinom, finansowe i militarne wsparcie w walce z Sowietami. Kiedy ci się wycofali, USA straciły większość zainteresowania tym regionem. Nie stracił go jednak Pakistan i mudżahedini nadal rośli w siłę, teraz ze wsparciem Pakistanu. Watażkowie kontrolowali swoje lokalne dominia. Rozkazy płynące od rządu w Kabulu nie były respektowane, chyba że oni na to pozwolili. A mudżahedini nie byli nastawieni tylko antyradziecko; byli również antyzachodni.

To była ziemia, na której ziarna terroryzmu wymierzonego w Zachód, a szczególnie w Stany Zjednoczone, mogły spokojnie wykiełkować.

Osama bin Laden, potomek niezwykle zamożnej saudyjskiej rodziny, który w 1988 roku założył luźną organizację Al-Kaida, by prowadzić „świętą wojnę”, zlokalizował swoją bazę w Afganistanie, gdy w 1996 roku przeprowadził się tam z Sudanu. Jeden z prowodyrów nieudanego spisku z 1993 roku, którego celem było wysadzenie nowojorskiego World Trade Center, przeszedł część swojego szkolenia w obozie Al-Kaidy w Afganistanie. W 1996 roku talibowie, początkowo niewielka grupa bojowników sformowana w Pakistanie, która wyznawała najbardziej ekstremistyczną, fundamentalistyczną wersję islamu i była odpowiedzialna za niezliczone zbrodnie popełnione podczas walk ze skorumpowanym i skrajnie niepopularnym rządem, opanowali stolicę kraju, Kabul. Militarne wsparcie otrzymali od pakistańskiego wywiadu, a zaplecze finansowe zapewnili im bogaci sponsorzy z Arabii Saudyjskiej. Wkrótce rozciągnęli swoją brutalną władzę na dwie trzecie kraju. Po przeprowadzce do Afganistanu bin Laden zawarł sojusz z przywódcą talibów, mułłą Mohammadem Omarem, i ogłosił wojnę ze Stanami Zjednoczonymi i Zachodem. Stał za atakami na trzy amerykańskie ambasady w Afryce w 1998 roku i według informacji, które CIA przekazało prezydentowi Clintonowi, planował przyszłe ataki w samych USA.

Zarówno więc bin Laden, jak i Afganistan jako baza Al-Kaidy znalazły się wyraźnie na radarze Waszyngtonu na długo przed atakami z 11 września. Kiedy ten straszliwy cios został zadany, było jasne, że na zbrojną odpowiedź Amerykanów nie trzeba będzie długo czekać. W ciągu trzech dni Kongres upoważnił prezydenta do użycia wszelkich środków, które uzna za niezbędne, by zniszczyć zarówno organizację odpowiedzialną za atak, jak i państwo, które sponsoruje terroryzm. Oznaczało to – po tym, jak przywódcy talibów odmówili wydania bin Ladena Amerykanom – inwazję na Afganistan, której podstawowymi celami było zniszczenie Al-Kaidy (i przy okazji schwytnie lub zabicie bin Ladena), oraz złamanie talibów. Atak na Afganistan, prowadzony w ramach operacji „Enduring

Freedom” („Trwała wolność”), rozpoczął się 7 października 2001 roku od nalotów bombowych przeprowadzanych przez siły amerykańskie i brytyjskie.

Udział sił brytyjskich był pewny od samego początku. Premier Tony Blair – jak napisał później – natychmiast po usłyszeniu informacji o zamachach z 11 września zdał sobie sprawę, że atak na bliźniacze wieże na Manhattanie jest „w jak najbardziej dosłownym sensie deklaracją wojny” wypowiedzianej przez Al-Kaidę nie tylko Ameryce, ale i całemu cywilizowanemu światu. Tego samego wieczora ogłosił w telewizji, że Wielka Brytania stanie „ramię w ramię z naszymi amerykańskimi przyjaciółmi w tej tragicznej godzinie i my, tak jak oni, nie spoczniemy, dopóki to zło nie zostanie wykorzenione z tego świata”.

Inni europejscy przywódcy byli bardziej powściągliwi. Niemcy, dla przykładu, tylko jednym głosem przewagi w Bundestagu postanowiły w połowie listopada wysłać do Afganistanu 4000 żołnierzy Bundeswehry. Niemniej panowała powszechna międzynarodowa solidarność z amerykańskimi celami i zrozumienie dla prawa tego kraju do obrony po ataku w Nowym Jorku. Wśród wielu krajów, które zaoferowały aktywną pomoc Stanom Zjednoczonym, znalazły się Francja, Włochy i Rosja. „Francja”, zadeklarował prezydent Chirac, „nie będzie stać z boku” po tym, co należy uznać za atak na wszystkie demokracje. I dodał proroczo: „Dziś tragiczne uderzenie spadło na Nowy Jork, ale jutro może to być Paryż, Berlin, Londyn”.

Początkowo wojna toczyła się po myśli zachodnich sił koalicyjnych. Afgańskie siły antytalibskie (nazywające się Zjednoczonym Frontem albo Sojuszem Północnym), które kontrolowały około jedną trzecią kraju, podjęły ofensywę lądową i, przy silnym wsparciu z powietrza, w listopadzie 2001 roku odbiły Kabul. Na początku grudnia wyparły talibów z ich ostatniego bastionu, położonego na południu Kandaharu. Jeszcze w tym samym miesiącu pod egidą ONZ utworzono niewielkie Międzynarodowe Siły Wsparcia Bezpieczeństwa, które wkrótce otrzymały posiłki od ponad 20 krajów. Powierzono im zadanie obrony Kabulu i pomocy przy tworzeniu rządu przejściowego, którym przy wsparciu Amerykanów i Brytyjczyków miał pokierować Hamid Karzaj.



W grudniu 2001 roku wyglądało na to, że najgorsze minęło. W istocie był to dopiero początek. Talibowie się wycofali, ale wcale nie zostali rozbici i szybko przystąpili do odbudowywania swojej potęgi. Osama bin Laden zaś, wraz z wieloma swoimi najwierniejszymi poplecznikami i dużą częścią terrorystycznej siatki Al-Kaidy, zdołał uciec w niedostępne góryste tereny zachodniego Pakistanu. Zachodnie mocarstwa nie były więc w stanie zrealizować żadnego ze swoich podstawowych celów. Nie mając żadnego jasnego planu, jak zapewnić pokój po rozgromieniu talibów, musieli dalej wspierać niestabilny, skorumpowany reżim i próbować pacyfikować rozległy kraj, pełen chaosu i przemocy. Trzeba było kolejnych 13 długich lat, w czasie których życie straciły dziesiątki tysięcy ludzi – około 4000 z sił koalicyjnych, ale znacznie więcej Afgańczyków – zanim w 2014 roku Brytyjczycy zakończyli swoją misję bojową, Amerykanie ogłosili, że ewakuują wszystkie swoje siły poza oddziałami pomocniczymi, a NATO (zaangażowane w Afganistanie od 2003 roku) wycofało się, przekazując całość odpowiedzialności afgańskiemu rządowi. Mało który obiektywny obserwator mógł wtedy z czystym sumieniem stwierdzić, że długa misja zachodnich mocarstw w Afganistanie zakończyła się bezdyskusyjnym sukcesem. Kolejne wydarzenia miały potwierdzić tę pesymistyczną konkluzję: afgański rząd okazał się niezdolny do powstrzymania wznowionej przez talibów ofensywy, co skłoniło Waszyngton do cofnięcia wcześniej decyzji o wycofaniu. W 2017 roku ogłoszono, że kolejne tysiące amerykańskich żołnierzy zostaną wysłane do Afganistanu.

To, co zaczęło się przede wszystkim jako amerykańska akcja odwetowa, przerodziło się w wojnę prowadzoną przez globalną koalicję sił z aż 43 krajów, w większości członków NATO. Kraje europejskie były w nią mocno zaangażowane. Z ponad 130 000 zagranicznych żołnierzy, którzy w szczytowym momencie konfliktu, w 2011 roku, stacjonowali w Afganistanie, około 90 000 stanowili Amerykanie. Większość pozostałych przyjechała z Europy. Największy europejski kontyngent, około 9500 żołnierzy, wystawiła Wielka Brytania, ale znaczące siły przysłali również Niemcy (około 500), Francuzi (4000) i Włosi

(4000). Siły NATO znacząco zasiliły także Polska, Rumunia, Turcja i Hiszpania, a liczne inne kraje europejskie przysłały mniejsze kontyngenty.

Jak w XIX wieku nauczyli się Brytyjczycy, a w latach 80. Sowieci, Afganistan jest wyjątkowo nieprzyjaznym terytorium dla sił okupacyjnych. Potwierdziło się to po raz kolejny w pierwszych latach XXI wieku. Po części wynikało to z faktu, że całościowe cele wojny w Afganistanie nie zostały jasno nakreślone. Czy chodziło po prostu o zniszczenie Al-Kaidy i wyeliminowanie talibów, czego, mimo mylących, początkowych sukcesów, zdecydowanie nie udało się osiągnąć? Czy też cel był szerszy – może, jak twierdził Blair, chodziło ni mniej, ni więcej, tylko o zbudowanie w Afganistanie funkcjonującej demokracji? „Budowaliśmy tam państwo” – napisał później. Oczywiście te dwa cele były ze sobą powiązane. Uważano, że po to, by zniszczyć demona terroru, afgańskie upadłe państwo musi zastąpić nowoczesny rząd, oparty na mocnych podstawach. Jednak w zrozumiałym pragnieniu, by jak najszybciej ukarać sprawców tragedii z 11 września, problemy związane z realizacją tego szerszego celu nie zostały dostatecznie wzięte pod uwagę. Osadzenie liberalnej demokracji na tak jałowym gruncie było niewdzięcznym, jeżeli nie wręcz niemożliwym do wykonania zadaniem. Nie udało się to w większości krajów Europy po pierwszej wojnie światowej. W Afganistanie perspektywy były jeszcze mniej zachęcające. W najbardziej optymistycznym scenariuszu było to zadanie na pokolenia, a nie na kilka lat. Jednak kiedy siły wysłane, by zniszczyć talibów i Al-Kaidę, już się tam znalazły, nie było łatwego sposobu na wyplątanie się z szybko pogarszającej się sytuacji. Terror, jak szybko stało się jasne, zagościł tam na dobre – zresztą nie tylko w Afganistanie.

To był drugi poważny błąd przy podejmowaniu decyzji o rozpoczęciu wojny w Afganistanie. Amerykanie i ich europejscy sojusznicy nie docenili nowego charakteru, skali i śmiertelnego zagrożenia, jakie niósł ze sobą międzynarodowy terrorizm. Zjawisko to nie było całkowicie nowe; istniało na Bliskim Wschodzie i było znane zachodnim agencjom wywiadowczym od blisko trzech dekad. Oczywiście kilka europejskich krajów miało też wcześniej do czynienia z wewnętrznym terroryzmem. Przemoc stosowana przez IRA w poważny sposób

ciężała na Irlandii Północnej (i w mniejszym stopniu na samej Anglii) od końca lat 60. Hiszpania miała podobny problem z baskijską organizacją separatystyczną, ETA. Zarówno Niemcy Zachodnie, jak i Włochy musiały w latach 70. walczyć z zagrożeniem stwarzanym przez rodzimy terroryzm. Choć każdy z tych przejawów terroru pociągał za sobą śmierć i zniszczenie, terroryzm islamski XXI wieku miał zupełnie inny charakter i niósł ze sobą nieskończenie większe zagrożenie. Wcześniejsze organizacje terrorystyczne działały w ograniczonej skali. Ich celem były państwa narodowe. Chciały wywalczyć narodową niepodległość (jak IRA i ETA) albo atakowały kapitalizm w konkretnych państwach (jak Baader-Meinhof w Niemczech Zachodnich i Czerwone Brygady we Włoszech). Ich terror był wymierzony przede wszystkim w przedstawicieli państwa i systemu, który atakowali – polityków, żołnierzy, policjantów, liderów świata biznesu. Oczywiście ich ataki pociągnęły za sobą wiele przypadkowych ofiar. Ich liczba byłaby jednak znacznie wyższa, gdyby nie przesyłane (zazwyczaj) ostrzeżenia o podłożonych bombach. Co więcej, sami terroryści chcieli najczęściej ująć z życiem z pułapek, które zastawiali na innych.

Wraz z islamskim terroryzmem wszystko to się zmieniło. Działał on w skali globalnej, a nie krajowej. Był zdecentralizowany i umiędzynarodowiony, jeżeli chodzi o jego działaczy, cele, zakupy broni i wykorzystanie współczesnych mediów do szerzenia swojej propagandy. Jego przedstawiciele – to ważna zmiana – byli skłonni, a nawet chętni do tego, by zginąć w trakcie przeprowadzania ataków terrorystycznych, widząc w sobie męczenników apokaliptycznego dzieła. A dzieło to było całkowicie nieograniczone: zniszczenie poprzez islamską rewolucję wszystkich zachodnich, liberalnych wartości i zastąpienie ich „prawdziwymi” wartościami fundamentalistycznego islamu. Kulturę, która miała zostać zniszczona, uosabiały Stany Zjednoczone i ich sojusznicy. Zagłada miała spotkać także Izrael czy szerzej Żydów, którzy (jak głosił aktualny wariant odwiecznych teorii spiskowych) stali rzekomo za potęgą Zachodu. By osiągnąć te chiliastyczne cele, islamski terroryzm nie tylko akceptował ofiary cywilne. Aktywnie zabiegał o to, by maksymalizować liczbę niewinnych osób zabijanych w atakach. Według tego toku

myślenia, im większy szok uda się wywołać, tym bardziej wpływ terroru będzie odczuwalny, a co za tym idzie, tym bardziej potęga Zachodu zostanie osłabiona i tym bliższe realizacji będą cele terroru.

W Europie panowało powszechne zrozumienie dla prowadzonej przez Amerykanów wojny w Afganistanie – przynajmniej na jej wczesnym etapie. Cel, jakim było zniszczenie talibów i Al-Kaidy, cieszył się dużym poparciem. Przed 2001 rokiem wielu Europejczyków miałoby zapewne kłopot z wymienieniem stolicy Afganistanu. Wkrótce jednak nazwy takie jak Kandahar, prowincja Helmand, Hindukusz czy Laszkargah na trwałe zagościły w telewizyjnych wiadomościach. Częste i smutne informacje o zabitych zachodnich żołnierzach lub licznych niewinnych ofiarach samobójczych zamachów jasno pokazywały, że wojna przeciąga się w nieskończoność. Stanowiły niezbity dowód, że wróg bynajmniej nie został rozbity. Stopniowo, lecz nieubłagane początkowa popularność wojny malała.

Tak czy inaczej, zainteresowanie Afganistanem wkrótce zeszło na drugi plan za sprawą drugiego frontu „wojny z terrorem”. Inwazja na Irak, przeprowadzona w marcu 2003 roku przez siły pod wodzą Amerykanów, wspierane głównie przez Brytyjczyków, okazała się dużo bardziej kontrowersyjna niż ta na Afganistan. Od początku spotkała się z gorącym sprzeciwem i szybko ujawniła swoje fatalne w skutkach konsekwencje.

Dla Europejczyków wojna przeciwko rządzonemu przez Saddama Husajna Irakowi była całkowicie inną kwestią niż wojna, której celem było wykorzenienie i zniszczenie Al-Kaidy i talibów w Afganistanie. Nic nie łączyło Saddama ze spiskiem bin Ladena przeciwko Ameryce. W przeciwieństwie do Afganistanu nie było więc powodu do odwetu. Argument za przeprowadzeniem inwazji należało oprzeć na całkowicie innych podstawach. Okazało się to wysoce kontrowersyjne. Wszelki atak na Irak rodził między innymi niewygodne pytania o uzasadnienie prawne. A jego szersze konsekwencje były niemożliwe do oszacowania. Były niebezpiecznym rozszerzeniem „wojny z terrorem”. Kwestie związane z nową wojną podzieliły zarówno rządy, jak i rodziny w całej Europie.

Bez wątpienia Saddam był brutalnym dyktatorem, który z pomocą swojej partii Baas i budzącego grozę aparatu bezpieczeństwa rządził Irakiem żelazną ręką. Terroryzował własny naród i – jak jasno pokazała inwazja na Kuwejt w sierpniu 1990 roku – stanowił zagrożenie dla całego regionu. Tortury, doraźne egzekucje i inne przykłady poważnego pogwałcenia praw człowieka były za jego rządów na porządku dziennym. W wojnie z Iranem i przeciwko Kurdom w północnym Iraku użył broni chemicznej. Polityczne, etniczne i religijne zabójstwa – te ostatnie dotyczące najczęściej stanowiących większość populacji szyitów, prześladowanych przez rządzących krajem sunnitów – pochłonęły prawdopodobnie ponad ćwierć miliona ofiar, nie licząc tych, którzy zginęli w wojnie z Iranem w latach 80. i w wojnie w Zatoce w 1991 roku. Po części w wyniku szeroko zakrojonych sankcji gospodarczych, nałożonych przez ONZ w 1990 roku po inwazji na Kuwejt i utrzymanych przez całą dekadę, ale również z powodu brutalnych represji, Saddam wpędził większość społeczeństwa bogatego niegdyś kraju w nędzę. Był to przerażający zapis dokonań odrażającego reżimu i nienawistnego dyktatora. Czy dawało to jednak krajom zachodnim pod wodzą Stanów Zjednoczonych prawo do podejmowania działań zbrojnych w celu pozbawienia Saddama władzy?

Irak już w latach 80. był klasyfikowany przez amerykańskich doradców politycznych jako „państwo zbójcekie”, którego definicja obejmowała między innymi budowanie „broni masowej zagłady”. Kilku prominentnych „neokonserwatystów” (jak zaczęto ich nazywać) – ideologicznie przekonanych do wykorzystywania amerykańskiej hegemonii militarnej do wprowadzania międzynarodowego *pax americana*, i zajmujących później ważne stanowiska w administracji Busha – już w 1998 roku namawiało prezydenta Clintona do podjęcia działań zbrojnych przeciwko Saddamowi. Już w lipcu 2001 roku, a więc trzy miesiące przed atakiem na bliźniacze wieże, Departament Obrony, kierowany przez wpływowego „neokona”, Donalda Rumsfelda, miał przygotowane konkretne plany interwencji wojskowej w Iraku. W dzień po tragicznych wydarzeniach

w Nowym Jorku gabinet Busha rozważał tę kwestię, ale w tym momencie Afganistan miał oczywisty priorytet. To jednak wkrótce miało się zmienić.

W swoim przemówieniu do Kongresu, wygłoszonym 29 stycznia 2002 roku, zaledwie miesiąc po obaleniu talibów, kiedy ostateczne zwycięstwo w Afganistanie wydawało się pewne, prezydent Bush wskazał Irak jako element „osi zła”, która poprzez wejście w posiadanie broni masowej zagłady zagraża światowemu pokojowi. W kolejnych miesiącach stało się oczywiste, że uwaga Amerykanów zwraca się ku Irakowi jako następnemu etapowi „globalnej wojny z terroryzmem”. Wystąpienie Busha o „osi zła” zdobyło w Stanach Zjednoczonych wielką popularność. Opinia publiczna była wstrząśnięta po 11 września i w przeważającej większości popierała zmasowany atak prezydenta na to, co postrzegano jako źródło globalnego terroryzmu. Dla tych działań istniało również ponadpartyjne poparcie. Już w grudniu 2001 roku republikańscy i demokratyczni senatorowie przypomnieli prezydentowi, że jego polityka ma zmierzać do „zmiany reżimu” i wezwali do obalenia Saddama. Irak w oczywisty sposób znalazł się teraz wysoko na liście amerykańskich celów.

Przywódcy europejskich rządów – i obywatele ich krajów – byli w większości dużo bardziej powściągliwi. Niepokoiło ich rosnące prawdopodobieństwo wojny w Iraku i jej możliwe konsekwencje. Nie widzieli żadnego realnego związku pomiędzy zagrożeniem ze strony Al-Kaidy a Irakiem. Skwapliwość, z jaką Tony Blair zaoferował prezydentowi Bushowi brytyjskie wsparcie, była bezspornie wyjątkowa. Blairem, podobnie jak Bushem, od samego początku powodowało gwałtowne emocjonalne przekonanie o pilnej potrzebie wyeliminowania za pomocą siły poważnego, egzystencjalnego zagrożenia dla porządku międzynarodowego, za które uważał posiadanie przez Irak broni masowej zagłady. Kiedy w kwietniu 2002 roku odwiedził prezydenta Busha na jego ranchu w Teksasie, doszedł już do wniosku, że „usunięcie Saddama wyświadczyłoby przysługę światu, a w szczególności narodowi irackiemu”. Widział skuteczność zachodniej interwencji podjętej w celu ochrony populacji Kosowa w 1999 roku, a w kolejnym roku nakazał brytyjskim żołnierzom interwencję – która ponownie okazała się

skuteczna – w wojnie domowej w Sierra Leone (dawnej kolonii brytyjskiej). Ostatnio był świadkiem obalenia talibów (na dobre, jak się wtedy wydawało) w Afganistanie. Blair poparł więc cel „zmiany reżimu” w Iraku z niemal misjonarskim zapalem. Brytyjskie wsparcie dla Stanów Zjednoczonych nie mogło jednak, jak przyznał, opierać się na zniszczeniu Saddama jako tyrana, bez względu na to, jak bardzo byłoby to pożądane. Nie wystarczyłoby to w świetle prawa międzynarodowego ani też do przekonania obywateli brytyjskich do wojny. Kluczową kwestią, jak podkreślał, było posiadanie broni masowej zagłady.

Amerykańskie i brytyjskie służby wywiadowcze wierzyły, że Saddam odbudowuje irackie arsenały broni biologicznej i chemicznej, które ONZ nakazał mu zniszczyć w 1991 roku, po pierwszej wojnie w Zatoce. Z wielkimi oporami i pod groźbą ataku za niezastosowanie się do Rezolucji nr 1441 Rady Bezpieczeństwa ONZ Saddam zezwolił zespołowi oenzetowskich inspektorów rozbrojeniowych pod wodzą szwedzkiego dyplomaty, Hansa Blixa, na wjazd do swojego kraju w listopadzie 2002 roku. Kiedy zespół Blixa złożył raport 7 marca 2003 roku, stwierdził w nim, że nie znalazł nic. Wówczas jednak ustalenia te miały drugorzędne znaczenie. Amerykańska administracja podjęła już decyzję. Dwa miesiące wcześniej prezydent powiedział Rumsfeldowi i sekretarzowi stanu, Colinowi Powellowi, że jest zdeterminowany, by pójść na wojnę z Saddamem. Blair także dawno już się namyślił. W lipcu poprzedniego roku napisał prywatną i poufną notatkę do Busha. „Będę z tobą, bezwarunkowo” – zapewnił prezydenta.

Po podjęciu decyzji o pójściu na wojnę trzeba było jeszcze przekonać amerykańską i brytyjską opinię publiczną, że Saddam rzeczywiście zagraża Zachodowi bronią masowej zagłady, mimo że inspektorzy rozbrojeniowi niczego nie znaleźli. Zarówno administracja Busha, jak i rząd Blaira w obliczu rosnącego sceptycyzmu opinii publicznej nadal twierdziły, że broń zostanie w końcu odnaleziona, opierając się na niedoskonałych, niesprawdzonych i spekulatywnych raportach swoich agencji wywiadowczych. Chciano w ten sposób przeforsować tezę, która od początku była pełna luk. Sekretarz stanu Powell 5 lutego 2003 roku powiedział na sesji plenarnej Rady Bezpieczeństwa ONZ, że „nie należy wątpić, że

Saddam Husajn ma broń biologiczną i możliwość szybkiego wyprodukowania dużo, dużo większych jej ilości”. Blair w 2002 roku niestrudzenie przekonywał brytyjską opinię publiczną, że celem w Iraku jest rozbrojenie, a nie zmiana reżimu. Jednak we wrześniu 2002 roku i w lutym 2003 roku jego rząd, by przygotować opinię publiczną na zbrojną interwencję w Iraku, wypuścił dossier, utrzymujące, że Saddam posiada broń masowej zagłady, buduje arsenał nuklearny i wkrótce będzie w stanie zaatakować Londyn w ciągu 45 minut. Był to alarmistyczny scenariusz, ale jak się okazało, całkowicie nieprawdziwy.

Takie deklaracje polityków osiągnęły jednak swój cel. W listopadzie 2002 roku Kongres dał prezydentowi Bushowi wolną rękę, by podjął takie działania przeciwko Irakowi, które uzna za stosowne do obrony bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych. Tylko około jedna trzecia członków Izby Reprezentantów i Senatu (w przeważającej większości demokraci) odmówiła poparcia. Odsetek opinii publicznej sprzeciwiający się działaniom militarnym był nawet mniejszy – według sondaży przeprowadzonych w lutym 2003 roku stanowisko takie zajmowała tylko nieco ponad jedna czwarta Amerykanów. Większość uważała działania przeciwko Irakowi za usprawiedliwione, choć wolałaby, żeby miały one mandat ONZ. Było jasne, że społeczeństwo dało się przekonać deklaracjami prezydenta i sekretarza stanu. Jak pokazywały sondaże, większość obywateli uwierzyła, że za 11 września stał Irak.

Brytyjska Izba Gmin 18 marca 2003 roku poparła inwazję na Irak nawet wyraźniejszą większością, niż zrobił to amerykański Kongres (stosunkiem 412 do 149 głosów). Przeciwno opowiedziała się nie więcej niż jedna czwarta laburzystowskich deputowanych i tylko dwóch konserwatystów. Opinia publiczna była mniej przekonana do wojny niż w Stanach Zjednoczonych: poparło ją 54 procent, a przeciw było 38 procent pytanych, jednak z badań wynikało, że poparcie to jest kruche i może zacząć szybko topnieć. Podobnie jak w USA, brytyjska opinia publiczna (i parlament) przekonała się do konieczności wojny w oparciu o fałszywe przesłanki. Niemal na pewno nie było tak, jak później wielokrotnie twierdzono, że Bush i Blair celowo kłamali, agitując za wojną. Mimo to obydwaj, choć pochodzili



z przeciwstawnych końców politycznego spektrum (republikański prezydent i laburzystowski premier), wprowadzili swoich obywateli w błąd. Świadomie użyli niezwyfikowanych i niepełnych raportów wywiadu, by wesprzeć argumentację opartą w końcowym rozrachunku jedynie na ich niezachwianej wierze – niezależnie od ustaleń zespołu inspektorów Blixa – że Saddam rzeczywiście posiada broń masowej zagłady. Obaj byli zdeterminowani, by „zmienić reżim” w Iraku, choć ukrywali ten motyw – Blair bardziej niż Bush – za potrzebą wyeliminowania bezpośredniego zagrożenia, które stwarzał on dla świata. I obaj – tym razem Bush bardziej niż Blair – byli w razie potrzeby gotowi działać bez sankcji ONZ.

W miesiącu poprzedzającym decyzję brytyjskiego parlamentu przez Wielką Brytanię i całą Europę przetoczyła się fala protestów przeciwko wojnie w Iraku. Około miliona ludzi, w jednym z największych marszów protestacyjnych w brytyjskiej historii, demonstrowało 15 lutego 2003 roku w Londynie. Antywojenne demonstracje odbyły się również w Niemczech, Francji, Grecji, na Węgrzech, w Irlandii, krajach Beneluksu, Portugalii i innych krajach europejskich. Największe miały miejsce we Włoszech (około trzech milionów) i w Hiszpanii (1,5 miliona). Szacuje się, że na całym świecie w antywojennych demonstracjach wzięło udział ponad 10 milionów ludzi.

Perspektywa wojny z Irakiem podzieliła Europę głębiej niż jakakolwiek inna kwestia od czasu upadku żelaznej kurtyny. Podczas gdy tradycja „specjalnych stosunków” z Ameryką skłaniała Blaira, podobnie jak w przypadku Afganistanu, by instynktownie i bezkrytycznie stanąć „ramię w ramię” z prezydentem Bushem, Francja, rządzona przez prezydenta Chiraca, przyjęła diametralnie odmienną perspektywę. Kraj ten oczywiście już od czasów Charlesa de Gaulle’a wplatał silnie antyamerykańskie wątki w swoją politykę zagraniczną. Jednak stanowisko Chiraca w sprawie wojny w Iraku miało niewiele lub zgoła nic wspólnego z tradycyjnym francuskim antyamerykanizmem. Jego uzasadnione obiekcje opierały się na tym, że wojna w Iraku rozpali w świecie muzułmańskim antyzachodnie nastroje. W styczniu 2003 roku jasno dał do zrozumienia, że Francja

nie weźmie udziału w żadnych działaniach militarnych. Gerhard Schröder, szef niemieckiej koalicji rządowej, składającej się z socjaldemokratów i zielonych, także zdecydowanie sprzeciwił się wojnie. Niemcy w istocie poszły jeszcze dalej niż Francja, deklarując, że nie wezmą w niej udziału, nawet jeżeli uda się uzyskać mandat ONZ. Belgia i Luksemburg poparły linię Francji i Niemiec. Sama Unia Europejska była jednak podzielona. Holandia, Włochy, Hiszpania, Portugalia i Dania oraz wszystkie kraje, które kiedyś znajdowały się po drugiej stronie żelaznej kurtyny, później przystąpiły do NATO, a teraz przygotowywały się do członkostwa w Unii Europejskiej, poparły wojnę. Podział przebiegał nie tylko w poprzek Unii Europejskiej; był to również najpoważniejszy kryzys w historii NATO od czasu powstania sojuszu w 1949 roku. Niektóre państwa NATO przystąpiły do koalicji; inne nie. Samo NATO nie wzięło udziału w planowanej inwazji, choć jego siły zapewniały defensywne wsparcie Turcji (która czuła się zagrożona przez sąsiedni Irak).

„Koalicja chętnych”, jak Amerykanie nazwali kraje gotowe wesprzeć militarną interwencję, nie mogła liczyć na taki poziom międzynarodowego wsparcia (szczególnie na Bliskim Wschodzie), jak podczas pierwszej wojny w Zatoce – którą powszechnie uznawano za uzasadnioną interwencję, mającą zablokować oczywistą agresję Iraku na inny kraj. Kiedy do inwazji rzeczywiście doszło, oprócz Stanów Zjednoczonych tylko Wielka Brytania i, w niewielkiej liczbie, Polska i Australia wysłały jednostki bojowe.

Neokonserwatywna prawica w Ameryce odpowiedziała na te głębokie podziały w Europie, podgrzewając antyeuropejskie nastroje w Stanach Zjednoczonych. Sekretarz obrony, Donald Rumsfeld, atakował Francję i Niemcy jako przedstawicieli „starej Europy”, chwając dla odmiany kraje Europy Środkowej i Wschodniej, które, stając po stronie USA i Wielkiej Brytanii, tworzyły „nową Europę”. Szczególną anatemią objęto Francuzów. W jednym z artykułów prasowych z 2002 roku w wyjątkowo obelżywy sposób określono ich (nawiązując do kapitulacji w 1940 roku) mianem „tchórzliwych, serożernych małą”. Frytki, w języku angielskim określane jako „francuskie” („French fries”), zostały

w kafeteriach amerykańskiego Kongresu przechrzczone na „frytki wolności” (choć większość Amerykanów uznała ten gest za głupi, a francuska ambasada przypomniła, że francuskie frytki w rzeczywistości pochodzą z Belgii). Jednak za tymi absurdami kryła się poważniejsza refleksja dotycząca rozbieżności w amerykańskim i europejskim podejściu do wojny. „Dzisiaj w najważniejszych kwestiach strategicznych i międzynarodowych Amerykanie są z Marsa, a Europejczycy z Wenus: w niewielu sprawach się zgadzają i coraz mniej rozumieją się nawzajem”, pisał Robert Kagan, autor głośnej książki *Potęga i raj*, opublikowanej w 2003 roku. „Amerykańscy przywódcy”, złowrogo konkludował Kagan, „powinni sobie uświadomić (...), że Europa nie jest w stanie powstrzymać Ameryki”.

Rezolucja 1441 Rady Bezpieczeństwa z listopada 2002 roku dała Saddamowi Husajnowi „ostatnią okazję”, by podporządkować się żądaniom dotyczącym inspekcji. Nie wyrażono w niej jednak wprost groźby, że odmowa pociągnie za sobą działania zbrojne. Nie było też jasne, czy Saddam unikał pełnego podporządkowania się inspekcji. Sam Blix wypowiadał się w tej sprawie niejednoznacznie, choć w lutym sugerował, że współpraca się polepsza. Saddam też sam sobie nie pomagał. Błefując, by powstrzymać działania zbrojne, nigdy kategorycznie nie zaprzeczył, że posiada taką broń. Był to przewrotny i fatalny w skutkach błąd. Blix informował, że nie znalazł broni masowej zagłady. Czy jednak nie była ona wciąż gdzieś ukryta?

W marcu 2003 roku było jasne, że Francuzi i Rosjanie zawetują każdą kolejną rezolucję Rady Bezpieczeństwa ONZ, aprobującą działania zbrojne w Iraku. Czy jednak nowa rezolucja była w ogóle potrzebna? Amerykanie, na tym etapie ewidentnie zniecierpliwieni powolnością ONZ, byli już zdeterminowani, by działać – z rezolucją lub bez niej. W Londynie wysoce wątpliwą opinię prawną przedstawił rządowi prokurator generalny, Lord Goldsmith, według którego taka akcja spełniałaby warunki opisane w Rezolucji 1441 (choć początkowo przyjmował diametralnie inne stanowisko). Wraz z nią brytyjski rząd – oprócz ministra spraw zagranicznych, Robina Cooka, który podał się do dymisji – był

gotowy do działania. Wojna zaczęła się bez mandatu ONZ. W konsekwencji brakowało jej międzynarodowej legitymizacji. Stany Zjednoczone samodzielnie zdecydowały, nie oglądając się na prawo międzynarodowe, jak i kiedy będą prowadziły wojnę.

Inwazja na Irak zaczęła się 20 marca 2003 roku. Armia Saddama nie miała oczywiście szans z (głównie) amerykańskimi siłami inwazyjnymi. W ciągu trzech tygodni kampania militarna odniosła sukces. Bagdad został zdobyty 12 kwietnia i walki ustały. Straty koalicji były minimalne. Zdjęcia pomnika Saddama, obalanego przez tłum w centrum miasta, obiegły światowe telewizje. Sam Saddam uciekł, choć zakładano, że jest tylko kwestią czasu, kiedy zostanie złapany. (Rzeczywiście schwytano go w listopadzie 2003 roku w okolicach rodzinnego miasta Tikrit. Później był sądzony przez iracki sąd za zbrodnie przeciwko ludzkości, skazany na śmierć i powieszony 30 grudnia 2006 roku). Wojna się skończyła, a dyktatorski reżim został obalony, czemu towarzyszyło zarówno uczucie ulgi, jak i samozadowolenia. W scenie przesyconej nadzwyczajną pychą, na pokładzie amerykańskiego lotniskowca USS Abraham Lincoln, 1 maja, prezydent Bush, ubrany w mundur lotnika, przemawiał do marynarzy (i świata oglądającego go w telewizji) pod transparentem głoszącym: „Misja wykonana”. Tymczasem tak naprawdę długie lata chaosu i przerażającego rozlewu krwi, które pociągnęły za sobą trwałe konsekwencje dla Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników, dopiero się zaczynały.

Przed inwazją prezydent Bush mówił o budowaniu demokratycznego Iraku. Ale Irak nie był Niemcami z 1945 roku. Okupanci mieli minimalną wiedzę o problemach, z którymi przyszło im się zmierzyć, jak również o niuansach irackiej kultury i polityki. Administracja okupowanego Iraku, kierowana przez dyplomatę, Paula Bremera, okazała się całkowicie niekompetentna, a próby rozwiązania Partii Baas i irackiej armii – fatalnymi w skutkach golami do własnej bramki. Zdominowany przez szyitów rząd, zainstalowany przez Amerykanów, jeszcze pogłębił religijny konflikt, jawnie dyskryminując sunnicką mniejszość – zdegradowaną z dawnej rządzącej elity do obywateli drugiej kategorii. Jeszcze

gorsze były tortury i poniżające traktowanie irackich więźniów przez ich amerykańskich strażników w więzieniu Abu Ghraib, o czym świat dowiedział się z telewizji w 2004 roku. Reputacja Stanów Zjednoczonych już wcześniej została zszargana przez sposób, w jaki traktowano kilkuset więźniów, głównie z Afganistanu, podejrzewanych o terroryzm i przetrzymywanych bez procesu w utworzonym w styczniu 2002 roku obozie tymczasowym w Guantanamo na Kubie. Teraz sięgnęła dna. Abu Ghraib wydawał się kpina z humanitarnych wartości i sprawiedliwości, które Stany Zjednoczone – i reszta zachodniego świata – miały rzekomo reprezentować. Bez względu na to, z jak dobrą wolą witano początkowo USA i Wielką Brytanię ze względu na położenie kresu tyranii Saddama Husajna, teraz zastąpiła ją powszechna i narastająca nienawiść do okupantów Iraku. Codzienne życie przebiegało w cieniu politycznej anarchii i niekontrolowanej przemocy. Saddam był potworny. Ale to, co go zastąpiło, za sprawą źle pomyślanej i jeszcze gorzej przeprowadzonej okupacji, której brakowało jakiegokolwiek spójnej koncepcji postsaddamowskiego porządku, było w oczach wielu jeszcze gorsze. Fatalne konsekwencje wykraczały daleko poza sam Irak.

Inwazja, traktowanie Iraku przez zdobywców i próżnia władzy, która nastąpiła po upadku dyktatury Saddama Husajna, były darem z niebios dla międzynarodowego terroryzmu islamskiego. Po wojnie w Iraku liczba międzynarodowych zamachów terrorystycznych, rosnąca już w drugiej połowie lat 90., wystrzeliła w górę. W 1996 roku było 500 takich incydentów, w 2003 roku już 1800, a w 2006 roku – blisko 5000. Najbardziej cierpiał na tym sam Bliski Wschód. Tylko w Iraku w 2004 roku doszło do około 26 500 ataków terrorystycznych. Liczbę Irakijczyków zabitych w walce z okupacją i bratobójczym konflikcie, rozdzierającym kraj po inwazji, szacuje się na pół miliona. Świat zachodni ucierpiał stosunkowo nieznacznie. Pomiędzy rokiem 1998 a 2006 cele dżihadu w Wielkiej Brytanii stanowiły cztery procent wszystkich, w Hiszpanii dwa procent, w Turcji cztery procent, w Rosji 11 procent (głównie w związku z konfliktem na Zakaukaziu, szczególnie w Czeczenii), a w USA dwa procent.

Niemniej, po wojnach w Afganistanie i Iraku Europa nie mogła uniknąć zwiększonego zagrożenia międzynarodowym terroryzmem.

Wielka Brytania, jako najważniejszy sojusznik Stanów Zjednoczonych (i byłe imperium kolonialne), była szczególnie zagrożona. Jej bliskie związki z Pakistanem stwarzały dobrą okazję do krzewienia dżihadystycznych idei i rekrutowania ochotników wśród społeczności z pakistańskimi korzeniami. Dżihadystyczne siatki, z których wiele było powiązanych lub inspirowanych przez Al-Kaidę, zostały również odkryte przez służby wywiadowcze w kilku innych krajach europejskich, w tym w Niemczech, we Francji, we Włoszech, Hiszpanii, Holandii, Belgii, Polsce, Bułgarii i Czechach. Upowszechnienie internetu znacznie ułatwiło dżihadystom indoktrynację w Europie i poza nią. Liczba propagujących terroryzm stron internetowych wzrosła z około 12 w 1998 roku do ponad 4700 w 2005 roku.

Rozpoznanie co do potencjalnych ataków, przeprowadzane przez służby specjalne, stanowiło główną linię obrony przed ofensywą terrorystów. Nie zawsze to jednak wystarczało. Rankiem 11 marca 2004 roku bomby umieszczone w zatłoczonych pociągach podmiejskich w Madrycie zabiły 192 osoby i raniły około 2000. Bin Laden groził krokami odwetowymi wymierzonymi w europejskich sojuszników Ameryki. Hiszpański rząd kierowany przez José Marię Aznara z konserwatywnej Partido Popular poparł wojnę, choć krok ten był niepopularny wśród samych Hiszpanów. Zamach w Madrycie miał oczywisty polityczny motyw. W wyborach parlamentarnych, które odbyły się trzy dni później, Aznar zapłacił za to cenę. Sondaże wskazują na to, że po wybuchach wielu wyborców przerzuciło swoje głosy na partię socjalistyczną, która sprzeciwiała się wojnie. Po zwycięstwie w wyborach nowy premier, José Luis Rodriguez Zapatero, szybko wycofał hiszpańskich żołnierzy z Iraku.

Rok później terroryści uderzyli w Wielką Brytanię. 7 lipca 2005 roku trzy bomby w londyńskim metrze i czwarta w autobusie w centrum miasta, zdetonowane przez islamskich terrorystów, zabiły 52 osoby i raniły kolejne 700. Wszyscy zamachowcy samobójcy byli obywatelami brytyjskimi, nieznanymi

służbom specjalnym. Twierdzili, że działają jako żołnierze islamu, w odwecie za prześladowanie muzułmanów przez Brytyjczyków w Afganistanie, Iraku i innych krajach. Wielka Brytania doświadczyła już raz wcześniej, w grudniu 1988 roku, poważnego ataku terrorystycznego związanego z Bliskim Wschodem, kiedy libijska bomba umieszczona w amerykańskim samolocie pasażerskim eksplodowała nad szkockim Lockerbie, w drodze z Londynu do Nowego Jorku, zabijając wszystkich 259 pasażerów i członków załogi (i kolejne 11 ofiar na ziemi, które zginęły od odłamków spadających z nieba). Oczywistym motywem wydawał się odwet na Stanach Zjednoczonych za amerykańskie naloty na Libię w latach 80. Jednak w przeciwieństwie do Lockerbie zamachy z lipca 2005 roku miały miejsce w sercu stolicy i były wymierzone nie w Amerykę, ale w samą Wielką Brytanię. Wojna, toczona w krajach muzułmańskich, trafiła rykoszetem do Europy.

Kolejne lata pokazały, że żaden europejski kraj nie mógł czuć się bezpieczny w obliczu zagrożenia islamskim terroryzmem. Francja i Niemcy, pomimo swojego sprzeciwu wobec wojny w Iraku, nie zostały oszczędzone. Islamski fundamentalizm uderzał tam, gdzie mógł to zrobić najbardziej efektywnie – w łatwe cele, które mogły pociągnąć ze sobą największe straty w ludziach i przynieść największy możliwy rozgłos. Nie był restrykcyjny w doborze wrogów. Atakował zachodnią cywilizację jako całość.

Choć odrodzenie islamu jako poszerzającego się źródła muzułmańskiej tożsamości rozpoczęło się już w latach 70., wojny w Afganistanie i (szczególnie) w Iraku nadały mu ogromną dynamikę. Brzemienna w skutkach interwencja w Iraku i całkowite zaprzepaszczenie wczesnej fazy okupacji przygotowały grunt dla różnorodnych organizacji terrorystycznych, które w kolejnych latach zaczęły prześladować Zachód. Niektóre z najbardziej niebezpiecznych uformowały się wzdłuż religijnych linii podziałów, które pogłębiły się niepomiernie po wojnie w Iraku. Narastający rozdźwięk pomiędzy sunnitami a szyitami powiększył jeszcze i tak rosnący problem islamskiego terroryzmu. Wpływał na skomplikowaną sytuację geopolityczną Bliskiego Wschodu, coraz bardziej destabilizowanego przez Iran wspierający szyitów i Arabię Saudyjską stojącą po stronie sunnitów. Ponieważ

Iran był blisko powiązany z Rosją, a Arabia Saudyjska, gdzie dominowała salaficka odmiana fundamentalistycznego islamu, była najbliższym sojusznikiem Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i innych państw europejskich, Europa mogła być pewna, że nadal będą się na niej odbijać niezaleczone traumy Bliskiego Wschodu.

## **Janusowe oblicze globalizacji**

Koniec komunizmu nadał bardzo silny impuls globalizującej się gospodarce. Na początku lat 90. (o czym była mowa w poprzednim rozdziale) były kraje bloku wschodniego boleśnie odczuwały tego konsekwencje. Jednak w drugiej połowie dekady zaczęły korzystać z dobrodziejstw globalnego wzrostu gospodarczego, podobnie jak Europa Zachodnia. Pomiędzy połową lat 90. a nagłym końcem wzrostu w 2008 roku Europejczycy – zarówno ze wschodu, jak i z zachodu – mogli się cieszyć owocami boomu gospodarczego. Przynajmniej większość z nich. Globalizacja zapewniała materialne korzyści, niewyobrażalne dla wcześniejszych pokoleń. W gospodarce widoczna była nowa dynamika. Światowy handel kwitł, bo dobra przepływały przez granice jak nigdy wcześniej. Pod koniec pierwszej dekady XXI wieku wolumen handlu był sześć razy większy niż w momencie upadku muru berlińskiego. Procentowy udział Europy w globalnej gospodarce spadał jednak długoterminowo od lat 20. Tak, europejska gospodarka rosła, ale inne regiony świata rosły szybciej. W 1980 roku na Europę wciąż przypadała blisko jedna trzecia światowego handlu, ale trzy dekady później było to już tylko około 20 procent. Stworzenie wielkiego bloku handlowego w Europie było jednak wydarzeniem wielkiej wagi. Bez kroków zmierzających do europejskiej integracji ten względny spadek byłby niemal na pewno większy. Rozszerzona Unia Europejska stała się bowiem na przełomie tysiącleci największym blokiem handlowym na świecie, wyprzedzając pod względem wolumenu eksportu i importu Stany Zjednoczone i Chiny.



Produkcja i dystrybucja dóbr zostały w ostatnich latach umiędzynarodowione na bezprecedensową skalę. Największymi beneficjentami tego procesu były ogromne międzynarodowe koncerny (i, coraz częściej, technologiczne giganty). Części samochodowe były coraz częściej produkowane w więcej niż jednym kraju, a składane w jeszcze innym. Japonia, jeden z największych producentów samochodów na świecie, miała duże fabryki części w kilku krajach europejskich: toyoty, hondy i nissany należały do najpopularniejszych aut na europejskich drogach. Konsumenci zaczęli traktować globalizację jako coś oczywistego. Mogli czerpać z rogu obfitości produktów z całego świata, często po zaskakująco niskich cenach. Wydatki konsumenckie rosły jak na drożdżach. Elektronika, zabawki dla dzieci, ubrania i mnóstwo innych towarów płynęło z krajów Azji Wschodniej, które notowały bezprecedensowe tempo rozwoju ekonomicznego – z „gospodarczych tygrysów”, czyli Korei Południowej, Singapuru i Tajwanu, ale przede wszystkim z Chin, których gospodarka wyrosła na drugą na świecie, ustępując tylko Stanom Zjednoczonym. Europa oferowała także coraz większe rynki dla dóbr i doświadczenia w dziedzinie informatyki, na czym korzystały Indie, inna szybko rozwijająca się gospodarka. Półki w europejskich supermarketach ugięły się od oszałamiającego wyboru jedzenia z każdego zakątka globu. Owoce i warzywa, dostępne niegdyś tylko sezonowo, były importowane z odległych krajów. Nieograniczony wybór dań śródziemnomorskich i bliskowschodnich, niezliczona ilość makaronów, orientalnych przypraw i innych produktów żywnościowych mogły zadowolić praktycznie każdy gust. Wina pochodziły już nie tylko z Europy, ale z Australii, Nowej Zelandii, Kalifornii, Chile i Argentyny, i były dostępne w niskich cenach, niewyobrażalnych dla wcześniejszego pokolenia.

W krajach europejskich przemysł wytwórczy kurczył się od dawna, zastępowany niemal wszędzie w roli dominującego sektora gospodarki przez usługi. Pod koniec XX wieku w większości krajów europejskich usługi zatrudniały od dwóch trzecich do trzech czwartych wszystkich pracowników. Już tylko mniejszość pracowała na farmach lub w dużych fabrykach. Większość pracowników była zatrudniona w administracji, organizacji lub sprzedaży, a nie

przy rzeczywistej produkcji dóbr. Logistyka – organizacja globalnego przepływu dóbr – stała się kwitującym sektorem przemysłu i handlu. Pomiędzy rokiem 1990 a 2008 liczba międzynarodowych firm zwiększyła się ponad dwukrotnie. Jeszcze szybciej rosła liczba spółek zależnych. „Outsourcing” – przekazywanie elementów działalności, czy to administracji, produkcji, czy dystrybucji produktów, do podmiotów zależnych, czasami zlokalizowanych za granicą – stał się jednym z kluczowych wyróżników zglobalizowanej gospodarki. Rządy zlecały wykonywanie usług publicznych prywatnym firmom, by ograniczyć wydatki państwowe. Z metody tej w największym stopniu korzystały jednak same firmy prywatne. Obciążenia podatkowe można było zminimalizować, przenosząc się do krajów, w których były one niższe. Relokacja produkcji za granicę, w miejsca, gdzie koszty pracy były niższe, przy jednoczesnym utrzymywaniu siedzib w Europie, sprzyjała pomnażaniu zysków – proces ten nabierał tempa od dziesięcioleci. Dla przykładu już w latach 70. trzy czwarte pracowników holenderskich koncernów międzynarodowych było zatrudnionych za granicą. Outsourcing oznaczał też często przekazywanie niektórych elementów produkcji i łańcucha dystrybucji do osób samozatrudnionych, co uwalniało firmy od kosztownych i kłopotliwych obciążeń związanych z prawem pracy, choć często oznaczało również przerzucanie uciążliwych obowiązków na samozatrudnionych w małych firmach.

Komunikacja i relacje ponadnarodowe uległy w pierwszej dekadzie XXI wieku całkowitej transformacji. Szybkie upowszechnienie internetu, szczególnie po stworzeniu sieci World Wide Web (wynalezionej w 1989 roku przez Tima Bernersa-Lee i udostępnionej szerokiej publiczności dwa lata później), utorowało drogę rewolucji, która zmieniła możliwości komunikacyjne, a także dostępność wiedzy i informacji w zapierającym dech w piersiach tempie i na niewyobrażalną wcześniej skalę. Towary z zagranicy można było zamawiać jednym kliknięciem komputerowej myszy z błyskawiczną dostawą pod drzwi. Ludzie z przeciwnych krańców świata w ciągu kilku sekund mogli kontaktować się ze sobą za pomocą e-maila (drastycznie ograniczając przy okazji zapotrzebowanie na usługi pocztowe).

Równie szybko można było dokonywać transakcji finansowych i transferu kapitału. Europa jako całość po raz pierwszy od drugiej wojny światowej prześcignęła Amerykę pod względem poziomu swoich bezpośrednich inwestycji zagranicznych. Z kolei inwestycje zagraniczne w Europie były pod koniec wieku prawie dwa razy większe niż w Stanach Zjednoczonych. Po wprowadzeniu euro w 2002 roku transakcje walutowe w Europie zostały znacznie uproszczone. Skorzystał biznes, podobnie jak turyści.

Podróżujący mogli korzystać z niezwykle tanich lotów, które pozwalały na łatwy dostęp w celach biznesowych lub turystycznych nawet do bardzo odległych miejsc. Nawet po 11 września, który zamienił lotniska w pilnie strzeżone fortece, apetyt na zagraniczne podróże (i łatwość ich podejmowania) niemal nie osłabł. Międzynarodowa turystyka stała się wielkim biznesem. Ludzie przemieszczali się z kontynentu na kontynent jak nigdy wcześniej. Codziennie stały się wyjazdy na międzynarodowe konferencje i biznesowe spotkania. Studenci, w ramach unijnego programu Erasmus, mogli bez problemu studiować poza swoim krajem, przenosząc swoje indeksy z jednego uniwersytetu na drugi, ponad narodowymi granicami. Z europejskim obywatelstwem znacznie łatwiejsze stało się też poszukiwanie pracy czy domu w innym kraju. Miliony Europejczyków z własnej woli, a nie z ekonomicznej konieczności, żyło teraz poza krajem swojego urodzenia. Kulturowo Europejczycy na całym kontynencie utracili wiele cech – choć z pewnością nie wszystkie – którymi kiedyś różnili się od siebie. Ponad narodowymi granicami doszło do znaczącego ujednoczenia gustów w muzyce (tak popularnej, jak i klasycznej), filmie, teatrze i sztuce. Wschodni i zachodni Europejczycy upodobnili się do siebie pod względem ubioru. Międzynarodowe kanały informacyjne nadawały w dużej mierze te same wiadomości (oczywiście z narodową czy regionalną perspektywą).

Pod tym i wieloma innymi względami globalizacja szybko zmieniała – i to na lepsze – życie ludzi. Na nieskończoną liczbę sposobów okazała się dobrodziejstwem, rozciągającym na zwykłych obywateli sferę materialnego komfortu, która jeszcze pół wieku wcześniej była ograniczona do niewielkiej,

relatywnie zamożnej części społeczeństwa. Głównie dzięki rewolucji komunikacyjnej tendencje globalizacyjne, choć same w sobie nienowe, ogromnie przyspieszyły. Wielkie korzyści wiązały się jednak również z bardzo znaczącymi kosztami. Globalizacja była zjawiskiem niejednoznacznym – o janusowej twarzy – gdzie pozytywom towarzyszyły negatywy. Jedne nie były możliwe bez drugich.

Globalizacja miała wielu zwycięzców, ale i wielu przegranych. Jednym z zaskakujących przejawów jej wpływu była szybko pogłębiająca się dysproporcja dochodów i majątku. W dwóch pierwszych powojennych dekadach nierówności udało się zredukować, ale później zaczęły one ponownie rosnąć, a trend ten jeszcze przyspieszył pod koniec XX stulecia. Dochody najbogatszych 10 procent społeczeństwa, a w jeszcze większym stopniu górnego jednego procenta, rosły w większości krajów znacząco szybciej niż dolnych 10 procent. Dobrze wykształcona, obeznana z zaawansowanymi technologiami klasa menadżerska była w stanie osiągać nieproporcjonalnie duże korzyści – im wyżej na drabinie społecznej, tym ta dysproporcja była większa. Pogłębiała się jaskrawa przepaść między często absurdalnie wysokimi płacami, premiami i pakietami akcji najwyższych menadżerów wielkich firm i instytucji finansowych, a zarobkami przeważającej większości pracowników takich koncernów. Ci, którzy najlepiej potrafili wykorzystać możliwości oferowane przez rynki finansowe, mieli największe szanse na krociowe zyski.

Na drugim końcu spektrum znajdował się nowy proletariat, marnie zarabiający na niestabilnych umowach, często mieszkający w kiepskich warunkach, posiadający niewielkie nadwyżki finansowe lub nieposiadający ich wcale i z tej racji, co nie dziwi, łatwo popadający w długi. W szczególnie niekorzystnej sytuacji znajdowały się kobiety, często zmuszone łączyć obowiązki rodzinne z kiepsko opłacaną pracą w niepełnym wymiarze lub opartą o umowę niedającą żadnych zabezpieczeń. To samo dotyczyło pracowników niewykwalifikowanych, słabo wykształconych, którym brakowało niezbędnych umiejętności czytania i liczenia. W szczególnie trudnej sytuacji byli imigranci lub pracownicy sezonowi, zmuszeni akceptować niskopłatne, niepewne i mało atrakcyjne zajęcia oraz kiepskie warunki

mieszkaniowe, a w dodatku często stykający się z jawną lub zakamuflowaną dyskryminacją. Globalizacja zapewniała rezerwar imigrantów i pracowników przejściowych, który zaspokajał rosnący popyt, więc co bardziej bezwzględni pracodawcy mogli obniżać koszty pracy. To z kolei frustrowało związki zawodowe i reprezentowanych przez nich pracowników, którzy czuli, że imigranci ciągną w dół ich płace.

Na globalizacji korzystał przede wszystkim wielki biznes, podczas gdy dla mniejszych firm często oznaczała ona kłopoty. Sieci supermarketów, dla przykładu, mogły przejąć kontrolę nad rynkiem żywności dzięki swojej potężnej sile nabywczej. Małe sklepy spożywcze, niezdolne do konkurowania w tych warunkach, masowo kończyły działalność. Sprzedaż książek była inną branżą, w której zaczynała się liczyć przede wszystkim ekonomia skali. Małe księgarnie, nie mając szans dorównać potencjałem marketingowym czy oferowanymi zniżkami wielkim sieciom, często wypadały z rynku. Nawet niektóre duże koncerny miały duże problemy z konkurowaniem z Amazonem, który zaczął w 1994 roku w Stanach Zjednoczonych jako internetowa księgarnia, by następnie rozszerzyć swoją działalność na Europę. Używał on technologii komputerowej, co zrewolucjonizowało dostępność książek i tempo dostaw (w kolejnych latach znacznie rozszerzył także swoją ofertę produktową).

Deregulacja rynku finansowego sprzyjała transferowi kapitału do miejsc, które oferowały wyższe zwroty z zainwestowanych środków. „Gorący pieniądź” mógł błyskawicznie płynąć ponad granicami, napotykając niewielkie ograniczenia lub wręcz nie napotykając żadnych. Globalne rynki finansowe nie podlegały już limitom narzucanym przez rządy narodowe. Spekulacje na rynkach finansowych mogły szybko przynieść gigantyczne zyski albo też ogromne straty, tak jak to miało miejsce po pęknięciu w 2001 roku „bańki internetowej”, podczas której tyleż masowo, co lekkomyślnie inwestowano w nowe firmy, zakładane na fali szybkiego rozwoju internetu. Ci, którzy akumulowali świeżo zgromadzony majątek albo go odziedziczyli, mogli szybko i dyskretnie pomnażać pieniądze w bankach poza krajem zamieszkania, korzystając z wyjątkowo niskich stawek podatkowych.

W Europie w takich usługach specjalizowały się Luksemburg, Szwajcaria, Andora, Wyspy Normandzkie i Wyspa Man.

Dla nikogo nie powinno być zaskoczeniem, że w czasie globalizacyjnego boomu, trwającego od połowy lat 90. do 2008 roku, nie tylko różnice w dochodach, ale również te majątkowe gwałtownie wzrosły. Właściciele nieruchomości bez wysiłku pomnażali swoje bogactwo, bo ceny na tym rynku poszły gwałtownie w górę. Wielu należało do klasy średniej o stosunkowo skromnych dochodach, ale fakt posiadania domów sprawił, że wzbogacili się niepomiarowo. W niektórych europejskich metropoliach – Londyn był tu najlepszym przykładem – bogaci zagraniczni inwestorzy wykupili większość najatrakcyjniejszych nieruchomości. Większość zwykłych obywateli została jednak wypchnięta z rynku przez wysokie ceny. Szczególnie młodzi ludzie, jeżeli nie odziedziczyli majątku, nie mogli nawet marzyć, że kiedykolwiek będzie ich stać na choćby skromny dom jednorodzinny. Budziło to zrozumiałą frustrację.

Rażące nierówności w dochodach i majątku były mniej dotkliwe w krajach skandynawskich. Tradycyjnie preferowały one wyższe podatki i bardziej wyrównany system społecznej dystrybucji niż Wielka Brytania, która w większej mierze wzorowała się na amerykańskim modelu neoliberalnym, z niskimi podatkami i wysoce zderegulowaną gospodarką. Większość krajów kontynentalnej Europy Zachodniej – wśród nich Francja, Niemcy, Włochy i państwa Beneluksu – nie poszła drogą skandynawską, ale od końca drugiej wojny światowej rozwinęły one silną polityczną tradycję ograniczania rynku poprzez rozbudowaną politykę społeczną. Próbowaly również łagodzić, w różnym stopniu, rosnące nierówności w dochodach, które były dużo bardziej widoczne w byłych krajach bloku wschodniego, a także w dużej części Europy Południowej. W „dobrych latach”, czyli na przełomie milleniów, te rosnące nierówności były, o ile w ogóle je zauważano, ignorowane albo traktowane po prostu jako cena, którą trzeba zapłacić za ogólne korzyści płynące z globalizacji. Gdy jednak „dobre lata” się skończyły, potencjał dla społecznych niepokojów i politycznych wyzwań dla istniejącego systemu stał się oczywisty.

Rozwój gospodarczy i rosnące dochody, choć ważne same w sobie, nie wyczerpywały w pełni tego, co ludzie oceniali jako „jakość życia”. Z pomocą przy wyjaśnianiu tej skomplikowanej i wysoce subiektywnej kwestii próbowały przyjść różne wskaźniki statystyczne. Wśród kryteriów znalazły się ekonomiczny dobrostan, swobody polityczne, poziom zatrudnienia, stabilność życia rodzinnego i wspólnoty. Bez względu na zastrzeżenia, które można było mieć do prób ilościowej oceny „jakości życia”, wyniki uzyskane w jednym z najbardziej szczegółowych badań, przeprowadzonych w 2005 roku przez londyński tygodnik „The Economist”, dawały pewne pojęcie o miejscu Europy w światowych rankingach. Na szczycie listy znajdowała się Irlandia, do czego bez wątpienia przyczyniła się niedawna transformacja standardów życia i szybki wzrost rodzimej gospodarki. Kraje zachodnioeuropejskie generalnie wypadły dobrze. Dziewięć na dziesięć państw ocenionych najwyżej w skali globu znajdowało się w Europie Zachodniej, choć Francja, Niemcy i Wielka Brytania pozostawały nieco w tyle – co być może wskazywało, że „jakość życia” trudniej było zbudować i utrzymać w dużych, złożonych i zróżnicowanych gospodarkach. Większość krajów Europy Środkowej i Wschodniej znalazła się daleko w tyle za Europą Zachodnią, niektóre (w tym Bułgaria, Rumunia, Serbia i Bośnia) jeszcze niżej, a Ukraina, Białoruś, Mołdawia i Rosja ulokowały się poniżej Syrii i niewiele ponad zmykającymi tabelę Nigerią, Tanzanią, Haiti i Zimbabwe.

Znaczne regionalne i narodowe różnice w zamożności zawsze istniały w Europie (nie wspominając już o tych, które dzieliły Europę od innych regionów globu, takich jak Afryka czy Ameryka Południowa). W różny sposób dotknęła je też globalizacja. Polityczna stabilizacja, istniejąca infrastruktura, jakość systemu edukacyjnego i elastyczne wartości społeczne stanowiły warunki wstępne, przy których globalizacja mogła prawdopodobnie wywrzeć pozytywny wpływ. Europa Zachodnia w większości spełniała te warunki. Niektóre kraje śródziemnomorskie, które wcześniej pozostawały w tyle, teraz intensywnie nadrabiały stracony czas. Hiszpania i Portugalia notowały wyższe tempo wzrostu niż twardy rdzeń Europy Zachodniej, podczas gdy Irlandia, niegdyś tak zacofana, przemieniła się

w zachodniego „tygrysa gospodarczego”. Także Finlandia, która na początku lat 90. przeszła przez dotkliwą recesję, odbiła się mocno, szczególnie po przystąpieniu w 1995 roku do Unii Europejskiej, i odnotowała wysoki wzrost gospodarczy, stając się jednym z wiodących eksporterów sprzętu elektronicznego, czemu sprzyjał zwłaszcza szybko rosnący popyt na telefony komórkowe.

Nawet jednak w stosunkowo zamożnej Europie Zachodniej nie brakło tych, którzy przegrywali w procesie globalizacji. Znacząca pomoc finansowa, zapewniana przez unijny Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego, pomagała łagodzić niektóre spośród największych regionalnych dysproporcji. Mimo to długoletnie problemy strukturalne części regionów okazały się niemożliwe do przezwyciężenia. Wielowiekowy rozdźwięk pomiędzy ubogimi regionami Mezzogiorno a znacznie bogatszą północą Włoch pogłębił się jeszcze, gdy północ okazała się znacznie atrakcyjniejsza dla zagranicznych inwestorów. Nawet w zamożnych Niemczech istniały poważne różnice pomiędzy Bawarią a Badenią-Wirtembergią na południu, kwitnącymi regionami, które były w stanie wykorzystać boom na nowe technologie, a ponadto stanowiły centra przemysłu samochodowego, a starym przemysłowym Zagłębiem Ruhry na północnym zachodzie i stosunkowo biedną, rolniczą Meklemburgią na północnym wschodzie. W Wielkiej Brytanii stare przemysłowe regiony na północnym wschodzie i północnym zachodzie, Clydeside w Szkocji i walijskie doliny, nie były w stanie podnieść się po rozciągniętym w czasie procesie zanikania przemysłu ciężkiego, który stanowił podstawę ich egzystencji. Tymczasem Londyn i południowy wschód rozkwitały dzięki rosnącej dominacji sektora finansowego, zlokalizowanego głównie w londyńskim City. Przykład Irlandii Północnej pokazał, jak ważna dla przyciągnięcia globalnych inwestycji i perspektyw gospodarczych jest stabilizacja polityczna. Region marniał przez trzy dekady „Kłopotów”. Ich zakończenie w 1998 roku przyniosło tak bardzo potrzebny wzrost.

Tam, gdzie sytuacja polityczna była niestabilna, a infrastruktura kiepska – na przykład Rumunia miała w 1995 roku tylko pięć komputerów osobistych na 1000 mieszkańców wobec 250 w Europie Zachodniej – lub panoszyła się korupcja,



a poziom edukacji był niski (Rumunia ponownie jest tu modelowym przykładem), krajom trudno było skorzystać z globalizacji. W 2000 roku produkt narodowy brutto w przeliczeniu na jednego mieszkańca w Europie Środkowej i Wschodniej wynosił zaledwie połowę zachodniego. Z kolei same kraje Europy Środkowej zwiększały dystans wobec Bałkanów i państw blisko powiązanych z Rosją. Stabilizacja polityczna i reformy infrastrukturalne spowodowały, że globalizacja, częściowo w postaci wewnętrznych inwestycji przyciąganych przez tanią siłę roboczą, pozwoliła krajom Europy Środkowej poprawić swoją pozycję gospodarczą i w pierwszych latach nowego stulecia zacząć nadrabiać dystans do zachodniej części kontynentu. Także Rosja zaczęła się odradzać. Wysokie ceny energii i bogate rezerwy ropy i gazu ziemnego pozwoliły krajowi wydobyć się z dołka, w którym tkwił w latach 90. Pomędzy 2000 a 2008 rokiem tamtejsza gospodarka rozwijała się w tempie siedmiu procent rocznie. Ożywienie wsparły posunięcia prezydenta Putina, który przywrócił kontrolę państwa i regulacje nad ważnymi sektorami gospodarki. Wprowadził również rządy silnej ręki (których symbolem były cieszące się społecznym poparciem kroki zmierzające w stronę usunięcia ze stanowisk, a niekiedy nawet uwięzienia najbardziej skorumpowanych oligarchów), wyeliminował niektóre spośród najgorszych przejawów rosyjskiej kleptokracji i przyciągnął wewnętrzne inwestycje. Poziom nierówności pozostał niezwykle wysoki, ale przynajmniej przestał się powiększać.

Globalizacja nadała gospodarce potężny impuls, który przyczynił się jednak do poważnych szkód ekologicznych, zwiększając jeszcze zagrożenia płynące z zanieczyszczenia środowiska i globalnego ocieplenia. Jednak potrzeba sprostanania rosnącym oczekiwaniom, dotyczącym wyższych standardów życia, zazwyczaj sprawiała, że ochronie środowiska nadawano niższy priorytet niż utrzymaniu wzrostu gospodarczego. Istotną rolę w tym procesie odgrywał lęk przed pozostaniem w tyle w światowym wyścigu gospodarczym. Szybka ekspansja globalizacji była nie do zatrzymania. Kraje, które nie przystosowywały się do jej wymogów tak szybko, jak to możliwe, nieuchronnie zostawały w tyle.

Podczas ponad dekady dynamicznego wzrostu gospodarczego, który rozpoczął się w połowie lat 90., trudności te wydawały się pod kontrolą. Jakie problemy mogły jednak wyniknąć z globalizacji, gdyby instytucje finansowe, które je wspierały, doświadczyły większych zawirowań? Nikt nie przywiązywał do tej możliwości większej wagi. Wzrost, który zaczął się w połowie lat 90., wydawał się trwać w nieskończoność. Brytyjski kanclerz skarbu, Gordon Brown, systematycznie powtarzał w latach po przejęciu przez laburzystów władzy w maju 1997 roku, że zapewnił brytyjskiej gospodarce trwałą stabilizację i że nie będzie powrotu do spekulacyjnego cyklu „wzlotów i krachów”. Te słowa wkrótce miały mu się odbić czkawką. Brown nie był jednak bynajmniej jedynym, który nie zdołał przewidzieć, że te same silniki, które napędzają globalny wzrost, mogą przyczynić się do jego destabilizacji, i że zglobalizowana gospodarka zmierza prosto nad krawędź przepaści.

## **Polityczne wyzwania globalizacji**

To, jak europejskie rządy radziły sobie z wyzwaniami globalizacji, zależało w dużej mierze od lokalnych uwarunkowań. Jednak trzy ogólne problemy były wyraźnie widoczne nawet w czasach boomu.

Pierwszy wynikał ze znacznego nasilenia konkurencji gospodarczej. Prowadziło to do rosnących nacisków, by obniżyć płace, utrzymywać wysoki poziom zatrudnienia, zbijać inflację (czemu sprzyjały niskie koszty dóbr importowanych z rozkwitających gospodarczo Chin) oraz ograniczać obciążenia podatkowe. Określano to często mianem „wyścigu na dno”. Łatwość międzynarodowego transferu kapitału sprawiła, że systemy charakteryzujące się wysokimi podatkami i różnymi formami protekcjonizmu, które sprawdzały się w przeszłości, były na dłuższą metę nie do utrzymania. Rządy musiały wykorzystywać globalizację, a jednocześnie, na poziomie narodowym, szukać sposobów na zwalczanie jej szkodliwych efektów ubocznych. To, jak zrównoważyć

te problemy z utrzymaniem społecznej spójności, zachowaniem cywilizacyjnych wartości, które europejskie demokracje uważały za swoją istotę, oraz z obroną państwa opiekuńczego w obliczu rosnących oczekiwań i starzenia się społeczeństwa, było jednym z głównych wyzwań dla wszystkich rządów. Nikt nie znalazł łatwego albo całkowicie strawnego rozwiązania.

Drugim problemem był wpływ rosnącej imigracji na rodzimą populację. Ludzie z krajów biedniejszych wykorzystywali możliwości przenoszenia się do zamożniejszych gospodarek, gdzie dynamiczny wzrost owocował wielkim zapotrzebowaniem na ich pracę. Była to skala mobilności niewyobrażalna w momencie tworzenia wspólnego rynku w 1986 roku. Różnorakie próby integrowania imigrantów i rozwijania wielokulturowych społeczeństw często owocowały wzrostem napięć społecznych i sprzyjały politycznej fragmentaryzacji, bo wzmacniały atrakcyjność „polityki tożsamościowej”, reprezentowanej przez mniejsze partie. Problem nie był bynajmniej nowy, ale przybrał na sile w drugiej dekadzie XXI wieku. Podskórnie jednak migracja i wielokulturowość były traktowane z pogłębiającą się nieufnością nawet w latach boomu gospodarczego i globalnego wzrostu.

Trzecim poważnym problemem, którego znaczenie wzrosło po wojnie w Iraku i atakach w Madrycie i Londynie, było zagrożenie terroryzmem. Hiszpania i Wielka Brytania miały długie doświadczenie w walce z lokalnym terroryzmem. Działania ETA i IRA były długotrwałe i śmiertelne. Jednak obie te organizacje, po cichu przyznając, że ich celów nie da się osiągnąć poprzez walkę zbrojną, stopniowo zaczynały się skłaniać ku rozwiązaniom politycznym. Porozumienie wielkopiątkowe z kwietnia 1998 roku stanowiło punkt zwrotny w procesie zamykania trzydziestoletniego, tragicznego okresu w historii Irlandii Północnej, który kosztował życie około 3500 ludzi. Walka baskijskich separatystów w Hiszpanii, trwająca od lat 60., pociągnęła za sobą około 1000 ofiar. Także i tutaj jednak terroryzm był w odwrocie. Po kilku rozejmach i „trwałym” zawieszeniu broni, zawartym w marcu 2006 roku, które przetrwało tylko do grudnia, ETA w styczniu 2011 roku ogłosiła „definitywne zakończenie działań zbrojnych”.

Jakkolwiek śmiertelności nie byłby terror szerzony przez IRA i ETA (liczba jego ofiar była bardzo duża w porównaniu z tymi, które pociągnął ze sobą terroryzm islamski w Europie Zachodniej w pierwszej dekadzie XXI wieku), miał konkretne i ograniczone terytorialnie cele. Terroryzm islamski był pod tym względem zupełnie inny. Stał się bardziej dotkliwy w drugiej dekadzie XXI wieku. Już wcześniej jednak zwiększył zadania stojące przed służbami specjalnymi poszczególnych krajów i wymógł bliższą współpracę agencji wywiadowczych świata zachodniego w celu zwalczania tego w oczywisty sposób narastającego niebezpieczeństwa.

Radykalne zmiany, których doświadczyła Europa na początku lat 90., sprawiły, że w krajach zachodnioeuropejskich pojawiła się nieuchwytna, ale wyczuwalna gotowość do wsparcia znaczących reform. Wola przeprowadzenia poważnych, strukturalnych zmian w instytucjach europejskich stała już za traktatem z Maastricht w 1992 roku. Także poszczególne państwa musiały się przystosować do zmienionych okoliczności. Potrzeba „modernizowania się” w ramach „nowej Europy” stała się polityczną mantrą. W większości krajów Europy Zachodniej oznaczało to zwrot w kierunku socjaldemokracji. Wielka Brytania w 1997 roku przygniatającą większością głosów wybrała rząd Blaira. W kolejnym roku kanclerzem Niemiec został Gerhard Schröder, który stanął na czele koalicyjnego rządu, tworzonego z Zielonymi. W wyborach parlamentarnych w 1997 roku także Francja skrzyła w lewo. W drugiej połowie lat 90. socjaldemokraci byli główną siłą w koalicjach rządowych w Holandii, Szwecji, Danii, Austrii, Włoszech, Portugalii i Grecji. Był to trend powszechny, choć znalazły się również wyjątki – dla przykładu w Hiszpanii, po długim okresie rządów socjalistów, w 1996 roku wygrali konserwatyści. Nie był to jednak długotrwały zwrot preferencji politycznych w kierunku centrolewicy. Okazało się, że w rzeczywistości socjaldemokracja wchodzi w epokę schyłkową. Na początku XXI wieku formacja ta znalazła się w generalnym odwróceniu.

Zwrot w kierunku centroprawicowego konserwatyizmu stał się wkrótce powszechny wśród zachodnioeuropejskiego elektoratu. Pomiedzy 2001 a 2006

rokiem socjaldemokraci stracili władzę we Francji, Niemczech, Holandii, Portugalii, Finlandii, Danii i Szwecji. I znów, były wyjątki od tego trendu. We Włoszech, gdzie niepoprawny Berlusconi wrócił do władzy na czele prawicowej koalicji w 2001 roku, wyborcy w 2006 roku postanowili dać szansę centrolewicy. Hiszpanie wybrali socjalistyczny rząd dwa lata wcześniej, po ataku terrorystycznym w Madrycie.

Dwoma modelowymi krajami, które w XXI wiek weszły z socjaldemokracją nowego typu u władzy, były Wielka Brytania i Niemcy. Zarówno rząd Tony'ego Blaira w Wielkiej Brytanii, jak i Gerharda Schrödera w Niemczech oferowały coś, co początkowo wydawało się pożądaną odmianą po zużytej polityce ich poprzedników. Jednak ścieżka reform, którą przyjęli, próbując połączyć prorynkową politykę z przemodelowaną definicją sprawiedliwości społecznej, okazała się wysoce kontrowersyjna, także wśród ich własnych wyborców. Do 2005 roku zarówno Partia Pracy w Wielkiej Brytanii, jak i socjaldemokraci w Niemczech stracili poparcie elektoratu.

Obiecana przez Blaira modernizacja kraju pod rządami „New Labour” (jak nazywał teraz swoją partię) przyciągnęła w 1997 roku miliony wyborców. Jednak wielkie wyborcze zwycięstwo, które odniósł w tamtym roku, było w dużej mierze wynikiem głosowania „na nie” – wyborcy odwrócili się od podzielonego i nieskutecznego rządu konserwatystów pod wodzą Johna Majora. Blair i jego doradcy zdawali sobie sprawę, że nie da się już zdobyć wystarczającego poparcia elektoratu poprzez odwoływanie się do tradycyjnej polityki Partii Pracy. Deindustrializacja w fundamentalny sposób przeobraziła klasę robotniczą. Związki zawodowe – kościec partii laburzystów – były znacznie słabsze niż przed erą Thatcher. Dawna retoryka klasowa wydawała się anachroniczna, bo indywidualne przyzwyczajenia konsumentów i style życia przekraczały granice klasowe. Blair musiał więc zjednać sobie „środkową Anglię” – wyborców klasy średniej, dalekich od dotychczasowych bastionów Partii Pracy.

Program rządu Blaira próbował zmieszać socjaldemokrację z neoliberalną polityką ekonomiczną. Krytycy Blaira wyszydzali go jako „thatcheryzm z ludzką

twarzą”. Zerwał z niektórymi wieloletnimi tradycjami i celami laburzystów, czego wielu zwolenników partii nigdy Blairowi nie wybaczyło. Celem Partii Pracy stało się już nie tyle wyeliminowanie materialnej nierówności, co zapewnienie równości szans. Działanie na rzecz nacjonalizacji gospodarki, zapisane w programie partii od 1918 roku, zostało z niego wykreślone. Zamiast „nieefektywnej” własności publicznej New Labour chciała kontrolować i wykorzystywać środki wytwarzane przez konkurencyjną gospodarkę wolnorynkową dla zapewniania podstaw sprawiedliwości społecznej.

Rządy New Labour przypadły na okres dynamicznego wzrostu gospodarczego, który zaczął się już za kadencji konserwatystów w połowie lat 90. (i był poniekąd efektem ożywienia całej globalnej gospodarki). Za sprawą postępującej deregulacji londyńskie City umocniło swoją pozycję jako europejska (a pod pewnymi względami także i światowa) stolica finansów. Gordon Brown, sprawny kanclerz skarbu, znalazł fundusze, które umożliwiły Blairowi sfinansowanie bardzo potrzebnej modernizacji szkół, uniwersytetów i szpitali. Z pewnością skorzystało z tego wielu przedstawicieli najbiedniejszych warstw społecznych. Dzięki zmianom w systemie podatkowym i zasiłkach socjalnych dochody najbiedniejszych wzrosły o 10 procent. Ograniczono ubóstwo wśród dzieci. A ponieważ gospodarka kwitła, w większości klasy średniej panowało powszechne poczucie materialnego dobrostanu.

Wiele z tego było jednak efektem boomu konsumpcyjnego, finansowanego głównie przez dostępność taniego kredytu, który z kolei pogłębiał zadłużenie gospodarstw domowych. Wzrost cen nieruchomości cieszył ich właścicieli, ale w nieubłagany sposób pogłębiał przepaść pomiędzy tymi, którzy posiadali domy a szeroką rzeszą tych, których nigdy nie będzie na nie stać. Pod rządami New Labour bogaci stawali się jeszcze bogatsi. Jeden z twórców partyjnego rebrandingu, Peter Mandelson, powiedział w 1998 roku, że „nie ma problemu z tym, że ludzie stają się obrzydliwie bogaci, dopóki płacą podatki” (czego wielu zresztą unikało). Jednak nadzieja, że bogactwo będzie „spływać” z góry na dół drabiny społecznej, okazała się całkowicie złudna.

Spuścizna Blaira obejmuje również proces dewolucji, czyli przekazanie w 1998 roku przez Londyn znaczących uprawnień szkockiemu parlamentowi i zgromadzeniu walijskiemu. Jego najważniejszym pojedynczym osiągnięciem (choć znaczące postępy osiągnięto już za jego poprzednika, Johna Majora) było doprowadzenie w kwietniu 1998 roku do porozumienia wielkopiątkowego, które kończyło brutalny konflikt pomiędzy republikanami a unionistami w Irlandii Północnej. Pomimo tych trwałych sukcesów i bez względu na materialne korzyści płynące ze wzrostu gospodarczego za czasów New Labour po 2003 roku wojna iracka rzuciła głęboki cień na rządy Blaira.

W efekcie tych wydarzeń laburzyści znaleźli się w głębokiej defensywie. Wielu wyborców centrolewicy, całkowicie zrażonych wojną iracką, skierowało się w stronę liberalnych demokratów, a inni, którzy wcześniej odwrócili się od konserwatystów, powrócili na łono tej partii. Niemniej Blair w maju 2005 roku wygrał trzecie wybory z rządu, co przed nim nie udało się żadnemu laburzystowskiemu premierowi. Jego osobisty magnetyzm wciąż jeszcze działał i, co ważniejsze, brytyjska gospodarka nadal trzymała się mocno. Pozytywny wynik laburzystów nie mógł jednak ukryć faktu, że popularność partii słabła. Dostali tylko 35 procent głosów – najmniejszy odsetek osiągnięty kiedykolwiek przez większośćowy rząd w Wielkiej Brytanii – a w parlamencie stracili prawie 100 miejsc.

Ataki w Londynie w lipcu 2005 roku były brutalnym przypomnieniem, że wraz z wojną w Iraku zagrożenie dla Wielkiej Brytanii wzrosło. W odpowiedzi Blair zaproponował nowe środki bezpieczeństwa. Spotkał się jednak z silnym społecznym sprzeciwem; w oczach wielu obywateli projektowane rozwiązania były zamachem na brytyjskie wolności. Kiedy rząd próbował przeforsować nowe ustawy antyterrorystyczne, przedłużające czas zatrzymania bez procesu z 14 do aż 90 dni, 49 laburzystowskich deputowanych poparło opozycję i znalazło się wśród większości w Izbie Gmin, która przyniosła Blairowi pierwszą parlamentarną porażkę od objęcia urzędu w 1997 roku. (Ostatecznie uzgodniono przedłużenie okresu zatrzymania bez postawienia zarzutów do 28 dni). W kierownictwie Partii

Pracy, szczególnie wśród zwolenników Gordona Browna, narastała presja, by Blair ustąpił. I rzeczywiście, w czerwcu 2007 roku, najskuteczniejszy lider laburzystów w historii zrezygnował ze stanowiska premiera, a wkrótce potem opuścił parlament. Wojna iracka na trwałe skalala reputację Blaira. Jego znaczące osiągnięcia w roli premiera są w związku z tym często zapominane lub bagatelizowane.

Gerhard Schröder nie miał luksusu znacznej większości, jaką brytyjski system, według którego „zwycięzca bierze wszystko”, sprezentował Blairowi w 1997 roku. W następnym roku socjaldemokraci wygrali wprawdzie wybory w Niemczech, ale tylko nieznacznie wyprzedzili partie chadeckie. Rząd, który Schröder był w stanie sformować w koalicji z Zielonymi (którzy dostali zaledwie 6,7 procent głosów), podjął jednak ambitny program reform socjalnych. Obejmował on między innymi zmiany podatkowe, sprzyjające wprowadzaniu energii odnawialnej, likwidację dyskryminacji homoseksualistów i znaczącą zmianę ustawy o obywatelstwie, która w 2000 roku decydującym kryterium dla jego uzyskania uczyniła zamieszkanie, a nie pochodzenie etniczne. Jednak poważne problemy gospodarcze, które odziedziczył rząd Schrödera, stanowiły wielkie wyzwanie.

Znaczące, że jeszcze kilka lat wcześniej, w czerwcu 1999 roku, Niemcy były opisywane przez „The Economist” jako „chory człowiek Europy”. Wzrost gospodarczy, pisał tygodnik, jest niższy niż w pozostałych państwach nowo utworzonej strefy euro, bezrobocie uparcie utrzymuje się na wysokim poziomie, niemiecki eksport spada, bo jego wielkie rynki w Azji i Rosji doznały zapaści, a koszty zjednoczenia cały czas stanowią obciążenie. Morale wśród liderów biznesu było słabe, a po nowym, lewicowym rządzie spodziewali się oni wszystkiego najgorszego. W analizie nakreślono fundamentalne problemy, które wymagały strukturalnej interwencji, by przynieść gospodarcze odrodzenie. Zalecano kurację neoliberalną. Poziom opodatkowania przedsiębiorstw był zbyt wysoki, co tłumilo inwestycje. Trzeba je było obniżyć, jeżeli niemieckie firmy nie miały przenosić swoich działań do Europy Środkowej i Wschodniej (co niektóre faktycznie robiły). Niemcy były wciąż „przeregulowane”. Trzeba było uwolnić handel, by pobudzić wydatki konsumpcyjne. Przede wszystkim jednak niemieckie



koszty pracy były zbyt wysokie w stosunku do wydajności produkcji, a rozdęte koszty socjalne skłaniały firmy do zwalniania pracowników, co przyczyniało się do wzrostu bezrobocia. Niemcy, twierdzili autorzy artykułu, musiały się „zrestrukturyzować w odpowiedzi na globalizację” poprzez przeprowadzenie „radikalnych reform strukturalnych”. Należało obniżyć najwyższe stawki podatku korporacyjnego i dochodowego i „rozbroić tykającą niemiecką bombę socjalną” poprzez ograniczenie świadczeń, wprowadzenie prywatnych funduszy emerytalnych, deregulację sektora usług i przyspieszenie prywatyzacji. Dopóki te strukturalne reformy nie zostaną podjęte, brzmiała konkluzja, „Niemcy raczej nieprędko pozbędą się miana chorego człowieka Europy”.

Innymi słowy, socjaldemokracja miała zwiększyć globalną konkurencyjność gospodarki, nie naruszając jednocześnie fundamentów budowanego przez lata państwa opiekuńczego, chroniącego obywateli i poprawiającego ich byt, ale, jak się okazało, zbyt kosztownego i ograniczającego przedsiębiorczość. Rząd Blaira, który Schröder podziwiał, szukał własnego sposobu na rozwiązanie tych problemów w Wielkiej Brytanii. Jednak Blair miał przynajmniej tę przewagę nad Schröderem, że mógł oprzeć się na zdecydowanych zmianach w gospodarce (i ograniczeniach państwa opiekuńczego) wprowadzonych wcześniej przez rząd Thatcher. Nic podobnego nie miało miejsca w Niemczech. Schröder musiał próbować zachować jedność lewicy, wprowadzając jednocześnie reformy, które nie mogły się podobać dużej części wyborców jego własnej partii.

Niemal natychmiast jego modernizacyjne pomysły napotkały na ostry sprzeciw ministra finansów i przewodniczącego socjaldemokracji, Oskara Lafontaine’a, który chciał leczyć niemieckie bolączki gospodarcze w oparciu o tradycyjne, keynesowskie recepty. Oznaczało to jednak stymulację popytu poprzez wyższe płace, większe wydatki socjalne i niskie stopy procentowe – co musiało prowadzić do zwiększenia długu publicznego – czyli rozwiązania rodem z poprzedniej epoki, niedostosowane do obecnych potrzeb. W marcu 1999 roku Lafontaine zrezygnował z funkcji rządowych i partyjnych. Schröder był oczywistym zwycięzcą wewnętrznej walki o władzę i określenie głównych kierunków polityki.

Jego prawdziwe problemy zaczęły się od ogłoszenia w 2003 roku tak zwanej „Agendy 2010” – programu reformy prawa pracy i państwa opiekuńczego, który miał ograniczyć bezrobocie i napędzić wzrost gospodarczy, w 2002 roku wynoszący zaledwie 0,1 procent. Składki na ubezpieczenia społeczne płacone przez pracodawców i pracowników stanowiły tymczasem do 40 procent płacy brutto. „Albo się zmodernizujemy”, ogłosił Schröder, „albo zostaniemy zmodernizowani, i to przez niczym nieograniczone siły rynku”. Agenda 2010 była próbą pogodzenia zmian w państwie opiekuńczym z globalnie konkurencyjną gospodarką – i oczywiście okazała się bardzo niepopularna. W niektórych aspektach przypominała to, co działo się w Wielkiej Brytanii za czasów Blaira (który z kolei inspirował się przykładem prezydenta Clintona w Stanach Zjednoczonych). W imię większej elastyczności gospodarczej i konkurencyjności poczyniono pewne korekty (w istocie cięcia) w zasiłkach dla bezrobotnych, zasiłkach chorobowych i emeryturach państwowych. Ułatwiono też firmom zwalnianie pracowników. Były to największe zmiany w niemieckim systemie zabezpieczeń społecznych od czasu ustanowienia „społecznej gospodarki rynkowej” ponad pół wieku wcześniej.

Z radością powitał je biznes i liberalno-konserwatywna prawica. Kontestowała je natomiast lewica. Stopniowo reformy rzeczywiście pomogły ożywić niemiecką gospodarkę, częściowo przez ograniczenie udziału pensji i płac w produkcie krajowym brutto. Nie była to jednak jednoznacznie pozytywna poprawa. Bezrobocie wkrótce spadło, ale, podobnie jednak jak w Wielkiej Brytanii i innych krajach, skrywał się za tym rozwój form pracy w niepełnym wymiarze godzin, pracy sezonowej i innych niestabilnych rozwiązań, które ludzie byli zmuszeni zaakceptować. Wzrosła liczba ludzi żyjących w ubóstwie, a nierówności w dochodach zwiększały się. Pensje i emerytury stały w miejscu, podczas gdy wynagrodzenia najwyższych rangą menadżerów poszybowały w górę.

Schröder nigdy nie odbudował swojej popularności. We wrześniu 2005 roku zapłacił cenę za program reform, ponosząc wyborczą porażkę. Pomimo to partie chadeckie (CDU i jej bawarska siostra, CSU) wygrały tylko o włos. Sformowanie

lewicowej lub prawicowej koalicji okazało się niemożliwe. Jedynym wyjściem pozostawała „wielka koalicja” chadeków z socjaldemokratami. Pod wodzą nowej chadeckiej kanclerz, Angeli Merkel, rząd generalnie kroczył w kierunku gospodarczym wytyczonym przez Schrödera. Obraz Niemiec jako „chorego człowieka Europy” szybko przestał odpowiadać rzeczywistości. Jednak niemiecka socjaldemokracja, w oczach rosnącej liczby wyborców, w międzyczasie stała się nieodróżnialna od swoich konserwatywnych partnerów koalicyjnych. Główne partie, nie tylko w Niemczech, zaczęły wyglądać tak samo. W dłuższej perspektywie nie było to dobre dla demokracji.

## Unijne wyzwania

Blair i Schröder zmagali się z problemami, które, niezależnie od narodowych niuansów, wynikały z przyspieszenia procesu globalizacji i dotyczyły całej Europy. Dla Unii Europejskiej oznaczało to przystosowanie swoich struktur do wyzwań będących pochodną podjętych na początku lat 90. decyzji o wprowadzeniu euro i rozszerzeniu UE o kraje Europy Środkowej i Wschodniej. Obie te decyzje pociągały za sobą nowe trudności.

1 maja 2004 roku, wraz z przystąpieniem 10 nowych krajów, liczba członków Unii Europejskiej zwiększyła się z 15 do 25 pięciu. Osiem z nich (Czechy, Estonia, Litwa, Łotwa, Polska, Słowacja, Słowenia i Węgry) znajdowało się kiedyś za żelazną kurtyną. Dziewiąty kraj, Cypr, mimo tego, że od tureckiej inwazji w 1974 roku był podzielony na dwie części, uzyskał członkostwo, bo Grecja zagroziła zawetowaniem akcesji byłych państw komunistycznych. Jego polityczne problemy pozostały nierozwiązane. Dziesiątym nowym członkiem była Malta – niewielka, politycznie podzielona, z przeciwną akcesji Partią Pracy i skromnym produktem krajowym brutto. Krajem rządziła jednak nacjonalistyczna, liberalno-konserwatywna koalicja, która chciała wykorzystać gospodarcze korzyści wynikające z członkostwa w Unii Europejskiej.

W kategoriach geopolitycznych rozszerzenie było decyzją słuszną. Problem zaczęła jednak stanowić ekonomiczna nierównowaga w Unii Europejskiej, bo nowe kraje były znacznie biedniejsze od dotychczasowych członków. Produkt krajowy brutto w przeliczeniu na głowę mieszkańca w nowych państwach członkowskich był w 2004 roku o ponad połowę niższy niż w starych. Najbardziej rozwinięte wśród byłych krajów komunistycznych były Estonia i Słowenia. Jednak Polska, największe państwo Europy Środkowej, miała produkt krajowy brutto poniżej średniej, nawet w porównaniu do innych nowo przyjętych. Jeszcze gorzej wyglądała sytuacja na Słowacji. Średnia płaca na Łotwie wynosiła zaledwie jedną ósmą średniej państw należących do Unii przed 2004 rokiem.

Różnice ekonomiczne w ramach Unii Europejskiej stały się jeszcze większym problemem, kiedy w styczniu 2007 przyjęto do niej Rumunię i Bułgarię. Produkt krajowy brutto na głowę mieszkańca stanowił tam zaledwie jedną trzecią średniej dotychczasowych państw członkowskich (a średnia ta i tak się obniżyła w wyniku poprzedniej fali rozszerzenia). Żaden z tych krajów nawet nie zbliżył się do kryteriów członkostwa uzgodnionych w Kopenhadze w 1993 roku. Daleko było im również do modelu liberalnej demokracji czy rządów prawa. Wciąż panoszyła się korupcja i zorganizowana przestępczość. Na scenie politycznej dominowali byli funkcjonariusze komunistyczni, którzy kierowali również służbami specjalnymi. W kategoriach ekonomicznych oba kraje znajdowały się na dole tabeli zamożności członków Unii Europejskiej. Pomimo swoich oczywistych niedostatków Rumunia i Bułgaria zostały dwudziestym szóstym i dwudziestym siódmym państwem członkowskim. Po wojnach jugosłowiańskich za imperatyw uważano stabilizację europejskich „peryferii”. Stała za tym nadzieja, że po przyjęciu reformy polityczne i ekonomiczne ulegną przyspieszeniu.

Co zrozumiałe, wielu obywateli Europy Wschodniej próbowało poprawić los swój i swoich rodzin, szukając pracy w zamożniejszych krajach Europy Zachodniej. Nie było też zaskoczeniem, że z kolei w tych państwach, szczególnie w Niemczech i Austrii, które graniczyły z nowo przyjętymi, konsekwencje napływu taniej siły roboczej z Europy Środkowej dla rynku pracy budziły obawy.

Zasada swobodnego przepływu obywateli przez granice narodowe nie była ważnym tematem dyskusji, kiedy Unia Europejska składała się z krajów znajdujących się na mniej więcej tym samym poziomie rozwoju gospodarczego. Teraz zaczęła być kwestionowana. W 2001 roku Unia Europejska pozwoliła państwom członkowskim ograniczać dostęp do swojego rynku pracy dla spodziewanych imigrantów z krajów Europy Środkowej i Wschodniej na okres przejściowy sięgający siedmiu lat, by dać sobie czas na dostosowanie. Jedynymi krajami, które w 2004 roku nie wprowadziły takich restrykcji, były Wielka Brytania, Irlandia i Szwecja. Kiedy trzy lata później przyjęte zostały Rumunia i Bułgaria, ograniczeń nie wprowadziła tylko Szwecja.

Liczba imigrantów, którzy w 2004 roku wyjechali za pracą z Europy Środkowej i Wschodniej, była wyższa od przewidywanej nawet w krajach, które wprowadziły ograniczenia. Ograniczenia te okazały się jednak w pewnym stopniu odstrasżające. Z kolei te kraje, które tego nie zrobiły, były szczególnie atrakcyjne dla imigrantów. Kwitnąca brytyjska gospodarka działała jak magnes. Brytyjski rząd przewidywał napływ około 15 000 ludzi z nowych państw członkowskich. Jednak pomiędzy majem 2004 roku a czerwcem 2006 roku przyjęto 427 000 podań o pracę, z czego ponad połowa pochodziła od polskich imigrantów. W 2001 roku w Wielkiej Brytanii było 58 000 Polaków. Dekadę później 676 000. W bardzo krótkim czasie Polacy stali się największą mniejszością narodową na Wyspach.

Stały wzrost liczby imigrantów przybywających do Wielkiej Brytanii ze wszystkich ośmiu byłych państw komunistycznych trwał od 2004 do 2007 roku. Trend ten osłabł nieco w czasie późniejszej recesji gospodarczej, kiedy to wielu imigrantów – często młodych – wróciło do krajów swojego pochodzenia. Ze względu na nałożone ograniczenia (obowiązujące do 2014 roku) liczba Rumunów i Bułgarów, którym przyznano pozwolenie na pracę w Wielkiej Brytanii, wynosiła po 2007 roku średnio 25 000 rocznie, choć była to część ogólnego i trwałego trendu, polegającego na znaczącym wzroście całościowej imigracji zarówno z Europy, jak i spoza niej.

Jak pokazywała większość analiz, napływ imigrantów był ogólnie pozytywny dla brytyjskiej gospodarki. Szacunki różnią się znacząco w zależności od przyjętych podstaw obliczeń, ale niektóre z nich wskazują, że w pierwszej dekadzie XXI wieku europejscy imigranci w tej lub innej formie wzbogacili brytyjską gospodarkę o blisko 20 miliardów funtów. W kluczowych obszarach byli niezastąpieni. Narodowa Służba Zdrowia (NHS) praktycznie nie mogłaby funkcjonować bez imigrantów; niemal jedna piąta zatrudnionych przez tę instytucję pochodziła spoza Wielkiej Brytanii. Głównie młodzi i często dobrze wykształceni imigranci, gotowi pracować daleko od domu, wypełniali luki na rynku pracy, podejmując się często prostych prac i nie wysuwając przy tym wygórowanych żądań socjalnych. Szybko jednak – i na stałe – pojawiły się narzekania na obniżanie płac i utrudniony dostęp do mieszkań i usług socjalnych na obszarach, w których występowała wysoka koncentracja imigrantów. Wrażenia często nie miały nic wspólnego z rzeczywistością, ale z czasem same stały się pewnego rodzaju rzeczywistością. Tempo i skala napływu imigrantów z Unii Europejskiej szybko stały się kwestią polityczną o rosnącym znaczeniu. Ostry często podszyty słabo zawoalowanym rasizmem sprzeciw wobec – jak się wydawało – niepowstrzymanej fali imigrantów, podsycany przez prawicowe media, stał się wyraźnie słyszalny i to nie tylko na politycznej skrajnej prawicy.

„Imigracja” w Wielkiej Brytanii (w przeciwieństwie do terminologii używanej w większości krajów europejskich) obejmowała zarówno ludzi przybywających na Wyspy z Unii Europejskiej, jak i imigrantów spoza Europy (często z krajów, które z Wielką Brytanią łączyły długotrwałe więzy, takich jak Pakistan czy Indie). „Imigracja” obejmowała również rosnącą liczbę młodych ludzi, zarówno z Unii Europejskiej – trzy czwarte z nich – jak i spoza niej, którzy przyjeżdżali do Zjednoczonego Królestwa na studia. Niewielki odsetek z nich, głównie spoza UE, pozostawał w kraju po zakończeniu studiów, oferując zwykle wysoce pożądane umiejętności i doświadczenie.

Istniała kluczowa różnica pomiędzy kategoriami imigrantów z Unii Europejskiej a spoza niej: zasada swobodnego przepływu osób sprawiała, że nie

można było narzucić ograniczeń dla liczby imigrantów przybywających z UE. Imigranci z tych krajów stanowili średnio niespełną połowę łącznej imigracji netto (która w kolejnych latach zbliżała się średnio do ponad 300 000 ludzi rocznie). To czyniło imigrację z Unii Europejskiej, szczególnie w związku z rosnącym sprzeciwem wobec imigracji jako takiej, szczególnie drażliwą kwestią polityczną.

Zjawisko masowej imigracji w Wielkiej Brytanii nie przypominało sytuacji w innych krajach Unii Europejskiej. Powszechne użycie angielskiego na świecie czyniło Wielką Brytanię wyjątkowo atrakcyjną. Imigracja była jednak w każdym kraju częścią współczesnego życia – nieuchronnym produktem ubocznym globalizacji. Kraje europejskie, takie jak Włochy lub Irlandia, które przed drugą wojną światową eksportowały ludzi, szczególnie do Stanów Zjednoczonych, teraz same stały się krajami docelowymi imigracji. Wyjechać za pracę (lub szukać ucieczki przed wojną i tyranią) było łatwiej niż kiedyś. Ludzie poszukujący lepszego życia poza granicami swojego państwa byli zjawiskiem charakterystycznym dla całej Europy.

W 2010 roku w Unii Europejskiej było 47 milionów ludzi (9,4 procent populacji), którzy urodzili się poza swoim krajem zamieszkania. Niemcy, Francja, Wielka Brytania, Hiszpania, Włochy i Holandia, w tej kolejności, miały ich najwięcej w ujęciu absolutnym (od 6,4 miliona w Niemczech do 1,4 miliona w Holandii). W ujęciu względnym, jako odsetek całej populacji, listę otwierała Austria (15,2 procent); zaraz po niej plasowała się Szwecja (14,3 procent). Proporcje te były nawet wyższe niż w Stanach Zjednoczonych, tradycyjnej mekce imigrantów. Za wyjątkiem (minimalnie) Belgii odsetek tych, którzy urodzili się poza państwami UE, był wyższy niż tych pochodzących z Unii.

Podobnie jak w Wielkiej Brytanii, imigranci często spotykali się z wrogością, tak jak to miało miejsce we Włoszech z szybko rosnącą liczbą Rumunów (gdzie w 2008 roku było ich 10 razy więcej niż siedem lat wcześniej). Niemalą rolę w niechęci do rumuńskich imigrantów odgrywały stare, rasistowskie uprzedzenia wobec Romów. W Austrii, gdzie mimo restrykcyjnego prawa imigracja cały czas

rosła, niechęć kierowana była głównie wobec przybyszów z byłej Jugosławii i Turcji, tradycyjnie największych rezerwuarów imigranckiej siły roboczej.

Z największą wrogością spotykali się imigranci spoza Unii Europejskiej, szczególnie pochodzący z innych kultur, a zwłaszcza muzułmanie – których rodziny mieszkały w Europie od dziesięcioleci, czasami od trzech lub czterech pokoleń. Tolerancja wobec muzułmanów gwałtownie spadała – po części za sprawą wzrostu islamskiego fundamentalizmu. Lustrzanym odbiciem tego zjawiska był wzrost nastrojów antyzachodnich wśród muzułmanów w Europie, zaostrzonych jeszcze przez wojny w Afganistanie i Iraku. Szczególnie w dużych miastach wśród młodych muzułmanów narastał głęboki resentyment. Poczucie dyskryminacji i ekonomicznego wykluczenia, alienacja i wściekłość na zachodnią interwencję, która przyniosła tyle cierpień muzułmanom na Bliskim Wschodzie, skłaniały tych ludzi do definiowania własnej tożsamości w opozycji do większości populacji, wśród której żyli. Niewielka mniejszość, szczególnie wśród rozczarowanych młodych ludzi, dała się porwać sprawie islamskiej. Wśród rosnącej wzajemnej antypatii żmudne wysiłki, podejmowane przez polityków i liderów społecznych, by promować wielokulturowość i integrację, napotykały na coraz większe problemy. Wspólnoty nie tylko się nie integrowały, ale wręcz oddalały się od siebie coraz bardziej. Wielokulturowość coraz częściej oznaczała wspólnoty podzielone niemożliwymi do pokonania różnicami kulturowymi, które jedynie niezręcznie funkcjonowały obok siebie.

Czasami napięcia przeradzały się w otwartą przemoc, tak jak to miało miejsce podczas antymuzułmańskich zamieszek, które w 2001 roku wybuchły w kilku biednych przemysłowych miastach na północy Wielkiej Brytanii. Antagonizm buzował pod pozornie spokojną powierzchnią. We Francji z silną niechęcią spotykali się muzułmanie z północnoafrykańskimi korzeniami, z których wielu mieszkało tam od czasów wojny algierskiej, zakończonej prawie pół wieku wcześniej, a których rodziny były francuskimi obywatelami nawet wcześniej. Poważne zamieszki w 2005 roku, które miały miejsce w społecznie podupadłych dzielnicach francuskich miast i miasteczek z dużymi społecznościami



imigranckimi, przyczyniły się do wzmocnienia antymuzułmańskich nastrojów. Wrogość rosła także w innych krajach UE, takich jak Holandia, oraz w niebędącej członkiem Unii Szwajcarii. Prawicowe partie polityczne z ostrym programem antyimigranckim (i antymuzułmańskim) zyskiwały popularność w wielu krajach. Nawet jeżeli nie wchodziły jeszcze do politycznego mainstreamu, ich przekaz był czasami inkorporowany do programów tradycyjnych partii, które zaczynały się domagać ograniczenia imigracji.

W takim klimacie wszelkie ambicje dotyczące dalszego rozszerzania Unii Europejskiej zostały w praktyce zawieszono, nawet jeżeli teoretycznie rozmowy toczyły się dalej. Chorwacja na mocy wcześniejszego porozumienia dołączyła w 2013 roku. Jej produkt krajowy brutto był już wówczas wyższy niż w niektórych wcześniej przyjętych państwach członkowskich. Niemniej przyjęto ją, przymykając oko na wciąż wszechobecną korupcję i wysoki poziom przestępczości. Po raz kolejny decydujące okazały się czynniki polityczne. Uznano, że ważne jest wysłanie zachęcającego sygnału do państw bałkańskich. Jednak „katolicka” Chorwacja od dawna była postrzegana jako bardziej zachodnia niż inne kraje bałkańskie. Dla odmiany Albania, Czarnogóra, Macedonia i Serbia były skazane na czekanie mniej lub bardziej w nieskończoność, a przystąpienia Kosowa i Bośni i Hercegowiny (gdzie napięcia z lat 90. osłabły, lecz bynajmniej nie zniknęły) w ogóle nie rozpatrywano w dającej się przewidzieć przyszłości.

Największym krajem na liście oczekujących była Turcja, członek Rady Europy od 1949 roku, NATO od 1952 roku i oficjalny kandydat do członkostwa w UE od 1999 roku. Po ograniczonej poprawie osiągniętej w sferze praw obywatelskich i wolności politycznych w 2004 roku stwierdzono, że Turcja właściwie spełnia kryteria akcesyjne. Proces negocjacyjny rozpoczął się w 2005 roku, ale już rok później został zawieszony z powodu niemożliwości rozwiązania spornej kwestii podziału Cypru. Niemcy, Francja, a szczególnie Wielka Brytania mocno popierały członkostwo Turcji, głównie z powodu strategicznego znaczenia tego kraju w roli pomostu pomiędzy Europą i Bliskim Wschodem. Największymi przeciwnikami tej idei były Austria, Holandia i Dania. Jednym z podnoszonych zarzutów było to, że

Turcy „kulturowo” nie należą do Europy. Krytycy akcesji Turcji argumentowali, że tak duży muzułmański kraj, zamieszkały przez 70 milionów ludzi, wciąż pozostający daleko w tyle, jeżeli chodzi o akceptowalne standardy liberalnej demokracji i rządów prawa, w nieunikniony sposób zmieni charakter i równowagę sił we wciąż w przeważającej mierze (nawet jeśli głównie nominalnie) chrześcijańskiej Europie. Pojawiały się również poważne obawy związane z dużą liczbą tureckich imigrantów, szukających pracy w znacznie zamożniejszych krajach Europy Zachodniej, co mogłoby zwiększyć już istniejące problemy z wchłanianiem imigrantów i zachowaniem społecznej i politycznej spójności.

Turcja po 2006 roku pozostała na liście oczekujących. W praktyce ta perspektywa oddalała się szybko, a w kolejnych latach sytuacja tylko się pogarszała. Gdy zaś perspektywy akcesji stawały się coraz bardziej mgliste, sama Turcja stopniowo oddalała się od świeckości, którą Atatürk uznał za podstawę tożsamości państwa w momencie jego powstania w 1923 roku. Zaczęła zmierzać w kierunku islamistycznym, w którym tożsamość narodowa była blisko związana z religią. Trudno ocenić, na ile przyczyniło się do tego odrzucenie Turcji przez UE, a na ile była to nieunikniona konsekwencja wewnętrznej dynamiki. Tak czy inaczej, Turcja w coraz mniejszym stopniu zaczęła być postrzegana jako kandydat do UE.

Unia Europejska mierzyła się tymczasem z poważnymi problemami strukturalnymi, które w dużej mierze były konsekwencją jej rozszerzenia. Jeszcze w 2002 roku Konwent Europejski, kierowany przez byłego prezydenta Francji, Valéry’ego Giscard d’Estainga, zebrał się w Brukseli, by sporządzić nowy projekt konstytucyjny dla znajdującej się w przededniu wielkiej ekspansji Unii Europejskiej. Po długich sporach dotyczących precyzyjnych ustaleń tekst traktatu, ustanawiający Konstytucję dla Europy, został ostatecznie 29 października 2004 roku podpisany przez wszystkie 25 państw członkowskich rozszerzonej już Unii Europejskiej. Projekt przewidywał głosowanie kwalifikowaną większością głosów, wybór Komisji przez Parlament Europejski i obieralnego przewodniczącego Rady Europejskiej, który miał zastąpić instytucję sześciomiesięcznej, rotacyjnej

prezydencji. Parlament miał zatwierdzać budżet i zyskać, obok Rady, inicjatywę ustawodawczą. Przewidziano również instytucję europejskiego ministra spraw zagranicznych.

Zmiany w kierunku federalnej Europy nie były tak radykalne, jak chciał tego niemiecki minister spraw zagranicznych, Joschka Fischer. Dla niektórych i tak szły jednak za daleko: wiosną 2005 roku wyborcy we Francji, a później w Holandii, odrzucili te propozycje. Po tym sprawa Konstytucji upadła. Niektóre z bardziej znaczących zmian zostały jednak w poprawionej lub rozwodnionej formie umieszczone w traktacie lizbońskim z 2007 roku. On sam został ratyfikowany dopiero wtedy, gdy Irlandia, która go początkowo odrzuciła, wynegocjowała szereg opcji opt-out (dotyczących nienaruszania irlandzkiej suwerenności w sferze podatków, polityki rodzinnej i neutralności) i w końcu przyjęła go w drugim referendum.

Pomimo takich wstrząsów dla entuzjastów integracji na całym kontynencie dominowało pozytywne nastawienie wobec Unii Europejskiej. Według standardowego sondażu Eurobarometru z 2000 roku tylko 14 procent obywateli nie popierało członkostwa swojego kraju w Unii Europejskiej, podczas gdy 49 procent je akceptowało (choć odsetek ten spadł niepokojąco w porównaniu z 72 procentami w 1991 roku). Najwyższy odsetek satysfakcji notowano w Irlandii, Luksemburgu i Holandii, a najniższy w Wielkiej Brytanii. Czterdzieści siedem procent Europejczyków sądziło, że ich kraj skorzystał z członkostwa w UE, co ponownie oznaczało poważny spadek w porównaniu z początkiem lat 90. Najwyżej członkostwo w Unii oceniali Irlandczycy i Grecy, a najgorzej Szwedzi i ponownie zamykająca tabelę Wielka Brytania.

Wielu Europejczykom Unia wydawała się skomplikowanym, niespenetrowanym, wyniosłym labiryntem – biurokratyczną instytucją odległą od ich codziennego życia. Rządy narodowe pośrednio lub bezpośrednio wzmacniały ten wizerunek. Niewiele robiły, by rozreklamować znaczące fundusze, które Unia Europejska przeznaczała na pomoc biedniejszym regionom lub na projekty infrastrukturalne. Pieniądze te nie wystarczyły, by przywrócić dawny dobrobyt

w regionach mocno dotkniętych plagą deindustrializacji, ale umiejętnie wykorzystane mogły złagodzić jej skutki. Rządy narodowe wolały jednak ekonomiczne i polityczne sukcesy przypisywać sobie, a za porażki obwiniać „Brukselę” i interwencje unijnej biurokracji.

Bez względu na powody, wraz z rozszerzeniem i intensyfikacją działań zmierzających do bliższej integracji, Unia Europejska traciła kontakt z dużymi rzeszami Europejczyków. W każdych wyborach do Parlamentu Europejskiego od 1979 roku coraz mniej obywateli decydowało się iść do urn. W 1979 frekwencja wyniosła 62 procent. W 2004 już tylko 45,5 procent. W tym samym roku, gdy gospodarka rosła, a Unia Europejska przygotowywała nową konstytucję i przeprowadzała największe rozszerzenie w swojej historii, 43 procent Europejczyków zapytanych, co by poczuli, gdyby następnego dnia Unia Europejska upadła, odpowiedziało, że jest im to obojętne. Trzydzieści procent stwierdziło nawet, że „poczuliby wielką ulgę”. Tylko 39 procent wskazało, że bardzo by tego żałowało. Sondaż jasno pokazywał, że dla przeważającej większości ludzi ich własny kraj jest najsilniejszym źródłem tożsamości. Dla odmiany emocjonalne związki z tożsamością europejską były bardzo słabe.

Unia Europejska mogła się jednak pochwalić znaczącymi osiągnięciami. Ramy współpracy międzynarodowej, rozszerzenie rządów prawa, umocnienie praw człowieka, ustanowienie sieci bezpieczeństwa i stworzenie wspólnej waluty, obowiązującej w większości państw członkowskich – wszystkie te elementy pomogły poszerzyć strefę dobrobytu, osłabić nacjonalizm, który niegdyś zatruwał Europę, wzmocnić społeczeństwo obywatelskie i zbudować solidne fundamenty demokratyczne.

Poza granicami Unii Europejskiej i krajów Europy Środkowej i Wschodniej, które do niej aspirowały (a wcześniej stały się częścią rozszerzonego NATO), rozgrywała się inna historia.

## „Czynnik Putina”

W latach 90. wydawało się, że pod rządami prezydenta Jelcyna Rosja zbliża się do zachodnich demokracji. W 1996 roku kraj został członkiem Rady Europy, podpisując Europejską Konwencję Praw Człowieka, a w kolejnym roku osiągnął porozumienie o partnerstwie i współpracy z Unią Europejską. W Moskwie wyrażano wówczas nadzieje, że w swoim czasie Rosja zostanie pełnoprawnym członkiem Unii Europejskiej.

Droga do integracji była jednak najeżona przeszkodami. Jedną z nich była kwestia przestrzegania praw człowieka. Po próbie ogłoszenia przez Czeczenie niepodległości w 1991 roku rosyjskie wojska dopuściły się licznych naruszeń praw człowieka w latach 1994–1996 i ponownie w latach 1999–2000. Inną przeszkodą było głębokie niezadowolenie Moskwy z ekspansji NATO w Europie Wschodniej – co samo w sobie było oznaką rosyjskiej słabości. Klimat zaczął się zmieniać, kiedy Putin zastąpił Jelcyna na stanowisku prezydenta Federacji Rosyjskiej w ostatnim dniu 1999 roku. Od tego momentu zaczęto kłaść stały nacisk na rosyjskie wartości narodowe i odwoływać się do wielkomocarstwowego statusu kraju. Putin starał się położyć kres powszechnemu poczuciu upokorzenia wywołanemu przez gwałtowny spadek prestiżu kraju po upadku Związku Radzieckiego. Chciał zwrócić ludziom poczucie dumy z bycia Rosjanami, by uwierzyli w przyszłość kraju i powrót do dawnej chwały.

Jego zdecydowana obrona rosyjskich interesów na arenie międzynarodowej, zwłaszcza w stosunkach ze Stanami Zjednoczonymi, i gotowość wsparcia ich w razie potrzeby siłą zbrojną, zjednały Putinowi znaczny prestiż w kraju. Jego popularność wzrosła w sierpniu 2008 roku, kiedy rosyjskie oddziały wkroczyły do Gruzji (niepodległej od 1991 roku), by wesprzeć prorosyjskich rebeliantów, domagających się niepodległości Abchazji i Osetii Południowej.

Zwrot w stronę autorytaryzmu niepokoił moskiewskich intelektualistów, ale nie masy żyjące na odległej prowincji. Po upadku za czasów Gorbaczowa i niestabilnych rządach Jelcyna przeważająca większość Rosjan popierała

przywrócenie przez Putina silnej władzy państwowej. Dla niektórych był on niemal zbawcą narodu. Nie bez znaczenia był też fakt, że rosyjska gospodarka była w stanie odbić się mocno za sprawą wysokich cen ropy i gazu. Dało to poczucie nowego początku, mimo że fundamentalne problemy gospodarcze i faktyczna nędza, w której żyła duża część społeczeństwa, wcale nie zostały przezwyciężone. Korupcja pozostawała zjawiskiem endemicznym, ale większość Rosjan godziła się z nią, dopóki ich standard życia się poprawiał. Pozory systemu demokratycznego zostały zachowane. Wzmocniono jednak władzę prezydencką, byli funkcjonariusze KGB znacznie zwiększyli swoje wpływy polityczne, sądownictwo zostało podporządkowane celom politycznym, ściągnięto cugle mediom i opinii publicznej, znacznie ograniczono możliwość prowadzenia działalności opozycyjnej, a oligarchom, którzy zanadto urosli w siłę, pokazano miejsce w szeregu (podczas gdy bliscy zausznicy Putina byli kooptowani do systemu za pomocą silnych materialnych zachęt). Dominacja samego Putina opierała się w dużej mierze na współczesnej wersji średniowiecznego feudalizmu – utrzymując zadowolenie elity służb specjalnych, biurokracji państwowej i liderów biznesu przez dopuszczenie ich do awansów, bogactwa i korzystania z zewnętrznych oznak władzy. Za „putinizmem” nie stała żadna zwarta doktryna ideologiczna. Wystarczało silne państwo i zdecydowana polityka zagraniczna, zmierzająca do przywrócenia Rosji statusu wielkiego mocarstwa.

Rosnąca asertywność putinowskiej Rosji i krytyczne stanowisko Unii Europejskiej i Rady Europy wobec przypadków łamania praw człowieka, ingerencji w niezależność sądownictwa i wzmocnienia antydemokratycznych tendencji doprowadziły nie tyle do zacieśniania współpracy, co do wzrostu wzajemnej niechęci. Porozumienie o partnerstwie i współpracy pomiędzy Rosją a Unią Europejską, podpisane w 1997 roku, dekadę później nie zostało odnowione. Putin podkreślał „historyczną odrębność europejskich cywilizacji” i ostrzegał przed próbami narzucania sobie wzajemnie „sztucznych standardów”. Przekuwał niezadowolenie w resentyment wobec Zachodu, coraz częściej przedstawiając go raczej jako zagrożenie niż jako sojusznika.

Wkraczanie Zachodu na to, co Rosja wciąż uważała za swoją „strefę wpływów”, obserwowano w Moskwie z wielkim niepokojem. Po ekspansji NATO w latach 90. przyszło rozszerzenie Unii Europejskiej w 2004 roku. Niebezpieczeństwa wejścia w orbitę wpływów Unii Europejskiej nie można było wykluczyć nawet w przypadku krajów, które wcześniej były częściami Związku Radzieckiego. Prozachodnie stanowisko rządu gruzińskiego – w tym zgłoszenie akcesu do NATO – pod wodzą nowego prezydenta, Micheila Saakaszwilego, który w 2003 roku obalił Eduarda Szewardnadzego (bliskiego zausznika Gorbaczowa i ostatniego ministra spraw zagranicznych Związku Radzieckiego), przygotowało grunt pod rosyjską interwencję militarną w Gruzji, do której doszło ostatecznie w 2008 roku. Z perspektywy Rosji powodem do wielkiego niepokoju było możliwe rozszerzenie zachodnich wpływów na Ukrainę. Wraz z „pomarańczową rewolucją” (nazwaną tak od pomarańczowych szalików noszonych przez protestujących), do której doszło na Ukrainie w 2004 roku, prawdopodobieństwo takiego scenariusza znacznie wzrosło.

Sprzeciw, szczególnie wśród młodych Ukraińców, wobec straszliwie skorumpowanego, niekompetentnego i bardzo brutalnego reżimu na Ukrainie ostatecznie znalazł szansę ujścia w wyborach, które odbyły się pod koniec października 2004 roku. Kuczma (wybrany po raz pierwszy w 1994 roku) pełnił funkcję prezydenta przez dwie kadencje. Konstytucja zabraniała mu stanąć do wyborów po raz trzeci. Poparł więc premiera Wiktora Janukowycza, który 21 listopada ogłosił się zwycięzcą (i dostał serdeczne gratulacje od Putina). Wyniki zostały w tak oczywisty sposób sfałszowane – prawdziwym zwycięzcą był zdecydowanie popularny Wiktor Juszczenko, który na krótko przed wyborami przeżył próbę otrucia (niemal na pewno zorganizowaną przez tajne służby Kuczmy) – że setki tysięcy ludzi ruszyły do Kijowa, by w przenikliwym zimnie pokojowo domagać się uczciwych wyborów. Ich uparte czuwanie na oczach światowych mediów ostatecznie wymusiło powtórzenie wyborów 26 grudnia. Tym razem bezdyskusyjnym zwycięzcą okazał się Juszczenko, który w kolejnym miesiącu został prezydentem.

Putin przyglądał się temu z zaniepokojeniem. „Rosja nie może sobie pozwolić na porażkę w bitwie o Ukrainę” – taki pogląd wyraziła podczas trwania pomarańczowej rewolucji jedna z bliskich Kremlowi gazet. Obawiano się, że demokracja w zachodnim stylu może dotrzeć w końcu do samej Rosji. Kreml wydał setki milionów dolarów, próbując zapewnić zwycięstwo Janukowyczowi. Stany Zjednoczone z kolei wspierały finansowo Juszczenkę, który otwarcie deklarował, że chce starać się o członkostwo Ukrainy w Unii Europejskiej. Putin nie miał wyboru. Musiał zacisnąć zęby i uznać wynik pomarańczowej rewolucji. Jednak linie potencjalnego przyszłego konfliktu zostały zarysowane. Czy przyszłość Ukrainy miała być związana z Europą Zachodnią czy z Rosją?

Wybór Kuczmy w 1994 roku zdecydowanie wskazywał, że Ukraina ciąży w kierunku Rosji. Popierały go jednak przede wszystkim wschodnie regiony kraju, tradycyjnie blisko związane z Rosją. Nigdzie nie uzyskał większego poparcia niż na Krymie, zamieszkałym w przeważającej mierze przez Rosjan. Krym został przekazany Ukrainie przez Nikitę Chruszczowa w 1954 roku, ale 40 lat później rosyjski parlament unieważnił tę cesję – bez jakichkolwiek praktycznych konsekwencji. Z kolei Ukraina unieważniła głosowanie lokalnego parlamentu z 1992 roku, deklarujące niezależność od Kijowa. Krym był najostrzejszym punktem linii podziału przebiegającego na Ukrainie. Zachodnia połowa, historycznie i kulturowo związana z Polską, Litwą i Austrią, teraz swoją przyszłość wiązała z Europą Zachodnią. Z kolei wschodnia część zawsze kulturowo znajdowała się w orbicie wpływów rosyjskich. Wynik pomarańczowej rewolucji nie zasypał tego podziału. W kolejnych latach jeszcze się on pogłębiał.

\*\*\*

Do 2008 roku traumy związane z wojnami w Afganistanie i Iraku, wywołanymi przez niszczycielskie ataki terrorystyczne na Nowy Jork siedem lat wcześniej, uległy w Europie zatarciu. W prawie dwie dekady po upadku muru berlińskiego, symbolizującym koniec podziału kontynentu, Europa Wschodnia i Zachodnia zbliżyły się do siebie. Globalizacja wyniosła konwergencję ekonomiczną



i polityczną na nowy poziom. Wielkie problemy gospodarcze, z którymi kraje Europy Środkowej i Wschodniej zmagają się podczas przechodzenia do kapitalistycznej gospodarki, znacząco osłabły. Poważne trudności nadal istniały, a poziom życia wciąż był znacząco niższy niż w zamożnej Europie Zachodniej, ale nie zmieniało to faktu, że od upadku komunizmu sytuacja radykalnie się poprawiła. Niewielu, gdyby dano im taką możliwość, zagłosowałoby za powrotem tamtych czasów. W międzyczasie euro, wprowadzone w 1999 roku (a jako pieniądź pozostający w normalnym obiegu od 2002 roku), zastąpiło narodowe waluty w 12 krajach Europy Zachodniej. Pierwsze lata nowej waluty wyglądały zachęcająco. Był to ważny znak, że kraje Europy są coraz ściślej ze sobą powiązane.

Także politycznie były powody do optymizmu. Miliony ludzi w dawnym bloku wschodnim cieszyły się teraz osobistymi wolnościami, których odmawiano im przez ponad cztery dekady. Bez względu na oczywiste problemy z dostosowaniem się do nowej sytuacji zasięg Unii Europejskiej i stojących za nią wartości znacznie się zwiększył poprzez inkorporację nowych członków w 2004 i 2007 roku. Względny sukces w rozpropagowaniu zachodnioeuropejskich wartości, takich jak liberalna demokracja i rządy prawa, mocno kontrastował z warunkami panującymi w strefie zdominowanej przez Rosję. Przyszłość rysowała się w jasnych barwach.

Wszelkie pozory samozadowolenia miały jednak wkrótce zniknąć. Niewielu Europejczyków zaniepokoiły w 2007 roku napływające z Atlantyku informacje, że kilka dużych amerykańskich banków inwestycyjnych popadło w kłopoty, ponieważ przesadziły z udzielaniem obarczonych wysokim ryzykiem kredytów na zakup nieruchomości – znanych jako kredyty subprime – z których spłatą kredytobiorcy mogli mieć problem. Wczesnym sygnałem problemów w Europie była panika, która wybuchła w Wielkiej Brytanii we wrześniu 2007 roku, kiedy deponenci ustawiali się w kolejkach przed oddziałami towarzystwa budowlanego Northern Rock, by wycofać swoje oszczędności. Zmusiło to brytyjski rząd do znacjonalizowania podupadającego banku w lutym 2008 roku. Panika szybko ustała. Globalna sieć inwestycji i kredytów była już jednak tak wzajemnie spleciona,

że kryzys w Stanach Zjednoczonych musiał pociągnąć za sobą konsekwencje dla bankowości i finansów w innych krajach i dla światowej gospodarki.

Moment, w którym kryzys uderzył globalnie, można precyzyjnie określić. Był to dzień ogłoszenia bankructwa przez gigantyczny amerykański bank inwestycyjny, Lehman Brothers, 16 września 2008 roku. W ciągu miesiąca europejski system bankowy stanął w obliczu natychmiastowego upadku. optymizm się skończył. Nadchodziła era kryzysowego zaciskania pasa. Krach finansowy nieodwracalnie zmienił Europę.

## ROZDZIAŁ 12

# Lata kryzysu

---

*Gdy akumulacja kapitału w jakimś kraju staje się ubocznym produktem gry hazardowej, wyniki zawsze będą opłakane.*

John Maynard Keynes, 1936 r.

*Strach przed imigracją nałożył się na prawdopodobnie przesadzone obawy, że radykalni islamscy dżihadyści mieszej się z imigrantami i przyniosą terroryzm do pozbawionej granic Europy. W połączeniu z długim i wciąż niezakończonym kryzysem euro obawy te napędzają popularność prawicowych i populistycznych partii w Europie i podkopują wiarygodność Unii Europejskiej...*

„The New York Times”, 29 sierpnia 2015 r.

Poczawszy od 2008 roku, fundamentami Europy wstrząsnęła seria kryzysów. Najgorszy kryzys finansowy i ekonomiczny od lat 30. spowodował lawinowy wzrost zadłużenia państw europejskich, grożąc rozpadem strefy euro. Wielki napływ uchodźców, uciekających przed wojną na Bliskim Wschodzie, nasilił polityczne podziały i napięcia. Wzrost liczby ataków terrorystycznych pogłębił zagrożenie dla bezpieczeństwa. Kryzys na Ukrainie otworzył perspektywę nowej zimnej wojny pomiędzy Rosją a Zachodem. Unia Europejska stanęła zaś wobec egzystencjalnego kryzysu wewnętrznego, kiedy jedno z jej państw członkowskich, Wielka Brytania, zdecydowało się ją opuścić. To, co długo

wydawało się trwałe i solidne, w jednej chwili zaczęło się kruszyć. Skąd wziął się ten ogólny, wieloaspektowy kryzys w Europie?

## **Krach o włos**

„Wielka Recesja”, jak zaczęto ją nazywać, zaczęła się w Stanach Zjednoczonych, ale nie bez ochoczej pomocy ze strony Europy. W dużej mierze jej korzenie tkwiły w chciwości, która ogarnęła sektor finansowy, spychając na margines podczas poprzedzającego krach boomu wszelkie poczucie odpowiedzialności. Kryzys bankowy przerodził się w szerszy kryzys finansów publicznych w niemal wszystkich krajach europejskich. To z kolei wpędziło gospodarkę w długotrwałą recesję. Wpływ tak gwałtownego spowolnienia gospodarczego, przebiegającego w krajach europejskich w różnych formach i z różnym natężeniem, miał być odczuwalny jeszcze przez długie lata.

We wrześniu 2008 roku amerykański Bank Rezerw Federalnych odmówił przekazania jakichkolwiek państwowych funduszy na ratowanie Lehman Brothers. Fala uderzeniowa po tym wydarzeniu wywołała globalny kryzys finansowy. Banki przestały ufać sobie nawzajem. System kredytowy został sparaliżowany. Amerykanie pozwolili Lehman Brothers upaść, zgodnie z brutalną logiką gospodarki rynkowej. Jednak kolosalne straty wynikłe z tego tytułu zaowocowały, z punktu widzenia neoliberalnych ideologów bardzo przewrotnie, wytworzeniem w Europie powszechnego przekonania, że państwo musi przyjść z pomocą podupadającym bankom i zapobiec finansowemu armagedonowi. Brutalna prawda była taka, że najważniejsze europejskie banki były zbyt duże, by pozwolić im upaść. W 2008 roku łączne aktywa czterech największych brytyjskich banków były prawie cztery razy większe niż produkt krajowy brutto Wielkiej Brytanii. Podobną historię, choć w różnych odmianach, można było napotkać w wielu innych krajach europejskich.

Najciężej zostały dotknięte te kraje, które najbardziej otworzyły się na neoliberalizm i uzależniły się od wielkiego i zderegulowanego sektora bankowego. Największe niebezpieczeństwo zawisło nad Wielką Brytanią. 6 października 2008 roku Royal Bank of Scotland, który na przestrzeni zaledwie kilku lat stał się jednym z największych banków na świecie, od całkowitego bankructwa dzieliły godziny. Brytyjscy politycy pracowali przez całą noc, by stworzyć wielki pakiet ratunkowy, pozwalający uniknąć krachu gospodarczego w Wielkiej Brytanii, a biorąc pod uwagę międzynarodową skalę operacji banku, także na całym świecie. Pakiet, którego celem było chronienie deponentów i stabilizacja systemu bankowego, obejmował kredyty rządowe na łączną sumę 500 miliardów funtów. Kilka dni później Royal Bank of Scotland został de facto znacjonalizowany, bo rząd brytyjski kupił ponad cztery piąte jego akcji i ponad 40 procent akcji dwóch innych banków, większego HBOS i mniejszego Lloyds TSB.

Wśród krajów, które ogólnie rzecz biorąc poszły w ślady Wielkiej Brytanii, zapewniając pomoc finansową podupadającym bankom, znalazły się między innymi Francja, Niemcy, Włochy, Hiszpania i Szwajcaria. Pomoc finansową dostało 10 banków w Europie Środkowej i Wschodniej. Podobnie jak Wielka Brytania, wiele rządów również zaoferowało gwarancje deponentom. Rządy Szwajcarii, Portugalii, Łotwy i Irlandii przejęły pakiety kontrolne w kilku bankach – w przypadku Szwajcarii był to gigantyczny bank UBS, który przekształcił się w nadmiernie rozdęty, globalny bank inwestycyjny. W Danii Roskilde Bank, któremu w 2008 roku zajrzało w oczy bankructwo, został przejęty przez duński bank centralny.

W szczególnie trudnej sytuacji znalazła się Islandia. W ujęciu względnym kryzys bankowy w 2008 roku był tam większy niż gdziekolwiek indziej w Europie. Islandia mocno uzależniła swoją gospodarkę od sektora bankowego, który został zderegulowany w 2001 roku. Jej trzy największe banki, Kaupthing, Landsbanki i Glitnir, do 2008 roku znacznie zwiększyły swoje zagraniczne zadłużenie, którego, gdy zaufanie inwestorów wyparowało, nie były w stanie spłacać. Rząd Islandii nie miał środków, by je uratować, więc zostały one de facto zlikwidowane. W ich

miejsce powołano nowe banki, finansowane ze środków rządowych. Rodzime oszczędności były objęte gwarancjami, ale zagraniczni inwestorzy i deponenci (także w zagranicznych spółkach zależnych islandzkich banków) ponieśli straty. Konsekwencje dla islandzkiej gospodarki były potężne i wpędziły ją w poważną recesję, z której kraj zaczął się powoli wydobywać dopiero w 2011 roku. Wybuch wulkanu na Islandii w kwietniu 2010 roku, który wyrzucił popiół tak szeroko, że na kilka dni sparaliżował międzynarodowy ruch lotniczy, zdawał się symbolizować szkody, wywołane przez lekkomyślnie zderegulowany islandzki sektor bankowy.

Szeroko zakrojona interwencja rządów w celu ratowania systemu finansowego oznaczała potężny transfer pieniędzy podatników do banków. Ludzie powierzyli swoje oszczędności i zaufanie bankom, zakładając, że ich pieniądze będą bezpieczne. W zamian za to dowiedzieli się, że sposób działania tych banków niewiele różnił się od kasyn. Nic dziwnego, że w wyniku tego procesu zaufanie do banków spadło do najniższego poziomu w historii. Gniew i obrzydzenie były powszechne i w pełni zrozumiałe, bo ludzie o często bardzo skromnych dochodach i trybie życia obserwowali, jak ci, którzy byli odpowiedzialni za tę katastrofę, odchodzili bez żadnych zarzutów karnych, za to z sowitymi odprawami. Jeden z najbardziej rażących przypadków dotyczył prezesa Royal Bank of Scotland, Freda Goodwina, który kierując wielką ekspansją banku, wyprowadził go wprost na skały. Odszedł ze stanowiska z emeryturą *obniżoną* ostatecznie do marnych 300 000 funtów rocznie. Być może należałoby to jednak uznać za przyzwoitą rekompensatę za pozbawienie go tytułu szlacheckiego, nadanego mu w 2004 roku za „zasługi dla sektora bankowego”.

W 2007 roku, według oficjalnych statystyk, finanse publiczne w Unii Europejskiej były w najlepszej kondycji od dziesięcioleci. Średnie zadłużenie w 28 krajach Unii Europejskiej wynosiło 57,5 procent produktu krajowego brutto, czyli poniżej wyznaczonego w Maastricht poziomu 60 procent. Jedynie długi Grecji (103,1 procent), Włoch (99,8 procent) i Belgii (87 procent) były nadmiernie wysokie. W ciągu dwóch lat średnie zadłużenie rządów (zwane również „suwerennym”, „narodowym”, „państwowym” lub „publicznym” długiem) 28

państw członkowskich Unii Europejskiej skoczyło do 72,8 procent produktu krajowego brutto i wciąż rosło. Szczególnie alarmujący był poziom zadłużenia Grecji, Portugalii, Irlandii i Włoch. Do 2009 roku wzrost gospodarczy skurczył się w krajach Unii Europejskiej średnio o 4,2 procent. Europa wpadła w głęboką recesję.

W szczególnie trudnej sytuacji znalazła się strefa euro. Pierwsze lata wspólnej waluty, które przypadły na globalny wzrost gospodarczy, były udane. Kiedy jednak barometr zaczął wyraźnie wskazywać burzę, jej podstawowe problemy strukturalne wyszły na jaw z całą ostrością. Ostrzeżenie kanclerza Kohla, jeszcze z 1991 roku, że unia walutowa bez unii politycznej będzie na dłuższą metę nie do utrzymania, zaczęło brzmieć jeszcze bardziej proroczo. Gdy uderzył kryzys, okazało się, że kraje strefy euro, połączone jedną walutą mimo różnic w sile gospodarczej, mają związane ręce. W państwach członkowskich dewaluacja walutowa, która mogłaby poprawić konkurencyjność eksportu, była niemożliwa. Nie było jednak również centralnego rządu, tak jak w Stanach Zjednoczonych, który mógłby kierować polityką gospodarczą, regulować podatki w całej strefie euro i – obok subsydiów wypłacanych przez unijny Fundusz Rozwoju Regionalnego – transferować fundusze do regionów najciężiej dotkniętych przez kryzys.

Logika strefy euro sugerowałaby ściślejszą unię bankową, gospodarczą i polityczną, implikującą istnienie centralnego rządu federalnego z uprawnieniami fiskalnymi, działającego w ramach federacji państw narodowych – podobnie, jak wyglądało to w Stanach Zjednoczonych. Jednak właśnie ta opcja była wykluczona z powodu społecznego oporu wobec wszelkich kroków zmierzających do federalnego państwa europejskiego. Każdy rząd narodowy, który chciałby aktywnie realizować ten cel, prosiłby się o natychmiastową porażkę przy urnie wyborczej. Wraz z zaciskaniem się recesyjnej pętli historyczne dziedzictwo narodowych tożsamości w Europie nie tylko nie słabło, ale wręcz stawało się coraz silniejsze. Kraje strefy euro miały niezwykle ograniczone pole manewru, zarówno w sferze ekonomicznej, jak i politycznej. Powrotu walut narodowych, który przynajmniej w perspektywie krótkoterminowej okazałby się prawdopodobnie katastrofalny dla

poziomu życia, pragnęła tylko mniejszość. Obawa, że może być jeszcze gorzej, była wystarczającym powodem, by nie rezygnować z euro. By jednak uniknąć katastrofy, kraje najciężej dotknięte kryzysem musiały zwrócić się o pomoc do Europejskiego Banku Centralnego, Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Komisji Europejskiej (żaden z tych organów nie pochodził z wyboru), którą przyznawano na wyjątkowo ostrych i restrykcyjnych warunkach.

Wiosną 2010 roku kryzys zadłużeniowy wpędził niektóre kraje na niebezpieczne wody. Irlandzkie banki finansowały wielki boom nieruchomościowy, ale kiedy bańka pękła, a liczba niespłacanych pożyczek zaczęła lawinowo rosnąć, rządowe gwarancje dla podupadających banków potężnie zwiększyły zadłużenie państwa. Także Hiszpania musiała ratować banki, które poniosły wielkie straty w wyniku pęknięcia bańki nieruchomościowej. Portugalia przez lata źle zarządzała swoimi finansami i dorobiła się rozдутego sektora publicznego, więc gdy gospodarka tąpnęła w 2009 roku, dług publiczny eksplodował. Kiedy wzrosły obawy co do możliwości spłaty zadłużenia, a wraz z nimi i stopy procentowe, rządy zaczęły drastycznie ciąć wydatki rządowe – co oczywiście boleśnie odbiło się na poziomie życia obywateli i spowodowało deflacyjną spiralę spadku przychodów podatkowych i wzrostu zadłużenia.

Problemy tych krajów nie ograniczały się jednak tylko do nich samych. Łącznie stanowiły one tylko sześć procent produktu krajowego brutto strefy euro. Unia walutowa sprawiała jednak, że ich coraz bardziej prawdopodobna niewypłacalność zagrażała stabilizacji całej unii walutowej. Najbardziej dotknięte kryzysem kraje nie miały środków, by uciec przed miazdzącymi je problemami finansowymi bez znaczącej pomocy ze strony innych krajów (przede wszystkim Niemiec), płynącej za pośrednictwem Europejskiego Banku Centralnego i Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Przynajmniej, w przeciwieństwie do lat 30., kiedy w praktyce każdy kraj musiał sobie sam radzić z wielkim kryzysem, teraz w strefie euro istniała podstawa do międzynarodowego wsparcia (choć obciążonego twardymi warunkami), udzielanego w obliczu trudnej sytuacji państw członkowskich.



Wyjątkowej troski wymagała Grecja. Jej papiery dłużne zostały w kwietniu 2010 roku zdegradowane przez agencję ratingową Standard & Poor's do statusu „obligacji śmieciowych” (wysokiego ryzyka). Grecja stanęła na krawędzi bankructwa i nie mogła pożyczać pieniędzy na międzynarodowych rynkach finansowych. Zgodnie z przewidywaniami stała się pierwszym krajem, który poprosił, i otrzymał, poważne finansowe wsparcie zarówno od Unii Europejskiej, jak i Międzynarodowego Funduszu Walutowego.

W kolejnych latach kilka dużych pakietów pomocowych (zwanymi bailoutami) udzielono Grecji, a mniejszych Irlandii, Portugalii, Hiszpanii, Cypru, Łotwie i Rumunii. Finansowanie ratunkowe było początkowo działaniem nadzwyczajnym, nazwanym niezdarnie najpierw Europejskim Funduszem Stabilizacji Finansowej (EFSF), a potem Europejskim Mechanizmem Stabilizacji Finansowej (EFSM). Wkrótce jednak przekształciło się w stały fundusz pomocowy, nazwany Europejskim Mechanizmem Stabilizacyjnym (ESM). Pomogło to złagodzić kryzys, nie rozwiązując jednak leżących u jego źródeł problemów strukturalnych.

Tymczasem Europa pogrążyła się w głębokiej recesji (definiowanej oficjalnie jako dwa kwartały ujemnego wzrostu gospodarczego z rzędu). W maju 2009 roku 21,5 miliona obywateli Unii Europejskiej pozostawało bez pracy, z czego prawie jedna czwarta była w wieku pomiędzy piętnastym a dwudziestym czwartym rokiem życia. W Niemczech, Austrii, Holandii, Danii, Wielkiej Brytanii i kilku innych krajach bezrobocie pozostawało stosunkowo niskie. Gdzie indziej sytuacja była jednak tragiczna. Najciężej dotknięte tą plagą były Hiszpania, Grecja, państwa bałtyckie i Irlandia; bezrobocie, szczególnie wśród młodych, było tam ekstremalnie wysokie. Bez pracy była jedna piąta Hiszpanów, a wśród młodzieży odsetek ten był dwa razy wyższy. Problem ten dotyczył także około dwóch piątych młodych Greków. W Estonii liczba bezrobotnych w latach 2008–2009 wzrosła pięciokrotnie, na Łotwie i Litwie trzykrotnie. W kolejnych latach wysokie bezrobocie pozostawało w tych krajach normą. W strefie euro druga fala bezrobocia nadeszła w 2011 roku, gdy pierwsza zaczęła dopiero ustępować.

Na początku 2012 roku jeden na trzech Greków żył poniżej granicy ubóstwa. Pensje zostały obniżone – nawet płacę minimalną obcięto o 22 procent – podobnie jak emerytury. Zwolniono tysiące pracowników sektora publicznego. Ponad 20 000 ludzi znalazło się na ulicy. Za tymi statystykami stały niezliczone ludzkie tragedie. Pięćdziesięcioletni tynkarz, który stracił pracę, opisał swoją drogę od zatrudnienia do bezdomności. „Z dnia na dzień”, wspominał w 2012 roku, „uderzył we mnie kryzys gospodarczy. Nagle zostałem zwolniony bez żadnej odprawy (...). Dwa miesiące później nie byłem w stanie opłacić czynszu. Wszystkie moje oszczędności poszły na opłacenie leczenia mojej zmarłej żony”. Został eksmitowany z domu i przez cztery miesiące spał w swojej starej toyocie. Później nie było go już nawet stać na benzynę. Musiał szukać schronienia w przytułku dla bezdomnych. „To było strasznie trudne, prosić ich o łóżko”, wspominał. „Czułem ogromny wstyd”.

Obraz, nawet jeżeli nie tak czarny jak w Grecji, w wielu innych krajach Europy także przedstawiał się ponuro. We Włoszech, gdzie produkcja spadła o prawie 25 procent, recesja pustoszyła gospodarkę przez ponad pięć lat – był to najdłuższy kryzys gospodarczy od drugiej wojny światowej. Także państwa bałtyckie otrzymały wyjątkowo mocne uderzenie. Ich wcześniej wysokie tempo wzrostu załamało się z dnia na dzień. Łotwa zanotowała w 2009 roku ujemny wzrost na poziomie minus 17,7 procent. Inne gospodarki wschodnioeuropejskie – szczególnie Litwa, Ukraina i Estonia – miały się niewiele lepiej. Na odrodzenie do poziomu z 2008 roku przyszło im czekać lata.

Nie wszyscy mocno ucierpieli z powodu recesji. Kraje, które w latach boomu poprzedzających krach prowadziły rozsądną politykę gospodarczą i miały silną bazę infrastrukturalną, przetrwały tę burzę, ponosząc minimalne straty i stosunkowo sprawnie wróciły do formy. Szybko odbiła się gospodarka niemiecka. W 2010 roku wzrost powrócił do bardziej niż zadowalającego poziomu czterech procent. Kontrowersyjne i bolesne reformy, wprowadzone przez rząd Schrödera kilka lat wcześniej, teraz przynosiły owoce. Nie było wielkiej bańki kredytowej, a państwowe finanse opierały się na solidnych podstawach. Niemcy utrzymały

rozbudowany sektor wytwórczy. Dzięki przeorientowaniu swoich głównych branż eksportowych na nowe rynki, w szczególności Chiny, oraz znacznej redukcji podatków korporacyjnych w celu zwiększenia konkurencyjności przedsiębiorstw, Niemcy już na początku 2011 roku wróciły do poziomu produktu krajowego brutto sprzed recesji.

Kraje skandynawskie – w różnym stopniu dotknięte przez kryzys gospodarczy – również, z wyjątkiem Islandii, szybko wyszły na prostą. Dania, choć mocno dotknięta przez kryzys finansowy, wcześniej zgromadziła duże nadwyżki budżetowe. Sytuacja fiskalna kraju, którego zadłużenie znajdowało się poniżej rekomendowanego przez UE poziomu 60 procent PKB, była bardzo dobra. Duński rząd szybko wprowadził też rozwiązania sprzyjające stabilizacji systemu finansowego. W 2009 roku gospodarka znów rosła i w 2011 szybko wracała do dawnej formy. Norwegii z kolei pomógł duży eksport ropy, który dał jej nawet znaczącą nadwyżkę budżetową. Rozsądnie zarządzała też swoimi finansami przed kryzysem. W przeciwieństwie do Wielkiej Brytanii, która roztrwoniła większość przychodów z wydobycia ropy na Morzu Północnym (wartych według dzisiejszych kursów znacznie ponad 160 miliardów funtów) na ograniczenie potrzeb pożyczkowych państwa, restrukturyzację przemysłu i obniżki podatków, Norwegia rozsądnie lokowała je w czasach boomu w osobnym funduszu inwestycyjnym i ograniczyła wydatki publiczne, wciąż zapewniając swoim obywatelom niezwykle wysoki poziom życia. Także Szwecja szybko i zdecydowanie wyszła na prostą z globalnego kryzysu i po dwóch latach notowała już wysokie tempo wzrostu (dwa razy wyższe niż na przykład USA, które w owym czasie także odradzały się gospodarczo). Podobnie jak w przypadku Norwegii, jej stosunkowo rozbudowany sektor publiczny został utrzymany poprzez wsparcie dla rynku pracy, a wydatki na infrastrukturę, edukację, bezpieczeństwo socjalne, służbę zdrowia i aktywizację bezrobotnych zostały zwiększone, a nie zmniejszone. Co więcej, Szwecja odrobiła lekcję z własnego kryzysu finansowego z początku lat 90. i zbudowała stabilną, odporną na wstrząsy gospodarke, która w dobrych latach wygenerowała znaczącą nadwyżkę budżetową, co w czasach recesji zapewniło jej pewne pole manewru.

Szybko zabrała się za rozwiązanie problemów finansowych, zwiększając popyt poprzez nadzwyczajnie niskie stopy procentowe i nakładanie kar na banki, które nie chciały udzielać kredytów. Stopniowo wprowadzane zmiany były zbliżone do tego, co robiono w większości innych krajów europejskich – obejmowały prywatyzację byłych monopolii państwowych, ograniczenia budżetowe, pewne uelastycznienie rynku pracy i mniej szczodre świadczenia socjalne (szczególnie emerytury). Pozostawały jednak umiarkowane, a nie radykalne, i nie zrywały z długoletnią tradycją państwa opartego na mocnych gwarancjach bezpieczeństwa socjalnego dla swoich obywateli. Podobnie jak Norwegia, Szwecja mogła się pochwalić wysokim poziomem konsensusu politycznego ponad politycznymi podziałami w kwestii strategii gospodarczej i jej wdrażania. „Model skandynawski” (w różnych swoich odmianach), sięgający korzeniami do lat 30., był jednak nie do powtórzenia w dużo większych i znacznie mniej homogenicznych krajach, w których polityczne i społeczne podziały były znacznie głębsze.

Polska, która uniknęła recesji, była wyjątkiem wśród krajów Europy Środkowej. Kredytów udzielano tam oszczędnie, rynek nieruchomości był bardzo niewielki, a rząd nie zadłużał się ponad miarę. Co więcej, gdy inne kraje wpadły w recesję, a warunki pracy uległy pogorszeniu, dwa miliony imigrantów zarobkowych wróciły do kraju, przywożąc ze sobą swoje oszczędności. Polska była też w stanie między innymi zwiększyć wydatki rządowe, czyli skorzystać z narzędzia niedostępnego w strefie euro. W ten sposób uniknęła recesji. Słowacja, która radykalnie zreformowała swoją gospodarkę od czasów szalejącej w czasach Mečiaru korupcji i przyciągnęła znaczące inwestycje zagraniczne, także przetrwała burzę w dobrej kondycji.

W połowie 2012 roku najgorsze zasadniczo minęło. Strefa euro zdołała się znacząco wzmocnić. Psychologicznie ważnym momentem była deklaracja złożona w lipcu 2012 roku, czyli gdy kryzys jeszcze cały czas szalał, przez prezesa Europejskiego Banku Centralnego (EBC), Mario Draghiego, który zapowiedział, że „EBC zrobi wszystko co konieczne, by uratować euro”. W ramach programu nazwanego Outright Monetary Transactions, EBC ogłosił, że jest gotów skupować

obligacje emitowane przez państwa członkowskie strefy euro, którym przyznano pomoc finansową, ale które odzyskały dostęp do prywatnych rynków kredytowych. System niósł ze sobą dodatkową wartość psychologiczną, bo pokazywał, że EBC jest zdeterminowany, by nie dopuścić do upadku strefy euro. W istocie nigdzie nie skorzystano z tego rozwiązania, bo do 2013 roku strefa euro (z wyjątkiem Grecji i Cypru) powoli wychodziła z recesji. Podupadającym krajom przekazano do tego czasu łącznie znacznie ponad 500 miliardów euro (to więcej niż produkt krajowy brutto niemal każdej z gospodarek strefy euro, za wyjątkiem tych największych). Niemal jedna piąta tej sumy pochodziła z Międzynarodowego Funduszu Walutowego, a resztę w większości wyłożył Europejski Bank Centralny. Lwia część tych środków trafiła do Grecji. Jednak jeszcze w 2015 roku kilka krajów utrzymywało niepokojąco wysoki poziom długu publicznego i pokaźny deficyt. Najgorzej sytuacja wciąż wyglądała w Grecji, gdzie stosunek długu do produktu krajowego brutto wyniósł 177,4 procent (przy czym maksymalnym dopuszczalnym poziomem w strefie euro było teoretycznie 60 procent). Pomoc miała tam nadal spływać w kolejnych latach.

Także inne kraje – Włochy (ze stosunkiem zadłużenia do produktu krajowego brutto na poziomie 132,3 procent i bez perspektyw na poprawę), Portugalia (129 procent), Cypr (107,5 procent), Belgia (105,8 procent), Hiszpania (99,8 procent), a nawet Francja (96,2 procent, bez perspektyw na spadek) – dawały powody do niepokoju. Kryzys zadłużeniowy był już wtedy mniej dotkliwy niż wcześniej, ale poprawa następowała bardzo powoli.

Strefa euro wyszła cało z fundamentalnego kryzysu. Czy była jednak rzeczywiście zdrowa? Czy przetrwałaby kolejny poważny wstrząs gospodarczy, który mógłby doprowadzić do potencjalnego kryzysu finansowego w którejś z jej większych gospodarek, na przykład we Włoszech? A może strefa euro była od początku chybionym projektem ze względu na brak centralnej władzy fiskalnej? I czy zaaplikowana kuracja nie sprawiła przypadkiem, że pacjent zamiast wyzdrowieć, stał się jeszcze bardziej chory? W tej kwestii opinie ekonomistów były podzielone. Laureat nagrody Nobla, Joseph Stiglitz, znalazł się w awangardzie

tych ekonomistów, którzy wątpili, by strefa euro miała przed sobą długoterminową przyszłość, chyba że wprowadzi fundamentalne reformy strukturalne. Wśród nich wymieniał zastąpienie polityki zaciskania pasa polityką ekspansjonistyczną, ukierunkowaną na wzrost, uwspólnienie długu, konwergencję gospodarek poprzez usunięcie nadwyżek z korzyścią dla krajów notujących deficyt i wykorzystanie poszerzonych instrumentów kredytowych Europejskiego Banku Centralnego do inwestowania w produktywne przedsiębiorstwa w celu stymulowania gospodarki. Na razie brakuje politycznej woli do wprowadzenia takich zmian.

Kryzys w strefie euro w istocie popchnął polityków w kierunku przeciwnym do tego postulowanego przez Stiglitz. Z pewnością w gospodarkę wpompowano gigantyczne pieniądze, choć większość z nich przeznaczono na ratowanie banków, a nie na bezpośrednie stymulowanie ożywienia gospodarczego. Bank Anglii, a później Europejski Bank Centralny wydały kolejne wielkie sumy (odpowiednio 375 miliardów funtów w latach 2009–2012 oraz 1,1 biliona euro w latach 2015–2016) na stworzenie nowego elektronicznego pieniądza, za który kupowano obligacje rządowe. W ten sposób zwiększono podaż pieniądza – metoda ta znana jest jako „luzowanie ilościowe”. Był to kluczowy element polityki monetarnej od chwili, gdy stopy procentowe zostały obniżone prawie do zera. Jej celem było zapobieżenie *deflacji*, która przekształciłaby recesję w katastrofalną depresję, tak jak to miało miejsce w latach 30. Pod tym względem metoda ta przyniosła sukces. Bez niej recesja byłaby najprawdopodobniej dużo dotkliwsza. Dużo gorzej sprawdziła się jednak jako narzędzie prowadzące do ożywienia gospodarki, w dużej mierze dlatego, że banki nadal nie chciały udzielać kredytów, a ludzie, zaniepokojeni stanem gospodarki, nie kwapili się z ich braniem. Większość pakietu stymulacyjnego pozostała więc w ramach sektora bankowego i nie dotarła do przeważającej większości obywateli. Luzowanie ilościowe było rozwiązaniem rodem z podręcznika neokeynesizmu, choć skierowanym przede wszystkim do banków. Nie poszły za nim jednak inne pomysły utrzymane w tym samym duchu. Kiedy nastąpiła recesja, sięgnięto po recepty neoliberalne – czyli oszczędności

zamiast ekspansjonizmu. Głównym hasłem stała się redukcja zadłużenia poprzez zaciskanie pasa.

To, czy taka polityka pogłębiła i przedłużyła recesję, było i jest gorąco dyskutowane przez ekonomistów i pozostaje otwartym pytaniem. Pomimo wprowadzonych oszczędności większość krajów w czasie recesji początkowo odnotowała wzrost zadłużenia, liczonego jako odsetek produktu krajowego brutto; dopiero później zaczęło ono stopniowo spadać. Czy była jednak jakaś alternatywa? Podejście prawdziwie neokeynesowskie w krótkiej perspektywie z pewnością spowodowałoby wzrost wydatków publicznych i zadłużenia. Jednak inwestycje w produktywnie przedsiębiorstwa, podnoszenie umiejętności, edukację i szkolenia mogłyby w końcu przynieść szybszy wzrost i trwałe korzyści. Tam, gdzie takie metody przynajmniej częściowo wdrożono, w Szwecji, Norwegii i Danii, okazały się one skuteczne. Gospodarki skandynawskie miały jednak swoje specyficzne cechy, przed kryzysem gospodarczym cieszyły się dużymi nadwyżkami finansowymi i szerokim konsensusem politycznym, który był trudny, o ile nie niemożliwy do powtórzenia gdzie indziej. Finansowe pole manewru, które te kraje skandynawskie miały, gdzie indziej prawie nie istniało.

Mimo to niektórzy czołowi ekonomiści zaciekle argumentowali, że cięcie wydatków zamiast stymulowania gospodarki mogło jedynie pogłębić i przedłużyć recesję poprzez tłumienie popytu i ograniczenie wpływów podatkowych, co z kolei wymuszało dalsze cięcia i wpędzało gospodarkę w błędne koło. Istniały jednak przeszkody dla pompowania pieniędzy w kulejącą gospodarkę, nawet jeżeli była ku temu wola. Przepisy uzgodnione przez samą Unię Europejską, dotyczące najwyższego dopuszczalnego poziomu długu rządowego i deficytu – nawet jeżeli masowo łamane w szczytowym punkcie recesji – stanowiły w większości krajów Europy barierę dla stosowania ekspansjonistycznej polityki gospodarczej. A najważniejsze państwo UE, Niemcy, jak zawsze z niepokojem patrzące na wszelkie ryzyko inflacji, było najgłośniejszym adwokatem wstrzemięźliwej polityki finansowej. Niemcy kilka lat wcześniej wprowadziły niezbędne reformy strukturalne, by uporządkować własne sprawy, brzmiał koronny argument. Teraz

oczekiwały, że inne kraje zrobią to samo. Traktat o unii fiskalnej, podpisany w marcu 2012 roku przez przywódców wszystkich krajów Unii Europejskiej poza Wielką Brytanią i Czechami, został przygotowany przez Niemcy i miał za zadanie narzucenie ostrych, prawnie egzekwowalnych limitów w kwestii wielkości długu krajowego i deficytu, zgodnie z niemieckim modelem finansowym sztywnej dyscypliny budżetowej.

Poza tymi ograniczeniami dla wprowadzenia polityki neokeynesowskiej istniała jeszcze inna potężna przeszkoda: zaufanie agencji ratingowych do finansowej kondycji państwa. Agencje ratingowe zlokalizowane w Stanach Zjednoczonych – najważniejsze z nich to Standard & Poor's, Moody's i Fitch – mogły w jednej chwili poważnie nadszarpnąć pozycję finansową danego kraju, korygując swoją ocenę jego wiarygodności kredytowej. Zwiększanie i tak już wysokiego zadłużenia poprzez wzrost wydatków publicznych niosło ze sobą duże ryzyko ściągnięcia na siebie gniewu tych agencji, przez co jeszcze trudniej byłoby pożyczać pieniądze na międzynarodowych rynkach finansowych, co z kolei oddalałoby perspektywę potencjalnego ożywienia. Utrzymanie długu w ryzach poprzez zaciskanie pasa zaprzętało więc głowę niemal wszystkich ministrów finansów.

## **Polityka oszczędnościowa**

Ponieważ politycy nie potrafili sprostać przytłaczającym wyzwaniom ekonomicznym i społecznym, które niosła ze sobą recesja, polityka stała się bardziej niestabilna. Polityczny krajobraz zaczął się zmieniać. Jego kształt w każdym kraju, jak zawsze, zależał od setek zagadnień narodowych. Jednak wśród nich praktycznie wszędzie przewijało się pytanie, jak rząd radzi sobie z recesją. Pojawiły się trzy *ogólne* prawidłowości (choć istniały od nich odstępstwa). Po pierwsze, partia polityczna znajdująca się u władzy, bez względu na to, czy lewicowa, czy prawicowa, w wyniku uderzenia recesji najczęściej traciła władzę w kolejnych wyborach. Po drugie, ruchy protestu spoza mainstreamowego



„establishmentu” miały szansę na zyskanie poparcia, gdy spadało zaufanie do systemu politycznego. Miliony ludzi ogarnęła wściekłość na ich własne rządy za złe zarządzanie gospodarką, ale również na bezosobowy międzynarodowy kapitalizm finansowy, który ściągnął na nich takie nieszczęście. Bardzo często przejawiało się to w szukaniu kozłów ofiarnych – znajdowanych zazwyczaj wśród imigrantów – i w nacjonalizmie, który oferował poczucie tożsamości i wiarę w możliwość odzyskania kontroli nad tym, co zostało oddane we władanie organizacjom międzynarodowym.

Trzeci powszechny trend polegał na tym, że z kilkoma wyjątkami rządy, bez względu na barwy polityczne, przyjmowały politykę zaciskania pasa. Autonomia rządów w sferze zarządzania krajową gospodarką została poważnie ograniczona. Realna władza, jak się wydawało, nie należała już do poszczególnych państw. To anonimowi manipulatorzy międzynarodowych finansów, posiadacze obligacji rządowych, agencje ratingowe i instytucje takie jak Międzynarodowy Fundusz Walutowy i Europejski Bank Centralny określali poziom i warunki wsparcia dla podupadających gospodarek.

Choć kryzys gospodarczy dotknął każdy kraj w Europie, te państwa, które wcześniej zbudowały sobie solidne struktury ekonomiczne i stabilne systemy polityczne, wyszły z recesji szybko i bez politycznych turbulencji (choć znaczące uzależnienie Wielkiej Brytanii od wadliwego systemu bankowego było jej piętą achillesową). Tak było w przypadku Niemiec, Austrii, Szwajcarii, Holandii, Danii, Norwegii, Szwecji, a wśród krajów, które niedawno dołączyły do Unii Europejskiej – Polski i Słowacji. Choć ekonomiczne zawirowania naturalnie odgrywały pewną rolę w kształtowaniu wyborczych preferencji, to występowały one obok innych czynników i nie były w tych krajach decydujące. W gruncie rzeczy tam, gdzie rządy jeszcze przed recesją zyskały pewną akceptację dla swojej polityki gospodarczej, ich przywódcy mogli być postrzegani przez znaczną część społeczeństwa jako najlepsza gwarancja uniknięcia poważniejszych wstrząsów. Przykładem tego może być trwałe poparcie w Niemczech, najważniejszej gospodarce Europy, dla kanclerz Angeli Merkel, która wydawała się panować nad

sytuacją i napawała nadzieją na stabilność, oraz jej zdolnego, choć sztywnego ministra finansów, Wolfganga Schäublego, symbolizującego ekonomiczną solidność. Nie tylko partie konserwatywne, takie jak chadecja w Niemczech, utrzymywały się u władzy; dla przykładu w Norwegii dominującą siłą polityczną pozostała Partia Pracy.

Nawet tam, gdzie zwyciężyła polityczna stabilizacja, nowe partie polityczne lub stare radykalne ugrupowania, które wcześniej znajdowały się na marginesie, zaczynały się cieszyć coraz większą popularnością. Niektórzy poczuli się zdradzeni z powodu przyjęcia przez socjaldemokrację polityki gospodarczej, kojarzonej z neoliberalnymi ideami konserwatyizmu, i zwrócili się w stronę bardziej radykalnej lewicy. Jednak głównymi beneficjentami były populistyczne ruchy na prawicy. W Niemczech niepopularność reform Schrödera wciąż odbijała się na socjaldemokratach, którzy tracili poparcie na rzecz bardziej radykalnie lewicowej partii Die Linke. Z kolei Alternative für Deutschland, nowa partia na prawicy, która sprzeciwiała się euro i pomocy dla Grecji, wkrótce zaczęła w spektakularny sposób zyskiwać poparcie. W Finlandii głównym wydarzeniem wyborów w 2011 roku był przełomowy wynik Partii Finów, nacjonalistycznego ugrupowania, które swój kapitał wyborczy zbiło na sprzeciwie wobec pomocy dla Portugalii i próbom walki ze szkodliwymi skutkami globalizacji, którą w dużej mierze wiązało z polityką Unii Europejskiej. Kryzys finansowy na Islandii doprowadził do masowych protestów społecznych, w wyniku których liberalno-konserwatywna Partia Niepodległości w 2009 roku utraciła w wyborach jedną trzecią poparcia i po 18 latach musiała oddać władzę. W Belgii kryzys gospodarczy zaognił długoletnie i głębokie różnice językowe i kulturowe pomiędzy zamożniejszymi regionami flamandzkimi i biedniejszymi, przemysłowymi regionami walońskimi (francuskojęzycznymi). Doprowadziło to do dalszego rozdrobienia politycznego, w wyniku którego między 2010 a 2011 rokiem przez prawie rok nie można było w ogóle utworzyć rządu ogólnokrajowego.

W niektórych nowych państwach członkowskich Unii Europejskiej w Europie Środkowej recesja sprzyjała zwrotowi ku różnym formom autorytaryzmu, czy to

prawicowego, czy lewicowego. Na Węgrzech w wyborach, które odbyły się w 2011 roku, duże straty poniosła partia socjalistyczna. Konserwatywny Fidesz Viktora Orbána powrócił do władzy z na tyle dużą większością parlamentarną, by móc przeforsować nacjonalistyczny program i zmiany w konstytucji, które umocniły władzę Orbána, a także ograniczyły liczne swobody demokratyczne i niezależność sądownictwa. Alarmującym wątkiem pobocznym był wzrost popularności Jobbiku, skrajnie prawicowej partii, która swoim antysemityzmem i wrogością wobec Romów budziła silne skojarzenia z faszystowską przeszłością. Poparcie dla niej wyniosło prawie 17 procent.

Także Polska przesunęła się w stronę autorytaryzmu w narodowo-konserwatywnym wydaniu. Kryzys w Europie nadał wieloletniej politycznej rywalizacji, sięgającej jeszcze czasów postkomunistycznej transformacji, nowego, ostrzejszego wyrazu. Obie nowe partie założone w 2001 roku, Platforma Obywatelska i Prawo i Sprawiedliwość, wyrosły z tradycji „Solidarności”, choć czerpały z niej zupełnie różne elementy. Liberalna, wolnorynkowa i silnie proeuropejska Platforma Obywatelska wygrała wybory w 2007 i 2011 roku. Jednak jej zażarta rywalka, zdecydowanie narodowo-konserwatywna i antyliberalna partia Prawo i Sprawiedliwość, zdominowana przez braci bliźniaków, Lecha i Jarosława Kaczyńskich, poszerzyła w 2011 roku wcześniejszą bazę wyborczą (silną szczególnie we wschodniej Polsce) dla swojego reakcyjnego programu społecznego, a w 2015 zdecydowanie wygrała wybory parlamentarne. Nowym premierem została Beata Szydło.

Do sukcesu partii przyczyniły się teorie spiskowe. W kwietniu 2010 roku Lech Kaczyński, wówczas prezydent Polski, zginął w katastrofie lotniczej, gdy leciał do Smoleńska w zachodniej Rosji, by uczcić pamięć ponad 20 000 polskich oficerów zamordowanych przez radziecką tajną policję 70 lat wcześniej. Za powód katastrofy uznano złą pogodę i błąd pilota. Prawo i Sprawiedliwość twierdziło jednak niezmiennie, że prezydent został z premedytacją zabity przez mgławicowe siły liberalizmu, komunizmu lub dziwaczny amalgamat ich obu. Ta teza została wpisana w narastający atak partii na polskich liberałów, rosnącą wrogość wobec

wolnorynkowego kapitalizmu, bardziej krytyczne podejście do Unii Europejskiej, a wszystko to przy nieustannym podkreślaniu „prawdziwych” polskich wartości. Kryzys migracyjny idealnie wpisał się w ten nowy klimat. Ocalały z bliźniaków, Jarosław Kaczyński, sprawujący w Prawie i Sprawiedliwości rządy silnej ręki, mówił przed wyborami w 2015 roku o niebezpieczeństwie sprowadzenia przez imigrantów cholery do Europy i roznoszeniu „różnego rodzaju pasożytów”. Tendencje autorytarne były wyraźne. Od czasu przejęcia władzy Prawo i Sprawiedliwość podjęło kroki zmierzające do ograniczenia wolności mediów i praw homoseksualistów, a także do zwiększenia politycznej kontroli nad sądownictwem.

W Rumunii ten trend, po wielkich protestach przeciwko polityce zaciskania pasa i upadku konserwatywnego rządu, który był za nią odpowiedzialny, także doprowadził do powstania bardziej autorytarnego rządu, choć tym razem pod wodzą nominalnego socjaldemokraty, premiera Victora Ponta. Za jego sprawą uprawnienia trybunału konstytucyjnego zostały osłabione, system prawny poddano większym politycznym naciskom, byli członkowie służb specjalnych utrzymali ważne stanowiska, a korupcja nadal kwitła w sposób nieskrępowany. Z kolei najważniejszym problemem Bułgarii nie był autorytaryzm, lecz słabość rządu. Masowe demonstracje w tym kraju wymierzone były w politykę zaciskania pasa i kwitnącą w nieskrępowany sposób korupcję oraz zorganizowaną przestępczość.

Partie wdrażające programy oszczędnościowe mogły się również spodziewać porażki wyborczej w największych krajach zachodnich Unii Europejskiej. We Włoszech na jesieni 2011 roku rząd Silvio Berlusconi wprowadził cięcia w wydatkach publicznych, ale okazał się niezdolny do przedstawienia niczego, co choćby z grubsza przypominałoby spójny program ożywienia gospodarki. Berlusconi zrezygnował w listopadzie i został zastąpiony przez „technokratyczny” rząd Mario Montiego, eksperta finansowego i byłego komisarza Unii Europejskiej, który kontynuował ostre cięcia w wydatkach i podnosił podatki. Stan gospodarki nadal jednak się pogarszał, masowe protesty (wzorujące się na ruchu „Okupuj Wall Street”, który rozwinął się w Ameryce w proteście przeciwko kryzysowi

finansowemu) narastały i Berlusconi ogłosił, że wraca do polityki. Monti przetrwał tylko rok i zrezygnował w grudniu 2012 roku. Wspierali go przywódcy Unii Europejskiej i Międzynarodowy Fundusz Walutowy. Rząd niemiecki, najważniejszy gracz w Unii Europejskiej, także mocno popierał Montiego. Włoska opinia publiczna była jednak innego zdania. Montiego przekonano, by stanął na czele nowej partii o nazwie Wybór Obywatelski, ale dostała ona tylko 10 procent głosów w wyborach, które odbyły się w lutym 2013 roku. Tak zakończyła się jego krótka przygoda z polityką.

Wybory przyniosły polityczny pat, co skłoniło niektórych czołowych włoskich komentatorów do stwierdzenia, że ich krajem nie da się rządzić. Najbardziej uderzająca była w tym wszystkim zawrotna kariera całkowicie nowej partii protestu pod wodzą komika Beppe Grillo, która zgarnęła jedną czwartą głosów. To, że komik może stać się tak prominentną postacią polityczną, wydawało się wystarczać za komentarz do sytuacji Włoch. Po długich negocjacjach powstała w końcu niestabilna koalicja pod wodzą Enrico Letty z Partii Demokratycznej, który obiecał zerwać z zaciskaniem pasa i prowadzić politykę pro wzrostową. Strzały, które rozległy się w kancelarii premiera w dniu zaprzysiężenia gabinetu, nie wróżyły niczego dobrego. Ugrupowanie Silvio Berlusconi, Lud Wolności, mocno straciło w porównaniu do wyborów z 2008 roku, ale i tak zdołało zdobyć prawie jedną trzecią miejsc w obu izbach parlamentu. Tym razem jednak nie mogło być mowy o powrocie wielkiego zbawcy. W sierpniu 2013 roku skazanego za oszustwa podatkowe Berlusconi przed więzieniem uchronił tylko wiek – miał wtedy 75 lat. Zakazano mu jednak sprawowania funkcji publicznych i został wydalony z Senatu.

Francja nie była wyjątkiem od zasady głoszącej, że ci, których uznano za odpowiedzialnych za kryzys, tracili władzę. Pomiędzy 2008 a 2012 rokiem bezrobocie skoczyło do niepokojącego poziomu, coraz więcej ludzi żyło w ubóstwie, a zadłużenie i deficyt handlowy nieustannie rosły. Tymczasem wzrost ledwo wznosił się ponad zero, wydatki konsumpcyjne spadały i zmniejszały się przychody podatkowe. Niezdolność do powstrzymania wszystkich tych

negatywnych zjawisk gospodarczych zdecydowała o nieznaczej, ale jednak porażce Nicolasa Sarkozy'ego w wyborach prezydenckich. Polityk, budzący coraz większe kontrowersje, musiał się pożegnać z urzędem już po pierwszej kadencji, która trwała od jego wygranej w wyborach w 2007 roku.

Zwycięstwu François Hollande'a, przywódcy socjalistów, w wyborach prezydenckich w 2012 roku towarzyszył optymizm 52 procent wyborców, którzy poparli go 6 maja w drugiej turze wyborów. Dali wiarę jego obietnicy, że ożywi gospodarkę. Kiedy w wyborach parlamentarnych, które odbyły się w kolejnym miesiącu, Partia Socjalistyczna zdobyła 94 miejsca w Zgromadzeniu Narodowym, nowe podejście do kryzysu wydawało się pewne. Jednak skromna interwencja państwa, mająca pobudzić gospodarkę, nie powstrzymała pogłębiającego się marazmu. Superpodatek w wysokości 75 procent od dochodów przekraczających milion euro rocznie został zarzucony po dwóch latach. Nie przyniósł większego pożytku gospodarce, za to był krytykowany za odstraszenie czołowych inwestorów i przedsiębiorców, których Francja potrzebowała. Emmanuel Macron, który później został ministrem gospodarki Hollande'a (a w 2017 roku został wybrany na prezydenta), ostrzegał, że Francja zmieni się przez to w „Kubę bez słońca”.

Wówczas już, podobnie jak jego socjalistyczny poprzednik, François Mitterrand na początku lat 80., Hollande faktycznie odwrócił swoją strategię gospodarczą, przyjmując w styczniu 2014 roku bardziej probiznesowy, częściowo neoliberalny program, opierający się na redukcji kosztów pracy i cięciach w wydatkach publicznych. Hollande nie był jednak w stanie ani powstrzymać spadku swojej popularności, ani poprawić wciąż pogarszającej się sytuacji gospodarczej. Jego nieszczęsna prezydentura trwała siłą bezwładu, a niezadowolenie z powodu braku poprawy sytuacji w kraju narastało. Hollande stał się najmniej popularnym prezydentem w historii Piątej Republiki. W listopadzie 2016 roku jego poparcie kształtowało się na rekordowo niskim poziomie czterech procent. 1 grudnia został pierwszym prezydentem Francji, który ogłosił, że nie będzie się starał o reelekcję.

W podupadłych regionach przemysłowych na północy i wschodzie Francji, a także w biednych rejonach południa, do wielu wyborców trafiał nacjonalistyczny, antybrukselski przekaz Marine Le Pen, której do pewnego stopnia udało się oczyścić rasistowski, neofaszystowski wizerunek jej ojca, Jeana-Marie. W wyborach do Parlamentu Europejskiego w maju 2014 roku jej partia, Front Narodowy, dostała największy odsetek głosów – prawie 25 procent – ze wszystkich francuskich ugrupowań politycznych. Był to znak, że we francuskiej polityce nadal nie zapanuje spokój.

W Wielkiej Brytanii Partia Pracy, która rządziła od 1997 roku, zapłaciła cenę za to, że znajdowała się przy władzy w momencie wybuchu kryzysu bankowego. Kiedy trwałe konsekwencje bankowego krachu stały się oczywiste, a Wielka Brytania stanęła w obliczu długoletniego wychodzenia z dotkliwej recesji, konserwatyści zbili wielki kapitał polityczny, obwiniając laburzystów za kryzys, mimo że jego przyczyny w oczywisty sposób miały charakter globalny, a nie narodowy, a zarówno zadłużenie państwa, jak i deficyt przed kryzysem znajdowały się na kontrolowalnym poziomie. Oskarżenie jednak podziało. Inny skuteczny zarzut dotyczył tego, że laburzyści nie zdołali narzucić bankom stosownych regulacji, napędzając w ten sposób spekulacyjną bańkę, która doprowadziła do kryzysu. W tym oskarżeniu było więcej prawdy. Warto jednak pamiętać, że to konserwatyści, bardziej nawet niż laburzyści, opowiadali się za deregulacją rynków finansowych, i sami przeprowadzili ją błyskawicznie w ramach tak zwanego „Big Bangu” w 1986 roku. To wtedy londyńskie City stało się tak ważnym centrum globalnych finansów. Dodatkowo konserwatyści, podobnie jak laburzyści, czuliby się zmuszeni do ratowania banków w imię bezpieczeństwa deponentów.

Nie sposób było jednak zaprzeczyć, że do krachu doszło za rządów laburzystów. Od jego początku deficyt budżetowy podwoił się, a poziom zadłużenia także mocno wzrósł. Coraz mocniej krytykowany laburzystowski rząd pod wodzą Gordona Browna poniósł porażkę w wyborach parlamentarnych 6 maja 2010 roku i po 13 latach przerwy Partia Konserwatywna, kierowana przez Davida Camerona, który został premierem, powróciła do władzy, choć tylko w roli głównej

siły w koalicji zawiązanej z liberalnymi demokratami i ich liderem, Nickiem Cleggiem. Pod kierownictwem kanclerza skarbu, George'a Osborne'a, nowy rząd szybko obrał kurs oszczędnościowy, by odzyskać kontrolę nad deficytem i zadłużeniem państwa. Przez następne cztery lata deficyt stopniowo, ale systematycznie spadał, z 10,8 do 5,1 procent, choć wciąż pozostawał powyżej kryteriów z Maastricht. Zadłużenie rządu, z drugiej strony, wzrastało stale w latach 2010–2015, by pod koniec tego okresu osiągnąć poziom 87,5 procent produktu krajowego brutto.

Gospodarka odradzała się bardzo powoli. Podczas recesji Wielka Brytania płaciła cenę za to, że od lat 80. tak mocno odeszła gospodarczo od przemysłu na rzecz sektora finansowego. W przeciwieństwie do krajów strefy euro Wielka Brytania sprawowała kontrolę nad swoją walutą. Szybko zaczęła łagodzić politykę monetarną. Jednak pomimo spadku wartości funta szterlinga o około jedną czwartą w latach 2009–2013 eksport nie ruszył z miejsca, a inwestycje pozostawały na niskim poziomie. Po 2010 roku Wielka Brytania wprowadziła najostrzejszy program konsolidacji fiskalnej ze wszystkich dużych i wysoko uprzemysłowionych gospodarek, ale odrodzenie gospodarcze zajęło jej więcej czasu niż którejkolwiek z nich z wyjątkiem Włoch. Kiedy w końcu, w 2013 roku, pojawił się skromny wzrost, był on w dużej mierze oparty na dynamicznym rynku nieruchomości, wydatkach konsumenckich – pokrywanych w dużej mierze poprzez zwiększanie zadłużenia gospodarstw domowych – i wydatkach państwa, których mimo zaciskania pasa nie udało się obciąć tak bardzo, jak początkowo chciał tego rząd.

Spółeczne koszty polityki zaciskania pasa były wysokie. Większość z nich zapłaciły biedniejsze warstwy społeczeństwa. Cięcia w usługach publicznych, przerzuconych w większości na lokalne samorzady, spowodowały zamykanie centrów dziecięcych i młodzieżowych, bibliotek i innych ważnych instytucji zachowujących społeczną spójność. Recesja pogłębiła podziały społeczne. Fakt, że kilku członków rządu, w tym David Cameron i George Osborne, zdobywało wykształcenie w niektórych spośród najdroższych angielskich szkół prywatnych, umacniał wizerunek elity politycznej jako grona całkowicie oderwanego od życia



zwykłych ludzi, którzy, gdy cięcia zaczęły być odczuwalne, często mieli problemy, by związać koniec z końcem. Przepaść w dochodach i poziomie bogactwa pogłębiała się. Około 13 procent wszystkich dochodów trafiało do jednego procenta populacji – dwa razy więcej niż, na przykład, w Holandii. Liderzy biznesu zarabiali w 1998 roku 47 razy więcej, niż wynosiła przeciętna pensja ich pracowników; w 2014 już 143 razy więcej. Ich dochody rosły w tempie czterokrotnie wyższym niż u zwykłych zjadaczy chleba. Mediana zarobków menedżerów najwyższego stopnia wynosiła wówczas 4,4 miliona funtów rocznie; mediana zarobków populacji wynosiła 26 000 funtów rocznie. Dochody gospodarstw domowych mierzone ich siłą nabywczą były w 2013 roku prawie o sześć procent niższe niż w 2010. Średni dochód 20 procent najgorzej sytuowanych gospodarstw domowych był znacznie niższy niż w Holandii, Francji i Niemczech. Jednocześnie ceny nieruchomości w najmodniejszych dzielnicach Londynu rosły w tempie ponad 20 procent rocznie, a tygodniowy czynsz za luksusowy dom w eleganckim Mayfair wynosił czasem więcej, niż większość ludzi zarabiała przez rok.

Mniej ludzi było stać na zakup własnego lokum, więc byli zmuszeni wynajmować często urągające wszelkim standardom mieszkania, nie mając przy tym dostatecznej ochrony przed wyzbytymi ze skrupułów właścicielami. Kolejne rządy przez wiele lat nie zajmowały się polityką mieszkaniową, nie było też programów budownictwa socjalnego, które pomogłyby uzupełnić zasoby wyprzedane od czasów Thatcher. Problem ten stał się szczególnie dotkliwy w czasach recesji. Wielka Brytania była jednym z najbogatszych krajów świata, ale coraz większa liczba obywateli nie miała nawet dachu nad głową. Pomiędzy 2010 a 2017 rokiem dwukrotnie przybyło tych, którzy zmuszeni byli spać na londyńskich ulicach; w innych dużych miastach ich liczba także gwałtownie wzrosła. W tym samym okresie wykorzystanie banków żywności, które zapewniały posiłki ubogim, wzrosło o 1642 procent.

Zamieszki w niektórych miastach, które wybuchły w 2011 roku, świadczyły o narastającym gniewie i frustracji – a także o rosnącej fali przestępczości – wśród

najbardziej spauperyzowanych warstw społecznych. Dotyczyło to w szczególności wielu młodych z rodzin imigranckich, którzy mieszkali w zdewastowanych domach i nie widzieli dla siebie żadnej przyszłości. Można ich było potraktować jako społeczne ekstremum, ale wraz z pogarszaniem się warunków gospodarczych nastroje ulegały radykalizacji. Zaczęto szukać kozłów ofiarnych. Wśród nich znaleźli się imigranci i Unia Europejska. Dobrze pasowali do prostego przekazu, który trafiał do coraz większej liczby obywateli za sprawą UKIP (Partii Niepodległości Zjednoczonego Królestwa) – czyli, ogólnie rzecz biorąc, brytyjskiej (a właściwie *angielskiej*) odmiany nacjonalistycznej, antyglobalizacyjnej partii, której inne wersje można było znaleźć w wielu krajach Europy. „Polacy i Nigeryjczycy wprowadzili się na naszą ulicę”, mówiła kierowniczka jednego z londyńskich supermarketów o bardzo skromnych dochodach, ale z domem, który od czasów, gdy kupili go z mężem w 1997 roku, zyskał na wartości czterokrotnie. „Mili ludzie, ciężko pracują, kupują domy. Ale dlaczego są tutaj, kiedy my potrzebujemy domów i pracy? Gdybyśmy wyszli z Europy, moglibyśmy to powstrzymać”. Tak wyglądał zarodek narastającej wrogości wobec Unii Europejskiej. W 2005 roku „eurosceptycyzm” był wciąż poglądem reprezentowanym przez mniejszość, ale stopniowo zmieniał się w otwartą „eurofobię” i stale się rozszerzał.

W krajach najmocniej dotkniętych przez Wielką Recesję – Portugalii, Hiszpanii, Irlandii i, przede wszystkim, w Grecji – partie establishmentowe wpadły w nie lada tarapaty, próbując walczyć z potężnym i cały czas narastającym kryzysem. Socjaliści, którzy proponowali cięcia wydatków i ubiegali się o bailout, zostali w 2011 roku pozbawieni władzy w Portugalii, na fali powszechnego oburzenia i masowych protestów. Jednak kolejny rząd, stworzony przez centroprawicowych socjaldemokratów, wprowadził własny program oszczędnościowy, bo sytuacja w Portugalii stawała się coraz gorsza. Zapłacił za to cenę w wyborach w październiku 2015 roku, kiedy socjaliści wrócili do gry i stworzyli chwiejny, mniejszościowy rząd. W Hiszpanii socjaliści, zmuszeni przez pogłębiający się kryzys do wprowadzenia polityki oszczędnościowej mimo

wcześniej deklarowanych zamiarów zapewnienia gospodarce bodźca finansowego, stracili w wyborach w listopadzie 2011 roku prawie cztery piąte głosów. Kolejny rząd, stworzony przez konserwatystów, jeszcze mocniej zacisnął pasa, a dodatkowo pogrążyły go skandale korupcyjne. Zapłacił za to cenę w postaci utraty jednej trzeciej miejsc w parlamencie w wyborach w 2015 roku. Elektorat odrzucił jednak również socjalistów. Dwa nowe ugrupowania, lewicowe Podemos i centrowi Obywatele (*Ciudadanos*), zdobyły łącznie jedną trzecią poparcia – to był głos sprzeciwu wobec polityki oszczędności, który odbił się na obu głównych hiszpańskich partiach politycznych. Irlandia przeżyła własne polityczne trzęsienie ziemi, kiedy w wyborach parlamentarnych w lutym 2011 roku dominująca centroprawicowa partia Fianna Fáil, uznana za odpowiedzialną za finansowe problemy kraju, poniosła największą porażkę od lat 20. Jej główna rywalka, liberalno-konserwatywna Fine Gael, po raz pierwszy w swojej prawie osiemdziesięcioletniej historii została największą partią w parlamencie. Dodatkowo długoletnia supremacja tych dwóch ugrupowań została poważnie osłabiona przez znaczący wzrost poparcia dla irlandzkiej Partii Pracy i nacjonalistycznej Sinn Féin.

Nateżenie politycznych turbulencji w Grecji było wyjątkowe – odzwierciedlające skalę gospodarczej katastrofy. Wybory w 2009 roku, kiedy gospodarka już ostro hamowała, przyniosły porażkę konserwatywnej partii rządzącej, Nowej Demokracji. W ciągu kilku tygodni nowy socjalistyczny rząd partii PASOK pod wodzą George’a Papandreou ogłosił, że dług publiczny jest znacznie wyższy, niż wcześniej przyznawano. Kraj nie miał środków, by spłacić długi, które trzeba było uregulować. Agencje ratingowe mocno obniżyły swoją ocenę wiarygodności kredytowej Grecji, przez co pożyczanie pieniędzy stało się kosztowniejsze – o ile w ogóle znajdowali się jacyś chętni do pożyczania. Rząd odpowiedział wprowadzeniem drakońskich środków oszczędnościowych. Płace urzędników cywilnych zostały zamrożone, państwowe emerytury zamrożone, a podatki podniesione. To nie wystarczyło. W kwietniu 2010 roku Papandreou zażądał międzynarodowej pomocy – jak się okazało nie po raz ostatni. Trojka (jak zaczęto nazywać przedstawicieli Międzynarodowego Funduszu Walutowego,

Komisji Europejskiej i Europejskiego Banku Centralnego) uzgodniła w ciągu miesiąca pożyczkę w wysokości 110 miliardów euro, ale pod warunkiem wprowadzenia dalszych ostrych oszczędności i restrukturyzacji finansów kraju. Parlament niechętnie zgodził się na te żądania.

Na ulicach Aten wybuchły gwałtowne protesty. W ciągu roku jeszcze przybrały na sile. W Atenach i innych miastach organizował je przeciwny oszczędnościom ruch Oburzonych (*Indignados*). Nasiliły się gwałtowne starcia z policją, która postanowiła odpowiedzieć brutalnym pokazem siły. Część gniewu Greków była kierowana bezpośrednio przeciw Niemcom, które postrzegano jako potęgę stojącą za Trojką. Widocznym przejawem tej wrogości były plakaty przedstawiające kanclerz Niemiec, Angelę Merkel, z dorysowanym hitlerowskim wąsikiem – jakkolwiek absurdalne by się to nie wydawało.

Poparcie dla głównych partii politycznych skurczyło się. Papandreou został zmuszony do rezygnacji w listopadzie 2011 roku; zastąpiła go chwiejna i nieefektywna koalicja. Wybory w maju 2012 roku nie przyniosły rozstrzygnięcia i trzeba je było powtórzyć zaledwie miesiąc później. PASOK, od lat 70. dominująca partia w Grecji, zajęła dopiero trzecie miejsce. Drugie, za Nową Demokracją (która stanęła na czele nowej koalicji rządowej) zdobyła SYRIZA, radykalnie lewicowe ugrupowanie pod wodzą charyzmatycznego Aleksisa Tsiprasa. Niepokojący był fakt, że skrajnie prawicowa, neofaszystowska partia Złoty Świt zdobyła 21 miejsc w parlamencie. Część społeczeństwa szukała kozłów ofiarnych odpowiedzialnych za wszystkie nieszczęścia. Złoty Świt był w stanie skierować ten resentyment przeciwko rosnącej liczbie imigrantów, w dużej mierze nielegalnych, którzy przybywali od połowy dekady, głównie z Afryki i Bliskiego Wschodu.

Bezlitosne obniżanie standardów życia – które odbijało się przede wszystkim na najbiedniejszych – trwało również po przyznaniu drugiego bailout w wysokości 130 miliardów euro, co uzgodniono w lutym 2012 roku. Budżet na opiekę zdrowotną został obniżony o 21,7 procent (co przyczyniło się do znacznego wzrostu śmiertelności niemowląt). Budżet na edukację został obcięty o ponad jedną trzecią w porównaniu z poziomem sprzed kryzysu. Pomimo pomocy zewnętrznej

w marcu 2012 roku Grecja ogłosiła niewypłacalność. Państwowy dług został zrestrukturyzowany, a 107 miliardów euro umorzono. Nie przyniosło to jednak specjalnej ulgi. Praktycznie wszystkie fundusze pomocowe były wydawane na obsługę istniejącego długu – powodując przy tym kolejne. Lata bezlitosnego przykręcania śruby zaowocowały koniec końców wzrostem zadłużenia do poziomu wyższego niż na początku kryzysu.

Obywatele płacili wysoką cenę za dziesięciolecia złych rządów. Grecja od dawna miała rozdęty sektor publiczny, jej biurokracja była skrajnie nieefektywna, a unikanie płacenia podatków stało się niemal narodowym sportem. Wyłudzenie świadczeń było powszechne. Tysiące Greków pobierało emerytury za zmarłych krewnych. Restauracje przyjmowały płatności tylko w gotówce. Lekarze nie ujawniali znacznej części swoich zarobków. Ukrywanie majątku było na porządku dziennym. Szacuje się, że prawie jedna trzecia produktu krajowego brutto pochodziła z szarej strefy. A wydatki Grecji na emerytury, rosnące ponad dwa razy szybciej niż w Niemczech czy we Włoszech i pozwalające większości Greków przechodzić na wcześniejsze emerytury, wymknęły się spod kontroli. Grecja z pewnością musiała uporządkować swoje sprawy. Jednak tempo i bezwzględność, z jaką to zrobiono, były trudne do uniesienia, zarówno politycznie, jak i społecznie.

Pomimo to, w 2013 roku, wprowadzono kolejne cięcia. Zwolniono tysiące pracowników sektora publicznego i jeszcze bardziej obniżono płace. Na początku 2014 roku rząd mógł ogłosić, że po raz pierwszy od wielu lat w budżecie zanotowano nadwyżkę. Dla zwykłych Greków było to jednak niewielkie pocieszenie. W wyborach w styczniu 2015 roku po raz kolejny podziękowali swojemu rządowi. Potężny niegdyś PASOK dostał zaledwie 4,7 procent głosów. Wielki zwrot w kierunku bardziej radykalnej lewicy przyniósł zwycięstwo partii SYRIZA. Na czele nowego rządu stanął Tsipras (choć musiał w tym celu wejść w koalicję z niewielką nacjonalistyczną partią Niezależni Grecy). Program, z którym wygrał, zakładał natychmiastowe odrzucenie trzeciego bailout – niosącego ze sobą wymóg dalszych cięć – który Trojka uznała za niezbędny, mimo że zaczęły pojawiać się pierwsze nieśmiałe oznaki ożywienia. Opowiadał się za

fundamentalną restrukturyzacją greckiego zadłużenia i zerwaniem z polityką oszczędności. Jego rekomendacja, by odrzucić nowy pakiet pomocowy, została poparta przez wyborców w referendum, które odbyło się w lipcu 2015 roku.

Jego minister finansów, Janis Warufakis, który dzięki ekstrawertycznej osobowości szybko stał się znany telewizjom w całej Europie, gorąco optował za nową polityką restrukturyzacji długu – co w praktyce oznaczało jego umorzenie – i porzuceniem tego, co nie całkiem bezzasadnie uważał za samonapędzające się koło oszczędności. Jednak wkrótce po referendum Tsipras zmienił zdanie i niechętnie przyjął warunki trzeciego pakietu – pożyczki opiewającej na między 82 a 86 miliardów euro, która miała być wypłacana w transzach do 2018 roku. Uważał, że wynegocjował dla Grecji najlepsze możliwe warunki. Twierdził, że każda alternatywa byłaby „samobójstwem”. Warufakis, nie mogąc wprowadzić zmian, które uważał za niezbędne, podał się do dymisji już w lipcu. Rezygnacja Tsiprasa, którego popularność gwałtownie spadła i który stanął w obliczu buntu we własnej partii, nastąpiła w sierpniu.

Miesiąc później, kiedy niemożliwe okazało się stworzenie alternatywnego rządu, przeprowadzono nowe wybory, które nie przyniosły jednak znaczących zmian w układzie sił i Tsiprasowi ponownie powierzono misję stworzenia rządu. W maju 2016 roku początkowo niechętny cięciom premier został zmuszony do wprowadzenia kolejnych oszczędności. Oficjalnie Grecja wyszła z recesji w 2014 roku. W rzeczywistości jednak problemy kraju wcale się nie skończyły.

Gdyby istniał jakiś prosty sposób wyjścia z trudnej sytuacji, w której znalazła się Grecja, z pewnością by z niego skorzystano. Jednak wszystkie drogi wyjścia były zablokowane. Jak przekonał się Warufakis, całkowite umorzenie długu – z pewnością niezbędne, by Grecja mogła się odrodzić – spotkało się ze sprzeciwem wierzycieli, którzy (tak w USA, jak i w krajach europejskich) nie zamierzali wziąć na siebie choćby części odpowiedzialności za udzielenie pożyczek. Koncepcja uwspólnienia długu poprzez stworzenie „euroobligacji” została zdecydowanie odrzucona przez Niemcy i kilka innych krajów. Niemieccy deponenci nie pogodziliby się z tym pomysłem, a poza tym mógłby się on okazać sprzeczny

z niemiecką konstytucją. Keynesowskie z ducha wydatki rządowe, które miałyby pobudzić wzrost, były niemożliwe, dopóki zadłużenie pozostawało tak wysokie, a pożyczanie tak kosztowne. Kontrolowana upadłość, umożliwiająca opuszczenie strefy euro i powrót do dawnej waluty narodowej, drachmy, choć popierana przez niektórych ekonomistów, niosła ze sobą ryzyko katastrofalnych skutków politycznych i ekonomicznych, przynajmniej w perspektywie krótkoterminowej. Sondaże opinii publicznej pokazywały, że Grecy chcą zachować euro. Niemal z pewnością w mniejszym stopniu wynikało to z sympatii do nowej waluty, która po początkowych latach pomyślności stała się synonimem gigantycznej narodowej katastrofy, a bardziej z obawy o to, co może przynieść alternatywa.

W osiem lat po wybuchu greckiego kryzysu, w czerwcu 2017 roku, po ponad sześciomiesięcznych przepychankach o warunki, grecki rząd zaakceptował kolejny pakiet pomocowy w wysokości 8,5 miliarda euro, by uniknąć ogłoszenia niewypłacalności. Wśród warunków znalazło się wprowadzenie pewnych liberalnych reform rynku. Jednak porozumienie w największym stopniu miało dotknąć biedniejszych emerytów. Od chwili wybuchu kryzysu emerytury zostały obniżone dwunastokrotnie, a od 2011 roku spadły o 40 procent. Teraz miały zostać obcięte o kolejne 18 procent w terminie do 2019 roku. Oczekiwano fali strajków, demonstracji i politycznych turbulencji. Jedynym światełkiem na końcu długiego, ciemnego tunelu była wyrażona przez część kredytodawców gotowość do podjęcia niezbędnych kroków w celu zredukowania potężnego greckiego długu i dopilnowania, by w przyszłości był on możliwy do spłacania. Dopiero wtedy Grecy będą mogli zacząć spokojniej patrzeć w przyszłość.

Najgorsza recesja od 80 lat zdemolowała gospodarki, obaliła rządy i wstrząsnęła Starym Kontynentem. Jednak Europa ją przetrwała – nawet jeżeli wielkim kosztem, z dużymi problemami i w stanie utrzymującego się nawet później osłabienia. Demokracja nie upadła, nie odrodził się faszyzm ani autorytaryzm (choć niektóre tendencje w Europie Środkowej dawały powody do dużego niepokoju, a w wielu krajach poparcie dla antyestablishmentowych partii populistycznych, wywodzących się w większości z nacjonalistyczno-

ksenofobicznej prawicy, miało się utrzymywać w kolejnych latach). Społeczeństwo obywatelskie, mimo traum, okazało się odporne na wstrząsy. Co więcej, bez względu na słabość i błędy polityczne istniała wola, by rozwiązać problemy podupadających gospodarek za pomocą sposobów, których zabrakło w latach 30. Z pewnością nie było czego świętować. Jednak w kategoriach gospodarczych po kilku latach zaczęły się pojawiać podstawy do ostrożnego optymizmu. Politycznie sytuacja miała nadal pozostać niestabilna. A zanim jeszcze kryzys gospodarczy został przezwyciężony czy choćby opanowany, na horyzoncie pojawiła się seria kolejnych, tym razem będących wynikiem katastrofalnych zdarzeń na Bliskim Wschodzie. Tu granice współpracy międzynarodowej w Europie osiągnięto bardzo szybko. Kraje działały niemal wyłącznie we własnym interesie narodowym.

## **Kryzys migracyjny**

„Międzynarodowy migrant” to, według ONZ, „osoba, która mieszka w kraju innym niż kraj jego lub jej urodzenia”. W 2015 roku liczbę migrantów na świecie szacowano na 244 miliony, z czego 76 milionów przebywało w Europie. Przenosili się oni i osiedlali (w większości legalnie) z wielu różnych powodów: by uniknąć konfliktu, dyskryminacji i łamania praw człowieka; także by uciec przed bezrobociem, nędzą lub głodem, w poszukiwaniu lepszego życia; lub po prostu po to, by znaleźć nową pracę. Większości migrantów nie klasyfikuje się jako „uchodźców”. Łączna liczba tych drugich była znacznie mniejsza, w 2014 roku na całym świecie wynosiła około 19,5 miliona (blisko osiem procent wszystkich migrantów). Nieokreślona liczba migrantów, przybywających do Europy w latach 2015–2016, była gnana wyłącznie lub głównie motywami ekonomicznymi. Jednak europejski kryzys migracyjny był po pierwsze i najważniejsze kryzysem uchodźczym – dotyczącym ludzi uciekających przed wojną, prześladowaniami lub zmuszonych do porzucenia swoich domów i szukania azylu w krajach europejskich. Wielu w istocie uzyskało status „uchodźcy” jeszcze przed udaniem



się do Europy. Raporty dotyczące kryzysu uchodźczego używały zatem terminów „osoba ubiegająca się o azyl” i „migrant” wymiennie.

W 2006 roku liczba szukających azylu w Unii Europejskiej spadła do poniżej 200 000. Jednak począwszy od 2007 roku stopniowo rosła, by w 2015 roku osiągnąć punkt krytyczny, bliski 1,3 miliona. Ponad połowa osób poszukujących azylu pochodziła z trzech krajów: Syrii, Afganistanu i Iraku. Każdy z nich straszliwie ucierpiał od wojny, za którą w dużej mierze odpowiedzialny był Zachód.

Znacznie przesadzone nadzieje Zachodu, że ludowe powstania przeciwko autorytarnym rządóm na Bliskim Wschodzie, które wybuchły w 2011 roku – szybko ochrzczone mianem „arabskiej wiosny” – przyniosą wolność, demokrację i pokój temu najbardziej rozchwianemu regionowi na świecie, wkrótce okazały się złudne. Niektórzy potężni władcy – prezydent Zajn al-Abidin ibn Ali w Tunezji, pułkownik Muammar Kaddafi w Libii i prezydent Hosni Mubarak w Egipcie – rzeczywiście zostali obaleni. Jednak Libia osunęła się w przedłużający się chaos polityczny, a w Egipcie armia pod wodzą byłego szefa sił zbrojnych, Abda al-Fattaha as-Sisiego, szybko odzyskała kontrolę nad krajem. Przez chwilę wydawało się, że masowe protesty w Damaszku i innych syryjskich miastach doprowadzą do upadku reżimu prezydenta Baszszara al-Asada (który w 2000 roku zastąpił na stanowisku głowy państwa swojego ojca, Hafiza). Zachód przez jakiś czas był przekonany, że los Asada jest przesądzony. Reżim, którym ten ostatni kierował, wcale jednak nie zamierzał kapitulować. Tymczasem z chaosu i wojny wszystkich ze wszystkimi, która nastąpiła po zachodniej inwazji na Irak w 2003 roku za sprawą fatalnych błędów Amerykanów, popełnionych w zarządzaniu krajem po upadku Saddama Husajna, wyłoniła się wyjątkowo barbarzyńska organizacja terrorystyczna Daesh, znana na Zachodzie jako Państwo Islamskie Iraku i Syrii (ISIS, w skrócie IS), globalny ruch dżihadystyczny działający z bezprecedensową brutalnością, który do 2015 roku objął swoimi straszliwymi rządami znaczne połacie Iraku i Syrii. Miliony ludzi uciekły przed tym koszmarem. Większość znalazła schronienie w prowizorycznych obozach w krajach sąsiednich – Turcji,

Libanie i Jordanii. Jednak rzesze uchodźców podejmowały teraz również długą i często niebezpieczną wyprawę do Europy. Do końca 2015 roku liczba tych, którzy w ten lub inny sposób dotarli do Europy, zwiększyła się dwukrotnie w porównaniu z rokiem poprzednim.

Większość uchodźców przedostawała się przez wschodnie akweny Morza Śródziemnego i Bałkany albo przez Afrykę Północną. Wielu oddawało swoje ostatnie pieniądze bezwzględny przemytnikom, którzy przewozili ich przez Morze Śródziemne do Grecji i Włoch na niebezpiecznie zatłoczonych, lichych łodziach. Jeden z takich ludzi, imieniem Ali, uciekający z Iraku z czwórką dzieci, zapłacił przemytnikom w Turcji 8000 euro za pięć miejsc na pełnomorskim jachcie, który miał ich bezpiecznie zawieźć do Grecji. Kiedy jednak pojawili się na odludnej plaży, nie było śladu po imponującym jachcie. Zamiast tego, pod lufą pistoletu musieli wejść na pokład niewielkiej łodzi, na której było już 11 innych osób. W połowie drogi na grecką wyspę Kos zepsuł się silnik, łódź zaczęła nabierać wody i ostatecznie zatонуła. Grecka straż przybrzeżna zdołała uratować część rozbitków. Jednak dwójki dzieci Alego nie było wśród uratowanych; mógł tylko patrzeć, jak pogrążają się w ciemnych wodach Morza Egejskiego. To tylko jedna z niezliczonych ludzkich tragedii, które wydarzyły się podczas kryzysu uchodźczego. W samym tylko roku 2015 nie mniej niż 3600 imigrantów utонуło podczas próby dotarcia do Europy. A na rozległych wodach mórz Śródziemnego i Egejskiego przemytnicy ludzi w nieunikniony sposób zawsze pozostawali o krok przed policją.

Syryjczycy próbujący dostać się do Europy drogą morską dołączali do licznych rzesz imigrantów z rozdartych przez wojnę regionów Afryki i tysiący imigrantów ekonomicznych, którzy uciekali przed nędzą z Bangladeszu, by przez Libię (gdzie sieć przemytników ludzi mogła teraz korzystać z chaosu panującego w libijskich portach) i Afrykę Północną dostać się do Włoch i Grecji. W 2015 roku na wybrzeżach tych dwóch krajów – Grecja wciąż mocno odczuwała skutki kryzysu gospodarczego – wylądowało blisko milion migrantów. Biorąc pod uwagę skalę zjawiska, systematyczne sprawdzanie legalności tych, którzy ubiegali się o status

uchodźców, graniczyło z niemożliwością. Większość imigrantów chciała skierować się na północ. Najbardziej preferowanymi kierunkami były Niemcy i Szwecja. Wkrótce jednak odkryli, że nikt nie czeka tam na nich z otwartymi ramionami.

Kontrole graniczne, zniesione w większości krajów Starego Kontynentu po powstaniu strefy Schengen jeszcze w latach 80., powróciły do Europy, przynajmniej czasowo. Jesienią 2015 roku w Europie Środkowej, przez którą przechodził główny szlak imigrantów z Bałkanów, Austria przywróciła kontrole na granicy z Węgrami i Słowenią, a Węgry zaczęły budowę wysokiego płotu wzdłuż granicy z Serbią i zablokowały granicę z Chorwacją. Słowenia, na próżno próbując powstrzymać imigrantów przybywających z Chorwacji, także postawiła płot. Słowacja uruchomiła tymczasowe posterunki na granicy z Węgrami i Austrią, Niemcy na granicy z Austrią, a Holandia na granicy z Niemcami. Także w Europie Północnej przywrócono kontrole graniczne – przez Danię na granicy niemieckiej i przez Szwecję na granicy z Danią. W rezultacie zawartego w 2003 roku pomiędzy Francją i Wielką Brytanią porozumienia, na mocy którego kontrole graniczne były przeprowadzane po francuskiej stronie kanału La Manche, około 7000 osób poszukujących azylu, próbujących dostać się do Wielkiej Brytanii po pokonaniu strefy Schengen, znalazło się w obozie przejściowym w pobliżu Calais, ochrzczonym mianem „Dżungli”. Bytowali tam w nędznych, niehigienicznych i urągających ludzkiej godności warunkach. Wstrząsające reportaże o koszmarze życia w „Dżungli” i desperackich, czasami okupionych życiem próbach wyrwania się stamtąd do Anglii w ciężarówkach, niemal codziennie pojawiały się w telewizji. Francuskie władze ostatecznie oczyściły obóz w październiku 2016 roku, rozmieszczając imigrantów w innych lokalizacjach we Francji. Jednak wiosną 2017 roku ponad 1000 imigrantów ponownie znalazło się w Calais, żyjąc tam bez dostępu do toalet, bieżącej wody lub dachu nad głową. Byli gotowi jeszcze raz podjąć wielkie ryzyko, by dostać się do Wielkiej Brytanii.

„Dżungla” w dużej mierze uchroniła Wielką Brytanię, niezwiązaną przez unijną politykę azylową (uzgodnioną w traktacie lizbońskim) przed problemem uchodźców. Świadomy delikatności problemu – i tego, że media i opinia publiczna

często łączą imigrację z kwestią azyłową – brytyjski rząd wolał wydawać znaczące sumy (mówi się o 1,1 miliarda funtów od 2012 roku) na pomoc humanitarną w strefach bezpieczeństwa bliżej Syrii, niż przyznawać uchodźcom azyl w Wielkiej Brytanii. Pomiędzy 2011 a 2016 rokiem tylko około 5000 syryjskich uchodźców otrzymało azyl w Wielkiej Brytanii. Brytyjski rząd zgodził się przyjąć kolejne 20 000 do 2020 roku. Trudno to nazwać szczodłą ofertą, biorąc pod uwagę skalę kryzysu.

Szczególnie nieprzejednane stanowisko przyjęły Węgry. Kraj poczuł, że znalazł się w oku cyklonu, kiedy w sierpniu 2015 roku przybyło około 50 000 imigrantów – choć przeważająca większość chciała się dostać do Niemiec. Premier, Victor Orbán, ostrzegał przed „muzułmańskim zagrożeniem” dla kultury chrześcijańskiej, który to pogląd podzielała znaczna część jego rodaków. Na początku września sceny chaosu na granicy z Austrią i na dworcu kolejowym w Budapeszcie przekonały szefów rządów Niemiec i Austrii, Angelę Merkel i Wenera Faymanna, do ogłoszenia bez wcześniejszego ostrzeżenia, że wpuszczą uchodźców do swoich krajów. Angela Merkel zdążyła zasugerować, że Niemcy do końca roku spodziewają się przyjąć około 800 000 uchodźców (w rzeczywistości ich liczba sięgnęła 1,1 miliona) i powiedziała – ku wielkiemu zdumieniu innych krajów europejskich – że nie ma górnego limitu. Uderzyła jednak w optymistyczny ton. „Poradzimy sobie z tym” – brzmiał jej uspokajający komunikat.

Rzeczywiście, początkowa reakcja była bardzo zachęcająca. W Austrii ludzie dobrej woli przynosili jedzenie, ubrania i wodę na dworce kolejowe w Wiedniu i Salzburgu. Tłumy witały uchodźców wysypujących się z pociągów przyjeżdżających na główny dworzec w Monachium. Niemcy szybko poradzili sobie z zapewnieniem tymczasowego zakwaterowania, dali każdemu uchodźcy niewielką sumę pieniędzy i zaczęli organizować im naukę niemieckiego. Ciepłe powitanie było po części wywołane przez wiele chwytających za serce historii o cierpieniach uchodźców w ich ojczyznach i ucieczce przed koszmarem wojny. Humanitarne instynkty budziły się, kiedy na granicy austriackiej znaleziono ciężarówkę z ciałami 71 uchodźców albo kiedy światową prasę obiegło zdjęcie

małego syryjskiego chłopca, którego ciało morze wyrzuciło na tureckie wybrzeże. Bez wątpienia jednak na reakcję kraju wpływ miał również długi cień niemieckiej przeszłości. Chodziło o całkowite odwrócenie wartości, które doprowadziły do straszliwego bestialstwa w czasach nazizmu.

Otwarcie drzwi dla tak wielkiej rzeszy uchodźców praktycznie z dnia na dzień musiało stworzyć ogromne problemy dla przeciążonych władz, które miały kłopoty z zapewnieniem doraźnej pomocy, nie mówiąc już o zorganizowaniu bardziej trwałej integracji. Z pewnością zjeżyło to włosy na głowie nie tylko wielu ludziom w Niemczech, ale również odstraszyło przywódców innych państw europejskich, którzy poczuli, że jednostronna decyzja Merkel, podjęta bez żadnych konsultacji, nakłada na nich intensywną presję w związku z kryzysem uchodźczym. Niektóre z najostrzejszych wypowiedzi w samych Niemczech popłynęły z siostrzanej partii Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej (CDU) kanclerz Merkel, Unii Chrześcijańsko-Społecznej (CSU) z Bawarii, po tym, gdy w ciągu jednego weekendu dotarło tam około 25 000 uchodźców. Szef partii, Horst Seehofer, ostro skrytykował arbitralną decyzję o przyjęciu tak wielu uchodźców, stwierdzając, że żadne społeczeństwo nie poradzi sobie w dłuższej perspektywie z takimi liczbami napływającej ludności, jakie przyjmują Niemcy. I rzeczywiście, już wkrótce ciepłe przyjęcie, z którym spotkała się pierwsza fala uchodźców, ustąpiło w części społeczeństwa – szczególnie w starszym pokoleniu – chłodowi, a niekiedy wręcz otwartej wrogości. Gwałtownie wzrosła liczba brutalnych ataków na imigrantów; doszło między innymi do 222 prób podpaleń hosteli, w których zakwaterowani byli imigranci.

Wzrost nastrojów antyimigranckich, a jednocześnie skok popularności gotowej wykorzystać te nastroje skrajnej prawicy, nastąpił po wydarzeniach w Kolonii w sylwestra 2015 roku, kiedy to duże grupy młodych mężczyzn, z których niektórzy świeżo przybyli z Syrii, Iraku i Afganistanu, molestowało i napastowało kobiety biorące udział w imprezie. Wydarzenia te spowodowały natychmiastowy i skokowy wzrost niechęci wobec imigrantów, co widać było chociażby po komentarzach w internecie. Na prawicy pojawiły się charakterystyczne głosy

wieszczące katastrofę. Jeden z wiodących działaczy rodzącej się antyimigranckiej partii Alternative für Deutschland mówił w alarmistycznym tonie o tych wydarzeniach jako o „przedsmaku kulturowego i cywilizacyjnego upadku czekającego nasz kraj”. Władze (które feralnej nocy nieodpowiednio przypilnowały bezpieczeństwa w Kolonii) szybko podjęły kroki mające zapobiec wszelkiej powtórce takich wydarzeń. Choć nastrój dramatu przygasł, a tolerancja – poza kręgami prawicowymi – przetrwała, epizod ten pokazał, jak płytkie są liberalne wartości, które wydawały się już dobrze zakorzenione w europejskich społeczeństwach, i jak szybko uprzedzenia oraz wrogość wobec imigracji mogą wyjść na powierzchnię – i to nie tylko w Niemczech.

Granice europejskiej solidarności przy próbach rozwiązania kryzysu uchodźczego uwidoczniły się w niechęci do zaakceptowania propozycji Unii Europejskiej, dotyczącej sprawiedliwego rozdzielania uchodźców. W szczytowym momencie kryzysu, we wrześniu 2015 roku, przewodniczący Komisji Europejskiej, Jean-Claude Juncker, przedstawił plan systemu kwotowego, zgodnego ze względną wielkością populacji. Jednak kraje wyszehradzkie (Węgry, Polska, Słowacja i Czechy) odrzuciły go całkowicie i w ciągu roku proponowany system kwotowy został zarzucony. Zabrakło również solidarności w kwestii zbierania funduszy na pomoc ludziom schwytanym w pułapkę syryjskiego konfliktu. Komisja Europejska ogłosiła, że jest gotowa wydać 9,2 miliarda euro na pomoc w rozwiązaniu kryzysu uchodźczego. Państwa członkowskie zostały zobowiązane do wyłożenia tych funduszy z budżetów narodowych. Niewiele to zrobiło. Apel ONZ o zebranie dziewięciu miliardów dolarów na pomoc wysiedlonym w wyniku wojny w Syrii – ich liczbę od 2011 roku szacuje się na ponad 12 milionów – również nie spotkał się z powszechnym odzewem.

Ton moralnej wyższości, w który we wrześniu 2015 roku uderzyła Merkel, wkrótce brzmiał już pusto. Pod wpływem ostrej krytyki jej polityki „otwartych drzwi” i z potrzeby powstrzymania strumienia uchodźców kanclerz w następnym miesiącu poleciała do Ankary, by spotkać się z tureckim prezydentem, Recepem Tayyipem Erdoğanem, by dopiąć porozumienie pomiędzy Unią Europejską

a Turcją – która sama przyjęła znacznie więcej uchodźców z Syrii, niż którykolwiek kraj Unii Europejskiej. Istotą porozumienia było to, że Turcja przyjmie imigrantów zawracanych z Unii Europejskiej w zamian za kwotę trzech miliardów euro, gwarancję ruchu bezwizowego dla obywateli Turcji i podjęcie aktywnych kroków zmierzających ostatecznie do członkostwa Turcji w Unii Europejskiej. „Wspólny plan działania”, który był efektem tych rozmów, doprowadził do podpisania porozumienia w marcu 2016 roku. „Nieprzepisowi” imigranci, przedostający się z Turcji na wyspy greckie, mieli być odtąd zawracani do Turcji, która zrobi wszystko, co w jej mocy, by zablokować morskie lub lądowe szlaki dla imigrantów chcących się dostać do Unii Europejskiej. Na każdego Syryjczyka zawracanego do Turcji z wysp greckich miał przypadać inny Syryjczyk osiedlony w UE. A oprócz początkowych trzech miliardów euro kolejne trzy miliardy miały zostać wypłacone przed końcem 2018 roku.

Trzeba było niemałej hipokryzji, by zawrzeć umowę, zdejmującą część presji z Europy, poprzez przekupienie kraju, który nie spełniał standardów praw człowieka i ochrony prawnej oczekiwanej w Unii Europejskiej. Rok później dziesiątki tysięcy imigrantów wciąż przebywało w tragicznych, nieludzkich warunkach w tymczasowych obozach na greckich wyspach lub na kontynencie. Organizacje charytatywne odnotowywały rosnącą liczbę uchodźców cierpiących nie tylko z powodu traum doświadczonych w Syrii, ale również z powodu depresji, intensywnego niepokoju, a nawet myśli samobójczych. Do tego czasu mniej niż 3500 z około trzech milionów uchodźców w Turcji zostało przetransferowanych do Unii Europejskiej. Z perspektywy Brukseli umowę z Turcją można było uznać za sukces.

Liczba imigrantów próbujących się dostać do krajów europejskich spadła w 2016 roku tylko nieznacznie w porównaniu z rekordem osiągniętym w roku poprzednim. Najpopularniejszym kierunkiem pozostawały niezmiennie Niemcy – 60 procent osób poszukujących azylu w Unii Europejskiej kierowało się właśnie tam, nawet nieco więcej niż w 2015 roku. Jednak szereg innych krajów – wśród nich Szwecja, Finlandia, Dania, Węgry, Austria, Holandia – odnotowały znaczny

spadek, wahający się od 53 do 86 procent. Liczba imigrantów przybywających z Libii do Włoch pozostała natomiast wysoka, choć spadła gwałtownie w lecie 2017 roku po zaostrzeniu polityki Włoch i Libii wobec przemytników, ale również za sprawą mniej liberalnego podejścia do organizacji charytatywnych. Być może najgorszy moment kryzysu uchodźczego minął. Kraje europejskie musiały jednak pogodzić się z faktem, że masowa imigracja – nawet jeżeli nie tak dramatyczna i niekontrolowana jak w latach 2015–2016 – pozostanie zjawiskiem trwałym. I to nie tylko dlatego, że Europa stanowiła bezpieczne schronienie dla tych, których życie zrujnowała wojna i brutalna polityczna przemoc; powodem były również rażące nierówności ekonomiczne, które stały się jeszcze bardziej widoczne w procesie globalizacji, wymuszającym transfer ludności z krajów biednych do bogatych, potrzebujących siły roboczej i zmagających się z niskim lub nawet ujemnym wskaźnikiem urodzeń.

Ceną, którą Unia Europejska musiała zapłacić za swoją umowę z Turcją, było niezdrowe uzależnienie od kraju, który odegrał swoją rolę we wspieraniu dżihadystów w Syrii, miał wątpliwe osiągnięcia, jeżeli chodzi o przestrzeganie praw człowieka i praworządność (czego przykładem mogły być masowe aresztowania dziesiątek tysięcy obywateli w 2016 roku po próbie wojskowego przewrotu, który miał obalić Erdoğan) i stawał się zarówno coraz bardziej autorytarny, jak i coraz bardziej islamistyczny. Kiedy stosunki pomiędzy Unią Europejską a Turcją pogorszyły się w 2016 roku – mówiło się nawet o nałożeniu sankcji gospodarczych na Turcję z powodu aresztowań i ograniczenia wolności prasy po próbie przewrotu oraz o zamrożeniu negocjacji akcesyjnych – Erdoğan zagroził, że otworzy granice i pozwoli uchodźcom przedostać się do Europy. Tak się nie stało, ale choć Turcja w teorii pozostaje kandydatem do pełnego członkostwa w Unii Europejskiej, to przeciągające się negocjacje zmierzające do tego celu stanęły w miejscu. Kryzys uchodźczy w istocie wzmocnił pozycję Turcji, a osłabił Unię Europejską.



# Zagrozenie terroryzmem

Codzienny koszmar w Syrii, wypełniający co wieczór kanały informacyjne, wzmocnił żądzę zemsty wśród niewielkiej, wyalienowanej i głęboko rozczarowanej części społeczności muzułmańskiej w krajach Europy Zachodniej. Jej członkowie kierowali się przeciwko społeczeństwom, których wartości całkowicie odrzucali i które w ich oczach były odpowiedzialne za cierpienia świata muzułmańskiego. Niezmienne poparcie Zachodu dla Izraela (mimo nielegalności jego polityki osadniczej w oczach większości wspólnoty międzynarodowej) i brak wsparcia dla Palestyńczyków w niekończącym się konflikcie od dawna napędzwały rosnące poczucie alienacji. Niedawne inwazje na Afganistan i Irak także zrobiły swoje, a później doszła do tego jeszcze interwencja w Libii i na koniec wojna w Syrii. Internet okazał się potężnym narzędziem szerzenia nienawistnego przekazu. Niektórzy potencjalni dżihadyści wyjeżdżali do Syrii i wracali stamtąd jako zaprawieni w bojach weterani, gotowi przeprowadzać ataki terrorystyczne lub skutecznie indoktrynować uległe jednostki, by zrobiły to za nich. Niektórzy, których liczbę alarmistyczne głosy skłonne były zawyżać, wtapiali się w tłum uchodźców zmierzających do Europy.

Jednak większość potencjalnych terrorystów urodziła się na miejscu. Często radykalizowali się za sprawą osobistych doświadczeń z biednych przedmieść wielkich miast. Czasami pochodzili z rodzin imigranckich, od dziesięcioleci doświadczających dyskryminacji w krajach, które stały się ich stałym domem. Zazwyczaj nie sposób było określić precyzyjnie głównej motywacji stojącej za atakami terrorystycznymi, poza oczywistym celem, jakim było szerzenie strachu i antagonizowanie społeczności przeciw sobie – tak by wywołać „starcie cywilizacji”, które mogłoby podkopać fundamenty liberalnego społeczeństwa Zachodu. Sprawcy widzieli w swoich straszliwych czynach element odwiecznego boju pomiędzy „wyznawcami” a „niewiernymi”. Ich wypaczona logika pozwalała usprawiedliwiać zabijanie niewinnych, przypadkowych ofiar, nawet dzieci,

w odwecie za śmierć niewinnych muzułmanów, ginących od zachodniej broni w wojnach na Bliskim Wschodzie.

Francja ucierpiała bardziej niż jakikolwiek inny kraj Europy Zachodniej. Wojna w Algierii pozostawiła po sobie niezaleczone blizny podziałów i dyskryminacji. Dla wielu muzułmanów szczególnie prowokujące było bezkompromisowe stanowisko Francji w sprawie przestrzegania zasad świeckości republiki. Wprowadzony w 2011 roku zakaz zasłaniania twarzy w miejscach publicznych nie dotyczył tylko muzułmanów, ale to muzułmańskie kobiety dotknął najbardziej. We Francji istniały więc specyficzne warunki do umacniania się resentymentu, nieobecne w innych krajach. Dodatkowo społecznie podupadłe przedmieścia Paryża i innych dużych miast stanowiły żyzną glebę do hodowania nienawiści, wzmacnianej dodatkowo przez słabo skrywany rasizm znaczącej części populacji. Oprócz trudnej sytuacji społecznej czynnikiem sprawczym był też fatalny rozwój wypadków na Bliskim Wschodzie.

7 stycznia 2015 roku dwóch uzbrojonych mężczyzn z jemeńskiej odnogi Al-Kaidy wtargnęło do redakcji magazynu satyrycznego „Charlie Hebdo” i otworzyło ogień z karabinów automatycznych, zabijając 12 osób (w tym redaktora naczelnego, Stéphane’a Charbonniera) i raniąc kolejnych 11. Zamachowcy, urodzeni w Paryżu potomkowie algierskich imigrantów, sami zostali zastrzeleni przez policję, ale wcześniej zdążyli jeszcze zabić dodatkowe cztery osoby i zranić kilka kolejnych. Wieczorem 13 listopada 2015 roku przypuszczono skoordynowane ataki terrorystyczne na paryskie kawiarnie i restauracje oraz przed stadionem piłkarskim Stade de France. W wyniku samobójczych zamachów bombowych i strzałów zginęło 130 osób, a setki zostało rannych, w tym 89 osób zabitych podczas koncertu rockowego w teatrze Bataclan. 14 lipca 2016 roku Francja przeżyła kolejny koszmar, kiedy duża ciężarówka z premedytacją wjechała w świętujący Dzień Bastylli tłum w Nicei. Zginęło 86 osób, a 434 zostały ranne. Innego rodzaju przerażający atak miał miejsce rano we wtorek 26 lipca, kiedy to dwóch terrorystów wtargnęło do kościoła katolickiego na spokojnych przedmieściach Rouen w północnej Francji i wykrzykując imię Allaha, poderżnęło

gardło osiemdziesięcioletniemu księdzu odprawiającemu mszę. Ataki te wywołały szok w całej Europie – i szerzej, w świecie zachodnim.

Bez względu na specyfikę Francji groźba terroryzmu miała charakter uniwersalny. Rano 22 marca 2016 roku Brukselę wstrząsnęły straszliwe ataki na lotnisko i stację metra, w wyniku których zginęły 32 niewinne osoby (i trzech zamachowców samobójców), a 340 zostały ranne. W grudniu 2016 roku goście bawiący się na jarmarku świątecznym w Berlinie padli ofiarą przeprowadzonego na oślepie ataku, przypominającego ten z Nicei. Rozpędzona ciężarówka wjechała w tłum, zabijając 12 osób i raniąc kolejnych 56. Podobnie prymitywnej, lecz skutecznej metody użyto w Sztokholmie. 7 kwietnia 2017 roku ciężarówka prowadzona przez sympatyka ISIS z Uzbekistanu, któremu odmówiono azylu, wjechała w tłum klientów sklepów, zabijając pięć osób i raniąc 15 innych.

Do Wielkiej Brytanii, z jej ściśle kontrolowanymi granicami, terrorystom z zewnątrz trudniej było przeniknąć niż do krajów kontynentalnej Europy. Ale krwawe zamachy bombowe z lipca 2005 roku przysły od wewnątrz. Podobnie jak śmiertelny w skutkach atak, do którego 22 marca 2017 roku doszło w pobliżu budynku parlamentu w Londynie, kiedy to samochód wjechał w pieszych, zabijając pięć osób i raniąc dalsze 50. Sprawca, który dodatkowo śmiertelnie ranił nożem nieuzbrojonego policjanta pilnującego parlamentu, po raz kolejny był Brytyjczykiem – pięćdziesięciodwuletnim mężczyzną, który żył pod kilkoma nazwiskami, spędził jakiś czas w więzieniu za przestępstwa z użyciem przemocy, przez chwilę pracował w Arabii Saudyjskiej i w pewnym momencie przeszedł na islam. Choć ISIS wzięło na siebie odpowiedzialność za zamach, policja uważała, że mężczyzna działał samotnie. Do najgorszego zamachu w Wielkiej Brytanii od 2005 roku doszło 22 maja 2017 roku. Domowej roboty bomba, wypełniona śrubami i bolcami, by spowodować jak najwięcej ofiar, eksplodowała pod koniec koncertu rockowego w Manchesterze, zabijając 22 osoby (oraz zamachowca samobójcę) i raniąc kolejnych 59 – w tym wielu nastolatków i wiele dzieci. Sprawcą był młody mężczyzna z Manchesteru o libijskich korzeniach, który najwyraźniej nawrócił się na dżihadizm podczas wizyt w Libii, gdzie organizacje terrorystyczne kwitły

w chaosie powstałym po upadku Kaddafiego. W trzecim ataku terrorystycznym w Wielkiej Brytanii na przestrzeni niespełna trzech miesięcy, trzech młodych mężczyzn ze wschodniego Londynu wjechało 3 czerwca ciężarówką na zamknięty dla ruchu kołowego London Bridge, a później zaatakowało nożami ludzi znajdujących się w pobliżu. Zginęło siedem osób, a kilkadziesiąt zostało rannych. Sprawcy krzyczeli podobno: „To dla Allaha”.

Prosta, ale śmiertelnie skuteczna metoda, polegająca na celowym wjeżdżaniu pojazdem w tłum pieszych została ponownie wykorzystana 17 sierpnia 2017 roku, kiedy na jednej z najpopularniejszych turystycznych ulic Barcelony van zabił 13 osób (kolejna ofiara zginęła w późniejszym ataku w nadmorskim miasteczku Cambrils) i ranił ponad 130. Według raportów policji terroryści początkowo planowali większy atak, ale zrezygnowali po przypadkowym zdetonowaniu przygotowywanych przez siebie materiałów wybuchowych.

Po 2014 roku akty terroru zdarzały się w Europie z większą częstotliwością. Żaden z krajów nie mógł się czuć w pełni bezpieczny. Nie każdy terroryzm miał przy tym związek z katastrofą na Bliskim Wschodzie. Nie wszystkie ataki terrorystyczne były dziełem muzułmanów. Do wstrząsającej zbrodni doszło w liberalnej, pokojowej Norwegii, gdzie w 2011 roku 77 młodych Norwegów, w większości wypoczywających na obozie letnim, zostało zamordowanych przez obłąkanego faszystę i rasistę, Andersa Behringa Breivika. Wiele ataków terrorystycznych w Rosji miało swoje korzenie w wojnie w Czeczenii. Najgorszy z nich miał miejsce jeszcze w 2004 roku, kiedy to w mieście Biesłan w północnym Kaukazie czeczeńscy separatyści dokonali w szkole masakry 330 zakładników (ponad połowę z nich stanowiły dzieci). Jednak sprawcą niedawnego zamachu samobójczego, do którego 3 kwietnia 2017 roku doszło w petersburskim metrze i w wyniku którego zginęło 15 osób, a 47 zostało rannych, był rosyjski obywatel z Kirgistanu w Azji Środkowej – miał on powiązania z organizacjami dżihadystycznymi i podobno spędził jakiś czas w Syrii.

Wiele innych planowanych ataków terrorystycznych zostało w porę udaremnionych przez policję lub służby specjalne. Ważnym elementem

nowoczesnego terroryzmu stała się komunikacja internetowa, inspirująca do powielania ataków i pozwalająca koordynować działania jednostkom lub grupom żyjącym w różnych częściach Europy. Otwarte w większości granice w Europie umożliwiały łatwy tranzyt do miejsc wyznaczonych jako cele ataku (a czasami również ucieczkę do innych krajów po akcji). I bez względu na to, czy istniał rzeczywisty kontakt z ISIS lub Al-Kaidą, organizacje te działały z jednej strony jako impuls pobudzający do działania terrorystów amatorów, a z drugiej wykorzystywały ich po fakcie do podkreślania własnej siły, zazwyczaj biorąc odpowiedzialność za zamachy, nawet jeżeli atakujący działali niezależnie i bez polecenia. Najważniejsze ataki terrorystyczne, bez względu na to, jak by nie były przerażające i szokujące, nie stanowiły poważniejszego zagrożenia dla zachodniej cywilizacji. Odcisnęły jednak głębokie piętno na Europie, dodając do poczucia kulturowego zagrożenia, rozpowszechnionego podczas kryzysu imigracyjnego, element fizycznego strachu. Pojawiła się alarmująca myśl, że znacząca liczba ludzi w Europie życzy wszystkiego najgorszego pokojowo nastawionym wspólnotom, w których mieszka. Według szacunków MI5, brytyjskiego kontrwywiadu, w samej tylko Wielkiej Brytanii mieszkało nie mniej niż 23 000 sympatyków dżihadu. Nikt nie mógł czuć się bezpieczny przed potencjalnym atakiem.

W rzeczywistości krwawe masakry – będące niemal na porządku dziennym w niektórych regionach Iraku i Syrii – zdarzały się rzadko. Statystycznie akty terroru pochłonęły więcej ofiar pomiędzy 1970 a 1990 rokiem niż w okresie od 1990 do 2015 roku (choć ich liczba, szczególnie związana z ekstremizmem islamskim, rośnie od 2011 roku). Według suchych liczb Europa stała się więc nie mniej, a bardziej bezpiecznym miejscem, jeżeli chodzi o zagrożenie terroryzmem. Powszechne odczucie było jednak inne. Przypadkowa natura niszczycielskich ataków – często tam, gdzie w rozrywkowych celach zbierały się tłumy – miała zwiększyć poczucie niebezpieczeństwa, i to się udało. Wpływ ataków terrorystycznych, które zajmowały uwagę mediów zarówno tradycyjnych, jak i społecznościowych, jeszcze w wiele dni po każdym poważniejszym incydencie był ogromny. Politycy i służby specjalne miały własny interes w podkreślaniu

zagrożenia. Politycznie bardziej opłacalne było wyolbrzymianie niebezpieczeństwa niż bagatelizowanie go, a później tłumaczenie się z niszczycielskiego ataku. Obawa przed znalezieniem się gdzieś w przyszłości w złym miejscu o złym czasie była więc większa niż realne prawdopodobieństwo stania się ofiarą ataku terrorystycznego. Pomimo to, czy to z racji „zmęczenia strachem”, czy sceptycyzmu wobec czarnych scenariuszy snutych przez służby specjalne, czy przez fatalizm nakazujący kierować się dewizą „carpe diem”, cywile szybko otrząsali się z chwilowego szoku po ataku terrorystycznym i codzienne życie z zaskakującą łatwością wracało do normalności. Trzeba się też było zmierzyć z niewygodną prawdą: w wolnym i otwartym społeczeństwie nie sposób zapewnić sobie całkowitego bezpieczeństwa przed aktami terroryzmu. W dającej się przewidzieć przyszłości terroryzm będzie częścią ceny za wolność.

Dwie konsekwencje kryzysu imigracyjnego i wzrostu zagrożenia terrorystycznego okazały się trwałe. Pierwszą było wzmocnienie środków bezpieczeństwa, ograniczających swobody obywatelskie. Wolność odwiedzania i oglądania konkretnych miejsc lub swobodnego przemieszczania się została na różny sposób ograniczona. Środki bezpieczeństwa, ostrzeżenia, wszechobecne kamery lub fizyczne elementy takie jak szpetne betonowe zapory przed budynkami publicznymi, mające uniemożliwić ich staranowanie, stały się trwałymi elementami krajobrazu. Długie kolejki do kontroli bezpieczeństwa lub paszportowej na lotniskach zostały zaakceptowane jako uciążliwa, lecz konieczna cena za zapewnienie bezpieczeństwa podróży. Uczestnictwo w każdym dużym publicznym wydarzeniu, a nawet wizyta w muzeum także wymagały cierpliwości potrzebnej do przejścia przez kontrolę bezpieczeństwa. Wszelkie te środki były tolerowane; wolność została ograniczona, lecz nie zniszczona. Życie stało się jednak mniej przyjemne.

Drugą poważną konsekwencją okazał się wzrost popularności partii skrajnie prawicowych. W Europie Środkowej – szczególnie w Austrii i na Węgrzech – gdzie przemarsz imigrantów był najbardziej widoczny, strach przed rzekomym zagrożeniem dla narodowej kultury ze strony muzułmańskiej imigracji umacniał

prawicę. Jednak sprzeciw wobec imigracji był potężnym czynnikiem zwiększającym poparcie dla partii nacjonalistycznych również w wielu krajach Europy Północnej i Zachodniej. W wyborach do Parlamentu Europejskiego w 2014 roku Partia Niepodległości Zjednoczonego Królestwa (UKIP) dostała w Wielkiej Brytanii 26,6 procent głosów, najwięcej ze wszystkich partii. (Znacznie gorzej poszło jej w wyborach krajowych w kolejnym roku, gdzie mimo otrzymania 12,6 procent głosów, za sprawą ordynacji większościowej zdobyła tylko jedno miejsce w parlamencie). Front Narodowy był popierany przez blisko jedną trzecią francuskiego elektoratu. Alternative für Deutschland (założona w 2012 roku, początkowo jako partia eurosceptyczna, a później antyimigrancka) w kilku wyborach na poziomie landów w 2016 roku dostała ponad 20 procent głosów. W Holandii Partia Wolności pod wodzą Geerta Wildersa, który domagał się zakazania Koranu w swoim kraju i przestrzegał przed, jak to nazywał, „islamizacją Holandii”, podczas kryzysu imigracyjnego została na jakiś czas najpopularniejszą partią w kraju. Wśród krajów Europy Zachodniej, w których zanotowano znaczący wzrost poparcia dla partii koncentrujących się na tym, co postrzegały jako islamskie zagrożenia dla kultury narodowej, znalazły się Dania, Szwecja, Austria i Szwajcaria. Nigdzie partie nacjonalistyczne nie zdobyły większości głosów, ale ich ksenofobiczna retoryka nie pozostała bez wpływu na bardziej mainstreamowe partie. Europa pod wpływem kryzysu uchodźczego i wzrostu zagrożenia terrorystycznego bez wątpienia politycznie skręcała na prawo.

Kontynent się zmieniał. Długoletnie wartości liberalne były coraz częściej podawane w wątpliwość. Pojawiło się zagrożenie, że pozornie nieubłagany postęp w stronę większej tolerancji, który dokonywał się na przestrzeni poprzedniego półwiecza, a nawet dłużej, może teraz zostać zawrócony. Pojawiały się mieszane, a nawet sprzeczne podejścia. Z jednej strony ludzie dostrzegali potrzebę kolektywnego, ponadnarodowego działania w obliczu europejskiego kryzysu. Dla przykładu, według sondaży opinii publicznej, przeważająca większość ludzi aprobowwała rolę Unii Europejskiej w dostarczaniu pomocy humanitarnej i uważała, że poszczególnym państwom brakuje środków, by odpowiednio reagować na

sytuacje nadzwyczajne. Z drugiej strony jednak, obywatele szukając ochrony, zazwyczaj spoglądali na swoje rządy narodowe, a kryzys migracyjny i zagrożenie terroryzmem przyczyniły się do nasilenia negatywnych emocji wobec Unii Europejskiej. Otwarte granice – symbolizujące wolność znajdującą się w sercu europejskiego projektu, ale jednocześnie pozwalające imigrantom przemierzać bez przeszkód większość kontynentu – były teraz przez wielu postrzegane bardziej jako przekleństwo niż jako błogosławieństwo. Unia Europejska miała oznaczać integrację, międzynarodową solidarność, tolerancję i współpracę. Jednak w związku z rzekomym brakiem solidarności, spójności czy skutecznej strategii radzenia sobie z kryzysem migracyjnym, dla wielu Unia Europejska wydawała się tracić swój *raison d'être*.

## **Agresja Putina**

Podczas gdy Europa zmagala się jednocześnie z napływem migrantów i wzrostem zagrożenia terrorystycznego, na wschodzie kontynentu dojrzał inny kryzys. 18 marca 2014 roku prezydent Putin ogłosił aneksję Krymu przez Rosję – decyzję tę rosyjski parlament, Duma, ratyfikował trzy dni później. Poza inwazją i okupacją północnej części Cypru przez siły tureckie w 1974 roku był to pierwszy przypadek terytorialnej aneksji w Europie od czasu drugiej wojny światowej. Oznaczała ona nie tylko poważną eskalację napięcia w i tak trudnych relacjach pomiędzy Rosją a Ukrainą: stawiała również Rosję na kolizyjnym kursie z zachodnimi mocarstwami NATO. Sąsiedzi Rosji, szczególnie kraje bałtyckie, zaczęli się niepokoić, że Rosja na tym nie poprzestanie. Realna stała się groźba nowej zimnej wojny – o ile nie czegoś gorszego. Strach w Europie Środkowej i Wschodniej stał się znowu namacalny.

Aneksja Krymu nastąpiła po kolejnej serii wstrząsów na Ukrainie. „Pomarańczowa rewolucja” z 2004 roku bynajmniej nie rozwiązała podziałów i konfliktów w kraju, który niepodległość po raz pierwszy w swej historii uzyskał



dopiero w 1991 roku i nie miał niekwestionowanego poczucia narodowej tożsamości. W 2010 roku zwycięzca kontestowanych wyborów prezydenckich sprzed sześciu lat, Wiktor Juszczenko, stracił praktycznie całe swoje poparcie w wyniku frakcyjnych podziałów, politycznych sporów i oskarżeń o korupcję na wielką skalę. Jednak pod rządami nowego prezydenta, Wiktora Janukowycza, endemiczna korupcja i kumoterstwo stały się jeszcze bardziej powszechne. Podobnie jak w Rosji, kilku oligarchów zbiło kolosalne fortuny poprzez zawłaszczanie majątku, nie wahając się przy tym używać łapówek, gróźb lub przemocy. Wśród tych, którzy szybko dorobili się wielkiego majątku, był syn Janukowycza, Oleksandr. W polityce zagranicznej Janukowycz próbował manewrować pomiędzy Unią Europejską a Rosją. Moskwa niechętnym okiem patrzyła jednak na ambicje Janukowycza, by wprowadzić Ukrainę do Unii Europejskiej, co było długoterminowym celem kraju. A rosyjskich obiekcji nie można było lekceważyć; Ukraina była uzależniona od dostaw gazu swego potężnego sąsiada. W listopadzie 2013 roku Janukowycz nieoczekiwanie wycofał się z planowanego wcześniej Układu stowarzyszeniowego Ukrainy z Unią Europejską i opowiedział się za członkostwem w Euroazjatyckiej Unii Celnej z Rosją, Białorusią i Kazachstanem. Trudno sobie wyobrazić, by podjął taki krok bez nacisku Moskwy. Ruch ten okazał się brzemienny w skutki. Wywołał wielkie protesty setek tysięcy ludzi, szczególnie na Majdanie (placu Niepodległości) w Kijowie. Doszło do eskalacji przemocy i nasilenia rządowych represji. 21 lutego, pod presją Zachodu, Janukowycz został obalony, powołano nowy rząd tymczasowy i rozpisano wybory prezydenckie. Janukowycz umknął helikopterem na wschodnią Ukrainę, a stamtąd do Rosji.

Putin nie mógł puścić płazem takiego upokorzenia. Krym stanowił wygodny cel dla rosyjskiej demonstracji siły. Był częścią Ukrainy dopiero od 1954 roku, Rosjanie stanowili większość wieloetnicznej populacji, a dodatkowo stacjonowała tam rosyjska Flota Czarnomorska – baza w Sewastopolu była wynajmowana od Ukrainy. Interwencja na Krymie zmierzała zarówno do ukarania ukraińskich przywódców za ich antyrosyjskie stanowisko, jak i do zdobycia poklasku dla

Putina wśród nacjonalistów w Rosji. Było nie do wyobrażenia, by Zachód zaryzykował wojnę światową w obronie Krymu. Nieuniknione sankcje ekonomiczne były ceną, którą można było zapłacić. Taka była przynajmniej kalkulacja Putina.

W ciągu kilku dni po obaleniu Janukowycza (pozostającego w niezbyt dobrych relacjach z Putinem, ale wciąż uznawanego w Moskwie za legalnego prezydenta Ukrainy) uzbrojeni ludzie – choć bez wojskowych insygniów – zajęli budynek regionalnego parlamentu na Krymie w Symferopolu. Zgodnie z przewidywaniami do Rosji została wysłana petycja z prośbą o ochronę rosyjskich obywateli Krymu, która została przyjęta przez Moskwę. W kolejnych dniach rosyjskie siły wkroczyły na Krym. Regionalny parlament proklamował niepodległość Krymu, a następnie, 6 marca, wyraził wolę przystąpienia do Federacji Rosyjskiej. W referendum przeprowadzonym 16 marca 2014 roku postulat ten poparło rzekomo 97 procent elektoratu. Formalny wniosek w tej sprawie został przesłany do Moskwy następnego dnia i 18 marca Putin ogłosił przyłączenie Krymu do Federacji Rosyjskiej.

Jak można było przewidzieć, dyplomatyczne wysiłki zachodnich przywódców, by znaleźć polityczne rozwiązanie kryzysu krymskiego, nie przyniosły żadnego efektu. Rosja nie przejęła się również potępieniem ze strony ONZ. Jediną odpowiedzią na jawne pogwałcenie prawa międzynarodowego, poza niewyobrażalną eskalacją konfliktu, która mogła się skończyć wojną nuklearną, mogło być sięgnięcie po sankcje. Zamrożono zagraniczne konta Rosjan, nałożono zakaz podróży, ale pole manewru Unii Europejskiej było ograniczone z powodu jej uzależnienia od rosyjskiej ropy i gazu. Putin nieprzesadnie przejął się sankcjami. Mógł też przełknąć zawieszenie członkostwa Rosji w grupie G8. Rosja była izolowana, ale raczej nie istniało prawdopodobieństwo, że Krym zostanie jej odebrany. W kraju Putin bił rekordy popularności. Rosyjskie media obwieszczały „powrót” Krymu do macierzy, przedstawiając to jako wielki narodowy sukces. Nawet Michaił Gorbaczow powiedział, że na miejscu Putina postąpiłby tak samo.

Prowadzona przez Putina polityka siły, pozostałość po dawnych czasach, opłaciła się.

Walki rozszerzyły się tymczasem na wschodnią i południową Ukrainę (z centrum w przemysłowym regionie Donbasu), gdzie etniczni Rosjanie, migrujący w dużej liczbie z regionu moskiewskiego od końca XIX wieku w poszukiwaniu pracy w kopalniach węgla, stanowili większość populacji. Sondaże przeprowadzane przez szanowane międzynarodowe ośrodki badania opinii publicznej pokazywały, że o ile prorosyjskie nastroje w tych regionach były zdecydowanie silniejsze niż na zachodniej Ukrainie, to jedynie niewielki odsetek populacji popierał separatyzm, natomiast zdecydowana większość opowiadała się za jednolitym państwem ukraińskim. Rosyjskiej interwencji w Donbasie sprzeciwiała się nawet przeważająca większość ankietowanych we wschodniej i południowej Ukrainie oraz większość osób rosyjskojęzycznych. Opinie te jednak nie miały większego znaczenia, bo Moskwa przygotowywała się już do udzielenia zbrojnej pomocy separatystom we wschodniej Ukrainie. A bez wątplenia w lokalnych społecznościach Donbasu *byli* aktywiści gotowi walczyć o oderwanie tego regionu od Kijowa i przyłączenie go do Rosji. Rebelianci nie byli jedynie marionetkami w rękach Putina.

Prorosyjskie demonstracje, narastające od marca 2014 roku, szybko przerodziły się w zbrojny konflikt pomiędzy separatystami, coraz częściej wspieranymi przez rosyjskie uzbrojenie i organizacje paramilitarne, a ukraińskim rządem. Przemocy nie dało się powstrzymać, dopóki wspierała ją Moskwa. Separatyści atakowali i okupowali rządowe budynki. Lotnisko w Doniecku zostało ostrzelane. Do walk, które do jesieni kosztowały życie setek ludzi, rzucono ciężką artylerię, wyrzutnie rakiet, helikoptery i transportery opancerzone. 17 lipca, w związku z konfliktem, doszło do wstrząsającej tragedii. Samolot Malaysian Airlines został zestrzelony przez wyprodukowaną w Rosji rakietę, wystrzeloną prawdopodobnie przez rebeliantów, którzy pomyłkowo wzięli go za ukraiński samolot wojskowy. Zginęli wszyscy obecni na pokładzie, łącznie 298 osób.

Liczne podejmowane na arenie międzynarodowej próby zakończenia konfliktu, w których uczestniczyły ONZ, Unia Europejska i Organizacja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, a także przywódcy Niemiec i Francji oraz nowo wybrany prezydent Ukrainy, Petro Poroszenko – jeden z najbogatszych ukraińskich oligarchów – nie przyniosły znaczącego przełomu. Pomędzy 2014 a 2017 rokiem zawarto w sumie 11 rozejmów, z których żaden nie przetrwał długo. Najpoważniejsza próba, protokół miński z 5 września 2014 roku, na pewien czas ograniczył walki, ale zawieszenie broni zaczęło być niemal natychmiast łamane i w ciągu kilku tygodni porozumienie było już tylko świstkiem papieru. Drugi uzgodniony w Mińsku rozejm, zawarty po rozmowach przywódców Ukrainy, Rosji, Francji i Niemiec 11 lutego 2015 roku, nie okazał się wart wiele więcej. Pomimo okazjonalnych przeblysków nadziei Putin, pewny poparcia dla swojego stanowiska w sprawie Ukrainy w kraju, pozostawał w większości kwestii nieugięty. Jego celem wydawała się destabilizacja całej Ukrainy i uniemożliwienie wciągnięcia jej w orbitę Zachodu.

Cele Poroszenki były dokładnie odwrotne. Jego nadzieje na wstąpienie Ukrainy do Unii Europejskiej nie miały szans na realizację w dającej się przewidzieć przyszłości. Poziom korupcji, gospodarczego i politycznego chaosu oraz potrzeba poważnych reform były po prostu zbyt wielkie, by Unia Europejska mogła na poważnie rozpatrywać tę perspektywę. Jednak odnowienie 16 września 2014 roku umowy stowarzyszeniowej pomiędzy Ukrainą a Unią Europejską (choć miała ona wejść w życie dopiero dwa lata później), wskazywało, że strategia Putina, zakładająca przyciągnięcie Ukrainy do Rosji, przyniosła efekt odwrotny od zamierzonego.

Na samej Ukrainie strony konfliktu szybko okopały się na swoich pozycjach. Obie pozostawały nieugięte. We wrześniu 2014 roku ukraiński parlament, wbrew nacjonalistycznej opozycji, pogodził się z realiami i przyznał szeroką autonomię Donbasowi. Wybory przeprowadzone 26 października 2014 roku na większości obszarów Ukrainy przyniosły zwycięstwo partiom prozachodnim, ale osobne wybory (których ważność uznała tylko Rosja), zorganizowane w Donbasie 2

listopada, przyniosły oczywiście miażdżące zwycięstwo prorosyjskim separatystom. W dającej się przewidzieć przyszłości nie było oczywistego sposobu na przezwycięzenie ukraińskiego podziału terytorialnego.

Putin jednak nie chciał, a prawdopodobnie także nie mógł ustąpić. Nie mógł ryzykować swojej pozycji w kraju, gdzie, naturalnie, poparcie dla separatystów we wschodniej Ukrainie było przedstawiane przez rosyjskie media jako kwestia narodowego prestiżu. Tak czy inaczej, raz otwarta puszką Pandory, z której wyszła wspierana przez Rosjan separatystyczna przemoc w tym regionie, nie dała się zamknąć – nawet zakładając, że chciałby tego sam Putin. Sankcje nałożone przez Unię Europejską, zaostrzane stopniowo wraz z kolejnymi pokazami nieprzejednania strony rosyjskiej, początkowo nie odnosiły większego skutku. Jednak od września 2014 roku, kiedy rozszerzono je na obszar finansów, energetyki i zbrojeń, a także zablokowano konta i wprowadzono zakaz podróżowania, zaczęły być odczuwalne i przyczyniły się do pogorszenia sytuacji gospodarczej Rosji. Dla Zachodu jedyną opcją było wzmocnienie obecności NATO w Europie Środkowej i Wschodniej. W Polsce i w krajach bałtyckich zwiększono liczbę żołnierzy, a w 2016 roku w Polsce przeprowadzono manewry wojskowe. Ponieważ Rosja odpowiedziała własnymi ćwiczeniami – choć przeprowadzonymi w granicach kraju – relacje pomiędzy Moskwą a Zachodem stały się najbardziej napięte od zakończenia zimnej wojny.

Do marca 2017 roku zginęło prawie 10 000 ludzi (jedną czwartą z nich stanowili cywile), wiele tysięcy zostało rannych, a ponad milion straciło w wyniku walk dach nad głową. Oczywistą ofiarą intensywnej propagandy wojennej była prawda. Nie było jednak wątpliwości, że do konfliktu parła przede wszystkim Rosja. A bez rosyjskiej pomocy – choć bezceremonialnie próbowano ukrywać jej skalę – separatysty nie byliby w stanie dalej prowadzić walk. Dla Putina konflikt nie okazał się jednak bynajmniej całkowitym sukcesem. To prawda, że Donbas stał się w dużej mierze autonomicznym regionem. Jednak Putin mocno popchnął Ukrainę w kierunku Europy Zachodniej, zamiast ją od niej odciągnąć, i przy okazji wzmocnił ukraińską tożsamość narodową. Bez Ukrainy jego plany Eurazjatyckiej

Unii Gospodarczej (która, podobnie jak Eurazjatycka Unia Celna, miała stać się przeciwwagą dla Unii Europejskiej) były niewiele warte. Tymczasem rosyjska gospodarka boleśnie odczuwała skutki sankcji (i spadku cen ropy). Dodatkowo Putin być może nieodwracalnie zniszczył stosunki Rosji z Zachodem. Dlaczego więc po aneksji Krymu parł do wojny na Ukrainie? Jaki był jego strategiczny cel?

Najprostsze wytłumaczenie wydaje się najbardziej prawdopodobne. Mówiąc krótko, Putin chciał przywrócić Rosji utracony prestiż i wielkomocarstwowy status. Ten były oficer KGB nazywał upadek Związku Radzieckiego największą geopolityczną katastrofą XX wieku. W jego oczach (i w oczach wielu jego rodaków) moment ten drastycznie obniżył status Rosji w świecie i jej dumę jako wielkiego narodu. Rosyjscy przywódcy nadal patrzyli na byłe republiki sowieckie jako na część rosyjskiej strefy wpływów. Jednak zdaniem wielu koniec komunizmu przyniósł upokorzenie potężnego niegdyś mocarstwa. Podczas gdy Stany Zjednoczone trzymały świat w ryzach jako jedyne pozostałe supermocarstwo, Rosja spadła do rangi państwa mafijnego, rządzonego przez potężnych oligarchów, którzy pławili się w niewyobrażalnych luksusach, podczas gdy większość Rosjan cierpiała z powodu gospodarki znajdującej się na krawędzi katastrofy. Kraj był zbyt słaby, by zapobiec rozszerzeniu NATO na dawną sowiecką strefę wpływów – nawet na państwa bałtyckie, znajdujące się u wrót Rosji. Choć w oczach Zachodu NATO było organizacją niemalże dobroczynną, Rosjanie postrzegali ją jako zagrożenie. Interwencja NATO w Kosowie w 1999 roku, uważana przez Zachód za akcję humanitarną, wywołała oburzenie w Moskwie, która uznała ją za nadużycie roli NATO jako sojuszu obronnego, mającego chronić swoich członków. Rosja nie była jednak w stanie jej powstrzymać. Podsumowując, Rosja, dawne wielkie mocarstwo, miała w latach 90. poczucie głębokiego narodowego upokorzenia.

Putin z pewnością zrobił wiele dla przywrócenia narodowej dumy i wewnętrznej siły. Świadome odwoływanie się przy każdej okazji do nacjonalizmu zapewniło mu solidne wsparcie społeczne – mogące równoważyć powszechne niezadowolenie gospodarcze. Ukraina i Krym, stanowiące część rosyjskiego imperium od XVIII wieku, były kluczowe dla mocarstwowego statusu Rosji,

a później stanowiły istotne części składowe sowieckiej strefy wpływów. W 2012 roku Putin mówił o zadaniu reintegracji przestrzeni postsowieckiej. Jednak obalenie Janukowycza w 2014 roku udaremniło cel, jakim było scementowanie zależności Ukrainy od Rosji. Odpowiedzią była decyzja o „zwróceniu” Krymu Rosji, a w szerszym horyzoncie destabilizacja wschodniej i południowej Ukrainy, a docelowo – całego kraju. W odniesieniu do tego szerszego celu Putin się jednak przeliczył. Stał się po części zakładnikiem sił, które uruchomił we wschodniej Ukrainie, i nie miał stamtąd dobrej drogi wyjścia. Nie mogąc ani się cofnąć, ani ruszyć do przodu, Putin na nieokreśloną przyszłość zakopał Rosję we wschodnioukraińskim trzęsawisku. Zapewne kosztowało go to kilka nieprzespanych nocy. Mógł być przynajmniej zadowolony z tego, że dopóki wschodnia Ukraina będzie kontrolowana przez Moskwę, dopóty nie będzie zjednoczonego państwa narodowego Ukrainy, które mogłoby się ubiegać o przyjęcie do Unii Europejskiej i NATO.

W kraju Putin zbierał pochwały za swoją konfrontacyjną postawę wobec Zachodu. Wojna w Syrii dała mu kolejną możliwość podjęcia działań zmierzających do przywrócenia dominującej roli Rosji na światowej scenie. Rosyjska interwencja militarna w 2015 roku, pierwsza poza granicami byłego Związku Radzieckiego od upadku komunizmu, oznaczała nie tylko kluczowy krok w strasliwym konflikcie syryjskim, ale również nowy etap w kampanii Putina, mającej na celu przywrócenie Rosji statusu globalnego mocarstwa.

Konfrontacja pomiędzy Rosją a Zachodem w sprawie Krymu i Ukrainy obudziła w Europie Środkowej i Wschodniej obawy przed powrotem mrocznej przeszłości. Czy doprowadzi to do wojny światowej? Czy Rosja zajmie też inne regiony Europy Wschodniej, a być może posunie się nawet dalej? Strach ten, szczególnie w państwach bałtyckich, w których wciąż żywa była pamięć o sowieckiej aneksji, był zrozumiały, choć zapewne przesadzony. Krym i Ukraina dostarczały Putinowi dość kłopotów. Dlaczego miałyby sobie mnożyć problemy, próbując anektować i utrzymać przy użyciu siły państwa bałtyckie, których bardzo głębokie poczucie narodowej tożsamości było (w przeciwieństwie do wschodniej

Ukrainy) w dużej mierze oparte na niechęci wobec Rosji? Nie było też żadnych dowodów, że Putin ma jakiegokolwiek szersze plany ekspansjonistyczne w Europie, poza tym, co już zdobył. Tymczasem interwencja w Syrii była przykładem wykorzystania przez Putina słabości polityki amerykańskiej w celu zademonstrowania rosyjskiej siły i wpływów na arenie międzynarodowej poprzez popieranie tradycyjnych sojuszników Rosji, Syrii i Iranu. Nic jednak nie wskazuje na to, że Rosja żywiła ambicje odgrywania w świecie roli porównywalnej ze Związkiem Radzieckim. Jej zasoby nie wystarczyłyby do tego. A przywrócenie potęgi rosyjskiego państwa raczej nie stanowi ideologicznego celu, który przemawiałby do nie-Rosjan.

Kryzys na Ukrainie tymczasem przygasł i wprawdzie przerodził się w kłopotliwy pat, ale nie stanowił znaczącego zagrożenia dla światowego pokoju czy szeroko pojętej stabilizacji w Europie. To jednak, czy samą Unię Europejską, stanowiącą od tak dawna filar tej stabilności, uda się w ogóle utrzymać, stało się pytaniem otwartym w konsekwencji pojawienia się kolejnego wątku ogólnego kryzysu, w którym pogrążony był Stary Kontynent: „Brexitu” – decyzji Wielkiej Brytanii, by opuścić Unię Europejską.

## **Brexit**

Brzemienne w skutkach referendum z 23 czerwca 2016 roku w pierwszej kolejności dotknęło, oczywiście, Wielką Brytanię. Jednak zbliżające się wyjście jednego z państw członkowskich – pierwsze w historii – stanowiło również krytyczny moment w ewolucji Unii Europejskiej, już znajdującej się w opałach z powodu kryzysów gospodarczego i migracyjnego, wzrostu zagrożenia terrorystycznego i napiętych stosunków z Rosją.

„Europa” stanowiła jęczącą się ranę w brytyjskiej polityce od ponad dwóch dekad, a Wielka Brytania była w tym czasie najbardziej kłopotliwym państwem członkowskim. Ale nawet mimo tego droga do Brexitu okazała się krótka. Można



dostrzec bezpośredni związek pomiędzy kryzysem finansowym, polityką zaciskania pasa, kryzysem migracyjnym i zagrożeniem terrorystycznym a Brexitem.

Nastroje mierzone co miesiąc między 2004 a 2016 rokiem pokazywały, mimo znacznych fluktuacji, że średnio 44,7 procent respondentów aprobuje członkostwo w Unii Europejskiej, a 42,9 procent je odrzuca. Odsetek opinii negatywnych zaczął gwałtownie rosnąć od 2010 roku w wyniku kryzysu strefy euro, pomimo że Wielka Brytania – ku powszechnej uldze – nie była członkiem unii walutowej. A ponieważ standard życia wielu Brytyjczyków stanął w miejscu lub nawet spadł po kryzysie finansowym, Partia Niepodległości Zjednoczonego Królestwa (UKIP) okazała się zdolna do zyskiwania poparcia nawet w dotychczasowych bastionach laburzystów dzięki połączeniu problemów ekonomicznych białych wyborców z klasy robotniczej, którzy czuli się „pozostawieni w tyle” przez globalizację, z „niekontrolowaną” imigracją z Unii Europejskiej. Przeprowadzona pod koniec 2015 roku przez Bank Anglii analiza w pewnym stopniu przyznawała rację twierdzeniom UKIP, że imigracja może negatywnie wpływać na płace niewykwalifikowanych brytyjskich robotników.

Do tego doszedł kryzys uchodźczy. Większość brytyjskich wyborców czuła, że rząd powinien być w stanie kontrolować imigrację, a kolejne gabinety nie potrafiły sprostać temu wyzwaniu. To nastawienie uległo znacznemu wzmocnieniu, kiedy Angela Merkel otworzyła drzwi Niemiec – a pośrednio Unii Europejskiej – dla ponad miliona uchodźców. Łatwo było też wykorzystywać imigrację do podsycania obaw o bezpieczeństwo narodowe. Terrorysty, którzy podróżowali po Europie wraz z uchodźcami, podobno znaleźli się wśród sprawców straszliwych ataków w Paryżu w listopadzie 2015 roku. Nigel Farage, lider UKIP, ostrzegał, że dalsze pozostawanie Wielkiej Brytanii w UE zagraża bezpieczeństwu kraju, bo „ISIS obiecała zalać kontynent dżihadystami”. Plakat UKIP z czasów kampanii przed referendum pokazywał długą kolejkę syryjskich uchodźców na granicy słoweńskiej, w drodze do Wielkiej Brytanii. Zdjęciu towarzyszyło hasło: „UE zawiodła nas wszystkich”. Oczywiście był to ekstremalny przykład propagandy

„wyjścia”. Nie pozostawał on jednak bez konsekwencji. Prawie połowa populacji zgadzała się, że zagrożenie terroryzmem będzie większe, jeżeli Wielka Brytania pozostanie w Unii Europejskiej. Potrzeba kontroli imigracji zaczęła być postrzegana jako priorytet przez szerokie kręgi społeczne, nieograniczające się tylko do wyborców UKIP.

Najważniejszą kwestią podczas kampanii referendalnej stało się więc ograniczenie imigracji z Unii Europejskiej. Aż 69 procent Brytyjczyków uważało, że imigracja z Unii Europejskiej jest „zbyt wysoka”. Łączono ją z postulatem ograniczenia świadczeń społecznych dla imigrantów. Przeciwnikom UE nietrudno było połączyć imigrację z rosnącą presją na National Health System, najcenniejszą brytyjską instytucję, która, ich zdaniem, była „wysysana” ze środków za sprawą „turystów zdrowotnych” i „trzeszczała w szwach” z powodu niemożliwego do utrzymania poziomu imigracji.

To właśnie w tych niesprzyjających warunkach brytyjski premier, David Cameron, złożył lekkomyślną obietnicę przeprowadzenia referendum na temat brytyjskiego członkostwa w Unii Europejskiej, jeśli tylko po wyborach w 2015 roku konserwatyści stworzą większościowy rząd. Cameron chciał przede wszystkim stępić ostrze antyeuropejskiego lobby we własnej partii i powstrzymać odpływ wyborców do jawnie eurofobicznej UKIP. Uważał prawdopodobnie, że po wyborach kontynuowana będzie koalicja z proeuropejskimi Liberalnymi Demokratami, którzy zablokują przeprowadzenie referendum. Nieoczekiwana absolutna większość, którą konserwatyści zdobyli w wyborach 2015 roku, oznaczała jednak, że premier nie miał wyboru i musiał spełnić obietnicę dotyczącą referendum. Partyjna zagrywka taktyczna przerodziła się w zakład, którego stawką była przyszłość kraju.

Cameron, absolutnie przekonany o swojej sile perswazji, był pewny, że wygra ten zakład. Nie miał wątpliwości, że – podobnie jak w referendum dotyczącym niepodległości Szkocji, które odbyło się we wrześniu 2014 roku (i w którym szkoccy wyborcy odrzucili niepodległość swojego kraju stosunkiem głosów 55 do 44 procent) – elektorat ostatecznie wybierze status quo. Większość ekspertów się

z tym zgadzała. Cameron liczył też w dużej mierze na wynik renegocjacji warunków brytyjskiego członkostwa. Jednak dla większości brytyjskich wyborców rezultaty jego rozmów z przywódcami pozostałych 27 państw członkowskich, które poznali w lutym 2016 roku, były daleko niewystarczające. Ludzie szybko przejrzeni zapewnienia Camerona, że negocjacje przyniosły „istotną zmianę” w kwestii warunków brytyjskiego członkostwa, szczególnie w kluczowej kwestii imigracji. Unia Europejska kategorycznie podtrzymała swoją podstawową zasadę swobodnego przepływu osób. Cameron uzyskał tylko takie ustępstwo, że świadczenia pracownicze mogły być ograniczone przez cztery lata, i to tylko w siedmioletnim okresie. To było prawie nic. Poczytny tabloid „The Sun” wydał swój wyrok w tej sprawie: „To śmierdzi”.

Trzy czwarte członków Izby Gmin opowiadało się za pozostaniem w Unii Europejskiej. Cameron rzucił na szalę cały swój autorytet, agitując za „pozostaniem”. Jednak ważni członkowie jego gabinetu dostali wolną rękę we wspieraniu „wyjścia”, w tym minister sprawiedliwości, Michael Gove i były burmistrz Londynu Boris Johnson. Ten pozujący na człowieka z ludu przedstawiciel elit, absolwent jednej z najbardziej elitarnych szkół prywatnych w Anglii (Eton), łatwo rozpoznawalny dzięki niesfornej burzy blond włosów i sprawnemu połączeniu bufonady i werbalnej sprawności, stał się jednym z najpopularniejszych (nawet jeżeli kontrowersyjnych) polityków w kraju. Miał odegrać niemałą rolę w tej zaciętej walce, w przechyleniu szali na korzyść „wyjścia”. Konserwatywni „Brexitery” podkreślali przywrócenie suwerenności i odzyskanie demokratycznych praw od Brukseli. Retoryka UKIP opierała się na powtarzanym wciąż populistycznym refrenie dotyczącym imigracji. Jednak suwerenność i imigracja były zaledwie dwoma elementami napędzającymi Brexit. Argumenty te zmierzały w tę samą stronę.

Tylko kilku polityków laburzystowskich aktywnie opowiedziało się za opuszczeniem Unii Europejskiej. „Pozostawacze” w partii często jednak woleli się nie wychylać, dobrze zdając sobie sprawę, że wielu z ich wyborców do zwolennicy „wyjścia”. Główną słabością kampanii laburzystów było to, że przywódca partii,

Jeremy Corbyn – przez wiele lat chłodno wypowiadający się na temat Unii Europejskiej – był wyraźnie mało entuzjastyczny, jeśli nie wręcz milczący, w swoim poparciu dla „pozostania”.

Nastroje w kraju były podzielone niemal po równo. Strona „pozostania” skupiała się przede wszystkim na prawdopodobnych negatywnych efektach ekonomicznych opuszczenia Unii Europejskiej i ich konsekwencjach dla poziomu życia zwykłych obywateli. Imponująco szeroka grupa ekspertów gospodarczych, liderów biznesu, bankierów i polityków ze wszystkich partii z wyjątkiem UKIP odmalowywała ponury obraz wpływu Brexitu na brytyjską gospodarkę. Kanclerz skarbu, George Osborne, nie pozostawiał złudzeń, że w przypadku głosowania za wyjściem potrzebne będą drastyczne środki, by zapobiec niemal pewnemu upadkowi ekonomicznemu. „Projekt strach”, jak ochrzcili go zwolennicy wyjścia, nie przyniósł jednak specjalnych efektów. Wielu po prostu weń nie uwierzyło lub uznało go za rozdmuchaną propagandę. Mogli się utwierdzić w swoim sceptycyzmie, kiedy Michael Gove zauważył podczas jednego z wywiadów telewizyjnych, że ludzie „mają dość ekspertów”, którzy twierdzą, że wiedzą, co jest w danej sytuacji najlepsze, ale „ciągle się myślą”. Miernikiem tego, jak kiepsko wielu ludzi postrzegało Unię Europejską, był fakt, że obóz zwolenników „pozostania” nigdy nie starał się pokazać korzyści płynących z członkostwa w UE. A co najważniejsze, nie miał też retorycznego arsenału do zwalczania kluczowego argumentu podnoszonego przez zwolenników wyjścia: kontroli nad imigracją z UE.

Slogan „odzyskać kontrolę”, ukuty przez obóz zwolenników „wyjścia”, oferował prosty i potężny przekaz. I nie był on wyłącznie negatywny. Wraz z całkowitym odrzuceniem Unii Europejskiej obiecywał świetlaną przyszłość. W dwóch słowach łączył wizję przywrócenia narodowej suwerenności i odnowienia demokracji z władzą powstrzymania niechcianej imigracji.

Organizatorzy kampanii „wyjścia” sami sięgnęli do taktyki straszenia – między innymi liczbą uchodźców, którzy mogą przybyć do Wielkiej Brytanii, zagrożeniem terroryzmem, utratą narodowej tożsamości i niszczącą presją na usługi publiczne. Niektóre z ich twierdzeń były jawnym łgarstwem: na przykład to, że Wielka

Brytania wysyła 350 milionów funtów tygodniowo do Brukseli, która to suma po wyjściu z UE będzie mogła trafić do National Health Service; albo że Turcja będzie mogła dołączyć do Unii Europejskiej w 2020 roku, co zaowocuje przybyciem do Wielkiej Brytanii kolejnych pięciu milionów ludzi. Ani BBC, chcąc za wszelką cenę zachować bezstronność, ani antyunijna w większości prasa nie prostowały tych kłamstw.

Kiedy policzono głosy i 24 czerwca 2016 roku ogłoszono wyniki, okazało się, że Wielka Brytania zaczyna zbierać się do wyjścia z Unii Europejskiej. Z 72,2 procent tych, którzy poszli do urn, 51,9 procent zagłosowało za końcem brytyjskiego członkostwa, a jedynie 48,1 za pozostaniem. Zostać w UE chciały Szkocja i Irlandia Północna; Walia, a przede wszystkim Anglia, wołały odejść. Za opuszczeniem UE opowiedzieli się przede wszystkim starsi i słabiej wykształceni wyborcy, podczas gdy młodszy i lepiej wykształceni wolli zostać. Za wyjściem głosowała większość tych, którzy określali się mianem „białych Brytyjczyków”, ale jedynie jedna czwarta wyborców wywodzących się z mniejszości etnicznych. Londyn w przeważającej mierze był za pozostaniem, podobnie jak duże miasta uniwersyteckie (oprócz Birmingham i Sheffield). Jednak prawie trzy czwarte konserwatywnych okręgów wyborczych i 63 procent laburzystowskich głosowało za Brexitem. Pomijając wielkie miasta, Anglia chciała wyjść z Europy.

Bezpośrednią konsekwencją referendum była rezygnacja Davida Camerona ze stanowiska premiera. Z krótkiej walki o władzę na szczytach Partii Konserwatywnej zwycięsko wyszła Theresa May. Przez sześć lat była ministrem spraw wewnętrznych i w tej roli była odpowiedzialna za imigrację – kwestię szczególnie dla niej ważną. Raczej pasywnie niż całym sercem wspierała opcję „pozostania”. Kiedy objęła urząd, szybko zaczęła wykazywać się neofickim zapalem. Podkreślała, że jej zadaniem jest wdrożenie „woli ludu”. „Brexit oznacza Brexit”, brzmiała jej bezsensowna mantra. Przygotowanie gruntu pod negocjacje dotyczące wyjścia powierzono trzem zagorzałym zwolennikom Brexitu. Boris Johnson, ku powszechnemu zaskoczeniu, został mianowany ministrem spraw zagranicznych (stanowisko to niegdyś wymagało wyjątkowych talentów

dypłomatycznych, które rzadko były przypisywane nowemu szefowi resortu). Liam Fox, długoletni ząarty przeciwnik Unii Europejskiej i neoliberalny zwolennik wolnego handlu, dostał zadanie wynegocjowania nowych umów handlowych na całym świecie, by zrekompensować potencjalne efekty upadku handlu z Unią Europejską – na razie największym partnerem handlowym Wielkiej Brytanii. Natomiast David Davis, znany z obcesowych manier byłý kandydat na przywódcę Partii Konserwatywnej i zdecydowany zwolennik opcji „wyjścia”, został mianowany sekretarzem stanu ds. wyjścia z Unii Europejskiej, czyli najważniejszą osobą odpowiedzialną za wynegocjowanie umowy rozwodowej.

W styczniu 2017 roku Theresa May ogłosiła zarys planu brytyjskiego wyjścia. Obejmował on opuszczenie wspólnego rynku (nad którego powstaniem tak bardzo napracował się rząd Thatcher) i, być może, również unii celnej. 29 marca 2017 roku premier formalnie poinformowała Donalda Tuska, przewodniczącego Rady Europejskiej, o żywionym przez Wielką Brytanię zamiarze opuszczenia Unii Europejskiej. Oznaczało to długie negocjacje z pozostałymi 27 państwami członkowskimi na temat warunków brytyjskiego wyjścia. Większość neutralnych komentatorów uważała, że wynik może być katastrofalny dla Wielkiej Brytanii. Stawką była nawet przyszłość unii łączącej Wielką Brytanię i Irlandię Północną. Pierwsza minister Szkocji, Nicola Sturgeon, wściekła, że do Brexitu zmusza się kraj, który głosował przeciwko niemu, nie wykluczała przeprowadzenia kolejnego referendum niepodległościowego, które mogłoby doprowadzić do rozpadu istniejącej od 1707 roku unii z Anglią. Niezwykle drażliwa okazała się również sprawa granicy pomiędzy Republiką Irlandii (państwem członkowskim Unii Europejskiej) a Irlandią Północną (mającą wkrótce opuścić UE). Groziła ona potencjalnie ponownym otwarciem kwestii narodowej na całej wyspie irlandzkiej.

Brytyjska decyzja o wyjściu wywołała szok i smutek w całej Unii Europejskiej. Chodziło jednak o coś znacznie większego niż zwyczajny żal. Odejście jednego z najważniejszych państw członkowskich oznaczało potrzebę poważnego rachunku sumienia w UE. Co poszło nie tak? Czy brytyjskie głosowanie za wyjściem było efektem głębokich win samej Unii? Czy Wielka Brytania, przynajmniej w pewnym

stopniu, nie została popchnięta do drzwi wyjściowych poprzez scentralizowaną politykę i sztywne zasady, które odstraszały również obywateli w innych regionach Europy? Jak, o ile w ogóle, można było zaprojektować, nie mówiąc już o wdrożeniu, fundamentalne reformy strukturalne, które wielu obserwatorów uważało za kluczowe dla długoterminowego przetrwania i dobrej kondycji Unii Europejskiej, biorąc pod uwagę różne i często sprzeczne interesy państw członkowskich? Brexit miał oczywiste, nawet jeżeli niejasne, konsekwencje dla reszty Unii Europejskiej, tak jak i dla samej Wielkiej Brytanii. Kraj ten, bez względu na irytację, którą wielokrotnie budził wśród swoich europejskich partnerów, był przez ponad cztery dekady wiodącym partnerem handlowym i ważnym płatnikiem netto do unijnego budżetu. Co więcej, Unia Europejska nie była wcale w dobrej kondycji; wstrząsające ją od 2008 roku poważne kryzysy podważały jej wiarę w siebie i stabilizację.

Najważniejszą potrzebą, powstałą po niechętnym uznaniu brytyjskiej decyzji, było wzmocnienie solidarności i jedności Unii Europejskiej. Wielka Brytania nie miała zostać „ukarana” (jak twierdziła część eurofobicznej brytyjskiej prasy). Było jednak jasne, że interesy UE jako całości muszą być chronione za wszelką cenę. Odejście Wielkiej Brytanii miało wzmocnić Unię, a nie osłabić ją. Przyszłość wymagała konsolidacji, by móc zmierzyć się z kryzysami – w tym z własnym kryzysem egzystencjalnym – daleko wykraczającymi poza Brexit. Gdy więc Brytania, której zespołem negocjatorów kierował David Davis, i Unia Europejska, której głównym negocjatorem został Michel Barnier, doświadczony były francuski minister i komisarz UE, wiosną 2017 roku rozpoczęły skomplikowane negocjacje, zaczął się dla obu stron długi okres niepewności.

\*\*\*

Kryzys gospodarczy, migracja, terroryzm – wszystkie te problemy miały zasięg globalny, a nie wyłącznie europejski. Kryzys ukraiński miał międzynarodowe reperkusje. Nawet Brexit, gdy Brytyjczycy spróbowali zmienić swoje globalne relacje handlowe, nie był bynajmniej kwestią wyłącznie europejską, nie mówiąc już

o brytyjskiej. Współwystępujące kryzysy przez prawie dekadę wstrząsały fundamentami europejskiej cywilizacji, choć ich nie zniszczyły. Do lata 2017 roku Europa zdołała je odeprzeć. Znalazły się pod kontrolą, co nie znaczy, że zostały przewyciężone. Zresztą nie mogły być. Kryzysy stały się immanentnym elementem stanu otwarcia Europy na globalizację we wszelkich jej przejawach. Proces ten tak bardzo przyspieszył w poprzednich trzech dekadach, że nie mógł się odbyć bez wstrząsów dla Europy. Ożywienie gospodarcze wcale nie było dynamiczne, wysoki poziom migracji był nieunikniony, nikt nie miał gotowego rozwiązania na piekący problem terroryzmu, a prawdopodobieństwo konfliktu wielkich mocarstw wzrosło od czasu wyboru impulsywnego i nieprzewidywalnego Donalda J. Trumpa na prezydenta Stanów Zjednoczonych w listopadzie 2016 roku. Europa będzie z pewnością częścią tych globalnych turbulencji przez wiele kolejnych lat, a być może i pokoleń.

Od 2008 roku wiele z tego, co we współczesnej Europie uważano za oczywiste, zaczęło być kwestionowane. Stabilność, dobrobyt, a nawet pokój, czyli największe osiągnięcia ostatnich dekad, przestały być brane za pewnik. Więzy ze Stanami Zjednoczonymi, tak ważne dla Europy Zachodniej od drugiej wojny światowej (a od 1990 roku również dla większości Europy Wschodniej), uległy poluzowaniu już za prezydentury Obamy, a za jego następcy zostały w otwarty sposób zakwestionowane. Wartości liberalne i demokratyczne, o które tak długo walczono, także nie były już traktowane jako oczywistość. Europa w 2017 roku była rozchwiana, stała w obliczu trwałej niepewności i braku bezpieczeństwa – większych niż kiedykolwiek od czasów zakończenia wojny. Czy znajdzie drogę do lepszych czasów? Czy też Stary Kontynent po raz kolejny dopadną demony przeszłości?





## POSŁOWIE

# Nowa era niepewności

---

*Z pokrzywionego drzewa człowieczeństwa nie da się wyciosać nic prostego.*

Immanuel Kant, 1784 r.

**H**istoria Europy od końca drugiej wojny światowej stanowiła powalającą mieszankę wielkich osiągnięć, poważnych rozczarowań, a nawet katastrof, których drastycznym przykładem był kryzys ostatnich lat. Pod wieloma względami rzeczywiście przypominała ona szaloną jazdę kolejką górską, która począwszy od lat 70. zwiększała prędkość, ostro przyspieszyła po 1990 roku, a w nowym tysiącleciu prawie wypadła z torów. Na krętej drodze pomiędzy niepewnością z początku zimnej wojny a niepewnością wielobiegunowego kryzysu, który dopadł Europę w ostatniej dekadzie, wydarzyło się zarówno wiele rzeczy negatywnych, jak i pozytywnych. Co więc może składać się na bilans historii Europy w ostatnich 70 latach?

Przy wszystkich zastrzeżeniach wszelka rozsądna ocena musi z pewnością uwzględniać ogromny postęp, który został dokonany. Wystarczy choćby pobieżnie spojrzeć na Europę w pierwszej połowie XX wieku – kontynent fizycznie i moralnie sponiewierany przez wojnę i ludobójstwo, podczas gdy imperialne potęgi i państwa aspirujące do tego miana walczyły o dominację – by zobaczyć, jak długą drogę przebył od tego czasu Stary Kontynent. Większość Europejczyków żyje dziś w pokoju i wolności, pod rządami prawa i we względnym dostatku. Jawny rasizm jest nielegalny, nawet jeżeli rasistowskich uprzedzeń nie udało się

wykorzeń. Równouprawnienie kobiet jest co do zasady akceptowane, nawet jeżeli w praktyce często się je lekceważy. Osoby homoseksualne oficjalnie nie są dyskryminowane, choć stare uprzedzenia trzymają się mocno. Niezależnie od przyjmowanych kryteriów te i inne zmiany kulturowe świadczą o ogromnym postępie.

„Tylko ci, którzy żyli w państwie policyjnym, mogą wiedzieć, jak to jest nie żyć w nim”, napisał wybitny brytyjski historyk, Peter Pulzer, który jako dziecko był świadkiem zajęcia przez nazistów Austrii w 1938 roku, zanim w kolejnym roku uciekł z rodziną do Anglii. W owym czasie, nawet przed wojną, przynajmniej dwie trzecie Europejczyków żyło w państwach autorytarnych i było poddanych arbitralnej władzy policji. Przez cztery dekady po wojnie Europejczycy za żelazną kurtyną żyli w państwach policyjnych rządzonych przez komunistów. Rządy autorytarne wciąż istnieją w niektórych byłych republikach Związku Radzieckiego. W kierunku autorytaryzmu zwraca się Turcja. Węgry i Polska używają demokratycznych metod, by zakwestionować istotę demokracji. Większość Europejczyków żyje dziś jednak w wolności, w demokracji i pod rządami prawa. To wielki krok naprzód, że miliony dzisiejszych Europejczyków nie muszą się już obawiać tyranii państwa policyjnego.

Do wypowiedzi Petera Pulzera można by dodać, że tylko ci, którzy doświadczyli prawdziwej nędzy, naprawdę doceniają, co to znaczy nie być biednym, a tylko ci, którzy na własnej skórze odczuli okropieństwa wojny, w pełni rozumieją, co to znaczy żyć w pokoju.

Europa jest dziś zamożna jak nigdy wcześniej. Jej materialna pomyślność (wraz z wolnością i względnym bezpieczeństwem) stanowi niezwykle silny magnes dla wielu imigrantów uciekających przed wojną i skrajną nędzą, które panoszą się w innych regionach świata. Oczywiście, podział bogactwa w Europie daleki jest od sprawiedliwego. Przepaść pomiędzy bogatymi a biednymi pogłębia się, zamiast maleć. Niektóre państwa lub ich regiony pozostają stosunkowo biedne. Nawet w bogatych krajach istnieją obszary biedy. Banki żywności dla ubogich

w zamożnych krajach Europy Zachodniej stanowią jawny skandal. Zniknęła jednak rozpowszechniona i dotkliwa nędza istniejąca w Europie przedwojennej.

Dla pokolenia wojennego największym osiągnięciem powojennej Europy był trwały pokój. Dziś często jest on uznawany za coś oczywistego, jednak w pierwszych dekadach powojennych jego utrzymanie wcale nie wydawało się takie pewne. Oczywiste jest również, że nie wszędzie udało się go zachować. W latach 90. wojna rozdarła Jugosławię; brutalna przemoc szalała na Kaukazie; ostatnio areną zbrojnego konfliktu stała się wschodnia Ukraina. W pewnych momentach poważną plagą był ponadto terroryzm wewnętrzny, którego doświadczyły Irlandia Północna, Hiszpania, Włochy i Niemcy Zachodnie. Co więcej, choć w Europie generalnie panował pokój, wycofanie się państw europejskich ze swoich imperialnych ambicji w nieunikniony sposób odbiło się brutalnym piętnem na takich krajach jak choćby Algieria, Kenia i Angola. Eksport europejskiej broni także w znacznej mierze przyczynił się do tego, że niektóre regiony świata zamieniły się w piekło. Nie doszło jednak do wielkiej europejskiej wojny na wzór takiej, która w ciągu jednego pokolenia dwukrotnie zniszczyła kontynent w pierwszej połowie XX wieku. To było największe błogosławieństwo dla wszystkich Europejczyków, którym przyszło żyć po wojnie.

Pewna generalizacja jest więc usprawiedliwiona: szybka i głęboka zmiana, która dokonała się w ostatnich siedmiu dekadach oznacza, że dzisiejsza Europa jest bardziej pokojowa, zamożna i wolna niż kiedykolwiek wcześniej w swojej długiej historii. Globalizacja i rewolucja technologiczna przyczyniły się w dużej mierze do materialnych korzyści, odczuwanych przez dzisiejszych Europejczyków. Jak jednak pokazały poprzednie rozdziały, poważnych negatywnych konsekwencji także nie brakowało. Globalizacja utorowała drogę turbokapitalizmowi. Globalne banki inwestycyjne, międzynarodowe koncerny i giganty technologii informacyjnej zdobyły władzę, której żadne państwo narodowe nie było w stanie kontrolować. W latach 2007–2008 rozdęty i pozbawiony wszelkich hamulców sektor finansowy sprowadził międzynarodowy system finansowy na skraj katastrofy. Pojawił się nowy „prekariat”, złożony z niewykwalifikowanej, często imigranckiej siły

roboczej. Jego przedstawiciele często wykonywali kiepsko opłacane prace, mogli sobie pozwolić tylko na najgorzej wyposażone mieszkania i żyli w stanie permanentnej niepewności. Wraz z nasileniem się w szczególności islamskiego terroryzmu – który był w dużej mierze pochodną zaangażowania Europy w wojny na Bliskim Wschodzie i jej imperialnej przeszłości – wzrosło również poczucie fizycznego zagrożenia. Stawało się coraz bardziej jasne, że tego, co dzieje się za granicą, nie da się dłużej oddzielić od własnego codziennego życia.

Jeżeli pomimo tych wszystkich minusów o zmianach w Europie na przestrzeni minionych 70 lat możemy powiedzieć tak wiele dobrego, to w niemałej mierze jest to zasługą dwóch organizacji powstałych po wojnie: NATO i Wspólnoty Europejskiej. Trzeci element – „wzajemnie gwarantowane zniszczenie” za pomocą broni jądrowej – był prawdopodobnie najlepszym gwarantem, że żaden incydent nie przekształci się w Europie w wojenną pożogę.

Zapewniana przez NATO ochrona i aktywne zaangażowanie Amerykanów stanowiły najważniejsze gwarancje dla powojennego porządku w Europie Zachodniej. Szczególnie od czasów wojny wietnamskiej w Europie panowała powszechna – często usprawiedliwiona – wrogość wobec amerykańskiej polityki zagranicznej. Wizerunek Stanów Zjednoczonych często kłócił się z łagodną wizją samych siebie, którą mieli Amerykanie, widząc w swojej ojczyźnie kraj ludzi wolnych i międzynarodowego strażnika wolności. Jednak wzrost antyamerykańskich nastrojów w żaden sposób nie umniejsza nieodzownej roli, odgrywanej przez USA przede wszystkim we wczesnych latach powojennych poprzez utrzymywanie silnej obecności wojskowej w Europie. Bez niej zachodnia połowa kontynentu byłaby mniej stabilna, konsolidacja liberalnej demokracji mniej prawdopodobna, a utrzymanie pokoju bardziej niepewne.

Drugim ważnym elementem było utworzenie tego, co z czasem miało się przekształcić w Unię Europejską. Skomplikowana prehistoria UE była kształtowana w mniejszym stopniu przez strategiczny zamysł, a bardziej improwizowane kroki i korekty powodowane nieprzewidywanymi w większości wydarzeniami. Organizacyjny labirynt, który rósł wykładniczo, skomplikowane

ustalenia ekonomiczne, które często – na przykład w przypadku dopłat do rolnictwa – okazywały się kontrowersyjne, i obawy przed rosnącymi ambicjami budowy ponadnarodowego państwa budziły coraz większą wrogość i krytycyzm. Jednak bez względu na potknięcia, błędy i słabości Europejska Wspólnota Węgla i Stali, a później Europejska Wspólnota Gospodarcza nie tylko okazała się ramą dla szybkiego wzrostu zamożności, która wspierała polityczną stabilizację; utorowała również drogę do trwałego pokoju, cementując przyjaźń francusko-niemiecką i usuwając tym samym toksyczną wrogość, która odegrała niemałą rolę w wywołaniu dwóch wojen światowych. Gdy integracja europejska objęła byłe dyktatury w Grecji, Portugalii i Hiszpanii, a później kraje, które do 1990 roku leżały za żelazną kurtyną, Unia Europejska przyczyniła się do ugruntowania zasad demokracji, rządów prawa i ram współpracy międzynarodowej na obszarze większości Europy Południowej, Środkowej i Wschodniej. Dla krajów z tych regionów, które długo należały do najbiedniejszych w Europie, ale teraz mogły cieszyć się znaczącym postępem materialnym, i przez dziesięciolecia żyły w warunkach dyktatury, a teraz mogły rozwijać pluralistyczne demokracje, stanowiło to ogromny postęp.

Unia Europejska nie była natomiast w stanie stworzyć prawdziwego poczucia europejskiej tożsamości. W przypadku kontynentu składającego się z około 40 krajów, z których każdy posiada własne poczucie tożsamości, kulturę i historię, i na którym mówi się ponad 60 różnymi językami, nie powinno to nikogo dziwić. Być może dla niektórych unijnych idealistów było to rozczarowanie. Nekrolog dla państwa narodowego napisano jednak przedwcześnie. Wspólnota Europejska, budowana w większym stopniu na ekonomicznym pragmatyzmie niż politycznym idealizmie (choć przez jakiś czas jedno dobrze uzupełniało drugie), spowodowała, jak przekonywająco argumentował Alan Milward, nie tyle upadek, co „odrodzenie państwa narodowego”. Tożsamość narodowa nadal dominowała nad wszelkim poczuciem tożsamości europejskiej, a w ostatnich dekadach siła jej oddziaływania prawdopodobnie jeszcze wzrosła, a nie osłabła. Najważniejsze jest jednak to, że niebezpiecznie agresywny, szowinistyczny nacjonalizm, który wywołał dwie wojny

światowe, już prawie nie istnieje. Został rozwodniony i rozbity przez stopniowy rozwój współpracy ponadnarodowej i współzależności.

O ile poczucie europejskiej tożsamości pozostawało w dużej mierze w sferze idei i aspiracji niż rzeczywistości, to nabrało jednak politycznej zawartości. „Europa” w oczach większości swoich obywateli stała się w dużej mierze synonimem (pozytywnym lub negatywnym) Unii Europejskiej. „Europa” oddziela kraje UE, rozumianej jako wzajemnie powiązana wspólnota narodów, od tych państw europejskich – głównie Rosji i byłych republik radzieckich – które pozostają poza nią. Ta „Europa” nie jest ani „Europą ojczyzn”, za którą opowiadał się Charles de Gaulle (i inni), ani ponadnarodową wspólnotą, o której marzył Jacques Delors; jest unikalnym bytem, znajdującym się gdzieś pomiędzy nimi. Niektórzy nadal patrzą na wciąż rozszerzającą się „Europę”, ucieleśnioną przez federalne państwo europejskie, jako na utopijną przyszłość. Inni, coraz liczniejsi, traktują „Europę” z dystansem, a nawet wrogością, jako obce ciało naruszające suwerenność i integralność państw narodowych. Choć w pierwszych powojennych dekadach potrzeba zapobieżenia wszelkiej możliwości wybuchu kolejnej wojny była najważniejszą ambicją rodzącej się Wspólnoty Europejskiej, przekaz ten wraz z upływem czasu w nieunikniony sposób tracił na znaczeniu. To powoduje, że w oczach wielu obywateli „Europa” rozumiana jako Unia Europejska stała się mętną i odległą organizacją, która wdraża przepisy i regulacje wpływające na życie większości ludzi, ale nie daje możliwości aktywnego wpływania na jej polityczny kształt. To otwiera pole do działania dla ruchów nacjonalistycznych i separatystycznych, zdolnych wzbudzić emocje niedostępne dla Unii Europejskiej. Dla większości obywateli „Europa” oznacza więc Unię Europejską, którą mogą lubić lub nie. W rzeczywistości jednak ich główną emocjonalną afiliacją nie jest „Europa”, ale cały czas ich państwo narodowe lub region (a w niektórych przypadkach kraina dopiero aspirująca do uzyskania niepodległości).

Wszelkie próby stworzenia wyraźnej europejskiej tożsamości wydają się skazane na niepowodzenie. Spadek religijności i wzrost liczebności mniejszości imigranckich sprawiają, że Europa nie może się już dłużej identyfikować

z chrześcijaństwem (które i tak przez wieki częściej było czynnikiem dzielącym niż łączącym). Także historia bardziej dzieli, niż łączy. Istnienie wielokulturowych społeczeństw przekłada się na to, że Europa nie ma historycznego mianownika wspólnego dla wszystkich swoich obywateli. Tak czy inaczej zresztą, nigdy nie istniało coś takiego jak wspólne *europejskie* rozumienie historii lub europejska mitologia. Miały one niezmiennie charakter narodowy, a nawet w takiej formie były zazwyczaj kontestowane przez różne części społeczeństwa (co jasno pokazuje wciąż żywa spuścizna hiszpańskiej wojny domowej, mimo że od jej wybuchu upłynęło ponad 80 lat, a od śmierci Franco – ponad 40). Druga wojna światowa (znacznie bardziej niż pierwsza) i Holokaust z biegiem czasu zdominowały zbiorową świadomość najnowszej historii. Upamiętniania obu tych wydarzeń nie można jednak traktować jako budulca wspólnej europejskiej tożsamości. Być może zresztą złudna pogoń za europejską tożsamością jest i tak niepotrzebna, dopóki obywatele europejskich państw narodowych są zdeterminowani, by przestrzegać w swoich krajach podstawowych europejskich wartości takich jak pokój, wolność, pluralistyczna demokracja i rządy prawa; by utrzymywać poziom materialnego dobrostanu, który wzmacnia tę determinację; i by wzmacniać i rozwijać wszędzie tam, gdzie jest to możliwe więzy ponadnarodowej współpracy i przyjaźni.

W tym punkcie jednak ocena najnowszej przeszłości Europy dobiega końca. Pozostaje pytanie o jej przyszłość. Jak Europa odpowie na wielkie wyzwania, które przed nią stoją? Czy osiągnięcia z przeszłości będą postrzegane głównie jako pozytywny epizod, który jedynie poprzedził późniejszy upadek? Jak daleko posunie się projekt „coraz ściślejszej unii”, skoro w ostatnich latach popularność Unii Europejskiej raczej słabła, niż rosła? I czy te rejony Europy – Rosja i państwa znajdujące się pod jej egidą, Turcja i kraje bałkańskie – które leżą poza granicami UE i przez wieki nigdy w pełni nie identyfikowały się (lub nie były identyfikowane przez zewnętrznych obserwatorów) z „Europą” są skazane na dryf coraz dalej od „rdzenia” kontynentu? I wreszcie: czy Unia Europejska jest w stanie „wymyślić się” na nowo, by pokonać obecne trudności i na nowo wzbudzić entuzjizm dla



„europejskiego projektu”, który kiedyś istniał, a teraz w tak dużej mierze wyparował? Poważnych wyzwań nie brakuje.

\*\*\*

„Studiuj przeszłość”. Ta rada Konfucjusza zdobi jedno z wejść do budynku Archiwów Narodowych w Waszyngtonie. „Przeszłość jest prologiem”, głosi cytat z szekspirowskiej „Burzy”, wyryty na innym portalu. Studiowanie przeszłości pomaga historykom śledzić często burzliwą trajektorię, która doprowadziła Europę do jej dnia dzisiejszego. Do czego jednak przeszłość jest prologiem? W sensie ścisłym terażniejszość nie istnieje, jest tylko przeszłość i przyszłość. Przeszłość jest stosunkowo dobrze oświetloną ścieżką (nawet jeżeli z licznymi mrocznymi zaułkami i ścieżkami prowadzącymi w ciemne zarośla), którą w pewnym momencie blokuje wielka, nieprzystępna brama z napisem „Przyszłość”. Poprzez wąskie okienka w tej bramie można dostrzec kilka słabo oświetlonych ścieżek, biegnących w przód i szybko znikających w gęstniejącym zmierzchu. Być może jedna z tych ścieżek wydaje się nieco szersza i wygodniejsza niż inne. Nie jest to jednak nic pewnego. Nie sposób tego ocenić. Tak czy inaczej, także i ta ścieżka po chwili ginie w nieprzeniknionym mroku.

Dalej kierunek jest niejasny. Strukturalne wzorce rozwoju z przeszłości – dla przykładu trendy demograficzne lub socjoekonomiczne – mogą dać przybliżone wyobrażenie o tym, jak mogą wyglądać nadchodzące dekady. Przyszłość jest jednak zawsze kwestią otwartą. Historia oferuje jedynie niewyraźne wskazówki co do tego, czego nie da się przewidzieć. O przełomowych zmianach mogą zdecydować nie tylko długotrwałe procesy strukturalne, ale również nieprzewidziane wydarzenia. Łatwo jest nie docenić roli przypadku w historycznych zmianach. Historia pełna jest jednak przykładów dramatycznych wydarzeń będących dziełem przypadku – takiego jak choćby wynik bitwy, nieoczekiwane zawirowania polityczne, osobowość władcy. Odpowiedź na pytanie dziennikarza, co jest najtrudniejsze w rządzeniu, przypisywana (być może błędnie) byłemu brytyjskiemu premierowi, Haroldowi Macmillanowi – „wydarzenia drogi

chłopcze, wydarzenia” – trafnie ujmuje nieprzewidywalność przyszłości i problemy, na jakie historycy (lub ktokolwiek inny) natrafiają w momencie, gdy od interpretowania przeszłości przechodzą do odgadywania przyszłości.

Ta książka kończy się na roku 2017, kiedy Europa wpływała na niezbadane wody. Na Starym Kontynencie panowała większa niepewność i poczucie zagrożenia niż kiedykolwiek od czasu zakończenia drugiej wojny światowej. Nie słabły obawy o stabilność systemu bankowego i możliwość kolejnego krachu. Grecka gospodarka nadal znajdowała się w opłakanym stanie. Niemiecka nadwyżka handlowa wciąż wywoływała nierównowagę w strefie euro. Francję czekało wprowadzenie trudnych, zapewne niepopularnych rozwiązań, które miały podnieść konkurencyjność jej gospodarki. Polska i Węgry niebezpiecznie skręciły w stronę autorytaryzmu. Wielka Brytania była pogrążona w niezwykle skomplikowanych negocjacjach dotyczących opuszczenia Unii Europejskiej. Kryzys migracyjny zmalął po osiągnięciu swojego punktu kulminacyjnego w latach 2015–2016, ale bynajmniej się nie skończył i wywoływał szczególnie wielkie napięcia we Włoszech i w Grecji. Był to jeden z ważnych problemów globalnej polityki – wśród których prominentne miejsce znajdowała też spuścizna straszliwej wojny w Syrii – których rozwiązanie daleko wykraczało poza możliwości Europy. Liczba ataków terrorystycznych w Europie rosła, a w otwartych społeczeństwach, które stawiały przede wszystkim na demokratyczne swobody, zagrożenia nimi nigdy nie można było w pełni wyeliminować. Stosunki międzynarodowe przedstawiały się niepokojąco. Bliski Wschód pozostawał beczką z prochem, gotową wybuchnąć w każdej chwili. Relacje z coraz bardziej asertywną Rosją były napięte bardziej niż kiedykolwiek od 1991 roku. Turcja – głęboko zaangażowana w wojnę syryjską – była dla Europy kluczem do opanowania kryzysu migracyjnego, ale zaczęła stawać się państwem autorytarnym, odchodzącym od zasad europejskiej liberalnej demokracji i własnych świeckich korzeni. A narodziny potęgi Chin były wciąż niemożliwym do oszacowania czynnikiem w równaniu opisującym przyszłe stosunki Europy ze światem zewnętrznym.

Od 2008 roku dało się słyszeć kasandryczne głosy, wieszczące początek końca strefy euro i Unii Europejskiej, powrót do kontynentu rywalizujących ze sobą państw narodowych, odrodzenie faszyzmu z lat 30. i ponowne przebudzenie mrocznych demonów europejskiej przeszłości, niebezpieczeństwo odbudowy rosyjskiej potęgi, osłabienie wpływów Europy w świecie, koniec pokoju i dobrobytu, a być może nawet wojnę nuklearną. Nieoczekiwany wybór Donalda Trumpa na prezydenta Stanów Zjednoczonych w listopadzie 2016 roku sprawił, że w Białym Domu zasiadł człowiek impulsywny, nieprzewidywalny, który w dodatku nie krył swojego dystansu do Europy i jej najważniejszych wartości. Pierwsze miesiące sprawowania przez niego urzędu były głęboko niepokojące – i to nie tylko dla Europejczyków. Potencjalny powrót protekcjonizmu, a nawet wojen handlowych w wyniku mocno asertywnej polityki prowadzonej pod hasłem „America First”, niósł ze sobą niebezpieczną perspektywę gospodarczych zawirowań. Europejskie obawy szły jednak dalej. Od drugiej wojny światowej Stany Zjednoczone, szczególnie poprzez swoje zaangażowanie w NATO, były gwarancją wolności, z których korzystała Europa Zachodnia, a po upadku komunizmu większość kontynentu. Choć Trump odstąpił od swej wyborczej retoryki, w której określał NATO mianem tworu „przestarzałego” – co w europejskich uszach brzmiało wyjątkowo alarmująco – to wciąż zachował bardziej ambiwalentny stosunek do europejskiej polityki obronnej niż jakikolwiek inny amerykański prezydent od czasów wojny. Miejsce Europy w powojennym porządku, zajmowane od końca lat 40., stało się w konsekwencji niepewne.

Wybór Trumpa pozwolił złapać wiatr w żagle nacjonalistom i prawicowym populistom w całej Europie. Ich popularność z pewnością spędzała sen z powiek liberalnym Europejczykom, bo stanowili oni niebezpieczeństwo dla wartości, które wydawały się być dobrze zakorzenione i stanowić esencję nowoczesnej europejskiej cywilizacji. Jednak prezydentura Trumpa wywołała niepokój daleko wykraczający poza te kwestie. Być może najbardziej szkodliwa ze wszystkich – i to nie tylko dla Europy – była zadziwiająca łatwość, z którą odrzucił twarde naukowe dowody na globalne ocieplenie. To, jak chronić planetę przed samozniszczeniem,

wywołanym przez nieodwracalne szkody dla środowiska, spowodowane emisją dwutlenku węgla było (i pozostaje) najważniejszym pojedynczym pytaniem, z którym będą musiały zmierzyć się przyszłe pokolenia. Ten najtrudniejszy problem dotyczy nie tylko Europy, ale i całego świata. Jednak w swoim donkiszotowskim zapale, by chronić i odbudować amerykański przemysł ciężki, Trump 1 czerwca 2017 roku ogłosił wycofanie Stanów Zjednoczonych (pod względem emisji dwutlenku węgla ustępujących tylko Chinom) z uzgodnionego dwa lata wcześniej paryskiego porozumienia w sprawie kontroli klimatu, które po długich i skomplikowanych negocjacjach podpisało prawie 200 państw. Międzynarodowe porozumienie mogło być potencjalnym przełomem w ochronie środowiska. Trump skutecznie je storpedował.

Latem 2017 roku zaglądnienie przez okienka w bramie z napisem „Przyszłość” nie wydawało się jednak zajęciem całkowicie depresyjnym. Pojawiły się iskierki nadziei. W miesiącach, które nastąpiły po amerykańskich wyborach, także w Europie doszło do serii ważnych wydarzeń politycznych. Dały one odrobinę nadziei – choć jak się okazało, krótkotrwałej – że zagrożenie dla ukorzenionych wartości liberalnej demokracji ze strony populistycznej prawicy przekroczyło swoje apogeum. Wbrew oczekiwaniom Austria w grudniu 2016 roku (w powtórce wyborów z maja, które anulowano ze względu na liczne nieprawidłowości) wybrała na swojego prezydenta zdecydowanie proeuropejskiego byłego przywódcę Partii Zielonych, Alexandra Van der Bellena, i odrzuciła kandydata skrajnej prawicy, Norberta Hofera z Partii Wolności. W wyborach parlamentarnych w Holandii, które odbyły się 15 marca 2017 roku, skrajnie prawicowy, antyislamski i antyimigrancki kandydat, Geert Wilders, wypadł gorzej, niż oczekiwano – choć jego partia i tak dostała 13 procent głosów, a silne nastroje antyimigranckie skłoniły dotychczasowego premiera, Marka Rutte, do szukania poparcia u Wildersa i przejścia od niego części antyimigranckiej retoryki. W kluczowych wyborach prezydenckich we Francji (w dwóch turach, które odbyły się 23 kwietnia i 7 maja) przywódczyni skrajnie prawicowego Frontu Narodowego, Marine Le Pen, która zyskiwała poparcie dzięki programowi przywrócenia narodowej suwerenności,

kontroli imigracji i wyjścia ze strefy euro, została zdecydowanie pokonana. Zwycięstwo przypadło zagorzałemu proeuropejskiemu centryście, Emmanuelowi Macronowi, który symbolizował nowe otwarcie we francuskiej – i europejskiej – polityce. Partia, którą stworzył od zera, La République En Marche, podczas wyścigu o prezydenturę istniejąca jedynie w zarodku, odniosła imponujące zwycięstwo w czerwcowych wyborach do Francuskiego Zgromadzenia Narodowego, zdobywając absolutną większość.

Francji udało się z pozoru osiągnąć coś niemal niemożliwego: rewolucję wywodzącą się z centrum. Pierwsze posunięcia Macrona, zmierzające do nawiązania bliskich więzi z niemiecką kanclerz, Angelą Merkel, z widokiem na znaczącą reformę Unii Europejskiej, nieoczekiwanie dały nową nadzieję – drogę wyjścia z szalejącego od kilku lat kryzysu i obietnicę przyszłości dla Europy. Trzeba czasu, by się przekonać, czy te początkowe obietnice zostaną dotrzymane. Nie wszystkie sygnały są zachęcające.

Brytyjskie wybory, które odbyły się 8 czerwca 2017 roku, miały ważne konsekwencje dla Europy. Nieoczekiwana utrata stanu posiadania przez Partię Konserwatywną i znaczące umocnienie się laburzystów zmniejszyły prawdopodobieństwo, że rząd Theresy May przeforsuje najbardziej radykalną wersję zerwania z Unią Europejską (choć takiego scenariusza nie da się wykreślić, zwłaszcza że bardzo pragną go niektórzy konserwatyści). Jednocześnie nie jest jasne, co rząd (albo laburzystowska opozycja) chciałby, żeby w idealnym scenariuszu wyłoniło się ze skomplikowanych negocjacji, które rozpoczęły się 19 czerwca. Przy okazji pękła bańka prawicowego populizmu nadmuchana przez UKIP. Choć trzy lata wcześniej UKIP wygrała wybory do Parlamentu Europejskiego w Wielkiej Brytanii, teraz nie udało się jej zdobyć ani jednego mandatu w nowo wybranym parlamencie Zjednoczonego Królestwa. Po przegłosowaniu wyjścia z UE UKIP w większości straciła swoją rację bytu. Kwestia członkostwa w Unii Europejskiej nadal jednak głęboko dzieli brytyjskie społeczeństwo. Wydaje się jednak, że w coraz większym stopniu racjonalność – w istocie zawsze mało oczywista – rozwiązania, które najprawdopodobniej

doprowadzi do zubożenia kraju i osłabienia jego międzynarodowego statusu w zamian za uzyskanie prawdopodobnie minimalnego ograniczenia liczby imigrantów (którzy w większości przynoszą gospodarce korzyści), zaczęła być kwestionowana. Reszta UE zaczęła z rosnącym zdumieniem przyglądać się temu, co generalnie wyglądało na bezprecedensowy przykład narodowego samookaleczenia. Poparcie dla wyjścia utrzymywało się jednak na wysokim poziomie. Nie sposób przewidzieć, jak zakończą się negocjacje w sprawie najbardziej pożądanego kształtu relacji pomiędzy Wielką Brytanią a Unią Europejską, biorąc pod uwagę tak głębokie podziały zarówno w brytyjskim społeczeństwie, jak i w elitach rządowych.

Latem 2017 roku pojawiły się nieśmiałe sygnały, że Europa podnosi się po naznaczonej kryzysem dekadzie. Francusko-niemiecka oś, historyczny fundament tego, co stało się z Unią Europejską, wydawała się nabierać nowej dynamiki w wyniku zwycięstwa Emmanuela Macrona we Francji i prawdopodobnej reelekcji Angeli Merkel, powszechnie uważanej za filar stabilności w niestabilnych czasach. Szanse na reformę Unii Europejskiej wydawały się największe od lat. Jednocześnie strefa euro zaczęła wreszcie po raz kolejny notować całkiem imponujące tempo wzrostu gospodarczego. Przy odrobinie szczęścia – można było pomyśleć – Europa wciąż mogła mieć szansę na świetlaną przyszłość.

Ważne niemieckie wybory, które odbyły się 24 września 2017 roku, stłumiły jednak te oczekiwania w załączku i brutalnie przypomniały, jak szybko może się zmienić polityczny krajobraz. Frau Merkel została zgodnie z oczekiwaniami wybrana ponownie, ale najbardziej uderzającym wątkiem tych wyborów – wpisującym się w ogólnoeuropejski trend – było to, że partie establishmentowe straciły wyborców, podczas gdy „partia protestu”, Alternatywa dla Niemiec (Alternative für Deutschland, AfD), zyskała znaczące poparcie. Partie poprzedniej koalicji rządowej (CDU, jej bawarska siostra CSU i SPD) straciły 105 miejsc w Bundestagu. Poparcie dla CDU/CSU spadło do zaledwie 33 procent; było o osiem procent mniejsze niż w 2013 roku i najniższe od 1949 roku. SPD z wynikiem 20,5 procent, czyli o pięć procent gorszym niż w poprzednich

wyborach, także zanotowała najgorszy rezultat po wojnie. Jedną z „partii głównego nurtu”, wolnorynkowi Wolni Demokraci (FDP), wróciła do Bundestagu, zdobywając 5,9 procent głosów. Swoją wynik nieznacznie poprawiły Partia Zielonych i socjalistyczna Die Linke (Lewica). Prawdziwą sensacją okazał się jednak przełom dokonany przez antyimigrancką AfD, która latem wydawała się tracić poparcie, ale w wyborach powszechnych dostała 13 procent głosów, co dało jej 94 miejsca w Bundestagu. Był to pierwszy raz od ponad 60 lat, kiedy jawnie nacjonalistyczna partia dostała się do Parlamentu Federalnego. Sukces AfD był w dużej mierze oznaką negatywnej reakcji części elektoratu na rządową politykę podczas kryzysu uchodźczego w latach 2015–2016. To, jak te wyniki miały wpłynąć na perspektywy zreformowania strefy euro (i szerzej UE), które otworzyły się kilka miesięcy wcześniej wraz z wyborem Macrona, miało się dopiero okazać. Raczej im jednak nie sprzyjały.

Ostatnie ważne europejskie wybory powszechne w 2017 roku odbyły się 15 października w Austrii. Pokazały kontynuację skreślenia na prawo i trwały wpływ kwestii migracyjnej, która zdominowała wybory, i to nawet bardziej, niż to miało miejsce w Niemczech. W tym względzie Austria mniej przypominała Niemcy, a bardziej swojego wschodniego sąsiada, Węgry, i inne kraje Europy Środkowej. Z wyborów najbardziej wzmocnione wyszły partie prawicowe, konserwatywna Austriacka Partia Ludowa (ÖVP), która dostała 31,5 procent głosów, i skrajnie prawicowa Partia Wolności (FPÖ) z 26 procentami. Łącznie zwiększyły one swój stan posiadania o 13 punktów procentowych. Podczas kampanii obie partie ostro krytykowały napływ imigrantów z Bałkanów. Partia Ludowa, kierowana przez najmłodszego lidera politycznego w Europie, telegenicznego i charyzmatycznego trzydziestojednolatka, Sebastiana Kurza, sama przesunęła się w związku z kwestią migracyjną na prawo, atakując „polityczny islam” i obiecując skończyć z nielegalną imigracją. Retoryka Partii Wolności była całkowicie bezkompromisowa. Jej lider, Heinz-Christian Strache, zadeklarował, że nie chce „islamizacji swojej ojczyzny”. 18 grudnia Kurz i Strache osiągnęli porozumienie, na mocy którego sformowali prawicowy rząd koalicyjny. Protesty były

umiarkowane. Austria wpisywała się po prostu w antyimigrancki, prawicowy trend, który był już powszechny w Europie.

Oczywiście każde wybory krajowe mają swoją specyfikę. Jednak wraz ze zbliżającym się końcem 2017 roku niemieckie i austriackie wybory, każde na swój własny sposób, wpisały się w prawidłowość widoczną w całej Europie i Stanach Zjednoczonych, gdzie zatriumfował Donald Trump. Schemat ten, niepokojący dla przyszłej stabilności społecznej i politycznej, polegał na wzroście popularności populistycznych ruchów „z zewnątrz” (głównie na prawicy). Były one w stanie zagospodarować wściekłość, odczuwaną przez szerokie rzesze wyborców na tradycyjne partie, które uważano za nieudolne, zachowawcze, a czasami po prostu skorumpowane. Nie wiadomo na razie, czy to poważne wyzwanie rzucone „establishmentowi” na trwałe zmieni polityczny krajobraz, czy też stopniowo wygaśnie, jeżeli sytuacja gospodarcza się poprawi.

\*\*\*

Wybory, które na chwilę przykuwają uwagę opinii publicznej, często okazują się mieć przelotne znaczenie. To, co pozostaje, by zajmować polityków wszystkich orientacji, którzy aktualnie znajdują się u władzy, i w nieunikniony sposób wywierać znaczny wpływ na przyszłe europejskie pokolenia, to konsekwencje długoterminowych, splątanych ze sobą trendów, które stanowią spuściznę niedawnej europejskiej przeszłości i szerszych wydarzeń globalnych. Te trendy sugerują, że nowa epoka niepewności może potrwać długo.

Zapewne największym wyzwaniem, choć na globalnym, a nie tylko europejskim poziomie, jest powstrzymanie samozniszczenia, do którego prowadzi zmiana klimatu. Coś na kształt międzynarodowej jedności w celu spowolnienia, a docelowo zatrzymania dalszych długoterminowych szkód o potencjalnie niszczących konsekwencjach – zadanie na pokolenia – zostało ostatecznie osiągnięte w porozumieniu paryskim z 2015 roku, tylko po to, by dwa lata później storpedował je prezydent Trump. Być może rozum ostatecznie zwycięży, nawet jeżeli zdarzy się to na koniec kadencji Trumpa, i być może Stany Zjednoczone, tak



ważny partner, wróć do konwencji o kontroli klimatu, by odegrać ważną rolę w chronieniu środowiska. Nawet bez amerykańskiego udziału postęp – choć w wolniejszym tempie – będzie się dokonywał, prawdopodobnie z udziałem Chin, które zechcą wypełnić próżnię pozostawioną przez USA. Zamożniejsze kraje europejskie już znajdują się w awangardzie walki ze zmianami klimatycznymi. Z pewnością zrobią więcej, by rozwijać odnawialne źródła energii (i korzystać z nich ekonomicznie). Przejście do gospodarki niskoemisyjnej nie jest opcją. Jest imperatywem dla przyszłego dobrostanu społeczeństwa. Jednak zapobieganie dalszym zniszczeniom na kontynencie (i całej planecie) w interesie przyszłych pokoleń to wyścig z czasem.

Jeżeli źródła energii odnawialnej nie zostaną szybko rozwinięte, problem energii stanie się prawdopodobnie jeszcze dotkliwszy dla europejskich rządów i potencjalnie może stać się zarzewiem konfliktu. Węgiel, fundament rewolucji przemysłowej, odgrywa obecnie jedynie niewielką rolę w dostarczaniu energii w większości krajów europejskich. Dostępność ropy jest jednak mocno uzależniona od jej producentów na Bliskim Wschodzie, w jednym z najbardziej niestabilnych i porozdzieranych wojnami regionów na świecie. Ciągłe poparcie Zachodu dla Arabii Saudyjskiej, mimo łamania przez nią praw człowieka i faktu, że finansuje terrorizm, wynika w dużej mierze z faktu, że państwo to – jedno z nielicznych na Bliskim Wschodzie, które nie przeszło jeszcze przez fazę niszczących wstrząsów wewnętrznych (co może się zmienić) – jest kluczowe dla globalnej dystrybucji ropy. Dla niektórych państw europejskich (w tym Niemiec) uzależnienie od ropy i gazu oznacza niezdrowy związek z Rosją, której dobra wola jest wysoce wątpliwa. Energia atomowa, po katastrofie w Czarnobylu w latach 80., a bardziej niedawno w marcu 2011 roku w japońskiej Fukushima, znacznie straciła na atrakcyjności i jest otwarcie odrzucana przez obywateli niektórych spośród największych krajów europejskich. Tymczasem wprowadzenie wzorem USA *frackingu* – szczelinowania hydraulicznego – czyli technologii pozyskiwania gazu i ropy z łupków znajdujących się głęboko pod powierzchnią ziemi, jest wysoce kontrowersyjne z racji potencjalnych szkód dla środowiska i możliwego wzrostu

prawdopodobieństwa trzęsień ziemi. Kraje europejskie prowadzą politykę energetyczną na różne sposoby i zgodnie z narodowymi priorytetami. Zarówno jednak indywidualnie, jak i zbiorowo stoją one przed problemem zapewnienia przyszłych dostaw energii, jeżeli stare się wyczerpią lub zostaną wykluczone z przyczyn politycznych, a nowe źródła odnawialne nie zostaną odnalezione i szybko wypromowane. To jedno z najpilniejszych zadań stojących przed Europą.

Zmiana demograficzna wpływa na każdy kraj, ale nie jest przedmiotem rządowej kontroli. Nie da się jej powstrzymać; trzeba nią zarządzać. Niesie to jednak ze sobą poważne problemy na przyszłość. Dekady niskiej lub zmniejszającej się dzietności oznaczają, że w większości państw europejskich poziom populacji niezbędny do rozwoju gospodarki można utrzymać wyłącznie poprzez imigrację. Młoda siła robocza jest niezbędna, by utrzymać wpływy podatkowe, konieczne do sfinansowania państwowych emerytur przez czas znacznie dłuższy, niż zakładano w momencie tworzenia zrębów państwa opiekuńczego. Ludzie żyją bowiem dłużej i dłużej przebywają na emeryturze. Oczekiwana długość życia wydłuża się za sprawą nadzwyczajnych postępów medycyny w ostatnich dekadach, a ukończenie mapy ludzkiego genomu, co osiągnięto w 2003 roku, prawdopodobnie pozwoli za jakiś czas wyeliminować kolejne przyczyny przedwczesnych śmierci. Starzenie się społeczeństwa zwiększa jednak popyt na usługi zdrowotne i opiekę społeczną, które coraz mocniej obciążają narodowe finanse. Ponieważ państwa starają się ograniczyć wydatki publiczne, jakość usług publicznych się pogarsza, powodując coraz większe niezadowolenie społeczne.

Migracja z powodów ekonomicznych, głównie z biedniejszego południa i wschodu na bogatszą północ i zachód, wzrosła gwałtownie w ostatnich dekadach, szczególnie po upadku komunizmu i intensyfikacji globalizacji od lat 90. Liczba uchodźców uciekających przed wojną na Bliskim Wschodzie i w niektórych regionach Afryki zwiększyła się znacząco w ostatnich latach, między innymi z powodu spartaczony interwencji NATO w Libii. Biorąc pod uwagę tak rażące różnice w poziomie zamożności i standardach życia oraz znacznie większą łatwość

przenoszenia się z kontynentu na kontynent, jest mało prawdopodobne, by migracja straciła na znaczeniu jako wyzwanie dla przyszłych pokoleń. W istocie, wraz ze wzrostem liczebności populacji w biedniejszych rejonach świata, podczas gdy rdzenna ludność Europy kurczy się w ujęciu względnym, presja migracyjna prawdopodobnie mocno wzrośnie w kolejnych dekadach. Dla spójności europejskich społeczeństw może się to okazać najpoważniejszym wyzwaniem ze wszystkich.

Wielokulturowość nie musi prowadzić do niebezpiecznego „zderzenia cywilizacji”, które w kontrowersyjnej książce z lat 90. przewidywał Samuel Huntington. Jednak w kolejnych dekadach możliwości niepokojącego starcia kultur nie można z całą pewnością wykluczyć. Ostatnio Iwan Krystew sugerował, że kryzys migracyjny, który z taką siłą uderzył w latach 2015–2016, grozi dezintegracją Unii Europejskiej. Twierdzi on, że w konsekwencji kryzysu migracyjnego „Europa cierpi na kryzys tożsamości, przez który spuścizna chrześcijaństwa i Oświecenia przestały być bezpieczne”. Bez względu na to, na ile prawdziwe jest to twierdzenie, istnieje prawdopodobieństwo, że zagrożenie ze strony migracji dla historycznie zakorzenionej europejskiej tożsamości (a w ramach Europy dla tożsamości poszczególnych państw narodowych) wzrośnie niepomiaralnie. Wraz z tym wzrośnie prawdopodobnie nietolerancja, szczególnie wobec ludzi o innym kolorze skóry i kulturze. W konsekwencji perspektywy społecznej harmonii i spójności będą się rysować w zdecydowanie mniej różowych barwach.

Potencjał dla społecznych niepokojów wzrośnie również, jeżeli nie sprostamy innemu poważnemu wyzwaniu stojącemu przed europejskimi społeczeństwami: wielkiej i wciąż rosnącej rozpiętości w zamożności i dochodach. Każdy wskaźnik pokazuje, jak nierówności dochodowe pogłębiły się w ostatnich dekadach. Korzyści płynące z globalizacji były ogromne. Nie były one jednak równo i sprawiedliwie dzielone. Podczas gdy niektórzy, szczególnie w sektorze finansowym, mogli gwałtownie zwiększyć swoje dochody, zwłaszcza pracownicy niewykwalifikowani spadli na sam dół w poszerzającej się grupie tych, którzy nie

posiadają umiejętności lub talentów wymaganych przez rynek. A ponieważ sukces ekonomiczny zaczął wymagać coraz większej bezwzględności, społeczeństwa straciły poczucie zbiorowej odpowiedzialności za tych, którym powiodło się gorzej. Rosnąca konkurencja w gospodarce, tendencja do redukowania roli państwa, cięcia w wydatkach publicznych, dokonywane w dużej mierze po to, by spłacić długi z kryzysu finansowego – wszystko to przyczyniło się do osłabienia poczucia wspólnotowości, odpowiedzialności i własności, które dominowały we wczesnych dekadach powojennych.

Globalizacja znacznie pogłębiła indywidualizm, trend, który zaczął się zarysowywać co najmniej od lat 70. Indywidualny wybór w dokonywanych zakupach, sposobie wydawania pieniędzy i stylu życia rozszerzył się niepomiaralnie. Pod wieloma względami (abstrahując od skali manipulacji gustami konsumentów i ich wyborami za pomocą wyrafinowanych reklam) można temu tylko przyklasnąć. Przy okazji osłabło jednak poczucie zobowiązań wobec wspólnoty, która wykracza poza poziom jednostkowy. Nie widać szans, by trend ten mógł ulec odwróceniu. Tradycyjne formy społeczeństwa klasowego oparte na wielkoprzemysłowej klasie robotniczej już niemal nie istnieją. Podobnie jak *powszechnie* ubóstwo i marne standardy życia, które jednoczyły ludzi, zamiast ich rozdzielać, gdy Europa odradzała się po drugiej wojnie światowej. Postindustrialny indywidualizm wciąż wymaga obecności państwa (szczególnie gdy sprawy idą w złym kierunku). Jednocześnie chce on zredukować rolę państwa i generalnie opowiada się za obniżaniem podatków, a nie wspomaganiem mniej zamożnych członków społeczeństwa poprzez zwiększone obciążenia fiskalne. Jedynie Skandynawia (która ma jedno z najbardziej stabilnych i zadowolonych z siebie społeczeństw) w dużej mierze trzyma się modelu wysokich podatków i szerokiej redystrybucji dochodów. To jednak model, który – mimo wszystkich jego sukcesów w krajach skandynawskich – niełatwo daje się przenosić gdzie indziej.

Problem przyszłej społecznej spójności zostanie prawdopodobnie pogłębiony przez kolejne wielkie wyzwania, które będzie rzutować na wiele innych poważnych kwestii czekających na Europę w następnych dekadach: upowszechnienie

automatyzacji. Technologia komputerowa miała rewolucyjny wpływ na Europę (tak jak i na resztę świata), szczególnie w ostatnim ćwierćwieczu. Ogólnie rzecz ujmując, przyniosła niewyobrażalne korzyści społeczeństwu. Jednak sprawia ona też, że w wielu obszarach zatrudnienia ludzka siła robocza staje się przynajmniej częściowo zbędna. W każdym sektorze gospodarki intensywna konkurencja, której sprzyja globalizacja, prowadzi do cięcia kosztów poprzez automatyzację. Dotyczy to sektora usług, który rozrósł się tak bardzo od lat 70., a także finansów, budownictwa i branż wytwórczych. Banki mogą drastycznie zmniejszyć liczbę pracowników, bo skomputeryzowane bankomaty i bankowość internetowa ograniczają zapotrzebowanie na oddziały, które kiedyś były widoczne na każdej głównej ulicy. Lotniska oczekują, że pasażerowie przy użyciu technologii komputerowej odbiorą karty pokładowe i odprawią bagaż, ograniczając w ten sposób zapotrzebowanie na personel naziemny. Branża motoryzacyjna miała kiedyś fabryki zatrudniające dziesiątki tysięcy ludzi. Nowoczesne samochody można jednak produkować przy użyciu ułamka siły roboczej potrzebnej przed rewolucją technologiczną i robotyzacją. Takie przykłady będą się mnożyć i pogłębiać w nadchodzących latach. W wielu obszarach gospodarki taniej będzie zatrudniać roboty niż ludzi. To, jak z pożytkiem wykorzystać znaczne rzesze społeczeństwa, będzie prawdopodobnie wielkim społecznym, politycznym i ekonomicznym wyzwaniem nadchodzących dekad. Wzrost wydajności będzie musiał być imponujący, by utrzymać populację pracującą krócej, żyjącą dłużej i wykazującą większe zapotrzebowanie na zredukowane usługi socjalne. Politycy dopiero zaczynają się zastanawiać, jak rozwiązać tę kwadraturę koła.

Ostatnim wielkim wyzwaniem, widocznym coraz bardziej w ostatnich latach, jest kwestia bezpieczeństwa. Bezpieczeństwo narodowe pozostawało niegdyś przedmiotem niemal wyłącznie *narodowej* troski. Pierwszym zadaniem państwa narodowego była ochrona swoich obywateli. Jednak globalizacja, łatwość podróżowania, tempo podróżowania i, przede wszystkim, technologia komputerowa, sprawiły, że bezpieczeństwo narodowe stało się kwestią o wadze *ponadnarodowej*. Granice nie stanowią przeszkody dla międzynarodowego

terroryzmu, a zatem także środki bezpieczeństwa muszą przekraczać granice państw narodowych. Zwalczanie przestępczości na poziomie międzynarodowym nie jest w istocie niczym nowym. Zaczęło się wraz z powołaniem w latach 20. Interpolu (który został przywrócony po zakończeniu wojny i dziś ma prawie 200 członków). Jednak międzynarodowa przestępczość i terroryzm rozprzestrzeniły się tak bardzo i przybrały tak zaawansowane formy, że sam Interpol nie wystarczy. Konieczna stała się regularna wymiana informacji pomiędzy służbami wywiadowczymi. Koordynacja ataków terrorystycznych poprzez media społecznościowe stała się głównym wyzwaniem dla agencji wywiadowczych w każdym kraju europejskim. Innym są coraz częstsze cyberataki, które zagrażają podstawom cywilizacji poprzez blokowanie, zamykanie lub niszczenie kluczowych instalacji, takich jak sieci energetyczne lub infrastruktura ochrony zdrowia, a także penetrowanie ściśle tajnych danych wojskowych. Cyberprzestępczości dowolnego rodzaju można zapobiegać lub walczyć z nią tylko poprzez współpracę wywiadowczą na bezprecedensową skalę.

W nieunikniony sposób obawy o bezpieczeństwo doprowadziły do ogromnego natężenia inwigilacji zwykłych obywateli przez organizacje wywiadowcze. W wolnych społeczeństwach istnieje oczywiste napięcie pomiędzy poziomem zabezpieczeń, niezbędnym do chronienia obywateli, a ingerencją w prywatność i poufność tych obywateli, dokonywaną agresywnymi metodami inwigilacji. To, jak chronić dane przed ich niepotrzebnym zbieraniem i nadużywaniem lub zawłaszczaniem przez przestępców, i to, jak jednostki mogą same chronić się przed komputerowymi algorytmami, które mogą wykryć, gdzie one są, kim są ich przyjaciele i jakich wyborów życiowych dokonują, to ważne kwestie, w których wolność staje przeciwko technikom inwigilacyjnym współczesnego państwa – i wielkich firm komputerowych. Każdy chce bezpieczeństwa. Jaką cenę jednak w postaci utraty prywatności społeczeństwo jest gotowe za nie zapłacić? Tak czy inaczej, inwigilowane społeczeństwo Wielkiego Brata, opisane przez George'a Orwella w *Roku 1984*, stało się znacznie bliższe.

\*\*\*

Na ile gotowa jest Europa, by zmierzyć się z tym zalewem potężnych problemów? „Europa” w tym sensie oznacza praktycznie Unię Europejską. Rosja i Turcja mają własne priorytety i będą realizować niezależną politykę. Wielka Brytania, raczej na swoje nieszczęście niż szczęście, wkrótce zacznie kroczyć własną drogą. Inne państwa poza Unią Europejską, na przykład na Bałkanach, będą musiały zmierzyć się z problemami bez poważnej międzynarodowej siatki pomocowej. Każde z tych potężnych wyzwań wymaga odpowiedzi wymagającej wysokiego poziomu współpracy międzynarodowej. Państwo narodowe, byt polityczny, który triumfalnie wyłonił się z XIX wieku, a w pierwszej połowie XX był bliski autodestrukcji, nie ma wystarczających narzędzi, by poradzić sobie z tymi problemami na poziomie indywidualnym. Jednak Unia Europejska, która wyłoniła się w procesie rosnącej świadomości potrzeby większej współpracy, integracji i jedności, jest wciąż dziełem niedokończonym – z pewnością wielkim osiągnięciem, ale instytucją obciążoną wieloma wadami i słabościami. Wedle stanu na koniec 2017 roku nie jest ona z pewnością optymalnie przygotowana, by radzić sobie z przyszłymi wyzwaniami. Jest jednak przynajmniej nadzieja, że Francja i Niemcy zapewnią dynamikę niezbędną do wdrożenia koniecznych reform strukturalnych. A rychłe odejście Wielkiej Brytanii, bez względu na to, z jakim żalem przyjęły tę decyzję inne państwa członkowskie, może w praktyce poskutkować konsolidacją UE i przyspieszyć reformy.

Jaki kształt przybierze jednak ta reforma? Młyny tej wielkiej „fabryki kompromisu” miały powoli. System nie ma na celu zapewnienia prędkości czy dynamiki. Został zaprojektowany tak, by uniemożliwić któremukolwiek mocarstwu zdobycie pozycji dominującej. Niemcy zdobyły w nim pozycję dominującą, ale nie spieszą się, by objąć przywództwo. Mniejsze kraje podejrzliwie podchodzą do perspektywy oddania władzy Niemcom, a pewien niepokój budzi w nich też wizja prawdopodobnego odrodzenia sojuszu francusko-niemieckiego. Od czasu powstania w 1974 roku, Rada Europejska składająca się z szefów rządów lub głów

państw, czyli przedstawiciele państw narodowych, stała się najpotężniejszym organem w Unii Europejskiej, ale istniejące w niej tendencje odśrodkowe są ograniczane przez centralistyczne zapędy Komisji i Parlamentu. Wyposażenie Unii Europejskiej w narzędzia pozwalające jej sprostać przyszłym zadaniom, przy jednoczesnym zaspokojeniu często sprzecznych żądań 27 państw członkowskich wydaje się tytanicznym zadaniem.

W teorii potencjalnym rozwiązaniem byłoby to, o czym od dawna mówiono, ale co nigdy nie wydawało się realistyczne: federalne Stany Zjednoczone Europy, z centralnym rządem i parlamentem, własną polityką obronną i zagraniczną oraz pełnią uprawnień budżetowych i fiskalnych, analogicznie do Stanów Zjednoczonych Ameryki. Takie rozwiązanie wydaje się jednak coraz mniej prawdopodobne; z pewnością nie jest możliwe do zrealizowania w dającej się przewidzieć przyszłości, a być może nigdy. Państwa europejskie to po prostu nie stany, które stworzyły federalną unię w Ameryce. Koniec końców każde z nich – choć rzadko można tu mówić o całkowitej sprzeczności – ceni swoje własne narodowe interesy i tożsamość bardziej niż ideę europejską. Dotyczy to również najpotężniejszego i najbardziej wpływowego kraju w Unii Europejskiej, Niemiec. UE i strefa euro w obecnym kształcie bardzo dobrze służą interesom Niemiec, które bardziej niż jakikolwiek inny kraj skorzystały na wprowadzeniu wspólnej waluty. Berlin jest również dominującym graczem w skomplikowanej układance politycznej, którą stanowi Unia Europejska. Przy wszystkich apelach o tak potrzebną reformę, które nasilają się od początku kryzysu finansowego w 2008 roku, jest wątpliwe, czy Niemcy naprawdę chcą fundamentalnej reformy i czy w ogóle byłaby ona możliwa, biorąc pod uwagę różne i często sprzeczne interesy państw członkowskich.

Spuścizna przeszłości – na którą wciąż składają się w przeważającej mierze wspomnienia wojny, okupacji i Holokaustu – odgrywa kluczową rolę w kształtowaniu narodowych tożsamości w sposób, który nie ma odpowiednika w Stanach Zjednoczonych. Unia Europejska w bliżej nieokreślonej przyszłości pozostanie więc prawdopodobnie luźniejszą formą wspólnoty, rozwijającą jednak



większe uprawnienia kolektywne i przyspieszającą tempo podejmowania decyzji, by mierzyć się zarówno z bieżącymi, jak i długoterminowymi kryzysami. Być może, jak to jest często sugerowane, jakiś kształt przybierze w końcu Europa dwóch lub wielu prędkości albo Unia Europejska koncentrycznych kół o różnym poziomie integracji, choć taka propozycja również nie byłaby łatwa do wdrożenia. Można rozsądnie założyć, że przez następną dekadę, a być może dłużej, UE będzie z grubsza wyglądać tak jak obecnie.

Zewnętrzna presja wokół Europy sprzyja bliższej integracji i przyspieszeniu działań w dziedzinie polityki zagranicznej i obronnej. Kanclerz Niemiec, Angela Merkel, zasugerowała to pod koniec maja 2017 roku, kiedy po spotkaniu grupy G7, zrzeszającej najbardziej uprzemysłowione państwa świata, w którym uczestniczył także prezydent Trump, powiedziała, że „my, Europejczycy musimy naprawdę wziąć nasz los w swoje ręce” i dodała, że „epoka, w której mogliśmy w pełni polegać na innych, do pewnego stopnia się skończyła”. W zawołowany sposób wskazuje to na głębszą integrację w dziedzinie polityki zagranicznej i obronnej. Skromna próba wzmocnienia połączonego potencjału obronnego Europy (w ponad pół wieku po poprzednim planie Europejskiej Wspólnoty Obronnej, zaproponowanej, a następnie zawetowanej przez Francuzów) nabiera kształtu, mając stanowić uzupełnienie trwałej roli NATO w europejskiej obronności. Europejski minister spraw zagranicznych, z większymi uprawnieniami niż obecnie posiadane przez wysokiego przedstawiciela Unii ds. zagranicznych i bezpieczeństwa (którego kompetencje są w praktyce ograniczone, bo polityka zagraniczna jest sferą zazdrośnie chronioną przez poszczególne państwa członkowskie), pojawi się zapewne za jakiś czas.

Spuścizna drugiej wojny światowej, wraz z wieloletnim doświadczeniem pokoju i dobrobytu, gwarantowanych w Europie Zachodniej w kluczowych dekadach powojennych przez amerykańską potęgę wojskową, uczyniły z Europy pokojowy kontynent. Wielka Brytania i Francja, stare potęgi imperialistyczne, to kraje najbardziej skłonne do angażowania się w konflikty zagraniczne (choć oba znacząco ograniczyły swoje siły zbrojne w ostatnich latach i obecnie są w stanie

brać udział tylko w operacjach wielonarodowych). Większość pozostałych niemal z założenia odrzuca użycie siły zbrojnej. Jest to zjawisko niezwykle korzystne. Nikt nie zakłada, że między europejskimi demokracjami mogłaby wybuchnąć wojna. Wartości cywilne zastąpiły wartości militarystyczne. Powrót do wojowniczości i agresji w Europie, które doprowadziły do dwóch katastrofalnych wojen światowych, jest dziś niewyobrażalny. Tym większy był szok po wybuchu zbrojnego konfliktu we wschodniej Ukrainie. Stanowił przypomnienie, że choć wybuch wojny pomiędzy krajami tworzącymi Unię Europejską jest niezwykle mało prawdopodobny, to może ona nadejść z zewnątrz. Nie wiadomo, jak rozwinie się rywalizacja supermocarstw w epoce postzimnowojennej. Jednak przyszłe relacje pomiędzy Stanami Zjednoczonymi, Chinami a Rosją niosą w sobie zarzewie potencjalnego konfliktu, a być może nawet wojny nuklearnej, która w pewnym momencie może dotrzeć do Europy. Punktem zapalnym w przyszłym globalnym konflikcie może okazać się Półwysep Koreański, gdzie odbyła się pierwsza konfrontacja okresu zimnej wojny. Unia Europejska musi rozwinąć przynajmniej zdolność szybkiego i jednolitego odpowiadania na zagrożenia zewnętrzne, które mogą się pojawić.

Zobaczymy, czy historycznie zakorzenione interesy poszczególnych państw członkowskich pozwolą na daleko idące zmiany strukturalne w ramach Unii Europejskiej. „Więcej Europy” – czyli kroki w kierunku ściślejszej unii politycznej – mogą wydawać się logiczną odpowiedzią na te wyzwania. Czy są one politycznie wykonalne to inna sprawa. Polityczny proces decyzyjny w Europie jest bardziej niż kiedykolwiek wcześniej postrzegany jako wewnętrzna sprawa elit, oderwana od spraw zwykłych ludzi. Skandale korupcyjne podkopały zaufanie do polityków. Skandale pedofilskie uderzyły w Kościoły chrześcijańskie i inne instytucje. Próby tuszowania niewygodnych faktów, w co zaangażowana była również policja, zaszkodziły wizerunkowi organów ścigania. Nie dziwi w tej sytuacji fakt, że szacunek dla osób sprawujących władzę uległ osłabieniu. Zaufanie do najważniejszych filarów demokratycznego życia jest prawdopodobnie najniższe w historii. Upowszechnienie mediów społecznościowych zapewniło potężny

środek wyrazu dla społecznego gniewu skierowanego przeciw „establishmentowi” i „systemowi”. Demokracja (i podział władzy, na którym się ona opiera) jest w tym procesie zagrożona. Dążenia do wzmocnienia uprawnień wykonawczych rządu – które obserwujemy na przykład na Węgrzech, w Polsce i w Turcji – wykorzystują pluralistyczną demokrację do osłabienia jej własnych fundamentów. Wykorzystywanie referendum do określania kierunków politycznych stanowi przejaw odchodzenia od demokracji przedstawicielskiej na rzecz tej plebiscytarnej. Pole do manipulacji, odwoływania się do emocji kosztem racjonalności, zostaje w związku z tym znacznie poszerzone.

Rozwój nacjonalistycznych, ksenofobicznych partii albo regionalnych ugrupowań separatystycznych odzwierciedla w dużej mierze przesunięcie od instytucjonalnej polityki realizowanej przez „elity” w kierunku oddolnej mobilizacji politycznej. Oznacza również wzrost znaczenia polityki tożsamościowej, który to trend jest coraz bardziej widoczny w Europie od lat 80. To zjawisko, które nabrało przyspieszenia od czasu krachu finansowego w 2008 roku, raczej nie straci na znaczeniu. Wyrażanie tej polityki nie jest zarezerwowane dla partii prawicowych, co widać było chociażby w demokratycznym poparciu, w dużej mierze o lewicowym odcieniu, dla niepodległości Szkocji, a na jesieni 2017 roku w głosowaniu za niepodległością Katalonii (uznanym za nielegalne przez rząd Hiszpanii i innych krajów). W tych przypadkach historyczne istnienie niezależnych państw narodowych, nawet jeżeli działo się to dawno temu, daje podstawę tożsamościową, którą nacjonalistyczni politycy mogą wykorzystywać, domagając się autonomii i licząc na osiągnięcie korzyści ekonomicznych. Polityczne i gospodarcze konsekwencje kryzysu finansowego wzmacniają tę możliwość. Mimo to w większości przypadków polityka tożsamościowa pozostaje domeną prawicy. Rezerwuar wsparcia dla nacjonalistycznych ekstremistów pozostaje znaczny. Rosnąca częstotliwość występowania przestępstw wywołanych przez nienawiść rasową i obrzydliwe, ksenofobiczne treści, wylewających się codziennie z internetu, stanowi świadectwo rozpowszechniania się mentalności, która nawet jeżeli dotyczy mniejszości społeczeństwa, stanowi zagrożenie dla

liberalnych wartości, na których w ostatnich dekadach opierała się współczesna demokracja.

W ciągu siedmiu dekad, które upłynęły od końca drugiej wojny światowej, Europa zmieniła się radykalnie. Stała się kontynentem demokracji – nawet jeśli należy przyznać, że niektóre z nich są jedynie fasadą dla autorytaryzmu. Stała się kontynentem społeczeństw obywatelskich, w których, co stanowi radykalny kontrast w porównaniu z pierwszą połową XX wieku, wojsko odgrywa niewielką rolę w polityce wewnętrznej – znacznie zwiększając w ten sposób potencjał demokratycznej stabilizacji. Nauczyła się, bez względu na trudności, napięcia i frustracje, współpracować i negocjować, a nie odwoływać się do siły zbrojnej przy rozwiązywaniu problemów. A w swoim centrum, w roli najpotężniejszego i najbardziej wpływowego państwa, ma pokojowe, internacjonalistyczne Niemcy – co stanowi jaskrawy kontrast z Niemcami, które w latach 30. i 40. stały w prochu prawa człowieka i niemal zniszczyły europejską cywilizację. Europa walczyła o wolność i wywalczyła ją. Cieszy się dobrobytem, który stanowi przedmiot zazdrości większości świata. Jej poszukiwania jedności i jasnego poczucia tożsamości trwają.

Nie sposób przewidzieć, co stanie się w kolejnych dekadach. Wiemy jedynie, że nic nie wiemy. Niepewność pozostanie kluczową cechą współczesnego życia. Charakterystyczne dla historii Europy spektakularne wzloty i upadki, zakręty i zawirowania będą jej z pewnością nadal towarzyszyć.

# Podziękowania

---

**Z**a stymulujące dyskusje, rady co do fachowej literatury, dostarczanie mi wydruków czy książek, zainteresowanie moim przedsięwzięciem i pomoc na wiele innych sposobów jestem wdzięczny Patrickowi Argentowi, Joemu Berginowi, Johnowi Breuilly’emu, Archiemu Brownowi, Franzowi Brüggemeierowi, Detlefowi Felkenowi, Christianowi Göschelowi, Mike’owi Hannah, Geoffrey’owi Hoskingowi, Thomasowi Karlaufowi, Thomasowi Kielingerowi, Francesowi Lynchowi, Frankowi O’Gormanowi, Paulowi Prestonowi, Colinowi Steele’owi, Alanowi Steinweisowi, Frankowi Trentmannowi, Heinrichowi Augustowi Winklerowi, Charlotte Woodford i Benjaminowi Ziemannowi. Chciałbym również podziękować nieznanym mi osobiście czołowym dziennikarzom największych brytyjskich, niemieckich i amerykańskich gazet, z których świetnych reportaży i analiz spraw politycznych, gospodarczych i zagranicznych mogłem czerpać pełnymi garściami – zwłaszcza przy pisaniu ostatniego rozdziału. Jestem też wielce zobowiązany wobec (ponownie, nieznanego mi osobiście) wybitnego publicysty „Guardiana”, Martina Kettle’a, który był na tyle uprzejmy, że zechciał przeczytać tekst przed drukiem, wyłapując szereg błędów rzeczowych.

Najserdeczniejsze podziękowania kieruję do Traude Spät, która wraz z mężem Ulrichem sprawiła, że czułem się jak w domu, kiedykolwiek zatrzymywałem się w Monachium; zapewniła mi ona także regularną dostawę wycinków z prasy niemieckiej, dzięki której miałem świadomość istnienia innej perspektywy niż ta,

do której przywykłem, śledząc brytyjskie media. Jestem również wdzięczny Traude za wymyślenie tytułu książki – *Achterbahn (Rollercoaster)*, kiedy próbowaliśmy znaleźć termin, który najlepiej oddawałby kaprysy historii Europy w ciągu ostatnich siedmiu dekad. Pomocni, ponad wszelką miarę, byli i inni moi przyjaciele. Laurence Rees, Nicholas Stargardt i David Cannadine znaleźli czas na przeczytanie i skomentowanie maszynopisu, dostarczając wielu cennych uwag, poprawek i sugestii. Niezmiennym bodźcem dla mojej pracy były regularne rozmowy z Laurence, wspaniałym przyjacielem z czasów, kiedy pracowaliśmy razem nad produkcjami telewizyjnymi. Moja żona Betty i starszy syn David również przeczytali maszynopis i dzięki wielu szczegółowym pytaniom pomogli mi poprawić tekst.

Simon Winder jak zawsze okazał się świetnym redaktorem – nigdy nie dawał mi się we znaki, a jedynie dodawał otuchy, kiedykolwiek jej potrzebowałem; także jego sugestie okazały się nieocenione. Był także bardzo pomocny przy wyborze zdjęć. Podobnie jak w przypadku poprzednich książek, dziękuję wszystkim członkom wspaniałego zespołu Penguina, którzy na różny sposób przyczynili się do powstania *Rollercoastera*; szczególne podziękowania składam Ellen Davies za jej pomoc redakcyjną i Richardowi Duguidowi za pracę nad mapami. Jestem też niezmiernie wdzięczny Richardowi Masonowi, który ponownie wykazał się umiejętnościami, wiedzą i precyzją w doskonałej edycji tekstu. Dave Craddock przygotował natomiast wspaniały indeks. Ponownie też mogłem polegać na ciągłym wsparciu ze strony Andrew Wylie’ego z Nowego Jorku i Jamesa Pullena z Wylie Agency w Londynie, co ogromnie sobie cenię.

W najbardziej szczególny sposób wyrazy wdzięczności kieruję, jak zawsze, do mojej rodziny – Betty (i Hannah), Davida, Stephena i Becky, i do naszych wnuków Sophie (i Paula), Joego, Elli, Olivii, Henry’ego i tak dalej. Myśląc o pokoleniu moich wnuków, trwam przy nadziei, że przyszłość Europy będzie w dalszym ciągu opierać się na pokoju, wolności i dobrobycie, które powojenne pokolenie starało się, choć nie zawsze w sposób doskonały, budować.

Ian Kershaw  
Manchester, styczeń 2018 r.



*1. Protestujący z Kampanii na rzecz Rozbrojenia Nuklearnego (CND), która domagała się „zakazu bomby”, 7 kwietnia 1958 roku maszerują przez Londyn w drodze do nuklearnego ośrodka badawczego w Aldermaston, położonego około 80 kilometrów od stolicy Wielkiej Brytanii. Marsz stał się corocznym wydarzeniem, a CND szybko urosła w siłę, stając się inspiracją dla demonstracji przeciwko broni nuklearnej w innych krajach Europy Zachodniej*





*2. Tłum gapiów w Berlinie Zachodnim obserwuje czołgi Armii Czerwonej przy Checkpoint Charlie 17 czerwca 1953 roku. Tego dnia sowieckie siły zostały rzucone do stłumienia ludowego powstania przeciwko wschodnioniemieckiemu reżimowi, które groziło zachwianiem komunistycznej władzy*



*3. Francuski minister spraw zagranicznych Robert Schuman (po prawej) i zachodnioniemiecki kanclerz Konrad Adenauer, dwaj główni architekci powojennego ładu w Europie Zachodniej, spotykają się w Paryżu 21 listopada 1951 roku. Francusko- -niemiecka przyjaźń stała się fundamentem dla kształtowania Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej (a ostatecznie Unii Europejskiej)*



*4. Kobiety płaczą podczas pogrzebu Stalina w Moskwie 9 marca 1953 roku. Ogromne rzesze ludzi, nie zważając na dojmujące zimno, przyszły pożegnać swojego byłego przywódcę. Dla niezliczonych obywateli sowieckich Stalin był wielkim bohaterem wojennym, a nie okrutnym dyktatorem*



*5. Josip Broz Tito, prezydent Jugosławii, wita sowieckiego przywódcę Nikitę Chruszczowa, który przyjechał do Belgradu w 1963 roku. Rozłam w stosunkach pomiędzy Jugosławią a Związkiem Radzieckim trwający od 1948 roku zakończył się oficjalnie w 1955 roku*



6. *Radziecki czołg i budynek w Budapeszcie zniszczone podczas zaciętych walk w powstaniu węgierskim w 1956 roku. Brutalne stłumienie powstania przez Sowieców zszokowało Zachód i poważnie naruszyło wizerunek Związku Radzieckiego wśród jego byłych admiratorów, z których wielu zrezygnowało z członkostwa w zachodnich partiach komunistycznych*





*7. Algierscy harkis, którzy z powodu wcześniejszej pracy dla francuskich władz kolonialnych musieli opuścić niepodległą Algierię, przybywają 16 września 1962 roku do obozu dla uchodźców w Rivesaltes na południu Francji*





8. Najbardziej wówczas wpływowi francuski intelektualista, filozof egzystencjalista Jean-Paul Sartre i jego partnerka Simone de Beauvoir,

*która miała wielki wpływ na wczesny ruch feministyczny, podczas wizyty  
w Rzymie 22 października 1963 roku*



*9. Little Richard, gwiazda rock and rolla, który szturmem podbił Europę w drugiej połowie lat 50., podczas swojego europejskiego tournée w 1962 roku. Podczas tej trasy koncertowej obok niego w programie występował niekiedy zespół The Beatles, wówczas mało znana grupa, która jednak w ciągu kilku miesięcy miała stać się globalnym fenomenem*



10. Symbol „swingującego Londynu” z połowy lat 60.: spódniczka mini na Carnaby Street. Sklep z ubraniami dla kobiet obok modnego butiku wciąż jeszcze nie do końca podłapał najnowszą modę



*11. Francuski dostatek z połowy lat 60.: samochody Citroën DS w salonie na Polach Elizejskich w Paryżu*



*12. Maj 1968 roku w Paryżu. Policja w rynsztunku bojowym naprzeciw protestujących studentów podczas masowych demonstracji. Przez chwilę wydawało się, że skala rozruchów zagrazi stabilności rządu. Znaczące protesty studenckie miały miejsce w 1968 roku w wielu krajach, nie tylko w Europie. Oprócz Francji do największych demonstracji dochodziło we Włoszech i w Niemczech Zachodnich*



*13. Sowiecki przywódca Leonid Breżniew witany uśmiechami i kwiatami w Bratysławie 3 sierpnia 1968 roku. Prezydent Republiki Czeskiej Ludvík Svoboda ściska rękę Breżniewa. Uśmiechnięty Aleksander Dubczek, pierwszy sekretarz Komunistycznej Partii Czechosłowacji (po prawej), czeka, by wręczyć kolejny bukiet. W drugim rzędzie (po lewej) Aleksiej Kosygin, sowiecki premier, (za Breżniewem) Nikołaj Podgorny, przewodniczący Prezydium Rady Najwyższej, i (za Dubczkiem) Oldřich Černík premier Czechosłowacji*





*14. W niespełna trzy tygodnie po pokazie fałszywej przyjaźni w Bratysławie wojska Układu Warszawskiego najechały Czechosłowację w nocy z 20 na 21 sierpnia 1968 roku. Tutaj dwóch młodych ludzi powiewa flagą, stojąc na opuszczonym sowieckim czołgu w Pradze, podczas gdy w pobliżu pali się samochód. Opór został jednak szybko zgnieciony przez wojskową potęgę*



*15. Zachodnioniemiecki kanclerz Willy Brandt pada na kolana podczas wizyty w Polsce 7 grudnia 1970 roku przed pomnikiem w Warszawie, by oddać hołd żydowskim ofiarom zamordowanym przez nazistów podczas powstania w getcie warszawskim w 1943 roku. Brandt poprzez nową politykę wobec krajów Europy Wschodniej (Ostpolitik) starał się poprawić stosunki Niemiec Zachodnich z ówczesnym blokiem sowieckim*



FRAUENSTIMMRECHT



NEIN

Donald Brun  
WABERHORN & BODEL

Amst. 11.11.1911

Seit 1888 in Zürich

1116

16. Szwajcarski plakat sprzeciwiający się prawu kobiet do głosowania.  
Referendum, które odbyło się 7 lutego 1971 roku, ostatecznie dało kobietom prawo głosu w wyborach federalnych, ale trzeba było kolejnych 20 lat, zanim ostatni kanton pozwolił kobietom głosować w sprawach lokalnych



17. Wielka demonstracja robotnicza w Lizbonie 1 maja 1974 roku. Kilka dni wcześniej, 25 kwietnia, „rewolucja goździków” w pokojowy sposób zakończyła autorytarne rządy, które utrzymywały się w Portugalii przez prawie pół wieku



18. Turcy w 1980 roku w dużym ośrodku hutniczym w Duisburgu w Zagłębiu Ruhry w północno-zachodnich Niemczech. Tureccy gastarbeiterzy („gościnni pracownicy”) zaczęli w latach 60. w dużej liczbie przyjeżdżać do Niemiec Zachodnich, bo kwitnącej gospodarce brakowało rąk do pracy. Jednak początkowe oczekiwania, że ostatecznie wrócą oni do domów, okazały się mylne. Gastarbeiterzy podobnie jak imigranci w innych krajach Europy spotykali się z uprzedzeniami i dyskryminacją, szczególnie w pierwszych latach



*19. Kobieta nerwowo przebija się przez gruzy w centrum Belfastu w Irlandii Północnej 21 lipca 1972 roku po ataku bombowym IRA. Tego dnia IRA zdetonowała w mieście przynajmniej 22 bomby, zabijając 9 osób i raniąc dalsze 130*



*20. Ogromny tłum w Warszawie 6 lutego 1979 roku bierze udział we mszy odprawianej przez papieża Jana Pawła II podczas jego pielgrzymki do rodzinnej Polski. Wizyta papieża bardzo wzmocniła więź pomiędzy polską tożsamością narodową i katolicyzmem, osłabiając przy okazji lojalność wobec komunistycznego reżimu*



*21. Lech Wałęsa (w środku) wśród robotników podczas strajku w Stoczni Gdańskiej w sierpniu 1980 roku. Wśród postulatów znalazło się między innymi utworzenie wolnych związków zawodowych, prawo do strajku i wolność prasy*





22. Francuski prezydent François Mitterrand i zachodnioniemiecki kanclerz Helmut Kohl w geście symbolicznego pojednania oddają 25 września 1984 roku hołd poległym w bitwie pod Verdun w 1916 roku, stojąc przed pomnikiem w Douaumont





23. Sowiecki przywódca Michaił Gorbaczow w rozmowie z brytyjską premier Margaret Thatcher podczas jej wizyty w Moskwie pod koniec marca 1987 roku. Pomimo ideologicznych różnic polubili się i nawiązali dobre stosunki robocze od pierwszego spotkania w Londynie w 1984 roku



24. Setki tysięcy ludzi demonstruje w deszczu przeciwko wschodnioniemieckiemu reżimowi w Lipsku 6 listopada 1989 roku, na trzy dni przed upadkiem muru berlińskiego. Poniedziałkowe demonstracje w Lipsku, które zaczęły się z początkiem września, stopniowo rosły w siłę i wywierały coraz trudniejszą do odparcia presję na radykalną zmianę w strukturach władzy



*25. Mężczyzna trzyma rumuńską flagę z komunistycznym symbolem wyciętym ze środka, stojąc na balkonie przy Placu Pałacowym w Bukareszcie w grudniu 1989 roku. Czołgi na placu wskazują, że w Rumunii rewolucja 1989 roku bynajmniej nie przebiegała pokojowo*



*26. Sprzeciw przeciwko traktatowi z Maastricht w Prowansji w 1992 roku.  
We wrześniowym referendum Francuzi tylko niewielką większością  
przegłosowali ratyfikację traktatu*



*27. Siły serbskie ostrzeliwują domy na przedmieściach Sarajewa 6  
czerwca 1992 roku. W oblężeniu, które rozpoczęło się w kwietniu i miało  
potrwać prawie cztery lata, tysiące cywilów zostało zabitych i rannych*



*28. Rosyjski premier Władimir Putin (z lewej) wręcza prezydentowi Borysowi Jelcynowi bukiet kwiatów podczas ceremonii pożegnalnej na Kremlu, która odbyła się 31 grudnia 1999 roku. Jelcyn nieoczekiwanie ogłosił swoją natychmiastową rezygnację i desygnował Putina na pełniącego obowiązki prezydenta do czasu wyborów w marcu 2000 roku. Putin szybko zadekretował, że Jelcynowi i jego rodzinie nie zostaną postawione żadne zarzuty w związku z korupcją*





29. Wielki tłum w Madrycie 13 marca 2004 roku protestuje przeciwko rządowi, który za zamachy bombowe w podmiejskich pociągach sprzed dwóch dni, w których zginęło prawie 200 osób, a blisko 2000 zostało rannych, wolał obwinić baskijskich separatystów niż Al-Kaidę. Plakaty żądające pokoju wymierzone są w konserwatywny rząd, który wciągnął Hiszpanię w wojnę w Iraku. Wybory powszechne, które odbyły się dzień później, przyniosły porażkę rządowi. Przed końcem kwietnia nowy, zdominowany przez socjalistów rząd wycofał hiszpańskich żołnierzy z Iraku



*30. Gwałtowne starcia pomiędzy policją a rozwścieczonymi demonstrantami podczas jednodniowego strajku generalnego w Atenach 24 lutego 2010 roku. Strajk proklamowano w proteście przeciwko drakońskim cięciom wydatków, wprowadzonym przez rząd w celu powstrzymania rujnującego kraj kryzysu finansowego i uniknięcia gospodarczej katastrofy*





*31. Około 200 000 Ukraińców protestuje 31 grudnia 2013 roku na Placu Niepodległości w Kijowie przeciwko rządowej decyzji o unieważnieniu planowanej umowy stowarzyszeniowej z Unią Europejską, zapalając elektryczne latarki i telefony komórkowe*



*32. Turecki policjant 2 września 2015 roku delikatnie wyciąga z morza w okolicach Bodrum w południowej Turcji ciało trzyletniego syryjskiego chłopca Aylana Shenu. Dziecko zginęło, bo łódź z imigrantami zatonięła, próbując dostać się na grecką wyspę Kos. Na całym świecie zdjęcie to uznano za symbol straszliwej tragedii humanitarnej, którą okazał się kryzys uchodźczy*

# Spis map

---

Europa w 1950 roku 6–7

Unia Europejska w 2018 roku 8–9

Europa w 2018 roku 608–609

# Źródła ilustracji

---

1. Marsz do Aldermaston, kwiecień 1958 (Bentley Archive/Popperfoto/Getty Images)
2. Checkpoint Charlie, Berlin 1953 (PhotoQuest/Getty Images)
3. Konrad Adenauer i Robert Schuman, 1951 (AFP/Getty Images)
4. Tłumy na pogrzebie Stalina, 1953 (Keystone-France/Gamma-Keystone via Getty Images)
5. Prezydent Tito i Nikita Chruszczow w Belgradzie, 1963 (Keystone/Hulton Archive/Getty Images)
6. Sowiecki czołg zniszczony podczas powstania węgierskiego w 1956 (Sovfoto/UIG/Getty Images)
7. Algierscy harkis przybywają do Francji, 1962 (STF/AFP/Getty Images)
8. Simone de Beauvoir i Jean-Paul Sartre w Rzymie, 1963 (Keystone-France/Gamma-Keystone via Getty Images)
9. Little Richard podczas tournée w Niemczech, 1962 (Siegfried Loch – K & K/Getty Images)
10. Carnaby Street, Londyn (Jean-Philippe Charbonnier/Gamma-Rapho/Getty Images)
11. Salon Citroëna, Paryż (Charles Edridge/Getty Images)
12. Studenci i policja w Paryżu, maj 1968 (Hulton-Deutsch/Corbis via Getty Images)

13. Leonid Breżniew i Aleksander Dubczek w Bratysławie, 1968 (Keystone-France/Gamma-Keystone via Getty Images)
14. Inwazja na Czechosłowację, 1968 (Popperfoto/Getty Images)
15. Willy Brandt w Warszawie, 1970 (Bettmann/Getty Images)
16. Szwajcarski plakat sprzeciwiający się prawu głosu dla kobiet, 1971 (Swiss National Museum, Zürich)
17. Demonstracja robotników w Lizbonie, maj 1974 (Hervé Gloaguen/Gamma-Rapho via Getty Images)
18. Turcy w Duisburgu, 1980 (Henning Christoph/Ullstein Bild via Getty Images)
19. Zamach bombowy IRA w Belfaście, 1972 (Bettmann/Getty Images)
20. Papież Jan Paweł II w Warszawie, 1979 (Bettmann/Getty Images)
21. Lech Wałęsa w Stoczni Gdańskiej, 1980 (Jean-Louis Atlan/Sygma via Getty Images)
22. François Mitterrand i Helmut Kohl, 1984 (Régis Bossu/Sygma via Getty Images)
23. Margaret Thatcher i Michaił Gorbaczow w Moskwie, 1987 (Georges De Keerle/Hulton Archive/Getty Images)
24. Demonstracja w Lipsku, 1989 (Georges Merillon/Gamma-Rapho via Getty Images)
25. Rumuński demonstrant, Bukareszt, 1989 (Peter Turnley/Corbis/VCG via Getty Images)
26. Plakaty przeciwko traktatowi z Maastricht, Prowansja, 1992 (Philippe Giraud/Sygma via Getty Images)
27. Bombardowanie Sarajewa, 1992 (Georges Gobet/AFP/Getty Images)
28. Borys Jelcyn i Władimir Putin, 1999 (AFP/Getty Images)
29. Po zamachu bombowym na pociąg w Madrycie, 2004 (Pool Almagro/Duclos/Vandeville/Gamma-Rapho via Getty Images)
30. Strajk generalny w Atenach, 2010 (Milos Bicanski/Getty Images)

31. Proeuropejska demonstracja na Ukrainie, sylwester 2013/2014 (Sergei Supinsky/AFP/Getty Images)
32. Turecki policjant z ciałem Aylana Shenu, 2015 (Nilufer Demir/Dogan News Agency/AFP/Getty Images)

# Wybrana bibliografia

---

Przy kompletowaniu bibliografii przyjąłem podobne podejście co przy *Do piekła i z powrotem*. Ograniczyłem tę listę do prac, które pomogły mi w pisaniu tej książki. Poza paroma wyjątkami pominąłem specjalistyczne monografie badawcze, eseje w periodykach naukowych oraz prozę. Gwiazdką oznaczone są prace, z których zaczerpnąłem krótkie cytaty.

\*17. Juni 1953 – *Zeitzeugen berichten. Protokoll eines Aufstands*, red. Lange Peter; Roß Sabine, Münster 2004.

*XX wiek (po 1945 roku)*, red. Fulbrook Mary, tłum. J. Górski, Warszawa 2004.

\*Aaronovitch David, *Party Animals: My Family and Other Communists*, London 2016.

Abelshauer Werner, *Wirtschaftsgeschichte der Bundesrepublik Deutschland 1945–1980*, Frankfurt am Main 1983.

Acemoglu Daron; Robinson James A., *Why Nations Fail: The Origins of Power, Prosperity and Poverty*, London 2013.

Adenauer Konrad, *Erinnerungen*, vol. I–IV, Stuttgart 1965–1968.

*A European Memory? Contested Histories and Politics of Remembrance*, red. Pakier Małgorzata; Stråth Bo, New York – Oxford 2010.

\*Ahonen Pertti, *After the Expulsion: West Germany and Eastern Europe 1945–1990*, Oxford 2003.

Ahonen Pertti, *Death at the Berlin Wall*, Oxford 2011.

- Alan S. Milward and a Century of European Change*, red. Guirao Fernando; Lynch Frances; Pérez Sigfrido M. Ramínez, New York – Abingdon 2012.
- Aldcroft Derek, *The European Economy 1914–2000*, London – New York 2001.
- Aldcroft Derek; Morewood Steven, *Economic Change in Eastern Europe since 1918*, Aldershot – Brookfield 1995.
- \*Aleksijewicz Swietłana, *Czarnobylska modlitwa. Kronika przyszłości*, tłum. J. Czech, Warszawa 2018.
- Anderson Perry, *The New Old World*, London 2009.
- Annan Noel, *Our Age: Portrait of a Generation*, London 1990.
- \*Applebaum Anne, *Za żelazną kurtyną. Ujarzmienie Europy Wschodniej 1944–1956*, tłum. B. Gadomska, Warszawa 2018.
- Arblaster Paul, *A History of the Low Countries*, Basingstoke (2006) 2012.
- Aron Raymond, *Wspomnienia*, tłum. G. Śleszyńska, Wołomin 2007.
- Arrighi Giovanni, *The Long Twentieth Century: Money, Power and the Origins of our Times*, London – New York (1994) 2010.
- Ascherson Neal, *The Struggles for Poland*, London 1987.
- Austria 1945–95 – Fifty years of the second Republic*, red. Luther Kurt Richard; Pulzer Peter, Aldershot 1998.
- Aust Stefan, *The Baader-Meinhof Complex*, London 2008.
- Bakewell Sarah, *Kawiarnia egzystencjalistów*, tłum. A. Paszkowska, Warszawa 2018.
- Baring Arnulf, *Im Anfang war Adenauer: Die Entstehung der Kanzlerdemokratie*, Munich 1971.
- Bark Dennis L.; Gress David R., *A History of West Germany: From Shadow to Substance 1945–1963/ Democracy and Its Discontents 1963–1991*, vol. I–II, Oxford 1989.
- Barzun Jacques, *From Dawn to Decadence: 500 Years of Western Cultural Life: 1500 to the Present*, London 2000.



- Bayly Christopher; Harper Tim, *Forgotten Wars: The End of Britain's Asian Empire*, London 2007.
- Beck Ulrich, *What is Globalization?*, Cambridge 2000.
- Beck Ulrich, *World at Risk*, Cambridge 2009.
- Behm Margarete, *So oder so ist das Leben. Eine Jahrhundertfrau erzählt*, Reinbek bei Hamburg 2004.
- Bell Daniel, *The End of Ideology: On the Exhaustion of Political Ideas in the Fifties*, Glencoe 1960.
- Bell P. M. H., *The World Since 1945: An International History*, London 2001.
- Bell P. M. H., *Twentieth-Century Europe: Unity and Division*, London 2006.
- \*Berend Ivan T., *Central and Eastern Europe 1944–1993: Detour from the Periphery to the Periphery*, Cambridge 1996.
- Berend Ivan T., *An Economic History of Twentieth-Century Europe*, Cambridge 2006.
- Berend Ivan T., *Europe Since 1980*, Cambridge 2010.
- Berend Ivan T., *Od bloku sowieckiego do Unii Europejskiej. Transformacja ekonomiczna i społeczna Europy Środkowo-Wschodniej od 1973 roku*, tłum. J. Gilewicz, Kraków 2011.
- Berg Nicolas, *Der Holocaust und die westdeutschen Historiker. Erforschung und Erinnerung*, Göttingen 2003.
- Berghahn Volker R., *Modern Germany: Society, Economy and Politics in the Twentieth Century*, Cambridge 1982.
- Berghahn Volker R., *The Americanisation of West German Industry 1945–1973*, Leamington Spa 1986.
- Bergin Joseph, *A History of France*, London 2015.
- Bernstein Serge; Milza Pierre, *Histoire de la France au XXe siècle*, vol. 3: 1958 à nos jours, Paris (1992) 2009.
- Bittner Stephen V., *The Many Lives of Khrushchev's Thaw: Experience and Memory in Moscow's Arbat*, Ithaca – London 2008.

- \*Blair Tony, *Podróż*, tłum. Z. Szachnowska-Olesiejuk; M. Fabin, Katowice 2011.
- Blyth Mark, *Austerity: The History of a Dangerous Idea*, Oxford 2015.
- \*Bobbitt Philip, *Terror and Consent: The Wars for the Twenty-First Century*, London 2009.
- Borodziej Włodzimierz, *Geschichte Polens im 20. Jahrhundert*, Munich 2010.
- Bosworth R. J. B., *The Italian Dictatorship: Problems and Perspective in the Interpretation of Mussolini and Fascism*, London 1998.
- Bracher Karl Dietrich, *Die Auflösung der Weimarer Republik*, Stuttgart – Düsseldorf 1955.
- Bracher Karl Dietrich, *The German Dilemma: The Throes of Political Emancipation*, London 1974.
- \*Brandt Willy, *Wspomnienia*, tłum. A. Kaniewski, Poznań 2013.
- \*Brandys Kazimierz, *Miesiące 1978–1981*, Warszawa 1997.
- \*Brenan Gerald, *The Face of Spain*, Harmondsworth (1950) 1987.
- \*Brendon Piers, *The Decline and Fall of the British Empire 1781–1997*, London 2007.
- Brenner Michael, *Nachkriegsland. Eine Spurensuche*, Hamburg 2015.
- \*Brown Archie, *The Gorbachev Factor*, Oxford 1997.
- \*Brown Archie, *Seven Years that Changed the World: Perestroika in Perspective*, Oxford 2009.
- \*Brown Archie, *The Myth of the Strong Leader: Political Leadership in the Modern Age*, London 2014.
- Brown Gordon, *Beyond the Crash: Overcoming the First Crisis of Globalisation*, London 2010.
- Brown James Franklin, *The End of Communist Rule in Eastern Europe*, Twickenham 1991.
- Brüggemeier Franz-Joseph, *Geschichte Grossbritanniens im 20. Jahrhundert*, Munich 2010.

Brüggemeier Franz-Joseph, *Schranken der Natur. Umwelt, Gesellschaft, Experimente 1750 bis heute*, Essen 2014.

\*Bruhns Wibke, *Nachrichtenzeit. Meine unfertigen Erinnerungen*, Munich 2012.

Buchanan Tom, *Europe's Troubled Peace 1945–2000*, Oxford 2006.

Burg Steven L.; Shoup Paul S., *The War in Bosnia-Herzegovina: Ethnic Conflict and International Intervention*, New York 2000.

Burke Jason, *The New Threat from Islamic Militancy*, London 2016.

Burleigh Michael, *Sacred Causes: Religion and Politics from the European Dictators to Al Qaeda*, London 2006.

Calic Marie-Janine, *Geschichte Jugoslawiens im 20. Jahrhundert*, Munich 2010.

Cannadine David, *Ornamentalism: How the British Saw their Empire*, London 2002.

Cannadine David, *Margaret Thatcher: A Life and Legacy*, Oxford 2017.

*Chronology of the 20th Century*, red. Waller Philip; Rowell John, Oxford 1995.

Clark Martin, *Modern Italy 1871–1982*, London 1984.

\*Clarke Harold D.; Goodwin Matthew; Whiteley Paul, *Brexit: Why Britain Voted to Leave the European Union*, Cambridge 2017.

\*Clarke Peter, *Hope and Glory: Britain 1900–1990*, London 1996.

Clogg Richard, *A Concise History of Greece*, Cambridge 2013.

Cockburn Patrick, *The Rise of Islamic State: Isis and the New Sunni Revolution*, London 2015.

Conan Eric; Rousso Henry, *Vichy, un passé qui ne passe pas*, Paris 1996.

Conway Martin, *Democracy in Postwar Western Europe: The Triumph of a Political Model*, „European History Quarterly”, nr 32/1 (2002), s. 59–84.

Conze Ekart; Frei Norbert; Hayes Peter; Zimmermann Moshe, *Das Amt und die Vergangenheit. Deutsche Diplomaten im Dritten Reich und in der Bundesrepublik*, Munich 2010.

*Coping with the Nazi Past: West German Debates on Nazism and Generational Conflict, 1955–1975*, red. Gassert Philipp; Steinweis Alan E., New York 2007.

- Coppolaro Lucia; Lains Pedro, *Portugal and European Integration, 1947–1992: an essay on protected openness in the European Periphery*, „e-journal of Portuguese History”, nr 11/1 (2013), s. 61–81.
- Crampton Richard J., *A Short History of Modern Bulgaria*, Cambridge 1987.
- Crampton Richard J., *Eastern Europe in the Twentieth Century – and After*, London, 1997.
- Crises in European Integration: Challenge and Response, 1945–2005*, red. Kühnhardt Ludger, New York – Oxford 2008.
- Crouch Colin, *Social Change in Western Europe*, Oxford 1999.
- Dahrendorf Ralf, *Society and Democracy in Germany*, London 1968.
- Darling Alistair, *Back from the Brink: 1,000 Days at Number 11*, London 2011.
- Darnton Robert, *Berlin Journal 1989–1990*, New York 1991.
- Das Ende der Zuversicht? Die siebziger Jahre als Geschichte*, red. Jarausch, Konrad H., Göttingen 2008.
- \*Davies Norman, *Boże igrzysko. Historia Polski*, tom I: *Od początku do roku 1795*, tłum. E. Tabakowska, Kraków 1989.
- Davies Norman, *Europa*, tłum. E. Muskat-Tabakowska, Kraków 2002.
- \*Dąbrowska Maria, *Dzienniki 1914–1965*, tomy I–XIII, Warszawa 2009.
- \**DDR. Dokumente zur Geschichte der Deutschen Demokratischen Republik 1945–1985*, red. Weber Hermann, Munich 1986.
- Deletant Dennis, *Ceaușescu and the Securitate: Coercion and Dissent in Romania, 1965–1989*, London 1995.
- Deletant Dennis, *Communist Terror in Romania: Gheorghiu-Dej and the Police State*, Londyn 1999.
- \**Der Aufstand. Juni '53 – Augenzeugen berichten*, red. Wolff Jochen, Berlin 2003.
- Die Anfänge der Gegenwart. Umbrüche in Westeuropa nach dem Boom*, red. Reitmayer Morten; Schlemmer Thomas, Munich 2014.
- Die Flüchtlingsrevolution. Wie die neue Völkerwanderung die ganze Welt verändert*, red. Engelhardt Marc, Munich 2016.

- Die Gegenwart der Vergangenheit. Der lange Schatten des Dritten Reichs*, red. Aust Stefan; Spörl Gerhard, Munich 2004.
- Die große Regression. Eine internationale Debatte über die gestige Situation der Zeit*, red. Geiselberger Heinrich, Berlin 2017.
- Dobson Miriam, *Khrushchev's Cold Summer: Gulag Returnees, Crime and the Fate of Reform after Stalin*, Ithaca – London 2009.
- Dobson Miriam, *The Post-Stalin Era: De-Stalinization, Daily Life and Dissent*, „Kritika: Explorations in Russian and Eurasian History”, nr 12/4 (2011), s. 905–924.
- Doering-Manteuffel Anselm, *Nach dem Boom. Brüche und Kontinuitäten seit 1970*, „Vierteljahrshefte für Zeitgeschichte”, nr 55/4 (2007), s. 559–581.
- Doering-Manteuffel Anselm; Raphael Lutz, *Nach dem Boom. Perspektiven auf die Zeitgeschichte seit 1970*, Göttingen (2008) 2012.
- Dols Chris; Ziemann Benjamin, *Progressive Participation and Transnational Activism in the Catholic Church after Vatican II: The Dutch and West German Examples*, „Journal of Contemporary History”, nr 50/3 (2015), s. 465–485.
- Duchêne François, *Jean Monnet: The First Statesman of Interdependence*, New York 1994.
- Duggan Christopher, *The Force of Destiny: A History of Italy since 1796*, London 2008.
- Dülffer Jost, *Europa im Ost-West-Konflikt 1945–1990*, Munich 2004.
- Dyson Kenneth; Featherstone Kevin, *The Road to Maastricht: Negotiating Economic and Monetary Union*, Oxford 1999.
- Eder Jacob S., *Holocaust Angst: The Federal Republic of Germany and American Holocaust Memory since the 1970s*, New York 2016.
- Eichengreen Barry, *The European Economy since 1945*, Princeton 2007.
- Eichengreen Barry, *Hall of Mirrors: The Great Depression, the Great Recession and the Uses – and Misuses – of History*, Oxford 2015.

- Eley Geoff, *Nazism, Politics and the Image of the Past: Thoughts on the West German Historikerstreit 1986–1987*, „Past and Present”, nr 121 (1988), s. 171–208.
- Eley Geoff, *Forging Democracy: The History of the Left in Europe 1850–2000*, New York 2002.
- Ellwood David W., *Rebuilding Europe: Western Europe, America and Postwar Reconstruction*, London 1992.
- Espinosa-Maestre Francisco, *Shoot the Messenger? Spanish Democracy and the Crimes of Francoism*, Eastbourne 2013.
- Europas Gedächtnis. Das neue Europa zwischen nationalen Erinnerungen und gemeinsamer Identität*, red. König Helmut; Schmidt Julia; Sicking Manfred, Bielefeld 2008.
- European Responses to the Crisis of the 1970s and 1980*, red. Wirsching Andreas, „Journal of Modern European History”, nr 9/2 (2011).
- \**Europe’s 1968: Voices of Revolt*, red. Gildea Robert; Mark James, Warring Anette, Oxford 2013.
- Evans Richard J., *In Hitler’s Shadow: West German Historians and the Attempt to Escape from the Nazi Past*, New York 1989.
- Fanon Frantz, *Wyklęty lud ziemi*, tłum. H. Tygielska, Warszawa 1985.
- Fäßler Peter E., *Globalisierung. Ein historisches Kompendium*, Cologne 2007.
- Ferguson Niall, *Niebezpieczne związki: Pieniądze i władza we współczesnym świecie 1700–2000*, tłum. W. Tyszka, Warszawa 2015.
- Ferguson Niall, *Imperium: Jak Wielka Brytania zbudowała współczesny świat*, tłum. B. Wilga, Warszawa 2013.
- Ferguson Niall, *Wielka degeneracja: Jak psują się instytucje i umierają gospodarki*, tłum. W. Tyszka, Warszawa 2017.
- \*Figes Orlando, *Szepty. Życie w stalinowskiej Rosji*, tłum. W. Jeżewski, Warszawa 2008.
- Fink Carole K., *Cold War: An International History*, Boulder 2017.

- Fischer-Galati, Stephen, *Twentieth-Century Rumania*, New York 1970.
- Fitzmaurice John, *The Politics of Belgium: Crisis and Compromise in a Plural Society*, London 1988.
- \*Flanner Janet (Genêt), *Paris Journal 1944–1965*, New York 1965.
- Foster R. F., *Modern Ireland 1600–1972*, London 1989.
- Frei Norbert, *Adenauer's Germany and the Nazi Past: The Politics of Amnesty and Integration*, New York 2002.
- Frei Norbert, *1945 und wir. Das Dritte Reich im Bewußtsein der Deutschen*, Munich 2005.
- Frei Norbert, *1968. Jugendrevolte und globaler Protest*, Munich 2008.
- Frei Norbert et al., *Kariery w półmroku. Hitlerowskie elity po 1945*, tłum. B. Ostrowska, Warszawa 2011.
- Frevert Ute, *Eurovisionen. Ansichten guter Europder im 19. und 20. Jahrhundert*, Frankfurt am Main 2003.
- Friedrich Jörg, *Die kalte Amnestie. NS-Täter in der Bundesrepublik*, Frankfurt am Main 1984.
- Friedrich Jörg, *Yalu. An den Ufern des dritten Weltkriegs*, Berlin 2007.
- Fukuyama Francis, *The End of History?*, „The National Interest” (lato 1989), s. 3–18.
- \*Fukuyama Francis, *Koniec historii i ostatni człowiek*, tłum. T. Bieroń, M. Wichrowski, Poznań 1997.
- Fukuyama Francis, *Political Order and Political Decay: From the Industrial Revolution to the Globalisation of Democracy*, London 2015.
- Fulbrook Mary, *Anatomy of a Dictatorship: Inside the GDR 1949–1989*, Oxford 1995.
- Fulbrook Mary, *Interpretations of the Two Germanies, 1945–1990*, London 2000.
- Fulbrook Mary, *History of Germany 1918–2000: The Divided Nation*, Oxford (1991) 2002.

- Fulbrook Mary, *The People's State: East German Society from Hitler to Honecker*, Oxford 2005.
- Fulbrook Mary, *Dissonant Lives: Generations and Violence through the German Dictatorships*, Oxford 2011.
- Funder Anna, *Stasiland*, London 2003.
- Für ein anderes Europa. Beiträge zu einer notwendigen Debatte*, red. Hillebrand Ernst; Kellner Anna Maria, Bonn 2014.
- Furet François, *Przeszłość pewnego złudzenia. Esej o idei komunistycznej w XX wieku*, tłum. J. Górnicka-Kalinowska, M. Ochab, Warszawa 1999.
- Gaddis John Lewis, *We Now Know: Rethinking Cold War History*, Oxford 1997.
- Gaddis John Lewis, *The Cold War*, London 2005.
- Gallant Thomas W., *Modern Greece: From the War of Independence to the Present*, London (2001) 2016.
- Garton Ash Timothy, *Polska rewolucja. „Solidarność”*, tłum. M. K., Warszawa 1990.
- \*Garton Ash Timothy, *Wiosna obywateli. Rewolucja 1989. Widziana w Warszawie, Budapeszcie, Berlinie i Pradze*, tłum. A. Husarska, Londyn 1990.
- \*Garton Ash Timothy, *The Uses of Adversity: Essays on the Fate of Central Europe*, London (1989) 1999.
- \*Garton Ash Timothy, *Historia na gorąco: eseje i reportaże z Europy lat 90*, tłum. J. Piątkowska, Kraków 2000.
- Garton Ash Timothy, *Teczka. Historia osobista*, tłum. M. Rusinek, Kraków 2006.
- \*Garton Ash Timothy, *Facts are Subversive: Political Writing from a Decade without a Name*, London 2009.
- Gehler Michael, *Europa. Ideen, Institutionen, Vereinigung*, Munich 2010.
- Genscher Hans-Dietrich; Winkler Heinrich August, *Europas Zukunft – in bester Verfassung?*, Freiburg im Breisgau 2013.
- Giddens Anthony, *Europa w epoce globalnej*, tłum. M. Klimowicz, M. Habura, Warszawa 2009.



- Gilbert Felix, *The End of the European Era, 1890 to the Present*, New York (1970) 1984.
- Gilbert Martin, *Challenge to Civilization: A History of the Twentieth Century*, vol. 3: 1952–1999, London 1999.
- Gildea Robert, *The Past in French History*, New Haven – London 1994.
- Gildea Robert, *France since 1945*, Oxford 2002.
- Gillingham John, *European Integration, 1950–2003: Superstate or New Market Economy?*, Cambridge 2003.
- Gillingham John, *The EU: An Obituary*, London 2016.
- Gilmour David, *The Pursuit of Italy: A History of a Land, its Regions and their Peoples*, London 2011.
- Ginsborg Paul, *A History of Contemporary Italy 1943–1980*, London 1990.
- \*Ginsborg Paul, *Italy and its Discontents, 1980–2001*, London 2003.
- \*Glenny Misha, *The Fall of Yugoslavia*, London (1992) 1996.
- Glenny Misha, *The Balkans, 1804–1999: Nationalism, War and the Great Powers*, London 1999.
- Golan Galia, *Reform Rule in Czechoslovakia: The Dubček Era, 1968–1969*, Cambridge 1973.
- Goltz Anna von der, *Generations of 68ers: Age-Related Constructions of Identity and Germany's „1968”*, „Cultural and Social History”, nr 8/4 (2011), s. 473–490.
- \*Gorbaczow Michaił, *Sam ze wspomnieniami*, tłum. O. Morańska, Warszawa 2014.
- Greece in the Twentieth Century*, red. Couloumbis Theodore A.; Kariotis Theodore; Bellou Fotini, London 2003.
- Greece under Military Rule*, red. Clogg Richard; Yannopoulos George, London 1972.
- Grenville J. A. S., *A History of the World from the 20th to the 21st Century*, Abingdon (1994) 2005.

- Grimm Dieter, *Europa ja – aber welches? Zur Verfassung der europäischen Demokratie*, Munich 2016.
- Grob-Fitzgibbon Benjamin, *Continental Drift: Britain and Europe from the End of Empire to the Rise of Euroscepticism*, Cambridge 2016.
- Hall Simon, *1956: The World in Revolt*, London 2016.
- Hanrieder Wolfram, *Germany, America, Europe: Forty Years of German Foreign Policy*, New Haven – London 1989.
- Harper John Lamberton, *The Cold War*, Oxford 2011.
- Harrison Joseph, *An Economic History of Spain*, Manchester 1978.
- Harrison Joseph, *The Spanish Economy in the Twentieth Century*, Londyn 1985.
- Harrison Joseph, *The Spanish Economy: From the Civil War to the European Community*, Cambridge 1995.
- Haslam Jonathan, *Russia's Cold War*, New Haven – London 2011.
- Havel Václav, *Siła bezsilnych i inne eseje*, tłum. A. Jagodziński, Warszawa 2011.
- Hayek Friedrich August, *Droga do zniewolenia*, tłum. K. Gurba, Kraków 2005.
- Hayman Ronald, *Brecht: A Biography*, London 1983.
- \*Heffer Simon, *Like the Roman: The Life of Enoch Powell*, London 1998.
- \*Heimann Mary, *Czechoslovakia: The State that Failed*, New Haven – London 2009.
- \*Hennessy Peter, *Never Again: Britain 1945–1951*, New York 1993.
- \*Hennessy Peter, *Muddling Through: Power, Politics and the Quality of Government in Postwar Britain*, London 1996.
- \*Hennessy Peter, *Having it so Good: Britain in the Fifties*, London 2006.
- Herbert Ulrich, *Geschichte Deutschlands im 20. Jahrhundert*, Munich 2014.
- Herbert Ulrich, *Europe in High Modernity: Reflections on a Theory of the 20th Century*, „Journal of Modern European History”, nr 5/1 (2007), s. 5–20.
- Herbert Ulrich; Groehler Olaf, *Zweierlei Bewältigung. Vier Beiträge über den Umgang mit der NS-Vergangenheit in den beiden deutschen Staaten*, Hamburg 1992.

- Hewison Robert, *In Anger: British Culture in the Cold War, 1945–60*, London 1981.
- Hewitt Gavin, *The Lost Continent*, London 2013.
- Hildermeier Manfred, *Geschichte der Sowjetunion 1917–1991*, Munich 1998.
- Hobsbawm Eric, *Wiek skrajności. Spojrzenie na krótkie dwudzieste stulecie*, tłum. J. Kalinowska-Król, M. Król, Warszawa 1999.
- \*Hobsbawm Eric, *Interesting Times: A Twentieth-Century Life*, London 2002.
- Hobsbawm Eric, *Fractured Times: Culture and Society in the Twentieth Century*, London 2013.
- Hobsbawm Eric; Polito Antonio, *The New Century*, London 2000.
- \*Hoggart Richard, *Spojrzenie na kulturę robotniczą w Anglii*, tłum. A. Ambros, Warszawa 1976.
- Hoggart Richard; Johnson Douglas, *An Idea of Europe*, London 1987.
- Hopkins A. G., *Rethinking Decolonization*, „Past and Present”, nr 200 (2008), s. 211–247.
- \*Hosking Geoffrey, *A History of the Soviet Union*, London 1985.
- Hosking Geoffrey, *Why has Nationalism Revived in Europe? The Symbolic Attractions and Fiscal Capabilities of the Nation-State*, „Nations and Nationalism”, nr 22/2 (2016), s. 210–221.
- Hughes H. Stuart, *Sophisticated Rebels: The Political Culture of European Dissent 1968–1987*, Cambridge 1988.
- Huntington Samuel P., *Zderzenie cywilizacji i nowy kształt ładu światowego*, tłum. H. Jankowska, Warszawa 1997.
- Huskey Eugene, *Authoritarian Leadership in the Post-Communist World*, „Daedalus”, nr 145/3 (2016), s. 69–82.
- \**Ich lebe in der Bundesrepublik. Fünfzehn Deutsche über Deutschland*, red. Weyrauch Wolfgang, Munich 1960.
- \**Im Kreuzfeuer: Der Fernsehfilm ‘Holocaust’. Eine Nation ist betroffen*, red. Märthesheimer Peter; Frenzel Ivo, Frankfurt am Main 1979.

*Interrogating Francoism: History and Dictatorship in Twentieth-Century Spain*, red. Graham Helen, London 2016.

Isaacs Jeremy; Downing Taylor, *Cold War*, London (1998), 2008.

Jäckel Eberhard, *Das deutsche Jahrhundert. Eine historische Bilanz*, Stuttgart 1996.

Jackson Julian, *Charles de Gaulle*, London 1990.

James Harold, *Rambouillet, 15. November 1975. Die Globalisierung der Wirtschaft*, Munich 1997.

James Harold, *Europe Reborn: A History, 1914–2000*, London 2003.

James Harold, *Finanzmarkt macht Geschichte. Lehren aus den Wirtschaftskrisen*, Göttingen 2014.

James Lawrence, *The Rise and Fall of the British Empire*, London 1994.

James Lawrence, *Raj: The Making and Unmaking of British India*, New York 1997.

Jarauschkonrad H., *Po Hitlerze: powrót Niemców do cywilizowanego świata 1945–1995*, tłum. J. Serwański, Poznań 2013.

Jarauschkonrad H., *Out of Ashes: A New History of Europe in the Twentieth Century*, Princeton 2015.

Jelavich Barbara, *Modern Austria, 1815–1986*, Cambridge 1987.

Jelavich Barbara, *Historia Bałkanów*, tom II: *Wiek XX*, tłum. M. Chojnacki; J. Hunia, Kraków 2005.

Jerram Leif, *Streetlife: The Untold History of Europe's Twentieth Century*, Oxford 2013.

Judt Tony, *Wielkie złudzenie? Esej o Europie*, tłum. A. Jankowski, Warszawa 1998.

\*Judt Tony, *Powojnie. Historia Europy od roku 1945*, tłum. R. Bartoń, Poznań 2008.

Judt Tony, *Ill Fares the Land*, London 2010.

Judt Tony, *Zapomniany wiek dwudziesty. Retrospekcje*, tłum. P. Marczewski, Warszawa 2011.

- Judt Tony, *Historia niedokończona. Francuscy intelektualiści 1944–1956*, tłum. P. Marczewski, Warszawa 2012.
- Judt Tony, *Brzemie odpowiedzialności. Blum, Camus, Aron i francuski wiek dwudziesty*, tłum. M. Filipczuk, Warszawa 2013.
- Judt Tony, *Kiedy zmieniają się fakty. Eseje 1995–2010*, tłum. A. Jankowski, Poznań 2015.
- Judt Tony; Snyder D. Timothy, *Rozważania o wieku XX*, tłum. P. Marczewski, Poznań 2013.
- Kaelble Hartmut, *A Social History of Western Europe 1880–1980*, Dublin 1989.
- Kaelble Hartmut, *Sozialgeschichte Europas 1945 bis zur Gegenwart*, Munich 2007.
- Kaelble Hartmut, *The 1970s in Europe: A Period of Disillusionment or Promise?*, wykład wygłoszony w 2009 roku w German Historical Institute w Londynie, London 2010.
- Kaelble Hartmut, *Kalter Krieg und Wohlfahrtsstaat. Europa 1945–1989*, Munich 2011.
- \*Kagan Robert, *Potęga i Raj. Ameryka i Europa w nowym porządku świata*, tłum. W. Turopolski, Warszawa 2003.
- Karlauf Thomas, *Helmut Schmidt. Die späten Jahre*, Munich 2016.
- Keane John, *Václav Havel: A Political Tragedy in Six Acts*, London 1999.
- Kedward Rod, *La Vie en Bleu: France and the French since 1900*, London 2006.
- Kendall Bridget, *The Cold War: A New Oral History of Life Between East and West*, London 2017.
- \*Khrushchev Nikita, *Khrushchev Remembers*, London 1971.
- King Stephen D., *Grave New World: The End of Globalization, the Return of History*, New Haven – London 2017.
- Kleine-Ahlbrandt W. Laird, *Europe Since 1945: From Conflict to Community*, Minneapolis – Saint Paul 1993.
- Kocka Jürgen, *Capitalism: A Short History*, Princeton 2016.
- Köhler Henning, *Helmut Kohl. Ein Leben für die Politik*, Cologne 2014.

- \*Koning Hans, *Nineteen Sixty-Eight: A Personal Report*, New York 1987.
- Kotkin Stephen, *Armagedon był o krok. Rozpad Związku Radzieckiego 1970–2000*, tłum. M. Szubert, Warszawa 2009.
- \*Kovály Heda Margolius, *Under a Cruel Star: A Life in Prague 1941–1968*, London (1986) 2012.
- Kozlov Vladimir A., *Mass Uprisings in the USSR: Protest and Rebellion in the Post-Stalin Years*, New York 2002.
- Kramer Alan, *The West Germany Economy 1945–1955*, New York – Oxford 1991.
- \*Kramer Mark, *The Soviet Union and the 1956 Crises in Hungary and Poland: Reassessments and New Findings*, „Journal of Contemporary History”, nr 33/2 (1998), s. 163–214.
- \*Krystew Iwan, *Co po Europie?*, tłum. A. Gustowski, Warszawa 2018.
- Kuper Leo, *Genocide: Its Political Use in the Twentieth Century*, New Haven 1981.
- Kuzio Taras, *Putin’s War Against Ukraine: Revolution, Nationalism and Crime*, Toronto 2017.
- Kyle Keith, *Suez: Britain’s End of Empire in the Middle East*, London (1991) 2003.
- \*Kynaston David, *Family Britain 1951–57*, London 2010.
- Lacouture Jean, *De Gaulle*, vol. 2: *Le Politique*, Paris 1985.
- Langguth Gerd, *The Green Factor in German Politics: From Protest Movement to Political Party*, Boulder – London 1984.
- Lanzmann Claude, *Shoah* [film], Paris 1985; edycja niemiecka, Munich 1988.
- \*Laqueur Walter, *Europe Since Hitler*, Harmondsworth 1970.
- Larkin Maurice, *France since the Popular Front: Government and People, 1936–1986*, Oxford 1988.
- Ledeen Michael A., *Renzo de Felice and the Controversy over Italian Fascism*, „Journal of Contemporary History”, nr 11 (1976), s. 269–283.
- Leggewie Claus, *Der Kampf um die europäische Erinnerung. Ein Schlachtfeld wird besichtigt*, Monachium 2011.

- \**Letters of Solidarity and Friendship: Czechoslovakia 1968–71*, red. Parker David, Holmfirth 2017.
- Lever Paul, *Berlin Rules: Europe and the German Way*, London 2017.
- Lewin Moshe, *The Soviet Century*, London 2005.
- Lewis Michael, *Wielki szort. Mechanizm maszyny zagłady*, tłum. K. Man, Katowice 2012.
- Lewis Michael, *Błyskotliwi chłopcy. Rewolta na Wall Street*, tłum. Z. Szachnowska-Olesiejuk, A. Olesiejuk, Katowice 2015.
- Linz Juan J.; Stephan Alfred, *Problems of Democratic Transition and Consolidation: Southern Europe, South America and Post-Communist Europe*, Baltimore 1996.
- \*Lomax Bill, *Węgry 1956*, tłum. nieznanym, Warszawa 1986.
- Loth Wilfried, *Helmut Kohl und die Währungsunion*, „Vierteljahrshefte für Zeitgeschichte”, nr 61/4 (2013), s. 455–479.
- Lüders Michael, *Wer den Wind sät. Was westliche Politik im Orient anrichtet*, Munich 2015.
- Lüders Michael, *Die den Sturm ernten. Wie der Westen Syrien ins Chaos stürzte*, Munich 2017.
- Lynch Frances M. B., *France and the International Economy: From Vichy to the Treaty of Rome*, London 1997.
- \*MacCulloch Diarmaid, *A History of Christianity*, London 2009.
- Madden Thomas, *Istanbul: City of Majesty at the Crossroads of the World*, New York 2016.
- Maddison Angus, *Monitoring the World Economy 1820–1992*, Paris 1995.
- Maddison Angus, *The World Economy: A Millennial Perspective*, Paris 2001.
- Maier Charles S., *The Unmasterable Past: History, Holocaust and German National Identity*, Cambridge 1988.
- Mak Geert, *W Europie. Podróże przez dwudziesty wiek*, tłum. B. Woźniak-Diederer, Warszawa 2008.

- Mak Geert, *Was, wenn Europa scheitert*, Munich 2012.
- Mann Michael, *The Dark Side of Democracy: Explaining Ethnic Cleansing*, Cambridge 2005.
- Mann Michael, *Power in the 21st Century: Conversations with John A. Hall*, Cambridge 2011.
- Mann Michael, *The Sources of Social Power, Vol. 4: Globalizations, 1945–2011*, Cambridge 2013.
- \*Marsh David, *The Euro: The Battle for the New Global Currency*, New Haven – London 2011.
- \*Marwick Arthur, *The Sixties: Cultural Revolution in Britain, France, Italy and the United States, c.1958–c.1974*, Oxford 1998.
- Mazower Mark, *Dark Continent: Europe's Twentieth Century*, London 1998.
- Mazower Mark, *The Balkans: From the End of Byzantium to the Present Day*, London 2000.
- McFaul Michael; Stoner-Weiss Kathryn, *After the Collapse of Communism: Comparative Lessons of Transition*, Cambridge 2004.
- McMillan James, *Twentieth-Century France: Politics and Society 1898–1991*, London 1992.
- \*‘*Mein Gott, was soll aus Deutschland werden?*’ *Die Adenauer-Ära 1949–1963*, red. Ruhl Klaus-Jörg, Munich 1985.
- Menon Rajan; Rumer Eugene, *Conflict in Ukraine: The Unwinding of the Post-Cold War Order*, Cambridge 2015.
- Meray Tibor, *Thirteen Days that Shook the Kremlin*, New York 1959.
- \*Merridale Catherine, *Night of Stone: Death and Memory in Russia*, London 2000.
- Merriman John, *A History of Modern Europe: From the Renaissance to the Present*, New York 1996.
- Merseburger Peter, *Willy Brandt 1913–1992. Wizjoner i realista*, tłum. A. Wziątek, Poznań 2011.
- \*Michnik Adam, *Letters from Prison and Other Essays*, Berkeley 1985.



- \*Middelaar Luuk van, *Przejście do Europy. Historia pewnego początku*, tłum. R. Pucek, N. Borowska, Warszawa 2011.
- Milward Alan S., *The Reconstruction of Western Europe 1945–1951*, London 1984.
- Milward Alan S., *The European Rescue of the Nation-State*, London 1992.
- Mitscherlich Alexander; Mitscherlich Margarete, *Die Unfähigkeit zu Trauern*, Munich (1967) 1988.
- Modern Portugal*, red. Costa Pinto Antonio, Palo Alto 1998.
- Mommsen Margareta, *Wer herrscht in Rußland? Der Kreml und die Schatten der Macht*, Munich 2004.
- Mommsen Margareta, *Das Putin-Syndikat. Russland im Griff der Geheimdienstler*, Munich 2017.
- Mommsen Margareta; Nußberger Angelika, *Das System Putin*, Munich 2007.
- Monaco James, *Film verstehen*, Reinbek bei Hamburg 1980.
- Montefiore Simon Sebag, *Stalin. Dwór czerwonego cara*, tłum. M. Antosiewicz, Warszawa 2004.
- \*Moore Charles, *Margaret Thatcher. Autoryzowana biografia*, tom II, tłum. J. Stawiński, Warszawa 2019.
- Morgan Kenneth O., *Labour in Power 1945–1951*, Oxford 1985.
- Münkler Herfried, *Wojny naszych czasów*, tłum. K. Matuszek, Kraków 2004.
- Naimark Norman M., *Fires of Hatred: Ethnic Cleansing in Twentieth-Century Europe*, Cambridge 2001.
- Natoli Claudio, ‘*Widerstand gegen Nationalsozialismus und Faschismus: Deutsche und italienische Forschungstendenzen im Vergleich*’, [w:] *Mit dem Pathos der Nüchternheit*, red. Klaus-Dietmar Henke; Claudio Natoli, Frankfurt – New York 1991.
- Nehring Holger, *Politics of Security: British and West German Protest Movements and the Early Cold War, 1945–1970*, Oxford 2013.
- Nehring Holger, *National Internationalists: British and West German Protests against Nuclear Weapons, the Politics of Transnational Communications and*

*the Social History of the Cold War, 1957–1964*, „Contemporary European History”, nr 14/4 (2005), s. 559–582.

\**Nella Last in the 1950s*, red. Malcolmson Patricia; Robert Malcolmson, London 2010.

\*Nicholson Virginia, *Perfect Wives in Ideal Homes: The Story of Women in the 1950s*, London 2015.

*Nikita Khrushchev*, red. Taubman William; Khrushchev Sergei; Gleason Abbott, New Haven – London 2000.

Nora Pierre, *Realms of Memory: Rethinking the French Past*, New York 1996.

\*Novick Peter, *The Holocaust and Collective Memory*, London 2001.

Outhwaite William, *Europe since 1989*, London 2016.

Parker Stephen, *Bertolt Brecht: A Literary Life*, London 2014.

Paxton Robert, *Francja Vichy. Stara gwardia i nowy ład, 1940–1944*, tłum. J. Lang, Wrocław 2011.

*Peace Movements in Western Europe, Japan and the USA during the Cold War*, red. Ziemann Benjamin, Essen 2007.

*Perestroika: The Historical Perspective*, red. Merridale Catherine; Ward Chris, London 1991.

Petersdorff Dirk von, *Literaturgeschichte der Bundesrepublik Deutschland. Von 1945 bis zur Gegenwart*, Munich 2011.

\*Pevsner Nikolaus, *Historia architektury europejskiej*, tomy I–II, tłum. J. Wydro, Warszawa 1979–1980.

Piketty Thomas, *Kapitał w XXI wieku*, tłum. A. Bilik, Warszawa 2015.

Piketty Thomas, *Czy można uratować Europę? Kroniki 2004–2012*, tłum. A. Bilik, Warszawa 2016.

Pleshakov Constantine, *The Crimean Nexus: Putin’s War and the Clash of Civilizations*, New Haven – London 2017.

Plokhyy Serhii, *The Gates of Europe: A History of Ukraine*, London 2015.

Preston Paul, *The Triumph of Democracy in Spain*, London 1987.

\*Preston Paul, *Franco*, London 1993.

Priestland David, *Merchant, Soldier, Sage: A New History of Power*, London 2012.  
*Privatisierung. Idee und Praxis seit den 1970er Jahren*, red. Frei Norbert; Süß  
Dietmar, Göttingen 2012.

*Privatization in Western Europe: Pressures, Problems and Paradoxes*, red. Wright  
Vincent, London 1994.

Radisch Iris, *Camus. Das Ideal der Einfachheit. Eine Biographie*, Reinbek bei  
Hamburg 2013.

Rawnsley Andrew, *The End of the Party: The Rise and Fall of New Labour*,  
London 2010.

*Reclams Filmführer*, red. Krusche Dieter, Stuttgart 2000.

Reisman Michael, *Why Regime Change is (almost always) a Bad Idea*, „The  
American Journal of International Law”, nr 98 (2004), s. 516–525.

\*Reynolds David, *One World Divisible: A Global History Since 1945*, New York  
1999.

Reynolds David, *In Command of History: Churchill Fighting and Writing the  
Second World War*, London 2004.

Reynolds David, *The Long Shadow: The Great War and the Twentieth Century*,  
London 2013.

Richards Steve, *The Rise of the Outsiders: How Mainstream Politics Lost its Way*,  
London 2017.

Roberts J. M., *Twentieth Century: A History of the World 1901 to the Present*,  
London 1999.

\*Rödder Andreas, *21.0. Eine kurze Geschichte der Gegenwart*, Munich 2015.

\*Rogel Carole, *The Breakup of Yugoslavia and the War in Bosnia*, Westport 1998.

Rose Richard, *What is Europe?*, New York 1996.

Rose Richard, *Representing Europeans: A Pragmatic Approach*, Oxford 2013.

Rosh Lea; Jäckel Eberhard, *‘Der Tod ist ein Meister aus Deutschland.’ Deportation  
und Ermordung der Juden. Kollaboration und Verweigerung in Europa*,

Hamburg 1990.

Rouso Henry, *Le syndrome de Vichy de 1944 à nos jours*, Paris 1990.

Rouso Henry, *Vichy. L'événement, la mémoire, l'histoire*, Paris 2001.

Rouso Henry, *Frankreich und die 'dunklen Jahre'. Das Regime von Vichy in Geschichte und Gegenwart*, Göttingen 2010.

Ruane Kevin, *The Rise and Fall of the European Defence Community*, Basingstoke 2000.

Runciman David, *The Confidence Trap: A History of Democracy in Crisis from World War I to the Present*, Princeton 2015.

Ruzza Carolo; Fella Stefano, *Re-inventing the Italian Right: Territorial Politics, Populism and 'Post-Fascism'*, London 2009.

Sabrow Martin, *A Myth of Unity? German Unification as a Challenge in Contemporary History*, „Bulletin of the German Historical Institute London”, nr 38/2 (2016), s. 46–62.

Sabrow Martin, *1990: An Epochal Break in German History?*, „Bulletin of the German Historical Institute Washington DC”, nr 60 (2017), s. 31–42.

Sachs Jeffrey, *Poland's Jump to the Market Economy*, Cambridge 1993.

Sakwa Richard, *Frontline Ukraine: Crisis in the Borderlands*, London 2016.

\*Sandbrook Dominic, *Never Had It So Good: A History of Britain from Suez to the Beatles*, London 2005.

Sandbrook Dominic, *White Heat: A History of Britain in the Swinging Sixties*, London 2006.

Sandbrook Dominic, *State of Emergency: The Way We Were: Britain, 1970–1974*, London 2010.

Sandbrook Dominic, *Seasons in the Sun: The Battle for Britain, 1974–1979*, London 2012.

\*Sassoon Donald, *The Culture of the Europeans: From 1800 to the Present*, London 2006.

- Schabowski Günter, *Das Politbüro. Ende eines Mythos*, Reinbek bei Hamburg 1990.
- Scharsach Hans-Henning; Kuch Kurt, *Haider. Schatten über Europa*, Cologne 2000.
- Schick Jack M., *The Berlin Crisis, 1958–1962*, Philadelphia 1971.
- Schildt Axel; Siegfried Detlef, *Deutsche Kulturgeschichte. Die Bundesrepublik 1945 bis zur Gegenwart*, Munich 2009.
- Schlögel Karl, *Grenzland Europa. Unterwegs auf einem neuen Kontinent*, Munich 2013.
- Schmidt Helmut, *Globalisierung. Politische, ökonomische und kulturelle Herausforderungen*, Stuttgart 1998.
- Schmidt Helmut; Stern Fritz, *Unser Jahrhundert. Ein Gespräch*, Munich 2010.
- \*Schöllgen Gregor, *Gerhard Schröder. Die Biographie*, Munich 2016.
- Schwarz Hans-Peter, *Adenauer*, vol. I–II, Munich 1994.
- Schwarz Hans-Peter, *Das Gesicht des Jahrhunderts*, Berlin 1998.
- Schwarz Hans-Peter, *Helmut Kohl. Eine politische Biographie*, Munich 2012.
- \*Schwarz Hans-Peter, *Fragen an das 20. Jahrhundert*, „Vierteljahrshefte für Zeitgeschichte“, nr 48 (2000), s. 1–36.
- Seldon Anthony; Baston Lewis, *Major: A Political Life*, London 1998.
- Seldon Anthony; Snowden Peter; Collings Daniel, *Blair Unbound*, London 2007.
- \*Service Robert, *A History of Twentieth-Century Russia*, London 1998.
- \*Service Robert, *Stalin: A Biography*, London 2004.
- Sheehan James, *The Monopoly of Violence: Why Europeans Hate Going to War*, London 2007.
- Shipman Tim, *All Out War: The Full Story of How Brexit Sank Britain's Political Class*, London 2016.
- Shipway Martin, *Decolonization and its Impact: A Comparative Approach to the End of the Colonial Empires*, Oxford 2008.

- Shore Marci, *Kawior i popiół. Życie i śmierć pokolenia oczarowanych i rozczarowanych marksizmem*, tłum. M. Szyster, Warszawa 2008.
- Shore Marci, *Smak popiołów. O dziedzictwie totalitaryzmu w Europie Wschodniej*, tłum. M. Szuster, Warszawa 2012
- Siegfried André, *De la IVe à la Ve République au jour de jour*, Paris 1958.
- \*Silber Laura; Little Allan, *The Death of Yugoslavia*, London 1996.
- Simms Brendan, *Taniec mocarstw. Walka o dominację w Europie od XV do XXI wieku*, tłum. J. Szkudliński, Poznań 2015.
- Simms Brendan, *Britain's Europe: A Thousand Years of Conflict and Cooperation*, London 2016.
- Simpson John, *Unreliable Sources: How the 20th Century was Reported*, London 2010.
- \*Sittner Gernot, *Helmut Kohl und der Mantel der Geschichte*, Munich 2016.
- \*Skidelsky Robert, *Britain since 1900: A Success Story?*, London 2014.
- Sontheimer Kurt, *Antidemokratisches Denken in der Weimarer Republik*, Munich (1962) 1992.
- Southern Europe Transformed: Political and Economic Change in Greece, Italy, Portugal and Spain*, red. Williams Allan, London 1984.
- Soviet State and Society under Nikita Khrushchev*, red. Ilic Melanie; Smith Jeremy, London 2009.
- Spohr Kristina, *The Global Chancellor: Helmut Schmidt and the Reshaping of the International Order*, Oxford 2016.
- Staritz Dietrich, *Geschichte der DDR*, Frankfurt am Main 1996.
- State, Society and Economy in Western Europe, 1815–1975*, red. Flora Peter, vol. I–II, Frankfurt 1983.
- Steinberg Jonathan, *Why Switzerland?*, Cambridge 1976.
- Steininger Rolf, *Eine Chance zur Wiedervereinigung? Die Stalin-Note vom 10. März 1952*, Bonn 1985.

Stern Fritz, *Dreams and Delusions: National Socialism in the Drama of the German Past*, New York 1989.

Stern Fritz, *Niemcy w pięciu wcieleniach*, tłum. Ł. Galecki, E. Kubikowska, Warszawa 2008.

Stern Fritz, *Der Westen im 20. Jahrhundert. Selbstzerstörung, Wiederaufbau, Gefährdungen der Gegenwart*, Göttingen 2009.

Stiglitz Joseph E., *Euro. W jaki sposób wspólna waluta zagraża przyszłości Europy*, tłum. G. Klimont, Warszawa 2017.

Stokes Gale, *The Walls Came Tumbling Down: The Collapse of Communism in Eastern Europe*, New York 1993.

Stone Dan, *Goodbye to all that? The Story of Europe since 1945*, Oxford 2014.

Stöver Bernd, *Der Kalte Krieg*, Munich 2003.

Streeck Wolfgang, *Buying Time: The Delayed Crisis of Democratic Capitalism*, London 2014.

Streeck Wolfgang, *How Will Capitalism End?*, London 2016.

Suny Ronald Grigor, *The Soviet Experiment*, New York 1998.

\*Swain Geoffrey; Swain Nigel, *Eastern Europe since 1945*, Basingstoke (1993) 2009.

\*‘Talkin’ ’bout my generation’: *Conflicts of Generation Building and Europe’s ‘1968’*, red. Goltz Anna von der, Göttingen 2011.

Tanner Jakob, *Geschichte der Schweiz im 20. Jahrhundert*, Munich 2015.

\*Taubman William, *Chruszczow. Człowiek i epoka*, tłum. Ł. Witczak, Wrocław 2012.

\*Taubman William, *Gorbachev: His Life and Times*, New York 2017.

\*Taylor A. J. P., *The Origins of the Second World War*, London (1961) 1964.

Taylor Richard; Pritchard Colin, *The Protest Makers: The British Nuclear Disarmament Movement of 1958–1965 Twenty Years On*, Oxford 1980.

Thatcher Margaret, *Moje lata na Downing Street*, tłum. A. Kościukiewicz, K. Michalska, J. Pacuła, Warszawa 2012.

- \*The 1956 Hungarian Revolution: A History in Documents*, red. Békés Csaba; Byrne Malcolm i Rainer János M., The Budapest – New York 2002.
- The Cambridge Economic History of Modern Europe*, red. Broadberry Stephen; O'Rourke Kevin H., vol. 2: *1870 to the Present*, Cambridge 2010.
- The Cambridge History of Russia*, red. Suny Ronald Grigor, vol. III: *The Twentieth Century*, Cambridge 2006.
- The Cambridge History of the Cold War*, red. Leffler Melvyn P.; Westad Odd Arne, vol. I–III, Cambridge 2010.
- \*The Cold War: A History in Documents and Eyewitness Accounts*, red. Hanhimäki Jussi M.; Westad Odd Arne, Oxford 2004.
- \*The Cold War in Europe: Era of a Divided Continent*, red. Maier Charles S., New York 1991.
- The Columbia History of the 20th Century*, red. Bulliet Richard W., New York 1998.
- The Dilemmas of De-Stalinization: Negotiating Cultural and Social Change in the Khrushchev Era*, red. Jones Polly, London 2006.
- The European Economy in an American Mirror*, red. Eichengreen Barry; Landesmann Michael; Stiefel Dieter, Abingdon 2008.
- The Germans: Public Opinion Polls 1947–1966*, red. Noelle Elisabeth; Neumann Erich, Allensbach – Bonn 1967.
- \*The Hungarian Revolution*, red. Lasky Melvin J., London 1957.
- The Hungarian Revolution of 1956 in Retrospect*, red. Király Béla K.; Jónas Paul, Boulder 1978.
- The Making of Modern Switzerland, 1848–1998*, red. Butler Michael; Pender Malcolm; Charnley Joy, Basingstoke 2000.
- Themes in Modern European History since 1945*, red. Wakeman Rosemary, London 2003.
- The Oxford Handbook of Postwar European History*, red. Stone Dan, Oxford 2014.



- The Oxford History of the Twentieth Century*, red. Howard Michael; Louis W. Roger, Oxford 1998.
- The Oxford Illustrated History of Modern Europe*, red. Blanning T. C. W., Oxford 1996.
- The Politics of Postwar Germany*, red. Stahl Walter, New York 1963.
- The Revolutions of 1989*, red. Tismăneanu Vladimir, London 1999.
- Ther Philipp, *Europe since 1989: A History*, Princeton 2016.
- Therborn Göran, *Drogi do nowoczesnej Europy. Społeczeństwa europejskie w latach 1945–2000*, tłum. Z. Pucek, Warszawa – Kraków 1998.
- The Shock of the Global: The 1970s in Perspective*, red. Ferguson Niall et al., Cambridge 2010.
- The Soviet Union since Stalin*, red. Cohen Stephen F.; Rabinowitch Alexander; Sharlet Robert, Bloomington – London 1980.
- \**The Turbulent World of Franz Göll: An Ordinary Berliner Writes the Twentieth Century*, red. Fritzsche Peter, Cambridge 2011.
- Thranhardt Dietrich, *Geschichte der Bundesrepublik Deutschland*, Frankfurt am Main 1986.
- Timmermann Brigitte, *The Third Man's Vienna: Celebrating a Film Classic*, Vienna 2005.
- Tismăneanu Vladimir, *Wizje zbawienia. Demokracja, nacjonalizm i mit w postkomunistycznej Europie*, tłum. H. Jankowska, Warszawa 2000.
- Todorov Tzvetan, *Hope and Memory: Reflections on the Twentieth Century*, London 2003.
- \*Tombs Robert, *The English and their History*, London 2014.
- Tombs Robert; Tombs Isabelle, *That Sweet Enemy: The French and the British from the Sun King to the Present*, London 2006.
- Tomka Béla, *A Social History of Twentieth-Century Europe*, Abingdon 2013.
- \*Toynbee Polly; Walker David, *Cameron's Coup: How the Tories took Britain to the Brink*, London 2015.

- Transcending the Cold War: Summits, Statecraft, and the Dissolution of Bipolarity in Europe, 1970–1990*, red. Spohr Kristina; Reynolds David, Oxford 2016.
- Trentmann Frank, *Empire of Things: How We Became a World of Consumers, from the Fifteenth Century to the Twenty-First*, New York 2016.
- Understanding the Imaginary War: Culture, Thought and Nuclear Conflict, 1945–90*, red. Grant Matthew; Ziemann Benjamin, Manchester 2016.
- Urwin Derek W., *Western Europe Since 1945: A Political History*, London 1989.
- Vachudova Milada Anna, *Europe Undivided: Democracy, Leverage, and Integration after Communism*, Oxford 2005.
- Vadney T. E., *The World Since 1945*, Harmondsworth 1987.
- Vincent Mary, *Spain 1833–2002: People and State*, Oxford 2007.
- Vinen Richard, *A History in Fragments: Europe in the Twentieth Century*, London 2000.
- Vorgeschichte der Gegenwart. Dimensionen des Strukturbruchs nach dem Boom*, red. Doering-Manteuffel Anselm; Raphael Lutz; Schlemmer Thomas, Göttingen 2016.
- Wagner. Kompendium. Przewodnik po życiu i twórczości kompozytora*, red. Millington Barry, tłum. nieznany, Kraków 2014.
- Wapshott Nicholas, *Keynes kontra Hayek. Spór, który zdefiniował współczesną ekonomię*, tłum. R. Madejski, Warszawa 2013.
- Warufakis Janis, *A słabi muszą ulegać? Europa, polityka oszczędnościowa a zagrożenie dla globalnej stabilizacji*, tłum. R. Mitoraj, Warszawa 2017.
- Wasserstein Bernard, *Barbarism and Civilization: A History of Europe in Our Time*, Oxford 2009.
- Watson Derek, *Molotov: A Biography*, Basingstoke 2005.
- Weber Hermann, *Geschichte der DDR*, Munich 1985.
- Wee Hermann van der, *Prosperity and Upheaval: The World Economy 1945–1980*, Harmondsworth 1987.

- Wehler Hans-Ulrich, *Deutsche Gesellschaftsgeschichte*, vol. V: *Bundesrepublik und DDR 1949–1990*, Munich 2008.
- Wehler Hans-Ulrich, *Land ohne Unterschichten. Neue Essays zur deutschen Geschichte*, Munich 2010.
- Wehler Hans-Ulrich, *Die neue Umverteilung. Soziale Ungleichheit in Deutschland*, Munich 2013.
- Wehler Hans-Ulrich, *Die Deutschen und der Kapitalismus. Essays zur Geschichte*, Munich 2014.
- \*Werth Alexander, *France 1940–1955*, London 1956.
- \**We Were There: An Eyewitness History of the Twentieth Century*, red. Fox Robert, London 2010.
- \**When the Wall Came Down: Reactions to German Unification*, red. James Harold; Stone Marla, London 1992.
- \*White Charles, *The Adventures of the Sons of Neptune*, Scarborough 2011.
- Wiegrefe Klaus, *Das Zerwürfnis. Helmut Schmidt, Jimmy Carter und die Krise der deutsch-amerikanischen Beziehungen*, Berlin 2005.
- Wilford Hugh, *The CIA, the British Left and the Cold War: Calling the Tune?*, London 2003.
- Winkler Heinrich August, *Auf ewig in Hitlers Schatten? Anmerkungen zur deutschen Geschichte*, Munich 2007.
- Winkler Heinrich August, *Germany: The Long Road West*. vol. II: 1933–1990, Oxford 2007.
- \*Winkler Heinrich August, *Geschichte des Westens*. Vol. III: *Vom Kalten Krieg zum Mauerfall*, Munich 2014.
- \*Winkler Heinrich August, *Geschichte des Westens*. Vol. IV: *Die Zeit der Gegenwart*, Munich 2015.
- Winkler Heinrich August, *Zerreiproben. Deutschland, Europa und der Westen. Interventionen 1990–2015*, Munich 2015.

- Winkler Heinrich August, *Zerbricht der Westen? Über die gegenädrtige Krise in Europa und Amerika*, Munich 2017.
- Winter Martin, *Das Ende einer Illusion. Europa zwischen Anspruch, Wunsch und Wirklichkeit*, Munich 2015.
- Wirsching Andreas, *Der Preis der Freiheit. Geschichte Europas in unserer Zeit*, Munich 2012.
- Wirsching Andreas, *Demokratie und Globalisierung. Europa seit 1989*, Munich 2015.
- \*Wise Audrey, *Eyewitness in Revolutionary Portugal*, Nottingham 1975.
- Wittner Lawrence S., *The Struggle against the Bomb*, vol. I: *One World or None: A History of the World Nuclear Disarmament Movement Through 1963*, Stanford 1993.
- Wittner Lawrence S., *The Struggle against the Bomb*, vol. II: *Resisting the Bomb: A History of the World Nuclear Disarmament Movement 1954–1970*, Stanford 1997.
- Wolfrum Edgar, *Die Bundesrepublik Deutschland 1949–1990*, Stuttgart 2005.
- Woller Hans, *Geschichte Italiens im 20. Jahrhundert*, Munich 2010.
- Yekelchyk Serhy, *The Conflict in Ukraine: What Everyone Needs to Know*, Oxford 2015.
- \*Young Hugo, *One of Us: A Biography of Margaret Thatcher*, London 1990.
- Young John W.; Kent John, *International Relations since 1945: A Global History*, Oxford 2004.
- \*Ziemann Benjamin, *Encounters with Modernity: The Catholic Church in West Germany, 1956–1975*, New York – Oxford 2014.
- Ziemann Benjamin, *The Code of Protest: Images of Peace in the West German Peace Movements, 1945–1990*, „Contemporary European History”, nr 17/2, s. 237–261.
- Ziemann Benjamin, *A Quantum of Solace? European Peace Movements during the Cold War and their Elective Affinities*, „Archiv für Sozialgeschichte”, nr 49, s.

351–389.

Zöchling Christa, *Haider, kim jest*, tłum. J. Sosnowska, Kraków 2000.

Zürcher Erik J., *Turcja. Od sułtanatu do współczesności*, tłum. A. Gąsior-Niemiec, Kraków 2013.

# Spis treści:

Karta tytułowa

Przedmowa

Wstęp. Dwie ery niepewności w Europie

Rozdział 1. Napięty podział

Gorąca zimna wojna

Życie w cieniu bomby: strach czy fatalizm?

Rozdział 2. Stawanie się Europy Zachodniej

Demokracja skonsolidowana

Odwrót imperiów

Rozdział 3. Moskiewska śruba

Odkręcanie śruby: Związek Radziecki

Jugosłowiańska „herezja”

Dokręcanie śruby – państwa bloku wschodniego

Stare porządki

Stare porządki w niebezpieczeństwie

Rozdział 4. Dobre czasy

„Cud gospodarczy”

Państwo opiekuńcze

Społeczeństwo konsumpcyjne

Kroki w kierunku integracji

Rozdział 5. Kultura po katastrofie

Cień przeszłości

(Nad)używana przeszłość

Zerwanie z przeszłością

Zerwanie z wartościami przeszłości

Rozdział 6. Wyzwania

Protest i przemoc

Rewolta pokoleniowa

Eksplozja protestu

Trwałe dziedzictwo 1968

Inny '68

Ruchome piaski w Europie Wschodniej

Dalszy marsz socjaldemokracji w Europie Zachodniej

#### Rozdział 7. Zwrot

Gospodarki w kłopotach

Polityka recesyjna

Demokracja triumfuje

Zimna wojna powraca

#### Rozdział 8. Wschodni wiatr zmian

Pierestrojka

Pęd ku zmianom

Zwykły bieg rzeczy: zachodnioeuropejskie troski

#### Rozdział 9. Siła ludu

Satelity wypadają z orbity

Nieoczekiwanie szybka droga do zjednoczenia Niemiec

Długie konanie Związku Radzieckiego

Nowa epoka

#### Rozdział 10. Nowe początki

Wojny etniczne

Chybione nadzieje

Nadzieje na jedność

Europa Zachodnia traci ducha

#### Rozdział 11. Groźny szeroki świat

„Wojna z terroryzmem”

Janusowe oblicze globalizacji

Polityczne wyzwania globalizacji

Unijne wyzwania

„Czynnik Putina”

## Rozdział 12. Lata kryzysu

Krach o włos

Polityka oszczędnościowa

Kryzys migracyjny

Zagrożenie terroryzmem

Agresja Putina

Brexit

Posłowie. Nowa era niepewności

Podziękowania

Wkładka zdjęciowa

Spis map

Źródła ilustracji

Wybrana bibliografia

Karta redakcyjna



Tytuł oryginału  
*Roller-Coaster: Europe 1950–2017*

Original English language edition first published by Penguin Books Ltd, London

Text copyright © Ian Kershaw 2015

The author has asserted his moral rights

All rights reserved

Projekt okładki i opracowanie typograficzne

Witold Siemaszkiewicz

Zdjęcie na okładce

Getty Images

Opieka redakcyjna

Daniel Natkaniec

Weryfikacja merytoryczna

Anna Winkler

Adiustacja

Anna Winkler

Korekta

Marta Hamera

Agnieszka Mańko

Indeks

Rafał Kuzak

Opracowanie map

Edycja

© Copyright for the translation by Tomasz Krzyżanowski

Copyright © for this edition by SIW Znak Sp. z o.o., 2020

ISBN 978-83-240-7800-4

**znak**

Książki z dobrej strony: [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

Więcej o naszych autorach i książkach: [www.wydawnictwoznak.pl](http://www.wydawnictwoznak.pl)

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: [czytelnicy@znak.com.pl](mailto:czytelnicy@znak.com.pl)

Na zlecenie Woblink

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)

plik przygotowała Katarzyna Rek